

SKARBIEC ARCYDZIEŁ PIŚMIENNICZYCH EUROPY.

Lesage'a.

GIL BLAS

Z SANTILLANY.

PRZEKŁAD T. DZIEKONSKIEGO.

ILLUSTRACJA T. A. BEAUCÉ.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
80-330 Warszawa, pl. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-69

WARSZAWA.

Nakładem **S. H. MERZBACHA**, księgarza.

1853.

<http://rcin.org.pl>



G I L B L A S.

OŚWIADCZENIE AUTORA.

Ponieważ są ludzie, którzy czytając nie mogą się obejść bez wyszukiwania zastosowań charakterów ułomnych lub śmiesznych, jakie napotykają w dziele, oświadczam więc tym przekornym czytelnikom moim, że na nich spadnie wina zastosowania obrazków znajdujących się w tej książce. Wyznaję bowiem otwarcie, że zamierzyłem wystawić życie takie, jakie jest: Boże broń, abym miał rozmyślnie kogoś w szczególności malować. Niech więc żaden z czytelników nie odnosi do siebie tego, co się może z równą słusnością zastosować do wielu innych; inaczéj, sam się nierozważnie wyda przed światem, jak mówi Fedr: *Stulte mudabit, animi conscientiam*: (głupio na jaw wyda sumienie swoje).

Są w Kastylii, podobnie jak i we Francyi lekarze, których metoda zbyt szczerze szafuje krwią chorych. Wszędzie ujrzvsz te same wady, napotkasz takie same oryginały. Przyznaje, że nie zawsze z należytą ścisłością przedstawiałem obyczaje Hiszpanów: ci, którym najtaj-

ne jest życie aktorek madryckich, mieliby prawo zarzucać, iż niedość wybitnych dobierałem barw na odmalowanie ich rozwiązłości; zdało mi się wszakże przyzwolentem, złagodzić je nieco, dla zastosowania się do naszych obyczajów.

Gil Blas do czytelnika.

Nim posłuchasz historii życia mojego łaskawy czytelniku, zwróć na chwilę uwagę na powiastkę, którą ci powtórzę.

Dwóch uczniów wędrowało z Peniafil do Salamanki. Zmordowani i pragnieniem udęczeni zatrzymali się nad brzegiem źródła, który idąc napotkali. Ugasiwszy pragnienie spoczęli i trafem spostrzegli kamień równo z ziemią leżący, na którym znać było jakiś napis biegiem czasu i nogami bydła do wody pędzonego zatarty. Wzięli się więc do mycia i wyczytali po kastylsku: *Aquí está encerrada el alma del licenciado Pedro Garcias*. — Tu jest zamknięta dusza licencyata Piotra Garcyasa.

Młodszy z tych uczniów żywy i płochy, ledwie przeczytał napis, począł się śmiać do rozpuku, mówiąc: a to prawdziwie zabawne! tu jest zamknięta dusza!... dusza

zamknięta!.. ciekawy byłbym wiedzieć, co to za dziwak taki nagrobek sobie położył. To rzekłszy, wstał i zabrał się w dalszą drogę. Towarzysz jego rozważniejszy, pomyślił sobie: jest w tym pewnie coś tajemniczego, ja to muszę wyjaśnić. Nie zatrzymując więc kolegi, dobył noża i zaczął odgrzebywać kamień, i póty pracował, póki go nie wydobył. Pod kamieniem znalazł worek skórzanym, a w nim sto dukatów i kartkę z temi wyrazami w języku łacińskim: „Ty, który miałeś dosyć przezorności do odgadnięcia myśli napisu, bądź moim spadkobiercą i lepiej odemnie użyj tych pieniędzy.“ Uradowany tym odkryciem uczeń położył napowrót kamień i udał się do Salamanki z duszą licencyata.

Ktokolwiek jesteś czytelniku łaskawy, będziesz podobny do jednego z tych uczniów. Czytając moje przygody, jeżeli nie będziesz baczył na moralne zasady, ja-

kie się w nich zawierają, nie odniesiesz żadnej korzyści; ale czytając je z uwagą, znajdziesz w nich wedle prawidła Horacego, pożytek z zabawą.

Przypisek wydawcy. — Idzi Blas ogłoszony już był w przekładzie polskim w Wilnie 1850.

Zdało mi się wszakże rzeczą przyzwoitą postarać o nowe tłumaczenie dla niniejszego zbioru: dlaczego? każdy łatwo domyśli się, skoro ze dwie stronnice dawnego tłumaczenia porówna z nowym. Obok tego wszakże nadmienić winienem, że nowy tłumacz uznał za rzecz przyzwoitą zachować miano bohatera powieści takiej, jakie jest w oryginalu, *Gil Blas*. Naprzód dlatego, że jest znane powszechnie, przynajmniej od tych, co się więcej zajmują literaturą powieściarską; powtóre, że sam autor go nie tłumaczył, bo gdyby go chciał mieć Idzim Błażejem, byłby go w swoim języku napisał Gilles Blaise.

KSIEGA PIERWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Urodzenie Gil Blasa i jego wychowanie.

Blas z Santillany, ojciec mój, spędziwszy niemaly czas pod broną w służbie monarchy hiszpańskiego, wrócił do miasta rodzinnego. Tu wszedł w związki małżeńskie z córką niezamożnego mieszczanina, która już przeżyła wiosnę swojej młodości. W dziesięć miesięcy po ślubie ujrzałem światło dzienne. Później rodzice moi osiedli w Oviedo i ujrzeni się zmuszonymi wejść w obowiązki: matka moja została pokojową, a ojciec konuszym. Że zaś całym majątkiem były ich zasługi, zostawał więc dla mnie widok nienajlepszego wychowania, gdybym na szczęście nie miał w tym mieście wuja kanonika. Nazwisko jego było Gil Perez. Był on starszym bratem mojej matki, a moim ojcem chrzestnym. Wystawcie sobie człowieka niskiego wzrostu, trzy i pół stopy nieprzechodzącego, nadzwyczaj otyłego, z głową między ramionami zagrzeszłą, a będzicie mieli obraz mojego wuja. Zresztą byłto człowiek, który jedynie o tym myślał, jakby dobrze żyć, to jest smaczuo zajadać; prebenda zaś wcale ulegorsza, dostarczała mu środków ku temu.

Wziął on mnie do siebie w dziecinym jeszcze wieku i podjął się mojego wychowania. Zdał mi się dość pojętym i dlatego postanowił kształcić mój umysł. Kupił mi abecadło i zamierzył sam nauczyć mnie czytać, co niemniej było korzystne dla niego, jak dla mnie; ucząc mnie bowiem poznawania głosek, sam się zabrał do czytania, które dosyć zaniedbał aż dotąd; w skutek tego, przy usilnej pilności doszedł takiej wprawy, iż płynnie czytał swoje modły, czego przedtem nie było. Miał on wielką ochotę uczyć mnie łacińskiego języka, boeby przez to oszczędził kilka groszy; lecz niestety! biedny Perez w życiu swoim pierwszych nawet początków tego języka nie umiał; było może w całej kapitule najwiękший nieuk, chociaż za pewnością twierdzenia mojego nie ręczę. Cichaczem też szeptał, że bynajmniej nie nauka utworzyła mu drogę do beneficjum, lecz winien je wdzięczności jakichś pocziwych zakonnic, których był poufatym pełnomocnikiem, a które wpływami swymi wyjednały mu święcenie bez poprzedniego examinu.

Musiał więc powierzyć mnie nauczycielowi i wybrał do tego obowiązku doktora Godinez, który uchodził za najbieglejszego pedanta w całym Oviedo. Korzystałem z jego nauki, tak dalece, że w końcu piątego czy szóstego roku, rozumiałem niezgorzej autorów greckich, a dość dobrze poetów łacińskich. Przykładałem się też do logiki i nauczyłem się szeroko rozprawiać. Tak polubiłem rozprawy, że zatrzymywałem przechodniów znanych i nieznanych i rzucałem im przedmiot do rozprawy. Niekiedy zaczynałem uczonych próżniaków, którzy

się o to wcale nie guiewali; wtedy trzeba było widzieć nas rozprawiających! jakie szamotaule się! jakie młoty! jakie wykrzywania twarzy! oczy iskrzące, usta zapienione, wzięłbys nas raczej za opętanych, niż za filozofów.

Tym sposobem przecież zyskałem w mieście wziętość mędrca. Wuj mój rozpywał się z radości, bo myślał sobie, iż niedługo pozbędzie się tego ciężaru. „Otóż mój Gil Blas, rzekł raz do mnie: wiek twój dziecinny już przeszedł, masz teraz siedmnaście lat, jesteś niepospolitym chłopakiem, trzeba cię pchnąć w świat. Ja myślę posłać cię do uniwersytetu w Salamance; przy zdolnościach jakie w tobie widzę, nietrudno ci będzie znaleźć dobre miejsce. Dam ci kilka dukatów na drogę, mojego muła, który także wart najmniej dziesięć do dwunastu ludołów; sprzedasz go w Salamance i użyjesz tych pieniędzy na swoje utrzymanie, póki nie uzyskasz jakiejś posady.

Nie mógł mi wuj nic przyjemniejszego w życiu zwiastować; oddawna bowiem pałałem żądzą poznania świata. Jednakże potrafiłem panować nad sobą do tego stopnia, iż ukryłem radość moją. Skoro więc nadeszła chwila odjazdu, udaną boleścią z powodu rozłączenia się z wujem, któremu tyle zawdzięczałem, tak rozczuliłem pocziwego wujaszka, iż mi dał więcej pieniędzy, niżby był wylleżył zajrzawszy do głębi serca mojego. Pożegnałem się także z rodzicami, którzy mi nie skąpili przestróg. Nadewszystko zalecali mi abym się modlił za mojego wuja, abym żył uczciwie, nie mieszał się w złe rzeczy, a osobliwie też, abym nie pragnął cudzego dobra. Nagadawszy się do woli, obdarzyli mnie swoim błogosławieństwem, jedynym skarbem, którego od nich spodziewać się mogłem. Poczem siadłem na muła i opuściłem miasto.

ROZDZIAŁ II.

O strachu jaki miał zbliżając się do Peniaflor, — co zrobił przybywszy do tego miasta i z kim jadł wieczere.

Otóż już wyjechałem z Oviedo, jestem na drodze do Peniaflor, wśród pola, pan własnej woli, nędznego muła i czterdziestu dukatów, nie licząc w to kilkunastu realów, które skradłem wielce szanownemu wujaszкови. Naprzód zostawiłem mułowi całą swobodę, pozwalając mu wlec się noga za nogą; założyłem mu uzdę na szyję, a dobywszy z kieszeni dukaty, zacząłem je liczyć i przeliczać w kapeluszu. W życiu mojem nie widziałem tyle pieniędzy odrazu, dlatego nie mogłem się nacieszyć ich widokiem. Już może dwudziesty raz je liczyłem, gdy nagle mój muł podniósł łeb i strzygąc uszami, wstrzymał się na drodze. Sądząc że się czegoś stracha, obejrzałem się na wszystkie strony i spostrzegłem leżący na ziemi kapelusz, a na nim różanec, i w téjże chwili usłyszałem głos żalony odzywający się w te słowa: „Panie! miej litość nad biednym żołnierzem kaleką, rzuć łaskawie kilka groszy w ten kapelusz, a Bóg cię nagrodzi w przyszłym życiu.“ Zwróciwszy oczy w stronę, z której ów głos mnie dochodził, spostrzegłem pod krzakiem o dwadzieścia lub trzydzieści kroków

odemnie człowieka, nibyto żołnierza, który na dwóch kijach na krzyż ustawionych oparłszy koniec flinty, jak mi się zdało, dłuższej od dzidy, wprost do mnie mierzył. Drgnąłem na ten widok, bałem się o moje imię kościelne, szybko więc powściągnąłem muła, a ściskając moje dukaty, dobytek z kleśzeni kilka realów, przystąpiłem do kapelusza przeznaczonego na przyjęcie jałmużny od bogobożności zastraszonej, spuszczałem jeden po drugim, aby mu dać poznać, że z nim wychodzę szlachetnie. Zadowolony moją szczodrością powtórzył swoje błogosławieństwo tyle razy, ile razy ja uderzyłem w bok mojego muła, by go zniechęcić do przedszego oddalenia się z tego miejsca; lecz przeklęte bydło naigrawało się z mojej niecierpliwości i lazło noga za nogą jak przedtem; przez długie lata przywykło chodzić stępo pod moim wujem, zapominało biegu cwałem.

Z tej pierwszej przygody nienajlepiej wróżyłem o dalszej drodze. Pomyślałem, że jeszcze daleko do Salamanki, że mogę mieć gorsze jeszcze spotkania. Zdawało mi się, że wujaszek mój bardzo nierozsądnie postąpił, że mnie nie oddał w ręce jakiegoś mułowodzy; ale on sądził, że dając mi muła, zmniejszy tym sposobem kosztą mojej podróży; a to go daleko więcej zajmowało, niż wszelkie niebezpieczeństwa na jakie mogłem być narażony. Dla naprawienia więc błędu wujowskiego, postanowiłem sprzedać muła, skoro tylko przybędę do Peniaflor, ztamtąd ugodzić mułowodzę do Astorgi i wreszcie tym samym sposobem dostać się do Salamanki. Choć i nigdy noga moja nie postąpiła za bramami Oviedo, znałem przecie nazwiska miast, przez które mi wypadło przejeżdżać, zasiągnąwszy pierwiej potrzebnych w tym celu wiadomości.

Przybyłem szczęśliwie do Peniaflor i zatrzymałem się przed bramą domu zajezdnego dość pięknego z porozi. Ledwie postawiłem nogę na ziemi, zaraz wybiegł właściciel i przyjął mnie z największą uprzejmością, sam zdjął łomok, wzięł go na ramię i poprowadził mnie do numeru, a tymczasem służący zawiódł muła do stajni. Mój gospodarz było największy gaduła w całej Asturyi, pochopny do opowiadania swych interesów i równie ciekawy dowiedzieć się cudzych. Oświadczył mi że się nazywa Andrzej Korkuelo, że długo służył w wojsku królewskiem w stopniu sierżanta, że przed piętnastą miesiącami opuścił służbę, by wejść w związki małżeńskie z dziewczyną z Kastropol, która choć dosyć śniada, ma jednak tyle szczęścia, że butelki szybko się wypróżniają. Tyle mi jeszcze innych rzeczy nagadał, że mogłem wybornie obejść się bez tych wiadomości. Po takim zwierzeniu się serdecznem, sądząc iż ma prawo wymagać ode mnie wszystkiego, zapytał się z kąd jadę, dokąd się udaję i kto jestem. Na co trzeba było odpowiedzieć punkt na punkt, bo za każdym pytaniem kłaniał się jak najuniższej, przeproszał z niesłychanem uszanowaniem za swoją ciekawość, a to mnie skłaniało do jej zaspokojenia. Tym sposobem wdałem się w długą gawędę w której miałem sposobność napomknienia o moim zamiarze i powodach pozbycia się muła, a ugodzenia mułowodzę. Pochwalił moją myśl, ale także nie w krótkich wyrazach, owszem szerokiemi słowami rozwodził się nad przygodami, jakie mnie spotkać mogą w drodze; poparł je przytoczeniem smutnych przypadków rozmaitych wędrowników. Rozumiałem że nie skończy swolch powiastek; skończył przecie oświadczać, że skoro chce sprzedać mojego muła, on mi nastręczy uczciwego rostrucharza, który go kupi. Z radością przyjąłem to oświadczenie, prosząc by posłał po niego; on tymczasem sam natychmiast pospieszył.

Wrócił wkrótce w towarzystwie owego człowieka, którego począł chwalić się nie mógł. Wyszliśmy wszyscy trzej na podwórze, gdzie wyprowadzono mojego muła. Przeprowadzono go przed rostrucharzem kilka razy tam i napowrót, a on tymczasem przypatrując się, uważał każdą część zwierzęcia od kopyta począwszy aż do łba. Nie mało wad wykrył, w gruncie rzeczy trudno było coś dobrego o nim powiedzieć, ale choćby to był muł ze stajni królewskiej, jeszczeby on znalazł w nim coś do przygany. W końcu zapewnił mnie, że muł mój ma wszystkie wady, jakie tylko tego rodzaju zwierzę mieć

może, a na poparcie swojego twierdzenia odwołał się do świadectwa gospodarza, który zapewne nie bez powodu przyświadczył. A więc, rzekł ozięble rostrucharz: „za ile pan myślisz sprzedać to uciążne bydło?” Nasłuchawszy się pochwały, jakimi obsypał mojego muła, bacznie na przyświadczenie p. Korkuelo, którego uważałem za człowieka rzetelnego i znawcę, byłbym go oddał darmo; rzekłem więc do kupca, że się spuszcza na jego uczciwość, niech sumiennie oceni bydło, a ja przystanę chętnie na podaną przez niego wartość. Przybrawszy więc mnie uczciwego człowieka, odpowiedział mi, że wspominając jego sumienie, uderzam w najślabszą jego stronę. W istocie nie było w nim najsilniejsza strona, bo za miast oznaczyć cenę dziesięciu lub dwunastu lujdorów, jak mój wuj, on nie wstydził się wyrzec trzy dukaty, które ja przyjąłem z taką radością, jak gdybym najwięcej zyskał natym targu.

Pozbywszy się tak korzystnie muła, gospodarz mój zaprowadził mnie do mułowodzy, który nazajutrz wyjeżdżał do Astorgi. Mułowodza oświadczył mi, iż przed świtem ruszy w drogę, że mnie wczas obodzi. Ułożyliśmy się o cenę muła i żywności, a skończywszy interes wracałem z Korkuelą do zajazdu, który mi w drodze zaczął opowiadać historią tego mułowodzy. Wygadał wszystko, co tylko o nim mówiono w mieście. Już zaczął na nowo dręczyć mnie swoją gadaniną, gdy wtęm na moje szezęście jakiś dorodny mężczyzna przerwał mu mowę, przystępując doń z wielką grzecznością. Zostawiłem ich, a idąc dalej ani mi wpadło do głowy, żebym miał być przedmiotem ich rozmowy.

Przybywszy do zajazdu, zażądałem wleczery; a ponieważ było dzień postny, zajęto się więc przyrządzeniem potrawy z jaj. Gdy się koło tego krzątano, ja tymczasem wdałem się w gawędkę z gospodynią, której dotąd nie widziałem. Zdawała mi się dosyć przyjemną, a jej obejście się było tak miłe, że gdyby mi nawet gospodarz nie uprzedził, byłbym się łatwo domyślił, że tej karczynie nie brakło gości. Skoro jedzenie było gotowe, siadłem sam jeden do stołu. Jeszczem pierwszego kaska do ust nie doniosł, gdy wszedł gospodarz z tym co go zatrzymał na ulicy. Było mężczyzna około trzydziestu lat wieku mający, z długą szpadą przy boku. Zbliżył się do mnie z miną niespokojną. „Panie uczniu, rzekł, dowiaduję się, że pan jesteś Gil Blas z Santyllany, ozdoba miasta Oviedo, pochodnia filozofii. Czyż podobna, abyś miał być tym arcy mędrcom, tym rzadkim talentem, którego sława tak głośna w tym kraju? Nie wiecie, mówił zwracając się do gospodarza i gospodyni, wcale nie wiecie kogo macie u siebie; jest to nieszacowany skarb w waszym domu: przypatrzcie się, ten młody szlachetny człowiek jest prawdziwy ósmy cud świata. Poczém zwracając się do mnie, rzucił mi się na szyję, mówiąc: daruj mojemu uniesieniu, nie mogę pohamować radości, jaką mi obecność twoja sprawia.”

Nie mogłem mu nie odpowiedzieć w tej chwili, bo mi tchu brakło wśród jego uścisków, dopóty gdy mi uwolnił głowę, odezwał się doń: „Panie, wcale nie spodziewałem się aby imię moje znane było w Peniaflor.” „Jakto znane! odparł w tym samym tonie, my utrzymujemy spis wszystkich wielkich mędzów, którzy się znajdują o dwadzieścia mil dokoła. Uważamy cię tu za zjawisko, i nie wątpię bynajmniej, że przyjdzie czas, w którym Hiszpania chłubić się będzie, że cię na świat wydała, podobnie jak Grecya szczeni się swoimi mędrkami. Po tych wyrazach nastąpiło nowe serdeczne uściskanie, które musiałem wytrzymać z narażeniem się nawet na los Anteusza. Gdybym miał choć cokolwiek doświadczenia, a zapewne nie byłbym się wystawił na igraszkę jego pochlebstw i przesadnych wyrażen: po tych pochwałach bez granic, byłbym łatwo poznał, że to jest jeden z tych pasibrzuchów, których pełno po wszystkich miastach, którzy za przybyciem każdego cudzoziemca wkradają się do jego względów, aby się kosztem jego nasycić; lecz młodość i próżność moja wcale co innego mi poddawały. Mój wielbiciel zdał mi się uczciwym człowiekiem, zaprosiłem go więc do swojej wieczery. Bardzo chętnie, rzekł, wdzięczny jestem mojej gwiazdzie, że mi nastręczyła sposobność spókania się z szanownym Gil Blas z Santyllany

i dlatego pragnę jak najwięcej korzystać ze szczęsnego losu. Nie mam wprawdzie wielkiego apetytu, mówił dalej, i siadę do stołu jedynie dla towarzyszenia panu, a przez grzeczność skosztuję jedzenia."

To mówiąc, mój wielbiciel zajął miejsce naprzeciw mnie, i gdy mu podałem przyrządzoną potrawę, z taką chciwością rzucił się na nią, jak gdyby od trzech dni nie jadł. Sądząc z jego sposobu wzięcia się, pomiarkowałem, że półmisek wkrótce będzie pusty. Kazałem podać drugi, który tak szybko przyrządzono, że zaledwie kończyliśmy, czyli raczej zaledwie on kończył pierwszy, już drugi stał na stole. Zmiał go z niemniejszą szybkością, a nie tracąc ani jednego poruszenia cębów, potrafił jeszcze darzyć mnie pochwałą za pochwałą, co mi go bardzo miłym czyniło. Popijał także bardzo często, spekulując kielichy to za moje zdrowie, to za zdrowie mojego ojca i matki, nie mogąc się dosyć wydziwić ich szczęściu, że mają podobnego syna. Zarazem nalewał i mnie zachęcając, abym się nie dał wyprzedzać. Ja też nieźle odpowiadałem na jego wiwaty, przez co równie jak przez jego pochwały tak wesołego nabrałem humoru, że widząc drugi półmisek przez połowę wypróżniony, zapytałem się gospodarza, czy nie ma ryb. Pan Korkuelo, który zdaje się być w porozumieniu z pasibrzuchem, odpowiedział: „mam wybornego pstrąga, ale musi dobrze zapłacić, kto go zechce jeść, jestto za delikatny specjalik dla was. Co to nazywasz zbyt delikatnym specjalikiem? zawołał dobitniejszym głosem mój pooblebca nie zastanowiłeś się nad tem coś powiedzieć mój przyjacielu; więdz o tem, że niema nic nazbyt delikatnego dla pana Gil Blas z Santyllany, którego należy przyjmować jak księcia jakiego.

Kontent byłem, że w ten sposób podchwycił ostatnie wyrazy gospodarza, bo mnie w tem wyreczył. Obrażony, dumnie ozwał się do Korkuelo: „podaj tu twojego pstrąga, a nie troszcz się o resztę." Gospodarz, który na to tylko czekał, wnet przyrządził rybę i zastawił ją nam. Na widok nowej potrawy zabyły radością oczy mojego pooblebey, objawił zuowu swoje grzeczność, tojest rzucił się na rybę z takim zapałem, jak to zrobił z poprzedzającą potrawą; musiał jednak kapitulować z obawy przypadku, bo już miał po dziurki. Wreszcie napiwszy się i najadłszy do syta, chciał skończyć tę komedya. „Panle Gil Blas, odezwał się do mnie wstając od stołu, uraczyłem mnie wybornie, jestem zbyt zadowolony, abym ci nie miał dać ważnej przestrogi, której zdaje się bardzo potrzebujesz. Miej się odtąd na baczności przed pochwałami. Strzeż się ludzi, których dobrze nie znasz. Możesz łatwo natrafić innych, którzy podobnie jak ja, zechcą się bawić kosztem twojej łatwowierności, a może nawet dalej rzeczy posuną; nie bądź ich łgraszką, na zasadzie dla pana Gil Blas nie poczuj się za ósmy cud świata." To rzekłszy rozśmiał mi się w oczy i poszedł.

To szyderstwo tak mnie przebodło, jak później najcięższe przygody, których doznałem. Nie mogłem się uspokoić, że m się dał uwieść tak haniebnie, czyli inaczej mówiąc, że m czułem dumę moję poniżoną. Toż więc, myśliłem sobie, ten zdrajca naigrawał się ze mnie? To on dlatego zaczął mojego gospodarza, aby go wymacać, albo raczej, aby się z nim na mnie zmówił. Ho! biedny Gil Blas zgiń ze wstydu, żeś temu hultajowi dał słuszny powód do drwienia z siebie. Niezawodnie oni ułożą z tego piękną powiastkę, która może dojść aż do Owiedo i tam ci piękny zrobi zaszczyt. Rodzice twoi żałować będą swojej przemowy; lecz zamiast przestrzegać mnie, iżbym nikogo nie oszukiwał, lepiejby byli zrobili zwracając moję uwagę, iżbym się miał na ostrożności przed zwodzicielami. Miotany tak dręczącemi myślami, przejęty wstydem do żywego, zamknąłem się w mojej izbie i rzuciłem się na łóżko; niepodobna mi było wszakże zasnąć, i oka jeszcze nie zmrzyłem, kiedy mułowodzica przybył z uwiadomieniem, że już tylko na mnie czeka. Zerwałem się natychmiast i gdy m się ubierał, Korkuelo wszedł z rachunkiem, w którym nie opuścił pstrąga; nie tylko musiałem tańczyć jak zagrał, ale oddając mu pieniądze tój jeszcze doznałem zgryzoty, iż wyraźnie widziałem, że łotr pamiętał dobrze moję przygodę. Zapłaciwszy doskonale wiecezrę, której stra-

wić nie mogłem, udałem się do mułowodzicy z tłumocznikiem, polecając wszystkim djabłom pasibrzucha, gospodarza i zajadz.

ROZDZIAŁ III.

O pokusie, która mułowodzcę nagabała w czasie podróży; jakie ztąd były skutki i jak Gil Blas wpadł w charybldę stroniąc od Scylli.

Nie byłem ja sam z mułowodzcą; w towarzystwie mojem było dwoje dzieci z Peniaflor, mały śpiewak z Mordonedo, który szukał szczęścia po świecie, młody mieszczanin z Astorgi wracający z młoda małżonką, którą zaślubił w Verco. Wkrótce zaznajomiliśmy się wszyscy i każdy powiedział, z kąd pochodzi i dokąd dąży. Nowozamężna choć młoda, była tak śniada i tak niemila, że m nie miał żadnej przyjemności patrzeć na nią; lecz jej młodość i dobra tusza, takle wrażenie zrobiły na mułowodzcę, iż postanowił zabiegać o jej względy. Przez cały dzień rozmyślał nad swoim zamiarem i wykonanie jego odłożył do ostatniego noclegu. Byłto w Kokobelos. Stanęliśmy w pierwszej karczynie przy wjeździe, która do wsi raczej, niż do miasta należała, a gospodarz jej znany był mułowodzcę jako człowieka usłużny i wierny w zachowaniu tajemnicy. Postarał się nam o izbę nstronną i pozwolił nam spokojnie posilić się; lecz w końcu wiecezry ujrzeliśmy go wchodzącego z miną rozżarzoną. Do wszystkich czartów! krzyknął, okradziono mnie. Miałem w trzosie skórzany sto łnidorów; muszę je wynależć. Idę do sędziego miejskiego, który nie lubi w takich rzeczach żartować i wszyscy razem pójdziecie na torturę, póki nie wyznacie zbrodni i nie zwróćcie pieniędzy. To rzekłszy wyszedł, a my wszyscy stanęliśmy w osłupieniu.

Nikomu nie wpadło na myśl, że to mogło być zmyślenie, bośmy się nie znali dostatecznie, aby jeden za drugiego mógł ręczyć. Co gorsza, ja miałem w podejrzeniu małego śpiewaka, tak jak on może o mnie toż samo myśleć. Zresztą wszyscyśmy byli młodymi półgłówkami; nie wiedzieliśmy jakie jest postępowanie sądowe w podobnym przypadku, nawierzyliśmy prostodusznie, że nas zaraz pociągną na ławicę. Tak więc pędzeni strachem uciekliśmy czempredziej z izby, jeden wypadł na ulicę, drudzy do ogrodu, każdy w ucieczce szukał zbawienia. Młody mieszczanin z Astorgi nasamo wyobraźenie tortury, drząc ze strachu, zemknął jak drugi Eneasz, nie troszcząc się wcale o swoją małżonkę. Wtedy mułowodzica jak się później dowiedziałem, mnięd wstrzemięźliwy jak jego muły, uradowany, że m się wybieg udał według jego życzenia, udał się do młodej mieszczanki, zaczął się przechwalać ze swoim podstępem i usiłował korzystać z pory. Tymczasem nowa Lukrecya asturyjska, której obmierzła postać mułowodzcę siły dodawała, silnie się bronila i poczęła przeraźliwie krzyżeć. Straż nocna trafem w tój chwili w bliskości karczmy znajdująca się, na którą zawsze baczne miała oko, weszła natychmiast i pytała się o przyczynę krzyku. Gospodarz był wówczas w kuchni i głośno śpiewając, udawał, że nic nie słyszy, musiał jednak poprowadzić dowódcę i jego oddział do izby, z której krzyk wychodził. Właśnie w samą porę przybyli: Asturyanka już utraciła siłę. Dowódcza straż człowiek nieokrzesany, gburowaty, spostrzegłszy o co rzecz idzie, przyłożył z pięć lub sześć razy do grzbietu rozmilowanego mułowodzcę drzewce swojej halabardy, przemawiając doń w wyrazach niemniej wstyd raziących, jak sama czynność o którą chodziło. Ale nie na tem koniec: pochwycił winowajcę i poprowadził go do sędziego miejskiego wraz z oskarżycielką, która nie bacząc na nieporządek w jakim się znajdowała, chciała koniecznie sama przedstawić sędziemu niegodziwość tój napaści. Sędzia wysłuchał jej ceterpliwie, a rozważywszy sprawę, uznał, że oskarżony nie zasługiwał na przebaczenie. Kazał go więc natychmiast obnażyć i chłostać w jej przytomności; poczem zawyrokoował, że jeżeliby nazajutrz mąż Asturyanki nie pojawił się, dwaj strażnicy na koszt winowajcy odprowadzą ją do Asturyi.

Co do mnie, więcej może od innych przerażony, dostałem się na pole; przebiegłem, sam już nie wiem jaką przestrzeń pól i zarośli, przeskakując wszystkie rowy jakie napotkałem,

wreszcie zbliżyłem się do lasu. Już tylko co miałem się skryć w najgęstsze zarośla, gdy wtem dwaj jeźdźcy zabiegli mi drogę, wołając, kto idzie? Nowem zjawiskiem spłoszony, nie wiedziałem co powiedzieć, oni zaś zbliżywszy się, przyłożyli mi pistolety do piersi rozkazując, abym ich objaśnił, kto jestem, kąd przybywam, co chcę robić w tym lesie, zalecając, abym nie nie zataił. Na taki sposób badanta, który zdał mi się równać torturze, którą nas młowodźca tak uraczył, odpowiedziałem, że jestem młodym człowiekiem z Oviedo, że się udaję do Salamanki, że bojąc się tortury, którą mi zagrożono, uciekłem. Parsknęli śmiechem na to objaśnienie, widząc w niem głupotę moją, a jeden z ulch rzekł: uspokój się mój przyjacielu, pójdź z nami, nie lękaj się niczego, my cię zaprowadzimy w miejsce bezpieczne. Kazał mi więc siąść na koń za siebie i ruszyliśmy w las.

Nie wiedziałem co myśleć o tém spotkaniu, nie atoli złego nie przypuszczałem. Gdyby to byli złodzieje, myślałem sobie, toby mnie obdarli, a może i zamordowali; muszało być poczciwi ludzie z tych stron, którzy widząc mnie zastrachanego, zlitowali się i przez ludzkość prowadzą mnie do siebie. Niedługo jednak byłem w tej niepewności. Po kilku zawrotach w milczeniu odbytych stanęliśmy u podnóża pagórka i posiadaliśmy z koni. Tu jest nasze mieszkanie, ozwał się jeden z jeźdźców. Napróżno oglądałem się na wszystkie strony, nie widziałem ani domu, ani szalasu, ani najmniejszego śladu pomieszkania. Tymczasem dwaj ci ludzie podnieśli wielkie wrota z drzewa, osłonięte chrustem, które zakrywały długi, podziemny kurylarz. Konie same tam wbiegły, jako już przyzwyczajone, mnie zaś jeźdźcy wprowadzili z sobą, spuściwszy wrota za pomocą lin umyślnie do tego przyrządzonych; otóż godny siostrzeniec szanownego wuja Perez jak szczer w łapkę złowiony.

ROZDZIAŁ IV.

Opis podziemia i co tam widział Gil Blas.

Teraz już wiedziałem pomiędzy jakimi ludźmi się znajduję, i każdy łatwo pojmie żem o dotychczasowym strachu zupełnie zapomniał. Większa trwoga i słuszniejsza opanowała mój umysł; przekonany byłem, że tu trzeba pożegnać się z życiem i dukatami. Postępowałem więc pomiędzy moimi przewodnikami jako ofiara, którą wiodą przed ołtarz, byłem już prawie smartwałą, ci zaś czując moje drżenie napróżno zachęcali mnie abym się niczego nie lękał. Przebywszy około dwieście kroków w rozmaitych zakrętach, raz po raz głębiej zstępując, weszliśmy do stajni, którą oświetlały dwie potężne lampy żelazne, zawieszona u sklepienia. Był tam niemały zapas słomy i kilka beczek jęczmienia. Dwadzieścia koni mogło się pomieścić wygodnie, ale wtedy były tylko te dwa, które z nami przybyły. Stary murzyn, ale jeszcze dość rzeźwy, przywłączywał ich do żłobu.

Wyszliśmy ze stajni i przy jaskrawym blasku kilku lamp, które zdawały się oświetać to miejsce dla pokazania jego okropności, przybyliśmy do kuchni, gdzie stara kucharka piekła mięso na rożnie i przyrządzała wieczerzę. Kuchnia przystrojona była w sprzęty potrzebne, obok zaś spiżarnia mieściła w sobie wszelkiego rodzaju zapasy. Kucharka, boć muszę ją odmalować, była to kobieta mająca sześćdziesiąt kilka lat. W młodości miała włosy blond jasno gorejący, tak dalece, że wiek nie potrafił ich tak ubielić, iżby nie zostały jeszcze ślady dawulejszej barwy. Pięć jej oliwkowa, a broda śpiczasta i dobrze w górę zadarta spotykała się niemal z nosem orlim na dół zwieszonym, zasłaniając wargi ściśnione i w głąb zakłesłe. Oczy jaśniały kolorem pięknym czerwono-purpurowym.

— Pani Leonardo! ozwał się jeden z jeźdźców przedstawiając mnie temu przepyszszemu autołowi ciemnicy, oto przyprawiamy ci tego młodego chłopca; poczem zwróciwszy się ku mnie, a widząc mnie bladym i znużonym: mój przyjacielu, rzekł, nie bój się, tu ci się nie złego wie stanie. Potrzeba nam było służącego do pomocy kucharce, spotkaliśmy ciebie, to

twoje szczęście. Zajmiesz miejsce chłopaka, któremu się podobano umrzeć przed parą tygodniami. Był to młody człowiek zbyt delikatnej budowy ciała, ty mi się zdajesz silniejszym, ty nie umrzesz tak prędko. Prawda, że już więcej nie ujrysz słońca, ale za to będziesz miał co jeść do sytu, i wyleżysz się w ciepłe. Będziesz tu żył w towarzystwie z panią Leonardo, która jest stworzeniem bardzo łagodnym, będziesz miał wszelkie wygody. Ja ci zaraz pokażę, iż nie trafiles między żebraków. To mówiąc wziął świecę i kazał mi iść za sobą.

Naprzód mnie wprowadził do sklepu, w którym ujrzałem niezliczoną ilość butelek i kamionek dobrze zakorkowanych. To jest, rzekł mi, wino wyborne. Następnie przeskłisną kilka izb: w jednych było mnóstwo sztuk płótna, w drugich materye wełniane i jedwabne; w jednej widziałem niemało złota i srebra, nie licząc w to naczyń z tych drogich kruszców z różnemi herbami. Poczem stanęliśmy w wielkiej sali oświetconej trzema żyrandolami mosiężnemi, mającej połączenie z rozmaitemi izbami. Przystępowałem do niego. Pytał się jak się nazywam, dlaczego opuściłem Oviedo, a gdy mój zaspokoił jego ciekawość, rzekł: „Otóż widzisz mój Gil Blas, ponieważ rzuciłeś swoją ojczyznę, by znaleźć jakie dobre miejsce, przyznaj sam, że musiałeś się w czepku urodzić, żeby się dostać w nasze ręce. Jużem ci powiedział, że tu na niczem zbywać ci nie będzie, będziesz pływał w złocie i srebrze; a prócz tego masz tu wszelkie bezpieczeństwo. Takie jest to podziemie, że oficerowie świętego Hermandadu mogą sto razy przebiec ten las, a wykryć go nie zdołają. Ja tylko jeden i moi towarzysze znamy wejście do niego. Może zechcesz wiedzieć, jakim sposobem mogliśmy je urządzić, żeby okoliczni mieszkańcy tego nie spostrzegli; otóż powiem ci, że to nie nasze dzieło, że te pleczary z dawnych lat istnieją. Kiedy Arabowie owdładnęli Grenadę, Aragonię i prawie całą Hiszpanią, wtedy chrześcijanie nie chcący dźwigać jarzma niewiernych, opuścili swoje siedliska i schronili się w te strony, do Biskai i Asturyi, gdzie także ukrywał się don Pelajo. Zbiegli rozproszone w małych oddziałach szukały przytułku po lasach i między górami. Jedni mieszkali w grotach i jaskiniach, inni wygrzeballi sobie takie oto podziemia, do których i to należy. Gdy następnie udało się im wypędzić z kraju nieprzyjaciół, wrócili do miast, a ich przytułek stał się schronieniem ludzi naszego rzesiosła. Prawda że święły Hermandad wykrył ich już niemało i poniszczył, ale jeszcze tu i owdzie pozostały; dzięki Bogu, ja już piętnoście lat zajmuję bezkarne to tu podziemie. Nazywam się kapitan Rolando, jestem naczelnikiem tego towarzystwa, a człowiek, któregoś widział ze mną, jest jedynym z moich rycerzy.”

ROZDZIAŁ V.

Przybycie innych złoczyńców i miła ich rozmowa.

Właśnie kapitan Rolando kończył swoją rozmowę, kiedy weszło do sali sześć nowych figur. Był to porucznik z pięcią ludźmi wracający ze zdobyczą. Przyniósł dwa kosze pełne cukru, cynamonu, pieprzu, fig, migdałów i rozynków. Porucznik zdając sprawę kapitanowi, oświadczył, że te kosze zabrał handlującemu bakaliami z Benavente, któremu także wziął młła. Po złożeniu w biurze takowego raportu, zdobywcę zaniestono do składu i zabierano się do zabawy. Urządzono w sali wielki stół, a mnie kazano iść do kuchni, gdzie pani Leonardo uczyla mnie mojego obowiązku. Uległem konieczności, ponieważ tak chciało moje przeznaczenie, a tłumiać ból w sercu zabierałem się do usługi tym zacnym ludziom.

Rozpocząłem mój zawód od szynkasu, który przystroiliem czarami srebrenymi i kamionkami napełnionem winem, które mi Rolando tak zachwalał: przyniosłem potem supę i ledwie ją postawiłem na stole, gdy wszyscy rycerze zajęli swoje miejsca i z wielkim apetytem zabrali się do jedzenia; ja zaś wyle stojąc nalewałem wino. Nigdy wprawdzie nie sposobilem się do tego rzemiosła, a jednak z taką zręcznością i wdziękiem dopełniłem mojego obowiązku, iż miałem szczę-

ście powszechne zyskać zadowolenie. Kapitan w krótkości opowiedział historią mojego życia, co wszystkich nie mało zabawiło. Poczém mówił o mnie z wielką pochwałą, ależ ja już wówczas znałem się na pochwałach; słuchałem ich więc bez żadnego uszczerbku. Mimo to wszakże wszyscy jednozgodnie przytwórzili pochwałą kapitana, oświadczając, że zdawałem się być zrodzonym u cześnika, że sto razy więcej wart byłem, niż mój poprzednik. A że po jego śmierci pani Leonardo miała zaszczyt podawać nektar tym bogom podziemnym, pozabawili ją więc tego obowiązku chlubnego, aby mnie nim zaszczyścić. Tak więc nowy Ganimed, zająłem miejsce starej Hebe.

Potężna pieczeń, która wnet po zupie nastąpiła, nasyciła złodziejów, że zaś pili stosownie jak jedli, nabrali więc wesołego humoru, z czego nie mała wszczęła się wrzawa. Otóż wszyscy zarazem wrzeszczą. Ten rozpoczyna jakąś powiastkę, tamten się z dowcipem popisuje, ów krzyczy, inny śpiewa, a jeden drugiego nie rozumie: wrzescie Rolando znużony sceną, do której napróżno swoje trzy grosze wkładał, podniósł ton tak wysoko, że całe towarzystwo zamilkło. Wtedy więc korzystając ze swojej władzy, odezwał się: „panowie, posłuchajcie co wam przedstawię: zamiast co mamy się nawzajem zagłuszać wrzeszcząc razem, nie lepiejżebym było zająć się rozmową przyzwoitą? W tej chwili przyszło mi na myśl: od czasu jakośmy się zebrałi, żaden z nas nie był tyle ciekawy, żeby spytać się drugiego, z jakiej pochodzi rodziny, jaki zbieg okoliczności skłonił go do przyjęcia naszego powołania, a przecież to zdaje mi się rzecz jest godna wiadomości. Zróbmy to wzajemne zwierzenie się dla wspólnej zabawy.. Porucznik i jego towarzysze z oznakami szczerzej radości przyjęli wulosek kapitana, jak gdyby coś najszlachetniejszego mieli do opowiedzenia. Pierwszy zatem kapitan w te rozpoczął słowa.

Panowie! trzeba wam naprzód wiedzieć, że jestem synem bogatego mieszczanina madryckiego. Dzień urodzin moich obchodzony był w gronie rodzinnem z niesłychaną uroczystością. Ojciec mój, już stary, nie posiadał się z radości, doczekawszy się dziedzica swojego imienia, matka postanowiła karmić mię własnymi piersiami. Dziadek mój ze strony macierzyńskiej żył jeszcze podówczas, ale dla zgrzybiałego wieku już się niczem nie zajmował, odmawiał tylko swój różaniec lub opowiadał swoje wyprawy wojenne; długo bowiem służył wojskowo i chełpił się że widział ogień. Pomału stałem się bożyszczem tych trzech osób, nie schodziłem nigdy z ich rąk. Z obawy żeby nauka nie wywarła szkodliwego wpływu na moje zdrowie, pozwolono mi pierwsze lata dzieciństwa spędzić na samych zabawkach. Ojciec mój mawiał pospolicie, że nie trzeba dzieci mordować nauką, póki ich umysł nie nabędzie pewnej dojrzałości. Oczekując tego umysłowego dojrzenia nie uczyłem się ani czytać, ani pisać: mimo to wszakże nie marnowałem napróżno czasu: ojciec czytał mi nie zliczonych gier i zabawek. Pozałem doskonale karty, nauczyłem się grać w kostki, a mój dziadek czytał mi romansów, wypraw wojennych, których był uczestnikiem. Śpiewał mi codzień też same zwrotki, a gdy po trzechmiesięcznem klepaniu wciąż, dziesięciu lub dwunastu więrszy, powtórzyłem je bez omyłki, rodzice moi nie mogli się wydziwić mojej pamięci. Nie mniej cieszyli się moim dowcipem, gdy korzystając z wolności mówienia, przerywałem ich rozmowę papłąc ni w pięć ni w dziewięć. Ah co za miłe dziecię! mówił ojciec patrząc na mnie radosnem okiem. Moja matka zaczęła mnie pieścić, ścisnąć, a dziadek płakał uradowany. W obliczu ich najnieprzyzwoitszych dopuszczałem się czynności, wszystko mi przebacali: ubóstwiali mnie. Tymczasem wstępowałem już w dwunasty rok życia mojego, a nie miałem jeszcze nauczyciela. Wrzescie postarano się o niego, dając mu stanowczą przestrożę, aby mnie uczył bez użycia środków surowych: pozwolono mu jedynie grozić, aby mi wpoić jaką taką obawę. Było bezkorzystne pozwolenie, bo albo śmiałem się z pogróżek nauczyciela, albo ze łzami biegłem do matki lub dziadka, skarżąc się, że mnie ukarał. Błędny człowieczyzna napróżno mi fałsz

zadawał, nic na tem nie zyskał; uchodził za grubianina, a ja zawsze większą wiarę znajdowałem. Raz nawet sam podrapałem się i począłem z całego gardła wrzeszcząc, jak gdyby mnie ze skóry darli: matka w tej chwili nadbiegła, wypędziła nauczyciela, choć się zaklinał na wszystko co jest najświętsze, że mnie ani dotknął.

Takim sposobem pozbywałem się nauczycieli, jednego po drugim, pókim nie natrafił na takiego, jakiego mi właśnie trzeba było. Byłto bakałarz z Alcala, wyborny przewodnik młodzieńca znakomitej rodziny. Byłto wielki miłośnik kobiet, gry i karczmy: nie mogłem dostać się w lepsze ręce. Naprzód starał się pozyskać moje przychylną łagodnością, i to mu się powiodło, a tem samem zyskał przywiązanie moich rodziców, którzy mule powierzyli mu z zupełnem zaufaniem. Nie mieli czego żałować, wkrótce bowiem wydoskonalił mnie w wielkiej nauce znajomości świata. Wodząc mnie z sobą po wszystkich miejscach, do których sam uczęszczać lubił, tak mnie do wszystkiego zaprawił, że wyjąwszy łacinę, byłem wreszta we wszystkim doskonały. Widząc, że się mogę już obejść bez jego nauki, poszedł ofiarować swe usługi gdzieś indziej.

Jeżeli dzieckiem będąc nie robiłem sobie w niczem przymusu w domu, cóżto dopiero było wtedy, gdy zaczynałem być panem swojej woli! Pierwsze próby natręctwa i bezczelności objawiłem w gronie mojej rodziny. Za łada okazały drwiłem z ojca i matki, a oni się śmieli z moich wyryków; im zaś te uszczyplwsze były, tem bardziej oni cieszyli się, tem więcej podziwiali mój dowcip. Połączony z młodzieżą tego samego sposobu myślenia prowadziłem życie na wszelkie zbytki rozpasane; a że rodzice nie dostarczali nam pieniędzy, ile nasza rozpusta wymagała, każdy kradł w domu, co mógł. W końcu i to nie wystarczyło, poczęliśmy więc kraść po nocy. Na nieszczęście korregidor wpadł na trop naszego postępowania; już tylko co miał nas njąć, gdy przecież ostrzeżeni zostaliśmy o jego złych zamiarach. Jedynym naszym ratunkiem była ucieczka, zaczęliśmy rozbijać po drogach publicznych. Od tego czasu, panowie, Bóg łaskawy dozwolił mi oswiecić w tem powołaniu, które nie jest bez niebezpieczeństwa.“

Na tem skończył kapitan. Po nim z kolei porucznik zaczął mówić „Panowie! wychowanie moje wbrew przeciwne temu jakie odebrał szanowny pan Rolando, ten sam wydało skutek. Ojciec mój był rzeźnikiem w Toledo, uchodził on i bardzo słuszał, za największego brutala w całym swoim cehu: matka moja nie ustępowała mu w niczem. Od dzieciństwa począwszy chłostał mnie oboje jakby na wyścigi, codzień z tysiąc plag odbierałem. Najmniejsze uchybienie srogo karał. Napróżno z rzewnymi łzami w oczach żebrałem przebaczenia, napróżno zaręczałem, że już nigdy drugi raz nie zrobię, nie było dla mnie łaski, a nieraz odbierałem chłostę bez najmniejszego powodu. Gdy ojciec mnie bił, matka jakby się bała, żeby się zbyt łagodnie nie sprawił, pomagała mu, zamiast prosić za mną. To postępowanie tak mi obmierziło dom rodzicielski, iż go porzuciłem nie dostąpiwszy jeszcze czternastego roku. Puściłem się drogą aragońską, udając się do Saragossy o proszonym chlebie. Tu połączyłem się z żebrakami, którzy dość swobodnie wiedli życie. Nauczyłem mnie udawać niewiedomego, pokazywać się kulawym, przyrządzać wrzody do nóg i t. p. Każdego poranku, jak gdyby aktorowie jacy gotujący się do odegrania komedyi, przybieraliśmy umówione role; poczem każdy zdążał na swoje stanowisko, a wieczór zgromadzaliśmy się razem, hulając przez całą noc kosztem tych, którzy nas litością swoją darzyli przez dzień. Znadziło mnie jednak towarzystwo z tymi biedakami, chciałem żyć z uczciwymi ludźmi, połączyłem się więc z rycerzami z własnego przemysłu żyjącymi. Nauczyłem się rozmaitych przebiegów. Wkrótce atoli trzeba było opuścić Saragossę, bośmy się poróżnili z pewną osobą sądową, która się dotąd opiekowała nami. Każdy poszedł w swoją stronę. Ja czując w sobie zdolność do śmiałych przedsięwzięć, zaciągnąłem się do oddziału ludzi odważnych, któ-

rzy ścigali opłaty od podróży; sposób ich życia tak mi się podobał, iż nie szukałem odłą innego. Wdzięczny więc jestem moim rodzicom, że mną tak poniewierali, bo gdyby mnie byli z większą łagodnością wychowali, byłbym bez wątpienia został nieszczęśliwym rzeźnikiem, gdy tymczasem teraz mam zaszczyt być waszym porucznikiem.

Zabrał potem głos młody złodziej siedzący między kapitanem i porucznikiem. Panowie! rzekł, próżność na stronę, historie wszakże któreści słyszeli, ani tak układne, ani są tak ciekawe, jak moja. Pewny jestem, że sami to przyznacie. Winiem życie wieśniacze z okolic Sewilli. We trzy tygodnie po wydaniu mnie na świat, ponieważ była młoda, bardzo porządna i wyborna mamka, przedstawiono jej niemowlę do karmienia. Było jednak, dziecię znakomitego rodu z Sewilli. Matka z wielką ochotą przyjęła wezwanie i posłała po to dziecię, które jej powierzone. Skoro wróciła do wsi, ujrzawszy wielkie między nami podobieństwo, powzięła zamiar udać mnie za dziecię zamożne, w nadziei, że jej kiedyś zawdzięczę tę przysługę. Ojciec mój niewiele sumieniejszy jak inni wieśniacy, pochwalił ten wybieg; zmieniawszy więc ubranie, syn don Rodryga de Herrera pod moim imieniem poszedł do innej mamki, a mnie matka karmila pod jego nazwiskiem.

Niech sobie prawią co chcą o instynkcie, o dzielności krwi, rodzice przecież szlachetnego niemowlęcia nie postrzegli wcale tej zamlany. Nie mieli najmniejszego podejrzenia o sfigu, jaki im wyplątano, i aż do siódmego roku nie spuszczały mnie z rąk swolch. Pragnąc wykształcić mnie na doskonałego młodzieńca, otoczyli mnie wszelkiego rodzaju nauczycielami; lecz i najbłagiejści z nich mlewają czasem uczniów, którzy im niewiele zaszczytu przynoszą. Z liczby tych szczęśliwych wychowawców byłem ja; nie miałem wielkich zdolności do ćwiczeń, w które mnie wprawiano, a jeszcze mniej ochoty do nauk, które mi wykładali. Woląłem grać ze służącymi, do których co moment uciekałem do kuchni lub stajni. Gra atoli nie była moją namiętnością główną; jeszcze nie miałem lat siedemnastu a już codziennie się spijałem. Umizgałem się także wszystkim kobietom w domu. Nad wszystkie atoli polubiłem jedną służącą z kuchni, która zdała mi się być godną moich zabiegów. Dla swojej tuszy, pełnych liców i wesołego humoru, podobała mi się nadzwyczaj. Lecz tak mało ostrożności zachowałem w tych moich zalotach, iż to postrzegł don Rodryg. Złapał mnie surowo, wyrzucając mi podłość mojego wyboru, a obawiając się, żeby widok ukochanego przedmiotu nie zniweczył jego przestrogi, bóstwo moje wypędził z domu.

Nie w smak mi było to postępowanie; postanowiłem się zemścić. Skradłem więc klejnoty małżonki don Rodryga, a kradzież to nie była błacha: poczem wyszukałem moję plekna Helene, która się schroniła do praczki, swojej przyjaciółki, uprowadziłem ją wśród białego dnia, aby każdy o tém wiedział. Posunąłem się dalej; zawiadłem ją do jej rodzinnego miejsca, zaślubiłem uroczyście, już to aby tém mocniej dokuńczyć Rodrygowi, już też, aby dać przykład synom znakomitych rodu. W trzy miesiące po tak pięknych godach dowiedziałem się o śmierci Herrery. Nie byłato obojętna dla mnie nowina, pospieszyłem zaraz do Sewilli, aby objąć jego majątek; alem znalazł wszystko zmienione. Matka moja już nie żyła, przed śmiercią wszakże popełniła niedorzeczność wyjawiając wszystko w obecności wiejskiego plebana i innych świadków przyzwolonych. Syn Rodryga już zajął moje miejsce, czyli raczej swoje własne, i z tém większą radością witany został, im mniej miano powodu do zadowolenia z mojego postępowania. A tak nie mogąc się niczego spodziewać z tej strony, straciwszy przywiązanie do mojej otyłej małżonki, połączyłem się z karawaną rycerzy szczęsnego losu.

Skończył młody złodziej, zaczął mówić inny, że był synem kupca z Burgos, że w młodości uniesiony przesadzoną bogobojnością, przywdział suknię i złożył śluby zakonne w klasztorze ścisłej bardzo reguły; w kilka lat później zaparł się wszystkiego. Następnie ośmiu jeszcze innych po kolei opowiadali swoje przygody, a ja wysłuchawszy ich nie dziwiłem się

bynajmniej, że ich widział razem w tém towarzystwie. Zmieniłi potem tok rozmowy, wprowadzili rozwałte projekta następnej wyprawy, a ułożywszy i przyjmąwszy plan wstali od stołu zabierając się do spoczynku. Pozapalali świece i każdy udał się do swojej izby. Ja towarzyszyłem kapitanowi, a gdym mu pomagał przy rozbieraniu się: „A cóż, Gil Blas, ozwał się do mnie wesoło, widzisz jak my żyjemy; zawsze ochoczo, nie znamy gniewu ani zawiści, niema między nami żadnych swarów, zgodniej daleko żyjemy, niż mulchy w klasztorze. Moje dziecko, mówił dalej, będziesz tu wiódł życie bardzo przyjemne; nie sądzę bowiem, abyś miał być tyle głupim, uważać za przykre życie pomiędzy złodziejami; miły Boże! a czyż na świecie inni są ludzie? Nie, mój przyjacielu, każdy dybie na dobro cudze; to jest powszechne między ludźmi uczucie, sposób tylko wykonania różny. Wielcy panowie pożyczają na wzięcne nieoddanie. Bankierowie, skarbnicy, wexlarze, kommissanci i wszyscy kupey, tak ryczałtowi jak kramarze, nie są wcale skrupulatami. O sądowych osobach niema co mówić, nikomu nietajno co oni umieją. Przyznać wszakże trzeba, iż więcej mają ludzkości od nas, bo my częstokroć odbieramy życie niewinnym, oni zaś nieraz ocalają winowajców.“

ROZDZIAŁ VI.

Gil Blas usiłuje wydobyć się. Jaki był tego skutek.

Skreśliwszy tak piękny obraz swojego powołania, położył się w łóżko przywódcza złodziejów, a ja wróciłem do sali, sprzątnąłem stół i nporządkowałem wszystko. Udałem się potem do kuchni, gdzie Domingo, tak się zwał stary murzyn, i pani Leonardo zajadali wieszczkę, czekając na mnie. Nie miałem wprawdzie najmniejszej chęci do jedzenia, siadłem jednak przy nich; że zaś zdałem się im bardzo smutny i nie bez przyczyny, obiedwie przeto te figury, we wszystkiem sobie równe postanowiły mnie cieszyć; lecz sposób ich wzięcia się do tego zdolniejszy był przywieść mnie do rozpacz, niż ulżyć trapiącej mnie boleści. „Czegóż się dręczysz mój synu? rzekła mi stara, owszem, cieszyć się powinieneś, żeś się tu dostał. Jesteś młody, zdajesz się być bardzo głętki, na świecie niezawodnie przedkobyś zginął. Wpadłbyś w ręce baltajów, którzyby cię zaprawili do wszelkiego rodzaju rozpusty, a tymczasem tułał niewinność twoja zualała port bezpieczny.“ „Pani Leonardo słusznie mówi, dodał stary murzyn, trzeba wiedzieć że na świecie same tylko troski. Dziękuj Bogu, mój przyjacielu, że cię ochronił od niebezpieczeństw, cierpień i zgrzyot życia.“

Strawiłem spokojnie te wyrazy, bo i na cóżby mi się przydał gniew? Gdybym się był na te oburzył, byłbym bez wątpienia następczył im sposobność ubawienia się moim kosztem. Wreszcie Domingo napiwszy się i najadłszy do syta, poszedł do stajni. Leonardo wzięła zaraz lampę i poprowadziła mnie do pleczary, która służyła za cmentarz złodziejów nmlerających śmiercią naturalną, tam ujrzałem legowisko podobniejsze do grobu, niż do łóżka. Oto jest twoja izba, moja rybko, rzekła głaszcząc mnie pod brodę; którego miejsce masz szczęście zajmować, sypiał tu, póki żył i po śmierci tu także spoczywa. Podobało mu się umrzeć w kwiecie wieku; nie bądźże ty głupim, żebyś miał naśladować jego przykład. To rzekłszy, oddała mi lampkę. I wróciła do kuchni. Postawiłem lampę na ziemi, a sam rzuciłem się na łożo, nie żeby spać, lecz chcąc tém swobodniej rozmyślać. O Boże! mówiłem sam sobie, możesz być okropniejsze przeznaczenie nad moje? Chęć abym się zrzekł widoku słońca, a jakby to niedosyć było być żywcem pogrzebanym w ośmnastym roku życia, trzeba jeszcze abym był przymuszony służyć złodziejom, przepędzać dzień ze zbójcami, a noc z umarłymi. Takowe rozmyślanie, które mi się zdało niesłychanie dręczące i było niem w istocie, wycisnęło mi gorzkie łzy z oczu. Przeklinałem stokratnie zamiar mojego wuja wysłania mnie do Salamanki; żalowałem mojego strachu przed sprawiedliwością w Kakabelos; wołałbym być wystawionym na torturę. Zważywszy atoli jak bezkorzystne były moje utyski, zacząłem marzyć o środkach zbawienia i pomy-

siłłem: jakto, byłaby to tak niepodobna rzecz wydobyć się ztąd? Złodzieje śpią, kucharka i murzy wnet toż samo zrobią; kłedy więc będą pogrążeni we śnie, nie potrafię z tą lampą wynaleźć tego samego ganku, przez który zstąpiłem do tego piekła? Prawda, że mi siły nie starczy do podniesienia zapory przy wyjściu, ależ spróbuję, przynajmniej nie będę miał sobie nic do wyrzucenia, rozpacz podwoi moc moją i może mi się uda.

Powziąwszy ten wielki zamiar, wstałem, gdy mi się zdawało, że Leonardo i Domingo zasnęli. Wziąłem lampę i wyszedłem z pieczary, poleciwszy się opiece wszystkich świętych w niebie. Nie bez trudności odwikłałem ten nowy labirynt, ale przecie dostałem się do stajni, a wreszcie odkryłem ganek, którego szukał. Idę, zdążam do zapory miotany radością i obawą, lecz niestety! w samym środku ganku spotykam zamkniętą kratę żelazną, tak gęstą, że ledwie rękę można było przełożyć. Stałem jak wryty przy tej nowej zaważce, której wchodząc nie widziałem, ponieważ wtedy była otwarta. Zaczęłem jednak doświadczać prętów kraty, przypatrywałem się zamkowi, próbowałem czy nie potrafię wylamać, gdy niespodzianie uczułem pięć lub sześć silnych razów bykowcem do grzbletu przłożonych. Wrzasnąłem tak przeraźliwie, że się po całym podziemiu rozległo, a obejrawszy się uagle, spostrzegłem starego murzyna w koszuli, z krytą latarnią w jednej ręce, z narzędziem mojego bólu w drugiej. „Aha! młody hultaju, chcesz uciekać! oh, nie sądzę żebyś mnie potrafił oszukać, słyszałem ja ciebie dobrze. Rozumiałeś, że zastaniesz kratę otwartą, czy nie tak? Bądź pewnym, że odtąd zawsze ją znajdziesz zamkniętą. Jeżeli kogo mimo jego woli zatrzymamy tu, musi być daleko przebieglejszy od nas, żeby się nam wymknął.

Tymczasem na krzyk mój dwóch czy trzech złodziei zerwało się równemi nogami, a nie wiedząc, czy to czasem nie święty Hermandad napada na nich, donośnym głosem wezwali swoich towarzyszy. W jednej chwili już wszyscy byli na nogach. Chwytają szable i karabiny i prawie nadzy spieszą do miejsca w którym się znajdowałem z murzynem. Lecz dowiedziawszy się o przyczynie wrzasku, trwoga ich zmieniła się w śmiech huczny. Jakto, Gil Blas, ozwał się złodziej apostata; zaledwie sześć godzin spędziłeś z nami, a już chcesz uchodzić? coś widzę niesmakuje ci samotność, co byś ty zrobił, gdybyś był Kartuzem? Idź spać. Teraz skończy się na razach, któremi cię mruczył Domingo; lecz jeżeli ci jeszcze raz przyjdzie do głowy próbować ucieczki, przysięgam ci na świętego Bartłomieja, że ci żywcem skórę zdejmemy. To rzekłszy odszedł, inni także złodzieje popowracali do swoich izb, śmiejąc się serdecznie z mojego usiłowania. Stary murzyn zadowolony ze swojej wyprawy udał się do stajni, a ja poszedłem do mojej grabarni wdychać i płakać przez resztę nocy.

ROZDZIAŁ VII.

Co dalej robił Gil Blas, nie mając nic lepszego do roboty.

W pierwszych dniach po tym wypadku rozumiałem, że mnie dobije trawiąca mnie zgryzoła, włokłem już tylko gasnący żywot; w końcu atoli anioł mój opiekuńczy natchnął myślą udawania. Siłłem się okazywać mniej smutnym; zacząłem śmiać się i śpiewać, choć nie miałem do tego najmniejszej ochoty; słowem tak się umiałem przymusić, iż oszukałem Domingo i panią Leonardę. Pewni byli że się ptaszek oswoił już w klatce. Złodzieje toż samo myśleli. Przybierałem postać wesołą nalewając im wino, mieszałem się nawet do ich rozmowy, skoro mi się zdarzyła sposobność wtrącić jaki żarcik. Nietylko ich nie razili, ale owszem podobała się im ta moja wolność. „Gil Blas, ozwał się kapitan pewnego wieczora, gdy m udawał rozkosznego, wyboruleś zrobił, porzucając tę posępność, dziwnie mi się podoba twoja wesołość i twój dowcip. Trudno to od razu poznać człowieka, nie spodziewałem się widzieć w tobie takiej bystrości nmysłu i tyle ujmującego obejścia się.

Drudzy także nie oszczędzali mi swoich pochwał, zachęcali mnie, abym trwał w tak szlachetnych uczuciach, jakie im objawiłem teraz; tak dalece zdawali mi się zadowoleni ze mnie, że korzystając z ich przychylności, ośmieliłem się przemówić do nich w ten sposób: „Panowie! pozwólcie że wam otworzę skrytości mojego serca. Odkąd zamieszkałem pośród was, czuję się weale innym człowiekiem niż byłem dawniej. Z waszej łaski pozbyłem się przesądów mojego wychowania, zwolna przejąłem się duchem waszym. Zasmakowałem w waszym powołaniu; pragnę jak najusilniej zostać waszym spółtowarzystwem, podzielać z wami niebezpieczeństwa waszych wypraw.” Cała czereda przyklasnęła mojej mowie. Pochwalono moje dobre chęci, i jednogłośnie postanowiono, iż mam jeszcze pełnić moje dotychczasowe obowiązki przez czas niejaki, aby się tém lepiej przekonano o mojem powołaniu, poczem

pozwolą mi należeć do karawany, i dadzą miejsce zaszczytne o które się dopraszałem, ponieważ, jak mówili, nie godzi się zrażać młodego człowieka z tak dobrými zamłarami, jakie im okazałem.

Trzeba więc było jeszcze dłużej udawać i pełnić obowiązki cześnika. Dręczyło mnie to mocno, pragnąłem bowiem zostać złodziejem, aby pozyskać wolność wyjścia z drugimi, w nadziei, że w czasie tych wycieczek potrafię się im kiedyś wymknąć. Ta jedyna otucha utrzymywała mnie przy życiu. Wyczekiwanie to wszakże zdało mi się niesłychanie długie, i nieraz próbowałem zawieść czujność murzyna; ale ani podobieństwo, zbyt był ostryżym; zaręczam, że stu Orfenzów nie zdołałoby zaczarować tego Cerbera. To prawda, że bojąc się obudzić naj-



Ucieczka z podziemia.

mniejsze podejrzenie, nie próbowałem wszystkiego coby mi mógł zrobić dla oszukania go, miał on mnie ciągle na oku, mniałem więc działać z wielką przecznością, aby się nie zdradzić. Odkładałem więc nadzieje moje do czasu, jaki mi złodzieje przeznaczili do przyjęcia za towarzysza. I z taką niecierpliwością czekałem, jak gdybym miał przystąpić do stowarzyszenia dzierżawców dochodów skarbowych.



Jałmużna.

Dzięki Bogu, dzień upragniony nadszedł w sześć miesięcy później. Kapitan Rolando rzekł raz wieczór do swoich rycerzy: panowie! wypada dotrzymać słowa danego Gil Blasowi. Ja niechętnie mamopiła o tym chłopcu, zdaje mi się iż będzie wstępował w nasze ślady; spodziewam się, że potrafimy z niego coś zrobić. Jestem tego zdania, abyśmy go jutro wzięli z sobą, niech się nauczy zbierać wawrzyny na bitym gościu. Zajmijmy się przysposobieniem go do chwały. Wszyscy złodzieje podzielali myśl swojego kapitana, i żeby mi dać poznać że mnie już uważają za swojego towarzysza, uwolnili mnie natychmiast od służby i pan Leonardo wrócił do obowiązków, który jej odjął, aby mnie nim zaszczycić. Kazali mi zdjąć dotychczasową kurtę dość podszarzaną i przystroili mnie w łupy jakiegoś szlachcica niedawno okradzionego. W tym nowym ubiorze gotowałem się do pierwszej wyprawy.

ROZDZIAŁ VIII.

Gil Blas towarzyszy złodziejom. Czyny jego na drodze bitej.

Było to w miesiącu wrześniu, kiedy na schyłku nocy wyszedłem ze złodziejami z ich podziemnej jaskini. Uzbrojony byłem podobnie jak oni, miałem karabin, parę pistoletów, szablę i bagniet; siedziałem na niezgorszym koniu, którego zabrano temuż samemu szlachcicowi, w którego suknie mnie ubrano. Od tak dawna śledząc w ciemnicy omątało nie oślnąłem od pierwszych promieni światła dziennego, zwolna jednak przyzwyczaili się oczy moje.

Mieliśmy Pontferradę i zajęliśmy stanowisko w lesie przytłaczającym do wielkiej drogi do Leonu wiodącej: w zasadzie naszej niewidzialni, mogliśmy dobrze widzieć wszystkich przechodniów. Tu czatowaliśmy ażali los szczęsny nie nastarczy nam jakiej zdobyczy, kiedyśmy spostrzegli zakonnika reguły św. Dominika, który wbrew zwyczajom tych szanownych ojców na dość nędznym jechał mule. Dzięki Bogu, zawołał kapitan ze śmiechem, oto jest pierwsze dzieło sztuki dla Gil Blasa. On musi oskubać tego ptaszka, zobaczymy jak się weźmie. Wszyscy złodzieje byli tego zdania, że to polecenie było

dla mnie najstosowniejsze, i zachęcali mnie, abym się dobrze sprawił.—Panowie! rzekłem będziecie zadowoleni; obiorę tego muicha do naga i przyprowadzę wam jego muła.—Nie, nie, odparł Rolando, muł niewart trudu; przynieś nam tylko saktewkę wielebnego ojca, tego tylko od ciebie żądamy.—Idę więc, ozwał się, pod okiem mistrzów pierwszą wykonać próbę, spodziewam się że mnie zaszczyca swoją pochwałą. Poczem wyjechałem z lasu i puszczałem się ku zakonnikowi prosiłem Boga, aby mi darował czyn do którego zabiierałem się, bo jeszcze nie żyłem tak długo ze złodziejami, abym go miał spełniać bez wstępu. Brała mnie już wtedy chęćka pierzchnięcia, ale większa część złodziejów miała dzielniejsze konie od mojego; skoro by mnie ujrzeli uciekającego, puściliby się za mną w też tropy i dogoniliby niezawodnie, albo możeby zmierzylł do mnie swoje karabiny i mogliby mnie nieźle poczęstować. Nie mogłem więc odważyć się na krok tak drażliwy. Stałem więc naprzeciw zakonnikowi i prosiłem o saktewkę pokazując mu pistolet. Wstrzymał się natychmiast i popatrzywszy na mnie, nie objawił żadnej trwogi.—Moje dziękuję, odezwał się, jesteś bardzo młody, wcześniej zbył zacząłeś obmierzać rzemiosło.—Mój ojcie! odpowiedziałem, niech będzie obmierzone jak chce, żałuję, że go wcześniej nie rozpocząłem.—Ah, mój synu! rzekł znowu zakonnik szanowny, który nie dociekał prawdziwej myśli moich wyrazów, co ty mówisz, jakie zaślepienie? Pozwól niech ci wystawie stau nieszczęśliwy.—Oh, mój ojcie! przerwałem mu z niecierpliwością, na stronę moraly, ja wystąpiłem na bity gościu zapewne nie żebym słuchał kazania; o to wcale nie idzie, mnie potrzeba talarków, ja o pieniędzy proszę.—Pieniędzy, powtórzył zdziwiony; widzę, że nie znasz dobroczynności Hiszpanów, kiedy sądził, że osoby mojego stanu potrzebują pieniędzy puszczając się w drogę. Wyjdz z błędu. Nas wszędzie jak najuprzejmiejsi witają; dają nam pomieszkanie, karmią, opatrują wszystkie potrzeby, za całą nagrodę polecając się naszym modłom. Zresztą, my nigdy z sobą nie nosimy pieniędzy, spuszcza się na Opatrzność.—Oh co nie, to nie, odpowiedziałem mu, wy się na to nie spuszcza, ma z was każdy ważne dukaty przy sobie, aby być pewniejszym Opatrzności. Ależ, mój ojcie! dodałem, skończmy już, towarzysze moi, którzy tu stoją w tym lesie niecierpliwą się, rzekł natychmiast saktewkę na ziemię, albo pałę.



Gil Perez.

Na te słowa groźnie wyrzeczone, zakonnik zdał się lękać o swoje życie.—Zaczekaj więc, rzekł, zaspokoje cię, kiedy inaczej być nie może. Widzę, że z ludźmi twojego rzemiosła cała retoryka na nic się nie przyda.—To mówiąc wyciągnął spod sukni duży trzos skórzany, i rzucił go na ziemię. Wtedy rzekłem mu, że może dalej jechać; on zaś nie dał sobie tego drugiego raz powtarzać. Uderzył po bokach swojego muła, który za-

wodząc młemanie, jakie o nim powziąłem, sądziłem bowiem, że nie więcej wart, jak ów, którego od wuja dostałem, ruszył natychmiast z kopyta. Ja tymczasem zsiadłem z konia, podniosłem trzos, który mi się zdał dość ciężki. Wsiadłem potem na mojego rumaka i ruszyłem w las do moich towarzyszy, którzy z niecierpliwością czekali na mnie, aby mi powinszować, jak gdyby to zwycięstwo było dość trudne dla mnie. Ledwie mi pozwolili zsiść z konia, tak się wszyscy spieszyli by mnie uściskać.—Śmiało, Gil Blas! rzekł mi Rolando, cudów dziś dokazałeś. Śledziłem cię bystro w czasie twojej wyprawy, uważałem twoją stałość; zapewniam cię, że będziesz wybornym zbrojem, chyba że ja się nie znam na tém.—Porucznik i inni przywórczyli tój wróżbie i zapewniali mnie, że ją wkrótce niezawodnie spełni. Podziękowałem im za pochlebną opinią, jaką o mnie powzięli, zapewniając, iż najusilniejszym mojem staraniem będzie usprawiedliwić powziętą o mnie nadzieję.

Obsypawszy mnie pochwałami, wcale niezastudzonemi, zabrali się do obejrzenia zdobyczy, którą przyniosłem. Zobaczymy, wołali wszyscy, co też jest w trzosie zakonnika. Musi być niezłe opatrzone, bo ci szanowni ojcowie nie podróżują zwyczajem pielgrzymów. Kapitan rozwiązał trzos i wyciągnął z niego kilka garści małych miedzianych medalików, między niemi były pomieszane *Agnus Dei* i szkaplerzyki. Na widok tak niespodzianej kradzieży, wszyscy złodzieje parsknęli śmiechem.—Przebóg! zawołał porucznik, niech żyje Gil Blas, który na pierwszą próbę zdobył dla nas tak zbawienny łup. Ten żart wywołał inne podobnegoż rodzaju. Łotry te, a osobliwie też apostata, naigrawali się do woli z tego przedmiotu.

Silli się na różne dowcipy, których wspominać nie chcę, a które dowodziły ich rozbestwienia. Ja jeden nie śmiałem się. Prawda że ich szyderstwa psuły mi humor, zwłaszcza że byłem ich przedmiotem. Każdy mi dociął, a kapitan rzekł. Dali-Bóg, mój Gil Blas, radzę ci po przyjacielsku, nie wdawaj się w grę z muichami, to są nadto przebiegłe szpaki dla ciebie.

ROZDZIAŁ IX.

Ważny wypadek po tój przygodzie.

Staliśmy długo jeszcze w lesie nie ujrawszy żadnego wędrownika któryby zapłacił za mlecha. Nakoniec ruszyliśmy z powrotem do jaskini, poprzestając na tym śmiesznym wypadku, który nie przestał być przedmiotem naszych rozmów, gdy wtém spostrzegliśmy w oddaleniu powóz czterema mułami zaprzężony. Zmierzał on ku nam dobrym klusem, obok jechało konno trzech ludzi, jak mi się zdało niezłe uzbrojonych i gotowych przyjąć nas, jeżelibyśmy się odważyli ich napastować. Rolando wstrzymał swolch dla narady, a skutkiem jej postanowiono uderzyć. Szybko nas urządził i ruszyliśmy w szyku bojowym na spotkanie powozu. Mimo szczodre pochwały, jakimi mię w lesie obsypano, ucułem zimny dreszcz po całym ciele, a zimny pot oblał mnie całego, który mi nie rokował nic po myślnego. Na domiar szczęścia, wskazano mi miejsce od czoła, między kapitanem i porucznikiem, który widocznie chciał mnie za jednym zamachem oswoić z ogniem. Rolando widząc moje udęczenie, spojrział na mnie ostro i rzekł gniewny: Słuchajno, Gil Blas! pamiętaj spełnić twoją powinność; ostrzegam cię, że skoro tylko zwolnisz kroku, natychmiast ci palę w łeb. Aż nadto byłem przekonany, że gotów był to zrobić, co obiecywał, nie puszczającem wlec mimo jego ostrzeżenia; dlatego poleciłem duszę moję Bogu, bo tak z jednej, jak z drugiej strony, równe czekało mnie niebezpieczeństwo.

Powóz zbliżał się tymczasem. Podróżni wnet poznali co za zuchy jesteście; a domyślając się naszego zamiaru z postawy w jakiej nas widzieli, zatrzymali się o strzał karabinowy. Mielili oni tak jak my, karabiny i pistolety. Kiedy więc gotowali się na nasze przyjęcie, wysiadł z powozu mężczyzna przystojny i bogato ubrany. Siadł na konia, którego prowadził jeden z jeźdźców, i stanął na czele. Całą bronią jego była szabla i pistolety. Choć tylko było ich czterech przeciw dziewięciu, bo woźnica został na koźle, śmiało jednak ruszyli ku nam, a to

zwiększyło moję trwogę. Jednakże choć cały drżący, zabrałem się przecie do strzelania, prawdę atoli mówiąc, zamknąłem oczy i twarz w tył zwróciłem dając ognia, a sądząc ze sposobu mojego strzelania, nie powinienem go mieć na mojem sumieniu.

Nie będę podawał szczegółów walki; bo choć obecny, jednak nic nie widziałem; a trwoga miesząc moję wyobraźnię, zakrywała mi przed oczyma okropność widowiska, które mnie przerażało. To tylko wiem, że po żwawym ogniu karabinowym, usłyszałem towarzyszw z całego gardła krzyjących: zwycięstwo! zwycięstwo! Na ten odgłos strach mnie opuścił, ujrzałem na placu boju czterech jeźdźców bez życia rozciągniętych na ziemi. Z naszej strony jeden tylko poległ: a tym był apostata, który słusznie odniósł karę za swoje zbiegostwo z klasztoru i naigrawanie się ze szkaplerza. Jeden z naszych rycerzy dostał kulą w prawe kolano, porucznik był także lekko raniony, lecz kula zaledwie dotknęła się skóry.

Kapitan Rolando pobiegł zaraz do drzwiczek powozu. Była w nim kobieta, mogąca mieć dwadzieścia cztery, do dwudziestu pięciu lat wieku, która mu się zdała bardzo piękną mimo smutne położenie w jakim się znajdowała. Zemdlała ona w czasie bitwy i jeszcze była w tym samym stanie. W chwili gdy ję się przyglądał, my tymczasem zajmowaliśmy się naszą zdobyczą. Zaczęliśmy naprzód od chwytania kont, które stracniejszy jeźdźców rozpięchły się po stronach, zestrachane hukiem broni palnej. Muły nie ruszyły się z miejsca, chociaż woźnica w czasie walki pierzchnął. Odpręgliśmy je od powozu; obładowali łomokami, któreśmy znaleźli przed powozem i za powozem przymocowane. Poczém, na rozkaz kapitana, wzięto tę kobietę, która dotąd jeszcze nie odzyskała przytomności, oddano ją w ręce najusilniejszego i na najdzielniejszym koniu siedzącego złodzieja. Wreszcie zostawiwszy na drodze powóz i trupy obnażone, zabraliśmy z sobą kobietę, muły i konie.

ROZDZIAŁ X.

Postępowanie złodziejów z kobietą. O powziętym wielkim zamiarze Gil Blasa i jaki jego był skutek.

Już przeszło godzina była w noc gdyśmy przybyli do jaskini. Naprzód zaprowadziliśmy konie do stajni, musieliśmy je sami poprzywiązywać do żłobu i opatrzyć, ponieważ stary murzyn już od trzech dni leżał w łóżku. Pedogra mu dokuczala nielitościwie, a prócz tego reumatyzm skrępował mu wszystkie członki, tak dalece, że tylko język miał wolny, który mu też ani na chwilę nie spoczął w gębie, miotając najszkaradniejsze bluźnierstwa. Pozwoliliśmy mu kłać i bliźnić, a sami udaliśmy się do kuchni, łożąc najtroskliwsze starania około tój kobiety, nad którą zdawało się celn śmierci już zawisł. Nie szcędziliśmy niczego aby ją wydobyć ze stanu omdlenia i w końcu przecie dopięliśmy naszego zamiaru. Ależ skoro odzyskała przytomność, i ujrzała się otoczoną kilką mężczyznami wcale jej nieznajomemi, uczuła swoje nieszczęście, struchlała. Wszystko, cokolwiek boleść i rozpacz zarazem mogą mieć najokropniejszego, małowało się w jęj wejrzeniu: wzniosta oczy ku niebu, jakby się chciała skarżyć na bezecne obejście się, które jęj zagrażało: następnie ulegając wpływowi tych przerażających wyobrażeń, wpadła na nowo w mdłości, powieki jęj się zawarły, a złodzieje pewni byli, że śmierć wydarze im tę zdobycz.

Przeszliśmy zatem do sali, gdzie jeden ze złodziejów, który był chirurgiem, opatrzył rany porucznika i jeźdźca i przyłożył stosowną maść. Po skończonej operacyi zajęto się przetrząśnięciem łomoków i knurów: w jednym znaleziono koronki i bieliznę, w drugich suknie, w ostatnich nareszcie, które otworzone było pełno worków ze złotem, co uradowało niesłychanie moich towarzyszwów. Po skończeniu tego przeglądu nakryto do stołu i zastawiono jedzenie. Z początku rozmawialiśmy o odniesionem zwycięstwie, następnie Rolando zabrał głos i zwracając się do mnie rzekł: „przynaj Gil Blas, przynaj moje dziecko, żeś djabelnie drżał.“ Na to odpowiedziałem: nie zaprze-

czam bynajmniej, przyznaję szczerze, że tak było, ale błąd się będę jako prawdziwy rycerz, skoro odbędę dwie lub trzy wyprawy.“ Cała czereda stanęła w mojej obronie, mówiono, że mi należy przebaczyć, bo i walka była żwawa, i ja jako młody człowiek, który nigdy w ogółu nie był, nieżłem się sprawił w tej potrzebie.

Zwrócono potem rozmowę do koni i mułów, któreśmy sprowadzili do lochu. Postanowiono, że nazajutrz przed świtem pojedziemy wszyscy sprzedać je w Mansylli, dokąd jeszcze zapewne nie doszła wieść o naszej wyprawie. Po wieczery udaliśmy się do kuchni, dla odwiedzenia kobiety, którąśmy zastali w tym samym stanie i byliśmy przekonani, że tej nocy nie przeżyje. Ziemwszystkiem choć zaledwie małą iskierkę życia widać w niej było, kilku jednak złodziejów pożądlivem rzucali na nią okiem nie tając się bynajmniej z rozbawionemi chciuciami któreby niezawodnie byll zaspokoilli, gdyby ich Rolando nie powściągnął, przekładając, że powinni zaczekać przynajmniej choć cokolwiek aż przemienie to udrczenie, które tej pani wszelkie cznie odjęło. Szacunek jaki mieli dla swojego kapitana powściągnął ich niewstrzymieźliwość, bez tego nieby było nie zdołało ocalić tej pani; śmierć nawet może nie zabezpieczyłaby była jej honoru.

Jeszcze raz więc zastawiliśmy tę panią w stanie w jakim się znajdowała. Rolando powierzył ją staraniom Leonardy i każdy udał się do swojej izby na spoczynek. Co do mnie, położywszy się w łóżku, zamiast spać, rozmyślałem nad nieszczęściem tej kobiety. Nie wątpiłem, iż to musiała być jakaś pani znakomita, los jej zdał mi się tēm godniejszy politowania. Nie mogłem bez wstępu pomyśleć o okropności jaka ją czekała, a to mnie tak silnie dojmowało, jak gdyby nas związki krwi lub przyjaźni łączyły. Nareszcie nażaliwszy się nad jej przeznaczeniem, zacząłem marzyć o środkach ocalenia jej honoru, a zarazem o sposobach wydobycia się z tej jamy. Myślałem sobie, że stary murzyn nie może się ruszyć, a zatem klucz od kraty musi być u kucharki. Ta myśl zapaliła moje wyobraźnię, podsunęła mi zamiar, który dobrze rozważyłem; poczem natychmiast zabrałem się do jego wykonania, a to w taki sposób.

Udałem, że mam dostać wewnętrznego rżnięcia. Naprzód zacząłem stękać, jęczeć; zwolna zaś podnosząc głos, zacząłem wreszcie krzyżeć. Złodzieje budzą się i wnet przybływają do mnie. Pytają się dlaczego bym tak wrzeszczał. Odpowiadam, że mam dostać straszliwego rżnięcia, i żeby tēm lepiej w nich wmówić, zacząłem zgrzytać zębami, kręcić się i przekrzywiać szkaradnie, rzucać się w sposób niesłychany. Potem uspokoiłem się nagle, jak gdyby mię kolka opuściła; po chwili zacząłem znów skakać po moim tapczanie, łamać ręce. Słowem tak wybornie odegrałem swoją rolę, że złodziejów mimo ich chytrą przeczność uwiodłem. Pewni byli, że w istocie gwałtowne cierpiałem rżnięcie. Ależ udając tak dobrze chorego doznałem niepojętego udrczenia: bo skoro moi litościwi towarzysze wyobrazili sobie, że ja rzeczywiście cierpiałem, wszyscy skwapliwie spieszyli z pomocą; jeden przyniósł butelkę gorzalki i połowę wlał mi w gardło; drugi mimo opór z mój strony przysłużył mi się lawatywą z oleju migdałowego; inny ugrzał serwetę i rozpaloną przyłożył mi na brzuch. Napróżno żebrałem ich litości, prośby i krzyk mój przypisywali kolkom i dręczyli mnie boleśn rzeczywiście, chcąc mnie uwolnić od tego, którego nie czułem. Wreszcie nie mogąc się oprzeć, wstałem im powledzić, że już nie czuję rżnięcia i proszę, żeby mnie zostawili w spokojności. Przestali więc mordować mnie swojemi lekarstwami, a ja się też więcej już nie skarżyłem, bojąc się ich pomocy.

Ta scena trwała niemal trzy godziny: poczem złodzieje sądząc, że dzień niedługo zaświta, zaczęli się gotować w podróż do Mansylli. Ułożyłem więc nowego lisa: chciałem wstać z łóżka, pokazując wielką chęć towarzyszenia im, ale mi nie pozwolili. Nie, nie, Gil Blas, rzekł mi kapitan Rolando, zostań tu mój syn, rżnięcie mogłoby ci powrócić. Innym razem pojedziesz z nami, teraz nie możesz tego zrobić, odpocznij sobie przez cały dzień, ty potrzebujesz snu. Osądziłem za rzecz

przywoitą nie nalegać dłużej, z obawy, aby się nie skłonił do mojej prośby; udałem tylko wielkie zmartwienie, że nie mogę im towarzyszyć, a to zrobiłem z miną tak naturalną, iż wszyscy opuścili te podziemia nie mając najmniejszego podejrzenia o moim zamiarze. Po ich oddaleniu, które starałem się przyspieszyć moimi słobami; mówiłem sobie: Ha! Gil Blas, teraz ci trzeba silnej woli; uzbrój się odwagą, abys dokonał, coś tak szczęśliwie rozpoczął. Rzecz zdaje się łatwa: Domingo nie może ci się opierać; Leonarda nie może ci zaważać. Chwytaj tak dogodną porę ucieczki, może już nigdy nie zdarzy ci się szczęśliwsza. Takowe rozmyślanie przejęło mnie pewną otuchą: wstałem więc, wzięłem moję szablę i pistolety i udałem się naprzód do kuchni; lecz wstrzymałem się przed wejściem posłyszawszy Leonardę rozmawiającą. Mówiła ona do tej kobiety nieznaniej, która odzyskawszy przytomność i rozważając swoje nieszczęście rzewnie płakała z rozpaczy.—Płacz, moja córko, mówiła jej stara, wylewaj łzy obficie, nie wstrzymuj jęków, to ci ulży. Twoje omdlenie było niebezpieczne, ale teraz nie ma się czego bać, kiedy już płaczesz. Bolesć twoja zwolna uspokoi się, wkrótce przywykniesz do życia z naszymi panami, którzy są bardzo uczelwemi ludźmi. Lepiej się z tobą obcho-dzić będą, jak z księżniczką, będą ci okazywać tysiączne grzesności, objawiać ci swoje przywiązanie. Oh, jest wiele kobiet, któreby pragnęły być na twojem miejscu.“

Nie pozwoliłem pani Leonardo dłużej się rozwodzić. Wszedłem, a przykładając jej pistolet do głowy, groźno zażądałem klucza od kraty. Zmieszana moim postępkim, a choć już bardzo stara, czuła jednak dosyć przywiązania do życia, aby się miała ośmielić odmówić mojemu żądaniu. Mając klucz w rękę odezwałem się do pani stroskaniej.—Pani! rzekłem, niebo ci zysła zbawcę, wstań i pójdz za mną; zaprowadzę cię, dokąd się udać zechcesz.“ Kobieta nie była głuchą na mój głos, a wyrazy moje tak silne wywarły wrażenie na jej umysł, że zbierając resztkę sił, jakie jeszcze mieć mogła, podniosła się, padła mi do nóg, zaklinając mnie, abym ocalił jej honor. Podniosłem ją, zapewniając, że może liczyć na mnie. Poczem spostrzegłszy postronki w kuchni, przy pomocy tej kobiety, przywiązałem Leonardę do nóg stołu, zapewniając ją, że jej w łeb wypalę, skoroby najmniejszy krzyk wydała. Poczciwa Leonarda nie wątpiąc, że gotów byłem spełnić moję pogrozkę za najmniejszym jej oporem, pozwoliła mi robić wszystko co chciałem. Zapaliłem więc świecę i poszedłem z nieznaną do izby, w której były pleniądze. Napakowałem w kieszenie tyle Injodorów i dublonów, ile się tylko zmieścić mogło; żeby zaś i ją zachęcić do tegoż, przedstawiłem jej, że nie gorszego nie zrobi, tylko odbierze swoją własność. Usłuchała mnie bez skrupułu. Opatrzywszy się dobrze na drogę, udaliśmy się do stajni, do której wszedłem sam z pistoletem w rękę. Spodziewałem się, że stary murzyn bez względu na pedogre i reumatyzm, nie pozwoli mi spokojnie osiodłać i okiełznać konia, i byłem gotów uleczyć go na wieki z jego dolegliwości, jeżeliby tylko chciał grać rolę npartego; ale na szczęście tak był osłabiony boleścią, iż ja wyprowadziłem konia, a on zdawał się nawet nie spostrzegać tego. Kobieta czekała na mnie przy drzwiach. Szybko przebiegliśmy ganek wiodący do podziemia. Przybывamy do kraty, otwieramy ją i stajemy u wrót zapartych. Wieleśmy użyl trudu niemesy je podnieść zdołali, czyli raczej, aby tego dokazać masieliśmy przywołać nowych sił, jakich nam dostarczyła żądza ratowania się.

Już się rozwidniało, kiedyśmy się ujrzeli poza bramą tej przepaści. Staraliśmy jak najspieszniej od niej oddalić. Skoczyłem na siodło, nieznaną stadła na koni za mną i w cwał ruszyliśmy pierwszą ścieżką, która się nam nastroczyła; wkrótce wydosłaliśmy się z lasu. Wjechaliśmy na równinę kilką drogami przeciętą, na los szczęścia puściliśmy się jedną z nich. Drżałem ze strachu, aby to nie była droga do Mansylli wiodąca, abyśmy nie spotkali Rolanda i jego towarzysów, co łatwo być mogło. Szczęściem obawa moja była płonna, o godzinie drugiej z południa przybyliśmy do Astorgi. Spostrzegliśmy ludzi, którzy nam się przypatrywali z wielką uwagą, jakby to

nowość jaka była dla nich. widzieć kobietę na koniu siedzącą za mężczyzną. Stanęliśmy w pierwszym lepszym zajęździe, w którym kazalem czémprędzej wsadzić na rożen kuropatkę i królika. Kiedy nam przygotowywano obiad, zaprowadziłem moję nieznaną do osobnego pokoju i rozpoczęliśmy rozmowę, w drodze bowiem dla szybkiego biegu niepodobna było mówić. Oświadczyła mi jak umię czuē moję przysługę, dodając, że po czynię tak szlachetnym wnosi, że nie muszę być towarzyszem rozbójników, od których ją wybawiłem. Opowiedziałem jej moje przygody, aby ją utwierdzić w dobrém mniemaniu, jakie o mnie powzięła. Przez to pozyskałem jej zaufanie i skłoniłem ją do opowiadania jej nieszczęść, które tak jak słyszałem, w następnym rozdziale przedstawię.

ROZDZIAŁ XI.

Historia pani Mencia de Mosquera.

Urodziłam się w Walladolid i nazywam się Mencia de Mosquera. Ojciec mój don Martin długo bardzo służył wojskowo i poległ w Portugalii na czele pułku, którym dowodził, straciwszy niemal całe ojczyste mienie. Choć węc bylam jedyńcazką, tak szczupły odziedziczyłam majątek, iż posag mój wcale nie mógł być ponętny. Mimo to wszakże nie brakło mi zalotników. Wiele młodzieży z najznakomitszych rodzin starało się o moję rękę. Ten który szczególniej zwrócił moję uwagę, nazywał się don Alvar de Mello. W istocie był urodziwszym od swoich spółzawodników; lecz piękniejsze jeszcze i trwałejsze przymioty duszy skłaniały mnie ku niemu. Dowcipny, uprzejmy, był pełen odwagi i uczciwości. Prócz tego mógł uchodzić w świecie za najwykwintniejszego młodzieńca. Trzeba li było urządzić jaką ucztę, nikt tego z lepszym gustem dokazać nie umiał: jeżeli wystąpił w szranki, wszyscy podziwiali jego siłę i zręczność. Wybrałam go węc spośród innych i zaślubiłam.

Wkrótce po naszych godach weselnych spotkał w nstroném miejscu don Andrzeja de Baesa, spółzawodnika swojego. Przemówił się wzajemnie i chwycił za szpady. Don Andrzej przyplacił zyciem. Że zaś było synowiec korregidora Walladolidu, czlowieka porywego i wrogą rodziny Mello, don Alvar węc wntemał, iż mu jak najprędzej opuścić miasto należy. Szybko węc wrócił do mieszkania, i gdy mu przygotowywano konia, on mi tymczasem opowiedział swoje zdarzenie. — Droga Mencio! rzekł mi, musimy się rozłączyć, jesto niezbędna konieczność; znasz korregidora, nie ludźmy się bynajmniej, będzie mnie ścigał niezawodnie. Nietajne ci są jego wpływy i znaczenie, nie byłoby dla mnie bezpieczeństwa na całym półwyspie. Tak był ściśnięty boleścią własną, a bardziej jeszcze widokiem mojego udręczenia, iż nie mógł słowa węcziej wyrzec. Podałam mu pieniądze i klejnotów, co naprędce znalazłam, nściśkaliśmy się wśród wzajemnych jęków i rzewnego płaczu. Wreszcie dano znać, że koń gotowy. Wrywa mi się z rąk, oddała się, zostawiając mnie w stanie który wyrazić się nie da; stokroć byłabym szczęśliwsza, gdyby ciężkie zgrzyoty brzemię, było wówczas kres położyło irojemu życiu! Śmierć ta ileżby mi była oszczędziła przykrości i nuiów! W kilka godzin po odjeździe don Alvara, korregidor dowiedział się o jego ucieczce. Rozesłał wszystkich szlachciców miasta w pogoni za nim, ntezego nie szczędził, aby go tylko mógł dostać w swoje ręce. Mąż mój szczęśliwie zawiódł jego nadzieję, i potrafił się zabezpieczyć. Sędzia ujrzawszy, iż jedynie zajęciem dobr czlowieka, którego krwi pragnął, nasycić może swoją zemstę, na to zwrócił swoje zabiegi i niepróżno: całe mienie don Alvara zajęto na skarb.

Położenie moje stało się bardzo przykre, ledwie mi starczyło na bardzo skromne ntrzymanie. Cofnęłam się od świata, jedna tylko kobieta składała mój dwór. Całe dnie przepędzałam we łzach, ubolewałam nie na nędzę moję, bom ją znosiła cierpliwie, lecz na nieobecność drogiego męża, od którego żadnej nie miałam wiadomości; tēm bardziej, że mi przyrzekł, iż będzie się starał uwiadomić mnie o swoim losie, w jakikolwiek zakąt ziemi zawiodłaby go nieszczęsna jego gwiazda. Już

siedm lat minęło, a ja nic i nic o nim nie słyszałam. Ta niepewność o jego losie dręczyła mnie srodze. Wreszcie dowiaduję się że walcząc w sprawie króla portugalskiego w królestwie Fez, utracił życie w jednej bitwie. Donosił mi o tēm czlowiek jeden, który niedawno wrócił z Afryki zapewniając mnie, iż dobrze znał don Alvara de Mello; że z nim razem służył w wojsku portugalskiém, i że sam na własne oczy widział jak poległ w bitwie. Opowiadał przytēm inne drobne okoliczności, które mnie przekonały, że mąż mój nie żyje. Wiadomość ta wzmocniła mój żal, postanowiłam nigdy w powtórne nie wchodzić ślaby. Około tego czasu przybył do Walladolid don Ambrosio Mesio Corillo, margrabia de la Guardia. Byłto jeden z tych podstarzałych panów, którzy wzięciem się grzeczném i uprzejmém, każą zapominać o swoim wieku, i umieją podobać się kobietom. Jednego dnia opowiadano mu historią don Alvara, a gdy mu odmalowano mój obraz, wzięła go chęć widzenia mnie. Dla zaspokojenia swojej ciekawości zjednał sobie jednę z moich krewnych, która za jego namową zważyła mnie do siebie. Był i on tam, widział mnie i polubił, mimo wyrazu boleści, jaki się objawiał w mojem obliczu. Co mówię, mimo? być może, iż go ujęła moja postać smutna i udręczona, która go uprzedzała o mojej wierności. Moja posępność może obudziła jego miłość. Powtarzał mi nieraz, iż mnie uważa za zjawisko stałości, że zazdrości losu mojego męża, jakkolwiek ten był smutnym. Słowem, tak był ujęty moim widokiem, iż nie potrzebował widzieć mę powtórnie by postanowić zaślubienie moje.

Za pośredniczkę do spełnienia swojego zamiaru użył moję krewnę. Przybyła węc do mnie, przedstawiała mi, że skoro mąż mój spełnił swoje przeznaczenie w królestwie Fez, jak nam doniesiono, nierozsądną przeto byłoby rzeczą dłużej zagrzebywać wdzięk moję, że dosyć już optakałam czlowieka, z którym zaledwie przez kilka chwil byłam połączoną, żem powinna korzystać ze sposobności, że będę najszczęśliwszą kobietą. Przytēm uwlebiała szlachetny ród margrabiego, jego znakomite dobra, jego piękny charakter. Cała atoli jej wymowa nie potrafiła mnie przekonać. Nie żebym wątpiła o śmierci don Alvara, nie wstrzymywała mnie wcale obawa ujrzenia go w chwili najmniej spodziewanej; lecz brak skłonności, czyli raczej wstręt zupełny do powtórnych związków, zwłaszcza po tak nieszczęśliwym pierwszym, był główną zawadą, którą miała do przezwyzięcia moja krewna. To jej wszakże nie zrażało, owszem gorliwość jej dla don Ambrosio zwmagala się tēm bardziej, wciągnęła całą moję rodzinę do sprawy starego markiza. Rodzice moi zaczęli mnie naglić do przyjęcia tak korzystnego związku; ujrzałam się obarczoną, ciąglem natęctwem nękaną. Przyznać muszę, że niedostatek, który mi się z każdym dniem dotkliwiej czuē dawał, nlemało się przyłożył do przełamania mojego postanowienia; sama tylko niezbędna konieczność potrafiła mnie skłonić do tego.

Nie mogłam się dłużej bronić; uległam natarczywości i zaślubiłam margrabiego de la Guardia, który nazajutrz po ślubie zawiózł mnie do pięknego pałacu jaki miał w bliskości Burgos, pomiędzy Grajal i Rodillas. Czuł on dla mnie gwałtowną miłość; widziałam w każdym jego czynie chęć przypodobania mi się. Starał się nprzedzać moje najnijsze żądze. Nie było męża, któryby węcziej objawiał względnosci dla swojej żony, żaden zalotnik nie okazał tyle grzeczności dla swojej kochanki. Podziwiałam czlowieka tak miłego charakteru, i pocieszałam się w pewnym względzie po stracie don Alvara, ponieważ miałam uszczęśliwić takiego pana, jakim był margrabia. Byłabym go nawet namiętnie kochała, mimo uderzającą nierówność wieku, gdybym była zdolna kochać kogokolwiekbądź po don Alvarze. Lecz sercem stałem jedna tylko włada namiętności; wspomnienie pierwszego męża niweczyło wszelkie zabiegi drugiego dla przypodobania mi się podjęte. Przywiązania jego nie mogłam odpłacać inaczęj, tylko jedyném uczuciem wdzięczności.

Takie było moje usposobienie, kiedy raz używając świeżego powietrza w oknie mojego pokoju, spostrzegłam w ogro-

dzle kogoś w nblorze wieśniaka, który się bacznie wpatrywał we mnie. Rozumiejąc że to jakiś ogrodniczek, mało zwracałam uwagi na niego; lecz gdy nazajutrz stanęłam w témże oknie, ujrzałam go podobnie przyglądającego się. To mnie uderzyło, zaczęłam mu się także przypatrywać, i po olejkiej chwili zdało mi się, że widzę jakieś rysy don Alvara. To podobieństwo wstrzęsło moją duszę, krzyknęłam przeraźliwie. Szczęściem, byłam sama z Inesą, jedną z kobiet moich, najwięcej mojego zaufania posiadającą. Objawiła jej domysł, który mnie niepokoił. Rozmawiała się z tego, przekonana będąc, że jakieś małe podobieństwo wzrok mój uwiodło. — Uspokój się pani, rzekła, nie myśl wcale, abyś miała widzieć plęrszego małżonka. Jakież podobieństwo, aby tu się miał pokazywać w ubiorze wieśniaka, a nawet czyż można wierzyć aby żył dotąd? Ale, dodała, dla zaspokojenia pani, pójdę do ogrodu, rozmówię się z tym wieśniakiem; dowiem się co to za człowiek i w momencie opowiem pani. — Poszła więc Ines do ogrodu, i po chwili ujrzałam ją wracającą bardzo wzruszoną. — Pani! rzekłam, domysł jej aż nadto wyjaśniony; tak jest, to sam don Alvar, któregoś widziała; natychmiast mi się odkrył i chce pomówić z panią na stronie.

Ponieważ markiz był w Burgos, mogłam więc w tej chwili przyjąć don Alvara, i poleciłam mojej służebnicy, aby go wprowadziła do gabinetu krytymi schodami. Łatwo pojmiiesz, jak straszne miało mną wzruszenie. Nie mogłam znieść widoku człowieka, który miał prawo czynić mi wyrzuty; skoro go więc ujrzałam, padłam bez zmysłów, jak gdyby to cień jego był tylko. Zaczęli mnie ratować on i Ines, i kiedy odzyskałam przytomność, don Alvar odezwał się: — Pani! uspokój się, przez liście; obecność moja niech nie będzie męczarnią dla ciebie; nie przyszedłem z zamiarem wyrządzenia ci najmniejszej przykrości. Nie przybywam jako małżonek gniewem zapalony, domagać się rachunku z zaprzysiężonej wiary i poczytywać ci za zbrodnię, powtórne śluby przez ciebie zawarte. Wtem że to jest dziełem twojej rodziny; opowiedziano mi wszystkie przesładowania, jakieś z tego powodu zuleści musiała. Prócz tego, rozpuszczono wieść w mieście o mojej śmierci, a tyś miała tém większy powód do wierzenia, żeś nie odebrała odemnie żadnej wiadomości, któraby cię inaczej przekonała. Nakoniec i to mi nie tajno, jak żyłaś od chwili naszego okropnego rozłączenia, i że konieczność raczej, a nie przywiązanie, skłoniło cię do oddania ręki margrabiemu. — Ah, pani! przerwałam mu płacząc, dlaczegoż chcesz uniewolnić twoją żonę; jest ona winną, ponieważ ty żyjesz. Dlaczegoż nie jestem w nędzy, w jakiej byłam przed zasłużeniem margrabiemu! Nieszczęsne śluby! nieszczęsny! w nędzy mojej miałabym tę przynajmniej pociechę, iżbym cię oglądała bez zarumienienia się.

— Kochana Mencyo! ozwał się don Alvar, tonem, który wyraźnie objawiał, że go wzruszyły łzy moje; nie skarzę się wcale na ciebie, a zamiast wyrzucać ci stan świetny, w jakim cię znajduję, owszem, składam zań dzięki niebu. Od nieszczęsnego dnia odjazdu mego z Walladolid, los mi ciągle był spreczny; życie moje było pasmem nieprzerwanem nieszczęść, a na domiar mojej niedoli nie mogłem ci dać wiadomości o sobie. Nadto, pewny twojej miłości, rozmyślałem ciągle o stanie w jakim cię moje przywiązanie postawiło. Wystawiałem sobie Mencyę łzami zalaną; tyś była przedmiotem największego mego udręczenia. Niekiedy, wyznaję ci szczerze, wyrzucałem sobie, jak zbrodnię jaką, szczęście podobania się tobie. Życzełabym, abyś była więcej skłonności okazała któremuś z moich współzawodników, ponieważ przenosząc mnie nad innych, tak drogo uczucie swoje opłaciłaś. Tymczasem po siedmiu latach cierpień, więcej jak kiedykolwiek zajęty tobą, zapragnąłem widzieć cię. Nie mogłem się oprzeć tej żądzy, a skoro tylko koniec mej niewoli dozwolił mi, pod tém przebraniem udałem się do Walladolid; tam dowiedziałem się o wszystkim. Przybyłem potem do tego zamku i znalazłem sposób dostać się do ogrodu, który mnie zatrzymał do robót w ogrodzie. Otóż widzisz, jakich użyłem sposobów, aby rozmówić się z tobą na osobności. Lecz nie myśl, abym obecnością moją chciał zatru-

wać szczęście, którego tu używasz. Kocham cię bardziej niż siebie samego, szanuję twoją spokojność; po tej rozmowie, pójdę w oddaleniu pędzić dni smutne tobie poświęcone.

Nie, don Alvarze, nie, zawołałam na to słowo, niebo nie napróżno cię tu sprowadziło, nie zulosec abyś mnie po raz drugi opuszczał; pójdę z tobą, odtąd śmierć tylko może nas rozłączyć. Słuchaj mnie, odpowiedział, żyj z don Ambrosio, nie chciał być uczestniczką moich nieszczęść, pozwól mi samemu dźwigać ich brzemień. Wiele jeszcze prawil mi podobnych rzeczy; ale im bardziej usiłował się oślarować dla mego szczęścia, tém mniej skłonna mi znalazł do zezwolenia na to. Widząc mnie niezachwianą w zamiarze towarzyszenia mu, nagle zmienił ton, i z twarzą malującą zadowolenie: — Pani! ozwał się, mogęż wierzyć uczuciom, które mi objawiasz? Ponieważ jeszcze mnie tak dalece kochasz, że wolisz moją nędzę, niżeli obfitość w jakiej teraz oplywasz, jedźmy więc do Betanias w głębi Galicyi, gdzie mam schronienie bezpieczne. Jeżeli zawisły los pozbauił mnie całego majątku, nie odebrał mi jednak przyjaciół, zostało mi ich wielu bardzo wiernych, przy których pomocy mogę cię zład zabrać. Kazałem w Zamorze zrobić powóz; kupiłem muły i konie, a trzech najsmielszych spośród Galicyan towarzyszyć nam będzie. Uzbrojeni w karabiny i pistolety, czekają na moje rozkazy we wsi Rodillas. Korzystajmy z nieobecności don Ambrosio. Każę zająć powozowi przed bramę zamku, i oddalimy się w tym momencie. „Zezwoliłam na to: don Alvar pobiegł do Rodillas i wkrótce wrócił z trzema jeźdźcami, zabierając mnie spośród moich kobiet, które nie rozumiejąc co się dzieje, pouciekały spłoszone. Ines jedna wiedziała o wszystkim; lecz nie chciała losu swojego łączyć z moim, ponieważ kochała jednego ze służących don Ambrosio: co dowodził, że przywiązanie najgorliwszych naszych służących, nie wytrzyma próby miłości.

Wsiadłam więc do powozu z don Alvarem, wzięwszy z sobą swoje suknie i trochę klejnocików, jakie miałam przed powtórnem zamęciem, nie chciałam bowiem nic brać z tego, co mi oślarował margrabia przed ślubem. Puściliśmy się drogą do Galicyi, nie wiedząc, czy dojedziemy szczęśliwie. Mielśmy powód lękania się, aby don Ambrosio wróciwszy, nie puścił się w pogoń za nami z licznym poczetem ludzi i nie dosięgnął nas. Jednakże jechaliśmy przez dwa dni, a nikt się za nami nie pojawił. Spodziewaliśmy się już, że i trzeci dzień przejdzie podobnie, i już dość spokojnie rozmawialiśmy. Don Alvar opowiadał mi smutną przygodę, która dała powód do rozpuszczenia wieści o jego śmierci, jak po pięciu latach niewoli odzyskał wolność, kiedy oto wczoraj na drodze do Leonu spotkaliśmy złodzieiów, między którymi i ty byłeś. Jegotó oni zabili wraz z jego ludźmi, onto jest przyczyną żeś które wylewam.

ROZDZIAŁ XII.

Jaki wypadek niemiły przerwał rozmowę tej pani z Gil Blasem.

Skończywszy to opowiadanie, dona Mencya zalała się łzami. Nie zabierałem się wcale do jej pocieszenia mową w guście Seneki, owszem zostawiłem zupełną swobodę jej boleści. Co większa, płakałem z nią razem: tak to jest rzeczą naturalną darzyć współczuciem nieszczęśliwych, a osobliwie też piękną kobietę stroskaną. Miałem ją się spytać co myśli przedsięwziąć w takim zbiegu okoliczności; być może, iż i ona byłaby się mnie radziła w tym samym przedmiocie, gdy wtem przerwano naszą rozmowę. Usłyszeliśmy głośnie wrzawę w domu zajezdnym, która zwróciła naszą uwagę. Przyczyną jej było przybycie korregidora w towarzystwie dwóch algazilów i kilku stróżów. Przybyli do pokoju, któryśmy zajmowali. Młody człowiek z nimi razem będący, przystąpił najplęrszys do mnie i patrząc na mój ubiór przez chwilę, zawołał: Święty Jakóbie! oto mój kaftan! to on sam, nietrudno także poznać konia mego. Możecie przytrzymać tego pancerza na moje słowo, nie lękam się bynajmniej, abym miał być wrotem zwrot jego honoru. Zaręczam, że to jest jeden z tej bandy złodzieiów, która ma swoją kryjówkę w tych stronach.

Na te słowa, z których dowiedziałem się, iż ten młody człowiek był owym szlachcicem, którego łup cały miałem na sobie, stanąłem jak wryty zawstydzony i pomieszany. Korregidor, którego powołanie obowiązywało do wyprowadzania złych raczej włośków z mojego kłopotu, aniżeli do tłumaczenia go na moję korzyść, mulem że skarga nie była bezasadną; a przypuszczając, że kobieta mogła być moją współniczką, kazał nas uwięzić, każde osobno. Sędzia nie był z liczby tych, których sam wzrok trwogą przejmuję, owszem postawa jego była przyjemna, oblicze uśmiechające się. Bóg wie, czy był lepszym od innych! Skorom się ujrzał w więzieniu, przybył tam natychmiast z dwoma wyżłami, tojest dwoma swojemi algazilami. Z radosnego ich wejścia wnosząc, zdawało się jakoby mieli przeczuć, iż to niezły będzie dla nich interes. Nie opuścili swojego wybornego zwyczaju, naprzód zaczęli mnie przetrząsać. Co to za połów dla tych panów! Może w życiu swoim nie złapali takiej gratki. Za każdą garścią luidorów, które wyciągali z kieszeni, oczy im się iskrzyły z radości. Korregidor osobliwie nie postąpił się z ukontentowania. Moje dziecię, mówił mi tonem słodkiłkim, my tylko spełniamy nasz obowiązek; ale nie bój się niczego, jeżeliś niewinny, nie ci się złego nie stałe. Tymczasem z wszelką grzecznością, pomału, wypróżniali moje kieszenie, zabrali mi i to, co nawet złodziej szanował, tojest owe czterdzieści dukatów, które od wuja dostawałem. Nie poprzestali na tąd; chciwą ręką obmacali mnie od stóp do głowy; obracali mnie na wszystkie strony, rozebrali mnie, aby się przekonać, czy nie mam pieniędzy za skórą. Pewny jestem, że z ochotą byliby mi brzuch rozpruli, dla przekonania się, czy i tam niema złota. Gdy z taką ścisłością dopełnili tego obowiązku, korregidor rozpoczął badanie. Opowiedziałem mu szczerze wszystkie moje przygody. Kazał spisać moje zeznanie, poczem wyszedł ze swojemu ludźmi i z mojemu pieniądźmi, zostawiwszy mnie nagiego na barłogu.

O życie ludzkie! zawołałem ujrawszy się sam i w takim stałe, jakże pełne jesteś przygód dziwaczych i zawodów! Od chwili wyjścia mego z Owiedo same tylko napotykam przeciwności; zaledwie wybrnę z jednego nieszczęścia, jużci wpadam w nowe. Przybywszy do tego miasta, ani mi przez myśl nie przeszło, abym tak prędko miał zabrać znajomość z korregidorem. Tak rozmyślając bezkorzystnie, wdziałem ten przeklęty kaftan i resztę nieszczęsnego ubioru; potem sam sobie dodając odwagi: Co tam! Gil Blas, bądź stałego usysu; pomyśl sobie, że po złych przyjdą może i pomyślniejsze dla ciebie czasy. Przystoił ci rozpacz w zwyczajnym wzięleniu, po złożeniu próby cierpliwości w lochach podziemnych! Ale niestety! dodałem z westchnieniem, jestto próżna uluda. Jakżeż się złąd wydobyć potrafię? Odjęto mi wszelkie środki do tego; więzień bez pieniędzy, jestto płaszek bez skrzydeł.

Zamiast kuropatwy i królika, które kazałem piec w domu zajadnym, przyniesiono mi suchy kawałek razowego chleba i dzban wody, i pozwolono mi żuć wędzidło za krawą. Całe piętnaście dni przesiedziałem, nie widząc żywej duszy prócz dozorey, który mi codzień rano przynosił moję porcyą. Skorom go ujrzał, starałem się zniim zawiazać rozmowę, aby się jakożkolwiek rozerwać w tej turmie; ani słowa wszakże nie bąknął na to co do niego mówiłem, nie mogłem nic z niego wydobyć, najczęścielży wchodził i wychodził nie spojrzawszy na mnie. Szesnastego dnia pojawił się korregidor i rzekł:—Już przecieź cierpienia się twoje skończyły; możesz się pocieszyć, bo ci przyszedłem przyjemną zwiastować nowinę; kobietę, która była z tobą, kazałem odprowadzić do Burgos; badałem ją przed odjazdem, a odpowiedzi jej na twoję korzyść wypadł. Dział zaraz wyjdiesz na wolność, jeżeli tylko mułowodzca, z którym przybyłeś z Pentaflor do Kakabelos, jak opowiadałeś, potwierdzi twoje zeznanie. Jest on w tej chwili w Astorga, posłałem po niego; jeżeli zezna przygodę o której mowa, natychmiast cię wypuszczę na wolność.

Uradowałem się na te słowa; od tej chwili uważałem sprawę za skończoną. Podziękowałem sędziemu za tak pospieszłą i dobrą sprawiedliwość, jaką mi chciał wymierzyć; jeszcze

nie skończył grzecznych oświadczeń, gdy przewodnik mułów wszedł w towarzystwie dwóch dozorców. Poznałem go natychmiast; ale ten zbój, który zapewne sprzedał mój łomok ze wszystkiem co się w nim znajdowało, bojąc się by nie był zmuszony zwrócić zań wziętych pieniędzy, skoroby się przyznał, że mnie poznaje, odpowiedział beczelnie, że nie wie kto jestem, że mnie nigdy nie widział.—Ha! zdrajco, krzyknąłem, wyznaj raczej żeś sprzedał moje rzeczy i złoż świadectwo prawdzie. Przypatrz się dobrze, ja to jestem jeden z tych młodych ludzi, którym zagroziłeś torturą w Kakabelos, co mnie tak przstraszyło.” Mułowodzca z złwą krwią odpowiedział, że mu prawię rzeczy, o których on weale nie wie; a że ciągle utrzymywał, iż mu jestem nieznany, wyzwoleńcie moje więc odłożone zostało na później.—Moje dziecko, mówił sędzia, widzisz że przewodnik mułów nie zgadza się na to, coś ty zeznał; nie mogę cię więc wypuścić na wolność mimo największą chęć.” Musiałem się więc znown uzbroić cierpliwością, pościć jeszcze o chlebie i wodzie, i patrzeć na mego milczącego dozorcę. Pomyśliwszy sobie, że się nie potrafię wydobyć ze szpon sprawiedliwości nie popełniwszy najmniejszego występku, wtedy rozpacz mnie ogarniała; żałowałem podziemnych lochów. W gruncie rzeczy, mniej tam miałem przykrości jak tu; zajałem dobrze ze złodziejami, bawiłem się z nimi wesoło, żyłem w słodkich marzeniach, że się przecieź wydobydę; gdy tymczasem, mimo niewinności, wielkie moje szczęście będzie, jeżeli zład pójdę na galery.

ROZDZIAŁ XIII.

Jakim trafem Gil Blas wyszedł przecie z więzienia i dokąd się udał.

Kiedy tak po całych dniach rozpędzałem nudy czezem rozmyślaniem, tymczasem przygody moje, tak jak je podałem do wyvodu słownego, rozbiegły się po całym mieście. Wiele osób chciało mię widzieć dla samej ciekawości. Jeden po drugim przechodził koło małego okienka, którym światło dzienne wkładało się do mojęj turmy, a każdy popatrzywszy się na mnie przez chwilę, odchodził. Zdziwiła mnie ta nowość. Odkąd wtrącony zostałem do więzienia, nie widziałem nikogo przed mojem okienkiem: wychodziło ono na dziedziniec, na którym panowała cichość i trwoga. Przez to poznałem, że imię moje musiało się stać głośnem w mieście, ale nie wiedziałem czy zład co dobrego, czy złego wróżyć miałem.

Jednym z pierwszych przechodniów, który wzrok mój uderzył, był mały śpiewak z Mondogno, co tak się bał tortury, jak ja, i razem ze mną uciekał. Poznałem go i on także nie udawał weale nieznajomości. Powitaliśmy się nawzajem i zawiązaliśmy długą rozmowę. Musiałem na nowo opowiadać moje przygody, co podwójny wywarło skutek na moich słuchaczach; dałem im powód do śmiechu i zyskałem ich politowanie. Mały śpiewak ze swojęj strony opowiedział mi co zasło później w karczmie w Kakabelos między mułowodzcią i młodą kobietą, gdy nas strach ztamtąd wypędził; słowem wszystko mi przedstawił, jakem to wyżej opowiedział. Poczem żegnając się ze mną przyrzekł mi, że idzie niezwłocznie starać się o moje wyzwoleńcie. Wtedy wszyscy, którzy tam zebrali się z taktię samej ciekawości jak on, wynurzyli mi swoje spótecznicie, zapewniając mnie, że połączą swoje usiłowania ze śpiewakiem, aby mi wyjednać wolność.

Dotrzymali słowa. Wstawiali się za mną do korregidora, który nie wątpiąc bynajmniej o mojęj niewinności, osobliwie gdy śpiewak opowiedział mu wszystko co o mnie wiedział, przybył we trzy tygodnie później do mego więzienia.—Gil Blas rzekł do mnie, mógłbym się jeszcze dłużej tu zatrzymać, gdybym był sędzią surowszym, lecz nie chcę przewlekać tēj sprawy; jesteś więc wolnym; możesz zład wyjść, kiedy ci się podoba. Ale powiedz mi, mówił dalej, gdyby cię zaprowadzono do lasu, w którym są te pieczary, nie mógłbyś ich wskazać?—Nie, panie, odpowiedziałem; ponieważ wprowadzono mnie do nich w nocy, a wydobyłem się przededniem, niepodobna mi było rozpoznać miejsca. Sędzia się oddalił, oświadczając, iż

poceł intendentowi, aby mi kazał otworzyć turmę. W istocie, w moment potem wszedł dozorca z siepaczem, który trzymał pod pachą paczkę płócienną. Zdjęli ze mnie mój kaftan i spodnie z cienkiego sukna i prawie nowe i z miną poważną, nie rzekłszy ani słowa, włożyli na mnie starą płócienną siermięgę i wśląwszy za kark wyrzucili za drzwi.

Zawstydzony tak haniebnym nbiorem, mniej czułem radości, niż zwykli czuć jej uwężeni odzyskując wolność. Chciałem natychmiast opuścić miasto, aby ujsć wzroku ludu, który mi niesłychanie był przykrym. Lecz wdzięczność przemogła wstyd; poszedłem złożyć dzięki małemu śpiewakowi, któremu tyle byłem winien. Nie mógł się wstrzymać od śmiechu, skoro mnie spostrzegł. Jakże ty wyglądasz! ozwał się do mnie, zrazu nie poznałem cię w tym stroju; sprawiedliwość, jak widzę, dobrze cię ze wszech stron zażyła. — Nie żalę się bynajmniej na sprawiedliwość, odpowiedział mi, ona jest bardzo słuszną, życzyłyby tylko, aby szafujący nią urzędnicy, byli uczciwymi ludźmi, powinni mi byli przynajmniej zostawić ubiór; zdaje mi się, że go nieźle zapłacił. — Prawda, rzekł, ale ci powedzą, że wypadało zachować formalności. Ha! wystawiasz sobie może naprzykład, że twojego konia zwrócono pierwszemu właścicielowi? Boże broń, on jest teraz w stajni pisarza, dokąd go zaprowadzono jako dowód kradzieży; nie sądzę, aby biedny szlachcic dostał przynajmniej podgonie po nim. Ale przejdźmy do czego innego, mówił dalej, jakie teraz są twoje zamiary? co myślisz dalej robić? — Chciałbym naprzód udać się do Burgos, odpowiedziałem śpiewakowi, pójdę do pani, której byłem zbawcą; da mi zapewne kilka luidorów, kupię sobie nową kapotkę i pójdę do Salamanki, gdzie starac się będę korzystać z mojej łaciny. To tylko nieszczęście, że nie jestem w Burgos, udając się tam, trzeba żyć w drodze, a sam wiesz o tém, jakto szczipła wiececzna, gdy się wędruje bez pieniędzy. — Rozumiem, odparł natychmiast, i ofiaruję ci mój worek, jest dość chudy, alez wiesz dobrze, że śpiewak, to nie biskup. „Podziękowałem mu tak serdecznie, jak gdybym miał wszystko złoto całego świata, złożyłem mu tysiące zapewnień o chęci odsłużenia, które jednak nigdy nie przyszło do skutku. Potem pożegnałem go i opuściłem miasto, nie szukając już innych, którzy się przyłożyli do mojego wyzwolenia, poprzestając na udzieleniu im w myśli tysiącznych błogosławieństw.

Wielką słusność miał śpiewak nie chwalić się ze swoją sakiewką; bardzo mało znalazłem w niej pieniędzy, i to jakich jeszcze? samą zdawkową monetę; szczęściem, że już od dwóch miesięcy przyzwyczałem się do życia bardzo skromnego, jeszcze więc miałem kilka realów, gdy przybył do miasteczka Ponte de Mula, niezbyt odległego od Burgos. Zatrzymałem się w nim dla powzięcia wiadomości o dona Mencyl. Wstąpiłem do najpięrszego zajazdu, który spotkałem, w którym gospodynią była niskiego wzrostu kobiątka, sucha, żywa i złośliwego wejrzenia. Poznałem zaraz po jej kwaśnej minie, że moja siermięga wcale jej do gustu nie przypadła, com jej chętnie przebaczył. Śladem na boku przy stole, zjadałem chleb i ser, napiłem się obmierzłego wina, jakie mi podano. W czasie tej uczyły wcale zgodnej z moim ubraniem, chciałem zawiązać rozmowę z moją gospodynią, lecz przez pogardliwe skrzywienie się, okazała mi dobitnie, iż nie dba o moją rozmowę. Prosiłem jej, aby mi powiedziała, czy niezna margrabiego de la Guardia, jak daleko od miasta jest jego pałac, co się mogło stać z margrabina, jego żoną. Zawięła zarazem żądasz ode mnie, rzekła dumnie; ale jednak powiedziała mi, choć z wielką niechęcią, że zamek margrabiego jest tylko o małe pół mili od Ponte de Mula.

Zjadłszy i wypiwszy co miałem, ponieważ to była noc, oświadczyłem, że chcę spocząć i zażądałem osobnej izby. Dla ciebie izby! zawołała gospodyni, rzucając na mnie okiem pogardy; nie mam izby dla ludzi, których ser jest całą wieczszą. Wszystkie łóżka są zajęte. Czekał na panów znakomych, którzy mają tu przybyć na noc. Dla ciebie jedyną przysługę mogę zrobić wskazując ci miejsce w stodole; nie będzie to zapewne po raz pierwszy nocleg twój na słomie. Nie są-

działa zapewne, że to co powiedziała, było bardzo dobrze powiedziane. Nie rzekłszy więc ani słowa, postanowiłem w roztropności swojej udać się do składu słomy, na której tak smaczno zasnąłem, jak człowiek, który oddawna w trudach był zabartowany.

ROZDZIAŁ XIV.

Przyjęcie Gil Blas'a w Burgos przez donę Mencia.

Nazajutrz nie leniłem się z wstawaniem. Poszedłem porachować się z gospodynią, która już była na nogach, zdała mi się teraz nietyle zachwałą i lepszego humoru, jak wczoraj wieczór, com przypisywał obecności trzech towarzyszy św. Hermaudadu, którzy dość poufale z nią rozmawiali. Spali oni w tój karczmie i bez wątpienia dla tychto ważnych panów zatrzymane zostały wszystkie łóżka.

W mieście pytałem się o drogę do zamku, do którego zmierziałem. Przypadkiem natrafłem w pytaniu na człowieka podobnego usposobienia, jak ów mój gospodarz w zajeździe w Peniaflor. Nie poprzestał on na zaspokojeniu mojej żądzy, ale mi dodał zarazem, że don Ambrosio przed trzema tygodniami umarł, że margrabina, jego żona, usunęła się do klasztoru w bliskości Burgos, który mi wymienił. Skierowałem więc krok ku miastu, zamiast iść drogą do zamku, jak było moim zamiarem poprzednio, i naprzód zdążyłem do klasztoru, w którym mieszkała dona Mencia. Prosiłem furtynki, aby oświadczyła tój pani, że młody człowiek, świeżo wypuszczony z więzienia Astorgi życzy sobie mówić z nią. Odzwierca poszła natychmiast spełnić moje żądanie. Wnet powróciła prosząc mnie do sali gościnnej, w której nie długo czekałem na powitańską wdowę po don Ambrosio, przybyła bowiem do kraty, w grubą ubrana żałobę.

Witam cię, rzekła tonem uprzejmym. Przed czterema dniami pisałam do pewnej osoby w Astorga. Polecałam jej aby się widziała z tobą i oświadczyła, że cię proszę usłużyć, abyś przybył do mnie po wyjściu z więzienia. Nie wątpiłam wcale, iż cię natychmiast wypuszczą, to com na twoją korzyść powiedziała korregidorowi, dostateczne było do usprawiedliwienia twojego. Dlatego też odpisano mi, żeś odzyskał wolność, lecz nie wiedziano co by się później z tobą stało. Lękałam się, abym nie była pozbawiona szczęścia oglądania ciebie, i wynurzenia ci mojej wdzięczności, co by mnie nie mało trapiło! Nie troszcz się, dodała, widząc, że się wstydę mego ubioru bezecnego, niech stan, w jakim cię oglądam, nie robi ci najmniejszej przykrości. Po wyświadczonej mi tak ważnej przysłudze, byłabym najniewdzięczniejszą z kobiet, gdybym nie miała czegoś zrobić dla ciebie. Pragnę wydzwignąć cię z tego położenia, powinam to zrobić, i mogę to zrobić. Mam dobra dosyć znaczne, które mi pozwolą wywłazać cię z długu wdzięczności, bez najmniejszego uszczerbku.

Wiesz mówiła dalej, moje przygody, aż do dnia, w którym oboje dostaliśmy się do turmy; muszę ci powedzieć, co mi się zdarzyło później. Kiedy korregidor wysłuchawszy opowiadania wiernego mojej historyi, kazał mnie odprawzić do Burgos, udałam się do zamku don Ambrosio. Powrót mój niesłychanie zdziwił wszystkich; ale mi powiedziano że wracam za późno: że margrabia ucieczką moją jakby gromem rażony, wpadł w chorobę i lekarze zwątpili już o jego życiu. To był dla mnie nowy przedmiot do utysków na moje przeznaczenie. Jednakże kazałam go zawiadomić o mojem przybyciu. Poczem wszedłam do jego pokoju, padłam na kolana u głów jego łóżka z twarzą łzami zalaną, sercem boleścią ściśniętą. — Kto cię sprowadza tu? odezwał się ujrawszy mnie; czyś przybyła przypatrzeć się swojemu dziełu? małoż jeszcze dla ciebie być sprawczynią mojej śmierci? potrzebaż ci dla zaspokojenia patrzeć na mój zgon? — Panie! odpowiedziałam, Ines musiała ci powedzieć, że uchodziła z pierwszym moim mężem; i gdyby nie straszny przypadek, w którym go utraciłam, nigdy więcej nie byłbyś mnie ujrzał. Opowiedziałam mu że don Alvar zabity został przez złodzieiów, że mnie potem zaprowadzono do jaskini łotrów. Opowiedziałam mu wszystko; a gdy skończyła, don Ambrosio

podał mi rękę. — Dosyć już, odezwał się mile, już nie chcę się żalić na ciebie. I zaiste, mamże prawo czynić ci wyrzuty? Znajdujesz ukochanego małżonka, opuszczasz mnie, aby ująć z nim, możnaz więc ganić to postępowanie? Nie, pan! niesprawiedliwie szemrałbym na to. Dlatego też, nie chciałem bynajmniej, aby cię ścigano, chociaż wiedziałem, że utratę ciebie życiem przyplacę. W tym, który cię uprowadził, szanowałem święte jego prawa, równie jak przywiązanie któreś mu okazała. Wreszcie przyznaję ci zupełną sprawiedliwość, powracając do mnie, odzyskałaś całą moją przychylność. Tak jest, droga Mencio, obecność twoja napelnia mnie radością, lecz niestety! uiedługo już nżywać jej będę; czuję zbliżającą się moją ostatnią godzinę. Zaledwieś mi powróconą została, gdy się trzeba na wieki pożegnać z tobą." Te tkliwe wyrazy podwoiły łzy moje. Uczułam i objawiłam nieograniczone przywiązanie. Don Alvar, którego ubóstwiałam, mniej lez mnie kosztował. Przeczucie śmierci don Ambrosio nie było zwodnicze; nazajutrz dokonał życia, a ja zostałam panią znakomitego majątku, którym mnie obdarzył przy ślubie. Nie myślę go źle używać. Chociaż jestem młodą jeszcze, nikt mnie przecież nie ujrzy w objęciach trzeciego małżonka. Bo prócz tego, że to nie przystoi, jak mi się zdaje, chyba kobiecie bez wstydu i uczciwości, powiem ci nadto, że nie mam wcale przywiązania do świata; chcę zakończyć życie w tym klasztorze, a po śmierci zostać jego dobrodziejką."



Gil Blas przedstawiony p. Leonardo.

Tak mówiła do mnie dona Mencia, poczem wydohywszy sakiewkę podała mi ją, mówiąc: — Masz tu sto dukatów, które ci daje jedynie na sprawienie ubioru. Skoro to uskuteczysz, przyjdź do mnie, gdyż nie życzę sobie ograniczyć mojej wdzięczności tak drobną rzeczą. Wynurzyłem tysiączne podziękowania tej pani, zaręczyłem jej, że nie opuszczę Burgos nie pożegnawszy się z nią. W istocie nie miałem ochoty, ani myśli nie spełnić mojego zaręczenia, ndałem się zatem szukać zajazdu. Wszedłem do pierwszego który mi się nastroczył i żądałem osobnego pokoju; żeby zaś uprzedzić złe mniemanie, jakie na widok mojej siermięgi szluszułe powzięć można było, rzekłem do gospodarza, że choć w staniu w jakim mnie widzi, potrafię przecież dobrze zapłacić. Na te słowa, gospodarz nazwiskiem Maźuelo, z natury wielki szyderca, połącznawszy po mnie oczyma od góry do dołu, odpowiedział mi z miną zimną i złośliwą, że nie potrzebuje tego zapewnienia, aby być przekonany, że mu niemają przyporęczyć zarobku; że pod tą odzieżą on przewiduje we mnie coś szlachetnego, że wreszcie nie wątpi, iż muszę być zamożnym szlachcicem. Widziałem dobrze, że ten oszust drwił ze mnie, żeby więc krótko uciąć jego żarciki, po-

kazałem mu moją sakiewkę. Co większa, w obecności jego liczyłem moje dukaty na stole, i spostrzegłem, że pięćdziesiąt złożyły go względniejszym dla mnie. Prosiłem go, żeby mi przywołał krawca. Lepiej daleko przyzwać tandeciarza, mówił mi, ten przyniesie wszelkiego rodzaju suknie i można się będzie ubrać w jednej chwili. Przyjąłem tę radę i postanowiłem według niej postąpić, lecz że dzień był już na schyłku, odłożyłem więc sprawunki do dnia następnego, a myślałem jedynie o wieczery, aby sobie wynagrodzić post, do jakiego byłem zmuszony od czasu wyjścia z podziemnych lochów.

ROZDZIAŁ XV.

Jak się ubrał Gil Blas, o nowym darze, który odebrał od dony Mencii i jak wyjechał z Burgos.

Podano mi na wieczrę porządną półmisek potrawy ze skopowych nówek, spożyłem ją prawie wszystką. Napilem się stosownie do jedzenia i położyłem się. Łóżko było niezgorsze, spodziewałem się, że sen wkrótce owładnie moje zmysły. Przecież ani zmrzyć oka nie mogłem: marzyłem tylko o sukniach, jakiego mi kupić należało. Co ja mam robić? mówiłem sam sobie, mamże zmierzać do pierwotnie wytkniętego celu? kupię kaftan i udam się do Salamanki, aby tam wynaleźć miejsce nauczyciela? Ale po cóż nbiierać się jak licencyał? mamże ochołę poświęcić się stanowi duchownemu? czy do tego czuję jakąś skłonność? Oh, nie, wcale coś przeciwnego we mnie się odzywa. Otoż podobala mi się szpada przy boku; w tym stanie spróbuję szczęścia na świecie. To więc wybrałem.

Postanowiłem wziąć ubiór kawalerski, w tém przekonaniu, że pod tą postacią niechybnie wydzwignę się na stanowisko uczciwe i zyskowne. W tak pochlebném mniemaniu z największą niecierpliwością wyglądałem dnia i zaledwie pierwsze jego promiona nderżyły mój wzrok, gdym się zaraz zerwał z łóżka. Tyle wrzawy narobiłem w karczmie, że wszystkich śpiących pobudziłem. Wzywałem służących, którzy jeszcze w łóżkach byli, a którzy na mój głos przekleństwami odpowiadali. Musieli jednak wstawać, a ja póty nie dałem im odpoczynku, póki mi nie przywołali tandeciarza. Wnet ujrzałem jednego. Towarzystwo mu dwóch chłopców, każdy z paką pod pachą, obwinęta w płótno zielone. Ukłonił mi się z wielką grzesznością i rzekł mi: — Panie, jesteś nader szczęśliwy, że się udano do mnie raczej, niż do któregośkolwiek innego. Nie chcę bynajmniej uwłaczać moim spółtowarzyszom; uchowaj Boże, abym miał zamiar głamić ich wziętość! ale między nami niema ani jednego sumiennego człowieka, wszyscy są twardzi od żydów. Ja jestem jedyny tandeciarz moralny. Ograniczam się zyskiem przyzwoitym; kontentuję się złotówką na groszu, chciałem mówić groszem na złotówce. Dzięki Bogu, okrągło prowadzę moje rzemiosło."

Po takim wstępie, któremu ja prostodusznie co do joty uwierzyłem, mój tandeciarz kazał chłopcom otworzyć ich paki. Pokazał mi suknie wszelkiej barwy. Przedstawił mi kilka z sukna jednokolorowego, które ja odrzuciłem, jako zbyt skromne; kazał mi potem przymierzyć jedną, która się zdala, jakby umyślnie dla mnie robiona, a która mnie zachwyciła, choć już nieco podszarzana. Było kaftan z rękawami karbowanymi, ze spodniami i płaszczem, wszystko z axamitu błękitnego, złotem wyszywane; tegom się czepiłem i począłem targować. Tandeciarz spostrzegłszy że mi się podobało, oświadczył mi, że mam gust delikatny. — Dalibóg, zawołał, widać że się pan znasz dobrze. Muszę powiedzieć, że to ubranie zrobione było dla jednego z największych panów królestwa, wzięć jak trzy razy nie miał go na sobie. Przypatrz się pan aksamitowi, niema nic nadeń piękniejszego; a co za wyszywanie! staranniejszej roboty ani podobna znaleźć. — Za ileż, odezwałem się, chcesz je sprzedać? — Sześćdziesiąt dukatów, rzekł; jeżeliś ich już nie miał, to niech nie będą uczciwym człowiekiem. Wyrażenie warunkowe było przekonywające. Podałem czterdzieści pięć; warto zaś było może połowę tego. — Szlachetny panie! rzekł ozieble tandeciarz, ja nie przeceniam, u mnie tylko jeden wy-

raz. Oto, patrz pan, pokazując mi suknie, które odrzuciłem, weź pan te, oddam za niższą cenę." Przez to jeszcze bardziej podlegał moję żądze nabycia tych, które targowałem; a wstawiając sobie, że nie zechce mnie odstąpić, wyliczyłem mi sześćdziesiąt dukatów. Widząc, że je tak łatwo dają, pewny jestem, że pomimo swojej moralności, musiał się wewnętrznie gniewać, że nie zacenili więcej. Dostyc atoli kontent, że zyskał złotówkę na groszu, odszedł z chłopcami, o których także nie zapomniałem.

Miałem więc płaszcz, kaftan i spodnie bardzo porządne. Trzeba było pomysleć o reszcie ubrania, nad czem zszedł mi cały poranek. Kupiłem bieliznę, kapelusz, pończochy jedwabne, trzewiki i szpadę, i zaraz się ustroiłem. Co za rozkosz widzieć się tak pięknie przybranym! Oczy moje nie mogły się nasycić widokiem tak pysznych sukni. Nigdy paw' z większą damą nie spoglądał na swoje pióra. Tegoz samego dnia powtórnie odwiedziłem donę Mencyę, która mnie i teraz bardzo uprzejmie przyjęła. Powtórzyła mi swoje dzięki za wyświadczoną jej przysługę. Poczem nastąpiły wlekłe oświadczenia grzeczności z obu stron. Wreszcie życząc mi wszelkiej pomyślności pożegnała mnie, ofiarując mi jedynie pierścień wartości trzydziestu lajdorów, prosząc, abym go zachował na pamiątkę.

Stanąłem jak głupi z moim pierścieniem, licząc na dar daleko znaczniejszy. Niebardzo zadowolony ze szlachetności tej pani, wracałem do karczmy marząc, lecz kiedy wchodził, przybył tam człowiek, który trop w trop za mną postępował, a nagle odrzucając płaszcz, pokazał duży worek, który niósł pod pachą. Na widok worka mającego piękną postać, otworzyłem oczy, tak jak inne osoby temu obecne i zdało mi się, że słyszę głos serafina, gdy człowiek ten kładąc go na stole, odezwał się: — Panie Gil Blas, oto jest, co ci przysłała pani margrabina. Ukłoniłem się niziutko temu człowiekowi, obsypałem go grzecznościami; a skoro tylko opuścił zajazd, rzuciłem się na worek, jak sokoł na swoją zdobycz i zaniosłem do mojego pokoju. Rozwiązałem go niezwłocznie i znalazłem w nim tysiąc dukatów. Właśnie kończyłem liczenie moich dukatów, kiedy gospodarz, który posłyszał ostatnie wyrazy przynoszącego, wszedł do mojej izby dla przekonania się, co by też było w worku. Widok złota rozłożonego na stole silnie na nim sprawił wrażenie. — Cóż u diabła, zawołał, a to wcale piękna summa! a potem uśmiechając się, dodał z przekąsem, pokazując się, że pan umiesz doskonale wychodzić z kobietami. Jeszcze niema dwudziestu czterech godzin, jak przybyłeś do Burgos, a już potrafiłeś usidlać markizowę."

Mowa ta nie była mi wcale przykrą: pokusa mnie brała zostawić Mazuela w jego błędzie, czułem w tém jakąś przyjemność. Nie dziwiłem się, jeżeli młodzi ludzie pragną utwierdzać o sobie mniemanie, że się w czepku rodzili. Jednakże niewinność obyczajów przeważała nad próżnością. Wyprowadziłem z błędu gospodarza. Opowiedziałem mu historią dony Mency, której z natężeniem słuchał. Poczem objawiłem mu stan moich interesów; a że zdawał się wchodzić w moje położenie, prosiłem, aby mnie wsparł swoją radą. Zamyślił się nieco; potem rzekł tonem poważnym: — Panie Gil Blas, czuję jakąś przychylność dla Wpana, a ponieważ okazałeś mi zaufanie, otwierając swoje serce przedemną, powiem ci bez pochlebstwa do czego cię zdolnym być uznaję. Zdajesz mi się być zrodzonym do dworu, radziłbym ci udać się tam i przycześcić do jakiego wlekiego pana: ale staraj się wmieścić w jego interesa, lub stać się powiernikiem jego rozkoszy; inaczej zmarnujesz swój czas u niego. Zuam ja panów, gorliwość i przywiązanie ucziwego człowieka, to u nich jest niczem; na tych tylko patrzą, którzy im jako tako potrzebni. Jeszcze masz jeden środek, mówł dalej, jesteś młody, dorodny, choćbyś nie miał ukształcenia, to już i tak jest więcej jak potrzeba do zawrócenia głowy jakiej bogatej wdówki, lub pięknej kobiety w niedobrauem małżeństwie. Jeżeli miłość rujnuje nieraz ludzi bogatych, utrzymuje ona częstokroć ludzi bez majątku. Jestem więc tego zdania, abyś się udał wprost do Madrytu, ale niewypada ci się tam pokazywać bez służby. W stolicy, równie jak gdzieindziej, sądzą ludzi

z pozoru; szanować cię będą stosownie do położenia, w jakim cię uirzą. Ja ci nastreczę służącego, pokojowca wiernego, chłopca ucziwego, słowem człowieka według mojej myśli. Kup dwa muły, jeden dla siebie, drugi dla niego, i wyjeżdżaj, ile być może, najprędzej."

Rada takowa aż nadto mi pochlebiała, abym jej nie miał usłuchać. Zaraz nazajutrz kupiłem muły i przyjąłem służącego, o którym mi mówiono. Był to chłopak trzydziestoletni, z wjrzenia pobożny prostaczek. Powiedział mi, że jest rodem z królestwa Galicyi, że się zowie Ambroży de Lamelas. Lecz co mnie szczególnie uderzyło, iż wcale niepodobny do innych służących, pospolite dosyc cchiwych, on nie troszczył się bynajmniej o wysokie zasługi; oświadczył mi nawet, że gotów poprzestać na tém, co mu z łaski ofiarować będą. Kupiłem także buty podróżne i kuferek, dla zachowania bielizny i pieniędzy. Poczem zaspokoiwszy mego gospodarza, opuściliśmy Burgos, przed świtem zmierzając do Madrytu.

ROZDZIAŁ XVI.

Nietrzeba ufać pomyślności.

Pierwszy nocleg odbyliśmy w Duennas, nazajutrz około czwartej z południa stanęliśmy w Valladolid. Zajechaliśmy do



Zamiana dyamentu.

hotelu, który mi się zdał najlepszym. Poruczyłem staranie o mułach mojemu służącemu, sam udałem się do pokoju, kazawszy chłopcu miejscowemu nieść za sobą kuferek. Czując się znużonym, rzuciłem się na łóżko, nie rozbierając się i zasnąłem. Już noc była prawie, gdym się obudził. Zawołałem Ambrożego, ale go nie było w hotelu, wkrótce atoli wrócił. Gdym się pytał, gdzieby był, odpowiedział mi z miną pobożną, iż wraca z kościoła, w którym był dla podziękowania Bogu za ochronienie nas od złej przygody w podróży z Burgos, aż dotąd. Pochwaliłem jego bogobojuść i kazałem mu zamówić polarde na wieczerczę.

Kiedy mu wydawałem polecenia, gospodarz wszedł do mojego pokoju ze świecą w ręku. Przy blasku tego światła ujrzałem przed sobą kobietę więcej piękną, niż młodą, w bogatym stroju. Wspierała się na podeszłym już koniuszym, a murynek mały unosił koniec sukni. Zdziwiłem się niepomału, gdy ta kobieta, skłoniwszy się mi bardzo nisko, zapylała się, czy przypadkiem nie jestem panem Gil Blas z Santyllany. Ledwie co powiedzialem takjest, gdy kobieta owa opuszczając swojego koniuszego, rzuciła mi się na szyję, ścisnąc mnie z najwyższem uniesieniem radości, co nie mało zwiększyło moje podziwienie. — Niech będą dzięki niebu! zawołała, za to szczęśliwe zdarzenie! Ciebie to panie, ciebie właśnie szukam." Po ta-

kim wstępie przypominał mi się ów pasibrzuch z Peniaflor, i już miałem tę panią w podejrzeniu publicznej zalotnicy; gdy to, co dalej dodała, kazało mi korzystniejszą sądzić o jej charakterze. — Jestem, mówiła dalej, siostrą stryjeczną dony Mencyi, która ci tyle winna wdzięczności. Dziś rano odebrałam od niej list. Donosi mi, że powzięła wiadomość, iż się udajesz do Madrytu, a zarazem poleca, aby cię przyjął jak najprzychylniej, jeżeli będziesz tędy przejeżdżał. Od dwóch już godzin biegam po całym mieście. Chodzę od hotelu do hotelu zasięgając wiadomości o gościach przybyłych, i zdało mi się, sądząc, po opowiadaniu twojego gospodarza, że to właśnie pan być możesz tym zbawcą mojej siostry. Ponieważ cię znalazłam, chcę ci pokazać jak czuła jestem na usługi wyświadczone mojej rodzinie, a osobliwie też mojej najukochańszej siostrze. Raczysz w tej chwili przenieść się do mnie, tam ci będzie daleko wygodniej. — Starałam się wymówić tej pani i przedstawiałem jej, że mogę stać się przyczyną niepotrzebnego dla niej zatrudnienia, ale niepodobna było oprzeć się naleganiom. Przededrzwiami hotelu stał powóz, który na nas czekał. Ta pani sama zajęła się przeniesieniem mojego kuferka, ponieważ, jak mówiła, mnóstwo jest oszustów w tym mieście: co było rzeczywistą prawdą. Wreszcie wsiadłem z nią, i starym koniuszym do powozu i pozwoliłem się wywieźć z hotelu, z wielkiem nieukontentowaniem gospodarza, który się tym sposobem ujrzał być odsadzonym od korzyści, jakiej się odemnie spodziewał, i na jaką już zapewne liczył.

Nasz powóz tocząc się przez niejaki czas, wreszcie stanął. Wysiedliśmy przed domem dosyć dużym, weszliśmy do pokoiów porządných, dwudziestą lub trzydziestą świecami rozjaśnionych. Było tam kilku służących, których ta pani najpierw zapytała się czy don Rafał powrócił. — Nie jeszcze, odpowiedzieli. Wtedy zwracając mowę do mnie: — Panie Gil Blas, rzekła, czekam na brata mojego, który ma wrócić z pałacu naszego o milę ztąd odległego. Jakżeż miła będzie dla niego niespodzianka, zastać w domu swoim człowieka, któremu tyle jest winna nasza familia. — Kiedy kończyła, usłyszeliśmy wrzawę, i zarazem dowiedzieliśmy się, że powodem jej jest przybycie don Rafała. Niebawnie też wszedł; ujrzałem młodego człowieka pięknego wzrostu, bardzo oprzejmiej postawy. — Cieszę się z twojego powrotu mój bracie,“ odezwała się doń ta pani; „pomozesz mi godnie przyjąć pana Gil Blas z Santyllany. Nie potrafimy dostatecznie objawić naszej wdzięczności, za to, co wyświadczył dla dony Mencyi naszej krewnej. — Oto masz, dodała, czytaj, co pisze do mnie. — Don Rafał otworzył bilet i czytał głośno: „Kochana Kamillo! pan Gil Blas z Santyllany, który mi ocalił honor i życie, udaje się do dworu. Przejeżdżać będzie niezawodnie przez Walladolid. Zaklinam cię na pokrewieństwo nasze, a wliczyć jeszcze na przyjaźń, która nas łączy, abyście go uraczyli i zatrzymali u siebie przez czas niejaki. Pochlebiam sobie, że mi zrobicie tę przyjemność i że zbawca mój dozna od ciebie i mojego krewnego don Rafała najlepszego przyjęcia w Burgos. Przywiązana siostra. Dona Mencya.“

— Przebóg! zawołał don Rafał przeczytawszy list, to właśnie ten jest kawaler, któremu krewna winna honor i życie? Ach, dzięki Bogu za to szczęśliwe spotkanie. Tak mówiąc zbliżył się do mnie, i ściskając mnie silnie: — Co za radość, mówił dalej, widzieć tu pana Gil Blasa z Santyllany. Zbyteczną jest rzeczą, że moja siostra margrabina zaleca nam abyśmy pana przyzwyczajeli uraczyli; dosyć było, gdyby nam tylko doniósł, że będziesz przejeżdżał przez Walladolid. Wiemy bardzo dobrze, tak ja jak i moja siostra Kamilla, jak obchodzić się z człowiekiem, który największą w świecie oddał przysługę jednemu z naszej rodziny, a osobliwie tej, którą najserdeczniej kochamy. — Odpowiadałem na te wyrazy jak mogłem najlepiej, po czem następowaliśmy nowe oświadczenia i nowe grzeczności. Don Rafał spostrzegłszy, że jeszcze miałem bućki na nogach, kazał mi zdjąć swoim służącym.

Przeszliśmy potem do innego pokoju w którym zastawiono jedzenie. Siedliśmy do stołu, don Rafał, Kamilla i ja. Tysiąc grzeczności prawili mi w czasie wieczerzy. Ja nie wymówiłem ani jednego wyrazu, w którymby oni nie podziwiali mojego

dowcipu; trzeba było widzieć ich troskliwość, z jaką podawali mi każdą potrawę. Don Rafał często spełniał za zdrowie dony Mencyi. Naśladowałem go chętnie, zdawało mi się nieraz, że Kamilla, która także trącała z nami swoim kieliszkiem, rzuciła na mnie oczkiem, które coś znaczyło. Mniemałem nawet, że tak zręcznie upatrywała chwili do tego, aby brat jej nie spostrzegł. Nie trzeba było więcej dla przekonania mnie, że nie jestem jej obojętny: pochlebiałem sobie, że będę korzystał z tego odkrycia, jeżeli tylko zabawię w Walladolid. Takowa nadzieja przyczyniła się najwięcej, żem przystał chętnie na ich prośbę przepędzenia kilku dni u nich. Podziękowali mi za moją grzeczność, a radość objawiona przez Kamillę, utwierdziła mnie w mniemaniu, żem się podobał.

Don Rafał widząc, żem zamierzył zabawić u nich, oświadczył, iż mnie chce zawieźć do swojego zamku. Zrobił wspaniały opis jego, i rozwodził się nad zabawami jakimi pobyt mój uprzyjemnić zamysła. — Raz zabawimy się polowaniem, drugi raz użyjemy przyjemności rybołówstwa, a jeżeli podoba ci się przechadzka, mamy lasy i rozkoszne ogrody. Prócz tego, będziemy mieli wyborne towarzystwo, spodziewam się, że się nie znudzisz. — Przyjąłem propozycję, i postanowiono, że zaraz nazajutrz udamy się do tego rozkosznego zamku. Wstaliśmy od stołu, ułożywszy tak piękny pomysł. Don Rafał unosił się z radości. — Panie Gil Blas, rzekł ściskając mnie, zostawiam cię z moją siostrą; idę wydać natychmiast potrzebne rozkazy i wiadomości wszystkim osobom, które chce zaprosić do towarzystwa. — To rzekłszy wyszedł, a ja rozmawiałem z panią, która w rozmowie swojej nie okazała sprzecznosci ze słodkimi oczkami, jakie do mnie robiła w czasie wieczerzy. Wzięła mnie za rękę, a przypatrując się pierścieniowi, rzekła: masz pan dość piękny brylant, ale jest zamały; czy znasz się pan na klejnotach? Odpowiedziałem, że nie. Szkoda, odparła, powiedziałałbyś co wart może być ten, pokazując wielki rubin, który miała na palcu, a gdy mu się przyglądałem, powiedziała mi, że go jej podarował jeden z jej wujów, który był gubernatorem osad hiszpańskich na wyspach Filipińskich. Jubilerowie w Walladolid cenią go na trzysta luidorów. Ja wierzę, bo mi się zdaje bardzo piękny. Ponieważ się panu tak podobał, pomieniamy się więc; i w tej chwili ściągnęła mój pierścień, a wsunęła mi swój na mały palec. Po takiej zamianie, która mi się zdała być delikatnym sposobem ofiarowania upominku, Kamilla ścisnęła mnie za rękę, i spojrzała mi w oczy bardzo czule; potem nagle przerywając rozmowę, życzyła mi dobrej nocy. Oddaliła się pomieszana, jak gdyby się wstydziała, że zbyt wyraźnie objawiła mi swoje uczucia.

Chociaż w zalotach zupełnym byłem nowicuszem, przecież czułem dobrze, co usunięcie się tak nagle mogło mieć dla mnie obowiązującego; ztąd wnosłem, że nieźle czas przepędzę na wsi. Kołysany tak pochlebem i marzeniami i świetnym postępem moich interesów, zamknąłem się w moim pokoju, który mi do spania przeznaczono, poleciwszy służącemu mojemu, aby mię bardzo rano obudził. Zamiast pomyśleć o spaniu, ja tymczasem puściłem cugle słodkim marzeniem, jakie mi sprawiał z jednej strony kuferek postawiony na stole, z drugiej strony rubin. Dzięki Bogu, pomyśliłem, jeżeli dotąd byłem nieszczęśliwy, teraz już nim nie jestem. Tu pierścień trzysta luidorów, tam tysiąc dukatów, to fundusz na długo wystarczający. Maźuelo nie durzył mnie bynajmniej, teraz to widzę; pozawracam tysiącom kobiet głowy w Madrycie, kiedy tak łatwo podobałem się Kamilli. Uprzejmość tej szlachetnej kobiety przedstawiała mi się w umyśle ze wszystkimi wdziękami; naprzd już kosztowałem rozkoszy zabaw, jakie mi gotował don Rafał w swoim zamku. Wśród tych obrazów miłych, sen zawiesił swój słodki znak nademną. Czując się znużonym, rozebrałem się i położyłem się w łóżko.

Nazajutrz obudziwszy się, spostrzegłem, że już było dosyć późno. Dziwiło mnie mocno, żem nie widział służącego swojego, mimo wydany mu rozkaz. Ambroży, mój ten wierny Ambroży, jest w kościele, albo też może wielki leniuch. Lecz wnet straciłem o nim tę opinią, dla powzięcia gorszej; bo wstawszy

nie widziałem mego kufierka i miałem go w podejrzeniu, że go skradł w nocy. Dla wyjaśnienia moich domysłów, otworzyłem drzwi i kilka razy wołałem mego obłudnika. Na mój głos przyszedł jakiś starsuszek pytając się:—Czego pan żądasz? wszyscy ludzie pańscy oddalił się z domu mego przed świtem.—Jako z domu twój? zawołałem, toż ja nie jestem w domu don Rafała?—Ja nie wiem co to za kawaler, odpowiedział mi. Pan jesteś w hotelu umebłowanym, a ja jestem gospodarzem. Wczora wieczór, na godzinę przed przybyciem pańskim, ta dama, która jadła razem z paucm wieczorę, przybyła tu, zamówiła te pokoje dla wielkiego pana, który jak mówiła, podróżuje *incognito*. Zapłaciła mi nawet naprzód.

Już więc wpadłem na trop. Wiedziałem co myśleć o Kamilli i o don Rafała; domyśliłem się, że mój służący znając dobrze moje interesa, sprzedał mi te oszustom. Zamiast sobie samemu przypisywać ten smutny przypadek i pomyśleć, żeby mi się był nigdy nie wydarzył, gdybym był bez potrzeby nie zwierzył się nierozsądnie Maźuelmu, ja tymczasem składałem winę na los wcale niewinny, i złorzeczyłem mojej gwiazdzie. Gospodarz hotelu umebłowanego, któremu opowiedziałem moją przygodę, którą może znał tak dobrze jak ja sam, okazał się czułym na mój żal. Ubolewał nademną i oświadczył, iż mu jest najprzykrzejszą rzeczą, że ten wypadek właśnie w jego domu się wydarzył; zdaje mi się wszakże, iż mimo te objawy żalu, nie mniejszy on udział miał w tém oszustwie, jak mój gospodarz z Burgos, któremu wszakże nigdy nie odmówię zaszczytu wynalazku.

ROZDZIAŁ XVII.

Co przedsięwziął Gil Blas po wypadku w hotelu umebłowanym.

Opłakawszy bardzo niepotrzebnie swoje nieszczęście, zastanowiłem się, że zamiast upadać pod natłokiem trosk, wypadła mi raczej zahartować się na ciosy przeciwniej fortuny. Przyzwalałem na pomoc odwagę, i dla pociechy pomyśliłem ubierając się, że jeszcze dosyć szczęścia mam, że łotry nie zabrały mi ubioru i kilku dukatów, które miałem w kieszeni. Wdzięczny im byłem za tę grzeczność. Dosyć nawet okazali szlachetności, zostawiając mi buciki, które ustąpiłem gospodarzowi za trzecią część ich wartości. Wreszcie opuściłem hotel umebłowany, nie potrzebując dzięki Bogu człowieka do przeniesienia moich manatków. Najpierwszą moją czynnością było dowiedzieć się w zajeździe, w którym wczoraj stanąłem, czy są tam muly moje. Wnosiłem, że ich tam pewnie Ambroży nie zostawił: bodajbym był tak rozsądnie dawniej o nim sądził! Dowiedziałem się, że zaraz wieczór zabrał je zlamtad. Tak więc licząc że ich już nigdy nie zobaczę, podobnie jak kufierka, chodziłem smutny po ulicach, rozmyślając co mam teraz począć. Brała mnie pokusa wrócić do Burgos, i jeszcze raz utecie się do wspaniałomyślności dony Menei; lecz zważywszy, żeby to było nadużycie jej dobroci, z drugiej strony objawiały moją głupotę, porzuciłem więc tę myśl. Poprzysiąłem, że na przyszłość strzedz się będę kobiet; w tej chwili nie ufałbym był nawet nieskalanej Zuzannie. Kiedyniekiedy spoglądałem na mój pierścień, a pomyślając, że to był dar Kamilli, żal mi serce ścisnął. Niestety! nie znam się na rubinach, ale znam już ludzi z którymi zrobiłem zamianę. Mulemałem, że nie miał potrzeby udawać się do jublera, dla przekonania się, że jestem głupcem.

Nie mogłem wszakże przenieść na siebie, aby się nie dowiedzieć co też wart mój pierścień. Pokazałem go jubilerowi, który go ocenił na trzy dukaty. Na tę taxę, która mnie nie zdziwiła bynajmniej, poleciłem wszystkim djabłom siostrzeńce gubernatora wysp Filipińskich, czyli raczej powtórzyłem tylko tę ofiarę. Kiedym wychodził od jublera, spotkałem młodego człowieka, który się zatrzymał, wpatrując się we mnie. Zrazu nie przypomniałem go sobie, choć dobrze go znałem.—Jako, Gil Blas, oznał się do mnie, udajesz że mnie nie znasz? albo czy te dwa lata zmieniły tak dalece syna cyrnika Nunez, iż go poznać nie możesz? Przypominaj sobie Fabrycego, spółzłomka i spółucznia. Tak często rozprawialiśmy u doktora Godinez o wszechnościach i stopniach metafizycznych.

Poznałem go nim jeszcze skończył mówić; uściskaliśmy się serdecznie.—Ha, mój przyjacielu, jakże się cieszę z twojego spotkania! nie potrafię ci wyrazić radości jaką zjad czuje... Ależ, spłagnał dalej z niejakim podziwieniem, w jakimże ja to stanie ciebie oglądam? Dalibóg ubrany jesteś jak książę. Piękna szpada, pończochy jedwabne, kaftan i płaszcz aksamitny złotym haftem zdobny! Niech cię licha weźmie, to djable pachnie szczęśliwym losem. Założyłbym się, że to jakaś podstarzała kobieta zrobiła cię uczestnikiem swojej szczodroliwości.—Mylisz się, odpowiedziałem, stan mój nie jest tak różowy, jak ty sobie wyobrażasz. Dla innych, braciśku, dla innych schowaj tę twoją dyskretność.—A ten piękny rubin, który widzę u ciebie na palcu, panie Gil Blas, z kąd pochodzi, jeżeli wolno się zapytać?—Pochodzi od wiertnej oszustki. Fabrycy, kochany Fabrycy! mówiłem, zamiast zwracać głowy kobietom Walladolida, stałem się ich łgraszką."

Te ostatnie wyrazy wymówiłem tak żalonym głosem, że Fabrycy pomiarkował zaraz, iż mi wypłatano figla. Nalegał na mnie, abym mu powiedział, co mam za powód do utysków na pięć piękna. Skłoniłem się bez trudu do zaspokojenia jego ciekawości; lecz że powieść moja była dość długa, a przeto nie chcieliśmy się rozłączać tak prędko, wstąpiliśmy więc do karczmy, aby swobodniej pomówić. Tam jedząc śniadanie opowiedziałem mu wszystkie moje przygody od chwili opuszczenia Oviedo. Przypadki moje zdały mu się dosyć dziwaczne, a wynurzywszy mi swoje politowanie nad stanem w jakim się znajdowałem, rzekłmi:—Nietrzeba rozpaczać, mój przyjacielu, w żadnym nieszczęściu, tém się to jedynie różnią dusze silne od umysłów niedołężnych. Człowiek z talentem, jeżeli wpadnie w biedę, czeka cierpliwie czasów szczęśliwszych. Nigdy, jak mówi Cycero, nie powinien tak dalece upadać pod nawalem nieszczęścia, żeby aż zapomniał, że jest człowiekiem. Co do mnie, ja właśnie takie mam usposobienie; klęski nie zgębiały mnie nigdy; zawsze jestem wyższy nad przeciwności losu. Naprzykład, kochałem w Oviedo panienkę zacnego rodu, była mi wzajemną; oświadczyłem się ojcu, prosząc o jej rękę, ten odmówił. Inny byłby umarł z żalu, ja... podziwiał moc mojej duszy, wykrałem moją kochankę. Była żywą, płochą, zalotną; przyjemność skłaniała ją zawsze na uszerbek obowiązku. Wozilem ją przez sześć miesięcy po królestwie Galicyi; ponieważ zamakowała w podróżach, chciała koniecznie odwiedzić Portugallę, ale przybrała sobie innego towarzysza podróży; inny przedmiot do rozpacy. Ale ja nie nęgląłem się pod ciężarem tego nowego nieszczęścia; a roztropniejszy od Menelausa, zamiast zbroić się przeciw Parysowi, który mi uwiodł moją Helenę, ja byłem mu wdzięczny, że mnie od niej uwolnił. Potem nie chcąc wracać do Asturyi, aby uniknąć spotkania się ze sprawiedliwością, udałem się do królestwa Leonu, włócząc się od miasta do miasta i prusząc pieńkądze, które mi jeszcze pozostały z wzięcia mojej infantki, bośmy oboje pamiętali o sobie uciekając z Oviedo. I nie-
leśmy się opatrzyli; ale niedługo wszystko to co miałem poszło z dymem. Przybyłem do Palencyi, mając jedyne dukata w kieszeni, a za to jeszcze trzeba było kupić trzewiki. Zresztą niedaleko można było zająć. Położenie moje było dość przykre, zacząłem nawet już pościć; trzeba było szybko coś przedsięwziąć. Postanowiłem więc wejść do służby. Dostałem się naprzód do tłustego kupca, handlującego sukmem, który miał syna rozpustnika. Znalazłem tam schronienie przed wstrzemię-
żliwością, ale zarazem nie miał kłopot. Ojciec kazał mi splegować syna, a syn prosił, żeby mu pomódz oszkuwać ojca; trzeba było wybierać. Przeniosłem prośbę nad rozkaz, a wybór ten, stał się przyczyną mojej odprawy. Przeszedłem do służby starego malarza, który z przywiązania chciał mnie nauczyć zasad swojej sztuki; lecz pokazując mi je, morzył mnie głodem. To mnie zraziło i do malarstwa i do pobytu w Palencyi. Przybyłem do Walladolida, gdzie niesłychanem szczęściem na świecie, wszedłem do domu admistratoza szpitala; jestem w nim dotąd, i cieszę się z mego stanu. Pan Manuel Ordenez, mój chlebodawca, jestto człowiek głębokiej pobożności; człowiek poczciwy, chodził zawsze ze spuszczone-
m oczyma, z po-

teżnym różańcem w rękę. Mówią, że od młodości, dobro błędnych jedynie mając na celu, poświęcił mu się z gorliwością niezmordowaną. Trudy jego nie zostały bez nagrody: wszystko mu się wiedzie. Co za błogosławieństwo Boskie! zajmując się interesami ubogich, przyszedł do ogromnego majątku.

Kiedy tak prawil Fabrycy, rzekłem mu:—Ciesz się mocno, żeś kontent ze swojego losu; lecz mówiąc między nami, zdaje mi się, iż mógłbyś zaszczytliwszą grać rolę na świecie, nie koniecznionóżalca; człowiek tak ukształcony, mógłby się wznieść daleko wyżej.—Gil Blas, ty nie wiesz o tém, odpowiedział mi, że dla człowieka, z takim humorem jak ja, niema przyjemniejszego stanu jak mój. Powołanie lokaja jest przykre, przynca potrzeba, dla niedołęgi, lecz dla chłopca rozgarnionego, pełne jest przyjemności. Umysł wyższy, przyjmując obowiązek, nie spełnia go tak, jak gap', wchodzi do domu dla rozkazywania raczję, nie dla służby. Zaczyna od poznania swojego pana: nagina się do jego ułomności, zyskuje jego zaufanie, a potem wodzi go za nos. Tak właśnie sprawilem się u mojego administratora. Poznałem od razu pielgrzyma; spostrzegłem że chce uchodzić za świętego; udałem głupiego, że temu wierzę; a cóż to kosztuje? więcej zrobiłem, zacząłem go kopiować; a grając w jego oczach też samą rolę, którą on odgrywał w oczach innych, oszukałem szalbierza, i powoli zostałem jego tofumackim. Mam nadzieję, że kiedyś przy jego opiece, będę się mógł wtrącić do interesów ubogich. Być może, iż także dojdę do majątku; bo czuję w sobie tyleż co on miłości ich dobra.

—Złote sąto nadzieje, rzekłem, mój Fabrycy, wiesz, że ale co do mnie, wracam do pierwszego zamiaru. Zamieutę mój ubiór haftowany na kapolę, udam się do Salamanki i zaciągnąwszy się pod chorągiew uniwersytecką, przyjmę obowiązek nauczyciela.—Pyszny zamiar, zawołał Fabrycy, bnuja imaginacya! Co za głupstwo, w twoim wieku, poświęcać się na klechę! Nieszczęśliwy człowieku, czy ty wiesz do czego się zobowiązujesz, chwytając się tej strony? Skoro tylko znajdziesz miejsce, cały dom oczy wróci na ciebie, najdrobniejsze twoje czynności ściśle śledzić będą. Będziesz musiał ciągle żyć pod przymusem, przywdziać maskę świętoszka, strodć się w pozór wszystkich cnót. Nie zostanie ci ani jedna chwila na rozrywkę. Wiesz, że cenzor twojego wychowawca, po całych dniach uczyć go będzieś łaciny; gromić, skoro co powie, lub zrobić przeciwnę przyzwoitość; a to niemałe zatrudnienie. Po takich móżalach, jakąż korzyść odniesiesz za twoje poświęcenie? Jeżeli młody szlachetka będzie hulajem, powiedzą, żeś go źle wychował, rodzice jego oddadą cię bez najmniejszego wynagrodzenia, a może nawet nie wypłacą ci pensyi należnej. Nie gadaj mi wcale o posadzie nauczyciela; jest to wielki ciężar dla duszy. Ale praw mi o powołaniu lokaja; jest to posada, nie obowiązująca do niczego. Jeżeli pan ma wady, człowiek z wyższym talentem, który mu usługuje, schlebła im, często nawet obraca je na swoje korzyść. Służący żyje bez troski w dobrym domu. Napiwszy się i najadłszy do syta, śpi spokojnie, jak dziecko rodziny, nie myśląc o piekarzynie, ani o rzeźniku. Nie skończyłbym, mój bracie, gdybym ci chelał wliczyć wszystkie dogodności służby. Wierz mi Gil Blasie, porzuć na zawsze chęć zostania nauczycielem, a wstępnj w moje ślady.—Dobrze, mój Fabrycy, odpowiedziałem, ależ to nie zawsze znaleźć można administratorów szpitala; a gdybym już skłonił się do służby, chciałbym przynajmniej znaleźć dobre miejsce.—Bah, w tém masz słusność, odparł zaraz, ale to będzie moja rzecz. Zaręczam ci za wyborne umieszczenie, choćby to miało być tylko dla wydarca uniwersytetowi zgrabnego chłopaka.

Nędza, która mi groziła, zadowolenie Fabrycego, które mnie bardziej przekonywało, niż jego rozmowanie, skłoniło mnie do przyjęcia służby. Potem wyszliśmy z karczmy, a mój spółzłomek rzekł:—W tej chwili zaprowadzę cię do zacnego człowieka, do którego się ndają wszyscy lokaje, na bruku będący; ma on starych wyjadaczy, którzy mu donoszą o wszystkich tajemnicach domowych. Wię on komu potrzeba służącego, utrzymuje dokładny spis nietylko miejsc opróżnionych, ale nawet

złych i dobrych usposobień panów. Jestto człowiek, który był braclszkiem, nie wiem w jakimś tam klasztorze. Zresztą, on i mnie wskazał miejsce."

Tak rozmawiając o tém szczególném biurze zleceń, syn cyrulika Nunez, zaprowadził mnie w sam kąć uliczki niecałej. Wszliśmy do małego domku, gdzie zastaliśmy człowieka pięćdziesiąt kilka lat mającego, który wtedy pisał coś na stole. Powitaliśmy go i to dosyć uniżenie; lecz czy był z natury dumny, czy też przywykły do oglądania u siebie samych lokajów i wóźnic, przyuczył się do przyjmowania ludzi po kawalersku, nie ruszył się z miejsca; lekko tylko kiwnął nam głową. Mnie wszakże przyglądał się ze szczególniejszą uwagą. Widziałem dobrze, że go to zastanawiało, iż młody człowiek, w ubiorze wyszwanym, axamitnym, chciał być lokajem; z większą słusnością mógł się domyślać, że przyszedłem żądać służącego. Niedługo wszakże mógł zostać w powątpiewaniu, bo Fabrycy zaraz odezwał się do niego:—Panie Arias de Londona, pozwolisz, że ci przedstawię najlepszego mojego przyjaciela. Jestto chłopiec dobrego urodzenia, który nieszczęściami zmuszony, szuka służby. Wskaż mu z łaski swojej dobre miejsce, a możesz liczyć na jego wdzięczność.—Panowie, ozłębile odpowiedział Arias, wy wszyscy jesteście po jednych pieniędzach; nim wam się wynajdzie miejsce, nie szędzicie złotych obietnic, lecz raz umieściwszy się, zapominacie o wszystkich.—Jako! odrzekł Fabrycy, maszże powód skarżyć się na mnie? nie dobrzemże się sprawił?—Mógłbyś jeszcze lepiej, odpowiedział Arias; twoje miejsce tyle warto, co urząd pełnomocnika, a tyś mnie zapłacił tak, jak gdybym cię umieścił u jakiego autora.—Wtedy ja przerwałem, i rzekłem do pana Arias, że chęć mu pokazać iż nie jestem niewdzięczny, chęć aby wdzięczność moja uprzedziła przysługę. W tej samej chwili dostałem dwóch dukatów, które mu wręczyłem, obiecując, że na tém nie poprzestane, skoro się ujrzę w dobrym domu.

Zdawał się być zadowolonym z mojego sposobu wzięcia się.—Lubie, rzekł, kiedy tak ze mną postępnją. Są, mówił dalej, wyborne miejsca opróżnione; zaraz je wymienię, a wybierzesz sobie według woli." Kończąc te wyrazy, włożył okulary, otworzył spis leżący na stole, przewrócił kilka kart, i zaczął czytać w ten sposób: „trzeba lokaja dla kapitana Forbellino, człowieka popędliwego, brutalna i dziwaka; łaje ciągle, klnie, bije, i najęściej kaleczy swoich służących.—Przejdźmy do innego rzekłem, ten kapitan nie jest w moim guście." Żywość moja rozśmieszyła Ariasa, i dalej tak czytał: Dona Manuela de Sandoval, podstarzała wdowa, kłóliwa dziwaczka, jest obecnie bez służącego: ma zwykle jednego tylko, a i tego nie może dotrzymać przez dzień cały. Jest w domu od dziesięciu lat liberya, służąca wszystkim lokajom, których przyjmuje, bez względu na ich wzrost; możesz śmiało powtędzić, że każdy tylko jęj przymierza, dlatego też jest jeszcze zupełnie nowa, choć już dwa tysiące lokajów ją nosiło. Nie ma także lokaja doktor Alvar Fanez, lekarz chemik. Karmit dobrze swoich służących, ubiera ich porządnie, daje im nawet wielkie zasługi, ale robi na nich próby swoich lekarstw. Często tam dla lokajów jest miejsce otwarte."

—Oh! wierzę mocno, rzekł śmiejąc się Fabrycy. Dallbóg przedziwne miejsca nam wskazujesz!—Cierpliwości, odpowiedział Arias de Londona, jeszcześmy przecie nie doszli do końca: znajdzie się, co was zapokoi. Poczém czytał dalej: Dona Alfonsa de Salis, stara dewotka, która dwie trzecie dnia przepędza w kościele i chce, aby jęj lokaj był zawsze tuż przy niej, od trzech już tygodni, jest bez służącego. Licencyat Sedillo, stary kanonik tutejszj kapituły, wczoraj wieczór wypędził swojego lokaja.—Stój, panie Arias de Londona, zawołał w tém miejscu Fabrycy: to ostatnie miejsce zatrzymamy. Licencyat Sedillo jest przyjacielem mojego pana, znam go doskonale. Wiem że u niego dozorczynią jest stara świętoszka, nazwiskiem dona Jacenta, która wszystkiem u niego rozporządza. Jestto jeden najlepszyc domów w Walladolid. Życie spokojne, jedzenie wyborne. Prócz tego kanonik, człowiek słabowity, stary pedogrzysta, który niedługo będzie układał testament, można się

spodziewać zapisu. Pyszny widok dla lokaja! Gil Blas, dodał zwracając mowę do mule, nie traćmy czasu przyjacielu, idźmy natychmiast do licencyata. Ja cię sam przedstawię i będę ci służył za poręczyciela. Po tych słowach z obawy uchybienia tak pięknej sposobności, pożegnaliśmy się prędko z panem Arias, który mnie zapewnił, że jeżeliby to miejsce minęło mnie, mogę liczyć z pewnością, iż mi wynajdzie drugie takie.

KSIĘGA DRUGA.

ROZDZIAŁ I.

Fabrycy wprowadza Gil Blasa do licencyata Sedillo. Stan tego kanonika. Obraz jego dozorczyńi.

Takeśmy się bali, żeby się nie spóźnić do starego licencyata, iż prawie jednym skokiem z uliczki niecałej, stanęliśmy przed jego domem. Zastaliśmy drzwi zamknięte: zastukaliśmy więc; otworzyła nam dziewczynka, około dziesięć lat mieć mogąca, którą dozorczyńi za swoją siostrzenicę udawała, na przekorę złym językom: zapytaliśmy się, czy można mówić z kanonikiem, a wtém też dona Jacenta się pokazała. Była osoba już w wieku poważnym, ale jeszcze przystojna; mnie podobała się szczególnie świeżość jej cery. Miała na sobie suknię długą z najprostszą materją wełnianą, szeroki pasek skórzały, przy którym z jednej strony wisił pęk kluczy, z drugiej nieużywany różaniec. Skorośmy ją spostrzegli, powitaliśmy ją naprzód z wielkiem uszanowaniem, odskłoniła się nam bardzo grzecznie, ale z miną skromną i oczyma spuszczone.

— Dowiedziałem się, rzekł jej mój towarzysz, że pan licencyat Sedillo potrzebuje uczciwego chłopca; dlatego przybyłem mu przedstawić jednego, z którego spodziewam się, kontent będzie. — Na te słowa dozorczyńi podniosła oczy, bystro na mnie spojrziała, a nie mogąc pogodzić haftu mojego z mową Fabrycego, zapytała się, czybym to ja starał się o to miejsce. — Tak jest, rzekł syn Nuneza, właśnie ten młody człowiek. Tak jak go pani widzisz, nieszczęściami zębkany musł przyjąć służbę: to go przynajmniej cieszyć będzie w jego niedoli, dodał tonem słodzikim, jeżeli będzie miał szczęście dostać się do tego domu i żyć pod jednym dachem z cnotliwą Jacentą, która godna jest być dozorczynią w pałacu patriarchy tadyjskiego. To słysząc stara świętozka spuściła mnie z oczu, by uważać tak miłego mówcę; a uderzona jego rysami, które jej się znajome wydały: — Przypomina mi się jak przeze mgłę, rzekła mu, żem cię gdzieś widziała; wesprzyj moją pamięć z łaski swojej. — Byłem w tym domu dwa razy z panem moim Mauuelem Ordonez, administratorem szpitala. Prawda! odpowiedziała dozorczyńi, przypominam sobie. Ponieważ należysz do pana Ordonez musisz być dobry chłopiec i uczciwy. Miejsce, jakie zajmujesz, jest najlepszą dla ciebie pochwałą, a ten młodzieniec nie mógłby znaleźć lepszego poręczyciela. Pójdźcie, rozmówcie się z panem Sedillo. Spodziewam się, że będzie bardzo rad mieć służącego z twojej ręki.

Poszliśmy więc za panią Jacentą. Kanonik mieszkał na dole, zajmował zaś cztery pokoje jeden za drugim, z piękną posadzką. Prosiła nas, abyśmy na chwilę zatrzymali się w pierwszym pokoju, sama zaś weszła do drugiego, w którym był licencyat. Zabawiwszy tam czas niejaki, aby mu stau rzeczy wyjaśnić, wróciła nam oznajmić, że możemy wejść. Ujrzeliśmy starego pedogrzystę zatopionego w wielkiem krześle, poduszka pod głową, poduszki pod pachami, a nogi oparte na sporym worku puchem napchanym. Zbliżyliśmy się do niego, nie szcędząc ukłonów, a Fabrycy i tu jeszcze głos zabierając, nie poprzestał na powtórzeniu wszystkiego, co tylko powiedział pani Jacencie, ale nadto chcąc podnieść moje zasługi, rozszerzał się nad sławą, jakiej nabyłem u doktora Godinez rozprawiając z nim w przedmiotach filozoficznych; jak gdyby potrzeba było być wielkim filozofem, aby zostać lokajem kanonika. Jednakże przez te piękne pochwały, rzucił płaskiem w oczy licencyata, który prócz tego uważając, iż dosyć podobałem się

pani Jacencie, rzekł do mojego poręczyciela: — Przyjacielu, przyjmuję chłopca, któregoś mi przyprowadził, dosyć mi się zdaje odpowiednim, o obyczajach zaś jego dobrą mam opinią, ponieważ mi jest zalecony przez pokojowca pana Ordonez."

Skoro tylko Fabrycy ujrzał, żem zatrzymamy, oddał głęboki pokłon kanonikowi, drugi głębszy jeszcze dozorczyńi, oddalił się szepnąwszy mi do ucha, że się zobaczymy, byleby tylko został na miejscu. Skoro on odszedł, licencyat pytał się mnie o nazwisko, dlaczego opuściłem rodzinne miejsce, przez co skłonił mnie, abym mu w przytomności pani Jacenty opowiedział moją historią. Rozweseliłem ich oboje, osobliwie też ostatnią moją przygodą. Kamilla i don Rafał do takiego ich śmiechu pobudził, że życie starego pedogrzysty umało na niebezpieczeństwo narażone nie było: bo gdy z całych sił śmiać się począł, tak gwałtowny porwał go kaszel, iż rozumiałem, że już skończy. A jeszcze nie zrobił testamentu, sądzić, czy dozorczyńi nie miała powodu być przerażoną. Dlatego też widziałem ją pomieszana, drżącą; biegła na pomoc staremu, używając wszystkich środków, jakimi pospolicie ratują kaszlące dzieci, tarła mu czoło, lekko biła w plecy. Ale to tylko była fałszywa trwoga: stary przestał kasłać, a dozorczyńi już go nie mordowała. Wtedy ja chciałem dokończyć mojego opowiadania; ale pani Jacenta bojąc się powrotu kaszlu, zabroniła mi. Wyprowadziła mnie nawet z tego pokoju do szatni, gdzie między różnymi ubiorami, była także liberya mojego poprzednika. Kazała mi ją przywdziać, a mój ubiór położyła w to miejsce; nie gniewałem się wcale o to, miałem bowiem nadzieję, że mój ubiór kiedyś przydać mi się może. Poczém poszliśmy oboje przyrządzać obiad.

Nie okazałem się nowicuszem w sztuce kucharskiej. Prawda, żem nie bez korzyści terminował u pani Leonardo, która mogła ująć za wyborną kucharkę; przecież równać się nie mogła z panią Jacentą, która może nawet przewyższała kuchmistrza arcybiskupa toledańskiego. Wszystko umiała wyborne przyrządzić: zupa jej była przepyszna, tak umiała zręcznie dobiierać i mieszać różne mięsiva, których do jej składni używała: fasze zaś z najwykwintniejszym smakiem robiła. Kiedy obiad już był gotowy, wróciliśmy do pokoju kanonika, ja nakrywałem stół tuż przed krzesłem jego, a dozorczyńi tymczasem założyła mu serwetę pod brodę i na plecach zawiązała. Zaraz potem przyniosłem zupę, którąby można było postawić przed najświetlejszym radcą madryckim, a potem dwie przyprawki, któreby niezawodnie mile łechtaly podniebienie wicekróla, gdyby pani Jacenta mulej oszczędną była w przyprawach korzennych, z obawy podrażnienia pedogry starego. Na widok tak wybornych potraw mój stary pan, którego ja uważałem za pozabawionego władzy we wszystkich członkach, pokazał, że jeszcze potrafił używać rąk swolch. Użył ich naprzód do pozbycia się poduszki, które mu zawadzały i następnie ochocho się zabrał do jedzenia. Drżała mu wprawdzie ręka, ale nie odmawiała usługi, owszem szybko się zwijala od talerza do ęby, chociaż połowę tego co brał, zostawił na obrusie i na serwecie. Zdjąłem ze stołu zupę, skoro ją na bok odsunął, a natomlast postawiłem kuropatwę otoczoną dwiema przeplórkami, które mu pani Jacenta rozebrała. Pamiętała także, aby dobrze popijał, nalewając mu wino, cokolwiek wodą roztworzone, w czarę srebrną głęboką i szeroką; którą mu podawała do ust, jak dziecku dwuletniemu. Szczególniej się zawziął na przyprawki, ale nie ubliżył bynajmniej i innym potrawom. Kiedy się już dobrze nasycił, pani Jacenta odwiała mu serwetę, popodkładała napowrót poduszki i zostawiła go spokojnie w krześle, aby się przedrzył, jak to zwykle robił: my zaś sprzątnąwszy ze stołu, poszliśmy także na obiad.

Takiego obiadu codziennie zjadał kanonik, który może był największym łakotnikiem z całej kapituły. Ale za to wieczera jego była daleko skromniejsza, poprzestawał na jednej pularce, lub króliku z komputem. Wyborny miałem stół w tym domu, przyjemne wiodłem życie: jedna tylko rzecz była mi przykra, musiałem pilnować mojego pana i czuwać po całych nocach, jak inkrmerka szpitalna. Oprócz zatrzymania uryny co go zmu-

szalo do ządania nocnego naczynia po dziesięć razy na godzinę, podlegał on jeszcze słabości gwałtownego pocenia się, a wtedy trzeba mu było zmieniać bieliznę. Po drugiej zaraz nocy oświadczył mi:—Gil Blas, tyś bardzo zręczny i czujny, ja widzę, że twoja usługa będzie mi bardzo dogodna. Zalecam ci tylko największą grzeczność, dla pani Jacenty, spełniaj chętnie wszystko co ci powie, tak jakbym ja to rozkazywał; ta kobieta z osobliwą gorliwością usługuje mi już od lat piętnastu; tak jest troskliwą o mnie, że nie umiem jej tego dostatecznie zawdzięczyć. Dlatego też, wyznam ci szczerze, że mi jest miłą od całej mojej rodziny. Wypędziłem mojego siostrzeńca z jej przyczyny, syna mojej siostry rodzonej i dobrze zrobiłem. Żadnego nie miał uszanowania dla tej biednej dziewczycy; zamiast uzoać jej szczerze do mnie przywiązanie, ten zuchwalec uważał ja za udaną bogobojniścę; do to dziś w oczach młodych ludzi każda cnota jest obłądą. Dzięki Bogu pozbyłem się tego hołysza. Przywiązanie, jakie mi ktoś okazuje, wyżej ja cenię nad wszystkie związki pokrewieństwa, mnie tém jedynie co mnie ktoś dobrego świadczy, zobowiązać można. —Bardzo sprawiedliwie, panie licencyacie, rzekłem, wdzięczność powinna nas silniej wiązać, niżeli prawa natury. —Bez wątplenia odpowiedział, dlatego też testament mój pokaże, iż się bynajmniej nie troszczę o krewnych. Moja dozorczyni będzie w nim miała znaczną swoją część, ja nie zapomnę i o tobie, jeżeli mi tak ciągle służyć będziesz, jak zaczęłaś. Lokaj, któregoem wezorał odpędził, z własnej winy stracił piękny zapis. Gdyby ten nędznik nie był mnie zmusił swoim obchodzeniem się do odprawienia go, byłym go zбогаcił; ale to był hardy, nieumiejący szanować pani Jacenty, próżniak lekający się najmniejszego trudu. Nie lubił czuć przy mnie; przykro mu było pielegnować moje w nocy. —Nieszczęśliwy! zawołałem, jak gdyby mnie duch Fabrycego natchnął; nie godzinę był znajdując się przy tak uczciwym człowieku jakim pan jesteś. Chłopcę, który ma szczęście należęc do pana, powinien być niezmordowanej gorliwości; powinien znajdować rozkosz w spełnianiu swoich powinności, nie uważać się za utrudzonego; choćby się krwawy pot lał mu z czoła.”

Uważałem, że moja mowa podobała się bardzo licencyatowi. Niemniej okazał zadowolenia, gdym mu oświadczył, że będę uległy na każde skinięcie pani Jacenty. Chcąc więc uobodzić za sługę, którego żadne trudy nie zrażają, spełniałem mój obowiązek jak tylko mogłem najnaprzejmiej. Nie skarżyłem się nigdy na nocy bezsenne, chociaż to nie było mi przyjemne, i gdyby mnie nie ożywiła nadzieja zapisu, byłym niedługo sprzykrzył sobie służbę, nie byłym tego wytrzymał, choć przynależał mi muszę, że we dnie spałem kilka godzin. Dozorczyni, muszę jej oddać sprawiedliwość, wiele mi okazywała względności, co przypisać należy moim zabiegom w pozyskaniu jej łaski przez postępowanie grzeczne i pełne uszanowania. Jeżeli zastadłem do stołu z nią i jej siostrzenicą zwaną Inesilla, zmieniałem im talerze, nalewalem napój, z największą uwagą usługiwałem. Tym sposobem wkradłem się w ich łaskę. Pewnego dnia, gdy dozorczyni wyszła za kupnem potrzebnych zapasów, a ja zostałem sam na sam z Inesilla, wdałem się z nią w rozmowę. Zapytałem się czy jej ojciec i matka żyją. Oh! nie, odpowiedziała mi, dawno, bardzo dawno jak pomarli, tak mi moja dobra ciocia powiedziała, bo ja ich nigdy nie widziałam. Uwierzylem dziewczynie, chociaż odpowiedź jej nie była stawowczą; i tak jej rozwiązałem język, iż mi więcej powiedziała, niż ja chciałem wiedzieć. Dowiedziałem się od niej, czyli raczej z naiwnych wyrażen jej domyśliłem się, że jej dobra ciocia miała dobrego także przyjaciela, który z nią razem w tymże domu mieszkał i zawiadywał doczesnością kanonika i że szczęśliwie te usługi rachowały na pozostalosc ich pana, zamierzając je ogarnąć związkiem małżeńskim, którego słodyczy już naprzód kosztowały. Powiedziałem wyżej, że pani Jacenta, choć już dość poważnego wieku, miała jeszcze cerę świeżą. Prawda, że niczego nie zaniedbywała dla jej zachowania, oprócz tego, że co rano brała lawatywę, to jeszcze w ciągu dnia i kładąc się spać zjadła przedziwne sosy. Nadto sypiała spokojnie w nocy, gdy tymczasem ja czuwałem przy moim panu. Lecząc

co może najwięcej przykładało się do nadania jej tej czerstwości, to jak mi powiedziała Inesilla, fontanelle, które miała na obu uogach pozakładane.

ROZDZIAŁ II.

Jak leczono kanonika, gdy zachorował, co zapisał testamentem Gil Blasowi.

Służyłem przez trzy miesiące u licencyata Sedillo nie utyskując na noce bezsenne, które musiałem spędzać przy nim. Po upływie tego czasu zachorował: dostał gorączki, która mu zwiększyła cierpienia pedogryczne. Pierwszy raz w życiu, a to dość długiem, wezwał pomocy lekarza. Przywołał doktora Sangrado, który w Valladolid od wszystkich szanowany był jako drugi Hipokrates. Pani Jacenta byłaby wołała, żeby raczej zaczął od testamentu, i nawet napomknęła mu o tém w delikatnych wyrazach, ale kanonik nie sądził jeszcze, aby koniec jego miał być tak blizkim, a prócz tego w niektórych rzeczach był dosyć uparty. Poszedłem więc po doktora Sangrado i przywiodłem go do mieszkania. Byłto człowiek wysokiego wzrostu, suchy i blady, który przez czterdzieści lat najmniej władał nożycami parków. Uczony ten lekarz był postawy poważnej, cędził słowa, wyrażentom swoim nadawał jakiś zwrot szlachetny. Rozmowanie jego było pod cyrkiel geometryczny ołożone, a zdania osobliwością uderzały.

Przypatrzywszy się dobrze mojemu panu, odezwał się tonem doktorskim:—Idzie tu głównie o zastąpienie braku transpiracyi wstrzymanej. Iuni będąc w mojem miejscu zapisałiby bez wątpienia lekarstw a solne, lotne, działające na drogi urynowe, w których skład po większej części wchodzi coś siarkowego i merkuryalnego; ale rozwalniające i poty pobudzające lekarstwa są zgubnym wynalazkiem szarlańców; wszystkie preparata chemiczne zdają się na szkodę ludzką wymyślone. Co do mnie, ja używam prostszych i pewniejszych środków. Do jakiego rodzaju pożywienia. mówil dalej, jesteś pan przyzwyczajony?” Na to kanonik:—Jadam pospolicie zupy i mięsa posilne.—Zupy i mięsa posilne! zawołał z wielkiem podziwieniem doktor. Oh! teraz się nie dziwię, że pan jesteś chory! Potrawy wykwentne, to są przyjemności zatrute: sąto silda, które rozkosz zastawia ludziom, by ich tém pewniej zgubić. Musisz pan zrzec się potraw smacznych; najmniej przyjemne są najzdrowsze. Jako krew jest bez żadnego smaku, wymaga więc potraw, któreby odpowiadały jej naturze. A wino, czy pan pijesz?” zapytał się.—Tak jest, rzekł licencyat, ale wino rozcieńczone wodą.—Oh, niech będzie rozcieńczone jak chęe, odpowiedział lekarz, jakieżto nieporządne życie! Otóżto straszna dyeta! dawno już powinienes być na marach. W jakim wieku jesteś? —Zaczęłem sześćdziesiąty dziewiąty, odpowiedział kanonik.—Otóżto właśnie, starość przedwczesna jest owocem niewstrzemięźliwości. Gdybyś pan przez całe życie pił czystą tylko wodę, gdybyś był przestawał na pokarmach prostych, jak naprzykład jabłka gotowane, groch lub bob, nie byłbyś teraz dręczony pedogrą, a wszystkie twoje członki odbywałyby bez trudu właściwe sobie ruchy. Ziemwyszystkiem ja nie tracę nadziei postawienia pana na nogach, bylebyś ściśle spełniał moje przepisy. Licencyat choć był wielkim łakotniem, przyrzekł jednak być moim posłusznym we wszystkiem.

Po takowej rozprawie Sangrado kazał mi przywołać chirurga, którego wymienił, i na pierwszy początek upuścił mojemu panu sześć dobrych talarzyków krwi, aby zastąpić brak transpiracyi; a następnie powiedział chirurgowi:—Panie Marcinie Onez, za trzy godziny powtórzysz toż samo, a jutro na nowo rozpoczniesz. To jest przesąd myśleć, że krew potrzebna do utrzymania życia, choremu nigdy zanadto krwi upuścić nie można. Ponieważ niema ruchu gwałtowniejszego, nie innego do roboty, tylko aby nie umrzeć, nie trzeba mu zatem więcej krwi do utrzymania życia, jak tyle, ile człowiekowi uspienemu; u obu życie objawia się tylko w pulsie i oddychaniu.” Poczciwy kanonik nie przypuszczając, aby tak wielki lekarz mógł fałszywie rozmawiać, pozwolił upuszczać sobie krew bez najmniejszego oporn. Zaleciwszy obfite i częste puszczenie krwi, kazał jeszcze prócz tego dawać kanonikowi co chwila wodę ciepłą do picia, zapewniając, że woda ciepła w obfłości za na-

pój używana, jest rzeczywiste *specificum* przeciw wszystkim chorobom. Wychodząc, oświadczył mi i pan Jacente z zupełnym przeświadczeniem, że ręczy za życie kanonika, byleby się ściśle trzymał jego przepisów. Dozorczyni, która może inaczej sądziła o jego metodzie leczenia, zapewniła go przecież, iż wola jego jak najściślej wykonaną zostanie. W istocie zabraliśmy się zaraz do grzania wody, a że lekarz polecił nam przedewszystkiem, abyśmy jej nie szczędzili, na pierwszy więc początek wmasiliśmy w niego dwie do trzech kwart, w godzinę później powtórzyliśmy dozę, potem od czasu do czasu ponawiając porządne porce, wleliśmy do żołądka kanonika kilka wiader wody. Z drugiej strony, chirurg dzielnie wspierał nas obftem upuszczaniem krwi, tak dalece, że w dwóch dniach niespełna, stary kanonik już ostatkiem sił gonił.

Bledny licencyat już nie mógł znieść więcej; gdy mu więc podawał porządną kufel *specificum*, ozwał się do mnie głosem osłabionym:—Stój! Gil Blas, nie dawaj mi już więcej, mój przyjacielu. Widzę, że trzeba umierać, mimo skuteczność wody; i choć ledwie kropla krwi pozostała we mnie, przecież nie czuję najmniejszego polepszenia, co dowodzi, że najbłęgszy lekarz, nie zdoła przedłużyć dni naszych, skoro kres przeznaczony nadejdzie. Trzeba się więc przygotować na podróż do wieczności. Zawołaj mi pisarza aktowego, chciałbym zrobić testament.—Na te słowa, które nie były przykre naszym molm, udałem głęboki smutek, czego zapewne, każdy spadkobierca w podobnym razie zrobić nie omieszką; kryjąc więc szczerą chęć jak najszybszego spełnienia woli chorego, rzekłem mu:—Ależ pan nie jesteś jeszcze tak źle, dzięki Bogu, abyś się nie mógł podźwignąć.—Nie, moje dziecię, nie, odpowiedział, skończyło się; czuję że pedogra posuwa się, a śmierć się zbliża; spiesz, gdzieś ci kazał.—W rzeczy samej spostrzegłem, że widocznie się zmieniła, i rzecz zdała mi się tak nagła, że szybko wybiegł dla spełnienia rozkazu, zostawiając przy chorym panią Jacente, która bardzo jeszcze odemnie bała się, aby nie umarł bez testamentu. Wpadam do pierwszego notaryusza, którego mi mieszkanie wskazano, a zastawszy go rzekłem:—Panie, licencyat Sedillo już dogorywa, pragnie spisać swoją ostatnią wolę; niema chwili czasu do stracenia.” Notaryusz, był starszek wesoly, który lubił żartować; zapytał się, jakiby doktor odwiedzał kanonika; odpowiedziałem mu, że doktor Sangrado. Na to imię, chwytając szybko płaszcz i kapelusz; „wiva! krzyknął, spieszmy czempredziej, bo to lekarz, który tak prędko wyprawia swoich chorych, iż im nie zostawia czasu do wezwania notaryusza. Ten człowiek, niemalo testamentów wytrącił mi z ręki.

Tak rozmawiając wyszliśmy spiesznie. W drodze, którąśmy podwójnym odbywali krokiem, aby uprzedzić zgon kanonika, rzekłem notaryuszowi:—Panie, wiesz z doświadczenia, że testator umierający traci częstokroć pamięć; jeżeliby przypadkiem pan mój zapomniał o mnie, proszę cię, napomknij mu o mojej gorliwości.—Zrobię to chętnie, moje dziecko, odpowiedział pisarz aktowy, możesz się spuścić na mnie. Sprawiedliwą jest rzeczą, aby pan wynagrodził człowieka, który mu dobrze służył. Będę go nawet zachęcał, aby ci coś znaczniejszego zapisał, byleby tylko uznawał twoje usługi.” Licencyat, gdyśmy weszli do jego pokoju, miał jeszcze zupełną przytomność. Pan Jacenta zalana łzami z obowiązku, była przy chorym. Wybornie odgrywała swoją rolę, usposabiając poczciwego człowieka do dobrego zapisu. Zostawiliśmy notaryusza sam na sam z moim panem, a sami wyszliśmy do przedpokoju. Tu spotkaliśmy chirurga, który z rozkazu doktora przychodził puszczać krew po raz ostatni. Zatrzymaliśmy go.—Zaczekaj panie Marcinie, ozwała się dozorczyni, nie możesz teraz wchodzić do pokoju pana Sedillo, jest tam u niego pisarz aktowy, zajęty spisywaniem jego ostatniej woli; puścisz mu tyle krwi, ile ci się podoba, gdy skończy testament.”

Byliśmy w nadzwyczajnym strachu, ja i świętoszka, aby Licencyat nie skończył w ciągu aktu; szczęściem atoli skończył testament. Wnet ujrzelśmy wychodzącego notaryusza, który mnie poklepał po ramieniu, i rzekł uśmiechając się: „nie zapomnia-

no o Gil Blasie.” Te słowa taką mule przejęły radością, iż wdzięczny mojemu panu, że o mule nie zapomniał, postanowiłem szczerze modlić się za jego duszę, skoro umrze, co też niebawnie nastąpiło: bo gdy chirurg jeszcze raz mu puścił krew, starzec już i tak mocno osłabiony, skończył natychmiast. Kiedy już ostatnie wydawał tchnienie, przybył doktor, i strasznie głupią zrobił minę, choć był przyzwyczajony do tak szybkiego wyprawiania swoich chorych. Jednakże, zamiast przyplisywać winę śmierci kanonika wodzie ciepłej i puszczeniu krwi, on owszem odchodząc rzekł oziębłe, że mu zamało puszczonego krwi, a niedosyć dawano pić ciepłej wody. Wykonawca śmiertelnej medycyny, chciałem mówić chirurg, widząc także, iż usługa jego niepotrzebna, wyszedł razem z doktorem Sangrado, jeden i drugi mówił, że zaraz w pierwszej chwili skazał licencyata na śmierć. Zaiste, wydając taki sąd, nigdy się nie mylili.

Skorośmy ujrzeni pana naszego bez duszy, pani Jacenta, Inesilla i ja, zaczęliśmy wrzaskliwy koncert żałobny, który wnet uderzył uszy naszych sąsiadów. Świętoszka nadewszystko, która miała największy powód cieszyć się, tak żałośliwie szlochała, że zdała się osobą najwięcej stroskaną. W mgłentku oka, natłoczyło się pełno ludzi do pokoju, których nie tak polłotowanie, jak raczej ciekawość zgromadziła. Krewni nieboszczyka, tylko co posłyszeli o jego zgonie, wpadli zaraz do mieszkania, i kazali wszystko opieczętować. Zastali dozorczynię tak zmartwioną, iż z początku mniemali, że kanonik nie zrobił testamentu, lecz niebawnie dowiedzieli się, że testament był, i to że wszystkiemi formalnościami prawnymi. Gdy go otworzono i usłyszeli, że testator najważniejsze rzeczy zapisał pani Jacencie i jej siostrzenicy, zaczął głosić mowę pogrzebową w wyrazach niebardzo zaszczytnych dla pamiętki nieboszczyka. Przemawiali także do świętoszki, i o mnie nie zapomnieli. Przyznać trzeba, że na to zasłużył. Licencyat, niech Bóg świeci nad jego duszą! ażeby mi dać powód do pamiętania o sobie przez całe moje życie, tak w paragrafie swojego testamentu wyraża się względem mnie: „*Item*, ponieważ Gil Blas jest chłopcem zuającym nieco literaturę, żeby więc dopomóż mu, aby został zupełnym mędrceem, zapisuję mu moją bibliotekę, wszystkie moje książki i moje rękopisma, bez najmniejszego wyjątku.”

Nie wiedziałem gdzieby mogła być ta mniemana biblioteka; dotąd nie widziałem jej nigdzie w całym domu. Wiedziałem tylko, że było cokolwiek papierów, z pięcią lub sześcią tomami, na dwóch małych pułkach sosnowych w gabinecie mojego pana; a to właśnie, był mój zapis. Ale książki te niebardzo były pożyteczne: jedna miała tytuł: Kucharz doskonały; druga, obejmowała traktat o niestrawności i sposobach jej leczenia; a reszta, byłyto cztery części brewlarza, dosyć zniszczone od molów. Co się tyczy rękopismów, najciekawszy z nich obejmował akta sądowego postępowania w sprawie, jaką miał kanonik z powodu swojej prebendy. Rozpoznawszy dokładnie mój zapis, z większą nawet uwagą, niż jęj wart był, zostawiłem go krewnym, którzy mi go zazdrościli. Oddałem im nawet suknię którą nosilem, odebrawszy swoje, porzestałem jedynie na zasługach, jedynym owocem mojej służby. Zacząłem się starać o inne miejsce. Co się tyczy pani Jacenty, oprócz summ, jakie jęj zapisane zostały, dobrze się ona obłowiła, usunawszy wiele rzeczy na stronę w czasie choroby Licencyata, przy skutecznej pomocy swojego kochanka.

ROZDZIAŁ III.

Gil Blas przyjmuje służbę u doktora Sangrado, i zostaje sławnym doktorem.

Postanowiłem udać się do pana Arias de Londona i w jego spisie wybrać sobie nowe miejsce, lecz właśnie zbliżając się do uliczki niecałej, przy której mieszkał, spotkałem doktora Sangrado, któremu nie widział od śmierci swojego pana; odważyłem się jednak przywitać go. Poznał mnie odrazu, choć w zmienionym ubiorze, a objawiając niejaką radość z tego spotkania:—Ah, jak się masz, moje dziecię, w tej chwili myślałem właśnie o tobie. Potrzebuję dobrego chłopca do usług, i ty wpadłeś mi na myśl. Zdajesz mi się być wyborym chłopakiem,

i mulemam, żebyś mi się wcale przydał, gdybyś umiał czytać i pisać.—Panie, jeżeli tylko o to idzie, rzekłem, tedy jestem do usług pańskich, ponieważ umiem i jedno i drugie.—Kiedy tak jest, odpowiedział, mam więc czego mi potrzeba. Pójdź do mnie, znajdziesz wszelką dogodność, zachowam dla ciebie pewną względną w obejściu. Nie będziesz miał u mnie zasług, ale ci na niczem nie będzie zbywało. Będę starał się ubierać cię czysto, i nauczę cię wielkiej sztuki leczenia wszystkich słabosci. Słowem, będziesz raczej uczniem moim a nie sługą.”

Przyjąłem wezwanie doktora, w nadziei, że pod tak sławnym mistrzem, potrafię nabyć wziętości w zawodzie lekarskim. Zaprowadził mnie zaraz do swojego mieszkania, aby mnie zastalować w urzędzie, który mi przeznaczał; tego zaś urzędu jedynym obowiązkiem było, zapisywać nazwisko i mieszkanie chorych, do których go wzywano wtedy, gdy był w mieście. W tym celu założony był spis, do którego wciągała potrzebne wiadomości starsza służąca, jedyna w całym domu; ale prócz zupełnej nieznajomości pisowni, jeszcze nadto tak źle pisała, iż po największej części nie podobna było odcyfrować jej pisma. Poruczył więc mojej troskliwości tę księgę, którą słusznie zwać można było spisem zmarłych, ponieważ ci, których nazwiska wciągałem, umierali prawie wszyscy. Wpisywałem więc, że tak powiem, osoby, które się wybierały na tamten świat, jak sekretarz w biurze powozów publicznych zapisuje imiona tych, którzy opłacają miejsca numerowane. Trzymałem pióro w ręku bardzo często, bo podówczas nie było w Valladolid lekarza więcej wziętego, jak pan Sangrado. Zyskał sławę u gminu pozorną gadaniną, której postawa imponująca dodawała jakiegoś powagi; zresztą kilka szczęśliwych leceń, zjednało mu więcej wziętości, aniżeli na to zasługiwał.

Miał liczną praktykę, a tęp samem dosyć pieniędzy; ale mimo to, nie żył on wygodnie, stół u niego był bardzo skromny. Jedliśmy pospolicie groch, bób, jabłka gotowane lub sēr. Mawiał, że takie potrawy są najlepsze dla żołądka, jako najłatwiejsze do strawienia. Jednakże choć je uważał za najlepsze, nie pozwalał jeść ich do sytości; w czem bez wątpienia bardzo słusznie postępował. Jeżeli wszakże zabraniał mi i służącej jeść wiele, tedy pić wody, pozwalał tyle, ileby się nam podobało. Zamiast wskazywać granice w tym względzie, mawiał nam nieraz:—Pijcie moje dzieci, zdrowie polega na giętkości członków i wilgoci. Pijcie dużo wody, jestto rozczylnik powszechny; woda rozpuszcza wszystkie sole. Jeżeli bieg krwi opieszają, woda go przyspiesza; jeżeli zbyt szybko krąży, ona wstrzymuje jej pośpiech. Nasz szanowny lekarz sam tak wierzył w swoje zasady, iż nic innego nie pił, tylko wodę, choć już był w wieku podeszłym. Starość nazywał on suchotami naturalnemi, które nas suszą i trawia, i na zasadzie takowego określenia, ubolewał nad zaślepieniem tych, co wino nazywają mlekiem starców. Utrzymywał że wino ich

niszczy; mawiał przytém bardzo wymownie, że ten zgobny napój, jest dla nich, tak jak dla wszystkich, przyjacielem-zdrajcą, zwodniczą rozkoszą.

Mimo tak mądre wywody, przecież po ośmiu dniach pobytu w tym domu, dostałem biegunki i nieznośnych boleści żołądka, co przez nierozwagę przypisywałem rozczylnikowi powszechnemu i złym pokarmom. Skarzyłem się mojemu panu w tej myśli, że zwolni coś ze swojego trybu życia, i da mi choć kieliszek wina do obiadu: był on atoli zanadto wielkim przeciwnikiem tego napoju, aby się miał skłonić do mojego życzenia. Jak tylko przywykniesz do wody, rzekł mi, wtedy poznasz jak ona jest dobroczynną; zresztą, dodał, jeżeli czujesz wstręt niejaki do wody czystej, możesz smak jej podwyższyć za pomocą środków niewinnych, a dla żołądka bardzo skutecznych, dodając naprzykład szałwil, weroniki, a jeżeli już zechcesz mieć coś najwyborniejszego, przymieszaj kwiatu gwoździków, rozmarynu, albo maku polnego.

Naprawdę jednak nie miałem na pochwały wody i uczył mnie sekretu zrobienia z niej przedziwnego napoju, ja używałem jej z taktiem umiarkowaniem, że mój doktor spostrzegłszy to, rzekł: Zaprawdę, Gil Blas, nie dziwię się wcale, żeś ty niezupełnie zdrow, ty mało pijesz mój przyjacielu. Woda w małej ilości rozwija żółć, i nadaje jej większą siłę działalną; gdy tymczasem trzeba ją koniecznie zatopić w obfitym płynie. Nie bój się, moje dziecko, aby obfitość wody nie oziębła i nie osłabiła twojego żołądka; odśnij od siebie tę straszna trwogę, która cię zapewne wstrzymuje od częstszego przyjmowania napoju. Zaręczam ci za wszelki przypadek: a jeżelibyś mnie nie ufał zupełnie, Cels nawet będzie ci rękomią. Ta wyrocznia łacińska, przepyszną pochwałę wody wyrzekła, poczem w dobitnych wyrazach oświadczył, że ci którzy chcą pić wino wymawiają się słabością żołądka, a winą popełniają niesprawiedliwość względem niego, i szukają tylko sposobów zamaskowania swojej zmysłowości.



Kapitan Roland.

Poświęcając się zawodowi lekarskiemu, niebardzo pięknie wydałbym się, okazując się sprzecznym, dlatego udałem, że zupełnie wierzę jego dowodom; przyznam się nawet, że zupełnie uwierzyłem. Piłem więc wodę spuszczając się na zaręczenie Celsa, czyli raczej począłem topić żółć pijąc obficie wodę; a chociaż coraz bardziej czułem się słabym, uprzedzenie jednak przemagało nad doświadczeniem. Ztego pokazuje się, że miałem wielkie usposobienie do medycyny. Nie zawsze jednak byłem w stanie oprzeć się dokuczliwym bólom, tak dalece, że postanowiłem oddalić się od doktora Sangrado. Ale mnie nowym obdarzył nrzędem, dla którego porzuciłem mój zamiar.—Słuchaj, rzekł mi jednego dnia, ja nie należę do rzędu tych panów nieużytych i niewdzięcznych, którzy pozwalają zestarzeć się w służbie swoim służącym, nim ich wynagrodzą. Jestem kontent z ciebie, Kocham cię; nie czekając więc twoich dłuższych usług, postanowiłem zapewnić

twój los od dnia dzisiejszego; chcę ci objawić w tej chwili tajemnicę tej zbawiennej sztuki, którą się zajmuję od tak dawna. Inni lekarze znajomości jej zasadzają na niezliczonych naukach mozolnych; ja zaś chcę ci skrócić drogę tak długą, oszczędzić ci trudów uczenia się szyki, farmacyi, botaniki, anatomii. Więdz mój przyjacielu: że nietrzeba nic więcej, tylko puszczać krew i dawać pić wodę ciepłą: oto jest tajemnica leczenia wszystkich chorób bez wyjątku. Tak jest, ten prosty tajnik, który ci objawiam, a którego natura niepojęta dla moich spółbraci, przed moim badawczym okiem utaić nie mogła, zawiera się w tych dwóch środkach: puszczenie krwi i obfity napój. Niczego więcej nauczyć cię nie mogę, znasz już sztukę lekarską z gruntu, a korzystając z owocu długoletniego doświadczenia mojego, za jednym zamachem stajesz się tak jak ja błęgłym. Teraz, mówil dalej, możesz mi pomagać; zrana będziesz utrzymywał spis, a popołudniu pójdziesz odwiedzać część moich chorych. Kiedy ja będę leczył szlachtę i duchownych, ty za mnie pójdziesz do domów mieszczkańskich, do których nas wzywać będą; a jak w ten sposób popracujesz przez bledaki czas, ja się postaram, że cię przyjmą do naszego grona. Gil Blas, ty jesteś już mędrce, nim zostałeś lekarzem, a tymczasem lani przez długi czas są lekarzami, a po większej części przez całe życie, nim będą rozumu.

Podziękowałem doktorowi, że tak szybko usposobił mnie na swojego zastępcę; żeby zaś okazać należytą wdzięczność za jego względy, zapewniłem go, iż przez całe życie trzymać się będę jego zasad, choćby te miały być przeciwne Hipokratesowi. Zapewnienie to atoli nie było zupełnie szczere. Nie zgadzałem się wcale z jego zdaniem co do wody, owszem postanowiłem pić wino, ilekroć wyjdę odwiedzać chorych. Po drugi raz zawiesiłem na kołku moje suknie haftowane, a wzięłem ubiór mojego pana, aby mieć pozór lekarza. Zabrałem się potem do wykonywania sztuki lekarskiej, kosztem do kogo należać będzie. Rozpocząłem od algazila, który cierpił kulki; kazałem mu puszczać krew bez litości, i nie żałować wody. Następnie udałem się do pasztetnika, który przeraźliwie krzyczał na dokuczliwe bole pedogryczne. Nie oszczędzałem jego krwi, podobnie jak algazila i kazałem mu co moment dawać wodę ciepłą. Otrzymałem dwanaście realów za moje recepty, co mnie tak zapaliło do nowego powołania, iż wszystkim ludziom życzyłem ran i garbów. Wychodząc z domu pasztetnika spotkałem Fabrycego, którego nie widział od śmierci licencyata Sedillo. Przypatrywał mi się długo z wielkim podziwieniem; potem zaczął się śmiać z całego gardła, trzymając się za boki. I nie bez powodu; miałem bowiem na sobie płaszcz, który się włókł po ziemi, a kaftan i spodnie były cztery razy dłuższe i szersze niż trzeba było. Miałem postać dziwną i śmieszną. Pozwoliłem mu nacieszyć się do woli, nie bez wewnętrznej ochoty naśladowania go; ale się powściągał dla zachowania *decorum* na ulicy i dla lepszego udania doktora, który

nie jest istotą godną pośmiewiska. Jeżeli wszakże moja postawa dziwaczna wzbudziła śmiech Fabrycego, moja powaga podwajała go jeszcze, i kiedy już się uspokoił:—Wiwat Gil Blas, zawołał, jakżeż ty rozkosznie ubrały! Któż u licha tak cię zamaskował?—Powoli mój przyjacielu, odpowiedziałem, powoli, szanuj nowego Hipokrata! Więdz, że jestem substytutem doktora Sangrado, który jest najslawniejszym lekarzem w Waladolid. Mieszkam u niego od trzech tygodni. Nauczył mnie medycyny z gruntu; a że nie może odwiedzać wszystkich chorych, którzy go wzywają, ja udaję się do jednej ich części, aby mu nliżyć. On chodzi do wielkich domów, a ja do małych.—Wybornie, przerwał Fabrycy, to jest, zostawia ci krew gminu, zachowując sobie znakomitych panów. Wiesz, że tego podziatu; lepiej wieć do czynienia z pospółstwem, niż z wielkim światem.—Niech żyje doktor przedmieściowy! błędy jego mniej biją w oczy, a choć zabije, to bez chłasu.—W istocie, mój kochany, los twój zdaje mi się godnym zazdrości, i że użyję wyrazów Alexandra, gdybym nie był Fabrycy, chciałbym być Gil Blasem.

Żeby przekonać syna cyrulika Nunez, że nie bez skusności uwielbia mój stan leżańszy, pokazałem mu reale algazila i pasztetnika, a potem wstąpiliśmy do karczmy, aby część ich przepić. Dano nam niezgorsze wino, lecz żądza skosztowania tego nektaru, smak jego okazała mi lepszy, niż był w istocie. Ciągnąłem wybornie i z przeproszeniem wyrocni łacińskiej, żołądek mój nie gniewał się wcale o wyrządzoną sobie niesprawiedliwość. Siedzieliśmy dość długo w karczmie, bawiąc się wesoło kosztem naszych panów, sztydząc z nich, jak się zwykle dzieje pomiędzy lokajami. Wreszcie widząc noc zbliżającą się, rozłączyliśmy się przyrzekłszy sobie wzajemnie, że jutro po obiedzie zajedziemy się w témże miejscu.

ROZDZIAŁ IV.

Gil Blas dalej wykonywa sztukę lekarską ze skutkiem odpowiednim jego zdolnościom. Przygoda z wynalezionym pierścieniem.

Zaledwie wróciłem do mieszkania, zaraz też przybył

i doktor Sangrado. Opowiedziałem mu o chorych, których odwiedziłem, oddałem ośm realów, które mi pozostały z dwunastu, jakie dostałem za moje recepty.—Ośm realów, rzekł, przeleżywszy plerwój: to mało za dwie wizyty; ale trzeba brać, co dają.—Dlatego też wziął prawie wszystkie. Zatrzymał z nich sześć, a dając mi dwa:—Bierz Gil Blas, mówił, jest to na pierwszy początek twój kapitał, ale prócz tego, chcę się ułożyć z tobą bardzo dla ciebie korzystnie: usłepuję ci czwartą część tego co mi przyniesiesz. Niedługo się zбоgacisz mój przyjacielu, bo jeżeli będzie wola boska, w tym roku będziemy mieli wiele chorób.

Miałem powód cieszyć się z mojego udziału, bo postanowiwszy zatrzymać czwartą część tego co dostanę w mieście, a odbierając jeszcze czwartą część z reszty, to wyniesie, jeżeli tylko arytmetyka jest umiejętnością niemylną, prawie połowę dochodu na moją część. To mi dodało nowej ochoty do me-



Oświadczenie Aurorze.

dycyuy. Nazajutrz zaraz po obiedzie, wzięłam ubiór wyřęczyciela i ruszyłem na wyprawę. Odwiedziłem kilku chorych, których miałem w moim spisie, wszystkich leczyłem jednymże sposobem, choć na różne choroby. Aż dotąd wszystko szło cicho, i nikt, dzięki Bogu, nie oburzał się na moje recepty; lecz jakkolwiek wyborało rzecz ta praktyka lekarska, nie może się jednak obejść bez krytyków i zawistnych. Wszedłem do kupca korzennego, którego syn cierpiał wodną puchlinę. Zastałem tam doktora małego wzrostu, brunatno-śladego, nazwiskiem Kuchillo, którego jeden z krewnych kupca przyprowadził, aby obejrzał chorego. Skłoniłem się bardzo nisko wszystkim obecny, a osobliwie temu, któremu uważał za osobę wezwaną do narady nad chorobą. Odklonił mi się poważnie, potem popatrzwszy na mnie z uwagą przez kilka chwil:—Panie doktorze, odezwał się, wybacź mojej ciekawości: zdawało mi się, że znam wszystkich lekarzy w Walladolid, wszystkich moich spółtowarzyszów, a tymczasem przyznam się, że rysy pańskie są mi zupełnie nieznanne. Zapewne od niedawnego czasu osiadłes w naszym mieście.” Odpowiedziałem, że jestem młodym praktykantem, że dotąd pracuję pod tarczą sławy doktora Sangrado. —Winszuję panu, odpowiedział bardzo grzecznie, żeś przyjął metodę tak wielkiego męża. Nie wątpię, że musisz być bardzo już biegły, choć mi się zdajesz tak młodym.” To wyrzekł tonem tak naturalnym, że nie wiedziałem, czy tak myślił w istocie, czy też tylko drwił ze mnie: rozmyślałem nad tem co mu odpowiedzieć, gdy kupiec korzystając z chwili odezwał się do nas:—Panowie, jestem przekonany, że oba znacie doskonale sztukę lekarską, raczcie z łaski swojej obejrzyć mego syna, i zapiszcie lekarstwo, jakie za najskuteczniejsze uznacie.”

Malutki doktorzek zabrał się natychmiast do badania chorego, a zwróciwszy moją uwagę na zjawiska wykazujące naturę choroby, pytał się, jakimby sposobem według mego zdania należało ją leczyć. —Jestem zdania rzekłem, aby mu krew puszczano codzien i obficie dawano pić wodę ciepłą.” Na to mały doktor uśmiechając się, rzekł z miną szycerczą:—Pan myślisz, że temi środkami ocallsz mu życie? — Nie miej pan wątpliwości, ozwał się śmiało; będziesz widział chorego szybko przychodzącego do zdrowia: środki te muszą wyrzucić pożądany skutek, ponieważ są jedyne na wszystkie choroby. Spytaj się pana Sangrado.—Na tej zasadzie, odparł, Cels myśli się, zapewniając, że dla łatwiejszego uleczenia wodnej puchliny, trzeba aby chore cierpiał głód i pragnienie.— Oh, odezwałem się, Cels nie jest moją wyrocznią; on się tak mylił jak i drudzy, i ja sam sobie wdzięczny jestem, że nieraz działał wbrew jego zdaniu, wyszło mi to na dobre.— Po tej mowie, rzekł Kuchillo: poznaję metodę pewną i zadowalającą, jaką doktor Sangrado wpaja w młode umysły swoich praktykantów. Krew i woda ciepła, to jego lekarstwo uniwersalne. Nie dziwię się, że tyle uczciwych ludzi ginie w jego ręku. — Nie posuwajmy się do szkalowania, przerwałem mu z gniewem; człowiek tego powołania pięknie zaiste wygląda z podobnemi zarzutami na ustach. Daj pokój panie doktorze, bez puszczenia krwi i bez pojenia ciepłą wodą, muóstwo chorych wyprawia się na tamten świat; a pan może lech więcej jeszcze wyprawili, niż którykolwiek inny. Jeżeli chcesz wystąpić przeciw panu Sangrado, napisz przeciw niemu, odpowie ci, a zobaczymy na czyjjej stronie staną śmiejącą się.—Święty Jakóbie, święty Dyonty! krzyknął w uniesieniu; nie znasz doktora Kuchillo. Więdz o tem, że i ja mam zęby i pazury i nie boję się wcale doktora Sangrado, który wimo swoją próżność i zarozumiałość, jest tylko dziwakiem i nie więcej.” Postać malutkiego doktorka zapaliła mnie gniewem. Odpowiedziałem mu uszczypliwie, on w podobnymże sposobie i w tej chwili przyszło do pięści. Nim kupiec i jego krewni zdążyli nas rozdzielić, mieliśmy dosyć czasu poczęstować się kilką szturchanicami i wyrwać sobie nawzajem po garści włosów. Skoro nas uspokojono, zapłacono mi za odwiedzin, a zatrzymano mego przeciwnika, który się zdał zapewne biegłym odemnie.

Po tej przygodzie niewiele brakło, aby mnie była nie spotkała druga. Poszedłem odwiedzić tłustego kantora, który miał

febrę. Jak tylko usłyszał wzmiankę o wodzie ciepłej, tak się pokazał przeciwnym temu *specifcum*, że zaczął kłąć. Nawymyślał mi, co się tylko zmieściło, ale co gorsza, zagroził mi wyrzuceniem przez okno, jeżeli mu nie pójdę z oczu. Nie czekałem aż mi to powtórzy drugi raz: usunąłem się spieszo, a nie chcąc już więcej odwiedzać chorych, pospieszyłem do domu gościnnego, w którym miałem się zejść z Fabrycem. Jużem go zastał. A żeśmy mieli chętkę do picia, hulaliśmy więc niezłe, tak żeśmy do panów naszych wrócili w dobrym stanie, to jest niezłe podchmieleni. Pan Sangrado nie spostrzegł tego, ponieważ z taką akcyą opowiadałem mu kłótnię z malutkim doktorkiem, że żywość moją uważał za skutek wzruszenia, jakie mu wadało po tej walce. Że zaś i on także wchodził do tego raportu, że czuł się obrażonym przez doktora Kuchillo, odezwał się więc do mnie:—Wybornie zrobiłeś Gil Blas, żeś bronił honoru lekarstw naszych przeciw temu podrzutowi wydziału lekarskiego. To on śmie utrzymywać, że nie należy dozwalać napojów wodnistych w puchlinie? głupiec! Ja utrzymuję, że należy im je pozwalać. Tak jest, woda może uleczyć wszelkie puchliny, tak jak jest wyborań na reumatyzmy i bladeść; jest jeszcze przedziwną w tych febrach, w którychto zarazem pali się i zębnie człowiek; cudowna w tych chorobach, które przypisują humor zimnym, wilgotno-ślonym, flegmistym i szlamowatym. To mnie maie zdaje się dziwne młodym lekarzom, takim jak Kuchillo, ale się utrzymuje w dobrej medycynie; a gdyby ci ludzie zdolni byli rozumować wedle zasad logiki, zamiast powstawać przeciw mnie, jak to robią, podziwiałby moją metodę i byłby najgorliwszymi moimi stronnikami.

Nie domyślił się wcale, że ja miarkę przebrałem, takem się uniósł gniewem, bo żeby go tem więcej rozjątrzyć przeciw malutkiemu doktorowi, wplątałem w moje opowiadanie okoliczności mego wynalazku. Jednakże choć całkiem zajęty mojem sprawozdaniem, spostrzegł przecież, że tego wieczora więcej jak zwykle piłem wody.

W istocie wino sprawiło mi wielkie pragnienie. Każdy inny, tylko nie Sangrado, byłby się domyślił dlaczego pełne szklanekami spijam wodę; on zaś w dobrej wierze wyobrażając sobie, że zaczął nabierać gustu do napojów wodnistych, rzekł mi z uśmiechem:—Jak widzę Gil Blas nie masz już wstrętu do wody, dzięki Bogu, ty ją spijasz jak nektar. To mnie nie dziwi, mój przyjacielu, ja wiedziałem, że ty przywykniesz do tego napoju.—Panie, odpowiedziałem, każda rzecz ma swój czas; w tej chwili jabym oddał wiadro wina za jedną kwartę wody. Tą odpowiedzią tak uradowałem doktora, iż nie pominął takiej sposobności, by wychwalać wodę. Rozpoczął nowy jej panegiryk, nie jako zimny mowca, lecz jako najzagorzalszy jej zwolennik.—Ty się raży, ozwał się, tysiąc i tysiąc razy szacowniejsze i niewinniejsze od naszych karczem owe ubiegłych wieków cieplice, do których nie przychodzą trwonić haniebnie pieniądze i życie upajając się winem, ale zgromadzono się dla nczciwów i nie szkodliwej zabawy i dla picia wody ciepłej! Niepodobna dostatecznie nadziwić się mądrej przeczności owych starożytnych stróżów porządku publicznego, którzy urządzili miejsca publiczne dla częstowania wodą każdego przychodnia, wino zaś zamykali w aptekach, nie pozwalając użycia jego, tylko z przepisu lekarza. Jakiężto znak mądrości! Bez wątpienia to są szczyłki starożytnej skromności, godnej złotego wieku, ci ludzie, którzy jak ja i ty, nie piją nic prócz wody i którzy pewni są, że zabezpieczą lub ulecą z chorób pijąc wodę ciepłą, która jeszcze nie zawrzała: bo ja dostrzegłem tego, że woda wrząca jest cięższą i niedobłą dla żołądka.

Kiedy tak wymownie rozprawiał, kilka razy o mało nie parsknąłem śmiechem, ale się przecież powściągnął; owszem, potakiwałem doktorowi. Ganiłem używanie wina, ubolewałem nad tymi, którzy nieszczęściem zasmakowali w napoju tak zgubnym. Poczem nie ugasiwszy jeszcze zupełnie pragnienia, napęniłem wielki kubek wodą, a wypijwszy go duszkiem:—Nawięc, mówiłem do mego pana, ochłodźmy się tym dobroczynnym napojem! Niech w domu naszym widzą owe stare cieplice, których pan tak żalujesz!” Pochwalił moje wyrazy i przez ca-

ją godzinę zachęcał mnie, abym zawsze tylko wodę pił. Aby się do tego napoju przyzwyczaić, przyrzekłem mu, iż co wieczór wielką ilość wody spijac będę; żeby zaś łatwiej spełnić przyrzeczenie, położyłem się spać z mocnym postanowieniem odwiedzania codziennie szynkowni.

Nieprzyjemność, jakiej doświadczyłem u kupca korzennego, nie wstrzymała mnie bynajmniej od wykonywania mojej sztuki, i od przepisywania wody ciepłej i puszczania krwi. Wychodząc z domu, w którym odwiedzałem poetę leżącego w gorączce z manią połączoną, spotkałem na ulicy kobietę wieku podeszłego, która przystąpiwszy do mnie, zapytała się, czybym nie był lekarzem.—Jestem nim, odpowiedziałem.—Kiedy tak, panie doktorze, proszę pana pokornie, chciej iść ze mną; moja siostrzenica od wczoraj choruje, i nie wiem, co by była za choroba.” Poszedłem więc z tą kobietą, która mnie wprowadziła do pokoju dosyć porządnego, gdzie ujrzałem chorą. Zbliżyłem się do niej, dla wybadania choroby. Za pierwszym rzutem oka, rysy jej uderzyły mnie mocno, a wpatrzywszy się lepiej, poznałem dokładnie, że to ta sama hultajka, która tak wybornie odegrała rolę Kamilli. Co do niej, zdała mi się, iż mnie sobie nie przypominała, czyli dlatego, że jej ból dokuczał, czy też mój ubiór doktorski zmienił moją postać. Wziąłem jej rękę dla zobaczenia pulsnu, i postrzegłem na palcu mój pierścień. Zmieszałem się na widok mojej własności, którą miałem prawo odebrać, i do czego wielką miałem ochotę; zważywszy atoli, że te kobiety zaczęłyby krzyzczyć, że don Rafał, lub jakkolwiek inny obrócać płci pięknej, mógłby nadbiedzą ku ich obronie, nie dałem się przewyciężyć pokusie. Zastanowiwszy się nieco, uznałem za rzecz przyzwoitą zamilczeć, a poradzić się w tym przedmiocie Fabrycego. Tymczasem stara nalegała, abym jej objawił chorobę jej siostrzenicy. Nie byłem przecież tak głupi, abym jej miał wyznać, iż tego wcale nie wiem; przeciwnie, udałem biegłego, a naśladując mego pana, rzekłem poważnie, że choroba pochodzi z zatrzymania transpiracji, że w skutek tego, trzeba się spieszyć z puszczaniem krwi, bo to zastępuje transpiracją; przepisałem także ciepłą wodę, aby się sprawić według naszych zasad.

Skróciłem moje odwiedziny, jak tylko mogłem, i pobiegłem do syna Nuneza, któremu spotkał wychodzącego z poleceniami swojego pana. Opowiedziałem mu moją przygodę, pytając się, czyby mu się zdawało rzeczą stosowną, abym kazał pojąć Kamillę przez służbę sądową.—Ah nie, odpowiedział mi, na Boga, nie rób tego, to nie jest wcale środek ku odzyskaniu pierścienia; ci ludzie nie lubią zwracać cudzych rzeczy. Przypomnij sobie więzienie w Astorga: twój koń, twoje pieniądze, suknie nawet twoje, nie zostałyż w ich ręku? Lepiej użyć naszego przemysłu, aby odzyskać dyament. Ja się podejmuję wynaleźć jaki przebieg w tym celu; pomyśl nad tem idąc do szpitala, gdzie mam kilka słów powiedzieć ekonomowi od mego pana. Ty idź, i zaczekaj przeddrzwiami karczmy naszej, ale bądź cierpliwy, wnet ja wrócę do ciebie.

Ze trzy jednak godziny stałem w miejscu umówionem, nim przybył. Z początku nie poznałem go wcale. Bo prócz tego, że zmienił ubiór i wypomadował włosy, jeszcze nadto, potężne wąsy przyprawne, zasłaniały mu prawie połowę twarzy. Przy boku miał potężną szpadę, której rękojeść ze trzy stopy obwodu miała; siedział na czelu pięciu ludzi, którzy podobnie jak on, przybrali postać zuchów; każdy z nich miał sumiaste wąsy i długi przy boku rapir.—Sługa unizony pana Gil Blas, rzekł przystępując do mnie; widzisz pan we mnie algazila, tylko co z igły zdjętego, a w tych szanownych ludziach dozorców poliejnych tej samej natury. Prowadź nas do kobiety, która mu skradła jego dyament, a każemy jej zwrócić mu, na moje słowo.” Uściskałem Fabrycego po tej przemowie, który opowiedział wybieg, jakiego użyć zamierzył, ja zaś pochwaliłem wyborny wynalazek jego. Pokłoniłem się także udanym dozorcóm. Byli to zaś trzech lokaje i dwóch chłopców balwierskich, których zobowiązał do udawania. Kazałem dać wina dla całego oddziału, a skoro noc zapadła, udaliśmy się wszyscy do Kamilli. Zapukaliśmy do drzwi, które były już zamknięte; stara otwo-

rzyła, a biorąc tych ludzi za wyzłów sprawiedliwości, którzy nie przychodzą do tego domu bez powodu, przelekła się niesłychanie.—Uspokój się moja kochana matko, odezwał się do niej Fabrycy, my tu w bagatelnej przychodzimy sprawie, która się szybko skończy, bo my jesteśmy bardzo skorzy.” Po tych słowach poszliśmy dalej do pokoju chorą, która nas prowadziła, trzymając w rękę świecę w srebrnym lichtarzu. Wziąłem tę świecę, a zbliżywszy się do łóżka, i kazawszy przypatrzeć mi się Kamilli:—Zdracjczyń, rzekłem, poznaj łatwownego Gil Blas, któregoś tak haniebnie oszukała! zbrodniarko! przecież raz cię spotkałem po tak długim śledzeniu! Korregidor przyjął moją skargę, i polecił temu algazilowi, żeby cię uwieźlił. Dalej, mości panie oficerze, rzekłem do Fabrycego, spełnij twoje powinność!—Nie trzeba zachęcy, odpowiedział grubym głosem, abym czynił co wypada. Przypominaam sobie też pocziwą, już ona od dziesięciu lat, czerwonymi literami zapisana w moich notatkach. Wstawaj moja panno, ubieraj się szybko; będę ci służył za konuszego, i zaprowadzę cię do turmy tego miasta, jeżeli ci to będzie przyjemne.”

Na te słowa, Kamilla, jakkolwiek słaba, widząc, że dwaj dozoryści ścigali ją z łóżka, usiadła sama, złożyła ręce pokornie, a spoglądając na mnie wzrokiem przerażonym:—Panie Gil Blas, odezwała się, miej litość nademną, zaklinam cię na szanowną matkę, której winneś życie; jestem więcej nieszczęśliwą, jak winną; przekonasz się o tem, wysłuchawszy mojej historyi.—Nie, panu Kamillo, rzekłem, nie, ja nie mam ochoty słuchać cię; wtem aż nadto dobrze, że umiesz wyborne składać romanse.” „A więc, odpowiedziała, kiedy mi nie pozwalasz niesprawiedliwie się, oddaję ci twój dyament, a nie gub mnie.” To mówiąc zdjęła pierścień z palca, i oddała mi go; lecz ja dodałem:—To niedosyć na dyamencie, ja chciałbym zwrotu tysiąca dukatów, które mi skradziono w hotelu umeblowanym.—Oh! co do tych dukatów, mówiła, panie, nie żądam ich odemnie, ten zdrójca don Rafał, którego od owego czasu na oczy nie widziałam, tej samej nocy je zabrał.—Ha, moja ty rybko, rzekł wówczas Fabrycy, toż myślisz, że dla wywikłania się z tej sprawy, dość będzie powiedzieć, żeś w tem wcale rąk nie maczała? Oh! nie wysiłniesz się tak tanim kosztem. Dość na tem, żeś była spółniczką don Rafała, aby zażądać rachunku z przeszłego życia twojego. Musisz nie mało mieć na sumieniu. Pójdiesz, jeżeli łaska, do więzienia, i tam odprawisz spowiedź powszechną. Zaprowadzę tam i tę pocziwą staruszkę; pewny jestem, iż ona wie także nie mało powiastek ciekawych, których pan korregidor cierpliwie wysłucha.”

Obie kobiety użyły wszelkich sposobów, aby nas zmiękczyć; napełniły izbę krzykami, płaczem i żalami. Gdy stara na kolanach, to przed algazilem, to przed dozorcami, siła się obudzić ich litość, Kamilla błagała mnie w sposób najtkliwszy, aby ją ocalić od rąk sprawiedliwości. Warto było patrzeć na to widowisko. Wreszcie ja udałem zmiękczonego.—Panie oficerze, rzekłem do syna Nuneza, pontaważ ja mam już mój dyament, zapominam już o reszcie. Nie pragnę dokuczać tej biednej kobiecie, nie chcę śmierci grzesznika.—Wstyd się pan ludzkością powodować, nie byłbyś zdatny na dowódcę straży. Ja muszę spełnić moje polecenie. Rozkazano mi wyraźnie pojąć te dwie damy. Pan korregidor chce na nich przykład pokazać.—Bądź łaskaw, rzekłem, miej cokolwiek względu na moją prośbę, i ustąp cokolwiek ze ścisłości obowiązku dla daru, który ci te panie chcą ofiarować.—Tak, to co innego, odpowiedział, otóż to figura retoryczna wybornie użyta. No, zobaczymy, co mi chcą ofiarować?—Mam perłowy naszyjnik, rzekła Kamilla, i zausznice znacznej wartości.—Dobrze, ale, przerwał nagle, jeżeli pochodzą z wysp Filipińskich, to ich nie chcę.—Możesz je przyjąć z dobrą wiarą, odpowiedziała, zarezam za ich prawdziwość.” W tej chwili kazała starej podać sobie małe pudełko, z którego wydobyla naszyjnik i zausznice, i złożyła je w ręce algazila. Chociaż nie lepiej odemnie znał się na klejnotach, nie wątpił atoli, iż te które widział w zausznicach, równie były prawdziwe jak i perły. Przypatrzywszy się im z uwagą, rzekł:—Te klejnociki zdają mi się być dobrej próby. Jeżeli do

nich dodany zostanie świecznik, który pan Gil Blas trzyma w rękę, wtedy nie ręczę za moją ścisłość.—Nie spodziewam się, odezwałem się do Kamilli, aby za taki drobiazg, zrywać tak korzystny układ;—to mówiąc, wyjąłem świecę, oddałem staręj, lichtarz zaś wręczyłem Fabrycemu, który poprzestał na tem, zwłaszcza, że obejrzawszy się po pokoju, nie widział nic, coby się z łatwością zabrać dało; odezwał się więc wkońcu:—Bądźcie zdrowe paule, siedźcie spokojnie. Pomówię z paem korregidorem, i wystawię was bielszemi nad śnieg. Umieję kochać odwracać jak nam się podoba, i wtedy tylko rzetelne składamy mu raporty, jeżeli nie mamy powodu do fałszywych.”

ROZDZIAŁ V.

Dalsza przygoda z pierścieniem. Gil Blas porzuca medycynę, i opuszcza Walladolid.

Wykonawszy w ten sposób pomysł Fabrycego, wyszliśmy od Kamilli, uradowani ze skutku, przechodzącego nasze spodziewanie, bośmy tylko rachowali na pierścień. Zabraliśmy bez namysłu resztę; zamiast robić sobie wyrzuty, żeśmy okradli publiczne zalotnice, wyobrażaliśmy sobie czyn nasz godnym pochwały.—Panowie, rzekł Fabrycy, kiedyśmy już wyszli na ulicę, po tak pięknej wyprawie, godziż się nam rozejść się, nie zabawiwszy się z kielichem w rękę? Ja tak nie myślę, mojem zdaniem, wróćmy do naszej szynkowni, tam się zabawimy przez całą noc. Jutro sprzedamy świecznik, naszyjnik i zausznice, a pieniędzi podzielimy się po bratersku; poczem każdy ruszy do domu, i jak potrafi najlepiej, wykręci się swojemu panu.” Myśl pana algazilla zdała nam się bardzo rozsądna. Wróciliśmy wszyscy do karczmy, jedni w nadziei łatwej wymówki nienocowania w domu, drudzy nie troszcząc się wcale że ich wypędzą.

Kazaliśmy przygotować dobrą wieczerzę, zasiedliśmy do stołu z równą wesołością jak apetytem. Rozkoszne powiastki uprzyjemniały nam ucztę. Szczególniej Fabrycy, który umiał ożywić rozmowę, bawił całe towarzystwo. Nasuwało mu się tysiące dowcipów zaprawnych solą kastyllańską, która przecież tyle warta co attycka; lecz w tym momencie gdyśmy w najwyższej radości w najlepsze się śmieli, wypadek nieprzewidziany, a wcale nieprzyjemny przerwał naszą uciechę. Do izby, w której jedliśmy wieczerzę, wkroczył mężczyzna dość przystojny, w towarzystwie dwóch innych, którym coś źle z oczu patrzyło. Za nimi pokazało się znowu trzech, i wnet naliczyliśmy ich aż dwunastu, którzy się wcisnęli trójkami. Każdy z nich miał karabin, szablę i bagnet. Poznaliśmy, że to są ludzie ze straży noćnej, a zamiaru ich nietrudno było domyślić się. Z początku brała nas pokusa do stawienia oporu; lecz w mguleniu oka otoczyli nas, i trzymali na wodzy, jużto przeważając liczbą, jużto bronią palną.—Panowie, rzekł dowódzca touem szyderczym, wiem, przez jak dowcipny podstęp ściągnęliście pierścień z palca jednej zalotnicy. Zaiste, pomysł wyborny, i godzien publicznej nagrody; dlatego też, ta was nie minie. Sprawiedliwość, która wam przeczeka mieszkanie w swoim pałacu, nie omieszka zapewne ocenić tak pięknego wyskoku geniuszu.” Wszyscy do których ta mowa zwróconą była, zmieszali się. Straciliśmy odwagę, trwoga nas zdjęła taka sama, jaką przed chwilą czuła Kamilla. Fabrycy jednak choć blady i zębkany, chciał nas usprawiedliwiać.—Panie, nie mieliśmy złych zamiarów, rzekł, i dlatego należy nam przebaczyć ten mały figiel.—Co u diabła, krzyknął komendant z gniewem, to ty nazywasz to małym figlem? Wiész ty, że to pachnie postronkiem? Prócz tego, że niewolno sobie samemu wymierzać sprawiedliwości, wy nadto zabraliście świecznik, naszyjnik i zausznice; jestto przypadek niechybnie szubienicą grozący, a to dlatego, że dla dopełnienia tej kradzieży, przybraliście postać straży. Nędzulk! przebiecra się za uczciwych ludzi, aby złe płacił! Poczynam was za bardzo szczęśliwych, jeżeli was tylko skażą na galery.” Kiedy nam dał do zrozumienia, że to była rzecz daleko ważniejsza, niżśmy z początku myśleli, rzuciliśmy się mu do nóg, prosząc, aby miał litość nad naszą młodością; wszystko naprzóżno. A co dziwniejsza, odrzucił nasze przedstawienie, że mu chcemy oddać i świecznik i perły i zausznice. Nie chciał nawet

przyjąć mojego pierścienia, który mu ofiarowałem, być może, iż był w tak dobrém towarzystwie; krótko mówiąc, był nieubłagany. Kazał rozbroić moich spółników, i wszystkich razem zaprowadził do więzienia miejskiego. Kiedy nas tam prowadzono, jeden ze straży powiedział mi, że stara kobieta, mieszkająca z Kamillą, mając podejrzenie, że nie jesteśmy rzeczywiście sługami sprawiedliwości, szła za nami aż do szynkowni, a tam przekonawszy się o rzeczywistości swoich domysłów, zawałdomiła o tem straż nocną, aby się zemścić nad nami.

Naprzód przetrząsnięto nas doskonale. Odebrano świecznik, perły i zausznice; wydarło mi pierścień wraz z rubinem z wysp Filipińskich, który na nieszczęście miałem w kieszeni; nie zostawiono mi nawet tych realów, które owego dnia dostałem za moje recepty, co mnie przekonało, że ludzie w Walladolid, tak dobrze umieli spełniać swój obowiązek, jak tamci w Astordze, i że wszyscy ci panowie, jednakowy mieli kodex postępowania. Podczas, gdy mnie obdzierano z pieniędzy i kosztowności, dowódzca straży opowiadał nasz postępek naczelnikowi obdzierania. Wielu z nich, rzecz tę uważało za tak ważną, iż ją sądzili godną kary śmierci; inni mużej surowi, mówili, że dosyć będzie dla każdego po dwieście batów i kilka lat służby morskiej. Nim zaś pan korregidor, ostatecznie względem nas wyrzeczę, wtrącono wszystkich do lochu, w którym pokładaliśmy się na słomie popruszonej, tak jak to robią w stajni podścielkę pod konie. Bylibyśmy tam niechybnie dość długo siedzieli, a zamtąd prosto na galery powędrowali, gdyby pan Manuel Ordonez, nie był posłyszal o naszej przygodzie zaraz nazajutrz; ou postanowił wydobyć Fabrycego z turmy, czego nie mógł dokazać bez wyzwolenia nas wszystkich. Byłto człowiek wielce szanowany w mieście; nie szczędził on zabiegów, i tak przez własne wpływy, jak przez starania swoich przyjaciół, tyle dokazał, iż nas po trzech dniach wypuszczono. Ale nie wyszliśmy z turmy w takim stanie, w jakim nas do niej wprowadzono; świecznik, perły, zausznice, moje pierścienie i pieniądze, wszystko tam zostało. To mi przywiodło na pamięć owe wiersze Wlrgilego, które się zaczynają: *Sic vos non vobis...* (tak wy nie sobie).

Po odzyskaniu wolności, wróciliśmy do swoich panów. Doktor Sangrado przyjął mnie łaskawie:—Biedny Gil Blasie, mówił, dopiero dziś rano dowiedziałem się o twojem nieszczęściu. Zabierałem się szczerze i usilnie wstawić za tobą. Nie martw się tym przypadkiem, mój przyjacielu, zabierz się do medycyny z większą jeszcze jak dotąd żarliwością.—Odpowiedziałem, że to właśnie jest moim zamiarem, i w istocie cały się oddałem temu powołaniu. Nie brakło też nam zajęcia, stało się bowiem, jak pan mój szczęśliwie przepowiedział; pojawiły się choroby. Gorączki zjadliwe panowały w mieście i na przedmieściach. Wszyscy lekarze byli zajęci, a my więcej nad innych. Nie było dnia, w którymby każdy z nas najmniej ośmiu lub dziesięciu chorych nie odwiedził; łatwo z tego wniesć, ile to było krwi rozlanej, ile wypijano wody ciepłej! Lecz nie wiem czem się to działo, że wszyscy umierali; czy my ich stosownie do tego leczyli, czy też choroba była nieuleczona. Rzadko się zdarzyło, żebyśmy zdążyli trzy razy odwiedzić jednegoż chorego; pospolicie za drugim razem, dowiadywaliśmy się, że już pogrzebiony, albo że kona. Jako młody lekarz, niezahartowany jeszcze w sztuce zabijania, trapiłem się mocno smutnemi wypadkami, o które można było mnie obwiniać.—Panie, rzekłem raz wieczór do doktora Sangrado, świadczę się Bogiem, że ściśle zachowuję metodę pana, a jednak wszyscy moi chorzy wynoszą się na tamten świat; jak gdyby się zmwili na sponiewieranie naszego sposobu leczenia. Dziś spotkałem dwóch, których do grobu niesiono.—Mój syu, odpowiedział, jabym ci nie miał toż samo mógł powiedzieć; ja po największej części nie mam nkontentowania uzdrawiać osób, które wpadną w moje ręce; i gdybym nie był tak silnie przekonany o moich zasadach, myślałbym, że środki przezemnie przedsiębrane, są przeciwne wszystkim chorobom, jakie mi się leczyc wydarza.—Jeżelibyś pan raczył mnie posłuchać, mówiłem mu, możeby nie było toż zmienić postępowanie. Dla samej ciekawości dajmy

naszym chorym preparat chemiczny, sprobujmy koszenilli, w najgorszym razie, ten sam skutek może otrzymamy co z krwi puszczenia i ciepłej wody.— Jąbym chętniej zgodził się na tę próbę, gdyby to za sobą ważniejszych nie pociągało skutków; ja wydałem dzieło, w którym zalecam częste puszczanie krwi i picie wody; chcesz, abym sam potępił moje dzieło?— Oh! jeżeli tak, masz pan zupełną słuszność, odpowiedziałem, niepodobna pozwolić na taki tryumf nieprzyjaciółom pana; powiedzieli by, żeś się pan ludzi; zniszczyliby wziętość pana; niech ginie raczej gmin, szlachta i duchowieństwo! Idźmy raz wytkniętym torem. Zresztą, nasi spółbracia, pomimo wstrętu do krwi puszczania, nie umieją więcej cudów pokazywać jak my; a ja myślę, że ich mixtura, nie więcej warte, jak nasze *specificum*.

Na nowo zatem zaczęliśmy pracować, i tak zrzuceniśmy się sprawili, iż w niespełna sześciu tygodniach tyleśmy przysporzyli wdów i sierot, ile ich wydało obłężenie Trol. Zdawało się, że morowa zaraza jest w Walladolid, tyle było pogrzebów. Prawie codzieln przybywał do nas niejeden ojciec żądający od nas odpowiedzialności za syna cośmy mu wydali; albo stryjaski wyrzucający nam śmierć swojego synowca. Co się tyczy synowców i synów, których stryjowie lub ojcowie źle wyszli na naszemu lekarstwie, ci nam się nie pokazywali wcale. Mężowie także byli bardzo delikatni, nie przesładowali nas wcale za śmierć żon swoich. Ależ osoby strapione, których wyrzuty znosić nam przychodziło, objawiali niekiedy smutek grubiański; przezywali nas głupcami, reżnikami, wyrażeni swych nie obliwali w bawelnę. Mnie dojmowały ich przydomki, ale mój pan przywykł do tego, słuchoł ich obojętnie. Mógłbym być, podobnie jak on, przyzwyczajai się do obelg, gdyby nieba dla usunięcia zapewne pożogi od chorych Walladolidu, nie sprowadziło okoliczności, która mnie odstręczyła od medycyny, z tak małym skutkiem przezemnie praktykowanej. Tęto okoliczność chcę wyłuszczyć ze wszystkiemi szczegółami, nie bacząc, że czytelnicy mogą się zaśmiać ze mnie.

W sąsiedztwie naszym było miejsce gry w wolanta, w którym codziennie zbierali się wszyscy próżniacy miejscy. Bywał tam jeden z tych junaków z powołania, którzyto się na znawców narzucają i rozstrzygają swary po karczmach. Rodem był z Biskai i kazał się zwać don Rodrigue de Mondragon. Zdawał się mieć około trzydziestu lat. Wzrostu zwyczajnego, ale suchy i silny. Oczy iskrzące ustawnie mu latały w głowie i trwogą zdejmowały każdego, na kogo je zwrócił: nos szeroki, zwieszony na wąsy rude, które jak dwa rogi aż do skroni sięgały. Głos miał tak chrapliwy i przenikający, iż każdy drżał, kto go tylko słuchoł. Ten straszny samochwał narzucił się na tyrana gry: rozsądzał samowładnie wszelkie spory zachodzące między graczami, a nie godziło się odwoływać od jego wyroku, jeżeli odwołujący nie chciał się narazić na wyzwanie. Takim był, jakem go tu odmalował pan Rodrigue, który mimo dodatku don niemniej był pochodzenia miejskiego, potrafił on miłe zrobić wrażenie na pani tej karczmy. Była to kobieta czterdziestoletnia, bogata, dość przyjemna, a do tego wdowa od piętnastu miesięcy. Nie wiem, jak mógł się jej podobać, ale to pewna, że nie z piękności, może z czegoś, co trudno wyrazić. Cóżkolwiekby, podobał się jej i postanowiła go zaślubić, ale gdy się właśnie gotowała na gody weselne, zachorowała, a na jej nieszczęście ja zostałem jej lekarzem. Choćby chorobą jej nie była febra zjadliwa, moje lekarstwa same przez się wystarczały do zrobienia jej niebezpieczną. W cztery dni pokryłem żalobą karczmę. Gospodyni gry poszła tam, gdzie wszystkich moich chorych wyprawiał, a krewni zagarnęli jej majątek. Don Rodrigue w rozpaczy po stracie swojej oblężnicy, czyli raczej nadziei korzystnego dlań małżeństwa, nie poprzestał na przeklinaniu i szkalanianiu mnie, ale przysiągł, że za pierwszym spotkaniem przesyje mnie swoją szpadą. Sąsiad miłosierny ostrzegł mnie o tej przysiędze: znając Mondragona, nie mogłem lekceważyć tej wiadomości, owszem trwogą mnie ona przejęła. Nie śmiałem wychylić się z domu, z obawy, by nie spotkać tego djabła, zdawało mi się bezustannie, że widzę go, jak wściekłego, wpadającego do naszego domu; nie miałem ani chwili spokojnej. To mi ob-

mierzło sztukę lekarską, i już tylko myślałem, jakby się uwolnić od tej niespokojności. Wziąłem więc znowu mój ubiór szamerowany, a pożegnawszy pana, który nie zdołał mnie zatrzymać, opuściłem miasto równo ze świtem, nie bez obawy spotkania Rodryga w drodze.

ROZDZIAŁ VI.

Wszedłszy z Walladolid, jaką puścił się drogą, z kim się połączył w drodze.

Szedłem bardzo prędko, raz po raz oglądając się, czy przypadkiem nie ujrzę tego straszliwego Biskajczyka pędzącego za mną. Wyobrażenia moja tak była nabita tym człowiekiem, że każdy krzak, każde drzewo zdawało się postacią jego przedstawiać. Co chwila serce we mnie drżało ze strachu. Uszedłszy wszakże dobrą milę uspokoiłem się nieco i zwolniłem kroku, zmierzając do Madrytu, dokąd udać się postanowiłem. Opuściłem Walladolid bez żalu, przykro mi jedynie było rozłączać się z Fabrycem, moim drogim Piladesem, z którym nawet nie mogłem się pożegnać. Nie gniewałem się bynajmniej, że porzucił medycynę, owszem błagałem Boga o przebaczenie za to, że się nią zajmowałem. Z radością przeliczyłem pieniądze, które miałem w kieszeni, choć to była zapłata za moje zabójstwa. Miałem w realach wartość około pięciu dukatów, to był cały mój majątek. Obiecywałem sobie z tem dostać się do Madrytu, nie wątpiąc abym tam nie miał znaleźć dobrego miejsca. Prócz tego pałałem żądzą dostania się do tej wspaniałej stolicy, którą mi wystawiano, jako mały zbiór wszystkich cudów świata.

Kiedy tak rozpamiętywałem wszystko, com słyszał o Madrycie, kiedy się już naprzód napawałem rozkoszą, jaką sam znaleźć mogę; usłyszałem głos człowieka, który za mną zdążył, śpiewając z całego gardła. Na plecach niósł tłomoczek skórzany, gitarę miał zawieszoną u szyi i długą szpadę przy boku. Tak dobrym szedł krokiem, iż wnet mnie dogonił. Było jeden z owych chłopców balwierskich, którzy razem z mną siedzieli w turmie za sprawę pierścienia. Poznaliśmy się od razu nawzajem, choć w zmientonym byliśmy ubiorze i obadwa zdziwiliśmy się niepomału z tak niespodzianego spotkania na wielkim gościńcu. Ja wynurzyłem moją radość, że go mieć będę za towarzysza wędrowki, on uemniej zdawał się cieszyć, że mnie ogląda. Opowiedziałem mu dlaczego opuściłem Walladolid; on podobnież zwierając mi się, oświadczył, że poróżnił się ze swoim panem i obadwa pożegnali się na wieki. „Gdybym był chciał zostać w Walladolid, mówił mi, byłbym łatwo dostał dziesięć golarni za jedną, bo nie chwaląc się wcale, śmiało rzec mogę, że w całej Hiszpanii niema balwierza, któryby zręczniejsz umiał golić z włosiem i pod włos i trefić wąsy. Ale nie mogłem już dłużej oprzeć się gwałtownej żądzy oglądania mojej ojczyzny, którą przed dziesięcią laty opuścił. Chcę cokolwiek rodzinnem odetchnąć powietrzem i dowiedzieć się o stanie moich rodziców. Pojutrze będę u nich, ponieważ miejsce w którym mieszkają, które zowią Olmedo, jest to wielka wieś po tej stronie Segowii.”

Postanowiłem towarzyszyć cyrulikowi, aż do jego domu, udać się ztamtąd do Segowii i szukać jakiej okazji do Madrytu. Zaczęliśmy rozmawiać o rzeczach obojętnych. Młody cyrulik był wesołego humoru i bardzo miły w rozmowie. Po godzinnej prawie pogadance spytał się, czy mi się jeść nie chce. Zobaczysz to w pierwszej lepszej karczmie, odpowiedziałem. „Nim do niej dojdziemy, rzecze, możemy tu spocząć, mam ja śniadanie w tłomoczku. Ja kiedy się udaję w drogę, nie zapomnę nigdy o zapasach żywności. Nie ładuję na siebie sukien, bielizny i innych rupiec; żadnych nie lubię zbytków. Pakuję do tłomoczka amunicją brzuszną, brzytwy i mydelniczkę, więcej nie potrzebuję. Pochwaliłem jego przezorność, przystałem chętnie na mały przystanek. Czulem głód, a wnosząc z tego, co mówił, spodziewałem się nieźle zajadać. Zeszliśmy na bok z drogi i rozłazaliśmy się na trawie. Tu mój chłopak balwierski rozłożył swoje zapasy, które się składały z sześciu cebul, kilku kawałków chleba i sera: lecz co najlepszego wydobyl z tłomoczka, to był pęcherz napełniony winem, jak mówił, wysmienitem. Choćby potrawy nie były bardzo łakotliwe, głód jednak doda-

wał im smaku. Wyróżnił mi wino, którego mogło być ze dwie kwarty, a z którego pochwałami mógł się być schować. Ruszyliśmy potem w dalszą drogę rzeźwi i weseli. Ponieważ Fabrycy napomknął cyrulikowi o moich osobliwych przypadkach, teraz więc począł mnie prosić, abym mu je sam opowiedział. Sądziłem, że nie należy nic odmawiać człowiekowi, który mnie tak dobrze uraczył: zaspokoiliem więc jego ciekawość: a następnie rzekłem, że w odwet za moją grzeczność wypada, aby i on mnie opowiedział historią swojego życia. „Oh, co do mojej historii, rzekł, niema czego słuchać, jest ona zupełnie pospolitą. Że jedoak nie mamy nic lepszego do roboty, opowiem ją, tak jak jest.” Zaraz więc zaczął prawić w ten sposób.

ROZDZIAŁ VII.

Historja chłopca balwierskiego.

Fernand Perez de la Fuente, mój dziad (zaczynam od źródła), goląc brody przez lat pięćdziesiąt we wsi Olmedo, zmarł i zostawił czterech synów. Najstarszy Mikołaj, zajął jego golarnię i nastąpił po nim w jego rzemiośle; Bertrand młodszy, nabawiwszy sobie głowę handlem, został kupcem kramarzem; Tomasz trzeci został wiejskim nauczycielem. Co się tyczy czwartego, którego nazywano Pedro, ten czując się zrodzonym do nauk nadobnych, sprzedał część ziemi, która nań z działła przypadła, udał się do Madrytu, pełen nadziei, że się tam potrafi odznaczyć i nauką i dowcipem. Trzej inni bracia jego nie rozłączali się wcale: osiedli w Olmedo, pożenił się z córkami wieśniaków, które im w posagu niewiele majątku, ale za to wielką płodność przyniosły. Rodzili jakby na wysięgi. Moja matka, żona balwiera, wydała na świat sześcioro w pięciu pierwszych latach swego małżeństwa. Ja byłem z tej liczby. Ojciec mój wczesnie bardzo uczył mnie golić, a gdy doszedł piętnastu lat wieku, włożył mi na plecy ten tomoczek, który oto widzisz, przypasał mi długą szpadę i rzekł: „Ruszasz, Diego, już teraz jesteś w stanie zarobić sobie na kawałek chleba; idź przejrzeć kraj. Musisz wędrować, abyś się trochę otarł i w swojej sztuce wydoskonalił. Idź, a nie wracaj do Olmedo, póki nie obejdiesz całej Hiszpanii; niech nie słyszę o tobie pierwój, nim to nastąpi.” To rzekłszy, naciśkał mnie po przyjacielsku i wypchnął z domu.

Takie było pożegnanie z moim ojcem. Matka, nie tak szorstkich obyczajów, tklivszą się okazała przy moim oddaleniu. Uroniła kilka łez i wsunęła mi w rękę dukata pokryjodu. Takim więc sposobem wyszedłem z Olmedo i puściłem się do Segowii. Ledwie paręset kroków uszedłem, gdy mi się wstrzymał dla przejścia mojego tomoczka. Ciekawy byłem, co się też w nim znajduje, chciałem wiedzieć co mam w Istocie. Znalazłem w nim zawinięte dwie brzytwy, które zdawały się służyć do golenia już przynajmniej z dziesięciu pokoleń, tak były zużyte, obok tego był pasek do przeciągnięcia brzytwy i kawałek mydła. Prócz tego była koszula konopna nowiuteńka, para starych trzewików mojego ojca, ale co mnie bardziej ucieszyło jak to wszystko, to było dwadzieścia realów zawiniętych w stary płatek płócienny. Ołóżto była cała moja zamożność. Łatwo z tego wniesiesz, że pan Mikołaj cyrulik, musiał wiele rachować na moje zdolności, kiedy mnie z tak szczupłymi funduszami wyprawił na wędrowkę. Jednakoż dukat i dwadzieścia realów odurzyły młodego chłopca, który nigdy nie miał ani grosza. Zdało mi się, że mam skarb niewyczerpany; uniesiony radością, szedłem dalej raz po raz spoglądając na rękojeść mojej szpady, której głównia bila mnie po łytkach, albo się plątała między nogami.

Wieczór przybyłem do wsi Ataknes, nadzwyczaj zgłodzony. Zaszedłem do hotelu i jak gdybym miał czém hojnie szafować, szumnym tonem zażądałem wleczery. Gospodarz popatrzwszy na mnie, widział z kim miał do czynienia, z wielką więc uprzejmością rzekł: „W tej chwili szlachetny panie, będziesz zaspokoiony; uczęstuję cię, jak księca jakiego. To mówiąc, zaprowadził mnie do pokoiku, a w kwadrans później podał mi kark koci, który zjadłem z taką chciwością, jak gdyby to był przodek zająca lub królika. Do tego delikatnego przysmaczku dodał wino, tak wyborne, że jak mówił, sam król

lepszego nie pija. Jednakoż poczułem, że to było wino zepsute, to mnie atoli nie wstrzymało, żeby mu nie miał zrobić takiegoż honoru, jak owiej potrawie. Żeby zaś we wszystkim być uraczonym po kszącęcu, trzeba się było położyć spać na łożku, na którym trudniejby było pozbyć się bezsenności, niż uabrać chęci do spauia. Wystaw sobie werek klasny, a tak krótki, iż niepodobna mi było wyciągnąć nóg, jakkolwiek użklego jestem wzrostu. Prócz tego był na nim tylko sieunik, pokryty prześcieradłem we dwoje złożonem, które od ostatniego prania, już zapewne ze stu wędrownikom służyło. Mi to, nasycony owym karczkiem i winem, które mi gospodarz podał, dzięki młodości i temperamentowi, spałem wybornie.

Nazajutrz po śniadaniu, opłaciwszy sownie tak wyborne jedzenie, udałem się jednym ciągiem do Segowii. Tylko com stanął, znalazłem zaraz golarnię, w której mnie przyjęto za żywność i utrzymanie; ale tylko sześć miesięcy tam bawiłem; chłopak balwierski, z którym się zaprzyjaźniłem, a który chciał się udać do Madrytu, podburzył mnie, i razem ruszyliśmy do stolicy. Umieściłem się tam na tej samej zasadzie, co w Segowii. Dostałem się do golarni najwięcej uczęszczanej. Prawda, że będąc tuż obok kościoła świętego Krzyża, w bliskości teatru, kszącęcym zwanego, zwabiła mnóstwo osób. Pan mój, dwaj dorosłe chłopcy i ja, nie mogliśmy prawie nastarczyć golić wszystkich, co przybywali. Bywali tam ludzie wszelkich powołań, a między innymi, aktorowie i autorowie. Pewnego dnia, dwie osoby z tego ostatniego gatunku przybyły razem. Zaczęli rozprawić o poetach i poezjach owoczesnych, i usłyszałem jak wymówili imię mojego stryja; z tego powodu wróciłem większą, niż dotąd baczość na ich rozmowę. „Don Juan de Zavaleta, odezwał się jeden, zdaje mi się być pisarzem, na którego publiczność spuszczać się nie może. Dowcip płaski, człowiek bez imaginacyi; ostatnia jego sztuka haniebnie go zabiła.— A Luiz Velez de Guevara, rzekł drugi, czyż nie pyszne dzieło przedstawił publiczności? Czy może być coś nędzniejszego? Wymienili jeszcze niemało innych poetów, których nazwisk nie pamiętam, to tylko sobie przypominam, iż im potężne łaty przyczepiali. O moim stryju zaszczytniejszą uczynił wzmiankę; zgodzili się obadwa, że to był młodzieniec niepospolitej zasługi. Tak, ozwał się jeden, don Pedro de Fuente jest wybournym autorem; w dziełach jego jest żart lekki zmieszany z głęboką naukowością, co go czyni interesującym i pełnym soli. Nie dziwi mnie bynajmniej, że zyskał wziętość u dworu i u publiczności, że mu wielu panów płaci pensyą. Od kilku już lat, dodał drugi, ma znakomite dochody. Pomieszkanie i stół ma u księcia Medina Celi; nie ma żadnych wydatków, musi więc bardzo dobrze stać w interesach.”

Nie straciłem ani litery z tego, co ci panowie o moim stryju mówili. W domu jeszcze dowiedzieliśmy się, że on w Madrycie wiele wrzawy uarobił przez swoje dzieła; przejeżdżając przez Olmedo osoby rozpowiadały o tém; ale że on sam żadnej o sobie nie dawał wiadomości, i owszem zdawał się troskliwie usuwać od nas, my więc ze swojej strony, nie dbaliśmy wcale o niego. Znać jednak zaraz do czego kto zdolny; skorem się dowiedział, że stryj w dobrym jest stanie i gdzie mieszka, wzięta mnie chęćka, by go odwiedzić. Jedna tylko rzecz mnie stropiła: autorowie zwali go don Pedro; to więc *don* bardzo mnie zajęło: bałem się, aby to nie był inny jakł poeta, a nie mój stryj. Ależ ta obawa nie wstrzymała mnie bynajmniej. Pomyślałem sobie: może został uszlacheconym, będąc tak dowcipnym autorem, uwziąłem się więc udać się do niego. W tym celu, za pozwoleniem mojego mistrza, ustroiłem się jednego poranku jak tylko mogłem najporządniej; wyszedłem z naszej golarni, dumny, że byłem synowcem człowieka, który gienłuszem swoim taką sobie sławę pozyskał. Cyrulicy nie należą do rzędu ludzi pozbawionych próżności. Zacząłem nabierać wielkiego o sobie wyobrażenia, i dumnie postępując, pytałem się o pałac księcia Medina Celi. Stanąwszy w bramie oświadczyłem, że chcę mówić z panem don Pedro de Fuente. Odźwierzny wskazał mi palcem w głębi dziedzińca małe schody i rzekł mi; wejdz niemi na pierwsze piętro, i zastukaj w pierwsze

drzwi, które ujrzyś na prawo. Uczyniłem jak mi powiedział, zapukałem, a w tej chwili otworzył drzwi jakiś młody człowiek; zapytałem go więc, czyby tu mieszkał don Pedro de Fuente. — Tak jest, odpowiedział, ale teraz nie można z nim mówić. — Radbym właśnie z nim pogadać, rzekłem, ponieważ przynoszę mu wiadomości od jego rodziny. — Choćbyś miał nożki od samego papieża, rzekł, nie wpuszczę cię teraz do jego pokoju; pisze bowiem dzieło, a kiedy jest zajęty pracą, nie można mu wcale przeszkadzać. Nie można się z nim widzieć jak koło południa; idź, przejdź się, a wracaj w czasie oznaczonym.

Wyszedłem więc, i przez cały poranek przechodziłem się po mieście, rozmyślając, jak mnie też przyjmie mój stryjasek. Zdaje mi się, iż się niesłychanie ucieszy, ujrzawszy mnie. Sądziłem o jego uczuciach, według tych, jakie mnie ożywiały, i gotowałem się na poznanie bardzo kłiwe. Wróciłem na oznaczoną godzinę. — W samą porę przybywasz, ozwał się do mnie jego sługa, pan mój właśnie co ma wyjść. Zaczekaj tu chwilę, idę zawiadomić go. To rzekłszy, zostawił mnie w przedpokoju; w moment powrócił i wpuścił mnie do pokoju swojego pana, którego rysy twarzy odrazu uderzyły mnie wielkim podobieństwem familijnym. Zdało mi się, że to mój stryj Tomasz, tak byli do siebie podobni. Skłoniłem się mu z głębokim uszanowaniem i oświadczyłem, że jestem synem pana Mikołaja de Fuente, cyrulika z Olmedo, powiedziałem mu także, że już od trzech tygodni trudnię się tą sztuką w Madrycie, w charakterze chłopca balwierskiego, i że mam zamiar obejść całą Hiszpanią, dla wydoskonalenia się w mojem powołaniu. Kiedym to mówił, spostrzegłem, że stryj mój marzył; zapewne namyślał się, czy się ma zaprzeczyć mnie, czy też zręcznie pozbyć; wybrał to ostatnie. Zmyślił więc minę uśmiechającą się, i rzekł: — No, mój przyjacielu, jakże się ma twój ojciec i twoi stryjowie? jak się im powodzi? Zacząłem mu więc opowiadać o licznej rozmnożeniu się naszej rodziny; wymieniałem mu wszystkie dzieci płci męskiej i żeńskiej, i w tej liście objąłem nawet ojców i matki chrzestne. Zdało mi się, że te szczegóły niebardzo były ciekawe dla niego, a zmlerzając prosto do celu: — Diego, rzekł, podoba mi się, że wędrujesz po kraju dla wydoskonalenia się w swojej sztuce, radzę ci, żebyś nie zatrzymywał się długo w Madrycie; dla młodych jest tu pobyt niebezpieczny; zgubisz się tu moje dziecko. Lepiej zrobisz, udając się do innych miast królestwa, gdzie obyczaj nie są tak skażone. Idź, a gdy będziesz gotów do podróży, wstąp do mnie, dam ci ludora, aby ci pomógł do zwidzenia Hiszpanii. Kończąc te wyrazy, zręcznie wysunął mnie ze swojego pokoju, i oddał mi z pomieszkania.

Nie miałem tyle przenikliwości, żeby się domyślić, iż pragnie mnie wyprawić od siebie; wróciłem do golarni i zdałem sprawę panu swojemu z całych odwiedzin. Ale i on także nie dociekał zamiarów don Pedra, dlatego mówił: — Jaby nie podzielał zdania twojego stryja; zamiast zachęcać cię do wędrowki po kraju, powinienby raczej zobowiązać cię do pozostania w stolicy. Ma znajomość z tylu znakomitymi panami, mógłby ci z łatwością wystarać się o miejsce w jakim domu zamoznym, i podać sposobność do zrobienia majątku. Uderzyła mnie ta mowa, przedstawiająca mi tak pochlebne na przyszłość widoki, zaraz więc we dwa dni później, udałem się do stryja z prośbą, aby użył swojej wziętości, i umieścił mnie u jakiego bogatego pana przy dworze; ale pomysł ten nie przypadł mu do smaku. Człowiek próżny, który miał przystęp do panów, jadał z nimi codziennie, nie mógł pozwolić, aby synowiec jego płał się pomiędzy lokajami, wtedy gdy on u pańskiego zasiada stołu; mały Diego zawstydzalby don Pedra. Nie omieszkał więc wywieść mnie z omamienia, i to dosyć szorstko. — Jaktó, ty mały hultaju, ozwał się z gniewem, ty chcesz porzucić twoje powołanie! Ruszaj! zostawiam cię ludziom, którzy ci tak zgubne dają rady. Wychodź z mojego pokoju, noga twoja niech tu nie zostanie, inaczej, każę cię ochłostać, jak na to zasługujesz. Zgłupiałem na te słowa, a bardziej jeszcze na ton, z jakim wyrzeczone były. Odszedłem ze łzami w oczach, tknięty do żywego twardością serca, jaką mi okazał. Ale że

byłem z natury żywy i dumny, otarłem prędko łzy. Wnet miejsce żalu zastąpił gniew; postanowiłem porzucić krewnego bez którego obchodziłem się aż dotąd.

Poświęciłem się zatem wyłącznie udoskonaleniu mojego talentu. Goliłem przez cały dzień, wieczór zaś dla rozweselenia umysłu, uczyłem się grać na gitarze. Nauczycielem moim był stary towarzysz, *senor escudero*, któremu zwykle goliłem brodę. Dlatego też uczył mnie muzyki, którą znał doskonale. Bo też kiedyś był śpiewakiem przy kłórejs katedrze. Nazywał się Marek de Obregon. Byłto człowiek mądry, który miał tyleż dowcipu, co doświadczenia; kochał mnie zaś, jak własnego syna. Był on marszałkiem żony pewnego lekarza o trzydziści kroków od naszego domu mieszkającego. Chodziłem do niego wieczorami, po skończeniu mej roboty, a usiadłszy oba na progu, wywodziliśmy koncerta, które nie raziły sąsiadów. Nie żeby głos nasz miał być osobliwszy, ale że brząkając po strunach, śpiewaliśmy oba zgodnie według zasad, a to wystarczało dla zabawy tych, którzy nas słuchali. Najwięcej atoli przyjemności w naszym śpiewie, znajdowała dona Mergelina, żona lekarza, która umyślnie wychodziła do alei, by nas słuchać, i częstokroć musielismy jej powtarzać śpiewki, które się jej podobały. Mąż jej, nie przeszkadzał tej rozrywce. Byłto człowiek wcale nie zazdrosny, choć Hiszpan, a do tego stary; prócz tego, zajęty swoim powołaniem, skoro wieczór powrócił, zmordowany odwiedzinami chorych, wczesnie bardzo szedł do łóżka, nie troszcząc się bynajmniej upodobaniem, jakie żona jego w naszych koncertach znajdowała. Być może, iż nie sądził, aby zdolne były szkodliwe jakie wyrzucić wrażenie. I to także dodać należy, iż był przekonany, że nie potrzebuje się niczego obawiać. Mergelina była wprawdzie kobieta młoda i piękna, ale tak surowej cnoty, że cierpieć nie mogła wejrzenia mężczyzny; mąż jej przeto, nie pozwolił za złe rozrywki, która mu się zdała niewinna i uczciwą, pozwalał nam śpiewać, ile nam się podobało.

Pewnego wieczoru gdy przybył do drzwi mieszkania doktorskiego w celu zwyczajnej zabawki, zastałem starego marszałka czekającego na mnie. Wzłął mnie pod rękę, oświadczaając, że się chce ze mną przejść, nim rozpoczniemy nasz koncert. Zwrócił się w uliczkę uboczną, a ujrzawszy że może swobodnie rozmawiać: — Diego, mój synu, rzekł tonem smutnym, mam ci coś osobliwego powiedzieć. Lękam się moje dziecko, abyśmy oba nie żalowali naszej koncertowej rozrywki we drzwiach mojego pana. Zaręczam ci, że czuję wielkie do ciebie przywiązanie, szczęśliwy jestem, że cię nauczył grać i śpiewać; lecz gdybym był przewidział grożące nam niebezpieczeństwo, dallbóg, byłbym inne miejsce do nauki obrał. Na te słowa strach mnie ogarnął; zacząłem prosić marszałka, aby się jaśniej wyraził i powiedział wręcz, czego się lękać mamy, bo ja wcale nie byłem sposobny narażać się na niebezpieczeństwo, a do tego jeszcze nie obszedłem całej Hiszpanii. — Opowiem ci, rzekł, co powinienes wiedzieć, abys pojął, jaki cios nad nami wisi.

Kiedym przyjmował służbę u doktora, mówił dalej marszałek, a temu już rok będzie, zaprowadził mnie do swojej żony i rzekł: — Marcos, oto jest twoja pani, masz jej towarzyszyć wszędzie. Zdumiałem się na widok dony Mergeliny, zdała mi się dziwnie piękną, do malowania, a szczególnie jej zachwyciła mnie przyjemna jej postawa, miła i ujmująca wejrzenie. — Panie, odezwałem się do lekarza, za wielkie poczytuję sobie szczęście, służyć tak cudnej piękności kobiecie. Nie podobały się te wyrazy Mergelinie, zaraz mi odpowiedziała tonem opryskliwym: — Patrzcie mi go, jaki poufały. O! ja nie lubię, aby mi grzeczności prawiono. Te wyrazy tak pięknie wyrzeczone usty w osobliwszym sposobie mnie uderzyły; nie mogłem żadną miarą takiej mowy dziwniejszej i nieokrzesanej pogodzić z wdzięktem całej postawy mej pani. Mąż był już do tego przyzwyczajony, a nawet cieszył się tym przekornym charakterem swojej żony: — Marcos, rzekł do mnie, żona moja jest rzadkiem zjawiskiem cnoty. Spostrzegłszy, że bierze płaszczyk udając się na mszę, kazał mi iść z nią do kościoła. Zaledwieśmy wyszli na ulicę, spotkali-

śmy mężczyzna, w czem niema nic osobliwego, którzy uderzeni wdziękami dony Mergeliny, przechodząc nie szczędził pochlebnych wyrazów. Odpowiadała im, ale anibys pojął, jak dalece odpowiedzi te były głupie i śmieszne. Wszyscy się zdumiewali, bo nikt się nie spodziewał, aby się mogła znaleźć kobieta, która by się obrażała, kiedy ją chwala. „Paul, mówiłem jej, nie uważaj wcale na to, co ci prawią, lepiej zamilcz, niż z cierpkością odpowiadać.—Nie, wcale nie, odpowiadała, ja chcę nauczyć tych zuchalców, że nie jestem kobietą zdolną znośić uchybienia należnego mi uszanowania. Wreszcie nieraz tak nieprzyzwolite wymykaly jej się z ust wyrażenia, że nie mogłem się wstrzymać od wynurzenia jej myśli mojej, z narażeniem się nawet na jej gniew. Przedstawiałem jej z wszelką delikatnością, że krzywdę czyni natufce, że wszystkie piękne przymioty kazi tym dzikim humorem: że kobieta łagodna i grzeczna może zyskać miłość bez pomocy piękności; gdy tymczasem piękna oso-



Gil Blas jako służący u Don Bernarda.

ba bez łagodności i nprzejmości staje się przedmiotem pogardy. Do takowych uwag dodałem mnóstwo innych podobnych, mając jedynie na celu poprawę jej obyczajów. Nagadawszy się moralów do woli, bałem się zresztą, abym przez to nie ściągnął na siebie gniewu mojej pani i za moję szczerość nie usłyszał niemilych wyrazów: ale przecie nie oburzała się na moje przełożenia, poprzestała na tem, że na nic nie zważała, równie jak i na to, com jej nierozważnie później rozprawił.

W końcu zdunilo mi się ostrzegać ją w jej błędach, zostawiłem ją więc jej wrodzonej dzikości. Tymczasem, będzieszzże wierzył? ten umysł dziki, ta dumna kobieta, od dwóch miesięcy zupełnie zmieniła humor. Grzeczna dla wszystkich, w obejściu nader miła i uprzejma. Jużto nie ta Mergelina, która opryskliwie odpowiadała mężczyznom na ich piękne słówka; stała się czułą na pochwały, lubi słuchać gdy jej mówią że piękna, że wdziękami swojemi czaruje; miłe jej są pochlebstwa, zgola, jestto teraz wcale inna kobieta. Ta zmiana jest prawie niepojęta, a co jeszcze bardziej zadziwić cię powinno, to że ty jesteś sprawcą tego dziwu. Tak jest mój kochany Diego, tyś tak zmienił donę Mergelinę; tyś tę srogą tygrysięcę przemienił w łagodną owieczkę; tyś zwrócił jej uwagę na siebie. Już mnie to nieraz uderzyło, i albo wcale nie znam kobiet, albo zaręczam, że serce jej gwałtowną miłością pała ku tobie. Otóżto mój synu, smutna władomość, którą ci mianem wiastować, i przykre położenie, w jakim się znajdujemy.”

—Nie widzę, rzekłem na to staremu, aby to miał być przedmiot trwogi dla nas, ani też, aby to miało być nieszczęściem

dla mnie, że się piękna kobieta we mnie zakochała.—Ach, Diego, mówisz jak każdy młody człowiek; patrzysz na samą ponętę, nie zwracając uwagi na wędkę; ty tylko rozkosz masz przed oczyma, a ja przewiduję nieprzyjemności, które za nią postępują. Wszystko z czasem na jaw wychodzi; jeżeli będziesz ciągle śpiewał we drzwiach naszych, rozżarzysz jeszcze bardziej namiętność Mergeliny, tak dalece, że niepowściągliwością swoją, może tę słabość objawi doktorowi Oloroso, swojemu mężowi; a ten mąż, który teraz pokazuje się tak powolnym, ponieważ nie sądzi, aby miał powód do zazdrości, wówczas gniewem zapalony, zemści się nad nią, a nam obudow może się dobrze dać we znaki.—Panie Marcos, rzekłem, wchodzę w słusność twoich powodów i słucham twojej rady. Wskaż co mam czynić, aby się uchronić złej przygody.—Wypada nam przedewszystkiém zaprzestać naszych koncertów, mówił pan marszałek, nie pokazuj się mojej pani; skoro cię nie będzie widziała, odzyska zapewne dawną spokojność. Zostań u swojego pana, ja będę cię odwiedzał, i będziemy mogli grywać bez obawy.—Zgoda, rzekłem, przyrzekam ci, że noga moja w waszym domu nie poстане. W istocie, przedsięwziąłem nie rozwozić już koncertów we drzwiach doktora, zamknąć się w mojej golarni, ponieważ widok mojej osoby tak zgubnym się okazał.

Tymczasem poczciwy marszałek Marcos, z całą swoją przecznością, wkrótce się przekonał, że wymyślony przez niego środek dla przyłumienia ognia dony Mergeliny, wcale przeciwny wydał skutek. Zaraz drugiego wieczoru, pani nie słysząc naszych śpiewów, zapytała się, dlaczego byśmy przerwali nasze koncerty, co za przyczyna, że mnie nie widzi. Odpowiedział jej, że tak jestem zatrudniony, iż chwil jednej nie mam do zabawy. Zdała się poprzestawać na tę wymówkę, i przez trzy dni następie, z niemąłą stałością, znosiła moję nieobecność, lecz w końcu moja bogini straciła cierpliwość i rzekła marszałkowi:—Marcos, ty mnie zwodzisz; Diego nie bez przyczyny zaprzestał tu uczęszczać, musi być w tem coś tajemniczego, cobym chciała mieć objaśnione. Mów, rozkazuję ci; nie ukrywaj nic przedemną.—Paul, odpowiedział, wstępując na pole nowej kłeski; ponieważ chcęś wiedzieć konkretnie, więc powiem, że mu często zdarzało się, iż po naszych koncertach wracając do domu, zastawał stół sprzątnięty; nie chce więc narażać się na spoczynek bez wiecezry.—Jakto, bez wiecezry! zawołała smutnie; czemuż nie powiedziałeś mi tego wcześniej? Idź spać bez wiecezry! oh! biedny chłopczie! Idź do niego natychmiast, niech przyjdzie zaraz dziś wieczór, będzie zawsze dla niego gotowy półmisek.

—Co ja słyszę! ozwał się marszałek, udając podziwienie, co za zmiana, o Boże! I pani to do mnie w ten sposób przemawiasz? Odkądżeto stałaś się pani tak czułą i litościwą?—Odtąd, przerwała nagle, jak waćpan wszedłeś do tego domu, czyli raczej jak potępiłeś moje postępowanie harde, a starałeś się złagodzić szorstkość moich obyczajów. Ale niestety! dodała z rozczuleniem, z jednej ostateczności wpadłam w drugą; będąc dumną i niedostępną, stałam się nadto łagodną i czułą; kocham twojego młodego przyjaciela Diego i nie mogę tej miłości przyłumnić w sobie, a nieobecność jego zamiast osłabić moje przywiązanie, nowych owsem sił mu dodaje. Czy podobna, ozwał się stary, aby młody człowiek ani piękny, ani przystojny, miał być przedmiotem tak gwałtownej namiętności? Darowałbym pani jej uczucia, gdyby je wzniecił jaki kawaler świetny rodem i zastugą.... „Ah, Marcos, przerwała Mergelina, a więc ja nie jestem podobną do innych osób mojej płci, albo, mimó długoletnie doświadczenie, ty ich nie znasz wcale, jeżeliś sądził, że ród lub zasługa wpływa na ich wybór. Przystań rozwozić się, że Diego niegodzien moję czułości; dość na tem, że go kocham, a tem samem upatruję w nim tysiączne przymioty, które uchodzą przed waszym wzrokiem, a być może, iż ich wcale niema. I cóż ztąd, że mi prawisz, iż ani jego rysy twarzy, ani kibić, niewarte spojrzenia, kiedy on mnie się wydaje zachwycającym, miłszym jak światło dzienne. Nadto dźwięk głosu jego przenika do moję duszy, a na gitarze gra, jak mi się zdaje przedcudnie.—Ależ, pani, wtrącił Marcos, zastanów się co jest Die-

go! nizkie jego prowdzenie!... I moje nie wyższe, przerwała natchmiast, a gdybym nawet była znakomitą panią, nie zważałabym na to bynajmniej.

W skutek takiej rozmowy marszałek poznał, iż nic nie zyska na umyśle swojej pani, przestał więc walczyć z jej uporem; podobnie jak zręczny sternik, ulega burzy oddalającej go od portu do którego zmierzał. Dalej jeszcze posunął się: żeby ucieścić swoją panią przyszedł do mnie i wzięwszy mnie na stronę, opowiedział wszystko co między nami zaszło i dodał wreszcie: „widzisz Diego, że musimy znowu wywodzić koncerta u drzwi Mergeliny. Pani ta koniecznie widzieć cię musi, inaczej mogłaby popełnić jaką niedorzeczność, któraby jeszcze więcej zaszkodziła jej sławie. Nie chciałem udawać okrutnego, oświadczyłem marszałkowi, że pod wieczór przybędę z gitarą, że może tę przyjemną wiadomość zanieść swojej pani. Nie zaniedbał tego, a ta namłetna kochanka z wielką radością dowiedziała się, że tego samego wieczora będzie miała przyjemność oglądania mnie i słyszenia.

Zdarzenie atoli dosyć nieprzyjemne o mało nie zawiadło jej oczekiwania. Nie mogłem wyjść z domu aż w nocy, która jakby za grzechy moje była nadzwyczaj ciemną. Szedłem więc po omacku ulicą, i już może z połowę drogi odbyłem, gdy z okna wylano mi na głowę coś takowego, co bardzo nieprzyjemnie na zmysł powonienia działało. I mogę powiedzieć, że ani kropla tego na stronę nie poszła, tak dokładnie zostałem przystrojony. W takim stanie nie wiedziałem co począć: wrócić do domu, co za rozkoszna scena dla moich spółtowarzyszów! byłoby wystawić się na tysiączne żarciki: udać się w takim stanie do Mergeliny, to było także nieznośne. Jednakże wybrałem to ostatnie i postanowiłem udać się do domu doktora. Zostałem przy drzwiach starego marszałka, który na mnie czekał i powiedział mi, że doktor Oloroso już poszedł spać i że możemy śmiało się zabawić. Odpowiedziałem mu, że pierwój trzeba oczyścić moje suknie, a zarazem zawiadomiłem go o moim przypadku. Objawił mi swoje współczucie i wprowadził do pokoju w którym była jego pani. Skoro tylko usłyszała moją przygodę i ujrzała mnie tak, jak wówczas byłem, zaczęła ubolewać nademną, jak gdyby mnie największe spotkało nieszczęście; potem zwracając mowę do osoby, która mnie tak dogodziła, tysiącem ją opsyła złorzeczeń.—Pani, rzekł Marcos, polamuj się w swoich uniesieniach, zważ, że to jest skutek prostego trafu, nie godzi się tak bardzo na to gniewać.—A to czemu, zawołała z gniewem, czemu nie mam mocno czuć krzywdy wyrządzonej temu barankowi, temu gołąbkowi bez żółci, który się nawet nie skarży na tę zniewagę? Ah, czemuż w tej chwili nie jestem mężczyzną, aby się pomścić!

Wiele jeszcze rozmaitych rzeczy nagadała, które objawiały gwałtowną jej miłość, którą i w inny sposób okazywała; bo gdy Marcos obcierał mnie serwetą, ona pobiegła do swojego pokoju, przyniosła szkatułkę pełną rozmaitego rodzaju wonności. Zapaliła kadzidła i przejęła niemi moje suknie, poczem zlała je pachnidłami. Po skończeniu nakładaniu i balsamowaniu, litościwa ta kobieta poszła sama do kuchni, przyniosła chleb, wino i zraz skopowiny pieczonej, co wszystko umyślnie dla mnie schowała. Zachęcała mnie do jedzenia, z wielką przyjemnością sama mi usługiwała, jażto krajając mięso, już też nalewając wino, choć oba usilnie wstrzymywaaliśmy ją od tego. Skończywszy wieczere, zaczęliśmy strolać nasze głosy do gitary i rozpoczęliśmy koncert, nad którym się zachwycała Mergelina. Prawda, żeśmy się uwzięli nać śpiewki, które schlebiały jej miłości: dodać także należy, iż śpiewając spoglądałem na nią niekiedy z pod oka, a to w sposób jakbym rzucał iskry na paluchy: bo ta gra zaczęła mnie bawić. Koncert choć już dość długo się ciągnął, nie nudził mnie bynajmniej. Co się tyczy pani, dla której godziny wydawały się minutami, onaby całą noc była nas chętnie słuchała, gdyby stary marszałek, dla którego minuty były godzinami, nie przypomniał jej, że już bardzo późno. Pozwoliła mu z dziesięć razy toż samo powtórzyć. Ale miała do czynienia z człowiekiem niezmordowanym w tym względzie: nie dał jej pokoju, póki ja nie wyszedłem. Że był roztronym

i doświadczonym, lękał się, aby nam się coś przeciwnego nie wydarzyło. Obawa jego wnet się okazała usprawiedliwioną: lekarz, czy się domyślał jakiej skrytej intrygi, czy też zły duch zazdrości, który go dotąd oszczędzał, chciał nim teraz wstrząsnąć, zaczął przysuwać naszym koncertom. Co gorsza, zakazał ich stanowczo: a nie wyluszczając powodów swojego postępowania, oświadczył, iż nie chce dłużej cierpieć, aby ktoś obcy do jego domu uczęszczał.

Marcos zawiadomił mnie o tej woli jego pana, która się do mnie w szczególności odnosiła, a co mnie bardzo zmartwiło. Powziąłem niejaki nadzieje i przykro mi było, że je ujrzał zniewezzone. Ale żeby rzecz wystawić w prawdziwem świetle, jak rzetelny dziejopis, wyznać muszę, iż nieszczęście moje przyjąłem cierpliwie. Nie tak się rzecz miała z Mergeliną; uczucia jej tém silniejszym zawrzały ogniem.—Kochany Marcos, mówiła do swojego marszałka, ty jeden możesz mnie wesprzeć: staraj się, abym mogła potajemnie widzieć Diega. —Czego pani żądasz odemnie? rzekł stary z gniewem. Aż nadto byłem względny dla niej. Zaspokajając jej nierozsądną namiętność, nie chcę się przyczyniać do zhańbienia mojego pana, splamienia sławy pani; sam zaś nie chcę się okrywać wstydem, zachowawszy dotąd wziętość służącego bez skazy. Wolę opuścić ten dom, aniżeli służyć w nim w sposób tak bezecny. —Ah, Marcos, przerwała Mergelina, przerażona ostatniem marszałka oświadczeniem, rozdierasz mi serce wspominając o twojem oddaleniu. Okrutny, chcesz mnie opuścić, przywiódłszy mnie do stanu, w jakim się teraz znajduję? Zwróć mi pierwój moją dumę i ten umysł dziki, który mi odebrałeś. Czemuż nie mam jeszcze tych wad tak błogich! byłabym dziś spokojna; gdy tymczasem twoje nierozważne przedstawienia wydarły mi tę miłą swobodę, której używałam. Ska-



Don Pompejo.

złeś moje obyczaje, mniemając, że je łagodzisz. Ależ co mówię, nieszczęśliwa, dodała płacząc; na cóż ci niesłuszne mam robić wyrzuty? Nie, mój ojczy, nie ty jesteś sprawcą mojej niedoli: to fatalny los mój tyle trosk mi zgłotował. Zaklinam cię, nie zwyczaj na nieroztropne wyrazy, które mi się z ust wysliznęły. Niestety! namiętność miesza mój umysł: miej litość nad moją słabością; ty jesteś całą moją pociechą; a jeżeli życie moje jest ci miłe, nie odmawiaj mi swojej pomocy.

Rzewniejszy płacz i łkanie nie pozwoliły jej dalej mówić. Zasłoniwszy oczy chustką padła na krzesło, jak osoba przyciśniona brzemieniem udręczenia. Stary Marcos, który może był najlepszym z marszałków, jacy kiedykolwiek byli, nie oparł się tak tkliwemu widokowi. Przejęty nim do żywego, zmleszał łyzy swoje z płaczem pani i rzekł jej głosem rozczulonym:—Ah, pani, jakże jesteś czarującą! Bolesć twoja nie pozwala mi dotrzymać placu, zwyciężyłaś moją cnotę. Przrzekam ci moją pomoc. Nie dziwię się bynajmniej, że miłość ma tyle siły, że potrafi wyluzować z myśli pamięć obowiązku, kiedy samo poltowanie

zdolne jest zbić mnie z toru prawego. Tak więc marszałek mimo nieskazitelną dotąd sprawowałe się, poświęcił się na usługi Mergeliny. Pewnego poranku przybył do mnie z wiadomością o wszystkim co zaszło i żegnając się ze mną powiedział, że nklada plan, aby mi ułatwić potajemne widzenie się z jego panią. Przez to obudził moje nadzieje; ale we dwie godziny później usłyszałem bardzo złą nowinę. Aptekarzyk z tego samego cyrkulu, jeden z naszych zwolenników przyszedł się golić. Kiedym się do tego gotował, rzekł mi:—Panie Diego, jak ty kierujesz starym marszałkiem Marcos de Obregon, twoim przyjacielem? Wiessze, iż ma opuścić dom lekarza Oloroso? Odpowiedziałem, że nie wiem.—To rzecz niewątpliwa, dodał, dziś mają mu dać odprawę. Jego pan w obecności mojej rozmawiał o tem z moim panem i oto cała treść ich rozprawy. —Panie Apuntador, mówił doktor, mam prośbę do ciebie. Nie jestem kontent ze starego marszałka, który jest w moim domu, chciałbym żonę moję oddać pod dozór wiernej matrony, surowej i czujnej.—Rozumiem cię, przerwał mój pan: Chciałbyś zapewne pani Melancy, która była ochmistrząnią mojej żony, i od sześciu tygodni, jak zostałem wdowcem, bawi w moim domu. Choć mi bardzo dogodna w mojem gospodarstwie, ustępuję ci jej, a to, by ci okazać, jak dalece obchodzi mnie twój honor. Możesz zupełnie spuścić się na nią i być spokojnym o swoje czołol jestto perła ochmistrząni, istny smok do straży wstydlivosti kobiecej. Przez całe lat dwanaście, przez które była przy mojej żonie, która jak wiesz była młoda i piękna, nie dostrzegłem cienia nawet zalotnika w moim domu. Oh, dalibóg nie było z nią żartów. Muszę ci nawet napomknąć, że nieboszeczka w początku miała wiele skłonności do zalotów; ale pani Melancya wnet ją ostudziła i wpoila zamiłowanie cnoty; koniec końców jestto skarb nieoceniony ta ochmistrząni, i nieraz mi podziękujesz za ten dar.—Na to doktor wynurzył swoją radość i ułożyli się oba, że wzmiackowana matrona zaraz dziś zajmie miejsce see starego marszałka.

Ta nowina, którą uważałem za prawdziwą i która była nią w istocie, rozwiła wszystkie moje marzenia rozkoszy, które mi na nowo zacząłem się karmić; a po południu Marcos dokonał reszty, potwierdzając doniesienie aptekarzyka.—Mój kochany Diego, mówił mi pocztelwy marszałek, cieszę się mocno, że doktor Oloroso wypędził mnie ze swojego domu; oszczędził mi przez to niemało przykrości. Bo prócz tego, że mimowolule przyjąłem podły obowiązek, jeszcze trzeba było łamać głowę na wynalezienie rozmaitych wykrętów, aby ci ułatwić tajemną rozmowę z Mergeliną. Co za kłopot! Dzięki Bogu, wolny jestem od tej przykrzej troski i niebezpieczeństwa jej towarzyszącego. Co do ciebie, mój synu, nie żałuj utraty kilku chwil przyjemnych, po którychbyś może tysiącnych doświadczył zgryzot. Podobały mi się morały Marcosa; ponieważ nie miałem już o czem marzyć, opuściłem więc grę. Wyznać muszę, że nie byłem z liczby tych zalotników, dla których zawady większym stają się bodźcem; ale choćbym też i był tak śmiały, pani Melancya byłaby mnie spłoszyła. Charakter jaki nadawano tej matronie, zdawał się być zdolnym przywieść do rozpacy najzapaleńszego gacha. Ale choć nie szczędzono barw czarnych w portrecie ochmistrząni, przecież we dwa, czy trzy dni później dowiedziałem się, że małżonka doktora potrafiła uspić tego argusa, czy też przekopić jego wierność. Gdy raz szedł golić jednego z naszych sąsiadów, zająca jakaś staruszka zatrzymała mnie na ulicy, pytając się, czybym nie był Diego de la Fuente. — Tak jest, odpowiedziałem.—Kiedy tak, więc ja z panem mam coś pomówić. Bądź tej nocy przy drzwiach dony Mergeliny, a za danym przez ciebie znakiem wprowadzę cię do domu. —Bardzo dobrze, rzekłem, ależ trzeba się umówić o znak jaki mam dać: umiem doskonale naśladować kota, zawiawcę więc kilka razy.—To dosyć, odpowiedziała postanka zalotów: zawiadamie o twojej odpowiedzi. Słoga najniższa panie Diego! niech cię Bóg zachowuje! Ah! jakżeś pan miły! Święta Agnieszko! jakżebym była szczęśliwa, gdybym nie miała więcej nad piętnaście lat, nie szukałabym cię dla innej!” to rzekłszy usłużna staruszka oddaliła się odemnie.

Łatwo pojdziesz, że ta postanka szalenie wstrząsnęła mną; poszły z wiatrem morały Marcosa! Wyglądałem nocy z niecierpliwością; a miarkując, że doktor Oloroso już zasypia, udałem się do jego drzwi. Tam zacząłem miauczenia, które zapewne daleko słyszano, a które bez wątplenia zaszczyli czyniły mistrzowi, który mnie nauczył tak pięknej sztuki. Po chwili Mergelina sama przyszła otwierać drzwi cichuteńko i zamknęła je skoro próg przeszedłem. Weszliśmy do sali, w której był nasz koncert ostatni i którą mała lampa ustawiona w komioku słabo oświetlała. Siedliśmy obok siebie, oboje bardzo wzruszeni, z tą różnicą, że nią radość miotała, ja zaś obok tego czułem nieco trwogi. Bogini moja napróżno siłiła się przekonać mnie, że nie mamy się czego obawiać ze strony jej męża, mimo to, czułem dreszcz jakiś, który psuł moję rozkosz.—Pani, rzekłem jej, jakim sposobem potrafiłaś uspić czujność swojej ochmistrząni? Wnosząc z tego, co mi powiadano o pani Melancy, nie przypuszczając wcale, abyś mogła znaleźć sposób dać mi znać o sobie, a tém mniej widzieć moje potajemnie. Dona Mergelina uśmiechnęła się na to, i odpowiedziała.—Przestajesz się dziwić te-razniejszemu skrytemu spotkaniu się naszemu, skoro ci opowiem, co zaszło między mną i moją matroną. Kiedy weszła do naszego domu, mój wąż tysiącnie obsypał ją grzecznościami, do mnie zaś odezwał się: Mergelino, poręczam cię przewodnictwu tej rozważnej pani, która jest treścią wszystkich cnot: jestto zwierciadło, które usławnie mieć będziesz przed oczyma, abyś się utwierdziła w kolei rozsądnego życia. Ta zdumiewająca osoba kierowała przez lat dwanaście żonę aptekarza, mojego przyjaciela; ale kierowała... jak nigdy nie kierują; zrobiła z niej święcia.

Pochwała takowa, którą surowe wejrzenie pani Melancy stwierdzało, wycisnęła mi niemało łez i prawie do rozpacy przywiodła. Wyobrażałam sobie nanki, jakich mi przyjdzie słuchać codziennie od rana do wieczora, przestrogi na jakie się wystawie co moment. W tak dręczącym oczekiwaniu nie oszczędzając niczego, skorom się ujrzała samna sam z ochmistrząnią, rzekłam jej tonem dosyć cierpkim.—Waćpani gotujesz się zapewne dokuczać mi; lecz ostrzegam ją, że nie jestem bardzo cierpliwa. Z mojej strony nastęcać jej będę tysięczne przykrości. Oświadczam wręcz Waćpani, że w sercu mojem tkwi namiętność, której przedstawienia żadne wygluzować nie zdołają. Możesz w tym względzie przedsiębrać środki: podwój baczna swoje troskliwość, a ja wyznaję ci, że niczego nie zaniedbam by cię oszukać.” Na te słowa ochmistrząni zachmurzona (mnie miałam, że rozpocznie perorę na pierwszą próbę), wypogodziła swoje czoło i uśmiechając się uprzejmie odezwała się do mnie:—Jesteś pani zachwycającego humoru, otwartość twoja pobudza mnie do podobnej: widzę żeśmy stworzone jedna dla drugiej. Ah, nadobna Mergelino! jakże mnie źle znasz, skoro sądzisz o mnie z tego, co na moję pochwałę wyrzekł doktor, lub z mojego odstraszającego wejrzenia! Nie jestem ja bynajmniej nieprzyjaćlołką rozkoszy; jeżeli zostaję służebnicą zazdrosnych mężów, to dlatego, żeby się przysługiwać pięknym kobietom. Oddawna już posiadam wielką sztukę maskowania się i mogę śmiało rzec, że jestem podwójnie szczęśliwa, ponieważ zarazem używam korzyści występku i wziętości, jaką nadaje cnota. Chcię więc pani łaskawszēm patrzeć na mnie okiem i bądź przekonana, że jakikolwiek mógł mieć talent stary marszałek, który tu służył, nie przecież nie stracił na tej zmianie: może nawet będę nadeń użyteczniejsza.

—Nietrudno ci domyślić się, Diego, jak wdzięczną byłam mojej ochmistrząni, że mi się tak szczerze ze wszystkiēm otworzyła; ja mniemałam, że to sama najsurowsza cnota. Jak to źle sądzą o kobietach! Pozyskała przychylność moję odrazu przez tę otwartość; w uniesieniu radości uściskałam ją, dając jej poznać, jak dalece miło mi było mieć ją za ochmistrząnię. Następnie zwierzyłam się moich uczuć, prosząc, aby się postarała jak najprędzej o tajemną rozmowę z tobą. Nie zaniedbała ani chwili, dziś zrana wysłała tę starą kobietę, która z tobą mówiła; tęto przebiegłej intrygantki używała ona często dla żony aptekarza. Lecz co najrozkoszniejszego jest w całej tej

historyi, dodała śmiejąc się, że Melancya dowiedziawszy się odemnie, że mąż mój zwykł jak najspokojniej spać całą noc, na tę chwilę, zajęła moje miejsce, i położyła się obok niego.—Tę gorzej, rzekłem na to Mergelinie, nie podobał mi się wcale wynalazek. Mąż pani może się przebudzić, i spostrzeże podstęp.—Nie spostrzeże, przerwała szybko; bądź spokojny w tym względzie, niech czcza obawa nie truje rozkoszy, jakiej używać winienesz z młodą kobietą, która ci dobrze żyjezy.”

Żona starego doktora widząc, że ta mowa nie odejmowała mi trwogi, nie pominęła niczego, co się jej zdawało odzownem do uspokojenia mnie; tak się skrętnie wzięła do tego, że wreszcie dopięła zamiaru. Już tylko myśliłem jedynie korzystać ze sposobności; lecz w tym momencie, gdy Kupido, otoczony śmieszkami i zabawką, już tylko co miał dopełnić mego szczęścia, usłyszeliśmy silne stukanie we drzwi, od strony ulicy. Natychmiast bożek miłości z całym swoim orszakiem uleciał, jak stado bojaźliwych ptasząt, wielkim łoskotem spłoszonych; Mergelina skryła mnie pod stół w sali stojący, zadmuchiła lampę, i według umowy z ochmistrzynią na takowy przypadek, pobiegła do drzwi pokoju, w którym spał jej mąż. Tymczasem, nie przestawano kołatać do drzwi, tak, że się po całym domu rozlegało. Lekarz zerwał się nagle i zaczął wołać Melancyi. Ochmistrzyni wyskoczyła z łóżka, choć doktor krzyczał aby się nie podnosiła wcale, poczytując ją za swoją żonę, zbliżyła się do swojej pani, która pomiarkowawszy, że ją ma przy swoim boku, zaczęła także wołać: Melancya! i kazała jej zobaczyć kto puka do drzwi.—Pani, odezwała się ochmistrzyni, ja tu jestem, racz się pani położyć napowrót, i ja pójdę zobaczę, co to jest. Przez ten czas, Mergelina rozebrała się i położyła się obok doktora, który najmniejszego nie miał podejrzenia, że go oszukiwano. Prawda, że cała ta scena odbyła się w ciemności, odegrana przez dwie aktorki, z których jedna niezrównanej była doskonałości, a druga miała usposobienie do jej zrównania.

Ochmistrzyni w sukni wieczornej wróciła, trzymając świecę w ręku.—Panie doktorze, odezwała się do swojego pana, chciej wstać, księgarz Fernandez de Buendia, nasz sąsiad, został rażony apoplexyą; wzywają pana, spiesz na ratunek. Lekarz ubrał się jak mógł najprędzej i wyszedł. Żona jego w sukni wieczornej, i ochmistrzyni, przyszyły do sali, i wyciągnęły mnie spod stołu napół nieżywego. — Niemasz się czego lękać Diego, mówiła mi Mergelina, bądź spokojny; i zarazem w kilku wyrazach powiedziała mi, jak się to wszystko stało. Chciała na nowo zawiązać ze mną przerwana gawędkę, lecz ochmistrzyni przerwała: — Pani, rzekła jej, może mąż zastanie już księgarza bez duszy, i w też tropy wróci. A prócz tego, cóż zrobisz z tym biednym chłopcem? On nie jest w stanie utrzymać rozmowy. Lepiej go puścić, i odłożyć zabawę do jutra. Dona Mergelina przystała na to, ale nie bez żalu, tak dalece przekładała terażniejszość, i zdaje mi się, że ją to bardzo dręczyło, iż mężowi swojemu nie włożyła na głowę nowego doktorskiego biretu, który dlań gotowała.

Co do mnie, nietylko zmartwiony utratą najdroższych względów miłości, ile uradowany, że uniknął niebezpieczeństwa, wróciłem do mego pana, i resztę nocy przepędziłem na rozmyślaniu nad moją przygodą. Przez niejaki czas, wahałem się, czy mam się udać następnej nocy na umówioną schadzke. Nie lepszą miałem otuchę o drugiej wyprawie, jak była pierwsza, ale szatan, który nas knsi, czyli raczej od którego bywamy opętani w podobnych razach, przedstawiał mi, że byłbym głupcem, zatrzymując się w połowie tak pięknej drogi. Wystawił mi Mergelinę nowemi zdobną wdziękami, a tęp samem podniósł wartość rozkoszy, która mnie czekała. Postanowiłem przeto dotrzymać placu, a sam sobie tusząc większą odwagę, udałem się nazajutrz w tak pięknem usposobieniu, do drzwi doktora, przed samą północą. Niebo było bardzo clemente, ani jednej nie widziałem gwiazdki. Zamiauczałem dwa lub trzy razy, dając znać, że jestem na ulicy; a że nikt nie otwierał, nie poprzestałem na samem miauczeniu, ale począłem naśladować wszystkie głosy kotów, czego mnie nauczył pasterz w Olme-

do; tak zaś się doskonale sprawiałem, że sąsiad wracający do domu, biorąc mnie za istotne zwierzę miauczące, podniósł kamyk, który nogą potracił, i z całej siły rzucił ku mnie, wołając: przeklęte kocisko! Dostałem kamieniem w głowę, tak mocno, że m o włos nie padł jak długi na ziemię. Uczułem, że m był dobrze zraniony. Nietrzeba już było więcej, aby mi obmierzić zaloty, a pozbywszy się miłości, wraz z krwią z rany ciekącą, wróciłem do domu i pobadziłem wszystkich. Mój pan obejrzał i opatrzył ranę, którą uznał za niebezpieczną. Ale przecie nie sprowadziła złych skutków, i we trzy tygodnie później, ani śladu jej nie było. Przez cały ten czas, nie słyszałem nic o Mergelinie. Można by przypuścić, że pani Melancya dla oderwania jej odemnie, postarała się o jaką lepszą znajomość. Ale o to się wcale nie troszczyłem, bo skorom się tylko wyleczył, opuściłem zaraz Madryt, udając się w dalszą wędrowkę po Hiszpanii.

ROZDZIAŁ VIII.

Jak Gil Blas i jego towarzysz spotkali człowieka, który skórkę chleba maczał w zdroju, i o czym z nim rozmawiali.

Pan Diego de la Fuente opowiadał mi i inne jeszcze przygody, które go później spotkały; ale nie zdają mi się godne powtarzania, i dlatego je pomijam. Ja przecież musiałem ich słuchać, chociaż były bardzo rozwlekłe, bo mu wystarczyły aż do Ponte de Duero. Zatrzymaliśmy się na noc w tęp miasteczku. Kazaliśmy sobie na wieczerec sporządzić zapę z kapusią, i wsadzić zającą na rożen, którego ród, z wielką bacnością sprawdziliśmy. Nazajutrz równo ze świtem, puściliśmy w dalszą drogę, napelnivszy nasz pęcherz dość dobrem winem, i zabrawszy w łomoczek kilka kawałków chleba, i połowę zającą ca pozostała z wczorajszej wieczery.

Uszedłszy dobrą milę drogi, poczuliśmy głód, a żeśmy spostrzegli o parę set kroków od drogi kilka drzew rozłożystych, które tworzyły cień przyjemny, udaliśmy się więc tam, dla odpoczynku. Zastaliśmy tam młodego człowieka, około dwudziestu ośmiu lat mieć mogącego, który suche skórkę chleba maczał w zdroju. Obok niego leżał na trawie długi rapir i sakwy, które zdjął z ramienia. Zdał się nam biednie ubrany, ale przystoyny, i gęstej winy. Zbliżyliśmy się do niego grzecznie, on się także z uprzejmością odkilonił. Poczęm podając nam swoje kromki chleba, z uśmiechem zapraszał do swojej uczy. Przyjęliśmy zaprosiny z warunkiem, że nam wolno będzie przyłączyć także i nasze śniadanie, aby je tęp sutszém zrobić. Chętnie na to przystał, a my zaraz rozłożyliśmy nasze zapasy, co go bynajmniej nie obraziło, owszem, z uniesieniem radości zaczął:—Cóżto! panowie, takie zapasy! jak widzę jesteście bardzo przeczorni. Ja nie wędruję z taką ostrożnością; spuszczam się więcęj na ślepy traf. Trzeba wam wszakże wiedzieć, że mimo stan w jakim mnie widzicie, mogę rzec bez chluby, że często mam postawę dosyć świetną. Powiadam wam, że mnie pospolicie szanują jak księcia, i mam gwardyą przy boku!—Rozumiem, rzekł Diego, chcesz nam przez to dać poznać, że jesteś aktorem.—Przedziwnie, zgadłeś, odpowiedział, już najmnieć od piętnastu lat występuję na scenie. Dzieckiem jeszcze byłem, a już grywałem małe role.—Cyrulik, kiwając głową, rzekł bez ogródki:—Nie chce mi się temu wierzyć. Ja znam aktorów; ci panowie nie odbywają wędrowek piechotą, jak ty, ani poprzestają na uczenie św. Antoniego, wąplię nawet, czyby cię używano do objaśnienia święce. — Mozesz sądzić o mnie jak ci się podoba, odpowiedział szermierz, to bynajmniej nie przeszkadza, abym nie miał grać pierwszych ról; przedstawiam pospolicie role kochanków. — Jeżeli tak jest, mówił mój towarzysz, szczęśliwy jestem, że pan Gil Blas i ja, mamy zaszczyt jeść śniadanie z tak znakomitą osobą.

Wzięliśmy się potem do naszych kromek chleba, i poczeliśmy ogryzać szacowne resztki zającą, pęcherz zaś, częstą odbywając kolęj, wnet był próżniuteńki. Wszyscy trzej tak zajęliśmy się naszą czynnością, żeśmy ani słowa nie rzekli, ale najdłszy się, wróciliśmy do naszej rozmowy.—Dziwi mię, rzekł

cyrulik do aktora, że interesa twoje zdają się w nienajlepszym stanie. Jak na bohatera teatralnego, bardzo ubogo wyglądasz. Przepraszam za zbytnią może otwartość.—Tak, otwartość! zawołał aktor, ah, zaiste nie znasz wcale Melchiora Zapala. Dzięki Bogu, nie jestem opryskliwego umysłu. Miło mi jest, że z taką szczerością ze mną się obchodzisz, boć i ja lubię wszystko prawie, co mam na sercu. Wyznaję śmiało że nie jestem bogaty. Patrzcie, mówił dalej, pokazując nam swój kaftan podszyty afiszami, oto jest zwyczajna materya, która mi służy za podszewkę; a jeżeli chcecie widzieć moją garderobę, w tej chwili zaspokoje waszę ciekawość. Zaraz wydobyle z sakwy suknię starą z szamerowaniem szychowem, stare kapelusisko z kilką piórami, podziurawione pończochy jedwabne, i z czerwonego sałanu trzewiki, bardzo zużyte. Widzicie panowie, że dosyć zakrawam na żebraka.—To mnie dziwi, ozwał się Diego, musisz więc nie mieć ani żony, ani córki!—Owszem, odpowiedział Zapala, mam żonę piękną i młodą, i nie mam nic z tego. Otóż to właśnie, podziwiając moję nieszczęsną gwiazdę! Zaślubiam miłą aktorkę, w nadziei, że mi przecież nie pozwoli umierać z głodu, a na moje nieszczęście jestto kobieta cnoty niezłomnej. Któż u diabła nie zawiódłby się tak jak ja? Trzeba było koniecznie, aby między aktorkami prowincjonalnemi, znalazła się jedna cnotliwa, i żeby ta właśnie, wpadła mi w ręce.—W istocie, rzekł cyrulik, toż już trzeba nieszczęścia w grze. Ale dlaczegoż nie pojąłeś aktorki z wielkiej trupy madryckiej? byłbyś grał na pewniaka.—Prawda, odpowiedział szarlatan; ale niech djabli wezmą, alboż to małemu aktorowi prowincjonalnemu, wolno pomyśleć o tych sławnych bohaterkach? Na to, ledwie mógłby się odważyć aktor z trupy teatru książęcego, a i z tych, niejedemu musi sobie szukać żony w mieście. Szczęściem dla nich, miasto jest przedziwne, nie trudno w niem o panny, które tyleż warte, co księżniczki zakulisowe.”

—Proszę cię, mówił mu mój towarzysz, nie starałeś się dostać do ich trupy? Czyż to potrzeba tak wielkiej usługi, aby wejść między nich?—Wybornie, odpowiedział Melchior, czy żartujesz z tej wielkiej usługi? — Jest tam dwudziestu aktorów. Spytaj się o nich prześwietną publiczność, usłyszysz śliczne o nich wyrażenia. Więcej jak połowa ich, powinnyby nosić torbę. Mimo to, nie tak to łatwo dostać się między nich. Trzeba albo dublonów, albo potężnej protekcyi, aby nadstawić mierność talentu. Ja to przecie muszę wiedzieć, bom występowałem na próbę w Madrycie, gdzie mnie djabelnie wygwizdano, wyszydono, chociaż powinni byli obsypać oklaskami, bom wrzeszczał, robiłem miny szalone, sto razy przewyższyłem naturę; nadto, deklamując, przykładałem pięści pod brodę mojej bohaterki; słowem, grałem w gnieście największych aktorów stolicy; a jednak, publiczność, która w nich podziwiała tę samą grę, nie mogła jej ścierpieć we mnie. Otóż to, co może uprzedzenie! Tak więc, nie mogąc się przypodobać przez moją grę, a niemając tego, za co mógłbym być przyjęty, na przekorę tym, co mnie wygwizdali, wracam do Zamory. Tam połączę się z moją żoną i spółtowarzyszami, którym się tam nienajlepiej powodzi. Bodajby tylko nie przyszło żebrak, abyśmy mieli o czym dostać się do innego miasta, bo to już nieraz nam się wydarzyło.”

Po takiej rozmowie, bohater dramatyczny powstał, wziął swoją szpadę, zarzucił sakwy na plecy, i opuszczając nas, przemówił tonem poważnym:

..... „Żegnam was panowie,
Niech was błogosławieństwo obyspią Bogowie!”

—A pan, odpowiedział Diego tym samym tonem, abys w Zamorze znalazł twoję żonę dobrze opatrzoną! Skoro pan Zapala odwrócił się od nas, zaczął gesta wyrabiać i deklamować idąc. My zaś zaczęliśmy gwizdać, aby mu przypomnieć pierwszy wstęp na scenę. Usłyszał nasze gwizdanie, i przypomniał mu się Madryt. Obejrzał się, a widząc nas bawłonych się jego kosztem, zamiast obrażać się, przyjął mile ten żart, i puścił się w dalszą drogę, śmiejąc się z całego gardła. I my także nasmiawszy się dowoli, wróciliśmy na nasz gościeńce.

ROZDZIAŁ IX.

W jakim stanie Diego zastał swoją rodzinę. — Zabawy, po których rozłączył się z nim Gil Blas.

Tego dnia nocowaliśmy między Moyados i Valpuesta, w wiosce, której nazwiska nie pamiętam; a nazajutrz około jedenastej godziny przed południem, stanęliśmy na polach Olmedo. —Panie Gil Blas, rzekł mi towarzysz podróży, oto jest miejsce mojego urodzenia; nie mogę patrzeć na nie bez wzruszenia, tak to jest wrodzone przywiązanie do miejsca rodzinnego. —Panie Diego, odpowiedziałem, człowiek, który tyle przywiązania do swojego gniazda wynurza, powinienby o niem mówić korzystniej, niżes to zrobił. Olmedo zdaje mi się być miastem, ty zaś powiadałeś, że to jest wieś; trzebaż je było uciec przy najmniej tytułem porządnego miasteczka.—Przywracam mu honor, mówił cyrulik, lecz muszę powiedzieć, że widząc Madryt, Toledo, Saragossę i wszystkie wielkie miasta, w których przebywałem obchodząc Hiszpanią, wszystkie miasteczka wydały mi się jak wsie. Postępując coraz dalej polem, zdawało nam się, że mnóstwo ludzi snuje się koło Olmedo, a kiedyśmy się zbliżyli bardziej, ujrzelśmy rzeczy godne wzrok nasz zastanowić.

Były tam trzy namioty rozbite, w pewnej jeden od drugiego odległości; tuż przy nich wielu kucharzy i mnóstwo kucyków, zajętych przyrządzaniem jakiegoś bankietu. Jedni nakrywali długie stoły ustawione pod namiotami, drudzy nalewali wino z dzbanów kamiennych, inni smażyli i gotowali w rądlach, inni nareszcie obracali rożny z rozmaitego rodzaju pieczywami. Lecz nadewszystko, uwagę moję zwrócił teatr w bliskości wzniesiony. Jasniał on dekoracyami z papieru, w różne barwy malowanemi, upstrzony napisami w języku greckim i łacińskim. Cyrulik tylko co rzucił okiem na te napisy, rzekł natychmiast: —Wszystkie te greckie wyrazy dziwnie trąca stryjem moim Tomaszem, założyłbym się, że on tu dołożył swej ręki; bo między nami mówiąc, to jest bardzo zręczny człowiek. On umie mnóstwo szkolnych książek na pamięć. To mi się tylko nie podobą, iż w potocznej rozmowie płacze łacińskie wyrażenia, na co się niejedem gawędzi. Prócz tego, stryj mój tłumaczył poetów łacińskich i autorów greckich. Zna wybornie starożytności, jak to wnosić można z pięknych przypisów które wydał. Gdyby nie on, nie wiedzielibyśmy, że w Atenach dzieci płakały, skoro je różgą chłostano. To odkrycie, winniśmy jego głębokiej erudycyi.”

Gdyśmy się temu wszystkiemu należycie przypatrzeli, wzięła nas chętka dowiedzenia się, w jakim celu robiono te przygotowania. Właśnie zabieraliśmy się do szukania objaśnień, a wtem Diego, w człowieku, który się zdawał być mistrzem tego obrzędu, poznał pana Tomasza de la Fuente, do któregośmy natychmiast przystąpili. Zwierzechnik szkoły nie mógł sobie odrazu przypomnieć młodego cyrulika, tak go widział zmienionym od lat dziesięciu. Jednakże, nie mogąc się go zaprzecć, uściśkał go serdecznie, i z uczuciem przywiązania odezwał się:— Ah, jak się masz Diego, mój kochany synowcze, toż przecie wracasz do miasta, w którym światło dzienne ujrzałeś? Przybywasz oglądać bogi domowe, i niebo cię zdrowym i czerstwym powraca twoję rodzinie. O dniu! trzykroć, czterekroć szczęśliwy. *Albo dies notanda lapillo.* Wiele nowin usłyszysz mój przyjacielu! Twój stryj Pedro de la Fuente, ten piękny dowcip, padł ofiarą Plutona, temu już trzy miesiące jak umarł. Ten sknera przez całe życie drzał, aby mu nie zabrakło na istotne potrzeby: *Argenti pallescat amore.* Pomimo wielkie pensye, jakie mu dawali możni panowie, nie wydawał przez rok ani dziesięciu ludorów na swoje utrzymanie: lokaja nawet, który mu służywał, nie żywił. Ten głupiec, nierozsądniejszy jeszcze od greka Arystyppa, co na stepach Libii kazał służącemu rzucić swoje skarby, ponieważ im uciążliwe były w drodze, zgarniał złoto i srebro, jak tylko mógł. A dla kogo? dla spadkobierców, na których nawet patrzeć nie chciał. Zostawił trzydzieści tysięcy dukatów, któreśmy podzieliłi między siebie; twój ojciec, twój stryj Bertrand i ja. Teraz możemy dobrze wyposażyć na-

sze dzieci. Brat mój Mikołaj, rozporządził już siostrą swoją Teresą, wydał ją za mąż, za syna jednego z naszych alkadów; *Connubio junxit stabili propriamque dicavit*. Właśnie te to gody pod najsześcielszą wróżbą zawiazane, obchodzimy z taką uroczystością już dwa dni! Zawaliśmy na tę tu równinie rozbić namioty. Każdy z trzech spadkobierców Piotra, ma swój namiot, i każdy z kolei ponosi wydatek jednego dnia. Szkoda żeś wczesniej nie przybył, widziałbyś był początek naszej zabawy. Onegdaj, w dniu ślubu, ojciec twój uraczał gości. Wyprawił pyszny bankiet, który się skończył ubieganiem się do pierścienia. Twój stryj, kramarz, wczoraj zastawił stoły i uraczył nas uczią pasterską. Przebrał za pasteryz dziesięciu najdorodniejszych chłopców, i dziesięć najpiękniejszych dziewcząt; do ich stroju użył wszystkich wstążek i wszystkich świecideł jakie miał w swoim sklepiku. To świetne grono młodzieży, zwodziło rozmaite tany, śpiewało piosnki lekkie, wesołe i niewinne. Przecież choć nie nie mogło być wdzięczniejszego, nie zrobiło to wielkiego wrażenia; musi to być, że teraz nie lubią, tak jak niegdyś, pasterek.

—Na dziś, mówił dalej, wszystko idzie na mój rachunek, ja mam mieszkańcom Olmedo przedstawić widowisko mojego wynalazku: *Finis coronabit opus*. Kazałem wnieść teatr, na którym przy pomocy Bozkiej, moi uczniowie przedstawiają sztukę przezemnie napisaną, tytuł jej: *Rozrywki Muley Bugentufa, króla Maroko*. Grać ją będą wybornie, bo mam uczniów, którzy deklamują jak aktorowie madryccy. Są to dzieci rodzi z Peniafi i z Segowii, które są u mnie na pensyi. Przedziwni aktorowie. To prawda, że ich dobrze wprawił; deklamacya ich zdawać się będzie wyrobiona na kopyto mistrza, *ut ita dicam*. O sztuce nie będę ci nie mówił; chcę ci zostawić rozkosz niespodzianki. Powiem tylko po prostu, że musi zachwycić widzów. Jest to jeden z tych przedmiotów tragicznych, które wzruszają duszę obrazem śmierci, przedstawionej umysłowi. Ja zgadzam się z Arystotelesem, trzeba obudzić trwożę. Ha, gdybym się był poświęcił teatrowi, byłbym wyprowadzał na scenę samych władców krwi cheiowych, bohaterów morderców; kapałbym się we krwi. W moich tragediach, widzianoby ginąć nie tylko główne osoby, ale wszystkich, aż do straży nawet i suflera; koniec końców, ja tylko lubię samą okropność, to jest mój gust. Dla tego też ten rodzaj poematów zwabia tłumy, podsycia zbytek aktorów, zapewnia miłą swobodę autorom.

Właśnie gdy kończył te wyrazy, ujrzeliśmy wychodzący z miasta tłum ludzi obojęt płci. Byli nowożeńcy w towarzystwie krewnych i przyjaciół; poprzedzało ich dziesięciu lub dwunastu muzykantów, którzy razem na różnych instrumentach grając, niemal robili wrzawy. Udaliliśmy się naprzeciw nich, i Diego dał się poznać. Okrzyk radości rozległ się natychmiast w całym zgromadzeniu, każdy się ciskał do niego. Nie mało użył trudu, odbierając tylsieżne oświadczenia przyjacieli. Cała rodzina i wszyscy obecni obarczyli swojemi nęciskami; poczem ojciec, odezwał się do niego:—Cieszę się z twojego powrotu Diego, znajdujesz rodziców w lepszych piórach, mój przyjacielu, więcej ci teraz nie powiem; później ci to wyjaśnię ze wszystkimi szczegółami. Orszak tymczasem posuwał się na równinę, udał się do namiotów i zajął miejsca przy stołach. Nie opuszczałem mojego towarzysza, razem jedliśmy obiad z nowożeńcami, którzy mi się zdali bardzo dobrać. Uczta długo trwała, bo zwierznikowi szkoły przywidziało się urządzić ją na trzy dania, aby przewyższyć braci, którzy nie wystąpili z takim przepychem.

Po obiedzie wszyscy godownie nęcierpliwie wyglądali jak najprędszego przedstawienia sztuki pana Tomasza, nie wątpiąc bynajmniej, że utwór tak pięknego gieniuszu, jak mówiono, go dzień będzie słuchania. Zbliżyliśmy się do teatru, przed którym gajkowie zajęli już miejsca, aby przygrywać między aktami. Gdy każdy w najgłębszym milczeniu oczekiwał zaczęcia, wystąpili aktorowie na scenę, autor zaś z poematem w ręku, zajął miejsce za kulisami na odległość suflera. Bardzo słusznie nam powiedział, że sztuka była tragiczną, bo w pierwszym ak-

cie król marokański, zabił strzałami z łuku, stu niewolników murzynów; w drugim poucinał głowy trzydziestu oficerom portugalskim, których jeden z jego dowódców, zabrał w niewolę wojenną; nareszcie w trzecim, ten pan sprzykrzywszy sobie swoje żony, własną ręką podpalił dosobniony pałac, w którym były zamknięte, i wraz z niemi zamienił go w popiół. Niewolnicy murzyńscy, podobnie i portugalscy oficerowie, wyrobieni byli z prętów wierzbowych z wielką sztuką, a pałac z tektury, staął w płomieniach ogni sztucznych. Ten pożar, któremu towarzyszyło tysiące jęków żalonych, jakby zpośród płomieni wydobywających się, stanowił rozwiązanie sztuki i zakończył widowisko w sposób bardzo rozkoszny. Cała równina, rozległa się hucznymi oklaskami, których nie szcędzono dla tak pięknej tragedji; to usprawiedliwiło dobry gust poety i pokazało, że umiał zrobić dobry wybór przedmiotu.

Rozumiałem, że już nie będzie nic do widzenia po *Muley Bugentuf*, alem się omylił. Trąby i kotły zapowiedziały nowe widowisko: było to rozdanie nagród; ponieważ Tomasz de la Fuente, dla tём świetniejszego obchodu rodzinnej uroczystości, kazał pisać ćwiczenia wszystkim swoim uczniom tak dochodzącym, jak i pensjonarzom, i tym którzy je najlepiej zrobili, miał w tym dniu rozdać w nagrodę książki, zawłasny grosz kupione w Segowii. Przyniesiono więc na teatr dwie długie ławki szkolne, i szafkę napełnioną szpagalami dość przyzwoicie oprawne. W tej chwili wszyscy aktorowie wrócili na scenę, i otoczyli pana Tomasza, który tak poważną nastroił minę, jak przystało na zwierznika mtejskiej szkoły. Trzymał w ręku arkusz papieru, na którym były wypisane imiona tych, co mieli otrzymać nagrodę. Podał ją królowi marokańskiemu, a ten zaczął czytać głośno. Każdy uczeń, którego wymieniono, szedł z uszanowaniem, i odbierał książkę z rąk nauczyciela, poczem uwieńczony laurem, siadał na ławce, wystawiony na widok zgromadzenia. Chociaż zwierznik szkoły, tyle trudówłożył ku zadowoleniu swoich widzów, nie dopiął jednak zamierzonego celu, bo rozdawszy nagrody samym tylko pensjonarzom, jak to zwykle się dzieje, oburzył obecne matki kilku uczniów dochodzących, które go obwiniały o stronność; tak dalece, że uroczystość aż dotąd tak zaszczytna dla niego, o mało nie skończyła się jak ucztą Lapidów.

KSIEGA TRZECIA.

ROZDZIAŁ I.

Przybycie Gil Blasa do Madrytu i pierwsza jego służba.

Zabawiłem przez czas niejaki u cyrulika. Przyłączyłem się potem do kupca z Segowii przejeżdżającego przez Olmedo. Odstawwszy towary do Walladolid, wracał on próżno z czterema mułami. Zaznajomiliśmy się w drodze i tyle powziął przywiązania ku mnie, iż przybywszy do Segowii musiałem przyjąć mieszkanie u niego. Zatrzymał mnie przez dwa dni w swoim domu i kiedy już był gotów do drogi z przewodnikiem mułków, dał mi list prosząc, abym go oddał do własnych rąk temu do kogo był adresowany, nie wspomniawszy mi, że to był list zalecający. Nie omisszałem zanieść go do pana Matheo Melendez. Był to kupiec hadlujący suknem, który mieszkał przy bramie słońca, na rogu ulicy Bahutier. Tylko co go przeczytał pan Melendez, odezwał się do mnie z wielką uprzejmością: „panie Gil Blas, korespondent mój Pedro Palacio pisze mi względem pana w sposób tak nalegający, iż nie mogę przenieść na siebie, abym mu nie miał dać pomieszkania u siebie. Prócz tego prosi, abym się wystarał o dobre miejsce dla pana, jest to rzecz, której się chętnie podejmuję. Pewny jestem, iż mi nie trudno będzie umieścić go korzystnie.”

Przyjąłem ofertę pana Melendez z tём większą ochotą, ponieważ słuhae moje widocznie zmniejszały się; niedługo mu wszakże naprzykrzałem się. W tydzień oświadczył mi, iż mnie zalecił znajomemu sobie kawalerowi, który potrzebuje pokojowca, i że według wszelkiego podobieństwa ta posada mnie nie minie. W istocie, wspomniany kawaler wkrótce przybył,

a pan Melendez odezwał się do niego: „Panie, oto masz przed sobą młodego człowieka, o którym ci wspominałem. Jest chłopiec pełen honoru i moralności; ręczę ci za nim, jak za sobą samym.” Kawaler spojrzął się ostro na mnie, oświadczył, iż mu się podoba moja fizjonomia, że mułe przyjmuje do służby. Niech idzie ze mną, rzekł, potem wskażę mu zaraz jego obowiązki. Po tych słowach pożegnał kupca i poprowadził mnie na wielką ulicę, wprost naprzeciw kościoła św. Filipa. Weszliśmy do domu dosyć pięknego, w którym całe skrzydło zajmował: wstąpiliśmy na schody o pięciu, czy sześciu stopniach, następnie wprowadził mnie do pokoju zamkniętego na dwoje mocnych drzwi, które sam otworzył, z których pierwsze miały okienko z mocną kratą. Z tego pokoju przeszliśmy do drugiego, w którym stało łóżko i inne sprzęty nie bogate, ale czyste.

Jeżeli mój nowy pan dobrze mi się przypatrywał u Melendez'a, i ja teraz z kolei bacznie mu przyglądałem się. Był to mężczyzna pięćdziesiąt kilka lat mieć mogący, z wejrzenia zimny i poważny. Zdał mi się być charakteru łagodnego, i nie zawiodłem się w mojem zdaniu. Pytał się mnie o moją rodzinę, a zadowolony odpowiedzią, rzekł: „Gil Blas, uważam cię za chłopca bardzo rozsądnego, kontent jestem, że cię przyjął do służby. I ty także będziesz zadowolony z twojego położenia. Dawać ci będę dziennie sześć realów, tak na żywność i utrzymanie jako też na myto, bez względu na drobniagowe korzyści, jakie będziesz mógł znaleźć u mnie. Prócz tego ja nie jestem bardzo wymagający w służbie; ja nie prowadzę gospodarstwa, jadam w mieście. Rano oczyścisz moje suknie, a zresztą wolnym będziesz przez cały dzień. Zalecam ci jedynie, abyś wczesnie wracał wieczór i czekał na mnie przy drzwiach moich; otóż masz wszystko czego żądam od ciebie. Przepisawszy w ten sposób moje obowiązki, wy dobył z kieszeni sześć realów, dał mi je, jako zadatek umowy. Poczem wyszliśmy obadwa, on zamknął drzwi, a chowając klucze, mój przyjacielu, mówił, nie chodź za mną, ruszaj, dokąd ci się podoba, biegaj po całym mieście, ale skoro wrócę wieczór, żebym cię zastał na tych schodach. Skończywszy to, oddał mi się, pozwalając mi rozrządzać sobą jak mi się będzie zdawało najlepiej.

Jak mi Bóg miły, Gil Blasie, pomyśliłem sobie, niepodobna ci było lepszego szukać pana! otóż masz człowieka, który za okurzenie sukien i oczyszczenie pokoju rano, daje ci sześć realów dziennie, z wolnością biegania i bawienia się, jak uczeń w czasie wakacyj! możesz być jaki stan sześciu? Teraz już nie dziwi się, że taką ochotę miałem dostać się do Madrytu, to było bez wątpienia przeczcucie szczęścia, które mnie tu czekało. Przepędziłem cały dzień włócząc się po ulicach, bawiąc się oglądaniem rozmaitych rzeczy, które były dla mnie nowością, a to było dostateczne na ten raz zatrudnienie. Wieczór zjadłszy wyczerzę w sąsiedzkiej garkuchni pospieszylem na wskazane mi miejsce przez pana. We trzy kwadransie później przybył i on, i zdał się być zadowolony z mojej punktualności. „Wybornie, rzekł, to mi się podoba, lubię służących bacznych na swój obowiązek.” To mówiąc otworzył drzwi i skorosmy weszli, zamknął je znowu. Skrzeszał ogień, zapalił świecę i zaczął się rozbiierać. Kiedy już był w łóżku, zapaliłem z jego rozkazu lampę, która stała na kominku, świecę włożyłem do przedpokoju, gdzie położyłem się w łóżko ale bez firanek. Nazajutrz rano wstał między dziewiątą a dziesiątą godziną, ja już oczyściłem jego suknie. Wylczył mi moje sześć realów i odesłał mnie aż do wieczora. I on także wyszedł, zamknawszy troskliwie drzwi swojego pomieszkania, tak więc obadwa rozstaliśmy się znowu na cały dzień.

Taki ciągle był tryb życia naszego, który mi się bardzo podobał. W tém wszystkiem atoli była jedna rzecz zabawna, to jest, że nie wiedziałem nazwiska mojego pana. Melendez nie wiedział także, znał go tylko ztąd, że kiedyś kiedyś wstępował do jego sklepu i czasami kupował u niego sukno. Sąsiedzi nie mogli zaspokoić mojej ciekawości; wszyscy mnie zapewniali, że wcale nie znają mojego pana, choć już dwa lata w tym cyrkułe mieszka. Powiadali, że u żadnego z sąsiadów nie postać; a niektórzy przywykli do wyprowadzania wniosków bez namy-

słu, mniemali, że to musi być pan, o którym nienajkorzystniejsądzić należy. Później, dalej jeszcze postąpiono: miano go w podejrzaniu jako szpiega króla portugalskiego, a przez życzliwość radzono mi, abym się miał na baczności w tym względzie. To ostrzeżenie zmieszało mnie niepomału: wystawiałem sobie, że skoroby to się sprawdziło, ja mogę się narazić na odwiedziny turmy madryckiej, która mi się nie zdała przyjemniejszą od drugich. Niewinność moja nie mogła mnie uspokoić, dawniejsze przygody kazały mi się lękać sprawiedliwości. Po dwakroć doświadczyłem, że jeżeli nie umarza niewinnych, tedy przynajmniej nie zachowuje względem nich praw gościnności, tak dalece, że smutną jest rzeczą dostać się w jej ręce, choć na krótki czas.

Radziłem się Melendez'a w sprawie tak drażliwej; ale on sam żadnej rady udzielić mi nie umiał. Jeżeli z jednej strony nie mógł wierzyć, aby pan mój miał być szpiegiem; tedy z drugiej strony nie miał zasady do stanowczego zaprzeczenia. Postanowiłem sam śledzić mojego pana i porzucić go, skorobym spostrzegł, że jest nieprzyjacielem kraju; ale zdało mi się, że jego roztropność i przyjemność mojego położenia wymagały silnego przekonania się o rzeczywistości podejrzeń. Zacząłem naprzód od baczności na jego czynności; żeby go zaś cokolwiek wymacać, mówiłem mu raz wieczór przy rozbięciu: „Panie, ja już nie wiem jak żyć, żeby się ustrzedz złych języków. Świat jest bardzo złośliwy! Między innymi, pośród naszych są tacy sąsiedzi, którzy djabła wari. Przeklęte dusze! Anibyś pan się domyślił co o nas prawią.” „Dobrze, mój Gil Blas, odpowiedział, i cóżby też mogli mówić, mój przyjacielu? Ah, zaprawdę rzekłem, oszczerstwo znajdzie zawsze przedmiot: cnota nawet dostarczy mu poeisków. Nasi sąsiedzi mówią, że jesteście ludźmi niebezpiecznymi, że zasługujecie na baczność dworu, słowem pan ucobodzisz u nich za szpiega króla portugalskiego. Wymawiając te wyrazy wpatrywałem się bystro w mojego pana, jak Aleksander przeukliwie badał twarz swojego doktora; użyłem całej mojej przenikliwości, aby dociec, jaki też na nim skutek wywrze mój raport. Zdało mi się, że widział jakies wzdrygnięcie się, które odpowiadało bardzo dobrze domysłom sąsiadów: ujrzałem go zamyszonego, com także niekorzystnie tłumaczył. Szybko jednak ochłonał, i rzekł mi z miną dosyć spokojną. „Gil Blas, pozwólmy rozprawić naszym sąsiadom, a nie róbmy naszęj spokojności zawisłą od ich wniosków. Nie traczymy się o sąd jaki o nas dają, kiedy nie dajemy powodu do złego wyroku.”

Po takowej rozmowie położył się, ja też samo uczyniłem, nie wiedząc czego się trzymać. Drugiego dnia, gdyśmy się zabięrali do wyjścia, usłyszeliśmy silne kołatanie do drzwi pierwszych od schodów. Pan mój otworzył drugie drzwi, i zajrzał przez okienko zakratowane. Ujrzał człowieka porządnie ubranego, który się doń odezwał:—panie, jestem algazilem, przychodzę aby pana zawiadomić, że pan Korregidor życzy sobie pomówić z panem.—Czegoż żąda odemnie? rzekł mój pan.—Tego ja nie wiem, panie, odpowiedział algazil; ale niech pan raczy widzieć się z nim, a pewnie dowiesz się tego. — Sługa najniższy, ozwał się mój pan, nie mam z nim nic do czynienia. Poczem trzasnął drzwiami, przeszedł się kilka razy po pokoju, jak człowiek któremu wyrazi algazila klin w głowę wbiły; dał mi wreszcie moje sześć realów, i rzekł: Gil Blas, możesz teraz pójść, mój przyjacielu, i przepędzić dzień, jak ci się podoba; ja nie wyjdę tak prędko, ale ciebie nie potrzebuję wcale tego poranku. Dał mi przez to do zrozumienia, że się boi być uwięzionym, i dla tego nie chce opuścić mieszkania. Zostawiłem go więc; żeby się zaś przekonać, czy się nie mylę w mojem podejrzaniu, skryłem się tak, żebym mógł widzieć, czy też wyjdzie z domu. Byłbym tam cierpliwie przeczcekał całe dopołudnie, gdyby mi był nie oszczędził tych nudów. W godzinę później, widziałem go wychodzącego na ulicę, z miną tak śmiałą, że zmieszał całą moją przenikliwość. Lecz nie ufając tym pozorom, nie dowierzałem mu, nie byłem bowiem ufajliwym mu sędzią. Myślałem, że jego spokojność była wymuszona, wystawiałem sobie nawet, że dla tego jedynie zatrzymał się w pokoju, aby zabrać złoto i klejnoty, i że zapewne ucieczką oca-

lic się zechce. Nie miałem już nadziei oglądania go, i namyślałem się czy mam wieczór wracać i oczekiwać jego przybycia, tak dalece byłem przekonany, że nmknie z miasta, abyniś grożącego mu niebezpieczeństwa. Jednakże nie uchybiłem godziny, i zdziwiłem się niepomału, gdy mój pan powrócił o zwyyczajnej godzinie. Położył się nie objawiając najmniejszej niepokojności, a nazajutrz wstał z tą samą spokojnością.

Właśnie kończył ubieranie się, gdy nagle zakolatano mocno we drzwi. Pan mój spojrział przez okienko zakratowane, a poznawszy wczorajszego algazila, zapytał się, czegoby żądał. „Otwieraj, ozwał się algazil, to sam pan korregidor.” Na to straszne imię, krew się ścięła we wszystkich moich żyłach. Djabelnie bałem się tych panów, odtąd, jak przechodziłem przez ich ręce, i w tej chwili radbym był o sto mil znajdować się od Madrytu. Co się tyczy mojego pana, on nie był tak strwożony jak ja, otworzył drzwi, i przyjął sędziego z uszanowaniem. —Widzisz pan, odezwał się Korregidor, że nie przychodzę tu z wielkim orszakem; chcę rzecz załatwić bez wielkiego chałasu. Mimo złych wieści, jakie o panu krążą po mieście, zdaje mi się że pan zasługujesz na pewne względy. Naucz mnie pan, jak się nazywasz, i co robisz w Madrycie? — Panie, jestem z Nowej Kastylii, nazywam się don Bernard de Castil Blazo. Co się tyczy mojego zatrudnienia, przechodzę się, bywam na widowiskach, i bawię się w gronie osób przyjemnych. — Masz zapewne, przerwał sędzia, wielkie dochody? — Nie, panie, odpowiedział mój pan, nie mam ani renty, ani włości, ani domów. — A z czegoż więc utrzymujesz się? podchwycił korregidor. — Z tego, co panu zaraz pokażę, odpowiedział. W tym samym czasie, uniósł dywan, otworzył drzwi, których ja dotąd nie widziałem, następnie drugie, i wprowadził korregidora do gabinetu, gdzie stała potężna skrzynia pełna sztuk złota, które pokazał sędziemu.

— Panie, mówił potem, wiesz że Hiszpanie nienawidzą pracy; lecz jakikolwiek mogą mieć wstręt do trudów, śmiało rzec mogę, iż w tym względzie przewyższam wszystkich; mam taki zapas próżniactwa, że się niezdolnym czuję do jakiegokolwiek urzędu. Gdybym wady moje chciał wnieść do stopnia zalet, moje próżniactwo nazwałbym ościżalnością filozoficzną; rzekłbym że to umysł odczarowany ze wszystkiego, czego świat szuka z zapałem; ale ja wyznam otwarcie, że jestem próżniakiem z temperamentu, a to takim próżniakiem, że gdyby mi przyszło pracować na utrzymanie życia, umarłbym z głodu niezawodnie. A zatem, żeby wieść życie zgodne z moim humorem, żeby nie mieć trudu oszczędzania dóbr swolch, a jeszcze bardziej, żeby się obejść bez rządy dóbr, zamieniłem na gotówkę całą moją ojcowiznę, która się składała z kilku znakomitych włości. W tej skrzyni jest pięćdziesiąt tysięcy dukatów, to jest więcej niż potrzeba na resztę dni moich, chochym nawet miał żyć dłużej, niż wiek cały, ponieważ nie wydaję z nich co rok więcej niż tysiąc, a już minąłem płyty krzyżyk. Nie lękam się więc przyszłości, nie mam bowiem skłonności do żadnej z trzech rzeczy, które pospolicie gubią ludzi. Niebardzo dbam o wykwinne jedzenie, gram czasem dla rozrywki, a kobiety już mi wywletrzały z głowy. Nie lękam się, aby w podeszłym wieku miano mnie zaliczyć do tych słwosów lubieżnych, którym zalotnice sprzedają swoje względy na wagę złota.”

— Jakżeś pan szczęśliwy! rzekł mu wtedy korregidor. Jak nie trafnie posądzają pana o szpiegostwo; powołanie to nie przystoi człowiekowi z takim charakterem. Don Bernard, żyj jak dotąd żyłeś. Zamiast niepokoić twoich dni spokojnych, oświadczałem się ich obrońcą; proszę cię bądź moim przyjacielem, a ja w zamian, obarnję ci moją przyjaźń. — Ah! panie, zawołał mój pan, przeniknięty tak obowiązującymi wyrazami, przyjmuję z radością i uszanowaniem drogą ofiarę, którą mi czynisz. Zapewniając mnie o swojej przyjaźni, pomnażasz moje skarby i uzupełniasz szczęście. Po takiej rozmowie, którąśmy z algazilem słyszeli we drzwiach gabinetu, korregidor pożegnał się z don Bernardem, który nie umiał mu dostatecznie objawić swojej wdzięczności. Ja z mojej strony, aby wesprzeć

mojego pana w honorach wyprawienia ich z domu, tysiącnie grzecznościami obarczyłem algazila, i złożyłem jemu tysiąc głębokich ukłonów.

ROZDZIAŁ II.

Gil Blas z zadziwieniem spotyka kapitana Rolando, który mu ciekawie opowiada rzeczy.

Don Bernard de Castil Blazo, odprowadziwszy korregidora aż na ulicę, wrócił spiesznie zamknąć swoją skrzynię i wszystkie drzwi, które ją zabezpieczały; poczem wyszliśmy obadwa bardzo kontenci; on, że znalazł przyjaciela tak możnego, ja, że byłem zabezpieczony co do moich sześciu realów. Chcąc opowiedzieć to zdarzenie Melendezowi, udałem się ku jego domowi; ale zbliżając się do niego spostrzegłem kapitana Rolando. Zdumiałem się ujrawszy go w tém miejscu i całym się zatrząsł ze strachu na jego widok. On także mnie poznał, przystąpił do mnie z powagą i zachowując jeszcze ton zwierznika, kazał mi iść za sobą. Słuchałem go drżąc i pomyśliłem sobie: Niestety! zapewne każe sobie zapłacić wszystko co mu winienem. Dokądże mnie zaprowadzi! może on tu w mieście ma gdzie jakie podziemia! Ba! żebym ja to wiedział z pewnością, pokazałbym mu, że nie mam pedogry w nogach. Szedłem więc z nim, uważając bacznie miejsce w którémby się zatrzymał, postanowiwszy uciekać z całych sił, skoroby mi się co zdało podejrzaniem.

Rolando wnet uspokoił moją trwogę: wszedł do znanej szynkowni, a ja za nim. Żądał najlepszego wina i kazał przyrzucić obiad. Przeszliśmy do osobnego pokoju, w którym kapitan ujrawszy się sam na sam ze mną, tak mówić zaczął: — Musisz być niepomału zdziwiony, Gil Blasie, żeś tu zobaczył twój dawny dowódzcę, ale bardziej jeszcze zdumiesz się, skoro usłyszysz, co ci opowiem. W dniu, w którym cię zostawiłem w pieczarach, a sam ze wszystkimi towarzyszami udałem się do Mansilli dla sprzedania koni i mułów, dnia poprzedniego zdobytych, spotkaliśmy syna korregidora Leonu, któremu towarzyszyło czterech jeźdźców należycie uzbrojonych. Od pierwszego natarcia dwóch zaraz gryzło ziemię, dwaj drudzy pierzchnęli. Wtedy woźnica bojąc się o życie swojego pana, zawołał głosem żebrającym: — Ah, drodzy panowie, zaklinam was na Boga, nie zabijajcie jedyne go syna pana korregidora Leonu! Te słowa nie zmiękły moich towarzyszy, owszem przywiodły ich do wściekłości: — Panowie! odezwał się jeden z nich, nie puszczajmy z rąk syna największego wroga podobnych nam rycerzy. Ilużto ludzi naszego rzemiosła ojciec jego wysłał na tamten świat? Pomścimy się za nich, poświęćmy tę ofiarę ich ceniom, które jęj zdają się od nas wymagać. Inni moi towarzysze pochwalili takowe uczucie, a mój poręcznik już się zabierał do spełnienia obowiązku wielkiego kapłana przy tej ofierze, kiedy wstrzymał jego rękę. — Stój, zawołałem, poco bez potrzeby rozlewać krew? poprzestańmy na szkatułce tego młodzieńca. Ponieważ się nie broni, byłoby barbarzyństwem zabijać go. Prócz tego, nie odpowiada on wcale za czyny ojca, a ojciec spełnia tylko powinność, gdy nas na śmierć skazuje, tak jak my spełniamy naszą obdzierając podróżnych.

Wstawiłem się więc za synem korregidora, a wstawienie się moje nie było dlań bez korzyści. Zabraliśmy tylko pieniądze, które miał przy sobie, i wprowadziliśmy konie dwóch ludzi zabitych. Sprzedaliśmy je wraz z temi, któreśmy prowadzili do Mansilli. Wróciliśmy do naszej pieczary, do której przybyliśmy nazajutrz przede dnem. Zdziwiliśmy się ujrawszy zapórę podniesioną, a bardziej jeszcze kłedyśmy zastali w kuchni Leonardę przywiązaną. Zawiadomiła nas o wszystkim w kilku wyrazach. Przypomniawszy sobie moje kolki, naśmieliśmy się nie mała: dziwiliśmy się, jak mogłeś nas oszukać. Nie spodziewaliśmy się, abys był zdolnym takiego figla nam wyplatać, ale przebaczyliśmy ci dla trafności wynalazku. Odwłazawszy kucharkę, kazałem jęj przygotować jedzenie: a my tymczasem poszliśmy do stajni opatrzyć konie, stary bowiem murzyn, który od dwudziestu czterech godzin żadnej nie miał pomocy, już dogorywał. Radziłyśmy byli pomódz mu: ale już był bez przytomności, i tak już zdał się osłabiony, że mimo nasze dobre chęci,

zostawiliśmy tego biedaka pasującego się ze śmiercią. To przecież nie przeszkadzało nam bynajmniej, zasiadliśmy do stołu, a zjadłszy sile śniadanie udaliśmy się do naszych izb, gdzieśmy przez cały dzień spoczywali. Skorośmy się przebudzili, Leonarda powiedziała nam, że Dominik już nie żyje. Zaniesliśmy go więc do tego lochu, w którym, jak pamiętasz zapewne, sypiałeś, tam pogrzebaliśmy go, tak, jakby był naszym towarzyszem.

W pięć czy w sześć dni później zdarzyło się, że wybrawszy się na wyprawę, rano, przy wyjściu z lasu spotkaliśmy trzy oddziały towarzyszków świętego Hermandadu, jak się zdawało gotowe do uderzenia na nas. Zrazu jeden tylko widzieliśmy, a lekceważąc go, choć był liczniejszy od naszej bandy, śmiało nań natarliśmy; lecz w tej chwili dwa drugie oddziały, które były w ukryciu, wpadają na nas, a wtedy cała waleczność nasza na nic się nam nie przydała. Trzeba było ulecieć. Porucznik i dwóch z naszej bandy padli na placu, ja z dwoma drugimi ścisnięty z bliska musiałem się poddać. Dwa oddziały odprowadziły nas do Leonu, trzeci w tym samym czasie udał się na zszerezenie



Pojedynek.

naszej kryjówki, którą w ten sposób wykryto. Wieśniak z Luceny przechodząc przez las, spostrzegł przypadkiem zapórę, którejś ty nie spuścił, byłoto bowiem właśnie w tym samym dniu, w którym ty z ową kobietą wyszedłeś z pieczary. Domyślił się, że to musi być nasze mieszkanie. Nie śmiał tam wejść; uważał tylko położenie miejsca, i żeby tym pewnie trafić do niego, zeszkrobał lekko korę z drzew w bliskości będących, toż samo robiąc i z innemi w pewnych oddziałach, póki się nie wy dostał z lasu. Udał się następnie do Leonu, by zawiadomić korregidora o swoim odkryciu. Radość sędziego była tym większa, że niedawno syn jego obdarty został przez naszą bandę. Ten też sędzia zebrał trzy oddziały świętej milicyi, aby nas pojmać, a wieśniak służył im za przewodnika.

Wjazd mój do Leonu był wielkim dla miasta widowiskiem. Gdybym był generałem portugalskim wziętym do niewoli, lud bez wątpliwości nie tłoczyłby się z taką ciekawością dla oglądania mnie. Oto jest, mówiono, oto jest ten sławny kapitan, postrach całej okolicy! Godna zaiste rzecz, aby go cęganui szarpiano i tych jego towarzyszków. Zaprowadzono nas do korregidora, który zaczął mnie lżyć. Otóż widzisz złoczyńco, niebo zmordowane zbrodniami twojego życia, oddało cię w ręce sprawiedliwości mojej! „Panie, odezwałem się do niego, jeżeli wiele spełniłem zbrodni, przynajmniej nie mam sobie do wyrzucenia

śmierci jedyne go syna twojego: oszczędziłem jego życie; za to należy mi się jakaś wdzięczność. Nędzniku! właśnie też z ludźmi takiego jak ty charakteru mówić o postępowaniu szlache tnem! A gdybym nawet chciał cię ocalić, obowiązek mojego powołania nie pozwoliłby mi tego. Skończywszy taką przemowę, kazał nas zamknąć w turmie, w której towarzysze moi niedługo się nudzili; w trzy dni później odegrali tragedją na wielkim placu miasta. Ja przesiadziałem w więzieniu całe trzy tygodnie. Rozumiałem, że odwzięcono śmierć moją, dla tego, żeby ją tem okropniejszą zrobić; oczekiwałem więc jakiejś zupełnie nowej katuszy, kiedy wtém korregidor wezwawszy mnie do siebie, rzekł: „słuchaj teraz twojego wyroku. Jesteś wolny. Gdyby nie ty, syn mój jedy ny byłby zamordowany na drodze. Jako ojciec pragnąłem zawdzięczyć tę przysługę, jako sędzia nie mogłem cię uwolnić; pisałem do króla za tobą, prosząc o łaskę i otrzymałem ją; idź więc teraz gdzie ci się podoba. Lecz, dodał przytem: wierz mi, korzystaj z tego szczęśliwego zdarzenia: wjeżdż sam w siebie i porzucź na zawsze łotrstwo.”

Przeniknięty temi wyrazami puściłem się do Madrytu z mocnem postanowieniem raz zakończyć i żyć spokojnie w tém mieście. Rodzice moi już nie żyli, a pozostały po nich majątek był w ręku podeszłego krewnego, który mi z niego rzetelny złożył rachunek, jak wszyscy opiekunowie. Ledwie wy dobył od niego trzy tysiące dukatów, co nawet czwartę części mojej własności nie stanowiło. Ale cóż z tém robić? Przez prawo nie bym nie zyskał. Żeby uniknąć próżnowania kupiłem posiadłość algazila i spełniał obowiązki tak, jak gdybym przez całe życie nie innego nie robił. Moi towarzysze byliby się sprzeciwili przyjęciu mnie, choćby też dla samej przyzwoitości, gdyby byli znali historją mojego życia. Szczęściem nie wiedzą o niczem albo przynajmniej udają niewiadomość, co na jedno wyjdzie. Jednakże, mój przyjacielu, mówił dalej Rolando, chcę ci otworzyć moje serce. Przyjęte przezemnie powołanie nie jest w moim guście; wymaga postępowania i bardzo ostrożnego i bardzo skrytego; zaledwieby się w niem powiodły wyrafinowane przedbiegi. Żal mi dawniejszego rzemiosła. Prawda, że w tém nowem więcej bezpieczeństwa; ale w tamtém więcej przyjemności, a ja lubię swobodę. Mam wielką ochotę złożyć mój urząd i którego pięknego poranku udać się w góry u źródeł Tagu. Wiem, że tam jest schronienie, które zajmuje banda liczna, po większej części z Katalończyków złożona, a to już dostateczną jest jej pochwałą. Jeżeli chcesz mi towarzyszyć, pójdziemy razem powiększyć orszak tych wielkich ludzi. Zostanę kapitanem drugim w ich kompanii; żeby cię zaś chętnie przyjęło, zapewnję, że mę widział z dziesięć razy walczącego przy moim boku. Waleczność twoją wyniosę pod obłoki; więcej powiem na twoję pochwałę, niż generał, który pragnie oficera na wyższy stopień posunąć. Zamilczę o twoim śglu, toby cię zrobiło podejrzanym. Jakże więc, chcesz się udać ze mną? Czekam odpowiedzi.”

—Každy ma swoje upodobania, odpowiedziałem Rolandowi, ty jesteś zrodzony do przedsięwzięć śmiałych, ja do życia spokojnego.—Rozumiem cię, przerwał mi, ta pani z którą wy dobyłeś się z naszej pieczary, włada jeszcze twojem sercem, i z nią to zapewne wiedziesz w Madrycie to spokojne życie, które ci się tak podobało. Przyznaj się Gil Blas, że ona należy do twoich meblów, i że oboje pożywacie te lujdory, któreś nam zabrał z pieczary.—Oświadczyłem mu, że jest w błędzie, i żeby go objaśnić, opowiedziałem mu w czasie obiadu historją tej kobiety i wszystko co mi się wydarzyło od chwili opuszczenia bandy. W końcu obiadu, powrócił jeszcze raz do kompanii katalońskiej; wyznał mi, że już stanowczo przedsięwziął połączyć się z nią, i na nowo usiłował zjednać mnie dla siebie. Ale ujrzawszy, że mnie przekonać nie może, stracił cierpliwość i nagle zmienił ton; spojrzął na mnie z dumą, i rzekł dość ostro: „powiadałś kiedyś podłe serce masz, kiedy przenosisz niewolnicę służalca powołanie, nad zaszczyt należenia do towarzystwa ludzi walecznych, zostawiam cię w twoich nikczemnych skłonnościach. Lecz słuchaj moeno tego co ci powiem; zachowaj zawsze w twojej pamięci! Zapomnij, żeś mnie dziś spotkał, żywemu duchowi nazwiska mojego nie wspominaaj, bo skoro się

dowiem, że mnie wleasz do swolch gawędek... ty mnie znasz; wleć ci nie powiem." Poczem wezwawszy gospodarza, zapłacił co się należało, wstaliśmy od stołu i rozeszliśmy się.

ROZDZIAŁ III.

Gil Blas opuszcza służbę i przyjmuje nową.

Gdyśmy wychodzili z karczmy i żegnaliśmy się z sobą, pan mój przechodził ulicą. Widział mnie, i uważałem, że się przypatrywał kapitanowi; mniemałem że go to dziwiło, iż mnie spotkał w towarzystwie takiej osoby. Przyznać trzeba, że wejście Rolanda nie było zbyt uprzedzające na korzyść jego oczajów; byłto człowiek dobrego wzrostu, twarz miał długą z haczykowatym nosem; a lubo niezłą miał postawę, wyglądał przecież na oszusta.

Nie zawiodłem się w molch domysłach. Wleczór zastałem don Bernarda bardzo zajętego figurą kapitana, gotów on był wierzyć wszystkim pięknym historyjkom, które o nim mógłbym być powieścić, gdybym się był odważył wystąpić z niemi. — Gil Blas, ozwał się do mnie, co to za urwisz, którego spotkał rozmawiającego z tobą? — Odpowiedziałem, że to jest algazil, sądząc, iż na tém poprzestanie, on tymczasem inne mi jeszcze zadawał pytania, a spostrzegłszy moje pomieszanie, skutkiem przestrogi Rolanda będące, przerwał nagle rozmowę, i położył się spać. Nazajutrz rano, gdym dopełnił mojej powinności zwyczajnej, wyliczył mi sześć dukatów, zamiast sześciu realów, mówiąc: — Oto masz, mój przyjacielu, za dotychczasowe usługi. Szukaj sobie innego mlejsca, dla mnie niedogodny jest człowiek z tak pięknymi znajomościami. Dla asprawiedliwienia się, zacząłem mu objaśniać, że tego algazila znam jeszcze z Walladolid, leczylem go wówczas, gdym się zajmował sztuką doktorską. — Wyborule, rzekł mi na to, odwrót dowcipny; trzeba było to powieścić wczoraj, a nie mieszać się. — Panie, mówiłem, nie śmiałem tego powieścić przez delikatność, i to jedynie było powodem mojego pomieszania. — W istocie, przerwał klepiąc mnie po ramieniu, to wielka delikatność. Nie spodziewałem się, żebyś miał być tak przebiegłym. Ruszaj moje dziecię, uwalniam cię od obowiązków; służący w przyjaznych zwłazkach z algazilami, to wcale nie dla mnie."

Udałem się natychmiast, z tą nieszczęsną nowiną do Melendeza, który na moję pocięchę oświadczył, iż spodziewa się lepsze jeszcze wskazać mi mlejsce. W rzeczy samej, w kilka dni później, rzekł mi: — Gil Blas, aniś marzył o szczęściu, jakie ci mam zwiastować. Będziesz miał posadę najprzyjemniejszą w świecie. Chcę cię umieścić u don Mathiasa de Silva, jestto człowiek znakomitego rodu, z rzędu tych młodych elegantów, co to ich paniczkami zowią. Ja mam szczęście być jego kupcem; bierze odemnie wszystkie materye, na rachunek wprowadzie, ale z takimi panami nie ma się o co lękać. Często żenią się z bogatemi dziedziczkami, które oplacają ich długi, a choćby i nie to, tedy kupiec znający nieźle swoją sztukę, tak do brze im sprzedaje towary, że choćby tylko czwartą część rachunku miał spłacać, już jest prawie zabezpieczony. Marszałek don Mathiasa jest moim przyjacielem od serca; idźmy do niego. On cię sam musi przedstawić swojemu panu, a możesz być pewny względów jego, dla tego samego, że ja cię zalecam."

W drodze do pałacu don Mathiasa, kupiec mówił mi: — Zdaje mi się, iż wypadła ci coś napomknąć o charakterze pana marszałka, żebyś się umiał do tego zastosować. Nazywa się Gregorio Rodriguez; mówiąc między nami, jestto niekczemna dusza, ale wyobraziwszy sobie, że jest stworzony do wielkich rzeczy, poszedł za natchnieniem swojego gieniuszu, i z bogacił się w dwóch domach zubożających, w których był marszałkiem. Ostrzegam cię, że to nabożyczał próżny człowiek; lubi, gdy się przed nim czołgają inni słudzy. Jeżeli mają prosić pana o najmniejszą nawet fraszkę, do niego pierwój udać się muszą; a jeżeli potrafią co otrzymać bez jego pośrednictwa, tak zżeczne ma wykrety, że albo łaskę pańską odwoła, albo ją bezkorzystną uczyni. Pamiętaj na to, Gil Blas, nadszkakuj panu Rodriguezowi więcej, niż samemu panu. Użyj wszelkich sposobów, abys mu się przypodobal. Przyjaźń jego będzie ci bardzo do-

godną; będzie ci regularnie wypłacał zasługi, a jeżeli potrafił zżecznie pozyskać jego zaufanie, da ci zapewne czasami ogryźć jaką kostkę; ma on ich tak wiele! Don Mathias jest młodym panem, o zabawach jedynie myślącym, ani słyszeć nie chce o własnych interesach. Co za cudowny dom dla marszałka!"

Przybywszy do pałacu, chcieliśmy mówić z panem Rodriguezem: oświadczone nam, że go zastaniemy w jego pokoju. Był w nim istotnie, a obok niego ujrzelśmy coś nakształt wieśniaka, trzymającego w ręku worek z pieniędzmi. Pan marszałek, który mi się wydał tak blady, tak wyzółkły, jak panna znużona swoim stanem dziewiczym, poskoczył zaraz naprzeciw Melendeza, wyciągnawszy ręce; kupiec ze swojej strony, postąpił także z otwartymi rękami, i uściskali się obadwa niby serdecznie, chociaż więcej w tém widać było zżeczności udania, niż szczerości. Zaraz była mowa o mnie. Rodriguez obejrzał mnie od stóp do głowy, i z wielką rzekł uprzejmością, że jestem właśnie takim, jakiego potrzeba dla don Mathiasa, że sam z ochotą podejmuje się, przedstawić mnie temu panu. Poczem Melendez dał poznać marszałkowi, jak dalece ja go obchodzę, prosił go o protekcję, i po oświadczeniu tysięcznych



Don Enrique.

grzeczności, oddalił się, zostawiając mnie z panem marszałkiem. Skoro kupiec wyszedł, Rodriguez powiedział mi, że natychmiast zaprowadzi mnie do pana, skoro tylko odprawi tego poezciwego rolnika. Przystąpił zaraz do wieśniaka, biorąc z rąk jego worek, rzekł: — Tatego, zobaczymy, czy w tym worku jest pięćset lujdorów. Sam liczył pieniądze, znalazł sumnę rzetelną, pokwitował wieśniaka, i odprawił. Poczem wyspał pieniądze napowrót do worka, a obracając się do mnie, rzekł: — Teraz możemy się udać do pana, wstaje on pospolicie z łóżka w samo południe; teraz blisko pierwsza godzina, już musi być widno w jego pokoju.

Don Mathias, rzeczywiście tylko co wstał z łóżka. Był jeszcze w szlafroku, leżał w wielkim krześle, zarzucałszy nogę na poręcz. Huśtał się niuchając tabakę; rozmawiał z lokajem, który zastępczo pełnił obowiązki szatnego, i stał gotów na usługi. — Panie, rzekł marszałek, oto jest młody człowiek, którego ośmielam się przedstawić na miejsce tego, któregoś odpędził onegdaj. Melendez, kupiec pański, ręczy za niego; zapewniam, że to godny chłopiec, mnie się zdaje, że pan będzie z niego kontent. — Dosyć tego, przerwał młody pan, ponieważ wacpan mi go przedstawiasz, przyjmuję go na ślepo do służby;

zostaje moim szatnym, i rzecz skończona. Rodriguez, mówmy o czem innem, dodał zaraz. W samą porę przybywasz, miałem posłać po ciebie. Złą nowinę mam ci zwiastować mój kochany Rodriguez. Nieszczęśliwie grałem tej nocy, z temi stu ludorami, które miałem przy sobie; przegrałem jeszcze dwieście na słowo. Wiész jak ważną jest rzeczą dla osób znakomitego rodu, uiszczyć się z długu tego rodzaju. Jestto właściwie jedyny, który nam honor nakazuje wypłacać z największą rzetelnością. Dlatego też, innych nie uiszczamy tak sumiennie. Trzeba więc natychmiast wystarczyć się o dwieście ludorów, i odeśłać je hrabini Pedrosa. — Panie, rzekł marszałek, to łatwiej wymówić, niż wykonać; proszę pana, zką ja mam wziąć taką sumę? Od dzierżawców ani szeląga nie odbieram, mimo wszelkie pogrożki. A tymczasem muszę uczciwie utrzymać pańskiego szatnego, muszę się krwawo pocić, żeby wystarczyć na pańskie wydatki. Prawda, że dotąd, dzięki Bogu, udawało mi się nieźle, ale teraz już nie wiem, którego świętego prosić o pomoc; już do osłateczności przywiedziony jestem. — Cała gadanina na nic się nie przyda, przerwał don Mathias, takie drobiazgi nudzą mnie tylko; czy nie myślisz Rodriguez, namówić mnie, abym zmienił postępowanie, i sam się zajął zarządaniem moich dóbr? Co za miła rozrywka, dla człowieka bawiącego się tak jak ja! — Za pozwoleniem, rzekł marszałek, trochę tylko cierpliwości, jeżeli rzeczy tak dalej pójdą, to wkrótce pan na zawsze uwolnisz się od tych trosk. — Nudzisz mnie, zawołał niecierpliwie pan, zamordujesz mnie. Pozwól mi tracić majątek, żebym sam nie wiedział jak. Trzeba mi, powiadam ci, dwóch set ludorów, muszę je mieć. — A więc, rzekł Rodriguez, udam się do tego małutkiego starca, który już panu pożyczek pieniędzy na dobry procent. — Udaj się, jeżeli chcesz, do samego djabła, odpowiedział don Mathias, bylebym ja miał dwieście ludorów, o resztę nie pytam się wcale.

W chwili, gdy to wymawiał z gniewem, marszałek wyszedł, a młody człowiek wyższego tonu, nazwiskiem Antonio de Centelles, przybył. — Co ci to, mój przyjacielu? odezwał się do swojego pana; widzę cię tak zachmurzonego, na twojej twarzy maluje się wyraz gniewu! Zażożę się, że to ten gbur. — Tak jest, rzekł don Mathias, to mój marszałek; ile razy z nim mówię, zawsze mi zatruje kilka kwadransów. Rozprawia mi o moich interesach, mówi, że osłatkami dochodów gonię... Bydłę! mówiłby kto, że on traci na tym! — Mój bracie, ozwał się don Antonio, ja w tym samym przypadku jestem; mam pełnomocnika, który nie lepszy od twojego marszałka. Kiedy ten gawron, spełniając moje natręcyjne rozkazy, przynosi mi pieniądze, zdawałoby się, że mi daje swoje. Zawsze mi szeroko rozprawia: Panie, mów mi, gubisz się, dochody twoje zajęte. Muszę pospolicie przerywać mu, aby skrócić tę głupią gadaninę. — To nieszczęście, dodał don Mathias, że niepodobna nam obejść się bez tych ludzi; jestto złe konieczne. — Prawda, odparł Centelles... ale czekaj, mówił dalej, śmiejąc się z całego gardła; przyszedł mi do głowy pomysł dosyć zabawny: nic lepszego nikt nie wymyślił. Możemy te sceny poważne, jakie z nimi wyprawiamy, zamienić na komiczne, i bawić się talem, co nas gubiewa. Słuchaj: ja będę żądał od twojego marszałka pieniędzy, których ty potrzebujesz, ty toż samo zrobisz z moim pełnomocnikiem. Niech sobie wtedy rozprawiają jak zechcą, będziemy ich słuchali z zimną krwią. Twój marszałek będzie mnie składał rachunki, mój pełnomocnik obrachuje się z tobą. Ja będę słuchał o twojej rozrzutności, ty się dowiesz o mojej, i to nas zabawi.

Za tym dowcipnym pomysłem, poszło tysiąc innych żartobliwych wyskoków; młodzi panowie wpadli w dobry humor, wesoło i żywo rozprawiali. Przerwał im Gregorio Rodriguez, wchodząc w towarzystwie małutkiego starszka, tak łyszego, że prawie ani włoska na głowie nie miał. Don Antonio chcąc wyjść: — Bądź zdrów don Mathias, rzekł, wkrótce się zobaczymy. Zostawiam cię z tymi panami, bo zapewne ważne musicie mieć układy. — Eh! nie, wcale nie, odpowiedział mój pan, zostań, nie jesteś tu zbyt ważną osobą. Ten starszek uprzejmy, którego widzisz, jest bardzo uczciwy człowiek, on mi pożyczka

pieniędzy, grosz od pięciu. — Jakto, grosz od pięciu? zawołał zdziwiony Centelles. Dalibóg wieszuję ci, żeś się w tak zacne dostał ręce; ze mną nie tak się łaskawie obchodzą, ja kupuję srebro na wagę złota; ja pospolicie pożyczam jeden od trzech. — A co za lichwa! krzyknął stary łapigrosz; oszusty, nie pamiętają, że jest tamten świat! O, teraz się wcale nie dziwię, że tak wrzeszczą na tych, coto na procent pożyczają. Otóż to właśnie te przesadzone zyski, jakie niektórzy ciągną ze swoich kapitałów, psują nam wszystkim dobre imię. Gdyby wszyscy spółbracia moi byli do mnie podobni, nie byłibyśmy tak okrzyczani; bo co do mnie, ja jeżeli pożyczam, to jedynie dla przyjemności bliźniego. Ha, żeby to były czasy, jak je dawniej pamiętam, jabym służył panu z moją sumką, bez żadnego procentu; a i teraz, chociaż to taka pędza, ja jednak mam jakiś skrupuł, brać jeden od pięciu. Ale zdawałoby się nieledwie, że pieniądze teraz skryły się we wnętrzościach ziemi; ani ich poświeci, a ten ich brak, zmusza i moję moralność do pewnego pobłażania."

„Ileż pan potrzebuje? rzekł, zwracając mowę do swojego pana. — Trzeba mi dwóchset ludorów, odpowiedział don Mathias. — Ja mam cztery sta w jednym worku, odrzekł lichwiarz; to dosyć będzie odliczyć z nich połowę. W tej chwili wydobył spod płaszcza worek z płótna błękitnego, zdało mi się, że to był ten sam, który włościanin Talego, z pięćdziesiąt ludorami zostawił w ręku Rodrigueza. Wiedziałem zaraz, co o tém trzeba myśleć, i przekonałem się, że Melendez nie bez słuszności wychwalał obrotność marszałka. Starszek wysypał pieniądze z worka na stół, i zaczął je liczyć. Ten widok zapalił żądze mojego pana; cała summa zrobiła na nim silne wrażenie. — Panie Descomulgado, odezwał się do lichwiarza, przyszła mi na myśl rozsądna uwaga. Jaki ja głupiec! pożyczam tyle tylko, ile mi potrzeba do wywiązania się z danego słowa, nie myśląc o tém, że nie mam ani grosza, jutro znowu będę musiał udać się do wacpana. Ja myślę, że lepiej jest zagrabieć całe czteryście ludorów, aby Wpanu oszczędzić przykrość powracania. — Panie, mówił starszek, część tych pieniędzy przeznaczyłem dla zacnego licencyata, który mając wielkie włości, używa dochodów w celach dobroczynnych, usuwając ze świata młode dziewice, i strojąc ich ustrońia; ale ponieważ pan potrzebujesz całej summy, niech mu służy, tylko pan raczysz podpisać ubezpieczenie... — Oh! co się tyczy ubezpieczenia, przerwał Rodriguez, wyciągając papier z kieszeni, będziesz miał bardzo pewne; oto jest rewers, który don Mathias podpisał. Odstępuje Wpanu pięćset ludorów, które mu się należą od jednego z jego dzierżawców, od Talego, bogatego rolnika z Mondhor. — To dobrze, ozwał się lichwiarz, ja nie robię nigdy trudności; aby tylko warunki były rozsądne, przyjmuję natychmiast, bez wzdrygania się. Intendent więc podał panu pióro, który gwizdząc radośnie, podpisał rewers.

Po skończeniu interesu, procentowicz pożegnał swojego pana, który poskoczył, by go uściskać. — Do widzenia, panie kapitalisto! do widzenia, mówił mu, wielce obowiązany mu jestem. Prawdziwie, nie wiem, dlaczego wy, mój panowie, uchodzicie za dzierżawców, oszustów; ja uważam was za bardzo pożytecznych krajowi; wy jesteście jedyną pociechą synów zamężnych rodzin, ucieczką paniczów, których wydatki przewyższają dochody. — Masz słuszność, zawołał Centelles, lichwiarze są uczciwi ludzie, których nie można dostatecznie uczcić; ja z mojej strony muszę także uściskać tego, który bierze tylko jeden na pięć. To mówiąc, zbliżył się do starca, aby go uściskać, i ci dwaj paniczkowie, dla swojej rozrywki, w uściskach swoich rzucali go sobie nawzajem, jak gracze w wolantę odrzucają sobie piłkę. Narzucawszy się nim dowoli, pozwolili mu oddalić się z marszałkiem, który bardziej zasługiwał na podobne uściski, a nawet i na coś lepszego jeszcze.

Skoro Rodriguez oddalił się ze swoim potępiencem, don Mathias posłał natychmiast obecnego ze mną lokaja do hrabiny Pedrosa z dwustą ludorami, drugą połowę, wyspał do jedwabnej, złotem przerabianej sakiewki, którą zawsze nosił w kieszeni. Kontent, że ma pieniądze, z wesołą miną rzekł do don

Antonio:—A co dziś będziemy robili? Naradzmy się w tym względzie.—Otóż to mi rozsądnie, odpowiedział Centelles, i tak myślę, radzmy. Kiedy tak namyślają się co z sobą robić dziś, nadchodzi dwóch innych panów; byli to zaś: don Alexo Segiar, i don Fernand Gamboa, oba w równym prawie wieku z moim panem, tojest między dwadzieściami ósmym, a trzydziestym rokiem wieku. Wszyscy czterej paniczekowie, zaczęli od serdecznych uścisków; rzekli byś, że już z dziesięć lat nie widzieli się. Poczem don Fernand, tłusty dowcipniś, przemówił do don Mathiasa i don Antonio:—Panowie, gdzie dziś będziecie obiad jedli? Jeżeli nie jesteście zaproszeni, zaprowadź was do szynkowni, w której znajdziecie wyborne wino, istny bogów nektar; jadłem tam wczoraj wiczerzę, i wyszedłem dziś rano między piątą i szóstą.—Czemuż mi nie pozwoliły nieba, przepędzić nocy tak rozsądnie, zawołał mój pan, nie byłbym stracił tyle pieniędzy.

—Co do mnie, mówił Centelles, ja wczoraj wieczór nową sobie zrobiłem rozrywkę, bo ja lubię zmieniać zabawy. Bo też właściwie biorąc, rozmaitość zabaw stanowi przyjemność życia. Jeden z moich przyjaciół, zaprowadził mnie do jednego z tych panów przedsiębiorców, którzy to robią interesa kosztem publicznym. Widziałem tam przepych, dobry gust, i ucztę wyborne urządzoną, ale w panu domu, znalazłem osobę śmieszna, która mnie ubawiła. Towarzysze jego, chociaż najpospolitsze mieszczuchy, udawali jednak panów, a żona, mimo to że straszliwie brzydka, wdzięczyła się przeciw, prawiła tysiączne głupstwa, zaprawne akcentem biskajskim, który je podwyższał. Dodajcie do tego czworo czy pięcioro dzieci przy stole, ze swoim nauczycielem, a łatwo pojmiecie, jak dalece ta wiczerza familijna mogła mnie ubawić!

—A ja, rzekł Alexo Segiar, byłem na wiczerzy u aktorki, u Arsenii. Było sześć osób przy stole: Arsenia, Florimonda z zalotnicą, przyjaciółką swoją, margrabia de Zenette, don Juan de Mucade, i ja, wasz uniżony sługa. Przepędziliśmy noc pijąc. Co za rozkosz! to prawda, że Arsenia i Florimonda nie wielkie gieniusze, ale nabyły pewnej wprawę, która u nich zastępuje miejsce dowcipu. Są to istoty wesole, żywe, płochę, a czy to nie więcej warto, jak kobiety rozsądne?"

ROZDZIAŁ IV.

Jak się Gil Blas zapoznał ze służącymi owych paniczeków, jak dowiedział się tajemnicy, aby tanim kosztem zyskać wziętość dowcipnego.

Panowie ci, tym sposobem bawili się ciągle, póki don Mathias, któremu pomagałem ubierać się, nie był gotów do wyjścia. Kazał mi iść za sobą; wszyscy panicze udali się ku karczmie, dokąd ich don Fernand de Gamboa prowadził. Postępowałem więc z nimi w towarzystwie trzech innych szatynch, bo każdy z paniczek, miał swojego. Zdumiałem się patrząc, jak ci trzej pokojowcy kopiowali swolch panów, i przybierali ich ton i miny. Powitałem ich, jako nowy towarzysz, oni przywitani mnie nawzajem; jeden z nich przypatrzwszy mi się przez chwilę, rzekł: — Bracie, po sposobie twojego wzięcia się sądząc, zdaje się, żeś nigdy nie służył u młodych paniczeków.—Niestety! odpowiedziałem, nigdy, a nawet niedawno jestem w Madrycie.—Otóż to właśnie co ja uważałem, mówił on. Zdaleka czuć cię prowineją, wydajesz się bojaźliwy, pomieszany, jest coś nieokrzesanego w twojem postępowaniu. Ale mniejsza o to, my cię tu wnet okrzeseśmy, daję ci słowo.—Tak mi tylko może pochlebiasz? odezwałem się do niego. — Nie, mówił mi, wcale nie, niema takiego gopia, którego byśmy nie potrafili utrosować; bądź tego pewny.

Nie potrzebował dłużej prawić, aby mi dać poznać, że towarzysze moi są wyborne chłopcy, że nie mogłem się dostać w lepsze ręce, aby się przyzwociłe wykształcić. Przybywszy do karczmy, zastaliśmy ucztę gotową, którą don Ferdynand, przeczorny, odrana zamówił. Panowie zasiedli do stołu, a my zabraliśmy się do usług. Wesola wszczęła się rozmowa, aż miło było słuchać. Charakter ich, pomysły, wyrażenia, wszystko mnie zachwycało. Jaki zapal! jakie wysoki fantazy! Ci ludzie zdali mi się być nowym wcale gatunkiem. Kiedyśmy podał owo-

ce, przynieśliśmy zarazem mnóstwo butelek najwybornejszego wina hiszpańskiego; poczem sami poszliśmy na obiad do małego pokoju, w którym nam zastawiono stół.

Tu wnet spostrzegłem, że kawalerowie naszej czwórki, więcej zalet posiadali, niż sądziłem z początku. Nie przestawali na przybieaniu mi swolch panów, naśladowali nawet ich sposób mówienia; i tak wyborne hultaje udawali, że wyjąwszy tylko postawę szlachetną, zresztą wszystko było podobne. Dziwiłem się ich śmiałości, zręczności, a nadewszystko, zachwycał mnie ich dowcip. Zwątpiłem, abym kiedykolwiek mógł stać się równie jak oni przyjemnym i zgrabnym. Sługa don Fernanda, przez wzgląd, że pan jego uraczał naszych, robił między nami honory ucztę, a chcąc, żeby nam na niczem nie zbywało, zawołał gościnnego i rzekł mu:—Panie gospodarzu, daj nam tu dziesięć butelek najlepszego wina; i według swojego zwyczaju, dodasz je do tych, które nasi panowie wypróżnią.—Bardzo chętnie, odpowiedział gospodarz, ale panie Gaspar, wiadomo ci, że don Fernand, już mi wiele obiadów wiuien. Żebym też za pośrednictwem pańskiego mógł odebrać choć kilka groszy...—Oh! przerwał sługa, nie troszcz się bynajmniej o swoją należytość, ja ci zaręczam; długi mego pana, to są jakby leżące sztaby złota. Prawda, że niektórzy dłużnicy wcale nie-delikatni, zajęli nasze dochody, ale my w tych dniach uzyskamy cofnięcie zajęcia, a wtedy wypłacimy panu, nie przegładając nawet rachunku, jaki podasz. Gospodarz przyniósł nam wina bez względu na zajęcie, a myśmy pili, nie czekając na odwołanie. Warto było widzieć, jakieśmy spełniali za zdrowie jeden drugiego, wołając na siebie po nazwisku swolch panów. Sługa pana Antonio, nazywał sługę don Fernanda, Gamboa, ten zaś sługę don Antonio, nazywał Centelles; na mnie wołał Silva; pod temi przybranemi nazwiskami, tak dobrześmy się spili, jak nasi panowie pod właściwymi.

Lubo nie tak świetnie wystąpiłem jak moi spółbiesiadnicy, oświadczyli mi jednakże, iż ich dosyć zadowoliłem.—Silva, mówił do mnie jeden z najlepiej ogładzonych, my z ciebie coś zrobimy, mój przyjacielu; ja widzę, że ty masz jakąś zasadę gieniuszu, ale nie umiesz go objawić. Obawa, żeby czegoś złe nie wymówić, wstrzymuje cię od mówienia na ślepy traf, a tymczasem rozprawiając na chybił trafił, mnóstwo ludzi dzisiejszych, dźwignęło się do stopnia utalentowanych. Chcesz jaśnić, puść cugle twojej żywości, występuj śmiało ze wszystkim, co ci do ust przyjdzie; lekkomyślność ujdzie za szlachetną śmiałością. Powiedz sto głupstw, a ntech się między temi jeden dowcip zabłąka, zapomną o głupstwach, pamiętać będą dowcip, i wysokie powezmą wyobrażenie, o twojej wartości. Tak właśnie postępują nasi panowie, tak działać powinien każdy, który ubiega się o sławę znakomitego talentu.

Ja aż nadto gorąco pragnąłem uchodzić za utalentowanego, ale mimo to, tajemnica której mnie nauczono, zdała mi się tak łatwą, iż mniemałem, że się nie godzi jej zaniedbywać. Doświadczyłem jej zaraz, a wino pomyslnym skutkiem uwieńczyło tę moją próbę; rozprawiałem na oślep, pomiędzy mnóstwem niedorzeczności, wymknęło mi się trafem szczęśliwym kilka dowcipów, które mi zjednały poklaski. Ośmielony tak pomyslnym wstępem, podwoiłem moją żywość, aby wydobyć jaki dowcipny wyskok; los chciał, aby usiłowania moje nie były próżne.

—A co, ozwał się do mnie ten z kolegów, który na ulicy najpierwszy przemówił, czy nie zaczynasz się ocięrać? Ledwie parę godzin jesteś z nami, a już się zupełnie zmieniłeś; coraz dalej, będzie coraz lepij. Patrz, co to jest służyć znakomitym panom, to wznosi umysł; służba mieszczkańska nie jest tak skuteczna.—Bez wątpienia, mówiłem, dlatego też, ja odtąd usługi moje, samęj tylko szlachcie poświęcać postanowiłem.—Ślicznie mówisz, zawołał sługa don Fernanda, dobrze podchmielony. Nie jest rzeczą mieszczkańską, jaśnić wyższym talentem, jak my. Nuż więc panowie, dodaj przycięm, złoźmy przysięgę, że nigdy służyć nie będziemy tym partaczom; przysięgnijmy na Styx! Przyklasnęliśmy wszyscy, i z kielichem w ręku wykonaliśmy tę dziwaczną przysięgę. Bawiliśmy przy stole, póki nie podobało się naszym panom, oddalić się. Była to północ, co

zdało się moim towarzyszom, zbytkiem trzeźwości. Prawda, że ci panowie tak wczesnie opuścili szynkownię, aby się udać do jednej zalotnicy, mieszkającej w okolicy pałacu, której dom otwarty był dzień i noc dla ludzi szukających rozkoszy. Była to kobieta, mogąca mieć trzydzieści pięć do czterdziestu lat, wcale piękna jeszcze, ujmująca, a wytrawna w sztuce podobania się. Bywały u niej zawsze dwie lub trzy inne zalotnice wyższego tonu, co nie mało także ściągало panów tam uczęszczających. Pospolicie grywali w karty po obiedzie, jedli razem wiecezrę, całą noc pill i bawili się. Nasi panowie zostali tam aż do białego dnia, i my także, nie widząc się wcale, bo gdy oni bawili się u pań, my cieszyliśmy się z ich pokojówkami. Nareszcie, po wschodzie jutrenki, rozstaliśmy się wszyscy, każdy udając się w swoją stronę na spoczynek.

Mój pan wstawszy według zwyczaju w samo południe, ubrał się i wyszedł. Ja udałem się za nim; wstąpiliśmy do don Antonio Centelles, gdzieśmy zastali niejakiego don Alvaro de Acuna. Był to szlachcic już podeszłego wieku, mistrz rozpasty. Wszyscy młodzi ludzie pragnący wyjść na kawalerów ugrzecznionych, w jego ręce się oddają. On ich wprowadza do rozkoszy, uczy ich jak mają jaśnieć w świecie, tracić ojczyście mienie. O swoje nie troszczy się już wcale, bo rzecz skończona. Skoro się wszyscy trzej uścisnęli, don Centelles rzekł do mojego pana:—Na honor, don Mathias, nie mogłeś w stosowniejszą przybyć tu porę! don Alvaro przyszedł po mnie, aby mnie zaprowadzić do jednego mieszczucha, który daje obiad dla margrabiego de Zenette i dla don Juana de Moneade: chciałbym, żebyś należał do naszego towarzystwa.—A jakże, zapytał się don Mathias, zowią tego mieszczuchanina?—Nazywa się Gregorio de Noriega, rzekł don Alvaro, powiem wam w krótkości co to za młodzieniec. Ojciec jego bogaty jubiler, udał się za granicę w zamiarze handlowania klejnotami, jemu zaś zostawił używanie wielkich dochodów. Gregorio jest głupiec, ale ma wyborną skłonność do spożycia całego majątku, udaje paniczka i na przekór naturze chce uchodzić za człowieka dowcipnego. Prosił, żebym nim kierował. Rządę nim: i mogę was zapewnić moi panowie, że go prowadzę wielkim gościńcem. Źródło jego dochodów już prawie wyschło.—Nie wątpię o tym, zawołał Centelles; już widzę mieszczucha w szpitalu.—Pójdźmy don Mathias, mówił dalej, zabierzmy znajomość z tym człowiekiem, przyłożmy się do jego zguby.—Zgoda na to, odpowiedział mój pan, i ja także lubię patrzeć na zrujnowany majątek tych małych paników mieszczuchskich, którzy sobie wyobrażają, że ich zarówno poważają jak nas. Nic mnie bardziej nie cieszy, jak naprzykład poniżenie tego syna plebejuszowskiego, który dla gry i dla próżności sfiurowania między możnymi musiał sprzedać wszystko, nawet dom własny.—Eh, co do tego, przerwał don Antonio, nie wart pożalowania: równie jest nikczemny w nędzy, jak był w stanie pomysłnym.

Centelles i mój pan ndali się z don Alvaro do Gregorio Noriega. My także za nimi, Mogicon i ja uradowani byliśmy nadzieją bezpłatnej biesiady i że z naszej strony przyłożymy się także do zguby mieszczucha. Wchodząc, ujrzeliśmy kilku ludzi zajętych gotowaniem obiadu, a z przysmaków przyrządzanych, woń rozchodząca się uprzedzała korzystnie o smaku potraw. Margrabia de Zenette i don Juan de Moneado przybyli także. Pan domu wydał mi się wielkim gapiem. Napróżno usiłował przybić postawę paniczek, było to nędzna kopia tych wybornych oryginałów: czyli raczej istota niedołężna, chcąca przybrać postać myślącego człowieka. Wystawcie sobie człowieka takiego charakteru pomiędzy pięciu szydereami, z których każdy miał na celu drwić z niego i wyciągać go na wielkie wydatki.—Panowie, odezwał się don Alvaro po pierwszém przywitaniu, przedstawiłam wam pana Gregorio de Noriega, jako jednego z najdoskonalszych kawalerów. Zaleca się tysiącem pięknych przymiotów. Wiście panowie, że umysł jego niesłychanie ukształcony! wybierajcie co chcecie, zarówno jest doskonały we wszystkich przedmiotach, od najsubtelniejszej logiki zaczawszy, aż do ortografii.—Oh, to nadto pochlebne, przerwał mieszczuch, śmiejąc się bez najmniejszego wdzięku. Ja mógłbym, panie Alvaro,

do pana odwrócić ten argument; pan jesteś istotnie jak to zowią studnią erudycyi.—Nie miałem zamiaru, mówił don Alvar, ściągając na siebie tak dowcipną pochwałę: ale w istocie pan Gregorio bez ochyby potrafił sobie zjednać wielkie imię w świecie. Co do mnie, wtrącił don Antonio, co mnie w nim szczególnie zachwyca, i co ja przekładałam nawet nad ortografją, to jest rozsądny wybór osób, z którymi obcuje. Zamiast poprzestawać na towarzystwie mieszczuch, on przyjmuje u siebie samych młodych panów, nie troszcząc się bynajmniej o koszt. Jest w tem jakaś wzniosłość uczuć, która mnie zdumiewa, i to jest właśnie, co nazywa się rzucać pieniądze z gustem i rozważą.

Takowe rozmowy szydereze były tylko wstępem do innych podobnego rodzaju. Biedny Gregorio był wyszamerowany na wszystkie strony. Paniczkiwie jeden po drugim miotali nań pociski, których ten gap' nie czuł wcale; owszem, wszystko co mu mówiono, brał w znaczeniu literalnym, zdawał się być nader zadowolonym ze swoich gości, wyobrażał sobie, że szycząc z niego jeszcze ma łaskę wyświadczać. Zresztą był ich igraszką, póki tylko siedzieli u stołu, bawili zaś u niego aż do wleczoza i przez całą noc. My także pillśmy do woli, jak nasi panowie, i kiedyśmy wychodzili od mieszczuchanina mliłszy dobrze w głowie, tak jedni jak i drudzy.

ROZDZIAŁ V.

Gil Blas doznaje szczęścia. Zabiera znajomość z piękną osobą.

Po kilku godzinach spoczynku, wstałem w złotym humorze, a wspomniawszy na przestroję Melendeza, postanowiłem korzystać z chwili spoczynku pana, i zanim się obudził, udałem się do pana marszałka z oświadczeniem mu mojego uszanowania. Zdawało mi się, że hold, który mu składałem pochlebiał jego próżności. Przyjął mnie łaskawie pytając się, czym się już włożył do trybu życia młodych panów. Odpowiedziałem mu, że to była nowość dla mnie, lecz że nie tracę nadziei nawyknienia z czasem.

W rzeczy samej przyzwyczaiłem się i to wkrótce. Zmieniłem humor i umysłowe usposobienie. Dawniej byłem rozsądny i stateczny; teraz stałem się trzpiotem, wesolym żartowniśtem. Słuchając pana Antonio, wieszając mi tego przeobrażenia, powiedział mi, że do świetności niczego więcej mi nie braknie, tylko szczęścia w miłość. Wystawiał mi, że to jest niezbędnie potrzebne do wykształcenia człowieka; że wszyscy moi towarzysze mają bardzo ładne kochanki, że on sam posiadał miłość dwóch pięknych znakomitego rodzaju kobiet. Sądziłem, że ten hullaj zmyśla.—Panie Mogicon, mówiłem mu, jesteś bez wątpienia chłopcem dorodnym i bardzo dowcipnym, masz wiele zalet; lecz nie pojmuję, jakim sposobem kobiety wyższego tonu, u których nie mieszkaś wcale, mogły się zakochać w człowieku takiego stanu.—Ba! odpowiedział, to też właśnie one nie wiedzą, kto ja jestem. W sukniach mojego pana, a nawet pod jego nazwiskiem potrafiłem zakraść się do ich serca. A to takim sposobem. Ubięram się jak młody pan, przejmuję jego sposób znalezienia się, wychodzę na miejsce przechadzki, zaglądam w oczy wszystkim kobietom, póki nie spotkam takiej, któraby odpowiedziała moim skinieniom. Wtedy idę za nią i póty zabiegam, póki mi się nie uda mówić z nią. Udaję się za don Antonio Centelles, proszę o czas i miejsce schadzki, ona się droży, ja nalegam, wreszcie przystaje, *et cetera*. Otóż to tak mój bracie postępuję, abym zyskał względy kobiet, i radzę ci, abys wstępował w moje ślady.

Nadto gorąco pragnąłem zostać świetnym młodzieńcem, abym nie miał słuchać rady; oprócz tego nie czułem jakoś wstępu do zabiegów miłosnych. Zamierzylem więc przedzierznąć się w młodego panicza i szukać przygód fatalnych. Nie miałem przebierać się w naszym mieszkaniu, z obawy, aby ktoś tego nie postrzegł. Wziąłem więc porządne i zupełne ubranie mojego pana i zaniósłem je do znajomego mi cyrulika, gdzie mogłem wygodnie ubrać się i rozebrać. Tam przystroiliem się jak tylko mogłem najprzyzwoicij. Cyrulik także przyłożył swoje rękę do mojego przyodzobienia i kiedy już uważaliśmy, że niema co dodać, poszedłem na plac św. Hieronima z tępym przekonaniem, że nie wrócę

złamał, nie znalazłszy pożądanego szczęścia. Ale nie potrzebowałem tak daleko biegać, aby najświetniejszą zrobić próbę.

Przebiegając boczną uliczką, ujrzałem wychodzącą z domku i siadającą do najętego powozu kobietę, bogato ubraną i wcale przystojną. Stałem, żeby jej się przypatrzeć i ukloniłem się w sposób dający jej do zrozumienia, że mi się podobała. Ona ze swojej strony chciała mi pokazać, że zastąpiła na moję uwagę, więc więcej może, aniżeli mniemałem, uniosła zasłony, pokazując twarz nadzwyczaj miłą. Ale powóz ruszył, a ja zostałem na ulicy zachwycony rysami twarzy, które dopiero co ujrzałem. Co za ładna kibić! myślałem sobie, ha, toż tego trzeba było do uwleczenia mojego szczęścia! Jeżeli te dwie kobiety, które się zakochały w Mogiconie, są tak piękne jak ta, to dopiero szczęśliwy łoś; rozplęwałbym się nad moim łośem, gdybym taką mógł mieć kochankę.

Z głową przepełnioną najrozkoszniejszymi marzeniami, udałem się do mojego cyrulika. Zmieniłem ubiór i udałem się do knejpy, w której pan mój się znajdował. Zostałem go grającego w karty i odrazu spostrzegłem, że wygrał; oh, bo on nie był wcale podobny do tych zimnych szulerów, co się to bogacą, lub gubią, najmniejszej na twarzy nie okazując zmiany. On przeciwnie był szyderym i natrętnym w szczęściu; bardzo osowiały gdy mu fortuna nie dopisywała. Bardzo ochoczy wyszedł z knejpy i udał się do teatru książęcego. Towarzyszyłem mu aż do drzwi widowiska, gdzie dając mi dukata w rękę, oto masz Gil Blasię, rzekł mi, ponieważ wygrałem dziś, godna rzecz, abys i ty to uczuł; idź, zabaw się z towarzyszami swoimi, a północy przyjdiesz po mnie do Arsenii, gdzie mam być na wieczerzy wraz z don Alexo Segiar. To powiedziawszy poszedł do teatru, a ja zostałem przeddrzwiami rozmyślając z kimby wypadało stracić tego dukata, według zamiaru dawcy. Niedługo przecież dumałem, bo Clarin, służący don Alexa stanął niespodzianie przedemną. Zaprowadził-me do najpierwszej w bliskości oberży, w której bawiliśmy się do północy. Złamał poszliśmy do Arsenii, dokąd także i Clarin według rozkazu zdążył. Malutki lokaj otworzył nam drzwi i wprowadził nas do sali na dole, w której pokojówki Arsenii i Fiorimondy śmiały się do rozpuku, rozmawiając między sobą, gdy panie ich bawiły się na górze z uszami panami.

Przybycie dwóch suchów po doskonałej wieczerzy, nie mogło być przykre pokojówkom, a do tego pokojówkom aktorek: lecz jakież było moje podziwienie, gdy w jednej z tych służebnie poznałem moję wdowę, moję ubóstwną wdówkę, którą miał za hrabinę lub margrabinię. I ona niemniej się zdumiała, ujrzawszy swojego drogiego don Cezara de Ribera przedziergniętego w służę panieczyka. Spojrzeliśmy przeciw sobie nie mieszając się wcale; owszem opanowała nas chęć śmiechu, której trudno było oprzeć się. Późem Laura, tak się bowiem zwała, wzięwszy mnie na stronę, kiedy Clarin bawił się z jej towarzyszką, podała mi z uprzejmością rękę i cicho przemówiła do mnie:—daj mi rękę don Cezar, zamiast robić sobie wzajemne wyrzuty, wieszajmy sobie mój przyjaciela. Odegrałeś swoją rolę w zachwycającym sposobie, i jam się ze swojej nieżle wywiązała. Jakże ci się zdaje? Wyznaj, żeś mnie wziął za jedną z tych pięknych pań znakomych, które lubią płatać figle? Prawda, odpowiedziałem, ale ktokolwiek jesteś moje ty bóstwo, nie zmieniłem bynajmniej uczuć ku tobie, zmieniając formę. Przyjmij łaskawie moje usługi, pozwól, aby szatny don Mathiasa dokończył, co tak szczęśliwie don Cezar zaczął.—Zgoda na to, odpowiedziała, jeszcze więcej cię kocham w twojej naturalnej postaci, niż w innej. Jesteś tēm jako mężczyzna, cēm ja jako kobieta: a to jest największa pochwała, jaką ci dać mogę. Przyjmuję cię w poczet moich wielbicieli. Nie potrzebujemy od-tąd pośrednictwa starej; możesz mnie tu odwiedzać śmiało. My, aktorki, żyjemy bez żadnego przymusu pomieszane z mężczyznami. Przyznaj, że coś czasem na jaw wychodzi; ale publiczność z tego śmieje się, a ty wiesz, że my służymy dla jej zabawy.

Na tēm skończyliśmy, ponieważ nie byliśmy sami. Rozmowa stała się ogólną, żwawą, wesołą, przepłatana dość jasnymi dwuznacznikami; każdy dodawał swoje trzy grosze. Towarzy-

szka Arsenii nadewszysko, moja nadobna Laura, szczególniej jaśniała, objawiając więcej dowcipu, niż cnoty. Z drugiej strony głośne śmiechy naszych panów i aktorek rozlegały się, sięgając aż do naszych uszu; z czego można było domyślać się, że ich rozmowa była równie rozsądna, jak nasza. Gdyby ktoś był spisał wszystkie piękne rzeczy i wyrażenia, które tēj nocy wyrzeczono u Arsenii, ułożyłby książkę bardzo ciekawą. Przecież godzina odejścia, to jest jutrenka nadeszła, trzeba było rozłączyć się, Clarin poszedł za don Alexio, a ja wracałem z don Mathiasem.

ROZDZIAŁ VI.

Rozmowy kilku panów, o aktorkach trupy teatru książęcego.

Tego dnia, pan mój wstając, odebrał bilet od don Alexo Segiar, zapraszający go do siebie. Udaliśmy się do niego, i zastaliśmy już margrabiego de Zenette, i drugiego jeszcze jakiegoś młodego pana, przystojnego z pozoru, którego dotąd nie widziałem.—Don Mathias, rzekł Segiar do mojego pana, przedstawiając mu owego nieznanego, oto jest don Pompeo de Castro, mój krewny. Od dzieciństwa prawie bawi na dworze polskim. Wczoraj wieczór przybył do Madrytu, a jutro rano wraca do Warszawy. Ten jeden tylko dzień, może mi poświęcić; chcąc więc korzystać z chwil tak drogiech, mniemałem, że dla jego przyjemności potrzebna mi obecność twoja i margrabiego de Zenette.—Późem pan mój uściskał krewnego pana Alexo, i nawzajem dużo sobie grzeczności nagadali. Bardzo byłem kontent z tego co mówił don Pompeo, umysł jego zdał mi się gruntownie ukształcony i nadzwyczaj giętki.

Obiad był u pana Segiar, po którym ci panowie grali, póki czas udania się na teatr nie nadszedł. Wtedy wszyscy razem poszli do teatru książęcym zwanego, na którym miano przedstawić tragedją nową pod tytułem: *Królowa Kartaginy*. Po skończonej sztuce, wrócili na wieczerzę do tego samego miejsca, w którym obiad jedli; rozmowa ich naprzód miała za przedmiot poemat, którego słuchali, a następnie aktorów.—Co się tyczy dzieła, odezwał się don Mathias, bardzo nisko je cenię; Eneas w niem, niedołączniejszym jeszcze wygląda jak w Eneidzie. Ale to przyznać potrzeba, że ją bozko grano. Jakże się zdaje pann Pompeo? Ile sądzić mogę, to się niezgadza ze mną.—Panowie, rzekł uśmiechając się Pompeo, dopiero co widziałem was tak rozkoszujących się w grze waszych aktorów, a więcej jeszcze aktorek, że nie odważyłbym się wyznać przed wami, iż wcale inaczej o nich sądzę.—Przedziwnie, odezwał się żartobliwie don Alexo, bo też krytykę twoję niebardzo miłoby przyjął. Szanuj nasze aktorki w obecności trębaczy ich sławy. Pijemy codzieln z niem, ręczymy za ich doskonałość; jeżeliby tego potrzeba było, gotowi jesteśmy wydać im nasze świadectwo.—Nie wątpię o tēm, dodał jego krewny, wydaliłbyście je zapewne o ich życiu i obyczajach, tak dalece, jak mi się zdaje, sięga przyjaźń wasza dla nich.

—Wasze aktorki, rzekł uśmiechając się margrabia de Zenette, są bez wątpienia daleko lepsze.—Tak jest w rzeczy samej, odpowiedział don Pompeo, więcej są warte. Przynajmniej jest kilka między niem, które żadnej nie mają wady.—To te przerwał margrabia, mogą liczyć na pańskie świadectwo?—Nie mam żadnych z niem związków, dodał don Pompeo, nie podzielam z niem ich swawoli; dlatego mogę o nich sądzić bez uprzedzenia.—Proszę, powiedzcież mi siemiennie, czy sądzicie, że wasza trupa jest doskonałą?—Nie, Boże broń, przerwał margrabia, ja nie utrzymuję tego, i nie stoję w obronie, jak tylko ma-tęj ich liczby; o resztę się pytam.—Nie zgodzisz się na to, że aktorka, przedstawiająca rolę Dydony, jest zachwycającą? Czyż nie przedstawiła tēj królowej, z całą szlachetnością i wdziękiem, odpowiednim wyobrażeniom powziętym o tēj władczyni? Nie podziwiałeś sam tēj sztuki, jaką ona umie owładnąć swoich widzów, przejąc ich wszelkimi poruszeniami namiętności, jakie wyraża! Śmiało rzec można, że w deklamacyi wyżej już ani kroku zrobić niepodobna.—Zgadzam się, mówił don Pompeo, że umie wstrząsnąć i poruszyć; może żadna aktorka nie ma więcej tkliwości, i dlatego całe to przedstawienie jest piękne; ależ nie jest ona bez wady. Dwie albo trzy rze-

czy raziły mnie w jej grze. Chce naprzykład okazać podziwienie, przewraca oczyma w sposób przesadzony, co nie jest właściwe. Dodajmy do tego, że podnosząc głos, z natury miły, psuje łagodność jego, i tworzy jakąś niemłą rubasznosc. Zresztą zdaje mi się, że nie w jednym miejscu możnaby ją posądzać, że nie rozumie tego co mówi; ztémwzyskłem, co do tego punktu, wolę przypuszczać raczej, że udawała skromną, aniżeli ją pomawiać o brak pojęcia.

—Jak widzę, odezwał się don Mathias do krytyka, zapewne byś pan nie poświęcił wiersza na cześć naszych komedianek?—Przepraszam, odpowiedział don Pompejo, mimo ich usterek, wiele w nich talentów odkrywam; co większa, wyznaję, że mnie zachwyca aktorka, grająca rolę poufną między scenami. Jak śliczny dar natury! z jakimże wdziękiem zajmuje scenę! Jeżeli ma coś dowcipnego powiedzieć, zaprawia to uśmiechem żartobliwym i pełnym wdzięku, który podwyższa jej wartość. Możliwy jej zarzucić, że niekiedy daje się zbyt mocno unosić żywemu zajęciu sztuki, a wiedzy przekracza granice szlachetnej śmiałości; ale nie godzi się być tak surowym. Życzę bym jej wszakże, aby się poprawiła w ztém uwyknieniu. Często w środku sceny, w miejscu poważnym, nagle przerywa akcją, ulegając płochęj żądzy śmiechu. Powiecie mi na to, że parter właśnie w tём miejscu darzy ją oklaskami; to prawdziwe szczęście.

—A o mężczyznach jak sądzisz? przerwał markiz, na nich zapewne na ostre godzić będziesz, kiedy tak niełaskaw jesteś dla kobiet.—Nie, powiedział don Pompejo; widziałem kilku młodych aktorów wiele obiecujących; nadewszystko kontent jestem z tego tłustego, który przedstawiał rolę ministra Dydony. Mówi bardzo naturalnie, tak właśnie deklamują w Polsce.—Jeżeli cię ten potrafił zadowolić, przerwał Segiar, to ten co przedstawiał Eneasza, powinien cię zachwycić. Jakże, czy ci się nie wydał wielkim komikiem, aktorem oryginalnym?—Bardzo oryginalnym, odpowiedział krytyk; ma ton mowy sobie właściwy, a bardzo przenikający. Zawsze prawie nienaturalny, szybko trzepie wyrazy malujące jakieś uczucie, a z przyściśkiem wymawia inne; na spółnikach nawet głos podnosi. Bardzo mnie ubawił, a osobliwie gdy poufnemu objawiał gwałt jaki sobie zadaje, porzucając monarchię, trudno komicznie wyrazić boleść.—Powoli mój bracie, wtrącił don Alexo, z twojej rozmowy moglibyśmy powziąć przekonanie, że nienajlepszy gust panuje na dworze króla polskiego. Wiészże o tём, że aktor o którym mówimy, jest rzadkiem zjawiskiem? Nie uważałżeś oklasków, jakie wywołał? To dowodzi, że nie jest tak zły.—To nie dowodzi niczego, odpowiedział Pompejo. Panowie, dajmy pokój, proszę was, oklaskom parteru; obdarza on niemi aktorów często bardzo nie w porę. Rządź daleko przykładnie rzeczywistej zasłudze, niż fałszywej, jak to przedstawia Fedr w swojej dowcipnej bajce. Pozwólcie mi ją powtórzyć, oto jest:

„Lud wszystek w pewnym miasteczku zebrał się na placu publicznym na widowisko pantominów. Pomiędzy aktorami, był jeden, któremu co chwila dawano oklaski. Ten żartownis w końcu sztuki chciał zamknąć przedstawienie widowiskiem wcale nowym. Wystąpił sam na scenę, schylił się, zakrył głowę płaszczem, i począł kwiczeć jak prosię. Tak to dokładnie naśladował, że wszyscy wystawiali sobie, iż rzeczywiście miał prosię pod płaszczem. Zaczęto wołać, aby rozpuścił płaszcz i suknię, co też zrobił, a gdy się okazało że nic nie miał, oklaski powtórzyły się z większym jeszcze zapamię. Wieśniak będący także w liczbie widzów, niekontent był z tych objawów pochwały.—Panowie! ożwał się głośno, nie macie czego unosić się nad tym żartownisem, on nie jest tak wybornym aktorem, jak wam się zdaje. Ja lepiej niemiem ndawać prosię niż on, a jeżeli nie wierzycie temu, przybądźcie jutro na ten plac o tём samej godzinie.” Lud uprzedzony na korzyść kuglarza, zebrał się nazajutrz w większej jeszcze liczbie, ale bardziej w zamiarze wygwizdania wieśniaka, aniżeli usłyszenia jego sztuki. Dwaj spółzawodnicy wystąpili na scenę. Arlekin rozpoczął, i więcej jeszcze oklasków zyskał niż dnia poprzedzającego.

Wtedy wieśniak z kolei pochylił się, i okryty płaszczem, zaczął kręcić za ucho prosię, które trzymał pod pachą, a które tём samem przeraźliwie kwiczało. Zgromadzeni przecież, przyznali wyższość pantomimowi, a wygwizdali wieśniaka, który pokazując zaraz prosię widzom, zawołał: „Panowie! to nie mnie się należy to gwizdanie, tylko prosięciu; patrzcież co wy za znawcy!”

—Bracie, rzekł don Alexo, twoja bajeczka nieco za ostro! Ale bez względu na twoje prosię, my się nie cofniemy. Zmieńmy przedmiot rozmowy, bo to mnie już nudzi.—Więc ty koniecznie jutro odjeżdżasz, nie bacząc na moję żądę zatrzymania cię dłużej?—Radnym, odpowiedział krewny, dłużej z wami zabawić, ale nie mogę, jużem wam to powiedział; przybyłem do dworu hiszpańskiego w interesie stanu. Wczoraj przybywszy, mówiłem zaraz z pierwszym ministrem; mam się z nim zobaczyć jutro rano, i w tём chwili wyjeżdżam z powrotem do Warszawy.—A więc zostałeś Polakiem, przerwał mu Segiar, i według wszelkiego podobieństwa zdaje się, że już nie wrócisz do Madrytu.—Zdaje mi się, że nie, odpowiedział don Pompejo; mam szczęście cieszyć się przychylnością króla polskiego; mam wiele przyjemności przy jego dworze. Lecz jakkolwiek doznawałem wielkich jego względów, uwierzycie, że tylkoco na zawsze nie opuściłem jego krajów?—A to z jakiego powodu? rzekł markiz. Opowiedz nam, prosimy.—Bardzo chętnie, rzekł don Pompejo, będzie to zarazem historia mojego życia, którą wam przedstawię.

ROZDZIAŁ VII.

Historia don Pompeyo de Castro.

„Don Alexo więc, zaczął don Pompejo, że wyszedłszy z dzieciństwa, pragnąłem poświęcić się służbie wojskowej; a ponieważ kraj mój używał pokoju, udałem się więc do Polski, której podówczas Turcy wypowiedzieli wojnę. Przedstawiłem się królowi, który mnie umieścił w swoim wojsku. Zpomędzy młodszych synów rodzin hiszpańskich, ja byłem najuboższy, a to było dla mnie dostatecznym bodźcem do odznaczenia się przez czyny waleczne, któreby zwróciły uwagę mojego dowódcy. Tak dobrze spełniałem moje obowiązki, że gdy po dość długiej wojnie, zawarto przymierze; król na zasadzie chlubnych świadectw jakie mi generałowie dali, wyznaczył mi znaczną pensją. Przejęty wspaniałomyślnością monarchy, starałem się przy każdej sposobności objawić mu moję wdzięczność, skrzętnie spełniając dane mi polecenia. Przedstawiłem mu się w każdej chwili, w której wolno było stawać przed jego obliczem. Takowem postępowaniem zjednałem sobie miłość tego monarchy, i nowemi obsypany zostałem dobrodziejstwami.

Pewnego razu, kiedy się odznaczył goniąc do pierścienia, cały dwór wychwalał moję siłę i zręczność; uraczony hucznymi oklaskami wróciłem do siebie; tu znalazłem bilet, w którym mnie uwiadomiono, że pani której pozyskanie, pochlebulejście dla mnie być powinno, nad wszelkie honory jakie mnie w tym dniu spotkały, życzy sobie widzieć się ze mną; że za nadejściem nocy, mam się udać na miejsce oznaczone. Lślık ten, większą mi sprawił rozkosz, niż wszystkie pochwały, których mi w tym dniu wcale nie szczędzono; wystawiałem sobie, że ta co to pisze, musi należeć do kobiet pierwszego rzędu. Łatwo sobie wystawicie jak spieszyłem na miejsce schadzki! Kobięta podeszła czekająca na mnie, wprowadziła mnie do wielkiego domu przez małe drzwiczki ogrodu; wpuszczając mnie do gabinetu, rzekła: zaczekaj tu, idę uwiadomić moję panią. W gabinecie tym, oświetlonym mnóstwem świec jarzących, ujrzałem wiele rzeczy kosztownych; przypatrując się temu przepychowi utwierdzałem się tём bardziej w pierwszym moim domysle, o szlachetnym rodzie tём damy. Jeżeli wszakże wszystko com widział, zdawało się mnie zapewniać, że to musi być osoba wysokiego bardzo stopnia, skoro się pokazała; postawą szlachetną i wspaniałą, usunęła wszelką, by tём najmniejszą w tём względzie wątpliwość.

—Panie, odezwała się, po tым kroku, którym dla pana zrobiła, byłoby rzeczą zbytzną chcieć tać przed nim tkliwe

dluż uczucia. Talenta, jakieś dziś rozwinął w obec całego dworu, nie obudziły ich, przyspieszyły tylko ich objawienie. Wiedziałam pana już nieraz; zasięgałam wiadomości o nim, a to co na korzyść jego mówiono, skłoniło mnie, abym szła za mojem uczuciem. Nie sądź, abys podbił serce księżniczki, ja jestem tylko wdową po oficerze gwardyi królewskiej; lecz co tryumf pana chlubniejszym robi, to jest, że go przekładam nad jednego ze znakomitszych panów królestwa. Książę *** kochamnie, i nie szczędzi zabiegów, żeby mi się podobał. Przecież nie może dopiąć swojego zamiaru; dla prostej jedynie próżności, znośnie jego zaloty.

Po takówm przemówieniu ujrzałem, że mam do czynienia z zalotnicą; jednakże wdzięczny byłem mojej szczęśliwej gwiazdzie za to szczególne zdarzenie. Hortensya, tak się zwała ta kobieta, była jeszcze w samym kwiecie wieku, piękność jej odurzyła mnie. Prócz tego ofiarowała mi serce, które wzgardziło księciem: cóżto za tryumf dla kawalera hiszpańskiego! Klęknąłem u stóp Hortensyi dziękując za jej względy. Powiedziałem jej wszystko, na co się tylko gach zdobyć może, tak dalece, że mogła być zadowoloną z objawionych jej uniesień wdzięczności. W skutek tego rozłączyliśmy się w najlepszej przyjaźni, umówiwszy się pierw, że się widywać będziemy każdego wieczora, w którym książę nie będzie mógł jej odwiedzać, o czém obiecałem mnie zawiadamiać punktualnie. Dotrzymano obietnicy, i wreszcie zostałem Adonisem tej nowej Wenery.

Lecz rozkosze światowe nie są długotrwałe. Chociaż moja bogini wszelkich użyła środków, aby stosunki nasze ukryć przed okiem mojego spółzawodnika, przecież potrafił się on dowiedzieć o tém, co nam najusilniej przed nim ukrywać wypadało: służebnica obrażona zawiadomiła go o wszystkiém. Pan ten z natury wspaniałomyślny, ale dumny, zazdrosny i porywczy, zawrzał gniewem na moją śmiałość. Gniew i zazdrość zbłąkały umysł jego, za ich popędem idąc postanowił zemścić się w sposób niecny. Pewnej nocy, gdy był u Hortensyi, on czatował na mnie przy drzwiach ogrodu z całą czeredą swoich służalców uzbrojonych kijami. Skoro wyszedłem, kazał mnie pochwyć i zbić na miazgę. „Bijcie! zawołał, niech śmieciek zgine o waszych razów; tym sposobem chcę ukarać jego zuchwałstwo.” Jeszcze nie skończył, a już mnie służba jego obskoczyła ze wszech stron i tak porządnie okładać poczęła, iż wkrótce ległem prawie nieżywy; poczem odeszli wraz ze swoim panem, dla którego widok ten był bardzo miły. Resztę nocy przepędziłem w tém samém miejscu i w tym samym stanie do jakiego mnie przywieźli owi ludzie. Rano przechodzący tamtędy ludzie spostrzegli, że jeszcze oddychałem: litością zdjęci, zanieśli mnie do najbliższego chirurga; szczęściem rany moje nie były śmiertelne, a przytém dostałem się w ręce zdolnego człowieka, który mnie w przeciągu dwóch miesięcy zupełnie wyleczył. Po nplywie tego czasu pokazałem się znou na dworze i wróciłem do dawnego trybu życia, wyjąwszy, że nie bywał u Hortensyi, której książę pod tym jedynie warunkiem przebaczył.

Ponieważ przygoda moja nie była tajna nikomu, a za tchorza mnie nie nważano, wszyscy więc zdumiewali się nad tą moją spokojnością; nie odzywałem się bowiem z tém co myślę, zdawałem się nie okazywać najmniejszej niechęci, jak gdybym nigdy nie doznał podobnej zniewagi. Nie wiedziano jak sobie tłumaczyć tę zmysloną nieczulość. Jedni Niemiali, że mimo odwagę, stopień obrażającego powściągał mnie i zmuszał do pochłonecia zniewagi; drudzy, z większą słusznością nie dowierzali mojemu milczeniu, uważali tę moją spokojność za ciszę zwodniczą przed burzą. Król, podobnie jak ci drudzy, sądził, że ja nie potrafię puścić płazem obelgi, że nie zaniedbam zemścić się, skoro mi się sposobna ku temu pora nastręczy. Dla przekonania się czy zgaduje myśl moją, wezwał mnie do gabinetu, i rzekł: — Don Pompejo, wiem jaki cię spotkał przypadek, i przyznam ci się, że mnie mocno dziwiła twoja spokojność, ty udajesz bez wątpienia. — Miłościwy panie, nie wiem, kto mnie obraził; napadnięty byłem w nocy i przez ludzi nieznanych: jestto nieszczerście, które cierpliwie znieść wypada. — Nie, wcale nie, odpowiedział król, nie omamisz mnie mową udaną; o wszystkiém mi powiedziano. Książę

cię znieważył. Jesteś szlachcicem, a do tego Kastyllanin, wiem, do czego cię obowładuje ten podwójny charakter: tyś postanowił zemścić się. Chciój mi się zwierzyc twojego zamiaru; chcę tego koniecznie. Nie obawiaj się wcale, abys miał żałować tego zaufania.

— Ponieważ W. K. M. rozkazuje, odpowiedziałem, muszę więc objawić moje uczucia i zamiary. Tak jest, miłościwy panie, chcę się zemścić za wyrządzoną mi zniewagę. Każdy, kto takie jak ja imię nosi, jest odpowiedzialnym za nie swojemu rodowi. Wiiesz panie o niecném obejściu się ze mną; zamierzyłem więc zamordować księcia, aby się zemścić w sposób odpowiedni zniewadze. Utopię sztylet w piersiach jego, lub mu kulą głowę roztrzaskam i zenknę do Hiszpanii, jeżeli mi się uda. Oto taki jest mój zamiar.

— Jest wprawdzie gwałtowny, ale nie chciałbym go potępiać, bacząc na srogą zniewagę, jakiej się względem ciebie dopuścił książę. Zasłużył na karę, jaką dlań przeznaczasz. Ale wstrzymaj się z wykonaniem zamiaru: pozwól mi poszukać środków pojednania was obudwóch. — Ah, Miłościwy Panie, na cóż zobowiązałeś mnie do wyjawienia mojej tajemnicy? Jakież pojednanie może. — Jeżeli nie wynajdę środka zadowalającego was obudwóch, przerwał, będziesz mógł dokonać, coś przedsięwziął. Nie pragnę nadużywać twojego zwlerzenia się. Nie zdradzę twojego honoru, bądź spokojny pod tym względem.

Niemal nałamałem głowy, aby dolec, jakim sposobem król zamierza zgodnie zakończyć tę sprawę; otóż jak się wzięło do rzeczy. Wezwał prywatnie mojego przeciwnika i w te don odezwał się słowa: — książę, znieważyłeś don Pompeja de Castro. Nie tajno ci jest, że to człowiek świetnego rodu, szlachcie, którego lubię i który mi wiernie służył. Winienesz mu zadosyćuczynienie. — Nie myślę mu go odmawiać, odpowiedział książę. Jeżeli się uskarża na moję porywcość, jestem gotów się wywiązać z bronią w rękę. — Innego trzeba zadosyćuczynienia, przerwał mu król; szlachcie hiszpański za nadto pojmuje honor, aby się wdał godnym sposobem w walkę z nieczemnym zabójcą. Nie mogę cię nazwać inaczej, i nie możesz inaczej odpokulować za twój czyn niecny, jak podając własną ręką kij obrażonemu i oświadczając gotowość odebrania od niego razów. — O Boże! zawołał mój przeciwnik; jakto, żądasz WKM. aby człowiek tego rodu uniżał się, aby się upadła wobec prostego szlachcica, żeby nawet od niego kije na grzbiet przyjmował. — Nie, mówił król, zobowiążę don Pompeja do przyrzeczenia, iż cię nie trać. Proś go tylko książę o przebaczenie, podając mu kij; tego tylko wymagam od ciebie. — Ale to jest za nadto żądać odemnie, miłościwy panie, przerwał porywco książę; wolę narazić się na skryte poelski, które dla mnie gotuje mój nieprzyjaciel. — Zycie twoje książę, mówił król, jest mi drogie, chciałbym, żeby ta sprawa nie tak smutnie się skończyła. Żeby to z tém mniejszą dla ciebie skończyć nieprzyjemnością, sam jeden świadkiem będę tego zadosyćuczynienia, które ci rozkazuję dać Hiszpanowi.

Król musiał użyć całej przewagi, jaką miał nad umysłem księcia, aby go skłonił do kroku tak upokarzającego. W końcu przecieł dopiął swojego zamiaru, poczem kazał mnie przyzwać. Opowiedział mi rozmowę jaką miał z moim przeciwnikiem, i zapytał się, czy będę kontent z tego środka, na który się obadwa zgodzili. Przystałem na to, zaręczając, że nie tylko nie uderzę obrażającego, ale nawet kija od niego nie przyjmę. Gdy tak rzecz ułożona, obadwa razem, ja i książę, w oznaczonej godzinie przybyliśmy do króla, który zamknął się z nami w swoim gabinecie. Zwracając mowę do księcia, rzekł: — Teraz wyznaj swoje uchylenie, i staraj się, aby ci przebaczone. Wtedy nieprzyjaciel mój, zaczął się uniewinniać, i podał mi kij, który miał w rękę. — Don Pompejo! ozwał się monarcha, weź ten kij, moja obecność niech ci nie przeszkadza bynajmniej do zadosyćuczynienia twojemu honorowi obrażonemu! Zwracam ci twoje przyrzeczenie, że nie uderzysz twojego przeciwnika. — Nie, miłościwy królu, odpowiedziałem, dosyć jest, że się poddaje pod rązy kija. Hiszpan obrażony więcej nie żada. — Bardzo dobrze, dodał król, ponieważ poprzesta-

jesz na tém zadosyćuczynieniu, możecie teraz obadwa chwycić się postępowania zwyczajnego. Zmiercie się szablą, by szlachetnie waszą waszę zakończyć.—Tego ja właśnie gorąco pragnę, zawołał książe porywczy, to jedno może mnie pocieszyć po tak haniebnym kroku, który teraz zrobiłem.

To rzekłszy, wyszedł zapalony gniewem i pomieszany; a we dwie godziny później zawiadomił mnie, że czeka na mnie w miejscu ustronném. Udałem się więc i zastałem księcia do zaciętej walki przygotowanego. Jeszcze nie skończył czterdziestu pięciu lat; nie zbywało mu ani na zręczności, ani na odwadze; można powiedzieć że nie było między nami różnicy. Przystąpił don Pompejo, skończmy nasze spory. Obadwa mamy słuszne powody do zapamiętałości, ty za moje obejście się z tobą, ja za przeprosiny. Kończąc te słowa, tak szybko chwycił szablę, że nie miałem czasu do odpowiedzi. Z początku ostro nacierał na mnie; ale miałem szczęście sparować wszystkie ciosy, które na mnie wymierzył. Nawzajem ja go zacząłem przeciwidzielać, że mam do czynienia z człowiekiem, który równie dobrze umiał się bronić, jak uderzać; nie wiem jakby to się było skończyło, gdyby się był nie potknął cofając się i nie upadł



Aurora przejmuje bilet.

wył. Zatrzymałem się natychmiast, i rzekłem: podnieś się książe!—Dlaczegoż mnie oszczędzasz? odezwał się; twoją litość uważam za nągrawanie się.—Nie chcę, odpowiedziałem, korzystać z twojego nieszczęścia: byłoby to ujmą mojego honoru. Jeszcze raz powtarzam, wstań i dalej do walki!

—Pompejo, rzekł wstając, po tak szlachetnym postępku twoim honor nie pozwala mi walczyć z tobą. Cóżby powiedziano o mnie, gdybym ci wiecz w sercu utopił. Poczytałoby mnie za nikczemnika, który wydarł życie człowiekowi, od którego woli moje zależało. Nie mogę brać broni przeciw tobie, czuję że wdzięczność budzi w sercu mojem słodkie uczucia, rugując wściekle zapędy, które mną młotały. Don Pompejo, mówił dalej, porzućmy wzajemną nienawiść; postąpmy dalej nawet, bądźmy przyjaciółmi.—Panie, zawołałem, z radością przyjmuję tak miłe wezwanie. Zaprzysięgam ci najszczerszą przyjaźń; i na pierwszy tego dowód przyrzekam ci, że noga moja nie postanie w Hortensyi, chociażby tego pragnęła. — Ja ci odstępuję tej damy, rzekł do mnie, słuszniej jest, abym ja to uczynił, ponieważ ona więcej ma przywiązania do ciebie.—Nie nie, przerwałem mu, książe, ty ją kochasz. Względy jej dla mnie, byłyby męczarnią twoją; uczucie moje więc poświęcam dla twojej spokojności.—Ah, szlachetny Kastyllanie! mówił książe ściskając mnie, zachwycając mnie twoje uczucia. Jakaż one

wzniesają zgrzyotę w duszy mojej! Z jaką boleścią, z jakim wstydem przywodzę sobie na pamięć zniewagę, którą ci wyrządziłem! Zadosyćuczynienie, którym ci dał w gabinecie królewskim, w tej chwili zbyt blahe mi się wydaje. Chcę lepij naprawić tę krzywdę, i żeby na zawsze zatrzeć jej nikczemność, ofiaruję ci jedną z moich siostrzenic, którą mogę rozporządzać. Jest to bogata dziedziczka, która nie ma więcej nad piętnaście lat, a prócz tego więcej ma wdzięków niż lat.

Nagadałem zatem kiejcln tyle grzeczności, ile miłch nastęczyć mógł zaszczyt tak świetnego związku. W kilka dni później zaślubiłem jego siostrzenicę. Cały dwór winał temu panu, że uszczęśliwił szlachcica, którego taką hańbą okrył, a przyjaciele moi cieszyli się wraz z mną tak szczęśliwem rozwiązaniem zajścia, które smutniejszy koniec mieć było powinno. Od tego czasu, panowie, przyjemnepepędę życie w Warszawie, kochany od żony, nawzajem dotąd ją nóbóztwiam. Książe codzieln nowe mi daje dowody przyjaźni, i mogę sobie pochlebiać, że dosyć mam względów u króla. Ważność podróży którą z jego rozkazu odbyłem do Madrytu, przekonywa mnie o jego zaufaniu.

ROZDZIAŁ VIII.

Co skłoniło Gil Blasa do szukania nowego miejsca.

Taka była historia, którą opowiedział don Pompejo, a której wraz ze sługą don Alexa słuchałem, chociaż kazano nam oddalić się przed jej zaczęciem. Zamiast iść preez, my zatrzymaliśmy się za drzwiami, których nie domknęliśmy i tam wysłuchaliśmy wszystkiego co do słowa. Potem panowie pili dobrze, ale nie przeciągnęli hulanki aż do dnia bo don Pompejo, mając rańo mówić z pierwszym ministrem chciał się nieco przespać. Markiz de Zenette i mój pan, uściskawszy tego kawalera, pożegnali się z nim, zostawiając go z jego krewnym.

Położyliśmy się przed samym świtem, a don Mathias obudzwszy się o zwyczajnej godzinie, do nowego wezwał mnie obowiązku. Gil Blas, mówił mi, weź papier i atrament, napiszesz mi dwa lub trzy listy, które ci podyktuję; mianuję cię moim sekretarzem.—Wybornie! pomyśliłem sobie, nowa godność. Jako lokaj idę za panem wszędzie; jako szatny ubieram go; teraz będę pisał jako sekretarz; dzięki Bogu za to! Jako trzysta Hekata, będę odtąd trzy różne przedstawiał osoby.—Nie wiesz, mówił dalej pan, jaki jest mój zamiar? oto jest, ale trzymaj język, bo tu idzie o głowę twoją. Spotykając nieraz ludzi, którzy się chlubią ze swojego szczęścia u kobiet, żeby im dać mać, chcę mieć w kieszeni kilka listów fałszywych, które im przeczytam. To mnie na moment zabawi; a szczęśliwszy od tych, co to starają się o względy kobiet, aby mieć ukontentowanie popisywania się z niemi, ja będę się popisywał z temi, o których pozyskanie nie trudziłem się wcale. Ale, dodał zaraz, zmieniaj twoje pismo tak, aby te bilety nie zdawały się być pisane jedną ręką.

Wziąłem więc papier, pióro i atrament i zająłem się spełnieniem woli don Mathiasa, który mi zaraz podyktował miłosny bilecik w tych wyrazach: „Nie przybyłeś téj nocy w miejsce umówione. Ah! don Mathias i cóż powiesz na twoje usprawiedliwienie? Jakżem się nwodziła! jak słusznie mnie karzesz za to, żem była dosyć próżną, by uwierzyć, że wszelkie rozrywki, najważniejsze sprawy ustąpię rozkoszy oglądania douy Klary de Mendocze!” Potem kazał mi pisać inny, jakoby od kobiety, która dla niego wzgardziła księciem; i wreszcie jeszcze jeden, w którym mu kobieta jedna objawia, że gdyby była przekonana o jego delikatności w zachowaniu tajemnicy, gotowa byłaby odbyć z nim podróż Cytery. Nie pozostał na podyktowaniu mi tych pięknych bilecików, lecz kazał mi położyć podpisy osób bardzo znakomitych. Nie mogłem się wstrzymać, by mu nie oświadczyć, że to uważam za rzecz bardzo drażliwą, ale mnie prosił, żeby mu nie udzielać rady, chyba wtedy, gdy jej będzie żądał. Musiałem więc milczeć i spełniać rozkazy. Skończywszy tak ważne dzieło, wstał i pomogłem mu ubrać się. Pokładł te listy do kieszeni i wyszedł. Postępowałem za nim i ulaliśmy się na obiad don Juana

de Moncade, który w tym dniu częstował pięciu, czy sześciu swoich przyjaciół.

Biesiada była przepyszna, a radość, ta najlepsza bankietów przyprawa, panowała przez całą ucztę. Wszyscy spółbiesiadnicy przykładali się do rozweselenia rozmowy, jedni żarcikami, drudzy opowiadając historyjki, których bohaterami się mienili. Pan mój nie omlął tej sposobności, aby się pochłubił z listami, które mi kazał popisać. Czytał je głośno, z miną tak nakazującą, że może z wyjątkiem jednego sekretarza, wszyscy obecni byli omamieni. Pomiędzy panami w obliczu których odbywało się to czytanie bezczelne, był jeden nazwiskiem don Lope de Velasco. Człowiek bardzo poważny, zamiast bawić się jak inni tém mniemałem powodzeniem czytelnika, zapytał się oziębłe, czy pozyskanie względów dony Clary, wiele zabiegów go kosztowało. — Mnie jak żadnych, odpowiedział don Mathias: ona sama pierwszy krok zrobiła. Widziała mnie na przechadzce, podobalem się. Z jej rozkazu zwrócono namnie uwagę, dowiedziano się kto jestem. Pi-sze do mnie, przeznacza mi swój dom na miejsce widzenia się o północy, kiedy wszyscy spoczywają. Poszedłem, wprowadzono mnie do jej pokoju... Jestem nadto delikatny, żeby wam resztę objawiać.

Przy tém opowiadaniu tak zwięzłem, widać było wielką zmianę na twarzy don Velasco. Nie trudno było domyślić się, jak dalece obchodziła go kobieta, o której była mowa. — Wszystkie te bilety, rzekł, rzuciwszy wzrok wściekły na mojego pana, są zupełnie fałszywe, a nadewszystko ten, który udajesz za list dony Clary de Mendocce. Nie masz w Hiszpanii skromniejszej nad nią dziewicy. Od dwóch lat, kawaler jeden, który ci nie ustępuje ani rodem, ani osobistą wartością, wszelkich używa środków, by obudzić w niej miłość. Zaledwie dotąd uzyskał najnie-winniejsze względy; ale może sobie pochlebiać, że gdyby tylko zdolna była udzielić innym, toby bez wątpienia jego były udziałem. — A któż ci mówi inaczej? przerwał don Mathias tonem szyderyczym. Zgadzam się z tobą, że bardzo uczciwa panna. Ja z mojej strony jestem także bardzo uczciwym chłopcem. A zatem łatwo wlotkować możesz, że to co między nami zaszło, było bardzo uczciwe. — To już zanadto, przerwał z kolei don Lope, porzucmy szyderstwa. — Jesteś oszust, nigdy i nigdy dona Clara, nie wyznaczała ci miejsca schadzki w nocy. Nie mogę znieść, abyś miał czernić jej honor. — I ja także jestem zbyt delikatny, aby ci powiedzieć resztę. To rzekłszy, wbrew zaprzeczyli wobec całego towarzystwa, i odszedł z miną, która mi kazała się spodziewać, że to zdarzenie może mieć zgubne następstwa. Pan mój, dosyć odważny, jak na pana takiego rodzaju, wzgardził pogroźkami don Lope. — Głupiec! zawołał śmiejąc się z całego gardła. Błąkający się rycerze, głosili piękność swoich kochanek, a on chce wychwalać skromność swojej; to mi się zdaje jeszcze dziwniejsze.

Oddalenie się don Velasco, czemu napróżno chciał zapobiedz Moncade, nie zamąciło bynajmniej wesołości biesiady. Pa-

nowie niewiele na to bacząc, bawili się wybornie i rozeszli się dopiero o świcie. Pan mój i ja, położyliśmy się o godzinie piątej rano. Ciężyły mi powieki, i spodziewałem się spać wybornie; ale rachowałem na to bez naszego gospodarza, czyli raczej bez odzwiernego, który mię w godzinę później przebudził, żeby mi powiedzieć, że jest przy bramie chłopak, który mnie żąda. — Ah! przekłty odzwierny, zawołałem zlewając, zastanów się, że dopiero co położyłem się; powiedz temu chłopcu, że śpię, niech później przyjdzie. — On chce, odpowiedział mi, rozmówić się natychmiast, zapewniając, że rzecz jest nagła. Wstałem więc, włożywszy tylko spodnie i kaftan, i poszedłem przeklinając, zobaczyć tego chłopaka, który na mnie czekał. — Przyjacielu, rzekłem, powiedz mi z łaski swojej, co za nagły interes sprowadza mi szczęście oglądania cię tak rano. — Mam list, odpowiedział mi, który obowiązany jestem oddać do własnych rąk don Mathiasa, trzeba, żeby go natychmiast

prze czytał; jestto niesłychanie ważne dla niego; proszę cię, zaprowadź mnie do jego pokoju. Rozumiejąc, że idzie o rzecz bardzo ważną, pozwoliłem sobie obudzić mojego pana. — Przepraszam rzekłem, że przerywam sen panu, ale ważność... — Czego chcesz? krzyknął z gniewem mój pan. Wtedy chłopiec, który mi towarzyszył, odezwał się: — Panie, mam list, który ci winienem oddać od pana Velasco. Don Mathias wziął bilet, otworzył, i przeczytawszy, odezwał się do służącego don Lope: — moje dziecko, nie wstałbym nigdy przed południem, choćby mnie na najrozkoszniejszą zabawę proszono; osądź sam, czy mam wstać o szóstą godzinie, aby się bić! Możesz powiedzieć swojemu panu, że jeżeli o pół do pierwszej znajdować się jeszcze będzie na miejscu, które mi wskazuje, zobaczymy się tam; odnieś mu tę odpowiedź. To powiedziawszy, przewrócił się i wkrótce zasnął.

Wstał i ubrał się spokojnie między godziną jedenastą a dwunastą, potem wyszedł,

mówiąc, że mnie uwalnia od towarzyszenia sobie; ale mnie zbyt wielka brała pokusa wiedzieć co się dalej stanie, abym go miał usłuchać. Szedłem zdala za nim aż na łękę św. Hieronima, gdzie spostrzegłem don Lope de Velasco, który śmiało czekał na niego. Skryłem się, aby dać bacność na obu zdaleka, i oto com widział. Zeszli się, i po chwili rozpoczęli walkę. Bitwa ta trwała długo. Jeden na drugiego napierał z kolei żwawo i z wielką zręcznością. W końcu jednak zwycięstwo przeszło na stronę don Lope; przeszył mojego pana, zostawił go na ziemi, i sam uszedł, kontent ze swojej zemsty. Pobiegłem do nieszczęśliwego don Mathiasa, znalazłem go bez przytomności i prawie bez życia. Widok ten rozczulił mnie, nie mogłem wstrzymać się od łez nad śmiercią, której byłem, nie myśląc o tém, narzędziem. Jednakże mimo żal, nie zaniedbałem myśleć o moim interesie. Wróciłem szybko do domu nie nie mówiąc; zebrałem moje manatki, tłocząc do nich przez nieostrożność niektóre rzeczy mojego pana, a zantosiwszy to wszystko do mojego cyrulika, u którego ubiór mojego szczę-



Don Alphons u stóp Serafyny.

ścia znajdował się, rozgłosiłem po mieście smutny wypadek, którego świadkiem byłem. Opowiadałem każdemu, kto tylko chciał słuchać, a nadewszystko pobiegłem zawiadomić o tém dona Rodrigueza. Ntety! objawił on żalu, ile troskliwości w wyborze środków, jakie mu przedsięwziąć należy. Zgromadził wszystkich służących, kazał iść z sobą, i wszyscy udaliśmy się na łąkę św. Hieronima. Zabraliśmy don Mathiasa, który oddychał jeszcze, lecz zmarł w trzy godziny po przyniesieniu go do mieszkania. Tak zginął don Mathias de Silva, zabrawszy się zle do czytania słodkich liścików zmyślonych.

ROZDZIAŁ IX.

Do kogo udał się Gil Blas na służbę po śmierci don Mathiasa.

W kilka dni po pogrzebie don Mathiasa, zapłacono wszystkim służącym i odprawiono. Zająłem mieszkanie u mojego cyrulika, z którym wszedłem w ściślejsze stosunki. Spodziewałem się żyć tam przyjemniej jak u Melendeza. Że mi nie brakło pieniędzy, nie spieszyłem się więc z szukaniem nowej służby, a prócz tego, zrobiłem się wybrédniejszym w wyborze. Nie chciałem odtąd przyjmować obowiązków, tylko u ludzi wyższych od gminu; postanowiłem też pierwiej dobrze zbadać miejsce, któreby mi ofiarowano. Najlepsze nawet, jeszcze mi się nie zdawało zbyt dobrém dla mnie; tak dalece sługa młodego panicza, zdał mi się wyższym nad innych służących.

Czekając nim los przyjazny nastęrczy mi dom, jaki sobie w mojej wyobraźni uroilem, mniemałem, że nie lepszego zrobić nie mogę, jak czas wolny teraz, poświęcić mojej Laurze, z którą nie widziałem się od owego czasu, w którym oboje tak zabawnym sposobem oszukaństwo wzajemne poznaliśmy. Nie śmiałem ubierać się za Cezara de Ribeira, nie chcąc uchodzić za półgłówka; nie mogłem wdziwać tego ubrania, chyba tylko dla pokazania się pod obcą postacią. Ponieważ jednak moje suknie nie miały jeszcze pozoru zbyt poszarpanych, mogłem więc być przyzwoicie odziany. Ustroiłem się przecież przy pomocy mojego cyrulika, w sposób środkujący, między don Cezarem a Gil Blasem. W takim stanie udałem się do mieszkania Arsenii. Zastałem Laurę w tym samym pokoju, w którym już pierwiej z nią rozmawiałem. — Ah! to ty jesteś, zawołała, spozregłszy mnie, rozumiałam żeś zginął. Kilka dni temu pozwoliłam ci odwiedzić mnie; nie nadużywasz wele jak widzę, wolności, którą ci kobiety dają.

Uprawiedliwiałem się śmiercią mojego pana, zatrudnieniami rozmaitemi, dodając bardzo grzecznie, że wśród największych trudów, miła moja Laura, zawsze była obecna przed moimi oczyma. — Kiedy tak, rzekła, nie będę ci robić przyrzutów, i wyznam ci, że także myślałam o tobie. Skoro tylko dowiedziałam się o śmierci don Mathiasa, zaraz powzięłam zamiar, który ci się zapewne podoba. Oddawna już słyszę moją panię, powtarzającą, że pragnęłaby mieć kogoś nakształt pełnomocnika, młodego człowieka, znającego domowe gospodarstwo, któryby utrzymywał ściśle rachunek summ, jakie jej dają na wydatki domowe. Zwróciłam oczy na waszą wielmożność; zdaje mi się, żebyś nieźle spełniał te obowiązki. — Czuję, że bym się wywłazał z tego cudownie. Czytałem ekonomikę Arystotelesa, a co się tyczy rachunków, to właśnie moja rzecz... Ale, moje serce, mówiłem dalej, jest jedna okoliczność, która mnie wstrzymuje od przyjęcia służby u Arsenii. — Co za okoliczność? ozwała się Laura. — Przysięgłem, rzekłem jej, nigdy nie przyjmować służby u mieszczau; a do tego przysięgłem na Styx! Jeżeli Jowisz nie śmiał gwałcić takowej przysięgi, sądz więc, czy nie wypada aby ją lokaj szanował. — A kogoż ty nazywasz mieszczaninem? mówiła dumnie pokojówka; za cóż ty uważasz aktorki? za komissarzowe lub plenipotentki? Wiedź mój przyjacielu, że aktorki są szlachetne, arcy szlachetne, przez same zwłazki, w jakie wchodzą z wielkimi panami.

— Na tej zasadzie, oświadczyłem, mogę przyjąć miejsce, które mi ofiarujesz moje ty bóstwo! nie ubliżę sobie w niczem. — Nie, bez wątpienia, odpowiedziała, przejść od panicza do służby teatralnej bohaterki, to jest obracać się zawsze w jedynym

sferze. My w równi idziemy z panami najznakomitszego rodu. Mamy powozy, jak oni, równie wykwićtnie zajadamy, a w gruncie rzeczy za jednoż brać nas wypada i w życiu cywilnem. W istocie, dodała, uważać markiza i komedyanta w ciągu dnia, to prawie toż samo. Jeżeli margrabia przez trzy części dnia, przez swój stopień staje wyżej od aktora, przez ćwierć dnia znowu aktor o wiele wznosi się nad margrabię przez rolę cesarza lub króla, jaką przedstawia. Co gdy tak jest, zdaje mi się, iż to można uważać za wynagrodzenie szlachectwa i wielkości, które nas równają z panami dworskimi. — Tak zaiste, wy jesteście, rzekłem, równi im bez zaprzeczenia. Bah! aktorewie nie są hulajami, jak ja dotąd sądziłem, zapaliłaś we mnie gorącą żądzą służenia tak zacnym ludziom. — A więc, za parę dni przybywaj, rzekła mi, tyle tylko czasu żądam, aby usposobić moją panię do przyjęcia ciebie; będę cię wystawiać przed nią. Mam trochę władzy nad jej umysłem; jestem pewna, że cię tu wprowadzę.

Podziękowałem Laurze za jej zyczliwość. Oświadczyłem, że przejęty jestem wdzięcznością dla niej, a to z takim niesieniem robiłem, iż bynajmniej wątpić o tém nie mogła. Długośmy oboje rozmawiali, i to jeszcze dłużej byłoby się ciągnęło, gdybyśmy mieli lokaj nie wzwiał mojej bogini do Arsenii. Rozłączyliśmy się więc; ja odszedłem od aktorki, ożywiony słodką nadzieją, że niedługo będę tam miał stół bezpłatny, i nie omieszkałem przybyć po dwóch dniach. — Właśnie czekałam na ciebie, ozwała się pokojówka, by cię zawiadomić, że już jesteś spółstołownikiem w naszym domu. Pójdź z mną, przedstawię cię mojej pani. Poczem zaprowadziła mnie do mieszkania Arsenii, złożonego z pięciu czy sześciu pokojów, jedne pysznie i od drugich umeblowane.

Co za zbytek! jaki przepych! Mniemałem że się znajduję u księżnej, albo raczej zdało mi się, że wszystkie skarby świata widzę zgromadzone w jednym miejscu. Prawda, że były tam kosztowności ze wszystkich narodów; a pomieszkanie to śmiało zwać można było świątnią bogini, do której każdy cudzoziemski wędrownik składał w ofierze drogie osobliwości swojego kraju. Ujrzałem moją boginię siedzącą na wielkiej sofle atlasowej; wydała mi się bardzo miłą, a dym składanych jej ofiar, odbijał się wyraźnie na jej figurze. Była w ubraniu rannem, lecz wykwićtnem, przesłizcznemi rączkami ubierała nowy czepeczek do roli, którą miała przedstawiać tego wieczora. — Paul, odezwała się do niej pokojówka, przedstawiam jej zawiadowcę, o którym mówiliśmy; mogę śmiało zaręczyć, że nie lepszego nie znajdziesz się. Arsenia przyjrzała mi się z wielką uwagą, i miałem szczęście podobać się jej. — Cóż to Lauro, zawołała, ależ to wcale ładny chłopiec! mam nadzieję, że mi będzie bardzo dogodny. Następnie obracając mowę do mnie, dodała: Moje dziecię, znajduję cię odpowiednim moim życzeniom, krótko ci powiem; będziesz kontent ze mnie, jeżeli ja będę z ciebie. Odpowiedziałem jej, że starać się będę wszelkimi siłami, aby ją zadowolić. Skoro zgoda między nami stała, wyszedłem natychmiast po moje manatki, i wróciwszy zająłem stanowisko w tym domu.

ROZDZIAŁ X.

Nie dłuższy od poprzedzającego.

Był to prawie godzina udania się do teatru; paul moja kazała mi iść za sobą wraz z Laurą. Weszliśmy do jej łoża, w której zdjęła suknię miejską, dla przywdziania wspanialszej, w której miała wystąpić na scenę. Po rozpoczęciu widowiska, Laura zaprowadziła mnie do miejsca, z którego mogłem widzieć i wybornie słyszeć aktorów. Nie podobali mi się po większej części, zapewne dlatego, że don Pompejo przedził mnie przeciw nim. To wszakże nie przeszkadzało oklaskom dla wielu, a z tych niektórzy mimowolnie przywiedli mi na myśl bajkę o prosięciu.

Laura powiadała mi nazwiska komedyantów i komedyantek w miarę, jak się oczom naszym przedstawiali. Ale nie kończyła na prostém wymienieniu; lecz uszczypliwa, śliczne ich obraz-

ki malowała.—Ten tu, mówiła, to pusta głowa; tamten zuchwalec; ta pupka, którą tu oto widzisz, której postać więcej swawolna jak miła, nazywa się Rosarda; szkaradny nabytek dla towarzystwa! Lepiejby było zamieścić ją w truppie, którą z rozkazu wieckróla Hiszpanii zbierają i natychmiast wyprawiają do Ameryki. Patrzno na tę świetną gwiazdę, która się zbliża, to śliczne słońce przy zachodzie; to jest Casilda. Gdyby odtąd, odkąd poczęła wabić kochanków, zażądała od każdego jednego tylko kamienia ciosowego, aby zbudować piramidę, jak to niegdyś zrobiła jakaś egipska księżniczka, mogłaby już wybudować tak wysoką, iżby trzeciego nieba dosięgła. Zgoła, Laura szarpała wszystkich złośliwym języczkiem. Ah! złościła buzia! ona nie oszczędzała nawet swojej paui.

Muszę się atoli przyznać do mojej słabości; zachwycała mnie moja pokojówka, chociaż jej charakter nie był moralnie dobry. Nie ważyła wszystkich z takim wdziękiem, żem wszystko w niej kochał aż do tej złośliwości. Pomiedzy aktami wstawała, aby dowiedzieć się, czy Arsenia nie potrzebuje jej usług; lecz zamiast wracać szybko na swoje miejsce, bawiła się za kulisami, zbieraniem kwiatków od mężczyznu, którzy ją pleścili. Raz poszedłem za nią, by ją uważać, i spostrzegłem, że ma bardzo wiele znajomości. Narachowałem aż trzech komedyantów, którzy ją zatrzymywali jeden po drugim, i zdali mi się rozmawiać z nią bardzo poufale. To mi się nie podobało, i pierwszy raz w życiu uczulem, co to jest być zazdrosnym. Wróciłem na swoje miejsce tak zamyślony i smutny, że Laura natychmiast to spostrzegła, gdy przybyła.—Co ci to, Gil Blas? zapytała się z podziwieniem; jakiś zły humor opanował cię od tej pory, jakiem cię opuściła, jesteś tak posepny i zgryzany. — Bóstwo moje! rzekłem, to nie bez powodu; twoje postępowanie jest nieco płocze. Właśnie co widziałem cię z komedyantami...—Ha! zabawny powód smutku, przerwała śmiejąc się. Jakto! i to ci przykrość sprawa? Oh! dalibóg, ty jeszcze daleko jesteś; lepsze jeszcze rzeczy zobaczysz między nami. Musisz się przyzwyczaić do naszych obyczajów swobodnych. Żadnej zadróżki, moje życie! zazdrośni między ludźmi konieczni, uchodzą za śmiesznych. Dlatego też, między nimi niema ich prawie. Ojcowie, mężowie, bracia, stryjaski, krewni, sąto ludzie najzdobniej w świecie, i nawet oni często starają się o wyposażenie swoich rodzin.

Nagadawszy się abym nie miał w podejrzeniu żadnej osoby, i na wszystko spokojnie patrzył, oświadczyła mi, iż jestem jedyny ze szczęśliwych śmiertelników, który trafiłem do jej serca. Zapewniła mnie, że jedynym jej jestem kochankiem. Na to zaręczenie, o którego rzetelności mogłem powątpiewać, nie uchodząc nawet za zbyt podejrziwego, przyrzekłem jej, że się nie będę już zatrzymywał, i dotrzymałem słowa. Tego samego wieczoru widziałem ją bawiącą się i śmiejącą z rozwodzającą z mężczyznami. Po skończeniu komedii, wróciliśmy z naszą panią do domu, dokąd wkrótce przybyła Florimonda z trzema podeszłego wieku panami i jednym aktorem, którzy przybyli na wieczercę. Oprócz mnie i Laury, była jeszcze w tym domu kucharka, woźnica i mały lokaj. Wszyscy pięcioro połączyliśmy się dla przygotowania wieczery. Kucharka, niemniej zręczna jak pani Jacenta, przyrządzała mięso wraz z woźnicą. Pokojówka i mały lokaj, nakrywali stół, a ja opatrywałem bufet, złożony z najpiękniejszych naczyń srebrnych i kilku czar złotych, innego rodzaju osłony, które bogini tej świątynicy złożono. Przyzoboiłem go butelkami rozmaitych win, i zająłem miejsce cześnika, aby pokazać mojej pani, że jestem zdolny do wszystkiego. Dziwiłem się wstrzeźliwości aktorek w czasie wieczery; przybrały postawę kobiet jakiegoś znaczenia; wystawiały sobie, że należą do wyższego rzędu. Nietylko, że nie bąknęły nawet o jasnie wielmożności tych panów, ale nawet nie raczyły używać tytułów wielmożności, wołały na nich poprostu po imieniu. Prawda, że oni sami je psuli, oni je nauczyli tej próżności, zanadto poufale z nimi postępując. Aktor ze swojej strony, przywykły do udawania bohatera, żył z nimi bez przymusu; pił za ich zdrowie i rej prowadził, że tak powiem, na tej uczcie. Dalibóg, pomyśliłem sobie, kiedy Laura

dowodziła mi, że markiz i aktor są sobie równi podczas dnia, mogła śmiało dodać, iż są niemi jeszcze bardziej w nocy, ponieważ ją całą przepędzają na spólnem pijaństwie.

Arsenia i Florimonda, były z natury wesołe. Tysiące śmiałych wyrażań puszczały, przeplatając je drobną względnością i delikatnemi uśmiechami, które chciwie chwytali ci starzy grzesznicy. Gdy moja pani bawiła jednego gawędką niewinną, przyjacielką jej, siedząc między dwoma drugimi, nie udawała wcale Zuzanny. Kiedy tak rozważałem ten obraz, zbyt ponętny dla podeszłego młodzieniaszka, przyniesiono owoce. Wtedy postawiłem na stole butelki z likworem, podałem kielszki, i sam wyknąłem się spiesząc na wieczercę z Laurą, czekającą na mnie. — A cóż, Gil Blas, jak sądzisz o tych panach, których widziałeś? rzekła do mnie. — To są niechybnie, odpowiedziałem, wielbiciele Arsenii i Florimondy. — Nie, powiedziała mi, to są starzy lubieżnicy, którzy uczęszczają do zalotnic, nie przywiązując do nich wcale. Nie żądają od nich więcej, nad cokolwiek powolności, a dosyć są wspaniałomyślni, by drogo płacić najdrobniejsze względy, jakimi ich darzą. Dzięki Bogu, Florimonda i moja pani, nie mają teraz kochanków; to jest, chcą mówić, nie mają tych kochanków, co się to narzucają na mężów, chcą stanowić całą rozkosz domu, ponieważ ponoszą wszystkie jego koszta. Ja z tego jestem bardzo kontenta, utrzymuję, że każda zalotnica rozsądna powinna unikać tego rodzaju zobowiązań. Na cóż nadawać sobie pana? lepiej zbierać grosz za groszem na swoje urządzenie, niż za tę cenę mieć je całe odrazu.

Kiedy Laura wpadła na tok mowy, a tego jej prawie nigdy nie brakło, wtedy wyrazy nic ją nie kosztowały. Co za giętkość języka! Opowiadała mi tysiące przygód, jakie się zdarzyły aktorom z trupy teatru książęcym zwanego; ze wszystkich zaś tych rozmów wniosłem, że nie mogłem znaleźć dogodniejszego miejsca dla poznania występików; na nieszczęście byłem w tym wieku, w którym one nie obudzają wstrętu; a dodać muszę, że pokojówka tak ładnie umiała malować rozwiąłość, iż w niej samą tylko rozkosz widziałem. Nie miała czasu opowiedzieć mi nawet dziesiątej części czynów aktorek, bo dopiero od trzech godzin prawiła. Panowie i aktor oddalili się z Florimondą, którą do jej mieszkania odprowadzili.

Po ich wyjściu, moja pani kładąc mi w ręce pieniądze, rzekła: — Oto masz Gil Blasię dziesięć luidorów, abyś za to jutro rano, potrzebne zakupił przedmioty. Pięciu czy sześciu naszych panów i kobiet, mają tu jeść obiad; staraj się, żebyś nas przyzwycioić uraczył.—Pani odpowiedziałem, za tę sumę potrafię sprowadzić tyle rzeczy, iż wystarczy do ucztowania całej nawet trupy.—Mój przyjacielu, przerwała mi Arsenia, popraw swoje wyrażenia. Wiedz, że nie trzeba mówić truppa, należy mówić towarzystwo. Mówi się bardzo dobrze truppa złodziejów, truppa żebraków, truppa autorów; ale pamiętaj, że wypada mówić: towarzystwo komedyantów. Aktorowie madycecy nade wszystko zasługują, aby ich nazywano towarzystwem. Prosiłem moją panię, żem użył wyrażenia tak ubliżającego, pokornie błagałem, aby przebaczyła mojej niewiedomości. Zaręczyłem jej, że w następstwie czasu, ilekroć wypadnie mi mówić o panach komedyantach w sposobie zbiorowym, użyję zawsze wyrazu, towarzystwo.

ROZDZIAŁ XI.

Jak aktorowie żyli między sobą, i jak obchodzili się z autorami.

Nazajutrz rano wybrałem się po sprawunki, by rozpocząć obowiązki zawiadowcy. Było dzień postny; z rozkazu pani kupiłem kapłony tłuste, króliki, kurapatwy i inne drobiazgi. Ponieważ panowie aktorowie niebardzo są kontenci z postępowania kościoła z nimi, przynajmniej w niektórych względach, dlatego też nie zachowują jego poleceń. Tyle mięsa przyniosłem do domu, iżby go wystarczyło dla dwunastu porządných osób, na całe trzy dni karnawału. Kucharka miała co do roboty przez cały poranek. Kiedy urządziła obiad, Arsenia wstała i do samego południa czas spędziła przy toalecie. Wtedy panowie Rosimiro i Ricardo, aktorowie, przybyli; za ni-

mi nadeszły dwie komedyantki Constantia i Celinora; a wkrótce pojawiła się Florimonda, w towarzystwie mężczyzny mającego postać *senor cavallero* i to jednego z najzgrabniejszych. Włosy miał elegancko związane, na kapeluszu kita z piór koloru ciemno-żółtego, spodnie bardzo obcisłe, a przez rozpięcia kaftana widać było koszulę batystową z bardzo piękną koronką. Rękawiczki i chustka do nosa, zatknięte były w rękoseść szpady, płaszcz zarzucony z wdziękiem szerególnym.

Postawę wprawdzie miał dobrą, i do tego był wcale przystojny, a jednak zaraz z pierwszego wejścia coś mnie osobliwego w nim uderzało. Ten szlachcie, myślałem sobie, musi to być jakiś oryginał. Nie omyliłem się wcale: było odznaczające się charakter. Skoro wszedł do pokoju Arsenii, przebiegł go szybko z otwartymi rękami, ściskając po kolei aktorów i aktorki, z objawami radości bardziej jeszcze przesadzonemi, niż to czynić zwykli panicyzki. Nie zmieniłem mojego mniemania, usłyszawszy jego rozmowę; wybijał ton na każdej zgłosce, każdy wyraz jakby wyrąbał, z niesłychaną przesadą; do przedmiotu stosował poruszenia rąk i oczu. Z ciekawością zapytałem się Laury, coby to był za szlachcie.—Nie dziwi mnie, rzekła mi, twoja ciekawość; niepodobna oprzeć się temu uczuciu, widząc i słysząc pierwszy raz pana Carlos Alonso de la Ventolera; zaraz ci odmaluję portret jego z natury. Naprzód, jestto człowiek, który był komedyantem. Porzucił teatr z fantazyi, a żałował potem z wyrachowania. Czyś uważał jego włosy czarne? Farbowane są równie jak brwi i wąsy. On starszy podobno od Saturna, ale że w chwili urodzenia, rodzice zapomnieli wpisać jego imienia w metryki kościelne, on też korzystając z tego zaniedbania, czyni się młodszym niż jest, przynajmniej o dobre dwadzieścia lat. Obok tego, jestto może jedyny człowiek w całej Hiszpanii, tak wysoką o sobie mający opinią. Podobno aż do spełnienia szóstego krzyżyka swojego życia, był w grubej pograżony niewiadomości; żeby wszakże wyjść na uczonego, przyjął nauczyciela, który go wprawił w syllabizowanie greckie i łacińskie. Oprócz tego, umie na pamięć muóstwo ładnych powiastek, które powtórzyłszy tyle razy jako swój własny utwór, w końcu sam nabył przeświadczenia, że tak jest w istocie. Przytacza je w rozmowie, i można powiedzieć, że dowcip jego błyszczy kosztem pamięci. Zresztą wszyscy powiadają, że to wielki aktor; ja chcę temu wierzyć z pokorą; ale przynam się, że mi się wcale nie podobal. Słyszę go czasami deklamującego tu, ale między innymi wadami, zdaje mi się jego sposób wymawiania wymuszony, głos drżący, co deklamacyi jego nadaje ton jakis przestarzały, śmieszny.

Taki wizerunek tego szanownego arlekina, podała mi moja pokojówka, ale w istocie nie zdarzyło mi się widzieć śmiertelnika większą pychą nadtego. Udawał także bawiącego towarzystwo: wydobyl ze swojego zapasu dwie czy trzy powiastki, które wydeklamował z nadętością i poruszeniami wyrachowanemi. Z drugiej strony, aktorowie i aktorki, którzy tam przybyli nie na grę w mruzcza, nie byli wcale niemowami. Rozmawiali o swoich towarzyszach nieobecnych, nie z wielką miłością chrześcijańską wprawdzie, ależ takie drobiazgi przebacząją się aktorom i autorom. Rozmowa więc ożywiła się na uszczerbek bliźniego.— Nie wiesz pani, odezwał się Rosimiro, nowego dowcipu Cesarina, naszego braciszka. Dziś rano kupił pończochy jedwabne, wstążki i koronki; kazał je przynieść sobie na pewne zebranie, przez małego paza, z oświadczeniem, że są darem jakiejś hrabini.— Co za oszustwo! rzekł pan de la Ventolera, uśmiechając się z miną nadętą i głupią. Za moich czasów z lepszą wiarą postępowano; nie myśleliśmy wcale o wynajdywaniu podobnych bajek. Prawda, że kobiety znakomitego rodu oszczędzały nam trudu zmyślania; same robiły sprawunki; taka była ich fantazyja.— Bah! dodał Ricardo w tym samym tonie, tę fantazyję mają i dziś jeszcze, i gdyby wolno było jaśniej wyrazić się w tym względzie... Ależ przecie należy się zamilczać tego rodzaju wypadki, zwłaszcza gdy osoby wyższego stopnia są w tem interesowane.

—Panowie, przerwała Florimonda, dajcie pokój z łaski swojej waszemu szczęściu w miłości; to już zna cały świat; mów-

my o Ismenii. Głoszą że ten pan, co to tyle na nią wydawał, porzucił ją.—Doprawdy, zawołała Constantia; ja wam więcęć powiem, ona utracą tego małego plenipotentą, którego by była niezawodnie zrujnowała; ja wiem tę rzecz z najpewniejszego źródła. Posłaniec jej ustrzeżił baka, zaniósł panu bilecik przeznaczony do jego plenipotentą, a plenipotentowi, wręczył pisany do jego pana. Otóż to ciężkie straty, rzekła Florimonda.— Oh, co do pana, dodała Constantia, to rzecz małej wagi. Kawaler już prawie całe swoje mienie spożył; ale ten mały człowieczek, ten plenipotent, dopiero co wstępował w szranki, jeszcze nie przeszedł przez ręce zalotnic; tego właśnie jest co żalować.

Tak rozmawiali przed obładem; w tymże samym przedmiocie toczyły się rozprawy przy stole. Nie skończyłbym, gdybym chciał powtarzać wszystkie gawędki, naszpikowane obmową lub piosną, dlatego czytelnicy nie wezmą mi za złe, że je pominię, by wspomnieć, jakim sposobem przyjęty został autor biedak, który przybył pod koniec biesiady. Nasz mały lokaj wszedł, i głośno odezwał się do gospodyni domu:—Pani, jakiś człowiek w brudnej koszuli, zabłocony aż po pas, który z przeproszeniem, zupełnie wygląda na poetę, życzy sobie mówić z panią.—Niech wejdzie, rzekła Arsenia. Nie ruszajmy się panowie, to autor. W istocie, byłto autor, którego tragedją przyjęto, a który przyniósł rolę mojej pani; nazywał się Pedro de Moya. Wchodząc, ukłonił się kilka razy bardzo nisko całemu zgromadzeniu, które nietylko że się nie ruszyło, ale nawet nie raczyło go powitać. Arsenia lekkiem skinieniem głowy odpowiedziała na grzeczności, któremi ją obsypał. Postąpił naprzód drżący i pomieszany. Upnieł rękawiczki i kapelusz, podniósł je, zbliżył się do mojej pani, i podając jej papier z większym uszanowaniem, niż obrońca przedstawia swoją skargę sędziemu, rzekł:—Pani, przyjm łaskawie rolę, którą śmiem ci ofiarować. Odebrała ją w sposób obojętny i pogardliwy, i nie raczyła nawet odpowiedzieć na tę grzeczność.

To atoli nie zraziło naszego autora, który korzystając ze sposobności, rozdał także inne role, jedną ofiarował Rosimirovi, drugą Florimondzie, którzy z taką samą grzecznością postąpili z nim, jak Arsenia. Co większa, komedyant bardzo uprzejmy z natury, jak ci panowie są pospolicie, naigrawał się z tego szyczerkami docinkami. Pedro de Moya czuł to dobrze, nie śmiał wszakże odcinać się z obawy, aby sztuka jego nie ucierpiała; odszedł, nie mówiąc, lecz zdawał mi się mocno dotknięty takowem przyjęciem. Spodziewam się, że musiał w myśli swojej doskonale wyszamerować komedyantów, jak na to zasługiwali; aktorowie zaś po jego odejściu zaczęli rozmawiać o autorach, z wielkim szacunkiem.

—Zdaje mi się, mówiła Florimonda, że pan Pedro de Moya niebardzo zadowolony oddalił się.— Ah, pani, zawołał Rosimiro, o co się tak troszczysz? czyż autorowie wari są naszej uwagi? Gdybyśmy chcieli się równać z nimi, tobyśmy ich popsuili. Znam ja tych paniczów, o znam dobrze, niedługo zapomniełiby się. Obchodzmy się z nimi ciągle jak z niewolnikami, nie bójmy się o zmordowanie ich cierpliwość. Jeżeli ich gniew oddala niekiedy od nas, szalę pisania znowu zwraca, i dosyć są szczęśliwi, jeżeli tylko chcemy grać ich sztuki.— Bardzo słusznie, odezwała się Arsenia, my tylko tych autorów tracimy, którym los zapewniamy. Co do tych, jeżeli tylko ich dobrze postawimy, zaraz pragną wygod i przestają pracować. Szczęściem towarzystwo szybko się pociesza, a publiczność nie na tem nie cierpi.

Przykłaśnięto tak pięknej mowie, i pokazało się, że antorowie mimo tak złe obchodzenie się z nimi komedyantów, jeszcze im winni wdzięczność wreszcie. Te arlekiny stawily ich niżej siebie, i zaiste, większej wzdary nie mogly im objawić.

ROZDZIAŁ XII.

Gil Blas nabiera gustu do teatru, zatapia się w rozkoszach życia komicznego, a wkrótce czuje wstręt do niego.

Biesiadnicy siedzieli przy stole, póki nie nadszedł czas udać się do teatru. Wtedy wszyscy razem poszli. Ja udałem się za nimi, i widziałem znowu komedyę tego dnia. Tak mi się po-

dobala, że postanowiłem być na niej codziennie. Nie uchybiłem ani razu, i zwolna przyzwyczaiłem się do aktorów. Zważył cię co to za potężna nagoda; najwięcej zachwycali mnie ci, którzy najbardziej wrzeszczeli i rzucali się na scenie, ale to nie ja jeden miałem taki gust.

Piękność sztuk niemniej mnie wzruszała, jak sposób ich przedstawienia. Były między nimi niektóre, co mnie w zachwycenie wprawiały, najbardziej lubiłem te, w których występowali wszyscy kardynałowie, lub dwunastu parów dawnej Francji. Uczyłem się na pamięć wyjątków z tych niezrównanych poematów. Przypominam sobie, że w przeciagu dwóch dni nauczyłem się na pamięć całej komedii, której tytuł był: *Królowa kwiatów*. Róża była królową, powiernikiem jej siołek, a masztalerzem jaźmin. Zdawało mi się, że nie może być dowcipniejszego nad te dzieła, które według mnie, wielki stanowiły zaszczyt geniuszu naszego narodu.

Nie poprzestałem na z bogaceniu pamięci najpiękniejszem wyjątkami tych wzorowych utworów sztuki dramatycznej, starałem się także o wykształcenie gustu mojego, żeby zaś ten cel osiągnąć, słuchałem z należytą uwagą wszystkiego, co o dziełach mówili aktorowie. Jeżeli oni chwaliłi jaką sztukę, i ja wysoko ją ceniłem; im się złą wydawała, ja nią gardziłem. Wyobrażałem sobie, że oni muszą się znać na sztukach teatralnych, jak jubilerowie na dyamentach. Ztémwyszkłkiem, tragedia don Pedra de Moya, zyskała wielkie powodzenie, chociaż oni zawyrokowali, że się nie uda. To jednak nie potrafiło zachwiać mojem przekonaniem, abym miał powątpiewać o ich zdaniu; wołałem raczej przypuszczać, że publiczność nie ma rozsądku, aniżeli tracić wiarę w nieomylność towarzystwa. Jednakże ze wszech stron zapewniano mnie, że pospolicie z oklaskami przyjmowano sztuki nowe, o których aktorowie złą wydali opinią; a przeciwie te, które oni z radością przyjmowali, prawie zawsze były wygwizdane. Mówiono mi że to oni mają za правило u siebie, źle trzymać o dziełach; w skutek tego wymieniano mi tysiące sztuk, które się okazały w sprzeczności z ich sądem. Trzeba mi było aż tylu dowodów, aby wyjść z omamienia.

Nie zapomnę nigdy co się raz stało gdy przedstawiano nową komedią. Aktorowie uznali ją za zimną i nudną; osądzili nawet, że jej nie dokończą. W tēm przekonaniu grali pierwszy akt, który zyskał oklaski. To ich zdziwiło; grają drugi akt, ten jeszcze lepiej przyjęty jak pierwszy. Tu już moi panowie aktorowie zmieszani.—Cóż u diabła, zawołał Rosimiro, co to jest z tą komedią? Wreszcie grają trzeci akt, a ten jeszcze bardziej się podobał.—Nie rozumiem tego, rzekł Ricardo, byliśmy pewni, że ta sztuka nie podoba się, a tu patrz, z jaką rozkoszą ją przyjmują.—Panowie, ozwał się bardzo nalwie jeden z aktorów, bo w niej jest mnóstwo wyskoków dowcipnych, którycheśmy nie spostrzegli.

Przestałem więc uważać aktorów za sędziów doskonałych, i odtąd nauczyłem się oceniać sprawiedliwie ich zasługę. Aż nadto usprawiedliwiali wszelkie docinki, jakimi ich oddarzano. Widziałem aktorów i aktorki, których oklaski zepsuły, którzy uważając się za przedmiot podziwu, wyobrażali sobie, że łaskę wyświadczają publiczności, skoro występują na scenę. Raziły mnie ich błędy, ale na nieszczęście, podobał mi się ich tryb życia, zagrzeźłem w rozpucie. Jakżebym potrafił zastawić się od tego? Wszystkie rozmowy, które pomiędzy nimi słyshałem, były zgubne dla młodzieży; wszystko cokolwiek widziałem, zdążyło do zepsucia. Gdybym nawet nie wiedział był co się dzieje u Kasildy, Constaucyi i innych, dom Arsenii, sam jeden zdolny był mnie znieprawić. Prócz podeszłych panów, o których już wspominałem, przychodziłi tam pauczkowie, dzieci rodzin znakomitych, którym lichwiarze dostarczali funduszów na wydatki; niekiedy przyjmowano także dzierzawców myła publicznego, którzy wbrew swoim zwyczajom, zamiast pobierać płacę za swoją obecność, opłacali drogo za to, że im wolno było być tam obecnymi.

Florimonda mieszkająca w domu sąsiedzkim, codziennie obiad i wleczoną jadła u Arsenii; zdawały się obie żyć w tak

ścisłej zgodzie i jedności, że to wszystkich zdumiewało. Nikt nie mógł tego pojąć, aby dwie zalotnice w takim porozumieniu żyć mogły; i wystawiano sobie, że prędzej lub później, poróżnią się o jakiego kochanka. Ale nie znano dobrze tych doskonałych przyjaciółek; łączyła je przyjaźń, na stałej korzyści oparła; zamiast zazdrości sobie, jak pospolite kobiety, one żyły w spółce, wołały dzielić się łupami mężczyzny, aniżeli w głup sposób wadzić się o ich wdychania.

Laura wzorem tych dwóch świętych spółtowarzystek, koczyła także z pięknych dni swoich; prawdę mi powiedziała, że piękne rzeczy zobacze. Jednakże nie grałem roli zazdrosnego; przyrzekłem, że pod tym względem przybiore ducha towarzystwa; przez kilka czasów udawałem. Poprzestałem na pytaniu się za każdym razem, coby to był za mężczyzna, z którym na osobności bawiła, odpowiadała mi zawsze, że to był wuj, stryj lub powinowaty.

Przez trzy tygodnie ulegałem potokowi. Wylałem się na wszelkiego rodzaju rozkosze. Lecz wyznać muszę zarazem, że wśród nacieszenia w sobie jakieś wyrzuty, które były skutkiem mojego wychowania, a zaprawiały goręczą moją zabawę. Rozwiążność nie potrafiła wziąć góry nad zgrzyotą sumienia; przeciwnie, im rozpustniejszym się stawałem, z tēm większą siłą wzmagala się zgrzyota; i skutkiem nieszczęśliwym mojej natury, nierządne życie komiczne, zgrozą mnie przejęło. Ah, nędzniku! mówiłem sam do siebie, toż w ten sposób spełniasz nadzieje twojej familii? Nie dosyć na tēm, żeś ją zawiódł przyjmując łune powołanie, a nie nauczycielskie? służebne twoje powołanie, maż ci przeszkadzać do życia uczeiwo? Przysłażoś ci pędzić życie z ludźmi tak występnyimi? Zawieść, złość i chciwość, włada jednymi; wstyd wygnany jest od drugich; jednymi próżniactwo i niewstrzeżliwość powoduje, drugich pycha do bezczelności dochodzi. Stało się, nie chcę dłużej przebywać w towarzystwie siedmiu grzechów śmiertelnych.

KSIĘGA CZWARTA.

ROZDZIAŁ I.

Gil Blas opuszcza służbę Arsenii i znajduje uczciwsze miejsce.

Szeżatki honoru i religii, jakie nawet wśród tego skazania obyczajów zachowałem, skłoniły mnie nie tylko do opuszczenia Arsenii, ale nawet do zerwania wszelkich stosunków z Laurą; jednak nie mogłem wyglazować z serca miłości, choć wiedziałem że mi się stokratnie przeniewierzyła. Szczęśliwy kto umie korzystać z chwili, w której rozum biorąc górę nad namiętnościami zamaci rozkosze, jakim się poddał! Pewnego poranku poukladałem moje manatki i nie rachując się nawet z Arsenią, od której mi się nie prawie nie należało, nie pożegnawszy się z moją drogą Laurą, opuściłem ten dom, w którym samem tylko rozpusty powietrzem oddychano. Tylko com dokonał czynu tak dobrego, zaraz mi Pan Bóg wynagrodził.

Spotkałem marszałka nieboszczyka don Mathiasa; skłoniłem się mu, a on mnie poznał odrazu i zapytał się u kogobym służył. Odpowiedziałem mu, że właśnie w tēj chwili jestem bez miejsca: że przebywszy blisko miesiąc u Arsenii, której obyczaje nie podobały mi się weale, opuściłem ją z własnej woli, dla ocalenia mojej niewinności. Marszałek, niby wielki skrupulat, pochwalił moją cnotę, oświadczył, że mi sam wynajdzie miejsce dogodne, dlatego samego, że byłem chłopcem pełnym uczciwości. Dotrzymał słowa, bo tegoż jeszcze dnia umieścił mnie u don Wincentego de Guzman, przez znajomość z jego plenipotentem.

Nie mogłem żądać lepszego domu, dlatego też i później nigdy nie żalowałem, że w nim przebywałem. Don Guzman było stary, bardzo bogaty szlachcic, który od kilku lat błogie pędził życie, nie mając procesów, ani żony; lekarze mu ją zabrali, chcąc ją uwolnić od kaszlu, z którymi niezawodnie długo była się walczyła, gdyby była nie używała ich lekarstw. Zamiast

myśleć o powtórnych ślubach, on cały poświęcił się wychowaniu Aurory, jedynej swojej córki, która wtedy rozpoczynała rok dwudziesty szósty i mogła się uważać za zupełnie ukształconą kobietę. Z niepospolitemi wdziękami, łączyła umysł trafny i wszechstronnie rozwinięty. Ojciec jej dość ciasną miał głowę, lecz wybornie kierował swoimi interesami. Miał on wadę, którą się starcom chętnie przebacza: szeroko lubił rozprawić o wojnie i bitwach. Jeżeli nieszczęściem w jego przytomności tracił ktoś w tę stronę, on natychmiast chwycił trąbę sławy bohaterskiej, i słuchacze jego za szczęśliwych się poczynać mogli, jeżeli się skończyło na szczegółach dwóch obłężeń i trzech walnych bitew. Ponieważ dwie trzecie życia swojego spędził pod chorągwią, zład pamięć jego stała się źródłem niewyczerpanem najrozmaitszych zdarzeń których jednak nie każdy rad był słuchać z taką przyjemnością, z jaką on je lubił opowiadać. Dodać do tego należy, że się jąkał, a w wysłowieniu był zbyt rozwlekły, co niebardzo uprzyjemniało jego opowiadanie. Zresztą nie zdarzyło mi się spotkać pana tak dobrego charakteru; humor zawsze jednoustajny, nie był ani uparty, ani grymasny, co jest dość dziwne w człowieku znakomitego rodu. Choć był oszczędny, żył jednak uczciwie. Dwój jego składał się z kilku służących i trzech kobiet do usługi Aurory. Z pierwszego wstępu poznałem, że marszałek don Mathiasa wyborne następczył mi miejsce, począłem więc myśleć, jakby się w niem stale utrzymać. Naprzód więc starałem się rozpoznać moje pole; śledziłem skłonności jednych i drugich; a następnie w miarę poczynionych postrzeżeń, kierując mojem postępowaniem, potrafiłem zyskać względy pana i przychyłność służących.

Już przeszło miesiąc przepędziłem u don Guzman, gdy zdało mi się, że córka jego wyżej mnie jakoś cenila niż innych służących. Ilekroć zwróciła oczy na mnie, spostrzegałem w jej wzroku jakąś nprzejmość, której nie mogłem się dopatrzeć, gdy na innych spoglądała. Gdybym był nie znał panticzów i aktorów, nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby Aurora mogła o mnie myśleć: ale popsułem się trochę między temi paniami, u których i najznakomitsze kobiety nie zawsze zbyt pięknie występują. Jeżeli pomyśliłem sobie, można wierzyć tym arlekinom, znakomite kobiety mają niekiedy swoje fantazje, z których oni korzystają; albo ja wiem, czy też i moja pani nie podlega czasem podobnym fantazjom? Ale nie, mówiłem sobie po chwili namysłu, nie mogę temu wierzyć. Ona nie należy do rzędu tych Messalin, które zapominając o godności swojego rodu, zatapiają podły wzrok w nieczemnym błocku, i hańbią się bez zarumienienia; jest to raczej jedna z tych dzławic cnotliwych, ale czułych, która strzegąc granic, jakie cnota ich czułości zakreśliła, nie robi sobie skrupułu z obudzenia i przejęcia się namiętnością, która ją bawi bez niebezpieczeństwa.

Tak sądziłem o mojej pani, nie wlecząc wszakże czego się trzymać stanowezo. Ztemwszystkiem, ile razy mnie spostrzegła, zawsze się uśmiechała i wyraźną objawiała radość. Można więc było omamić się tak pięknymi pozorami, nie lękając się wcale posadzenia o głupstwo; dlatego też i ja nie miałem sposobu obronienia się. Wydawało mi się że Aurora silnie jest zajęta moją osobą, i odtąd uważałem się za jednego z tych szczęśliwych służalców, którym miłość osładza ich powołanie. Aby się okazać tém godniejszym względów przyjaznej fortuny, przemysliwałem nad tém, co by mogło pomnożyć moje wdzięki. Wszystkie moje pieniężne zasoby poświęciłem na bieliznę, pomady i wonne olejki. Każdego poranku pierwszém mojem staraniem było ustroić się, zład wonnościami, aby nie wystąpić w ubiorze zaniedbanym, skoroby wypadło przedstawić się mojej pani. Tak zajęty ubiorem, troskliwemi zabiegami o wszystko, jakoby czym się mógł przypodobać, mniemałem, że szczęście moje nie może być zbyt dalekie.

Pomiędzy kobietami Aurory była niejaka Ortiz, w wieku już podeszłym, od dwudziestu przeszło lat w domu don Vincentego bawiąca. Onato wychowała córkę jego i stopień ochmistrzyni dotąd zachowała, nie pełniąc wszakże przykrych obowiązków tego powołania; owszem, zamiast kierować postępo-

waniem Aurory, jak dawniej, ona teraz zajmowała się troskliwem jego tajemnem. Ołóż ta pani Ortiz upatrzawszy pewnego wieczora chwilę, w której mogła ze mną rozmówić się bez świądka, szepnęła mi cicho do ucha, że jeżeli będę rozsądnym i miłym, mogę się dowiedzieć czegoś ważnego, bylebym o północy udał się do ogrodu na wskazane mi miejsce. Ścisnąc serdecznie rękę mistrzyni, zapewniłem ją, że nie omieszkam stawić się na czas oznaczony. Już więc nie wątpiłem wcale o miłości córki don Vincentego i radość, jaka z tego powodu serce moje ogarnęła, ledwie ukryć zdołałem. Jakżeż to wolno wlekił się wtedy czas od tego momentu, aż do wieczery, choć wieczera w tym dniu była dosyć rychła, a jeszcze wolniej od wieczery aż do udania się na spoczynek pana mojego! Zdawało mi się, że tego wieczora wszystko się odbywało w domu naszym z niepojętą opieszalnością. Na domiar nudów, kiedy don Vincenti udał się do sypialnego pokoju, zamiast zabierać się do spoczynku, on tymczasem rozpoczął nowe powtarzanie wypraw portugalskich, które mi już nieraz mi głowę zawracał; a czego jeszcze dotąd nie zrobił i co wyraźnie na ten wieczór zachował, to było wyliczenie nazwisk wszystkich oficerów, którzy się wtedy odznaczyli, z wymienieniem ich walecznych czynów. Cóż to za męka dla mnie słuchać tego aż do końca! Skończył przecież i położył się. Natychmiast udałem się do izbetki, w której stało moje łóżko, z której krytymi schodkami dostać się można było do ogrodu. Wytarłem się cały pomadą, wziąłem świeżą koszulę dobrze wonnościami przejętą i kiedym już wszystkiego dopełnił, co mogło schlebzać kaprysom mojej pani, udałem się na miejsce wskazane.

Nie zastałem pani Ortiz. Sądziłem że znużona długiem oczekiwanem wróciła do swojego pokoju, że godzina szczęścia miłosnego przeszła. Zacząłem narzekać na don Vincentego, lecz gdy przeklnął jego wyprawy, usłyszałem zegar bijący dziesiątą godzinę. Pewny byłem, że zegar źle idzie, bo rzecz niepodobna, aby już przynajmniej pierwsza godzina po północy nie była. Ale tak dobrze zwodziłem się, że w kwadrans później na lunym zegarze usłyszałem znou dziesiątą godzinę. Wybornie, pomyśliłem sobie, a zatem jeszcze dwie godziny czatować muszę. Przynajmniej nie będą narzekać na moję opieszalność? Co ja będę robił do północy? Przejdę się po ogrodzie i pomyślę nieco o roli, którą mam odegrać, jest ona dla mnie zupełnie nową. Jeszczem się nie oswoił z wybrakami dam wyższego tonu. Potrafiłbym postąpić sobie z pokojówkami i aktorkami. Do tych przystępuje się poufale i bez ogródki puszcza się na dalsze przygody; ale z osobami innego stanu wcale odmiennych potrzeba obrotów. Trzeba, jak mi się zdaje, aby gach był grzecznym, uprzejmym, czułym, pełnym uszanowania, ale bynajmniej nie bojaźliwym. Zamiast w niewczesnym zapale przyspieszać chwilę szczęścia, winien go oczekiwać od jej słabości.

Tak sobie myśliłem i tak postanowiłem sprawić się wobec Aurory. Wystawiałem sobie, że wkrótce będę miał szczęście znajdować się u stóp nadobnej kobiety, wynurzając jej miłosne zapąły. Przywodziłem sobie na pamięć wyjątki z naszych sztuk teatralnych, których mógłbym z chlubą użyć w naszym spotkaniu sam na sam, miałem nadzieję zręcznego ich zastosowania i pewny byłem, że wzorem niektórych aktorów dobrze mi znanych, potrafię ujsć za dowolnego, wtedy gdy tylko dowiodę niezłej pamięci. Takowem rozmyślaniem zajęty, które było daleko przyjemniejsze dla mojej fantazy, niż wszystkie wyprawy wojenne mojego pana, usłyszałem jedenastą godzinę. Dobrze, mówiłem sobie, już tylko sześćdziesiąt minut mam czekać: uzbrojmy się cierpliwością. Nowej nabrałem odwagi: zatopiony w myślach, to przechodziłem się po ogrodzie, tomsiadał w zielono umajonej altanie, w końcu ogrodu, wreszcie długo oczekiwaną godziną dwunastą wybiła. W kilka chwil Ortiz równie punktualna, lecz nie tak niecierpliwa, przybyła.—Panie Gil Blas, rzekła zbliżając się do mnie, jak dawno tu jesteś?—Od dwóch godzin, odpowiedziałem.—Oh! zaiste, rzekła śmiejąc się ze mnie, jesteś bardzo akuratywny: aż miło wyznaczyć ci w nocy godzinę do rozmowy. Prawda, mówiła dalej w tonie

poważnym, nie jest to zawiele za szczęście, które ci mam zwiastować. Moja pani chce się z tobą osobiście rozmówić, i kazała mi wprowadzić cię do pokoju, w którym czeka na ciebie. Więcej ci nie powiem, reszta jest tajemnicą, której się dowiesz z jej własnych ust. Pójdź za mną, poprowadzę cię. To rzekłszy, wzięła mnie za rękę, i przez małe drzwiczki, od których klucz miała, wprowadziła mnie tajemniczo do pokoju swojej pani.

ROZDZIAŁ II.

Jak Aurora przyjęła Gil Blas'a, i o czém rozmawiali.

Zastałem Aurorę w wieczornem ubraniu; to mnie ucieszyło. Ukłoniłem się jej z wielkimi nszanowaniem i z wdziękiem, na jaki tylko zdobyć się potrafiłem. Przyjęła mnie uśmiechając się, i kazała mi usiąść obok siebie, mimo mojej woli, lecz co mnie najwięcej zachwycało, to rozkaz dany posłance, aby się oddaliła, zostawiając nas samych. Poczem zwracając mowę do mnie, odezwała się: — Gil Blasie, musiałeś to już spostrzedz, że ja miło na ciebie spoglądałam, żem cię przenosiła nad wszystkich innych służących ojca mego; lecz choćby też moje wejście nie jeszcze nie było dostateczne do przekonania cię o moich dobrych chęciach dla ciebie, postępek mój dzisiejszej nocy, powinien ci odjąć wszelką wątpliwość.

Nie pozwoliłem jej mówić dłużej. Sądziłem że jako człowiek ngrzeczny winienem był wstydlwości niewieściej oszczędzić przykrość wynurzenia się stanowczego. Porwałem się z wielkim uniesieniem, a rzucając się do stóp Aurory, jak bohater teatralny, który klęka przed swoją boginią, w tonie deklamatorskim krzyknąłem: Ah! pani, dobrze ja to słyszałem! do mnież to mowa jej zwrócona? Jesteż rzecz podobna, aby Gil Blas aż dotąd igraszką fortuny będący, odrzutkiem natury, dostąpił jednak szczęścia obudzenia w tobie pani, tych uczuć... — Nie tak głośno mów, przerwała mi śmiejąc się; pobudzisz moje służące, które w pobocznem śpią pokoju. Wstań, siadaj na swoim miejscu, i wysłuchaj mnie aż do końca, nie przerywając wcale. Tak jest, Gil Blasie, mówiła dalej, przybrawszy znowu minę poważną, jestem ci życzliwą, i dla przekonania cię o moim szacunku, chcę ci powierzyć tajemnicę, od której zależy spokojność mego życia. Kocham młodzieńca pięknego, dorodnego, i ze świetnej pochodzącego familii. Nazywa się don Luis Pacheco. Widuję go czasami na przechadzkach i w teatrze, ale ani słowa jeszcze z nim nie mówiłam. Nie znam jego usposobienia, nie wiem, czy nie ma złych nałogów; a o tём przeczcie chciałabym się dokładnie wywiedzieć. Potrzeba mi więc człowieka, któryby zasięgnął pewnych wiadomości o jego obyczajach i zdał mi o tём sprawę. Ciebie ja przekładam nad wszystkich naszych służących, i sądzę, że nic na tём nie stracę, gdy cię do tego zobowiążę. Spodziewam się, iż z taką zręcznością i ostrożnością się sprawisz, że nie będę miała powodu żalowania, żem ci się zwierzyła.

Tu ucięła mowę pani moja, czekając na odpowiedź. Ja zrazu zmieszałem się niewczesnem wyrwanem się, wnet atoli odzyskałem przytomność, a tłumiąc wstyd, jaki zwykł bywać skutkiem płochości, której szczęście nie sprzyja, wynurzyłem mojej pani taką gorliwość w jej sprawie, objawiłem także poświęcenie się na jej usługi, że jeżeli nie potrafiłem wybić z głowy myśli, iż jej się podobałem, przynajmniej pokazałem jej, że umiem nieźle naprawiać głupstwo. Żądałem tylko dwóch dni do zdania sprawy z danego mi polecenia, poczem Ortiz na rozkaz swojej pani, odprowadziła mnie do ogrodu i wracając, rzekła mi tonem szderyczym: Dobra noc, panie Gil Blas, nie zalecam ci wcale zbytbytności punktualności na umówioną schadzke, znam ją już bardzo dobrze i nie mam się o co troszczyć.

Wróciłem do mojej izbetki nie bez żalu zawiedzionej nadziei. Dostyc wszakże miałem rozsądku, by się szybko pocieszyć. Rozważyłem, że lepiej być powiernikiem u pani, niż jej kochankiem. Zdawało mi się nawet, że mnie to może do czegoś posłużyć; że meklersy miłośni, dobre za swoje trudy odbierają wynagrodzenie; tak dumając, położyłem się spać, postanowiwszy dopełnić rozkazów Aurory. W tym celu wysze-

dłem zaraz nazajutrz rano. Mieszkanie takiego pańca jak don Luis, nietrudne było do wynalezienia. Zasięgałem o nim wiadomości w sąsiedztwie, lecz osoby do których się udałem, nie potrafiły zaspokoić mojej ciekawości, musiałem więc nazajutrz na nowo rozpocząć moje śledztwo. W tym dniu byłem szczęśliwszy. Przypadkiem spotkałem znajomego mi służącego, zacząłem z nim rozmawiać; w tej chwili zbliżył się do nas jego przyjaciel, który mu oświadczył, że oddalony został ze służby don Józefa Pacheco, ojca don Luis'a, posadzono go bowiem, że wypił kwartę wina z piwnicy pańskiej. Nie pominąłem tak pięknej sposobności, by się wywiedzieć o wszystkim, czego pragnąłem: przez moje pytania tyle wyciągnąłem, iż wracając do mieszkania, byłem bardzo uradowany, że dotrzymałem słowa danego mojej pani. Zaraz następnęj nocy, miałem się z nią widzieć, o tejże godzinie i w tym samym sposobie jak pierwej. Tego wieczoru nie byłem tak niespokojny jak dawniej, zamias, niecierpliwie się opowiadać mego starego pana, sam go naprowadziłem na wojenne wyprawy. Czekałem północy jak najspokojniej, i do ogrodu wyszedłem dopiero wtedy, gdy już dwunastą słyszał na kilku zegarach; teraz nie potrzebowaliśmy wcale ani pomady, ani pachnidła, i w tём się także poprawiłem.

W miejscu umówionem zastałem już arcywierną ochmistrzynię, która mi uszczypliwie wyawiała moję opieszalność. Nie odezwałem się do niej wcale, poszedłem prosto do pokoju Aurory, która niecierpliwie pytała się, czybym zasięgnął wiadomości o don Luis'ie, i czy wiele mam jej do powiedzenia. — Tak jest, pani, rzekłem, potrafię zaspokoić jej ciekawość. Naprzód muszę powiedzieć, że jest na wyjeździe do Salamanki dla dokończenia nauk. Jestło młodzieniec, jak mnie zapewniano, pełen honoru i uczelności. Co się tyczy odwagi, tём mu zapewne nie braknie, skoro jest szlachcicem i Kastyljaninem. Przy tём wszystkim ma wiele dowcipu, w pospolitem obejściu nader miły, ale może to nie przypadnie do smaku pani, czego przecież zataić nie mogę, że trochę zawiele ma natury pańskiej; jest djabelnie rozwiązły. Więdz pani, iż w tak młodym wieku, a już miał w dzierzawie dwie komedyantki! — Cóż to mi prawisz? przerwała Aurora; co za obyczaj! Lecz jesteż pewny Gil Blasie, że on wieździe życie tak rozpustne? — Oh pani! nie wątpię wcale, odpowiedziałem. Służący, którego dziś rano odprawiono, opowiedział mi wszystko, a służący są bardzo szderymi, skoro sobie opowiadają narowy swoich panów. Prócz tego don Luis oczęszcza do don Alexo Seglar, don Antonio Centelles, i do don Fernando de Gamba; to samo, jasno wykazuje jego rozpasanie. — Dostyc tego, Gil Blas, rzekła pani, głęboko westchnąwszy; na zasadzie twojego opowiadania, chcę zwałczyć miłość niegodną. A lubo już silnie rozkrzewiła się w mem sercu, nie tracę atoli nadziei, że ją potrafię wyrugować. Idź, mówiła dalej, podając mi saktiewkę niepróżną, oto masz wynagrodzenie za twoje zabiegi. Strzeż się objawić tój tajemnicy; pomnij, żem ją powierzyła twojej delikatności.

Zapewniłem moję panię, że byłem Harpokratesem między służącymi powiernikami, że pod tym względem może być zupełnie spokojną. Po złożeniu takowego zaręczenia, wyszedłem, ciekawy nieslychaniem, ile tём mogło się znajdować w saktiewce. Naliczyłem w niej dwadzieścia ludorów. Pomyśliłem zaraz, że Aurora byłaby mi daleko więcej dała, gdybym jej przyniósł wiadomość miłą, skoro tak dobrze wynagrodziła doniesienie zgryźliwe. Żalowałem, żem nie nasładował protokolistów, którzy częstokroć barwią prawdę w wywodach słownych. Gnięwałem się sam na siebie, żem w samym zarodzie zniszczył załoty, mogące mi być z czasem bardzo użyteczne, gdybym był nie szukał głupiej chluby szderyści. Pocieszałem się przynajmniej, ujrawszy wynagrodzenie za niestosowne wydatki na pomadę i wonności.

ROZDZIAŁ III.

O wielkiej zmianie u don Vincentego, i dziwnym zamiarze Aurory.

Niedługo po tём zdarzeniu, don Vincente zasłabł, i gdyby nawet nie wiek jego podeszły, to same zjawiska choroby zda-

ły się tak gwałtowne, iż lękać się o niego należało. W samym początku choroby, wezwano natychmiast dwóch najslawniejszych lekarzy ze stolicy. Jeden z nich zwał się Dr. Andros, a drugi Dr. Orquetos. Oba badali chorego z wszelką ścisłością, a po dokładnem rozważeniu objawów choroby, oba zgodzili się na jedno, że jest zapalne wzburzenie humorów, ale w tém tylko jedynie byli oba zgodni. Co do środków leczenia, jeden radził przeczyszczenie natychmiast, drugi sądził, że jeszcze z przeczyszczeniem wstrzymać się należy. Andros utrzymywał, że trzeba spieszyć się z przeczyszczeniem humorów chociaż jeszcze surowych, a to właśnie gdy są w gwałtowném poruszeniu przyplwy i odpływu, z obawy, by się nie rzuciły gdzie na jaką część szlachetną. Orquitos przeciwnie twierdził, iż należy czekać póki humory nie wysmażą się, a potem dopiero zacząć przeczyszczenie. — Ależ metoda paua, rzekł pierwszy, jest wbrew przeciwna zasadom księcia medycyny. Hipokrates każe przeczyszczać w najzapaleńszych febrach, i to zaraz w pierwszych dniach, i wyraził się, że wypada spieszyć się z przeczyszczeniem, kiedy humory są w stanie *orgasmu*, to jest wzburzenia gwałtownego. — Otóż to właśnie, w tém się pan mylisz, odpowiedział Orquetos; Hipokrates przez *orgasm*, nie rozumie gwałtownego wzburzenia, ale raczej silne wrzenie humorów.



Aurora.

Wśród takiej rozprawy, nasi panowie doktorzy zapalają się; jeden przytacza text grecki, i wymienia wszystkich autorów, którzy go według jego myśli tłumaczyli; drugi, polegając na tłumaczeniu łacińskiem, huczniej zdanie swoje głosi. Któremuż tu z nich wierzyć? Don Vincente nie był w stanie rozstrzygnąć pytania. Gdy wszakże ujrzał się zmuszony wybierać jednego z dwóch, dał pierwszeństwo temu, który już więcej chorych wyprawił, przez to chciałem powiedzieć, starszemu wiekiem. Natychmiast Andros, jako młodszy, oddalił się, rzuciwszy kilka szyderczych wyrażeń o *orgasmie*. Tak więc Orquetos triumfuje. Że się trzymał tych samych zasad co doktor Sangrado, zaczął więc leczenie od obfitego upuszczenia krwi, czekając z przeczyszczeniem, póki się humory nie dosmażyły. Ale śmierć, lękając się bez wątpienia, aby przeczyszczenie tak mądrze odwołane, nie wydarło jej gotowej zdobyczy, uprzedziła smażenie humorów, i pana mojego zabrała ze świata. Taki był koniec pana mojego don Vincente, który utracił życie dlatego, że lekarz jego nie umiał po grecku.

Aurora, wyprawivszy ojcu pogrzeb z okazałością, stanowi jego odpowiednią, objęła zarząd dóbr. Zostawszy panią swojej

woll, odprawiła kilku służących, dawszy im wynagrodzenie odpowiednie ich zasługom, i zajęła mieszkanie w pałacu nad brzegami Tagu, między Sacedon i Buendia położonym. Ja należałem do liczby tych, których zatrzymała, i którzy z nią udali się na wieś; co większa, dostąpiłem szczęścia być dla niej niezbędnym. Pomimo rzetelnego sprawozdania o don Luis, jakie jej złożyłem, ona przecież kochała tego panicza, czyli raczej nie mogąc sflumieć téj miłości, zdała się na jej łaskę. Już wtedy nie potrzebowała ostrożności, aby mówić ze mną samą na sam. — Gil Blasie, rzekła raz do mnie wdychając, nie mogę zapomnieć don Luis'a; jakkolwiek usiłuję wygluzować go z mojej pamięci, zawsze przecież jest obecny mojej myśli; ale nie taki rozwiążył, jak mi go odmalowałeś, lecz taki, jakiego bym pragnęła go mieć, czuły, rozkochany, stały. Rozrzewniona temi wyrazy, uroniła kilka łez. O mało i ja się nie rozplakałem, tak miłe były jej wzruszyły. Nie mogłem jej lepiej się przypodobać, jak okazując społecznosc w jej cierpieniach. — Mój przyjacielu, mówiła dalej, otarłszy piękne oczy, widzę, że jesteś kłkliwej natury, cieszy mnie twoja gorliwość, zapewniam cię, że ją potrafię wynagrodzić. Pomoc twoja, mój drogi Gil Blasie, jest mi teraz potrzebniejszą, niż kiedykolwiek. Muszę ci objawić mój zamiar, który ci się zapewne dziwnym wyda. Więdz, że chcę wkrótce udać się do Salamanki. Tam myślę przebrać się za mężczyznę, i pod imieniem don Felixa, zabrać znajomość z don Pacheco; starać się będę pozyskać jego przyjaźń i zaufanie; będę mu często mówiła o Aurorze de Guzman, mieniąc się jej krewnym. Może zechce ją widzieć, i tego ja właśnie pragnę. Będziemy mieli dwa pomieszkania w Salamance; w jednym z nich będę don Felixem, w drugim Aurorą, a przedstawiając się oczom don Luis'a, to przebrana za mężczyznę, to we właściwym ubiorze, mam nadzieję, że go doprowadzę do zamierzonego celu. Zgadza się na to, że pomysł mój jest zuchwały, lecz namiętność unosi mnie, a niewinność moich zamiarów odurza mnie na drodze, którą się puścić odważam.

Podzielałem zdanie Aurory, co do natury jej przedsięwzięcia; zdało mi się waryackie. Ztémwszystkiem, chociaż uważałem je za wcale nierozsądne, wystrzegalem się atoli tonu naucielskiego. Owszem, zabrałem się do złozenia téj pigułki, zamierzvwszy dowieść, że szalony ten zamiar, był w istocie miłą igraszką dowcipu, bez żadnych następstw. Nie pamiętam już teraz, co mogłem przytoczyć na poparcie mojego twierdzenia, to tylko pewna, że jej się podobało moje rozumowanie, boć rozkochani lubią, żeby im przytakiwać w najszałniejszych wybrkach. Odtąd więc, płochy ten pomysł, uważaliśmy za prostą komedią, której wypadła tylko przyzwoite urządzić wystawienie. Aktorów wybraliśmy spośród służących, rozdaliśmy im role, a to wszystko bez wrzasków i swarów, bośmy przecie nie byli komedyantami z powołania. Stało, że pan Ortiz przedstawi ciotkę Aurory, pod imieniem dony Ximeny de Guzman; będzie miała kamerdyvera i pokojówkę; Aurora przebrana za mężczyznę, weźmie za kamerdynera mnie, a jedna z jej kobiet przemieniona w pania, będzie do jej usług szczególnych. Tak urządziwszy osoby, pospieszyliśmy do Madrytu, i dowiedzieliśmy się, że don Luis jest jeszcze wprawdzie w stolicy, ale wkrótce wyjedzie do Salamanki. Kazaliśmy cichaczem porobić potrzebne ubiory. Skoro zostały wykonane, pani moja poleciła ich zapakowanie, bo ma się rozumieć, że dopiero na miejscu i w czasie stosownym, mieliśmy je przywdziać. Poczém zostawivszy zarząd domu swojemu zawiadowcy, siadła do powozu czterema mułami zaprzęzonego, i puściła się drogą do królestwa Leonu, że wszystkiemi służącymi, którzy do przedstawienia téj krotchwilii należeć mieli.

Jużemy przebyli Kastylią starą, gdy oś u powozu pękła. Było to między Avila i Villafior, o trzy lub cztery sta kroków od zamku, który widać było u stóp góry. Noc się zbliżała, byliśmy w przykrém położeniu. Trafem, przechodził koło nas wieśniak, który namulzył trudu, sam nie poniosłszy żadnego. Powiedział nam, że zamek blizki należy do dony Elwiry, wdowy po don Pedro de Pinares; tyle nam dobrego nagadał o téj pani, że Aurora posłała mnie do zamku z prośbą, o pozwolenie przepę-

dzenia tej nocy. Elwira okazała się zupełnie taką, jak ją nam wieśniak przedstawił; prawda, że i ja wywiązałem się z polecenia w sposób zdolny nakłonić ją do przyjęcia nas, choćby nawet z natury nie była tyle uprzejmą; przyjęła mnie mile, i na grzeczność moją odpowiedziała w wyrazach, przezemnie pożądanym. Udaliśmy się więc do zamku, dokąd moły zwolna zawlokły powóz. We drzwiach spotkaliśmy wdowę don Pedra, spieszącą na przyjęcie mojej pani. Pomijam wzajemne grzeczności z tego powodu, to tylko dodam, że Elwira była kobieta w wieku umiejąca dopełnić obowiązków gościnności, lepiej niż wszystkie damy wielkiego świata. Zaprowadziła Aurorę do pokojów przepysznych, zostawiła ją tam, aby wypożyczała, sama zaś zajęła się najdrobniejszymi szczegółami naszej wygody. Kiedy wieczera była gotowa, kazała ją zastawić w pokoju Aurory, i obie zasiadły do stołu. Wdowa don Pedra nie była z liczby tych osób, które nie umieją uprzyjemnić uczy, przybierając postawę zadumaną a minę kwaśną. Była ona wesołego humoru, przyjemną toczyła rozmowę. Wyrażenie jej było szlachetne i miłe, zdumiewałem się nad jej dowcipem i trafnymi zwrotami myśli. Aurora zdawała się równie jak ja zachwyconą. Zawiązały między sobą przyjazne stosunki, i przyrzekły sobie nawzajem utrzymywać je przez listy. Ponieważ powóz nasz dopiero nazajutrz mógł być naprawiony, i to jeszcze tak, że się zanosilo na późny dosyć odjazd, zgodziły się włąć panie, żeśmy jutrzejszy cały dzień mieli przepędzić w zamku. Z kolei nam także zastawiono mięsa aż do zbytku, a nocleg mieliśmy nie gorszy od uczy.

Nazajutrz pani moja, nową znalazła przyjemność w rozmowie z Elwirą. Obiad jadły w wielkiej sali, w której było kilka obrazów. Między nimi jeden szczególnie odznaczał się przepięknym wydanem osób, ale przedstawiał coś bardzo tragicznego. Jakiś młodzieniec nieżywy, na wznak rozciągnięty, krwią własną zboczony, ale choć martwy, groźne jednak miał oblicze. Obok niego odmalowana była młoda kobieta, i choć także rozciągnięta na ziemi, ale w innym sposobie. Miecz tkwił w jej łonie, ostatnie zdawała się wydawać technienie, gasnące oko zwracała na młodego człowieka obok stojącego, którego sroga boleść ścisłała na widok tej straty. Malarz pomieścił jeszcze na tym obrazie figurę, która nie uszła mojej baczości. Był to starzec poważny, tknięty do żywego przedmiotami, które wzrok jego razily, nie mniej rozrzewnionym się zdawał jak ów młody człowiek. Rzekłbyś, że te krwawe przedmioty obu zarówno srogo dotykają, lecz wrazenie na każdym z nich inaczej się objawia. Starzec w głębokim pogrążony smutku, zdaje się być nim przyćmięty; twarz młodego człowieka objawiała gniew zaciekle z boleścią zmieszany. Wszystko to z tak silnym wyrazem oddane było, żeśmy nie mogli oczu oderwać od tego obrazu. Pani moja zapytała się, co by to za historia smętna odmalowana była.—Pani, rzekła Elwira, jest to wierny obraz nieszczęście mojej rodziny. Ta odpowiedź tak zaostrzyła ciekawość Aurory, iż koniecznie pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej, i póty nalegała, aż Elwira ujrzała się zmuszoną do jej zaspokojenia. Obietnica dopełnienia tego, dana była w obec pani Ortiz, dwóch jej towarzyszek i mnie, co skłoniło nas wszystkich czworo do pozostania w sali po obiedzie. Pani moja chciała nas usunąć, ale Elwira widząc, jak gorąco pragniemy słuchać objaśnień tego obrazu, zatrzymała nas mówiąc, że przygoda, którą ma opowiedzieć nie należy do rzędu tych, które wymagają tajemnicy. Wkrótce po tem, zaczęła swoje opowiadanie w ten sposób.

ROZDZIAŁ IV.

Małżeństwo przez zemstę.

Roger król Sycylii, miał brata i siostrę. Ten brat imieniem Manfred, zbuntował się przeciw niemu, i zapalił wojnę krwawą i niebezpieczną; szczęście mu jednak nie sprzyjało, przegrał dwie bitwy i wpadł w ręce króla, który na ukaranie buntownika odjął mu wolność, nie chcąc odbierać życia. Ta atoli łaskawość, nie zastroniła króla od niechęci nie małej liczby poddanych, którzy właśnie dlatego nazywali go barbarzyńcą; mówiąc,

że darował życie bratu, aby mieć pociechę zemsty powolnej i nieludzkiej. Byli przecież i tacy, którzy z większą słusnością surowe obchodzenie się z Manfredem przypisywali siostrze jego Matyldzie. W istocie księżniczka ta oddawna nienawidziła brata, nie przestała go ścigać póki tylko żył. Umarła wkrótce po nim, a lud popolicie zgon jej uważał jako karę niebios za jej wyrodne uczucia.

Manfred zostawił dwóch synów w dzieciuym jeszcze wieku. Roger powziął zamiar pozbycia się ich, a to z obawy, aby doszedłszy pewnego wieku, nie chcieli mścić się za ojca, i nie podźwignęli stronnictwa, dość jeszcze silnego do zakłócenia państwa. Myśl swoją objawił senatorowi Leontio Siffredi, ministrowi swojemu. Ten nie tylko nie pochwalił zamiaru, ale nadto, żeby tem skuteczniej odwrócić króla od spełnienia jego przedsięwzięcia, podjął się wychowania księcia Enrique, starszego, radząc, aby młodszego don Pedro, powierzył staranóm Konetabla Sycylii. Roger przekonany, że synowcowie jego pod okiem takich mężów i wychowani zostaną w uległości, jaką mu winni, powierzył im ich wychowanie, sam zaś zajął się powstrzymaniem swoją Konstancją. Była to córka jedyna księżnej Matyldy, w tym samym wieku co Enrique. Król wybrał dla niej ochmistrzynię i nauczycieli, i nie żałował kosztu na jej wychowanie.



Don Gonzalve i hrabia Asumar.

Leontio Siffredi miał pałac w Belmonte, o małą milę od Palermo. Tam właśnie minister ten zajął się szczerze usposobieniem księcia Enrique, do godnego z czasem piastowania króla Sycylijskiego. Zaraz w pierwszych chwilach ujrzał w nim przymioty tak miłe, iż się przywiązał do niego, jak gdyby własnych nie miał dzieci, a przecież miał dwie córki. Starsza imieniem Blanka, o rok młodsza od księcia, była cudnej urody; młodsza nazwana Porcia, urodzeniem swoim spowodowała śmierć matki, była jeszcze w kolebce. Blanka i książę Enrique, powzięli wzajemną ku sobie miłość; skoro doszli wieku, w którym zdolni byli kochać; ale nie mogli rozmawiać z sobą na osobności. Książę jednak kiedy niekiedy potrafił znaleźć sposobność do tego; z tej zaś umiał tak dobrze korzystać, że wyjednał u córki ministra przyzwolenie na wykonanie zamiaru, który powziął. Właśnie podówczas zdarzyło się, że Siffredi z rozkazu króla zmuszony był udać się do prowincji najodleglejszej na wyspie. W czasie jego niebytności, Enrique kazał wybić otwór w murze oddzielającym go od pomieszkania Blanki. Ten otwór zasłonięty został ścianą z drzewa, otwierającą się i zamykającą, lecz

tak szelnie połączoną z lamperjami, iż najbystrzejsze oko niezdołne było dostrzedz tego przebiegu. Doskonały budowniczy, którego książę pozyskał, wykonał to dzieło z największym stantem i tajemnicą.

Zakochany Enrique tym sposobem dostawał się do pokoju Blanki, nie nadużywając wszakże jej przywiązania. Jeżeli dosyć nieroztropności okazała pozwalając na wejście potajemne, tedy przynajmniej nie zrobiła tego, póki jej książę nie złożył najuroczystsze zaręczenia, że nie będzie niczego od niej żądał, że poprzestanie na objawach najniewinniejszej miłości. Pewnie nocy zastał ją bardzo niespokojną: dowiedziała się bowiem, że Roger był bardzo chory, że wezwał ojca jej Siffredi, jako wielkiego kanclerza królestwa, aby złożyć w ręce jego ostatnią swoją wolę. Wystawiła sobie natychmiast drogę jej Enrique na tronie: a lękając się straty jego na tak wysokim stopniu, silnego doznała wzruszenia. Książę stanąwszy przed nią ujrzał łzy w jej oczach.—Placzesz pani, odezwał się do niej, zkładając ten smutek, w którym ją pogrążona widzisz?—Panie, odpowiedziała mu Blanka, nie mam powodu tania przed tobą mojej trwogi: król stryj twój wkrótce dokonaj życia, a ty panie zajmiesz jego miejsce. Kiedy pomyślę jak wielki przedział otworzy między nami to twoje wywyższenie, nie mogę się obronić niespokojności. Monarcha innem na rzecz spogląda okiem, nie tém co kochanek: a to co było jego jedynym życzeniem wtedy, gdy jeszcze wyższą nad sobą uznawał władzę, ledwie słabo go zajmować będzie na tronie. Czy to przecucie, czy rozsądek obudza w sercu mojem jakieś wzruszenie, którego uspokoić nie może całe zaufanie jakie w dobroci twojej pokładam. Nie powątpiewam bynajmniej o stałości nczu ci twoich, ale nie ufam szczęściu mojemu.—Czeigodna Blanko, odpowiedział książę, obawa twoja jakże jest ujmująca, usprawiedliwia ona moje przywiązanie do ciebie; ale za daleko posunięta nienfność obraża moją miłość, a nawet, jeżeli tak rzec mogę, szacunek jakiś mi winna. Nie, nie myśl o tém aby losy nasze miały być zmienne; bądź przekonana, że ty jedna stanowić będziesz na zawsze moją pociechę i szczęście. Porzuc więc czcze obawy, godzi się, aby one miały zatruwać chwile tak rozkoszne?—Ah panie, odezwała się znowu córka Siffredi, gdy koroną uwieńczysz swoje skronie, poddani twoi mogą żądać królowej ze starożytnego rodu królów, z którą świetne związki nowemi posiadłościami pomnożyłyby państwo twoje, i może, niestety! spełnisz ich życzenia, nawet kosztem najśrodszych twoich uczuć.—Dlaczegoż tak pochopna do dręczenia się, masz sobie tworzyć tak smutny obraz przyszłości? Jeżeli niebo rozporządzi królem, stryjem moim, i poruczy mi berło Sycylii, przysięgam że ci się oddam w Palermo w przytomności całego dworu. Świadcze się wszystkiem, cokolwiek jest najświętszém między nami.

Zapewnienia Enrique uspokoiły nieco córkę Siffredego; rozmawiali potem o chorobie króla. Książę w tej chwili objawił wrodzoną sobie dobroć charakterem: ubolewał nad losem swojego stryja, choć nie miał wielkiego powodu do rozczulania się; a węzły pokrewieństwa tak silnie nim władały, że żałował księcia, którego śmierć otwierała mu drogę do tronu. Blanka nie znała jeszcze całego ogromu nieszczęścia, które jej zagrażało. Koncetabl sycylijski spotkawszy ją, gdy wychodził z pokoju jej ojca, dokąd go jakieś ważne sprawy państwa sprowadziły, mocno nią zajęty został. Zaraz nazajutrz prosił o jej rękę, a Siffredi mile przyjął żądanie; lecz choroba króla własnie pod tę porę przypadła, małżeństwo zostało w zawieszaniu, i Blanka przez ten czas nie o niem nie słyszała.

Pewnego poranku, gdy Enrique właśnie ubierał się, zdumiał się, widząc wchodzącego do pokoju Siffreda w towarzystwie Blanki.—Panie, rzekł minister, wiadomość, którą ci przynoszę, stanie się powodem twojego smutku, lecz pociecha, która jej towarzyszy, powinna miarkować boleść. Król, stryj twój, umarł; zostawia cię dziedzicem tronu. Sycylla jest ci uległa. Możni państwa czekają na twoje rozkazy w Palermo: polecili mi, abym je z ust twoich przyjął; przychodzę panie, z córką moją

złożyć ci najpiérwszy i najszczerzy hołd, jaki ci się należy, od twoich nowych poddanych. Książę wiedział, że król od dwóch już miesięcy złożony był chorobą, która go zwolna trawiła, dlatego niewiele był wzruszony tą nowiną. Złémwyszkieciem uderzony nagłą zmianą stanu, uczuł w sercu swoim jakieś niepojęte pomieszanie. Zamyślił się przez chwilę, potem przerywając milczenie, odezwał się do ministra w te słowa:—Czeigodny i świątły Siffredi, uważam cię zawsze za mojego ojca. Będę miał sobie za chlubę słuchać zawsze rady twojej, i ty raczj, nie ja, panować będziesz w Sycylii. To rzekłszy przystąpił do stołu, na którym stał kałamarz, wziął arkusz czystego papieru, i na dole podpisał swoje imię.—Cóż to ma znaczyć? rzekł Siffredi.—Chcę ci przez to wynurzyć moją wdzięczność i szacunek, odpowiedział Enrique. Następnie oddając tę kartę Blance, rzekł:—Przymj pani jako zadatek mojej włary i władzy jaką ci daję nad moimi uczuciami. Blanka przyjęła papier, oblana rumieńcem i taką księcin dała odpowiedź:—Panie, przyjmuję z uszanowaniem łaskę mojego króla; lecz ja zależę od mojego ojca, nie wezmiesz więc za złe w łasce swojej, że tę kartę złożę w jego ręce, aby jej użył, jak mu roztropność jego doradzi.

W istocie oddała ojen podpis Enrique. Wtedy Siffredi ujrzał to, co dotąd uchodziło przed jego przezornością. Przeniknął uczucia księcia i rzekł mu:—W. K. Mość nie znajdziesz powodu do czynienia mi wyrzutów.—Nie nadużyję tego zaufania... kochany Leontio, przerwał Enrique, nie lękaj się wcale nadużycia. Jakikolwiek użytek zrobisz z mojej karty, potwierdzę twoje rozporządzenia. Lecz wracaj, mówił dalej do Palermo, nakaz przygotowania do koronacyi, oświadczyć moim poddanym, że w też tropy za tobą pospieszę odebrać przysięgę ich wierności i zapewnić ich o mojem przywiązaniu. Minister posłuszny rozkazom nowego pana, udał się do Palermo wraz z córką swoją.

W kilka godzin później książę opuścił także Belmonte, bardziej zajęty miłością, niż tronem na który miał wstąpić. Skoro ujrano go wjeżdżającego do miasta, ze wszech stron ozwały się głosy radosne i okrzyki ludu towarzyszyły mu aż do pałacu, w którym wszystko już było gotowe do następnego obrzędu. Spotkał naprzód księżniczkę Konstancją w żałobném ubraniu. Zdawała się być mocno wzruszoną śmiercią Rogera. Ponieważ wypadało im nawzajem wynurzyć swoje uczucia z powodu zgonu monarchy, uczynili to z nadzwyczajną trafnością, chociaż w mowie i pornszeniach księcia więcej widać było oziębłości, księżna bowiem mimo niesnaski familijne nie mogła nienawidzić Enrique. Zajął miejsce na tronie, a księżna Konstancya usiadła na krześle niżej nieco ustawioném. Możni panowie zajęli także miejsca w porządku swoich godności. Obrzęd się rozpoczął: Leontio jako wielki kanclerz królestwa i powiernik ostatniej woli zmarłego króla, otworzył testament i czytać głośno począł. Treść tego aktu była, że Roger widząc się bezdzietnym, następcą swoim mianował starszego syna Manfreda, z warunkiem, że zaślubi księżniczkę Konstancją, jeżeliby zaś wzgardził jej ręką, wtedy korona Sycylii spada na głowę infantu don Pedro, brata jego, pod tymże warunkiem.

Słyszając to Enrique zmieszał się niesłychanie. Niespokojność opanowała jego umysł, która tém bardziej się wzmoęła, gdy Leontio skończywszy czytanie testamentu, odezwał się do zgromadzonych: panowie, gdym o ostatniej woli zmarłego króla zawiadomił naszego nowego monarchę, wspaniałomyślny ten książę postanowił zaszczycić swoją ręką księżniczkę Konstancją, swoją krewkę. Tu Enrique przerwał mowę kanclerza.—Leontio, rzekł mu; niezapominaj o karcie Blanki, którąś...—Panie, ozwał się szybko Siffredi, nie pozwalając księcin dokończyć, oto jest. Możni państwa, mówił dalej pokazując zgromadzonym pismo, ujrzą w niem, podpisem W. K. Mości stwierdzony szacunek, jaki masz dla księżniczki Konstancyi, równie jak uległość objawioną dla ostatniej woli zmarłego króla, stryja twojego.

To rzekłszy przeczytał pismo w treści jakąsam ułożył. Przec nie nowy monarcha w formie najuroczystszej przyrzekał lu-

dom swoim zaślubić księżniczkę Konstancyą, stosownie do woli zmarłego Rogera. W sali rozległy się okrzyki radości. Niech żyje wspaniałomyślny nasz król Enrique! wykrzyknęli jednoznacznie wszyscy obecni. Ponieważ znany był dobrze wstręt jaki książę objawiał ku księżniczce, nie bez powodu więc lękano się, aby sprzeciwiając się rozporządzeniom testamentu nie wywołał zamieszania w kraju; przeczytane więc pismo powyższe zaspokajając pod tym względem możnych panów i lud, wzniecało radość powszechną, wywołało okrzyki rozdzierające serce monarchy.

Konstancya, która w widoku chwały swojej i przez przywiązanie do księcia większy w tej radości miała udział, niż ktokolwiekbydz. uchwyciła tę porę dla wynurzenia mu uczuć wdzięczności. Książę mimo całe natężenie myślni, tak był zmieszany, iż nie potrafił odpowiedzieć księżniczce tak przynajmniej, jak prosta przyzwoitość wymagała. Wreszcie łamiąc przymus, który go dotąd krępował, zbliżył się do Siffredego, z obowiązkowo dostojnym swoim głosem. —Leontio, co robisz? pismo, które złożyłem w ręce córki twojej wcale nie do tego przeznaczone. Ty zdradzasz mnie....

—Panie, przerwał jeszcze raz Siffredi z powagą, pamiętaj o twojej sławie. Skoro nie zechcesz spełnić woli króla stryja twojego, utracisz koronę Sycylii. Kończąc te słowa oddalił się, aby nie dać królowi czasu do odpowiedzi. Enrique był niewymownie zmieszany, tysiączne uczucia wbrew sobie przeciwne mijały nim. Gniewał się na Siffredego, nie chciał opuścić Blanki: a wahał się między nią i interesem sławy swojej, nie wiedział co ma przedsięwziąć. Wreszcie mniemał iż wywalał środek zatrzymania córki Siffredego bez utraty korony, tego się więc stanowczo czepił. Udał, że chce się zastosować do woli stryja swojego, a gdy w Rzymie starać się będzie o dyspensę do zawarcia ślubów z siostrą ciotecznią, przez ten czas zabiegać nieomieszka o pozyskanie przychylności możnych, o utwierdzenie się na tronie tak, iżby nikt nie śmiał go zmuszać do spełnienia warunku testamentu.

Powziaszy ten zamiar, uspokoił się, a obracając się do Konstancyi potwierdził jej to, co kanclerz czytał w obec zgromadzenia. Lecz w chwili gdy jej zaręczał swoją wiarę, Blanka weszła do sali. Z rozkazu ojca przybywała złożyć hołd księżniczce, lecz przestąpiwszy próg ostatnie wyrazy księcia obliły się o jej uszy. Prócz tego Leontio nie chcąc zostawić jej najmniejszej wątpliwości o jej nieszczęściu, odezwał się przedstawiając ją Konstancyi: córko moja, złóż hołd królowej żyćz jej przyjemności świetnego panowania i szczęśliwego, w małżeństwie pożycia. Ten cios straszliwy znękał nieszczęsną Blankę. Naprózno siliła się ukryć swoją boleść: błądność śmiertelna i krwawy rumieniec błyskały naprzemiennie po jej twarzy, dreszcz zimny ogarnął całe ciało. Księżniczka niczego się nie domyślała, pomieszanie jej przypisywała trwożliwości młodej osoby wychowanej na ustroniu, nieobeznanej ze świetnością dworu. Nie tak myślał młody król: na widok Blanki stracił przytomność, a rozpacz, którą w jej oczach spostrzegł, wprawiła go w odurzenie. Nie wątpił, że sądząc z pozoru uważać go będzie za wiarogłomnego. Byłby zapewne nie tylko niespokojnym, gdyby mógł z nią pomówić; lecz jak dojść do tego, gdy cała Sycylia, że tak powiem, miała na niego oczy zwrócone? Prócz tego, srogi Siffredi odebrał mu wszelką nadzieję. Minister ten czytając w sereach kochanków, chciał zapobiedz nieszczęściom jakieby gwałtowna ich miłość mogła na kraj sprowadzić: dlatego zręcznie usunął córkę ze zgromadzenia i razem z nią udał się do Belmonte, postanowiwszy jak najprędzej wydać ją za mąż.

Przybywszy do pałacu swojego, przedstawił jej całą okropność jej przeznaczenia. Objawił jej wręcz, że ją przyrzekł w małżeństwo konetablowi. —O nieba! krzyknęła, nie mogąc powściągnąć wzruszenia, którego nawet obecność ojca hamować nie potrafiła; na jakąż okropną mękę przeznaczasz nieszczęśliwą Blankę! —Uniesienie jej było tak gwałtowne, że wszystkie władze jej duszy zachwiały się. Krew się jej ścięła, zi-

mba i blada padła omdlała na ręce ojca. Stan w jakim się znajdowała Blanka przeraził Siffredego. Ztémwszystkiem lubo silnie czuł jej udrczenie, jednakże w postanowieniu swoim był niezachwiany; Blanka odzyskała przytomność, ale raczej przez silne uczucie boleści, a nie od wody, którą jej twarz skrapiał ojciec; a gdy otwierając omdlałe oczy spostrzegła troskliwość ojca w niesieniu jej pomocy — Panie, rzekła głosem niemal nłknącym, wstydę się, żem ci objawiła moję słabość; lecz śmierzć, która niedługo położy kres mojemu udrczeniu, uwolni cię od nieszczęśliwej córki, która odważyła się rozporządzić sercem swoim bez wiedzy twojej. —Nie, kochana Blanko, odpowiedział Leontio, ty nie umrzesz, cnota weźmie górę nad umysłem twoim. Starania konetabla czynią ci zaszczyt; jestto mąż dla ciebie najgodniejszy w całym państwie... —Wysoko cenię jego osobę i zasługi, przerwała Blanka, ależ panie, król mi zrobił nadzieję... —Moja córko, przerwał następnie Siffredi, wiem wszystko cokolwiekbyś w tym względzie powiedzieć mogła. Nietajne mi jest twoje przywiązanie do tego księcia, nie ganilbym go wcale w innych okolicznościach. Widziałabyś mnie nawet gorliwym w zapewnieniu ci ręki Euriqua, gdyby interes jego sławy i państwa nie zmuszał go do ofiarowania jej Konstancyi. Pod warunkiem zaślubienia tej księżniczki zmarły król mianował go swoim następcą. Chceszże aby cię wyżęj cenil nad koronę sycylijską? Wierz mi, że równie jak ty boleję nad ciosem, który cię razi. Gdy atoli nie możemy walczyć z przeznaczeniem, zdobądź się na szlachetne wysilenie: idź w tém o twój honor, abyś nie objawiła światu, iż cię czeza nadzieja odurzała. Twoje przywiązanie do króla dać może powód do niekorzystnych o tobie wieści, jedynym zaś środkiem uchronienia się od nich, jest zaślubienie konetabla. Wreszcie, moja Blanko, nie ma nad czem rozmyślać. Król opuszcza cię, dla tronu zaślubia Konstancyą. Konetabl ma moje słowo: dotrzymaj go proszę cię; a jeżeli do skłonienia cię do tego potrzeba koniecznie abym użył moję powagi, rozkazuję ci....

Rzekłszy to, odszedł, zostawiając jej czas do namysłu nad tém co jej powiedział. Spodziewał się, że rozważywszy dobre powody, które jej przywiódł na wsparcie jej cnoty przeciw skłonnościom serca, sama się skłoni do oddania się konetablowi. Nie omylił się wcale, lecz ileżto kosztowało strokaną Blankę przyjęcie tego postanowienia! Była ona w stanie najgodniejszym połtowania. Boleść, która ją przejmowała, na myśl iż przeczucia jej o niewierności Euriqua ziściły się, że tracąc go zmuszoną będzie poświęcić się człowiekowi, którego kochać nie może, wszystko to dręczyło ją niesłychanie, i każda chwila nową dla niej stawała się katuszą. Jeżeli moje nieszczęście ma być nieochylnie, mówiła, jakżeż je znieść nie umierając? Nieszczęsna doło moja, pocóż karmiłaś mnie najłodsze mi nadziejami, aby teraz wtrocę w przepaść udrczenia? A ty wiarogłomy kochanku, innej się teraz poświęcasz, mnie dozonną przyrzekłszy wierność! Także to szybko zapomniawsz zaprzysiężonej mi wiary! Za karę uwiedzenia mojego, oby niebo zrzędziło, iżby łożo małżeńskie wiarogłomstwem twojem skalane, stało się dla ciebie źródłem zgryzot raczej, a nie rozkoszy! oby pieszczoty Konstancyi zatruwały niewierne serce twoje! oby małżeństwo stało się dla ciebie tak okropnem, jak moje jest dla mnie! Tak zdrajco, zaślubię konetabla, którego nie kocham, aby się zemścić nad sobą samą, aby się ukarać za fatalny wybór przedmiotn płochęj kamiętności. Ponieważ religia moja zabrania mi zamachu na życie własne, niech więc dui moje staną się tkaniną udrczeń i ułepokoju. Jeżeli zaś w sercu twojem pozostała jeszcze jaka iskierka miłości dla mnie, będzie to także zemsta nad tobą gdy w oczach twoich rzucę się w objęcia innego: a jeżeli już zupełnie zapomniawsz o mnie, Sycylia przynajmniej będzie się mogła poszczycić, że wydała kobietę, która sama się ukarała za to, że zbyt lekkomyślnie rozrzędziła sercem swoim.

W takim to stanie ta nieszczęsna ofiara miłości i obowiązku przepędziła noc całą poprzedzającą jej gody weselne z konetabłem. Nazajutrz Siffredi widząc ją gotową do spełnienia swoich życzeń, nie omieszkał korzystać z tak przyjaznej pory. Te-

goż samego dnia zaprosił konetabla do Belmonte i w cichości zaślubił ich w kaplicy zamkowej. Cóż to za okropny dzień dla Blanki! Nie dosyć, że się zrzekła korony, że utraciła ubóstwianego kochanka, że została żoną człowieka, którego nienawidziła; musiała jeszcze przymuszać się w obec męża najżywą ku niej palającego namiętnością a z natury zazdrosnego. Małżonek ten uniesiony radością z jej posiadania, bezustannie był u stóp jej. Nie zostawił jej tej nawet smutnej pociechy, by mogła lzy ronić nad swoim nieszczęściem. Skoro noc nadeszła, córka Siffredego uczuła podwójne udrczenie. Lecz cóż się z nią działo gdy służące rozebrawszy ją, zostawiły samą z konetablem! Z uszanowaniem zapytał się jej o przyczynę smutku, w jakim ją pograżono widział. Zmieszana pytaniem Blanki, odpowiedziała, że czuje się słabą. Mąż jej zrazu dał się nwieźć: ale niedługo był w błędzie. Będąc istotnie niespokojnym o stan zdrowia Blanki, nalegał na nią, żeby się położyła na spoczynek: te prośby jego źle pojęte, tak straszny obraz stawły jej przed oczy, iż nie mogąc już hamować się puściła wolny bieg łzom i jękom. Jakiżto widok dla człowieka, który się mniemał u kresu swoich życheń! Nie wątpił już, że smutek żony ma coś złowrogiego dla jego miłości. Choć wszakże to przekonanie przywiodło go do stanu równie oplakanego, jak ten w którym się znajdowała Blanka, dosyć przecie znalazł siły, dla ulajenia swojej podejrzliwości. Podwoił swoje nalegania, nie przestawał prosić jej by poszła do łóżka, zaręczając, iż nie przeszkodzi spoczynkowi jej, którego zdaje się potrzebować. Oświadczył nawet gotowość przywołania kobiet służących, jeżeliby sądziła iż ich obecność ulgę jej przyniesie. Blanka uspokojona obietnicą, powiedziała mu, że sen jedynie potrzebny jest dla niej w tej słabości. Udał, że jej wierzy i położyli się oboje do łóżka, w którym całą noc przepędzili, nie taką, jaką daje miłość małżonkom wzajemnie sobą zachwyconym.

Kiedy córka Siffredego w smutku pograżona była, konetabl łamał głowę nad wykryciem powodu, dla którego to małżeństwo było tak przykre. Domyślał się, że miał spółzawodnika; lecz gdy się pokusił o jego wykrycie, ginął w przypuszczeniach. W końcu to tylko wiedział, że był najnieczęśliwszym z ludzi. W takowym pasowaniu się już dwie trzecie części nocy przepędził, gdy w tym jakiś szmer oblił mu się o uszy. Zdumiał się słysząc kogoś cicho czołgającego się w pokoju. Zdało mu się że to jakieś złudzenie, bo przypomniał sobie, że sam zamknął drzwi po oddaleniu się służebnie Blanki. Odsunął zasłonę dla przekonania się naocznie o przyczynie szelestu; lecz światło pozostawione w kominku zgąsło, w tym usłyszał głos sflumony i słaby po kilkakroć wzywający Blanki. Wtedy zazdrosne podejrzenia doprowadziły go do wściekłości; narażony honor zmnszał go do wstania z łóżka, dla zapobieżenia hańbie, lub dla pomszczenia się za nią. Uchwycił za szpadę i postąpił w stronę, z której zdawał się głos wychodzić. Czując gołą szpadę zastawiającą się jego orężowi. Nacięra, tamto się cofa. Ściąga dalej, temczasem ścigany znika. Szuka po wszystkich kątach tego, który zdaje się uciekać przed nim, lecz nie może nic natrafić. Wstrzymuje się... słucha i już nic więcej nie słyszy. Co za czary! Zbliża się do drzwi w mniemaniu, że one ułatwią ucieczkę tajemnemu nieprzyjacielowi jego honoru, lecz tak były zamknięte na rygle, jak pierwéj. Nie mogąc pojąć tego zdarzenia wezwał służących, których łatwiej głos jego dojsć potrafił, a że sam drzwi otwierał stanął więc na straży, aby mu się nie wymknął ten, którego szukał.

Na powtórzone wołanie nadbiegli służący ze światłem. Wziął więc świecę i z gołą szpadą w ręku na nowo szukał po pokoju. Nikogo przecieź nie znalazł, ani nawet nie odkrył śladu tajemnego wejścia. Nie dojrzał drzwi skrytych, ani żadnego otworu, którymby się można było dostać do pokoju; a jednak nie mógł powątpiewać o swoim nieszczęściu. Dziwne myśli roily mu się w głowie. Udać się do Blanki; lecz ona zaudto była interesowaną w ukryciu prawdy, aby mógł się od niej spodziewać jakiegoś wyjaśnienia. Postanowił więc wynurzyć swoje uczucia Siffredemu, oddalwszy służących z oświadczeniem, iż zdało mu się że słyszał jakiś szelst w pokoju, a tem

czasem pokazało się, iż to było tylko przywidzenie. Spotkał teścia swojego wychodzącego z pokoju na odgłos wrzawy, którą posłyszał, opowiedział mu więc wszystko co się stało, lecz to opowiadanie objawiało wielkie jego wzruszenie i głęboki smutek.

Siffredl zdumiał się nad tem zdarzeniem. Jakkolwiek nie zdało mu się bardzo naturalném, wierzył jednak w jego rzeczywistość, a przypuszczając wszystko możliwe dla miłości króla, zmartwił się niesłychanie. Nie chcąc wszakże schlebiać podejrzliwości zazdrosnej swojego zięcia; wystawiał mu tonem stanowczym, że głos, który zdawał się słyszyć, spada, którą mu się zastawiano, były to czyste mary wyobraźni zbląkanéj uczuciem zazdrości; że niepodobna, aby ktokolwiek mógł wejść do pokoju jego córki; co się zaś tykoł smutku, jaki w niej spostrzegał, ten może być z powodu słabości; że honor nie może być odpowiedzialnym za niejakie usferki temperamentu; że zmiana stanu dziewicy przywykłej do życia ustronnego, wydanej niespodzianie człowiekowi, którego poznać i pokochać nie miała czas, mogła być przyczyną łez, wzdychań i tego udrczenia na które się użalała; że miłość w sercu szlachetnej dziewicy czas jedynie i zabiegł obudzają; zład więc zachęcał go, aby poskromiwszy własną niespokojność podwoił czulość i zaloty dla pozyskania przychylności Blanki; wreszcie prosił go, by wrócił do niej, pewny będąc, iż ta nieufność i to pomieszanie obrażają jej cnotę.

Konetabl słowa nie rzekł na dowody swojego teścia; czy sam nawierzył, że w tem pomieszaniu dowól w istocie uledez złudzeniu, czy też uznał za rzecz przyzwoitą udawać przekonaniego, zamiast potępiać przekonanie starca w zdarzeniu tak niepodobném do wiary. Wrócił do pokoju żony, położył się, szukając we śnie ulgi jakiejś w swoim udrczeniu. Blanka ze swojej strony, nieszczęsna Blanka, nie mniej była niespokojną; aż nadto dobrze słyszała ona to samo co jej małżonek, nie mogła uważać za złudzenie zdarzenia, którego powody i tajemnicę znała. Pojąc nie mogła jakim sposobem Enrique mógł odważyć się wejść do jej pokoju, przyrzekłszy nroczyćście wiarę Konstancyi. Zamiast cieszyć się tym postępkiem króla, i brać z niego niejaką otuchę, ona przeciwnie uważała go za nową zniechęcę i serce jej gniewem zawrzało.

Kiedy córka Siffredego uprzedzona przeciw młodemu królowi, uważała go za najgorszego z ludzi, nieszczęśliwy ten książę, więcej niż kiedykolwiek nią zajęty, pragnął jak najusilniej rozmówić się z nią, aby ją uspokoić co do pozorów, które go potępiały. Byłby w tym zamiarze weześniej przybył do Belmonte, gdyby mu sprawy państwa na to pozwoliły; lecz nie mógł wyrwać się ze dworu swojego weześniej jak w ową noc. Zaudto dobrze znał wszystkie zakąty w zamku w którym się wychował, bez trudności przeto dostał się do niego, tem bardziej, że miał przy sobie klucz od skrytych drzwi ogrodu. Tędy potrafił cichaczem wejść do swoich dawnych pokojów, a z nich do sypialni Blanki. Wystawic sobie, jakie musiało być zadziwienie księcia, skoro zastał w nim mężczyznę i uczuł szpadę naprzeciw swojej zastawioną. O mało co nie wybuchnął i w tej chwili nie ukarał zuchwalca, który świętokradzką rękę podniósł na swojego monarchę; lecz względność jaką obowiązany był zachować dla córki Siffredego, powściągnęła za pęd. Cofnął się tym samym sposobem, jakim przybył; i więcej jeszcze pomieszany jak pierwéj, wracał do Palermo. Przybył tam na kilka chwil przededniem i zamknął się w swoich pokojach. Wzruszenie nie pozwalało mu zasnąć. Myślił tylko o powrocie do Belmonte. Bezpieczeństwo jego, honor, a nadewszystko miłość, nie pozwalały mu puszczać w odłokę wyjaśnienia okoliczności tak strasznej przygody.

Skoro dniée poczęło, rozkazał natychmiast przygotować konie do łowów; pod pozorem tej zabawy, zapuścił się w lasy belmonckie ze swoimi strzelcami i kilką dworzanami. Przez niejakl czas postępował za ogarami dla ukrycia swojego zamiaru, lecz ujrzawszy, że wszyscy popędzili za psami, odstąpił się ode drugi, i sam jeden skierował się do zamku Siffredego. Znał dobrze wszystkie ścieżki w lesie, nie obawiał

się przeto zablakania, niecierpliwość zaś nie pozwalała mu oszczędzać konia, dlatego w mgnieniu oka przebiegł całą przestrzeń oddzielającą go od ukochanego przedmiotu. Rozmyślał właśnie nad wyznaczeniem powodu dosyć pozornego, aby sobie wyjednać rozmowę z Blanką, gdy przebiegając dróżkę wiodącą do jednej z bram zamkowego parku spostrzegł dwie kobiety rozmawiające pod drzewem. Nie wątpił, że to są kobiety z zamku, i dlatego uczuł jakieś wzruszenie; lecz wzruszenie to témbardzię się wzmogło, gdy kobiety zwróciły się na stronę, z kąd słyhać było tentent pędzącego konia, a on w jednej z nich poznał swoją drogą Blankę. Wymknęła się ona z zamku z Nisą, jedną ze swoich panien dworskich, którą największém darzyła zaufaniem, aby przynajmniej swobodnie mogła opłakiwać swoje nieszczęście.

W tę więc stronę popędził, i prawie rzucił się jęj do nóg, a widząc na jęj twarzy wyraz srogiego udręczenia, rozczulił się.—Piękna Blanko, rzekł, porzuć te udręczenia. Prawda, że pozory mogą mnie czynić winnym w oczach twoich, lecz skoro się dowiesz o zamiarze jaki powziąłem względem ciebie, to co możesz teraz uważać za występki, okaże ci się jako dowód mojej niewinności i największego przywiązania. Te wyrazy które w myśli Enriquego powinny były zlagodzić boleść Blanki, podwoiły je owszem. Chciała odpowiedzieć, lecz kłanie stłumiło jęj głos. Książę zdziwiony jęj udręceniem, rzekł: — Pan! niepotrafięś uśmierzyć twoich trosków? Jakiemż nieszczęściem utraciłem twoje zaufanie, ja co na niebezpieczeństwo narażam koronę a nawet i życie, aby ciebie otrzymać. Wtedy Blanka zdobywając się na ostateczne wysilenie, aby myśl swoję wynurzyć mogła, rzekła mu: — Panie, występujesz z obietnicami już nie w porę. Teraz nie już losu mojego złączyć z twoim nie zdoła. — Ah! Blanko, przerwał nagle Enrique, jakżeż to straszne z nst twoich słyshę wyrazy? Któż jest w stanie wydrzeć cię? Kto zechce narazić się na zawzięty gniew króla, który przedź całą Sycylią pożoga ogarnie, nim pozwoli na utratę najdroższych nadziei? — Cała twoja potęga, panie, odpowiedziała omdlałym głosem Blanka, jest słabą, na zerwanie tany, która nas rozdziela. Jestem żoną konetabla.

—Żoną konetabla! krzyknął książę, odskakując kilka kroków. Słowa więcej rzec ulę mógł, tak był rażony. Niespodzianym cłosem znękany, stracił siły. Padł u stóp drzewa w tyle stojącego. Był blady, drżący, bezsilny, oczy tylko miał otwarte, które wlepił w Blankę, jak gdyby jęj chciał wynurzyć, ile czuje nieszczęście, które mu objawiła. Ona ze swojej strony patrzyła na niego wzrokiem dającym mu do zrozumienia, że udręczenie jęj nie wiele się różniło od jego żalu; dwoje kochanków nieszczęśliwych spoglądało na siebie w milczeniu, w którym było coś okropnego. Wreszcie książę wracając do przytomności, zebrał całą odwagę swoję i rzekł: — Pani, cóżes zrobiła? zgnubiłaś mnie, zgnubiłaś siebie, przez swoję ławowierność.

Blanka tknęta wyrzutami księcia, wtedy gdy ona sądziła, że słusniejsze ma prawo do skarżenia się na niego, odezwała się: — Jaktó, panie, z wiarołomstwem łączysz jeszcze udawanie! cheeszże, abym fałsz zadała moim oczom i uszom, i mimo ich świadectwo, uważała cię za niewinnego? Nie, panie, wyznaję ci szczerze, że nie jestem wcale zdolną do podobnych wysileni rozsądku. — A jednakże ci świadkowie, tak wierni według twojego przekonania, mówił król, zawiadli się wcale. Owszem, oni pomogli do zdradzenia cię; i to nie mnieję jest pewne, że ja niewinny, jak to jest prawdą, że ty pan! jesteś żoną konetabla. — Jaktó panie, przerwała Blanka, toż ja nie słyshałam cię potwierdzającego Konstancyi ofiarę twojego serca i ręki? toż nie zapewniałeś możnych państwa, że spełnisz wolę zmarłego króla? a księżniczka czyż nie odebrała hołdu nowych poddanych twoich w charakterze królowej i małżonki księcia Enriquego? czy więc moje były zaczarowane? Powiedz raczej, wiarołomny, powiedz, żeś nie uważał za rzecz przyzwoitą, aby Blanka w sercu twojém, miała ważyć się z interesem tronu; a zamiast poniżyć się do udawania, czego już nie czujesz, czego może nigdy nie czuleś, przyznaj, że korona Sycylii zda-

ła ci sły pewniejszą w zwłazkach z Konstancyą, niżeli z córką Siffredego. Masz słusność panie, świetna korona równie nie była dla mnie właściwą, jak serce takiego księcia, jakim ty jesteś panie. Byłam dosć prózną i nierozważną, sięgając po jedno i po drugie; lecz do ciebie należało wyprowadzić mnie z błędu. Pamiętasz obawę o utratę ciebie, którą ci objawiła, która mi się zdała niewątpliwą prawie. Na cóż wtedy uspokajałeś mnie? Należałoż usuwać troski moje? Byłabym los raczej oskarżała, a nie ciebie, przynajmniej serce moje zatrzymałbyś na zawsze, nie przyjmując ręki, której nikt inny nie miałby ugdy. Teraz już nie czas do usprawiedliwian, jestem żoną konetabla; dla oszczędzenia dalszej rozmowy, która ubliża moję sławie, pozwól panie, że nie uchylając należnemu ci uszanowaniu, opuszczę księcia, którego otąd nie wolno mi słyhać.

Skończywszy to, oddaliła się z takim pośpiechem, na jaki tylko stan jęj obecny pozwalał. — Zatrzymaj się pan!, zawołał Enrique, nie przywódź do rozpacy księcia, skłonnniejszego do strzaskania tronu, który, jak mu zarzucasz, ma przynieść nad ciebie, niż do zaspokojenia oczekiwań swoich poddanych. — To poświęcenie wcale teraz bezużyteczne, odpowiedziała Blanka. Trzeba było mnie wyrwać z rąk konetabla pierwż, nim się tak szlachetne objawiło umiesienie. Ponieważ teraz nie jestem wolną, mało mnie obchodzi, czy Sycylia będzie w płomieniach, i komu oddasz swoję rękę. Jeżeli była dosć słabą, pozwalając na podchwycenie serca mojego, będę miała odwagę do stłumienia jego wzruszeń, i do okazania nowemu królowi Sycylii, że żona konetabla, przestała być kochanką księcia Enriquego. To mówiąc, zbliżała się do bramy parku, szybko ją przeszła wraz z Nisą, zamknęła za sobą, zostawiając księcia żalem ściśniętego. Wiadomość o zaślubieniu konetabla była dla niego ciosem, po którym przyjść do siebie nie mógł. — Niesprawiedliwa Blanko, zawołał, zapomniałaś o naszych zobowiązaniach! Mimo wzajemne przysięgi nasze, jesteśny rozłączeni! Nadzieja więc, jaką powziąłem, posiadania twoich wdzięków, była tylko marą uludną! Ah, sroga, jakże drogo teraz odpłacam tę szczęśliwą chwilę, w której przyjąłś oświadczenie mojej miłości.

Następnie obraz szczęścia spółzawodnika, stanął mu przed oczyma z najokropniejszemi objawami zazdrości; namiętność ta przez kilka chwil, tak owładnęła jego umysłem, iż gotów był zemścić swoję poświęć konetabla a nawet i Siffredego. Rozum przecież z wolna ostudził żar uniesienia. Jednakże niepodobieństwo wygluzowania z umysłu Blanki, przeświadczenia o jego niewierności, do rozpacy go przywodziło. Pochlebiał sobie, że potrafiłby zatrzeć te wrażenia, gdyby tylko mógł z nłą swobodnie rozmówić się, żeby dojść tego celu, uznał za rzecz niezbedną, usunąć konetabla, i postanowił więc go, jako podejzanego w stosunkach obecnych kraju. Wydał więc stosowny rozkaz kapitanowi swoję gwardyi, który natychmiast udał się do Belmonte, ujął konetabla w chwili zapadającej ciemności nocy, i zawiódł go do zamku w Palermo.

Zdarzenie to stało się przyczyną smutku i zamieszania w zamku Belmonte. Siffredi pojechał natychmiast, by zaręczyć królowi za niewinność konetabla, i przedstawić mu zgubne skutki takowego więzienia. Książę przewidując ten postępek ministra, a chcąc koniecznie zyskać swobodną rozmowę z Blanką przed uwolnieniem konetabla, wyraźnie zakazał, aby nikogo doń nie wpuszczano, aż do rana. Leontio wszakże, mimo ten zakaz potrafił znaleźć sposób dostania się do pokoju królewskiego. — Panie, rzekł stanawszy przed królem, jeżeli wolno jest poddaćmu, wternemu, skarżyć się na swojego władzcę, tedy ja przychodzę żalić się przed tobą panie, na ciebie. Co za zbrodnię popełnił mój zięć? W. K. Mość rozważyłżeś wieczną hańbę, którą rzucasz na moję rodzinę i następstwa więzienia; które może stać się przyczyną odstrzychnięcia od usług twoich osób, które najważniejsze godności w kraju piastują? — Mam skazówki niemyślne, odpowiedział król, że konetabl jest w porozumieniu występny z don Pedro. — Porozumienie występne; przerwał zdziwiony Leontio; ah Panie, nie wierz temu; wnodzą W. K. Mość. Zdrada nigdy nie miała wstępu do domu Siffredego, a dla

konetabla dosyć, że jest moim zięciem, aby był wolny od wszelkiego podejrzenia. Konetabl jest niewinnym, lecz widoki tajemne są pobudką jego uwięzienia.

—Ponieważ odzywasz się do mnie z otwartością, rzekł król, chcę więc pomówić z tobą w tym samym sposobie. Użalasz się na uwięzienie konetabla, a ja nie mamże powodu użalania się na twoje okrucieństwo? Ty, srogi Siffredzie odebrałeś mi spokojność mojej duszy, a przez twoje zabiegi usłużne przywiodłeś mnie do tego stanu, że zazdrościć muszę losu najnikczemniejszego z moich poddanych, bo nie wystawiaj sobie wcale, abym się zgadzał z twoimi widokami. Moje zaślubiny z Konstancją, są czeżem marzeniem...—Jakto! panie, przerwał z uniesieniem Leontio, mógłżebyś nie zaślubić księżniczki uczyniwszy jej tę słodką nadzieję w obliczu całego narodu!—Jeżeli zawiodę ich oczekiwania, mówił król, nie obwiniaj o to nikogo, tylko siebie. Na cóż przywiodłeś mnie do tej konieczności, że musiałem im przyrzekać to, czego spełnić nie mogłem? Co cię zobowiązywało do wpisania nazwiska Konstancji na karcie, którą dałem twojej córce? Nie tajna ci była myśl moja. Potrzebaż ci było dręczyć serce Blanki nakazując jej zaślubić człowieka, którego nie kochała? Jakież masz prawo do mojego serca, aby nim rozporządzać na korzyść księżniczki, którą nienawidzę? Zapomniałeś, że to jest córka tej, okrutnej Matyldy, która zdeptała prawa krwi i ludzkości, stała się przyczyną śmierci ojca mojego w twardych okowach? i ja mam ją zaślubić? Nie, Siffredi, porzuć tę nadzieję; pierwój nim ujrzyś zapaloną pochodnię tego okropnego hymenu, zobaczysz całą Sycylią w płomieniach i pola jej we krwi.

— Czy mnie słuch nie myli? zawołał Leontio. Ah, Panie, jakż mi obraz przedstawiasz! co za straszne groźby! Ależ to próżna frwoga moja, dodał, zmieniając ton, zanadto kochasz swoich poddanych, abys miał tak smutne gotować im przeznaczenie. Nie pozwoliś miłości góry brać nad twoim umysłem; nie zamiesz cnot swoich, wpadając w ułomności ludzi pospolicich. Jeżeli dałem córkę moją konetablowi, to zrobiłem Panie dlatego, aby ci pozyskać walecznego sługę, któryby własnym ramieniem i wojska, którym rozporządza, utrzymał twoje prawa naprzeciw roszczeniom don Pedra. Mniemałem, że łącząc go z moją rodziną węzłami tak ścisłymi...—Ha! właśnie te węzły, te nieszczęsne węzły mnie zgubiły! Okrutny przyjacielu, dla czegoż zadałeś mi cios tak straszny? Miałeś polecenie moje czynić zabiegi około moich interesów kosztem serca mojego? Czemuż nie zostawiłeś mi swobody, abym sam praw swoich bronił! Alboż mi braknie odwagi do poskromienia tych, którzyby się opierać śmieli! Wiem, że królowie nie powinni być tyranami, że szczęście poddanych jest ich powinnością; to mająż przeto być niewolnikami swoich poddanych? Od chwili, w której niebo powołało ich do rządu, mająż tracić prawo rozrządzenia uczuciami, które natura wszystkim ludziom udziela. Jeżeli nie mogą ich używać, tak jak najniżsi z ludzi, odbieraj Siffredi to wszechwładztwo, któreś mi chciał zapewnić kosztem mojej spokojności.

Nie może ci być tajno panie, odezwał się minister, że do zaślubienia księżniczki, zmarły król, twój stryj, przywłażał następstwo tronu. A jakież prawo, odpowiedział Enrique, miał on do podobnego rozporządzenia. Czy tak niegodny warunek odebrał od króla Karola, swojego brata, gdy po nim następował? Należałoż ci być tyle słabym, żeby przyjmować zobowiązanie tak niesłuszne? Jako wielki kanclerz, mało jesteś obeznany z naszymi zwyczajami. Słowem, przyrzekając rękę księżniczce Konstancji, zobowiązanie moje nie było dobrowolne. Nie myślę dotrzymywać mojej obietnicy; a jeżeli don Pedro zechce na tym gruntować swoje roszczenia do tronu, nie mieszając ludu do sporu, któryby wiele krwi kosztował, szabla stanowić może, który z nas dwóch godniejszy panowania. „Leontio nie śmiał dłużej nastawać, skończył więc prosząc na klęczkach o wyzwolenie konetabla.—Wracaj do Belmonte, rzekł mu król, konetabl wkrótce za tobą przybędzie.” Minister wyszedł i wrócił do Belmonte, w przekonaniu, że zięć w też tropy za nim po-

śpieszy. Zawiodł się. Enrique chciał tej nocy widzieć się z Blanką i w tym celu wyzwolenie jej męża odłożył do rana.

Przez ten czas konetabla przykre zajmowały rozmyślania. Uwłczenie jego otworzyło mu oczy, ujrzał istotną przyczynę swojego nieszczęścia. Puścił wodze zazdrości i wbrew wierności którą się dotąd zalecał, samą zemstą odtąd pałał. Pewny będąc, że król tej nocy widzieć zechce Blankę; aby ich oboje podchwycić, prosił dowódcę zamku palermitańskiego, aby mu pozwolił wyjść z turmy, zaręczając, że wróci do niej nazajutrz przededniem. Dowódzca konetablowi całkiem poświęcony, tem łatwiej na to zezwolił, że wiedział, iż Siffredi uzyskał jego wyzwolenie, nawet kazał mu dać konia, aby się udał do Belmonte. Konetabl przybywszy do zamku, przywiązał konia do drzewa, wszedł do parku drzewczkami od których miał klucz i szczęśliwie wsunął się do zamku niepostrzeżony od nikogo. Dostawszy się do pokojów swojej żony skrył się w przedpokoju za parawanem, który mu się nastrezył. Postanowił z tego posterunku uważać wszystko co zajdzie, wpaść nagłe do pokoju Blanki, skoro w nim jakiś głos usłyszy. Widział wychodzącą Nisę, która się udawała do swojego gabinetu, w którym sy-piała.

Córka Siffredego, która bez trudności odgadnęła powody uwięzienia swojego męża, pewna była, że nie wróci tej nocy do Belmonte, chociaż ojciec jej powiedział, że król zapewnił go, iż konetabl zaraz za nim pojedzie. Nie wątpiła bynajmniej, że Enrique chciał korzystać z okoliczności, by z nią rozmówić się swobodnie. W tej myśli oczekiwała księcia, aby mu ostro przedstawić postępek jego, który mógłby mieć straszliwe dla niej skutki. W rzeczy samej wkrótce po oddaleniu się Nisy, skryte drzwi otwarły się i król rzucił się do stóp Blanki.—Panie, rzekł jej, nie potępiaj mnie nie wysłuchawszy. Jeżeliś kazał uwieźć konetabla, rozważ, iż to był jedyny środek, zostający mi do usprawiedliwienia się; winę zatem tego podstępu sobie samęj przypisz. Dlaczegoż dziś rano nie chciałaś mnie wysłuchać? Niestety! jutro mąż twój będzie wolny, i odtąd już nie będę mógł z tobą rozmawiać. Słuchaj mnie więc po raz ostatni. Jeżeli utrała ciebie czyni mój los oplakany, pozwól mi przynajmniej tej smutnej pociechy, abym ci oświadczył, że nieszczęście to ściągnąłem na siebie nie przez wiarołomstwo. Jeżeli potwierdziłem Konstancji dar mojej ręki, to jedynie dlatego, że nie mogłem uniknąć tej konieczności w położeniu do jakiego mnie przywiódł twój ojciec. Trzeba było mieć księżniczkę w twoim i moim interesie, aby ci zapewnić koronę i rękę kochanka. Miałem nadzieję, że mi się to uda; już przedsięwziąłem środki dla zerwania zobowiązań, lecz tyś popsukała moje dzieło, a rozporządzając lekkomyślnie swoją osobą, zgotowałaś do zgony boleść dwom sercom, którym doskonała miłość stała szczęście zapewniała.

Skończył te wyrazy z oznakami prawdziwój rozpaczey, tak że Blanką została tem silnie wzruszoną. Nie wątpiła już o jego niewinności; z początku ucieszyła się tem, lecz następnie uczucie nieszczęścia tem silniej ją ogarnęło.— Ah, panie, rzekła do księcia, po tem jak los rozporządził nami, sprawiasz mi boleść niewymowną, objawiając mi, żeś był niewinny. Cóżem zrobiła? nieszczęśliwa! uczuciem niechęci uwiedziona, sądziłam się opuszczoną i na przekórę przyjąłem rękę konetabla, którą mi ojciec podał; a ja jestem występna i sprawczynią naszego nieszczęścia. Niestety! w chwili gdy cię oskarżała o zawód, ja sama zbyt łatwowierna kochanka, targałam te węzły, których dozgonną trwałość zaprzysięgałam! Panie, teraz na ciebie kolej zemsty. Wzgardzaj niewdzięczną Blanką... zapomnij...—Panie, przerwał smutno Enrique, mogąż to uczynić! jakż jest sposób wyrugowania z serca namiętności, której nawet niesprawiedliwość twoja sflumić nie potrafi!—A jednak trzeba ci się na to zdobyć panie, rzekła smutnie córka Siffredego...—Będzieszże sama miała dosyć do tego odwagi? zapytał szybko król. — Nie spodziewam się, aby mi się to udało, odpowiedziała, niczego wszakże nie zaniedbam, abym tego dokazała!—Okrutna! rzekł książę, widzę że z łatwością zapo-

mnisz Enriqua, ponlewał już powzięłaś ten zamiar.—Jakaż jest myśl twoja, odezwała się Blanka, tonem śmiałym: pochlebiasz sobie, iż będę przyjmowała twoje miłosne zabiegi; porzuć tę nadzieję. Jeżeli nie było mojem przeznaczeniem być królową, tedy przynajmniej niebo nie usposobiło mnie do przyjmowania miłości nieprawej. Mąż mój, jest równie jak ty panie, potomkiem szlachetnego domu andegawęńskiego; i gdyby to co mu winna jestem nie stawało nieprzebytej tamy dla twoich zalotów, honor mój nie pozwałaby ich przyjmować. Oddał się, zaklinam cię, nie możemy się już widywać.—Co za srogość! zawołał król. Ah, Blanko, możesz ze mną obchodzić się tak nieuczciwie! Niedośćże przykrości dla mnie, żeś się dostała w objęcia konetabla, jeszcze chcesz mi zabronić oglądania ciebie, jedynej pociechy, która mi została?—Unikaj raczej, odpowiedziała ze łzami córka Siffredego; widok istoty serdecznie ukochanej przestaje być dobrem, skoro się traci nadzieję posiadania tego dobra. Żegnaj cię panie, unikaj mnie; to wysilenie winienes swojej sławie i mojemu honorowi. Proszę cię o to dla mojej ciekawości; bo wreszcie chociaż cnota moja nie jest weale narażona wśród największych wzruszeń serca, jednakże pamięć twojej tkliwości na tak dręczącą wystawia mnie walkę, że wytrzymanie jej zbyt wiele mnie kosztuje.

Te ostatnie wyrazy z taką żywością wymówiła, iż niechęcy obalili lichtarz, który stał za nią na stole; świeca spadając zagaśła. Blanka podnosi ją: i dla zapalenia jej udaje się do przedpokoju, aby się dostać do gabinetu Nisy, która jeszcze się nie położyła: poczem wracała ze światłem. Król czekając na jej powrót, zaledwie ją ujrzał, zaczął na nowo nalegać, aby nie gardziła jego przywiązaniem. Na głos króla, konetabl ze szpadą w ręku wszedł nagle do pokoju prawie razem ze swoją żoną: a zbliżając się do Enriqua z całą wściekłością zazdrości.—To już nadto, krzyknął, nie sądz, abym był dosyć podłym i zniósł tę hańbę mojego honoru.—Zdrabco! krzyknął król zastawiając się szpadą. niespodziwując się bezkarnie wykonać swój zamiar. Po tych słowach rozpoczęli walkę, która była zbyt żywą, aby mogła trwać długo. Konetabl obawiając się by na krzyk Blanki nie nadbiegł Siffredi i domownicy, kładąc tamę jego zemście, nie oszczędzał się bynajmniej. Wściekły zapęd odebrał mu potrzebą przytomność umysłu; tak niezręcznie złożył się, iż sam upadł na szpadę swojego przeciwnika; weszła mu w ciało aż do rękojeści. Padł, a król wstrzymał się natychmiast.

Córka Siffredego rozrzuwiona stanem w jakim widziała swojego męża, przezwyjętając wstręt jaki czuła ku niemu, rzuciła się na ziemię, i starała się go ratować. Lecz nieszczęśliwy małżonek, był nadto uprzedzony przeciw niej, aby się miał zmieknąć oznakami jej boleści i spótczucia. Śmierć, której zbliżanie się czuł dobrze, nie mogła w nim przytłumić uniesienia zazdrości. Wtęj ostatniej chwili, zajmowało go jedynie szczęście jego spółzawodnika, a wyobrażenie to zdało mu się tak okropne, że zbierając ostatnie siły, podniósł szpadę którą jeszcze trzymał w ręce, i utopił ją w łonie Blanki.—Giń, zawołał przebijając ją, giń, wiarołonna małżonko, ponieważ węzły małżeńskie nie mogły mi zabezpieczyć wiary, którąś mi zaprzysięgła u stopni ołtarza! A ty Enrique mówił dalej, nie ciesz się z twojego losu. Nie będziesz korzystał z mojego nieszczęścia, umieram z zadowoleniem." Tak mówiąc skoła, a twarz jego cieniem śmierci okryła, miała jeszcze w ryszach swoich, coś zuchwałego i straszego. Oblicze Blanki przedstawiało weale odmienny widok; cios jej zadany był śmiertelny. Padła na ciało konającego męża, a krew niewinnej ofiary, zmieszała się z krwią jej mordercy, który tak szybko wykonał swój krwawy zamiar, iż król nie mógł temu zapobiedz.

Nieszczęśliwy książę krzyknął, ujrzawszy Blankę upadającą, a silniej ogodzony tym ciosem, niż ona sama, spieszył z pomocą taką samą, jaką ona nieść pragnęła, a za którą tak źle została wynagrodzoną. Lecz Blanka konającym głosem odezwała się do niego:—Panie, zabiegi twoje są bezużyteczne; padam ofiarą, której nieubłagany los wymagał. Bodajby poha-

mował swój gniew, i zapewnił ci szczęśliwe panowanie!" Gdy kończyła te wyrazy, Leontio nadbiegł, zwabiony jej krzykiem; rażony widokiem okropnym, stanął jak wryty. Blanka nie widząc go, mówiła dalej do króla:—Żegnaj cię książę, zachowaj mnie w miłej pamięci, moje przywiązanie i moje nieszczęścia, są ci do tego pobudką. Nie miej niechęci do ojca mego; szanuj dni jego i jego boleść; oddaj sprawiedliwość jego gorliwości; nadewszystko staraj się, żeby się przekonał o mojej niewinności; to ci zalecam nadewszystko. Żegnaj cię drogi Enrique... umieram... przyjm moje ostatnie technienie."

To rzekłszy, skoła. Król przez niejaki czas, stał w ponurym milczeniu; potem odezwał się do Siffredego, który był w śmiertelnym udręczeniu:—Patrz Leontio, rozważ twoje dzieło; w tém tralcznym wydarzeniu, masz owoc twoich zabiegów usłużnych i gorliwości dla mnie." Starzec nie nie rzekł, tak był bólem ściśnięty. Lecz nacóż mam siłę się na opisywanie tych scen, których żaden wyraz oddać nie potrafi. Dość będzie powiedzieć, że jeden i drugi, najrzewniejsze rozwodzili żale, skoro tylko udręczenie pozwoliło im wybuchnąć z ich wzruszeniem.

Król przez całe życie, zachował czułą pamięć swojej kochanki. Nie mógł się skłonić do zaślubienia Konstaucyi. Infant don Pedro połączył się z tą księżniczką, i oboje nie szczędzili niczego, aby korzystać z testamentu Rogera; w końcu atoli musieli uleść księciu Enrique, który pokroił swoich nieprzyjaciół. Co się tyczy Siffredego, zgryzota dręcząca go, że się stał sprawcą tylu nieszczęść, skłoniła go do cofnięcia się od świata, i pobyt w ojezynie uczyniła mu nieznosnym. Opuścił Sycylią, przeniosłszy się do Hiszpanii z pozostałą córką Porecyą, kupił ten zamek. Przeżył tu około piętnastu lat po śmierci Blanki, i miał pociechę zaślubienia Porecy przed śmiercią. Pojęła za męża don Hieronima de Silva, a ja jestem jedynym owocem tego małżeństwa. Otóż to jest, mówiła wdowa po don Pedro de Pinare, historia mojej rodziny, i wierny opis nieszczęść, przedstawionych na tym obrazie, który Leontio kazał odmalować, aby zostawić potomności, pamiątkę tej nieszczęsnej przygody.

ROZDZIAŁ V.

Co zrobiła Aurora de Guzman, przybywszy do Salamanki.

Ortiz, dwie jej towarzyski i ja, wysłuchawszy tój historyi, wyszliśmy z sali, w której pozostała Aurora z Elwirą. Resztę dnia spędzili na rozmowie. Nie nudziły się weale, a gdyśmy nazajutrz rano odjeżdżali, z takim żalem rozłączały się, jakby dwie przyjaciółki, które oddawna przywłąy do spólnego życia.

Wreszcie przybyliśmy do Salamanki bez przypadku. Naprzód najbliży tam dom umebłowany, i pani Ortiz, tak jak ułożono, przyjechała imię Ximeny de Guzman. Dość długo była dozoreczynią kobiet, dlatego wybora była aktorką. Pewnego poranku wyszła z Aurorą, pokojówką i lokajem, udając się do hotelu, w którym jak dowiedzieliśmy się, Pacheco zwykle mieszkał. Zapytała się, czyby nie było pomieszkania do najęcia. Odpowiedziano jej, że jest, które obeerzawszy zgodziła, i dała zaraz zadatek gospodyni, oświadczając, że to pomieszkanie najmuje dla swojego siostrzeńca, który opuściwszy Toledo, w Salamance ma kończyć nauki, i w tych dniach spodziewany.

Ochmistrzyni i pani moja, najawszy pomieszkanie, powróciły do siebie. Piękna Aurora nie tracąc czasu, przebrała się za mężczyznę. Czarne włosy swoje pokryła fałszywemi koloru blond, brwi ufarbowała tymże kolorem, i tak się ubrała, iż wybornie ujęć mogła za młodego panicza. Poruszenia jej, były lekkie i zwinne, i z wyjątkiem twarzy, cokolwiek zapieknęj na mężczyznę, zresztą nie nie mogło zdradzić jej przebrania. Pokojówka mająca jej służyć za pazia, ubrała się także, i nie bałiśmy się weale, aby nie miała dobrze udawać swojej osoby, bo naprzód, nie była z liczby najpiękniejszych, a obok tego w wejrzeniu miała coś śmiałego, co bardzo zgadzało się z jej rolą. Po obiedzie, dwie te aktorki przygotowane do wystąpienia na scenę, to jest do hotelu umebłowanego, udały się doń, a ja z niemi. Wszyscy pojechaliśmy tam w karecie, zabrawszy z sobą rupiecie, jakieby nam potrzebne były.

Gospodyni, nazwiskiem Bernarda Ramirez, przyjęła nas z wielką grzecznością, zaprowadziła nas do pokoju; gdzieśmy rozpoczęli z nią gawędkę. Umówiliśmy się o żywność jakiej nam dostarczać miała, i co za to mieliśmy jej płacić co miesiąc. Zapytaliśmy się następnie czyby miała pensyonarzy.— Teraz nie mam wcale, odpowiedziała nam: nie brakłoby mi ich gdybym chciała przyjmować wszystkich bez wyboru, ale ja nie chcę, tylko młodych paniczów. Dziś wieczór oczekuję jednego z Madrytu, który tu ma kończyć swoje nauki. Jestto don Luis Pacheco, młodzieniec najwięcej dwadzieścia lat mający; jeżeli go pan nie znasz osobiście, mogłeś o nim bez wątpienia słyszeć. Nie, rzekła Aurora; wiem że ze świetnej pochodzi rodziny, ale nie wiem coby to był za młodzieniec; a ponieważ mam z nim mieszkać w jednym domu, miłoby mi było dowiedzieć się o nim. Panie, odpowiedziała gospodyni spoglądając na zmyślonego panicza, jestto figura bardzo piękna; niemal podobny do pana. Ah! jak wyborne będziecie razem! Święty Jankobie! będę się zaprawdę mogła poszczycić, że mam u siebie dwóch najurodzawszych paniczów z całej Hiszpanii. Ten don Luis musi tu mieć bezwątpienia szczęśliwe wzięcie u kobiet?



Margrabina de Chavos.

zapytała się moja pani. Ah, zapewniam pana, odpowiedziała gospośnia, jestto miły ptaszek; słowo daję, niech się tylko pokaże, a jużci zdobycz ma gotową. Między innymi zawrócił głowę młodej i pięknej dziewczycy, nazwiskiem Izabella. Jestto córka starego doktora prawa. Jest w nim tak rozkochana, że z pewnością rozum straci. Powiedźże mi moja pani, przerwała Aurora spiesznie, czy on też ze swjej strony bardzo w nią zakochany?—Kochał ją, odpowiedziała Bernarda Ramirez, przed odjazdem do Madrytu; ale nie wiem czy jeszcze ją kocha, bo on jest nieco zmienny. Przebiega od kobiety do kobiety jak to wszyscy młodzi panicze robić zwykli.

Szanowna wdowa jeszcze nie skończyła, kiedy usłyszeliśmy łoskot na podwórzu. Wyrzeliśmy przez okno i spostrzegliśmy dwóch mężczyzn zsiadających z koni. Było właśnie ten sam don Luis Pacheco, przybywający z Madrytu ze swoim szatnym. Stara opuściła nas aby go przyjąć; a pani moja, lubo nie bez pewnego wzruszenia, gotowała się do roli don Felixa. Wnet ujrzelśmy wchodzącego do naszego pokoju don Luis w ubiorze podróżnym.—Dowiedziałem się, rzekł witając Aurorę, że młody Toledanin zajął mieszkanie w tym hotelu czy zechce przyjąć oświadczenie mojej radości, że z nim ra-

zem mieszkać będę? kiedy moja pani odpowiadała na tę grzeczność, zdawało mi się, że Pacheco był zdziwiony, widząc młodzieńca tak miłego; tak dalece, że nie mógł się wstrzymać od oświadczenia, że jeszcze nie widział młodzieńca tak pięknego i tak kształtnego. Po długiej rozmowie pełnej grzeczności, jaką sobie wzajemnie prawili, don Luis udał się do pokojów dla siebie przeznaczonych.

Gdy właśnie zmieniał ubiór i bieliznę, ktoś naksztalt paza szukał go z listem w ręku i trafem spotkał Aurorę na schodach. Wziął ją za don Ludwika i oddając jej bilet, rzekł:— odbierz pan, bo chociaż ja nie znam pana Pacheco, ale miarkując z opisu jaki mi zrobiono, pewny jestem, iż się nie mylę.—Nie, mój przyjacielu, odpowiedziała moja pani z zadziwiającą przytomnością umysłu, nie mylisz się wcale. Wywiązałeś się z polecenia swojego wybornie. Zgadłeś trafnie, że jestem don Luis Pacheco. Idź, starać się będę odpowiedzieć. Paż oddał się; Aurora zaś zamknawszy się z pokojówką i ze mną, otworzyła list i czytała nam następujące wyrazy: „Dowiaduję się, że jesteś w Salamance. Z jakąż radością usłyszałam tę nowinę! O mało niedostałam zawrotu głowy. Lecz kochaszże jeszcze Izabellę? Nicociągaj się z zapewnieniem jej, żeś się nie zmienił. Sądzę, że umrze z radości, jeżeli cię wiernym zobaczy.”

Bilecik jest namiętny—rzekła Aurora—objawia duszę, serce rozkochane. Jestto kobieta, jako spółzawodniczka, niebezpieczna dla mnie, muszę wszystkie sprężyny poruszyć, aby odebrać od niej don Luis, przeszkodzić nawet, aby jej wcale nie widział. Przedsięwzięcie zaprawdę trudne, lecz nie tracę nadziei w dopięciu zamierzonego celu. Zaczęła więc myśleć nad tem, a po chwili dodała:—zareczam wam, że dwadzieścia cztery godzin nie upłynę, a musza się poróżnić. W istocie Pacheco wytnąłwszy nieco w swoim pokoju, przyszedł do naszego i zawiązał rozmowę z Aurorą przed wieczerną.—Panie, odezwał się żartobliwie—zdaje mi się, że mężowie i kochankowie nie bardzo się cieszyć powinni z przybycia twojego do Salamanki; nabawisz ich nie małej niespokojności. Co do mnie, lękam się o podbite przezemnie serduszka.—Słuchaj, odpowiedziała mu moja pani tym samym tonem—obawa twoja nie jest bez zasady. Don Felix de Mendocce jest trochę niebezpieczny, ostrzegam cię. Ja byłem tu już w tym mieście; i wiem, że kobiety tutejsze nie są nieczułe. Jakiż na to masz dowód? przerwał don Luis porywczo.—Dowód przekonujący odpowiedziała córka don Vincentego,—będzie miesiąc temu jak przejeżdżałem przez to miasto; zatrzymałem się tu przez tydzień i powiem ci w zaufaniu, że zawrócił głowę córki starego doktora prawa.

Spostrzegłem, że na te słowa don Luis zmieszał się.—Czy można, rzekł, bez urazy dowiedzieć się o nazwisku tej kobiety?—Jak to, bez urazy? zawołał zmysłony don Felix—dlaczegoż miałbym ci z tego robić tajemnicę? Czyż mnie uważasz za względniejszego od innych paniczów mojego wieku? Nie rób mi tej niesprawiedliwości. Prócz tego, mówiąc między nami, jestto przedmiot nie bardzo zasługujący na oszczędzanie: jestto niewłóczęc, tylko mała mieszczauka. Wiész dobrze, że człowiek szlachetnego rodu, nie zajmuje się tak bardzo dziecinną miejską, tak dalece, że odebrać jej honor poczytuje sobie za zaszczyt.—Powiem ci więc bez ogródki, że córka doktora zowie się Izabella. —A sam doktor—przerwał niecierpliwie Pacheco—czy nie nazywa się czasem Murcia de la Llana? —Tak jest, odpowiedziała moja pani. —Oto jest list który mi przysłała w tej chwili; przeczytaj go, a przekonasz się czy ta pani jest mi życzliwą. Don Luis rzuciwszy okiem na bilet, poznał pismo i stanął jak wryty. — Co widzę? rzekła wtedy Aurora tonem zdziwionym—pan się intensz! Zdaje mi się, Boże przebacz mi, że pana obchodził ta osoba. Ah! jakżem nierozważny, rozmawiając tak otwarcie z panem.

—Owszem, ja panu bardzo wdzięczny—odpowiedział don Luis z uniesieniem, w którym się przebiegał żal i gniew. Wiarotomna! płocha! Don Felixie, jakżem ci obowiązany! Wyprowadzasz mnie z błędu, w którym zapewne długo jeszcze byłbym zostawał. Wystawiałem sobie, że jestem kochany, co

mówię, kochany? ubóstwiany od Izabelli. Miałem niejaki szacunek dla tego stworzenia, a teraz widzę, że to zalotnica godna pogardy. —Przyznaję słusność twojego oburzenia, rzekła Aurora, objawiając także pewny rodzaj obrazy. Córka doktora prawa, powinaby poprzestać na kochanku tak miłym jak ty jesteś. Trudno usprawiedliwić jej niestałość i zamiast przyjąć jej ofiarę, jaką mi z ciebie przynosi, zamyslałam od dziś wzgardzić jej względami. —Co do mnie, rzekł Pacheco, odtąd widzieć jej nie chcę; to jedyna zemsta jaką na nią wyrzucić mogę. —Masz słusność, zawołał fałszywy Meudoce. Jednakże, aby dać jej poznać, jak dalece nią pogardzamy, mniemam, że wypadłoby, aby każdy z nas napisał do niej bilecik szyderczy. Ja zapieczętnuję obadwa i poślę w odpowiedzi na list pisany do mnie. Nim atoli przystąpimy do tej ostateczności, poradź się twój sercu; czy czujesz je dosyć od niej oderwane, abyś się nie obawiał żalu w przyszłości, żeś z nią tak stanowczo zerwał. —Nie, wcale nie, przerwał don Luis, tak słabym nigdy nie będę; i zgadzam się, aby dla umartwienia niewdzięcznej zrobić to coś wniósł piórewj.

Poszedłem natychmiast po papier i kałamarz i obadwa zabrali się do pisania listu bardzo ujmującego, do córki doktora Murcia de la Llana. Pacheco szczególnie nie mógł znaleźć dość mocnych wyrazów do wynurzenia swoich uczuć, i pięć czy sześć listów zaczętych podarł, bo mu się nie zdawały dość dobitne. W końcu przecieżył napisał jeden, z którego był dosyć kontent, i miał wielką słusność. Zawierał on następujące wyrazy: „Nauucz się znać siebie, moja królowo, i nie mlej tyle próżności, abyś mniemała, że cię kocham. Trzeba innej wcale zasługi, nie tej, jaką posiadasz, aby mnie przywiązać do siebie. Nie masz tyle nawet wdzięku, abyś mnie na chwilę zabawić mogła. Jesteś właściwie tylko stworzona dla zabawki ostatniego ucznia uniwersytetu.” Napisał więc ten list miły, a gdy i Aurora skończyła swój w wyrazach niemniej obraźliwych, zapieczętowała oba, zrobiła do nich kopertę i oddając mi rzekła: —Masz oto Gil Blasie, staraj się, żeby Izabella odebrała to dziś jeszcze wieczór. Rozumiesz mnie, dodała robiąc znak oczyma, który ja doskonale pojąłem. —Tak jest panie, odpowiedziałem, dopełnię rozkazu według życzenia pańskiego.

Wyszedłem natychmiast: a ujrawszy się na ulicy, pomyśliłem sobie: Oho, panie Gil Blasie, dowcip twój wystawiony na próbę; spełniasz więc rolę lokaja w tej komedii. Nuż więc, mój przyjacielu, pokaż, że masz dosyć rozsądku do tej roli, która go bardzo wiele wymaga. Pau don Felix poprzestał na tem, że ci dał znak: liczy, jak widzisz, na twoje przenikliwość. Nie mylisz się on? Nie, ja pojmuję, czego on żąda odemnie. On chce, aby tylko list don Luis doszedł swojego przeznaczenia; ołożyło jego skinienie ma to oznaczać: nic nadto zrozumiałszego, w przekonaniu, że się nie mylę, otworzyłem kopertę, wy dobyłem list don Pacheco i zaniósłem go do doktora Murcia, o którego mieszkania łatwo się wywiedziałem. Spotkałem we drzwiach małego paza, który był w hotelu. —Bracie, rzekłem mu, nie jesteśże przypadkiem służącym córki doktora Murcia? —Tak jest, odpowiedział w sposób dający poznać, że przywykł nosić i odbierać listy zalotne. —Masz postać tak usłużną, rzekłem mu, że ośmielałem się prosić cię, abyś ten bilecik oddał do rąk twojej pani.

Mały paź zapytał się od kogobym go niósł, i zaledwie mu powiedziałem, że to od don Luis de Pacheco, gdy natychmiast się odezwał. —Kiedy tak, tedy pójdź za mną, mam rozkaz w prowadzić cię, Izabella pragnie z tobą pomówić.” Pozwoliłem się zaprowadzić do gabinetu, do którego niezwłocznie weszła senora. Uderzyła mnie piękną jej twarz, nie widziałem delikatniejszych rysów. Miała wejrzenie miłe i dziecinne; ale to nie przeskądzało bynajmniej, że już trzydzieści lat z okładem minęło, jak przestała chodzić na paskach. —Mój przyjacielu, odezwała się z miną uśmiechającą, czy należysz do don Luis de Pacheco? —Odpowiedziałem, że jestem jego szatnym od trzech tygodni. Poczęm złożyłem jej nieszczęsny bilecik, który przyniosłem. Przeczytała go dwa albo trzy razy, zdawało się, że nie dowierzała własnym oczom. W istocie takowej odpowiedzi bynajmniej spodziewać się nie mogła. Wzniosła oczy ku niebu, przygryzła

wargi, a cała jej postawa objawiała udrczenie jej serca. Potem nagle zwracając mowę do mnie, —mój przyjacielu, rzekła, don Luis dostał zapewne obłąkania zmysłów od czasu naszego rozłączenia! Nie rozumiem jego postępowania. Powiędz mi, jeżeli wiesz, dla czego tak uprzejmie do mnie pisze. Co za duch zły go opanował. Jeżeli chce zerwać z mną, nie mógłże tego zrobić bez szkalowania mnie tak obelżywym listem?

Pau, rzekłem, udając szczerłość, mój pan, źle sobie postąpił bezwzględnie, ale do tego był zmuszony poniekąd. Jeżeli mi pani przyrzeczesz zachowanie sekretu, wyjawię ci całą tajemnicę. —Przyrzekam ci, odpowiedziała skwapliwie: nie lękaj się, abym cię miała wyjawić, wytłumacz się śmiało. —Zgoda więc, rzekłem, oto tak jest w krótkości, w kilka chwil po odebraniu listu pani, weszła do naszego hotelu kobieta okryta grubą bardzo zasłoną. Pytała się o pana Pacheco, rozmawiała z nim przez niejaki czas sam na sam, i w końcu rozmowy usłyszałem, że mówiła do niego: przysięgasz mi, że jej nigdy oglądać nie będziesz, ale to nie dosyć na tem, dla zaspokojenia mnie, musisz do niej napisać bilet, który ci podyktuję; tego żądam od ciebie. Don Luis zrobił czego chciała; a potem dając mi w ręce ten papier, rzekł: „Wywiędz się gdzie mieszka doktor Murcia de la Llana



Sidy Hally.

i użyj całej zręczności, aby ten przysmaczek dostał się w ręce jego córki Izabelli.”

Widzisz więc pani, mówiłem dalej, że list tak niegrzeczny jest dziełem spółzawodniczek, a temsamem pau mój nie jest tak winny. —O Boże, jest nim więcej jeszcze aniżeli myślała. Jego wiarołomstwo bardziej mnie jeszcze oburza, aniżeli uszczypliwe wyrazy, które ręką jego skreśliła. Ah wiarołomny, mógłże w nowę wejść związki!... Lecz, dodała przybierając postać dumną, niech się poddaje bez przymusu nowęj miłości, nie chcę mu przeszkadzać. Powiędz mu, proszę cię, iż nie potrzebował lżyć mnie dla skłonienia, abym zostawiła otwarte pole spółzawodniczek i że zbyt pogardzam kochankiem płochym, abym miała się starać odzyskać go.” To rzekłszy odprawiła mnie i wysłała niesłychanie zagniewana na don Luis.

Opuściłem dom doktora Murcia de la Llana bardzo kontent z siebie; przekonałem się, że gdybym się chciał puścić na kavalera z własnego przemysłu żyjącego, mógłbym zostać zręcznym oszustem. Wróciłem do naszego hotelu, i zastałem panów Meudoce i Pacheco, siedzących przy wieczerzy i rozmawiających tak serdecznie, jakby od dawnych lat byli przyjaciółmi. Aurora z młay moję wesołęj pomiarkowała, że m się nieźle musiał wywiązać z danego mi polecenia. —Jużto wracasz Gil

Blaste, odezwała się do mnie, zdajże nam sprawę z twego posłaństwa. I tu trzeba było przeblegiem przypłacić. Powiedziałem więc, że cały pakietek oddałem do własnych rąk, że Izabella przeczytawszy oba słodkie bileciki, zamiast objawić pomieszanie, zaczęła się śmiać, jakby niespełna miała rozumu, mówiąc: na honor, ci młodzi panowie mają śliczny styl; trzeba przyznać, że inne osoby nie potrafią z taką uprzejmością się wyrażać.—To przedziwny sposób wydobyć się z kłopotu, zawołała moja pani: otóżto wyćwiczona w swojej sztuce zalotnica.—Co do mnie, rzekł don Luis, po tych rysach nie poznaję wcale Izabelli; chyba, że w czasie mojej nieobecności zupełnie zmieniła charakter.—I jabym wcale inaczej o niej sądził, dodała Aurora. Przyszajmy, że są kobiety, które umieją różne brać na siebie postaci. Kochałem jedną z takich, długo byłem jej igraszką, Gil Blas ci opowie, miała minę tak enotliwą, że byłaby cały świat uwiodła.—Oh, to prawda, rzekłem, mieszając się do rozmowy, umiała tak wdzięcznie ułożyć twarzyczkę, żeby najprzebieglejszego szpaka znęciła; ja sam byłbym się w jej sidła uwikłał.

Zmyślony Mendoce i Pacheco śmieli się do rozpaku usłyszawszy taką mowę moją; a zamiast gniewać się, żem sobie pozwolił wdać się do ich rozmowy, sami odzywali się do mnie, aby się nacieszyć z moich odpowiedzi. Rozmawialiśmy długo jeszcze o kobietach znających sztukę maskowania się, a ostatecznym wypadkiem naszej rozmowy było, że Izabella została słusznie posądzoną i prawnie przekonaną, że jest jawną zalotnicą. Don Luis na nowo zaręczał, że jej nigdy widzieć nie chce, a don Felix idąc za jego przykładem, przysiągł, że nią na zawsze pogardza; przyrzekli sobie nawzajem, że jeden przed drugim nie będzie miał ukrytego. Po wieczerzy uile z sobą rozmawiali, aż nareszcie każdy udał się do swojego pokoju na spoczynek. Ja poszedłem za Aurorą, zdałem jej ścisły rachunek z rozmowy jaką miałem z córką doktora, nie pominąłem najmniejszej okoliczności; więcej nawet powiedziałem niż było w istocie, aby się tem lepiej przypodobać mojej pani, która była zachwyconą moim opowiadaniem. Mało brakło, że mnie nie uściskała z radości.—Kochany Gil Blasie, twoja przeczność w zachwycenie mnie wprawia. Kiedy nieszczęściem namiętność owładnie sercem naszym, zagnała nas do użycia podstęp, jakaż to ważna korzyść wówczas mieć służącego tak jak ty dowcipnego. Śmiało naprzód, mój przyjacielu, usunęliśmy z drogi spółzawodniczkę, która nam mogła zawadzać; dotąd nie źle idzie. Ale że to bywają kochankowie skłonni do dziwacznych powrotów, zdaje mi się, że trzeba przyspieszyć tę całą intrygę i wyprowadzić na scenę Aurorę de Guzman. Potwierdziłem ten zamiar i zostawiwszy don Felixa z jego paziem, sam udałem się do gabinetu, w którym było moje łóżko.

ROZDZIAŁ VI.

Jak Aurora starała się obudzić miłość don Pacheco.

Dwaj przyjaciele zeszli się nazajutrz rano; to było ich najpierwszym staraniem. Rozpoczęli dzień od uścisków, które Aurora musiała przyjmować by dobrze odegrać rolę don Felixa. Poszli razem przejść się po mieście, a ja postępowałem za nimi wraz z Chilindronem szatnym pana Pacheco. Zatrzymaliśmy się przed uniwersytem, dla przeczytania kilku doniesień o książkach nowych. Kilka osób bawiło się tym samym sposobem, i między niemi spostrzegłem małego człowieczka, który objawiał swoje zdanie o tych dziełach na widok publiczny wywieszonych. Uważałem, że go z wielkim słuchano natężeniem, ale zarazem zdawało mi się, iż on przekonany był, że zasługuje na tę baczność. Wydawał mi się nadętym, stanowczo wyrokującym, jak większa część małych ludzi.—To *nowe tłumaczenie Horacjusza*, mówił on, o którym doniesienie przyłepione widzicie, wielkimi literami, jestto dzieło proza, ułożone przez starego autora szkolnego. Książkę tę wysoko cenią uczniowie, oni sami wyłącznie spożyli cztery jej wydania. Żaden rozsądny człowiek nie kupił ani jednego exemplarza. Są

jego nie był korzystniejszy o innych dziełach; sękl je bez liłości. Musiał to być jakiś autor. Radym był go wysłuchać aż do końca; ale trzeba było iść za don Felixem i don Ludwikiem, których nie bawiła jego mowa, a książki wcale nie interesowały, i dlatego oddalili się i od krytyka i od uniwersytetu.

Wróciliśmy do hotelu na godzinę obiadową. Pani moja siadła do stołu z panem Pacheco i bardzo zęcznie naprowadziła rozmowę na swoją rodzinę.—Ojciec mój, mówiła, jest młodszym synem rodziny Mendoce, która osiadła w Toledo; a moja matka jest rodzoną siostrą dony Ximeny de Guzman, która przed kilką dniami przybyła do Salamanki w sprawie bardzo ważnej, z synowicą swoją Aurorą, córką jedyną don Vincentego de Guzman, którego może znałeś.—Nie, odpowiedział don Luis; ale często o nim słyszałem, tak jak o Aurorze twojej krewnej. Nie wiem czy mam uwierzyć temu co mówią o tej pannie. Zapewniają, że nie ma nic równego jej piękności i ukształceniu.—Co do ukształcenia, rzekł don Felix, tego jej nie brakuje; ale nie jest to piękność osobliwsza; uważają żeśmy bardzo podobni do siebie.—Jeżeli tak jest, odezwał się Pacheco, tedy usprawiedliwia zupełnie wieść o sobie rozgłoszoną. Rysy twoje są regularne, cera twoja wcale piękna; krewna twoja musi być prześliczna. Radym ją widzieć i mówić z nią.—Chętnie ofiaruję się zaspokoić twoją ciekawość, rzekł zmyślony Mendoce, a nawet dziś jeszcze. Zaprowadzę cię dziś po obiedzie do mojej ciotki.

Pani moja zmieniła natychmiast rozmowę i zaczęła rozprawić o rzeczach obojętnych. Po południu gdy się zabięrali do dony Ximeny, ja pobiegiem naprzód, by zawiadomić dozorczynię, aby się przygotowała do przyjęcia tych gości. Wróciłem natychmiast dla towarzyszenia don Felixowi prowadzącemu don Pacheco do swojej ciotki. Załedwie weszli do domu, gdy spotkali panią Ximenę, dającą im znak, aby się cicho sprawili.—Cicho, sza, odezwała się głosem słumionym, obudzicie moją siostrzenicę. Od wieczoraj straszna cierpiała migrenę, która ją dopięro co opuściła; biedną dziecię tylko co zasnęło.—Przykre mi jest to zdarzenie, rzekł Mendoce, udając smutnego, spodziewałem się widzieć moją krewną, chciałem zrobić tę przyjemność przyjacielowi mojemu panu Pacheco.—Nie masz przecie w tem nic nagłego, odpowiedziała Ortiz, uśmiechając się; możecie to odłożyć do jutra. Panowie krótko pomówiwszy ze starą, oddalili się.

Don Luis zaprowadził nas do szlachcica młodego, swojego przyjaciela, nazwiskiem don Gabriel de Pedros. Przepędziliśmy tam resztę dnia, tam nawet zjedliśmy wieczerzę, i dopięro o drugiej po północy wyszliśmy ztamtąd, wracając do siebie. Uszliśmy może połowę drogi, gdyśmy znaleźli pod nogami rozciągniętych na ulicy dwóch ludzi. Rozumiejąc, że to byli nieszczęśliwi, których zamordowano, zatrzymaliśmy się, aby im nieść pomoc, jeżeli jeszcze można było. Kiedyśmy się starali przekonać o ich stanie, ile ciemność nocy na to zezwalała, tymczasem nocna straż nadeszła. Dowódcza zrazu wziął nas za morderców i kazał nas otoczyć; wnet atoli lepsze o nas powziął mniemanie, skoro usłyszał nas mówiących i gdy przy pomocy krytej latarni ujrzął rysy twarzy Mendoca i Pacheco. Dozorecy obejrzeni za jego rozkazem tych dwóch ludzi, których za zabitych uważaliśmy; pokazało się, że to był tłusty licencyat i jego służalec, obadwa winem rozmarzeni, czyli raczej w kij pijani. Zostawiliśmy tych opojów w rękę straży nocnej, która ich starała się odnieść do ich domu. My wróciliśmy się do hotelu i każdy myślał tylko o spoczynku.

Don Felix i don Luis wstali koło południa; a gdy się spotkali, Aurora de Guzman była pierwszym przedmiotem rozmowy.—Gil Blas, odezwała się do mnie moja pani, idź do mojej ciotki dony Ximeny, spytaj się jej, czy dziś ja i pan Pacheco, możemy się widzieć z moją krewną. Wyszedłem więc dla spełnienia rozkazu, czyli raczej dla ułożenia z ochmistrzynią co mamy robić; kiedy już wszystko urządziliśmy, wróciłem do zmyślonego Mendoce.—Panie, powiedziałem mu, twoja krewna Aurora jest zdrowiutka, poleciła mi oświadczyć panu z tej strony, że odwiedziny jego będą jej bardzo mile, a don

Ximena kazała mi zapewnić pana Pacheco, że przy pańskim zaleceniu chętnie go u siebie widzieć będzie.

Widziałem, że te ostatnie wyrazy przyjemne wrażenie zrobiły na panu Pacheco. Moja pani spostrzegła też samo, i szczęśliwą z tą wzięła wróżbę. Krótko przed samym obiadem służący seniorzy Ximeny przybywszy odezwał się do don Felixa: —panie, przybyły człowiek z Toleduszukał go u dony Ximeny i zostawił ten list. Fałszywy Mendocce otworzył go i przeczytał głośno: „Jeżeli chcesz powziąć wiadomość o ojcu swoim i interesie bardzo ważnym dla ciebie, nie omieszkaj natychmiast po odebraniu niniejszego, udać się pod *karego konia*, tuż przy Uniwersytecie.” —Ciekawy jestem niezmiernie dowiedzieć się tych bardzo ważnych rzeczy i muszę natychmiast żądam ją zaspokoić. Nie żegnając się, Pacheco, dodał dalej: jeżeli bym nie wracał za dwie godziny, możesz sam udać się do mojej ciotki, a ja tam przybędę po obiedzie. Włóż co ci powie dział Gil Blas ze strony dony Ximeny, możesz więc prosto udać się z odwiedzinami. To mówiąc wyszedł i kazał mi towarzyszyć sobie.

Łatwo domyślić się, że zamiast udać się pod *karego konia*, my prosto zuterzaliśmy do domu, w którym mieszkała Ortiz. Skorośmy tylko tam przybyli, zaczęliśmy zaraz gotować się do przedstawienia naszej sztuki. Aurora zdjęła włosy blond, wymyła i wytarła brwi, wzięła suknie kobiece, i przemieniła się w piękną brunetkę, taką, jaką była w istocie. Można rzec śmiało, że przebranie zmieniało ją do tego stopnia, że Aurora i don Felix, wydawali się dwiema odmiennymi osobami. Zdawało się nawet, że jako kobieta, była daleko wyższa, niż w ubiorze męskim; prawda, że do tego nie mało przyczyniał się strój głowy, który zwykle bardzo wysoki nosiła. Gdy wrodzone wdzięki wsparła tem wszystkiem, na co się sztuka zdobyć może, oczekiwiała na przybycie don Luis z wzruszeniem, w którym się obawa mieszała z nadzieją. Raz spuszczała się na swój dowcip i piękność, drugi raz, lękała się, aby to nie była próba nieszczęśliwa. Ortiz także przygotowała się, by jak najlepiej wspierać swoje panie. Co do mnie, ponieważ nie wypadło, aby mnie Pacheco zobaczył w tym domu, gdyż podobnie jak aktor, który dopiero w ostatnim akcie występuje, ja także w końcu odwiedzin miałem się pojawić, zjadłszy więc obiad, wyszedłem.

Wreszcie wszystko było w porządku, kiedy don Luis przybył. Pani Ximena przyjęła go bardzo mile; rozmawiał z Aurorą ze dwie godziny, potem ja wszedłem do sali, w której bawili, a zwracając się do młodego pana, rzekłem: —Panie, don Felix, mój pan, nie przyjdzie tu dzisiaj, prosi pana o przebaczenie, jest bowiem teraz, z trzema panami z Toledu, których się pozbyć nie może. —Ah młody swawolnik, rzekła donna Ximena, hula sobie zapewne. —Nie, pani, odezwałem się, rozmawia z nimi o ważnych sprawach. Martwi go to mocno, że nie może tu przybyć; potęcił mi abym to pani powiedział, również jak donie Aurorze. —Ja nie przyjmuję wcale tłumaczenia, rzekła moja pani żartobliwie, wiedział że byłam nieco słaba, powinien był objawić trochę więcej skwapliwości dla osób, połączonych z nim krwi związkami. Za karę, nie chcę go widzieć przez dwa tygodnie. —Ah pani, ozwał się wtedy don Luis, nie wydawaj tak srogiego postanowienia, don Felix już i tak nieszczęśliwy, że się nie mógł z panią widzieć.

Żartowali jeszcze przez niejaki czas w tym przedmiocie, potem don Pacheco oddalił się. Piękna Aurora zmienia natychmiast postać i przybiera strój męski. Wraca do hotelu jak tylko mogła najprędzej. —Przepraszam cię, drogi przyjacielu, rzekła do don Luis, że nie mogłem połączyć się z tobą u mojej ciotki, ale nie mogłem się pozbyć osób, z którymi się spotkałem. To mnie przynajmniej pociesza, że miałaś zupełną swobodę w zaspokojeniu twojej ciekawości. Cóż więc myślisz o mojej krewnej? powiedz mi bez ogródki. —Jestem oczarowany, rzekł Pacheco. Miałaś słuszość, mówiąc, żeście podobni do siebie; nie widziałem nigdy rysów tak podobnych; to samo zaokrąglenie twarzy, te same oczy, usta, a nawet ton głosu. Jest przecież jakaś różnica. Aurora jest wyższa od ciebie, jest brunetka, a ty blondy; ty jesteś wesoły, ona poważna, otóż jest wszystko, w czem się od

siebie różnicie. Co się tyczy dowcipu, nie sądzę, aby istota jaka niebieska, więcej go posiadała od twojej krewnej. Słowem, jest to osoba pełna zalet niewypowiedzianych.

Pan Pacheco, te ostatnie wyrazy, z takim wymówił uczuciem, że don Felix przerwał mu uśmiechając się: —przyjacielu, żaluję teraz, że ci ułatwił poznanie się z doną Ximeną; wierz mi, nie chodź tam więcej, radzę ci dla twojej własnej spokojności. Aurora de Guzman mogłaby cię nabawić troski, wzniecając w sercu twojem namiętność.

—Nie potrzebuję jej oglądać drugi raz, aby się w niej zakochać; już się stało. —Żal mi cię, odpowiedział udany Mendocce, nie jesteś zdolnym do stałego przywiązania, a krewna moja nie jest Izabella, powiadam ci. Nie dla niej jest kochanek, któryby nie miał widoków prawych. —Widoków prawych! przerwał don Luis, można mieć inne, względem dziewicy takiego rodu? Uważałbym to sobie za obrazę, gdyby mnie ktoś chciał posądzać, iż jestem zdolnym patrzeć na nią okiem światowem. Sądź mnie z lepszej strony kochany Mendocce. Zaiste, poczytałbym się za najszczęśliwszego z ludzi, gdyby przyjęła moje zabiegi, i chciała los swój połączyć z moim.

—Kiedy z tego tonu zaczynasz, rzekł don Felix, obowiązujesz mnie do usług swoich. Wchodzę w twoje uczucia, i ofiaruję ci moje wstawienie się do Aurory; zaraz jutro starac się będę pozyskać moją ciotkę, która wielką ma przewagę nad jej umysłem. Pacheco tysiącnie złożył dzięki kawalerowi, który go tak różowemi cieszył nadziejami, i teraz ujrzelśmy, że nasz wybieg udawał się jak najgłupszy. Następnego dnia zapaliliśmy jeszcze bardziej miłość pana Pacheco przez nowy pomysł. Moja pani udawszy się do dony Ximeny, aby pozyskać jej względy dla niego, wróciła właśnie i powiedziała mu: —mówiłem z moją ciotką, i nie mało użyłem trudu, aby ją skłonić na twoją stronę. Strasznie była uprzedzoną przeciw tobie. Nie wiem, kto jej wbił w głowę, żeś ty rozpustnik; to pewna, że ktoś musiał jej odmalować twój obraz nie w bardzo pięknych kolorach; na szczęście rozpocząłem twoją apologią, i z takim zapalem broniłem twojej sprawy, że w końcu potrafił zniszczyć złe wyobrażenie, jakie jej o twoich obyczajach wpojono.

—Na tem nie koniec, mówiła dalej Aurora, chciałbym abyś w mojej obecności rozmówił się z moją ciotką; a wtedy dokonamy zwycięstwa, zyskując jej pomoc. Pacheco pragnął z największą niecierpliwością tej rozmowy z doną Ximeną, i tę pociechę przeznaczone mu na dzień następny. Udany Mendocce zaprowadził go do pani Ortiz, i wszyscy troje mieli rozmowę, w której don Luis objawił, że w krótkim czasie namiętnie się rozkochał. Przebiegła Ximena udała, że ją wzrusza ta czułość, jaką don Luis okazywał, i przyrzekła wszelkimi siłami starać się o skłonienie swojej siostrzenicy, do osłarowania mu ręki. Pacheco rzucił się do nóg tak dobrej cioci, by złożyć dzięki za jej łaskę. Wtedy don Felix zapytał się, czy krewna jego już wstała. —Nie, odpowiedziała dozorczyńni, jeszcze śpi i teraz nie możecie się z nią widzieć, ale po południu wróćcie, a będziecie mogli z nią rozmówić się swobodnie. Ta odpowiedź dony Ximeny podwoiła radość don Pacheco, jak tego łatwo się domyślić, i reszta poranku zdała mu się nadzwyczaj długą. Powrócił do hotelu z don Felixem, który bacznem okiem śledząc najmniejsze jego poruszenie, z radością spostrzegwał oznaki prawdziwej miłości.

Rozmawiali tylko o Aurorze, a po obiedzie don Felix odezwał się do pana Pacheco: —Przyszło mi na myśl, udać się na kilka chwil pierwój do mojej ciotki, pomówić sam na sam z moją krewną, by dociec jej usposobienia względem ciebie. Don Luis zgodził się na ten pomysł, pozwolił oddalić się swojemu przyjacielowi, a sam dopiero w godzinę później udał się za nim. Moja pani korzystała z tej chwili, i już była po kobiece ubrana, gdy jej kochanek nadszedł. —Spodziewałem się, rzekł Pacheco, przywitawszy Aurorę i dozorczyńnię, że tu zastanę don Felixa. Ujrzyś go pan za chwilę, odezwała się dona Ximena, pisze właśnie w moim gabinecie. Pacheco wynagrodził sobie to uchybienie przyjacielu, zawiązawszy rozmowę z kobietami. Z tem wszystkiem, mimo obecność przedmiotu miłości, spo-

strzegł, że godziny mijają, a Mendoce się nie pokazuje, i gdy wreszcie niemógł się wstrzymać od wynurzenia swojego zdziwienia w tym względzie, wtedy Aurora nagle zmieniając postawę, zaczęła się śmiać, i odezwała się do pana Pacheco: — Czy może być, abyś pan dotąd nie miał najmniejszego podejrzenia o wybiegu? fałszywe włosy blond i brwi pofarbowane, czyniąż mnie tak niepodobną do mnie, by się aż do tego punktu można uwodzić? Poznaj się więc panie Pacheco, mówiła dalej, przybrawszy ton poważny, i wiedz, że don Felix de Mendoce i Aurora de Guzman, to jest jedna i ta sama osoba.

Nie poprzestała na wyprowadzeniu go z błędów, przyznała się do słabości jaką czuła dla niego, wyjawiała wszystkie zabiegi jichak użyła, by go przyprowadzić do celu, jaki sobie zamierzyła. Don Luis równie był uradowany, jak zdziwiony tem co słyszał; rzucił się do stóp mojej pani, i odezwał się z uniesieniem: — Ah! piękna Auroro, mogę wierzyć, że w istocie jestem tym szczęśliwym śmiertelnikiem, dla którego tyle okazałaś względów? czemuż je zawdzięczę? Dozgonna miłość nie jest jeszcze ich należyta odplata. Za temi wyrazami, nastąpiły tysiączne oświadczenia czułości i przywłazania, poczem kochankowie zajęli się środkami, jakie im przedsięwziąć należy, dla dojścia do kresu swoich życzeń. Postanowiono, że niedługożnie powróćmy do Madrytu, gdzie małżeństwo będzie rozwiązaniem naszej komedy. Zamiar ten został tak szybko wykonany, jak był prędko powzięty; don Luis we dwa tygodnie później, zaślubił moją panią, a gody weselne dały powód do uczt i zabaw nieskończonych.

ROZDZIAŁ VII.

Gil Blas zmienia służbę.

We trzy tygodnie po szlubie, pani moja chciała wynagrodzić moje przysługi. Ofiarowała mi sto luidorów, mówiąc: — Gil Blasie, mój przyjacielu, nie wypędzam cię od siebie, pozwalam ci bawić w moim domu, póki ci się podoba, lecz stryj mojego męża, don Gonzale Pacheco, żyje sobie mieć cię za szatnego. Mówiłam mu z taką o tobie pochwałą, iż mnie prosił usilnie, abym cię odstąpiła. Jestto człowiek staroego dworu, dodała, bardzo ucziwego charakteru, będzie ci bardzo dobrze u niego.

Podziękowałam Aurorze za jej łaskawe względy, a żem jej nie był potrzebny, przyjąłem więc ofiarowane mi miejsce, tem chętniej, że nie wychodziłem z tej familii. Jednego więc poranku z polecenia nowej mężatki, udałem się do pana Gonzale. Był jeszcze w łóżku, chociaż to już było blisko południe. Wszedłszy do jego pokoju widziałem, że pił bulion, który mu podał paż jego. Starzec miał wasy zawinięte w papiloty, oczy niemal zagasię, twarz bladą i wyschlą. Był to jeden z tych starych kawalerów, co to są wyuzdanemi rozpustnikami za młodość, i nie stają się skromniejszymi w wieku podeszłym. Przyjął mnie bardzo mile, i oświadczył, że jeżelibym mu chciał służyć z taką samą gorliwością, jak jego synowicy, w takim razie może mi zapewnić mój los. Po takowej obietnicy, przyrzekłem mu toż samo przywiązanie, jaktem okazał jego synowicy, i zostałem jego służącym.

Otóż więc jestem u nowego pana, a Bóg wie co to za człowiek! kiedy wstał z łóżka, rozumiałem, że widzę zmartwychwstanie łazarza. Wystawcie sobie wielkie ciało wychudłe, tak, że widząc je nagie, możnaby było wybornie nauczyć się osteologii. Nogi miał tak cienkie, że mi się jeszcze nie wydawały naturalnemi, gdy na nie wciągnął trzy, czy cztery pary pończoch, jedna na drugą. Oprócz tego ta mumia ruszająca się, cierpiała astmę, za każdym wyrazem kaszel ją dusił. Naprzód wypił czekoladę, potem żądał papieru i atramentu, napisał bilet, zapieczętował, i paziówł który mu podawał bulion, kazał zanieść według adresu, po czem obracając się do mnie: — mój przyjacielu, rzekł, ciebie teraz myślę użyć do moich poleceń, a osobliwie ściągających się do dony Eufrazji. Jestto młoda osoba, którą kocham, i od której czulej doznaję wzajemności.

Miły Boże, pomyśliłem sobie, jakże młodzi ludzie nie mają sobie wyobrazać że są kochani, kiedy stary niedołęga przekonany jest, że go ubóstwiają? — Gil Blasie, mówił dalej, dziś

zaprowadzę cię do niej; ja tam prawie codzień jestem na wieczery. Zobaczysz osobę bardzo miłą, zdziwisz się nad jej ułożeniem skromnym, równie jak nad jej rozsądkiem. Nie podobna wcale do tych młodych trzpiotów, które szaleją za młodzieżą i uganiają się za pozorami, ona posiada umysł dojrzwały i gruntowny; ona w mężczyźnie szuka uczuć, a kochanka umiającego kochać, przenosi nad postać najświetniejszą. Ależ pan Gonzale nie skończył na tem pochwały swojej kochanki; chciał ją wystawić jako zbiór wszystkich doskonałości; szkoda tylko, że miał słuchacza nader trudnego do przekonania w podobnym przedmiocie. Ja com widział wszystkie przebiegi i obroty komedyantek, nie wierzyłem, aby stary pan mógł być szczęśliwym w miłości. Dla przypodobania się jednak, udawałem że wierzę temu, co mi pan opowiadał; dalej jeszcze posunąłem się, wychwalałem głęboki rozsądek i gust Eufrazji. Dostę byłem nawet bezczelnym, utrzymując, iż nie mogła mieć gacha miłszego. Poczciwy człowiek nie poczuł nawet, żem go dymem kadzidła zakrzusił; owszem, cieszył się z mojej mowy; jak to jest prawdą, że pochlebca może się na wszystko odważyć u wielkich panów! łatwo się naginają do wszystkiego, aż do pochlebstw najbardziej przesadzonych.

Starzec skończywszy pisanie, wyrwał sobie kilka włosów z brody szczypekami, potem wymył sobie oczy z ropy. Wymył także uszy, potem ręce, a po tych oczyszczeniach, ufarbował na czarno wasy, brwi i włosy. Dłużej zajmował się swoją toaletą, niż stara wdowa siłca się na ukrycie rudny długich lat. Kiedy kończył ubieranie się, wszedł jeden z jego przyjaciół, drugi starzec, którego przezywano hrabią Asumar. Cóż to za różnica była między nimi! ten nie krył swoich białych włosów, podplęrał się laską, i zdawał się chlubić ze swojej starości, zamiast udawać młodego. — Panie Pacheco, rzekł wchodząc, zapraszam się do ciebie na obiad. — Witam cię z radością, mój hrabio, odpowiedział mój pan. Zaraz uściskali się obadwa, zaszli i zaczęli gawędę, nim zastawiono stół.

Naprzód rozmawiali o walce byków, niedawno przedstawionej. Wymieniał jeźdźców, którzy najwięcej siły i zręczności okazali; w tem, stary hrabia, jak drugi Nestor, któremu wszystko obecne podawało sposobność do pochwał przeszłości, rzekł z westchnieniem: — Niestety! już ja dziś nie widzę ludzi, którychby można było porównać z dawniejszymi, i turnieje terazniejsze nie odbywają się z taką okazałością, jaką ja widziałem w młodości. Śmiałem się w duchu z uprzedzenia dobrego pana Asumar, który nie skończył na samych turniejach; przypominam sobie, że siedząc przy stole, gdy podano owoce, widząc bardzo piękne morele, odezwał się: — za moich czasów, morele były daleko większe aniżeli teraz; natura coraz bardziej słabnie. Na tej zasadzie, pomyśliłem sobie, śmiejąc się w duchu, morele za czasów Adama, musiały być niepojętej wielkości.

Hrabia Asumar został u mojego pana prawie do samego wieczora, skoro więc uwolnił się od niego, wyszedł natychmiast z domu, rozkazawszy mi iść za sobą. Poszliśmy prosto do Eufrazji, która o sto kroków najwięcej, mieszkała od naszego domu, zastaliśmy ją w pokojach z przepychem urzędowych. Ubrana była wykwintnie, z pierwszego wejścia zdawała się tak młoda, że można ją było wziąć za małoletnią, chociaż miała już pewnie ze trzydzieści lat z okładem. Mogła uchodzić za ładną, a wkrótce dziwiłem się jej dowcipowi. Nie była ona z liczby tych zalotnic, które jedynie zalecają się ujmującym szczebiotaniem, i swobodnym zupełnie wzięciem się; ona była skromna w postępowaniu i w mowie, nadzwyczaj dowcipnie rozmawiała, nie pokazując bynajmniej, że chce uchodzić za dowcipną. Patrzyłem na nią z podziwem. O Boże! pomyśliłem, czy podobna, aby osoba, która się tak skromną wydaje, zdolna była pędzić życie rozwiązłe.

Don Gonzale nie był w guście tych panów, którzy wymagają piękności śmiałych; takich on znieść nie mógł, dla przypodobania się jemu, kobiecia musiała przybrać postawę westalki; dlatego też, Eufrazia stosując do tego swoje postępowanie, pokazywała, że nie wszystkie dobre komedyantki, były na see-

nie. Zostawiłem mego pana z jego niarfą, a sam zszedłem do sali, w której zastałem starą pokojówkę, którą poznałem jako dziewczynę, towarzyszkę komedyantki. I ona ze swojej strony przypomniała sobie mnie, i oboje odprawiliśmy scenę poznania się, godną znaleźć miejsce w sztuce teatralnej. — Ah! jak się masz panie Gil Blas, ozwała się w radosnym uniesieniu subretka, oddaliłeś się więc od Arseni, tak jak ja od Konstancji? — Tak jest w istocie, odpowiedziałem, już dawno ją opuściłem; później już służyłem u panny znakomitego rodu. Życie osób do teatru należących, nie zgadza się z moim gustem. Dałem sobie odprawę sam, nie racząc się wdawać w żadne wyjaśnienia z Arsenią. — Wybornie zrobiłeś, rzekła subretka, Beatrix zwana. Ja prawie tym samym sposobem postąpiłam z Konstancją. Pewnego pięknego poranku, złożyłam jej rachunek oszczędny, odebrała go, nie rzekłszy ani słowa, i zostałyśmy się dosyć grzecznie.

— Cieszę się mocno, że się spotykamy w domu daleko uczciwszym. Dona Eufrazia zdaje mi się w pewnym względzie kobietą wyższego rodu, i mniemam, że jest bardzo dobrego charakteru. — Nie myślisz się wcale, odpowiedziała mi stara towarzyska, ona pochodzi z pięknej rodziny, co się objawia w jej obejściu się; a co się tyczy jej humoru, mogę ci zaręczyć, że nie widziałam jednostajniejszego i słodsze. Nie jest ona z liczby tych pań gwałtownych i trudnych do zaspokojenia, które znajdują we wszystkich coś do przygany, które bez ustanku łają, dręczą służących, a których służba, jednym mówiąc wyrazem, jest istnym piekłem. Nie słyszałam jej łajaczej, ani razu jednego, tak dalece lubi łagodność. Kiedy mi się zdarzyło nie zrobić czego według jej fantazyi, zganił mi to bez gniewu, a nigdy jej się nie wymknie ten przydomek, którym popędliwe panie tak szczerze szafują. — Mój pan, rzekłem na to, jest także bardzo łagodny; poufał mi ze mną i obchodzi się jak z równym sobie, ale nie jak ze służącym; słowem, jest to pan najłepszy z ludzi, a ztąd jesteście oboje daleko lepiej jak u komedyantek. — Tysiąc razy lepiej, odpowiedziała Beatrix; tam żyłam w gwarze światowym, gdy tymczasem tutaj, żyję jak na ustroniu. Żaden tu mężczyzna nie pokaże się prócz pana Gonzale. A ja w moim odosobnieniu, nie będę widziała nikogo prócz ciebie; nie raz zazdrościłam Laurze, że cię miała za przyjaciela; ależ mam nadzieję, że i ja nie będę mniej szczęśliwa. Jeżeli nie jestem tak młodą i piękną, natomiast nie cierpię załotów, czego mężczyźni nie mogą dostatecznie ocenić; co do wierności, jestem prawdziwą synogarlicą.

Ponieważ szanowna Beatrix, była jedną z tych osób, które muszą się oświadczać z swoimi względami, bo niktby nie starał się o nie, dla tego nie miałem najmniejszej pokyny korzystania z jej ofiary. Nie chciałem przecież dać jej uczuć mojej wzdary, owszem, tak uprzejmie rozmawiałem z nią, iż nie mogła tracić nadziei natchnienia mnie miłością ku sobie. Wystawiałem więc sobie, że uzyskał serce stariej pokojówki, i jeszcze uwodziłem się w tym razie. Subretka nie dla moich pięknych oczu tak ze mną postępowała; zamiarem jej było obudzić we mnie miłość, aby mnie użyć do interesów swojej pani, dla której z taką była żarliwością, że wcale nie zważała na to, co by ją to miało kosztować. Błąd mój poznałem zaraz nazajutrz rano, gdy przyniosł do Eufrazji słodki bilecik od mego pana. Ta pani przyjęła mnie bardzo grzecznie, tysiąc mi wyrazów ujmujących powiedziała, i pokojówka także do tego się mieszała. Jedna chwaliła moje wejście, druga uwielbiała przezorność i skromność. Słuchając ich tedy, don Gonzale w osobie mojej prawdziwy skarb posiadał. Słowem, tak mnie wychwalały, że wcale nie ufał ich słowom. Docieknęłam ja zaraz powodów, ale przyjmowałem wszystko na pozór z prostotą zupełnego głupca, a tak chytróść na chytróść, oszukałem oszutki, rzuciły więc maskę.

— Słuchaj Gil Blas, mówiła mi Eufrazia, szczęście twoje od ciebie zależy. Działajmy wspólnie mój przyjacielu. Don Gonzale jest stary, ma zdrowie tak słabowite, że najłagodniejsza febra, przy pomocy dobrego lekarza, niezawodnie go sprzątnie. Korzystajmy z chwil, które mu zostają, i tak działajmy, aby mi większą część swojego majątku zostawił. Będziesz miał

z tego dobry udział, to ci zaręczam; na tę obietnicę tak liczyć możesz, jak gdybym ci ją zrobił przed wszystkimi notaryuszami Madrytu. — Pani, rzekłem jej, rozrządzaj sługą swoim; wskaż mi tylko drogę postępowania, a będziesz zadowolona. — Dobrze, mówiła Eufrazia, zwróć więc pilną uwagę na twojego pana, i o każdym jego kroku zdawaj mi sprawę. Skoro oba rozmawiać będziecie, nieomieszkaj nakręcać gawędki do kobiety, a ztąd bierz powód, ale zręczne, do pochwał moich; rozprawiaj mną o Eufrazji, ile tylko będziesz mógł. Ale to jeszcze nie wszystko, mój przyjacielu, żądam jeszcze od ciebie, abyś pilnie baczył na wszystko, co się dzieje w rodzinie Pacheco. Jeżeli spostrzeżesz jakiego krewniaka pana Gonzale, skrzętnie mu nadskakującego, dybającego na jego spadek, zawiadomisz mnie o tym natychmiast; więcej nie żądam od ciebie; ja go wkrótce sama wykurzę. Ja znam różne charaktery krewnych twojego pana, wiem jak ich można u niego na śmiechność wystawić, i już niezgorzej przysoliłam wszystkim jego synowcom i siostrzeńcom.

Wysłuchawszy takowej nauki, i innych jeszcze przestróg, które do niej dodała Eufrazia, pomiarkowałem, że to jest pani z rzędu tych, które się czeplają starców wspaniałomyślnych. Przed niedawnym czasem zobowiązała pana Gonzale do sprzeczania jednej włoski, za którą pieniądze zagarnęła. Codziennie go dobrze podskubywała, a mimo to miała nadzieję, że o niej nie zapomni w testamencie. Udałem że przystaję na wszystko, czego odemnie żądano; mówiąc zaś szczerze, wahałem się wracając do domu, czy mam pomagać do oszukiwania mego pana, czy starać się odstręczyć go od jego kochanki. Ten ostatni zamiar, zdawał mi się uczciwszym od pierwszego, uczułem więc w sobie więcej skłonności do spełnienia mego obowiązku, niż do zdrady. Prócz tego Eufrazia nie obiecywała mi nic stanowczego, a może po części i to było przyczyną, że nie mogła skazać mojej wierności. Postanowiłem więc szczerze służyć don Gonzalowi, w tym przekonaniu, że jeżeli mi się uda oderwać go od jego bóstwa, sowiciej zostanie wynagrodzony za ten dobry uczynek, niż bym był za zły, gdybym go spełnił.

Żeby dopiąć zamierzonego celu, objawiałem zupełne poświęcenie na usługi dony Eufrazji. Wmówiłem w nią, że o niej zawsze rozmawiałem z moim panem, i na rachunek tego, dziwnie jej prawilnie dąby, a ona wszystko przyjmowała za dobrą monetę. Tak dobrze wsrubowałem się w jej umysł, że była przekonana, iż jej interesu jedynie pilnuję. Żeby tym lepiej ją omanić, udawałem zakochanego w Beatrycy, a ta ze swojej strony uradowana, że w tym wieku ma u stóp swoich młodego człowieka, nie troszczyła się bynajmniej, czy będzie zwiedziona, byleby ją zwoził dobrze. Kiedyśmy byli przy naszych bogactwach, ja i mój pan, wtedy przedstawialiśmy dwa obrazy różne, ale w tym samym rodzaju. Don Gonzale suchy i bladej, jak go wyżej przedstawiłem, miał postać konającego. Hekróć słodkie oczki zrobił; moja syrena, kiedy mój zapach objawiał, przybierała ruchy dziecinne, i poruszała wszystkie zasoby starej załotnicy, a była pewnie ze czterdziści lat w tej szkole. Wyzłifowała się przy jednej z tych bohaterek załotów, które nawet w starości podobać się umieją, i umierają obciążone łupami dwóch lub trzech pokoleń.

Nie dość było dla mnie, że co wieczór z moim panem bywałem u Eufrazji, chodziłem tam często sam w dzień, spodziewając się że kiedyś spostrzegę młodego gacha ukrytego; ale o którejkolwiek godzinie przyszedłem, nigdy nie spotkał żadnego mężczyzny, ba nawet ani kobiety, któraby miała mnie dwuznaczoną. Nie mogłem odkryć ani śladu przeniewierzenia się: co mnie nie pomatu dziwiło: bo chociaż Beatrix zapewniała mnie, że jej pani nie przyjmuje żadnych odwiedzin mężkich, ja przecież nie mogłem przypuszczać, aby tak piękna kobieta mogła być ściśle wierna panu Gonzale. I ztąd nie było to posądzenie płocze: piękna Eufrazia by z większą cierpliwością mogła oczekiwać spadku mego pana, już się zaopatrzyła w kochankę stosowniejszego do jej wieku.

Pewnego poranku przyniosłem słodki bilecik, według zwyczaju, do naszego bóstwa. Gdy wszedł do pokoju, spostrzegłem nogi mężczyzny ukrytego poza parawanem. Starałem się

nie pokazać po sobie, że m je widział, i zaraz wyszedłem spełniwszy moje posłannictwo: a chociaż taka rzecz nie powinna była mnie dziwić, chociaż nie wchodziła w mój rachunek, przecież mocno mną wstrząsnęła — Ah, wiarolonna, rzekłem z oburzeniem, występna Eufrazyo! toż mało dla ciebie durzyć pocziwego starca, że go kochasz; trzeba żebyś się poświęcała innemu, aby dopełnić swojej zdrady! Jakże ja byłem głupi, kiedy sobie wspomnę to moje rozumowanie! Należało raczej rozśmiać się z tego przypadku, trzeba było uważać to po prostu za wynagrodzenie nudów i przykrości, jakiej doznawała w stosunkach z moim panem. Byłoby bez porównania lepiej, gdybym był słowa o tēm nie bąknął, nie żeby m miał korzystać z tej sposobności do odegrania roli wiernego sługi. Lecz zamlast powściągnąć moją gorliwość, ja wdalem się z zapalem w interes pana Gonzale, opowiedziałem mu wiernie com widział, dodając do tego, że Eufrazia starała się mnie uwieść: nie zataiłem ani słowa z tego co do mnie mówiła: tak dalece, że od niego tylko zależało, aby poznał swoją kochankę. Rzucił mi kilka pytań, jak gdyby nie dowierzał mojemu opowiadaniu, lecz odpowiedź moje nie zostawły mu ukontentowanla, by mógł powątpiewać o rzetelności mojej. To wywarło silne na nim wrażenie, mimo zimną krew, jaką w każdej innej rzeczy zachowywał, gniew błysnął na jego twarzy i zdawało się, że Eufrazyi nie ujdzie bezkarnie to jej przeniewierzenie się. — Dosyć tego, Gil Blasię, rzekł do mnie, czuję mocno to przywiązanie, jakie mi objawlasz w służbie swojej, podoba mi się twoja wierność. Idę natychmiast do Eufrazyi, wymówię jej wszystko, i zerwę na zawsze z niewdzięczną. To mówiąc wyszedł istotnie, udając się do niej, uwolnił mnie od towarzyszenia sobie, aby mi oszczędzić przykręj roli, jakąbym musiał odegrać w chwili ich rozprawy.

Z największą niecierpliwością wyglądałem powrotu mojego pana. Nie wątpiłem bynajmniej, że mając tak słuszny powód urazy do swojej nimfy, albo się zupełnie z nią rozłączy, albo przynajmniej postanowi oddalić się od niej. W tēm przekonaniu cieszyłem się już z mojego dzieła. Wystawiałem sobie radość krewnych don Gonzale, skoro się dowiedzą, że przestał być igraszką namiętności, tak przeciwniej ich interesom. Pochebiałem sobie, że mi będą wdzięczni za to, i że wreszcie odróżnię się od innych służących, którzy pospolicie skłonniej si są do utrzymywania panów swoich w rozwiązłości, niż do wydobycia ich z niej. Lubiłem honor, i z radością wyobrażałem sobie, że uchodzić będę za fenixa między służącymi. Ale tak słodkie marzenia zniknęły w kilku chwilach. Pan mój wrócił. — Mój przyjacielu, miałem dość żwawą rozprawę z Eufrazyą. Nazwałem ją niewdzięczną i wiarolonną; nie oszczędzałem wyrzutów. Więszce co mi odpowiedziała? Że źle robię słuchając lokajów. Utrzymuje, żeś mi fałszywe złożył doniesienie. Według jej wyrażenia, ty jesteś szalierz, sługa poświęcony moim synowcom, że dla ich miłości starasz się jak najsiłniej poróżnić mnie z nią. Widziałem w jej oczach łzy, ale łzy szczerre. Przysięgała na wszystko co tylko może być najświętsze, że ci żadnych nie robiła przedstawień, że żaden mężczyzna u niej nie postanie. Beatrix, która mi się zdaje bardzo uczciwą dziewczyną, niezdolną do zmyślenia, zaręczała mi toż samo; tak dalece, że mimowolnie gniew mój uspokoił się.

— Włec jakże! przerwałem z zalem, pan nie nfasz mojej szczerości? masz w podejrzeniu.... — Nie moje dziecko, przerwał znowu on z kolei, odając ci sprawiedliwość. Nie wierzę abyś był w znowie z moimi synowcami; jestem mocno przekonany, że interes mój jedynie silnie cię obchodzi, i za to wdzięczny ci jestem: lecz mimo to wszystko, pozory są często zwodnicze; być może, iż w istocie nie widziałeś, co ci się zdawało; a w takim razie sam osądz, jak dalece twoje oskarżenie musiało być nieprzyjemne Eufrazyi! Cóżkolwiekbać, jest to kobieta, której nie mogę opuścić; takie moje przeznaczenie: muszę jej nawet zrobić ofiarę, której wymaga od mojej miłości, a tą ofiarą jest oddalenie ciebie. Boleję nad tēm, mój biedny Gil Blasię, mówił dalej, i zaręczam ci, że niechętnie przystałem na to: ale nie mogłem zrobić inaczej: lituj się nad moją słabością; lecz

co cię pocieszać winno, to że cię nie odprawię bez nagrody. Nadto chcę cię umieścić u jednej damy, mojej przyjaciółki, gdzie będziesz miał bardzo przyjemną służbę.

Ten zwrot mojej gorliwości przeciw mnie samemu, przejął mnie do żywego. Przeklinałem Eufrazyą, oplakując słabość pana Gonzale, że się dał jej tak opętać. Pocięży starzec czuł dobrze, że odprawiając mnie, nie bardzo męskiego dopełniał czynu, zwłaszcza robiąc to tylko dla przypodobania się swojej zalotnicy: dlatego też aby mi mniej dać uciec swoją słabość i osłodzić pigułkę, dał mi pięćdziesiąt dukatów, i zaraz nazajutrz zaprowadził mnie do margrabiniej Chaves, do której odezwał się w mojej przytomności, że jestem młodym człowiekiem pełnym najlepszych zdolności i przymiotów; że mnie kocha i że tylko powody familijne nie dozwalają mi zatrzymać mnie dłużej, dlatego prosi ją, żeby mnie przyjęła w poczet służby swojej. Przyjęła mnie natychmiast i tym sposobem niespodzianie ujrzałem się w nowym domu.

ROZDZIAŁ VIII.

Charakter margrabiniej Chaves i jej zwyczajne towarzystwo.

Margrabina de Chaves była wdową, mającą lat trzydzieści pięć: dobrego wzrostu, piękna i kształtna. Dochód jej roczny wynosił dziesięć tysięcy dukatów, dzieci nie miała. Nie widziałem kobiety posępniejszej i tak mało mówiącej. Mimo to uchodziła za najsławniejszą w całym Madrycie. Zbiór znakomity osób wyższego towarzystwa i literatów jaki u niej codziennie widzieć można było, włeczej może przykładał się do ustalenia jej wziętości w tym względzie, aniżeli jej własne przymioty. Jestto rzecz o której ja wyrokować nie myślę. Powiem tylko, że do jej imienia przywłączane było wyobrażenie geniuszu wyższego rzędu, a dom jej w mieście nazywano wyłączenie biurem dzieł dowcipu.

W istocie czytywano tam codziennie to poemata dramatyczne, to inne poezyc. Ale same tylko dzieła poważne; sztuki komiczne były wzgardzone. Najlepszą komedią, powieść najdowcipniejszą i najweselszą, poczytywano za plód nikizemny, nie godzien wejrzenia: gdy przeciwnie dzieło poważne, odę, eklogę, sonnet, uważano za najszczytniejszy połot umysłu ludzkiego. Zdarzało się, że publiczność nie zawsze potwierdzała wyrok tego biura, a nawet czasami niegrzecznie wygwizdano sztuki, które tam zyskały huczne oklaski.

Zostałem mistrzem sali w tym domu, to jest, do mojego obowiązku należało przygotować wszystko w pokojach mojej pani do przyjęcia towarzystwa; ustawić krzesła dla mężczyzn, sofy dla kobiet: poczem stałem przy drzwiach pokoju, zawiadamiając o przybywających i wprowadzając ich. Zaraz pierwszego dnia w miarę jak wprowadzałem gości, nadzorca paziów trafem obecny w przedpokoju, opisywał mi ich w naiwnym sposobie. Nazywał się on Andrzej Molina. Z natury zimny i szyderycy, ale przy tēm dowcipny. Najpierw przedstawił się wysoki dygnitarz kościelny. Skorom go wprowadził, nadzorca paziów rzekł mi: ten pan jest dosyć zabawnego charakteru, ma on cokolwiek wziętości u dworn, ale chciałby w cały świat wzmówić, że ma nieograniczone zaufanie. Ofiaruje swoją protekcyą wszystkim, a nikomu nie dobrego nie zrobił. Raz na pokojach królewskich spotyka młodego kawalera, który mu się uklonił: natychmiast go zatrzymuje, morduje grzecznościami, i ścisnąc go za ręce, cały rzeczce, jestem na usługi pańskie. Następcz mi z łaski swojej sposobność, a ręcę ci, że pierw zginę nimbym miał pomoić ją bez przysłużenia się panu. Kawaler podziękował mu z największą wdzięcznością; a skoro się obadwa rozeszli, dygnitarz rzekł do jednego z towarzyszących mu: „Zdaje mi się, że znam tego człowieka, jakoś snuje mi się po głowie, że m go gdzieś widział.”

Zaraz potem pojawił się syn granda; a gdy m go wprowadził do pokoju mojej pani, Molina odezwał się do mnie:—I ten pan także jest oryginałem. Wystaw sobie, że często wchodzi do domu jakiego dla rozmówienia się o ważnym interesie z panem domu, a tymczasem po niejkiej chwili wychodzi, zapomniaw-

szy o nim.—Ale otóż, dodał nadzorca, widząc wchodzące dwie kobiety, to jest dona Angela de Penafiel i dona Margarita de Montalvan. Są to dwie istoty zupełnie między sobą różne. Dona Margarita chlubi się, że jest filozofką; śmiało stawia czoło największym doktorom Salamanki, i w rozumowaniach swoich nigdy nie ustąpi ich dowodom. Co się tyczy dony Angeli, ona wcale nie udaje uczonęj, chociaż jest nadzwyczaj ukształcona. Jej mowa jest niesłychanie trafną, myśli wyborne, wyrażenia wykintne, szlachetne i naturalne.—To mły charakter, odezwałem się do Moliny; ale tamten powyższy zda mi się wcale niewłaściwy dla poci pięknej.—Nie bardzo, rzekł Molina uśmiechając się: wiele jest mężczyzn, którzy się tym sposobem na śmieszność wystawiają. Pani margrabina nasza, dodał, uroiła sobie także filozofią w głowie. Oh co to tu dziś narozprawiają! Boże daj, aby w tych rozprawach religia się nie zawikłała!

Właśnie to kończył, kiedyśmy ujrzeli wchodzącego mężczyzną wychudłego, który miał minę poważną i kwaśną. Mój nadzorca nie oszczędził go także.—Ten oto, rzekł mi, jestto jeden z tych silnych umysłów, które chcą uchodzić za wielkie genjusze pod zasłoną milczenia, lub kilku zdań wydobytych z Seneki, a to są istnie głupcy, jak się dobrze przypatrzysz. Wszedł następnie młodzieniec dosyć kształtny, który miał postać grecką, to jest wyraz twarzy pełen zarumieniałości. Zapytałem się, koby to był. To jest poeta dramatyczny, rzekł Molina. Sto tysięcy wierszy sklepał w swoim życiu, które mu nie przyniosły trzech szelągów, ale za to na przekorę szczęścia wierszami prozy ustalił sobie byt wyborny.

Zabierałem się do słuchania objaśnień o rodzaju szczęsnego losu, tak małym kosztem pozyskanego, gdy wtém usłyszałem wielki hałas na schodach.—Przedziwnie, rzekł nadzorca, otóż i licencyat Campanario. Daje już znać o sobie, choć go jeszcze nie widać: zaczyna on rozprawić począwszy od bramy i nie kończy póki nie wyjdzie z domu. W istocie po wszystkich kątach rozlegał się głos grzmącego licencyata, który wreszcie wkroczył do przedpokoju z bakałarzem swoim przyjacielem, i nie przestał rozprawić póki nie wszedł.—Pan Campanario, odezwałem się do Moliny, jest zapewne niepospolity geniusz.—Tak jest, odpowiedział mój nadzorca, jestto człowiek pełen pomysłów świętych, wyrażenie jego bardzo zręczne i delikatne; w towarzystwie zabawny. Ale prócz tego, że jest nieznośnym gadułą, jeszcze do tego często się powtarza; żeby za rzeczym nie nadawać wyższej ceny nad ich rzeczywistą wartość, jaby mniemał, że przyjemna i komiczna postawa, będąca przyprawą jego rozmowy, całą jej zaletę stanowi. Większa część jego dowcipnych wyrażen nie wielkoby zaszczyt przyniosła zbiorowi trafnych powiastek.

Schodziły się jeszcze inne osoby, które Molina zabawnie malował. Nie zapomniał także o portrecie margrabini, i ten zupełnie przypadł mi do smaku.—Przedstawiłbym ci, mówił mi, naszą panią, jako umysł dosyć jeduostajny, pomimo jej filozofii. Nie jest wcale trudnego do zaspokojenia humoru, bardzo mało kapryśów znosić przychodzi w jej usłudze. Jestto kobieta najrozsądniejsza z pań znakomitego rodu; niema nawet żadnej namiętności. Nie lubi ani gry, ani załotów, lubi jedynie rozmowę. Życie jej byłoby bardzo nudne dla większej części naszych kobiet. Nadzorca uprzedził mię przez tę pochwałę na korzyść mojej pani. Ztémwszystkiem w kilka dni później nie mogłem się wstrzymać od posądzenia jej, że nie jest tak wielkim wrogiem miłości, i zaraz powiem na jakiej zasadzie opierałem moje podejrzenie.

Pewnego poranku kiedy się ubierała, przedstawił mi się człowiek niskiego wzrostu, czterdziestoletni, odrażającej postaci, brudniejszy od autora Pedro de Moya, i nadzwyczaj garbaty. Mówił mi, że się chce widzieć z panią margrabina. Zapytałem się z czyjego polecenia.—Z mojego własnego, odpowiedział dumnie. Powieź jej, że jestem ten sam kawaler, o którym wczoraj mówiła z doną Anną de Velasco. Wprowadziłem go do pokojów pani i zawiadomiłem ją o tém. Margrabina natychmiast wykrzyknęła z umiesieniem radosnym i kazała go prosić. Nie dosyć, że go przyjęła bardzo uprzejmie, ale nadto oddaliła wszystkie kobiety z pokoju, tak dalece, że garbus szczęśliwszy od

każdego innego człowieka porządnego, został z nią sam jeden. Pokojówki śmiały się wraz ze mną z tej rozmowy sam na sam, która trwała blisko godzinę; poczem moja pani pożegnała go z wielką uprzejmością, okazującą, że była z niego bardzo kontenta.

W istocie tak się jej podobała z nim zabawa, że wieczór powiedziała mi na stroule: Gil Blas, skoro ten garbaty przybędzie, wpuść go do mojego pokoju jak najsekretniej. Przyznam się, że takowy rozkaz dziwne we mnie obudził domysły: lecz słownie do rozkazu margrabini, jak tylko garbus przybył, co zaraz nazajutrz rano nastąpiło, natychmiast skrytemi schodami zaprowadziłem go presto do pokoju pani. To samo święcie spełniłem dwa czy trzy razy później, wnosząc z tego, że albo margrabina ma jakieś skłonności dziwaczne, albo ten mały człowieczek zastępuje miejsce pośrednika.

Takowem uprzedzeniem zajęty, pomyśliłem sobie, dali Bóg, jeżeli moja pani kocha jakiego mężczyznę urodziwego, nie mam jej za złe; lecz jeżeli sobie zawróciła głowę tym dziwołgiem, nie mógłbym jej przebaczyć tak znieprawionego gustu. Jakżem niebacznie sądził o mojej pani! Mały garbus wdawał się w magię, a że uwielbiano jego wiadomości przed margrabina, której się podobał niesłychanie wszelki orok kuglarski, dlatego pragnęła powołać z nim na osobność. Pokazywał dziwne rzeczy w szklance, obracał rzeszotem, za pieniądze objawiał wszystkie tajemnice kabały: czyli szczerzej mówiąc, byłto oszust, który się utrzymywał kosztem osób łatwowiernych: a jak powiadano wiele kobiet płaciło mu haracz.

ROZDZIAŁ IX.

Jakiem zdarzeniem Gil Blas oddalił się od margrabini i co się z nim zrobiło.

Już sześć miesięcy upłynęło jak byłem w domu margrabini, bardzo zadowolony z mojego miejsca. Ale przeznaczenie, które miałem spełnić, nie dozwoliło mi dłuższego pobytu u tej pani, ani nawet w Madrycie. Oto jest przypadek, który mnie zmusił do oddalenia się.

Między pannami mojej pani, była jedna nazwiskiem Porcia. Młoda, piękna, a przytém tak dobra, że przywiązałem się szczerze do niej, nie wiedząc, że trzeba będzie walczyć o jej serce. Sekretarz margrabini, człowiek dumny i zazdrosny, zakochany był w mojej miłej. Ledwie co spostrzegł moje załoty, nie wchodząc w to, jakim okiem spogląda na mnie Porcia, postanowił zaraz wziąć się do szpady. W tym celu zaprosił mnie na godzinę oznaczoną w miejsce ustronne. Że zaś był to człowieczek, który wzrostem swoim zaledwie mi sięgał pod pachę, zdawał mi się więc słabym, a tómsamem miłej niebezpiecznym spółzawodnikiem. Pełen zaufania udałem się na miejsce wskazane. Pewny zwycięstwa łatwego, sądziłem, że będę miał czém pochłubić się przed Porcią; ale wypadek zawiódł moje oczekiwanie. Malutki sekretarzyna mając dwa czy trzy lata wprawy na sali, od razu rozbroił mnie jak dziecucha, a wskazując mi ostrze szpady odezwał się, gotuj się na śmierć, albo daj mi słowo honoru, że natychmiast opuścisz dom margrabini i zrzeszesz się na zawsze Porci. Złożyłem mu chętnie to przyrzeczenie i dotrzymałem go bez żału. Przykro mi było tak haniebnie zwyciężonemu, pokazać się w pałacu przed innymi służącymi, a nadewszystko przed nadobną Heleną, która była przedmiotem tej walki. Wróciłem przeto dla zebrania manatków i pieniędzy, i tegoż samego dnia byłem na drodze do Toledo z sakiewką nieźle opatrzoną i z porządnym tłumoczkim. Chociaż nie obowiązałem się opuszczać Madrytu, sądziłem wszakże, iż mi wypada oddalić się przynajmniej na pewny czas. Postanowiłem więc przebieść całą Hiszpanią od miasta do miasta. Z pieniędzmi jakie mam, daleko zajdę, tak sobie mówiłem, zwłaszcza rozsądnym będąc w wydatkach, a jak się rozproszą, to znówu pojędę do służby. Taki chłopak jak ja, znajdzie w ostatniej potrzebie miejsce, skoro tylko zechce i ja będę je miał do wyboru.

Chciałem szczerzej zwiedzić Toledo i przybyłem doń trzeciego dnia. Stałem w porządnym hotelu i uchodziłem za znako-

młodego kawalera w ubiorze dobrej fortuny, w który się ustroiłem, a mając minę panicza, nie trudno mi było wejść w stosunki z ludźmi kobietami w sąsiedztwie: ale dowiedziawszy się, że trzeba u nich zaczynać od znacznych wydatków, powściągnąłem moją żądzę; że zaś opanowała mnie chętka podróżowania, obejmując więc wszystko, co tylko mogło być ciekawego w Toledo, ruszyłem pewnego poranku równo ze świtem, zmierzając do Cuenzy, by się dostać do Aragonii Drugiego dnia mojej podróży wstąpiłem do karczmy, którą spoikałem po drodze, a gdym się posilał, przybył oddział towarzyszków świętego Hermandadu. Panowie ci kazali sobie dać wina i pijak, opisywali sobie młodego człowieka, którego mieli rozkaz przytrzymać. Nadstawiłem więc ucha: ten panicz, mówił jeden z nich, niema więcej nad dwadzieścia trzy lat, nosi długie czarne włosy, pięknego wzrostu, nos orli, jedzie na koniu skarogniadym.

Słuchałem ich, nie pokazując po sobie najmniejszego zajęcia, i w istocie wcale mnie to nie obchodziło. Zostawiwszy ich w karczinie, puściłem się w dalszą drogę. Zaledwie pół ćwierci mili uszedłem, gdym spostrzegł młodego człowieka, bardzo przystojnego, na koniu gniadym. Dalibóg, pomyślałem sobie, otóż jest człowiek, którego towarzysze szukają, chyba że mnie oczy zwodzą. Włosy ma czarne, długie, nos orli; to ten niezawodnie, którego chcą złowić: muszę mu się przysłużyć.—Panie, rzekłem do niego, pozwól się zapytać, czy nie masz czasem na swoich ramionach jakiejś sprawki honorowej. Młody człowiek nic nie mówiąc spojrział na mnie zdziwiony tym pytaniem. Zapewniłem go, że to nie ciekawość skłania mnie do tych wyrazów; a skorom mu opowiedział com słyszał w kar-



Śmierć braciszka don Juana.

czmie, przekonał się o rzeczywistości mojego zapewnienia. Wspaniałomyślny, nieznamy mi panie, nie będę ci tań, że mam powody przypuszczania, że ci panowie istotnie na mnie dybią, dla uniknięcia ich przeto inną puszcę się drogą.—Jabym mniemał, odpowiedziałem mu, że nam wypada szukać miejsca, w którymbyś był bezpiecznym, i gdziebyśmy znaleźli schronienie przed burzą, która się zbiera i wkrótce nadejdzie. W tejże chwili spostrzeżliśmy aleę gęstą obsadzoną drzewami, która nas doprowadziła do stóp góry, przy której znaleźliśmy pustelnia.

Była to głęboka i obszerna pieczara, którą czas w skałę wyżłobił, a ręka ludzka dodała do niej z przodu zabudowanie wystawione z glazów i muszli, pokryte murawą. Dokoła rozrzucone rosły tysiączne odmiany kwiatów, wonnością napełniających powietrze: obok tej grotty był w górze otwór, z którego wytryskał źródło czystej wody rozlewającej się po łące. Przy wejściu do tego samotnego mieszkania był poczciwy pustelnik, zdający się wiekiem przyciśnięty. Jedną ręką wspierał się na kiju, w drugiej zaś trzymał różaniec z wielkimi paciorkami,

składający się najmniej ze dwudziestu koronek. Na głowę nacisnął brunatną wełnianą czapkę z długimi uszami, a broda, bledsza od śniegu sięgała mu do pasa. Przystąpiliśmy do niego. —Mój ojeze, pozwoliszcie nam schronienia przed burzą, która nam zagraża?—Pójdźcie moje dzieci, odpowiedział pustelnik, popatrzywszy na mnie z uwagą: pustelnia otwarta jest dla was, możecie w niej mieszkać tak długo, jak się wam podoba. Co do konia waszego, pokazując nam przybudowanie, tam będzie dla niego wygodnie. Młody człowiek, mój towarzysz, wprowadził tam konia i potem obadwa posłaliśmy za starcem do grotty.

Zaledwieśmy tam stanęli, gdy gwałtowny lunął deszcz, z błyskawicami i straszniemi grzmotami. Pustelnik uklęknął przed obrazem świętego Pachomiusza przyklejonym na ścianie i myląc za jego przykładem zrobiliśmy toż samo. Grzmoty ustały: myśmy się podnieśli, lecz że deszcz ciągle padał, noc się zbliżała, starzec odezwał się: moje dzieci, nie radzę wam puszczęć się w drogę w takim czasie, chyba że nagły macie interes. Odpowiedzieliśmy obadwa, że nie mamy nic takowego coby nam przeszkadzało do zatrzymania się, a gdybyśmy nie obawiali się natręctwa, prosilibyśmy go o pozwolenie przepędzenia tej nocy w jego pustelni.—Nie będziecie mi natrętami wcale, odpowiedział starzec. Nad wami tylko nbolewać należy, bo będziecie mieli bardzo niewygodny nocleg, tembardziej, że wam nie ofiarować nie mogę prócz wleczery pustelniczej.

To mówiąc mąż ten światłobliwy posadził nas przy małym stoliku, dał nam po kilka cybulek, po kawalku chleba i dzbanek wody:—moje dzieci, przemówił do nas, otóż to jest moja codzienna uczta, ale dziś przez wzgląd na was muszę się dopuścić zbytku — i zaraz powstawszy przyniósł kawalek sera i ze dwie garści orzechów laskowych. Młody człowiek którego wcale odbiegł apetyt, nie bardzo neczył te potrawy.—Widzę, rzekł pustelnik, żeś do lepszego przyzwyczajony stołu, jak mój, czyli raczej że zmysłowość zepsuła twój gust wrodzony. I ja byłem takim samym na świecie. Mięsa najwyborniejsze, przysmaczki najwyszukańsze, jeszcze zbyt dobre dla mnie nie były; lecz gdym rozpoczął życie pustelnicze, smak mój odzyskał czystość pierwiastkową. Teraz najmilsze mi są korzonki, owoce, mleko, słowem wszystko to, co stanowiło pokarm pierwiastkowych ludzi.

Kiedy to mówił stary, młodzieniec zamyślił się mocno. Pustelnik to spostrzegłszy, rzekł,—mój synu, umysł twój widzę silnie zajęty. Nie mógłbym się spytać o przyczynę? Otwórz mi swoje serce. Nie dla cieżej ciekawości tego żądam, ale dla miłości bliźniego. Jestem w wieku w którym mogę ci dać radę, a ty w swoim możesz jej potrzebować. — Tak jest mój ojeze, odpowiedział młodzieniec westchnawszy, bezwątpienia potrzebuję rady, i kiedy mi ją laskawie ofiarujesz, chętnie jej usłucham. Sądzę, że bez żadnego narażenia się mogę się zwierzyć takiemu człowiekowi.—Nie, mój synu, nie obawiaj się niczego, możesz mi śmiało zaufać. Wtedy młodzieniec tak mówił zaczął.

ROZDZIAŁ X.

Historia don Alphonsa i pięknej Serafyny.

Nie będę ci nie obwijał w bawełnę, mój ojeze, równie jak i temu panu, doznawszy jego szlachetności, nieufność ku niemu byłaby grzechem z mojej strony. Opowiem wam przeto moje nieszczęścia. Jestem z Madrytu, takie zaś jest moje urodzenie. Oficer z gwardyi niemieckiej, baron Steinbach, wracając raz wieczór do domu, spostrzegł przy schodach jakiegoś zawiątku. Wziął je i zanosił do pokoju swojej żony: pokazało się że to było nowo narodzone dziecię powinięte w pieluszki ładne, z biletem, że to dziecię należy do osób znakomitych, które się kiedyś dadzą poznać: dodano przytęm, że już jest ochrzczone i dano mu imię Alphons. Tęm dzieckiem nieszczęśliwem ja jestem i oto wszystko co o moim początku wiem. Ofiara honoru, lub przeleniewierzenia, nie wiem; czy matka moja wyrzuciła mnie dla ukrycia jedynie haniebnych miłostek, albo czy uwiedziona przez wiarolomnego kochanka, ujrzała się w sroglej konieczności zaparcia się swojego dziecięcia.

Cóżkolwiek bąc baron i jego żona ulitowali się nad moim losem; a że nie mieli dzieci, postanowili więc wychowywać mnie pod imieniem Alphonsa. W miarę jak rostem, rosła ich także przychylność ku mnie. Moje postępowanie przymilające się i poehlebne zyskiwało ich pieszczoty. Wreszcie miałem szczęście pozyskać ich przywiązanie. Wystarali mi się o rozmaitych nauczycieli: wychowanie moje było jedynym przedmiotem ich rozmyślania: tak dalece, że zamiast wyglądać niecierpliwie rychłoli moi rodzice się objawiają; oni zdawali się pragnąć, aby moje narodzenie zostało na zawsze utajonem. Skoro baron uznał mnie zdolnym do broni, zapisał mnie zaraz do służby. Uzyskał dla mnie stopień chorążego, opatrzył mnie we wszystko należycie; i żeby mnie tém silniej zapalić do szukania sławy, przedstawił mi, że droga zaszczytów otwarta jest dla wszystkich zarównno, że na wojnie mogę pozyskać imię dla świętniejsze, że je sam sobie wtnien będę. Przy tej okazji objawił mi tajemnicę mojego narodzenia, którą aż dotąd ukrywał. Że zaś w Madrycie uchodziłem za jego syna, a sam byłem przekonany, że tak jest w istocie, przyznam się, że to zwierzenie się było mi bardzo bolesne. Nie mogłem i dotąd jeszcze nie mogę pomyśleć o tém bez zarumientania się. Im silniej uczucie moje zdaje się przekonywać mnie o szlachetnym pochodzeniu, tém więcej czuję poniżenie, widząc się opuszczonym przez tych, którym życie wtnienem.

Udałem się na służbę do Niderlandów; lecz wkrótce zawarto pokój, a ponieważ Hiszpania nie miała już nieprzyjaciół, choć jej nie brakowało zawistnych, wróciłem więc do Madrytu, gdzie tak od barona, jak i małżonki jego odbierałem nowe oznaki czulego przywiązania. Już blisko dwa miesiące upływały od mojego powrotu, gdy pewnego poranku mały pazik wszedł do mojego pokoju i oddał mi bilet, w tych ulewał wyrazach:

Nie jestem ani szpetna, ani niekształtna, a jednak często mnie widzisz w oknie bez najmniejszego przymylenia się. Takowe postępowanie nie przystoi wcale twoim oczkom szalotnym; i to mię tak silnie dotknęło, że pragnąc się zemścić za to, chcę ci ostarować moją miłość.

Przeczytawszy bilecik, nie wątpiłem, iż jest skreślony ręką wdowy, zwanęj Leonorą, mieszczkającej naprzeciw naszego domu i mającej wziętość wielkiej szalotnicy. Zacząłem się wypytować pazia, który z początku udawał bardzo ostrożnego, lecz za dukata zaspokoił moją ciekawość i nawet przyjął odpowiedź, w której zawiadamiłem moją panią, że uznaję mój występki, i czuję już, że jest napół pomszczona.

Nie byłem bardzo nieczuły na podobny rodzaj podboju. Tego dnia już wcale nie wychodziłem, raz poraz zbliżając się do okna dla obaczenia mojej pani, wkrótce też i ona stanęła w oknie swoim. Zacząłem jej dawać znaki: ona odpowiadała na nie i zaraz nazajutrz zawiadomiła mnie przez swojego pazia, że jeżeli bym chciał następnej nocy znajdować się na ulicy między go-

dziną jedenastą a północą, mógłbym z nią rozmówić się w oknie salona dolnego. Chociaż nie czułem zbyt gorącej miłości dla wdowy tak płochęj, dałem jej przecież odpowiedź pełną zapalu, a nocy tak oczekiwałem niecierpliwie, jak gdybym był uajszalenięj rozkochany. Kiedy więc zciemniło się, udałem się do Prado, tam chcąc oczekiwać oznaczonej godziny. Zaledwie przybyłem, gdy jakiś mężczyzna na pięknym koniu stanął tuż przy mnie, zsiadł i przystępując odezwał się dość groźnie: — kawalerze, nie jesteście synem barona Steinbach? — Tak jest, odpowiedziałem. — A więc to ty jesteś, który dziś masz się widzieć z Leonorą? Widziałem jej listy i twoje odpowiedzi; pokazał mi je paż jej; dlatego sledziłem cię tego wieczorn od wyjścia z domu twojego poczawszy, aż do miejsca, aby ci oświadczyć, że masz spółzawodnika, którego próżność czyni się obrażoną, że ma się z tobą ubiegać o jej serce. Sądzę, że nie potrzebuję ci mówić więcej. Jesteśmy w miejscu ustronnem, walczmy więc, chyba, że unikając skarcenia, jakże ci wymierzyć gotów jestem, przyrzeczesz mi zerwać wszelkie stosunki z Leonorą. Poświęć mi powzięte nadzieje, lub życiem przypłacisz. — Trzeba było, rzekłem mu, żądać tej oflary, ale nie nakazywać ją; skłoniłbym się na twoją prośbę, pogrożkom zaś nie ustąpię.

A więc walczmy, rzekł przywiązawszy konia do drzewa. Osobie mojego stanu nie przystoi wcale zniżać się do prośby takiego jakim ty jesteś. Wielu z podobnych mi zemściłoby się na tobie w sposób mniej zaszczytny. Tknęty do żywego temi ostatnimi wyrazami, widząc, że on dobył szpady i ja także chwyciłem za moją. Z taką walczyliśmy wsiekletością, że cała rozprawa była bardzo krótką. Czyżże on za gorąco postępował, czy też może ja byłem zręczniejszy, wnet utopiłem mu szpadę w piersiach. Zachwał się i padł. Wtedy myśląc jedynie o własnem ocaleniu, wzięłem jego konia i puściłem się drogą do Toledu. Nie śmiałem wracać do barona Steinbach, w tém przekonaniu, że moja przygoda byłaby go mocno zmartwiła; a zastanowiwszy się nad niebezpieczeństwem mojem położeniem, osądziłem, że mi wypada jak najspieszniej opuścić Madryt.

W głębokim smutku pogrążony, rozmyślając nad swoim nieszczęściem, jechałem ciągle przez resztę nocy i cały poranek. Lecz koło południa trzeba było zatrzymać się, aby dać odpoczynek koniowi, i przetrzymać upał, który coraz nieznosniejszemu się stawał. Bawiłem więc we wsi aż do zachodu słońca; poczem chcąc jednym ciągiem dostać się do Toledu, puściłem się w dalszą drogę. Już dojechałem do Illesca a nawet dwie mile dalej, gdy wtém burza, podobna do dzisiejszej, zaskoczyła mnie wśród pola. Zbliżyłem się do muru ogrodowego, który spostrzegłem o kilka kroków przed sobą. Nie mając dogodniejszej ochrony, przytuiliłem się wraz z koniem, najlepiej jak tylko mogłem do drzwi altany, w końcu muru znajdującej się, nad któremi był balkon. Przyciskając się coraz mocniej, poczułem, że drzwi były otwar-



Wyznanie don Huberta.

żony, rozmyślając nad swoim nieszczęściem, jechałem ciągle przez resztę nocy i cały poranek. Lecz koło południa trzeba było zatrzymać się, aby dać odpoczynek koniowi, i przetrzymać upał, który coraz nieznosniejszemu się stawał. Bawiłem więc we wsi aż do zachodu słońca; poczem chcąc jednym ciągiem dostać się do Toledu, puściłem się w dalszą drogę. Już dojechałem do Illesca a nawet dwie mile dalej, gdy wtém burza, podobna do dzisiejszej, zaskoczyła mnie wśród pola. Zbliżyłem się do muru ogrodowego, który spostrzegłem o kilka kroków przed sobą. Nie mając dogodniejszej ochrony, przytuiliłem się wraz z koniem, najlepiej jak tylko mogłem do drzwi altany, w końcu muru znajdującej się, nad któremi był balkon. Przyciskając się coraz mocniej, poczułem, że drzwi były otwar-

te. Przypisywałem to niedbalstwu służących; zsiadłem z konia, i nie przez ciekawość, lecz dla lepszej ochrony od deszczu, od którego mnie balkon nie bardzo zasłaniał, wszedłem do altany, wprowadziwszy za sobą konia.

Wśród burzy zająłem się rozpoznaniem miejsca, i chociaż tylko przy świetle błyskawicy uważać mogłem, pomiarkowałem przecież, że to był dom, którego właściciel nie musi należeć do pospolitego gminu. Czekałem póki deszcz nie ustanie, aby w dalszą pućić się drogę; lecz światło, które z daleka spostrzegłem, zmieniło moje postanowienie. Zostawiłem konia w altanie, zamknąwszy drzwi, i udałem się za tym światłem, by prosić o nocleg, w przekonaniu, że jeszcze nie wszyscy śpią w tym domu. Przeszedłszy kilka ganków, zbliżyłem się do sali, której drzwi także otwarte zastałem. Wszedłem więc do niej i na widok przepychu jaki ujrzałem przy blasku kilku świec w kryształowym żyrandolu umieszczonych, powziąłem przekonanie, że się znajduję w domu wielkiego pana. Posadzka w niej była marmurowa, lamperye bardzo ładne i z wielką sztuką złoczone, gzymsy cudownej roboty, a sufit zdał mi się dziełem bardzo znakomitego malarza. Ale co mnie najwięcej uderzyło, to mnóstwo popiersi bohaterów hiszpańskich, ustawionych do koła sali na podstawach z marmuru jaspisowo nakrapianego. Mogłem swobodnie przypatrywać się wszystkiemu, bo choć raz po raz bacznie nadstawałem ucha, nie słyszałem najmniejszego szmeru, ani żywy duch się nie pojawił.

W jednej ścianie sali były drzwi, ale tylko przyknięte; otworzyłem je więc i ujrzałem kilka pokoiów w linii jeden za drugim, a z nich ostatni tylko był oświetlony. Co tu robić? pomyślałem. Mamże wrócić, czy zuchwale przedrzeć się aż do tego ostatniego pokoju? Zdawało mi się, że najrozsądniej było wrócić się; ależ trudno było oprzeć się ciekawości, czyli raczej wyłamać się z pod wpływu mojej gwiazdy, która mnie ciągnęła. Postąpiłem więc naprzód i przeszedłszy kilka pokoiów, dostałem się do tego, w którym było światło, to jest świeca w lichtarzu pozłacanym, stojącym na marmurowym stole. Ujrzałem naprzód meble czyste i wykwiśnięte, lecz rzuciwszy okiem na łóżko którego frunki z przyczyną gorącą na pół odsłonięte były, ujrzałem przedmiot, który całą moją uwagę pochłonął. Była to młoda kobieta, która głębokim snem spoczywała, nie słysząc trzasku burzy i huczących grzmotów. Zbliżyłem się cichuteczko i przy blasku świecy ujrzałem pleć i rysy które mnie oćmiły. Na ten widok zmieszalem się. Uczulem jakieś zachwycenie, szaf; lecz mimo całe wzruszenie jakie mną miotano, opinia powzięta o jej szlachetności oddalała odemnie wszelką myśl płochą i szacunek przeważał nad uczuciem. Kiedym się tak napawał jej widokiem, ona tymczasem przebudziła się.

Wystawcie sobie jej zdziwienie, gdy wśród nocy, w pokoju swoim, ujrzała nieznanego mężczyznę. Drgnęła na mój widok i zaczęła krzyczeć. Starałem się ją uspokoić: a klękając na jedno kolano, odezwałem się: — pani, nie lękaj się niczego, nie przybyłem tu by ci szkodzić. Chciałem dalej mówić, lecz tak była strwożona, że mnie wcale nie słuchała. Raz poraz wołała na swoje kobiety, a gdy nikt się nie odzywał, bierze lekką suknię wieczorną, która była przy jej łóżku i biegnie do pokoiów przez które ja przechodziłem, wołając na swoje służące i na młodszą siostrę, którą miała pod swoją opieką. Spodzieliwałem się przybycia wszystkich służalców i bałem się, aby się ze mną nie obeszlą przykro, nie wysłuchawszy mnie wcale; lecz na moje szczęście, wołanie jej było próżne, jeden tylko pokazał się stary sługa, któryby pewnie na niewiele się jej przydał, gdyby jakie istotne było niebezpieczeństwo. Jednakże obecność jego ośmielona, zapytała się mnie z dumą, ktobyim był, którego dy, i po co, tak zuchwale wdarłem się do jej pokoju. Zacząłem więc usprawiedliwiać się i tylko com jej powiedział, że zastałem otwarte drzwi altany; gdy w tej chwili wykrzyknęła: — O Boże! na jakż w tej chwili wpadam domysł!

To mówiąc wzięła świecę ze stołu, przebiegła wszystkie pokoje, jeden za drugim, nie znalazłszy w nich ani swoich kobiet, ani swojej siostry; uważała nawet, że zabrały wszystkie swo-

je rupiecie. Ujrawszy domysł swój sprawdzony, wróciła do mnie silnie wzruszona i rzekła: — wiarołomco! nie łącz fałszu ze zdradą. Nie trać sprowadził cię tutaj; ty należysz do orszaku Ferdynanda de Leyva i masz udział w jego zbrodni. Ale nie myśl, żebyś mi się mógł wymknąć; jeszcze mi dosyć ludzi pozostało, żeby cię przytrzymać. — Pani, mówiłem jej, nie łączaj mnie do twoich nieprzyjaciół. Nieznam wcale don Ferdynanda de Leyva; i tego nawet nie wiem kto pani jesteś. Ja jestem nieszczęśliwy, którego sprawa honorowa zmusiła do opuszczenia Madrytu; a przysięgam ci na wszystko, co tylko może być najświętszego, że gdyby nie burza, noga tu moja niepostałaby. Racz więc z większą względnością sądzić o mnie: zamiast posądzać mnie o spółnictwo zbrodni, która cię obraża, bądź przekonana, że gotów jestem pomścić się za ciebie. Te ostatnie wyrazy i ton z jakim je wymówiłem, ułomowały gniew tej pani, zdawała się już nie uważać mnie za swojego nieprzyjaciela; lecz jeżeli ją gniew ominął, tedy cała pograżyła się w żalności. Zaczęła gorzko płakać. Lzy jej rozczuliły mnie, i równie byłem strapiony jak ona, chociaż nie wiedziałem przyczyny trosków. Nie poprzestałem wszakże na płaczu z nią razem; zapalony zemstą za jej obelgę, do wściekłości dochodziłem. — Pani, rzekłem jej, co za obelga cię spotkała? Mów, podzielam zemstę twoją. Chceszże abym ściagał don Ferdynanda i przesył mu serce? Wymień mi wszystkich, których ci na ofiarę złożyć potrzeba, rozkaż. Jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, jakiegokolwiek nieszczęścia mogą być przywiązane do twojej zemsty, ten nieznanomy, którego posądzasz o spółnictwo z twoimi nieprzyjaciółmi, podejmie bez wahania się za ciebie.

To uniesienie zdziwiło tę panią i wstrzymało lzy jej. — Ah panie, rzekła, przebac mi te podejrzenia, przezwzgląd na stan w jakim się znajduję. Uczucia tak szlachetne wyprowadzają z błędu Serafinę, odejmują mi wszystko, nawet i wstyd mieć kogoś obcego świadkiem hańby wyrządzonej mojej rodzinie. Tak jest, szlachetny nieznanomy, wyznaję mój błąd i nie odrzucam twojej pomocy; lecz nie pragnę śmierci don Fernanda. — Włec jakieżże pani przysługi żądasz odemnie? rzekłem na to. — Panie, odpowiedziała Serafina, oto jest przyczyna mego nyskiwania. Don Fernand zakochał się w mojej siostrze Julii, którą ujrzał przypadkiem w Toledzie, gdzie zwykle mieszkamy. Będzie temu trzy miesiące jak żądał jej ręki od hrabiego Polan, mego ojca, który wręcz odmówił, z powodu dawnych niesnasek dzielących dwa te domy. Moja siostra niema jeszcze lat piętnastu; usłuchała zapewne zgubnych rad moich kobiet, które sobie bezwzględnie pozyskał don Ferdynand; a wiedząc żeśmy same były w tym wiejskim domu, korzystał z sposobności dla wykradzenia Julii. Chciałabym przynajmniej wiedzieć gdzie ją ukrył, a to dlatego, aby mój ojciec i mój brat, którzy od dwóch miesięcy bawią w Madrycie, mogli stosownie w tym względzie przedsięwziąć środki. Na Boga, proszę cię, przebież okolicę Toledu, śledź troskliwie to wykradzenie; niech rodzina moja zawdzięcza ci te przysługi.

Pani ta nie pomyślała nawet, że człowiek, któremu takowe dawała polecenie, musiał jak najprędzej opuszczać Kastylię; lecz jakże mogła na to zwracać uwagę? Mnie samemu do głowy to nie przyszło; odrzucony szczęściem widząc się potrzebnym osobie najmilszej w świecie, z uniesieniem przyjąłem polecenie, przyrzekając, że je spełnię z równym pospiechem jak gorliwość. W istocie nie czekałem dnia, opuściłem natychmiast Serafinę, zaklinając ją, by mi przebaczyła przestrasch, którego stałem się przyczyną i zapewniając, że wnet pospieszę do niej z wiadomością. Wszedłem tąż samą drogą, którą przybyłem, lecz tak zajęty tą kobietą, że nie trudno mi było wnosić, iż byłem w niej rozkończony. Skwapliwość z jaką biegłem w jej sprawie, miłosne marzenia, jakie mi się po głowie snuły, tém mocniej mnie o tém przekonywały. Wystawiałem sobie, że Serafina choć żalem ściśnięta, spostrzegła moją namiętność wyklawającą się, a może nie bez przyjemności patrzyła na nią. Wystawiałem sobie także, że gdybym mógł jej dostarczyć stanowczych wiadomości o jej siostrze, gdyby rzecz ta wypadła zgodnie z jej życzeniem, na mnie cały zaszczyt spadnie.

W tym miejscu don Alfons przerwał osnowę swojej historii, i odezwał się do starego pielgrzyma:—przebac mi ojeze, jeżeli zbyt zajęty swoją namiętnością, szerokimi słowy rozwodzę się nad szczegółami, które cię nudzą bezwątpienia.—Nie, mój synu, odpowiedział pielgrzym, nie nudzą, owszem, radbym wiedział, jak dalece zajęty jesteś tą kobietą, do tego zastosuj moje rady.

Z fantazją tak miłemi marzeniami zajęta, mówił dalej młody człowiek, przez dwa dni szukałem uwodziciela Julii; wszelkie atoli moje poszukiwania, na nic się nie przydały, najmniejszego śladu uchwycić nie mogłem. Zgryziony bezkorzystnym śledzeniem, wracałem do Serafiny, wystawiając ją sobie w największym udręczeniu pogrążoną. Tymczasem zastałem ją nadspodziewanie spokojną. Oświadczyła mi, że była szczęśliwsza ode mnie, że wie, co się stało z jej siostrą, że odebrała list od samego don Fernanda, donoszący, że po tajnym zaślubieniu Julii, umieścił ją w klasztorze w Toledzie. Posłałam ten list bratu mojemu, i mam nadzieję, że się wszystko zgodnie zakończy i że uroczyste gody zatrą naszych rodzin zastarzają nienawiść.

Tym sposobem zawiadomiwszy mnie o losie swojej siostry, rozwodziła się nad trudami mojemu, których się stała przyczyną, nad niebezpieczeństwem, na jakie mnie nierozważnie naraziła, obowiązując do ścigania uwodziciela, nie bacząc, że jej powiedziałem, że sprawa honorowa zmuszała mnie do ucieczki. Przepraszała mnie za to w sposób nader ujmujący; a że potrzebowałem spoczynku, zaprowadziła mnie więc do sali, gdzieśmy usiedli oboje. Miała na sobie suknię białą jedwabną w pasy czarne, mały kapelusz z tej samej materii z piórem czarnym; co mnie naprowadziło na myśl, że musiała być wdową; lecz zdawała mi się tak młodą, iż nie stanowczo wiedzieć nie mogłem.

Jeżeli mnie bodła chętka objaśnienia się w tym względzie, i ona nie mniej pragnęła wiedzieć kto ja jestem. Prosiła mnie żebym jej objawił moje imię, nie wątpiąc, jak mówiła, że należę do jakiejś znakomitej rodziny, jak tego dowodzi moja postać szlachetna, a bardziej jeszcze wspinałomysłne społeczenie jakie w jej interesie objawiłem. Zmieszałem się takowem pytaniem, zarumienilem się; i przyznam się, żem mniejsz się wstydział skłamać, aniżeli prawdę powiedzieć, rzekłem więc, że jestem synem barona Steinbach, oficera z gwardyi niemieckiej. Powiedź mi jeszcze, zapytała się znowu, dlaczego opuściłeś Madryt. Naprzód już ofiaruję ci całą wziętość mojego ojca i mojego brata don Gaspara. Będzie to jeden z najmniejszych dowodów mojej wdzięczności dla młodzieńca, który dla przysłużenia się mnie, własne narażał życie. Nie ośmiąłem się bynajmniej z wysłuszeniem jej wszystkich szczegółów mojego pojedynku; przyznała niesłuszność zabitemu kawalerowi i przyrzekła wdanie się całej familii w moim interesie.

Skoro zadosyć uczyniłem jej żądaniu, prosiłem aby i ona zaspokoiliła moją ciekawość. Zapytałem się czy serce jej było wolne, lub słubami związane. Trzy lata temu, mówiła mi, ojciec mój zaślubił mnie panną Diego Lara, a od piętnastu miesięcy jestem wdową.—Pani, odezwałem się, jakież nieszczęście wydarło ci tak prędko małżonka?—Zaraz ci powiem, odpowiedziała, wymaga tego po mnie zaufanie jakieś mi objawił.

Don Diego de Lara, mówiła dalej, był młodzieńcem bardzo urodziwym; lecz chociaż mnie kochał namiętnie, choć dla przypodobania się mnie codziennie robił wszystko, co tylko najtkliwszy, a razem najzapaleńszy człowiek robić może dla ulubionej osoby, chociaż pełen był napiętniejszych przymiotów, nie mógł przecież poruszyć mojego serca. Miłość nie zawsze jest owocem zabiegów i uznanej wartości człowieka. Niestety! dodała osoba, której uleznamy wcale, zachwyca nas za pierwszemu rzetem oka. Nie mogłam go kochać. Bardziej zawstydzona niż uradowana dowodami jego czułości, zmuszona odpowiadać na nie bez przywiązania, jeżeli sama się w głębi serca oskarżałam o niewdzięczność, czułam się także godną potłowania. Na większe jego i moje nieszczęście, więcęj on może miał subtelnej przezorności, niż miłości. W postępowaniu

mojem i niemal w każdym wyrazie przenikał moje najskrytsze uczucia. Czytał w głębi mojego serca. Co chwila utyskiwał na moją obojętność, i tęp nieszczęśliwszym się być sądził, nie mogąc się mi przypodobać, że wiedział dobrze, iż mu żaden spółzawodnik nie przeszkadzał, bo wtedy zaledwie szesnaście lat miałam; a nim ofiarował mi swoją wiarę, zjednał sobie wszystkie moje kobiety, które go zapewniły, iż nikt jeszcze mojej uwagi nie zwrócił na siebie. Wierz mi, moja Serafino, mawiał mi często, radbym był, żebyś była zajęta kim innym i żeby to było jedynym powodem twojej dla mnie obojętności. Moje zabiegi i twoja cnota przemogłyby z czasem to dziwaństwo; lecz teraz straciłem nadzieję podbicia twojego serca, kiedy się dotąd nie poddało objawionym ci dowodom mojej miłości. Znużona jednostajnym ciągle utyskiwaniem, oświadczyłam, że zamiast trudzić siebie i mnie zbędną uprzejmością, lepiejby zrobił, zostawiając to czasowi. W istocie, w wieku w jakim wówczas byłam, nie czułam się wcale usposobioną do wymysłów najsubtelniejszej namiętności; była to więc strofna, której don Diego chwycić się był powinien; lecz widząc, że rok już cały upłynął, a on ani na krok dalej się nie posunął, w tym samym będąc punkcie jak dnia pierwszego, stracił cierpliwość, czyli raczej rozum go odbiegł; udając więc, że ma ważną sprawę na dworze królewskim, udał się do Niderlandów w charakterze ochotnika i wkrótce wśród niebezpieczeństw znalazł, czego szukał, to jest koniec życia i swojego udręczenia.

Gdy to skończyła, poczęliśmy rozmawiać o osobliwym charakterze jej męża. Rozmowę takową przerwał nam goniec przybyły z listem od hrabiego Polan. Prosiła mnie o pozwole nie przeczytania go; a ja spostrzegłem, iż czytając bladła i drżąc poczęła. Przeczytawszy wzniosła oczy ku niebu, głęboko westchnęła i w tej chwili twarz jej się łzami zalała. Nie przypatrywałem się spokojnie jej boleści. Zmieszałem się, i jak gdybym przezuwał cios, który mnie miał ngodzić, śmiertelną trwogą zdjęty, uczulem wszystkie władze moje skrępowane.—Pani, rzekłem sflumionym głosem, wolnoż mi zapytać się, co za nieszczęście zwiastuje ten list?—Masz panie, odpowiedziała smutnie Serafino, podając mi list, czytaj sam co pisze mój ojciec. Niestety! aż nadto w tęp interesowany jesteś.

Na te słowa dreszcz mnie ogarnął, drżącą ręką wzięłem list, i wyczytałem w nim następujące wyrazy: „Don Gaspard twój brat, pojedynkował się wczoraj w Prado. Odebrał cios szpada, w skutek którego dziś umarł: umierając zaś oświadczył, że kawaler który go zabił jest synem barona Steinbach, oficera z gwardyi niemieckiej. Na domiar nieszczęścia morderca umknął; lecz gdziekolwiek się skryje, nie oszczędzę niezego, żeby go wynaléć. Piszę do kilku gubernatorów, którzy go przytrzymać kają, skoro się pojawi w miastach pod ich zarządem będących; innemi znowu listami staram się zatamować mu wszystkie drogi. „Ilr. de Polan.”

Wystawcie sobie w jakie rozprzężenie list ten wprowadził wszystkie moje zmysły. Stałem przez niejaki czas jak wryty, nie mogąc ust otworzyć. W tęp udręczeniu stanęło mi przed oczyma jak straszną jest śmierć don Gaspara dla mojej miłości. Nagle wpadłem w rozpacz najgwałtowniejszą, rzuciłem się do stóp Serafiny i podając jej gołąszpadę, rzekłem:—Pani, oszczędź hrabiemu Polan trudów szukania człowieka, który mógłby uniknąć jego ciosu. Sama własną ręką pomścij śmierć brata, dopieknij ofiary na mordercy jego; uderz: niech to samo żelazo, które jemu odebrało życie, stanie się zgubnym dla jego nieprzyjaciela.—Panie, rzekła Serafino dosyć wzruszona mojem postępowaniem, kochałam don Gaspara, a chociaż go zabiłeś jako człowiek waleczny, chociaż on sam z własnej winy ściągnął na siebie to nieszczęście, przecież łatwo to pojmiesz, że podzielał gniew ojca mojego. Tak jest don Alfonsie, jestem twoją nieprzyjaciółką i postąpię sobie przeciw tobie tak, jak tego po mnie przyjaźni i pokrewieństwa związku wymagają; ale nadużywać twojego nieszczęścia nie chcę, jakkolwiek sam los wydaje cię mojej zemście: jeżeli honor uzbraja mnie przeciw tobie, tenże sam zabrania mi zemsty podłej. Prawa gościnności

muszą być netykalne, a ja nie chcę morderstwem odpłacać wyświadczonęj mi usługi. Uciekaj; chroń się ile będziesz mógł naszego ścigawca, i surowości praw, zabezpiecz głowę swoją od grożącego ci niebezpieczeństwa.

Jakżeż to, pani, rzekłem, mogąc sama się zemścić, spuszczasz się na prawa mogące zawieść twoje oczekiwanie. Przeszły raczej serce uędznika nie zasługującego na twoją litość. Nie pani, porzucić względem mnie postępowanie tak szlachetne, tak wspaniałomyślne. Wiészże, co ja za jeden? W całym Madrycie uważają mnie za syna barona Steinbach, a przecież ja jestem nieszczęśliwy, którego on tylko przez litość wychował. Nie wiem nawet komu winienem światło dzienne. — Mniejsza o to, przetrwała szybko Serafina, jak gdyby te ostatnie wyrazy pomnożyły jej przykrość, gdybyś nawet ostatnim był z ludzi, postąpić sobie tak, jak mi honor nakazuje. A więc, dodałem teraz, ponieważ śmierć brata nie zdoła cię pobudzić do wytoczenia krwi mojej, chcę poburzyć gniew twój nowym występkiem, którego zachwalstwa nie zechcesz zapewne usprawiedliwiać. Ubóstwiam cię; ujrawszy piérwszy raz twoje wdzięki, zostałem niemi olśniony; i mimo niepewności mojego rodu, powzłąłem nadzieję być twoim. Byłem nadto rozkochany, albo raczej dosyć próżny, by sobie pochlebiać, iż niebo robi mi łaskę tając przedemną mój początek, że mi go kiedyś objawi, a wtedy będę mógł bez zarumienienia się oświadczyć ci moje imię. Po tak zęływym dla ciebie pań oświadczeniu, będzieszże się wahać z ukaraniem?

To płoche wyznanie obraziłoby mnie bezwątpienia w innym czasie; teraz przebachzam je wstrząśnieniem jakie tobą włada. Prócz tego, w stanie, w jakim się sama znajduję, mało zważam na wyrazy, jakie ci się wymówię zdarzy. Jeszcze raz, powtarzam ci don Alfonsie, dodała uroniwszy kilka łez, uchodź, oddal się z domu, który smutkiem napelniasz; każda chwila pobytu w nim twojego, pomnaża moje cierpienia. Nie opłoram się więc dłużej, rzekłem podnosząc się; trzeba się oddalić od ciebie; lecz nie myśl pani, abym troskliwy o zachowanie nienawistnego ci życia, szukał gdzie bezpiecznego schronienia. Nie, wcale nie, poświęcam się sam twojój zemście. Udaję się do Toledo, tam z niecierpliwością oczekiwac będę losu, jaki mi przeznaczysz; sam nastęrczając się twojemu ściganiu, przyspieszę kres moich nieszczęść.

Kończąc te wyrazy oddaliłem się. Dano mi mojego konia i udałem się do Toledo, gdzie bawił przez ośm dni i gdzie w rzeczy samęj tak mało troszczyłem się o moje bezpieczeństwo, że pojąć nie mogę dlaczego nie zostałem przytrzymany; ponieważ przypuszczać nie mogę, aby hrabla Polan uwziąłwszy się na zatamowanie mi wszelkiej drogi, nie domyślił się, że mogę przechodzić przez Toledo. Nakoniec wczoraj opuściłem to miasto, w którym wolność zdawała się mi nudzić, a nie mając drogi wytkniętej, jechałem aż do tój pustelni, jak człowiek, który niema się czego obawiać. Oto jest mój ojciec, co mnie teraz zajmuje, wesprzyj mnie swoją radą.

ROZDZIAŁ XI.

Co to za człowiek był ten pustelnik? i jak Gil Blas spostrzegł, że jest w znajomém sobie towarzystwie.

Skoro don Alfons skończył smutne swych nieszczęść opowiadanie, stary pielgrzym przemówił do niego: — Mój synu, wielką popełniłeś nieroztropność bawiąc tak długo w Toledo. Ja wcale inném okiem zapatruję się na to coś mi opowiedział; rozkochanie się twoje w Serafinie za proste uważam obłąkanie. Wierzaj mi, nie durz się, musisz zapomnieć o tej kobiecie, która nigdy twoją być nie może. Ustąp dobrowolnie od tamy, która cię od niej oddziela, a idź śmiało za twoją gwiazdą, która zdaje się zapowiadać ci wiele innego rodzaju przygód. Znajdziesz bez wątpienia jaką inną młodą osobę, która na tobie takie samo wywrze wrażenie, a której brata nie zabijesz.

Zabiérał się właśnie do nowych dowodzeń, by zachęcić don Alfonsa do cierpliwości, gdy ujrzeliśmy wchodzącego drugiego pustelnika z sakwami dosyć nadętemi. Zebrał on obfitą jałmużnę w mieście Cuenza. Zdawał się daleko młodszym od swe-

go towarzysza i miał brodę rudą i bardzo gęstą. — Bądź pozdrowiony bracie Antoni, rzekł mu stary pustelnik: coż tam nowego przynosisz z miasta? — Złe dosyć nowiny, odpowiedział brat Rousseau, oddając mu do rąk papier złożony w formie listu; ten bilet objaśnił wam wszystko. Starzec rozwinął papier i przeczytawszy go z całą uwagą, na jaką zasługiwał, zawołał: — Niech będzie Bogu chwala! Ponieważ nie ujęta, ostrożnie trzeba z kłębkiem. Teraz zwracając mowę do don Alfonsa, rzecze: — młodziuńcze, widzisz we mnie człowieka, podobnie jak ty w zapasach z kapryśną fortuną. Donoszą mi z Cuenza, miasta o miłą ztąd odległego, że mnie oczerniono w oczach sądu, którego służba cała ma jutro wyruszyć w pole do tój pustelni aby mnie pojmać; ale nie znajdując niedźwiedzia w ostępie. Nie piérwszy to raz ja w podobnym znajduję się kłopotcie, a dzięki Bogu, zawsze się wywikłał, jak na przezornego człowieka przystoi. Otóż pokażę się wam w nowej postaci, bo tak jak mnie widzieli, ani ja pustelnik, ani ja starzec.

Tak mówiąc zrzucił z wierzchu długą suknię, którą miał na sobie, i ujrzeliśmy pod spodem kaftan z szarzy czarnęj, z rękawami urozcinanemi; poczem zdjawszy czapkę, odwiłzał taśmki trzymające brodę fałszywą i tym sposobem w jednej chwili przybrał postawę człowieka najwięcej dwadzieścia ośm do trzydziestu lat mieć mogącego. Brat Antoni wzorem starzego zrzucił także ubiór pielgrzymi, pozbył się brody rudęj, i ze starej skrzyni, na pół zbotwiałej wy dobył mocno podszarzaną kapotę, w którą się ustroił. Ale wystawcie sobie, jakie musiało być moje zadziwienie, gdy w osobie starego pustelnika, poznałem pana don Raphaela, a w bracie Antonim mojego najwiérniejszego sługę Ambrożego de Lamelas. — Dzięki Bogu, zawołałem natychmiast, a to ja jak widzę jestem między znajomymi. — To prawda paule Gil Blas, rzekł nśmiéhając się don Raphael, spotykasz dwóch swoich przyjaćiół wtedy, gdyś się tego najmniej spodziewał. Przyznaję, że masz poniekąd powód żalenia się na nas, lecz puśćmy przeszłość w niepamięć, a dziękujmy Bogu że nas tu zbliżył do siebie. Ambroży równie jak i ja ofiarujemy ci nasze usługi, a tэм niema co gardzić. Nie uważaj nas za złych ludzi. Nie zaczęliśmy nikogo wstępnym bojem, nie rozbiłjamy; staramy się tylko żyć kosztem cudzym: a jeżeli kraść jest nieprawośćią, niezbędną potrzeba łagodzi tę nieprawość. Przystąpcie do naszego towarzystwa, a będziecie wiedli życie koczujące. Jestto rodzaj życia bardzo przyjemny, jeżeli tylko umie się w niem zachować należytą roztropność. Nie bez tego, żeby czasem, mimo całą naszą przezorność, zbieg okoliczności podrzędnych nie nastęrczył nam przygód nieumlých; ale mniejsza o to, tэм przyjemniejsza wydają się nam zdarzenia pomysne. Nawykliśmy do rozmaitości czasów, do zmienności losu.

Paule kawalerze, mówił dalej udany pustelnik, obracając się do don Alfonsa; przedstawiamy ci ten sam wniosek, a zdaje się, odrzucać go nie powinieneś w stanie w jakim obecnie się znajdujesz; bo nie mówiąc już o wypadku, który cię zagnał do ukrywania się, zapewne w tэй chwili nie wiele masz piénędzy? — Prawda, że nie wiele, i to właśnie powiększa moje udręczenie, odpowiedział don Alfons. — A więc nie opuszczaj nas, mówił Raphael. Niemasz nie lepszego do roboty, jak połączyć się z nami. Na niczém ci zbywać nie będzie, a poszukiwania twoich nieprzyjaćiół zniweczyć potrafimy. Znamy całą Hiszpanię, bośmy ją już przebiegli. Wiemy gdzie są lasy, góry, miejsca dogodnie na schronienie przed grabiaństwem sprawiedliwości. Don Alphons podziękował za dobre życzenia, a będąc w istocie bez piénędzy, bez nadziei, postanowił towarzyszyć im; i ja skłoniłem się także, nie chcąc opuszczać tego młodzieńca, do którego czułem niejakié przywiązanie.

Zgodziliśmy się więc wszyscy czterej kś razem, i nie rozłączając się. Skorośmy to postanowili, wzięliśmy następnie pod rozważę, czy mamy w tэй chwili ruszyć w drogę, albo piérwój spotkać się z porządnym szawłokiem, pełnym wybornego wina, które brat Antoni przyniósł wczoraj z Cuenzy; lecz Raphael jako najwięcej doświadczenia mający, wystawił nam, że przedewszystkiem należy nam myśleć o bezpieczeństwie; że we-

dług jego zdania, trzeba nam wędrować całą noc, abysmy się dostali do lasu między Villardesa i Almodabar, tam się dopióro zatrzymamy i wolni od niebezpieczeństwa, będziemy mogli spocząć przez cały dzień. Zdanie to zostało przyjęte. Wtedy dwaj udani pustelnicy zebrawszy swoje zapasy i wszystkie rupiecie, ułożyli je we dwie równe paki i zawiesili na koniu don Alfonsa. To się zrobiło z największym pośpiechem, poczem wyszliśmy z pustelni, zostawiając na łup sprawiedliwości dwie suknie pustelnicze z brodami, jedną białą, drugą rudą, dwa tarczany, stół, skrzynię zbutwiałą, dwa stare słomiane stołki, i obraz świętego Pachomiusza.

Szliśmy całą noc i już znużenie czynić się nam dawało, gdy równo ze świtem, spostrzegliśmy las, dokąd nogi nasze zmierzwały. Widok portu nowych dodaje sił majtkom zmordowanym długą żegluga. Postępowaliśmy śmiało i nim słońce weszło, już byliśmy u celu naszej wędrowki. Zapusciliśmy się w największą gęstwinę kniei i stanęliśmy w miejscu bardzo przyjemnem, na murawie, otoczonej potężnymi dębami, których konary poplątane nawzajem, tworzyły skleplenie tak gęste, że skwarne słońca promienie przebić go nie zdołało. Rozkiełznawszy konia i odtroczywszy paki, puściliśmy go na pastwisko, sami zaś zasiadłszy, dobyliśmy z torby brata Antoniego, kilka porządnych glonków chleba, zrazy pieczeni, i zaczęliśmy zajadać jakby na wyścigi jeden przed drugim. Jednakże chociaż utęskniony mieliśmy apetyt, nie zapomnieliśmy przecie i o szawłoku i takżeśmy go często i serdecznie ścisłali, że bezustannie przechodził z objęcia jednego do drugiego.

W końcu usłyszał don Raphael odezwał się do don Alfonsa: — Panie, po zwierzeniu się twojem, godna zaiste, abym i ja opowiedział ci moją historią z taką samą szczerością. — Wielką zrobił mi przyjemność, rzekł don Alphons, — a mnie tem większą, zawolałem. Jestem niesłychanie ciekawy dowiedzieć się o twoich przygodach, nie wątpię wcale, że będzie warto ich posłuchać. — Za to wam ręczę, odpowiedział Raphael, ja nawet myślę je kiedyś spisać. Będzie to rozrywka w mojej starości; teraz jestem jeszcze młody, chcę przeto starać się o powiększenie tomu. Ale jesteśmy znużeni, pokrzepmy się więc kilka godzinami snu. Kiedy zaś my trzej będziemy spali, Ambroży wiech czuwa, aby nas niespodzianie nie napadnięto, a potem on swoje odeśpi. Zdaje mi się, że tu jesteśmy zupełnie bezpieczni, nie zawadzi atoll mieć się na baczność. To kończąc, rozciągnął się na trawie, don Alphons zrobił toż samo, ja poszedłem za ich przykładem, a Lemelas stanął na straży.

Don Alphons zamiast spocząć, dumał nad swoimi nieszczęściami; ja nie mogłem oka zmruczyć, a Raphael zasnął natychmiast; ale w godzinę później obudził się, a widząc nas gotowych do słuchania, rzekł do don Lamelasa: mój Ambroży, teraz ty możesz używać słodczy snu. Nie, nie, odpowiedział Lamela, nie chcę mi się spać, a lubo wiem wszystkie przygody waszego życia, są one przecie tak pełne nauki dla osób naszego powołania, że z wielką ochotą słuchać ich będę raz jeszcze. Zaraz więc don Raphael rozpoczął historią swojego życia w tych wyrazach.

KSIĘGA PIĄTA.

ROZDZIAŁ I.

Historia Don Raphaela.

Jestem synem komedyantki madryckiej, sławnej z deklamacji, a słynniejszej jeszcze ze swoich zalotów; nazwisko jej było Lucinda. Co się tyczy ojca, nie mogę sobie na ślepy traf wybrać żadnego. Mógłbym wprawdzie powiedzieć nazwisko znakomitego pana, który się kochał w mojej matce wtedy, gdy przyszedłem na świat; ale ta epoka nie stanowiłaby dowodu przekonującego, że on właśnie był dawcą mojego życia. Osoba tego powołania co moja matka, potrzebuje wielkiej rękoi, bo w tej chwili, w której pokazuje się najprzywłażauszą

do jakiego pana, prawie zawsze wynajduje sobie jakiego subtyluta za jego pieniądze.

Nie ważniejszego nie masz, jak wznieść się nad obnowę. Lucinda zamiast wychowywać mnie w ukryciu, nie wstydziła się wcale, brała mnie za rękę, prowadziła do teatru bardzo uczciwie, nie troszcząc się bynajmniej co o niej mówią, ani o złośliwe śmiechy, jakże widok mój obudzał. Słowem byłem jej jedyną rozkoszą, pieściłi mnie wszyscy, którzy przychodzili do niej, rzekłbyś, że sama krew w nich przemawiała na moją korzyść.

Pierwsze dwanaście lat życia, pozwolono mi przepędzić wśród dziecinnych igraszek: zaledwie uczono mnie czytać i pisać, a wcale nie troszczono się o wpajanie mi zasad religii. Nauczyłem się tylko tańczyć, śpiewać i grać na gitarze. Taki był cały zapas moich wiadomości, gdy margrabia Leganez zażądał abym mógł być przy jego synu, w równym ze mną wieku będącym. Lucinda chętnie na to zezwoliła, i odtąd zacząłem się uczyć stanowczo. Młody Leganez tyleż umiał co ja; mały ten pan nie zdawał się być zrodzonym do nauki, nie znał prawie ani litery swojego abecadła, choć już od piętnastu miesięcy miał nauczyciela. Inni jego nauczyciele nie lepiej z nim wychodzili, mordował tylko ich cierpliwość. Prawda, że im zakazano wszelkiej surowości, owszem wyraźnie polecono, uczyć go nie trując, a taki rozkaz, obok nienajlepszego usposobienia ucznia, czynił całą naukę dosyć niekorzystną.

Lecz nauczyciel, jak wam to zaraz wyjaśnię, wyulażił przedziwny wybieg dla postrachu młodego panicza, nie naruszając, bynajmniej poleceń ojca; postanowił chlostać mnie, ilekroć mały Leganez zasnąłby na karę i nie oclagał się z wykonaniem swojego postanowienia. Wybieg takowy nie przypadł mi do smaku; uciekłem więc i poszedłem do matki użalić się na tak niesprawiedliwe obchodzenie się. Ztémwszystkiem choć czule była przywiązana do mnie, na taką jednak moc duszy zdobyła się, że jej łzy moje nie wzruszyły; a uważając, że to dla mnie niepospolite szczęście być u margrabiego Leganez, kazała mnie w tej chwili odprowadzić. Otóż więc wydany zostałem nauczycielowi. Spostrzegłszy on, że wynalazek nowy nie był bez korzyści, chlostał mnie ciągle zamiast młodego panicza; żeby zaś tem silniejsze zrobić na nim wrażenie, potężnie mnie trzepał. Byłem pewny, że co dzień pokutować muszę za młodego Leganez. Mogę śmiało powiedzieć, że nie ma głoski w abecadle, której się on nauczył wtedy dopióro, jak ja najniżej sto plag odebrałem; waleście ztąd ile mnie mogły kosztować jego pierwsze początki...

Ale różga nie była jedyną przykrością jakiej w tym domu doświadczać musiałem; ponieważ wszyscy mnie znali, najniższy więc sługus, aż do kuchcika, najgrawał się z mojego urodzenia. To mnie oburzyło do tego punktu, że uciekłem, znalazłszy sposób pochwylenia całej gotowizny mojego nauczyciela; która mogła wyuścić około stu pięćdziesięciu dukatów. Tym sposobem zemściłem się za wszystkie plagi, któremi mnie tak niesprawiedliwie okładał, a zdaje mi się, że ta zemsta była dla niego najdotkliwszą. Tego śgla wyptałem w wielką zrzecznością, chociaż to była pierwsza próba, potrafiłem przez dwa dni ujść wszelkich poszukiwań i opuściwszy Madryt, udałem się do Toledo nie widząc żadnej pogoni.

Rozpoczywałem wtedy piętnasty rok życia; jakaż to rozkosz w tym wieku być niezawisłym, panem swojej woli! Zabrałem wnet znajomość z młodymi, którzy mnie ożywili, pomagając do spożycia moich dukatów. Następnie połączyłem się z kawalerami z własnego przemysłu żyjącymi, którzy tak szczęśliwie wykształcili wrodzone moje zdolności, że w krótkim czasie byłem najdzielniejszy w całym stowarzyszeniu. Po upływie pięciu lat wzięła mnie ochota do podróżowania: opuściłem moich towarzyszy, a chcąc wędrowkę rozpocząć od Estremadury, udałem się do Alcantara. Nim atoll zdążyłem tam, znalazłem sposobność doświadczenia mojego talentu i nieomieszkałem z niej korzystać. Ponieważ odbywałem podróż pieszo, a do tego dźwigałem łomoczek dosyć ciężki, raz po raz więc zatrzymywałem się dla odpoczynku pod cieniem drzew

o kilka kroków od drogi. Spotkałem dwóch chłopców wcale przyzwyczajonych, którzy wesoło bawili się na trawie, korzystając z chłodu. Powitałem ich bardzo grzecznie i wmlszałem się do ich rozmowy, co im się dosyć podobało, o ile wnosić mogłem. Najstarszy z nich nie miał jeszcze piętnastu lat; obadwa byli bardzo naiwni.—Panie kawalerze, ozwał się młodszy, jesteśmy synami dwóch bogatych mieszczan Plasencyi. Pragniemy koniecznie zwiedzić Portugalię; dla zaspokojenia pręto naszej ciekawości, każdy z nas wziął swoim rodzicom sto ludorów. Lubo idziemy pieszo, zdaje się jednak, że z temi pieniędźmi nie daleko zajdziemy: Jak pan sądzisz! — Gdybym ja miał tyle, odpowiedziałem, Bóg wie jak dalekobym zaszedł! Jaby m obiegł wszystkie cztery części świata. Co u djabła! dwieście ludorów! to summa ogromna, wy jej wyczerpać nie potraficie. Jeżeli się panom podoba, dodałem, będę miał zaszczyt towarzyszyć im aż do miasta Almeryi, gdzie mam odebrać spadek po stryju, który przed laty dwudziestą, albo przynajmniej około, tam osiadł.

Młodzi mieszczanie wynurzyli mi radość jaką im sprawia moje towarzystwo. Tak więc wypocząwszy, wszyscy trzej puściliśmy się do Alcantara, i przybyliśmy tam dobrze przed wieczorem. Zajęliśmy mieszkanie w porządnym hotelu. Zadałiśmy osobnego pokoju, i wskazano nam jeden, w którym była szafa na klucz zamykana. Kazaliśmy sobie naprzód sporządzić wieczernę i kiedy ją przygotowywano, ja przedstawiłem moim towarzyszom podróżny, iż wartoby się przejść po mieście. Przyjęli wniosek. Zamknęliśmy nasze tłumoczeki w szafie, od której klucz wziął jeden z mieszczan, i wyszliśmy z hotelu. Zwiedzaliśmy kościoły i gdyśmy weszli do głównego kościoła, nagle udałem, że mam ważny interes. Panowie, rzekłem moim towarzyszom, przypomniałem sobie, że pewna osoba z Toledo zobowiązała mnie do powiedzenia kilku wyrazów kupcowi, który mieszka w bliskości tego kościoła. Zaczekajcie na mnie z łaski swojej tutaj, a w ognieniu oka powrócę. To rzekłszy odszedłem. Biegąc do hotelu, odbijam zamek od szafy i przetrząsnąwszy tłumoczeki młodych mieszczan, znalazłem w nich owe ludory. Błędne chłopcy! nie zostawiłem im ani jednego dla zapłaty noclegu; co do jednego zabrałem. Po czem wyszedłem spiesząc z miasta, skierowałem się do Merydy, nie troszcząc się bynajmniej co oni z sobą zrobią.

To zdarzenie, z którego się szczerze naśmiałem, postawiło mnie w możności wygodniejszego podróżowania. Choć jeszcze byłem młody, czulem jednak, że jestem zdolny rozsądnie postępować. Mogę powiedzieć, że jak na mój wiek bardzo już wysoko postąpiłem. Postanowiłem knić muła, co też zrobiłem w pierwszym zaraz miasteczku. Tłumoczek mój zamieniłem na kuferek i zacząłem udawać trochę ważniejszego człowieka. Trzeciego dnia spotkałem człowieka, który z całej siły śpiewał nieszpory idąc drogą. Po minie jego sądziłem, że to był śpiewak, odezwałem się więc do niego: — śmiało panie bałkarzu, to przesłuchaj jak widzę, duszą i ciałem oddany jesteś twojemu powołaniu. — Panie, odpowiedział, jestem śpiewak na wasze najpokorniejsze usługi, radbym głos mój w ciągłej sprawie utrzymywać.

Tym sposobem wdaliśmy się w gawędę. Spostrzegłem, że spotkał człowieka najdowcipniejszego i najprzyjemniejszego. Nie miał więcej nad dwadzieścia cztery, lub dwadzieścia pięć lat. Że zaś on szedł pieszo, dla tego ja trzymałem mojego muła wolnym stępem, aby mieć przyjemność rozmowy. Między innemi zaczęliśmy mówić o Toledo. — O ja znam doskonale to miasto, rzekł śpiewak, dość długo w niem bawiłem, nawet nam kilku tam przyjaciół. — A gdzie mieszkałeś w Toledo? przerwałem mu, — przy ulicy Nowej, odpowiedział; stałem rok z don Vincenti de Buena Garra, don Mathias de Cordel i z dwoma jeszcze czy trzema znanymi kawalerami; mieszkaliśmy, jedliśmy razem, bardzo dobrze czas przepędziliśmy. Zdumiałem się na te słowa, bo trzeba wiedzieć, że szlachta której nazwiska wymieniał, były to oszusty, z którymi ja myszkowałem po Toledo. Mości śpiewaku, odezwałem się, ci panowie, których wymieniałeś, są moi znajomi, i ja mieszkalem z nimi przy ulicy

Nowej. — Rozumiem, rzekł śpiewak uśmiechając się, to jest, żeś wszedł do towarzystwa przed trzema laty, kiedy ja oddaliłem się z niego. — Ja także opuściłem tych panów, powiedziałem mu, bo mię wzięła ochota do wędrowki, chcę obejść całą Hiszpanię, nabywszy więcej doświadczenia, więcej wart będę. — Bez wątpienia, przerwał śpiewak, żeby wykształcić umysł, trzeba podróżować. Dla tej też przyczyny i ja opuściłem Toledo, choć bardzo przyjemne miałem tam życie. Dziękuję Bogu że mi pozwolił spotkać rycerza mojego zakonu, wtedy gdy m się tego najmniej mógł spodziewać. Złączmy się obadwa, wędrujmy spólnie, czatujmy na worek bliźniego, korzystajmy z każdej następczonej okazji, w doświadczeniu naszej biegłości.

Podał mi ten wniosek, tak szczerze i z taką uprzejmością, że chętnie nań przystałem. Poruczając mi swoje zaufanie, zyskał moje w zupełności. Wynurzyliśmy sobie wzajemnie swoje uczucia. Ja opowiedziałem mu moją historią, on nie tał przedemną swoich przygód. Powiedział mi, że idzie z Portugali, z kąd musiał nagle wynosić się w ubiorze w jakim był, a to z powodu uchybionego przez zwłokę szalbierstwa. Kiedy mi się zwierzył ze wszystkiem, ułożyliśmy się obadwa, że się udamy do Meridy, tam spróbujemy szczęścia, zrobimy jaki zamach, jeżeli nam się uda i natychmiast zwinimy chorągiewkę, by się udać gdzieindziej. Od tej chwili całe nasze mienie stało się spólnem: prawda że Morales, tak się zwał mój towarzysz, nie był bardzo zamożny, cały jego majątek wynosił pięć do sześciu dukatów i trochę maatków, które niósł w sakwach; jeżeli ja wszakże lepiej byłem opatrzony w gotowiznę, natomiast on był wytrawniejszym wsztuce szalbierskiej. Jechaliśmy na mule po kolei, i tym sposobem dostaliśmy się do Meridy.

Stanęliśmy w domu zajezdnym na przedmieściu, gdzie mój towarzysz wyciągnął ze swojej sakwy ubiór i skoro go wziął na siebie, wyszliśmy zaraz na miasto dla zbadania gruntu, czy się nie nastęczy jaka sposobność zabrania się do dzieła. Z wielką bacznością, przyglądaliśmy się wszystkiemu co nam pod oczy podpadało. Homer byłby powiedział, żeśmy podobni byli do dwóch jastrzębów, które na polu śledzą ptaki, mogące im na żer posłużyć. Wreszcie czekaliśmy na traf, któryby nam podał sposobność okazania naszej zręczności; gdy w tém spostrzegliśmy na ulicy człowieka z siwą głową, trzymającego szpadę w rękę i wależącego przeciw trzem, którzy nań żwawo nacierali. Nierówność walki rozgniwała mnie, a że z natury jestem zawalidroga, pobiegłem więc na pomoc staremu. Morales dla pokazania że m nie przyjął do towarzystwa łchorza, poszedł za moim przykładem. Uderzyliśmy na trzech wrogów starego kawalera i zmusiliśmy ich do ucieczki.

Po ich odwoicie, stary szerokiemi słowy wynurzał swoją wdzięczność. — Cieszymy się, rzekłem mu, żeśmy w samą porę przybyli na pomoc; lecz chęlibyśmy wiedzieć przynajmniej komu mielibyśmy szczęście wyświadczyć tę przysługę, racz nam pan łaski swojej powiedzieć, z jakiego powodu ci ludzie chcieli go zamordować. — Panowie, odpowiedział, zbyt wiele winie niem wam, żeby m utemiał zaspokoić ciekawość waszą. Nazywam się Hieronim de Moyadas i żyję w tém mieście z dochodów własnych. Jeden z tych morderców, od których mnie wybawiliście, jest kochankiem mojej córki. W tych dniach przyszedł prosić mnie o jej rękę; a że nie mógł otrzymać mojego przyzwolenia, przez zemstę zmusił mnie do wzięcia szpady w rękę. — A możnaż, zapytałem się znowu, wiedzieć dlaczego pan odmówiłeś córki swojej temu kawalerowi? — Zaraz panom powiem, rzekł. Miałem brata, kupca w tém mieście, nazywał się Augustin. Dwa miesiące temu był on w Calatrava i mieszkał u nlejakiego Juan Velez de la Membrilla, jego korespondenta. Byli to dwaj przyjaciele od serca; a brat mój do wzmocnienia tych węzłów przyjacielskich przyrzekł córkę moją Florentynę za małżonkę synowi swojemu korespondenta, nie wątpiąc bynajmniej, iż tyle wdziękości mieć będzie u mnie, że obietnicy jego dotrzymam, w istocie, tylko co mi o tém powiedział brat mój wrociwszy do Meridy, natychmiast zezwoliłem przez miłość ku niemu. Posłał portret Florentyny do Calatrawy; lecz niestety, nie miał tej pociechy, żeby mógł doko-

nać swojego dzieła; umarł trzy tygodnie temu, konając zakłamał mnie abym nie rozporządzał córką inaczej, jak dla syna jego korespondenta. Przynależę mu, i oto przyczyna dla której odmówiłem kawalerowi, który mnie napastował, chociaż to małżeństwo byłoby dla niej bardzo korzystne. Jestem niewolnikiem danego słowa i co chwila oczekuję syna pana Velez de la Membrilla, aby go przyjąć za zięcia, chociaż go nigdy nie widziałem, równie jak i ojca jego. Przepraszam panów, dodał Hieronim de Moyadas, za to moje opowiadanie, ale samiście tego żądali.

Słuchałem z wielką uwagą i zastanowiwszy się nad podejrzeniem, które mi niespodzianie wpadło do głowy, udałem wielkie podziwienie, wzniósłem oczy ku niebu. Poczłem obracając się do starego, rzekłem mu tonem patetycznym: — Ah panie de Moyadas, czy podobna, że przybywszy do Meridy miałem szczęście ocalić życie mojemu teściowi? Te wyrazy wprawiły w dziwne zadumienie starego mieszczanina, i niemniej zastanowiły Moralesa, który jednem wejrzaniem dał mi do zrozumienia, że mnie uważa za wielkiego oszusta. — Co pan mówi? rzekł stary. Jaktó, byłżeby synem korespondenta mojego brata? — Tak jest panie Hieronimie de Moyadas, odpowiedziałem, nadstawiając zuchwalstwem, a rzucając się mu na szyję, ja jestem tym szczęśliwym śmiertelnikiem dla którego czciogodna Florentyna jest przeznaczona. Nim atoli wyארę ci radość z przyczynę połączenia się z twoją rodziną, pozwól mi na łono twoje uronić kilka łez poświęconych pamiętce brata twojego Augustina. Byłbym najulewzięczniejszym z ludzi, gdybym nie był do żywego dotknięty śmiercią osoby, której wpienem szczęście mojego życia. Kończąc te wyrazy naciśnięciem znówu pocziwego Hieronima i pociągnąłem ręką po oczach, jakby dla otarcia łez. Morales w ngnieniu oka pojął całą korzyść, jaką mogliśmy odnieść z naszego oszustwa i dla tego wspierał mnie całym siłami. Chciał uchodzić za mojego szatnego i pragnął przewyższyć mnie jeszcze wżalu po śmierci pana Augustina. Panie Hieronimie! jakżeż wielką poniosłeś stratę, tracąc brata! To taki uczciwy był człowiek, co do handlu, kupiec bezinteresowny, kupiec dobrej wiary, kupiec jakich nie widać wcale.

Mieliśmy do czynienia z człowiekiem prostodusznym i łatwowiernym: zamiast domyślać się jakiego szalbierstwa, on to wszystko przyjął w dobrej wierze. — Dlaczegoż, rzekł mi, nie przybyłeś prosto do mnie? nie trzeba było stawać w domu zajezdnym, jesteśmy już na takiej stopie, że możemy się obejść bez tych ceregieli. — Panie, odezwał się Morales za mnie, mój pan lubi się trochę ceremoniować; już to jego wada, pozwól mi że mu ją tu wymówię. Możnaaby go w pewnym względzie uniewinnić, że nie chciał się panu przedstawiać w stanie w jakim się obecnie znajduje. Okradziono nas w drodze: zabrano nam wszystkie nasze rzeczy. — Ten chłopak, przerwałem, mówi prawdę, panie de Moyadas. To właśnie nieszczęście było przyczyną, że nie chciałem zajeżdżać do pana. Nie miałem w takim ubraniu pokazać się przed narzeczoną, której jeszcze nie widziałem, i dlatego czekałem na powrót służącego, którego posłałem do Calatrawy. To zdarzenie nie powinno było wstrzymywać cię od zajeżdżania do mnie, pragnę, abys zaraz zajął u mnie mieszkanie.

To mówiąc zaprowadził mnie do siebie, w drodze zaś rozmawialiśmy o niuemaniej kradzieży i ja oświadczyłem mu, że mi największą przykrość sprawia to, iż wraz z rzeczami straciłem portret Florentyny. Mieszczanin na to powiedział mi żartując, że z tej straty najłatwiej powinienbym się pocieszyć, boć przecie oryginał więcej wart niż kopia. W istocie, skorośmy przybyli do domu, zawałał zaraz swojej córki, która nie miała więcej nad szesnaście lat i mogła się uważać za osobę zupełnie wykształconą. — Otóż widzisz, odezwał się, dziewięć, którąci brat mój przyrzekł. — Ah panie, zawałałem z uniesieniem, nie potrzebujesz powiadać, że to jest luba Florentyna, która się przedstawia oczom moim: te zachwycające rysy głęboko są wryte w mojej pamięci, a głębiej jeszcze w sercu. Jeżeli portret, który utraciłem, a który słabym był tylko zarysem ty-

lu wdzięków, mógł mnie tak żywym przejąć zapalem, sądź sam jakie uniesienie owaładło mnie w tej chwili! — Zbyt pochlebne są to wyrazy, odezwała się Florentyna, nie czuję w sobie tyle próżności, abym mogła mniemać, że je usprawiedliwiam. — Gadaj grzeczności, rzekł ojciec, a zostawiając mnie samego ze swoją córką, wziął Moralesa na stronę. — Mój przyjacielu, mówił do niego, złodzieje zabrali wam rzeczy, i pieniądze bez wątpienia, boć oni od tego zwykłe zaczynają. — Tak jest panie, odpowiedział mój towarzysz, banda dosyć liczna napadła na nas niedaleko Castel-Biazo; nie zostawili nam nic, prócz sukien, któreśmy mieli na sobie, ale wkrótce odbierzemy wexle i oporzadzimy się na nowo.

— Nim nadejdą wasze wexle, rzekł stary, dobywając z kieszeni sakiewkę, oto macie sto luidorów, którymi możecie rozporządzić. — Oh, panie, zawałał Morales, pan mój nie zechce ich przyjąć. Pan go nie znasz. Boże uchoć, on w tym względzie nadzwyczaj delikatny. On nie jest z liczby tych paniczów, którzy gotowi są brać od każdego. On chociaż tak młody, a jednak nie cierpi długów. Wolalby żebrać, niż pożyzyć choćby jednego marawedi. — Tęm lepij, rzekł mieszczanin, więcej go przez to szanuj. Znieść nie mogę zaciągających długi. Przebaczam to osobom wyższego tonu, to już do ich własności należy. Nie chcę, dodał zaraz, robić przymusu twojemu panu, a ponieważ oskarowanie mu pieniędzy robiłoby mu przykrość, nie mówmy więc o tēm. To rzekłszy, chciał sakiewkę schować do kieszeni, lecz mój towarzysz zatrzymał jego rękę. Zaczekaj, panie de Moyadas, odezwał się do niego, jakkolwiek pan mój ma wstręt do pożyczek, ja przecież nie tracę nadziei, że go nakłonię do przyjęcia pańskich stu luidorów. Trzeba tylko umieć się z nim obejść. Zresztą, on tylko od obcych nie lubi pożyczać; nie robi takich ceremonij ze swoją rodziną. Prosi nawet otwarcie ojca o pieniądze jakich mu potrzeba. To młody chłopiec, jak pan widzisz umie rozróżnić ludzi, powinien uważać pana, jak drugiego ojca.

Przez takie wybiegi Morales pochwyił sakiewkę starego, który wrócił do nas i zastał nas z córką prawiących sobie grzeczności. Przerwał naszą rozmowę. Oświadczył Florentynie ile mi był winien, i z tego powodu rozszerzał się z wynurzeniem wdzięczności. Korzystałem z takowego usposobienia jego i rzekłem, że najkliwszym dowodem wdzięczności jego uważać będę przyspieszenie małżeństwa. Ustąpił z wielką uprzejmością mojej niecierpliwości. Zapewnił mnie, że najdalej za trzy dni będę małżonkiem Florentyny; dodał nawet, że zamiast sześciu tysięcy dukatów posagu przyręczonego, da ich dziesięć tysięcy, aby okazać jak dalece ocenia przysługę, jaką mu wyświadczyłem.

Przedziwnie nam było w domu pocziwego Hieronima de Moyadas, a nadewszystko miłą cieszyliśmy się nadzieją odebrania dziesięciu tysięcy dukatów, z którymi zamierzaliśmy jak najspieszniej uchodzić z Meridy. Jedna tylko obawa mieszała naszą radość: lękaliśmy się aby przed wpływem trzech dni prawdziwy syn Jana Velez de la Membrilla nie skrzyżował naszego szczęścia, albo raczej nie zniszczył go zupełnie przybywając nagle. Ta twoga nie była bez zasady. Zaraz nazajutrz ktoś naksztalt wieśniaka z kufrem podróżnym przybył do ojca Florentyny. Nie byłem wtenczas obecny, ale mój towarzysz znajdował się tam. — Panie, odezwał się wieśniak do starego, należę do kawalera z Calatrawy, który ma być zięciem waszym, to jest pan Pedro de la Membrilla. Przybyłszy obadwa do tego miasta: za chwilę on tu stanie, ja wyprzedziłem go cokolwiek aby was o tēm zawiadomić. Ledwie to skończył, a pan jego wszedł: co zdziwiło niesłychanie starego i trochę zmieszało Moralesa.

Młody Pedro był wcale przystojny. Zwrócił mowę do ojca Florentyny; pocziwy ezłowiek nie pozwolił mu kończyć, lecz obracając się do mojego towarzysza zapytał się, co to ma znaczyć. Wtedy Morales w bezczelności nie ustępujący nikomu w świecie, przybrał postawę pewną i śmiałą i rzekł staremu. — Panie, ci dwaj ludzie, których tu widzisz, są złodzieje którzy nas obdarli na drodze; poznaję ich, a osobliwie tego, który zachwale udaje się za syna Jana Velez de la Membrilla. Stary

mieszczanin bez wahań uwierzył Moralesowi, a przekonany że nowo przybyli są oszustami, rzekł im: — panowie, zapóźno przybywacie, uprzedzono was, Pedro de la Membrilla jest u mnie od wczoraj. — Zastanów się nad tem, co mówisz, odezwał się młodzieniec z Calatravy, zwodzą cię: masz w domu swoim oszusta. Więdz o tem, że Jan Velez de la Membrilla, prócz mnie nie miał innego syna. — Komu innemu to gadaj, odpowiedział stary, wiem ja co wy za jedni. Nie przypominasz sobie tego chłopca, zapomniałeś już o jego panu, któregoś okradł na drodze z Calatravy? — Jako okradł? odpowiedział Pedro; ah, gdybym nie był u ciebie, poobcinałbym uszy temu oszustowi, który z taką bezczelnością złodziejem mnie mieni. Niech dziękuję twojej obecności, która gniew mój hamuje. Panie, powtarzam ci, oszukują cię. Ja jestem tym młodym człowiekiem, któremu brat twój przyrzekł twoją córkę. Chceszże abym ci pokazał wszystkie listy, które pisał do mojego ojca w przedmiocie tego małżeństwa? Uwierzyszże portretowi, który mi przysłał krótko przed śmiercią?

— Nie, odpowiedział stary mieszczanin, portret mnie nie przekona, tak dobrze jak i listy. Wiem jakim sposobem dostały się do rąk twoich, i przez miłość chrześcijańską radzę ci wynosić się jak najprędzej z Meridy, abys nie uległ karze, na jaką zasługują tobie podobni. — To już nadto, przerwał ze swojej strony młody człowiek, tego nie zniosę aby mi bezkarnie kradziono moje imię, żeby mnie udawano za rozbójnika. Znam



Gil Blas i cyrulik.

kilka osób w tém mieście; pójdę po nich i wrócę z nimi dla zawstydzenia szalbierzy, którzy cię uprzedzili przeciw mnie. Po tych słowach oddalił się ze swoim służącym, a Morales został tryumfujący. To zdarzenie stało się przyczyną, że Hieronim de Moyadas postanowił, iżby w tym samym dniu jeszcze zaślubił jego córkę i wyszedł natychmiast dla przedsięwzięcia rozporządzeń do spełnienia tego aktu potrzebnych.

Choć mój towarzysz rad był widząc ojca Florentyny tak dobrze względem nas usposobionego, nie był jednak spokojny. Lękał się skutku zabiegów, które jak się spodziewał Pedro niewątpliwie w tym celu przedsięwzięł, dlatego niecierpliwie wyglądał mojego powrotu, aby mnie zawiadomić o wszystkiem co zaszło. Zastałem go w głębokim zadumaniu. — Cóż to jest? przyjacielu, odezwałem się do niego; zdajesz mi się czemś zajęty. — To nie bez przyczyny, odpowiedział. Zaraz wyjaśnię

mi stan rzeczy: poczem dodał, otóż widzisz czy ja mam nad czem dumać. Twoja płochość nabawiła mnie tego kłopotu. Przyznaję, że przedsięwzięcie było świetne i byłoby ci niepospolitą sławę zjednało, gdyby się było powiodło; lecz według wszelkiego podobieństwa skończy się źle: jabym myślił, że nim przyjdzie do wyjaśnienia zmykajmy z plórktem, któreśmy ze skrzydła tego pocztowego człowieka wyskubali.

Panie Morales, odpowiedziałem na to, nie bądźmy tak skory, ty widzę nadto prędko zrażasz się trudnościami. Nie wielki zaszczyt przynosisz don Mathiasowi de Cordel, ani innym kawalerom, z którymi mieszkał w Toledzie. Kto w szkole tak wielkich mistrzów wyćwiczony, nie powluten się, tak łatwo trwożyć. Ja, który pragnę wstępować w ślady tych bohaterów i dowieść, że jestem godnym ich wychowawcem, twardeję na widok tamy, która cię przeraża, i nabieram sił do jej zniszczenia. — Jeżeli dokażesz swojego, rzekł mój towarzysz, postawij cię wyżej nad wszystkich wielkich mężów Plutarcha.

Kiedy Morales ostatnich domawiał wyrazów, Hieronim de Moyadas wszedł. Już wszystko, rzekł mi, rozporządziłem do twojego ślubu, dziś wieczór będziesz moim zięciem. Szatay twój musiał ci opowiedzieć co tu zaszło. Co ty powiesz na bezczelność oszusta, który chciał wmówić we mnie, że jest synem korespondenta mojego brata? Morales ciekawy był bardzo, jak się wycofam z takiego stanowiska i nie mało się zdumiał usłyszawszy, jak ja patrząc smętnie na Moyadasa, z miłą naiwną odezwałem się do tego mieszczanina: — Panie, teraz ode mnie tylko zależy utrzymać cię w błędzie i korzystać z tego; lecz ja czuję, że nie stworzony do utrzymywania kłamstwa. Muszę ci zrobić wyznanie szczerę. Ja nie jestem synem Jana Valez de la Membrilla. — Co ja słyszę? przerwał stary z równym pośpiechem, jak zadziwieniem. Toż więc nie jesteś tym młodym człowiekiem, któremu mój brat? — Za pozwoleniem panie, przerwał on także, ponieważ zacząłem opowiadać szczerę i wierne, racz mnie więc wysłuchać aż do końca. Ośm dni temu zakochałem się w córce twojej i z tego powodu bawię w Meridzie. Wczoraj, kiedy cię wybawił z niebezpieczeństwa, miałem zamiar prosić cię o jej rękę, kiedy w tej chwili zamknęłaś mi usta oświadczając, że ją przeznaczyłaś innemu. Powiedziałaś mi, że brat twój umierając zaklinał cię, abys ją wydał za Pedro de la Membrilla; żeś mu przyrzekł i że wreszcie jesteś niewolnikiem swojego słowa. Przyznam ci się, że te wyrazy mocno mnie zgrzyły; a miłość moja do rozpacz przywiedziona, szepnęła mi to podejście, którego użyłem. Muszę jednak panu wyznać, że nie sobie skrycie wyrzucił taki postępek, ale rozumiał, że mi go przebaczysz, gdy ci odkryje i gdy się dowiesz, że jestem księciem włoskim podróżującym incognito. Ojciec mój jest udzielnym panem kilku równu leżących między Szwajcaryą, Medyolańskiem i Sabaudyą. Wyobrażałem sobie, że cię przyjemnie podchwycę objawiając ci moje urodzenie, poitem się słodką rozkoszą małżonka delikatnego i zachwyconego, oświadczając to Florentynie po jej zaślubieniu. Niebo, mówiłem dalej zmieniając ton, nie dozwoliło mi taktęj radości. Pedro de la Membrilla pojawia się, trzeba mu wrócić jego imię, cokolwiek mnie może kosztować ten zwrot. Obietnica twoja zmusza cię do przyjęcia go za zięcia, mnie tylko pozostaje wdychanie, uskarżać się nie mogę; musisz go przeniesić nademnie, bez względu na mój stopień, bez litości nad mojem smutnym położeniem do jakiego mnie przywiedziesz. Nie będę ci przedstawiał wcale, że brat twój był tylko stryjem twojej córki, a ty jesteś jej ojcem; że słusniejszą daleko byłoby rzeczą, żebyś się wywłazał z obowiązku zaciągniętego względem mnie, aniżeli żebyś się chlubił z dotrzymania słowa, które cię nie wiele obowiązuje.

— Tak jest, bezwątpienia, to jest daleko słusniejsze, zawołał Hieronim de Moyadas, dlatego nie myślę wahać się między tobą a Pedro de la Membrilla. Gdyby brat mój Augustin żył jeszcze, nie poczytałby mi za złe, że daję pierwszeństwo człowiekowi, który mi ocalił życie, a co ważniejsza jeszcze księciu, który nie pogardza moim zwłazkiem i raczy zniżyć się aż do mnie. Trzeba żebym był wrogiem własnego szczęścia, że-

bym zupełnie stracił rozum, odmawiając ci mojej córki i żebyś nie przyspieszył ślubów tak korzystnych dla niej. — Panie, rzekłem, nie działaj porywczo, postępuj z dojrzałą rozważą, zastanawiaj się jedynie nad własnym interesem, i mimo szlachetność krwi mojej... — Zartujesz sobie ze mnie, przerwał, mamże wahać się na chwilę? Nie, mój księżę, błagam cię raz dziś jeszcze wieczór zaszczycić ręką swoją szczęśliwą Florentynę. — Niechże będzie, rzekłem, donieś jej sam o tem, powiedz jej o świetnym jej przeznaczeniu.

Gdy poczciwy mieszczanin pospieszając zawiadomieniem swojej córki, że podbiła serce księcia, Morales, który słuchał całej rozmowy, padł nakolana przede mną i mówił: — Mości księżę włoski, synu udzielnego pana równi, które są między Szwajcaryą, Medyolańskiem i Sabandją, pozwól, że upadnę do nóg twojej wysokości, aby ci objawić zachwycenie w jakim się znajduję. Na honor oszusta, uważam cię za cudło. Poczytywałem się za najpięrszego w świecie, lecz szczerze mówiąc, zwijam chorągiewkę przed tobą, chociaż mnie masz doświadczenia ode mnie. — Teraz więc, rzekłem mu, pozbyłeś się niespokojności? — Oh, co do tego, to prawda, odpowiedział, już się nie lekam pana Pedro, niech teraz przyjdzie, kiedy mu się podoba. Tak więc Morales i ja staaliśmy znowu silnie. Zaczęliśmy oznaczać sobie drogę, którą mamy się udać z posagiem, na który tak dobrze liczyliśmy jak gdybyśmy go już odebrali, nie sądziliśmy się nigdy być pewniejszymi posiadania jego. A jednakże nie mieliśmy go jeszcze, i rozwiązanie tego wypadku nie odpowiedziało wcale naszemu oczekiwaniu.

Ujrzałszy niedługo wracającego młodzieńca z Calatravy. Towarzyszył mu dwaj mieszczanie i algazil, którego wąsy i cera brunatna równie szanownym czyniły, jak jego urząd. Ojciec Florentyny był z nami. — Panie de Moyadas, rzekł mu Pedro, oto są trzej uczelni ludzie, których ci przyprowadzam; oni mnie znają i mogą ci powiedzieć, kto jestem. — Tak, zapewne, zawołał algazil, mogę to powiedzieć, ja zawiadamiam wszystkich do kogo to należyć może, znam pana, zowiesz się Don Pedro, i jesteś synem jedynym Jana Valez de la Membrilla; ktokolwiek śmie utrzymywać przeciwnie, jest oszustem. — Wierzę panu, Mości algazilu, rzekł poczciwy Hieronim de Moyadas. Wasze świadectwo jest dla mnie święte, równie jak panów kupców którzy z wami przyszl. Jestem zupełnie przekonany, że młody człowiek, który was tu sprowadził, jest synem jedynym korespondenta mojego brata. Lecz cóż mi to obchodzi? Już nie mam zamiaru dania mu córki mojej; zmieniłem myśl moją.

— Oh! to wcale co innego, rzekł algazil. Ja przybyłem tu jedynie by was upewnić, że znam tego młodego człowieka. Ale zaiste pan jesteś ojcem swojej córki i nikt go przymuszać nie może do zaślubienia jej mimo jego woli. — Ja też nie myślę wcale, przerwał Pedro, kępować woli pana de Moyadas, który może rozporządzać córką swoją, jak mu się zdawać będzie najlepiej; lecz pozwól mi zapytać się, dlaczego zmienił swoje zdanie. Czy ma jakiś powód uzalać się na mnie? Pozbawiony słodkiej nadziei nazywania się jego zięciem, niech wiem przynajmniej, że zaszczyt ten straciłem nie z winy własnej. — Nie skarzę się na ciebie, odpowiedział dobry starzec; powiem ci nawet, że z żalem widzę się zmuszonym do złamania słowa, i zaklinam cię, abys mi to przebaczył. Przekonany jestem, że masz dosyć szlachetnego uczucia, abys mi miał za złe, że przenoszę nad ciebie spóźnawodnika, który mi życie ocalał. Patrz, oto ten pan, który mnie z wielkiego wybił niebezpieczeństwa; żeby się lepiej jeszcze niewinnic przed tobą, oświadczam ci, że to jest księżę włoski, który mimo nierówność stanu, chce zaślubić Florentynę, w której się zakochał.

Na te ostatnie słowa Pedro osłupiał i onemiał. Dwaj kupcy otworzyli duże oczy i zgapieli. Lecz algazil przywykły spoglądając na rzeczy ze złej strony, w tej dziwniej przygodzie domyślał się szalbierstwa, na którym mógł coś zyskać. Przyglądał mi się z natężoną uwagą; a że rysy moje wcale mu nieznanne, zawodziły jego dobre chęć, z taką samą troskliwością zwrócił uwagę na mojego towarzysza. Nieszczęściem dla mo-

jej księżęj Mości poznał Moralesa, a przypominając sobie, że go widział w wzięciu w Ciudad Real. — Ah, ah, zawołał, otóż to jeden z moich pacyentów. Przypominam sobie tego szlachetca, i powiadam wam, że to najprzebieglejszy z oszustów ze wszystkich królestw i księstw całej Hiszpanii. — Ostrożnie panie algazil, rzekł Hieronim de Moyadas, ten chłopiec, którego nam tak niepięknie malujesz, jest szatnym księciem. — Wyborne, odpowiedział algazil, nie potrzebuję więcej, żebyś wiedział czego się trzymać. Sądzę o panu z jego sługi. Nie wątpię wcale, że te gracy zmówiły się żeby cię oszukać. Znam ja takie płaszki. I żeby wam pokazać, że te hultaje są awanturnikami, zaraz ich poprowadzę do więzienia. Chcę im wyjednać posłuchanie sam na sam z panem korregidorem, a potem dowiedzą się, że jeszcze nie rozszafowano wszystkich łoz. — Stój panie oficerze, odezwał się stary, nie posuwajmy rzeczy tak daleko. Wy panowie, nie lękacie się bynajmniej naprzykrzyć się uczelwym ludziom. Ten sługa nie mógłby być oszustem, chociaż pan jego nim nie jest? Czyż to taka osobliwość widzieć szalbierzy między sługami księżąt? — Co pan drwi sobie ze swoimi księżętami? przerwał algazil. Ten młody człowiek jest matacz, daję słowo na to, arestuje go w imieniu króla. wraz z jego to-



Arcybiskup Granady wypędza Gil Blasa.

warzyszem. Mam dwudziestu milicyantów za drzwiami, którzy go zawloką do turmy, jeżeli z dobrej woli nie pójdzie. Dalej mój księżę, rzekł do mnie, idźmy.

Te ostatnie wyrazy wprawiły mnie w odurzenie, równie jak Moralesa, a pomieszanie nasze zrobiło nas podejrzany mi Hieronimowi de Moyadas, czyli raczej zgubiło nas w jego umyśle. Poznał teraz żeśmy go chcieli oszukać. Jednakże chwycił się w tym zdarzeniu strony, jakiej się trzymać powinien przejmując człowiek. — Panie oficerze, ozwał się do algazilla, podejrzenia twoje mogą być fałszywe, może też aż nadto są prawdziwymi. Cokolwiek być może, nie zgłębiajmy tego. Niechaj ci młodzi kawalerowie wyjdą i udadzą się dokąd chcą. Nie sprzeciwiaj się temu, proszę cię: jest to łaska o którą błagam, abym się wywiązał z długu, jaki względem nich zaciągnąłem. — Gdybym miał postąpić jak powinieniem, odpowiedział algazil, uwięziłbym tych panów, nie mając względu na twoje prośby; lecz chętnie odstępuję cokolwiek od mojego obowiązku przez przywiązanie do pana, ale pod warunkiem, że ci panowie natychmiast opuszczą miasto, bo jeżelibym ich spotkał jutro, niech Bóg bronil, zobaczą, co się z nimi stanie.

Usłyszawszy że nas wolno puszczać, ochłonęliśmy oba. Chcieliśmy mówić śmiało, utrzymywać żeśmy ludzie honorowi; lecz algazil spojrzął na nas z ukosa i tym sposobem zanknął nam usta. Nie wiem dla czego to ci panowie, mają silną przewagę nad nami. Trzeba więc było zostawić Florentynę i jej posag panu Pedro de la Membrilla, który niechcynie został zięciem Hieronima de Moyadas. Ja oddaliłem się z moim towarzyszem. Skierowaliśmy się do Truxillo, z tą przynajmniej pociechą, żeśmy w tym zdarzeniu zyskali sto ludorów. Na godzinę przed zmrokiem, przechodziliśmy przez małą wioskę, zdążając dalej na nocleg. Ujrzelśmy karcznię, jak na takie miejsca, dosyć porządną z pozoru. Gospodarz i gospodyni siedzieli przede drzwiami na długich ławkach kamiennych. Gospodarz wysokiego wzrostu, chudy i już dosyć stary, brząkała na nędznej gitarze dla zabawki swojej żony, która zdawała się słuchać go z rozkoszą.—Panowie, zawołał na nas gospodarz, widząc, że się nie zatrzymujemy, radzę wam zatrzymać się w tym miejscu. Odtąd aż do pierwszej wsi którą spotkacie, jest jeszcze trzy śmiertelne mile, i tam nie znajdziecie takiej wygody jak u mnie, ostrzegam was. Wierzajcie mi, wstąpcie do mojego domu; znajdziecie wyborne jedzenie i za umiarkowaną cenę. Daliśmy się namówić. Zbliżyliśmy się do gospodarza i do gospodyni; przywitaliśmy ich, a usiadłszy obok nich, zaczęliśmy wszyscy razem rozmowę o rzeczach obojętnych. Gospodarz mienił się oficerem świętego hermandadu, gospodyni zaś dobrej tuszy, wesółą, na pierwszy rzut oka pokazywała, że umie dobrze zbywać swój towar.

Rozmowę naszą przerwało przybycie dwunastu do piętnastu kawalerów, z których jeden na mułach, drudzy na koniach jechali, za nimi zaś postępowało ze trzydzieści mułów obładowanych pakami.—Ah co tu książą! zawołał gospodarz, na widok tylu ludzi; gdzie ja ich wszystkich pomieszczę? W jednej chwili cała wieś pełna była ludzi i zwierząt. Szczęściem obok karczmy była obszerne stodółka, w której umieszczono muły i paki; konie i muły kawalerów gdzieindziej postawiono. Co się tycze ludzi, nie tyle oni myśleli o łózkach jak o wieszakach. Gospodarz, gospodyni i młoda służąca, którą mieli, nie próżnowali wcale. W pień wycięli wszystkie dróby, a to połączone z potrawką z królików i kotów, zupa z kapusty ze skopowiną, wystarczyło dla całego orszaku.

Spoglądaliśmy obadwa, ja i Morales, kiedy niekiedy na tych kawalerów, i oni też nam się przypatrywali. Wreszcie wdaliśmy się w rozmowę i oświadczyliśmy im, że jeżeliby im to nie zawadzało, moglibyśmy razem jeść wieszakę. Przyjęli wniosek nasz z radością. Otóż więc siedzieli razem u jednego stołu. Pomiędzy nimi był jeden, który wydawał rozporządzenia, dla którego inni okazali pewny rodzaj uszanowania, chociaż w ogóle obejście ich było dosyć poufale. Prawda, że on zajmował pierwsze miejsce, rozprawał tonem wznioślejszym; sprzeciwiał się niektórym jakby od niechcenia, którzy zamiast mu odpłacać wet za wet, zdawali się szanować jego zdanie. Zaczęto przypadkiem mówić o Andaluzji; a gdy Morales wdał się w pochwały Sewilli, człowiek o którym dopiero co wspominałem, odezwał się do niego:—Panie, uwielbiasz miasto moje rodzinne, urodziłem się bowiem w jego okolicy, to jest w mieście Mayrena ujrzałem światło dzienne.—Ja panu powiem toż samo, odpowiedział mój towarzysz. Ja także pochodzę z Mayreny i niepodobna, żebym nie miał znać pańskich rodziców, ja co znam wszystkich od alkada począwszy, aż do najuboższego mieszkanka tego miasteczka.—Czym więc jesteś synem?—Uczciwego notaryusza, odpowiedział ów pan, Marcina Morales.—Marcina Morales, zawołał mój towarzysz, z uniesieniem radości i podziwienia; dalibóg, to szczególne zdarzenie! Jesteś więc starszym bratem moim, Manuel Morales?—Właśnie, rzekł tamten; a ty jesteś zapewne mój mały brat Ludwik, któregoś jeszcze w kołębce zostawił, opuszczając dom rodzicielski?—To jest moje imię, odpowiedział mój towarzysz. Na te słowa porwali się obadwa od stołu, uściskali się po kilkakroć. Następnie pan Manuel Morales, odezwał się do towarzyszy:—Panowie, to prawdziwie dziwne zdarzenie,

Los mieć chce, abym spotkał i poznał brata, którego od dwudziestu lat najmniej nie widziałem; pozwólcie abym go wam przedstawił. Poczem wszyscy kawalerowie, którzy dotąd przez grzeczność stali, powitali młodszego Moralesa ściskając go po kolei. Wszyscy zasiedli napowrót do stołu, i bawili przy nim przez całą noc; już nikt się spać nie kładł. Dwaj bracia usiedli obok siebie, i po cichu rozmawiali o swojej rodzinie, spółbiestadnicy zaś pili i bawili się.

Ludwik długo rozmawiał z Manuelem, a następnie wziąwszy mnie na stronę, rzekł:—Wszyscy ci kawalerowie należą do dworu hrabiego Montanos, którego król niedawno mianował vice-królem Majorki. Prowadzą oni konie i sprzęty vice-króla do Alicante, gdzie mają wsiąść na okręty. Brat mój zostawszy intendentem tego pana, chce mnie wziąć z sobą, lecz gdy mu oświadczyłem, że nie radym cię odstępować, zapewnił mnie, że skorobys z nami się udał, wystara ci się o dobry urząd. Kochany przyjacielu, mówił dalej, radzę ci, nie odrzucaj tego. Udajmy się razem na wyspę Majorkę; jeżeli nam będzie tam dobrze, zostaniemy; jeżeli się nam nie podoba, wrócimy do Hiszpanii.

Przyjąłem wniosek z ochotą. Połączyliśmy się obadwa z oficyalistami hrabiego, i pojechalibyśmy wraz z nimi jeszcze przed świtem. Udaliśmy się szybkim pochodem do Alicante, gdzie kupiłem gitarę, i kazałem sobie zrobić nowy ubiór pierwej, nim wsiądziemy na okręt. O niczem już nie myślałem tylko o wyspie Majorce; Ludwika Moralesa toż samo było usposobienie. Zdawało się, żeśmy już porzucili szalbierstwo. Trzeba wyznać prawdę, chcieliśmy uchodzić za ludzi uczciwych w towarzystwie w jakimś znajdowaliśmy się, i to właśnie trzymało nasz przemysł na wodzy. Wreszcie z radością wsiedliśmy na okręt, pochlebając sobie, że wkrótce ujrzymy Majorkę, lecz zaledwie opuściliśmy zatokę alikaucką, gdy nastąpiła burza gwałtowna. W tym miejscu mojego opowiadania, miałbym sposobność do pięknego opisu nawałnicy, odmalować powietrze w płomieniach, poruszyć huk grzmotów, trzask piorunów, świst wichrów, wzleść bałwany, i t. d.; lecz pomijając wszystkie te kwiatki krasomówskie, powiem po prostu, że burza była gwałtowna i zmusiła nas zawinąć do brzegów wyspy Cabrery. Jest to wyspa pusta, z małą forteczką, w której na załodze było podówczas pięciu czy sześciu żołnierzy i oficer, który nas przyjął bardzo uprzejmie.

Pouieważ trzeba nam było zabawić tam dni kilka dla naprawy żagli i lin okrętowych, musieliśmy więc szukać rozmaitych rozrywek, dla uniknięcia nudów. Każdy szedł za swoją skłonnością; jeden grał w karty, drudzy inaczej się bawili; ja przechodziłem się po wyspie z towarzyszami, którzy lubili przechadzkę; była to moja rozkosz. Skakaliśmy ze skały na skałę, bo tam grunt bardzo nierówny, pełno głazów i kamieni, a bardzo mało gruntu. Pewnego dnia, gdyśmy przypatrywali się tym miejscom płonnym i suchym, gdyśmy podziwiali wybyki natury, która się przymila płodnością, lub odraża nieurodzajem i pustkami, gdzie jej się podoba, niespodzianie powonienie nasze uderzyła jakaś niepojęta wonność. Zwróciliśmy się natychmiast ku wschodowi, z kądem ten miły zapach dochodził, i z wielkim naszym zadziwieniem, ujrzelśmy między opokami wielką równinę zieleniejącą się, gdzie lilie wonniejsze i piękniejsze rosły niż w Andaluzji. Zbliżyliśmy się z radością do tych cudnych ziół, które zapachem napełniały okoliczne powietrze i pokazało się, że otaczały jaskinię głęboką. Tam jaskinia była dosyć obszerna i nie bardzo ciemna. Zeszliśmy do głębi jej po stopniach kamiennych, których końce zdobiły kwiaty, i które z natury tworzyły schody ślimakowe. Kiedyśmy dostali się na sam dół, ujrzelśmy kilka strumyków wijących się po piasku żółtym od złoia; krople najczystszej wody sączącej się bezustannie z pomiędzy skał, zasilały te strumyki nikiące w piasku. Woda wydawała się nam tak piękna, żeśmy się zabrali do picia. Była tak słodka i wyborna, żeśmy postanowili nazajutrz wrócić w toż samo miejsce, przynieść z sobą kilka butelek wina, w tym przekonaniu, że je tam z rozkoszą wypróżniemy.

Z zalem opuściliśmy miejsce tak przyjemne i gdyśmy wrócili do zamku wychwalaliśmy spóltowarzyszom naszym to piękne odkrycie; lecz dowódzca forteczki ostrzegał nas po przyjacielsku, żebyśmy do tej groty nie chodzili. — A dlaczego? odezwałem się, czy tam jest co niebezpiecznego? — Tak jest, bezwątpienia, odpowiedział. Korsarze algierscy i trypolitajscy zawijają czasami na tę wyspę i zaopatrują się w wodę w tej jaskini. Pewnego dnia napadli niespodzianie na dwóch żołnierzy z mojej załogi i wzięli ich do niewoli. Jakkolwiek officer mówił tonem stanowczym, nie trafił jednak do przekonania naszego. Uważaliśmy to za żart i nazajutrz zaraz udaliśmy się tamże z trzema towarzyszami naszej wyprawy. Nie braliśmy nawet broni palnej, na znak, że się niczego nie obawiamy. Młody Morales nie chciał należeć do naszego towarzystwa; wołał równie jak i brat jego, grać w karty.

Zeszliśmy na dół do jaskini, jak dnia wczorajszego, wstawiliśmy w strumień kilka butelek wina, któreśmy przynieśli z sobą. Kiedy tak ochłodzone spijamy z rozkoszą, grając na gitarze i bawiąc się wesołą gawędką, spostrzegamy u wejścia kilku ludzi z potężnymi wąsami, w zawojach i w ubiorze tureckim. Wystawiliśmy sobie, że to byli towarzysze naszej wyprawy z dowódcą twierdzy, którzy się przebrali dla napełnienia nam strachu. W tym przekonaniu, poczuliśmy się śmiać, i nie myśląc o obronie, pozwoliliśmy zejść do jaskini, aż dzieścicu ludziom. Wkrótce atoli smutnym sposobem wywiedzeni z błędu, poznaliśmy że to był zbój morski, który przybył ze swoją bandą i nas zabierze. — *Poddajcie się psy, inaczej wszyscy zginiecie!* w tej samej chwili ludzie jego zmlerzyli karabinki swoje na nas; bylibyśmy bezwątpienia haniebnie poczęstowani, gdybyśmy najmniejszy stawili opór: mieliśmy jednak dosyć rozsądku nie myśleć o żadnej obronie. Przenieśliśmy niewolę nad śmierć, i złożyliśmy zbrojom nasze szpady. Kazał nas okuć w kajdany i zaprowadzić na okręt, który stał w bliskości; poczem napiąwszy żagle popłynął ku Algierowi.

Tak ukarani zostaliśmy za lekceważenie przestrogi oficera załogi. Pierwszą rzeczą korsarza było przetrząsnąć nas i zabrać pieniądze, jakie każdy mógł mieć przy sobie. Co za wyborna gratka dla niego! Dwieście dublonów młodych mieszczan z Placenyi; sto, które Morales dostał od Hieronima de Moyadas, a które nieszczęściem miałem przy sobie, wszystko mi zagrabił bez litości. Moi towarzysze mieli także nie złe opatrzone sakiewki; lecz zbój ten nie kontentował się, że nam zabrał pieniądze, jeszcze się najgrywał z nas, szydząc w rozmaity sposób; nie czuliśmy wszakże tego zbyt dotkliwie, bo niezbędna konieczność cierpienia więcej nas zajmowała. Po tysiącnych szyderczych żarcikach, by nam w innym sposobie dokuczyć, kazał przynieść wino, któreśmy ochłodzili w strumieniu, i z towarzyszami swoimi spijał za zdrowie nasze przez drwiny.

Przez ten czas postawa moich towarzyszków objawiała wyraźnie co się w ich duszy działo. Ta niewola tym dotkliwiej ich dręczyła, im rozkoszniejsze marzyli obrazy pobytu na wyspie Majorce, gdzie spodziewali się wesołe prowadzić życie. Co do mnie, wnet stanowe powziętem postanowienie: nie tyle stroskany jak drudzy, wdałem się w rozmowę z szydercą: z dobrej woli brałem udział w jego żartach, i to mu się podobało. — Młodzieńcze, mówił do mnie, lubię takie usposobienie twojego umysłu: w gruncie rzeczy, zamiast wzdychać i jęczeć, lepiej jest uzbroić się cierpliwością, i stosować się do okoliczności. Zagraj nam jaką śpiewkę, rzekł dalej, widząc że mam gitarę, zobaczmy co ty umiesz. Usłuchałem go, skoro mi rozwiązano ręce, zacząłem grać na gitarze w taki sposób, żem zyskał jego oklask. Prawda że nie źle grałem na tym instrumencie. Śpiewałem także, i głos mój równie się podobał. Turcy znajdujący się na statku gestami podziwu objawiali rozkosz, jaką mieli słuchając mnie; z czego pomtarkowałem, że w przedmiocie muzyki nie byli bez gustu. Korsarz szepnął mi do ucha, że nie będę niewolnikiem nieszczęśliwym i że z moimi talentami mogę się spodziewać obowiązku, który mi niewolę znośną uczyni.

Ucieszyły mię poniekąd te słowa; jednakże mimo pochlebne nadzieje niepokoiło mnie zatrudnienie, którym mnie zawczasu częstowano; bałem się żeby nie było przeciwne mojemu upodobaniu. Gdyśmy zawinęli do portu algierskiego, ujrzeliśmy mnóstwo ludzi czekających na nas; jeszcześmy do lądu nie przybili, a już tysięczne okrzyki radości rozległy się w powietrzu: do tego brzmiały buczne głosy trąb, słońców maurytańskich i innych instrumentów używanych w tych stronach, co tworzyło symfonią więcej wrzaskliwą niż przyjemną. Przyczyną tej radości była fałszywa wieść rozniesiona po mieście. Głoszono, że zaprzaniec Mehemet, tak się zwał nasz korsarz, zginął w napaści na wielki okręt geneński; tym sposobem krewni i przyjaciele jego dowiedziawszy się o jego powrocie objawiali mu swoją radość.

Tylko cośmy stanęli na lądzie, zaprowadzono nas natychmiast do pałacu baszy Solimana, gdzie pisarz chrześcijański badał nas każdego w szczególności; pytał się o nazwisko, wiek, ojczyznę, religią i talenta. Wtedy Mehemet przedstawiając mnie baszy, wychwalał mój głos, dodając, że gram na gitarze do zachwycenia. Nie trzeba było więcej, aby skłonić Solimana do przyjęcia mnie do swojej służby. Zatrzymano mnie więc do jego seraju i zaprowadzono dla objęcia przeznaczonego mi obowiązku. Inni niewolnicy zaprowadzeni na rynek, sprzedani zostali według zwyczaju. Przepowiednia Mehemeta spełniła się: szczęśliwy los był moim udziałem. Nie odesłano mnie do straży niewolników, nie używano do robót ciężkich. Soliman basza przez szczególny wzgląd kazał mnie osobno umieścić z kilkoma niewolnikami znakomitemi, których niebawnie miano wykupić i którym dla tego lekkie wskazywano zatrudnienia. Mnie polecono podléwać w ogrodzie pomarańcze i kwiaty. Niepodobna było żądać przyjemniejszego zajęcia; za to też wdzięczny byłem mojej gwiazdce i przeżuwałem, sam nie wiedząc dla czego, że nie będę nieszczęśliwym u Solimana.

Basza ten, boć trzeba podać jego portret: był mężczyzna czterdziestoletni, bardzo urodziwy; bardzo grzeczny i nadzwyczaj uprzejmy jak na Turka. Najmilszą jego kochanką była Kaszemiranka, która pięknością i dowolpem przeważną nad umysłem jego pozyskała władzę. Kochał ją aż do szaleństwa. Codziennie racyły ją nową jaką zabawą: to koncertem głosowym i instrumentalnym, to komedią w guście tureckim; co każe się domyślać poematów dramatycznych, w których wstyd i przyzwoitość nie więcej były szabowane jak prawda Aristotelesa. Ublubienica, nazwiskiem Farrukhnas namiętnie lubiła tego rodzaju widowiska; ona sama niekiedy przedstawiała w obliczu baszy sztuki arabskie. Sama nawet przyjmowała w nich rolę i zachwycała widzów wdziękiem i żywością akty. Raz gdym był między muzykantami na takowem przedstawieniu, Soliman kazał mi grać na gitarze i śpiewać solo między aktami. Miałem szczęście podobać się Solimanowi, pochwalił mnie nie tylko oklaskiem, ale nawet głosem; a oblubienica, jak mi się zdało, łaskawem spoglądała na mnie okiem.

Nazajutrz gdym podléwał w ogrodzie pomarańcze, przeszedł koło mnie rzezańiec, który nie rzekłszy słowa, ani zatrzymując się na chwilę, rzucił mi błecik pod nogi. Podniosłem go z wzruszeniem, w którym się mieszała radość z obawą. Położyłem się na ziemi, lękając się aby nie spostrzeżono z okien seraju, a skrywszy się poza drzewa pomarańczowe, otworzyłem go. Znalazłem dyament znakomitej wartości i te wyrazy czystem kastylskiem narzeczem skreślone: „Młody chrześcianinie, dziękuj Bogu za twoją niewolę. Miłość i fortuna uczynią ją szczęśliwą: miłość, jeśli jesteś czułym na wdzięki nadobnej osoby; fortuna, jeżeli masz odwagę gardzić wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwem”.

Nie wątpię ani na chwilę, że list ten był od sultanki ulubionej; przekonywał mnie o tym styl i dyament. Już to z natury nie jestem ja bojaźliwym, do tego próżność być w dobrych stosunkach z kochanką wielkiego pana, a więcej jeszcze nadzieja zyskania od niej czterokroć więcej piętę-

dzy, niżbym potrzebował na okup, wszystko to skłoniło mnie do powzięcia zamiaru, odważyć się na tę przygodę, jakiegokolwiek mogłoby mi zagrażać niebezpieczeństwo. Zajmowałem się dalej moją robotą, przemyślając nad sposobami dostania się do pokojów Farrukhnazy; czyli raczej czekając póki mi nie otworzy drogi: mniemałem bowiem, że nie poprzestanie na tém, ale że sama ponieście połowę kosztu. Nie myliłem się. Ten sam rzezaniec, który przechodził koło mnie, wracał w godzinę później i rzekł: „Chrześcianinie, namyśliłeś się, i czy będziesz miał dosyć śmiałości iść za mną?”—Odpowiedziałem, tak jest —A więc, odpowiedział, niech Bóg cię zachowa! zobaczysz mnie znowu jutro rano, bąc gotów iść za mną. To mówiąc oddalił się. Nazajutrz ujrzałem go rzeczywiście około godziny ósmej rano. Dał mi znak, żebym się zbliżył do niego; przystąpiłem i poszedłem za nim do sali, w której był wielki zwoj płótna, który przyniósł tam inny rzezaniec, z tym co mnie prowadził, mieli go zaś zanieść do sułtanki, jako dekoracyą do przedstawienia, które ona przysposabiała dla baszy.

Dwaj rzezańcy widząc mnie gotowym na wszystko, nie tracili czasu: rozwinęli płótno, położyli mnie na nie jak jestem długi, poczem z narażeniem nawet na uduszenie, zawiaćli mnie w toż samo płótno. Tym sposobem urządzony zwoj wzięwszy w obudwóch końcach na ramiona, swobodnie zanieśli aż do pokoju sypialnego pięknej kaszemiranki. Była sama jedna z niewolnicą poświęconą zupełnie na wszelkie jej skinięcie. Obie dwie rozwinęły płótno, a Farruknaz na widok mój objawiła radosne uniesienie, z którego wnosić można było o usposobieniu kobiet jej ojczyzny. Jakkolwiek z natury śmiały, ujrzawszy się przecieź nagle przeniesionym do tajemnych pokojów kobiet, uczułem nieco trwogi. Sułtanka spostrzegła to, i dla uspokojenia mojego rzekła: — Młodzieńcze, nie lękaj się niczego: Soliman udał się do wiejskiego pałacu, tam przepędzi cały dzień, możemy bawić się swobodnie.

Tém oświadczeniem uspokojony, przybrałem postawę, która podwoiła radość ulubienicy.—Podobałeś mi się, mówiła, chcę złagodzić twoją niewolę. Sądzę że jesteś godnym uczuć jakie powzięłam ku tobie. Chociaż w ubiorze niewolnika, masz jednak postawę szlachetną i miłą, która wskazuje, że nie musisz pochodzić z głównu. Mów do mnie z ufnością, powiedz szczerze kto jesteś. Wiem dobrze, że jeńcy tają swoje urodzenie, aby tańszy na nich położono odkup; ze mną nie potrzebujesz tak postępować; owszem, przezorność ta obraziłaby mnie, ponieważ ja ci zaręczam wolność. Bąc więc szczerym i przyznaj się, że jesteś młodzieńcem znakomitych rodziców.—W istocie tak jest pani, odpowiedziałem, nie pięknie byłoby z mojej strony odpłacać ci zmyśleniem. Chcesz żebym ci odkrył mój stan, musisz zaspokoić twoją ciekawość. Jestem synem granda hiszpańskiego. Być może, iż w tej chwili powiedziałem prawdę, a przynajmniej sułtanka uwierzyła, ciesząc się, że zwróciła oczy na człowieka znakomitego; zapewniła mnie, że starać się będzie abyśmy się często widywali. Długośmy się bawili, i przyznać muszę że nie widział miłszej kobiety. Umiała kilka języków, a nadewszystko po kastylsku dość dobrze mówiła. Skoro uznała że czas rozłączyć się nam, z rozkazu jej wsiadłem w wielki kosz z łożyny, okryty materyą jedwabną z wyszywaniem jej własną ręką robioném: wezwano tych samych niewolników, którzy mnie przynieśli i ci wynieśli mnie jako dar przeznaczony dla baszy: co jest świętém dla wszystkich, którym straż harem u poręczona.

Farruknaz znalazła następujące inne sposoby rozmawiania ze mną; i ta miła branka wkrótce zapaliła we mnie taką samą miłość, jaką ona ku mnie pałała. Porozumiewanie się nasze ukrywało się w tajemnicy przez dwa miesiące, chociaż to nadzwyczaj trudno aby skryte miłości w seraju na długo uszły bacznego oka argusów. Lecz nieszczęśliwy traf popsuł naszą sprawę, a los mój inną wcale przybrał postać. Raz gdy w sztucznym smoku, którego zrobiono na widowisko, wniesiony zostałem do sułtanki i rozmawiałem z nią, Soliman, który zdawało mi się, że był zajęty za miastem, nadszedł, i tak niespodzianie przybył do pokojów ulubienicy, że stara niewolnica

zaledwie miała czas zawiadomić nas o jego zjawieniu się. Ja jeszcze mniej miałem czasu do ukrycia się; dla tego też najpierwszy wpadłem mu w oczy.

Zdawał się nadzwyczaj zdziwiony, że mnie tam zobaczył, czy jego natychmiast zaiskrzyły się gniewem wściekłym. Uważałem się za człowieka, którego ostatnia godzina bije i zdało mi się, że już stoję na rusztowaniu. Farruknaz przelekła się także, lecz zamiast wyznać winę i prosić o przebaczenie, ona odezwała się do Solimana:—Panie, zanim wydasz wyrok na mnie, racz mnie wysłuchać. Pozory bezwątpienia potępiają mnie i ja zdaję się spełniać zdradę godną najstraszniejszej kary. Ja przyzwałam tu tego młodego człowieka, i żeby go wprowadzić użyłam takiego wylegu, jak gdybym czuła ku niemu miłość bardzo gwałtowną. Ztémwyszystkiem, świadczę się naszym wielkim prorokiem, mimo takie postępowanie, nie zламаłam ci wiary. Chciałam pomówić z tym młodym chrześcianinem, aby go oderwać od jego sekty, a skłonić do przyjęcia wyznania wiernych. Znalazłam w nim upór, któremu się spodziewała, ale jednak przewyciężyłam jego przesady, i własnie mi przyrzekł, że przyjmie islamizm.

Przyznaję, że powinienem był zadać fałsz ulubienicy, bez względu na niebezpieczeństwo w jakim się ujrzałem, ale w ucisku w jakim się znajdował mój umysł, tknięty niebezpieczeństwem w jakim widziałem kobietę ukochaną, drząc jeszcze bardziej o siebie samego, stałem osłupiały. Nie mogłem słowa wyrzec: a basza z mojego milczenia wnosząc, że kochanka jego szczerą prawdę mówiła, pozwolił się rozbroić.—Paul, rzekł, chcę być przekonany, żeś mnie nie obraziła i że chęć spełnienia czynu miłego prorokowi, mogła cię skłonić do odważenia się na postępek tak drażliwy. Utekwinniam więc twoją nieroztropność, byleby ten jeńiec w tej chwili przyjął zawój. Sprowadzono marabuta i ubrano mnie zaraz po turecku. Zrobiłem wszystko, co chciano, nie mając sily do oparcia się, albo lepij mówiąc, w tém zamieszaniu zmysłów moich, nie wiedziałem co robię. Inżto chrześcian byłoby równie tchórzami jak ja, w takimże położeniu.

Po tym obrzędzie wyszedłem z seraju pod nazwiskiem Sidy Hally spełniać obowiązki niskiego urzędu, który mi Soliman udzielił. Nie widziałem więcej sułtanki; lecz jeden z jej eunuchów przybył do mnie pewnego dnia; przyniósł mi klejnoty wartości dwóch tysięcy cekinów złotych z listem, w którym mnie zapewniała, że nigdy nie zapomni szlachetnej względności w przyjęciu islamizmu dla ocalenia jej życia. W istocie prócz darów jakie odebrałem od sułtanki, za jej wstawieniem się otrzymałem urząd znakomitszy od pierwszego, i w krótkim przeciągu czasu, bo w siedm lat niespełna zostałem najbogatszym, z poturczonych chrześcian w Algierze.

Łatwo sobie wystawicie, że jeżeli uczęszczałem na modlitwy muzułmanów do meczetu, jeżeli dopełniał innych obowiązków ich wyznania, to było przez czystą obłudę. Zachowałem silną wolę powrotu na łono kościoła i w tym celu zamierzałem kiedyś przenieść się do Hiszpanii lub do Włoch, ze skarbami, jakiebym zebrał. Tymczasem żyłem bardzo wesoło. Mieszkałem w pięknym domu, miałem przepyszne ogrody, mnóstwo niewolników i śliczne kobiety w moim seraju. Chociaż wino zakazane jest mahometanom, po większej części jednak piją je w sekrecie. Ja piłem bez ceremonii, tak jak wszyscy co się zburmanili. Przypominam sobie, że miałem dwóch towarzyszyów hulanki, z któremi często całe noce przepędzałem na biesiadach. Jeden był żyd, a drugi Arab. Uważałem ich za ludzi uczciwych i dlatego żyłem z nimi bez przymusu. Raz zaprosiłem ich na wieczerzę; tegoż dnia zdechł mi pies, którego namiętnie lubiłem, umyśliśmy go i pogrzebali ze wszystkimi obrzędami, jakie zachowują muzułmanie przy pogrzebach. Zrobiliśmy to nie dla sztydzenia z religii mahometańskiej, ale jedynie dla zabawki i zaspokojenia głupiej chęci uczczenia mojego psa, która nas opanowała po pijanę.

Ten postępek o mało mnie nie zgubił, jak to zaraz usłyszycie. Nazajutrz przyszedł do mnie człowiek jakiś i rzekł mi:—

Mości Sidy Hally, interes wielkiej wagi sprowadza mnie tutaj. Pan Kadi chce z panem mówić; bądź łaskaw udać się do niego natychmiast. — Powiedz mi z jaką swobodą, czego żąda ode mnie, odpowiedziałem mu. — On ci sam to objawi, mówił on; wszystko co ci mogę powiedzieć, to jest, że kupiec arabski, który wczoraj był u pana na wieszakach, doniósł kademu o popełnionej przez ciebie bezbożności, z okazji psa, któregoście pogrzebali; wiesz więc dobrze o co tu idzie; dla tego wzywam cię, abys się dziś stawiał przed tym sędzią, inaczej, ostrzegam cię, postępowanie kryminalne wystosowane będzie przeciw tobie. Wyszedł skończywszy te słowa, a mnie zostawił odurzonego tym wezwaniem. Arab nie miał najmniejszego powodu żalenia się na mnie, pojąć nie mogłem dla czego mi ten hukaj takiego figla wyplatał. Rzecz jednak warta była zastanowienia. Znałem kadego jako człowieka bardzo surowego z pozoru, w gruncie rzeczy nie był zbyt skrupulatny, a bardzo chciwy. Wziąłem dwieście dukatów w kaletkę, i udałem się do sędziego. Wprowadził mnie do swojego gabinetu, i odezwał się w tonie szorstkim: — Jesteś bezbożnik, świętokradca, człowiek obmierzły. Pogrzebałeś psa tak jak muzułmana! co za zniewaga! Także to zachowujesz obrzędy nasze najświętsze? dlategoś został machometaninem, aby sztydzić z naszych ćwiczeń bogobojnych? — Panie kadi, odpowiedziałem mu, Arab, który ci tak niegodziwie sprawozdanie złożył, ten fałszywy przyjaciel, jest spółnikiem mojego występku, jeżeli tylko można nazwać występkiem oddanie honorów pogrzebowych wierzniemu słudze, zwierzęciu, które się zalecało tysiącami wybornymi przysmaki. On tak kochał ludzi godnych i znakomych, że nawet umierając chciał im okazać dowody swojej przyjaźni. Przekazał im wszystko swoje mienie testamentem, którego ja jestem wykonawcą. Jednemu zapisał dwadzieścia piastrow, drugiemu trzydzieści; i ciebie najdosłowniejszy panie nie zapomniał: oto jest kaletka z dwustą dukatami, którą polecił mi złożyć ci. Kadi na te słowa stracił całą powagę; nie mógł się wstrzymać od śmiechu; a żeśmy sami tylko byli, wziął bez ogródki woreczek, i odprawiając mnie, rzekł: — Idź panie Sidy Hally, wyborcie zrobiliś, grzebiąc z okazałością i honorami psa, który tyle miał szacunku dla ludzi uczelwych.

Tym sposobem wywikłałem się z tej sprawy, a jeżeli nie stałem się przez to mędrszym, byłem przynajmniej odąd przeczorszym. Już nie odbywałem hulanki ani z Arabem, ani nawet z żydem. Wybrałem do pijatyki młodego szlachcica z Liworno, który był moim niewolnikiem. Nazywał się Azarini. Nie byłem podobny do innych zaprawców, którzy niewolnikom chrześcijańskim więcej dokuczają, niż sami turcy; moi niewolnicy wszyscy cierpliwie czekali, póki ich nie wykupiono. Obchodziłem się z nimi tak łagodnie, że nie raz mówili mi, iż więcej boją się zmiany pana, niż pragną odzyskania wolności, tyle ponętniej dla tych, co popadną w niewolę barbareską.

Pewnego dnia okryty baszy wrócił ze znakomitą zdobyczą. Przywiozły przeszło stu niewolników obojg płci, schwytych na wybrzeżach Hiszpanii. Soliman bardzo mało zatrzymał dla siebie, resztę sprzedano. Przybyłem na rynek, gdzie się sprzedaż odbywała, i kupiłem dziewczynę, hiszpankę, dziesięć do dwunastu lat mieć mogącą. Płakała ona rzewnymi łzami, i strasznie rozpaczała. Odezwałem się do niej po kastylsku, żeby hamowała swój smutek, że dostała się w ręce pana, który nie był pozbawiony uczucia ludzkości chociaż miał zawój na głowie. To małe stworzenie wczaj zajęte powodem swojego utyskiwania, nie słuchało mnie wcale; bezustannie jęczała, skarżyła się na swój los, i kiedy niekiedy rzewliwym głosem wołała: — O matko moja! dla czegoż jesteśmy rozłączone? Wszystkobyśmy cierpliwiej znosiła, gdybyśmy były obiedwie razem. To mówiąc zwracała oczy na koblétę około czterdziestu pięciu lat, lub może trochę więcej mieć mogącą, która stała o kilka kroków od niej, i z oczami spuszczone w głębokim milczeniu oczekiwała póki jej kto nie kupi. Zapytałem się dziewczyny, czyby ta osoba na którą spogląda była jej matką. — Niestety! tak jest, odpowiedziała, panie, spraw to, abym jej nie opuszczała! — Zgoda, moje dziecię, jeżeli dla two-

jej pociechy tego tylko potrzeba, abyście były połączone, zaraz cię zaspokoje. Przybliżyłem się więc do owej matki, aby ją stargować; lecz zaledwem spojrział na nią, gdy z całym wzruszeniem jakie tylko sobie wystawić potrafił, poznałem rysy, ale to istotne rysy Lucyndy. O Boże! pomyśliłem sobie, to moja matka, ani wątpli o tem. Co do niej, czy to silne uczucie nieszczęścia, przedstawiało jej wszystkich otaczających za nieprzyjaciół, czy ubiór mój tak dalece mnie odmieniał, czy też dwanaście lat przez które mnie nie widziała, zrzuciły taką zmianę w mojej postaci, dosyć na tem, że mnie nie poznała. Kupiwszy ją, poprowadziłem wraz z córką do domu.

Tu dopiero chciałem im zrobić przyjemność oświadczenia kto jestem. — Pani, odezwałem się do Lucyndy, czy podobna, aby twarz moja nie zwróciła twojej uwagi? Czyż wasy i zawój są przyczyną, że nie poznajesz syna swojego Raphaela? Na te słowa matka moja zadrżała z radości, przypatrzyła mi się, poznała i w skutek tego czule bardzo uściskaliśmy się. Uściskałem następnie jej córkę, która zapewne nie lepiej wiedziała, że ma brata, jak ja, że mam siostrę. — Przyznaj pan, odezwałem się do matki, że we wszystkich twoich sztukach teatralnych lepszemu poznania nie miałaś nad terazniejszą. — Mój synu, odpowiedziała mi wzdychając, naprzód cieszę się, że cię znalazła; lecz ta radość zmienia się w smutek. Niestety! w jakimże stanie znajduję cię! Moja niewola sto razy mniej mi jest przykrą, niż ten strój nienawistny... — Ah pan! przerwałem śmiejąc się, zaiste cieszy mnie twoja delikatność; bardzo to lubię w aktorze. Miły Boże, moja matko, mnsiałaś się bardzo zmienić, jeżeli moje przeobrażenie, tak mocno razi twoje oczy. Zamiast oburzać się na mój zawód, uważaj mnie raczej za aktora, który na scenie przedstawia Turka. Chociaż jestem renegatem, nie jestem przecie więcej muzułmanem, aniżeli nim byłem w Hiszpanii; a w gruncie rzeczy, czuję zawsze przywiązanie do mojej religii. Skoro się dowiesz o wszystkich moich przygodach w tym kraju, będziesz mnie miała za niewinnionego. Miłość była moim występkiem; składałam ofiarę temu bożyszczu. Odziedziczyłem to poniekąd od ciebie, i to śmiało mówię. Jeszcze jeden jest powód, dodać, dla którego powinnaś miarkować nieukontentowanie ze stanu, w jakim się obecnie znajduję. Spodziewałaś się pan! zapewne spotkać w Algierze ciężką niewolę, a w panu twoim znajdujesz przywiązanego syna, pełnego uszanowania i dosyć bogatego, aby ci mógł zapewnić wygodne życie, póki nie znajdziemy sposobności powrotu do Hiszpanii. Przyznaj słusność temu przysłowiu, które mówi: że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

— Mój synu, mówiła Lucynda, ponieważ masz zamiar wrócić kiedyś do kraju i tam wyrzec się islamizmu, jestem więc zupełnie pocieszona. Dzięki Bogu! będę mogła powrócić Kastylii córkę moją Beatrix zdrową i nieskażoną. — Tak jest, pani, odezwałem się, będziesz to mogła uczynić. Udamy się wszystko troje, jak tylko będziemy mogli najprędzej, połączyć się z resztą naszej rodziny; boć zapewne są w Hiszpanii inne jeszcze dowody twojej płodności. — Nie, nie mam więcej jak was dwoje, rzekła moja matka, a dowiesz się, że Beatrix jest owocem małżeństwa zupełnie prawego. — A to dla czego, przerwałem, zapewniłaś małej siostrzyczce mojej tę korzyść nade mną? Jakim sposobem potrafiłaś się skłonić do pojęcia męża? — Inne czasy, inne myśli, mój synu, odpowiedziała; ludzie najstarsi w przedsięwzięciach często przecie nęgają zmianom, a ty chcesz żeby kobieta była niezachwiana! Muszę ci opowiedzieć moje życie od czasu twojego wyjścia z Madrytu. Wtedy usłyszałem historią, której nigdy nie zapomnę. Nie mogę was pozbawić tak ciekawych powieści.

— Będzie temu, rzekła matka moja, jeżeli pamiętasz blisko trzydzieści lat, jak opuściłeś młodego Leganez. Około tego czasu książę Medina Celi powiedział mi, że chce sam na sam jeść z mną wieszak. Oznaczył mi dzień, czekałam więc tego pana, przyszedł i podobałam się mu. Żądał ode mnie ofiary wszystkich półzawodników, jakichby mógł mieć. Przystałam na to, w nadziei, że mi dobrze zapłaci. Nie omiliłam się. Nazajutrz

odebrałam bogate dary, za które mi nastąpiły inne, które mi przysyłał. Bałam się, czy potrafię długo utrzymać w pętach swoich człowieka tak wysokiego dostojenstwa: a obawa moja tym większą była, że wleciała, iż ten pan wymykał się z objęć najszlachetniejszych piękności, że zrywał węzły w tej prawie chwili, w której je zawiązał. Jednakże zamiast coraz mniej smakować w moich przymleniach, zdawał się raczej coraz nowe znajdować w nich upodobanie. Zresztą znałam sztukę bawienia go i zapobieżenia, aby serce jego, z natury płochę, nie uległo wrodzonej skłonności.

Już trzy miesiące kochał mnie i miałam powód pochlebiać sobie, że miłość jego dłużej jeszcze potrwa, gdy raz z przyjaciółką moją udałam się na zebranie, w którym i on się znajdował ze swoją małżonką. Poszliśmy tam na koncert głosowy i instrumentowy. Trafem zajęliśmy miejsce dość blisko księżnej, która poczytała za rzecz nieprzyzwoitą, że ja osmieliłam się znajdować w témże gdzie i ona miejscu. Kazała mi powiedzieć przez jedną ze swoich kobiet, iż mnie prosi, abym się natychmiast oddaliła. Dałam grubiańską odpowiedź posłańce. Księżna rozgniewana skarżyła się mężowi, a on sam przyszedłszy do mnie, rzekł: — „Widz Lucyndo, kiedy wlecy paowie przywiązują się do takich stworzeń jak ty, to dla tego nie powinny się one zaporować: jeżeli was więcej kochany niż nasze żony, tedy z drugiej strony, żony nasze więcej szanujemy niż was. A jeżeli kiedykolwiek opanuje cię chęćka zuchwala stawania w równi z nimi, w każdym razie narazisz się na wstyd haniebnego obejścia.

Szczęściem księżę te straszne dla mnie wyrazy tak cicho wymówił, że ich nikt z obok siedzących nie słyszał. Wysłałam zawstydzona, płakałam ze złości doznawszy takiej zniewagi. Na domiar zgrzyoty, komedyaneci i komediantki dowiedzieli się o tém zdarzeniu tegoż samego wieczoru. Rzekłbyś, że między tymi ludźmi snuje się jakiś zły duch, który ma za upodobanie donosić jednym, przygody drugich. Komediant naprzykład, niech na jakiejś hulance zrobi coś głupiego, komediantka niech się puści w dzierżawę bogatemu gachowi, o tém natychmiast wie cała trupa. Towarzysze więc i towarzyszki moje wszystkie wiedziały co się stało na koncercie i Bóg wie jak się tam cieszyły moim kosztem. Jest między niemi pewny rodzaj miłości bliźniego, która się objawia w podobnych przypadkach. Ja przecież pogardzałam ich plotkami i nie martwiłam się po stracie księcia Medina Celi; bo od tej chwili już go więcej u siebie nie widziałam i w kilka dni później dowiedziałam się, że sercem jego o władnęła jakaś śpiwaczka.

Kiedy teatralna dama szczęsnem losu zrzadzeniem pozyska wziętość, na kochankach zbywać jej nie będzie, a miłość znakomitego pana nowęj doda jej wartości. Ujrzałam się obszczone od wielbicieli, skoro dowiedziano się z pewnością, że księżę u mnie przestał bywać. Spółzalotnicy, których mu poświęcałam, bardziej jak niegdys zachwycenti moimi wdziękami, tłumem zbiegli się do mnie, a prócz tego odebrałam hołd innych serc niezliczonych. Nigdy nie byłam w takiej modzie. Ze wszystkich mężczyzn którzy się ubiegali o moje względy, opasły niemiec dworzania księcia Ossuna zdał mi się najgorliwszym. Nie była to postać zbyt ujmująca, ale uwagę moją potrafił zwrócić na siebie tysiącem dublonów, które zebrał w służbie swojego pana, któremi zaszafował aby zyskać miejsce na liście moich kochanków szczęśliwych. Poczęła ta istota zwała się Brutandorf. Póki rzucał pieniądże przyjmowałam go mile; skoro stracił wszystko, zastał drzwi zamknięte przed nosem. Nie podobało mu się moje postępowanie. Przyszedł do mnie do teatru w czasie widowiska. Byłam za kulami. Chciał mi czynić wyrzuty, ja mu się rozśmiała w oczy. Rozgniewał się i palnął mię w twarz szczerze po niemiecku: krzyknęłam z całej siły, przerwałam sztukę. Wystąpiłam na scenę zwracając się do księcia Ossuna, który był właśnie w teatrze z księżną swoją małżonką, prosiłam go o wymierzenie sprawiedliwości za niemiecki postępek jego dworzania, księżę rozkazał dalej grać komedią i oświadczył, że wysłucha strouy po skończeniu sztuki. Tylko co się skończyło przedstawienie, pokazałam się księ-

ciu bardzo wzruszona i z zapalem opowiedziałam moją skargę. Niemiec zaś na swoją obronę dwa tylko powiedział słowa; to jest, że nietylko nie żałuje tego co zrobił, ale owszem gotów jest powtórzyć. Po wysłuchaniu stron, księżę Ossuna rzekł do niemca: — Brutandorf, wypędzam cię od siebie, i nie chcę, abys mi się pokazywał na oczy: nie dla tego żeś dał policzek komediantce, ale żeś uchybił należnego uszanowania twojemu panu i twojej pani, żeś śmiał przerywać widowisko w ich obecności.

Ścisnęło mi się serce na ten wyrok. Poczytałam sobie za śmiertelną urazę, że niemiec nie był wypędzony za to, że mnie znieważał. Ja wystawiałam sobie, że podobnego rodzaju obelga wyrządzona komediantce, powinna być z równą surowością karana, jak zbrodnia stanu, i pewna byłam że niemiec dotkliwie ukaranym będzie. Ten wypadek niemiły otworzył mi oczy: poznałam, że świat aktorów nie miesza z rolami jakie przedstawiają. To mnie zniechęciło do teatru, postanowiłam opuścić go i żyć gdzie zdale od Madrytu. Walencją wybrałam za miejsce mojego schronienia i udałam się tam *incognito*, z dwudziestą tysiącami dukatów, które miałam w gotówce i w klejnotach: co mi się zdawało aż nadto wystarczające na utrzymanie reszty dni moich, témbardziej, że zamierzyłam żyć na ustroniu. Najęłam w Walencji mały domek, zgodziwszy do usług kobietę i pazia, którym równie byłam nieznaną jak i w mieście. Udałam się za wdowę po oficerze od boku królewskiego, mówiąc, że dla tego osiadłam w Walencji, iż pobyt w tém mieście uważany jest za najrozkoszniejszy w całej Hiszpanii. Towarzystwo moje z bardzo małej liczby osób składało się, życie zaś wiedziałam tak porządne, iż nikomu na myśl nie przyszło, żebym kiedyś miała być komediantką. Jednakże choć starannie ukrywałam się przed okiem ludzkim, zwróciłam przecież na siebie uwagę szlachcica, który miał zamek niedaleko miasta Paterna. Był człowiek przystojny, blisko czterdziestego roku życia sięgający, ale bardzo zadłużony; co nie jest większą osobliwością w królestwie Walencji, jak w wielu innych krajach.

Temu panu hidalgo, podobała się bardzo moja osoba, chciał tylko wiedzieć czyby z innych względów odpowiadała jego widokom. Rozpuścił więc wyżły dokoła, aby złapać wiatr, i z wielką radością dowiedział się, że z twarzą nieodrażającą, miałam wcale nie złą oprawę wdową. Pomiarkowawszy więc, że to może być dla niego odpowiednie małżeństwo, przysłał do mnie starszkę, która z jego polecenia oświadczyła mi, iż ujęty moją cnotą, również jak wdziękami, osłaruje mi swoją rękę, i gotów jest poprowadzić mnie do ołtarza, jeżeli bym chciała zostać jego żoną. Żądałam trzech dni do namysłu. Zasięgałam wiadomości o szlachcicu; tyle zaś dobrego o nim mi nagadano, że choć nie tajono stanu jego interesów, postanowiłam go zaślubić.

Don Manuel de Xerica, tak się zwał ten hidalgo, mąż mój, zawlózł mnie do swojego zamku, który z pozorów zdawał się bardzo starożytny, i z tego nie mało się chlubił don Manuel. Utrzymywał on, że kiedyś tam wybudował go jeden z jego przodków, a ztąd prosty wyprowadzał wniosek, że w całej Hiszpanii nie ma starożytniejszej rodziny nad dom Xerica. Lecz tak niezbity dowód szlachectwa czas zaczął już kruszyć; zamek w kilku miejscach popodpierany groził ruiną: co za szczęście dla don Manuela, że mnie zaślubił. Połowa moich pieniędzy poszła na naprawę; drugieży użyliśmy na świetne wystąpienie w świecie. Otóż więc jestem, że tak rzekę, w nowym żywiole; zamieniona w nimfę pałacową, w damę parasolną: co za metamorfoza! Jako dobra aktorka umiałam utrzymywać blask jakim mnie nowy stopień otaczał. Przyjęłam wspaniałą postawę, postawę teatralną, z ką wsi wysokie powzięto mniemanie o mojem urodzeniu. Jakąży to ludzie pociechę mieli, gdyby mogli byli zajrzeć w moje rachunki! Szlachta okoliczna zdobyłaby się na tysięczne przycinki, a wieśniacy ograniczyliby bardzo uszanowanie jakim mnie obdarzali.

Sześć lat szczęśliwie przeżyłam z don Manuelem, gdy w tém umarł. Zostawił mi zawikłane interesa i siostrę swoją Beatrix,

która wtedy cztery lata miała. Zamek, który był jedynem naszym mieniem, zastawiony był kilku wierzycielom, z których najważniejszym był Bernard Astuto (1). Jak on umiał dobrze utrzymać swoje nazwisko! Pełnił on w Walencji obowiązki prokuratora jako człowiek wytrawny w procedurze, uczył się nawet w uniwersytecie prawa, aby tem prawniej wyrażać niesprawiedliwość. Okropny wierzyciel! zamek w ręku takiego prokuratora, był jak gołąbek w szponach jastrzębia; dlatego też pan Astuto dowiedziawszy się o śmierci mojego męża, wziął się natychmiast do oblężenia zamku. Byłby go niechybnie wysadził minami pieniactwa, gdyby się do tego nie wnieszała moja gwiazda; szczęście moje zrządziło, że oblegający został moim jeńcem. Potrafiłam go zachwycić, gdym się z nim spotkała w przedmiocie naszej sprawy. Przyznam się, że nie czegę nie szczędziła, żeby zapalić miłość w jego sercu; a chęć ocalenia mojej posiadłości, skłoniła mnie do doświadczenia na nim wszystkich umizgów, które mi się tak dobrze udawały już nie raz. Z całą jednak moją umiejętnością lękałam się by nie chybić pana prokuratora. Tak był zagrzebany w swoim rzemiośle, że zdawał się być nieprzystępnym wszelkiemu wrażeniu miłości. A jednak ten mruk, ten klecha, ten skrobipapier, więcej znajdował rozkoszy w patrzaniu na mnie, niżelim spodziewać się mogła.—Pani, rzekł mi, nie umiem sobie postąpić w miłości. Całe życie z takim zapalem poświęcałem się mojemu powołaniu, że nie miał czasu nauczyć się zwyczajów i obyczajów zalotnictwa. Znam jednak istotę rzeczy: i żeby przyjść do samej treści, powiem pani, jeżeli zechcesz mnie zaślubić, spalimy całe postępowanie prawne, usunę wierzycieli, którzy się ze mną połączyli dla sprzedania twojej włości. Będziesz miała jej dochody, a dziedzictwo pozostanie dla córki. Interes Beatrycy i mój własny niedozwalał mi wahać się, przyjąłam ofertę. Prokurator dotrzymał słowa; obrócił broń przeciw innym wierzycielom, zapewnił mi posiadanie zamku.

Zostałam więc prokuratorową, nie przestawszy atoli być damą parafianą. Ale to nowe zamęście zgubiło moje w oczach szlachty walencyjskiej. Kobiety wyższego tonu spoglądały na mnie, jak na osobę, która utraciła szlachectwo, i nie chciały się wdawać ze mną. Trzeba było zceptać się towarzysstwa mieszczek, co zrazu dosyć przykro było, gdyż od sześciu lat przywykłam obcować z samemi paniami znakomitemi. Wkrótce atoli uspokoiliam się. Zabrałam znajomość z pisarżową, i dwiema prokuratorowemi, których charakter był dosyć zabawny. W ich obejściu się było coś śmieszkiego, co mnie bawiło. Te małe kobiecinę poczytywały się za coś wyższego od gminu. Niestety! pomyśliłam nie raz, widząc je zapominające się, otóż to świat! Każdy mnie ma się wyższym od swojego sąsiada. Sądziłam, że tylko komedyantki nie znają się na sobie, a tu jak widzę i mieszczki nie są rozsądniejsze. Radabym aby za karę nakazano im trzymać w pokojach portrety ich przodków: zaręczam żeby ich nie umieściły na ścianie zbyt oświeconej.

Po czterech latach zamęścia, pan Bernard Astuto zachorował i umarł bezdzietny. Z tem co mi zapisał przed ślubem i z tem com już posiadała, ujrzałam się wdową dosyć bogatą i taką też zyskałam wziętość. Na ten odgłos szlachcie sycylijski, nazwiskiem Colifichini, postanowił zbliżyć się do mnie, żeby albo mnie zgubić, albo za żonę pojąć. Wybór mnie zostawił. Przybył on z Palermo dla zwiedzenia Hiszpanii, a zaspokoiwszy swoją ciekawość, czekał w Walencji na sposobność jak mówić, powrotu do Sycylii. Miał on niespełna dwadzieścia lat, przystojny, choć małego wzrostu, dosyć, że mi się podobał. Żądał ze mną rozmowy na osobności, i przyznał ci się szczerze, że zaraz po pierwszem spotkaniu się, zawrócił mi głowę. Młody oszust ze swojej strony udawał zachwyconego moimi wdziękami. Zdaje mi się, Boże odpuść mi winy, żebyśmy byli natychmiast zawarli ślub, gdyby śmierć prokuratora, jeszcze zbyt świeża, pozwalała mi była na wejście w nowe związki. Lecz od chwili, kiedy nabrałam gustu do małżeństwa, zachowywałam przyzwoitość światową.

Zgodziliśmy się więc na odłożenie naszego ślubu do pewnego czasu jedynie dla przyzwoitości. Tymczasem Colifichini nie przestawał mi się zalecać, a miłość jego zamiast zmniejszać się, codzień wzrastała. Biędny chłopiec nie był bardzo opatrzonej w pieniędzy. Spostrzegłam to i nie brakło mu gotówki. Bo prócz tego, że prawie dwa razy była starszą, pamiętałam że w mojej młodości mężczyźni składali mi haracz; tym sposobem to co ja teraz dawałam, uważałam za pewny rodzaj zwrotu dla spokojności sumienia. Czekaliśmy ile możności z największą cierpliwością, póki nie upłyne czas, jaki przyzwoitość ludzka wdowom zakreśliła. Skoro nadszedł, posłaliśmy do ołtarza, i połączyliśmy się węzłami wiecznymi. Zamieszkaaliśmy potem w moim zamku, gdzieśmy przeżyli dwa lata, nie tak jak małżonkowie, ale jak dwoje kochanków. Ale niestety! związek nasz tak szczęśliwy, nie miał być długotrwały; zapalenie mlecza, zabrało ze świata mojego drogiego Colifichini.

W tem miejscu przerwałam mowę mojej matki. — Jak to, pani, zawołałam, to i trzeci twój małżonek umarł? to pani musisz być płacem morderczego boju. — Cóż chcesz mój synu? odpowiedziała mi, jestże w mojej mocy przedłużyć dni, które niebo policzyło? Jeżeli utraciła trzech mężów, a coż mam robić? Dwóch szczerze żałowałam. Najmniej oplakiwałam prokuratora. Ponieważ pojął go z interesu, łatwo więc poleżałam się po jego utracie. Lecz wracając do Colifichiniego, powiem ci, że w kilka miesięcy po jego śmierci, chciałam zobaczyć sama w okolicy Palermo dom wiejski, który mi jako oprawę wdowią, zapisał przy umowie przedślubnej. Wsiadłam na okręt z córką, aby się przeprawić do Sycylii; ale w czasie tej żeglugi, dostałyśmy się w ręce korsarzy baszy algierskiego. Sprowadzono nas do tego miasta. Szczęściem dla nas, żeś przybył na rynek, na którym nas wystawiono na sprzedaż. Gdyby nie to, dostałybyśmy się w ręce jakiego barbarzyńcy, któryby się z nami nieludzko obchodził; zostałybyśmy może na całe życie w niewoli, a ty anibyś słyszał o nas.

Takie było opowiadanie mojej matki; dałam jej najpiękniejszą pokoje w moim domu, pozwoliłem żyć, jakby się jej podobalo, co jej bardzo traśliło do gustu. Zaciągnęła ona najętego kochania, przez tyle powtórzonych aktów tego rodzaju, że jej niezbędnie potrzebny był kochanek, albo mąż. Naprzód zwróciła oczy na niektórych z moich niewolników, lecz wkrótce zwrócił jej uwagę na siebie Hally Pegelin, grecki zaprzaniec, który czasami bywał w moim domu. Większą ku niemu uczuła miłość, niż ku Colifichiniemu, a tak już była wprawna w przypodobanie się mężczyznom, iż znalazła tajemnicę czarowania jeszcze i tego. Udałam, że wcale nie dostrzegam ich stosunków; podówczas rozmyślałem jedynie nad powrotem do Hiszpanii. Basza pozwolił mi uzbroić okręt, paść się na morze, i spróbować korsarskiego chleba. Uzbrojenia takowe zajmowały mnie, a na ośm dni przed ich dokonaniem, rzekłem do Lucyndy:—Pani, niezwłocznie opuśćmy Algier, stracimy z oczu te miejsca, które ci tak obmierzyły.

Na te słowa matka moja zbladła, język jej zamrwił. Zdumiałem się.—Co widzę? rzekłem jej, z kądże pochodzi to przerażenie? Zdaje się, że zamiast radości, staje się smutku przyczyną. Mniemałem, że ci miłą zwiastować będę nowinę, oświadczając ci, że wszystko przygotował do naszego odjazdu. Nie pragnieszże już więcej wracać do Hiszpanii? —Nie, mój synu, nie życzę sobie wcale. Tyle tam przeżyłam zgrzyot, że wyrzekam się jej na wieki. — Co słyszę? zawołałam z boleścią, ah! powiedz raczej, że miłość cię od niej odrywa. O Boże! jakaż to zmlana! Gdyś przybyła do tego miasta, wszystko ci było obmierze, lecz Hally Pegelin zmienił twoje uczucia. — Nie przeczę wcale, odpowiedziała Lucynda; kocham tego renegata, i chcę go mieć czwartym mężem.— Jakiż to zamiar! przerwałam ze zgrozą; pani chcesz pójść za muzułmana! zapominasz, że jesteś chrześcianką, czyli raczej byłaś nią tylko z nazwiska. Ah! matko moja, coż mi przedstawiasz? postanowiłaś zgubę swoją. Chcesz spełnić to z dobrej woli, co ja zrobiłem z musu.

Długo jeszcze rozprawiałem, aby ją odwieść od tego zamiaru; wszystko było napróżno; postanowienie jej było nie-

(1) Astuto, znaczy chytry.

cofnięte. Nie poprzestała na tem, że nie chciała odstąpić swojej skłonności, że poszła żyć z tym zaprzaićem, chciała jeszcze wziąć z sobą Beatricę. Sprzeciwiłem się temu. — Ah, nieszczęśliwa Lucynda, mówiłem jej, jeżeli nie nie zdoła cię wstrzymać, sama tylko przynajmniej idź za tym szaleńcem, który cię opanował, a nie ciągnij za sobą tej młodej, niewinnej, w przepaść, w którą się na oślep rzucasz. Lucynda odeszła, nie nie mówiąc. Sądziłem, że jeszcze pozostała jakaś iskierka rozsądku, oświeciła ją i wstrzymała od upornego domagania się córki. Jakżem mało znał matkę moją? Jeden z moich niewolników we dwa dni później, powiedział mi: — Panie, miałem się na baczności. Jeniec Pegelina w zaufaniu zwierzył mi się, z czego staraj się jak najprędzej korzystać. Matka twoja zmieniła religią, i żeby cię ukarać za to, żeś jej odmówił wydania Beatrycy, postanowiła zawiadomić baszę o zamierzonej przez ciebie ucieczce. Nie wątpiłem ani na chwilę, aby Lucynda nie była kobietą zdolną wykonać co mi niewolnik powiadał. Miałem dosyć czasu do zbadania jej, i przekonałem się, że grywając często w tragediach role krwawe, oswoiła się ze zbrodnią. Bardzo łatwo kazała bymnie spalić na stosie, i zdaje mi się, że śmierć moja nie więcej by ją rozczuliła, jak katastrofa jakiej sztuki teatralnej.



Inesilla de Cantarilla.

Nie chciałem więc lekce ważyć przestrogi mojego niewolnika. Przyspieszałem moją wyprawę. Wziąłem turków według zwyczaju korsarzy, którzy się na rozbój puszczają; lecz zabrałem ich tylko tyle, ile potrzeba było, by uniknąć podejrzenia; wypłynąłem z portu jak tylko mogłem najszybciej, zabrawszy wszystkich swoich niewolników i siostrę Beatricę. Łatwo się domyślicie, że zabrałem także wszystkie pieniądze i klejnoty, co wszystko mogło wynosić około sześciu tysięcy dukatów. Kiedyśmy się już ujrzeli na otwartym morzu, najpierw zabezpieczyliśmy się względem turków. Powiązaliśmy ich łańcuchem, ponieważ niewolników moich było daleko więcej. Wiatr mieliśmy tak pomyślny, że wkrótce ujrzeliśmy brzegi Włoch. Zawinęliśmy jak najszybciej do portu Livorno, gdzie jak mi się zdało, całe miasto zbiegło się, patrzeć na nasze ładownice. Ojciec mojego niewolnika Azarinięgo, trafem czy przez ciekawość, był także między widzami. Przypatrywał się bacznie każdemu niewolnikowi w miarę jak wysiadali na ląd, ale chociaż upatrywał rysów swojego syna, nie spodziewał się jednak oglądać go. Jakież to uniesienie radości, ile uścisków nastąpiło, skoro się obadwa poznali.

Skoro Azarini powiedział ojcu kto byłem i co mnie sprowadziło do Livorno, starzec zobowiązał mnie zaraz, abym wraz z siostrą Beatricą zajął mieszkanie u niego. Pomiłm rozmaite szczegóły towarzyszące mojemu powrotowi na łono kościoła; powiłem tylko, że wyrzekłem się islamizmu z lepszą wiarą,

należeli go przyjmować. Oczyszczywszy się zupełnie z trądu algierskiego, sprzedałem okręt, i wypuściłem na wolność wszystkich niewolników. Co się tyczy Turków, tych zatrzymano w więzieniu dla wymiany za chrześcijan. Od obudwóch Azarinię, ojca i syna, dozwalałem największej uprzejmości; synu nawet, zaślubił siostrę moją Beatrix, co dla niego nie złem było związkiem, ponieważ była córką szlachcica i miała zamek Xerica, który matka oddając się do Sycylii, wypuściła w dzierżawę zamożnemu włoskiemu z Paterna.

Zabawiwszy czas niejaki w Livornie, udałem się do Florencji, którą miałem ochotę zwiedzić. Udałem się zaś z listami zalecającymi. Azarini miał przyjaźnił na dworze księżęcym, im więc polecił mnie, jako szlachcica hiszpańskiego swojego powinowatego. Dodałem zaraz don do mojego imienia, naśladując w tem mieszczan hiszpańskich, którzy bez żadnych zachodów przybierają ten przedimek honorowy, skoro się ujrzą po za granicami swojego kraju. Kazałem się więc beczelnie mianować don Raphael; a że przywiozłem z sobą z Algieru, czemuś godnie mógł utrzymywać moje szlachectwo, wystąpiłem więc świetnie na dworze. Młoda szlachta do której starzy Azarini pisał za mną, rozgłaszali wszędzie, że byłem człowiekiem znakomitego rodu; tak dalece, że ich światłość i mój sposób obejścia się, przekonał wszystkich o moim wysokim znaczeniu. Wszrubowałem się wkrótce do wielkich panów, którzy mnie przedstawili księciu. Miałem szczęście podobać mu się. Odtąd ustawnie snułem się przed oczyma księcia, starając się zbadać jego usposobienie. Bacznie przysłuchiwałem się rozmowom najstarszych dworaków, a z tych wnosilem o jego skłonnościach. Uważałem że lubi żarty, dowcipne powiastki i wyrażenia. Do tego się stosowałem. Codziennie rano spisywałem na kartkach historyjki, które miałem mu w ciągu dnia opowiadać. Umiąłem ich mnóstwo na pamięć; miałem ich że tak powiem, pełną torbę. Ztem wszystkiemi, mimo oszczędność, zapas mój przecie coraz się zmniejszał, tak dalece, że byłbym się ujrzał zmuszonym do powtarzania się, albo do pokazania, że mi się urwały moje powiastki, gdyby geniusz mój, płodny w wynajdywaniu, nie był mi nowego dostarczył zasobu; ale ja układałem powiastki zalotne i komiczne, które bardzo bawiły księcia; i co się często zdarza dowolnym ludziom z powołania, rano spisywałem w książeczce dowcipy, które po południu, udawałem księciu, jakby z natchnienia wyrzeczony.

Dźwignąłem się nawet na poetę, poświęcając muzę moją na pochwały księcia. Zgadzałem się szczerze, że wiersze moje nie były dobre, dla tego też nie krytkowano ich wcale; gdyby wszakże były najlepsze, wątpię aby je książę milej przyjął. Zdawał się z nich bardzo zadowolony. Być może, iż przedmiot nie pozwalał upatrywać w nich usterek. Cóżkolwiek bądź, powoli tak podobałem się księciu, iż to obudziło zawiść dworaków. Usiłovali dociec moje pochodzenie, ale nie mogli tego dokazać. Dowiedzieli się jedynie, że byłem renegatem, i nie zaniebali tego objawić księciu w nadziei zaszkodzenia mi. Ale i tego nie dokazali; owszem, książę pewnego dnia kazał mi opowiedzieć szczegóły podróży moją do Algieru. Spełniłem jego rozkaz, a przygody moje, których wcale nie tałem, mocno go ubawiły.

— Don Raphael, rzekł mi po skończeniu mojego opowiadania, czuję do ciebie przywiązanie, i chcę ci okazać dowód taki, iżbyś nie mógł powątpiewać o rzetelności mojego oświadczenia. Mianuję cię powiernikiem moich tajemnic, i na zadatek mojego zaufania objawiam ci, że kocham żonę jednego z moich ministrów. Kobieta najmilsza z całego dworu mojego, ale zarazem najcnotliwsza.

Nie chcę przeszywać serca tego nieszczęśliwego małżonka, oświadczać się jawnie kochankiem jego żony. Chciałbym, aby nigdy, jeżeli to być może, nie poczuł tego ognia, który mnie trawi; bo jestem przekonany, żeby skończył w żalu, gdyby się domyślił o tem zwierzeniu się, jakie ci w tej chwili robię. Taję więc moje kroki, i postanowiłem użyć ciebie, dla wynurzenia Lukrecji całego udarczenia, jaki mi sprawia przymus, który sobie zadaje. Będziesz tłumaczem moich uczuć. Wejź

w stosunki z Mascariniem; staraj się o pozyskanie jego przyjaźni, wciśnij się do jego domu, postaraj się o swobodną rozmowę z jego żoną. Nie wątpliwe, że się doskonale wywiążesz z tego polecenia. Tego właśnie oczekuję po tobie, i mam nadzieję, że spełnisz to tak zrećnie i ostrożnie, jak tego wymaga obowiązek tyle drażliwy.

Przyrzekłem księciu wszelkiego przyłożyć starania, by odpowiedzieć jego zaufaniu i przyłożyć się do jego szczęścia. Wkrótce dotrzymałem słowa. Nie szczędziłem niczego, by się przypodobać Mascariniemu, i bez wielkich trudów dopiąłem swojego zamiaru. Uradowany, że człowiek zaszczycony łaską księcia, stara się o jego przyjaźni, sam do mnie wyciągnął rękę. Dom jego był dla mnie otwarty, zyskałem wolny przystęp do żony, i mogłem śmiało zaręczyć, że tak się doskonale ułożyłem, iż nie miał najmniejszego podejrzenia o układach, jakie miałem sobie poruczone. Prawda, że jak na włocha, wcale nie był zazdrosny, tak dalece ufał cencie Lukrecyi, iż często zamykał się w swoim gabinecie, mnie zostawiając sam na sam z żoną. Zrazu gładko rzecz prowadziłem. Rozmawiałem z nią o miłości księcia, oświadczając, że przychodzę do niej jedynie, aby jej mówić o księciu. Nie zdawała mi się być nim zajęta, próżność atoli nie pozwalała jej gardzić jego wzdychaniem. Z upodobaniem słuchała o nim, nie nie odpowiadając. Była bardzo cnotliwą, ale przy tym, kobietą; młarkowałem, że cnota jej nieznacznie ustępowała przed dumnym wyobrażeniem, widzieć wszechwładnego księcia w wężach swoich. Przypadek wszakże, którego się najmniej mógł spodziewać, zulszczył jego nadzieje, jak się tego zaraz dowiedzie.

Z natury jestem śmiały do kobiet; zaciągnąłem ten nałóg, zły czy dobry, u Turków. Lukrecya była piękna. Zapomniałem, że miałem być tylko posłannikiem, zacząłem działać na własny rachunek. Oskarowałem moje usługi tej pani najuprzejmiej, jak tylko mogłem. Zamiast okazać się urażoną moją śmiałością i odpowiedzieć z gniewem, ona rzekła uśmiechając się: — Przyznaj Don Raphaelu, że książe wybrał pośrednika bardzo wiernego i bardzo gorliwego! Usługujesz mi ze szczerością godną uwielbienia. — Paul, odpowiedziałem w tymże tonie, nie rozbiłajmy rzeczy tak ściśle. Porzucmy, proszę cię, te uwagi, wiem, że nie są na moję korzyść, ale ja spuszczam się zupełnie na moje uczucie. A wreszcie nie sądę, abym był pierwszym z powierników, którzy zdradzają swoich panów w przedmiocie zalotów. Wlecy panowie bardzo często w posłannikach swoich, znajdują niebezpiecznych spótzawodników. — To być może, odpowiedziała Lukrecya, lecz ja nadto jestem dumna; jeżeli nie książe, nikt inny wzruszyć mnie nie potrafi. Zastój się do tego, mówiła dalej, przybrawszy ton poważny, zaczulijmy o czem innem. Chcę zapomnieć o twojej rozmowie, pod warunkiem, że się wstrzymasz na zawsze od podobnych wyrażeni, inaczej możesz tego żalować.

Chociaż to była przestroga dla czytelnika, z której powinienem był korzystać, a jednak ja nie przestawałem wynurzać moję miłość żonie Mascariniemu; owszem, z tym większym zapałem nalegałem, by odpowiedziała moję namiętności, i dość byłem płochy pozwolić sobie nieco więcej śmiałości. Wtedy pani ta oburzona mową moją i wzięciem się muzulmańskiem, wbrew zerwała ze mną. Pogroziła mi zawiadomieniem księcia o mojem zachwalstwie, zapewniając, że go prosić będzie, aby mnie ukarał, jak na to zasługuję. Przebodły mnie te pogroźki. Nienawiść zajęła w sercu mojem miejsce miłości; postanowiłem zemścić się za wzgardę przez Lukrecyą objawioną. Udałem się do jej męża, i zobowiązawszy go do zaprzysiężenia, że mnie nie narazi, zawiadomiłem go o stosunkach jego żony z księciem, nie zaniedbując wystawić ją szalenie w nim rozkochaną, a to dla większego interesu sceny. Minister dla zapobieżenia jakimnby przypadkowi, nie wdając się w żadne formy postępowania, zamknął ściśle żonę swoją w tajnych pokojach, i otoczył ją strażą wiernych ludzi. Gdy tak otoczona argusami, nie mogła żadną miarą dać znać o sobie księciu, ja z miną smutną doniosłem mu, iż nie powinien już myśleć o Lukrecyi; dodałem, że Mascarini odkrył wszystko

bez wątpienia, gdy tak czuwa nad swoją żoną; że nie wiem coby mu dało powód do podejrzenia względem moie, tembardziej, gdy się zawsze z największą brał do rzeczy ostrożnością, chyba że może ta pani sama wyznała wszystko mężowi, i w zmowie z nim, kazała się zamknąć, aby unikać zabiegów niepokojących jej cnotę. Książę zdał się mocno przejęty mojem sprawozdaniem. Rozrzewniła mnie boleść jego, i nie raz żalowałem tego com zrobił, ale już po czasie. Prócz tego, przyznałem się, czulem złośliwą radość, skorom sobie wystawił stan, do jakiego przywiódłem tę dumną panią, która wzgardziła mojem uczuciami.

Kosztowałem bezkarnie słodczy zemsty, która wszystkim jest tak miła, a szczególnie też Hiszpanom. Gdy pewnego dnia książe będąc otoczony orszakami pięciu czy sześciu panów swojego dworu, kiedy i ja byłem obecny, odezwał się: — Jakby też według waszego sądu, należało ukarać człowieka, który nadużywając zaufania swojego księcia, chciał mu wydrzeć kochankę? — Trzebaby go, rzekł jeden z dworaków, koźmi rozszarpać. Drugi był zdania, że go kijmi na śmierć zbli należy.



Gil Blas przedstawiony księciu Lerma.

Najłitościwszy z tych włochów, który najłagodniej wyrokował przeciw winowajcy, rzekł, żeby poprzestał na strąceniu go z wysokiej wieży na głowę. — A don Raphael, dodał książe, jakiego też jest zdania? Zdaje mi się, że Hiszpanie muszą być nie mniej surowymi jak Włosi w podobnego rodzaju wykroczeniach.

Pojałem bardzo dobrze, jak się łatwo domyśleć, że Mascarini złamał przysięgę, albo żona jego znalazła sposobność zawiadomienia księcia o tem, co zaszło między nami. Nie trudno było wyczytać z moję twarzy pomięszanie, które mną miało. Mimo to wszakże, odpowiedziałem księciu śmiało: — Hiszpanie są daleko szlachetniejsi; przebaczyliby w podobnym razie powiernikowi, a tą dobrocią obudziliby w sercu jego zgrozotę nieustanną z dopęknionej zdrady. — Zgoda na to, rzekł książe, i ja także czuję się zdolnym do okazania takiej szlachetności; przebaczam zdrajcy; bo właściwie biorąc, sam sobie winę przypisywać muszę, że zaufałem człowiekowi, którego nie znałem dobrze, a którego po tem, co mi o nim mówiono, wystrzegać mi się należało. Don Raphaelu, dodał jeszcze, otóż to takim sposobem chcę się zemścić nad tobą. Opuszczaj niezwłocznie moje państwo i nie waż mi się więcej pokazywać

na oczy! Oddaliłem się natychmiast, nietyłem zasmucony niełaską, jak uradowany, że tak tanim kosztem pozbyłem się wszystkiego. Nazajutrz wsiadłem na okręt barceloński, który odbijał z portu liworneńskiego, wracając do swojej ojczyzny.

W tém miejscu przerwałem don Raphaelowi.—Jak na człowieka przebiegłego, rzekłem mu, popełniłeś zdantem moim wielki błąd, żeś nie opuścił Florencyi, zaraz po odkryciu Mascarinemu miłostek księcia z jego żoną. Powinieneś być łatwo przypuszczać, że książę wykryje twoją zdradę.—Prawda, odpowiedział syn Lucyndy, dla tego też, mimo zapewnień ministra, że mnie nie zechce wystawiać na zemstę księcia, zamierzalem wymknąć się jak najprędzej.

Przybyłem do Barcelony, z reszłą skarbów zebranych w Algerze, większą bowiem część ich straciłem we Florencyi, udając szlachcica hiszpańskiego. Nie długo bawiłem w Katalonii, paliłem żądzą oglądania Madrytu, czarownego miejsca mojego urodzenia, jak tylko więc mogłem najprędzej, zaspokoilem moje pragnienie. Przybywszy do stolicy, zająłem trafem mieszkanie w hotelu umeblowanym, w którym mieszkała Kamilla. Chociaż już dawno wyszła z małoletności, nie mniej jednak była powabną; świadczy się panem Gil Blas, który ją prawie w tym samym czasie widział w Valladolidzie. Dodać atoli trzeba, że więcej jeszcze miała dowcipu, niż piękności; nigdy awanturka nie umiała z takim talentem nęcić głupców. Wcale a'oli nie była podobną do tych zalotnic, które korzystają z wdzięczności kochanków. Jeżeli się jej udało podskubywać jakiego poborcę, dzieliła się zaraz jego łupami, z pierwszym lepszym kawalerem z szulerii, który jej się podobał.

Pokochaliśmy się oboje z pierwszego wejrzenia. a zgodność naszych skłonności, tak nas ściśle skrupowała, że wnet zawarliśmy spółnictwo wszelkiego mienia. Oboje wprowadziliśmy w siebie, wkrótce się więc wszystko spożyło. Na nieszczęście nie myśleliśmy zrazu jak tylko o wzajemnem przypodobaniu się sobie, nie korzystając wcale z usposobień, jakieśmy oboje posiadali, żyć kosztem cudzym. Nędza wreszcie obudziła nasze talenta, które roskosz w odrętwienie wprowadziła.—Mój kochany Raphaelu, mówiła raz do mnie Kamilla, zmieńmy sposób życia mój przyjacielu! porzućmy wierność, która nas niszczy. Ty możesz zawrócić głowę jakiej bogatej wdowie, ja mogę zaczarować jakiego starego pana: jeżeli dłużej będziemy sobie wzajemnie wierni, szczęście dwóch osób chyblone! —Piękna Kamillo, odpowiadałem, uprzedzasz mnie, tylko co miałem ci toż samo przedstawić. Zgadzasz się na to, moje bóstwo! Aby tém lepiej utrzymać naszą wzajemną miłość, postarajmy się o korzystne zdobycze. Złamanie wiary, jakiego się względem siebie dopuścimy, stanie się tryumfem na korzyść naszą.

Po zawarciu takiej umowy, ruszyliśmy na wyprawę. Zaraz z początku zaczęliśmy się mocno krzątać, nie mogąc spotkać czegośmy szukali. Kamilla natrafiła na samych elegantów, ma się rozumieć kochanków nie mających ani szeląga; a ja na kobiety, które wołały same brać, ale nie płacić. Ponieważ miłość nie chciała opatrywać naszych potrzeb, musieliśmy się uciec do oszustw. Spełniliśmy ich tyle i tak ważnych, że pan korregidor o nich posłyszał, a że to był sędzia djabelnie srowy, polecił więc jednemu z algazilów aby nas pojmał; lecz algazil równie zacny, jak korregidor niegodziwy, zostawił nam dosyć czasu do wydalenia się z Madrytu, a to za małą kwotę, którąśmy mu wręczyli. Udaliśmy się do Valladolid i tam osiedliśmy. Nająłem dom, w którym mieszkałem z Kamillą, udając ją za siostrę, a to z obawy zgorszenia. Naprzód trzymaliśmy nasz przemysł na wodzy, rozpoznawaliśmy pierwój pole nimeśmy się odważyli na jakieś przedsięwzięcie.

Pewnego dnia spotkałem na ulicy człowieka, który przywiławszy mnie bardzo grzecznie, rzekł:—Don Raphaelu, poznaszże mnie?—Odpowiedziałem mu że nie.—A ja pamiętam cię bardzo dobrze, mówił mi. Widziałem cię na dworze tokańskim, będąc wtenczas gwardziwą Wielkiego księcia. Przed kilką miesiącami onnściłem ci służbę księcia. Przybyłem do Hiszpanii z Włochem najprzebiegłym: jesteście w Valladolidzie

od trzech tygodni. Mieszkamy razem z jednym Kastylianinem i jednym Galicyanem, są to bez zaprzeczenia dwaj uczeiwe chłopey. Zjemy razem z pracy rąk naszych. Mamy stół wyborny, bawimy się jak książęta. Jeżelibyś się połączył z nami, przyjęlibyśmy cię bardzo mile; bo uważalem cię zawsze za zgrabnego człowieka, z natury nie bardzo skrupulatnego, i do naszego zakonu włajemniczonego.

Otwartość tego oszusta wywołała podobną z mojej strony.—Ponieważ mówisz ze mną w szczerości serca, odezwałem się do niego, zasługujesz abym i ja z tobą podobnie postąpił. W istocie nie jestem ja nowicyszem w waszém powołaniu: a gdyby skromność pozwalała mi opowiedzieć wam moje wyprawy, ujrzelibyście, że wyrok wasz o mnie nie był za nadto pochlebny; ale zostawmy pochwały, powiem wam tylko, przyjmując ofiarowane mi miejsce w waszém towarzystwie, że nie zaniedbam niczego, aby wam dowieść, że godny tego jestem. Zaledwie oświadczyłem temu frantowi że przyjmuję miejsce w ich towarzystwie, gdy w tej chwili zaprowadził mnie do nich i tam zapoznałem się ze wszystkimi. W tém miejscu po raz pierwszy ujrzałem szanownego Ambroise de Lamela. Ci panowie zaczęli mnie wypytywać się o sztukę przywłaszczania sobie zręcznie cudzej własności. Chcieli dowiedzieć się, czy też znam główne zasady; ale pokazałem kilka nieznanych im sigłów, nad którymi się zdumiali. Tém więcej zdziwili się, gdy lekce ważąc zgrabność ręki, jako rzecz nadto już pospolitą, powiedziałem im, że wybornie się znam na oszustwach dowcipu wymagających. Na przekonanie opowiedziałem im awanturę Hieronima de Moyadas; z samej tej prostej powieści przyznali mi geniusz wyższy i jednozgodnie okrzyknęli mnie swoim naczelnikiem. Wybór ich usprawiedliwiłem niezliczonymi szalbierstwami, którychśmy spółnie dokonali, lecz ja byłem rzeczywiście trzpieniem, około którego wszystko się obracało. Jeżeli nam trzeba było aktorki do pomocy, używaliśmy Kamilli, która do zachwycenia odgrywała wszelkie role.

Około tego czasu spółtowarzysz nasz Ambroży powziął chętkę odwiedzenia swojej oyczyzy. Udał się do Galicyi, zapewniając nas o swoim rychłym powrocie. Zaspokoił swoją żądzą: wracając zaś wstąpił do Burgos dla korzystania ze swojej zręczności: znajomy mu właściciel hotelu nastęrczył go do służby pana Gil Blasa de Santillana, nie zaniedbując go oświecić o sprawach tego pana.—Panie Gil Blas, zwracając do mnie mowę, dodał, pamiętasz zapewne jakim sposobem oskubaliśmy cię w Valladolidzie, i nie wątpię, żeś się domyślał, iż Ambroży głównym był narzędziem tego rabunku, a miałeś w tém słusność. Wróciwszy przyszedł do nas, przedstawił nam twój stan, a panowie przedsiębiorcy ułożyli się natychmiast. Ale nie wiesz skutków tego zdarzenia: otóż ci powiem. Ja z Ambrożym zabraliśmy twój kuferek, a wsiadłszy na twoje muły ruszyliśmy do Madrytu, nie troszcząc się o Kamillę, ani o towarzyszy, którzy zapewne nie mniej, jak ty zdziwili się nie ujrawszy nas nazajutrz.

Drugiego dnia podróży zmieniłszy zamiar. Zamiast zdążyć do Madrytu, zkąd nie bez przyczyny oddaliłem się, przejechałiśmy przez Zebberos i zwróciliśmy drogę do Toledo. Najpierwszém naszym staraniem było ubrać się należycie; poczem udając się za braci Galicyan podróżujących przez ciekawość, zaznajomiliśmy się z bardzo uczeiwyimi ludźmi. Ja tak dalece przyzwyczaiłem się do udawania człowieka znakomitego, iż każdy łatwo się oszukał; a że najłatwiej ołsnic każdego rozrzutnością, i my więc rzuciliśmy piaskiem w oczy wszystkim, wyprawiając świetne uczy damom. Pomiędzy kobietami, które widywałem, jedna zajęła mnie szczególniej. Zdawała mi się piękniejszą od Kamilli, a była młodsza od niej. Chciałem się dowiedzieć coby to była za jedna: powiedziano mi, że się zowie Violanta: że zaślubiła pewnego kawalera, który znudzony jej pieszczotami, uganiał się za nierządnicą, w której się zakochał. Nie potrzebowałem więcej objaśnień, aby Violantę wyobrazić sobie za władczynię mojego serca.

Violanta wnet spostrzegła swoje zwycięztwo. Chodziłem ślad za ślad z nią i przez rozmaite wybiegi starałem się prze-

konać, że niczego więcej nie pragnę, tylko pocieszać ją z powodu niewierności jej męża. Piękność moja zaczęła nad tem rozmyślać, i wnet poznałam, że chęci moje zyskały jej pochwałę. Za pośrednictwem starszki, które we Włoszech i w Hiszpanii są nadzwyczaj dogodne, odebrałem odpowiedź na jeden z moich biletów, których nie mało popisałem. Pani moja zawiadomiła mnie, że mąż jej codziennie idzie na wieczernię do swojej kochanki i bardzo późno wraca do domu. Zrozumiałem co to ma znaczyć. Tej samej nocy udałem się pod okna Violanty i związałem z nią czułą bardzo rozmowę. Przed rozłączeniem się, umówiliśmy się, że co noc o tejże godzinie, będziemy mogli się bawić tym samym sposobem, nie nchybiając bynajmniej zalotom w dzień dozwolonym.

Dotąd don Baltazar, tak się zwał mąż Violanty, nie źle jęszcze na tem wychodził; ale ja chciałem także kochać na dobre; jednego więc wieczoru udałem się pod okna mojej bogini w zamiarze oświadczenia jej, że dłużej żyć nie mogę nie uzyskawszy od niej widzenia się sam na sam w miejscu stososowniejszem dla mojej miłości, czego dotąd nie mogłem od niej pozyskać. Ale zbliżywszy się do jej domu spostrzegłem czło-wieka na ulicy, który zdawał się zwracać uwagę na mnie. W istocie był to mąż mojej lubej, który wczesniej jak zwykle, wracając od swojej nierządnicy, ujrzał mężczyznę w bliskości swojego domu, zamiast więc wejść do niego, przechodził się po ulicy. Zrazu nie wiedziałem co robić. Wreszcie postanowiłem zbliżyć się do don Baltazara, którego nieznalem, i któremu nie byłem znajomy.—Panie kawalerze, rzekłem mu, zostaw mi na tę noc ulicę spokojną, innym razem ja ci tą samą grzecznością odpłacę.—Panie, odpowiedział mi, tylko co miałem też samą prośbę zaniesć do ciebie: kocham pannę, której brat troskliwie strzeże, mieszka zaś o dwadzieścia złąd kroków. Pragnąłbym, aby nikogo nie było na ulicy.—Na to odpowiedziałem mu, jest sposób zadowolenia nas obojwóch, bez wzajemnej przeszkody, bo oto tu, pokazując mu dom jego własny, mieszka piękność, której się zalecam. Możemy nawet sobie pomagać, jeżeliby który z nas był zaczepiony.—Zgoda na to, rzekł, idę na miejsce umówione, a będziemy się ratować w razie potrzeby. To rzekłszy, oddalił się, ale dla tego żeby lepiej na mnie baczyć, do czego mu ciemność nocy pomagała.

Ja w najlepszej wierze zbliżyłem się do balkonu Violanty; wyszła wkrótce i rozpoczęliśmy gawędę. Nie przestałem nalegać na moję lubą, aby mi wyznaczyła spotkanie się w miejscu odpowiednim. Wzdrygała się nieco dla podwyższenia ceny tej łaski, o którą prosiłem: następnie puszczać bilecik wydobyty z kieszeni, odezwała się:—Masz, w tym liście znajdziesz obietnicę rzeczy, której tak natrętnie domagasz się. W tem oddaliła się, bo już zbliżała się godzina, o której zwykle mąż wracał do domu. Schowałem bilet i zwróciłem się ku miejscu, w którym don Baltazar miał mieć zajęcie. Ten wszakże przekonawszy się, że ja wdychałem do jego żony, pospieszył naprzeciw mnie i odezwał się:—Panie kawalerze, sprzyjałaś ci fortuna?—Zdaje mi się, że nie mogę narzekać, odpowiedziałem.—A pan jakżeś wyszedł? doznałeś względów miłości?—Niestety! nie, mówił, ten przeklęty brat mojej miłej powrócił ze wsi, a my spodziewaliśmy się, że tam zabawi do jutra. Ta przekora pozbawiła mnie spodziewanej rozkoszy.

Złożywszy sobie wzajemne zapewnienia przyjaźni, ułożyliśmy się, że nazajutrz rano pojedziemy się na wielkim placu. Po rozstaniu się naszym, panicz ten wrócił do domu, nie pokazując Violancie, że wie o wszystkim. Nazajutrz przybył na miejsce umówione, a ja w chwilę po nim nadszedłem. Powitaliśmy się z wynurzeniem przyjaźni równie chytrém z jednej strony, jak szczerém z drugiej. Poczém podstępny don Baltazar zwierzył mi się z fałszywą miłością, o której mi wczoraj namienił. Opowiedział mi wymyśloną przez siebie długą bajeczkę o swoich zabiegach, a to w celu, aby mnie skłonić do wzajemności, chcąc tym sposobem dowiedzieć się, jakim sposobem poznałem się z Violantą. Wpadłem w sidła, wyjawilem wszystko z największą szczerością. Co większa, pokazałem mu odebrany od niej bilecik i przeczytałem z niego następujące wyrazy: „Jutro będę

na obiedzie u dony Ines. Wiész gdzie mieszka. W domu tej wiernej przyjaciółki, będę sam na sam z tobą. Nie mogę ci dłużej odmawiać tej łaski, na którą zdajesz się zasługiwać.”

—No, jestto bilecik, rzekł don Baltazar, który ci zapewnia nagrodę twojego zapału. Wiesz ci naprzód szczęścia, które cię czeka. Mówiąc to, był nieco pomieszany, ale łatwo dosyć ukrył swój kłopot przed moimi oczyma. Tak dalece miłą odurzony byłem nadzieją, że najmniejszej nie zwrócił uwagi na mojego powiernika, który jednak ujrzał się zmuszonym do opuszczenia mnie, aby w końcu nie wydać się ze swoim pomieszaniem. Pobiegł zawiadomić swojego teścia o całej przygodzie. Nie wiem co tam zaszło między nimi, to tylko powiem, że don Baltazar zapukał do drzwi dony Ines, kiedy właśnie byłem u niej z Violantą. Dowiedzieliśmy się, że to on był i ja tylnemi drzwiami wymknąłem się pierwiej nim on wszedł. Skoro ja zniknął, kobiety niespodzianém zjawieniem się męża nieco zmieszane, uspokoiły się i przyjęły go z taką bezczelnością, że wątpił nawet, aby maie mogły ukryć, lub wypuścić. Nie powiem wam rozmowy z doną Ines i żoną swoją; bo o tem nigdy się nie dowiedział.

Tymczasem niemając najmniejszego podejrzenia, abym miał być igraszką podstępny don Baltazara, wyszedłem ztęrcząc mu i udałem się na wielki plac, który oznaczyłem za miejsce spotkania się z Ambrozjym de Lamela. Nie zastałem go, bo i on także miał swój interes, lecz hultaj był szczęśliwszym odemnie. Gdyw na niego czekał, ujrzałem mojego chytrego powiernika z miną bardzo wesołą. Zbliżył się do mnie i uśmiechając się, pytał się o moje spotkanie z Inesy.—Nie wiem, rzekłem mu, jakiś zły duch zawistny mojej rozkoszy, zawsze mi ją skrzyżuje: kiedy właśnie sam będąc z moją nimfą, nalegałem, aby przyspieszyła chwilę mojego szczęścia, mąż jej zastukał do drzwi, niech mu tego pan Bóg nie pamięta, trzeba więc było myśleć o odwrocie. Wymknąłem się tylnemi drzwiami, polecając wszystkim djabłom natrętnika, który płał wszystkie moje rachuby.—Żaluję cię szczerze, zawołał don Baltazar, ciesząc się skrycie z mojej przyszłości. Otoż to mąż namolny; radzę ci nieustępować mu placu.—Oh! już ja usłucham twojej rady, odpowiedziałem i zaręczam ci, że dzisiejszej nocy honor jego zbroczy z drogi. Żona jego, kiedym ją opuszczał, szepnęła mi, abym się tak drobną rzeczą nie zrażał, żebym wczesniej, jak zwykle przyszedł pod jej okna, że postanowiła mnie wpuścić do siebie, lecz na wszelki przypadek dobrzeby było, abym przywiódł z sobą dwóch lub trzech przyjaciół, dla zabezpieczenia się od podejścia.—Jakżeto roztopna kobieta! rzekł, ja sam ci się ofiaruję za towarzysza.—Ah! drogi przyjacielu, zawołałem nradawany, jakżem ci wdzięczny, i zaraz uściskałem go serdecznie. Jeszcze więcej ci pomogę, dodał, znam młodego człowieka, który jest istnym Cezarem, on niezawodnie należec będzie do kompanii, a pod taką zastoną będziesz zupełnie bezpieczny.

Nie wiedziałem co powiedzieć temu nowemu przyjacielowi, by mu należyte podziękować, tak mocno byłem przejęty jego gorliwością, koniec końców, przyjąłem ofiarowaną mi pomoc; i oznaczając sobie punkt zejścia się pod oknami Violanty, skoro się zciemnił, rozeszliśmy się. On udał się do swojego szwagra, wyżej wzmiankowanego Cezara, a ja przechodziłem się po placu z Ambrozjym, który chociaż dziwił się tej gorliwości jaką don Baltazar w mojej sprawie objawił, ale tak jak ja, niczego złego się nie domyślał. Ze schylnicem czołem lecieliśmy w sieć. Przyznając, że to jest nie do darowania takim ludziom jak ja. Gdy mi się zdało, że czas już stawić się pod oknami Violanty, ruszyliśmy oba z Ambrozjym w dobre zbrojni rapiry. Zastaliśmy tam już męża mojej pani z drugim mężczyzną, którzy na nas śmiało czekali. Don Baltazar zbliżył się do mnie i wskazując na szwagra, rzekł:—Panie, oto jest ten kawaler, którego waleczność chwaliłem niedawno. Wejdz do swojej kochanki, ulech ci nie nie przeszkadza do używania szczęścia, które cię czeka.

Po kilku grzecznych oświadczeniach obustronnych, zapukałem do drzwi Violanty; otworzyła je kobieta, niby jakaś dozorczyńca. Wszedłem, a nie bacząc co się z mną dzieje, pospie-

szylem do sali, gdzie była moja łuba. Kiedym ją witał, dwaj zdrajcy towarzyszący mi, wszedłszy za mną, tak szybko zatrzasnęli drzwi za sobą, że Ambrożego zostawili na ulicy i teraz dopiero odkryli się. Pojmujecie zapewne, że trzeba było ten orzech zgryźć. Razem obadwa uderzyli na mnie; ale im pokazał sztukę. Obudwóch potrafiłem tak zająć, iż w tym momencie żałować musieli, że się bezpieczniejszego środka zemsty nie czepili. Utopiłem szpadę w pierściach męża, a szwagier ujrzawszy go na ziemi, pierzchnął drzwiami, które dozorczyń i Violanta otworzyły, uchodząc w czasie naszej walki. Ściągałem go aż na ulicę, gdziełem spotkał mego Lamela, który nie mogąc wydobyć ani słowa od kobiet uciekających, nie wiedział co miał sądzić o wrzawie, jaka się o nosy jego obija. Wróciliśmy do naszego hotelu. Zebrawszy cośmy mieli najlepszego, siedliśmy na nasze muły i opuściliśmy Toledo jeszcze przede dnem.

Przewidywaliśmy, że ta sprawka może mieć nie najlepsze następstwa, zdało się nam rzeczą najrozsądniejszą uprzedzić śledztwo. Stanęliśmy na noc w Villarbua. Zajęliśmy mieszkanie w hotelu, do którego wkrótce za nami przybył kupiec toledański udający się do Segorbil. Jedliśmy razem wieczerzę. Opowiedział nam smutny przypadek męża Violanty, a tak był daleki od wszelkiego podejrzenia, abyśmy mieli być głównymi uczestnikami w tym zdarzeniu, że śmiało wypytywałem się o rozmaite szczegóły.—Panowie, mówił nam, wyjeżdżając dziś rano, dowiedziałem się o tym nieszczęśliwym przypadku. Szukano wszędzie Violanty: mówiono zaś, że korregidor, krewny don Baltazara, postanowił wszelkich użyć sposobów dla wykrycia sprawcy tego morderstwa. To jest wszystko co wiem.

Nie obchodziło mnie wcale śledztwo korregidora toledańskiego; jednakże zdało mi się rzeczą przyzwoitą jak najspieszuliej uchodzić z Kastylii nową. Rozważyłem, że Violanta wynaleziona, opowie wszystko, a w skutek jej opisu niezawodnie wyszła za mną pogoń. Dlatego też następnego dnia przez ostrożność unikaliśmy bitęj drogi. Szczęściem Lamela znał doskonale trzy czwarte Hiszpanii i wiedział dobrze jakimi manowcami można się dostać do Aragonii. Zamiast wprost zdążyć do Cuenca, myślny się rzucili w góry przed miastem leżące. Ścieżkami dobrze znanymi mojemu przewodnikowi, dostaliśmy się do groty, która mi się zdała mieć pozor pustelni. W istocie byłato też sama, do której przybyliście wczoraj wleczór żądając przytułku.

Kiedy ja przyglądałem się okolicy, najpyszniejszy krajobraz przedstawiającej; towarzysz mój powiedział mi, że przed sześciu laty przechodził tędy, że wówczas ta grota służyła za schronienie staremu pustelnikowi, który go przyjął liściowicie. Podzielił się z nim swolmi zapasami.—Przypominam sobie, dodał, że to był święty człowiek, tak do mnie przemówił, że o mało mi nie obmierzlił świata. Może on jeszcze żyje, muszę się wywiedzieć. To mówiąc ciekawy Ambrożo zsiadł z muła, i wszedł do pustelni. Zatrzymał się tam przez chwilę, potem wyszedłszy wezwał mnie: —Pójdź don Raphaelu, mówił, pójdź zobaczyc rzecz bardzo tkliwą. Zsiadłem zaraz z muła. Przywłazaliśmy nasze rumaki do drzew, a ja poszedłem za Ambrożym do groty, gdzie ujrzałem na tarczanie starego pustelnika rozciągniętego, bladego i konającego. Broda biała i gęsta, spadała mu aż do pasa, w złożonych rękach trzymał różaniec. Na odgłos naszego stapania otworzył oczy, które śmierć już zawierała, a popatrzywszy na nas przez chwilę, odezwał się: —„Ktokolwiek jesteście moi bracia, korzystajcie z przykładu, jaki macie przed oczyma. Czterdzieści lat przeżyłem na świecie, sześćdziesiąt w tej pustyni. Ah, jakże w tym momencie czas poświęcony na rozkosze zdaje mi się długi, a ten, który przepędziłem na pokucie, tak krótki! Niestety, lękam się, aby surowy żywot brata Jana, nie był dosyć zdolnym do odpokutowania za grzechy licencyata don Juana de Solio.”

Ledwie co dokończył tych słów, skonał. Śmierć ta silnie na nas zrobiła wrażenie. Takowe obrazy wruszają największych nawet rozpustników, lecz nie długośmy się rozrzewniali. Wnet zapomnieliśmy o tém, co do nas mówił, zaczęliśmy układać inwentarz tego, cośmy zastali w pustelni. Nie wielkieto było zatrudnienie, wszystkie bowiem ruchomości składały się z te-

go tylko, coście mogli uważać w grocie. Lecz brat Jan, nie tylko miał skromne bardzo meble, lecz skromniejszą jeszcze kuchnię. W całej spiżarni jego, znaleźliśmy tylko trochę orzechów laskowych, i kilka kromek chleba jęczmiennego, tak twardych, że trudno aby starzec mógł je późno swojemu dziadłami. Mówię dziadłami, bośmy uważali, że mu wszystkie zęby powypadały. Wszystko, co to samotne mieszkanie obejmowało, wszystko na cośmy patrzyli, przekonywało nas, że ten pustelnik był świętym człowiekiem. Jedna tylko rzecz nas uderzyła: otworzyliśmy papier w kształcie listu złożony, który zostawił na stole; w nim prosił osobę, której ten bilet dostanie się do rąk, aby różaniec jego i sandały, doręczyła bisknowi w Cuenca. Nie mogliśmy odgadnąć, w jakiej myśli ten nowy ojciec pustyni, zapragnął złożyć takowy dar swojemu bisknowi; to nam się zdało przeciwne pokorze, sądziliśmy, że w tém widąc człowieka, który chce trącić błogosławionym. Może też w tém była tylko prostota, o czém ja wyrokować nie chcę.

Kiedysmy tak o tém rozmawiali, Ambrożemu wpadła do głowy myśl dosyć zabawna. —Zostałmy, rzekł, w tej pustelni. Przebierzmy się za pustelników. Pochowajmy brata Jana; ty udasz się za niego, a ja pod imieniem brata Antoniego, udam się na zbieranie jałmużny po miastach i wioskach okolicznych. Naprzód będzmy zabezpieczeni od śledztwa korregidora, bo nie sądzę aby nas tu szukano; powtóre, ja mam w Cuenca znajomości, które możemy utrzymywać. Pochwaliłem ten pomysł dziwaczny, ale dla powodów przytoczonych przez Ambrożego, ale przez prostą fantazją, jakby dla odegrania sztuki teatralnej. Wykopaliśmy grób niemal o czterdzieści kroków od groty, złożyliśmy w nim skromnie starego pustelnika, rozbrawszy go piórwęj, to jest zdjawszy mu prostą suknię, rzemieniowym pasem związaną. Obstrzygliśmy mu brodę, aby sobie z niej zrobić fałszywą, i wreszcie po pogrzebie, zajęliśmy pustelnię w posiadanie.

Pierwszego dnia, mieliśmy bardzo skromnejedzenie, bo trzeba było poprzestać na zapasach zmarłego, lecz nazajutrz Lamela przed świtem, wyprawił się do Toralva, gdzie sprzedał muły, i nakupiwszy żywności i innych rzeczy, powrócił wieczorem. Przywiózł z sobą wszystko, co było potrzebnem do naszego przebrania. Sam sobie zrobił suknię z grubej wełnianej materii, i krótką, rudą brodę z grzywy końskiej, którą tak sztucznie przywiązał do uszu, że przysiągłbyś, iż była naturalna. Niema chłopaka nadeń zręczniejszego. Ufryzował także brodę brata Jana, przycepił mi ją, a wełniana czapka brunatna, pokrywała cały podstęp. Śmiało rzec można było, iż nie brakło do naszego przeobrażenia. Strój nasz był tak zabawny, że spojrzawszy wzajemnie po sobie, wstrzymać się od śmiechu nie mogliśmy, nie był to bowiem wcale dla nas stosowny ubiór. Wraz z suknią brata Jana, zabrałem jego różaniec i sandały, nie robiąc sobie żadnego skrupułu, że takiego daru pozbawił biskupa Cuenca.

Już trzy dni przepędziliśmy w pustelni, nie widząc żywej duszy, lecz czwartego przybyło do groty dwóch włościan; przynieśli chleb, sér i cebulę dla nieboszczyka, rozumiejąc, że jeszcze żyje. Spozregłszy ich, rzuciłem się na tarczan, i łatwo ich zwiódłem. Naprzód nie było tak widno w grocie, żeby można było dobrze rozpoznać moje rysy, powtóre naśladowałem ile możności głos brata Jana, którego ostatnie słowa słyszałem. Nie domyślał się bynajmniej tego szalbierstwa, zdawał się tylko dziwić, że tam drugiego zastali pustelnika; lecz Lamela spozregłszy ich zadziwienie, przybrałszy mnię świętoszka, odezwał się do nich: — Bracia moi, niech was to nie zastanawia, że mnie widziacie w tej pustelni. Opuściłem moją pustelnię w Aragonii, aby towarzyszyć czciogodnemu i roztrópnemu bratu Janowi, który w zgrzybiałości swojej potrzebuje spółnika, któryby opatrywał jego potrzeby. Włościanie nie mogli dosyć nachwalić miłości bliźniego w Ambrożym, oświadczając swoje ukontentowanie, że mogą się poszczycić dwiema świętymi osobami w swojej okolicy.

Lamela wzięwszy na ramię porządne sakwy, o których kupnie nie zapomiał, udał się po raz pierwszy po jałmużnę do

mlasta Cuency, o małą miłą odległej. Mając z natury postać pobożną, z której przedziwnie korzystać umie, potrafił poruszyć osoby litościwe do obfitości jałmużny. Szczodrobiwością ich, napełnił swoje sakwy.—Mości Ambroży, rzekłem doń za powrotem, wieszając ci szczęśliwego talentu wzruszania dusz chrześcijańskich. Dali Bóg! możnaby powiedzieć, żeś był kiedyś kwestarzem.—Eh, ja prócz napełniania mojej sakwy, jeszcze coś innego zrobiłem, odpowiedział. Dowiesz się, że odgrzebałem jedną nimfę nazwiskiem Basię, którą kochałem kiedyś. Znalazłem ją bardzo zmienioną; wdała się także jak i my w pobożność. Mieszka z dwiema czy trzema dewotkami, które budują świat publicznie, a gorszą w skrytości. Zrazu mnie nie poznawała.—Jakto, pani Barbaro, rzekłem jej, czyż podobna, abyś sobie nie przypomniała jednego z dawnych swoich przyjaciół, sługę swojego Ambrożego? —Przebóg! panie de Lamela, zawołała, mogłażem się spodziewać, oglądać cię w tym ubiorze? Jakimże trafem zostałeś pustelnikiem?—Otóż to właśnie, czego ci w tej chwili opowiedzieć nie mogę, rzekłem jej. Szczegóły są dosyć długie, ale jutro wieczór przybędę zaspokoić twoją ciekawość. Co większa, przyprowadzę ci mojego towarzysza, brata Jana. —Brata Jana, przerwała mi szybko, tego poczelwego pustelnika, który tu w pobliżu ma swoją pustelnię? Tobie się tak zdaje, a tymczasem mówią, że on ma sto lat.—Prawda, mówiłem jej, że był w takim wieku, lecz od kilku dni bardzo odmłodził, teraz nie starszy odemnie. —A więc niech przyjdzie z tobą, odpowiedziała Basia. Domyślam się, że w tym musi być coś tajemniczego.

Nie uchybiliśmy nazajtrzy, i skoro mrok zapadł, udaliśmy się do naszych świętoszków, które na nasze przyjęcie, są przygotowały wczeczerę. Zaraz odpięliśmy brody, zrzucili ubiory pustelnicze, i bez ogródki pokazaliśmy się tym nimfom, czém byliśmy w Istocie. One ze swojej strony, nie chciały nam być dłużne w szczeroci. Prawie całą noc przepędziliśmy przy stole, i dopiero przed świtem, wróciliśmy do naszej grotki. Nie długo potem, wróciliśmy do nich, czyli raczej, powtarzaliśmy toż samo przez trzy miesiące, zjadłszy z nimi, przeszło dwie trzecie naszej gotowizny. W końcu jakiś zazdrośnik odkrył wszystko, i zawiadomił o tym sprawiedliwość, która dziś ma się udać do pustelni, by nas pojąć. Wczoraj Ambroży zbierając jałmużnę w mieście, spotkał jedną z naszych dewotek, która mu oddała bilet, mówiąc:—Jedną z moich przyjaciółek pisze do mnie list ten, który miałam wam posłać przez umyślnego; pokaż go bratu Janowi, i pomyślcie o środkach ostrożności. To właśnie był ten bilet, który Lamela wręczył mi w obliczu waszém, i który nas zmusił do tak nagłego opuszczenia naszej pustelni.

ROZDZIAŁ II.

O przygodzie Raphaela i jego towarzyszy przy wyjściu z lasu.

Gdy don Raphael skończył swoje opowiadanie, które mi się zdało za długie, don Alphons przez grzeczność oświadczył, iż mu się bardzo podobało. Poczém pan Ambroży zabrał mowę, a obracając się do towarzysza swoich wypraw, don Raphaela, rzekł mu:—Pamiętaj, że słońce zachodzi. Zdaje mi się, że właśnie należałoby się naradzić co mamy robić. Bardzo słusznie, odpowiedział mu towarzysz, trzeba oznaczyć dokąd się udać mamy.—Co do mnie, mówił Lamela, jestem zdania, abyśmy niezwłocznie ruszyli w drogę, i tej jeszcze nocy, stanęli w Requena, a jutro dostaniemy się do królestwa Walencji, gdzie możemy woli dać popęd naszemu przemysłowi. Mam przeczuć, że tam niezłe zrobimy interesu. Towarzysz jego, który pod tym względem wierzył w nieomylność jego przeczuć, zgodził się na jego zdanie. Ja z don Alfonssem będąc na łasce tych uczciwych ludzi, czekaliśmy w milczeniu wypadku ich narady.

Stanęło więc, że się udamy drogą do Requena, i zaczęliśmy się do tego szykować. Wyprawiliśmy sobie bukiet podobny ranemu, poczém resztę zapasów i szawłok z winem wtroczyliśmy na konia. Nadeszła noc darząca nas ciemnością, tak potrzebną do naszej podróży, wybieraliśmy się opuścić las, gdy

zaledwie sto kroków uszedłszy, spostrzegliśmy między gałęziami drzew światło, które nam wiele do myślenia dało.—Co to może znaczyć? ozwał się don Raphael, nie byłoby to wzięły sprawiedliwości, które zwęszywszy nasz ślad, czując nas w tym lesie, przysły nas tu tropić? —Ja temu nie wierzę, rzekł Ambroży, to muszą być raczej podróżni. Noc ich zaskoczyła, zboczyli do lasu, by czekać dnia. Ale może się mylić, dodał zaraz, pójdę rozpoznać co to jest. Zostańcie tu wszyscy trzej, ja za chwilę powrócę. To rzekłszy, postąpił ku światłu niezbyt oddalonemu; zbliża się z ostrożnością lisa, cichuteńko, odsuwa liście i gałęzie zawadzające mu w drodze, i przygląda się z natężoną uwagą, jakiej rzecz wymagać się zdaje. Ujrzał na trawie około świecy, w grupie ziemi utkwionej, cztęreć ludzi, którzy dojadali pasztetu, i dopijali wina z szawłoka, całując go po kolei. Prócz tego zobaczył o kilka kroków złamąd, mężczyznę i kobietę przywiązanych do drzew, a trochę dalej powóz z dwoma mułami w kosztownych szorach. Zaraz osądził, że ludzie siedzący muszą być złodzieje, a rozmowa ich, którą posłyszał, utwierdziła go w mniemaniu, że go domyśli nie zawodziły. Czterej zbroje objawiali równą żądę posiadania tej kobiety, która się w ich ręce dostała, mówił, że ją chcą ciągnąć na losy. Lamela przeświadczony o tem co by to było, wrócił do nas, zdając szczerzy raport o tem, co widział i co słyszał.

—Panowie, przemówił wtedy Alphons, ta kobieta i ten mężczyzna, których złodzieje do drzew poprzywiązali, mogą być ludźmi znakomitego rodu; pozwolmyż my, aby mieli być ofiarą barbarzyństwa i zwierzęcości tych zbrojów? Usłuchajcie mnie, uderzmy na nich, niech legną pod naszymi ciosami.—Zgoda na to, rzekł don Raphael, ja nie mniej skory jestem do spełnienia dobrego, jak i złego czynu. Ambroży ze swojej strony dodał, że i on nie mniej pragnie przyłożyć się do dzieła tak chwalebego, przewidując jak mówił, że będzie sownie zapłacone. Ja muszę powiedzieć, że niebezpieczeństwo nie trwożyło mnie bynajmniej, ze wszystkich rycerzy błędnych, ja może najpochopniejszy byłem na obronę dziewic. Ale żeby nie mijając się z prawdą, powiedzieć rzeczy jak były w Istocie, niebezpieczeństwa wielkiego nie było; bo gdy Lamela powiedział, że broń zbrojów leżała na kupie o kilka kroków od nich, nie trudno więc nam było spełnić nasze przedsięwzięcie. Przywiązaliśmy konia do drzewa, a sami cichuteńko zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie rabusie siedzieli. Rozmawiali między sobą z wielkim zapałem, a ta ich wrzawa ułatwiała nam podejście. Opałowaliśmy ich broń pierwój nim się spostrzegli, a następnie przyłożywszy broń do piersi, wystrzałem wszystkich położyliśmy trupem.

Wśród tego natarcia, świeca zgasła, a my zostaliśmy w ciemności. Mimo to odwiązaliśmy zaraz kobietę i mężczyznę, którzy tak byli strachem przejęci, iż nie mieli nawet ani przytomności, ani sły, żeby nam za tę przysługę podziękować. Prawda i to, że w tej chwili nie mogli wiedzieć, czy nas mają uważać za swoich zbawców, czy też za nowych bandytów, którzy ich odbijają tamtym, ale nie dla tego, żeby się z nimi lepiej obeszli. Lecz staraliśmy się ich uspokoić, zapewniając, że ich odprowadzimy do najpierwszego hotelu, jak Ambroży utrzymywał, o pół mili ztąd odległego, w którym mogą przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, by się dostać bezpiecznie do miejsca, do którego dążą. Po takowem zapewnieniu, któremu zdawał się wierzyć, wsadziliśmy ich do powozu, i wyprowadziliśmy powoli z lasu, prowadząc muły za cugle. Nasi pustelnicy przetrząsnęli potem kieszenie poległych; zabraliśmy konia don Alphonsa i złodziejskie, które były przywiązane do drzewa, tuż przy placu boju. Uprawdając z sobą wszystkie te konie, towarzyszyliśmy bratu Antoniemu, który sładzszy na kozioł, powodował mułami do owego hotelu, w którym jednak ledwie we dwie godziny stanęliśmy, mimo zapewnienia o niewielkiej od lasu odległości.

Zaczelśmy ostro kołatać do drzwi. Wszyscy już w całym domu spali. Gospodarz i gospodyni zerwali się spieszenie i wcale się nie gniewali, za przerwanie im snu, spodziewając się wię-

kszej korzyści, aniżeli ją w istocie odnieśli. W jednej chwili cały hotel został oświetlony. Don Alphons i dostojny syn Lucydy, podali ręce panu i pani pomagając im do wysiadania z powozu; przewodniczyli im nawet aż do pokoju, do którego gospodarz prowadził. Nagadano sobie wzajemnie bardzo wiele grzeczności, lecz nie mało dziwiłiśmy się dowiedziawszy się, że to właśnie był hrabia Polan i Serafina jego córka, których wybawiliśmy. Niepodobna wyrazić zdumienia tej pani i don Alphonsa skoro się oboje poznali. Hrabia nie zważał tego, będąc czem innem zajęty. Zaczął nam opowiadać jakim sposobem złodzieje uderzyli na niego, jak pojмали go i córkę, zabwszy poczyłiona, pazla i szatnego. Skończył oświadczeniem, że mocno czuje co nam jest winiem, że gdybyśmy go chcieli odwiedzić w Toledzie, do którego za miesiąc wróci, tam potrafimy ocenić czy umiemy być wdzięcznym.

Córka tego pana nie zaniedbała także złożyć nam podziękowania za szczęśliwe wyswobodzenie, a żeśmy obadwa z Raphaelem pomiarkowali, jak wielką sprawimy przyjemność don Alphonsowi następcząc mu sposobność pomówienia przez chwilę z młodą wdową, zawiązaliśmy rozmowę z hrabią Polan.—Nadobna Serafino, rzekł z cicha don Alphons, odtąd nie będę utyskiwał na los, który mnie zmusza być jako wyrzutek społeczności cywilnej, ponieważ miałem szczęście przyłożyć się także do wyświadczenia ci tak ważnej przysługi.—Jak to! odpowiedziała z westchnieniem, tyś mi ocalał życie i honor! tobie ja i ojciec mój tyle winniśmy wdzięczności! — Ah! don Alphonsie, dlaczegoż ty zabił mojego brata! Ani słowa więcej nie rzekła; lecz z tego co powiedziała, a bardziej jeszcze z tonu jakim mówiła, powzłą przekonanie, że jeżeli szalenie kochał Serafinę, nie mógł od niej być kochanym.

KSIĘGA SZÓSTA.

ROZDZIAŁ I.

Co Gil Blas i jego towarzysze przedsięwzięli opuściwszy hrabiego Polan.

Hrabia Polan strawiwszy połowę nocy na dziękczynieniach i oświadczeniach wdzięczności, wezwał gospodarza, aby się naradzić nad sposobem najpewniejszym dostania się do Tunisu, dokąd udać się zamierzał. Zostawiliśmy tego pana by się mógł swobodnie namyślać, nad środkami w tym względzie. Opuściliśmy potem hotel, udając się drogą, którą Lamela wybrał.

Po dwugodzinną wędrowanie dzień nas zaskoczył w Campillo. Dostaliśmy się szybko do lasu między tém miasteczkiem i Requena. Przepędziliśmy tam dzień cały, spoczywając, i rachując nasze pieniężne zasoby, które znacznie pomnożone zostały zdobytymi na złodziejach pieniędzmi; znalezione bowiem w ich kieszeniach przeszło trzysta ludiorów w różnej monecie. Za nadejściem nocy puściliśmy się w dalszą drogę i nazajutrz stanęliśmy na ziemi walencyjskiego królestwa. Schroniliśmy się do pierwszego lepszego lasu, który się nam nastęrczył; zapuszczając się w głąb jego natrafiliśmy, na miejsce gdzie płynął strumień czystej jak kryształ wody, szmerząc po kamkach, i zwolna dając do połączenia się z wodami Gwadaluwiaru, cień rozłożystych drzew, gęsta trawa obfitą dla koni oblicująca paszę, byłyby nas skłoniły do zatrzymania się, w tém miejscu i gdybyśmy nawet pierwój nie powzięli tego zamiaru. Nie myśleliśmy więc iść dalej.

Zstędliliśmy z koni zablirając się do przyjemnego przepędzenia dnia, lecz zabrawszy się do śniadania, spostrzegliśmy, że nambardzo mało zostało żywności. Chleba już zabrakło, a szawłok był ciałem bez duszy.—Panowie rzekł Ambroży, najczarowniejsze schronienie traci ponętę, gdy nie ma Bachusa i Cery. Jestem tego zdania, ażebyśmy dziś odnowili nasze zapasy. Ja w tym celu udam się do Xelva. Jestto dość piękne miasto o dwie milki zład. Wnet odbędę tę podróż. To mówiąc wtoczył na konia sakwy, i szawłok i wyjechał z lasu, z taką szybkością, że można było spodziewać się rychłego powrotu.

W tej nadziei wyglądaliśmy go co moment, on jednak nie wracał. Już pół dnia przeszło, noc wreszcie czarnemi skrzy-

dlami poczęła osłaniać drzewa, gdyśmy dopięro ujrzeni nasze-go szafarza, którego spóźnienie się zaczęło nas niepokoić. Za to przewyższył on nasze oczekiwania, wróciwszy obładowany masą sprawunków. Przywiózł nietylko szawłok pełny wyborowego wina, i sakwy napchane chlebem i rozmaity zwierzyną pieczoną, ale nadto miał na koniu wielką pakę jakichś rzeczy, której pilnie przyglądaliśmy się. Spozrzęgl to, i uśmiechając się rzekł:—panowie, przyglądacie się tym rzeczom z podziwieniem, nie mam wam tego za złe, ponieważ nie wiecie na co je poskupowałem w Xelva. Pozwalam odgadnąć to don Raphaelowi, a nawet całemu światu. To mówiąc rozwiązał pakę, aby nam pokazać w szczegółach, nad czem zastanawialiśmy się w całość. Pokazał nam płaszcz i czarną suknię bardzo długą, dwa kaftany wraz ze spodulami, tekę do pisania z dwóch sztuk połączonych sznurkiem, w której kalamarz mógł się wyjmować z piórnika, libkę papieru białego, kłódkę z wielką pieczęcią i lak zielony, a kiedy już wyłożył wszystkie te rzeczy, don Raphael odezwał się żartobliwie: dalibóg, mości Ambroży, przyznać potrzeba, żeś pięknych rzeczy nakupił. Proszę cię, jaki chcesz z tego zrobić użytek?—Cudowny, odpowiedział Lamela. To wszystko nie więcej kosztowało mnie jak dziesięć dublonów, a pewny jestem, że zyskamy najmniej pięćset; możesz na to rachować. Ja nie lubię obładowywać się niepotrzebnymi rupieclami, ażeby wam dowieść, że nie kupowałem tego jako półgłówka, powiem wam, że mi wpadł do głowy pomysł, ale to pomysł najgenialniejszy, na jaki się tylko mógł kiedyś zdobyć umysł ludzki. Sami to osądźcie, pewny jestem, iż w zachwyceniu wpadniecie dowiedziawszy się o nim. Posłuchajcie mnie.

Nakupiwszy chleba, wszedłem do garnkuchni i kazałem wsadzić na rożen sześć kurapatw, tyleż kurcząt i królików. Gdy to się piecze; wchodzi człowiek zagulewany i skarżąc się głośno na obęście się z sobą pewnego kupca miejskiego, rzekł do kucharza:—Święty Jakóbie, ten Samuei Simon jest w całej Xelvie najdziwaczniejszym kupcem, znieważył mnie i to w otwartym sklepie. Sknera, nie chciał mi zawierzyć sześciu łokci sukna, a przecie wie, że ja jestem rękodzielnik wyplacalny, że na mnie nic nie straci. Patrzajże, co to za bydlę! Zawierza swój towar panom znakomitym, woli z nimi barażać się, aniżeli zobowiązać uczciwego mieszczanina, bez wystawiania się na stratę. Co za głupstwo! przeklęty żyd! oh, żeby go też kto załapał! Moje życzenia spełnią się kiedyś, nie jeden kupiec toby mi zaręczył.

Sluchając tej rozmowy rękodzielnika, który więcej jeszcze nagadał, wzięła mnie chętka zamścić się za niego i wyplatać figla Samuelowi Simon.—Przyjacielu! odezwałem się do tego człowieka utyskującego na kupca, jakiz jest charakter tego człowieka o którym mówisz?—Bardzo zły charakter, odpowiedział z gniewem. Jestto najchciwszy lichwiarz, chociaż udaje człowieka uczciwego. Jestto żyd który się przemienił w katolika, ale w gruncie serca jest jeszcze żydem jak Piłat, bo mówią, że tylko dla interesu wyrzekł się żydowszczyzny.

Nadstawiałem baczne ucho na całą rozmowę rękodzielnika, a wychodząc z garnkuchni, nie zaniedbałem wywiedzieć się, o mieszkaniu Samuela Simon. Powiadają mi o niem, wskazują. Przebiegam oczyma sklep jego, zastanawiam się nad wszystkim, a wyobraźnia moja zawsze gotowa na usługi, tworzy szalbierstwo, które rozbieram i zdaje mi się, że godnie jest służyć szanownego pana Gil Blasa. Idę zaraz na tandetę, kupuję te suknie, które wam przynoszę: jedna do roli inkwizytora, druga do przedstawiania pisarza, trzecia wreszcie dla udania osoby algazila. Otóż to co zrobiłem moi panowie, a co mój powrót opóźniło.

— Ah mój drogi Ambroży! przerwał w tém miejscu don Raphael, uniesiony radością, cudowny pomysł! przepyszny plan! zazdroszczę ci takiego wynalazku. Poświęciłbym z chęcią część życia mojego za tak szczęśliwy wyskok. Tak jest Lamela, widzę mój przyjacielu wszystkie skarby twojego zamiaru, o wykonanie, nie masz się co troszczyć. Potrzeba ci dwóch aktorów, którzyby ci pomogli: są już gotowi. Ty masz mnie świę-

toszka, dasz wybornie inkwizytora, ja przedstawię pisarza; a pan Gil Blas z łaski swojej przyjmie na siebie osobę algazila. — Otóż widzisz osoby już ułożone, jutro odegramy sztukę, ręczę ci za skutek, byleby nie zaszła jaka przeciwność, która miesza plany najlepiej ułożone.

Zaledwie jak przeze mgłę pojmowałem plan, który don Raphael tak uwielbiał; lecz przy wieczerzy lepiej go wyjaśniono i zdał mi się bardzo dowcipny. Sprzątnąwszy połowę wieczerzy, wysuszywszy znacznie nasz szawłok z winem, rozciągnęliśmy się na trawie i wkrótce zasnęli. Ale sen nasz nie był długi, bo nielitościwy Ambroży w godzinę zaraz przerwał go. — Wstawajcie! wstawajcie! wołał jeszcze przed świtem, ludzie którzy mają przed sobą wielką wyprawę, nie powinni być ospałym. — Ah do kaha! panie inkwizytorze, zawołał don Raphael zrywając się równemi nogami, jakżeś ty skory, to nie warto dla pana Samuela Simon. — I ja tak mówię, odpowiedział Lamela. Ale ja wam wtęcej powiem, dodał śmiejąc się, śniło mi się tej nocy że mru wyrwał włosy z brody. Czyż to nie jest niegodziwy sen dla niego mości pisarzu? Za tym żartem poszło wiele innych, które nas w złoty wprawiły humor. Zjedliśmy śniadanie wesoło, po czem zabraliśmy się do naszych ról. Ambroży wdział długą suknię, okrył się płaszczem i tym sposobem miał zupełną postać komisarza świętego ofleyum. I my także ubraliśmy się, don Raphael i ja mając niezłe podobieństwo do pisarza i algazila. Nie mało czasu odłożyliśmy na to przebranie się, już druga godzina po południu minęła, kiedyśmy wyszli z lasu udając się do Xelva. Nic wprawdzie nas nie nagliło, bo komedię naszą mieliśmy rozpocząć gdy noc zapadnie. Dlatego też jechaliśmy stępo i zatrzymaliśmy się u bram miasta czekając końca dnia.

Skoro wieczór nadszedł, zostawiliśmy w tym miejscu konie pod strażą don Alfonsa, który się cieszył, że dlań inna nie wypadła rola. Don Raphael, Ambroży i ja udaliśmy się zaraz, ale nie do Samuela Simon, lecz do szynkarza, o dwa kroki od jego domu mieszkającego. Pan inkwizytor szedł naprzód. Przystąpiwszy próg odezwał się poważnie do gospodarza: — Mospanie, chcę z nim pomówić na osobności; mam interes dotyczący się służby inkwizycyi, a tęp samemu bardzo ważny. Gospodarz zaprowadził nas do pokoju, w którym Lamela widząc go samego z nami, rzekł: — Jestem komisarzem świętego ofleyum. Na te słowa szynkarz zbladł i drżącym głosem wybąkał, że nie sądzi, aby mógł dać powód świętej inkwizycyi do użalania się na niego. — Dlatego też, mówił Ambroży z łagodnością, nie jest jej zamiarem robić ci przykrość. Niech Bóg broni, aby zbyt skora miała mieszać występki z niewinnością! Surowa ona wprawdzie, ale sprawiedliwa; słowem, aby odebrał od niej karę, trzeba na nią zasłużyć. A zatem nie z twojej wcale przyczyny przybywam do Xelva, lecz dla pewnego kupca, który się zowie Samuel Simon. O nim i o jego postępowaniu nadesłano nam niekorzystne sprawozdanie. Jak mówią, ma on być zawsze żydem, a chrześcijaństwo przyjął jedynie z pobudek czysto światowych. Rozkazuję ci z woli świętego ofleyum, abys mi wszystko wyjawil, co wiesz o tym człowieku. Strzeż się, abys jako jego sąsiad, a może i przyjaciel chciał go uniewinniać, bo ci oświadczam, że jeżeli w twojem świadectwie dostrzegę chęć oszczędzania go, wtedy sam zgubisz się. Dalejże pisarzu, obracając się do Raphaela, zabierz się do swojego dzieła.

Pan pisarz, który już trzymał w ręku papier i kałamarz, zasiadł przy stoliku z najpoważniejszą miną, zabierał się do spisanja zeznań szynkarza, który ze swojej strony zareczał, że nie ubliży prawdzie. — Gdy tak jest, ozwał się inkwizytor, zaszliśmy więc. Odpowiadaj tylko na moje pytania, nie żądam od ciebie wtęcej. Czyś widział Samuela Simon uczęszczającego do kościoła? — Na to nie zwracałem uwagi, odpowiedział szynkarz, ale nie przypominam sobie, żehm go widział w kościele. — Dobrze! rzekł inkwizytor, pisz, że go nigdy nie widziano w kościele. — Ja tego nie mówię panie, odezwał się szynkarz, ja tylko powiedziałem, żehm go nie widział; on być może w kościele, a przecież ja go mogę nie widzieć. — Mój przyjacielu, mówił mu Lamela, zapominasz, że w odpowiedziach swoich nie masz unie-

winniać Samuela Simon, jużem ci objawił skutki tego. Ty masz to tylko mówić co jest przeciw niemu, ani jednego słowa na jego korzyść. — Takim sposobem panie licencyacie, rzekł gospodarz, nie wiele skorzystasz z mojego zeznania. Nie znam kupca, o którego idzie, nie mogę o nim nic powiedzieć ani złego, ani dobrego; lecz jeżeli pan chceś wiedzieć jak on w domowem obejściu żyje, sprowadzę tu Kacpra, jego chłopca, którego możesz się wypytać. Ten chłopiec przechodzi tu czasami pić ze swoimi przyjaciółmi, mogę zapewnić, że ma dobry język; będzie plótł, póki zechcesz, opowie ci całe życie swojego pana, i zareczam, że da niemało zatrudnienia waszemu pisarzowi.

— Lubię twoję szczerłość, mówił mu Ambroży, to właśnie uważam za objaw gorliwości dla świętego ofleyum, skoro mi wskazujesz człowieka świadomego obyczajów Simona; zawiadomię o tęp inkwizycyą. Spiesz się więc, dodał, wezwać tego Kacpra, o którym mówisz, ale spraw się ostrożnie, aby pan jego nie domyślił się co się dzieje. Szynkarz spełnił polecenie i szybko i z wielką tajemnicą. Przeprowadził chłopca kupieckiego. Był to w istocie młody człowiek, nadzwyczajny gaduła, taki, jakiego nam trzeba było. — Witam cię, moje dziecie, przemówił do niego Lamela. Widzisz w osobie mojej inkwizytora mianowanego przez święte ofleyum do wybadania sprawy Samuela Simon, którego obwiniają o żydowszczyznę. Ty mieszkasz u niego, a zatem jesteś świadkiem wielu jego czynności. Nie sądzę, aby trzeba było ostrzegać cię, iż jesteś obowiązany objawić wszystko co tylko wiesz, skoro ci rozkażę w imieniu świętej inkwizycyi. — Mości licencyacie, odpowiedział chłopiec kupiecki, nie mogłeś pan wynaleźć człowieka chętniejszego do objaśnienia cię we wszystkiem o czém wiedzieć pragniesz; jestem gotów zaspokoić cię w tym względzie, bez rozkazu nawet, w imieniu świętego ofleyum. Gdyby moje pana zapytano się o mnie, jestem pewny, że by mnie nie oszczędzał; dlatego też i ja, nie myślę go ochraniać; a naprzód powiem panu, że to jest człowiek skryty, którego uczuć niepodobna odgadnąć; człowiek, który zachowuje pozory światobliwego, a w gruncie wcale nie jest cnotliwy. Co wieczór chodzi do małej nierządnicy. — Rad jestem, że się o tęp dowiaduję, przerwał Ambroży; z tego co mówisz widzę, że to człowiek złych obyczajów; lecz odpowiadaj mi ściśle na pytania, które ci zadam. Szczególniej w przedmiocie religii mam się dowiedzieć o jego uczuciach. Powiedz mi, czy jesteście wieprzowinę w waszym domu? — Zdaje mi się, rzekł Kacper, że od roku, jak u niego jestem, ledwie dwa razy ją jedliśmy. — Bardzo dobrze, mówił inkwizytor, pisarzu, pisz, że w domu Samuela Simon nigdy nie jadają wieprzowiny. Natomiast, mówił dalej, jadają tam kiedyś baranka? — Tak jest, rzekł chłopiec, oto naprzykład, zjedliśmy jednego w czasie ostatnich świąt wielkanocnych. — Epoka bardzo szczęśliwa, zawołał komisarz; pisz, że Simon odprawia paschę. To idzie wybornie, zdaje mi się, żeśmy zebrali bardzo dobre objaśnienia.

— Powiedz mi jeszcze mój przyjacielu, mówił dalej Lamela, czyś nie widział nigdy, aby pan twój pieścił małe dzieci. — Nie sto razy, odpowiedział kacer, kiedy ujrzy małych chłopczyków przechodzących koło swojego sklepu, aby tylko byli piękni, zatrzymuje ich i pieści. — Pisz pisarzu, przerwał inkwizytor, że Samuel Simon jest mocno podejrzany o ściąganie do siebie dzieci, aby je mordować. Co za luby prozelita! — Oh, oh, panie Simon, ręczę ci, że będziesz miał do czynienia ze świętym ofleyum. Nie wystawiaj sobie, aby ci bezkarnie wolno było spełniać twoje barbarzyńskie ofiary. — Śmiało, gorliwy Kacprze, rzekł do chłopca kupieckiego, wyjaw wszystko: pokaż, że ten fałszywy katolik bardziej niż kiedykolwiek przywiązany jest do zwyczajów i obrzędów żydowskich. Nie prawdaż, że go widzisz jeden dzień w tygodniu w zupełnej beczynności? — Nie, odpowiedział Kacper, tego, to nie uważałem. Widzę tylko, że są duie, w których zamyka się w swoim gabinecie i tam bawi bardzo długo. — Otóż to, tego nam potrzeba, zawołał komisarz, odprawia szabas, jak jestem inkwizytorem. Zapisz to, pisarzu, zapisz, że ściśle zachowuje post szabasowy. Ha! co za obmierzły człowiek! Już mi tylko o jedną rzecz zapytać się wy-

pada.—Nie mówi też czasem o Jerozolimie? — Bardzo często, odpowiedział chłopiec. Opowiada nam dzieje żydów, i jakim sposobem zburzona została świątynia Jerozolimska.—Właśnie też nie pomijaj tego pisarzu, napisz wielkimi literami, że Samuel Simon ustawnie rozmyśla o odbudowaniu świątyni, że noc i dzień marzy o przywróceniu narodu żydowskiego. Nie chcę już więcej wleźć; nie potrzeba innych pytań. Co zeznał prawdomówny Kacper, wystarczyłoby do wyroku spalenia całej żydowszczyzny.

Gdy komisarz świętego oficyum w ten sposób wybiadał chłopca kupieckiego, pozwolił mu oddalić się, lecz mu zalecił w imieniu św. inkwizycji, aby nie powiadał swojemu panu o tém co zaszło. Kacper przyrzekł i odszedł. My niebawnie udaliśmy się za nim; wyszliśmy z karczmy z taką samą powagą, z jaką do niej przybyliśmy, i zaczęliśmy kołatać do drzwi Samuela Simona. Wyszedł sam, otwiera, a jeżeli zdziwił się ujrzawszy u siebie trzy figury, takie jak nasze, tedy tém bardziej się zdumiał, gdy Lamela zabrawszy głos, odezwał się tonem rozkazującym: — Panie Samuelu, rozkazuję ci w imieniu św. inkwizycji, której mam zaszczyt być komisarzem, abys mi natychmiast złożył klucze twojego gabinetu. Chcę zobaczyć, czy nie znajdę czego na usprawiedliwienie doniesień, jakie przeciw tobie złożono.



Seypion.

Kupiec zmieszany temi słowy, odskoczył dwa kroki w tył, jak gdyby kulakiem w piersi ugodzony. Zamiast domyślać się podstępny oszustów, on w dobrej wierze wyobraził sobie, że tajny jakiś nieprzyjaciel chciał go podejrzany zrobić św. inkwizycji; a może być, że nie poczuwając się do świętego katolicyzmu, miał powód lękania się śledztwa. Cokolwiekbać, nie widziałem w życiu mojem człowieka tak pomieszanego. Usłuchał bez żadnego spornu, a nawet z uszanowaniem, jakie może objawiać człowiek, bojący się św. inkwizycji. Otworzył nam swój gabinet. Ambroży wchodząc odezwał się do niego: —I to dobrze przynajmniej, że rozkazy św. inkwizycji przyjmiesz bez oburzenia. Lecz, dodał zaraz, ustąp do innej izby, i pozwól mi swobodnie spełnić mój obowiązek. Samuel i ten rozkaz wykonał z równą uległością jak pierwszy; pozostał w swoim sklepie, a my we trzech, weszliśmy do gabinetu, i nie tracąc czasu, zabraliśmy się do szukania pieniędzy. Znaleźli-

śmy je bez trudności; były w otwartej skrzyni, w większej daleko sumie, aniżeliśmy mogli zabrać. Mnóstwo worków napakowanych, lecz wszystko w srebro. Wolelibyśmy złoto, lecz kiedy inaczej być nie mogło, trzeba było uleść niezbędnej konieczności; napakowaliśmy kieszenie, napchaliśmy w spodnie, słowem, wszędzie gdzie można było schować; wreszcie doskonale byliśmy obładowani, a nie tego nie widać było, wszystko to sprawiła zręczność Ambrożego i don Raphaela, którzy mi pokazali, co to jest za korzyść, znać dobrze swoje rzemiosło.

Wyszliśmy z gabinetu, tak dobrze się w nim sprawiwszy, pan inkwizytor zaś z powodów łatwych do odgadnięcia wydobyl kłódkę, sam ją założył, opieczkował gabinet i rzekł do kupca:—Panie Samuelu, w imieniu św. inkwizycji zakazuje ci dotykać się tej kłódki, równie jak pieczęci, masz je szanować, jest to bowiem pieczęć świętego oficyum. Jutro o tej samej godzinie przybędę dla zdjęcia jej i udzielenia ci rozkazów. To rzekłszy kazał sobie otworzyć drzwi na ulicę, któreśmy radośnie przekroczyli jeden za drugim. Uszedłszy z pięćdziesiąt kroków od domu ruszyliśmy z taką szybkością i lekkością, że zaledwie dotykaliśmy ziemi, mimo ciężar, jakimiś dźwigali. Wnet wyszliśmy z miasta, a dosiadłszy naszych koni ruszyliśmy ku Segorbii, składając dzięki Merkuremu za tak szczęśliwy wypadek.

ROZDZIAŁ II.

Co don Alphons i Gil Blas postanowili po tém zdarzeniu.

Jechaliśmy całą noc wedle naszego chwalebego zwyczaju, i równo ze świtem byliśmy w małej wiosce o dwie mlie od Segorbii. Ponieważ byliśmy mocno strudzeni, chętnie więc zboczyliśmy z drogi, by się dostać między wierzby u podnoża pagórka rosnące, około tysiąca kroków od wsi oddalone, do której nie zdało się nam rzeczą stosowną wstępować. Znaleźliśmy przyjemny cień pod temi wierzbami, a strumień czystej wody obmywał ich stopy. Podobało się nam to miejsce, postanowiliśmy więc tu cały dzień przepędzić. Zstępniliśmy więc z koni, a rozkłępnawszy je, puściliśmy na trawę, sami zaś pokładliśmy się na ziemi. Wypocząwszy nieco, zabraliśmy się do naszej sakwy i do szawłoka, posiliwszy się należycie, poczęliśmy ochoczo liczyć pieniądze zabrane Samuelowi Simon, pokazało się, żeśmy mieli trzy tysiące dukatów. Tym sposobem dodawszy to do dawniej zdobytych zapasów, pokazało się żeśmy nie źle byli opatrzeni.

Ponieważ trzeba było myśleć o zapasach żywności, Ambroży, don Raphael zrzuciwszy ubiór inkwizytora i pisarza, oświadczyli, iż obadwa razem podejmują się tego obowiązku; że wypadek w Xelva rozdrażnił ich żądze, że mają ochotę udać się do Segorbii, zobaczyć, czy się nie nastroczy sposobność do nowego zamachu. Wy czekajcie tu na nas pod temi wierzbami, my niedługo powrócimy. — To nie nam, panie Raphaelu, rzekłem, śmiejąc się, każ nam raczej czekać swojego powrotu na św. Fryc! Skoro się teraz oddalsz, zdaje nam się, że cię długo nie spotkamy.— Takowe podejrzenie jest ujmą honoru naszego, odezwał się Ambroży; lecz zasługujemy na taką obelgę. Nie można wam brać za złe tej nieufności, potem, cośmy zrobili w Walladolidzie, łatwo możecie przypuszczać, że nie będziemy skrupulatniejszemi w opuszczeniu was, jak towarzyszących naszych w owym mieście. A jednak mylicie się. Spółbracia nasi, którym nie dotrzymaliśmy towarzystwa, byli ludzie bardzo złego charakteru, obcowanie z nimi stało się nam nieznośne. Trzeba oddać sprawiedliwość ludzom naszego powołania, że w życiu cywilnem nie masz stowarzyszenia, któreby się mniej ważyło dla interesu; lecz jeżeli między nami niema zgody w skłonnościach, nasze porozumienie zrywa się, tak jak między innemi ludźmi. Tym sposobem panie Gil Blas, mówił dalej Lamela, proszę cię, równie jak pana don Alphonsa, miejcie więcej zaufania do nas i względem naszego powrotu z Segorbii bądźcie zupełnie spokojni.

— Nie masz nic łatwiejszego, rzekł wtedy syn Lucyndy, jak odjąć im wszelki powód do niespokojności: zostawmy tylko

w ich rękę kasę, a będą mieli dostateczną rękojmię naszego powrotu. Otóż widzisz panie Gil Blas, jak my wręcz idziemy do celu. Będziecie zawsze zabezpieczeni, a ja wam zaręczam, że my oba pojedziemy nie lękając się wcale, abyście nam nie zniknęli z tym drogim zastawem. Po tak niemylnych oznakach naszej dobrej wiary zaufajcież nam teraz? Tak jest, panowie, teraz możecie robić co się wam podoba. Pojechali natychmiast wtroczywszy szawłok na wino i sakwy, a my zostaliśmy pod wierzbnami z don Alphonsem, który po ich odjeździe, tak do mnie przemówił: Panie Gil Blas, muszę ci otworzyć moje serce. Gryzie mnie sumienie, że miałem tyle słabości, aż dotąd towarzyszyć tym oszustom. Nie uwierzysz, ile razy już tego żałowałem. Wczoraj wieczór, strzegąc koni, tysiące myśli zgryźliwych przychodziło mi do głowy. Zastanawiałem się, że nie przystało młodemu człowiekowi, mającemu pewne zasady honoru, bratać się z ludźmi tak występnyimi jak don Raphael i Lamela; że gdyby kiedyś nieszczęściem, co się zdarzyć może, skutkiem oszustwa, sprawiedliwość ujęła nas w swoje ręce, co za hańba dla mnie być karany wraz ze złodziejami, niedz chłoscie poniżającą. Takowe obrazy snują mi się nieustannie przed oczyma: przyznam ci się, że postanowiłem odstąpić się od nich na zawsze, aby nie być spółnikiem ich bezecnych sprawek. Nie spodziewam się, abyś miał potępiać mój zamiar. Wcale nie, odpowiedziałem mu, lubo widziałem mule grającego rolę al-gazila w komedyi Samuela Simona, nie sądzę wszakże, aby podobnego rodzaju sztuki były w moim guście. Bóg jest świadkiem moim, że odgrywając piękną rolę myślałem sobie; zaprawdę mości Gil Blaste, gdyby też sprawiedliwość ujęła cię za kark, zasłużyłbyś niechybnie na nagrodę, jakaby cię spotkała. Nie mam więc ochoty, równie jak i pan pozostać dłużej w tak nieczym towarzystwie; a jeżeli uznasz to za stosowne, będę ci towarzyszył. Skoro więc ci panowie powrócą, poprosimy ich o podział naszego skarbu, i jutro rano, albo nawet jeszcze tej nocy, pożegnamy się z nimi.

Kochanek nadobnej Serafny pochwalił myśl moją. Udamy się, rzekł, do Włoch, gdzie będziemy mogli wejść do służby rzeczypospolitej weneckiej. Czyż nie lepiej czepić się żołnierski, aniżeli wieść życie podłe i występne? Będziemy nawet mogli nieźle się przedstawić, mając nasz udział z pieniężnych zasobów. Zaraz wszakże dodał: nie bez wyrzutów sumienia wprawdzie korzystając z funduszy tak niegodziwie nabytych; ale niezbędną konieczność zmusza mnie do tego, a przytém przysięgam, że jeżeli kiedykolwiek zyskam coś na wojnie, wynagrodzę niechybnie Samuela Simona. Zapewniłem don Alphonsa, że też same uczucia władają moim sercem, i stanowczo przedsięwzięliśmy zaraz jutro rano opuścić naszych towarzyszy. Nie brała nas wcale pokusa korzystania z ich nieobecności, to jest usunięcia się natychmiast z całą ich kasą: za-

ufanie jakim nas obdarzyli, potwierdzając nam pieniądze, nie pozwoliło nam nawet pomyśleć o tém, chociaż figiel w hotelu umeblowanym, byłby w pewnym względzie usprawiedliwił naszą kradzież.

Ambroży i don Raphael wrócili nad wieczorem. Pierwsza rzecz, którą nam zwiastowali, była, że podróż ich bardzo szczęśliwie wypadła: założyli się do nowego szalbierstwa, które według wszelkiego podobieństwa, korzystniejsze jeszcze będzie od wczorajszego. W skutek tego syn Lucyndy chciał nam rzecz wyjaśnić; lecz don Alphons zabrał głos i bardzo grzecznie oświadczył im, iż nie czując się usposobionym do życia, jakże oni wiedli, zamierzył odłączyć się od nich. Ja także z mojej strony powiedziałem im, że tenże mam zamiar. Naprawdę usiłowaliśmy skłonić nas, abyśmy im towarzyszyli w ich wyprawach; pożegnaliśmy się z nimi nazajutrz, podzieliwszy się piędziemi i skierowaliśmy drogę naszą do Walencji.

ROZDZIAŁ III.

Jakim sposobem don Alphons osiągnął cel swoich życzeń i jak Gil Blas ujrzał się w szczęśliwym położeniu.

Wesoło pędziliśmy aż do Bunol, gdzie nieszczęsny trafem musieliśmy się zatrzymać. Don Alphons zachorował. Dostał gorączki silnej, której wzmaganie się wznęcało obawę o jego życie. Szczęściem nie było tam żadnego lekarza, skończyło się więc na strachu. Po trzech dniach minęło niebezpieczeństwo i przy troskliwości mojej wnet odzyskał siły. Okazał się bardzo tkliwym na wszystko co dla niego robiłem, że zaś czuliśmy wzajemną ku sobie skłonność, zaprzysięgliśmy więc sobie wieczną przyjaźń.

Udaliśmy się w dalszą podróż, z tém ciągłe przedsięwzięciem, że skoro stanemy w Walencji, nie oleszkamy korzystać z pierwszjej lepszej sposobności, by się dostać do Włoch. Lecz niebo, gotujące dla nas szczęśliwsze przeznaczenie, inaczej nami rozrządziło. Przed bramą pękatego zamku ujrzeliśmy wieśniaków płci obojgę rozkoszne zwodzących tany. Zbliżyliśmy się do nich dla

przypatrzenia się ich zabawom; don Alphons ani pomyślił jaka go w tej chwili miała spotkać niespodzianka. Spostrzegł barona Steinbach, który poznawszy go, przystąpił doń z otwartymi rękami i z wielkim rękawieniem: Ah, don Alphonsie, to ty jesteś! co za miłe spotkanie! kiedy cię po wszystkich stronach szukają, szczęśliwy traf cię sprowadza.

Towarzysz mój zeskoczył z konia i pobiegł uściskać barona, którego radość była bez granic. Pójdź mój synu, mówił dalej zaćny starzec, dowiedz się kto jesteś, i używać będziesz najszczęśliwszego losu. To kończąc poprowadził go do zamku. Ja poszedłem za nimi, bo i ja zsiadłem z konia i przywiązałem obadwa wierzchowce do drzewa. Dziedzic zamku był najpierwszy, któregośmy spotkali. Był to mężczyzna pięćdziesięcioletni, pięknej postawy. Panie, odezwał się do niego baron Stein-



Ogród w Lirias

bach przedstawiając mu don Alphonsa, oto widzisz swojego syna. Na te słowa don Cesar de Leyva, tak bowiem zwał się dziedzic zamku, rzucił się na szyję don Alphonsa, a płacząc z radości: kochany mój synu, rzekł, poznaj sprawcę dni twoich! Jeżeli cię tak długo zostawił w niewiedomości o twoim stanie, bądź przekonany, iż w tym srogi gwałt sobie zadawać musiałem. Nie jednokrotnie wdychałem nad tym, ale nie mogło być inaczej. Zasłużyłem matkę twoją z miłości, ród jej był daleko niższy od mojego. Byłem pod władzą ojca niełtościwego, który mnie przywiódł do konieczności tajemienia małżeństwa, bez jego woli zawartego. Baron Steinbach jedynie był moim powiernikiem, z nim w zмовie starałem się o twoje wychowanie. Teraz niema już ojca mojego i ja mogę publicznie objawić, że ty jesteś jedynym moim następcą. Na tym nie koniec, chcę cię połączyć z kobietą młodą, której ród szlachetny nie ustępuje mojemu. Panie, przerwał don Alphons, nie chciały abym zbyt drogo opłacał szczęście, które mi zwłastujesz. Toż dowiadując się, że mam zaszczyt być twoim synem, mam zaraz powziąć wiadomość, że chcesz mnie uczynić nieszczęśliwym! Ah, panie, nie chciały być okrutniejszym od swojego ojca, który nie potwierdzając twojej miłości, nie zmuszał cię przynajmniej do pojęcia żony. Mój synu, odpowiedział don Cesar, nie chcę bynajmniej dręczyć twojego serca. Lecz zrób mi tę grzeczność i zobacz kobietę, którą ci przeznaczam, tego tylko żądam od twojego posłuszeństwa. Chociaż to jest osoba zachwycająca, i małżeństwo to dla ciebie bardzo korzystne, jednakże przyrzekam ci, że nie myślę zmuszać cię do jej zaślubienia. Jest w tym zamku. Pójdź z mną i sam się na to zgodzisz, że niema miłszej nad nią osoby. To mówiąc poprowadził don Alphonsa do pokojów, do których i ja się dostałem z baronem Steinbach.

Był tam hrabia de Polan z dwiema córkami Serafiną i Julią, tudzież z Ferdynandem de Leyva zięciem swoim a synowcem don Cezara. Było tam kilka innych kobiet i kilku mężczyzn. Don Ferdynand, jak się wyżej rzekło, uprowadził Julią i właśnie z powodu godów weselnych tej pary, wieslnacy zebrał się na zabawę. Skoro don Alphons pokazał się i ojciec przedstawił go towarzystwu, hrabia de Polan powstał i postąpił dla uściskania go, mówiąc: Witam mojego zbawcę! Don Alphonse, mówił dalej do niego, poznaj jak cnota silną wywiiera władzę nad umysłami szlachetnymi! Jeżeliś zabił mojego syna, za to mnie ocaliłeś życie. Poświęcam ci mój gniew, i daję ci też samą Serafinę, której honor ocaliłeś. Tym sposobem wywiązuję się względem ciebie z długu wdzięczności. Syn don Cezara nie omieszkał wynurzyć hrabiemu de Polan, jak dalece przejęty jest jego dobrocią: tego nie wiem, czy więcej się cieszył z odkrycia swojego rodu, czy z tego, że został mężem Serafiny. W istocie gody weselne odprawiły się w kilka dni później z wielkim zadowoleniem stron interesowanych.

Że ja również należałem do zbawców hrabiego de Polan, pan ten poznawszy mnie także, oświadczył mi, iż się zajmie moim losem: lecz podziękowałem mu za jego szlachetność, nie chcąc opuszczać don Alphonsa, który mnie zrobił marszałkiem swojego domu i zaszczycił swoim zaufaniem. Zaledwie zawarł związki małżeńskie, gdy mając na sercu figła, jakiego wypłataliśmy Samuelowi Simon, zaraz mnie posłał do tego kupca, ze wszystkimi pieniędzmi, jakie mu skradzione zostały. Udałem się więc z tym zwrotem: było to więc, zaczynać marszałkostwo, od tego na czem je kończyć należało.

KSIĘGA SIÓDMA.

ROZDZIAŁ I.

Miłośćki Gil Blasa z panną Lorencą Sephora.

Jechałem więc do Xelva wioząc dla pocztowego Samuela Simon trzy tysiące dukatów, któreśmy mu skradli. Przyznam się szczerze, że w drodze brała mnie pokusa przywłaszczenia sobie tych pieniędzy, by marszałkostwo moje pod szczęśliwą rozpocząć wózbą. Mogłem to zrobić bezkarnie: dość było zabawić w podróży pięć lub sześć dni, a potem wrócić, jak gdybym

już spełnił polecenie. Don Alphons i ojciec jego nadto dobrze byli względem mnie sprzedzeni, aby mogli mieć wierność moją w podejrzeniu. Wszystko mi sprzyjało. Nie uległem jednak pokusie; muszę nawet powiedzieć, że ją pokonał jako człowiek pełen honoru; co nie małej godne zalety w młodym człowieku, nie raz w towarzystwie wielkich oszustów bawiącym. Wiele bardzo osób, z samymi uczciwymi ludźmi obcującymi, nie miałoby może tak drzaźliwego sumienia; a nadewszystko te, którym powierzono jakiś depozyt, który mogą zatrzymać bez narażenia swojej wziętości; niech w tym względzie objawia co myślą.

Dopełnwszy zwrotu kupcowi, który go się nigdy w świecie nie spodziewał, wróciłem do zamku Leyva. Hrabiego de Polan już nie zastałem: udał się on do Toledu z Julią i z don Ferdynandem. Ale za to ujrzałem nowego pana mojego, bardziej niż kiedykolwiek rozkochanego w Serafinie; Serafinę zachwycałą miłością ku niemu, don Cezara rozplywającego się z radością, że ich miał przy sobie oboje. Zacząłem starać się o pozyskanie przychylności cznego ojca i to mi się wnet powiodło. Zostałem nadzorcą domu całego: do mnie cały zarząd należał: ja odbierałem wypłaty od dzierżawców, ja wypłacałem; miałem władzę nieograniczoną nad całą służbą; ale nie wstępowałem w ślady podobnych mi, weale nie nadużywałem mojej powagi. Nie wypędzałem ze służby tych, którzy mi się niepodobali, ani nie wymagałem od innych aby mi byli zupełnie poświęceni. Jeżeli udawali się wprost do don Cezara, lub jego syna, z prośbą, zamiast im zawadzać, ja owszem za nimi przemawiałem. Prócz tego dowody przychylności jakie w każdej chwili odbierałem od moich obudwóch panów, obudwały w duszy mojej najczystsza gorliwość w ich służbie. Dobro ich jedynie miałem na widoku, żaden wybieg nie znalazł się w mojej administracji, słowem, byłem nadzorcą jakiego trudno znaleźć.

Kiedy tak czeszyłem się szczęściem mojego położenia, miłość jakby zazdroszcząc tego co dla mnie los działał, chciała także, nastęrcząc mi powód do wdzięczności dla siebie, rzuciła ona iskrę gwałtownego przywiązania do JMci Pana nadzorecy w serce pani Lorenca Sephora, powiernicy Serafiny. Muszę przecież powiedzieć jako wierny historyk, że nad głową mojej syreny, już pięćdziesiątka się przemknęła; mimo to plec świeża, twarz miła, piękne oczy, których zręcznie używać umiała, mogły ja jeszcze zalecać jak pewny rodzaj dosyć miłego podboju. Jąbym jej tylko był życzył cery więcej nieco rumianej, była bowiem bardzo blada, co ja nieomieszkałem przypisywać surowości cnoty panięńskiej.

Przez długi czas ta pani rzuciła na mnie oczkiem pełnym miłości; lecz ja zamiast odpowiadać na jej słodkie wejrzenia, udawałem, że tego weale nie rozumiem. Przez to poczytała mnie za gacha nowicyusza, i to jej się podobało. Wystawiwszy więc sobie, że jestem mniej w tym względzie świadomy, aniżeli było w istocie, nie poprzestała na rozmowie oczu, lecz w pierwszym zaraz spotkaniu sam na sam wynurzyła mi swoje uczucia w wyrazach stanowczych, abym o tym wiedział. Wzięła się do tego jako kobieta znająca dobrą szkołę, mówiąc z mną udawała pomieszanie, a wypowiedziawszy bez ogródek wszystko co mi powiedzieć chciała, zakryła sobie rękami twarz jak gdyby mnie chciała przekonać, że się wstydy swojej słabości. Trzeba było się poddać: a lubo więcej próżność, niż uczucie skłaniało mnie do tego, okazałem wszakże czułość na te objawy przywiązania. Udałem nawet natrętnego, i tak się zręcznie sprawiłem, że się ścignął na siebie połażanie. Z taką atoli łagodnością gromiła mnie Lorenca, że zalecając mi skromność, nie widać było aby się gniewała, że jej nie zachował. Byłbym dalej postąpił, gdyby moja luba nieobawiała się dać złego wyobrażenia o swojej cności, zezwalając na zbyt łatwe zwycięstwo. Tak więc rozeszliśmy się, aż do nowego spotkania, Sephora przeświadczona, że jej udany upór przedstawił ją w moim umyśle jako westalkę, a ja pełen słodkiej nadziei dojsła wnet do kresu tej miłej przygody.

W tak błogim stanie były moje interesa, kiedy służący don Cezara powiedział mi nowinę, która ukróciła moją radość.

Chłopak ten był z rzędu ciekawych, którzy starają się wywęszyc wszystko co się dzieje w domu. Ponieważ mi skrzętnie nadskakiwał, i codziennie racył mnie jakąś nowinką, przyszedł więc pewnego ranku i powiedział, że zrobił zabawne odkrycie, które mi pragnie opowiedzieć, pod warunkiem, że zachowam tajemnicę, ponieważ to idzie o panią Lorenę Sephora, a on lęka się jej zemsty. Zbyt zaostrzył moje ciekawość, abym mu nie miał zaręczyć tajemnicy; lecz nie pokazując wcale zainteresowania, z najzimniejszą, ile być może, krwią zapytałem się, co by to było za odkrycie, którym mnie obdarzyć chce. Lorenę, rzekł mi, co wieczór potajemnie wpuszcza do siebie chirurga wiejskiego, chłopaka bardzo przystojnego, i ten hul-taj zawsze dość długo u niej bawi. Ja wierzę, dodał z miną dosyć złośliwą, że to wszystko może być bardzo niewinne; ale pan przyznasz, że chłopiec potajemnie wciskający się do pokoju panny, daje powód do złego o nią rozumienia.

Choć wiadomość ta przebodła mnie tak, jak gdybym był rzeczywście zakochany, jednakże niepokazałem tego po sobie, i do tego stopnia panowałem nad sobą, że m się zaczął śmiać z nowiny, która mi ścisłała serce. Ale skorom się ujrzał bez świadka, wynagrodziłem sobie sownie ten przymus. Przeklinałem, zaprzysięgałem się, rozmyślałem nad tem co mi czynić przystoi. To gardząc Sephorą zamierzałem porzucić ją nie racząc nawet wdawać się w żadne wyjaśnienia z zalotnicą; to znowu wyobrażając sobie że tu idzie o mój honor, postanowiłem śledzić chirurga, wyzwac go na pojedynek. To ostatnie przedsięwzięcie przeważyło. Stałem w zasadzce z wieczora, i w istocie ujrzałem mojego panicza wciskającego się tajemniczo do pokoju mojej ochmistrzyni! Tego też właśnie trzeba było do rozżarzenia ognia, który mnie palił, a który bez tego możeby był przygasał. Wyszedłem z pałacu i zająłem stanowisko w miejscu, którego gach wracać musiał. Czekałem na niego odważnie, a każda chwila coraz bardziej podzegała we mnie żądę walki. Wreszcie mój nieprzyjaciel pojawił się. Zrobiłem kilka kroków junackich na spotkanie się z nim, lecz nie wiem jak się to u licha stało, nagle jak bohater homerowski, uczułem się zdjęty trwoga, która mnie wstrzymała. Zmieszalem się, jak Parys, gdy wystąpił do walki z Menelausem. Zaczęłem się przypatrywać mojemu przeciwnikowi, który mi się wydał silny i rzeźwy, szpadę zaś miał nadzwyczaj długą: wszystko czarodziejski na mnie wpływ wywarło, jednakże przez punkt honoru, a może i dla czego innego, chociaż spoglądałem na niebezpieczeństwo oczyma, które je zwiększały; mimo wstręt wrodzony, który mnie upornie wstrzymywał, zdobyłem się jednak na odwagę zbliżenia się do chirurga i wydobycia szpady.

Zdziwił go mój postępek. Cóż to jest? panie Gil Blas, odezwał się. Jaki cel tych odkazek rycerza błędnego? Może się chce zabawić. Nie, panie balwierzu, nie, nie nad to rzeczywistszego. Pragnę wiedzieć, czy jesteś równie śmiały, jak zalotny. Nie spodziewaj się abym ci pozwolił spokojnie cieszyć się względami kobiety, którą tajemnie odwiedzasz w zamku. Święty Kozma! (1) zawołał chirurg, nie mogąc się wstrzymać od śmiechu, a to zabawna sprawa! Dalibóg, pozory nie złe. Z tego wnosząc, że równie jak ja nie ma ochoty bić się, nabrałem większego zuchwalstwa. Komu innemu, przerwałem, komu innemu mów to mój przyjacielu! Nie sądź, żebyś mnie pozbył prostym przeczeniem. Młarkuję, rzekł, że trzeba mówić, dla uniknienia nieszczęścia, grożącego tobie, lub mnie. Wyjawię ci więc tajemnicę, chociaż my to w naszym powołaniu, nie możemy być nadto miliczący. Jeżeli pani Lorenę wpuszcza mnie skrycie do swojego pokoju, to czyni dla utajenia przed służbą swojej choroby. Ma na plecach zastarzały wrzód, który ja co wieczór opatruję. Otóż masz powód odwiedziny, które cię niepokoją. Teraz więc uspokój się w tym względzie. Zaraz wszakże dodał, jeżeli jednak to wyjaśnienie nie zaspokaja cię, jeżeli pragniesz koniecznie wejść w zapasy, rozkaż tylko, ja nie jestem od tego, żebym się miał bać nadstawić karku. To mówiąc wyciągnął swój potężny rapir, na którego wi-

dok zadrzałem, przyjął zaś postawę, nie dobrego nie zwiastującą. Dość na tem, rzekłem mu, chowając moją szpadę, nie jestem takim prostakiem, abym miał być głuchym na głos rozsądku, po tem coś mi objawił, przestałeś być moim nieprzyjacielem. Uściskajmy się! Ta mowa przekonala go, że nie jestem tak zły, jakem się z razu wydawał, schował śmiejąc się swoje szpadę, podał mi rękę i rozeszliśmy się jak dwaj najlepsi przyjaciele.

Od tej chwili Sephora niemile na mnie robiła wrażenie. Unikalem następczanę mi przez nią rozmowy na osobności, robiłem to zaś z taką skrzętnością i z takim usiłowaniem, iż wnet to spostrzegła. Zdziwiona tak wielką zmianą, chciała dojść przyczyny, a znalazłszy wreszcie sposób mówienia ze mną sam na sam: panie nadzorca! rzekła, powiedz mi z łaski swojej, dla czego chronisz się aż nawet przed wzrokiem moim. Zamiast szukać, jak niegdyś, sposobności mówienia ze mną, ty starasz się stronić ode mnie. Prawda, że ja pierwszy krok zrobiłam, lecz tyś odpowiedział. Przypomnij sobie, z łaski swojej, rozmowę na osobności; byłeś wtedy cały w ogniu, teraz jesteś zlodowaciały. Co to ma znaczyć? Pytanie było bardzo drażliwe dla człowieka otwartego, dla tego też mnie bardzo zmieszalo. Nie pamiętam com jej odpowiedział, to tylko przypominam sobie, że jej się niepodobało. Sephora chociaż z mny słodki i skromny zdawała się barankiem, była przeciez tygrysyca, gdy ją złość owładnęła. Rzuciwszy na mnie wzrokiem wścieklej zawziętości, mniemałam, rzekła, że niepospolity czynię zaszczyt takiemu nieczemu człowiekowi jak ty, objawiając uczucia, z których obudzenia chlubiłby się nie jeden szlachetny kawaler. Sprawiedliwą odnoszę karę za poniżenie się do tak nędznego awanturnika.

Na tem nie koniec: nie zbyłem się tak tanim kosztem. Język jej idąc za popędem złości nie oszczędzał dla mnie tysiącznych przydomków, jednych dobitniejszych od drugich. Wiem o tem, że należało mi je przyjąć z zimną krwią i zastanowić się, że gardząc tryumfem cnoty, którą wprowadziłem na pokuszenie, popełniłem zbrodnię, której żadna kobieta nie przebaczy. Lecz byłem za popędliwy, aby ścierpieć obelgi, z których inny śmiałby się tylko, mnie brakło cierpliwości. Pani, rzekłem jej, nie pogardzajmy nikim? Gdyby ci szlachetni kawalerowie, o których wspominałaś, zobaczyli twoje plecy, jestem pewny, że na temby ograniczyli swoją ciekawość. Ledwie dokończył tych wyrazów, gdy rozżłoszczona kobieta palięła mnie w twarz tak silnie, jak tylko mogła to kiedy zrobić kobieta znieważona. Nie czekałem powtórzenia i szybką ucieczką uniknąłem gradu ciosów któreby były niechybnie na mnie spadły.

Dziękowałem Bogu, że mnie wydobyl z tak ciężkiej przygody, zdawało mi się, że już nie mam się czego obawiać, ponieważ miała już pocięch zemsty. Mniemałem, że dla własnego honoru powinna była zamilczeć o całej przygodzie, w rzeczy samej przez dwa tygodnie nie nie słyzałem. Już i ja zacząłem puszczać wszystko w niepamięć, gdy w tem dowiaduję się, że Sephora zachorowała. Miałem dosyć dobre serce, bo mnie ta wiadomość zmartwiła. Rozumiałem, że nie mogąc przezwyteżyć miłości tak złe odplatać, nieszczęśliwa ta kochanka nęgła pod ciężarem zgrzyoty. Wystawiałem sobie z przykrością, że byłem przyczyną jej choroby, i ubolewałem przynajmniej nad tą kwoką, nie mogąc jej kochać. Jakże złe o niej sądziłem! Miłość jej zmieniona w nienawiść rozmyślała jedynie jakby mi szkodzić.

Pewnego porauku gdy m był sam z don Alphonsem, widziałem tego młodego pana smutnego, zamysłonego. Z uszanowaniem należnym spytałem się coby mu było. Przykro mi jest, rzekł, widzieć Serafinę niesprawiedliwą, słabą, niewdzięczną. To cię zastanawia, dodał, ujrzawszy moje zadziwienie, a tymczasem nie nad to prawdziwszego. Nie wiem jaki dałeś powód Sephorze do nienawiści, ale cię zapewniam, że do tego stopnia cię nie cierpi, iż skoro się jak najspieszniej nie oddalisz z tego zamku, śmierć jej, jak mówi, jest nieochybną. Nie możesz wątpić, aby Serafina, dla której jesteś drogą osobą, nie miała się z początku oburzyć przeciw tej zawziętości, której

(1) Św. Kozma patron chirurgów w Hiszpanii.

nie może usłużyć nie stawisz się niesprawiedliwą i niewdzięczną. Ale, jest to kobieta. Kocha czule Sephorę, która ją wychowała. Ta ochmistrzyni jest dla niej prawdziwą matką, której śmierć miałaby sobie do wyrzucenia, gdyby nie miała słabości zaspokojenia jej zemsty. Co do mnie, mimo całe przywiązanie do Serafiny, nigdy nie okazać nikczemnej uległości w spełnieniu jej woli w tym względzie. Niech raczej przepadną wszystkie kwoki w całej Hiszpanii, aniżeli bym ja miał zezwolić na oddalenie człowieka, którego za brata bardziej, niż za służącego uważam.

Gdy to skończył don Alphons, ja mu rzekłem: panie, urodziłem się na igraszkę losu. Spodziewałem się że mnie przestanie ścigać w twoim domu, w którym obiecywałem sobie dni szczęśliwe i spokojne. Muszę wszakże skłonić się do ustąpienia z niego, bez względu na przyjemności, jakich w nim doznaję. Nie, nie, zawołał wspaniałomyślny syn don Cezara, pozwól mi przekonać Serafinę. Nie powiedzą przynajmniej, żeś został poświęcony kaprysom ochmistrzyni, dla której i tak może za nadto okazują poważania. Panie, odpowiedziałem, rozjątrzysz tylko Serafinę, opierając się jej woli. Wolę usunąć się, aniżeli przez dłuższy pobyt rzucić zaród niezgody między dwoje tak doskonałych małżonków. Byłoby to nieszczęście, któreby mi zatruło całe życie.

Don Alphons stanowczo zakazał mi chwycić się tej strony, widziałem go tak niewzruszonego w zamiarze utrzymania mnie, że niezawodnie Lorenca byłaby przegrała, gdybym ja chciał był dotrzymać placu: tobym był może i zrobił ulegając niechęci ku niej. Były chwile w których mnie brała pokusa nie oszczędzania dozorczyni; lecz gdym rozważył, że objawiając jej hańbę, byłoby to utopić sztylet w sercu tej biednej istoty, której nieszczęścia byłem przyczyną, że dwie nieuleczone choroby wtraściłyby ją do grobu, wtedy czulem politowanie nad nią. Ponieważ więc byłem tak niebezpiecznym śmiertelnikiem, uznałem za rzecz sumienia, przywrócić spokojność w zamku, usuwając się z niego, i to wykonałem nazajutrz przed świtem, nie pożegnawszy moich państwa z obawy, aby przez przywiązanie do mnie, nie sprzeciwili się mojemu oddaleniu. Zastawiłem jednak na stole w moim pokoju ścisły rachunek z mojej administracji.

ROZDZIAŁ II.

Co się stało z Gil Blasem po wyjściu z zamku Leyva.

Siadłem na dobrego konia, moją własnością będącego, w tłumoczku miałem dwieście dublonów, z których większa część pochodziła od bandytów ubitych i z trzech tysięcy dukatów skradzionych Samuelowi Simon. Ponieważ don Alphons z własnych funduszy wypłacił kupcowi całą sumę trzech tysięcy dukatów, nie żądając zwrotu mojego udziału, ja więc uważając moją kwotę za mienie prawe z powodu wynagrodzenia kupca, mogłem jej używać dobru sumieniem. Posiadałem więc fundusz uwalniający mnie od trosk względem przyszłości, a do tego dodać też należy zaufanie w zdolność własną, w wieku, w jakim właśnie podówczas byłem. Obok tego, Toledo przedstawiało mi przyjemne schronienie. Nie wątpiłem bynajmniej, aby hrabia de Polan nie przyjął z radością jednego ze swoich zbawców, i nie dał mu przytułku w swoim domu. Lecz zostawiłem tego pana na ostatni przypadek i pierwój nimby się do niego udał, postanowiłem użyć części moich pieniężnych zasobów na wędrowkę po królestwie Murcyi i Granady, którą szczególniej pragnąłem poznać. W tym celu udałem się przez Almanca, i od miasta do miasta wędrując, dostałem się do Granady, bez żadnego osobliwszego przypadku. Zdawało się, że los tyle wypłatawszy mi figłów, już mię zostawił w pokoju. Lecz zdrajca, gotował on mi wiele nowych psot, jak się dalej pokaże.

Najpięknszą osobą, którą spotkałem na ulicach Granady, był pan Fernand de Leyva, podobnie jak don Alphons, zięć hrabiego de Polan. Obadwaśmy się zarówno zdziwili z naszego spotkania. A to co, panie Gil Blas, zawołał, ty w tym mieście! co cię tu sprowadza? Panie, rzekłem mu, jeżeli się dztwiz wi-

dząc mnie w tym kraju, zapewne tém bardziej się zdumiejesz, dowiedziawszy się dla czego opuściłem służbę don Cezara i jego syna. Wtedy opowiedziałem mu wszystko co zaszło między mną i Sephorą, nie tając. Śmiał się z tego serdecznie, następnie przybierając minę poważną, rzekł: mój przyjacielu, ofiaruję ci moje pośrednictwo w tej sprawie, napiszę do mojej bratowej... Nie, nie, panie, nie pisz nic wcale, proszę cię o to. Nie dla tego opuściłem zamek de Leyva, aby wracać do niego; ale jeżeli chcesz mi okazać swoje względy, zrób to w inny sposób. Jeżeli ktoś z twoich przyjaciół potrzebowałby sekretarza, lub rządcy domu, poleć mnie łaskawie, o to cię proszę. A mogę panu zaręczyć, że nikt ci zarzucać nie będzie, iż mu złego człowieka nastreczyłeś. Bardzo chętnie, odpowiedział, spełnię twoje życzenia. Przybyłem do Granady odwiedzić moją starą ciotkę chorą, zabawię tu jeszcze trzy tygodnie, poczem wrócę do mojego zamku Lorqui, gdzie zostawiłem Julię. Mieszkam w tym domu, mówił dalej, pokazując mi hotel o sto kroków od miejsca, w którym spotkaliśmy się, za kilka dni przyjdź do mnie, w tym czasie może ci wygrzebie jakiejś miejsce stosownie.

W istocie, skorośmy się potem piérwszy raz spotkali, rzekł mi: ksiądz arcybiskup Granady, mój krewny i przyjaciel, życzy mieć przy sobie człowieka obeznanego z literaturą i pięknie piszącego, aby mógł przepisywać na czysto jego pisma, ponieważ to jest wielki autor. Ułożył on już Bóg wie ile homilij, i codzień nowe składa, które prawi z wielką pochwałą. Ponieważ uważam cię za zdatnego, przedstawiliem cię, a on przyrzekł mi, że cię przyjmie. Idź sam, pokaż mi się, a z przyjęcia osądzisz, czym dosyć korzystnie mówił o tobie.

Miejsce zdało mi się takie, jakiego tylko mogłem żądać; przygotowawszy się więc jak najlepiej do wystąpienia przed tym prałatem, udałem się pewnego poranku do pałacu arcybiskupiego. Gdybym klecił romanse, zrobiłbym pompatyczny opis pałacu arcybiskupów Granady; rozwodzilibym się nad budową gmachu; zachwalałbym bogactwo sprzętów; szerokobym prawił o znajdujących się tam posągach i obrazach; nie darowałbym czytelnikom moim najdrobniejszej historyi, jaką przedstawiają, ale ja poprzestane na oświadczeniu, iż co do wspaniałości równał się pałacowi naszych królów.

Zastąpiłem w pokojach tłum duchownych i świeckich, którzy po większej części byli ofycyalistami jego excellencyi, jałmużnicy jego, dworzanie, koniuszowie lub słudzy. Wszyscy świeccy mieli ubiór przepyszny, wzięłbyś ich raczej za panów, a nie za służących. Dlatego pewnie byli dumni i udawali osoby ważne. Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu, przypatrując się im, i drwiłem z nich w duszy. Przebóg, myślałem, ci ludzie są nadzwyczaj szczęśliwi, dźwigają jarzmo służalców, nie czując go bynajmniej, bo zaiste gdyby je czuli, zdaje mi się, że postępowanie ich byłoby mniej dumne. Udałem się do grubego i poważnego pana, który pilnował drzwi gabinetu arcybiskupiego, otwierał je i zamykał w miarę potrzeby. Zapytałem się go bardzo uprzejmie, czyby nie było sposobu mówić z jego excellencyą. Zaczekał, odezwał się twardo, Jego wysokość wkrótce wychodzi na mszę; w przejściu da ci chwilowe posłuchanie. Nie rzekłem ani słowa na to. Uzbroiłem się w cierpliwość, i zabierałem się do zawiązania gawędy z niektórymi z ofycyalistów, lecz zaczęli mi się przypatrywać od stóp do głów, nie racząc mnie obdarzyć ani jednym słówkiem, poczem spoglądając po sobie dumnie, uśmiechali się, żem się poważyl wzmieszać do ich rozmowy.

Przyznam się, żem się stropił bardzo, widząc się wystawionym na takte obejście się służalców. Jeszcze dobrze nie ochłonił z tego pomieszania, kiedy drzwi gabinetu rozwarły się. Arcybiskup wyszedł. Umilkli wszyscy ofycyaliści, i w tej chwili postawa ich zmieniła się, zmieniła się w pokorną i pełną poszanowania w obliczu ich pana. Prałat ten był już w sześćdziesiątym dziesiątym roku życia swojego, z postaci dosyć podobny do wuja mojego Gil Pereza, to jest wzrostu niskiego i otyły, ale jeszcze w dodatku miał nogi skręcone na wewnątrz; był zaś tak łysy, że ledwie mu mały kosmyk włosów z tyłu

głowy pozostał, co go zmuszało do wsadzenia głowy w czapkę z delikatnej wełny z długimi uszami. Mimo to wszystko zdawał mi się mieć postawę znakomitego człowieka, być może i dla tego, że wiedziałem iż nim był. My biedni ludzie z gminu, spoglądamy na wielkich panów z uprzedzeniem, które im nadaje pozór wielkości, nawet na przekorę ich naturze.

Arcebiskup naprzód zbliżył się do mnie i zapytał się głosem pełnym słodyczy, czegożbym sobie życzył. Powiedziałem mu, że jestem tym młodym człowiekiem, o którym mu don Fernand de Leyva wspominał. Nie pozwolił mi mówić więcej. Ah, to ty jesteś, zawołał, o którym mi z taką pochwałą mówił? Przyjmuję cię do mojej służby; jesteś wybornym dla mnie nabytkiem. Możesz tu już pozostać. Potem wsparłszy się na ramię dwóch koniuzych, wyszedł, wysłuchawszy pierwiej duchownych, którzy młeli mu coś do powiedzenia. Zaledwie opuścił salę, w której byliśmy, gdy ciż sami oficyaliści, którzy przed chwilą wzgardzili moją rozmową, teraz ją sami zawiązać pragnęli. Wszyscy mnie otaczają, tłoczą się, winszują, wynurzają radość, żeżem został stolownikiem arcebiskupstwa. Dosłyszeli co do mnie pan ich wyrzekł i pałali żądzą dowiedzenia się w jakim znaczeniu będę przy jego osobie; ale dość byłem złośliwy, nie chciałem zaspokoić ich ciekawości, by tym sposobem zemścić się za ich pogardę.

Jego wysokość wrócił nie długo. Wezwał mnie do swojego gabinetu, aby się ze mną rozmówić na osobności. Domyśliłem się zaraz, że chce wymacać moje zdolności. Miałem się na baczności i przygotowałem się do cedzenia każdego wyrazu. Naprzód zagadnął mnie z nauk nadobnych. Nie źle odpowiadałem na jego pytania; przekonał się że dosyć znałem autorów greckich i łacińskich. Następnie dostał się na pole dyalektyki, a ja tu go właśnie czekałem. Ujrzał mnie kutym na wszystkie nogi. Wychowanie twoje, rzekł mi z pewnym rodzajem zadziwienia, nie było zaniedbane. Zobaczmy teraz twoje pismo. Do byłem z kleszeni pismo umyślnie przygotowane. Mój prałat był z niego dosyć zadowolony. Kontent jestem, rzekł, z twojego pisma, a więcéj jeszcze z ukształcenia. Podziękuję siostrzeńcowi mojemu Fernandowi, że mi nastęrczył tak doskonałego chłopca; jest to dar prawdziwy, który mi zrobił.

Kilku panów przybyłych na obiad do arcebiskupa, przerwało naszą rozmowę. Pozostawiłem ich razem, a sam wróciłem pomiędzy oficyalistów, którzy mnie wówczas obsypali grzecznościami. Udałem się z nimi na obiad, skoro czas nadszedł; jeżeli oni baczne oko mieli na mnie w czasie obiadu, i ja z najmniejszą uwagą im się przypatrywałem.

Siedziałem obok starego szatnego nazwiskiem Melchior de la Ronda; pamiętał o mnie przy stole, częstując najlepszymi kawalkami. To jego uprzedzające obejście się ze mną, zniechęciło mnie do podobnegoż ku niemu, a grzeczności moja była mu przyjemną. Panie kawalerze, szepnął mi cicho po obiedzie, chciałbym z tobą pomówić na osobności. I zaraz poprowadził mnie do pokoju, gdzie nikt nas słyszeć nie mógł; tu dopióro tak przemówił do mnie: Mój synu, zaraz od pierwszego wejścia uczułem jakiś pocąg ku tobie. Pragnę dać ci niewątpliwą dowód tego, zwierając ci się z niektórymi rzeczami bardzo dla ciebie korzystnymi. Dostałeś się do domu, w którym bogobojni i świętoszki pomieszani z sobą spólnie żyją. Trzebaby długiego czasu do rozpatrzenia się. Radbym ci oszczędzić długiej i niemiłej nauki, przedstawiając ci charaktery jednych i drugich; poczem łatwo ci będzie kierować się.

Zacznę więc od Jego Wysokości. Jestto prałat bardzo pobożny, ciągle poświęcony zbudowaniu ludu, naprowadzeniu go na drogę cnoty kazaniami pełnymi gruntownej moralności, które sam pisze. Przed dwudziestą laty opuścił dwór, idąc za popędem gorliwego poświęcenia się dla swoich owieczek. Jestto ukształcony człowiek, wielki mówca; największa jego rozkosz prawić kazania, a lud z zapalem go słucha. Być może, iż się do tego próżność wtrąca po trosze, lecz nie jest udziałem śmiertelników, przenikać serca ludzkie, a do tego nie przystałoby mi wcale przetrząsać usterki osoby, której chlebem się żywię. Gdyby mi wszakże wolno było dotknąć pana

mojego, miałbym mu za złe jego surowość. Zamiast okazać niejakię pobłażanie dla słabych duchownych, on ich karci bardzo ostro. Osobliwie zaś bez miłosierdzia ściga tych, którzy zaufani w swojej niewinności, chcą się prawnie niesprawiedliwić, nie bacząc na jego powagę. Jeszcze mógłbym mu wytknąć jednę wadę, którą ma spólną ze wszystkimi panami: chociaż jest przywiązany do swoich służących, nie zważa przecież na ich gorliwość i pozwoliłby im osiwiéć w swoich usługach, nie pomyśllwszy nawet o ich opatrzeniu. Jeżeli zdarzy się, że im czasem udzieli jakiego wynagrodzenie, to chyba za łaskawém czyimś wstawieniem się; sam przez się nie domyśliłby się nigdy zrobić im jakąś przyjemność.

Otóż to mi powiedział o swoim panu stary szatny. Następnie objawił mi myśl swoją o duchownych, którzy z nami obiad jedli. Kręślił mi ich portrety wcale niezgodne z ich postacią pozorą. Nie wystawiał ich wprawdzie jako ludzi nieuczciwych, ale zawsze jako nienajlepszych księży. Jednakże wyjął niektórych, uznając ich za godnych uwielbienia. Odtąd nie trudno mi było przybrać odpowiednią postawę w ich obecności. Zaraz tegoż wieczoru, zasiadłszy z nimi do wieczerzy, przybrałem minę nadzwyczaj poważną; to nic nie kosztuje. Czegoż się tu dziwić, że tyłu jest hipokrytów.

ROZDZIAŁ III.

Gil Blas zostaje powiernikiem arcebiskupa i pośrednikiem jego łask.

Po obiedzie udałem się do hotelu, w którym mieszkałem, i zabrawszy konia i manatki swoje, wróciłem na wieczerzę do arcebiskupiego pałacu, w którym mi przygotowano pokój bardzo porządku i pościel puchową. Nazajutrz Jego Wysokość przyzwał mnie bardzo rauro, a to dla przepisania homilii. Polecił mi zaś, żebym tego dokonał z największą dokładnością. Nie zaudbałem tego bynajmniej; nie opuściłem ani kropki, ani kręski, ani najmniejszego znaku pisarskiego. Dla tego też, objawiając mi swoje zadowolenie, nie mógł zataić podziwlenia. Przejrząwszy wszystkie stronicie mojego pisma, zawołał z uniesieniem: Ah, dla Boga, widziałże kto coś poprawniejszego? Jesteś zanadto dobrym kopistą, żebyś nie miał być grammatykiem. Powiedz mi poufnie przyjacielu, pisząc, nie natrafisz przypadkiem na jakiś usterkę? na zaniedbane stylu, albo na jakie niewłaściwe wyrażenie? Bo takie rzeczy łatwo się wymknąć mogą w zapale kompozycy. Oh, miłościwy panie, rzekłem z miłą skromną, nie mam tyle ukształcenia, abym był zdolny do uwag krytycznych, a gdybym je nawet miał, jestem przekonany, że dzieła Waszej Wysokości, stawilby czoło mojej krytyce. Prałat uśmiechnął się na moję odpowiedź. Nie rzekł ani słowa, ale w głębi duszy swojej, pozwolił mi domyślać się, że nie był autorem bezkarnie.

Takowém pochlebstwem zyskałem stanowczo jego względy. Z każdym dnem stawałem się mu przyjemniejszym, i wreszcie od don Fernanda, który go często odwiedzał, dowiedziałem się, że tak był do mnie przywiązany, iż mogłem śmiało uważać los mój za ustalony. Wkrótce też sam pan mi to potwierdził, a to przy następującej okazji. Pewnego wieczoru powtarzał przedemną w swoim gabinecie, z całym zapalem, homilią, którą miał nazajutrz prawić w katedrze. Nie poprzestał na żądaniu zdania mojego o całej mowie w ogółności, ale żądał, żebym mu wymienił miejsca, które muie najwięcéj uderzyły. Szczęściem wskazałem mu te, które on najwyżej cenil, miejsca jego ulubione. Tym sposobem zaszczepliłem w umyśle jego przekonanie, że umiém gruntownie ocenić prawdziwe piękności dzieła. Otóż to, zawołał, co się nazywa mieć gust i czucie! Ba! mój przyjacielu, zaręczam ci, że twoje ucho nie jest beockie. Słowem, tak był uradowany, że się odezwał do mnie z żywością: Gil Blasie, bądź odtąd spokojny o swój los; już ja starać się będę, żeby ci go zapewnić jak najprzyjemniejszy. Kocham cię, i żeby ci tego dać dowód, biorę cię za swojego powiernika.

Zaledwie to usłyszał, gdym się zaraz rzucił do nóg Jego Wysokości, wskróś przenikniony wdzięcznością. Serdecznie ścisnąłem jego krzywe nogi, uważając się za człowieka, który

wpadł na tor z bogacenia się. Tak jest moje dziecko, mówił dalej arcybiskup, któremu przerwałem mowę moją wynurzeniem wdzięczności, chcę cię zrobić powiernikiem najskrzytszych moich myśli. Słuchaj pilnie, co ci powiem. Lubię miewać kazania. Bóg błogosławi moim homiliom; wzruszają one grzeszników, skłaniają ich do rozmyślenia nad sobą, i wiedzą do pokuty. Z radością patrzę na chciwca przerażonego obrazem, jak i lakomstwu jego przedstawiam, otwierającego swoje skrzynie i szczerze szafującego skarbami; cieszy mnie, gdy niejednego rozpustnika wyrwam z łona rozkoszy; pyszności zapelniam pustelnie; utwierdzam w granicach obowiązków małżonkę zachwianą przez zwodniczego kochanka. Takowe nawracania, które nie są rzadkiemi, same przez się powinny być dla mnie bodźcem do dalszej pracy; mimo to wszakże muszę ci wyznać moją słabość, jeszcze po inną sięgam nagrodę, po nagrodę, którą surowa cnota moja napróżno potępia, a tą jest cześć, jaką świat oddaje pismom poprawnym i subtelnym. Sława doskonałego mówcy, wielką ma dla mnie pojęcie. Dotąd wszystkie dzieła moje uważają za jednakowym zapałem i sztuką układane; lecz chciałbym uniknąć wady lepszych autorów, którzy za długo zajmują się pisaniem, ja pragnę w czas poprzestać i tym sposobem ocalić wziętość moją niezachwianą.

Tak więc mój kochany Gil Blasie, mówił jeszcze prałat, jednę rzeczy spodziewać się będę po twojej gorliwości; skoro spostrzeżesz, że pióro moje zaczyna tracić starość, że wyraźnie spadać pocznę, nie zaulebaj mnie o tęp przestrziedz. Sam sobie nie ufam w tym względzie, miłość własna mogłaby mnie uwodzić w tym względzie. Do tego spostrzeżenia potrzeba umysłu bezinteresownego. Ja wybieram twój, poznawszy go że jest zdolny; na twój więc wyrok się spuszczam. Dzięki Bogu, rzekłem, miłościwy pan dalekim jeszcze jesteś od tej epoki. Co większa, umysł takiiego hartu, jak waszej wysokości, dłużej zachowa swoją rzeźwość, aniżeli każdy inny; czyli trafniej mówiąc, Wasza Wysokość będziesz zawsze tym samym. Ja uważam go jak drugiego kardynała Ximenesa, którego wyższy geniusz, zamiast słabnąć z laty, zdawał się z nich nowe czerpać siły. Bez pochlebstwa, mój przyjacielu, przerwał mi, ja wiem, że mogę upaść w jednej chwili. W moim wieku dają się zauważyć słabości rozmaite, a słabości ciała, nadwężają umysł. Powtarzam ci Gil Blasie, skoro uznasz, że głowa moja słabnąć pocznie, ostrzeż mnie natychmiast. Nie lękaj się być szczerym i otwartym, ja przyjmę to ostrzeżenie jako dowód przywiązania do mojej osoby. Z drugiej strony idzie tu także o twój interes; jeżeli nieszczęśliwym dla ciebie trafem, dowiem się z kądinąd, że w mieście uważać będą brak dawniej sły w mowach moich, że osądzą, iż już powinienem spocząć, oświadczam ci bez ogródki, wraz z moją przyjaźnią stracisz mienie, które ci przyrzekłem. Tak byłby skutek nierozważnej oględności.

Pan mój na tęp ucał mowę, czekając mojej odpowiedzi, która była zarecentem spełnienia jego życzeń. Od tej chwili, nie miał nic ukrytego przedemną, zostałem jego ulubieńcem. Wszyscy służący, wyjąwszy Melchiora Ronda, nie bez zawiści spoglądali na to. Warto było zaiste przypatrzeć się, w jaki sposób dworzanie i służący obchodzili się z powiernikiem Jego Wysokości; nie wahał się ponizić aż do podłogi, by zyskać moją życzliwość; nie chęta mi się wterzyć, żeby to mieli być Hiszpanie. Nie dałem się omanić ich interesowaną grzecznością, ale mimo to, byłem gotów na ich usługi. Na prośbę moją, ksiądz arcybiskup wstawiał się za nimi. Jednemu wyjednał kompanię, i postawił go w możności przyzwolonego wystąpienia w wojsku. Drugiego wysłał do Meksyku, na korzystną posadę, o którą się dlań wystarał. Dla mojego przyjaciela Melchiora, pozyskałem dobre wynagrodzenie. Przekonałem się z tego, że jeżeli prałat sam nie uprzedzał, tedy rzadko odmawiał o co go proszono.

To jednak com zrobił dla jednego księdza, zdaje mi się godne przedstawienia ze szczegółami. Ludwik Garcias, człowiek młody i wcale przystojny, przedstawiony mi był przez nasze-

go marszałka pałacowego, który mi rzekł: Panie Gil Blas, w tej osobie duchownej, widzisz najlepszego mojego przyjaciela. Ze języki, nie oszczędzili jego cnoty. Oczerniono go przed Jego Wysokością, który go obłożył interdyktem, i nieszczęściem tak jest przeciw niemu uprzedzony, że niezważa na żadne wdania się za nim. Używaliśmy najdłuszych osób w całej Granadzie, żeby wyjednać dlań cofnięcie interdyktu, wszystko na próżno, nasz pan jest nieugięty.

Panowie, rzekłem, otóż to sprawa wcale na zły drodze. Byłoby daleko lepij, gdyby się nikt był nie wstawiał za panem licencyatem. Przez chęć przysługi, jeszcze mu gorzej zrobił. Znam ja już dobrze Jego Wysokość; prośby i wdawania się obce, powiększają jeszcze w jego umyśle błąd duchownego; nie dawno słyzałem z ust jego własnych: Książd, który popadnie w interdykt, im więcej osób zobowiązuje do wstawiania się za nim, tęp bardziej powiększa zgorzenie, tęp surowszym jestem dla niego. Przykra to jest rzecz, odpowiedział marszałek pałacowy, przyjaciel mój byłby w smutnym bardzo położeniu, gdyby nie umiał bardzo pięknie pisać. Szczęściem, pisze do zachwycenia, i tym talentem ratuje się w tęp Intrydzie. Ciekawy byłem, czy zachwalone to pismo, było piękniejsze od mojego. Licencyat mając je przy sobie, pokazał mi kartę, nad którą się zdumiałem; zdawało się, że to był wzór jakiegoś mistrza pisania. Zastanawiając się nad tęp pismem, wpadłem na myśl. Prosiłem Garciasa, żeby mi zostawił ten papier, oświadczając mu, że mogę mu coś pożytecznego zrobić; że się nie tłumaczę obszerniej, ale jutro może będę mógł coś więcej powiedzieć. Licencyat, któremu zdaje się marszałek chwalał moje zdolności, odszedł tak zadowolony, jak gdyby już wrócił do swoich obowiązków.

Ja w istocie szczerze pragnąłem, żeby to się stać mogło, i tegoż samego dnia, zacząłem się krzątać koło tego w sposób, jaki zaraz opowiem. Byłem sam z arcybiskupem, pokazałem mu pisma Garciasa. Pan mój zdał się nim zachwycić. Wtedy korzystając ze sposobności, rzekłem: Miłościwy panie, ponieważ nie chcesz drukować swoich homilij, życzyłbym przy najmniej, aby w ten sposób przepisane były.

Jestem kontent z twojego pisma, odpowiedział mi prałat, ale przyznam się, że nie gniewałbym się, gdybym takiem pismem miał przepisane moje dzieła. Wasza Wysokość niech tylko rzeknie słowo, powiedziałem, a ten co tak rysuje, jest licencyatem, moim znajomym. On z tym większą radością starać się będzie zrobić tęp przyjemność Waszej Wysokości, że tym sposobem będzie mógł odwołać się do Jego łaskawości, aby się wydobyc z smutnego położenia, w jakim się obecnie znajduje.

Prałat zapytał się zaraz o jego nazwisko. Jest to Ludwik Garcias, rzekłem mu, człowiek w rozpacz pogrążony, że sięgnął na siebie niełaske Waszej Wysokości. Ten Garcias, jeżeli się nie mylę, odpowiedział mi na to, był jałmużnikiem w jednym klasztorze zakonnim. Podpadł on cenzurze kościelnej. przypominam sobie zaskarżenia przeciw niemu. Obyczaj jego nie najlepszy. Panie, odezwałem się, nie chcę stawać w jego obronę, to tylko w tęp, że ma nieprzyjaciół. Utrzymuje, że oskarżyciele jego nie tyle dbali o prawdę, jak o zaszkodzenie jemu. To być może, odpowiedział arcybiskup; są na świecie ludzie bardzo niebezpieczni. Prócz tego, ja myślę, że obyczaje jego nie zawsze były naganne; może już odpokutował; wreszcie miłosierdzie dla grzeszników. Przeprowadź mi tego licencyata, zdejmę z niego interdykt.

Szybko tęp nowinę zaniosłem do marszałka pałacowego, który przesłał przyjacielowi swojemu. Zaraz następnego dnia, licencyat przybył do mnie z podziękowaniem odpowiedniem otrzymanej łasce. Przedstawiłem go mojemu panu, a ten poprzestał na łagodnym opomnieniu, i dał mu swoje homille do przepisania. Garcias dopełnił polecenia tak dobrze, iż został do obowiązków kapłańskich przywrócony. Otrzymał nawet probostwo w Gabli, znakomitę miasteczku w bliskości Granady.

ROZDZIAŁ IV.

Arcybiskup dostaje apopleksyi. Jakim sposobem Gil Blas oddalony przez arcybiskupa.

Kiedy takie łaski świadczyłem tym łowym, don Ferdynand de Leyva zabierał się do opuszczenia Granady. Udałem się do tego pana przed odjazdem, dla powtórzenia mu moich dziękczynień, za następczenie tak swobodnego miejsca. Zdałem mu się tak zadowolonym, że się odezwał do mnie: Mój kochany Gil Blasie, cieszę się serdecznie, że kontent jesteś z mojego wuja arcybiskupa. Jestem zachwycony tym wielkim prałatem, odpowiedziałem, i nie może być inaczej. Bo jest to pan niesłychanie njujący, ale prócz tego tak dla mnie łaskaw, że nie potrafię nigdy mu tego dostatecznie zawdzięczyć. Takiego właśnie szczęścia trzeba mi było, dla pociechy po oddaleniu się od pana don Cesara i jego syna. A ja jestem pewny, odpowiedział, że oni także cierpią na tęp, żeś ich opuścił. Ależ może nie na wieki rozstaliście się, jeszcze was los kiedyś połączy. Nie mogłem słuchać tych wyrazów bez rozczulenia. Westchnąłem na to; i w tym momencie uczułem tak silne przywiązanie do don Alphonsa, iż chętnieby mi opuścił arcybiskupa i wszystkie złote nadzieje, jakie mi zrobił, aby tylko powrócić do zamku Leyva, byleby mogła być uprzątnięta zawada, przed którą ustąpić musiałem. Don Fernand poznał to moje wzruszenie; tak go to uradowało, że uściskał mnie oświadczając, iż cała jego rodzina, nigdy nie będzie obcą w moich przeznaczeniach.

We dwa miesiące po odjeździe don Ferdynanda, w chwili gdy stanąłem u szczytu mojego szczęścia, wielki postrach padł na pałac arcybiskupi, nagle arcybiskup rażony został apopleksyą. Tak szybko dano mu pomoc, lekarstwa były tak skuteczne, iż w kilka dni wrócił do zdrowia. Ale umysł jego silnie został wstrząśnięty. Spostrzegłem to zaraz przy pićwrszej homilii, którą po tęp ułożył. Różnica wszakże między tą a dawniejszemi nie zdała mi się jeszcze tak uderzającą, iżby śmiało mógł twierdzić, że umysł mówcy poczyna tracić swoją siłę. Czekalem jeszcze drugtęj, aby wiedzieć czego się mam trzymać. Oh! ta już była stanowczą. Zaczę prałat to się opuszczał, to zbyt wysoko się wznosił, to znowu za nisko spadał. Była to mowa rozwlekła, retoryka zużytego krasomówcy, gawęda starego klechy.

Ale to nie ja jeden spostrzegłem. Większa część słuchaczów, jak gdyby zgodzona do takowego rozbioru, szeptała pomiędzy sobą, otóż to kazanie, które traci apopleksyą. Nuż więc panie sędzio homilij, pomyśliłem sobie wtedy, przygotuj się do spełnienia twojej powinności. Widzisz że Jego Wysokość podpada, winienes go o tęp ostrzedz, nietylko jako powiernik jego myśli, ale także z obawy, aby jaki przyjaciel otwarty nie chciał cię w tęp uprzędzić. W takim przypadku wiesz coby cię spotkało; zostałbyś wymazany z jego testamentu, w którym bezwątpienia lepszy musi być dla ciebie zapis, aniżeli biblioteki licencyata Sedillo.

Po takich rozmyślaniach snuły mi się po głowie inne, przeciwnęj zupełnie natury, takiego rodzaju ostrzeżenie zdało mi się bardzo dżażliwe. Pomyśliłem, że autor rozmówany w swoich dziełach nie mile przyjmie taką uwagę; lecz odpychając od siebie takowe przypuszczenie, wystawiłem sobie, że nie może się wcale urażać, żądając tego po mnie z taką natarczywością. Dodajmy do tego, iż zamyślałem przemówić doń z wielką zręcznością, i bardzo łagodnie podsunąć mu tę pługkę. Zresztą sądząc, iż milczeniem więcej stracić mogę, odważyłem się przemówić.

Już tedy jedna mnie tylko rzecz zatrudniała; nie wiedziałem jak zacząć tę rozmowę. Szczęściem sam mówca wyprowadził mnie z tego kłopotu, pytając się coby o nim mówiono w świecie, i czy kontenci są z jego ostatniej mowy. Odpowiedziałem że zawsze podziwiają jego homille, ale zdaje mi się, że ta ostatnia nie sprawiła takiego jak dawniejsze wrażenia na słuchaczach. Jak to, mój przyjacielu, odezwał się zdziwiony, miałaby znaleźć jakiego Arystarcha? Nie, miłościwy panie, odpowiedziałem, wcale nie. To nie takie dzieła, jak Waszj Wysoko-

ści, poważy się ktoś krytykować; nie masz człowieka, które-goby nie zachwycęły. Ztémwszystkiem ponieważ mam rozkaz być szczerym i otwartym, utech mi wolno będzie oświadczyć, że ostatnia mowa nie zdaje mi się tak dzielną, jak poprzedzającą. Czy Wasza Wysokość nie jesteś jednogoz ze mną zdania?

Na te słowa mój pan zbladł, i odezwał się z uśmiechem wymuszonym: Panie Gil Blas, więc ta mowa nie jest w twoim gnście? Ja tego nie mówię wcale miłościwy panie, przerwałem stropiony, owszem zdaje mi się wyborna, choć trochę niższa od innych jego dzieł. Rozumiem, odpowiedział, zdaje ci się podupać, czy nie prawda? Przetnij od razu. Mniemasz, że czas już myśleć o odwrocie? Nie jestem tyle zuchwały, rzekłem, abym miał tak otwarcie mówić, gdybyś Wasza Wysokość nie był mi rozkazał. Jestem więc w tym względzie tylko posłuszny jego woli, i błagam najpokorniej, abyś Wasza Wysokość nie brał mi za złe tęp śmiałości. Boże broń, przerwał ze skwapliwością, Boże broń, żeby ci ją miał wyrzucić! musiałbym być bardzo niesprawiedliwy. Wcale ci za złe nie biorę, że mi wyuurzasz myśl swoją, tylko tęp myśl uważam za złą: straszliwie zawiodłem się na twoich ograniczonych zdolnościach.

Choćby wyparowany ze stanowiska, chciałem szukać środków poprawienia rzeczy; ale jeste sposób uśmierzenia autora rozgniewanego, a do tego autora co już przywykł do pochwał? Przestańmy o tęp mówić moje dziecię. Jeszcześ za młody, żeby rozróżnić prawdę od fałszu. Wiedz o tęp, że lepszej homilii nie ułożyłem nad tęp, która nieszczęściem nie zyskała twojej pochwały. Umysł mój, dziękł niebu, nie stracił jeszcze nic ze swojej rzeżwości. Odtąd lepiej będę wybierał sobie powierników, chcę zdolniejszych od ciebie do wyrokowania. Idź, mówił dalej prowadząc mnie za ramię ze swojego gabinetu, idź, powiedz mojemu skarbnikowi, aby ci wyliczył sto dukatów i utech cię Pan Bóg prowadził z tą summą! Bądź zdrow panie Gil Blas, życzę ci wszelkich pomyślności i nieco więcej gustu.

ROZDZIAŁ V.

Co Gil Blas przedsięwziął po wyjściu z palacu arcybiskupiego; spotkanie jego z licencyatem, który mu tyle wdzięczności był winien.

Wyszedłem z gabinetu złorzecząc kapryswi, albo raczej słabości arcybiskupa, i bardziej rozgniewany na niego, aniżeli zmartwiony utratą jego względów. Przez chwilę nawet wahałem się czy mam odebrać moje sto dukatów; lecz dobrze rzecz rozważywszy, nie byłem tak głupi, żeby je zostawić. Osądziłem, że pieniądże nie odbiorą mi prawa do żartowania z niego, czego postanowiłem nie zaniedbywać nigdy, ilekroć w obecności mojej przyjdą na stoł jego homilie.

Udałem się więc do skarbnika po moje sto dukatów, nie rzekłszy ani słowa o tęp co zasło. Poszedłem następnie do Melchiora de la Rouda, aby się z nim na zawsze pożegnać. Był on nadto do mnie przywiązany, aby nie miał objawić spófczucia w mojem nieszczęściu. Gdy mu opowiadał, widziałem jak żal malował się na jego twarzy. Mimo szacunek, jaki winien był arcybiskupowi, nie mógł się wstrzymać od przygany; ale gdy w uniesieniu gniwmu przysięgałem, że prałat tego przypłaci, że całe miasto rozśmieszać będą jego kosztem, rozsądny Melchior tak do mnie przemówił: Wierz mi kochany Gil Blasie, lepiej podobno strawić tęp zgryzotę. Ludzie pospolici powinni zawsze szanować osoby znakomite, choćby największe mieli prawo narzekania na nich.

Podziękowałem staremu szatnemu za dobrą radę i przyrzekłem z niej korzystać. Po czém mówił do mnie: Jeżeli się udasz do Madrytu, staraj się widzieć z Józefem Navarro, moim siostrzeńcem. Jest on kredencierzem u pana don Baltazara de Zuniga, a zaręczam ci, że to chłopak godny twojej przyjaźni. Jest otwarty, wesoly, usłużny, uprzedzający; życzyłbym, żebyście się poznali. Odpowiedziałem mu, iż nie zaniedbam odwiedzić Józefa Navarro, skoro tylko przybędę do Madrytu, dokąd miałem zamiar wracać. Wyszedłem potem z palacu arcybiskupiego, aby w nim nigdy więcej nie postać. Gdybym był jeszcze miał swojego konia, byłbym może natychmiast ruszył do Toledo; alem go sprzedał, gdy był we względach, sądząc, iż go

już potrzebować nie będę. Postanowiłem więc wynająć pokój meblowany, zamierzając zabawić jeszcze z miesiąc w Granadzie, a potem udać się do hrabiego Polan.

Ponieważ godzina obiadowa zbliżała się, zapytałem więc moją gospodynię, czy nie ma w bliskości jakiej garnkuchni. Odpowiedziała mi, że o parę kroków od jej domu jest jedna i wyborna, że tam dobrze jeść dają, i dla tego wiele uczciwych osób do niej uczęszcza. Wypytałem się dobrze o nią i zaraz się tam udałem. Wszedłem do wielkiej sali, dosyć podobnej do refektarza. Kilku ludzi przy długim stole brudnym obrusem nakrytym rozmawiało, zajadając każdy skromną swoją porcyjkę. Podano i mnie moją, która w każdym innym czasie byłaby miłe przejęła żalem po utracie dotychczasowego stołu; ale wtenczas tak byłem zawzięty na arcybiskupa, że skromność mojej garnkuchni zdała mi się daleko zbawieńszą nad wyborną kuchnię jego. Powstawałem na mnogość potraw na obiedzie, a rozumując według zasad doktora z Valladolid, błada mówiłem, tym, którzy uczęszczają do tych zgnębnych stołów, przy których bezustannie trzeba się mieć na baczności przed zmysłowością, z obawy aby nie obładować żołądka! Alboż to nie dosyć się najęć skoro tylko się ję? W przystępie złego humoru uwielbiałem aforyzmy, które aż dotąd potępiłem.

Kiedy tak sprzątałem moją porcyą, nie lękając się przekroczenia granic wstrzemięźliwości, licencyat Ludwik Garcias, mianowany proboszczem w Gabil, w sposób, jak się wyżej rzekło, wszedł do sali. Skoro mnie tylko spostrzegł, przybiegł do mnie spiesznie, okazując objawy człowieka niesłychanie uradowanego. Uściskał mnie serdecznie i musiałem wytrzymać potok wyrazów grzecznych z powodu przysługi, jaką mu wyświadczyłem. Zmordował mnie swojemi wynurzeniami wdzięczności. Usiadł przy mnie, mówiąc: jak mi Bóg miły, mój dobroczyńco, kiedy mi szczęśny los pozwolił cię spotkać, nie rozjeździemy się, żebyśmy się nie mieli napić. Ale że w tej garnkuchni nie ma dobrego wina, skoro więc zjemy nasz skromny obiadek, zaprowadzę cię w jedno miejsce, gdzie cię uraczę buteleczką przedziwnego Lucena, albo wyborowego muskatu z Foncaral. Musimy sobie koniecznie pohulać, nie odmawiaj mi, proszę cię, tego ukontentowania. Oh, czemuż nie mam tego szczęścia mieć cię na parę dni przynajmniej w probostwie mojem w Gabil, tymbym cię przyjął jak wspomniałomyślnego mecenasa, któremu zawdzięczam spokojne i wygodne życie, jakie tam wiodę.

Kiedy mnie taką zabawił rozmową, przyniesiono mu jego porcyą. Zabrał się do jedzenia, nie przestając jednak raz po raz darzyć mnie jakim pochlebny wyrazem. Ja korzystając z tej chwili zacząłem także mówić z kolei; a że nie zapomniałem zasięgać władomości o przyjaciela swoim marszałku pałacowym, nie robiłem więc przed nim tajemnicy z mojego oddalenia z pałacu. Opowiedziałem mu nawet najdrobniejsze szczegóły mojej niełaski, których bacznie słuchał. Po tym wszystkim co mi poprzednio powiedział, któżby się nie spodziewał, że przejęty żalem wdzięczności, zacznie deklamować przeciw arcybiskopowi? O tём on przecież wcale nie myślał, przeciwnie, zrobił się jakoś zimnym i zamysłonym, dokończył obiadu, nie rzekłszy do mnie ani słowa; po czém zrywając się szybko od stołu, pokłonił mi się oziębło i zniknął. Niewdzięcznik, nie widząc, żebym mu mógł być użytecznym, oszczędził sobie nawet przykrości ukrywania swoich uczuć. Rozśmiałem się z jego niewdzięczności, i spoglądałem nań z oznaką wzgardy, na jaką zasługiwał.

ROZDZIAŁ VI.

Gil Blas udaje się do teatru w Granadzie i tam zdziwiony spostrzega aktorkę.

Ledwie co Garcias wyszedł z sali, kiedy przybyło dwóch młodych ludzi porządnie ubranych, którzy siedli obok mnie. Zaczęli z sobą rozmawiać o aktorach z trupy granadyjskiej i nowej sztuce, którą grywano podówczas. Sztuka ta według nich, wiele robiła hałasu w mieście. Wzięła mnie chętka widzieć jej przedstawienie. Nie byłem w teatrze od czasu, jak stanąłem w Granadzie. Ponieważ mieszkałem w pałacu arcybiskupim, gdzie takowe widowiska kłatwą obłożono, nie mo-

głem więc pozwalać sobie tej przyjemności. Homilie stanowiły całą moją rozrywkę.

Poszedłem zatem do teatru skoro był czas i zastałem w nim bardzo liczne zgromadzenie. Słyszałem do koła rozmaite rozprawy o sztuce, piérwój nim ją rozpoczęto, uważałem, że wszyscy płątali się do wyroku o niej. Jeden oświadczał się za, drugi przeciw. Widzianoż kiedy lepij ułożone dzieło? mówiono z prawej strony. Co za nędzny styl! odzywał się ktoś z lewej. Zaiste, przyznać należy, że jeżeli jest wielu złych autorów, więcj jeszcze znajduje się nędznych krytyków. Kiedy się zastanowię nad przykrościami, jakich dramatyczni autorowie doświadczają muszą, zdumiewam się, jak niektórzy odważą się stawieć czoło głupocie molłochu i niebezpiecznej krytyce półmędrków, którzy nieraz koślawią zdanie publiczności.

Wreszcie ulubieniec publiczności wystąpił dla otwarcia sceny. Zaledwie się okazał, natychmiast powszechnie wywołał oklaski, z tego wnosiłem, że to jest jeden z tych aktorów pieszczonych; którym parter wszystko przebacza. W istocie aktor ten nie wymówił wyrazu, nie zrobił najmniejszego poruszenia, żeby nie zyskał oklasków. Zauważył on objawiano przyjemność, jakiej doznawano z jego obecności: dla tego też on tego nadużywał. Ja uważałem, że się niekiedy zapominał na scenie, że zbyt ufał uprzedzeniu względemu dla siebie. Gdyby go wygwizdano, zamiast przyklaskiwać, oddałoby mu sprawiedliwość.

Klaskano także hucznie na widok kilku innych aktorów, osobliwie też jednej aktorki grającej rolę pokojówki. Zwróciłem na nią szczególną uwagę: i niema wyrazów zdolnych do wydania mojego zdziwienia, gdy w jej osobie poznałem Laurę, moją ukochaną Laurę, o której sądziłem, że się jeszcze w Madrycie przy hoku Arseni znajduje. Nie wątpiłem bynajmniej, że to ona; jej kibić, jej rysy, dźwięk głosu, wszystko mnie przekonywało, że się nie mylę. Jednakże nie ufając moim oczom i uszom, zapytałem się o jej nazwisko siedzącego obok mnie młodego człowieka. He, a z kądże to przybywasz? odezwał się do mnie. Musiałeś świeżo przybieć do naszego brzegu, kiedy nie znasz nado-bnej Estelli.

Podobienstwo było zbyt wyraźne, abym się miał stropić. Domyśliłem się, że Laura zmieniając stan, zmieniła także nazwisko: ciekawie będąc wiadomości o jej stałe, przed publicznością bowiem nie ukryją się sprawy osób do teatru należących, zapytałem się tegoż samego człowieka, czy ta Estella niema jakiego kochanka znakomitego. Odpowiedział mi, że od dwóch miesięcy bawi w Granadzie wielki pan portugalski, margrabia de Marialva, który niemało dla niej wydaje. Byłby mi więcj powiedział, gdybym się nie obawiał stać się mu natrętnym mojem pytaniami. Władomość, której mi udzielił ten młody człowiek, więcj mnie zajęła, niż cała komedia: gdyby ktoś po wyjściu z teatru zapytał mnie się o treść sztuki, byłby mnie nie małego nabawił kłopotu. Marzyłem jedynie o Laurze, o Estelli i zamierzyłem nazajutrz udać się do tej aktorki. Nie bardzo wprawdzie byłem pewny dobrego przyjęcia; miałem wielki powód spodziewać się, że w tak świetnym położeniu, widok mój nie zrobił jej przyjemności; przypuszczałem nawet, że tak dobra aktorka przez zemstę nad człowiekiem, który istotnie dał jej powód do nienkentowania, może udać, iż go wcale nie poznaje. Lecz wszystko to nie zraziło mnie bynajmniej. Po lekkiej wiecerzy, bo w naszej garnkuchni inniej nie było, wróciłem do mojego pokoju, oczekując niecierpliwie tego jutra.

Mało spałem tej nocy i obudziłem się równo ze świtem. Ponieważ jednak zdawało mi się, że kochanka wielkiego pana, nie może być widzialną tak rano, przed udaniem się więc do niej trzy czy cztery godziny stawiłem przy ubieraniu się, goleniu, pudrowaniu, perfumowaniu. Chciałem się jej przedstawić tak, iżby nie miała powodu rumienić się oglądając mnie. Wszedłem o godzinie dziesiątej, wywiadziawszy się piérwój w hotelu komedyantów o jej pomieszkaniu. Zajmowała ona najpiękniejsze pomieszkanko w jednym wielkim domu. Oświadczyłem pokojowej, która mi drzwi otworzyła, że młody człowiek pragnie mówić z panią Estellą. Pokojowa zawróciła się dla zawiadomienia swojej pani i w tej chwili usłyszałem, że też pani głosem do-

nośnym odezwała się: Co to za młody człowiek? czego chce ode mnie? niech tu wejdzie.

Wniosłem z tego, że w złą przybył godzinę; że jej portugalski kochanek musiał być przy jej toalecie i że dla tego tak głośno mówiła, aby go przekonać, że nie przyjmuje u siebie posłańców podejrzanych. To co przypuszczałem było istotną prawdą: margrabia de Marialva przepędzał u niej prawie wszystkie poranki. Tak więc nie wróżyłem sobie dobrego przyjęcia, kiedy ta oryginalna aktorka ujrzawszy mnie, posunęła się do mnie z otwartymi rękami i jakby w uniesieniu zawołała: Ah, bracie mój, toż ja ciebie oglądam? poczem uściśkała mnie kilkakrotnie, a obracając się do portugalczyka, rzekła: panie, przebac, jeżeli w obecności twojej ulegam sile zwłazków krwi. Po trzechletniej nieobecności, nie mogę oglądać brata ukochanego, nie objawisz mi mojego przywiązania. Dalejże, mój kochany Gil Blasie, mówią znowu do mnie, powiedźże mi co nowego o mojej rodzinie, w jakimże ich stanie opuścisz?

Zrazu stropiony temi słowy, wnet odgadłem zamiary Laury, a podpierając jej wybieg, miną i głosem zastosowanym do sceny, którąśmy odegrać mieli, odpowiedziałem jej: dzięki Bogu moja siostra, rodzice nasi są zdrowi. Nie wątpię, dodała ona, żeś się zdumiał ujrzawszy mnie aktorką w Granadzie, lecz nie potęplaj mnie, póki mnie nie wysłuchasz. Trzy lata temu, jak wiesz, ojciec mój rozumiał, że mnie doskonale wyposażył, wydając mnie za kapitana Antoniego Coello, który mnie wziął z Asturyi i zawiódł do Madrytu, swojego miejsca rodzinnego. W sześć miesięcy później miał rozprawę honorową, którą sam popędliwością swoją wywołał. Zabił młodego człowieka, któremu się podobało zwrócić uwagę na mnie. Młodzieniec był ze znakomitej rodziny, mającej wielkie wpływy. Mąż mój pozbawiony ich usunął się do Katalonii; zabrawszy z sobą klejnoty i gotówkę, jaka się w domu znajdowała. Następnie siada na okręt w Barcelonie, przepławia się do Włoch, wstępuje do służby weneckiej i ginie w Morei, walcząc z Turkami. W tym samym czasie włość, która była jedynym naszym mieniem, zabrana została na skarb, i ja zostałam wdową, jedną z najuboższych. Co tu począć w tak smutnej ostateczności? Młoda wdowa dbająca o swój honor w trudnym jest położeniu. Nie było sposobu wracać do Asturyi. I cóżbym tam robiła? Od mojej rodziny nie mogłam się czego innego spodziewać przez politowanie. Z drugiej strony wychowawce moje nie pozwalało mi puszcząć się na rozpustę. Co tu przedsięwziąć? Zostałam aktorką dla ocalenia honoru.

Usłyszawszy zakończenie tego romansu Laury, taka mnie chęć śmiechu opanowała, że m ją z wielką trudnością ledwie pohamowałam. Wstrzymałem się jednak, a nawet odezwałem się do niej w tonie poważnym: moja siostra, pochwalam twoje postępowanie i cieszę się, że m cie znalazł w Granadzie w tak przyzwolonym miejscu.

Margrabia de Marialva z całej tej mowy ani jednego nie stracił wyrazu, w literalnym znaczeniu przyjął wszystko, co się podobało prawie wdowie po don Antonio. Mieszkał się nawet do rozmowy: zapytał się mnie, czybym miał jaki urząd w Granadzie lub gdzieś indziej. Przez chwilę wahałem się, czy mam skłamać: ale uznawszy to za niepotrzebne, powiedziałem prawdę. Wyłuszczyłem więc rzecz całą, punkt w punkt, jak się dostałem do pałacu arcybiskupiego, jak z niego wypchnięty zostałem, co niesłychanie ubawiło portugalskiego pana. Prawda, że mimo obietnicę daną Melchiorowi, opowiadanie moje uprzyjemniałem kosztem arcybiskupa. Ale co było najzabawalsze, to, że Laura sądząc, iż wzorem jej ułożyłem sobie bajeczkę, śmiała się do rozpuku, czegoby zapewne nie zrobiła, będąc pewną, że nie zmyślam.

Po takowym opowiadaniu, które zakończyłem na pokoju umeblowanym, który najalem, dano znać, że już stół zastawiony. Chciałem zaraz oddalić się na mój obiad do garnkuchni, lecz Laura zatrzymała mnie. Co chcesz robić mój bracie? rzekła do mnie: zjiesz obiad ze mną: nie zniosę nawet tego, abys miał dłużej mieszkać w pokoju umeblowanym. Pragnę, abys u mnie ja-

dał i w moim domu mieszkał. Każ wieczór dziś znieść tu swoje rzeczy, tu się znajdzie łóżko dla ciebie.

Pan portugalski, któremu zapewne nie bardzo była przyjemna ta gościnność, odezwał się do Laury: nie, Estello, nie masz tak dogodnego mieszkania, abys mogła kogoś przyjmować. Brat twój zdaje mi się bardzo piękny chłopiec, że cię zaś tak blisko dotyczy, to obowięzuję mnie do zajęcia się jego losem. Przyjmuję go do mojej służby. Będzie u mnie najmilszym moim sekretarzem, moim powiernikiem. Niech zaraz przybędzie do mnie i już tę noc będzie spał w moim domu: każe mu przygotować pokój. Przeznaczam mu czterysta dukatów pensyi: a skoro z czasem, czego się spodziewam, będę kontent z niego, starać się nie omieszkać, aby mógł zapomnieć swojej szczerości dla arcybiskupa.

Podziękowałem serdecznie margrabiemu, a Laura żarliwszą jeszcze wynurzała mu wdzięczność. Nie mówmy już o tem, przerwał, rzecz skończona. To rzekłszy, pożegnał swoją teatralną księżniczkę i wyszedł. Zaprowadziła mnie zaraz do swojego gabinetu, a tam ujrzawszy się sama ze mną: udusiłabym się, zawołała, gdybym dłużej musiała tłumić śmiech w sobie. Po czem rzuciwszy się na wielkie krzesło, trzymając się za bok,



Dysputa pięknych dowcipów.

śmiała się do rozpuku, jakby od rozumu odchodząc. Nie podobna mi było wstrzymać się od naśladowania jej przykładu, a kiedyśmy się już do sytu nacieszyli, przyznaj Gil Blasie, rzekła, żeśmy zabawną odegrali komedię! Ale nie spodziewałam się takiego rozwijania, zamiarem moim było zapewnić ci stół i pomieszkanie i żeby ci to ofiarować z przyzwolnością, udałam się za swojego brata. Cieszę się, że los ci nastręczył tak dobre miejsce. Margrabia de Marialva jest pan wspaniałomyślny, który pewnie więcej zrobi dla ciebie, niż przyrzekł. Dodała jednak następnie, inna, możeby nie przyjęła tak mile człowieka, który opuszcza swoich przyjaciół, bez pożegnania nawet. Ale ja należę do tych dobrodusznych dziewcząt, które z radością witają osobu, którego kochały.

Przyznałem się z dobrej woli do mojej niegrzeczności prosząc o przebaczenie; poczem zaprowadziła mnie do pokoju jadalnego, bardzo porządnego. Zastędliliśmy do stołu, a że świadkami naszymi była kobieta jedna i lokaj, dla tego przy obiedzie tytułowaliśmy się siostrą i bratem. Po obiedzie udaliśmy się znowu do tegoż gabinetu, w którym pierwój bawiliśmy. Tam moja niezrównana Laura, przybierając swoje wrodzoną weso-

łość, żądała ode mnie, abym jej zdał sprawę ze wszystkiego, co mi się przytrafiło po naszym rozłączeniu. Opowiedziałem jej wszystko rzetelnie, a zaspokoiwszy jej ciekawość, ona także zadowoliła moję, opowiadając swoją historią w następujących wyrazach.

ROZDZIAŁ VII.

Historja Laury.

Opowiem ci jak tylko będę mogła najwzięźlej jakim trafem przyjęłam powołanie komiczne.

Od czasu jakżeś mnie tak grzecznie porzucił, wielkie u nas zaszły wypadki. Arseula, moja pani, bardziej znudzona, aniżeli znudzona światem, wyprzysięgła się teatru i zabrała mnie z sobą na wieś bardzo ładną, którą w bliskości Zamory kupiła za monetę zagraniczną. Wnet zabrałyśmy znajomość w tym mieście. Często do nlego jeździliśmy, a przepędziwszy dzień jeden, lub dwa, zamykałyśmy się znowu w naszym zamku.

W czasie jeduiej z tych małych wycieczek don Felix Maldonado, syn korregidora, ujrzał mnie trafem i podobałam mu się. Szukał sposobności rozmówienia się ze mną bez świadków; żeby zaś nic przed tobą nie tać, przyznam się, że m tu pomogła do jej wynalezienia. Młody człowiek nie miał jeszcze dwudziestu lat; tak piękny jak sam bożek miłości, do malowania; a bardziej jeszcze czarujący obejściem uprzejmym i szlachetnym, niżeli postacią. Ofiarował mi z takim wdziękiem, i z takim naleganym wielki brylant, który miał na palcu, że m nie mogła odmówić przyjęcia. Czulałam prawdziwą rozkosz mając kochanka tak milego. Ależ co to za nieroztropność dziewczyn przywiązywać się do synów znakomitej familii, których ojeowie mają władzę w rękę! Korregidor, najsurowszy może z podobnych sobie, zaledwie posłyszał o naszym porozumieniu, gdy natychmiast postanowił zapobiedz dalszym skutkom. Oddział algazillów z jego rozkazu pojął mnie i bez względu na mój krzyk do szpitala panien miłosiernych zaprowadził.

Tam, bez żadnej formy processu, przełożona kazała mi zdjąć pierścień i suknie, a odziać mne w długą suknię z szarej szarzy, ściągniętą w pół szerokim, czarnym paskiem rzemiennym, z różańcem w wielkie pacorki, tak długim, że mi aż do kostek sięgał. Zaprowadzono mnie po tēm wszystkiem do sali, w której zastałam podeszłego księdza, nie wiem z jakiego zakonu, który zaczął mnie zachęcać do pokuty, prawie w ten sam sposób, jak pani Leonardo wmawiała w ciebie cierpliwość w owych podziemiach. Mówił mi, że m winna wdzięczność tym, którzy mne kazali zamknąć; że oni mi wielką wyświadczyli przysługę, wyrwijając mne z sidił szatańskich, w których już byłam uwikłana. Przyznam się otwarcie do mojej niewdzięczności; zamiast czuć się obowiązana tym, którzy mi taką rozkosz sprawili, ja ich serdecznie przeklinałam.

Ośm dni przepędziłam w tēm utrapieniu, lecz dziewiątego, bom dobrze liczyła nawet minuty, los mój zdawał się przechylać ku odmianie. Przechodząc przez małe podwórko spotkałam ekonoma domu, osobę, której wszystko ulegało, przełożona sama była m posłuszną. Rachunków ze swego zarządu nie zdawał nikomu, tylko samemu panu korregidorowi, od którego jedynie zależał, a który w nim miał zupełne zaufanie. Zwał się Pedro Zendono, a miasteczko Salsedon w Biskaj, szczyliło się jego urodzeniem. Wystaw sobie człowieka wysokiego, bladego, wysuszonego, figurę wybornie służęcą mogaćą za model do obrazu pokutującego łotra. Zaledwie zaczął spojrzeć na siostry. Nie widziałeś nigdy takiej postaci hipokryta, chociaż mieszkał tam gdzie ich najwięcej bywa.

Otóż, mówiła dalej, spotkałam tego pana Zendono, który mne zatrzymał, mówiąc: uspokój się moja córko, jestem wzruszony twojym nieszczęściem. Nie rzekł więcej ani słowa, i poszedł dalej swoją drogą, pozwalając mi robić sobie objaśnienia dowolne nad textem tak lakonicznym. Ponieważ uważałam go za człowieka uczelwego, wystawiałam więc sobie po prostu, że zadał sobie pracę wybadania za co byłam zamknięta, a nieważając mojej winy za godną tak srogiej kary, miał zamiar wstawić się za mną do korregidora. Nie znałam Biskaj-

czyka, on tymczasem co innego miał w myśli. On marzył o podróży, z czem się mi zwierzył w kilka dni później. Kochana Lauro, rzekł do mnie, tak jestem cęły na twoje cierpienia, że postanowiłem je skończyć. Nie tajuo mi jest, że w tēm moją zguba, ale ja już nie jestem swój, chcę tylko żyć dla ciebie. Stan w którym cię widzę wskrosz przenika moją duszę. Jutro zaraz myślę cię wydobyć z tego więzienia, i sam zawiozę cię do Madrytu. Wszystko chcę poświęcić dla jedyniej przyjemności być twoim zbawcą.

Na te słowa Zendona o mało nie zemdlałam z radości; on zaś z moich dziękczynień wnosząc, że tego właśnie pragnę, aby się ztąd jak najprędzej wydobyć, zaraz nazajutrz z największym zuchwalstwem, wobec całego świata, uprowadził mne w sposób, jak ci zaraz opowiem. Oświadczył przełożonej, że ma rozkaz zawieźć mne do korregidora, który bawił w domu wiejskim o dwie mile od miasta i kazał mi beczelnie siadać do powozu pocztowego, zaprzęzonego we dwa muły, które w tym celu kupił. Jedynym służącym naszym był lokaj powożący, powiernik ekonomy. Ruszyliśmy więc w drogę, nie ku Madrytowi, jak ja rozumiałam, ale ku granicy portugalskiej, dokąd prędzej przybyliśmy, niż pan korregidor mógł dowiedzieć się o naszej ucieczce i nim miał czas rozpuścić ogary za naszym tropem.

Nim wjechaliśmy do Braganzy, Biskajczyk kazał mi się przebrać po męzku, mając już do tego z przezornością przygotowane ubiór: a uważając mne za osobę na jednym z sobą wózką jadącą, odezwał się do mne: nadobna Lauro, nie urażaj się że m cię do Portugalii przywiozł; korregidor Zamory będzie nas szukał w naszej ojczyźnie, jak winowajców, którym Hiszpania wszelkiego powinna odmówić przytulku. Lecz w tym obcym kraju możemy się uchronić przed jego gniewem, jakkolwiek jest on pod panowaniem hiszpańskim. Przynajmniej możemy być bezpieczniejsi, niż w ojczyźnie własnej. Pozwól się przekonac mój aniele; udaj się z człowiekiem, który cię nbóstwia Osiadziemy w Coimbrze. Tam ja zostanę szpiegiem świętego oficyum, a pod cieniem tego trybunału groźnego, będziemy mogli pędzić dni bezkarnie w swobodnych rozkoszach.

Przedstawienie tak ogniste, przekonało mne, że to nie był rycerz któryby chętnie niósł usługi infantkom dla sławy rycerstwa. Pojmo wałam, że mógł wiele rachować na moją wdzięczność; a jeszcze więcej na niedostatek; jednakże, choć te dwie rzeczy silnie przemawiały na jego korzyść, ja przecież ze wzgardą odrzuciłam jego żądanie. Prawda że do objawienia tēj skromności dwie ważne miałam przyczyny: naprzód nie podobał mi się wcale, powtóre uważałam go za ubogiego. Lecz gdy ponawiając swoje nalegania, oświadczył, iż przedewszystkiem chcę mne pojąć za żonę, gdy mi pokazał, że na swoim ekonomstwie opatrzył się wybornie na długi czas, wyznać muszę, że m zaczęła słuchać. Olsnił mne widok złota i klejnotów, które rozłożył przed moimi oczyma, doświadczyłam wtedy że interes zdolny jest takie same robić metamorfozy, jak miłość. Mój Biskajczyk powoli zmienił się w moich oczach. Jego wysoka, sucha postać, przybrała formę wysmukłej kibiści; bladeść zamieniła się w płekną białą cerę, nawet jego mina hipokrycka zyskała nazwę zaszczytną. Wtedy bez odrazy przyjęłam jego rękę w obliczu Boga, którego brał na świadka swego ślubu. Odtąd żadnego z mojej strony nie doznał sprzeciwiania się. Puściliśmy się w dalszą drogę i wnet Coimbra ujrzała w murach swoich nowe gospodarstwo.

Mąż mój sprawił mi suknie bardzo porządne, ofiarował mi, kilka dyamentów, pomiędzy którymi poznałam pierścień don Felixa Maldonado. Włęczęj też niepotrzebowałam do odgadnięcia, zkadbyto wszystko pochodziło i do przekonania się, że m zaślubiła człowieka nie zbyt ściśle zachowującego siódme przykazanie bozkie. Lecz sądząc że to wszystko dla mne robił, przebaczyłam mu w duszy.

Szczęśliwa z nim dosyć byłam przez dwa, czy trzy miesiące. Obejście jego zawsze było uprzejme, i zdawał się, kochać mne serdecznie. A jednakże dowody jego przywiązania, były to fałszywe pozory; oszust zwodził mne, i każda dziewczyna

uwiedziona przez niecnego człowieka spodziewać się powinna takiego postępowania, jakie on dla mnie gotował. Pewnego poranku wracając ze mszy, znalazłam w pomieszczeniu naszym tylko cztery kąty; sprzęty i moje nawet manatki zniknęły. Zendon i jego wierny służalec, tak się skrętułe sprawili, iż w godzinę niespełna rabunek był dokonany i doskonały; tak dalece, że w jednej sukni, w której byłam i z pierścieniem don Felixa, który szczęściem miałam na palcu, zostałam opuszczona przez ulew dzięcznika, jak druga Aryadna. Ale zaręczam ci, że się nie bawiła w żadne treny; owszem dziękowałam Bogu, że mnie wybawił od zbrodniarza, który prędzej czy później musiałby być dostać się, w ręce sprawiedliwości. Czas, który z nim przeżyłam, uważałam za stracony, który sobie wynagrodzić potrafię. Gdybym chciała była pozostać w Portugalii, przyjąć obowiązki u jakiej znakomitej pani, mogłam to znaleźć bez trudności; ale czy to przywiązanie do ojczyzny, czy przeważny wpływ mojej gwiazdy, zapewniając mi los świetniejszy, zgoda coś mimowolnie pociągało mnie do Hiszpanii. Udałam się do jublera, który mi wartość mojego brylantu w złocie wyliczył, i puściłam się w drogę z podszłą wiekiem panią hiszpańską, która kobryoletem do Sewilli zmierzała.

Ta pani, zwana Dorothea odwiedzała w Cambridge swoją krewną i wracała do swojego zamieszkania w Sewilli. Takie było społeczenie między nami, iż zaraz pierwszego dnia serdecznieśmy się zaprzyjaźniły; w ciągu zaś podróży, tak dalece wzmogło się jej przywiązanie do mnie, iż nie chciała zezwolić, abym gdzieś indziej, jeżeli nie w jej domu mieszkać miała. Nie miałam nigdy powodu żalowania tej znajomości. Nie widziałam kobiety z miłszym charakterem. Z jej rysów i wesołych oczu, można było wyczytać, że nie jedna gitara brzęczała na jej cześć: dla tego też kilku miała mężów szlacheckiego rodu, a teraz ucieciwie żyła z zapisów wdowich.

Między wielą wybornymi przymiotami, miała i ten, że się litowała nad nieszczęściem panien. Kiedyś się jej zwierzyła mojej złej doli, tak się tym mocno przejęła, że tysiące złorzeczeń wyrzekła przeciw Zendonowi. Psie plemię! rzekła tonem dającym do zrozumienia że i ona w drodze swojego życia musiała także zawadzić o jakiegoś ekonomę; nędzniki! są to na świecie takie oszusty, którzy sobie igraszkę robią z uwodzenia kobiet. Co mnie cieszy, moje kochane dziecię, mówiła dalej, to, że wedle twojego opowiadania, niczem nie jesteś związana z tym wiarołomnym Biskajczykiem. Małżeństwo twoje z jednej strony jest dobre dla niewinnienia ciebie, ale z drugiej strony jest wcale nieważne i pozwala ci wejść w nowe i lepsze związki, jeżeli się sposobność nadarzy.

Wychodziłam codziennie z Dorotheą udając się do kościoła lub z odwiedzinami do przyjaciół; był to jedyny środek, natrafienia na jaką przygodę. Zwróciłam na siebie uwagę kilku młodych ludzi. Niekiedy probowali szczęścia, zasłęgali wiadomości u mojej przyjaciółki. Lecz jednym brakło funduszy na przyzwoite opatrzenie moje, innym nie dano jeszcze męskiego ubioru; wleć też nie trzeba było, by mi oczy zatkać na ich miłosne oświadczenia. Znałam już skutki tego. Pewnego dnia, wzięła nas chątka, Dorotheę i mnie, zobaczyć grę aktorów Sewilskich. Ogłoszono przedstawienie: *La famosa Comedia, el Embaxador de si-mismo*, napisaną przez Lope de Vega Carpio.

Pomiędzy aktorkami występującymi na scenę, poznałam jedną dawną przyjaciółkę. Była to Fenicya, owa krępa, wesoła pokojówka Florimondy, z którą nie raz jadłem wczeczerę u Arsenii. Wiedziałam, że ona opuściła Madryt przed dwoma laty, ale się nie spodziewała, żeby została aktorką. Tak żywo pragnęłam jak najprędzej uściskać ją, że sztuka zdała mi się nieznośnie długą. Może też to pochodziło i z winy tych, co ją przedstawiali, którzy nie grali ani dość dobrze, ani dość źle, żeby mnie zabawić. Bo wyznać ci muszę, że mnie aktor zupełnie śmieszny równie rozweselić zdoła, jak najwyborniejszy.

Wreszcie oczekiwana chwila nadeszła, to jest, *la famosa Comedia*, skończyła się; posłaliśmy zaraz za kulisy, gdzieśmy rzucały Fenicyą udającą kochankę; słuchała z przymileniem

słodkiego śpiewu młodego płaszka, który zapewne złowił się na lep deklamacyi. Skoro mnie tylko ujrzęła, z ujmującym wdziękiem opuściła swojego adonisa, z otwartymi rękami poskoczyła ku mnie, darząc mnie objawami najserdeczniejszej przyjaźni; ja także uściskałam ją jak najszczerzej. Wynurzyliśmy sobie nawzajem radość z naszego spotkania się; lecz gdy ani czas, ani miejsce nie dozwalało dłuższej zabawy, odłożyliśmy więc rozmowę do dnia następnego.

Gadanie jest najwyższą rozkoszą kobiet, a osobliwie też nią. Nie mogłam oka zmrużyć przez całą noc, tak dalece pałałam żądzą spotkania się z Fenicyą, by ją obsypać pytaniami. Bóg tylko wie, jak szybko zerwałam się, by pobiedz do wskazanego mi jej mieszkania. Stała razem z całą trupą w wielkim hotelu umeblowanym. Służąca którą spotkałam wchodząc, na prośbę moją zaprowadziła mnie na kurytarz, na którym znajdowało się dziesięć do dwunastu izb, poprzedzielanych deskami, zajętych przez to wesołe towarzystwo. Przewodniczka moja zapukała do drzwi Fenicy, którą język równie świerzbiał jak mnie, dla tego szybko otworzyła. Ledwieśmy zdążyły usiąść do szczebiotania. Miałymy tyle do gadania, i o tylu rzeczach, że pytania i odpowiedzi, tak leciały jak paprzyca.

Opowiedziawszy sobie wzajemnie swoje przygody, przedstawivszy sobie obecne położenie, Fenicya zapytała się mnie, co bym przedsięwzięć zamierzała; boć z reszłą, rzekła, trzeba coś robić; osobie w twoim wieku nie wolno żyć bez użytku dla społeczności. Odpowiedziałam jej, że nim coś lepszego się zdarzy, postanowiłam szukać miejsca przy jakiej znakomitej panie. Wstydz się moja kochana, zawołała Fenicya, to ty jeszcze o tym myślisz! Czyż podobna, aby ci dotąd jeszcze służba nie obmierzała? jeszczeż cię nie zondziło ulegać cudzej woli, szanować obce wybryki, słuchać łajania, słowem, być niewolnicą? Czemuż za moim przykładem nie zostaniesz aktorką? Nie masz nic stosowniejszego dla osoby, której brak majątku i urodzenia. Jest to stan środkujący między szlacheństwem a mieszczaństwem, powołanie wyzwolone od wszelkiego przymusu przyzwoitości, tak krępującej w życiu cywilnem. Publiczność posiada fundusze, z których nam wypłaca nasze dochody w brzęczącej monecie. Pędźmy życie zawsze wesołe, rozrzucając pieniądze z tą samą łatwością, z jaką je nabywamy.

Teatr, mówiła dalej, jest szczególnie dla kobiet korzystny. Kiedyś jeszcze mieszkała u Florimondy, wstyd mi wspomnieć o tym, zmuszona byłam jedynie słuchać najemników trupy teatru księżęcego; żeby też jakiś uczciwszy człowiek choć spojrzął na mnie. A zkąd to pochodziło? oto, że nie byłam na widoku. Najpiękniejszy obraz, skoro nie będzie umieszczony w przyzwoitem świetle, nie zwróci niczyjej uwagi. Lecz od czasu gdy stanęła na moim postumencie, to jest na scenie, cóż to za różnica! Najznakomitsza młodzież po miastach przez które przeciągamy, biegnie w trop za mną. Aktorka ma wiele przyjemności w swoim powołaniu. Jeżeli jest roztropna, chce mówić, jeżeli jednemu tylko na raz sprzyja kochankowi, to jej zabezpiecza honor w świecie; chwałą jej skromność. Kiedy zaś zmienia gacha, uważają ją za wdowę w powtórne wstępującą szluby. Co większa, wdowa zyskuje pogardę, skoro trzecie odprawia gody, mówią, że obraża delikatniejsze uczucia; gdy tymczasem aktorka też szanowniejszą się staje, im większą lizbę ma ulubieńców. Po stu zalotnikach, tym ponętniejszą staje się dla panów.

Komuż to mówisz? przerwałam w tym miejscu, mniemaszże, iż nie znam tych korzyści? Nie raz ja nad nimi rozmyślałam, a nie potrzebuję robić przed tobą tajemnicy, dziełczynna taka jak ja, musiała koniecznie wielki do nich czuć pośląg. Ja mam nawet wielką ochotę do teatru, ale to nie dosyć; trzeba talentu, a tego ja nie mam. Ja kilka razy probowałam, deklamując przed Arsenią wyjątki ze sztuk teatralnych, ale jej się nie podobowało, i to mnie zniechęciło do tego powołania. To widzę ciebie łatwo spłoszyć, odezwała się Fenicya. Czy nie wiesz, że te wielkie aktorki, są pospolicie zawistne? Mimo całą ich próżność, boją się, aby ktoś ich sławy nie zagasił. Zresztą nie chcę w tym względzie spuszczać się na Arsenią, ona nie była

szczerą. Ja ci powiem bez pochlebstwa, żeś ty się urodziła do teatru. Jesteś naturalną, akcyja twoja swobodna a pełna wdzięku, głos miły, piersi mocne, a przytém wszystkiem twarzyczka ładna! Ah, ty hultajko, iluż ty chłopców oczarujesz, skoro zostaniesz aktorką.

Jeszcze mi wiele innych rzeczy pougnytnych nagadała, poczem kazała mi deklamować kilka wierszy, abym sama osądziła moją zdolność do zawodu komicznego. Gdy mnie wysłuchała, wtedy było wcale co innego. Obsypała mnie oklaskami i postawiła mi wyżej nad wszystkie aktorki Madryckie. Wówczas zapewne każdy miałby mi za złe, gdybym jeszcze powątpiewała o moim talencie. Arsenia została obwintoną i potępioną o zadróść i złą wiarę. Musiałam się zgodzić, że'm była podziwieńnia godną. Dwaj aktorowie przybyli w tym momencie, Fenicya zobowiązała mnie, abym w ich przytomności powtórzyła też same wiersze, którem poprzednio deklamowała; obadwa z pewnym rodzajem zachwycenia uwielbiali mnie. W istocie, gdyby wszyscy poszli o zakład co do pochwał moich, nie potrafiliby zapewne dobrać wyrażen bardziej przesadzonych. Skromność moja nie potrafiła stawić czoła takim uwielbientom. Uwierzyłam stanowczo, że ja coś przecie znaczę, i odtąd nabrałam ochoty do komedyi.

Oh tak, moja droga, rzekłam do Fenicy, stało się! pójdę za twoją radą i zapiszę się do waszjej trupy, jeżeli się wam podobą. Na te słowa przyjaciółka moja uradowana, uściskała mnie, a dwaj towarzysze jej zdali mi się nie mniej zachwyceni usłyszawszy moje postanowienie. Ułożyliśmy się więc, że nazajutrz rano udamy się do teatru i przed zebraną w całości trupą, złożę tę samą próbkę mego talentu. Jeżeli u Fenicy korzystne o sobie powzięłam mniemanie, tedy zebrana trupa z większą jeszcze osądziła mnie przychylnością, skorom w jej obecności, że dwadzieścia wierszy powtórzyła. Chętnie przyjął mnie do swojego grona, poczem zajęłam się tylko przygotowaniem do pierwszego wystąpienia. Żeby zaś uczynić je tēm świeżniejszą, użyłam wszystkich piędędzy, jakie mi jeszcze z wartości pierścienia pozostały, a co brakło do przepychu, zastąpiłam to wykwiutością gustu.

Wreszcie wystąpiłam po raz pierwszy na scenę. Co za oklaski! jakie pochwały! Wyznam ci mój kochany, że to wielka skromność z mojej strony, jeżeli ci powiem, że'm zachwycała słuchaczy. Trzeba było koniecznie być świadkiem tej wrzawy, jaką wywołałam w Sewilli, aby temu uwierzyć. Stałam się przedmiotem rozmowy w całym mieście, a publiczność przez całe trzy tygodnie tłumnie się zbierała w teatrze, tak dalece, że trupa odzyskała znowu słuchaczy, którzy ją opuszczać zaczęli. Pierwsze zatem wystąpienie moje, było zachwycające. Taki zaś wstęp był niejako ogłoszeniem, że'm była do wzięcia, dla więcej dającego, dla tego, który najwięcej postąpi. Dwa dziesięć mężczyz różnych wieku i stanu ofiarowało się zająć mną. Gdybym chciała iść za skłonnością serca, byłabym wybrała najmłodszego i najpiękniejszego, lecz gdy idzie o ustalenie bytu naszego, my aktorki musimy się radzić jedynie interesu i ambicy; to jest prawidło teatralne. Dla tego też przeniosłam nad wszystkich don Ambrosio de Nisana, człowieka już podeszłego i brzydkiego, ale zamożnego, szlachetnego i najznakomitszego pana w całej Andaluzji. Prawda, że te względy kazałam sobie dobrze zapłacić. Najął mi piękny dom, urządził go wspaniale, dał mi wybornego kucharza, dwóch lokajów, pokojówkę i tysiąc dukatów miesięcznie na drobne wydatki. Dodać do tego trzeba bogaty strój i znaczną ilość klejnotów. Nigdy Arsenia w świetlejszym nie była stanie. Cóż to za odmiana mego losu! Umysł mój znieść tego nie potrafił. Sama sobie zdałam się być inną osobą. Teraz się nie dziwię wcale, że są kobiety, które w krótkim czasie zapominają o niemości, z jakiej ich, kaprys bogatego pana niespodzianie wydzwignę. Przyznam ci się szczerze, że oklaski publiczności, pochlebne wyrażenia, które się ze wszech stron o moje uszy obijały, namiętne przywiązanie don Ambrosio, natchnęły mnie próżnością aż do szaleństwa dochodzącą. Talent mój uważałam za dyplom szlachectwa. Przybrałam postawę damy zna-

komitego rodu; a stawszy się równie chciwą wejrzeń zalotnych jak pierwój nemi zbyt hojnie sama szafowałam, postanowiłam nie zwracać uwagi, jak tylko na samych księżęt, hrabiów, margrabłów.

Pan de Nisana przychodził do mnie codzień na wieczere z kilkoma przyjaciółmi. Ja z mojej strony przybierałam zawsze kilka aktorek wesołych, i większą część nocy przepędzaliśmy na śmiechach i pijatyce. Podobało mi się niesłychanie tak rozkoszne życie, ale ono trwało tylko sześć miesięcy. Wielcy panowie są bardzo zmienni, gdyby nie to, byłiby aż nazbyt miłymi. Don Ambrosio porucił mnie dla młodój zalotnicy granadyjskiej świeżki do Sewilli przybyłej. Nie zbywało jej na wdziękach, ani na sztuce korzystania z nich. Nie trapiło mnie to dłużej nad dwadzieścia cztery godzin. W miejsce jego wybrałam młodego człowieka, zaledwie dwadzieścia dwa lata liczącego, don Louis d'Alcacer, który mało sobie równych miał w całej Hiszpanii co do urody.

Zapewne zapytasz się mnie i nie bez zasady, dla czego tak młodego kochanka wybrałam, ja com już z doświadczenia wiedziałam, że stosunki z gachami tego rodzaju są niebezpieczne. Muszę ci więc powiedzieć, że don Louis nie miał ani ojca, ani matki i już sam rządził dobrami swojemi, a prócz tego związki takowe niebezpieczne są tylko dla dziewcząt służebniczego stanu, lub nieszczęśliwych awanturnic. W naszym zawodzie kobiety są istotami przywilejowanemi, my nie odpowiadamy wcale za skutki naszych wdzięków; tēm gorzej dla rodu, których spadkobierców podskubujemy.

Rozkochaliśmy się oboje, ale to tak, że żadna miłość, jak mi się zdaje, nie wyrównywała tēj, jakąśmy oboje ku sobie pałali. Kochaliśmy się z takim zaślepieniem, iż sądziłbyś żeśmy byli zaczarowani. Wszyscy którzy o tēm wiedzeli poczytywali nas za najszcześliwszych w świecie kochanków, a my może byłśmy najnieszczęśliwsi. Don Louis był wprawdzie bardzo piękny, ale nadzwyczaj zazdrosny, co chwila dręczył mnie nie słusznemi podejrzewaniem. Na nic mi się nie przydało, gdy dla zastosowania się do jego słabości i ten przymus sobie zadawałam, że'm na żadnego nie spojrzęła mężczyznę, podejrzliwość jego przebiegła w wynajdywaniu uchybień, usiłowania moje robiła bezużytecznemi. Jeżeli występowaliśmy na scenę, zdawało mu się że grając moją rolę, zalotnem okiem rzucałam na jakiego młodego mężczyznę i zaraz mnie nudził wyrzutami; słowem najczulsze nasze rozrywki przeplatane były zawsze swarami. Nie było podobna wytrzymać tego, obojgu nam zabrakło cierpliwości, zerwaliśmy z sobą po przyjacielsku. Czy uwierzysz, że ostatni dzień związków naszych, był dla nas najprzyjemniejszym? Oboje zarówno zużęli przykrościami, jakieśmy przecierpeli, objawiliśmy najżywszą radość przy pożegnaniu. Byliśmy podobni do biędnych jeńców odzyskujących wolność z twardych okowów.

Od tego czasu byłam bardzo ostrożna z miłością. Nie cheę przywiązania zatruwającego moją spokojność. Nam wcale nie przystoją wdychania, jakie innym kobietom dozwolone. Nie wypada poddawać się namiętności prywatnie, którą wyszydząmy publicznie.

Przez ten czas otworzyłam pole sławie do działania, rozniosła ona po wszystkich stronach, że'm była aktorką niepodobną do naśladowania. Na słowo tēj bogini aktorowie z Granady pisali do mnie z przedstawieniem, czylibym nie weszła do ich trupy, żeby mnie zaś przekonać, że to nie jest rzecz pogardy godna, przysłali mi stan ich dziennych wydatków i abonamentu, z czego okazywała się nie mała dla mnie korzyść. Dla tego też przyjąłam wezwanie, chociaż w gruncie przykro mi było opuszczać Fenicyą i Dorotheą, które tak kochałam, jak tylko kobieta zdolna jest kochać inną. Pierwszą zostawiłam w Sewilli zajętą przetapianiem sreber nie bardzo zamożnego złoćnika, któremu przez możność podobało się aktorkę mieć kochanką. Zapomniałam ci powiedzieć, że wstępując do zawodu aktorskiego, przez fantazyą zmieniłam imię Laura, na Estella i pod tym ostatnim udałam się do Granady.

W Granadzie nie mniej szczęśliwie wystąpiłam jak w Sewilli, i wnet ujrzałam się otoczoną tłumem kochanków. Nie chcąc atoli sprzyjać żadnemu, jeżeli nie pod złotem godłem, zachowywałam więc względem nich skromność, która wszystkich odurzyła. Żeby wszakże nie zawieść się na postępowaniu, które do niczego nie prowadził, a które nawet niezgodne było z moją naturą, postanowiłam udarować względami młodego paucza z krwi mleszczańskiej, który ndawał paua, z urzędu, wykwiutnego stołu i pysznych powozów, gdy w tém poznałam markiza de Marialva. Ten pan portugalski podróżuje po Hiszpanii dla zaspokojenia swojej ciekawości i zatrzymał się w Granadzie. Przyszedł do teatru: ja nie występowałam w tym dniu. Przypatrywał się bacznie aktorkom i upodobał sobie jedną z nich. Zaraz nazajutrz poznał się z nią i już był gotów do układu, gdy ja pokazałam się na scenie. Widok mój i moje przymilanie się wykreśliły chorągiewkę; mój portugalczyk do mnie się przywiązał. Trzeba wyznać prawdę, że wiedząc, iż moja towarzyszka przypadła mu do gustu, nieoszczędzałam niczego aby go jej odbić i szczęściem dokazałam swojego. Wiem o tém że się gniewa na mnie, ale cóż tu poradzić. Powinnaby się zastanowić, że to rzecz u kobiet tak naturalna, iż najserdeczniejsze przyjaciółki najmniejszego w tym względzie nie robią sobie skrupułu.

ROZDZIAŁ VIII.

Jak granadyjscy aktorowie przyjęli Gil Blasa.

Kiedy Laura kończyła swoje opowiadanie, weszła do niej stara aktorka jej sąsiadka, aby ją zabrać z sobą na komedię. Ta szanowna bohaterka teatralna była wówczas najwłaściwszą do przedstawienia roli Meduzy. Moja siostra nie omieszczała przedstawić swojego braciuszka tój figurze starożytniej, w skutek tego długie oświadczenia grzeczności z jednej i drugiej strony.

Zostawiłem obiedwie, powiedziawszy wdowie ekonoma, że przyjdę do niej do teatru, skoro moje manatki zaniosę do margrabiego de Marialva, którego mieszkanie sama mi wskazała. Udałem się więc naprzód do mojego najętego pokoju i zaspokoivszy gospodynię przenieśliem się do wielkiego hotelu umeblowanego, w którym mieszkał mój nowy pan. We drzwiach spotkałem jego marszałka, na zapytanie, czybym nie był bratem dony Estelli, odpowiedziałam, że właśnie jestem nim. Witam więc pana, rzekł mi, margrabia de Marialva, u którego mam zaszczyt być marszałkiem pałacowym, rozkazał mi przyjąć go jak najprzychylniej. Przygotowano dla pana pokój, zaprowadzę go jeżeli łaska, aby mu wskazać drogę. Na najwyższym piętrze domu wpuścił mię do pokoju tak ciasnego, że łóżko wąskie, szafka i dwa stołki całe w nim miejsce zajmowały. To właśnie była moja komnata. Nie będzie tu panu bardzo przestrono, odezwał się mój przewodnik, ale natomiast zaręczam panu, że w Lizbonie będziesz miał pyszne pomieszkanie. Zamknąłem mój tobołek w szafie, schowałem klucz i zapytałem się o której godzinie bywa wieczera. Odpowiedziano mi, że pan portugalski niema u siebie kuchni i każdemu ze służących płaci pewną kwotę mieszącunle na żywność. Z kilku innych jeszcze pytań i odpowiedzi powziąłem przekonanie, że służący margrabiego były to szczęśliwe próżniaki. Po krótkiej rozmowie pożegnałem pana marszałka; wracając do Laury, snułem miłe marzenia o przyszłym szczęściu nowej służby mojej.

Skorom stanął u drzwi teatralnych i podałem się za brata Estelli, wszystko się przede mną rozwarło. Żebyście widzieli z jaką skwapliwością straż torowała mi drogę wszędzie, jak najznakomitszemu magnatowi Graudy. Wszyscy najemnicy, odbierający bilety i kontramarki, których spotkałem na drodze, najgłębsze składali mi pokłony. Lecz co szczególniej pragnąlbym odmalować, to najważniejsze przyjęcie, a razem najkomicznniejsze w sali, w której zastałem wszystkich aktorów już ubranych i gotowych do rozpoczęcia sztuki. Aktorowie i aktorki hurmem rzucili się do mnie, skoro mnie Estella przedstawiła. Mężczyźni mało mnie nie udusili swoimi uściskami, a następnle kobiety illuminowane swoje twarzyczki przyciskając do mojej, obłożyły ją rumieńcem i bieleńcem. Ponieważ żaden nie

chciał być ostatnim w wynurzeniu mi swoich uczuć, wszyscy więc razem mówili. Nie potrafiłbym odpowiadać wszystkim zarazem, lecz siostra przybyła mi na pomoc, a jej wprawny język tyle dokazał, że nikomu dłużnym nie zostałem.

Nie skończyło się na uściskach aktorów i aktorek, musiałem jeszcze wytrzymać oświadczenia grzeczności dekoratorów, basistów, snflera, objaśniacza i podobajśniacza świec, z resztą całej służby teatralnej, która na odgłos mojego przybycia zbiegła się, by mnie obejrzeć. Zdawałoby się że to są dzieci znalezione, które nigdy nie widziały brata.

Zaczęto sztukę; znajdujący się w sali panowie udali się na swoje miejsca dla słuchania komedyi, a ja pozostałem rozmawiając z aktorami nie należącymi do sztuki. Na jednego z nich zawołano Melchior. To imię uderzyło mnie. Zacząłem się przypatrywać osobie, do której należało i zdało mi się, że ją gdzieś widział. Wreszcie przypomniałem sobie owego Melchiora Zapata, biednego aktora prowincjonalnego, który, jako wyżej namieniłem, maczał skórki chleba w strumieniu.

Wziąłem go natychmiast na stronę i rzekłem: jeżeli się nie mylę, pan jesteś tym Melchiorem, z którym miałem szczęście jeść śniadanie nad brzegiem czystego strumienia między Valladolid i Segovią. Byłem wtedy z cyrulkim. Mieliśmy wówczas małe zapasy, które połączywszy odprawiliśmy skromną ucztę zaprawioną dowcipnemi powiastkami. Zapata po krótkim namyśle odpowiedział, mówisz mi o rzeczy, którą sobie bez trudności przypominam. Wówczas po pierwszem wystąpieniu w Madrycie wracalem do Zamory, pamiętam nawet, że wówczas bardzo krucho było koło mnie. I ja także przypominam sobie dobrze, żeś wtenczas miał kaftan podszyty afiszami teatralnemi. I tego także nie zapomniałem, żeś ubolewał nad zbytnią skromnością swojej żony. Oh, teraz wcale się na to nie skarżę, przerwał szybko Zapata. Dzięki Bogu, moja komoszka poprawiła się w tym względzie, i dla tego mój kaftan ma dziś lepszą podszewkę.

Zabierałem się wieszować mu rozsądku żony, gdy w tém przyszła kolęj na niego wystąpienia na scenę. Ciekawy poznać żonę jego, zapytałem się jednego z aktorów, który mi ją pokazał mówiąc: oto ją masz, jesto Narcissa najpiękniejsza z naszych aktorek po twojej siostrze. Domyślałem się, że to musi być też sama, którą polubił margrabia Marialva pierwój nim zobaczył swoje Estellę, a domysł mój był zupełnie prawdziwy. Po skończeniu sztuki odprowadziłem Laurę do jej mieszkania, gdzie widział kilku kucharzy zajętych przyrządzaniem wieczery. Możesz tu zjeść wieczere, mówiła mi. Tego nie zrobię wcale, odpowiedziałem, może margrabia zechce być sam z tobą. Oh, nie, rzekła, on tu przyjdzie z dwoma przyjaciółmi swoimi i jednym aktorem, od ciebie więc zależy zajęć miejsce szóstę. Ty wiesz, że u komedyantek sekretarze mają przywilej siadać do jednegoż stołu z panami. Prawda, odpowiedziałem, aleby to za prędko było stawać na stopie sekretarza ulubienca. Wypada pierwój, abym spełnił jakie polecenie poufne, aby zasłużyć na to miejsce zaszczytne. To mówiąc wyszedłem od Laury zmierzając do mojej garnkuchni, gdzie zamyślałem jeść codziennie, kiedy pan mój nie miał gospodarstwa.

ROZDZIAŁ IX.

Z jakim osobliwym człowiekiem, Gil Blas jadł wieczere.

W sali zastałem człowieka starego, który w ublorze szarym, jakoś na mnicha wyglądał, a siedząc w kącie, zjadał swoją wieczere. Przez ciekawość usiadłem naprzeciw niemu, przywitałem go bardzo grzecznie, on z podobną odpowiedzią uprzejmością. Zacząłem z wielkim apetytem sprzątać podaną mi potrawę, nie mówiąc ani słowa, ale raz po raz spoglądałem na owego człowieka, który oka ze mnie nie spuszczał. Zniecierpliwiony tą jego natężoną uwagą, odezwałem się doń w te słowa: Ojczy, czyśmy się przypadkiem nie widzieli gdzie dawniej? Przyglądasz mi się jako osobie nie zupełnie ci obcej. Na to on z powagą: jeżeli wzrok mój badawczy zwracam na ciebie, to dlatego, że w rysach twojej twarzy, wyczytuję zdumiewającą mnogość przygód najrozmaitszych. Jak widzę, rze-

kłem tonem szyderczym, wasza wielebność wdaje się w metoposcopia (1). Mógłbym się poszczepić, odpowiedział, że ja znam gruntuwie, i że przepowiedniom moim, czas fałszu nie zada; nie mniej biegły jestem w chiromancyi (2), i mogę zapewnić, że wróżba moja jest nieomylną, skoro badania twarzy stwierdzą na dłoni.

Lubo ten starzec miał pozór człowieka wcale rozsądnego, mnie się jednak wydał tak głupi, że nie mogłem się wstrzymać, i w oczy mu się rozśmiałem. Zamiast obrazić się moją niegrzecznością, on się uśmiechnął, a obejrzawszy się po sali dla przekonania się, czy nas kto nie podsłuchuje, odezwał się w te słowa: Nie dziwię się bynajmniej uprzedzeniu twojemu przeciw dwom umiętnościom, które dziś za błahe poczytują; ślęczenie długie i przykre, jakich one wymagają, zrażają wszystkich uczonych, którzy porzuciwszy je, wyszydzą przez złość, że ich nabyć nie potrafili. Mnie zaś nie odstręczyła gruba ciemność, która je otacza, ani mnie odstraszały tysiącne trudności, bezustannie napotykanne, w śledzeniu tajników chemii, w sztuce cudownej przemiany kruszców na złoto.

Lecz nie zastanowiłem się, mówił dalej, hamując się niejako, że prawie do człowieka, któremu w istocie wszystko to może się wydawać prostym marzeniem. Mała próbka mojej umiętności, lepiej może, nad to wszystko coby mógł powiedzieć, usposobi cię do korzystniejszego o mnie wyroku. Poczem wydobyl z kieszeni fiaszeczkę napełnioną jakimś płynem różowym, mówiąc: oto jest elixir, który dziś rano wydobylem z pewnych roślin, przez alembik przepędzonych; bo ja podobnie jak Demokryt, poświęciłem całe życie na śledzenie własności pierwiastków i minerałów. Zaraz doświadczysz jego mocy. Wino, które pijemy, jest bardzo złe, stanie się wnet wybornem. W tej chwili wpuścił dwie krople swojego elixiru w moją butelkę, a wino zamieniło się w najwysmienitsze, jakie tylko może się znaleźć w całej Hiszpanii.

Dziwy uderzają wyobraźnią, a skoro ta jest ujęta, rozsądek traci władzę. Zachwycony tak wybora tajemnicą, przekonany; że trzeba być czemś więcej jak szatanem, żeby jej dociec, niesiony podziwem, zawołałem: O mój ojczy, przebac mi łaskawie, żem zrazu uważał cię za starego głupca; teraz oddaję ci sprawiedliwość. Mnie potrzebuję więcej dowodów dla przekonania się, że skorobys zechciał, potrafiłbyś szynę żelaza przemienić natychmiast w sztabę złota. Jakżebym ja był szczęśliwy, znając tę umiętność. Niech cię Bóg zachowa, od jej nabycia! przerwał starzec z głębokim westchnieniem. Nie wiesz, mój synu, czego pragniesz. Zamiast zazdrościć mi, ubolewaj raczej nademną, żem tyle trudu poniósł, aby się zrobić nie-szczęśliwym. Jestem w bezustannej obawie, lękam się, aby mnie nie wykryto, i aby dożywotnie więzieniu, nie zostało nagrodą trudów moich. W tej trwodze, błędne włode życie, przebrany raz za księdza, drugi raz za mnicha, to znowu jako młody szlachcic lub wieśniak. Jestże więc jaka korzyść z umiętności roblenia złota za taką nagrodę? a skarby nie są istną męczaruną dla człowieka, który ich używać nie może spokojnie?

Ta mowa zdaje mi się bardzo rozsądna, rzekłem, nie masz nic nad spokojność. Nie chcę znać kamienia filozoficznego. Radbym tylko dowiedzieć się od ciebie, co mnie ma spotkać w przyszłości. Z wielką ochotą moje dziecię, odpowiedział, zbadałem już rysy twojej twarzy, zobaczmy teraz rękę. Przedstawiłem mu ją z ufnością, która mi nie największy zaszczyt zjedna w oczach niejednego czytelnika, który może na mojem miejscu toż samoby zrobił. Przypatrywał się jej z wielką uwagą, a potem odezwał się z uniesieniem: Ah! jakieżto przemiany smutku z radością, radości ze smutkiem! Co za dziwaczne poplątanie niedoli z pomyślnością! lecz już wielką część tych zmian losu przeżyłeś; już nie doznasz nieszczęśliwej, a pan jeden, zapewni ci błogie przeznaczenie, żadnym nie ulegające zmianom.

Zapewniwszy mnie, że mogę zaufać tej przepowiedni, pożegnał się ze mną, i wyszedł z garkuchni, zostawiając mnie zdumanego nad tem, com słyszał. Nie wątpiłem, że margrabia

de Marialva jest właśnie tym pauem, o którym mówił, dla tego wlec spełnienie przepowiedni zdało mi się bardzo możliwe. Ale choćym też najmniejszego w tem nie widział pozołu, to wszakże nie byłoby mnie wstrzymało od zawierzenia udanemu mnichowi, tak wielką nad umysłem moim zyskał powagę, przez swój elixir. Żeby atoll przyspieszyć szczęście przepowiedziane, postanowiłem służyć margrabiemu z większą jeszcze szczerością, niż któremukolwiek z moich dawniejszych panów. Takie powziawszy postanowienie, wraçałem do naszego hotelu z radością do wyrażenia niepodobną; żadna kobieta tyle zadowolona nie wychodziła nigdy od wróżki.

ROZDZIAŁ X.

O poleceniu daném Gil Blasowi przez margrabię de Marialva.

Margrabia nie powrócił jeszcze od swojej komedyantki, w pokojach zaś jego zastałem pokojowców czekających na niego, a tymczasem bawących się kartami. Zabrałem znajomość z nimi, i naśmieliśmy się do woli, aż do drugiej godziny po północy, kiedy pan przyszedł. Zdziwił się nieco, spostrzegłszy mnie, i z wielką łagodnością, z której miarkowałem, że był kontent z wieczoru, odezwał się do mnie: Jak to Gil Blasie, ty jeszcze nie śpisz? Odpowiedziałem, żem chciał pierw wiedzic, czy mi nie ma co do rozkazanja. Może będę miał, mówił mi, jutro rano jakie polecenie; ale dosyć będzie wtedy czasu do powiedzenia. Idź spać i pamiętaj, że cię uwalniam od wyczekiwania na mnie, ja tylko potrzebuje moich pokojowców.

Po takowem ostrzeżeniu, które w istocie bardzo mnie cieszyło, ponieważ oszczędzało mi uległości, może nie raz dość przykrej, zostawiłem margrabię w jego pokoju, a sam udałem się do mojej komórki. Położyłem się, a nie mogąc zasnąć wpadło mi do głowy iść za radą Pitagoresa, to jest rozpamiętywać wieczór cośmy przez dzień robili, aby się pochwalic z dobrych czynności, zganic za złe.

Nie czułem sumienia mojego zbyt czystem, abym miał być kontent z siebie, wyrzuciłem sobie żem poparł kłamstwo Lary. Dobrzeć to com mówił sobie tłumaczac się, żem nie mógł przyzwolicie zadać kłamstwa kobiecie, której jedynym celem było zrobic mi przyjemność, że poniekad zmuszony byłem do spółnicstwa w tym podstępnie; nie kontent wszakże z tego tłumaczenia odpowiadałem sobie, że nie należało posuwać szalbierstwa tak daleko, że trzeba mieć bardzo wytarte czoło, aby odważyć się mieszkać u pana, którego zaufanie tak haubnie zdradzałem. Wreszcie po ściślejsz rozwadze zgodziłem się sam z sobą, że jeżeli nie byłem oszustem, nie mi już do tego nie brakło.

Przechodząc potem do skutków, uważałem, żem wiele stawił na kartę, zwodząc znakomitego pana, który może za karę grzechów moich niedługo wykryje szalbierstwo. Tak sprawiedliwa uwaga przejęła niejaką trwogą mój umysł, ale miłe obrazy przyjemności i zysków szybko ją służyły. A prócz tego wróżba owego człowieka z elixirem potrafiła mnie zupełnie uspokoić. Zapuściłem się więc w kralną marzeń przyjemnych. Przy pomocy reguł arytmetycznych obliczałem ile też wypieście myto moje po dziesięciu latach służby. Dodawałem do tego łaskawe dary, jakich spodziwałem się od mojego pana, a mierząc je według szcudrobliwego humoru jego, czyli raczej według życzęń moich, wpadłem w przedrażnienie wyobraźni, jeżeli tak rzec mogę, które żadnej tamy szczęściu mojemu nie stawiało. Taki nawał dobra znużył mnie powoli, zasnąłem, budując zamki na lodzie.

Nazajutrz wstałem rano o ósmę godzinie spiesząc po rozkazy pana mojego, lecz otwierając drzwi zdumiałem się ujrzawszy go przed sobą w ubiorze rannym, był sam jeden. Gil Blasie, rzekł do mnie, wieczoraj wieczór opuszczając twoją siostrę, przyrzekłem jej, że dziś rano będę u niej, ale ważny interes nie pozwala mi dotrzymać słowa. Idź powiedz jej, że mi przykre to zdarzenie, ale zapewnij ją, że będę u niej na wieczery. Ale to nie wszystko, dodał, kładac mi w ręce worek i pudełko brylantami wysadzane, zanieś jej mój portret

(1) Metoposcopia z rysów twarzy odgadywanie skłonności duszy.

(2) Chiromancia wróżenie z ręki.

a dla siebie zatrzymaj ten worek z pięćdziesiątą ludorami, które ci ofiaruje na znak mojej przychylności. Jedną ręką ująłem portret, a drugą worek, na który wcale nie zasłużyłem. Pobległem uatychniać do Laury, mówiąc sobie w uniesieniu radości: „wybornie, przepowiednia spełnia się widocznie; jakżeż to szczęście być bratem siostry pięknej i zalotnej! szkoda tylko, że w tym nie ma tyle zaszczytu, ile zysku i przyjemności.”

Laura, wbrew zwyczajom kobiet swojego zawodu, miała zwyczaj wstawać rano. Zastałem ją ubierającą się, gdy oczekując swojego Portugalczyka wrodzone wdzięki krasnka pomocniczymi ponęty, jakich tylko sztuka zalotnicza użyć jej mogła. Miła Estello, odezwałem się wchodząc, maguście cudzoziemców, w tej chwili mógłbym już z panem zasiać do stołu, ponieważ zaszczylił mnie zleceniem nadającym do tego przywilej, a z którego przechodzę się wywiązać. Nie będzie miał przyjemności bawić się z tobą dziś rano, jak to zamierzył; żeby cię wszakże pocieszyć będzie dziś wieczór jadł z tobą wczoraj, przysłał ci przy tym swój portret, co zdaje mi się jest rzeczą bardziej jeszcze pocieszającą.

Oddałem jej pudełko, które blaskiem brylantów niezmiernie wzrok jej nacieszyło. Otworzyła je, a popatrzywszy przez chwilę na malowidło, jakby na dowód odebrania, zamknęła, a wracając do klejnotów wychwalała ich piękność i rzekła z uśmiechem: otóż to takie kopie dla pań teatralnych miłsze są daleko nad same oryginały.

Powiedziałem jej potem, że szlachetny portugalczyk, powierając mi portret, ofiarował mi także pięćdziesiąt ludorów. Wyszukując ci, rzekła, ten pan zaczyna od tego, na czem rzadko który kończy. Tobie to, moje bóstwo, wniemam ten dar, odezwałem się, margrabia bez wątpienia miał wzgląd na braciśka. Życzyłabym, odpowiedziała, żeby ci codzień toż samo ofiarował. Nie potrafił wyrazić ci, jak dalece jesteś mi drogim. Od pierwszego wejścia tak silnie przywiązałam się do ciebie, że czas nie miał dość mocy by rozerwać te węzły. Kiedyś cię utraciła w Madrycie, nie postradałam nadziei odzyskać cię kiedykolwiek; a wczoraj spostrzegłszy cię, przyjąłem jako człowieka, który do mnie wracał z konieczności. Słowem, mój przyjacielu, niebo przeznaczyło nas jedno dla drugiego. Ty będziesz moim mężem, ale pierwej muszę się zbogacić. Roztropność od tego zacząć nakazuje. Ja chcę jeszcze mieć trzech, lub czterech gachów, aby cię postawić na stopniu dobrego bytu.

Podziękowałem jej grzecznie za trudy, jakie dla mnie ponosić chciała, i z wolna wdawaliśmy się w gawędkę, która się przeciągnęła do południa. Wtedy oddaliśmy się by panu swojemu zdać sprawę z przyjęcia jego daru. Chociaż Laura nie mi w tym względzie nie powiedziała, ja przecież w drodze ułożyłem sobie piękną perorę, którą panu mojemu z jej strony miałem wypalić, ale nic z tego wszystkiego, bo gdy przybyłem do hotelu, powiedziano mi, że pan już wyszedł, a wyższe wyroki postanowiły, że go już więcej oglądać nie będę, jak to się okazało z następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ XI.

O nowinie, której się Gil Blas dowiedział.

Udałem się do mojej garnkuchni, gdzie zastawszy dwóch bardzo przyjemnych ludzi, zjadłem obiad i bawiłem się aż do chwili w której czas był udać się do teatru. Wtedy dopiero rozstaliśmy się, oni udali się do swoich zatrudnień, a ja prosto do teatru. Trzeba powiedzieć nawiasowo, że miałem powód być w najlepszym humorze, radość ożywiała rozmowę naszą, fortuna uśmiechała się do mnie, a przecież smutek jakiś ciążył na mnie, nim go mógł otrząsnąć. Niechże teraz mówią co chcą, że się nie przeczuwa swojego nieszczęścia.

Gdy wszedł do sali ogólnego zebrania, Melchior Zapata zbliżył się do mnie i po cichu prosił, abym się udał za nim. Zaprowadził mnie w ustronne miejsce i tak się do mnie odezwał: Panie, za obowiązek sobie poczytuję, dać ci ważne ostrzeżenie. Wiész o tym, że margrabia de Marialva polubił naprzód Narcissę, moją żonę, już nawet oznaczył godzinę w której miał

zajadać moję połędwicę, kiedy przebiegła Estella potrafiła skrzyżować całą rachubę. Pojmujesz zapewne, że aktorka nie wypuści takiego ptaszka bez żalu. Moja żona ma to na sercu i niczego nie zaniedba dla pomszczenia się, a na twoje nieszczęście bardzo dogodna nastroczyła się jej sposobność. Wczoraj, jak sobie zapewne przypominasz, wszyscy nasi najemnicy zbiegli się, by cię obejrzyć; podobajsznierz świec odezwał się do kilku osób z trupy, że cię poznał i że bynajmniej bratem Estelli nie jesteś.

Ta wieść, dodał Melchior, doszła dziś do uszu Narcissy, która nie zaniedbała wypytać się autora, który to potwierdził. Ten najemnik powiedział jej, że cię znał jako lokaja u Arsenil, u której Estella, pod imieniem Laury była pokojówką w Madrycie. Żona moja uradowana z tego odkrycia, chce o niem zawiadomić margrabiego de Marialva, który dziś wieczór ma być w teatrze. Jeżeli w rzeczy samój nie jesteś bratem Estelli, kieruj się według tego, radzę ci po przyjacielsku, przez wzgląd na dawną naszą znajomość, pamiętaj o własnem bezpieczeństwie. Narcissa jednę tylko pragnąc ofary pozwoliła mi uprzedzić cię, abyś szybką ucieczką uniknął przykrego spotkania.

Włęcząc dla mnie nie trzeba było. Podziękowałem kuglarzowi za to ostrzeżenie, który z pomieszczenia mego łatwo mógł wnosić, że nie jestem zdolny zaprzeczyć podobajsznierzowi świec, tak jak w istocie nie czułem w sobie chęci aż do tego stopnia posuwać bezczelność, nie brała mnie nawet pokusa pożegnania Laury, z obawy, aby mnie nie nakłoniła do zastawienia się zuchwalstwem. Przypuszczałem ja, że była nadto dobrą komedyantką, aby się nie mogła wydobyć z tak krytycznej pozycji, lecz dla siebie widziałem niechybną karę, a nie byłem tak rozkochany żeby się na nią narazić. O tym włęcz jedynie myślałem jakby się ocalić z molmi bogami domowemi i jest z mojami manatkami. W oka mgnienia wymknąłem się z teatru i jak nie kazalem przynieść mój tłumoczek do mułowodzcy, który nazajutrz o trzeciej rano miał udać się do Toledu. Pragnąłbym był podówczas być u hrabiego Polan, którego dom zdawał mi się jedynie bezpiecznem schronieniem. Ale na nieszczęście nie byłem w nim jeszcze, a cały drżałem wspomniawszy na czas, który przepędzić potrzeba w mieście, będąc narażonym na poszukiwania, może tej jeszcze nocy.

Nie opuściłem jednak wczorzy w moję garnkuchni, lubo tak byłem pomieszany, jak dłużnik wiedzący, że go tropią algazile. To co tego wieczora zjadłem, nie spodziewam się, aby miało być wielkim pożytkiem dla mego ciała. Nieszczęsna igraszka strachu, śledziłem wszystkich wchodzących do sali, a jeżeli trafem wstąpił jak człowiek podejrzany z wejścia, co w takich miejscach nie rzadko się zdarza, dreszcz mnie całego przebiegł. Wśród takiej niespokojności zjadłszy wczoraj, wróciłem czempredziej do mułowodzcy i rzuciłem się na posłanie ze świeżej słomy, czekając godziny odjazdu.

Pięknież to było przez ten czas ćwiczenie moję cierpliwości; tysiące myśli dręczących, obsaczyły mój umysł. Jeżeli się zdrzymał na chwilę, widziałem we śnie markiza zapionego ze złości, obkładającego sińcami piękną twarz Laury, łamiącego i tłukącego wszystkie u niej sprzęty, albo znowu słyshałem go wydającego rozkazy służalcem iżby mnie spod święt chłosty żywcem nie puścili. W skutek tego zrywałem się różnymi nogami, ale przebudzenie się tak przyjemne po strasznych marzeniach, dla mnie okropniejsze jeszcze było od samych marzeń.

Śczęściem przewodnik mułów wybawił mnie z tego udręczenia, zawiadamiając, że muły już gotowe. W mgnieniu oka byłem na nogach, i dzięki Bogu ruszyłem w drogę stanowczo wyleczony i z Laury i z chiromancy. W miarę oddalania się naszego od Granady, umysł mój odzyskiwał swoją spokojność. Rozpocząłem gawędkę z mułowodzczą, śmiałem się z zabawnych jego powlastek, i nieznaczenie pozbyłem się wszelkiej trwogi. Spałem wybornie w Ubeda, dokąd na pierwszy nocleg zdążyliśmy, a czwartego dnia już byłem w Toledo. Pierwszemu mojemu staraniem było wywiedzieć się o mieszkanie hrabiego Polan, przekonany będąc, iżby mi nie pozwolił mieszkać gdzie-

indziej tylko w swoim pałacu. Ale zawiódła mnie nadzieja. W pałacu zastałem tylko odźwiernego, który mi oświadczył, że pan jego wczoraj wyjechał do zamku Leyva, odebrawszy wiadomość o niebezpiecznej słabości Serafiny.

Aniśm pomyślił o nieobecności hrabiego, dla tego więc nie cieszyłem się z przybycia do Toledo i natychmiast inny wziąłem zamiar. Będąc tak blisko Madrytu, tam udać się postanowiłem. Pomyślałem sobie, że mogę się na coś wydźwignąć przy dworze, gdzie jak słyszałem wyższe zdolności niekoniecznie były potrzebne do posuwania się coraz wyżej. Zaraz nazajutrz korzystałem z powracającego konia, aby się dostać do stolicy Hiszpanii. Fortuna mnie tam wiodła, przeznaczając mi ważniejsze role, nad te, które dotąd odgrywałem.

ROZDZIAŁ XII.

Gil Blas zajmuje mieszkanie w hotelu umebłowanym. Zabiera znajomość z kapitanem Chinchilla.

Stanąwszy w Madrycie zaraz wprowadziłem się do hotelu umebłowanego, w którym między innymi osobami mieszkał także stary kapitan. Przybył on z ostatniego krańca nowej Kastylii starać się u dworu o pensję, aż nadto, jak mu się zdawało zasłużoną. Nazywał się don Annibal de Chinchilla. Na



Gil Blas wprowadzony do Senory Mencii.

plérwszy rzut oka postawa jego niemałe na mnie zrobiła wrażenie. Był to mężczyzna sześćdziesięcioletni, wzrostu olbrzymiego, nadzwyczaj chudy, potężne wąsy wijące się po obudwóch stronach wznosiły się w górę, sięgając aż do skroni. Nie miał jednego ramienia i jednej nogi, a miejsce jednego oka zastępował plaster szeroki z kitajki zielonej, twarz bliznami porośniętą; zresztą był tak jak inni. Miał wiele dowcipu, a więcej jeszcze powagi. Moralność posuwał aż do skrupułów, a pod względem honoru aż nadto był drażliwym.

Pomówiwszy ze mną kilka razy, zaszczycił mnie zupełnym swoim zaufaniem. Wnet dowiedziałem się o jego interesach. Opowiedział mi w jakiej rozprawie stracił oko w neapolitańskim, rękę w Lombardyi, a nogę w Niderlandach. Nadewszystko w opisach bitew i oblężeni do których należał, uderzało mnie, że mu się nie wymknął żaden rys samochwalczy, ani jeden wyraz na własną korzyść, lubo z największą chęcią byłbym mu przebaczył pochwałę pozostałej mu połowy, jako pe-

wne wynagrodzenie za drugą połowę utraconą. Nie jeden oficer wracający z wojny zdrów i cały, nie zachowuje tyle skromności.

Lecz co dlań najdotkliwsze było, jak mi powiadał, to, że na tych wyprawach stracił całe swoje, dość znaczne mienie, tak dalece, iż zaledwie mu pozostało sto dukatów rocznego dochodu, co zaledwie wystarczało na utrzymanie wásów, opłatę pomieszkania i kosztą przepisywania prósb. Bo mój panie, dodał przy tém, trzeba ci wiedzieć, że dzięki Bogu codzienną prośbę podaje na którą nie zwracają najmniejszej uwagi. Rzekłbyś żeś się założył z ministrem, kto się z nas dwóch piérwój znuży, czy ja pisząc podania, czy on odbierając. Mam także zaszczyt przedstawiać je czasami i wyżej, ale proboszcz tak śpiéwa jak jego wikaryusz; a tymczasem zamek mój chinchilla wali się, nie mogąc się doczekać naprawy.

Nie trzeba nigdy rozpaczać, mówiłem wtedy kapitanowi, nie tajno, panu zapewne, że na łaski wielkich panów długo czasem trzeba czekać; być może, iż pan jutro otrzymasz z lichwą nawet odpłatę za swoje trudy i przykrości. Nie powinienem tak błogiej oddawać się nadziei, mówił mi don Annibal. Ledwie będzie trzy dni temu, gdy rozmawiał z sekretarzem ministra i jeżeli mam wierzyć jego mowie, mogę sobie wesoło hulać.

Waleczny w niedoli obudza zawsze interes. Zachęcałem go do wytrwałości, ofiarowałem mu się nawet darmo przepisywać jego prósb. Posunąłem się nawet aż do ofiarowania mu mojej kassy, zaklinając go, aby z niej tyle brał piéntędzy, ileby chciał. Ale on nie należał do rzędu tych ludzi, którzy nie dadzą sobie dwa razy powtarzać w podobnym położeniu. On przeciwnie okazał się bardzo delikatnym w tym względzie, z pewną dumą podziękował za moją dobroć. Następnie powiedział mi, iż przyzwyczaił się do życia tak skromnego, że ładajaki posiłek wystarcza do jego utrzymania, aby tylko nie być ciężarem nikomu, co było aż nadto prawdziwe; żył bowiem tylko cębula i czosnkiem, i dla tego widać było w nim tylko skórę i kości. Żeby zaś nie mieć świadków swojej ucztę, zwykłe zamykał się w swoim pokoju, zasiadając do niej. Przecież prósbami mojemu uzyskałem od niego tyle, że przystał, iż razem będziemy obiadowali i wczeczali. Oszukując więc dumę jego za pomocą przebiegłego politowania, kazałem przynieść sobie mięsa i wina daleko więcej, niż sam byłem w stanie spożyć. Zachęcałem go do picia i jedzenia, z początku wzdygał się, w końcu uległ na moje prósb. Później ośmielony, pomagał mi z ochotą, do sprzątnięcia z talerzów, i wypróżniania butelki.

Kiedy już przewrócił trzy albo cztery szklanki, i żołądek swój pogodził z lepszą strawą, wtedy podochocony odezwał się do mnie: zaprawdę, panie Gil Blas, jesteś czarującym człowiekiem, wdzisz mnie za nos jak ci się podoba. Twoje obejście się ujmujące, nie pozwala mi nawet obawiać się uaduzycia twojej szczodrobliwości. Mój kapitan zdawał mi się wówczas, tak dalece wolnym od swojej wstydlivej dumy, że gdybym był chciał korzystać z chwili, i nastawać na przyjęcie mojej saktewki, byłby pewnie nie odmówił, ale nie sądziłem rzeczą stosowną, wystawiać go na nową próbę, poprzestałem więc na tém, żeś go zrobił moim stołownikiem, i zająłem się nie tylko przepisywaniem jego podań, ale nawet układaniem ich spólnie z nim. Przez ciągłe przepisywanie homilij na czysto, nabyłem wprawy w rozmaite zwroty wysłowienia; byłem niejakiem gatunkiem autora. Mój stary oficer ze swojej strony, chwalił się, że umie doskonale celować na piśmie. Tym sposobem pracując obadwa na wysięgi, układaliśmy krasomówcze podania, którychby się najsławniejszemu nauczycielowi retoryki w Salamance nie powstydzili. Lecz napróżno wytyżaliśmy nasze dowcipy, na upstrzenie naszych przedstawień kwiatkami retorycznymi, było to jak mówią, ziarno rzucone na płasek. Jakikolwiek obrot nadawaliśmy piśmom naszym, by wykazać ważność zasług don Annibala, minister nie zwracał na to uwagi, co nie bardzo zachęcało tego starego inwalidę do wielbienia oficerów, tracących swoje mienie na wojnie. W przystępie złego humoru, złorzeczył swojej gwiazdzie, przeklinał Neapol, Lombardya i Niderlandy.

Na domiar zgrzyoty zdarzyło się, że poeta jakiś przedstawiony przez księcia Alby, odczytał królowi wiersze na urodziny infantki, za które wynagrodzony został pięciuset dukatami rocznej pensji. Pewny byłem, że kapitan kaleka stracił zmysły, udało mi się jednak, choć nie bez trudu, uspokoić jego umysł. Cóż to jest? odezwałem się do niego, widząc go w takim ulesieniu; w tym nie ma nic osobliwego, coby cię miało tak dalece oburzać. Czyż poeci od najdawniejszych lat, nie są w posiadaniu przywileju, mieć księżęta hołdownikami swojej muzy? Nie ma władcy, któryby jakiegos z tych panów nie obdarzał pensją; a mówiąc między nami, ponieważ takie pensye, rzadko nadzwyczaj ukrywają się przed potomnością, tym sposobem uświęcają szczerobliwość panującego, gdy tymczasem inne są czysto stracone dla ich sławy. Ileż to August rozrzucił nagród, ile porozdawał pensyj, o których nie nie wiemy; ale najodleglejsza potomność, będzie wiedziała, tak jak my, że Wergiliusz, odebrał od niego przeszło dwa kroć stotysięcy talarów w darze.

Cała ta jednak mowa moja na nic się nie przydała; kapitan żadną miarą strawić nie mógł owocu sonnetu, i postanowił wszystko porzucić. Jednakże chcąc pierwój stawić resztę na kartę, umyślił jeszcze przedstawić prośbę księciu Lerma. W tym celu obadwa udaliśmy się do pierwszego ministra. Spotkaliśmy tam młodego człowieka, który przywitawszy kapitana, odezwał się do niego z pewną czułością: Kochany panie mój dawny, i ciebież ja tu widzę? jakiż interes cię sprowadza do jego wysokości? Jeżelibyś potrzebował osoby mającej wpływy, nie pomijaj mnie; ofiaruję ci moje usługi. Jak to, Pedrillo, odpowiedział officer, wnosząc z twojej mowy, zdawałoby się, że jakieś ważne miejsce zajmujesz w tym pałacu? Na to młody człowiek rzekł, przynajmniej tyle mam władzy, aby przysłużyć się, tak uczciwemu jak pan *hidalgo*. Kiedy tak, mówił kapitan z uśmiechem, uciekam się pod twoją opiekę. Gotów jestem do niej, odrzekł Pedrillo. Powiedz mi tylko, o co rzecz idzie, a przyrzekam ci, że będziesz miał w ręku ministra.

Tylko cośmy objaśnili w naszej sprawie tego młodzieńca, gdy tenże spytał się o mieszkanie don Annibala, a zapewniwszy nas, że nazajutrz da nam odpowiedź, zniknął nie powiedziawszy co myśli robić, ani nawet czy był służącym księcia Lermy. Ciekawy byłem coby to był za jeden ten Pedrillo, który mi się zdał być tak bystrym. Jestto chłopak, który przed kilką laty służył u mnie, rzekł kapitan, a ujrzawszy mnie w niedostatku, opuścił moją służbę, szukając lepszego miejsca. Wcale nie mam mu tego za złe, rzecz bardzo naturalna zmieniać służbę, aby mieć lepszą. Jest to hultaj nie bez dowcipu, a taki matacz jak stary djabeł. Lecz mimo całą jego przebiegłość, nie wiele ja ufam gorliwości dla mnie objawionej. Ha, może też i będzie użytecznym, rzekłem na to. Gdyby na przykład służył u jakiegoś urzędnika księcia Lermy, mógłby się łatwo przysłużyć.

Nazajutrz rano przybył do naszego hotelu Pedrillo. Panowie, odezwał się, jeżeli wczoraj nie objawiłem wam środków jakich użyć zamysliłem na usługi kapitana Chinchilla, to dlatego, że nie byliśmy w miejscu dogodnym do tego zwłoczenia się. Prócz tego chciałem pierwój zbadać grunt, ułbym wam myśl moją objawił. Wiédźcież teraz, że jestem lokajem poufnym don Rodryga de Calderone, pierwszego sekretarza księcia Lermy. Pan mój bardzo zalotny, prawie co wieczór bawi u aragońskiego słowika, którego trzyma w klatce w eyrkułe zamkowym. Jestto młoda i jedna z najpiękniejszych panien Albarazinu. Ma wiele dowcipu, a śpięwa do zachwycenia, dla tego też zowie się senora Sirena. Że zaś co rano przynoszę jej słodki bilecik, dziś więc byłem u niej. Podałem jej myśl, aby pana don Annibala udała za swojego wuja i z tego tytułu zobowiązała swojego gacha do opiekowania się nim, chce się tego podjąć. Prócz małego zysku na jaki dybie, uczeszy się, że ją uważać będą za siostrzenicę walecznego szlachcica.

Pan de Chinchilla skrzywił się na tę mowę. Objawił wstręt do uczestnictwa w takowem szalbierstwie, a jeszcze mu przykrzej było zezwolić, aby taka awanturka miała hańbić jego

rodzinę. To go zrażało nie tylko co do jego osoby, lecz widział w tym plamę wstecz na jego przodków spadającą. Ta delikatność zdała się Pedrillo wcale nie na swoim miejscu, dziwił się jej mocno. Czy pan żartujesz sobie, zawołał, nie chcąc go z tej strony zażyć? Patrzcie, jacyście wy to panowie szlachta zagrodowa! śmieszna nadętość! Panie kawalerze, odezwał się zwracając mowę do mnie, nie dziwiąż cię takie skrupuły?

Pochwaliłem słowa Pedrillo i takeśmy obadwa zachęcali kapitana, iż na końcu chcąc nie chcąc, został wujem senory Sireny. Odułósłszy taki tryumf nad jego dumą, co nie było tak łatwe, zabraliśmy się wszyscy trzej do układu podania do pierwszego ministra, któreśmy przejeździ, pomnożyli, poprawili. Ja przepisałem na czysto, a Pedrillo zanosił je do pięknej Aragonki, ta zaś ze swojej strony tegoż jeszcze wieczora wręczyła panu don Rodrigowi, do którego tak zręcznie przemówić umiała, iż pan sekretarz pewnym będąc, że jest rzeczywiście siostrzenicą kapitana, przyrzekł wdać się za nim. W kilka dni mieliśmy skutek naszego wybitgu. Pedrillo przybył do naszego hotelu z miną tryumfującą. Wyborna nowina! odezwał się do Chinchilla. Król rozdawać będzie komandorye, beneficia i pensye i o panu nie zapomni: o czém kazano mi pana zapewnić. Ale zarazem mam polecenie zapytać się jaki też podarunek myślisz pan ofiarować Syrenie. Ja oświadczam panu, że dla siebie nie nie chcę, nad wszystko złoto przenoszę tę rozkosz, żem się



Książę hiszpański u Cataliny.

przyczynił do poprawy losu mojego dawnego pana. Iuna rzecz wcale z naszą nimfą Albarazińską, ona zakrawa trochę na żydówkę gdy idzie o przysługę bliźniemu: to już jej taka mała wada, onaby od własnego ojca wyciągnęła pieniądze; miałażby odrzucić od muiemanego wujaszka!

Niech tylko powie czego żąda ode mnie, rzekł don Annibal; jeżeli chce trzecią część spodziwanej pensji odbierać corocznie, z chęcią jej zapewnię, a to powinno być dla niej wystarczyc, wtedy nawet gdyby szło o wszystkie dochody korony hiszpańskiej. Ja ufałbym stanowczo słowu pańskiemu, odpowiedział Merkury don Rodryga: ja wiem o tem, że to ważna gra, ale tu rzecz jest z osobką z natury nieufną. Prócz tego ona woli odebrać na raz za wszystkie czasy, naprzykład dwie trzecie w brzęczącej monecie. Tam do djabeł! a zkądże je wezmę? przerwał porywczó kapitan, czy myśli że ja jestem *Contador-Mayor*? Musiałeś jej nie objaśnić względem terażniejszego mojego położenia. Przepraszam, rzekł Pedrillo, ona wie, że pan jesteś uboższy od Joba; ale nie troszcz się pan, ja jestem człowiek płodny w wynalazki. Znam ja starego łotra lichwiarza, który się bawi pożyczaniem pieniędzy na dziesięć procent od sta. Pan mu zezna przed pisarzem aktowym zapewnienie wypłaty z pierwszego zaraz roku pobłeranęj pensji, pokwitujesz

z wypłaty summy jaką rzeczywiście odbierzesz z potrąceniem procentu. Co się tyczy rękojmi, lichwiarz poprzestanie na zamku Chinchilla, tak jak on jest obecnie, w tym względzie niema najmniejszego sporu.

Kapitan zaręczył, że przyjmie z chęcią warunek, byleby został uczestnikiem łask, które miały być nazajutrz szafowane. Co też właśnie nastąpiło. Otrzymał trzysta ludorów w przekazie na kommandoryą. Skoro się o tём dowiedział, wystawił natychmiast żądane zapewnienia, załatwił drobne interesa i wrócił do Kastylji nowój z kilką pozostałymi ludorami.

ROZDZIAŁ XIII.

Gil Blas spotyka u dworu swojego ukochanego Fabrycego, ciekawa z nim rozmowa.

Przyzwyczajłem się chodzić codziennie do pałacu królewskiego, przepędzałem w nim po dwie i trzy godziny, przypatrując się wchodzącym i wychodzącym panom, którzy zdało mi się, nie takim jak gdzie indziej, otoczeni byli blaskiem.

Pewnego dnia, gdy napaszysto przechodził się po salach, robiąc jak wielu innych dość głupią minę, spostrzegłem Fabrycego, któremu opuścił był w Valladolid, w służbie u administratora szpitala. Lecz zdumiałem się, widząc go poufale rozmawiającego z księciem Medina Sidoua i margrabią de Sainte-Croix. Obadwa ci panowie, jak uważałem, z przyjemnością go słuchali. Przy tём wszystkiem, ubrany był tak czysto i porządnie, jak młody szlachcic.

Czy mnie oczy zwodzą? mówiłem sam sobie, czy tёż to istotnie jest syn balwierza Nunez? Może to jakiś młody dworak, podobny do niego. Nie długo atoli trwało moje powątpiewanie, panowie oddalili się, a ja przystąpiłem do Fabrycego. Poznał mnie natychmiast, podał mi rękę, i przeciskając się przez tłum, wyprowadził z sali. Mój kochany Gil Blase, rzekł ściskając mnie serdecznie, jakże się cieszę, że cię znowu oglądam. Cóż ty robisz w Madrycie? czy jeszcze służysz? czy masz jakie miejsce przy dworze? w jakim stanie są twoje interesa? Opowiedz mi swoje przygody, jakie cię spotkać mogły po nagłem oddaleniu się z Valladolid. O zbyt wiele rzeczy zarazem pytasz się, a tu nie miejsce do opowiadania przygód. Prawda, odpowiedział, swobodniejsi będziemy u mnie. Pójdź ze mną, to zład nie daleko. Jestem swobodny, mieszkam wygodnie, mam przyzwyczajenie do swobody, żyję content, jestem szczęśliwy, bo zdaje mi się, że nim jestem.

Przyjąłem wezwanie, i za przewodnictwem Fabrycego stanąłem przed domem bardzo pięknym z pozor, w którym miał mieszkanie. Przeszliśmy podwórze, z którego po jednej stronie były wielkie schody prowadzące do wspaniałych pokojów, z drugiej strony wązkie i ciasne schodki, po których wgramoliliśmy się do zachwalonego pomieszczenia. Składało się ono z jednej izby, ale przemyślny mój przyjaciel, zrobił z niej cztery pokójki za pomocą przepierzeń z deseczek jodłowych. Pierwszy służył za przedpokój do drugiego, w którym sypiał; z trzeciego zrobił sobie gabinet, a czwarty zamienił na kuchnię. Pokój i przedpokój wybiły był kartami geograficznymi i mnóstwem filozoficznych *theses*, ruchomości zaś odpowiadały obiciom. Było to łóżko pokryte podszarzonym dobrze brokartem, stare krzesła szarżą żółtą i dokoła frauzlę takiegoż koloru z jedwabiu granadyjskiego obite, stół ze złożonemi nogami pokryty skórą, która zdaje się była kiedyś czerwona, obity galonem złoto-szybowym, przez wiek czerniałym i szafka hebanowa, przyozdobiona niezgrabną snycerską robotą. W gabinecie zamiast biura, stał mały stolik, biblioteka zaś składała się z kilku ksiąg i zwłoków papieru rozłożonych na policach, wzdłuż ściany stopniami rozciągniętych. Kuchnia symetrycznie odpowiadała reszcie, było w niej kilka garuków, i trochę niezbędnych sprzętów.

Fabrycy zostawiwszy mi czas do obejrzenia swojego apartamentu, rzekł do mnie: I cóż ty myślisz o mojem gospodarstwie i o mojem mieszkaniu? czyż cię to wszystko nie zachwyca? Oczywiście, odpowiedziałem uśmiechając się. Masz nie złe robić interesa w Madrycie, kiedyś się tak dobrze opatrzył.

Trudnisz się zapewne jakimi zleceniami? Boże mnie zachowaj, rzekł, powołanie, któremu się czeplił, jest wyższe nad wszystkie urzędy. Znacomity pan, właściciel tego pałacu, dał mi w nim izbę, z której zrobiłem cztery pokoje i urządziłem jak widzisz. Zajmuję się pracą, która mnie bawi, i nie znam niedostatku. Mówże jaśniej, zawołałem, drażniesz tylko ciekawość moją, pragnę dowiedzieć się co robisz. Otóż dobrze, zaspokoję cię, rzekł, zostałem autorem, rzuciłem się na pole dowcipu; piszę wierszem i prozą, i jak widzisz porastam w piérze.

Ty, ulubieńcem Apollina! zawołałem śmiejąc się, tegobym się nigdy nie domyślił; mniéj bym się dziwił, widząc cię czémkolwiek innym. Jakież przyjemności mogłeś upatrzeć w powołaniu poetów. Zdaje mi się, że ci ludzie nie mają kawałka chleba. Eh, zawołał on z kolei, prawisz mi o tych nędznych autorach, których dzieła odrazą przejmują księgarzy i komedyantów. Cóż więc dziwne, że podobnego rodzaju pisarze nie znajdują szacunku? Ale za to, dobrzy, na lepszej żyją stopie w świecie, a ja nie chwalać się, do nich należę. Nie wątpię o tём, rzekłem, ty jesteś chłopiec z wielkim dowcipem, co napiszesz, to musi być dobre. Tego tylko pojąć nie mogę, jakim sposobem znał pisarski mózg cię opanować, zdaje mi się, że to jest godne mojej ciekawości.

Bardzo sprawiedliwe jest twoje podziwienie, odpowiedział Nunez. Tak byłem zadowolony z mojego miejsca u pana Manuela Ordouez, że nie pragnąłem nic lepszego. Ale umysł mój wznosił się powoli, jak planeta, ponad sferę służalstwa: ułożyłem komedią, którą przedstawili aktorowie bawiący podówczas w Valladolid. Choć w istocie nie była warta, zyskała jednak nadzwyczajne powodzenie. Wniósłem z tego, że publiczność jest wyborna krówką, którą wygodnie dotić można. Takowa uwaga połączona z zapalem do robleńia nowych komedyj, odstręczyła mnie zupełnie od szpitala. Zamilowane w poezji, ostudziło we mnie żądę bogactw. Postanowiłem udać się do Madrytu, jako głównego ogniska oświaty, aby tём łatwiej wykształcić gust i wrodzone zdolności. Prosiłem administratora o uwolnienie, które mi z wielkim żalem udzielił, tak był do mnie przywiązany. Fabrycy, mówił mi, dla czegoż chcesz mnie opuszczać? czy czasem mimo woli, nie dałem ci powodu do nieukontentowania? Nie, panie, odpowiedziałem mu, ty jesteś najlepszym z panów, dobrodziejstw twoich nigdy nie zapomnę, ale wiesz, że każdy musi zdążyć za swoją gwiazdą. Czuję w sobie przeznaczenie do uwiecznienia imienia mojego, dziełami dowcipu. Co za głupstwo! odpowiedział pocztliwy mieszczanin. Już się obeznał w szpitalu, nabyłeś wprawę, która toruje drogę na ekonomia, a niekiedy nawet, na administratora. Opuszczasz to, co grunt rzeczy stanowi, by się zajmować błazeństwem. Tём gorzej dla ciebie moje dziecko.

Administrator widząc, że próżna walka z moim uporem, wypłacił mi zasługi i ofiarował w darze pięćdziesiąt dukatów jako wynagrodzenie mojej gorliwości. Tak więc z temi pieniędźmi i z obrywkami drobnych sprawunków, jakie polecano mojej nieskazitelności, byłem w stanie, przybywszy do Madrytu, wystąpić porządnie, chociaż pisarze nasi nie mogą się pochłubić czystością i porządkiem. Wnet zabrałem znajomość z Lope de Vega Carpio, Miguel Cervantes de Saavedra i wielą innymi znakomitymi autorami, ale przenosząc nad tych wielkich męzów młodego bakałarza z Korduby, niezrównanego don Ludwika de Gongora; najwznieślijszy gieniusz, jaki tylko Hiszpania wydała, obrałem go za swojego mistrza i za wzór do naśladowania. Nie chce on dzieł swoich drukować za życia, czyta je tylko swoim przyjacielom. Lecz co w nim jest osobliwszego, to że natura obdarzyła go talentem do wszelkich rodzajów poezji. Celuje atoli w rodzaju satyrycznym i to jest jego strona najsiłniejsza. Nie jest to, jak Lucylusz, potok mętnej wody masę błocka toczący, lecz jak wspaniała Tag, którego kryształowe wody po złotym płyną piasku.

Wyborny przedstawiasz mi obraz młodego bakałarza, odezwałem się do Fabrycego, nie wątpię przeto aby mąż tak wy-

sokich talentów nie miał obudzić zawistnych. Wszyscy autorowie żł i dobrzy powstają przeciw niemu odpowiedział mi. Lubi nadętość, mówi jeden, ostre dowcipy, zuchwałe przenośnie i przekładnie. Wiersze jego, mówi drugi, są tak ciemne, jak owe, które salijscy kapłani przy swoich obrzędach śpiewali, a których nikt nie rozumiał. Są nawet, którzy mu zarzucają, że raz pisze sonety, drugi raz ballady, to znowu komedye, to tryolety i epigramata, jak gdyby zawiał się w swoim nierozsądku przyćmić wszystkich naszych najlepszych pisarzy we wszelkich rodzajach składni. Ale pociski zazdrości nie czepiają się wcale muzy ulubionej od panów i pospółstwa.

Pod takim to wielkim mistrzem kształcę się i nie chwając się, mogę powiedzieć, że postępuję widocznie. Tak dobrze przejąłem jego dowcip, że piszę rzeczy abstrakcyjne tak, iżby się ich sam mistrz nie zapierał. Wstępując w jego ślady rozkładam swój towar po wielkich domach, gdzie mnie wyborule przyjmują, mam zaś do czynienia z ludźmi nie bardzo wybredniami. Prawda że deklamacja moja jest ujmująca, co wcale nie szkodzi moim utworom. Cieszę się przychylnością kilku panów, a z księciem Medina Sidonia żyję jak niegdyś Horacy z Mecenasem. Otóż widzisz takim sposobem przedzierzgałem się w poetę. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Teraz Gil Blasie na ciebie kolej opiewać twoje przygody.

Zabrałem więc głos i pomijając drobne okoliczności, opowiedziałem mu czego żądał. Nastąpiło zatem pytanie o obiedzie. Fabrycy wydobył z hebanowej szafki serwety, chleb, resztę łopatki baranięj i butelkę wysmienitego wina. Zasiadliśmy ohocho do stołu, jak dwaj ukontentowani przyjaciele po długim niewidzeniu się. Otóż to, rzekł, życie swobodne i niezależne. Gdybym chciał iść za przykładem moich współtowarzyszów, mógłbym codziennie zjadać obiady u wielkich panów; ale zamknięcie w pracy zatrzymuje mnie często w domu, a obok tego jestem małym Arystypem. Dla mnie wszystko jedno, żyć z wielkimi panami, albo na ustroniu, zjadać smaczne obiady, lub poprzestać na kawałku chleba.

Wino, tak nam smakowało, że musiał z szafki drugą wyciągnąć butelkę. Przy wetach oświadczyłem mu, iż radbym był słyszeć co z jego plodów literackich. Zaraz wydobył z pośród papierów swoich jeden sonnet, który mi odczytał tonem napuszystym. Jedaakże mimo cały urok deklamacji, rzecz zdała mi się tak ciemna, że nie rozumiał. Spostrzegł to Fabrycy. Ten sonnet, mówił mi, nie zdaje ci się zapewne dosyć jasny, nie prawdaż? Przyznałem mu się, iż pragnąłbym w nim widzieć więcej wyrazistości. Zaczął się śmiać ze mnie. Jeżeli ten sonnet, rzekł, jest niezrozumiały, tém lepiej mój przyjacielu. Sonety, ody i inne dzieła tego rodzaju wymagające szczytności, nie cierpią naturalności i prostoty, ciemność stanowi ich całą wartość, dosyć jeżeli samemu poecie zdaje się, że je pojmuje. Ty drwisz ze mnie, odpowiedziałem. Każdy rodzaj poezji wymaga jasności i zdrowego rozsądku, a jeżeli twój niezrównany Gongora niepisze jaśniej od ciebie, przyznam ci się żebym o nim wcale inne miał mniemanie. Byłby to poeta, który najwięcej jeżeliby swój wiek omamić potrafił. Teraz zobaczmy twoją prozę.

Nunez przedstawił mi przemowę, którą, jak mówił, miał umieścić na czelu zbioru swoich komedji już w druku będących. Następnie zapytał się mnie o zdanie. Twoja proza, rzekłem, nie więcej mi się podobała jak wiersze. Twój sonnet jest napuszystą gmatwaniną; a w przedmowie są wyrażenia wyszukiwane, wyrazy nie mające na sobie cechy powszechnego użycia, pomysły strasznie powikłane. Słowem styl twój jest dziwaczny. Dzieła naszych wyborynych dawnych autorów nie tak są pisane. Błędny niekuł zawołał Fabrycy, ty nie wiesz, że każdy prozalista który dziś zdąży do sławy wykwinętego pisania, sili się na to dziwactwo stylu, na te wyrażenia poprzekręcane, które cię tak rażą. Jest nas pięciu, czy sześciu wznowicieli, którzyśmy się uwzięli zmienić język z białego na czarne, i przy łasce bożkiej dojdziemy do celu na przekorę Vegi i Cervantesa, i wszystkich pięknych talentów, które drwią z naszego nowego sposobu mówienia. Wspiera nas mnoga li-

czba znakomitych stronników, do naszej kabały wciągnęliśmy nawet teologów.

Zresztą, mówił dalej, nasz zamiar jest chwalebny, mówiąc bez uprzedzenia, włączę przecie warcy jesteście anżeli ci pisarze, którzy wyrażają się naturalnie, jak motłoch pospółty. Nie pojmuje wcale, dlaczego ich szacuje wielu z pośród uczelnych ludzi. To było wyborne w Atenach i w Rzymie gdzie wszyscy byli pomieszani, dla tego też Sokrates słusznie powiedział Alecybiadesowi, że lud jest wyborynym mistrzem mowy; ale w Madrycie mamy dobry i zły zwyczaj, a nasze dworaki inaczej się wyrażają niż mieszczanie. Możesz mi wierzyć. W końcu nasz styl nowy przeważa naszych przeciwników. Jednym rysem tylko chcę ci dać uczuć całą szlachetność naszego wystowienia, w porównaniu z ich płaskością. Oniby naprzykład powiedzieli po prostu: *ustępy między scenowe zdobią komedya*, a my to wyrażamy daleko piękniej, *ustępy między scenowe tworzą ozdobę komedji*. Zważ tylko dobrze to *tworzą ozdobę*. Czujeszże w tém cały wdźwięk, całą wytworność, całe przymilenie?

Przerwałem mojemu wznowicielowi parsknąwszy śmiechem. Daj pokój Fabrycy, rzekłem, ty jesteś dziwakiem z twoim wykwinętym językiem. A ty, odpowiedział mi, jesteś głupcem z twoją mową naturalną. *Idź*, mówił dalej stosując wyrazy arcybiskupa Granady, *idź do mojego podskarbiego, niech ci wyliczy sto dukatów, niech cię Bóg prowadzi z tą sumną. Bądź zdrów, panie Gil Blas, żyć cię nieco więcej gustu*. Na ten dowcip zacząłem się śmiać na nowo, a Fabrycy przebacząc mi to nieuczynanie dzieł jego, nie stracił nic ze swojej wesołości. Dokończyliśmy drugą butelkę, wstałiśmy od stołu obadwa nie źle uraczeni. Wyszliśmy, żeby się przejść po Prado, ale mijając drzwi szynkarza likworow, wzięła nas ochota wstąpić do niego.

Zbięrało się w tém miejscu pospolicie dobre towarzystwo. Widziałem w dwóch salach oddzielnych młodych panów bawiących się w rozmaity sposób. W jednej grano w karty i w szachy, w drugiej kilkanaście osób bacznie nadstawiało echo na dysputę dwóch uczonych z powołania. Nie potrzebowałiśmy się zbliżyć do nich, by słyszeć, że metafizyczne zadanie było przedmiotem ich rozprawy, z takim bowiem zapalem i entuzjazmem mówili, że wyraźną mieli postać opętanych. Wystawiam sobie, że gdyby im podstawiono pod nos pierścień Eleazara, ujrzanoby niezawodnie biesów wyskakujących ich nozdrzami. Ha! mój Boże, odezwałem się do towarzysza, jakaż to zapalczywość! jak silne piersi! Ci ludzie zrodzeni na wożnych. Większa część ludzi chybia swojego powołania. W istocie, odpowiedział, ci ludzie są zapewne z rodu Novlusa, owego bawłiera rzymskiego, którego głos zagłuszał turkot powozów. Lecz dodał dalej, co mnie najwięcej odstręcza od ich mowy, to, że bezkorzystnie trapią uszy. Oddaliliśmy się od tych metafizyków hałaśliwych, a tym sposobem zapobiegłem migrenie, która mnie już nagabać poczęła. Zajęliśmy więc miejsce w kącie innej sali, gdzie pijąc orzeźwiający napoje mogliśmy wygodnie uważać panów wchodzących i wychodzących. Nunez znał ich prawie wszystkich. Dzięki Bogu! zawołał, dysputa naszych filozofów nie skończy się tak prędko, oto świeża czereda nadciąga. Ci trzej panowie wchodzący zapewne wmlaszają się do rozpraw. Ale uważasz ty te dwa oryginały wychodzące? Ten malutki, ogorzały, suchy, któremu włosy długie, płasko zczesane, w różnych częściach spadają naprzód i na tył, nazywa się don Julian de Villanuo. Jestto młody elegant zakrawający na państwa. Pewnego dnia byłem u niego z moim przyjacielem na obiedzie. Zdybaliśmy go na dość zabawném zatrudnieniu. Bawił się w swoim gabinecie rzucając i każąc podawać sobie wyłowowi potężny worek z papierami processu, w którym był sprawozdawca, a które ten zębami w sztuki szarpał. Towarzyszacy mu licencyat z twarzą karmazynową, nazywa się Cherubin Tonto, najnieodolniejszy z ludzi, jednakże z młoty uśmiechającej się i dowcipnej przyznałbyś mu wysoki talent. Wzrok ma bystry, uśmiech chytry i złośliwy. Rzekłbyś że on głęboko myśli. Czyta mu kto dzieło subtelne, on słucha z uwagą, którą

byś poczytał za wielce rozsądną, a przecież on nic nie rozumie. On był razem na uczcie u owego eleganta. Powiedziano tam wiele bardzo pięknych rzeczy, mnóstwo dowcipnych wyrażań. Don Cherubin nie rzekł ani słowa, ale potakiwał z wykrzywieniem twarzy, które objawiało myśl jego, iż był zdolnym na coś lepszego się zdobyć.

Znasz ty, szepnąłem Nunesowi, tych dwóch rozczochranych, co to łokciami wsparci na stole, po cichu z sobą rozmawiają? Nie, odpowiedział, to nie znane mi twarze. Ale według wszelkiego podobieństwa do prawdy, są to politycy szynkasowi, poprawiający rząd. Uważajno tego zgrabnego młodzieńca, co to przechodzi się po sali gwiżdżąc, kiedy niekiedy przystaje, bujając się raz na jednej, drugi raz na drugiej nodze. To jest don Augustyn Morato, młody poeta, nie bez talentu wprawdzie, ale pochlebcy i nuteki zawrócili mu głowę. Człowiek do którego zbliża się jak widzisz, jest jednym z jego spółbraci, piszący prozą rymowaną, którego także Diana ugodziła.

Zuownu autorowie! zawołał, wskazując na dwóch ludzi, przy szpadach, świeżo przybywających. A to prawdziwie zdaje się, jakby się wszyscy zmówili, sławić się przed tobą na przegląd. Widzisz oto don Bernarda Deslengando i don Sebastjana de Villa Viciosa. Pierwszy, jest to autor pełen żółci, zrodzony pod gwiazdą Saturna, autor złośliwy, nienawidzący wszystkich, i nawzajem zutenawidzony od wszystkich. Co się tyczy don Sebastjana, jest to chłopiec poczciwy, autor, który nie chce nic mieć na sumieniu. Nie dawno dał na scenę jedną sztukę, która miała nadzwyczajne powodzenie, teraz ją każe drukować, aby nie nadużywać dłużej szacunku publicznego.

Młosierny wychowanec Gongory zabić się do dalszego objaśnienia figur przesuwającego się przed oczyma naszymi, gdy dworzant księcia Medina Sidonia przerwał mu, mówiąc: Panie don Fabricio, szukałem cię z zawiadomieniem, że książę mój pan, życzy sobie z nim mówić. Czeka na pana w pałacu swoim. Nunes wiedząc dobrze, iż nigdy nadto spieszne nie można zaspokoić wielkiego pana, żądającego czegoś, opuścił mnie natychmiast, i udał się do swojego Mecenasu. Ja pozostałem zdumiony, słysząc go tytułowanym *don*, a tym sposobem uszlachconym na przekorę Chryzostoma mistrza balwiera, jego ojca.

ROZDZIAŁ XIV.

Fabrycy umieszcza Gil Blasa u hrabiego Galiano, sycylijskiego pana.

Pragnąłem mocno widzieć się z Fabrycym, dla tego nazajutrz rano, poszedłem do niego. Wchodząc odezwał się: Mam honor oświadczyć dzień dobry panu don Fabricio; witam kwiat, albo raczej pleczarkę szlachty Asturyjskiej. Na te słowa zaczął się śmiać. Uważałeś więc, że mnie tytułowano *don*? rzekł do mnie. Tak jest, mój szlachcicu, odpowiedziałem, i pozwolił sobie nadmienić, że wczoraj opowiadając mi swoje przeobrażenia, zapomniałeś o najważniejszym. Prawda, odpowiedział, ale w gruncie rzeczy, jeżeli przyjął ten tytuł zaszczytny, to nie dla zaspokojenia mojej próżności, jako raczej dla zastosowania się do próżności cudzej. Ty znasz Hiszpanów; u nich nie ma znaczy ucziwy człowiek, jeżeli nie szczęściem, nie ma majątku i rodu.

Ale przejdźmy do czego innego, dodał zaraz, wczoraj na wieczery u księcia Medina Sidonia, między innymi gośćmi, był hrabia Galiano, magnat Sycylijski, rozmowa padła na śmieszne skutki miłości własnej. Uradowany, że będę miał czem rozweścić towarzystwo, uraczyłem wszystkich historią homilij. Łatwo pojmiesz, że się serdecznie ubawiono, nie szczędząc uszczypliwych żarcików na karb autora homilij, co nie było bez korzyści dla ciebie, bo cię powszechnie żalowano, a hrabia Galiano zarzucał mi pytania względem ciebie, na które, możesz być pewny, odpowiadałem jak należało, zobowiązałem mnie, abym cię do niego zaprowadził. Miałem w tej chwili udać się do ciebie, dla przewodniczenia ci do hrabiego. Zapewne zechce ci ofiarować miejsce między swoimi sekretarzami. Radzę ci nie odrzucać tego miejsca, będzie ci wybornie u tego pana; jestto bogacz, żyje nastopę ambassadora. Mówią,

że przybył do dworu dla porozumienia się z księciem Lerma, względem dóbr królewskich, które pierwszy minister ma zamierzać sprzedać w Sycylii. Zresztą hrabia Galiano, chociaż Sycylijski, zdaje się być szlachetnym, pełnym prawości i rzetelności. Nicbyś lepszego nie zrobił, jak szczerze przywiązać się do tego pana. Według wszelkiego podobieństwa, on przeznaczony do zbogacenia cię, według wroźby graadyjskiej.

Postanowiłem przez czas niejaki, odezwał się do Nunesa, szlifować bruki i pobawić się, nimbym na uowo przyjął służbę; lecz w taki sposób przedstawiasz mi hrabiego Sycylijskiego, iż zmentam moje przedsięwzięcie. Radbym już był u niego. Będziesz wkrótce, odpowiedział, jeżeli mnie nie zwodzą pozory. Wyszliśmy więc obadwa udając się do hrabiego, który zajmował pałac don Sancho d'Avilla, swojego przyjaciela, bawiącego podówczas na wsi.

Na dziedzińcu spotkaliśmy mnóstwo paziów i lokajów w libery bogatęj i wykwintnęj, w przedpokoju zaś pełno było koniuszych, dworzan i innych oficyalistów. Wszyscy mieli ubiór przepyszny, ale twarze tak dziwaczne, że zdało mi się widzieć gromadę małp po hiszpańsku postrojonych. Przyznać trzeba, że są mężczyźni i kobiety z taką postacią, iż sztuka nie im nie pomoże.

Zawiadomiono o przybyciu don Fabricio, po chwili wprowadzono go do pokoju, a ja postępowałem za nim. Hrabia w ranej sukni, siedział na sofie, pijąc czekoladę. Przywitaliśmy go z oznakami najgłębszego szacunku; on zaś kiwnął głową, wejrzawszy na nas tak mile, że go zaraz z całej duszy polubił. Cudowny skutek, a przytém tak pospolitły, jaki na nas wywierają uprzejme przyjęcie panów! Trzeba, żeby się bardzo źle obeszli, skoro się nam nie podobają.

Wyłtwszy czekoladę, bawił się przez niejaki czas z wielką małpą, którą miał przy sobie i nazywał kupidysem. Nie wiem dla czego temu zwierzęciu nadano imię takiego bożka, chyba z powodu złośliwości, bo z innych miar w niczem do niego nie było podobne. Wszakże tak jak ono jest stanowiło jedyną rozkosz pana, który się rozpywał nad jego zgrabnością, i ustawnie trzymał na ręku. Nunes i ja nie bardzo zamilowani w skokach małpy, objawialiśmy jednak niemałe zachwycenie. To się bardzo podobało Sycylijskiemu, który wreszcie przerywając swoją zabawę, odezwał się do mnie: mój przyjacielu, od ciebie jedynie zależy zostać jednym z moich sekretarzy. Jeżeli ci się to miejsce podoba, będziesz miał dwieście ludorów na rok. Dossyć jest kiedy don Fabricio cię przedstawia i ręczy. Tak jest panie, zawołał Nunes, ja jestem śmielszy od Platona, który nie chciał ręczyć za przyjaciela posyłając go do Dionizjusza tyrana. Nie obawiam się najmniejszego zawodu.

Skłonieniem głowy podziękowałem poecie asturyjskiemu za jego śmiałość obowiązującą. Potem zwracając się do mojego pana zapewniłem go o moję gorliwość i wierność. Skoro pan spostrzegł, że ofiarowane mi miejsca z chęcią przyjmuje, kazał przyzwać Intendenta, z którym się rozmówił po cichu, do mnie zaś rzekł: Gil Blasiu, pótniej ci powiem do czego cię chcę użyć. Teraz możesz pójść z moim rządzcą; odebrał on już rozkazy względem twojej osoby. Oddaliłem się więc, zostawiwszy hrabiego z Fabrycym i kupidysem.

Intendent Messeńczyk, najprzebieglejszy frant, zaprowadził mnie do swojego pokoju, nie szczędząc największych grzeczności. Posłał po krawca, który ubierał cały dom i kazał mi zrobić ubiór równie okazały jak innych wyższych oficyalistów. Krawiec wziął miarę i odszedł. Co do mieszkania, ja tu wiem pokój, który ci się podoba. Ale, czy jadasz już śniadanie? Odpowiedziałem że jeszcze nie. Ah, biedny chłopcze, mówił, a czemuż nie powiedział? Jesteś tu w takim domu, że tylko bąknij czego pragniesz, a będziesz miał w tej chwili. Pójdź zaprowadzę cię tam, gdzie dziłki Bogu niczego nie braknie.

To rzekłszy zaprowadził mnie do kredensu, gdzieśmy zastali marszałka pałacowego Neapolitańczyka, który tyleż był wart co Messeńczyk. Można było rzec o nim i o intendencie: Jan skacze lepiej jak Piotr, Piotr zaś skacze lepiej od Jana. Ten zany marszałek pałacowy miał u siebie pięciu, czy sze-

ściu przyjacioł, którzy opychali się szynkami, ozorami i inném mięsem soloném, co ich zmuszało do wysuszania kufła za kufłem. Przyłączyliśmy się do tych żarłoków i pomogliśmy im do ślągania najlepszych win pana hrabiego. Kiedy to działo się w kredensie, w kuchni znowu inna była rzecz. Kucharz uraczał także trzech, czy czterech znajomych mu mieszczan: nie oszczędzali oni także wina, a z silnym apetytem zajadali pasztety z królików i kuropatw: nie było nikogo aż do kuchcika, któryby się nie bawił tém, co potrafił cichaczem schwytać. Zdało mi się, że jestem w domu na rabunek wydanym; a przecież to było prawie nic. Ja widziałem tylko same fraszki w porównaniu z tém, czego nie widziałem.

ROZDZIAŁ XV.

O obowiązkach, jakie hrabia Galiano poruczył Gil Blasowi.

Poszedłem po moje manatki, aby je przenieść do nowego mieszkania. Wróciwszy zastałem hrabiego przy stole z kilką panami i poetą Nunez, który z wielką swobodą kazał sobie usługiwać i mieszał się do rozmowy. Uważałem nawet, iż każdy jego wyraz mile był przyjmowany w tém towarzystwie. Niech żyje dowcip! kto go ma, może przybierać postaci jakie zechce.

Ja zaś jadłem obiad z ofycjalistami, z małym bardzo wyjątkiem takż sam jak panowie. Po obiedzie udałem się do mego pokoju, rozmyślając nad nową służbą. Otóż, mówiłem sobie, Gil Blasiu, jesteś teraz u hrabiego sycylijskiego, którego charakteru wcale nie znasz! Sądząc z pozorów, będziesz w domu jego jak pączek w maśle. Nie trzeba jednak ryb łowić przed niewodem, a ty nie powinienes ufać twojej gwiazdzie, doświadczwszy aż nadto często jej złośliwości. Prócz tego nie wiesz swojego przeznaczenia. Ma sekretarzy i intendenta, jakichże usług może żądać od ciebie? Zapewne myśli ci powierzyć łaskę Merkurego. Zgoda na to, nie można żądać lepszego miejsca u pana, chcąc się szybko wydzignąć. Uczciwsze spełniając obowiązki postępuje się żółtym krokiem, noga za nogą i jeszcze nie zawsze dosięga się celu.

Kiedym tak dumał, wchodzi lokaj oświadczając, iż wszyscy panowie już odeszli i pan hrabia mnie wzywa. Pobiegłem czém prędzj do jego pokoju i zastałem go rozciągniętego na sofie, zabierającego się do zwykłego Włochom wypoczynku, wraz z ulubioną małpą.

Zbliż się Gil Blasiu, rzekł do mnie, weź krzesło i słuchaj. Spełniłem rozkaz, a on w te odezwał się słowa. Don Fabricio powiadał mi, że między innymi wybornymi przysłotami masz i ten, że się przywiązujesz do swoich panów i jesteś chłopcem niezachwianej cnoty. Te dwie rzeczy skłoniły mnie do ofiarowania ci miejsca. Potrzebuję sługi przywłażanego, któryby się zajął moimi interesami i z całą bacnością starał się o utrzymanie mego dobra. Jestem wprawdzie bogaty, ale wydatki moje rok rocznie przewyższają moje dochody. A dla czego? Oto że mnie kradną, że mnie obdzierają. Jestem w domu własnym jak w lesie pełnym rabustów. Mam w podejrzeniu mego marszałka pałacowego i intendenta, że się obadwa znoszą i jeżeli się nie myślę, tedy nie trzeba już więcj, aby mnie z gruntu zrujnować. Powiesz, że skoro ich uważam za oszustów, należy ich wypędzić. Ale zkadże wziąć lepszych? Muszę więc poprzestać na tém, że każę dać baczenie na jednego i na drugiego człowiekowi, który będzie miał prawo nadzoru nad ich postępowaniem; właśnie zaś ciebie wybrałem do spełnienia tej powinności. Jeżeli się w tém powołaniu dobrze sprawisz, możesz być pewnym, że nie poświęcisz swoich usług niewdzięcznemu. Będę się starał korzystnie cię uposażyć w Sycylii.

Po takowej przemowie, wyprawił mnie z pokoju, wleczór zaś w obec wszystkich domowników, ogłoszony zostałem nadintendentem domu. Messyńczyk i Neapolitańczyk, zrazu nie bardzo się tém zgryżli, bo zdawałem się im być hultajem łatwym do zgody, rachowali na to, że dzieląc się ze mną obrywkami, dawnym torem iść będą mogli. Nazajutrz wszakże zgłupieli, skoro im wręcz oświadczyłem, że jestem wrogiem wszelkiego przeniewierstwa. Zażądałem od marszałka wykazu zapasów. Zwidziłem piwnice. Wywiedziłem się o wszystkim co tylko

jest w kredensie, to jest o srebrach i bieliźnie stołowej. Po czém zaleciłem im obudwom, aby oszczędzali dobra pańskie, nie byli rozrzutnymi w wydatkach; polecenie zaś moje skończyłem zapewnieniem, że dousoję natychmiast panu wszystkie zgrabne pozebłegi, jakie tylko w domu jego spostrzegę.

Nie poprzestałem na tém; chciałem koniecznie mieć szpiega, dla wybadania ich wzajemnego porozumiewania się. Zwróciłem oczy na jednego kuchcika, który ujęty moimi obietnicami, powiedział mi, że nie mogłem się trafniej udać jak do niego, by wiedzieć wszystko, co się dzieje w domu; że marszałek pałacowy i intendenc, są w zmwowie z sobą, że trwonią pańskie mienie bez upamiętania; że połowa zakupowanych do kuchni potrzeb, na stronę idzie; Neapolitańczyk opatruje jedną panią naprzeciw kolegium św. Tomasza mieszkającą; a Messyńczyk utrzymuje drugą przy bramie słońca; że dwaj ci panowie co dzień rano posyłają swoim nimfom, wszelkiego rodzaju zapasy; że kucharz ze swojej strony, najlepszą półmiski posyła znajomej sobie wdowie w sąsiedztwie, a w nagrodę usług dla tych dwóch panów, którym zupełnie sprzyja, rozrządza też jak oni winem z piwnicy; koniec końców, że z łaski tych panów, straszne są wydatki w domu hrabiego. Jeżeli pan nie ufasz moim słowom, dodaj kuchta, chciej sobie zadać ten trud i jutro rano o godzinie siódmej, bądź w bliskości kolegium św. Tomasza, a zobaczysz mnie z potężnym koszem, który cię przekona. A więc ty jesteś posłannikiem tego grzecznego dostarczyciela? zapytałem się; tak jest, odpowiedział kuchcik, mnie używa marszałek, a jeden z moich towarzyszy, usługuje intendentowi.

Zdało mi się, że takowe sprawozdanie warte jest trudu sprawozdania. Przez ciekawość, udałem się o godzinie oznaczonej do wskazanego mi kolegium, i nie długo czekałem na mego szpiega. Wkrótce nadszedł z koszem pełnym mięsa, drobin i zwierzyny. Spisałem wszystko, a rozkazawszy chłopcu spełnić jak zwykle, dane mu polecenie, sam z moim wywodem słownym, udałem się do hrabiego.

Pan Sycylijski z natury popędliwy, w pierwszym uniesieniu chciał wypędzić obudwóch, i Neapolitańczyka i Messyńczyka; lecz zastanowiwszy się nieco, poprzestał na pozbyciu się tego drugiego, którego miejsce mnie powierzył. A tak posada moja nadintendenta, została zniesiona wkrótce po jej utworzeniu, a szczerze mówiąc, nie żalowałem tego. Było to, w gruncie rzeczy, powołanie honorowego szpiega, posada nie stanowczego nie zapewniająca; gdy tymczasem zostawszy panem intendencem, byłem panem skrzyni z pieniądźmi, a to rzecz główna. Tego rodzaju służa, zawsze trzyma pierwsze miejsce w domu; a tyle jest drobnych obrywków, połączonych z jego zarządem, że może się zzbogacić, choćby najuczciwszym był człowiekiem.

Neapolitańczyk nie był tak łatwy do wyczerpania w swoich fortelach, widząc moją grublańską gorliwość, przekonawszy się, że codziennie przeglądałem kuchenne zapasy i spisywałem je starannie, zaprzestał ich rozsyłania; lecz kotr mimo to, codzień brał tę samą ilość. Tym podstępem korzystając z resztek schodzących ze stołu pańskiego, które z prawa do niego należały, był w stanie posyłać swojej lubej mięso przyrządzone, kiedy już nie mógł jej dostarczać surowego. Ten szafan, nie nie stracił, a hrabia nie nie zyskał, mając fenixa z pośród intendenców. Nadzwyczajna obfitość jakąm wtedy ujrzał na stole, kazała mi się domyślać nowego wybiegu; natychmiast zaprowadziłem nowy porządek, odtrącając część zbytkowną z każdego dania; dokonałem zaś tego z taką przezornością, iż śladu nie było oszczędności. Rzekłbyś, że zawsze ta sama była obfitość; a przecież na tém ograniczeniu, zyskałem znaczne zmniejszenie w wydatkach. Tego właśnie przagnął mój pan; chciał on oszczędzać, nie ustępując nic ze wspaniałości. Okazałość pańska górowała w nim nad chciwością.

Nie dość na tém, ziościem jeszcze drugie nadużycie; uważając że wino bardzo prędko wychodziło, domyśliłem się, że i tu musi być jakieś szachrajstwo. W rzeczy samej, jeżeli na przykład było dwunastu panów u stołu hrabiego, wychodziło

zwykle pięćdziesiąt, czasami sześćdziesiąt butelek. To mnie zdziwiło; radziłem się w tym względzie mojej wyroczni, to jest, mojego kuchelka, z którym rozmawiałem potajemnie i który mi wiernie donosił co się robiło i mówiło w kuchni, nie będąc podejrzany nikomu. On mi powiedział, że kradzież na którą się skarżyłem, pochodziła z nowej ligi, zawartej między marszałkiem pałacowym, kucharzem i lokajami nalewającymi wino; że ci ostatni zabierali butelki do połowy wypróżnione, którymi się potem sprzymierzeńci dzielili. Odezwałem się do lokajów, zagroziłem im wypędzeniem, jeżeli jeszcze dalej tak robić będą, więc i też nie trzeba było, by ich utrzymać w karbach obowiązku. Pan mój, którego zawiadomiałem o najdrobniejszych szczegółach dla dobra jego przedsięwziętych, nie szczędził mi pochwał i co dzień stawał się dla mnie przychylniejszym. Ja zaś z mojej strony w nagrodę świadczonych przysług, kuchelka mojego posuwałem na stopień pomocnika kucharza. Takim to sposobem w uczciwych domach, wierny sługa, postępuje w swoim zawodzie.

Neapolitańczyk wściekał się ze złości, napotykać mnie wszędzie na drodze; ale co go najwięcej gryzło, to były ustawne sprzeczki przy zdawaniu rachunków dziennych; bo żeby tym lepij obciąć mu pazurki, codziennie udawałem się na rynek dla powzięcia wiadomości o cenie potrzebnych przedmiotów. Tym sposobem gdy on później wracał i chciał mi rachunek przesłać, ja go silnie powściągałem. Przekonany byłem, że mnie sto razy na dzień przeklinał; ale powód przekleństw, zabezpieczał mnie od ich spełnienia. Nie rozumiem jakim sposobem mógł tak długo ulegać, nie porzuciwszy służby u pana sycylijskiego. Bez wątpienia zdaje się, że mimo to wychodził nie źle w swoich rachunkach.

Fabrycy, którego odwiedzałem kiedyś niekiedy, któremu opowiadałem wszystkie waleczne czyny mojego intendentwa, dotąd niesłychane, skłonniejszym był do nagany, niż pochwały mojego postępowania. Daj Boże, rzekł raz do mnie, aby cała ta twoja bezinteresowność, była kiedyś wynagrodzona! Ale między nami mówiąc, gdybyś nie tak szorstko postępował z marszałkiem pałacowym, zdaje mi się, żeby to nie było nic złego. Jako! odpowiedział zimno; niech ci tylko da połowę przewyżki, a rzecz będzie w porządku. Dalibóg mój przyjacielu, mówił dalej kiwając głową, psujesz tylko ład w domu, zdajesz się objawiać żądę długiej służby, bo nie strzyżesz barana, mając go pod ręką. Pamiętaj, że fortuna podobna jest do tych zalotnic żywych i wesołych, które się wymykają gachom nieśmiałym.

Rozśmiałem się z mowy Nunesa, i on się śmiał także, chcąc mnie przekonać, że nie mówił tego z serca. Wstydział się, że bez użytku wystąpił ze złą radą. Ja trwałem wciąż w postanowieniu być wiernym i gorliwym. Nie uchybiłem bynajmniej, i mogę śmiało powiedzieć, że w przeciagu czterech miesięcy, przez moją oszczędność, zyskałem dla pana najmniej trzy tysiące dukatów.

ROZDZIAŁ XVI.

O przypadku małpy hrabiego Galiano. O chorobie Gil Blasa i jej skutkach.

Po upływie tego czasu, spokojność dotąd panująca w pałacu, strasznie zakłóconą została przypadkiem, który czytelnikom błahym wydawać się będzie, dla służących zaś, a dla mnie szczególnie, był bardzo ważnym. Kupidyn, ta małpa o której już namieniłem, to ulubione pańskie zwierzę, chcąc raz przeskoczyć z okna do okna, tak źle się sprawił, iż spadł na podwórze, i wywichnął nogę. Hrabia skoro tylko dowiedział się o tym przypadku, począł krzykliwie rozwodzić żale: jak kobieta, w zbytku swojego cierpienia obwiniał wszystkich swoich ludzi bez wyjątku; nie wiele brakło, aby dom swój zupełnie wypróżnił. Jednakże ograniczył gniew swój, zlorzeczając nam i wymyślając w wyrazach bez najmniejszego wyboru. Rozesłał natychmiast po felcerów najbłęgiejszych w całym Ma-

drycle pod względem leczenia złamanych lub zwichniętych kości. Obejrzeni nogę chorą, nastawili ją należycie i obandażowali. Lecz chociaż wszyscy zapewnili, iż nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, pan przecież zatrzymał jednego, aby pilnował zwierzęcia aż do zupełnego wyleczenia.

Uchybiłbym prawdzie, pomijając milczeniem zgryzotę i niepokojność, jakich pan sycylijski doznawał przez cały ten czas. Będzie to wierzył, że w dzień nie odstępował swojego miłego kupidyna? Był obecnym kiedy go opatrywano, a w nocy dwa lub trzy razy wstawał, zaglądając do niego. Lecz co najgorsza, wszyscy służący, a ja szczególnie, musieliśmy ciągle być na nogach, aby być w pogotowiu biedz, gdzieby potrzeba wymagała, na usługi małpy. Słowem, nie mieliśmy odpoczynku w pałacu, póki przekłete bydlę nie wyzdrowiało zupełnie i nie rozpoczęło na nowo skoków i koziołków. Po tem wszystkim, niech kto chce nie wierzy podaniu Swetoniusza, gdy mówi, że Kaligula tak kochał swojego konia, iż przeznaczył dla niego pałac bogato urządzony, dodał oficerów do jego służby i chciał go zrobić konsulem! Mój pan nie mniej był zachwycony swoją małpą; byłby ją chętnie zrobił korredorem.

Największe dla mnie w tym wypadku było nieszczeście, że starając się prześlęgnąć wszystkich służących dla większego przypodobania się panu, tak gorliwie zabiegałem około kupidyna, że sam zachorowałem. Gorączka gwałtowna opanowała mnie, i złe wkrótce tak się wzmogło, iż straciłem przytomność. Nie wiem co się ze mną działo przez dni piętnaście, gdy się ważył między życiem i śmiercią. To tylko wiem, że wlek mój młody tak silnie pasował się z gorączką, a może i z lekarstwami jakie mi dawano, że wreszcie odzyskałem zmysły. Najpierwsza rzecz która mnie w tym stanie uderzyła, że nie byłem w moim pokoju. Chciałem wiedzieć dla czego; zapytałem się podeszłej kobiety, która mnie pilnowała, lecz ta odpowiedziała, iż nie powinienem mówić, bo lekarz wyraził tego zakazał. Kiedy człowiek zdrowy, żartuje sobie pospolicie z tych doktorów; niech przyjdzie choroba, a każdy jak baranek podaje się ich rozkazom.

Postanowiłem więc milczeć, choć szczerą chęć miałem rozmawiać z moją dozorczynią. Rozmyślałem nad tem, gdy weszło dwóch, coś na elegantów rzeźkich zakrawających. Mieli na sobie ubiór aksamitny, koszule bardzo piękne, obszyte koronkami. Rozumiałem, że to byli panowie, przyjaciele hrabiego, którzy przez wzgląd na niego, przyszli mnie odwiedzić. Tą myślą zajęty, zebrałem wszystkie siły aby się dźwignąć i usiąść na łożku, przez uszanowanie zrzuciłem czapeczkę; lecz moja dozorczyńca położyła mnie znowu jak długiego, mówiąc, że ci panowie to są, jeden doktor, a drugi aptekarz.

Doktor zbliżył się do mnie, wziął za puls, przypatrzył się twarzy, a spostrzegłszy wszystkie objawy blizkiego wyzdrowienia, przybrał postać triumfującą, jak gdyby się bardzo do tego przyłożył, i rzekł, iż jednego tylko potrzeba lekarstwa dla uzupełnienia jego dzieła, że potem będzie się mógł pochlubić, iż właśnie dokonał wyleczenia. To rzekłszy, kazał aptekarzowi pisać receptę, którą mu dyktował przeglądając się w zwierciadle, poprawiając fryzury i robiąc grymasy, z których musiałem się śmiać bez względu na stan w jakim się znajdowałem. Po czem skłonił mi się głową po tancersku i wyszedł więc zajęty swoją figurą, niż zapisaniem lekarstwem.

Po jego oddaleniu się, aptekarz, który nie napróżno przybył do mnie, zabrał się do czynności, łatwej do odgadnięcia. Czy nie ufał zręczności podeszłej kobiety, czy dla podwyższenia ceny towaru, sam chciał koniecznie dokonać tego działania. Lecz mimo całą jego zręczność, nie wiem jak się to stało, zaledwie czynność skończył, gdy oddając to, co mi zadał, pięknie przystroiłem jego ubiór aksamitny. Przypadek ten uważał on, jako przykrość od sztuki aptekarskiej nieodłączną. Wziął serwetę, obtarł się, nie mówiąc ani słowa i oddalił się, postanowiwszy zapewne wyciągnąć ode mnie koszt wywabiania płam, któremu suknie swoje powierzyć musiał.

Nazajutrz rano, przybył skromnie ubrany, chociaż w tym dniu nie miał się wcale na co narażać, przyniósł lekarstwo przez

doktora wczoraj przepisane. Naprzód z każdą chwilą czułem się zdrowszym, a powtóre, od dnia poprzedniego taki wstręt czułem do doktorów i aptekarzy, że przeklinałem nawet uniwersytety, w których ci panowie otrzymują władzę zabijania ludzi bezkarnie. W takowem będąc usposobieniu, oświadczyłem przysięgając, że nie chcę żadnych lekarstw, że diabłu poruczam Hipokratesa i jego czeredę. Aptekarz nie troszcząc się bynajmniej, co ja zrobię z jego mieszaniną, byleby mu była zapłacona, zostawił ją na stole i odszedł, nie bąknawszy ani słowa.

Kazałem natychmiast wyrzucić za okno to psie lekarstwo, przeciw któremu tak silnie byłem uprzedzony, iż pewny byłem, że się otruję, skoro je połknę. Do tego nieposłuszeństwa dodałem zaraz drugie; przerwałem milczenie i tonem stanowczym oświadczyłem mojej stariej, że chcę bezwarunkowo wiedzieć coś o moim panu. Stara lękając się nagłego wzruszenia, skoroby ciekawość moją zaspokoiła, a może też upierała się dla pogorszenia mojej choroby, nie chciała nic mówić; lecz tak na nią nastawałem, że wreszcie rzekła mi: panie kawalerze, teraz nie masz innego pana, prócz siebie samego. Hrabia Galiano wrócił do Sycylii.

Nie mogłem wierzyć temu, com słyszał, a przecież to była istna prawda. Pan ten zaraz drugiego dnia mojej choroby, lękając się abym nie umarł w jego domu, był tyle łaskaw, że mnie wraz z moimi rzeczami kazał przenieść do pokoju umeblowanego w hotelu, w którym mnie zostawił na łasce Opatrzności i stariej niewlasty. W tym czasie odebrawszy rozkaz ode dworu, by jak najprędzej wracał do Sycylii, wyjechał tak spiesznie, że o mnie ani pomyślił, bąc że mnie zaliczał już do umarłych, bąc że wielcy panowie podlegają podobnym usterekom pamięci.

Moja dozorczyni opowiedziała mi te szczegóły, dodając, że ona wezwała lekarza i aptekarza, ażebym bez ich pomocy nie umarł. Usłyszawszy takowe nowiny, wpadłem w głębokie marzenie. Żegnam cię moje korzystne uposażenie w Sycylii! Żegnam was błogie nadzieje! Jeżeli jakie wielkie nieszczęście padnie na ciebie, mówi jeden moralista, zastanów się dobrze nad sobą, a zobaczysz, że to zawsze z twojej winy pochodzi; niech mi daruje ten świętebliwy człowiek, ależ ja nie wiem wcale, jakim sposobem w tém zdarzeniu, mogłem się przyczynić do mojego nieszczęścia.

Ujrawszy z dymem spelzłe marzenia, któremi sobie głowę nabilem, pierwsza rzecz, która myśl moją zajęła, był mój tłumoczek, który kazałem sobie podać do łóżka, dla przejrzenia. Westchnąłem widząc go otwartym. Niestety! mój tłumoczek, zawołałem, moja jedyna pociecho, byłeś jak widzę, na łasce rąk cudzych. Nie, nie, panie Gil Blas, odezwała się stara, uspokój się, nic ci nie skradziono, strzegłam twojego tabołka, tak jak własnego honoru.

Znalazłem ubiór, który miałem wchodząc do służby hrabiego; ale naprzód szukałem tego, który mi Messyńczyk kazał zrobić. Pan mój może uznał za rzecz niestosowną, zostawić mi go, albo może sobie ktoś przywłaszczył. Wszystkie inne rzeczy znalazły się, nawet worek skórzany, w którym były pieniądze. Liczyłem je dwa razy, nie dowierając sobie, było bowiem tylko pięćdziesiąt luidorów, jako reszta z dwustu sześćdziesięciu, które miałem przed chorobą. Cóż to znaczy moja matka? rzekłem do stariej, oto moja kassa bardzo uszczuplona. A przecież tam nikt nic nie tknął, prócz mnie, a ja oszczędzałam ile możności; ale choroba kosztuje wiele, trzeba ciągle mieć pieniądze w ręku. Oto, rzekła ta oszczędna gospośka, wyciągając z kieszeni pakiet papierów, oto jest rachunek wydatków, tak czysty jak złoto, który cię przekona, że mnie szeląga nie użyła na próżno.

Przebiegłem oczyma rachunek, obejmujący blisko dwadzieścia stronnic. Boże zlituj się! Ileż to drobiu zakupiono, gdy byłem bez przytomności. Za sam bulion było najmniej dwanaście luidorów. Inne artykuły odpowiadały temu. Trudno wypowiedzieć, ile wydała na drzewo, na świecę, wodę, miotły, i t. d. A jednakże choć tak sążnisty był jej rachunek, cała summa zaledwie dochodziła trzydziestu luidorów, a zatem powinno być jeszcze z reszty sto ośmdziesiąt. Przedstawiłem to stariej, ale

ta z miną naiwną poczęła świadczyć się wszystkimi świętymi, że w worku nie było więcej nad ośmdziesiąt luidorów, kiedy marszałek hrabiego powierzył jej mój tłumoczek. Co mówisz, przerwałem jej szybko, to marszałek pałacowy oddał ci do rąk moje manatki? Oczywiście, odpowiedziała, on sam i to jeszcze oddając rzekł: Masz moja matko, skoro pan Gil Blas będzie pomazany olejem, nie zapomnij go utrząść pięknym porzebem, w tym tłumoczku wystarczy ci na koszt.

Ha! przeklęty Neapolitańczyku! zawołałem wtedy, już teraz nie mam potrzeby łamać głowy, co się stało z moimi pieniędzmi. Zagarnąłeś je, by sobie wyagrodzić część kradzieży, od której cię powściągnąłem. Po takiej odezwie, podziękowałem Bogu, że łotr wszystkiego nie zabrał. Jakkolwiek jednak miałem powód obwiniania o kradzież marszałka pałacowego, nie mogłem przecież oprzeć się myśli, że i stara mogła być złodziejką. Podejrzenia moje padały raz na tego, drugi raz na nią, choć to wszystko jedno było dla mnie. Nie objawiałem tego stariej, nie spletałem się nawet z nią o rachunek, niebył był na tém nie zyskał, a każdy przede musi spełniać swoje powołanie. Gniwem mój ograniczyłem na zaspokojeniu jej należytości, i odprawieniu w trzy dni później.

Dumyślałem się, że oddalając się odemnie, dała znać aptekarzowi, że mnie już opuściła, że dosyć mam siły, aby puścić się w świat, nie porachowawszy się z nim, bo w moment potem, ujrzałem go zadyszanego. Podał mi rachunek z wypisem wszystkich lekarstw dostarczonych mi wtedy, gdy byłem bez przytomności, nazwiska w nim zamieszczone, były mi wcale nieznaue, chociaż sam byłem lekarzem. O nim to właściwie można było powiedzieć, że był rzeczywistym rachunkiem aptekarskim, dla tego też przy wyplacie wszczął się spór. Ja żądałem żeby odciął połowę od tego, co żądał, on się zakłinał, że ani szeląga nie opuści. Zważywszy atoli, że miał do czynienia z młodym człowiekiem, który tegoż jeszcze dnia, może się wynieść z Madrytu, postanowił przyjąć to, co mu ofiarowałem, to jest trzy razy tyle, ile warte były jego lekarstwa, aniżeli stracił wszystko. Wydałem mu z wielkim żalem moje pieniądze, a on je zgarnął, śmieciwszy się tym sposobem, za wyrządzołą sobie hańbę z lawatywą.

Lekarz pojawił się w też tropy, bo te istoty zawsze tuż za sobą chodzą. Wylczyłem mu jego wizyty, aż nadto częste i puściłem go zadowolonym. Nim wszakże wyszedł, dla przekonania mnie, że zarobił słusznie to co wziął, wylczył mi po szczegółzie wszystkie przypadłości śmiertelne, którym zapobiegł w czasie mojej choroby, wyrażał się zaś bardzo pięknie i w tonie nader uprzejmym, ale ja nic z tego nie rozumiałem, kiedym go już odprawił, sądziłem, że m się pozbył wszystkich posługaczy Park; myliłem się, wszedł felcer, którego w życiu nie widziałem. Skłonił mi się bardzo grzecznie, wynurzył swoją radość widząc mnie ocalonego z niebezpieczeństwa na jakie narażony byłem, co przypisywał dwóm obfitym krwi upuszczeniom, których on dokonał, i bankom, które miał zaszczyt mi przystawiać. Znowu wyrwał mi piórko ze skrzydła. Po tylu wypróżnieniach, worek mój tak zesłabł, iż można było śmiało powiedzieć, że to jest ciało zwiędłe, tak mało w nim pozostało duchów żywotnych.

Zacząłem tracić odwagę ujrawszy się w tak smutném położeniu. U ostatnich moich panów zanadto przywykłem do wygod życia, nie mogłem już, jak dawniej, zapatrywać się na niedostatek z obojętnością cynika. Przyznam się jednak, że źle robił oddając się smutkowi, doświadczywszy już tylekroć, że fortuna pognęblwszy mnie, natychmiast znowu dźwigała; powiniennem był przeto przykry mój stan uważać za wróżbę przyszłego powodzenia.

KSIĘGA ÓSMA.

ROZDZIAŁ I.

Gil Blas znajduje miejsce. Historia don Valerio de Luna.

Dziwiło mnie mocno, że przez cały ten czas nie słyszałem nic o Nunezie, pomyśliłem sobie, że musi być na wsi. Skoro

więc tylko mogłem wyjść zaraz udałem się do niego i dowiedziałem się, że w istocie już od trzech tygodni był w Andaluzji z księciem Medina Sidonia.

Pewnego poranku przebudziwszy się przyszedł mi na myśl Melchior de la Ronda, a przypominając sobie, że mu przyrzekłem w Granadzie, iż odwiedzę siostrzeńca jego, skoro wrócę do Madrytu, postanowiłem tegoż jeszcze dnia spełnić obietnicę. Wywiedziłem się o pałac don Baltazara de Zuniga i poszedłem. Zapytałem się o pana Józefa Navarro, któregoemu ujrzał niebawem. Skłoniłem się, on zaś przyjął mnie grzecznie, ale zimno, chociaż przez wszystkie przypadki odmieniłem moje nazwisko. Nie mogłem pogodzić tego przyjęcia oziębłego z wyobrażeniem jakie mi podano o tym panu kuchmistrzu. Jużem się miał odwalić z mocnym postanowieniem nie oglądania go więcej, gdy on w tej chwili z wypogodzoną twarzą, z wielką żywością, odezwał się do mnie: Ah, panie Gil Blas z Santyllany, daruj mi z łaski swojej, że cię tak przyjął. Pamięć moja zawiodła moje uczucia jakle mam względem ciebie. Zapomniałem twego nazwiska, nie myślałem wcale o tym młodzieńcu, o którym odebrałem wzmiankę w liście z Granady przed czterema miesiącami piśnianym.

Niechże cię uściskam! dodał, rzucając mi się na szyję. Wuj mój Melchior, którego kocham i szanuję jak ojca własnego, pelega mi, że jeżelibym przypadkiem spotkał cię, żebym się z tobą tak obszedł jak z jego synem, żebym w twoim interesie użył całego wpływu mojego i moich przyjaciół. Tak mi wychwała twoje serce i twoje zdolności, że to samo już skłaniałoby mnie do przyszywania się tobie, gdyby nawet jego polecenie nie zobowiązywałoby mnie do tego. Proszę cię więc uważaj mnie za człowieka, któremu wuj przekazał wszystkie uczucia, jakie go z tobą łączyły. Odnaruję ci moją przyjaźń, nie odmawiaj mi swojej.

Odpowiedziałem z wdzięcznością należną grzeczności Józefa, i obadwa jako ludzie żywi i szczerzy ścisłe między sobą zawarliśmy związek. Nie wahałem się odkryć przed nim mojego położenia, on zaś na to: ja będę się starał o miejsce dla ciebie; a tymczasem przychodź tu codziennie jeść, będziesz miał lepszy stół, niż w twojej garnkuchni. Dla przychodzącego do zdrowia, a przyzwyczajonego do smacznych kasków, była to ofara nie łatwa do odrzucenia. Przyjąłem ją i tak dobrze pokrzepiłem siły swoje, że po upływie piętnastu dni wyglądałem jak pulchny pączek. Zdawało mi się, że synowiec Melchiora niezłe wychodził. Lecz jakże mogło być inaczej? doił on trzy krówki zarazem, będąc piwniczym, kuchmistrem i marszałkiem pałacowym. Prócz tego, bez względu na naszą przyjaźń, ja myślę, że intendent znał się z nim bardzo dobrze.

Już zupełnie odzyskałem zdrowie, gdy przyjaciel mój Józef widząc mnie przybywającego do pałacu Zuniga, według mojego zwyczaju, wyszedł naprzeciw mnie i z miną wesołą odezwał się: panie Gil Blas, mam dość dobre miejsce dla ciebie. Musisz wiedzieć, że książe Lerma pierwszy minister Hiszpanii, chcąc się całkiem poświęcić sprawom państwa, trudy około własnych interesów porucił dwom osobom. Odbiór dochodów ma sobie zlecony don Diego de Montese, zarząd domu zaś jest pod kierunkiem don Rodriga de Calderone. Ci dwaj panowie mają władzę nieograniczoną, jeden od drugiego nie zależy. Don Diego ma zwykle pod ręką dwóch intendentów zajętych odbiorem dochodów; dowiedziawszy się dziś rano, że jednego z nich wypędził, byłem u niego prosząc o to miejsce dla ciebie. Pan Montese, który mnie zna, i mogę się pochlubić jego przywiązaniem, przystał na to bez żadnych korowodów, poprzestał na świadectwie jakle mu o twoich obyczajach i zdolności złożyłem. Pójdźmy do niego dziś po południu.

Nie zaniedballśmy tego. Przyjęty byłem bardzo uprzejmie i zainstalowany na urząd intendenta, w miejsce odprawionego. Obowiązkiem moim było zwiedzać folwarki, zajmować się naprawami, odbiorem należytości od dzierżawców; słowem zajmowałem się gospodarstwem wiejskim i co miesiąc składałem rachunki panu don Diego, który bez względu na pochwały dane mi przez pana kuchmistrza, przetrząsał je z wielką wwa-

gą. Tego ja też pragnąłem. Lubo moja rzetelność tak źle wynagrodzona była w ostatniej służbie, przecież postanowiłem trzymać się jej niezmiennie.

Pewnego dnia dano nam znać, że pożar wszczął się w zamku Lerma i że przeszło połowa jego zamienioną została w gruzy. Udałem się zaraz na miejsce dla rozpoznania szkody. Tam wywledziawszy się dokładnie o szczegółach pożaru, ułożyłem obszernie zdanie sprawy, które Montese przedstawił księciu Lerma. Minister mimo przykrość, jaką mu sprawiła tak zła nowina, zwrócił uwagę na sprawozdanie, i nie mógł się wstrzymać od zapytania, ktoby był jego autorem. Don Diego nie dosyć, że zaspokoił jego ciekawość, ale nadto tak mówił korzystnie o mnie, że jego wysokość przypomniał to sobie w sześć miesięcy później, z powodu zdarzenia, które zaraz opowiem, a bez którego nigdy zapewne nie dostałbym się był do dworu. Oto jest cała historia.

Przy ulicy Infantów mieszkała kobieta w wieku, zwana Inesille de Cantarilla. Nie wiedziano z pewnością z jakiegoby pochodziła rodu. Jedni udawali ją za córkę fabrykanta gitar, inni utrzymywali, że ojcem jej był komandor zakonu św. Jakóba. Cóżkolwiekby, była osoba zdumiewająca. Natura obdarzyła ją przywilejem zachycania mężczyzn przez całe życie, które trwało jeszcze w połowie ósmego krzyżyka. Była ona bożyszczem panów starego dworu, widziała ich u stóp swoich z nowego. Czas nie oszczędzający wdzięków, napróżno pasował się z jej pięknością; wyciskał na niej swoje piętno nie odjmując władzy podobania się. Postawa szlachetna, umysł zachwycający, wdzięki naturalne, pomagały jej do obudzenia namilności, choć już był w wieku podeszłym.

Młodzieniec dwudziesto-pięcioletni don Valerio de Luna, jeden z sekretarzy księcia Lerma, widział Inesillę, zakochał się w niej. Oświadczył się ze swoją miłością i ścigał ukochany przedmiot z zapałem, jaki wzniecić może namilność w młodym człowieku. Kobieta mająca swoje powody odmówienia jego żądzy, nie wiedziała co począć dla pobawienia go, przecież zdało się jej raz, że wynalazła sposób. Wprowadziła do swojego gabinetu młodzieńca i pokazując mu stojący na stole zegar, rzekła, zobacz która godzina, dziś właśnie siedmiesiąt pięć lat upływa, jak o tej samej godzinie ujrzałam światło dzienne. Zaiste, czyż mi przystało w tym wieku wdawać się w miłostki? Zastanów się mój synu, słuch w sobie te uczucia nieprzyzwolite równie dla ciebie, jak dla mnie. Na tę mowę rozsądną, młodzieniec zerwawszy kielzno rozsądku, odpowiedział jej z całą gwałtownością człowieka opętanego uczuciami, które nim młotały. Okrutna Inesilla, dla czegoś uciekasz się do tak czezych wybiegów? sądziszże, iż one potrafią cię zmienić w moich oczach? Nie bądź się tak próżną nadzieją; czy jesteś taką, jaką cię widzę, czy może czary zwodzą moje zmysły, w każdym przypadku nie przestanę cię kochać. A więc, rzekła, ponieważ uparłeś się trudzić mnie swoimi zabiegami, dom mój odgad będzie zamknięty dla ciebie, zakazuję ci widzenia się ze mną.

Myślicie może, że don Valerio zmieszany tém co słyszał, zrobił uczciwy odwrot; przeciwie większym jeszcze stał się natrętem. Miłość w rozkochanych te same wywiera skutki, co wino w pijakach. Młodzieniec prosił, wzdychał, a nagle przekakując od prośb do uniesień gwałtownych, chciał przemocą uzyskać, czego nie mógł inaczej. Lecz kobieta odpychając go śmiało, rzekła mu, z oburzeniem: wstrzymaj się lekkomyślny, zarzucę hamulec twoim nierozsądnym zapałom. Wiedz, że jesteś moim synem.

Don Valerio osłupiał na te słowa: powściągnął swoją popędlivność. Lecz wystawiając sobie, że Inesilla tak mówiła, aby się uwolnić od jego natręctwa, odpowiedział jej: wynalazłaś tę powiastkę dla poskromienia mojej żądzy. Nie, nie, przerwała mu, odsłaniając ci tajemnicę, którą na wieki byłabym ukryła przed tobą, gdybyś mnie nie przywiódł sam do tej ostateczności. Dwadzieścia sześć lat temu kiedy pokochałam don Pedro de Luna twojego ojca, podówczas gubernatora Segovii: tyś był owocem naszej miłości; przyznał cię i starał się o twoje wy-

chowanie, a prócz tego, że nie miał innych dzieci, twoje piękne przymioty skłoniły go, iż ci zapisał znaczny majątek. Ja z mojej strony nie opuszczałam ciebie: skorom cię ujrzała wchodzącego w świat, ściągnęłam cię do siebie, aby ci nadać to uprzejme wzięcie się, tak niezbędne ukształconemu młodzieńcowi, a które jedynie kobiety zdolne są wpoić w umysły młodych. Więcej jeszcze zrobiłam, użyłam całego mojego wpływu, aby cię umieścić u pierwszego ministra. Zresztą zajmowałam się tobą, tak jak to powinnam czynić dla syna. Po takim wyznaniu postanów co ci czynić wypada. Jeżeli możesz oczyszczyć twoje uczucia i uważać mnie za matkę, nie oddalam cię od siebie, owszem zachowam całą troskliwość jaką aż dotąd objawiałam; lecz jeżeli nie potrafisz się zdobyć na taką moc charakteru, czego rozum i natura wymagają po tobie, uchodź w tej chwili i uwolnij mnie od okropności oglądania ciebie.

Tak mówiła Inesilla, a don Valerio przez cały czas głębokie zachował milczenie. Rzekłbyś że przywoływał na pomoc cnoty, że przewyciężał sam siebie. O tym on wcale nie myślał; rozmyślał nad innym wcale zamiarem i gotował matce przeciwny widok. Nie mogąc przełamać tamy zawadzającej jego szczęściu, uległ nikczemnie rozpacz. Dożył szpady i utopił ją w łonie własnym.

Nieszczęśliwy don Valerio nie umarł od razu z zadanego sobie ciosu; miał czas do uznania i proszenia Boga o przebaczenie za to samobójstwo. Że zaś śmierć jego opróżniła posadę sekretarza przy księciu Lerma, minister wspomniawszy na moje sprawozdanie o pożarze, bacząc zarazem na pochwały jakie mi dawano, wybrał mnie na zastępcę tego młodego człowieka.

ROZDZIAŁ II.

Gil Blas przedstawiony księciu Lerma. Minister kontent z jego roboty.

Monteser pierwszy objawił mi tę przyjemną nowinę i rzekł do mnie: przyjacielu Gil Blasi, chociaż nie bez żalu cię tracę, jednakże za nadto cię kocham, żebym się nie miał cieszyć, iż następujesz po don Valerio. Wyjdiesz niechybnie bardzo dobrze, jeżeli tylko zachowasz dwie rady, które ci udzielić chcę: pierwsza, żebys się okazywał tak przywiązany do jego wysokości, żeby on nie miał powodu do powątpiewania o twojem poświęceniu; druga, żebys wszelkimi siłami zabiegał o przychyłność don Rodryga de Calderone, bo ten człowiek gnę umysłem swojego pana jak miękkiem woskiem. Jeżeli będziesz miał szczęście zjednać sobie względy tego sekretarza ulubienica, wnet daleko zajdziesz, jestto rzecz tak pewna, że ci śmiało za nią ręczę.

Złożywszy dzięki za tak przyjazną skazówkę, rzekłem, panie, naucz mnie z łaski swojej, jakiego charakteru jest ten don Rodrigo. Słyszałem ja nie raz mówiących o nim, wystawiano go, jako dość przewrotnego człowieka, ale ja nie ufam zdaniu ludu o osobach zajmujących posady przy dworze, chociaż niekiedy sąd ten bywa trafny. Powiedz mi więc proszę cię, co myślisz o panu Calderoute. Żądasz bardzo drażliwej rzeczy, rzekł nadintendent z przekąsem, każdemu innemu powiedziałbym, że to bardzo ucziwy człowiek, nie wahałbym się oświadczyć, że o nim nic złego powiedzieć nie można, lecz z tobą chcę otwarcie postępować. Naprzód uważam cię za człowieka umiejącego zachować tajemnicę, powtóre, sądzę, że o don Rodrigu szczerze ci mówić winienem, ponieważ radziłem ci starać się o jego względy, bez należytej więc otwartości zobowiązywałbym cię tylko przez połowę.

Musisz więc wiedzieć, że z prostego służalca, jakim był u jego wysokości wtedy, gdy ten proste dzierżył jeszcze imię don Franciszka de Sandoval, doszedł stopniami do posady pierwszego sekretarza. Niewidziano człowieka dumniejszego; nie raczy on odpowiedzieć na żadne grzeczności, jeżeli go do tego ważne nie zmagają powody. Słowem uważa się za kolegę księcia Lerma, a w gruncie rzeczy możnaby powiedzieć, że podziela z nim obowiązki pierwszego ministra, ponieważ on szafuje posadami jak mu się podoba. Publiczność często szemrze na to, ale on nietroszczy się bynajmniej o głos powszechny, byleby go tylko dochodziły łapówki za rozmaite interesa. Łatwo

z tego co ci powiedziałem, wnieść potrafisz, jak się masz obchodzić z człowiekiem tak nadętym. Oh, zapewne, rzekłem, żeby było, żebym nie potrafił zyskać jego przychyłności. Skoro się zna wady człowieka, któremu się wypada przypodobać, trzeba być bardzo niezgrabnym, żeby chybić zamierzonego celu. Kiedy tak, rzekł Monteser, przedstawię cię zaraz księciu Lerma.

Udaliśmy się do ministra w chwili, gdy w wielkiej sali dawał posłuchanie. Zastaliśmy tam więcej ludzi niż u samego króla. Widziałem komandorów i rycerzy św. Jakoba i Calatravy, którzy starali się o gubernatorstwa i wicekrólestwa, biskupów, którzy słabymi będąc w swoich dycecyjach, dla zmiany powietrza jedynie chcieli być arcybiskupami, ojców zakonów św. Dominika i św. Franciszka, którzy z pokorą błagali o infuły. Uważałem także oficerów, którzy podobnie jak kapitan Chinilla nudzili się wyglądając pensyi. Jeżeli książę nie zaspokajał życzeń wszystkich, tedy przynajmniej podania ich przyjmował z uprzejmością, i widziałem że bardzo grzecznie odpowiadał wszystkim z którymi rozmawiał.

Czekaliśmy cierpliwie póki nie odprawił wszystkich suplikantów. Wtedy don Diego odezwał się: oto jest Gil Blas z Santillany, ten młody człowiek, którego Wasza Wysokość wybrałeś do zajęcia miejsca po don Valerio. Na to książę spojrze-



Gabryela.

wszy na mnie, rzekł, że mi się to miejsce należy za zasługi jemu świadczone. Kazał mi potem wejść do gabinetu, aby się ze mną osobiście rozmówić, albo raczej z rozmowy poznać moje usposobienie. Naprzód chciał wiedzieć ktobyem był i jak dotąd żyłem. Domagał się nawet w tym względzie opowiadania szczerzego. Lecz jakichże ode mnie żądał szczegółów! Zmyślać w obliczu pierwszego ministra Hiszpanii niepodobieństwo. Z drugiej strony miałem tyle do powiedzenia z uszczerbkiem mojej próżności, że trudno było odważyć się na spowiedź powszechną. Jakże się z tego wywiktać? chwyciłem się więc przystrajania prawdy, tam, gdzieby za straszną była w swojej nagości. Wszakże mimo moje przebiegi potrafił ją wykryć. Gdy skończył, książę uśmiechając się rzekł: panie Santillana jak ja widzę byłeś po części awanturnikiem. Panie, odpowiedziałem zarumieniony, Wasza Wysokość żądałeś szczerości, byłem posłuszny. Bardzo dobrze, odpowiedział, owszem moje dziecko, wyszedłeś z tego wszystkiego tanim kosztem, dziwię się nawet że cię zły przykład nie zgubił zupełnie.

Przyjacielu Santillano, zapomnij o przeszłości, myśl tylko, że teraz należysz do króla, że odtąd dla niego pracować będziesz. Pójdź z mną, pokażę ci, jakie będą twoje zatrudnienia. To rzekłszy wprowadził mnie do małego gabinetu, tuż obok swojego, gdzie na stolikach leżało około dwudziestu spi-

sów w arkuszu, bardzo grubych. Tu będziesz pracował, mówił mi, wszystkie te spisy, które widzisz, obejmują dykcyonarz zupełny wszystkich rodzin szlacheckich znajdujących się w królestwach i księstwach monarchii hiszpańskiej. Każda księga zawiera w porządku abecadlowym całą szlachtę jednego królestwa, z wyszczególnieniem zasług ich i ich przodków, zarazem ze sprawami honorowymi jakie mieć mogli. Jest w nich także wzmianka o ich majątku, o ich obyczajach, słowem o ich dobrych i złych przymiotach; tak, że skoro starają się o jaką łaskę u dworu mogą za jednym rzutem oka ujrzeć czy na nią zasługują. Żeby zaś o tém wszystkim wiedzieć, utrzymuję po wszystkich stronach pensyonowanych ludzi, których obowiązkiem jest wywiadywać się o wszystkiem, i donosić mi w swoich podaniach; lecz że te podania są częstokroć rozwlekłe i pełne prowincyalizmów, wypada je więc układać, okrzesywać wyrażenia, ponieważ król częstokroć każe je sobie czytać. Do tej to pracy, wymagającej stylu czystego i zwięzłego chcę użyć cię od tej chwili.

To mówiąc wyjął z teki pełnej papierów przedstawienie które mi podał do ręki, poczem wyszedł z gabinetu, abym mógł swobodnie zająć się tą pierwszą próbą. Przeczytałem podanie nie tylko nadziane barbarzyńskimi wyrażeniami, ale nawet złośliwe. A przecież był to mntch z miasta Solsony, który je pisał. Przybierając styl uczciwego człowieka nielitościwie szarpał katalańską rodzinę, a Bóg wie czy to była prawda! Zdawało mi się że czytam paszkwil szkalujący, i zrazu miałem skrupuł pisać o tém, obawiałem się zostać spółnikiem oszczerstwa, ztémwszystkiem, chociaż nowicyusz przy dworze, puściłem się dalej, zwalając winę na duszę dobrego mnicha, jeżeliby w tém było co niegodziwego, zacząłem dwa, czy trzy pokolenia uczciwych może ludzi, obdzierać z czci i sławy, w potocznych kastyllańskich wyrażeniach.

Już około pięciu stronnic zapisałem, gdy księżę ciekawy mojej roboty, wszedł i odezwał się: Santillana pokaż mi coś dotąd napisał, chciałbym to widzieć. Rzucając okiem na moje pismo przeczytał początek z wielką uwagą. Zdał mi się być tak dalece zadowolonym, iż to mnie nie pomału zdziwiło. Jakkolwiek byłem uprzedzony korzystnie dla ciebie, odezwał się, przyznam się, iż przeszedłeś moje oczekiwanie. Piszesz nie tylko czysto i zwięźle, czego pragnąłem, ale nadto styl twój jest lekki i żywy. Usprawiedliwiasz zupełnie wybór jaki uczyniłem i pocieszasz mnie po stracie twojego poprzednika. Minister możeby na tém nie skończył swojej pochwały, lecz hrabia Lemos jego synowiec wszedłszy, przerwał mu w tém miejscu. Jego Wysokość uściłkał go kilka razy w sposób dający do poznania, że go serdecznie kochał. Zamknęli się obadwa dla naradzenia się w interesie familijnym, o którym później namienię.

Gdy obadwa jeszcze razem byli, usłyszałem bijącą dwunastą godzinę. Wiedząc że sekretarze i urzędnicy o tej godzinie opuszczają swoje bióra, udając się na obiad, gdzie im się podobą i ja więc zostawiłem mój cudotwór, wyszedłem udając się, nie do Monteséra, ponieważ mi już wypłacił moje zasługi i pożegnałem się z nim, lecz do najświetniejszego traktyera w obrębie dworu. Zwyczajna garnkuchnia wcale nie była dla mnie przyzwolną. *Pamiętaj że teraz należysz do króla*; wyrazy wyrzeczone do mnie przez księcia, ciągle brzmiały mi w uszach i stały się zarodem dumy, która od czasu do czasu krzewiła się w moim umyśle.

ROZDZIAŁ III.

Gil Blas dowiadyuje się o przykrościach swojej posady i w skutek tego urzęda swoje postępowanie.

Wszedłszy, coś mnie korciło, żebym naprzd oświadczył traktyerowi, iż jestem sekretarzem pierwszego ministra, a w tym charakterze sam nie wiedziałem czego żądać na obiad. Obawiałem się, abym nie wymienił czegoś, coby traćciło oszczędność i dlatego powiedziałem, żeby mi dał, co mu się podobą. Uraczył mnie bardzo dobrze, ale przy tém, usługiwano mi z oznakami uszanowania, które mi więcej jeszcze przyjemności sprawiały, niż sam obiad wykwiłny. Gdy przyszło do płace-

nia, rzuciłem ludora, z którego najmniej czwartą część, należąca mi się do zdania, zostawiłem służącym. Poczem wyszedłem z traktyerni przeciągając się i wystawiając pierś, jak to zwykle robią młodziki, zadowolone ze swojej osoby.

O dwadzieścia kroków ztamtąd, był wielki hotel, w którym zwykle panowie cudzoziemscy stawali. Tam nająłem apartament z sześciu pokojów dobrze nmeblowanych złożony; zdawało się że miałem około trzech tysięcy dukatów dochodu. Zapłaciłem nawet pierwszy miesiąc naprzd, poczem wróciłem do mojej roboty, zajmując się przez całe popołudnie tém, com zaczął zrana. W gabinecie sąsiednim, było także dwóch sekretarzy, którzy tylko przepisywali na czysto, co im sam księżę przynosił. Tegoż samego wieczora wychodząc, zaznajomiłem się z nimi, żeby zaś tém pewniej zyskać ich przychylność, zaprowadziłem ich do mojego traktyera, zażądałem najlepszych potraw owęj pory, i wina najwykwintniejszego, i najwyżej cenionego w Hiszpanii.

Zasiedliśmy do stołu i rozpoczęliśmy gawędkę z większą wesołością niż dowiepim, bo żeby oddać należną sprawiedliwość moim spółbiesiadnikom, spostrzegłem od razu, że miejsca zajmowane w biórze, wcale nie były ich ukształcenia ndziałem; znali oni wprawdzie wybornie literaturę, ale nie tę, której po uniwersytetach ucza, lecz tę, która się zasadza na pięknych literach okrągłych i gockich.

Natomiast doskonale znali swoje drobne interesa i dał mi poznać, że nie byll tak dalece upojeni szczęściem znajdowania się przy boku pierwszego ministra, aby nie mieli utyskiwać nad swoim stanem. Już pięć miesięcy rzekł jeden, jak spełniamy nasze obowiązki o własnym koszcie. Nie bierzemy żadnej płacy, a co gorsza, nasza płaca wcale nie oznaczona. Nie wiemy na jakiej zasadzie jesteśmy. Co do mnie, odezwał się drugi, jabym chętnie przyjął dwadzieścia plag zamiast pensyl, gdyby mi tylko pozwolono szukać miejsca gdzieindziej; bo sam oddalił się nie śmiem, ani nawet prosić o uwolnienie, napisawszy tyle rzeczy tajemnych; mógłbym bardzo łatwo odwiedzić wieżę Segowii, albo zamek w Alicante.

Jakim więc sposobem żyjecie, odezwałem się do nich; macie zapewne majątek? Odpowiedzieli mi, że bardzo szczupły, lecz szczęściem dla nich, mieszkają u zaciej wdowy, która nie nalega na zapłatę i żywi ich za sto ludorów od osoby na cały rok. Te wyrazy, z których ani jednego nie uroniłem, w mgieniu oka rozwiały dymy mojej próżności. Wyobrazilłem sobie, że zapewne dla mnie nie będzie większej względności jak dla drugich, że w skutek tego, moja posada nie ma mnie czém tak bardzo zachwycać; że mniej była pewna, niż się spodziewałem, a zatem że trzeba oszczędzać fundusze. Takowe rozmyślania wyleczyły mnie z szalu wielkich wydatków. Zacząłem żałować, że tam przyprowadziłem moich kolegów i pragnąc końca biessady; a gdy przyszło do zapłaty, już miałem spór za należytość.

Rozeszliśmy się o północy, ponieważ nie nagliłem ich by więcej pili. Oni poszli do swojej wdowy, a ja do mojego pysznego apartamentu, za którego najęte wściekałem się wtedy, zaklinając się, że go porzucę po miesiącu. Naprzd rzuciłem się w wyborne łożko, wewnętrzną niespokojność oddaliła sen ode mnie. Resztę nocy przepędziłem marząc, by nie pracować z poświęceniem dla króla. Przypomniała mi się w tym względzie rada Monteséra. Wstałem z mocnem przedsięwzięciem złożenia mojego uszanowania don Rodrigowi de Calderone; byłem przedziwnie usposobiony, do stawienia się przed tym dumnym człowiekiem, bom czuł, że go potrzebuję. Udałem się więc do tego sekretarza.

Mieszkanie jego, stykało się z pokojami księcia Lerma i wyrównywało im co do przepychu. Patrząc na umeblowanie, nie potrafiłbyś odróżnić pana od slugi. Kazałem dać znać o sobie, jako następcy don Valerio, co nie przeszkodziło bynajmniej, do zatrzymania mnie dobrą godzinę w przedpokoju. Mości nowy sekretarzu, pomyśliłem sobie, miej z łaski swojej cierpliwość, musisz długo jeszcze wystawać za drzwiami, nim inni będą wystawali za twojami.

Przecież otworzyły się drzwi pokoju, wszedłem więc, postępując ku don Rodrigowi, który skończywszy słodki bilecik do swojej slicznej syreny, oddawał go w tej chwili Pedrillowi. Nie przedstawiałem się ani arcybiskupowi Granady, ani hrabiemu Gallano, ani nawet pierwszemu ministrowi, z takim nszanowaniem, jak panu de Calderone. Skłoniłem mu się do samej ziemi, i prosząc go o opiekę w wyrazach, których dotąd wspomnieć nie mogę bez wstydu, tak były pokorne. Upodlenie moje byłoby mi szkodliwem w umyśle każdego innego człowieka mniej dumnego. On przyjął dobrze moje czolgające się postępowanie i rzekł z miną dosyć grzeczną, że nie opuści żadnej sposobności, aby mi zrobić przyjemność.

Dziękując mu z oznakami wielkiej gorliwości, za objawione mi uczucia przychylnie, zaprzysiągłem mu dogonne przywiązanie. Następnie by mu nie robić przykrości, oddaliłem się, przepraszając, że mu przerwał ważne jego zatrudnienia. Po tak haniebnym kroku, wracałem zawstydzony, idąc prosto do biura dla dokończenia poleconego mi dzieła. Książę przybył także rano, nie mniej był kontent z końca, jak z początku mojej roboty i rzekł: Otóż to jest dobrze; przepisz sam, jak będziesz mógł najpiękniej, tę skróconą historią w spisie katalońskim. Potem wyjmiesz z teki drugie przedstawienie, które podobnież ułożysz. Długo rozmawiałem z jego wysokością, którego sposób obejścia się łagodny i poufały, w zachwycenie mnie wprawiał. Cóż to za różnica między nim a Calderonem! Były to dwie figury zupełnie sobie przeciwne.

W tym dniu jadłem obiad w garnkuchni za cenę bardzo umiarkowaną i postanowiłem tam codziennie bywać *incognito*, póki bym nie ujrzał skutku moich zabiegów i mojej podłości. Miałem pieniędzy na trzy miesiące najdłużej, ten więc czas zakreśliłem sobie do pracowania na koszt, do kogo należyć będzie, postanowiwszy u siebie, że gdy głupstwa im krótsze tym lepsze, opuścić po upływie tego czasu dwór i jego błyskotki, jeżeli bym nie otrzymał pensji. Tak więc ułożyłem plan. Nie szczędziłem trudów przez dwa miesiące, by się podobać Calderonowi, lecz tak mało zwracał uwagi na to, com dla niego robił, iż straciłem nadzieję, aby z nim przyjść do jakiego końca. Zmieniłem więc postępowanie względem niego; przestałem mu nadskakiwać i uwziąłem się korzystać z chwil rozmowy z księciem.

ROZDZIAŁ IV.

Gil Blas zyskuje względy księcia Lerma i zostaje powiernikiem tajemnicy bardzo ważnej.

Chociaż jego wysokość codziennie, że tak powiem, pojawiał się i znikał mi z przed oczu, mimo to potrafiłem stać mu się przyjemnym, tak dalece, że raz po południu odezwał się do mnie: Słuchaj Gil Blasie, podobał mi się twój charakter i twój umysł, czuję do ciebie przywiązanie. Jesteś chłopcem gorliwym, wiernym, pełnym zdolności, a nadewszystko umiejącym utrzymać sekret; mniemam że nie zbłądzą, pokładając w takim człowieku moje zaufanie. Usłyszawszy te słowa, rzuciłem się do nóg księcia, a ucałowawszy jego rękę, którą wyciągnął dla podniesienia mnie, rzekłem: Czy podobna, aby wasza wysokość raczył mnie obdarzać tak wielką łaską? Ilaż to tajnych nieprzyjaciół, dobroć pańska mi przymnoży! Stémwyszystkiem jedynie tylko obawiam się gniewu, to jest Rodriga Calderone.

Nie masz się czego lękać z tej strony, odpowiedział książę. Ja znam Calderona, jest on przy mnie od dzieciństwa. Mogę cię zapewnić, że uczucia jego są zupełnie zgodne z moimi, on lubi to, co mnie się podoba, nienawidzi to, czego ja nie cierpię. Zamiast obawiać się jego niechęci, możesz śmiało liczyć na jego przyjaźń. Pomarkowałem z tego, że pan Calderon był przebiegły matacz, który owałdnął umysł księcia, że z nim nie dosyć mi być ostróżnym potrzeba.

Żebyś atoll wiedział, jak dalece ważne to jest moje zaufanie, muszę ci objawić mój zamiar, nad którym głowę łamię; wypada abyś o nim wiedział, dla tém lepszego spełnienia poleceń, jakie ci powierzyć w następstwie myślę. Już oddawna władza moja powszechnie zyskała uznanie; rozporządze-

nia moje ślepo wszędzie wykonywają, szafuję według mojej woli urzędami, gubernatorstwami, wice-królestwami i beneficjami. Panuję, jeżeli tak rzec mogę w Hiszpanii. Już niczego więcej od fortuny żądać nie mogę; radbym jedynie, to co posładam, zabezpieczyć od wściekłości burzy, która mi już zbiera się nad głową; w tym celu pragnąłbym następcą swoim w ministerstwie, mieć hrabiego Lemos.

W tém miejscu minister spostrzegłszy moje zdziwienie, rzekł: Ja wiem, Gil Blasie, wiem dobrze, co cię tak uderza; zdaje ci się rzecz dziwna, że przekładam synowca nad księcia Uzedo, mojego własnego syna. Lecz muszę ci powiedzieć, że umysł tego ostatniego zbyt jest ciasny, aby mógł godnie zajmować tak ważne miejsce, a prócz tego, nienawidzę go. Znalazł on sposób przypodobania się królowi, który go chce wynieść na stopień swojego polubienca, a tego właśnie ja nie mogę ścierpieć.

Otwieram ci, mówił dalej, aż do głębi serce moje. Probowałem już wybić królowi z głowy księcia Uzedo, gdy mi się to nie powiodło, zataczam działa z innej strony. Radbym aby hrabia Lemos wcisnął się do serca następcy tronu. Będąc szlachcicem jego pokojowym, ma sposobność rozmawiania z nim w każdej chwili; jest on dosyć w tym względzie przebiegły, ale prócz tego, ja znam drogę pewną, którą zamierzonego dojdę celu. Przez takowy obrot, postawię mojego synowca u przeciw mojego syna, poróżnię ich, a to ich obudwóch zmusi do szukania mojej pomocy, a skoro mnie potrzebować będą, obadwa staną się nęglymi. Otóż to jest mój zamiar, do którego wykonania, twoja usługa jest mi potrzebna. Ciebie ja chcę potajemnie posyłać do hrabiego Lemos, abyś mi donosił od niego, co ci powierzy.

Takowe zwierzenie się, uważając za gotową monetę, byłem o moją przyszłość zupełnie spokojny. Przecież raz, pomyśliłem sobie, dostałem się pod rynek, z którejś deszcz złoty lać się będzie na mnie. Niepodobna, aby powiernik człowieka, który włada całą monarchią hiszpańską, nie miał być wkrótce obsypany skarbami. Tak słodką rozmarzony nadzieją, obojętnie spoglądałem na mój woreczek, który już blizkim był wyzionięcia ostatniego ducha.

ROZDZIAŁ V.

Gil Blas pełen radości, honorów i nędzy.

Na dworze wnet spostrzeżono względy, jakimi mnie obdarzał minister, on sam chciał publicznie dać mi dowód swojej łaski, dając mi swój portfel, który zwykle sam nosił udając się na radę. Ta nowość przedstawiała mnie wszystkim jako małego polubienca, obudziła zazdrość nie jednego, wywołała tysiączne grzechności innych. Moi dwaj sąsiedzi sekretarze nie byli także ostatnimi w winszowaniach przyszłej wielkości, zaprosili mnie na wieszczkę do swojej wdowy, nie tak dla odwetu, jako raczej dla zobowiązania mnie do względów dla nich w przyszłości. Wszędzie mnie częstowano: nawet dumny don Rodrig zmienił ton ze mną, odtąd inaczej mnie nie mianował tylko *panie de Santillana*, ten, który mnie dotąd nie tytułował inaczej tylko *acan*, nie używszy nigdy wyrazu *pan*: nudził mnie grzechnościami, osobliwie wtedy, gdy miarkował, że to pan jego spostrzedz może. Ale zaręczam wam, że nie z głupcem miał do czynienia. Na jego grzeczenie słówka odpowiadałem z tém większą uprzejmością, im mocniej go nienawidziłem; wytrawny dworak nie potrafiłby się lepiej ode mnie znaleźć.

Towarzystwem także księcia, kiedy się udawał do króla, a to zdarzało się pospolicie trzy razy na dzień. Wchodził do pokoju J. K. Mości, gdy ten się przebudził: klękał w głowach łóżka, układał co król JM. ma robić w tym dniu i co mówić, poczem odcodził. Wracał znowu zaraz po obiedzie, nie dla interesów, lecz dla rozweselającej rozmowy. Uraczał go wszystkimi zabawami przygodami, jakie się zdarzyć mogły w Madrycie, a o których najpierwszą zawsze miał wiadomość od osób w tym celu płatnych. Wreszcie wieczór oglądał króla po raz trzeci, dawał mu sprawę, według swojej woli z tego, co w ciągu dnia zrobił i prosił o rozkazy na dzień następujący. Kiedy minister był u króla, ja zostawałem w przedpokoju, widziałem tam znakomite osoby, hołdujące względem, starające

się zawiązać ze mną gawędkę i uszczęśliwione, jeżeli raczył im nadstawić ucha. Po tym wszystkim, czyż podobna, abym się nie miał uważać za człowieka wielkiej wagi? Jest przy dworze nie mało takich, co za daleko mniejszą cenę zyskują o sobie takie mniemanie.

Pewnego dnia próżność moja jeszcze większy znalazła żywioł. Król, któremu książę bardzo korzystnie mówił o moim stylu, chciał sam słyszyć jego próbę. Jego Wysokość kazał mi wziąć spis kataloński, zaprowadził mnie przed oblicze monarchy i kazał mi przeczytać pierwsze przedstawienie, które ja ułożyłem. Jeżeli obecność panującego zmieszala mnie zrazu, przytomność ministra wróciła mi odwagę, przeczytałem moje dzieło, którego J. K. Mości z przyjemnością słuchał. Monarcha oświadczył mi łaskawie, że kontent jest ze mnie i polecił ministrowi, aby miał staranie o moim losie. To nie zmniejszyło bynajmniej dąmy, którą już napojony byłem; a rozmowa, którą w kilka dni potem miałem z hrabią Lemos, do reszty nadęła moje głowę.

Udałem się do tego pana z rozkazu jego stryja, złożyłem mu list wierzytelny, w którym książę zawiadomił go, iż może się ze wszystkim zwierzyć człowiekowi, który dokładnie wie o ich zamiarze, i wybrany jest na ich wspólnego posłańca. Przeczytawszy bilet, hrabia zaprowadził mnie do pokoju, w którym zamknęliśmy się obadwa, i ten młody pan zaczął mówić w te słowa: Ponieważ zyskałeś zaufanie księcia Lerma, nie wątpię bynajmniej, iż na nie zasługujesz, i nie potrzebuję się wahać w udzieleniu ci mojej ufności. Wiédz zatem, że rzeczy idą jak najplej: książę następcą tronu najwyżej mnie ceni ze wszystkich dworzan przywiązanych do jego osoby, a starających mu się przypodobać. Dziś rano rozmawiał ze mną sam na sam, wynurzył mi swój żal, że skąpstwo króla nie pozwala mi iść za uczuciami szlachetnego serca, a nawet czynić wydatków jak przystoi na księcia. Wtedy nie zaniedbałem ubolewać nad nim, a korzystając z chwili, przyrzekłem jutro rano przy nbię-raniu się dostarczyć mu tysiąc luldorów tymczasowo, póki większych nie będzie sumy, zapewniając go, iż potrafię je wynaleźć. Zachwycony był moją obietnicą; jestem pewny pozyskania jego łaski, skoro mu dotrzymam obietnicy. Dodał zaraz, powtórz te wszystkie okoliczności mojemu stryjowi i wracaj dziś wieczór zawiadomić mnie o jego zdaniu.

Po tej przemowie opuściłem hrabiego Lemos, a udałem się do księcia Lerma, który stosownie do mojego sprawozdania zażądał od Calderona tysiąc luldorów, które mi doręczono z poleceniem, abym zaraz wieczór oddał je hrabiemu. Pomyśliłem sobie, oho! teraz dopióro widzę jaki to niechybny ten środek, za pomocą którego książę pewny jest szczęśliwego powodzenia! Ma słuszość, dalsbóg, a według wszelkiego podobieństwa, ta szczerobliwość zapewne go nie zuboży. Domyślałem się z czyjej skrzyń wyciąga te luldory; ależ, koniec końców, nie jestże rzeczą słuszną, aby ojciec utrzymywał swojego syna? Hrabia Lemos ruszając się ze mną, szepnął mi po cichu: bąc zdrów kochany powierniku! Książę hiszpański lubi trochę kobiecy; musimy się obadwa w tym względzie kiedyś porozumieć: przewidując, że wkrótce będę potrzebował twojej usługi. Wracałem dumając nad temi wyrazami, które nie były wcale dwuznaczne, a które mi cieszyły niezmiernie. Otóż masz, pomyśliłem sobie, gotów już jesteś wyjść na Merkurego księcia Hiszpanii! Nie rozbrajałem tego, czy to dobrze lub źle: powołanie gacha zagłuszało moją moralność. Co to za zaszczyt dla mnie być sługą rozkoszy możnego księcia! Oh! powoli mości Gil Blasie, rzeknie ktoś, chodzi tu dla ciebie o służbę podrzędną. Zgoda! ale w gruncie rzeczy obiedwie te posady równy mają zaszczyt, korzyść z nich tylko jest różna.

Spełniając te szlachetne polecenia, dzień za dniem coraz dalej postępując w łaskach pierwszego ministra, z najświetniejszych nadziejami w świecie, jakże byłbym szczęśliwy, gdyby duma zasłaniała mnie od głodu! Już od dwóch miesięcy ustąpiłem z moich apartamentów wspantałych, a zajmowałem małą izbę bardzo skromną. Było mi to wprawdzie przykro, ale że wyszedłszy rano, wracałem dopióro późno wieczór, tylko

na noc, mogłem więc mieć cierpliwość. Cały dzień przepędzałem na mojej scenie, tojest n księcia. Tam grałem rolę pana, ale skoro wróciłem do mojej ciupy, pan zniknął, a zostawał biedny Gil Blas bez pieniędzy, a co jeszcze gorsza bez środka ich nabycia. Byłem nadto dumny, abym miał komuś wyjawić moje potrzeby, a prócz tego nie znałem nikogo, do którego mógłbym się udać o pomoc prócz jednego Navarro, o którym zapomniałem dostawszy się do dworu, nie śmiałem go więc zaciepcać. Zmuszony zostałem sprzedawać moje manatki sztuka za sztuką; zostały mi już tylko same niezbędne. Nie chodziłem do garnkuchni nie mając czem płacić. Jakimże więc sposobem utrzymywałem się? zaraz wam powiem. Codziennie do biura przynoszono nam na śniadanie bułkę i naparstek wina, to wszystko co minister kazał nam dawać. To było moje jedzenie na cały dzień, a najczęściej kładłem się spać bez wieczerzy.

Takie było położenie człowieka jaśniejszego przy dworze; więcej zasługującego na litość niż zawiść. W końcu atoli niepodobna było wytrzymać tej biedy, postanowiłem przeto przy pierwszej lepszej sposobności objawić ją księcin. Szczęściem okoliczność nastąpiła się sama w Eskuriale, dokąd się udał król z następcą tronu w kilka dni później.

ROZDZIAŁ VI.

Jakim sposobem Gil Blas nędzę swoją objawia księciu Lerma.

W Eskuriale wszyscy żyliśmy kosztem królewskim, tym sposobem nie czułem tam, gdzie mnie ból uciska. Sypiałem w szatni obok pokoju księcia. Pewnego dnia minister wstawszy o świcie według swojego zwyczaju, kazał mi wziąć niektóre papiery, piórnik z kałamarzem i iść za sobą do ogrodu pałacowego. Usiedliśmy pod rozłożystym drzewem i z polecenia księcia ja przybrałem postawę człowieka pisałcego na wierzchu swojego kapelusza; on zaś trzymał papier udając czytającego. Zdaleka wydawaliśmy się zajęci sprawami bardzo ważnymi, a jednak rozmawialiśmy o fraszkach, któremi książę wcale nie gardził.

Już z godzinę bawiłem go moimi dowcipkami, jakich mi wesoły humor dostarczał, kiedy dwie sroki usiadły na drzewie, które nas cieniem swoim osłaniało. Zaczęły szczebiotać tak wrzaskliwie, że zwróciły na siebie naszą uwagę. Zdaje się, rzekł książę, jakby te dwa ptaki swarzyły się między sobą; ciekawy byłbym wiedzieć przedmiot ich kłótni. Ciekawość W. Ks. M. rzekłem, przywozł mi na pamięć bajkę indyjską, którą czytałem w Pilpaju, czy też może w innym bajkopisarzu. Minister zapytał się, co by to była za bajka, a ja zacząłem w ten sposób.

Panował niegdys w Persyi dobry monarcha, który sam nie dość bystrego umyłu będąc, by mógł władać państwem, trudy te poruczył swojemu Wezyrowi. Ten minister, nazwiskiem Atal-mac, wyższym obdarzony geniuszem, nie spadał pod brzemieniem władzy w tak obszernem państwie. Utrzymywał spokojność, znał nawet sztukę uczynić powagę majestatu miłą, nie zmniejszając bynajmniej należytego dla niego poszanowania, a poddani w wiernym królowi wezyrze mieli ojca przywiązanego do siebie. Atal-mac między swoimi sekretarzami miał młodego kaszemirczyka nazwiskiem Zeangir, którego polubił nad wszystkich. Lubił słuchać jego rozmów, brał go z sobą na polowanie, objawiał mu najskrytsze swoje myśli. Raz polując obadwa w lesie, ujrzeni dwa kruki krakające na drzewie, w tem Wezyr odezwał się do swojego sekretarza: radbym wiedział co te dwa ptaki mówią w swoim języku. Panie, odpowiedział Zeangir, życzenia twoje mogą być spełnione. A to jak? odpowiedział Atal-mac. Oto, rzekł kaszemirczyk, pewny derwisz kabalista nauczył mnie mowy ptaków. Jeżeli sobie życzysz, posłucham ich, a potem powtórzę słowo, to co ucho moje uderzy.

Wezyr zezwolił. Kaszemirczyk zbliżył się do kruków i zdawał się baczenie nadstawić ucho. Poczem wracając, odezwał się: Panie, będzieszże wierzył? a to my byliśmy przedmiotem ich rozmowy. To niepodobna, zawołał minister perski. No i cóż o nas mówią? Jeden z nich, rzekł sekretarz, mówił: Otóż wi-

dźsz, to ten sam wielki wezyr Atalmac, ten orzeł opiekuńczy, który skrzydłami swojemi okrywa całą Persyą, jak swoje gula-zdo, który bezustannie czuwa nad jej dobrem, dla wypoczynku po trudach, poluje w tym lesie ze swoim wiernym Zeangirem. Jakże szczęśliwym jest ten sekretarz, że służy panu, który dlań tyle dobroci objawia. Powoli, przerwał drugi kruk, powoli, nie wynos tak dalece szczęścia tego kaszemirczyka! Prawda, że Atalmac rozmawia z nim poufale, zaszczyca go swoim zaufaniem, nie wątpię nawet, że kiedyś da mu znaczny urząd, lecz nim to się stanie, Zeangir z głodu umrze. Ten błędak mieszka w małej chacie, nie mając czem opędzić potrzeb niezbędnych. Słowem nędzne wlecze życie, a nikt tego nie widzi przy dworze. Wielki Wezyr ani pomyśli o tem, w jakim on może być stanie, a poprzestając na przychylnych ku niemu uczuciach, wystawia go na łup ubóstwa.

Na tem uciałem moją mowę, spoglądając na zbliżającego się do mnie księcia, który z uśmiechem zapytał się, jakieby wrzenie ta bajka zrobiła na umyśle Atalmaca, czy śmiałość sekretarza nie obraziła wielkiego wezyra. Nie, Mości książe, odpowiedziałem zmieszany nieco jego zapytaniem, przeciwnie, przypowieść ta kończy się dodatkiem, że go obyspał dobrodziejstw. To szczęście, odrzekł książe z miną zaszępiłą, są ministrowie, którymby się nie podobały takowe nauki. Ale, dodał przerywając rozmowę, zdaje mi się, że król wnet przebudzi się, obowiązek mój wzywa mnie do niego. Po tych słowach szybkim krokiem udał się do pałacu, nie odezawszy się więcej do mnie, bardzo niekontent z mojej bajki indyjskiej, jak mi się zdawało.

Postępowałem za nim aż do drzwi J. K. Mości, poczem złożyłem papiery w miejscu, z którego je wzięłem. Wstąpiłem do gabinetu, w którym pracowali dwaj nasi sekretarze kopiści, bo i oni należeli do orszaku podróżnego. Cóż ci to, panie Santillana? odezwali się spostrzegszy mnie; jesteś bardzo wzruszony! nie miałeś jakiego przykrego zdarzenia?

Byłem zbyt przejęty złym skutkiem mojej bajki, abym był w stanie ukryć przed nimi moją boleść. Opowiedziałem im wszystko, com mówił z księciem, a oni okazali widoczne spótcucie w mojem udręczeniu. Słusznie się trapisz, rzekł jeden z nich, książe częstokroć bierze rzeczy na opak. To wielka prawda, odezwiał się drugi. Bodajbyś tylko nie doznał takiego obejsia się, jakiego doświadczył jeden z sekretarzy kardynała Spinoza. Sekretarz ten znużony, że od piętnastu miesięcy, jak był w służbie jego Eminencyi, nie nie odbierał, odważył się pewnego dnia przedstawić mu swój niedostatek i prosił o zasiłek na utrzymanie życia. Bardzo sprawiedliwie, odpowiedział minister, należy ci się zapłata. Masz oto, dodał wręczając mu assygnacyą na tysiąc dukatów, odbierz tę summę ze skarbu królewskiego, ale wiedz zarazem, że ci dziękuję za twoje usługi. Sekretarz nie byłby się gniewał za odprawę, gdyby mu wypłacono tę summę z wolnością szukania miejsca gdzieindziej, lecz właśnie gdy wychodził od ministra, zatrzymany przez algazila, powędrował do wieży w Segowii, w której długo przesiedział.

Taki rys historyczny podwoił moją trwogę. Uważałem się za zgubionego, a nie mogąc się pocieszyć, zacząłem sobie wyrzucać moję niecierpliwosć, jak gdybym nie był dosyć cierpliwym. Niestety, pomyśliłem sobie, pocóż ja się odważyłem wystąpić z tą bajką przed ministrem? Może on sam już miał zamiar wydzwignąć mnie z mojej nędzy; może już byłem na drodze tego wielkiego szczęścia, które zdumiewa świat. Jakież zaszczyty, jakie skarby, wysłiznęły mi się z rąk, przez moją nierozwagę! Trzebaż było zastanowić się, że czasem wielcy panowie nie lubią, żeby ich wyprzedzać, którzy chcą, aby od nich odbierać jako łaskę, najmniejszą rzecz, do której są z prawa obowiązani. Lepiej było dalej zostać na dyecie, niż wspomnieć o tem księciu; nawet wypadło umrzeć z głodu, żeby całą winę zwałić na niego.

Gdybym był jeszcze miał jakąkolwiek nadzieję, pan mój byłby ją zniweczył popołudniu. Był bardzo poważny ze mną, nie tak jak zwykle, nie mówił wcale, co mnie na resztę dnia śmier-

telnej nabawiło trwogi. Noc nie była spokojniejsza, żal roz-wlanych słodkich marzeń, obawa pomnożenia liczby winowaj-ców stanu, wyrwały z piersi moich same jęki i bolewania.

Dzień następny, był dnem przesilenia. Książę kazał mnie zawołać rano. Wszedłem do jego pokoju z większem drżeniem aniżeli winowajca stawający przed sądem. Santillana, odezwiał się do mnie, pokazując papiér, który trzymał w ręku, weź to rozporządzenie... Zadrżałem na ten wyraz rozporządzenie, pomysliłem sobie, o Boże, otóż jest kardynał Spinoza, już widzę wóz gotowy do Segowii. Strach mój w téj chwili był tak wielki, że przerwał ministrowi i rzucając się mu do nóg, rzekłem: Mości książe, błagam najpokorniej Waszą Wysokość o przebaczenie mojej śmiałości; konieczność zagniła mnie do objawienia ci mojej nędzy.

Książę nie mógł się wstrzymać od śmiechu widząc moją nie-spokojność. Uspokój się Gil Blasie, rzekł i słuchaj mnie. Cho-ciaż objawiając mi swoje potrzeby, wyrzuciłeś mi niejako, że m-ich nie uprzedził, nie mam ci tego jednak za złe mój przyja-cielu. Owszem sam na siebie się gniewam, że m się nie pytał jak ty się utrzymujesz. Poczynając więc naprawę tego braku uwagi, daję ci rozporządzenie na tysiąc pięćset dukatów, któ-re ci za okazaniem wylczone zostaną ze skarbu królewskie-go. To nie wszystko, taką summę zapewniłam ci co rok; a nad-to, jeżeli osoby bogate i wspartałomyślne będą cię prosić o jak-ką przysługę, nie zabraniam ci przemówić na ich korzyść.

W zachwyceniu, w jakie mnie wprawiły te wyrazy ministra, całowałem nogi jego, który podniósłszy mnie, rozmawiał pou-fale. Ja także chciałem przywołać mój dobry humor, lecz niepodobna było tak szybko przejść od smutku do radości. By-łem jeszcze tak odrzuony, jak ten nieszczęśliwy, który słyszy głos łaski, w chwili gdy oczekiwał ciosu śmierci. Pan mój przypisywał moje pomieszanie obawie, żeby m nie utracił jego łaski, chociaż nie mniej na to wpływał strach wiecznego wię-zienia. Wyznał mi, że udawał obojętność dla przekonania się, czyby m się okazał czułym na tę zmianę, że z tego wniosł o mo-cy mego przywiązania do swojej osoby i że za to tem więcej mnie kocha.

ROZDZIAŁ VII.

O dobrem użyciu tysiąca pięciuset dukatów, o pierwszym interesie do któ-rego się wniósł.

Król, jakby chciał usłużyć moję niecierpliwosć, zaraz na-zajutrz wrócił do Madrytu. Pobiegłem zaraz do skarbu i ode-brałem summę wymienioną w rozporządzeniu. Rzadko bardzo zdarza się, by głowy nie stracił golec, gdy nagle przejdzie z nędzy do bogactwa. I ja zmieniłem się zarazem z fortuną; poszedłem za podnieętą dumy i próżności, opuściłem moją nę-dzną ciupę, zostawiając ją sekretarzom, którzy jeszcze nie rozumieją mowy ptaków, najalem zaś powtórnice mój dawniej-szy wspanałay apartament, który szczęsnym zdarzeniem nie był jeszcze zajęty. Posłałem po najświetniejszego krawca, który ubierał prawie wszystkich panów. Wziął miarę i zaprowadził do kupca, któremu kazał odciąć pięć łokci sukna, dla zrobie-nia dla mnie ubioru. Pięć łokci na suknię hiszpańską! Boże zmiłuj się!... Ale nie rozprawiajmy w tym względzie: wszyscy krawcy biorą więcej niż potrzeba, a słynniejsi więcej niż inni. Następnie sprawilem sobie bieliznę niezbędną mi potrzebna, z kapeluszem po hiszpańsku obszytym.

Po tem wszystkiem nie mogąc się uczelwie obejść bez loka-ja, prosiłem Wincetego Torero, mego gospodarza, aby mi nastęrczył jakiego ze swojego ramienia. Większa część eu-dozioziemców zajmujących u niego mieszkania, za przybyciem do Madrytu brali do usług lokajów Hiszpanów, dla tego wszy-sczy służący bez miejsca ściągali się do tego hotelu. Pierwszy, który mi się przedstawił, był chłopak z wejrzenia tak łagodny i pobożny, że m go przyjąć nie chciał; zdawało mi się, że widzę w jego osobie Ambrożego de Lamela. Nie cierpię służą-cych, rzekłem Torerowi, którzy mają minę tak bardzo enotli-wych, jużem się raz sparzył.

Zaledwie odprawiłem z kwitkiem pierwszego, przybył zaraz drugi. Ten zdawał się bardzo bystry, śmielszy od pafia dwor-

skiego, a przy tém trochę frant. Podobał mi się. Zacząłem go badać, odpowiadał dowcipnie; zdał mi się nawet stworzonym do matactwa. Uważałem go więc za istotę, której potrzebowałem, zgodziłem go. Nie miałem powodu żalowania. Wkrótce spostrzegłem, że mój wyborny zrobił nabytek. Ponieważ ksiądz pozwolił mi przemawiać w interesie osób, którymbym chciał się przysłużyć, nie myślałem zauledywać tego, trzeba mi tylko było wyzła, któryby zwierzył zwierzyne, to jest franta dostyc przebiegłego, któryby potrafił wygrzebać i sprowadzić do mnie szukających łaski pierwszego ministra. To właśnie był główny talent Scypiona, tak się bowiem nazywał mój lokaj. Wyszedł on wtedy ze służby dony Anny de Guevara, mamki księcia Asturyi, gdzie właśnie doświadczał swojego talentu; była to bowiem kobieta z rządu tych, które nabywszy jakiegoś znaczenia u dworu, umieją z niego ciągnąć korzyści.

Skorom powiedział Scypionowi, że mogę uzyskać łaskę królewską, natychmiast wyruszył w pole, i tegoż samego dnia, rzekł mi: panie, dość dobre zrobiłem odkrycie. Przybył do Madrytu młody szlachcic granadyjski, nazwiskiem Roger de Rada. Miał on rozprawę honorową, która go zmusza do szukania opiekli księcia Lerma, gotów on jest dobrze zapłacić wyświadczoną sobie przysługę. Mówiłem już z nim. On miał ochotę udać się do don Rodriga de Calderone, którego władzę wychwalano przed nim; alem go odwrócił od tego zamiaru, dając mu do zrozumienia, że ten sekretarz wstawienie się swoje na wagę złota sprzedaje, gdy tymczasem pan za swoje poprzestaniez na uczciwych oznakach wdzięczności; żebyś to nawet gotów zrobić darmo, gdyby położenie pańskie pozwalało iść za popędem serca szlachcicu i bezinteresownego. Zresztą tak nagadałem temu szlachcicowi, że go pan ujrzyz u siebie jutro rano przy ubieraniu się. Jak to, odezwałem się, mości Scypionie, toś ty już znalazł gratkę? Widzę, że nie jesteś frycem w intryganckim rzemiośle. Dziwi mnie tylko, że dotąd nie jesteś bogatszym. To wcale nie powłno pana zastanawiać, odpowiedział mi, lubię w obieg puszczać piętańdze, wcale nie ciulam.

Don Roger de Rada rzeczywiście przyszedł do mnie. Przyjąłem go grzecznie, choć nie bez dumy. Panie kawalerze, odezwałem się do niego, nim się zobowiążę na twoje usługi, chcę wiedzieć o twojej sprawie honorowej, która cię sprowadza do Madrytu, bo może ona być tej natury, iż nie będę się mógł odważyć przedstawić jej pierwszemu ministrowi. Zdam mi więc z łaski swojej sprawę rzetelnie, i bąć przekonany, że się mocno zajmę twoim interesem, jeżeli tylko przyzwolność pozwoli się do niej wnieść. Bardzo chętnie, odpowiedział młody granadyjczyk, opowiem ci szczerze moją historią, i zaraz zaczął w ten sposób.

ROZDZIAŁ VIII.

Historia don Rogera de Rada.

Don Anastasio de Rada, szlachcic granadyjski, żył szczęśliwie w mieście Antegnerua z doną Estephanią swoją małżonką, która z cnotą niezachwianą łączyła umysł łagodny i nadzwyczajną piękność. Kochała czule swojego męża i nawzajem namiętute była kochaną. Z natury skłonnym on był bardzo do zazdrości, a lubo nie miał najmniejszego powodu do powątpiewania o wierności swojej małżonki, przecież nie był wolnym od niespokojności. Bał się aby jaki tajny wróg jego spokoju nie targnął się na jego honor. Nie ufał żadnemu przyjacielowi, wyjąwszy don Huberta de Hordales, który miał wolny wstęp do domu, w charakterze krewnego Estephanii, a który był jedynym mężczyzną najwięcej na podejrzanie zasługującym.

W istocie don Huberto zakochał się w swojej krewnej i śmiał wyznać jej swoją namiętość, bez względu na związki krwi i na szczególniejszą przyjaźń, która go łączyła z don Anastasio. Kobieta roztropna, bez wrzawy mogącej zgnębie wywołać następstwa, z wszelką łagodnością zgromiła swojego krewnego, przedstawiła mu jak dalece był winnym starając się ją uwieść i zhańbić jej męża, i stanowczo mu oświadczyła, by sobie nie pochlebiał dojść kiedykolwiek do zamierzonego celu.

To umiarkowanie rozżarzyło jeszcze bardziej pożądlwość tego człowieka. W przekonaniu, że z kokięta takiego charakteru natarczywością przedź trafi do końca, przybrał względem niej ton śmielszy; wręcznie jednego dnia zuchwale nalegał by zaspokoiła jego żądze. Odepchnęła go tonem groźnym, dodając, że postara się u don Anastasio o ukaranie jego brutalstwa. Przestraszony pogróżką, przyrzekł nic już odtąd nie wspominać o miłości i na zasadzie tej obietnicy Estephania przebaczyła mu winę.

Don Huberto z natury złośliwy człowiek, nie mógł znieść tak niepomyślnego skutku swojej namiętości bez powzięcia podłej chęci zemsty. Znał on don Anastasio jako zazdrośnika skłonnego do przyjęcia wrażeń, jakiego mu się podobało zaszczeplić w jego umyśle. Więcej mu też nie potrzeba było do uknowania zamiaru najczarniejszego, na jaki tylko wyuzdany zbrodzień zdobyć się może. Raz wieczór chodząc sam z tym małżonkiem, odezwał się do niego tonem smutnym: kochany przyjacielu, nie mogę dłużej wstrzymać się od wyjawienia ci tajemnicy, którąbym zatrzymał u siebie, gdybym nie wiedział, że honor droższym jest dla ciebie, niż spokojność. Drażliwość twoja, równie jak i moja w przedmiocie obelgi nie pozwala mi tać tego, co się dzieje w twoim domu. Przygotuj się do powzięcia władomości, która cię przejmie boleścią i zdziwieniem. Zapewne uderzę cię w miejsce najdotkliwsze.

Rozumiem, przerwał don Anastasio już pomieszany, krewna twoja jest mi niewierna. Nie uznaję jej teraz za moją krewną, zawołał Hordales z uniesieniem; zapierałm się jej, niegodna mieć takiego małżonka. Za długo nadużywasz mojej cierpliwości, odezwał się don Anastasio, mów co zrobiła Estephania? Zdradziła cię, odpowiedział don Huberto. Masz spółzawodnika, którego ona słuca potajemnie, którego przecież nazwać ci nie potrafię, poulewał cudzołożca korzystając z ciemności nocy, potrafił się schronić przed okiem, które go śledziło. Tyle tylko wiem, że cię oszukują; to jest rzecz niewątpliwa. Udział jaki powłnienem mieć w tym razie, dostateczną jest rękocią rzetelności mojego opowiadania. Ponieważ sam się oświadczałem przeciw Estephanii, tedy muszę być silnie przekonany o jej niewierności.

Niema potrzeby, mówił dalej, widząc skutek jaki wyrazi jego wywierały, niema mówię potrzeby, powładać ci więcej. Widzę że jesteś oburzony na niewdzięczność, z jaką ci odpłacają za twoje przywiązanie, że myślisz o sprawiedliwej zemście. Nie sprzeciwiam się temu wcale. Nie zważaj co to jest za ofiara, którą ugodzić zamierzasz, pokaż całemu miastu, że niema nic takiego, czego byś nie poświęcił dla ocalenia honoru.

Zdrayca w ten sposób zapalał zbyt łatwowiernego męża, przeciw niewinnej kobiecie; w takich żywych kolorach malował mu hańbę, którą by się okrył zostawiając bezkarnie tę zniechę, iż wręcznie doprowadził go do wściekłości. Wrócił do domu z mocnym postanowieniem zamordowania nieszczęśliwej małżonki. Już miała się kłaść do łóżka, gdy przybył. Powściągnął się zrazu i czekał, póki by się wszyscy służący nie oddalili. Wtedy niepohamowany bojaźnią gniewu Bozkiego, ani hańba spadająca na uczelwą rodzinę, ani litosubem uczuciem, jakiego mieć powłnien nad szczęściomiesięcznym niemowlęciem, które matka nosiła w swoim żywocie, przystąpił do swojej ofiary i odezwał się tonem wściekłym: Musisz zginąć, nędzna chwila tylko życia ci zostawiona, abys błagała Boga o darowanie ci tego wstydu, jakim mnieś okryła. Nie chcę abys straciła duszę, tak jak straciłaś honor.

To mówiąc dobył szylet. Ten postępek i ta mowa, przeraziły Estephanią, rzucając mu się do nóg, z założonymi rękami, pomieszana, zawołała: Cóż to jest panie? jakż mogłam ci dać powód do niechęci, abys się aż do tej ostateczności posuwał? dla czegoż chcesz wydzierać życie swojej żonie? Jeżeli ją masz w podejrzaniu niewierności, mylisz się.

Nie, nie, ozwał się z gniewem zazdrośnik; aż nadto pewny jestem twojej zdrady. Osoby, które mnie ostrzegły, są godne wiary. Don Huberto... Ab panie, przerwała nagle, nie wierz don Hubertowi. Nie jest on takim przyjacielu twoim, jak ty

myślisz. Jeżeli ci coś niekorzystnego o mojej cności powiedział, nie wierz mu. Milcz podła! odpowiedział don Anastasio. Chcąc mnie złe przedzielił przeciw don Huberto, tém bardziej niesprawiedliwiasz moje podejrzenia, nie zmniejszając ich bynajmniej. Siłisz się podać w podejrzenie tego krewnego, ponleważ o wie o twojem złem sprawowaniu się. Radabyś osłabić jego świadectwo, wybieg to nieużyteczny, podwaja owszem we mnie żądę ukarania cię. Drogi mężu, rzekła niewinna Estephania, gorzkie łzy lejąc, lękaj się ślepego gniewu twojego. Idąc za jego popędem, spełnił czyn, po którym żadnej nie znajdziesz pociechy, uznawszy jego niesprawiedliwość. W imię Bozkie, uspokój twoje uniesienie! Wstrzymaj się przynajmniej aż do wyjaśnienia twoich podejrzeń; wtedy oddasz sprawiedliwość kobiecie, która niema sobie nic do zarzucenia.

Każdy inny, tylko nie don Anastasio, byłby wzruszony temi słowy, a bardziej jeszcze udręczeniem osoby, która je wyrzekła, lecz okrutny zamiast rozczulenia, krzyknął powtórnie, żeby się poleciała Bogu, i podął rękę, chcąc ją ugodzić. Wstrzymaj się barbarzyńco! zawołała: Jeżeli miłość, którąś mi okazywał, wygasła zupełnie w twém sercu, a dowody czułości jakimi cię obdarzałam, zatarły się w twoim umyśle, jeżeli łzy moje nie potrafią cię odwrócić od obmyślnego zamiaru, szanuj przynajmniej krew swoją własną; nie uzbrajaj wścieklej ręki przeciw niewiniątku, które jeszcze światła dziennego nie oglądało! Nie możesz zostać jego katem, bez obrazy Boga i ludzi; jać przebaczam śmierć moją, lecz nie wątp bynajmniej, że śmierć jego wołać będzie o sprawiedliwość za tak szkaradną zbrodnię!

Jakkolwiek don Anastasio mocno postanowił nie zważać na to, cokolwiekby Estephania powiedzieć mogła, przecież obrazy przerażające, jakie te ostatnie jej wyrazy przedstawiły umysłowi jego, wstrząsnęły jego duszą. Dla tego też, jakby lękając się, aby to wzruszenie nie zdradziło jego zemsty, spieszenie korzystał z reszły jeszcze wściekłości, i utopił sztylet w prawym boku swojej żony. Padła w tej chwili. Sądził ją nieżywą i wyszedł zaraz z domu swojego w Antequerra.

Nieszczęśliwa żona tak została odurzona tym ciosem, iż leżała na ziemi przez kilka chwil, jak osoba bez życia. Poczém odzyskawszy przytomność, zaczęła bolewać, jęczyć, przez co zwała starą swoją służącą. Ta ujrawszy panią swoją w tak oplakany stan, poczęła głośno szlochać i krzyczeć, póki nie rozbudziła reszły domowników, a nawet bliższych sąsiadów. Wnet mnóstwo ludzi napełniło pokój. Przywołano chirurgów, którzy zbadawszy ranę, nie uważali jej za groźną. Nie zawiedli się w swych przypuszczeniach, wylęcyl ją nawet w dosyć krótkim czasie. W trzy miesiące po tym strasznym wypadku, powiła szczęśliwie syna; a tego syna, panie Gil Blasie, oto masz przed sobą.

Chociaż złe języki ludzkie nie lubią oszczędzać kobiet cnotliwych, jednakże szanowały moją matkę i tę krwawą scenę przypisywano pospolicie w mieście zazdrośnemu uniesieniu męża. Prawda, że ojciec znany był jako człowiek gwałtowny i bardzo skłonny do nieufności. Hordales nie wątpił, że krewna jego miała go w podejrzeniu o zawrócenie głowy bajkami swojemu mężowi; lecz poprzestając na połowie przynajmniej zemsty nad nią, nie bywał u niej nigdy. Żeby nie nudzić pana, zamileję o sposobie mojego wychowania; to tylko namienić winienem, że matka moja szczególniej starała się, abym się nauczył robienia bronią, że w tym celu zwiędzałem najsłynniejsze sale Granady i Sewilli dla ćwiczenia się w walce na szpady. Czekająca niecierpliwie póki bym nie doszedł wieku zdolnego do zmierzania się z don Hubertem, wtedy dopióro zamierzając wyjawić powód żalu jaki miała do niego. Wreszcie gdy doszedłem ośmnastego roku życia, zwierzyła mi się wśród rzewnego płaczu i objawów ciężkiej bolesti. Jakież wrażenie sprawi matka w takim stanie na synu czułym i śmiałym? Poszedłem natychmiast do Hordalesa; wyprowadziłem go na miejsce ustronne, gdzie po długiej dosyć walce, przeszyłem go trzykrotnie szpadą i rozłożyłem na ziemi.

Don Huberto czując się śmiertelnie ranym; ostatnie wejrzemle zwrócił na mnie i rzekł, że zadana przeze mnie śmierć

przyjmuje jako słuszną karę zbrodni przeciw honorowi matki mojej popełnionej. Wyznał, że przez zemstę za jej surową cnotę postanowił ją zgubić. Skonał prosząc o przebaczenie winy: Boga, don Anastasio, Estephanią i mnie. Nie zdawało mi się rzeczą bezpieczną wracać do domu dla zawiadomienia matki o tém co się stało: zostawiłem to wieści. Przebyłem góry i udałem się do Malagi, gdzie wsiadłem na okręt kapra, który się wybierał na wyprawę. Zdawałem mu się dosyć odważnym, chętnie więc przystał na przyłączenie mnie do ochotników, których już miał na pokładzie.

Wkrótce nastęrczyła się nam sposobność odznaczenia się. Wokolicy wyspy Albouran spotkaliśmy korsarza z Melilli wracającego do Afryki z okrętem hiszpańskim, który zdobył na wysokości wód Kartaginy, z bogatym ładunkiem. Uderzyliśmy żwawo na Afrykanina, i opanowaliśmy obadwa jego okręty, na których było osmudziesiąt chrześcijańskich niewolników przeznaczonych do Barbaryi. Wtedy korzystając z wiatru pomyślnego, skierowaliśmy się do wybrzeżów Granady i wkrótce zawinęliśmy do Punta de Helena.

Ponieważ badaliśmy jeńców ządby pochodzili, ja podobnie pytanie zadałem człowiekowi dosyć przystojnemu, mogącemu mieć około pięćdziesięciu lat. Odpowiedział mi z westchnieniem że był z Antequery. Wzruszyła mnie odpowiedź jego, chociaż nie mogłem odgadnąć powodu; on także spostrzegłszy moje wzruszenie, zmieszał się, co nie uszło mojej baczności. Jestem, rzekłem mu, twom spółobywatelem. Wolnoż mi zapytać się o imię twojej rodziny? Niestety! drażnisz moję boleść żądając zaspokojenia swojej ciekawości. Ośmnaście lat minęło od czasu jak opuściłem Antequerrę, gdzie mnie zapewne ze zgrozą wspominają. Ty sam zapewne dosyć nasłuchaleś się wieści o mnie, nazywam się don Anastasio de Rada. O Boże! krzyknąłem, możeż wierzyć temu co słyszę? Jak to, byłbyś istotnie don Anastasio, tożbym własnego ojca miał oglądać? Co mówisz młodzieńcze? zawołał on znou, przypatrując mi się z zdziwieniem. Czyż podobna, abys był tém nieszczęśnym dziećciem, które było w żywocie matki, kiedy ją poświęcił mojej wściekłości? Tak jest, mój ojcie, odpowiedziałem, ja jestem właśnie tym, którego cnotliwa Estephania wydała na świat w trzy miesiące po tej strasznej nocy, w której zostawiłeś ją pławiącą się w krwi własnej.

Don Anastasio nie doczekał końca tych wyrazów by mi się rzucił na szyję. Ścisnął mnie w swych objęciach i przez długą chwilę obadwa mieszałem tylko nasze łzy i łkania. Paściwszy przez niejaki czas wolne cugle tkliwym wzruszeniom, które wywołują podobne pozuania, ojciec mój wzniósł oczy ku niebu składając dzięki za ocalenie życia Estephani; ale w moment potem, jak gdyby się lękał niestosownych dziękczynień, zapytał się mnie, jakimby sposobem oznano niewinność jego żony. Panie, odpowiedziałem, nikt w świecie, prócz ciebie o tém nie wątpił. Postępowanie twojej małżonki było zawsze bez zarzutu. Muszę cię wyprowadzić z błędu. Wtędz o tém, że don Huberto omamił cię. Opowiedziałem mu całą chytróść tego krewnego, jakem się nad nim zemścił, i co mi zeznał umierając.

Odzyskana wolność mniej wrażenia sprawiła na moim ojen, niż to com mu teraz zwiastował. W uniesieniu radości zaczął mnie czule ścisnąć. Nie mógł się dosyć wypowiedzieć, jak dalece był kontent ze mnie. Pójdźmy mój synu, zdążajmy czém prędzej do Antequerry. Pragnę jak najgoręcej rzucić się do stóp żony, z którą tak haniebnie obszedłem się. Odtąd jakęś mi dał poznać moję niesprawiedliwość, zgryzoła rozdziłera moje serce.

Zbyt gorąco pragnąłem połączenia tych dwóch osób, które dla mnie tak drogiemi były, abym miał opóźniać ten słodki moment. Opuściłem więc kapra; a za pleniędze, które odebrałem jako dział ze zdobyczy, kupiłem dwa muły, bo ojciec mój nie chciał się już narażać na niebezpieczeństwa żeglugi morskiej. W drodze miał dosyć czasu do opowiedzenia mi swoich przygód, słuchałem ich z tak chciwą bacznością, jak książę Itaki słuchał powieści ojca swojego. Nakoniec po kilkuniedniowej podróży stanęliśmy u stóp góry najbliższej Antequerry i w tém miej-

secu zatrzymaliśmy się. Poutlewał chcieliśmy przybyć potajemnie do domu, weszliśmy więc do miasta o północy.

Zostawiam wyobraźni waszj zdumienie matki mojej na widok męża, którego uważała za straconego na zawsze; a powrót jego, że tak rzekę cudowny, stał się dla niej nowym przedmiotem podziwienia. Błagał ją o przebaczenie za swoje barbarzyństwo z oznakami żalu tak głębokiego, iż nie mogła się wstrzymać od rozczulenia. Zamiast uważać go za mordercę, ona widziała w nim tylko człowieka, któremu Bóg ją powierzył; tak to świętym jest imię małżonka dla kobiety cnotliwej! Estephania tak się o mnie troszczyła, że powrót mój prawie w zachwycenie ją sprawił. Nie była to wszakże radość czysta i spokojna. Siostra Hordalesa wystosowała postępowanie karne przeciw mordercy swojego brata; kazała mi śledzić wszędzie; tak dalece, że matka moja nie widząc dla mnie bezpieczeństwa w domu, była bardzo niespokojna. To mnie zagnało udać się do dworu tejsz samj nocy; przybywam więc panie, starać się o łaskę, którą mam nadzieję otrzymać, ponieważ pan chcesz łaskawie przemówić za mną do pierwszego ministra i użyć na moją korzyść wpływu swojego.

Waleczny syn don Anastasio na tém skończył swoje opowiadanie, poczem odezwał się do niego z miną wielkiego czło-



Gil Blas w turmie Segowii.

wieka: Podejmuję się sprawę pańską przedstawić J. Ks. Mości, i poważam się zapewnić o jego opiece. Na to Granadyjczyk począł się sadić na dziękczynienia, któreby mi pewnie jednym uchem weszły, drugim wyleciały, gdyby obok tego nie zapewnił mi, że wdzięczność jego postępować będzie tuż za przysługą. Lecz skoro tracił w tę stronę, zaraz poruszyłem się. Te goż jeszcze dnia opowiedziałem księciu całą historją, który pozwoliwszy mi przedstawić sobie młodego człowieka, rzekł: Don Roger, wiem już o sprawie honorowej, która cię sprowadziła do dworu. Santillana opowiedział mi wszystkie szczegóły. Bądź spokojny; nie zrobiłeś nic takiego, czego by nie można usprawiedliwić; właśnie, szlachcie tylko, broniącej obrzydliwego honoru, król Jmć lubi przebaczać; dla formy musisz się udać do więzienia, ale bądź pewny, że długo w nim nie zabawisz. Masz w osobie Santillany dobrego przyjaciela, do którego należyć będzie reszta, on przyspieszy twoje wyzwolenie.

Don Roger skłonił się z głębokim uszanowaniem ministrowi, na którego słowo udał się do więzienia. Ułaskawienie jego za mojem staraniem, szybko wygotowane zostało. Nie spełnia w dziesięć dni odesłałem tego nowego Telemaka do jego Ulisesa i Penelopy; gdyby zaś nie miał być pielnędzy i opiekunów,

byłby się może rozcum nawet więzieniem nie wykwitował. Ależ za tę całą przysługę, tylko sto ludorów skorzystałem. Nie był to wprawdzie wielki los na loteryi, ale ja też nie byłem jeszcze Calderonem, żeby pogardzać małym.

ROZDZIAŁ IX.

Jakim sposobem Gil Blas w krótkim czasie zebrał znaczny majątek.

Ta sprawa zaostrzyła mój apetyt, a dziesięć ludorów dane Scypionowi za faktorstwo, zachęciły go do nowych poszukiwań. Już powyżej chlubilnie wspominałem o jego talencie, możnaby go bardzo słusznie nazwać wielkim Scypionem. Sprowadził mi drugą gratkę w osobie wydawcy dzieł rycerskich, który się zbogacił kosztem zdrowego rozsądku. Ten wydawca przedrukował dzieło jednego ze swoich spółbraci i całe wydanie mu zajęto. Za trzysta dukatów, kazałem uwolnić od zajęcia jego egzemplarze i uratowałem go od grubj karnj opłaty. Chociaż to nie należało wcale do pierwszego ministra, jednakże na moją prośbę, raczył się wdać w tę sprawę. Po wydawcy, dostał mi się do rąk kupiec, rzecz zaś szła o to: okręt portugalski zabrany został przez korsarza barbarzyjskiego i odbity przez kapra z Kadyxu. Dwie trzecie towarów na nim znajdujących się, należało do kupca z Lisbony, który napróżno wzywając ich zwrotu, przybył do dworu hiszpańskiego, szukać opiekuna dosyć wpływu mającego, by mu pomógł do odzyskania straty. Miał szczęście znaleźć go w mojej osobie. Wdałem się za nim, i w skutek tego odebrał swoje towary, za sumę czterech set ludorów ofiarowanych opiekunowi.

Zdaje mi się że w tém miejscu slysze głos czytelnika: Śmiało panie de Santillana! Kuj żelazo póki gorące. Jesteś na dobrej drodze, trzymaj się koła fortuny. Oh! zapewne nie zaniedbam tego. Jeżeli się nie mylę, widzę mojego słuźącego, przybywa z nowym *ktoś*, co go złowił na wędkę. W istocie to jest Scypion. Posłuchajmy go. Panie, pozwól przedstawić sobie sławnego operatora. Prosi on o przywilej sprzedawania swoich olejków przez lat dziesięć w całej monarchii hiszpańskiej, z wyłączeniem wszystkich innych, to jest, iżby wzbronione było osiadanie ludziom jego powołania w mieście, w którym on zamieszka. Przez wdzięczność złoży on dwieście ludorów temu, kto mu takowy przywilej doręczy. Zakrawając na opiekuna odezwałem się do kuglarza: idź spokojnie mój przyjacielu, spełnij twoje życzenie. W rzeczy samj w kilka dni później, odprawiłem go z patentem pozwalającym mu zwodzić lud wyłączenie we wszystkich królestwach Hiszpanii.

Doświadczyłem słuszności przysłowia mówiącego, że apetyt wzmagą się w czasie jedzenia: im więcej zbierałem pielnędzy, tém chciwszym stawałem się. Obok tego wszakże otrzymał od Jego Wysokości cztery łaski, o których mówiłem, nie wahałem się już prosić o piątą. Szło o gubernatorstwo miasta Vera na wybrzeżu Granady, dla kawalera zakonu Calatrava, który mi za to ofiarował tysiąc ludorów. Minister widząc mnie tak gorliwym w staraniach rozśmiał się. Przebóg, przyjacielu Gil Blasie, rzekł mi, jak ty coraz dalej postępujesz! Widzę że zapamiętałe lubisz pomagać bliźnim. Słuchaj, jeżeli chodzić będzie o drobiazgi, nie myśl bliżej wglądać, lecz gdy zechcesz starać się o wielkorządztwa, lub inne wyższe posady, kontentować się musisz z łaski swojej połową korzyści. Stosuj się więc do tego.

Pan mój temi słowy odbierając mi wszelką obawę natręctwa, czyli raczej zachęcając, abym jak najczęściej wracał do szturm, tém większą obudził we mnie żądzę bogactw. Byłbym w ówczas z wielką ochotą ogłosił przez afisz, aby wszyscy, którzy szukają łaski jakowej do mnie się wprost udawali. Ja poszedłem w jedną stronę, Scypion w drugą. Staralem się wszystkim nieść przyjemność za pielnędze. Mój kawaler Calatravy otrzymał posadę w Vera za swoje tysiąc ludorów; a w krótko za taką sumę obdarzyłem innego kawalera św. Jakóba. Nie poprzestałem na szafowaniu wielkorządztwami, rozdawałem i zdobycie rycerskie, zamieniłem kilku znacznych mieszczan na niegodnych szlachciców, przez wyborne listy szlachectwa. Chciałem także aby i duchowieństwo miało udział w moich dobro-

dziejstwach. Rozdawałem mniejsze beneficya, kanonie i niektóre jeszcze dostojenstwa kościelne. Co się tyczy biskupstw i arcybiskupstw, te należały do kollacyi don Rodriga de Calderone. On także mianował na wyższe stopnie w rozmaitych władzach, także komandorów i wicekrólów. Z tego łatwo wniesić że wysokie dygnitarstwa nie lepiej były obsadzone, jak podrzędne władze; bo osoby któreśmy do tego wybierali, nie były pospolicie ani z rzędu najzdolniejszych, ani też najporządniejszych. Wiedzieliśmy o tem bardzo dobrze, że żartownisie w Madrycie bawili się naszym kosztem; ale w tem podobni byliśmy do łakomców, którzy się cieszą widokiem złota, nie bacząc bynajmniej na szyderstwo gmiu.

Izokrates słuszuie bardzo niewstrzemięźliwość i głupotę nieodstępniemi towarzyszami bogaczy miecił. Gdy m się ujrzał panem trzydziestu tysięcy dukatów, a zarazem w stanie zyskania może dziesięć razy tyle, zdało mi się że m powinien grać rolę godną powiernika pierwszego ministra. Nająłem cały pałac, kazałem go umeblować bardzo porządnie: kupiłem karetę od jednego *escrivano* (1), który ją sobie kazał dać dla pokazania się, a teraz sprzedawał idąc za radą swojego piekarza, przyjąłem stangreta, trzech lokajów; a że rzeczą jest słuszną posuwać na wyższe stopnie stare sługi, podniosłem mojego Scypiona do potrójnej godności, szatnego, sekretarza i intendenta. Lecz co szczególniej dumę moją podniosło do najwyższej potęgi, to że minister uznał za rzecz przyzwoitą, aby moi ludzie jego liberyą przywdziali. Straciłem już resztę rozsądku. Nie miałem być głupi jak ucziowie Porciusa Latro, którzy opiwszy się wody kminowej byli tak bladzi jak lech pan, wystawiając sobie, że będą tak mądzy jak on. Mało brakło, że bym się nie uważał za krewnego księcia Lerma. Przynajmniej wbiłem sobie w głowę, że potrafię uchodzić za takiego, a choćby też za jego bękartą, i to mnie dosyć po- chlebiało.

Dodajcie do tego, że wzorem jego wysokości, który utrzymywał stoły otwarte i ja także postanowiłem dawać oblady. W tym celu zobowiązałem Scypiona, aby mi odgrzebał gdzie kucharza biegłego, i wyualazł mi jednego, który się mógł równać z kuchmistrzem Nomentana, łakotnej pamięci Rzymianina. Napełniłem piwnicę najdelikatniejszymi winami, a porobiwszy łune jeszcze zapasy, zacząłem zbierać u siebie towarzystwo. Przybywali do mnie na wieczery referenci z biura ministra, którzy śmiało przybierali tytuł sekretarza stanu. Dawałem im jeść wybornie i piłem należycie. Scypion z swojej strony, bo jaki pan, taki sługa, miał także swój stół w kredensie, gdzie moim kosztem uraczał swoich znajomych. Ale, prócz tego że lubiłem tego chłopaka, ponieważ pomagał mi do zysków, miałem

małem iż powinien mnie także pomagać w wydatkach. Zresztą marnotrawstwo to uważałem oczyma młodego człowieka; nie widziałem wcale uszczerbku, patrzyłem tylko na honor. Jeszcze jedna przyczyna wstrzymywała mnie od zwracania na to uwagi; dochody i majątek mój wzrastał dzień za dniem, wystawiałem więc sobie, że m gwoździłem przybił kolo fortuny.

Już tylko jednej rzeczy brakło dla mojej próżności, to jest mieć Nunesa świadkiem moich zbytków. Nie wątpiłem, że musiał powrócić z Andaluzyi, żeby więc zrobić sobie przyjemność z jego niespodzianki, kazałem mu doręczyć bilecik bezimienny, w którym mu donosiłem, że pewny pan sycylijski, jego przyjaciel oczekuję go z wieczera. Oznaczyłem mu dzień, godzinę, miejsce, gdzie się miał znajdować. Schadzka była u mnie. Nunes przybył i niesłychanie się zdziwił, dowiedziawszy się, że tym panem zagranicznym byłem ja, którym go na wieczery



Gil Blas i jego rodzina.

zaprosił. Tak jest, mój przyjacielu, ja jestem panem w tym paacu. Mam powóz, wyborny stół, a w dodatku nie pustą skrzynkę. Czyż podobna, zawołał z zapałem, abym cię w takiej możliwości oglądał? Co to za szczęście, że m cię u hrabiego Galiano umieścił! Słuszuie ci powiedziałem, że to pan wspaniałomyślny, i który cię pewnie postawi na nogach. Zapewne także usłuchałeś mojej rozropnej rady i popuściłeś trochę cugli marszałkowi, winszując ci. Tą tylko drogą postępując intendenci porastają w pierze.

Pozwoliłem się Fabrycemu uacieszyć do woli, że mnie umieścił u hrabiego Galiano. Następnie dla pohamowania radości z wyszukania mi tak wybornego miejsca, opowiedziałem mu w szczegółach wszystkie dowody wdzięczności, jaką hrabia zapłacił moje usługi. Spostrzegłszy, że mój poeta w czasie tego opowiadania już począł w myśli opiewać odwołanie, rzekłem: Przebaczam Sycyliczykowi jego niewdzięczność. Mówiąc między nami, mam więcej powodu uskarżać się z tego, aniżeli uskarżać. Gdyby hrabia nie tak źle

wyszedł ze mną, byłbym się udał z nim do Sycylii, służyłbym mu dotąd, oczekując wątpliwego uposażenia. Słowem nie byłbym dziś powiernikiem księcia Lerma.

Te ostatnie wyrazy tak silnie razły Nunesa, że przez kilka chwil stał jak wryty, nie mogąc rzec ani słowa. Potem nagle przerywając milczenie, zawołał: Nie zawodził mnie słuch mój? Jak to! ty posiadasz zaufanie pierwszego ministra? Podzieliłam je, odpowiedziałem, z don Rodriga de Calderone; i według wszelkiego podobieństwa pójdę dalej. Zaprawdę Mości Santillana, rzekł, zdumiewam się nad panem. Widzę go zdolnym do spełniania wszelkich obowiązków. Heż to talentów łączysz w swojej osobie! czyli raczej że użyję wyrażenia naszej kuajpy, masz narzędzie powszechne, to jest, zdolnym jesteś do wszystkiego. Zresztą panie, dodał, cieszy mnie bardzo pomyślność jego Wielmożności. Eh! do licha przerwałem, panie Nunes, dajmy

(1) Pisarz, główna figura, *totumfac* w sądach hiszpańskich.

pokój temu państwu! Usunmy na stronę te wyrażenia, a żyjmy między sobą po prostu. Masz słusność, rzekł, ja nie powinienem inaczej spoglądać na ciebie, tylko tak jak dawniej, choć teraz jesteś bogatym; ale muszę ci się przyznać do mojej słabości: objawiając mi swój los szczęsny omamiłeś mnie, szczęściem ta ułuda szybko przeszła, i teraz widzę tylko w osobie twojej mojego przyjaciela Gil Blasa.

Rozmowę naszą przerwało przybycie kilku referentów. Panowie, odezwałem się, przedstawiając im Nuneza, będziecie jedni wczoraj z panem don Fabricio, który robi wiersze godne najdosłojniejszego pana, a który piszę prozą tak, jak nikt nie pisze. Nieszczęściem mówiłem to do ludzi, u których poezja tak mało ważyła, że poeta aż zbłądł. Zaledwie raczyli spojrzeć na niego. Napróżno silił się na dowcipne wyrażenia, by zwrócić ich uwagę, nie rozumieli tego wcale. Tak żywo to uczuły, iż użył wolności poetyckiej; wymknął się z nienacka z towarzystwa i zniknął. Moł referenci nie uważali tego i zasiedli do stołu, nie zapytawszy się nawet, co by się z nim zrobiło.

Nazajutrz właśnie kończyłem ubieranie się mając wyjść, kiedy poeta asturyjski wszedł do mojego pokoju. Przepraszam cię mój przyjacielu, odezwał się, żem wczoraj wczoraj zerwał otwarcie z waszemi referentami; lecz szczerze mówiąc, byłem wcale nie na swoim miejscu i dla tego nie mogłem dotrzymać. Obmierzłe figury z ich miną nadętą i sztywną! Nie pojmuję jakim sposobem ty, co masz umysł tak otwarty, potrafił zgodzić się z biesiadnikami tak nieokrzesanymi. Dziś jeszcze chcę ci przyprowadzić wcale łatwych i giętkich. Zrobisz mi wielką przyjemność, odpowiedziałem, spuszczać się w tym względzie natwój gust. Masz słusność, rzekł, przyprowadzę ci męzów z wyższym talentem i nader wesołych. W tej chwili idę do szynkującego likworami, u którego się pospolicie zbierają; zatrzymam ich, aby się nie zobowiązali gdzieindziej; bo ubiegają się o nich aby ich mieć na obiedzie, lub wczorzy, tak są rozweselającymi.

To mówiąc wyszedł, a wieczór na czas wczorzy wrócił w towarzystwie sześciu autorów, których mi przedstawił jednego po drugim, nie szczędząc pochwał żadnemu. Słuchając go, te piękne talenta przewyższały wszystkie dowcipy Grecyli i Rzymu, a dzieła ich, mówił, zasługują na druk złotemi literami. Przyjąłem tych panów bardzo uprzejmie, starałem się nawet uraczyć ich grzecznościami, bo naród poetów jest nieco próżny i chępliwy. Choć nie poleciłem Scypionowi, aby pamiętać o szczodrobliwości uczy, lecz on sam wiedząc jakich ludzi miałem uraczyć tego wieczora, pamiętał o dobrém opatrzeniu półmisków.

Wreszcie zasiedliśmy wesoło do stołu. Moi poeci zaczęli rozmowę o sobie, chwając się nawzajem. Ten z dumą wyliczał znakomitych panów i panie, dla których muza jego prawdziwą była rozkoszą; tamten ganiąc jakąś akademią za wybór dwóch osób, dodał skromnie, że powinna była jego wybrać w ich miejsce. Niemniej zarozumiałości było w mowie innych. W środku wczorzy otóż zaczynają mnie mordować wierszem i prozą. Każdy z kolei czyta wyjątki ze swoich dzieł. Jeden występuje z sonnetem, drugi deklamuje scenę z tragedyi, inny czyta krytykę jakiejś komedyi, czwarty zabrał się do czytania ody Anakreonta przełożonej nędznym wierszem hiszpańskim, tymczasem jeden ze spółtowarzyszów przerywa mu uwagę, że niewłaściwego użył wyrażenia. Autor tłumacz nie zgadza się na to; żąd wszczynają się rozprawa, do której się wszyscy mieszają. Zdania podzielone, rozprawiacze zapalają się, przychodzi do szkalowań, jeszcze mniejsza o to, lecz ci zapamiętały zrywają się od stołu i rozpoczynają bójkę na pięści. Fabrycy, Scypion, mój stangret, lokaj i ja, nie mało truda zażyliśmy, aby ich rozbroić. Ujrawszy się rozdzielonymi, wyszli z mojego domu jak z jakiej szynkowni; już mi nie mów o swoich autorach.

Nunez, na którego zaręczenie uroiłem sobie obraz nader miły tej uczy, odurzony był prawie tēm zdarzeniem. A cóż mój przyjacielu! czy będziesz mi jeszcze wychwalał twoich biesiadników? Dalibóg, sprowadziłeś mi dosyć nikczemnych ludzi! Wolej ja moich referentów; już mi nic nie mów o swoich autorach.

Nie troszcz się, odpowiedział, już ja ci sprowadzę innych, więcej wcale rozsądniejszych!

ROZDZIAŁ X.

Obyczaje Gil Blasa zupełnie się psują. Zlecenie jakie mu dał książę Lerma.

Skoro się rozgłosiło, że jestem polubieńcem księcia Lermy, zaraz znalazłem swój dwór. Mnóstwo osób cisnęło się do mojego przedpokoju, zacząłem więc dawać ranne posłuchania. Dwa rodzaje ludzi przybywało do mnie: jedni płacąc zobowiązywałem do wstawienia się w ich interesie do ministra; drudzy żebrałi, aby im wyświadczyć *gratis* to, czego pragnęli. Pierwsi mogli być pewni, że ich wysłuchałem i usłużę; co do drugich, albo pozbywałem się ich natychmiast odmowną odpowiedzią, albo mamilem ich pęty, póki im cierpliwości nie zabrakło. Nita się dostałem do dworu, byłem z natury czuły i li-tujący się; ale tam pozbywa się człowiek słabości ludzkich; ja stałem się twardszym od krzemienia. W skutek tego wyleczyłem się także zupełnie z czułości dla przyjaciół, z wszelkiego do nich przywiązania. Sposób w jaki wyszedłem z Józefem Navarro w pewnej okoliczności, może za dowód tego posłużyć.

Ten Navarro, któremu tyle byłem winien, który krótko mówiąc, był pierwszą przyczyną mojego szczęścia, przyszedł raz do mnie. Wynurzywszy mi swoją przyjaźń, co zwykł był zawsze powtarzać, jak mnie tylko spotkał, prosił moie o wystąpienie się u księcia, dla jednego ze swoich przyjaciół jakiegoś miejsca: dodając, że młody człowiek za którym się wstawia, jest bardzo miły i pełen zdolności, ale potrzebował miejsca, bo nie miał się z czego utrzymać. Nie wątpię, dodał Navarro, znając cię tak dobrym i usłużnym, że będziesz miał sobie za przyjemność podać rękę człowiekowi, który nie jest bogaty; lecz to samo ubóstwo jego będzie dla ciebie tytułem do zajęcia się jego losem. Pewny jestem, że mi wdzięcznym będziesz, za nastreczoną sposobność do objawienia uczuć twoich dobroczynnych. Byłoto, jaśniej mówiąc, żądać ode mnie przysługi za nie. Luboto wcale nie przypadło mi do smaku, przecież objawilem gotowość spełnienia jego życzeń. Rad jestem, rzekłem do Navarro, że będę mógł objawić najwyższą wdzięczność za wszystko coś zrobił dla mnie. Dosyć jest, jeżeli ty się wdasz za kłm, więcej nie trzeba, aby mnie zniewolić na jego usługi. Przyjaciel twój będzie miał urząd, o który dlań prosisz, lecz na to, w tēm już będzie moja głowa.

Na takowe zapewnienie Józef oddalił się bardzo kontent ze mnie, mimo to, osoba przez niego zalecona, nie otrzymała tej posady. Wyjednałem ją dla kogo innego za tysiąc dukatów, które dorzuciłem do mojej skrzyni. Wołałem tę sumę, niż podziękowania kredencera, któremu z miną smutną powiedziałem przy pierwszym spotkaniu. Ah! mój drogi Navarro, spóźniłeś się. Calderone uprzedził mnie, on już rozporządził tym urzędem o którym wiesz. Rozpacz mnie bierze, że nie mogę ci lepszój udzielić nowiny.

Józef uwierzył mi łatwo i rozstaliśmy się lepszymi przyjaciółmi niż dotąd; ale zdaje mi się, że musiał dojść prawdy, bo odtąd już go nie widziałem. Zamiast czuć jakieś wyrzuty, za podobne postępowanie z prawdziwym przyjacielem, któremu tyle byłem winien, ja przeciwnie, cieszyłem się z tego. Bo naprzód, wyświadczone mi przez niego przysługi ciążyły mi na sercu; powtóre, zdawało mi się, że przy takiej wziętości na dworze, nie wypadalo mi wcale odwiedzać marszałków pałacowych.

Dawno już nie mówiłem o hrabi Lemos, wróćmy więc do tego pana. Widywałem go czasami, zanosiłem mu tysiąc ludiorów, jak to wyżej wspomniałem, oddałem mu drugi tysiąc z rozkazu jego stryja, z pieniędzy które miałem dla Jego wysokości. W tym dniu hrabia chciał obszerniej rozmówić się ze mną. Oświadczył mi, iż doszedł zamierzonego celu, że posłada wyłączone względdy dziedzica korony hiszpańskiej, że jest jego jedynym powiernikiem. Poczem dał mi polecenie, do którego mnie już wczęsniej przygotował.

Nie byłem ja bardzo wprawny w spełnianie podobnych poleceń, ale nie wątpiłem bynajmniej, aby Scypion nie miał być i do tego wyborym.

W rzeczy samej w trzy dni później powiedział mi, że wynalazł skarb. Młoda kobieta, nazwiskiem Catalina, z dobrego rodu i piękności zachwycającej, mieszka pod dozorem swojej ciotki, w małym domku, w którym bardzo uczciwie żyją z własnych funduszków dosyć szczupłych. Usługuje im pokojówka moja znajoma, która mnie zapewniła, że ich drzwi wszystkim zamknięte, mogłyby się otworzyć młodzieńcowi bogatemu i szczeremu. W skutek tego przedstawiłem pana, jako młodego człowieka zasługującego na otwarcie drzwi i prosiłem pokojówki, aby pomówiła o panu z temi damami. Przyrzekła mi, i jutro ma mi dać odpowiedź w miejscu umówionem. To dobrze, odpowiedziałem, ale się boję, żeby ta pokojówka nie wyprowadziła cię w pole. Co nie, to nie, rzekł, mnie nie łatwo zagrać na nosie; już ja się wypytałem sąsiadów i ze wszystkiego com słyszał, wnoszę, że senora Catalina, jest właśnie taką, jakiej pragniesz, to jest Danae, u której można odegrać rolę Jowisza.

Jakkolwiek uprzedzony byłem przeciw tego rodzaju zalotnej fortuny, przecie skłonilem się do téj; a że pokojówka doniosła nazajutrz Scypionowi, że ode mnie tylko zależeć będzie wprowadzenie do domu tych pań, nawet tego samego wieczora, wśliznąłem się tam między jedenastą godziną a dwunastą. Pokojówka przyjęła mnie bez śmiałości, i wzięwszy za rękę, zaprowadziła do sali dosyć porządnej, w której zastałem obiedwie paule wykwintnie wystrojone, siedzące na sofie aksamitowej. Skoro mnie spostrzegły, powstały natychmiast i powitały mnie w sposób bardzo uprzejmy; zdało mi się, że widział dwie damy znakomitego rodu. Ciotka, którą zwano senora Mencia, choć piękna jeszcze, nie zwracała jednak mojej uwagi. Prawda, że miałem tylko przypatrzyć się siostrzenicy, która mi się bóstwem wydała. Rozwagawszy ściśle, nie można było powiedzieć, aby to miała być piękność doskonała, ale była pełna wdzięków, miała postać tak rozkoszną i ponętą, iż nie podobna było śledzić czegoby jej brakło.

Dlatego też widok jej omamił mnie zupełnie. Zapomniałem że przybył w charakterze pośrednika; mówilem w mojem własnym i prywatnym imieniu, i to jak na dobre rozkochany. Młoda paniuszka zdała mi się trzy razy dowcipniejsza, niż była w istocie; skrępowała mnie do reszty swojemi odpowiedziami. Jużem się nie posiadał z radości, gdy ciocia dla pohamowania mojej rozkoszy, zabrała głos, mówiąc: Panie Santillana, ja chcę otwarcie z panem pomówić. Słyszac o wielkich pańskich zaletach, pozwoliłam mi wstępu do domu mego, nie pokazując w tém żadnej łaski; lecz nie sądz pan, ażebyś przez to już daleko zaszedł. Dotąd wychowywałam siostrzenicę moją w ukryciu, i pan jesteś, że tak rzekę, pierwszym młodzieńcem, którego oczom ją przedstawiam. Jeżeli ją uznasz godną być twoją małżonką, cieszyć się będącym tym zaszczytem; zastanów się, czy ci się podoba za tę cenę; tańszym kosztem mieć jej nie będziesz.

Ten strzał z tak bliska wymierzony, spłoszył Amora. Mówiąc bez przenośni, małżeństwo tak ostro przedstawione, zbudziło moją rozwagę; w téj chwili wróciłem do roli posłannika hrabiego Lemos, zmieniając więc ton, odezwałem się do senory Mencia: Pani, otwartość twoja, podoba mi się, i chcę ją naśladować. Cokolwiek ja mogę znaczyć przy dworze, to przecież nie godzien jestem niezrównanej Cataliny; mam dla niej pod ręką coś świetniejszego. Mogłeś pan poprzestać na wzgardzeniu moją siostrzenicę, odpowiedziała zimno Mencia, nie było potrzeby dodawać do tego szyderstwa. Pani, odezwałem się, ja nie żartuję, nie masz nic nad to pewniejszego; mam rozkaz wyhrać osobę, godną księcia; znajduję ją w domu pani, i chcę ją wskazać.

Zdumiała się senora Mencia, słyszac te słowa; spostrzegłem że nie były jej tak dalece uleprzyjemne.

Choć ciocia w duszy pragnęła szczerze przyjąć moje przedstawienie, udała wszakże, iż nie wie, czego się czepić, a Catalina rada jak najprędzej widzieć księcia, zmyślała wielką obojętność; to mnie skłoniło do zmiany planu szturmowego, a wreszcie senora Mencia widząc mnie zniechęconego i gotowego do odstąpienia, dała hasło do poddańca się i natychmiast ułoży-

liśmy kapitulacją obejmującą dwa artykuły; *primo*: jeżeli książę, postanowi odwiedzić Catalinę, starać się będąc zawładnąć o tém moje panie, równie jak o wybranym ku temu czasie; *secundo*, że książę przybędzie jedynie w towarzystwie mojem i naczelnego Merkurego. Po takowym układzie i ciotka i siostrzenica, okazywały mi dowody najserdeczniejszej przyjaźni.

Hrabia Lemos uradował się niesłychanie, usłyszawszy, że wynalazł taką, jakiej mógł zapragnąć.

Nie zauważyłem zaraz rano zdać sprawę księciu o wszystkim co dotąd się stało; jedną mu tylko rzecz uitałem, to jest nie mówiłem nic o Scypionie; uitałem się sam za szczęśliwego wynalazcę Cataliny.

Zyskałem z tego powodu grzeszność okukrowaną. Panie Gil Blas, odezwał się do mnie minister tonem żartobliwym, cieszę się mocno, że obok innych talentów, umiesz także wygrzebywać piękności ujmujące.

W téj samej prawie chwili, wręczyłem hrabiemu Lemos pięćset dublonów! Nie mogłeś w lepszą nadejść porę, rzekł mi ten pan. Mówiłem już z księciem; z największą niecierpliwością pragnie oglądać Catalinę.

Pobiegłem natychmiast do kobiet. Nie widziałem Cataliny; oświadczone mi, że jeszcze śpi. Rozmówiłem się więc z senorą Mencyą. Wdzięczna jestem, odpowiedziała, lecz powiedz panie de Santillana, czy książę lubi muzykę. Lub ją i zapamiętała, rzekłem. Nie go tak nie bawi, jak piękny śpiew z towarzyszeniem gitary, skoro po jej stronach delikatne przebiegają paluszki. Tém lepij! zawołała z radosnym uniesieniem; zachwyca mnie ta wiadomość, bo siostrzenica moja ma głos słowika, gra zaś na gitarze, jak anioł; tańczy nawet doskonale. Dzięki Bogu! zawołałem ja z kole, a toć to nie mało talentów moja ciotciu! Tyle nawet nie potrzeba dla panny, aby los zrobiła, jednego z nich wystarczy.

Nazajutrz rano, opowiedziałem wszystko księciu Lerma, ponieważ chciał wiedzieć o wszystkim. Właśnie kończyłem rzecz moją, gdy hrabia Lemos wszedł i rzekł do niego: Książę pan mój, tak jest zajęty Cataliną i tak ją polubił, że pragnie widywać ją często. Radby jej dziś posłać klejnoty za dwa tysiące luidorów, ale nie ma ani szeląga. Odezwał się więc do mnie: Mój kochany Lemos, musisz mi koniecznie w téj chwili wystarać się o tę kwotę. Mości Książę, rzekłem oddalając się natychmiast, mam przyjaźni i zaufanie, postaram się o zaspokojenie twolch życzeń.

Nie trudno je zaspokoić, odezwał się książę Lerma do synowca; Santillana zaniesie ci te pieniądze, albo jeszcze lepij, jeżeli chcesz, on sam kupi klejnoty, on się zna na tém wyborze, a osobliwie też na rubinach. Czy nie prawda Gil Blase? dodał, spojrzawszy na mnie żartobliwie. Jak W. Ks. Mość jesteś uszczupliwym! odpowiedziałem. Widzę, że Wasza Wysockość chce moim kosztem rozmięszyc pana hrabiego. I to się też stało. Synowiec zapytał się coby w tém był za sekret. Stryjasek śmiejąc się odpowiedział: niema nic osobliwego; oto raz, Santillanie zachciało się pomieniac dyament za rubin, a ta zamiana, ani mu honoru, ani korzyści nie przyniosła.

Bylbym szczęśliwy, gdyby minister na tém skończył; lecz nie żałował trudu w opowiedzeniu figla, jakiego mi wyplatała Kammilla i Raphael w hotelu umeblowanym, wymieniając najdrobniejsze szczegóły w wypadku dla mnie najumniej zaszczytnym. Jego wysockość naśmławszy się do woli, posłał mnie z hrabią Lemos do jublera, u którego wybrałszy klejnoty, zanieśliśmy je do księcia, poczem powierzone mi zostały dla doręczenia Catalinie. Następnie wziętem u siebie pieniądze księcia, dla zaspokojenia należytości jublera.

Każdy łatwo się domyśli, jakie było moje przyjęcie, gdy rozłożył przed oczyma tych pań, przedmiot mego poselstwa. Zbytek radości uniesione, zapomniały się na chwilę. Wymknęły się im wyrazy, z których mogłem się domyślać, że oszustki naraził. Żeby się dokładnie wywiedzieć o tém mojem arcydziele, postanowiłem wybadac Scypiona.

Wróciwszy do siebie, usłyszałem wielką wrzawę. Zapytałem się o przyczynę; odpowiedziano mi, że Scypion uraczał u sie-

ble z pół tuzina swoich przyjaciół. Śpiewali z całego gardła i śmieli się do rozpuku. Nie była to zaiste uczta siedmiu mędrców.

Gospodarz uczył, zawiadomiony o mojem przybyciu, odezwał się do towarzyszków: To nie panowie, pan mój powrócił, nie troszczcie się bynajmniej. Bawcie się, ja mu tylko parę słów powiem, i natychmiast powrócę. To rzekłszy, przybył do mnie. Cóż to za hałas! odezwałem się. Dla jakichżeto ludzi wyprawiasz bankiet? Czy to są poeci? Ale nie, odpowiedział mi, szkoda byłaby pańskiego wina dla tych ichmościów; ja go korzystniej używam. Pomiędzy spółbiesiadnikami jest młody człowiek, który pragnie uzyskać posadę przez wpływ pański, za swoje pieniądze. To dla niego ten bal. Za każdym kieliszktem wina, ja podnoszę o dziesięć ludiorów gratkę, jaka się panu ma dostać. Chcę go poić aż do dna białego. Oh, kiedy tak, rzekłem, idź na powrót, nie szcędź wina.

Nie uważałem za rzecz przyzwoitą rozmawiać z nim o Cattalnie tego dnia; lecz nazajutrz wstając, odezwałem się do niego w ten sposób: Przyjacielu Scypionie, wiesz jak z sobą żyjemy. Obchodzę się z tobą nie jak ze służącym, ale jak z towarzyszem swoim; żlebyś więc robił, oszukując mnie jak swojego pana. Nie tajmy więc nie przed sobą. Powiem ci więc rzecz godną zastanowienia; ty także ze swojej strony wynurzysz mi swoje zdanie o kobietach, z któremiś mule zapoznał. Panie, odpowiedział Scypion, obejście się twoje ze mną do podobnejże zniewala mnie szczeroci. Wczoraj miałem rozmowę sam na sam z pokojówką tych dam; opowiedziała mi całą ich historią, która mi się zdała bardzo zabawna; powtórzę ją panu w treści, a pewny jestem, iż cię nie znudzi.

Catalina, mówił dalej, jest córką niewielkiego szlachcica aragońskiego. W piętnastym roku życia, zostawszy sierotą równie ubogą jak piękna, przyjęła rękę starego komandora, który ją zawiózł do Toledu i tam w sześć miesięcy umarł, będąc raczej ojcem nie mężem. Zabrała więc w spadku wszystkie rupiecie i trzy sta ludiorów w gotowiznie; połączyła się z senorą Mencią, jeszcze podówczas w modzie będącą, choć już na sehyłku wieku. Dwie te przyjaciółki mieszkaly razem i zaczęły prowadzić życie, do którego sprawiedliwość chciała się wtrącić. Nie podobało się to damom, rozgniewane, czy też może i dla czego innego, opuściły nagle Toledo i udały się na mieszkanie do Madrytu, i tu od dwóch lat żyją, nie postawszy u żadnej koblęty w sąsiedztwie. Ale posłuchaj pan czegoś lepszego; najęły dwa małe domki, przedzielone murem; z jednego do drugiego przejść można skrytymi schodkami w piwnicach. Senora Mencja z młodą pokojówką mieszka w jednym z tych domów, wdowa po komandorze zajmuje drugi ze starą kwoką, którą udaje za swoją babkę; tym sposobem nasza aragonka jest raz siostrzenicą wychowaną przez ciotkę, drugi raz sierotą pod opiekuńczym skrzydłem swojej babki. Kiedy udaje siostrzenicę, nazywa się Catalina, a grając rolę wnuczki, przybiera imię Syreny.

Usłyszawszy imię Syreny, zdrząłem. Co ty mnie powiadasz? przerażałem mu, włosy mi na głowie wstają. Niestety! lękam się, aby ta przeklęta aragonka, nie była kochanką Calderona. A tak jest, odpowiedział, to właśnie ta sama! Rozumiałem, że panu przyjemność sprawię, donosząc mu o tém. Nie zastanowiłeś się dobrze, odpowiedziałem, ona mi może sprawić więcej zgryzoty niż radość; czy nie widzisz skutków ztąd wyniknąc mogących? Dalibóg nie, odpowiedział Scypion. Cóż zle-go stać się może? Nie zdaje się, aby don Rodryg doszedł co się święci; a jeżeli się pan obawiasz, aby z czasem nie został zawiadomiony, w takim razie nie ma nic lepszego, jak uprzedzić ministra. Opowiedz mu wszystko po prostu; będzie widział dobrą wiarę; a jeżeli potem Calderone zechce panu przypiąć łątkę u księcia, ten domyśli się, że to pochodzi z zemsty.

Takowa rada uspokoiła mnie wielce. Poszedłem za nią. Zawiadomiłem księcia Lerma o tém nieszczęsném odkryciu. Udałem nawet smutek opowiadając mu te szczegóły, aby go przekonać, że mnie to mocno gryzło, iż niechcący nastręczyłem kochankę Rodryga; ale minister zamiast żałować swojego polubienia, żartował z niego. Poczém kazał mi postępować tym samym torem. Odkryłem także całą rzecz hrabiemu Lemos, któ-

ry mi zapewnił swoją opiekę, na przypadek, gdyby pierwszy sekretarz doszedłszy intrygi, chciał mi szkodzić u księcia.

W przekonaniu, że przez takowy obrot, zabezpieczyłem lódcz moję fortunę od zabaczenia się na plaskach, nie bałem się już niczego.

ROZDZIAŁ XI.

Gil Blas nie przestaje grać roli pana. Dowiadyuje się o swojej rodzinie. Różni się z Fabrycym.

Jużem wspomniał, że każdego poranku zbierało się w moim przedpokoju mnóstwo osób z rozmaitemi przedstawieniami, ale nie chciałem przyjmować nic ustnie; idąc za zwyczajem dworu, czyli raczej udając ważną figurę, oświadczałem każdemu proszącemu, przedstaw mi to na piśmie. Tak dalece do tego nawykłem, że raz powtórzyłem te same wyrazy właścicielowi pałacu, który mi przypominał, że mu winienem za rok należność najmu. Co się tyczy rzeźnika i plekarza, ci oszczędzali mi podobnego wyrażenia, składając jak najregularniej co miesiąc swoje rachunki. Scypion, który mnie we wszystkiém kopiował tak doskonale, iż trudno by go było odróżnić od oryginału, nie inaczej postępował z osobami, udającemi się do niego z prośbą, aby mnie skłonił do wdania się za niemi.

Podlegałem jeszcze jednę śmieszności, której wcale nie myślałem darować; byłem tak głupi, że mówiąc o znakomitych panach, tak się wyrażałem, jak gdybym był ich powinowatym. Jeżeli mi potrzeba było wspomnieć księcia Alby, księcia Ossony lub Medina Sidonia, ja bez ogródki mówiłem Alba, Ossona i Medina Sidonia. Słowem, stałem się tak dumny i próżny, że już przestałem być synem mojego ojca i moję matki. Niestety! biedna piastunko, biedny koniuszy, nie spytałem się nawet, czy wy szczęśliwi, lub w nędzy żyjecie w waszj Asturyi! o tém nie pomyślałem wcale, anim marzył o was! Dwór ma przymioty rzeki Lete, zacięra w pamięci naszj rodziców i przyjaciół, skoro ci są w złem położeniu.

Już zupełnie zapomniałem o moję rodzinie, gdy pewnego poranku wszedł do mnie młody człowiek, oświadczając, iż przyszedł rozmówić się ze mną na osobności. Wprowadziłem go więc do gabinetu, gdzie nie prosząc go siedzieć, bo mi się zdał pospolitym człowiekiem, zapytałem się czego by żądał. Panie Gil Blas, rzekł, jak to, nie przypominasz sobie? Napróżno przypatrywałem mu się, zmuszony byłem odpowiedzieć mu, iż rysy jego wcale mi nieznane. Jestem, odpowiedział, ziemkiem twoim, rodem z Owiedo, synem Bertranda Mascada, kupca korzennego, sąsiada twojego stryja kanonika. Ja cię bardzo dobrze poznaję. Nie sto razy grywaliśmy z sobą w piłkę.

Bardzo mało pamiętam o rozrywkach dzieciennego wieku, odpowiedziałem, trudy, jakie mnie w następie obarczały, zatarły w umyśle moim wszystkie wspomnienia tego rodzaju. Przybyłem do Madrytu, przerwał mi ów młodzieniec, dia porachunku z korespondentem mojego ojca. Słyszałem o tobie. Powiedziano mi że dobrze jesteś położony u dworu, żeś bogaty jak żyd. Winszuję ci tego: a wracając do domu pocieszę twoją rodzinę przynosząc jej tak błogą wiadomość.

Jakoś sama przyzwoitość wymagała, abym się zapytał w jakim stanie był mój ojciec, matka i stryj; lecz dopełniłem tego obowiązku tak ozięble, iż kramarz nie miał powodu wielbić moję miłość synowskię. Objawił to zaraz. Zdał się być urażonym obojętnością moją dla osób, które mi powinny być drogiemi, a że to był chłopak otwarty i nieokrzesany, odezwał się więc bez ogródki: rozumiałem, że będziesz miał więcej czulości i przywiązania do twoich krewnych, a tymczasem z jakże to zimną miną zapytujesz się o nich! Zdaje się, że związki familijne wywietrzały ci z głowy. Czy wiesz jakie ich jest położenie? Ojciec twój i matka ciągle są w służbie, a zacny kanonik Gil Perez pochylony wiekiem i słabością, nie daleko ma do końca. Trzebać mieć trochę uczucia, a ponleważ możesz dopomódz rodzicom, radziłbym ci po przyjacielsku, żebyś im posyłał corocznie po dwieście ludiorów. Takowym datkiem zapewniłś im życie spokojne i szczęśliwe sam nie czując żadnego uszczerbku.

Zamiast wrzucić się stanem mojej rodziny jak mi wystawiał, mnie tymczasem bodła wolność, z jaką mi dawał rady, o które go wcale nie prosiłem. Wziąwszy się zrzęcutiej do rzeczy, możeby mnie był naklonił; szczerością zaś oburzał mnie. Pomlarkował to z milczenia mojego i nieukontentowania, którego ukryć nie mogłem, nie przestawał więc napominać mnie z większą uszczypliwością, niż uczuciem miłości i tym mnie zniecierpliwiał. Oh! co tego już nadto! zawołałam z gniewem; ruszaj panie Moncada; nie wtrącaj się do tego, co do ciebie nie należy. Idź, rachuj się z korespondentem twojego ojca. Właśnie też tobie przystało wskazywać mi moje obowiązki! Już lepiej od ciebie wiem, co mam czynić. To mówiąc wypchałem kramarza z gabinetu, odsyłając go do Owle-do ważyć pieprz i cynamon.

To wszakże co wyrzekł, utkwilo mi w myśl: wyrzucając sobie, że bym synem wyrodnym, rozczuliłem się. Wspomniawszy sobie tę troskliwość z jaką pielęgnowano mnie w dzieciństwie, starano się o moje wychowanie i ukształcenie: wystawiałem sobie ile ja to winien rodzicom, a takowym rozmyślaniom towarzyszyło niejaki niesienie wdzięczności, które przecież nie doprowadziło do niczego; wnet o wszystkim zapomniałem. Nie mało na świecie jest ojców, którzy mają podobne dzieci.

Chciwość i duma opanowały mnie i zmieniły zupełnie mój humor. Straciłem dawną wesołość: stałem się ponurym, w marzeniach zatopionym, jednym słowem, głupiem bydlęcym. Fabrycy widząc mnie czolem bijącego fortunie, rzadko bardzo odwiedzał mnie, raz nawet nie mógł się wstrzymać i rzekł mi: wierz mi Gil Blas, że od niejakiego czasu nie mogę cię poznać. Nim się dostałeś do dworu, miałeś zawsze umysł spokojny, teraz widać cię ciągle roztrąconym, marzysz raz wraz o zbogaceniu się, im więcej zbierasz pieniędzy, tem więcej zbierać ich pragniesz. Prócz tego, małże ci powiedzieli? nie masz dla mnie tego wylania serca, tego objęcia się swobodnego, które nadają jakiś urok związkom przyjaźni. Przeciwnie, ty się osłaniaasz, zamykasz serce przedemną. Widzę nawet przymus jakiś w grzecznościach, które mi objawiasz. Słowem nie jesteś ty tym Gil Blasem, którego znałem dawniej.

Żartujesz zapewne, odpowiedziałem mu dosyć obojętnie. Ja nie widzę w sobie żadnej odmiany. On zaś na to: ależ to nie do własnych oczu odwoływać się winieneś w tym względzie, bo one są zaczarowane. Wierz mi, że przeobrażenie twoje aż nadto prawdziwe. Uderz się w pierś i szczerze wyznaj, czy my żyjemy z sobą jak dawniej? Kiedyś zapukał do drzwi twoich, otwierałeś mi sam i to nieraz oczu jeszcze nie przetarłeś, ja wchodziłem do twojego pokoju bez ceregielów. Dziś co za różnica! Masz lokajów. Każesz mi wyczekiwać w przedpokoju, piérwój cię zawiadamiają, nim pozwolisz z sobą mówić. A po tém wszystkim, jakże mnie przyjmujesz... z grzecznością zimną jak lód, zakrawając na pana. Zdawałoby się, że moje odwiedziny zaczynają ci być nęażliwce. Czy myślisz, że takowe przyjęcie może być miłym dla człowieka, który był twoim spółtowarzyszem? Nie, Santillana, to mi się wcale nie podoba. Bądź zdrow, rozłączmy się po przyjacielsku, pozabądźmy się obadwa, ty cenzora twoich czynów, a ja dorobkowieca, który się nie zna na sobie.

Takowe wyrzuty rozdrażniły mnie bardzo, nie poruszywszy bynajmniej, dla tego też, pozwoliłem mu oddalić się, nie objawiając najmniejszej chęci zatrzymania go. Umysł mój podówczas był w takim stanie, że przyjaźń poety nie zdała mi się rzeczą tak ważną, ażebym się miał trapić jej utratą. Miałem się czém pocieszyć, w towarzystwie kilku niższych oficerów królewskich, z którymi zgodność humorów ściśle mnie wiązała. Ci nowi moi przyjaciele, byli to ludzie pochodzący po większej części Bóg wie jak, których szczęśliwa gwiazda wydzignęła. Wszyscy już mieli się dobrze, i te niedziaki przypisywali swoim zasługom dobrodziejstwa, jakimi ich łaska królewska hojnie obsypała, zapomnieli się podobnie jak ja; wszyscy razem wystawialiśmy sobie, że jesteśmy istotami poszanowania godnymi. O fortuna! tak ty najczęściej szafujesz darami swoi-

mi. Epiktet, stoicki filozof, bardzo słusznie porównał cię z dziewicą szlachetnego rodu, w objęciach podłego służalca.

KSIĘGA DZIEWIĄTA.

ROZDZIAŁ I.

Scypion chce ożenić Gil Blas'a z córką złotnika.

Pewnego wieczoru pożegnawszy towarzystwo będące u mnie na wieczerzy, zostałem sam ze Scypionem i zapytałem się go, coby tego dnia zrobił. Mistrzowskie dzieło, odpowiedział, krzątam się o bogate uposażenie dla pana, chcę pana ożenić z córką jedynaczką zamożnego złotnika, mojego znajomego.

Z córką złotnika! odezwałem się z pogardą; czyś głowę stracił? jakże możesz mnie swatać z mieszczałką? Skoro się ma zdolności, pewnie stanowisko przy dworze, zdaje mi się, że należy wyżej trochę sięgać. Ah, panie, odpowiedział Scypion, nie bierz z tego tonu; nie zapomnij o tém, że mężczyzna uszlachetnia, nie bąc wybredniejszy od tysięcy znakomych panów, którychby mi nie trudno było wymienić. Czy wiesz, że jedynaczka w mowie będąca, jest żona ze stu tysiącami dukatów najmotej? Czyż to nie jest piękna sztuka złotnicza? Usłyszawszy tak okrągłą sumę, zmłkcziałem. Przystając, rzekłem do mojego sekretarza, posag mnie skłania, kiedyż go będę mógł podnieść? Powoli mój panie, odpowiedział, trochę cierpliwości; naprzód muszę pomówić z ojcem, wyjednać jego przyzwolenie. Wyborne rzekłem, parsknąwszy śmiechem, to dopiero tak daleko jesteś? Otóż to małżeństwo należyte przygotowane! Daleko lepiej, aniżeli się pan spodziewać możesz, odpowiedział mi, godzinkę tylko pomówię ze złotnikiem, a ręczę panu za jego przyzwolenie. Ale nim dalej postąpiemy, naprzód się zgódźmy, jeżeli wola pańska. Dajmy na to, że ja panu napędzę sto tysięcy dukatów, ile ja z tego będę miał? Dwadzieścia tysięcy, odpowiedziałem. Chwała Bogu, rzekł, ja wdzięczność pańską na dzieśię tysięcy szacowałem. Pan dwa razy szlachetniejszy ode mnie. Zgoda więc, jutro zaraz rozpoczynam układy, a pan możesz być pewnym pomyślnego skutku, byłbym też osłem, gdyby mi się to udać nie miało.

W istocie we dwa dni później, powiedział mi: Mówiłem z panem Gabryelem de Salerno, tak się zwał mój złotnik, tak wychwalałem pańską wziętość i talenta, iż chętnie zezwolił na przyjęcie pana za zięcia. Będziesz miał jego córkę i sto tysięcy dukatów, bylebyś mu jawnie dowiódł, że posiadasz względy ministra. Jeżeli tylko od tego rzecz cała zależy, mówilem Scypionowi, tedy wnet się ożenię. Ale co do córki, czyś wdział ją? czy piękna? No, już to nie tak piękna jak posag! mówiąc między nami, ta bogata jedynaczka nie należy do rzędu ładnych kobieć, ale szczęściem pan o to nie dbasz. Dalbóg nie, odpowiedziałem; my dworacy, żeniemy się, żeby się ożenić tylko, piękności zaś szukamy u żon naszych przyjaciół, a jeżeli trafem znajdzie się ona u naszych, tak mało na to zwracamy uwagę, iż niema w tém nic złego, gdy nas za tę niebaczność ukarzą.

Ale to nie wszystko, odezwał się znowu Scypion, pan Gabryel zaprasza pana dziś na wieczerzę; ułożyliśmy się, że pan nie wspomnisz wcale o małżeństwie zamierzonym. Na tę ucztę ma zaprosić kilku kupców, swolch przyjaciół, a pan zechcesz tam znajdować się jako zwyczajny gość; jutro zaś chce być na wieczerzy u pana, w tym samym sposobie. Z tego pan możesz mlarkować, iż to ostrożny ptaszek, chce piérwój poznać pana nim dalej postąpi; dobrzeby było, żebyś się pan miał na baczności przy nim. Oh, ha! przerwałem mu z zarozumiałością, niech mnie bada, jak mu się podoba, na tém badaniu nic nie stracę.

Wszystko się tak stało punkt w punkt. Zaprowadzono mnie do złotnika, który mnie przyjął tak poufale, jak gdybyśmy się już nie raz wdziali. Był to sobie poczciwy, jak mówią, dobroduszny mieszczałin. Przedstawił mi senorę Eugenią, swoją małżonkę i młodą Gabryelę, swoją córkę. Nagadałem im mnóstwo grzeczności, nie przekraczając układu. Prawiłem im pięknie, w dobranych słówkach, wyrażenia dworaków.

Gabryela, mimo oświadczenie mego sekretarza, zdała mi się dosyć miłą; czy to, że była wystrojona, czy też, że patrzyłem na nią z po za summy posagowej. Piękny to dom tego pana Gabryela! Ja myślę, że tam więcej było srebra, niż w kopalniach peruańskich. Ten szacowny kruszec uderzał wzrok w każdym kącie, pod tysiącami postaciami. Każdy pokój był skarbcem, a osobliwie też sala w której zasiedliśmy do stołu. Co to za pyszny widok dla zięcia! Teś dla większego zaszczytu uczy sprosił pięciu, czy sześciu kupców, osoby bardzo poważne i nudne. Rozprawiali tylko o handlu i można śmiało rzec, iż to była raczej narada kupczących, a nie zabawa przyjaciół na wspólną ucztę zebranych.

Nazajutrz wieczór ja z kolei częstowałem złotnika. Nie mogąc go mieć srebrami, o inne postarałem się złudzenie. Zaprosiłem tych z moich przyjaciół, którzy szczególnie jaśnieli przy dworze, których znałem domę i żądze nieograniczone. Ci panowie rozmawiali tylko o wielkości, o urzędach wysokich i korzystnych, do których wzdychali, i to wywarło pożądany wpływ. Mieszczanin Gabryel odurzony ich górnymi pomysłami, pomimo swój majątek uważał się za nikczemnego śmiertelnika w porównaniu z tymi panami. Ja z mojej strony udając umiarkowanego, oświadczyłem, iż chętnie poprzestałbym na skromnym bardzo mieniu, naprzykład dwadzieścia tysięcy dukatów dochodu rocznego. Na to owi panowie chcieli zaszczytów i bogactwa zawołali, iżby to było wcale nierozsądnie, że będąc takim ulubieńcem pierwszego ministra, nie powinienem życzeń moich ograniczać taką fraszką. Teś ani litery nie urouł z całej tej rozmowy i uważałem, że odchodząc był bardzo zadowolony.

Scypion zaraz nazajutrz rano odwiedził go, pytając się czyby był kontent ze mnie. Zachwycony jestem odpowiedział mieszczanin, ten chłopiec pozyskał moje serce. Ale, panie Scypione, dodał zaraz, zaklinam cię na naszą dawną znajomość, mów ze mną otwarcie. Wszyscy mamy jakąś słabą stronę, jak wiesz, powiedz mi jaka jest pana Santillany. Czy on nie grywa w karty? czy nie jest złotnikiem? jakie może mieć skłonności złe? nie ukrywaj nic przedemną, proszę cię serdecznie. Panie Gabryelu, obrażasz mnie takim pytaniem, odpowiedział swat; ja właściwie więcej tobie sprzyjam, jak mojemu panu. Gdyby miał jakie nałogi mogące uczynić nieszczęśliwą twoją córkę, czyżbym ci go raił za zięcia? Nigdy, za nadto ci sprzyjam. Ale mówiąc poprostu, ja w nim innego błędu nie widzę, tylko, że niema żadnego; za nadto rozsądny, jak na młodego człowieka. Tęm lepiej odpowiedział złotnik, to mnie bardzo cieszy. Idź mój przyjacielu, możesz go zapewnić, że będzie miał moją córkę, że mu ją dam, choćby nawet nie był polubieńcem pierwszego ministra.

Zawiadomiony przez mego sekretarza o całej rozmowie, pobiegłem zaraz do pana Salero, podziękować mu za jego przychyłność. Już on wtedy wołę swoją objawił żonie i córce, które w sposobie przyjęcia mnie dowiodły, że poddały się jej bez żadnego wstrętu. Zaprowadziłem teścia do księcia Lerma, którego uprzedziłem o tem w dniu poprzednim. Księżę przyjął go z największą uprzejmością, oświadczył swoje zadowolenie, że wybrał na zięcia człowieka, któremu on sprzyja i którego zamierza wysoko posuwać. Następnie rozwodził się z pochwałą o moim, tyle dobrego na mój rachunek nagadał, że poczciwy Gabryel był przekonany, iż w osobie mojej wielmożności wynalazł dla córki swojej najlepszego męża w całej Hiszpanii. Tak był uradowany, iż mu łzy w oczach stanęły. Kiedyśmy się rozstawali silnie mnie uściskał, mówiąc: mój synu, tak gorąco pragnę widzieć cię mężem Gabryelli, iż zostaniesz nim najdalej za tydzień.

ROZDZIAŁ II.

Gil Blas przypomina sobie Alfonsa de Leyva i przez próżność wyrabia mu znakomity urząd.

Zostawmy na chwilę moje małżeństwo: z porządku mojej historii wypada, abym namienił o przysłudze wyświadczonej don Alfonsowi de Leyva, dawnemu panu mojemu. Zapomniałem onim zupełnie, i oto jest traf, który mi go przywiódł na pamięć.

Około tego czasu opróżnione zostało gubernatorstwo miasta Walencyi. Dowiedziawszy się o tem, wpadł mi na myśl don Alfons de Leyva, zastanowiłem się, że ten urząd może mu być bardzo na rękę, i zapewnie więcej przez chępliwość, niż z przywiązania, postanowiłem mu wyjednać tę posadę. Wystawiałem sobie, że jeżeli ją pozyskam, wielki spadnie na mnie zaszczyt. Udałem się zatem do księcia Lerma, przedstawiłem mu, że byłem intendentem domu don Cezara de Leyva i jego syna, że zachowując miłą pamięć obudwóch, považam się błagać go o udzielenie wzmlaukowanego gubernatorstwa jednemu lub drugiemu. Minister odpowiedział mi: Bardzo chętnie Gil Blasi, podobna mi się twoja wdzięczność i szlachetność. Prócz tego przemawiasz za rodziną, którą szacuję; Leyvowie są dobrimi sługami monarchy, słuszenie należy im się to miejsce. Możesz niem rozrzucić według twego życzenia, daję ci je, jako wiązarek ślubny.

Uradowany takim powodzeniem, nie tracąc czasu, udałem się do Calderona, aby kazał wygotować patent dla don Alfonsa. Zastałem mnóstwo osób w pokornym milczeniu, oczekujących posłuchania u don Rodriga. Przeszedłem salę i stanąłem u drzwi gabinetu, które się wnet rozwarły dla mnie. Ujrzałem sam nie wiem ilu kawalerów, komandorów i innych ludzi znakomitych, których Calderone słuchał po kolei. Rzecz godna uwagi, ten rozmaity sposób ich przyjmowania: jednym lekko tylko kiwnął głową, innych raczył głębokim ukłonem i odprowadzał aż do drzwi gabinetu; objawiał, że tak rzekę, pewne odliczenia szacunku w samej grzeczności, którą im okazywał. Z drugiej strony, widziałem kawalerów zrażonych małą uwagą na nich zwracaną, złorzeczających w duszy konieczność, która ich zmuszała do czołgania się przed tą figurą. Uważałem i takich, którzy przeciwnie sztydził z jego głupiej i zarozumiałej miny. Ale cóż z takich uwag, kiedy z nich nie korzystałem; ja u siebie podobnie postępowałem, nie troszcząc się bynajmniej ani o pochwałę, ani o naganę mego sposobu wzięcia się, byleby tylko szanowano.

Don Rodryg przypadkiem, rzuciwszy na mnie okiem, opuścił natychmiast szlachcica z którym rozmawiał, posnął się ku mnie z objawami przyjaźni, które mnie mocno zdziwiły. Ah, kochany kolego, zawołał, cóżto za interes nastęrcza mi przyjemność oglądania ciebie? czemuż mam mu służyć? Wyłuszczyłem mu przyczynę mego przybycia, a on w wyrazach najgrzeczniejszych zapewnił mnie, że jutro o tej samej godzinie, będę miał wszystko wygotowane. Jeszcze na tem nie ograniczył swojej grzeczności, odprowadził mnie aż do drzwi przedpokoju, co tylko dla wielkich panów robił, przy rozstaniu się, uściskał mnie powtórnie.

Co znaczą te grzeczności? myślałem sobie wracając; co mi one zwiastują? Czyżby Calderone zamierzył moją zgubę, albo starał się pozyskać moją przyjaźń? Albo może przeczuwając utratę względów, chciałby we mnie znaleźć pośrednika do naszego pana? Nie wiedziałem którego z tych domysłów zepięć się. Następnego dnia przyjmował mnie w tym samym sposobie, obsypał mnie grzecznościami i słodkimi słówkami. Prawda, że to wszystko odbijał na przyjęciu innych osób. Opryskliwie odpowiadał jednym, zimno spoglądał na drugich, zniechęcał prawie wszystkich. Wszyscy atoli pomszczeni zostali trafem, którego przemilczeć nie mogę. Będzie to skrzówka dla referentów i sekretarzy, którzy to przeczytają.

Jakiś człowiek bardzo skromnie ubrany, nie wydający się wcale tem, czém był w istocie, zbliżył się do Calderona i pytał się o podanie, które jak mówił, złożył na ręce księcia Lerma. Don Rodryg nie raczył nawet spojrzeć na niego, odezwał się tylko szorstko: Jak cię nazywają mój przyjacielu? Nazywano mnie w dzieciństwie Franusem, odpowiedział z zimną krwią ów człowiek, później mianowano mnie don Franciszek de Zuniga, a teraz jestem hrabią de Pedrosa. Calderone uderzony tą mową, widząc że ma do czynienia z człowiekiem wysokiej godności, chciał się tłumaczyć. Panie, rzekł, przepraszam cię, jeżeli nie znając twojej osoby.... Nie chcę twojego

tłumaczenia, odpowiedział z dumą Franuś, gardząc niemi, równie jak twoją niegrzecznością. Pamiętaj, że sekretarz ministra powinien w uprzejmości przyjmować wszelkiego stanu osoby. Bądź, jeśli ci się podoba, w przekonaniu, że jesteś zastępcą ministra, ale nie zapominaj nigdy, że jesteś jego sługą.

Dumny Rodryg zgryzł się tym przypadkiem, ale nie został rozsądniejszym. Ja dobrze zanotowałem sobie tego figla, postanowiłem dobrze uważać z kim mam do mówienia na motch posłuchaniach i dla niecnych tylko być zuchwałym. Ponieważ patent dla don Alfonsa był gotowy, wziąłem go więc i przez nadzwyczajnego gońca posłałem temu panu, z listem księcia Lerma, zawiadamiającym go, że król Jegomość mianował go gubernatorem Walencji. Nie donosiłem mu, jaki udział miałem w tém mianowaniu, nie chciałem nawet pisać do niego, zachowując sobie rozkosz objawienia mu tego ustnie, i sprawienia mu miłej niespodzianki, skoro przybędzie do Madrytu, dla złożenia przysięgi.

ROZDZIAŁ III.

O przygotowaniach do ślubu Gil Blas.

Wróćmy teraz do mojej ukochanej Gabryelli; otóż więc miałem ją zaślubić za pięć dni. Przygotowywaliśmy się z obudwóch stron do tego obrzędu. Salero kazał zrobić bogaty strój dla nowo-zamężnej, ja zgodziłem dla niej pokojową, lokaja i starego koniuszego, wszystko z wyboru Scypiona, który z większą niż ja niecierpliwością wyglądał dnia, w którym miano wyliczyć posag.

W willi dnia tak pożądanego byłem na wieczery u teścia razem z wujaszkami i ciociami, stryjaszkami i stryjenkami i rozmaitego stopnia krewnemi i powinowatemi, grałem wybornie rolę zięcia hipokryty. Miałem dobry zapas jedwabnych słówek dla złotnika i jego małżonki, naśladowałem rozkochanego przy boku Gabryelli, głaskałem całą familią, słuchając cierpliwie płaskich wyrażeń i rozmowań mieszczkańskich. Dla tego też w nagrodę mojej cierpliwości miałem szczęście podobać się wszystkim krewniakom, nie było ani jednego, któryby się nie cieszył z tego związku.

Po skończonym bankiecie całe towarzystwo przeszło do innej sali, gdzie je uruczono koncertem głosowym i instrumentowym, nie źle wykonanym, choć nie wezwano do niego najdoskonalszych mistrzów w Madrycie. Kilka wesółych aryj, tak mile uderzały uszy nasze, iż wpadłszy w dobry humor, zabraliśmy się do tańca. Bóg wie jak to tam szło, ponieważ mnie uznano za wychowawca Terpsychoy, mnie, który zasad tej sztuki uczyłem się przez dwie, a może trzy godziny u margrabini Chaves, od małego tancmistrza, co uczył paziów. Ubawwszy się do woli, trzeba się było zabierać do domu. Nie żałowałem ukłonów i uścisków serdecznych. Bąc zdrów mój zięciu, rzekł mi Salero, jutro przyniosę ci posag w pięknych dublonach. Miło mi będzie oglądać cię kochany teściu. Zresztą, życząc dobrej nocy całej rodzinie, siadłem do karety stojącej przede drzwiami i ruszyłem do mojego pałacu.

Zaledwie ujechałem dwieście kroków od domu pana Gabryella, gdy kilkunastu ludzi, jedni pieszo, drudzy konno, a wszyscy z pałaszami i karabinami, otoczyli powóz mój, zatrzymali go, wołając: *z rozkazu królewskiego!* Kazali mi wysiąść szybko i przerzucili mnie do bryczki pocztowej, do której także wsiadł przewodnik tych ludzi i kazał skierować do Segowii. Pomlarkowałem zaraz że to był szanowny algazil, którego miałem przy boku. Chciałem wybać od niego, co by był za powód mojego uwięzienia, ale mi odpowiedział zwykłym tym panom tonem, że nieobowiązany zdawać mi sprawę. Rzekłem więc, że może się myli. Nie, nie, odpowiedział, jestem ja pewny swojego: jesteś pan de Santillana, ciebie więc mam rozkaz zaprowadzić tam, dokąd jedziemy. Nie mając co powiedzieć na to, milczałem: przez resztę nocy toczyliśmy się wzdłuż brzegów Manzanaresu, nie rzekłszy ani słowa. Zmieniliśmy konie w Colmenar i pod wieczór byliśmy już w Segowii, gdzie mnie wtrącono do turmy.

ROZDZIAŁ IV.

Jakim sposobem Gil Blas dowiedział się o przyczynie swojego uwięzienia.

Naprzód zamknęto mnie w lochu, zostawiając gołą słońce jak zbrodniarzowi na wyrok śmierci czekającemu. Przepędziłem noc całą nie na utyskach, bo jeszcze nie znałem mojego nieszczęścia, lecz łamałem głowę nad przyczyną mojej niedoli. Nie wątpiłem bynajmniej, aby to nie miała być sprawka Calderona. Ale choć domyślałem się że mógł wszystko wykręcić, mając jednak nie mogłem, jakimby sposobem nakłonił księcia de Lerma do tak srogiego obejścia się ze mną. To wystawiałem sobie że uwięzienie moje nastąpiło bez wiedzy księcia, to znów myślałem, że on sam może kazał mnie wtrącić do ciemnicy z jakiego politycznego powodu, jak to nie raz dzieje się z powiernikami.

Tak różnorodne przypuszczenia miotają moim umysłem, gdy światło dzienne przedzierając się przez okienko zakratowane przedstawiło oczom moim całą okropność miejsca w jakim się znajdowałem. Wtedy dopiero udrczenie moje było bez granic, oczy moje stały się dwoma potokami łez, którym wspomnienie pomyślności osychać nie pozwalało. Kiedy tak ubolewałem nad moją niedolą, wchodził stróż więzienny niosąc chleb i dzban wody, dzienny mój pokarm. Popatrzawszy się na mnie i widząc twarz zalaną łzami, chociaż to stróż, a jednak uczuł litość nade mną. Panie więźniu, rzekł, nie rozpaczaj; nie trzeba tak cznie brać złych przygód życia. Jesteś młody, po takim czasie nierzysz lny. A teraz jedź z ochotą chleb królewski.

Pocieszyciel mój to rzekłszy wyszedł, a ja odpowiedziałem utyskiwaniem i jękami: cały dzień złorzeczyłem mojej gwiazdzie, nie myśląc wcale o mojej żywności, która w stanie w jakim się znajdowałem wydawała mi się nie darem królewskim, ale skutkiem jego gniewu.

Noc tymczasem nadeszła i wnet szereg kluczy obił się o uszy moje. Drzwi mojego lochu rozwarły się i wszedł człowiek ze świecą. Zbliżył się do mnie i rzekł, panie Gil Blas, widział przed sobą jednego z twoich przyjaciół. Jestem Andrzej de Tordesillas, mieszkałem z tobą w Granadzie i byłem dworzaniem arcybiskupa wtedy, gdyś ty się cieszył zaufaniem tego pałata. Prosił go, jeżeli sobie przypominasz, żeby się wstawił za mnie, a on wyjednał mi urząd w Meksyku. Ale zamiast udać się do Indyj, ja zostałem w zamku Alicante. Ożeniłem się tam z córką dowódcy twierdzy i po rozmaitych przygodach, które ci swobodniejszym czasem opowiem, dostałem się na nadzorcę więzienia w Segowii. Szczęście twoje, że w osobie człowieka obowiązanego dręczyć cię, znajdziesz przyjaciela, który wszelkiemi siłami starać się będzie osłodzić ci przykrości turmy. Rozkazano mi wyraźnie, abym ci nie pozwolił z nikim rozmawiać, żebyś spał na słomie, a na posiłek dawać ci tylko chleb i wodę. Ale prócz tego, że samo uczucie skłania mnie do litości nad twoim losem, tyś mi wyświadczył przysługę, wdzięczność moja przeważa rozkazy. Zamiast być narzędziem udrczenia, chcę ci ulżyć ile możności. Wstań i pójdz ze mną.

Chociaż pan nadzorca zasłużył na podziękowanie, tak jednak byłem pomieszany, iż słowa wyrzec nie umiałem. Ale mimo to poszedłem za nim. Przeszliśmy przez sieni i po schodach bardzo ciasnych dostaliśmy się do izby na samym wierzchu wieży. Zdziwiłem się nie mało ujrawszy dwie pałace się świecące w lichterach mosiężnych i dwa dosyć czyste nakrycia. Zaraz podadzą ci jedzenie, rzekł Tordesillas, zjemy tu obadwa wiecez. Ten właśnie zakątek przeznaczyłem na twoje mieszkanie, lepij ci tu będzie jak w twojej ciemnicy. Z okna widzieć będziesz kwieciste brzegi Eremy i rozkoszną dolinę rozciągającą się u stóp gór rozdzielających obiedwie kastylie i ciągnących się do Coca. Z początku zapewne nie zwróci twojej uwagi tak piękny widok, ale z czasem gdy łagodniejsze marzenia zajmą miejsce rozdzierającej boleści, będzie ci przyjemnie przypatrywać się tak miłym widokom. Oprócz tego bąc pewny, że ci nie będzie zbywało na bieliznie, i innych rzeczach potrzebnych czlowiekowi lubiącemu czystość. Nadto będziesz miał dobre

łóżko, przyzwrotną żywność, dostarczę ci ksządek ile zechcesz; słowem wszelkie przyjemności, jakie tylko może mieć więzień.

Tak obowiązujące ostarzy ulgę mi niejaka przyniosły. Nabranem odwagi i tysiącne dziękczynienia złożyłem mojemu nadzorcy. Powiedziałem mu, że mi życie wrócił przez swoje postępowanie szlachetne; że pragnąłbym widzieć się kiedyś w stanie objawienia mu mojej wdzięczności. I dla czegożbyś nie miał być w stanie? odpowiedział, czy myślisz żeś na zawsze stracił wolność? Jeżeli to sobie wystawiasz, jesteś w błędzie, mogę ci zaręczyć, że całą winę odpokutujesz kilką miesiącami więzienia. Co mówisz? panie Andrzeju zawołałem. Widać, że wiesz przyczynę mojego nieszczęścia. Przyznam ci się, odpowiedział, że nie jest ona dla mnie tajemnicą. Algazil, który cię tu przywiozł, zwierzył mi się z tym sekretem, a ja ci go objawię. Powiedział mi, że król dowiedziawszy się, że ty i hrabia Lemos w nocy przewodniczyliście księciu, do jakiejś kobiety podejrzanej, dla ukarania was, skazał na wygnanie hrabiego Lemos, a ciebie odesłał do turmy w Segowii, aby się z tobą obejść z całą surowością, jakiej doświadczyłeś przybywszy. Jakimże sposobem król mógł o tém powziąć wiadomość? zapytałem się: właśnie o tej okoliczności chciałbym się dowiedzieć. A to właśnie jest o czem mi algazil nie wspominał, i czego zdaje się sam nie wiedział.

Wtój chwili weszło kilku służących, niosąc naszą wieczernę. Położyli na stole chleb, dwa talerze, postawili dwie butelki i trzy wielkie półmiski, na jednym z nich był comber zajęczy suto cebulą przyprawony, z oliwą i szafranem, na drugim *olla potrida*, na trzecim jędycażko z marmeladą. Tordesillas obejrzawszy, że mamy wszystko czego nam potrzeba, odprawił służących, by nie byli świadkami naszej rozmowy. Zamknął drzwi i zasiedliśmy do stołu naprzeciw siebie. Zaczniemy od najważniejszej rzeczy: po dwóch dniach dyety musisz mieć niezły apetyt. To mówiąc, nakładł mi pełny talerz mięsa. Wystawiał sobie, że częstuje zgłodniałego, w istocie miał słusność przypuszczając, że się napeham jego przysmakami, mimo to zawiodłem jego oczekiwania. Jakkolwiek potrzebowałem pokarmu, jednakże nie przełknąć nie mogłem, tak byłem ucisnięty obecnem moim położeniem. Naprawdę mój nadzorca dla oddalenia odemnie trapiących wyobrażeń zachęcał mnie do wina, zachwalał jego smak wyborny; gdyby mi wtedy samego dał nektarn, pewniebym go pił bez żadnego smaku. Spozrzegł to i obwyił się innego środka, zaczął mi opowiadać w stylu żartobliwym historię swego małżeństwa: i z tém nie zaszedł dalej. Słuchałem go z takim rozrągnięciem, że po skończeniu opowiadania, nie byłem w stanie powiedzieć o czem była mowa. Poznał wreszcie, że napróżnoby się silił tego wieczora rozpuścić troski, które mi dokuczały: wstawszy przeto od stołu odezwał się do mnie: panie de Santillana, nie chcę przeszkadzać twojemu spoczynkowi, a raczej marzeniom o twojem nieszczęściu, ale ci powtarzam, że to nie będzie długotrwałe. Król jest łaskawy, gdy z gniewu ochłonie i wystawi sobie oplakany stan, w jakim się niby znajdujesz według jego myśli, zdawać mu się będzie, żeś już dosyć ukarany. Potem pan nadzorca oddał mi się, a słudzy sprzątnęli wszystko nawet i świece: musiałem się więc położyć przy słabym świetle lampki.

ROZDZIAŁ V.

Marzenia Gil Blas'a nim zasnął i co go przebudziło.

Dwie godziny przeszło rozmyślałem nad tém co mi Tordesillas powiedział. Otóż siedzę tu, myślałem sobie, za to, żeś się starał z mojej strony o przyjemność dla dziedzica korony hiszpańskiej. Ależ kto się odważył dać taką radę monarsze, nie lekając się gniewu księcia następcy i księcia Lerma? Minister nie zaniedba zemścić się za synowca swojego hrabiego Lemos. Jak król tego doszedł? otóż tego właśnie nie pojmuje.

Na tém kończyły się zawsze moje rozmyślania. Stémwszystkiem najgryźliwsze dla mnie i prawie do rozpacy przywodzące wyobrażenie było, żeś sobie wystawiał rabunek wszystkich moich rzeczy, a ta myśl bezustannie snuła mi się po głowie. Raz po raz wdychałem sobie: moja ty droga skrzynio

z pieniędzy, gdzież się podziała! w czyje ręce popadała? Niestety! straciłem cię prędkiej daleko, niżeli mógł napełnić! Wyobrażałem sobie nieład, jaki musiał panować w mojem mieszkaniu i z tego powodu snuły mi się myśli jedne posępniejsze od drugich. Ten zamęt w głowie mojej stał się tak tłoczającym, iż przez to samo zbawienny wywarł wpływ; sen, który poprzedniej nocy uciekał przede mną, teraz rozciągnął lekkie swoje skrzydła. Prawda, że po części przyłożyło się do tego wygodne łóżko, utrudzenia, a nawet i wino. Zasnąłem mocno; według wszelkiego podobieństwa dzień biały byłby mnie przydybał w tym stanie, gdyby mnie był nie obudził nagle hałas niezwykły w więzieniu: usłyszałem brzęk gitary z towarzyszeniem splewu mężczyzny. Nadstawiam ucha z natężeniem, lecz już nie słychać, zdało mi się, że to był sen. Ale po chwili znowu mnie uderzyły też same tony i ten sam śpiew, następującej zwrotki.

Aj de mi? un anno felice
Parcee un sopio ligero,
Pero sin dicha un instante
Es un siglo de tormento.

Ah! szczęście co się przymila,
Znika jak lube marzenia,
Złej zaś doli jedna chwila,
Zda się wiekiem udurzenia!

Ta zwrotka jakby nmyślnie dla mnie ułożona, rozdrażniła moję tęsknotę. Doświadczam aż nadto prawdy tych wyrazów, pomyślałem; zdaje mi się, że czas mojego szczęścia jak dym uleciał, a cały już wiek prawie jęczę w więzieniu. Zatopiłem się w przykrych marzeniach i znowu poczęłem się trapić, jak gdyby to rozkosz mi sprawiała. Żale moje skończyły się razem z nocą, a pierwszy promień słońca oświetający moję izbę uskromił niespokojność. Wstałem, by otworzyć okno i świeżego powietrza wpuścić. Rzuciłem okiem na okolice, której pamiętałem piękny opis mojego nadzorcy; alem nie widział coby go usprawiedliwiała: Erema, którą sobie wyobrażałem podobną przynajmniej do Tagnu, wydała mi się małym strumieniem. Pokrzywy tylko i osy zdobily jej *kwieciste brzegi*, a mniemana *rozkoszyna dolina* przedstawiała grunta, po większej części nieuprawne. Być może, iż jeszcze nie doszedłem tej słodkiej melancholii, któraby mi przedstawiała rzeczy w innej barwie, nie w tej, w jakiej je widziałem wówczas.

Zacząłem się ubierać i już byłem do połowy ubrany, gdy wszedł Tordesillas, a za nim stara służąca niosąca bieliznę i serwety. Panie Gil Blas, odezwał się, oto masz bieliznę, nie oszczędzaj jej, ja będę się starał, aby ci jej nie zabrakło. A co, jakżeś noc przepędził? sen wstrzymał na chwilę twoje troski? Możebyś dotąd jeszcze był spał, gdyby mnie był nie przebudził śpiew z towarzyszeniem gitary. Kawaler, który przerwał twój spoczynek, jest więźniem stanu i ma pokój obok twojego. Jest on kawalerem zakonu Calatrava, postać jego bardzo miła, nazywa się don Gaston de Cogollos. Będziecie się mogli widywać i jadać razem; znajdziecie wazajemną pociechę w waszych rozmowach: jeden drugiemu sprawi wielką przyjemność. Wynurzyłem don Andrzeju moją wdzięczność za dane mi pozwolenie połączenia trosków moich z troskami tego kawalera, a żeś objawił pewną niecierpliwłość rychłego poznania towarzysza niedoli, łaskawy nadzorca sprawił mi tę przyjemność tegoż dnia jeszcze. Pozwolił nam razem jeść obiad, i don Gaston zdziwił mnie swoją pięknością i szlachetną postawą. Możecie sobie wyobrazić jaki to musiał być człowiek, kiedy potrafił olśnić wzrok przywykłego do patrzenia na najświetniejszą młodzież przy dworze. Wystawcie sobie człowieka zrodzonego dla rozkoszy; jednego z tych bohaterów romansowych, dla którego dosyć było pokazać się, by pozabawił snu nawet księżniczki. Dodajmy do tego, że natura miesząjąca zwykle dary swoje, obdarzyła don Gastona wielkim dowcipem i nieustraszoną walecznością. Był to doskonały we wszystkim kawaler.

Jeżeli Cogollos mnie zachwycił i ja także miałem szczęście nie obudzić w nim wstrętu. Już nie śpiewał w nocy, aby mi przykrość nie robił, chociaż usilnie go prosiłem, aby sobie nie robił przymusu dla mnie. Przyjaźń szybko się zawiązuje mię-

dzy osobami, których los zawistny uelska; zawarta między nami od pierwszego poznania, codzień się wzmagała. Zostawiona nam wolność obcowania z sobą w każdej chwili, była nam bardzo dogodną, bo przez nasze rozmowy pomagaliśmy sobie nawzajem do clerpliwego znoszenia naszego nieszczęścia.

Raz po południu wszedłem do jego izby, gdy się właśnie zabierał do gitary. Żeby mu się przysłuchać, siedłem na małym stołeczku, jedynym meblu w jego pokoju, on zaś oparty o łóżko grał arzę bardzo tkliwą i obok tego śpiewał zwrotki wyrażające rozpacz do jakiej nieugiętość kobiety przywozila kochanka; kiedy skończył, odezwałem się z uśmiechem: panie, to są wiersze, których nigdy zapewne nie będziesz zmuszonym używać w swolch zalotach, dla ciebie żadna piękność nie będzie okrutną. Zbyt pochlebnie o mnie sądzisz, odpowiedział mi: właśnie dla siebie samego nłożyłem te wiersze, któreś słyszał, abym zmiękcył serce, które mi się zdawało ze stali, aby rozczulić kobietę nieugiętą dla mnie. Muszę ci opowiedzieć tę historią, dowiesz się z niej zarazem o moich nieszczęściach.

ROZDZIAŁ VI.

Historia don Gastona de Cogollos i dony Heleny de Galisteo.

Będzie temu lat cztery gdy wyjechał z Madrytu de Coria, dla odwiedzenia dony Eleonory de Laxarilla, mojej ciotki, najbogatszej wdowy w całej Kastylii starej, której jedynym jestem spadkobiercą. Ledwie co tam przybyłem, gdy miłość zakłóciła mój spokój. Przeznaczono dla mnie mieszkanie, którego okna były naprzeciw żaluzji pewnej kobiety, którą mogłem widzieć, bo ulica była ciasna, a żaluzje niedomknięte. Nie zaniedbałem korzystać z tej okazji i sąsiadka moja zdała mi się tak piękna, że się w tej chwili rozkochałem. Pokazałem jej to wzrokiem tak ognistym, iż niepodobieństwo było nie poznać tego; ona też spostrzegła, ale nie była to dziewica szukająca tryumfu z podobnych spostrzeżeń, a jeszcze mniej zdolna do odpowiedzenia na moje przymłania.

Chciałem wiedzieć imię tej niebezpiecznej osoby, co tak szybko podbijała serca. Powziąłem wiadomość, że ją mianują doną Heleną, że jest jedyną córką don Jerzego de Galisteo, który posiadał o kilka mil od Corii lenność ze znakomitym dochodem; że często przedstawiali się starający się o jej rękę, ale ojciec odmawiał wszystkim, zamierzwszy zaślubić ją don Augustynowi de Olighera, swojemu synowcowi, który czekając na te związki miał pozwolenie widywania się i rozmawiania ze swoją krewną. To mnie nie zraziło bynajmniej. Przeciwnie, tém więcej ją kochałem, a dumna rozkosz odsadzenia spółzalotnika ukochanego, więcej może pobudzała mnie, niż sama miłość. Nie przestawałem więc rzucać zapalonego wzroku na donę Helenę. Posyłałem go często i do Felicyi jej pokojówki, jakby błagając jej pomocy. Użyłem nawet migów, wszystko napróżno; nie skorzystałem więcej u pokojówki, jak u samej pani, obiedwie były surowe, nieprzystępne.

Ponieważ nie chciały odpowiadać na moję oczu, uciekłem się więc do innych tłumaczy. Rozpuściłem ludzi, aby się wywiedzieli o znajomościach Felicyi w mieście. Powiedziano im, że pewna stara niewiasta, nazwiskiem Teodora, była największą jej przyjaciółką, że się bardzo często widują. Uradowany tém odkryciem, udałem się sam do Teodory i darami zobowiązałem ją do przysługi. Skłoniła się na moję stronę, przyrzekła wyjednać mi skrytą rozmowę z nią, i zaraz nazajutrz dotrzymała słowa.

Nie jestem już nieszczęśliwy, rzekłem do Felicyi, ponieważ troski moje obudziły twoję litość. Jakże wdzięczny jestem twojej przyjaciółce, że mi nastęrczyła miłą sposobność rozmawiania z tobą! Panie, odpowiedziała, Teodora ma zupełną przewagę nade mną, ona mnie pozyskała dla pana, i gdybym mogła przyłożyć się do szczęścia pańskiego, byłbyś u kresu twoich życzeń; ale przy najlepszych chęciach, nie wiem, czy ci wczem przysłużyć się potrafię. Nie chcę cię mamić, powziąłeś zamiar niesłychanie trudny. Kochasz kobietę przywiązaną do kogo innego, a do tego jaką kobietę! kobietę tak dumną i skrytą, że jeżeli przez twoję stałość i zabiegi potrafiłś wydobyc z niej ja-

kowe westchnienie, nie myśl, aby jej duma zostawiła ci tę przeciechę, żebyś je mógł słyszeć. Ah, droga Felicyo, odezwałem się z żalem, na cóż mi przedstawiasz zawady, które mi przełamać potrzeba? Te szczegóły zabijają mnie. Uwodź mnie raczej, a nie doprowadzaj do rozpacz. To mówiąc, wziąłem jej rękę, ścisnąłem i włożyłem na palec brylant wartości trzechset ludorów, prawiąc jej tak tkliwie, że się rozrzewniła.

Zbyt była wzruszona moją mową, za nadto zadowolona z mojego wzięcia się, by mi nie miała błysnąć jakąś nadzieją. Zaczęła z wolna oprzątać zawady. Panie, rzekła, to com ci powiedziała, nie powinno ci odbierać zupełnie nadziei. Spółzalotnik twój wprawdzie nie jest źle widzianym. Przychodzi do nas swobodnie dla odwiedzenia swojej krewnej, rozmawia z nią, kiedy mu się podoba, a to właśnie jest korzystne dla pana. Nawyknięcie codziennego widywania się, czyni ich obcowanie trochę nudnym. Zdaje mi się, że się rozchodzą bez przykrości i spotykają znówu bez należytego zadowolenia. Rzekłbyś, że są już po ślubie. Słowem, nie widzę wcale, aby pani moja paliła szczerą miłością dla don Augustyna. Dalej trzeba przyznać, że co do przymłotów osobistych między nim a panem, jest



Kwesta.

różnica, którą zapewne nie bez korzyści spostrzega panna z tak delikatnym uczuciem, jak jest dona Helena. Bądź więc dobrej myśli; nie ustawaj w zalotach; ja nie pomnę żadnej sposobności uwielbienia tego, co tylko zrobisz dla jej przypodobania się. Niech sobie kryje się jak zechce, ja przecież pod maską udawania potrafię przeniknąć jej uczucia.

Po takowej rozmowie rozeszliśmy się oboje bardzo z siebie zadowoleni! Ja na nowo zacząłem przymilać się córce don Jerzego; uraczyłem ją serenadą, w której najpiękniejszego dobrawszy głos, kazałem odśpiewać wiersze, które teraz słyszałeś. Po tym koncercie panna pokojowa dla zbadania swojej pani, zapytała się, czy to ją zabawiło. Głos, rzekła dona Helena, podobał mi się, a wyrazy śpiewane, dodała panna, czyż nie są tklive? Na to odpowiedziała pani, nie zwracałam wcale uwagi. Słuchałam tylko śpiewu, nie bacząc bynajmniej na wiersze, ani się też troszcząc kto tę serenadę wyprawiał. Kiedy tak, tedy biedny don Gaston de Cogollos jest bardzo daleko od swego celu, mówiła pokojowa, i bardzo jest nierozsądny zapuszczając swój wzrok między nasze żaluzje. A może to nie on, odpowiedziała oziębłe paul, to zapewne inny jaki młody przez

ten śpiwłw chciał mi objawić swoją miłość: ty się mylisz. Daruj panu, rzekła Felicja, to don Gaston sam, dowodem tego jest, że dziś rano spotkał mnie na ulicy: że mnie nawet prosił, abym pani oświadczyła, iż ją ubóstwia, mimo surowości z jaką odpłacasz jego miłość; że zresztą uważałby się za najszczęśliwszego z ludzi, gdybyś mu pozwoliła objawić przywiązanie przez zabieg i przez zalotne koncerty. To zdaje się powinno przekonać panią, że się nie mylę.

Córka don Jerzego zmieniła natychmiast postać, a wejrząwszy groźnym okiem na pannę pokojową, mogłaś sobie, rzekła, nie zadawać trudu w opowiadaniu tej rozmowy zuchwałej. Proszę cię, niech to będzie ostatnie twoje doniesienie: jeżeli ten płochy młodzieniec poważy się jeszcze raz mówić z tobą, powiedź mu, niech się uda do osoby więcej ceniącej jego zalety, niech sobie uczciwszą wynajdzie rozrywkę, a nie przepędza dni całych na przglądaniu się co ja robię w moim pokoju.

Wszystkie te szczegóły opowiedziała mi Felicja, widząc się ze mną powtórnie, utrzymując zaś, iż nie należy brać ściśle tych wyrazów, chciała mnie przekonać, że sprawa moja idzie jak najlepiej. Ja zaś nie rozumiejąc skrytych wybiegów, nie wierząc, aby można było tłumaczyć text na moją korzyść, nie ufałam jej komentarzom. Żartowała z mojej niewlary, prosiła przyjaciółkę swoją o papier i atrament, mówiąc: paule, pisz natychmiast do dony Heleny, jak kochanek w rozpacz. Maluj jej cierpienia swoje w najżywszych kolorach, a nadewszystko ubolewaj nad zakazem pokazywania się w oknach. Przrzekaj posłuszeństwo, zapewniając, że je życiem przypłacisz. Nadaj temu obrot jak wy to panowie umiećcie, a ja reszle przyjmuję na siebie. Spodziewam się, że wypadek więcej niż się spodziewasz przyniesie zaszczytu mojej przenikliwości.

Byłbym pierwszym z kochanków, który mając tak piękna sposobność pisania do swojej ulubionej, nie chciał z niej korzystać. Napisałem list najpatetyczniejszy. Nim go złożyłem, podałem Felicji, która przeczytawszy, uśmiechnęła się, mówiąc, jeżeli kobiety znają sztukę zwracania głów mężczyzn, natomiast mężczyznom nie tajny jest sekret omamlenia kobiet. Pokojowa wzięła mój bilet, zapewniając, że jej będzie rzeczą, aby pożądaną wydał skutek: po czem zaleciwszy, abym przez kilka dni miał zamknięte okna, wróciła do don Jerzego.

Przybywszy do dony Heleny, rzekła, pani, spotkałam don Gastona. Natychmiast zbliżył się do mnie, chcąc pochlebną darzyć mnie mową. Głosem drżącym, jak winowajca, co wyroku kaźni oczekuje, pytał się, czym z panią o nim rozmawiała. Wtedy posłuszna woli pani krótko uciełam rozmowę. Powstałam ostro na niego, nie szczędziłam wyrazów obelżywych, i zostawiłam go na ulicy odurzonego moją popędliwością. Cieszę się mocno, żeś mnie uwolniła od tego natręta: lecz nie wypadło mu prawie niegrzeczności, trzeba kobiecnie aby dziewczęca odznaczała się łagodnością. Pani, odpowiedziała panna pokojowa, zagorzałego kochanka nie pozbędzie się słówkami z łagodną miną wymówionemi: nie zawsze tego dokazać można gniewem i popędliwością. Oto np. don Gaston, ten wcale się nie zraził. Nagadawszy mnie niedorzeczności, posłałam według polecenia pani do jej krewnej. Ta pani za długo mnie zatrzymała, mówię za długo, bo kiedyś wracała, znowum spotkała tego gacha. Nie spodziewałam się widzieć go w życiu. Widok jego zmieszał mnie, ale to tak dalece, że język mój gotów na każde zawołanie, wtedy ani be wymówić nie umiał. Cóż on wtedy robi? Oto korzystając z mojego milczenia, albo raczej, roztargnienia, wsuwa mi w rękę papier, którym ujęła, nie wiedząc co robię, a on zniknął w tej chwili.

To mówiąc wydożyła list, oddała go pani swojej żartując, która jakby dla zabawki wzięwszy go, przeczytała z uwagą, a potem udała skromną. W istocie Felicja, odezwała się dość surowo do swojej panny pokojowej, ty jesteś roztrzepana, bez rozsądku, żeś przyjęła ten bilet. Co może o tém pomyśleć don Gaston, co ja sama mam o tém sądzić? Takowem postępowaniem dajesz mi powód nieufania twojej wierności, Gastona zaś naprowadzasz na myśl, że ja mogę być czuła na jego miłość. Niestety! może w tej chwili wystawia sobie, że ja z rozkoszą

odeczytuję litery przez niego kręśłone: na jakąż więc bańbę narażasz moją dumę. Oh, wcale nie, odpowiedziała panna, nie może tak myśleć: przypuściwszy, że tak jest w istocie, długo nie będzie się mamił. Przy piérwszém zaraz spotkaniu powiem mu, że pokazała pani jego list, żeś spojrziała nań z miną oziębłą, że zresztą nie czytając, podarłaś go ze wzgardą. Możesz śmiało zapewnić go, że go wcale nie czytała. Jakżeby mi się wstydzicie musiała, gdyby mi wypadło choć napomknąć o nim. Córka don Jerzego nie poprzestała na tej mowie, ale podarła mój list i zakazała służącej najmniejszej wzmianki o mnie.

Ponieważ przrzekłem nie umizgać się z okien, ponieważ widok mój nie podobał się, trzymałem je więc zamknięte przez kilka dni, aby samem posłuszeństwem wzruszyć. Lecz w miejsce zakazanych mi migów postanowiłem wyprawic serenadę mojej okrutnej Helenie. Pewnej nocy udałem się pod balkon z muzyką; już gitary brzękły, gdy młody człowiek ze szpadą w rękę pomieszał koncert, bijąc w prawo i w lewo rozpędził koncertantów. Wściekłość podlegająca tego zuchwałca zapaliła gniew we mnie. Postępuję naprzód dla skarcenia go i rozpoczynam z nim zaciętą walkę. Dona Helena i jej panna służąca słysząc szcęk broni, wyglądając przez żaluzje i widząc dwóch ludzi pasujących się. Poczynają krzyczyć przeraźliwie. Zrywa się don Jerzy i cała jego służba, nadbiegają wraz z kilkoma sąsiadami dla przerwania walki. Lecz już zapóźno, zastają na placu młodego człowieka w krwi własnej pływającego i prawie bez duszy, poznali, że tym młodzieńcem nieszczęśliwym byłam ja. Zaniesiono mnie do ciotki i przyzwano najbliższych chirurgów stolicy.

Wszyscy ubolewali nade mną, a osobliwie dona Helena, która wtedy dopiero objawiła skrytości swojego serca. Uczucie wzięło górę nad udawaniem. Czyżbyś uwierzył? Nie była to już owa dziewica, która poczytywała sobie za honor okazywać się nieczułą na moje zaloty, lecz była to tkliwa kochanka, jawnie nad moją przegodą ubolewająca. Resztę nocy przepłakała wraz ze swoją panną, złorzecząc don Augustynowi de Ollighera, którego uważała za sprawcę swojego udrczenia, tak jak w istocie on był, który w tak nieprzyjemny sposób przerwał serenadę. Równie skryty jak kochanka jego krewna, spostrzegł on moje zamiary, ucie o tém nie mówiąc: a w przekonaniu że ona odpowiadała moim chęćłom, zabrał się do walnej rozprawy dla pokazania, że mniej był cierpliwym, niż się spodziewano. Ten smutny atoli wypadek wkrótce zamienił się w radość, która o nim zapomnieć kazała. Biegłość chirurgów odniosła tryumf nad niebezpieczeństwem. Jeszcze nie wychodziłem z pokoju, gdy dona Eleonora, moja ciotka, prosiła don Jerzego o rękę dony Heleny dla mnie. Tem chęćliwie na to zezwolił, że uważał don Augustyna za straconego dla siebie, za człowieka, którego już nigdy widzieć nie będzie. Zaczny starzec obawiał się jedynie, aby córka jego nie miała do mnie wstrętu, a to dla tego, że synowiec jego don Ollighera miał zupełną wolność widywania jej, a tém samem pozyskania jej miłości; ależ ona okazała się tak gotową do spełnienia woli ojca, iż z tego wnosićby można, że w Hiszpanii, tak podobno jak i gdzieindziej, jest ważną korzyścią być świeżym gościem u kobiet.

Skoro tylko znalazłem sposobność rozmówienia się z Felicją, dowiedziałem się od niej, jak dalece jej pani okazała się czułą na los mojej nieszczęśliwej walki. Nie wątpię już więc, iż byłem Parysem mojej Heleny, błogosławiłem rany, które tak korzystny wpływ wywarły na moją miłość. Otrzymałem od don Jerzego pozwolenie rozmawiania z jego córką wobec panny pokojowej. Jakżeż to miła rozmowa była dla mnie! Prosiłem, nalegałem tak usilnie na nią, aby mi powiedziała, czy wola ojca nie jest sprzeczną jej uczuciu, że wreszcie wyznała, iż przyzwolenie jej nie z samego posłuszeństwa wypływa. Po tém pełnem uroku wyznaniu, myślałem jedynie o sposobach przypodobania się i wynajdywania zabaw zalotnych, nimby dzień ślubu nastąpił, który miał być obchodzony w okazałej kawkadzie, do której szykowała się wszystka szlachta z Corii i okolic.

Wyprawilem wielką ucztę w przepysznym domu wiejskim, który ciotka moja miała tuż za bramami miasta od strony Manrol. Don Jerzy z córką, wszystkimi krewnymi i przyjaciółmi znajdował się na niej. Przygotowano z mojego polecenia wielki koncert głosowy i instrumentowy, sprowadzono trupę aktorów prowincjonalnych dla przedstawienia komedyi. Wśród biesiady dano mi znać, że jakiś człowiek czeka w sali i chce ze mną mówić o interesie wielkiej dla mnie wagi. Wstałem od stołu, zobaczyć ktoby to był. Zastałem nieznanego, zakrawającego jakoś na pokojowca. Podał mi list, który otworzywszy, przeczytałem następujące wyrazy: „Jeżeli honor jest ci drogim, jak być powinien dla każdego kawalera twojego ranku, zechcesz jutro rano stawić się na równinie Manroi. Zastaniesz tam młodego człowieka gotowego dać ci zadosyćuczynienie za wyrządzoną ci obelgę, a jeżeli być może przeskodzić ci w zaślubieniu dony Heleny. — Don Augustin de Olighera.”

Jeżeli miłość ma wielką władzę nad umysłem Hiszpana, tedy zemsta ją przeważa. Nie mogłem tego biletu przeczytać z umysłem spokojnym. Samo imię don Augustyna wznieciło taki zapal w mém sercu, że prawie zapomniał o niezbędnych obowiązkach tego dnia. Brała mnie chętka wyrwania się cichaczem z tego towarzystwa, by natychmiast spotkać się z moim nieprzyjacielem. Przewyciężyłem się jednak, by nie mieszać uczyty, i rzekłem posłańcowi: przyjacielu, możesz powiadzić panu, który cię przysłał, że za bardzo pragnę zmierzyć się z nim, abym jutro rano nie miał się znajdować na miejscu wskazanem, jeszcze przed wschodem słońca.

Odprawiwszy posłańca z tą odpowiedzią, wróciłem do moich biesiadników, zająłem swoje miejsce przy stole, i tak wyborne ułożyłem twarz, iż nikt nie domyślał się co we mnie wrzało. Zdałem się wraz z innemi zajęty jedynie ciecuchą uczyty, która się o północy skończyła. Towarzystwo się rozwiązało, każdy wrócił do miasta, tak jak z niego przybył. Co do mnie, zostałem na wsi pod pozorem użycia świeżego powietrza na zajutrz rano, w istocie zaś dla tego, aby weześniej stanąć na miejscu umówionem. Zamłast zabrać się do spoczynku, z niecierpliwością oczekiwałem świtu. Ujrawszy pierwszy brzask dosiadłem najdzielniejszego rumaka, jak gdybym się chciał przejechać po polu. Udałem się sam jeden ku Manroi. Spostrzegłem na równinie kawalera, który konno w cwał pędził do mnie. Ruszyłem i ja także, aby mu przynajmniej połowę drogi oszczędzić. Wnet stanęliśmy tuż przy sobie. Był to mój spóławodnik. Kawalerze, odezwał się do mnie hardo, z żalem po raz drugi stając do walki z tobą, ale w tém twoja wina. Po wypadku serenady należało ci z dobrej woli rzec się córki don Jerzego, albo być pewnym, że to ci nie ujdzie bezkarnie, jeżeli starać się będziesz jej przypodobać. Zbyt dumny jesteś, odpowiedziałem, koryszka, którą może nie tyle zręczności, ile ciemnej nocy winienes. Nie zastanawiasz się nad tém, że oręż jest dziennym. To nie dla mnie, odrzekł zarozumiale, pokażę ci wnet, że tak w dzień, jak i w nocy, umiém karcić kawalerów zuchwałych, co mi w drogę wchodzi.

Na tak dumne wyrazy nie rzekłszy ani słowa, zeskoczyłem z konia, Don Augustyn zrobił toż samo. Przywiązaliśmy konie do drzewa i rozpoczęliśmy walkę z równą zaciętością. Wyznaję szczerze, że miałem do czynienia z człowiekiem, który daleko lepiej umiał robić bronią, chociaż ja przez dwa lata uczyłem się. Był on mistrzem doskonałym w sztuce fechtowania. Nigdy na większe niebezpieczeństwa nie mogłem narażać życia. Ależ jak to się nie raz zdarza, że słabszy mocniejszego zwycięża, mój przeciwnik mimo całą biegłość, odebrał cios w samo serce i w chwilę padł trupem.

Wróciłem zaraz do domu wiejskiego, opowiedziałem wszystko memu szatnemu, którego wierności doświadczyłem. Po czem rzekłem mu: Kochany Ramirzel nim sprawiłeś dozwiedzić się o wypadku, weź dobrego konia, i zawiadom ciotkę moją. Proś ją ode mnie o pieniądze i klejnoty i pospieszaj z mną do Placencyi. Znajdziesz mnie w pierwszym hotelu wjeżdżając do miasta.

Ramir tak wyborne sprawił się, iż w trzy godziny przybył za mną do Placencyi. Powiedział mi, że Eleonora nie tyle się smuciła, ile raczej cieszyła ją, że naprawił hańbę, jaka mułe spotkała w pierwszym zajściu, że mi przysłała wszystkie pieniądze i klejnoty, abym wygodnie mógł wędrować po obcych krajach, nim ona załagodzi całą tę sprawę.

Pomijając drobne okoliczności, powiem ci tylko, że przebywszy Kastylją nową dostałem się do królestwa Walencyi i wsiadłszy na okręt w Denia, udałem się do Włoch. Tam zwlędzałem rozmaite dwory, wszędzie z przyzwoitością występując.

Kiedy tak oddalony od mojej Heleny usiłowałem ile możności uspić miłość i nudy, ona tymczasem w Corii opłakiwała w skrytości moje oddalenie. Zamiast pochwałać zapał, z jakim rodzina jej ścięła mnie z powodu śmierci Olighera, ona przeciwnie pragnęła, aby zgoda jak najrychlejsza przyspieszyła mój powrót. Sześć miesięcy upłynęło od chwili mojego oddalenia i zdaje mi się, że słabość jej byłaby przeciężyła czas, gdyby tylko z samym czasem miała do walczenia, lecz znalazli się nieprzyjaciele daleko silniejsi. Don Blas de Combados szlachcic z zachodniej Galicyi, przybył do Corii, dla odebrania spadku, którego mu zaprzeczał krewny jego don Miguel de Caprara, osiadł w tym kraju, uważając go za przyjemniejszy od swojego. Combados był przystojny. Zdawał się łagodny i ugrzeczny, postępowanie zaś jego było nadzwyczaj ujmujące. Wnet zabrał znajomość ze wszystkimi znakomitościami miasta, wiedział interesa jednych i drugich.

Nie mogło mu być długo tajemem, że don Jerzy miał córkę, której niebezpieczna piękność zdawała się wzniecać zapal w mężczyznach na ich zgubę. To zaostrzyło jego ciekawość: zapragnął widzieć kobietę tyle zatrwającą. W tym celu starał się zaprzyjaźnić z jej ojcem, i tyle zyskał, że starzec uważając go za zięcia swojego, pozwolił mu wstępu do domu i swobodnej z Heleną rozmowy w swojej obecności. Galicyjczyk wkrótce rozkochał się, to był los nieuchronny. Zwierzył się don Jerzemu, który mu oświadczył, iż przyjmuje jego zabieg, ale nie chce przymuszać swojej córki i zostawia jej wolność rozrządzania swoją ręką. W skutek tego don Blas poruszył wszystkie sprężyny załotów, aby się podobać Helenie, która wcale była obojętną, tak dalece była mną zajęta. Felicya wszakże była w znowie z moim spóławodnikiem, który darani zobowiązał ją na służbę swojej miłości. Użyła do tego całej swojej przebiegłości; ojciec zaś wspierał ją swojemi uwagami, a jednak przez rok cały dręczyli tylko Helenę nie mogąc przełamać jej wtrności.

Combados widząc że don Jerzy i Felicya na próżno się trudzą w jego interesie, przedstawił im wybieg dla przełamania uporu kochanki tak uprzedzonej. Oto, rzekł im, co mi przyszło do głowy. Udamy się kupiec z Corii odebrać list od negocyanta włoskiego, w którym po wymienieniu szczegółów dotyczących handlu, będą następujące wyrazy: „Niedawno przybył do dworu Parmeńskiego kawaler hiszpański, nazwiskiem Gaston de Cogollos. Mieni się siostrzeńcem i jedynym dziedzicem bogatej wdowy mieszkającej w Coria pod imieniem dona Eleonora de Laxarilla. Stara się tu o córkę możnego pana, lecz ociągając się z przyzwoleniem, póki nie dojdą prawdy. Jestem umocowany udać się w tym względzie do Pana. Donieś mi więc, proszę cię, czy znasz tego don Gastona, i jakie to są dobra tej jego ciotki. Odpowiedź twoja stanowić będzie o tém małżeństwie. W Parmie i t. d.”

To szalbierstwo zdało się staremu prostą igraszką dowcipu, jako wybieg łatwy do darowania kochankom; a panna pokojowa jeszcze mniej skrupulatna od poczciwego starca, pochwalila z zapałem ten wymysł. Wynalazek ten zdał im się tém lepszy, że znali Helenę jako pannę dumną i zdolną do szybkiego przedsięwzięcia, skoro tylko nie domyśli się szachrajstwa. Don Jerzy podjął się sam zawiadomić ją o mojej zmienności, i żeby rzec zrobić tém podobniejszą do prawdy, chciał, żeby sama mówiła z kupcem, który odebrał ten mniemany list. Pomysł ten wykonali tak, jak go powzięli. Ojciec ze wzruszeniem, w którym udawał gniew i wstyd zarazem, rzekł do dony He-

leny: Córko moja, nie będę ci już powtarzał, że krewni nasi ciągle nastają na mnie, aby mordercę don Augustyna nie wprowadzić do naszej rodziny; dźlś ważniejszy mam powód przedstawienia ci, abys zapomniała o don Gastonie. Zgiń ze wstyda, żeś mn była wierna. Jest to człowiek płochy, wiarołomca. Oto jest dowód niezaprzeczony jego przeniawierzenia się. Czytaj sama ten list, który kupiec z Corii odebrał z Włoch. Helena drżąca bierze zmyślone pismo, śledzi oczyma wiersze, rozważa wszystkie wyrazy, i upada pod ciosem mojej nlestałości. Tkliwe uczucie wyciska jeszcze jej kilka łez; lecz szybko przyzywając swoją dumę, otarła łzy i tonem pewnym odezwała się do ojca: panie, byleś świadkiem mojej słabości, bądź teraz mojego tryumfu, który odnoszę nad sobą. Stało się: gardzę teraz don Gastonem, uważam go za najpodlejszego z ludzi. Nie mówmy więcej o nim. Już mnie nie nie wstrzymuje, jestem gotowa towarzyszyć don Blasowi do ołtarza. Niech mój ślub uprzedzi gody wiarołomcy, który tak niegodnie odplacił moją miłość! Don Jerzy zachwycony temi słowy, nściakał swoją córkę, pochwalił silne jej postanowienie i spieszyl się ze spełnieniem życzeń mojego spółzawodnika, ciesząc się ze szczęśliwego skutku podstepu.

Takim sposobem wydarto mi donę Helenę. Zbyt pośpieszenie rzuciła się w objęcia don Combadosa, nie słuchając miłości, która z głębi serca przemawiała za mną, nie powątpiewając ani na chwilę o wiarogodności nowiny, która w umyśle kochanki mniej łatwowierności znaleźć była powinna. Dumna, słuchała jedynie swojej rozumiałości. Uczucie zniewagi wyrządzonej jej piękności, według jej wyobrażenia, przeważało nad przywiązaniem. Jednakże w kilka dni po ślubie, uczuła niejako zgryzotę, że się tak pośpieszyła; wtedy dopiero wpadło jej na myśl, że list kupeca może być zmyślony, a to podejrzenie, nabawiło ją pewnej niespokojności. Lecz rozkochany don Blas, nie pozwolił zakorzenić się w umyśle, jej uczuciom przeciwnym jego pokojowi; łamał głowę nad jej rozrywkami i dopiął swojego celu przez ciąg nieprzerwanych zabaw, posiadając sztukę ich wyjadania.

Zdawała się bardzo zadowolona z męża tak zalotnego, i oboje w zupełnej żyli zgodzie, kiedy ciotka moja załatwiła sprawę z krewnem don Augustyna. Zawiadomiła mnie zaraz o tym wypadku. Byłem pod tę porę w Reggio, w Kalabrii dalszej. Przeprawiłem się do Sycylii, ztamtąd do Hiszpanii i wreszcie udałem się do Corii na skrzydłach miłości. Dona Eleonora nie donosząc mi o ślubie córki don Jerzego, zawiadomiła mnie o tém za przybyciem, a widząc że mnie to zmartwiło: Żle robisz, rzekła mi, mój siostrzeńcze, okazując się czułym na utratę koblęty, która nie mogła ci pozostać wierna. Wierźaj mi, wygluzuj z serca, zatrzymaj w swojej pamięci osobę, nlegodną twojego zajęcia.

Ponteważ ciotka moja nie wiedziała jakim sposobem wiadziono donę Helenę, miała zupełną słuszność to mówiąc i nie mogła zdrowszej dać mi rady. Dla tego też postanowiłem iść za nią, a przynajmniej udawać obojętnego, nie będąc zdolnym do pohamowania mojej namiętności. Jednakże nie mogłem się oprzeć ciekawości, jakim sposobem przyszło do tego małżeństwa. Żeby się w tym względzie objaśnić, udałem się do przyjaciółki Felicyi, to jest Teodory, o której wyżej mówiłem. Poszedłem więc do niej i trafem zastalem Felicyą, która nie spodziewając się spotkania mnie, zmieszana się, chciała natychmiast wyjść, by uniknąć wyjaśnień, jakich według jej domysłu, żądać mógłbym. Zatrzymałem ją. Dla czegoż uciekasz przedemną? rzekłem jej; wiarołomna Helena nie poprzestajeż jeszcze na tém, że mnie poświęciła? Czyż zakazała ci słuchać moich utysków? czy też dla tego jedynie stroniłaś przedemną, aby mieć zasługę przed niewdzięczną, żeś ich nie słuchała?

Panie, rzekła pokojowa, wyznam ci szczerze, że obecność twoja zawstydza mnie. Nie mogę patrzeć na ciebie bez uczucia wyrzutów sumienia. Uwiedziono moją panię, a ja miałam nie szczęście być spólniczką oszukaństwa. Tym sposobem mogę cię oglądać bez zapłonięcia się od wstydu? O nieba! zawołałem z podziwem, coż mi ty powiadasz? wytłumacz się jasniej

Wtedy pokojowa wymieniła wszystkie szczegóły podstepu, jakiego użył Combados dla wydarcia mi Heleny, a widząc że ta powieśie zakrwawiała moje serce, siłła się, by mnie pocieszyć. Ofiarowała mi wstawić się do swojej pani, przyrzekła, że ją wyprowadzi z błędu, że jej przedstawi moją rozpacz, słowem, niczego nie zaniedba, co by mogło złagodzić srogość mojego przezwalczenia; taką mnie zresztą napoiła otuchą, iż uczułem cokolwiek ulgi w moich cierpieniach.

Pomijam długi upor dony Heleny, jakiego doznać musiała w wyjednanii mi widzenia się z nią; w końcu jednak przelała go. Przystała, że wprowadzony będę potajemnie do don Blasa, gdy ten uda się na wieś, gdzie zwykły był kiedy niekiedy wyjeżdżać na polowanie i bawić dzień jeden lub dwa. Zamiar ten wkrótce przyszedł do skutku. Mąż pojechał, a mnie natychmiast zawiadomiono i wprowadzono w nocy do pokoju żony.

Chciałem zacząć rozmowę od wyrzutów, lecz zamknęto mi usta. Napróżno będziesz wspominał o przeszłości, odezwała się dona Helena; nie chodzi tu wcale o to, abyśmy się oboje rozczulali, i mylisz się, jeżeli rozumiesz, że zdolną będę schlebiać twoim uczuciom. Oświadczam ci don Gastonie, jeżeli przyzwoliła na to tajemne widzenie się, jeżeli uległa żądantom usilnym w tym względzie, to jedynie dla tego, abym ci ustnie powtórzyła, iż odtąd starać się winienes zapomnieć o mnie. Może byłabym kontentniejszą, gdyby los mój, był połączony z twoim; ale ponieważ niebo inaczej rozporządziło, chcę być posłuszną jego wyrokowi.

Jako pani, zawołałem, to nie dosyć jeszcze, żeś cię utracił, że muszę patrzeć, jak szczęśliwy don Blas, posiada jedyną osobę w świecie, którą kochałem, trzebaż jeszcze, abym cię wygluzował z mojej pamięci! Chcesz mi wydrzeć miłość, jedyne dobro, które mi pozostało! Ah, okrutna, sądziszże, iż człowiek raz przez ciebie zaczarowany, może odzyskać swoje serce? Poznaj się sama lepiej i przestań napróżno zachęcać mnie do pozbycia się twojego wspomnienia. Dobrze, odpowiedziała nagle, ale także porzuć nadzieję, abym twoją namiętność miała odplacać jakimkolwiek uznaniem. Jedno ci tylko powiem: żona don Blasa, nie będzie kochanką don Gastona; według tego, kleruj swoim postępowaniem. Uchodź dodola. Skończmy rozmowę, którą sobie mam do wyrzucenia, mimo czystość moich zamiarów, a której przedłużenie, uważałabym sobie za zbrodnię.

Na te słowa, odbierające mi wszelką nadzieję, padłem jej do nóg. Usiłowałem ją wzruszyć, nie oszczędzałem łez nawet. Wszystko to może obudziło niejakić uczucie litości, które usilnie kryła i które poświęciła obojętkowi. Wyczerpawszy bezkorzystnie wszelkie czułe wyrażenia, prosby i łzy, przywiązanie moje nagle zmieniło się w gniew wściekły. Dobyłem szpady, by się przeszyć w oczach nieubłaganej Heleny, która ledwie co dostrzegła, rzuciła się na mnie, aby zapobiedz zgubnym skutkom. Wstrzymaj się Cogollos, rzekła. Czyż w taki sposób chcesz oszczędzać mój honor. Odbierając sobie życie, odbierasz mi honor, bo męża mojego mienić będą twoim mordercą.

W rozpaczcy nie baczyłem na te wyrazy, jak należało; myśliłem jedynie o usunięciu słabiej zawady, jaką stawiły pani i jej pauna pokojowa, by mnie uchronić od własnej ręki, i byłoby mi się bez wątpienia powiodło, lecz don Blas zawiadomiony o naszej schadzce, zamiast udać się na wieś, skrył się po za obicie, i w tej chwili wybiegł ze swojego schronienia. Don Gastonie, krzyknął, zatrzymując moją rękę, bierz rozsałek zbłąkany, nie ulegaj nikczemnie wściektemu zapędowi, który tobą młota.

Przerwałem don Combadosowi. Twojaż to rzecz, odwracać mnie od powziętego zamiaru? Sam raczej powinienys utopić żelazo w mojem łonie. Miłość moja, jakkolwiek nieszczyśliwa, jest twoją obrazą. Nie dosyćże jeszcze, że mnie w nocy zdybujesz w pokoju swojej żony? czyż więcej potrzeba dla obudzenia twojej zemsty? Sam przebij mnie, abys się pozbył człowieka, który nie przestanie ubóstwiać dony Heleny, póki tylko żyć będzie. Próżno usiłujesz obudzić mój honor, abym ci życie odebrał. Dosyć już odebrales kary za twoją płochość,

a tak dalece wdzięczny jestem mojej żonie, za jej enotliwe uczucia, że jej szczerze przebaczam miejsce, w którym je objawiła. Wierz mi Cogollos, nie rozpaczaj jak niedołyżny kochałek; poddaj się odważnie niezbędną konieczności.

Rozsądny Galicyjczyk podobnie słowa pohamował zwolna mój zapęd, i obudził cnotę. Odszedłem w zamiarze oddalenia się od mojej Heleny i miejsce, które zamieszkiwała. We dwa dni później, wróciłem do Madrytu; tam zajęty jedynie losem swoim, zacząłem uczęszczać do dworu, i jednać sobie przyjaciół. Na nieszczęście wszakże, przywiązałem się do margrabiego Villareal, znakomitego pana portugalskiego, który popadłszy w podejrzenie, że myślił o wyswobodzeniu Portugalii z pod panowania hiszpańskiego, siedzi teraz w zamku w Allcañte. Że zaś książe de Lerma wdział, iż byłem w ścisłych stosunkach z tym panem, kazał mnie więc przytrzymać i tu osadzić. Minister mniema, że mogę być spółnikiem takiego zamiaru; nie może większej rzucić hańby na człowieka, który jest szlachcicem i kastyllanem.

Na tém przestał don Gaston, po czém ja rzekłem, by go pocieszyć: Panie, twój honor nie może żadnej ponieść skazy z tej niełaski, zmieni się ona bez ochyby na twoją korzyść. Książe Lerma przekonawszy się o twojej niewierności, uada ci znakomity jaki urząd, aby przywrócić wzięłość szlachcicowi, niesprawiedliwie o zdradę posądzonemu.

ROZDZIAŁ VII.

Scypion odwiedza Gil Blasa w więzy w Segowii i donosi mu rozmaite nowiny.

Tordesillas przerwał naszą rozmowę, wszedłszy z tém oświadczaniem: panie Gil Blas, w tej chwili rozmawiałem z młodym człowiekiem u drzwi więzienia. Pytał się, czybyś nie był więźniem, a gdy mi chciał zaspokoić jego ciekawość, odezwał się do mnie ze łzami w oczach: Szlachetny nadzorczo, nie odmawiaj mojej pokornej prośbie, powiedz czy pan de Santillana jest tu, spełnisz uczynek miłosierny, skoro mi pozwolisz widzieć się z nim, jestem bowiem najpierwszym jego sługą. Mienią cię w Segowii człowiekiem pełnym ludzkości, mam więc nadzieję, że mi pozwolisz łaskawie przez chwilę pomówić z moim najdroższym panem, więcej nieszczęśliwym niż winnym. Słowem, mówił dalej don Andrzej, chłopiec ten objawił taką żądzę mówienia z panem, że w przyrzekł dziś wieczór sprawić mu to zadowolenie.

Zapewniłem pana Tordesillas, iż nie mógł mi sprawić większej przyjemności, jak przyprowadzając mi tego młodzieńca, który zapewne wie bardzo wiele rzeczy, dla mnie nader ważnych. Niecierpliwie wyglądałem chwili ujżenia mojego wlernego Scypiona, nie wątpiłem bowiem, iż to on być musi, i nie myliłem się. Wpuszczono go wieczór do więzy; skoro mnie spostrzegł, objawił niewymowną radość, równą mojej. Ja na widok jego, w najwyższym uniesieniu wyciągnąłem ręce do niego, a on uściskał mnie wzajemnie bez żadnych względów. Pan i jego sekretarz, pomieszali się razem w tych serdecznych uściskach, tak byli radzi ze swojego widzenia się.

Kiedyśmy się nieco uspokoiłi, zapytałem naprzód Scypiona o stan pałacu mojego. Nie masz już pałacu, odpowiedział, ażeby ci oszczędzić pytań z pytaniami, w kilku słowach powiem, co się działo w mieszkaniu pana. Wszystkie złupili pomocnicy algazila lub twoi własni służący, którzy uważając cię za zgubionego na zawsze, na rachunek myta zabrali, co tylko zabrać mogli. Na szczęście pańskie, udało mi się zrzeczenie ocalić od ich szpon dwa wielkie worki z dublonami, którem wydobyl z twojej skrzyni i złożył u Salerno, a ten ci je zwrócił, skoro wyjdiesz z więzy; nie myślę bowiem, abyś miał długo być pensyonarzem króla JMci, ponieważ przy uwłczeniu twojem, książe Lerma nie miał żadnego udziału.

Zapytałem się Scypiona, z kądby wiedział, że książe nie wpływał na moje uwłczenie. Oh, tak jest, o tém wiem bardzo dobrze. Jeden z moich przyjaciół, który posiada zaufanie księcia Uzedo, opowiedział mi wszystkie szczegóły pańskiego uwłczenia. Calderone, rzekł do mnie, wykrywszy za pośrednictwem lokaja, że senora Sirena przyjmuje w nocy księcia hiszpańskiego pod obcym imieniem, i że hrabia Lemos prowadził tę

intrygę za pomocą pana de Santillana, postanowił zemścić się nad nim i nad swoją kochanką. Żeby dopiąć swojego zamiaru, udaje się potajemnie do księcia Uzedo i jemu wyjawia wszystko; książe uradowany z tak pięknej sposobności zgubienia swojego nieprzyjaciela, nie zaniedbał z uciej korzystać. Zawiadomił króla, przedstawiając w żywych kolorach niebezpieczeństwo na jakie narażony jest młody książe. Wiadomość ta rozgniewała monarchę, natychmiast kazał Sirenę zamknąć w domu *pokutnie*, hrabia Lemos poszedł na wygnanie, a Gil Blasowi dostało się dożywotnie wzięcie.

Otóż, rzekł dalej Scypion, co mi powiedział mój przyjaciel. Z tego możesz się pan przekonać, że twoje nieszczęście, jest dziełem księcia Uzedo, czyli inaczéj mówiąc, Calderona.

Z téj mowy wnosiłem, że położenie moje może się z czasem poprawić, że książe Lerma dotknęty wygnaniem swojego synowca, wszelkich sprężyn poruszy, by go znowu przywołać do dworu; pochlebiałem sobie, że jego wysokość i o mnie nie zapomni. Co to za miła rzecz ta nadzieja! ona mnie pocieszyła po stracie moich rzeczy, przywróciła mi humor wesoly, jak gdybym miał powód słuszny cieszenia się. Zamiast uważać więzienie moje za nieszczęśliwe mieszkanie, w którym może przyjdzie mi życia dokonać, zdało mi się raczéj środkiem, którego los użył dla dźwignięcia mnie do jakiejś wysokiej posady, bo otóż w jaki sposób sam w sobie rozumowałem: Pierwszy minister ma swoich stronników w osobie don Fernanda de Borgia, ojca Hieronima de Florence, a nadwysztyko bractwsza Ludwika de Allaga, który mu zawdzięcza miejsce zajmowane przy osobie królewskiej. Przy pomocy tych potężnych przyjaciół, jego wysokość straci w przepaść wszystkich swoich wrogów. Może téż niedługo zmieni się postać państwa. Król Jęgomość jest słabowity. Skoro zjeździe z tego świata, książe syn jego rozpocznie rządy, od przywołania hrabiego Lemos, który natychmiast wydobędzie mnie ząd, przedstawi nowemu monarche, a ten obsypie dobrodziejstwem w nagrodę przykrości które znośiłem. A tak rozradowany uśmiechającą się przyszłością, nie czułem wcale obecnego nieszczęścia. Zdaje mi się, że dwa worki dublonów, które jak mi mówił sekretarz złożone były u złotnika, przyłożyły się równie jak nadzieja, do nagłej zmiany mego humoru.

Zanadto byłem zadowolony z gorliwości i cnoty Scypiona, abym mu nie miał tego objawić. Ofiarowałem mu połowę pieniędzy uratowanych od rabunku, lecz przyjęła ich wręcz odmówił. Spodobałem się, rzekł mi, innego od pana dowodu wdzięczności. Zdziwiony temi słowy, równie jak odrzuconiem ofiary, zapytałem się, coym mógł zrobić dla niego. Nie rozłączajmy się, odpowiedział mi, pozwól niech los mój połączę z twoim. Czuję do ciebie przywiązanie, jakiego nie czułem do żadnego innego pana. A ja, rzekłem, moje dziecko, mogę cię zapewnić, że nie natrafisz na niewdzięcznika. Skoroś przybył do mnie do służby, podobales mi się z pierwszego wejżenia. Musi to być, żeśmy się obadwa urodzili pod znakiem Wagi lub Bliźniąt, które to jak mówią, są konstellacyami jednoczącemi ludzi. Przyjmuję z chęcią towarzystwo, jakie mi ofiarujesz i zaraz na początek prosić będę nadzorcę, aby cię zamknął ze mną w tej więzy. To mi wielką zrobisz przyjemność, odpowiedział, przedziasz mnie tylko, bo sam miałem cię prosić, abys mi wyjednał tę łaskę. Obcowanie z tobą miłsze jest nad wolność. Wychylę się tylko czasami do Madrytu dla złapania wiatru biurowego, dla zobaczenia, czy nie zaszła jaka zmiana przy dworze, korzystnia dla ciebie. Tym sposobem będziesz miał w osobie mojej zarazem powiernika, gońca i szpiega.

Nie mogłem się pozbywać tak ważnych korzyści. Zatrzymałem więc człowieka tak pożytecznego, za zezwoleniem zacnego nadzorcę, który mi nie chciał odmawiać tak miłej pociechy.

ROZDZIAŁ VIII.

O pierwszej podróży Scypiona do Madrytu. Gil Blas wpada w chorobę i skutki tego.

Jeżeli pospolicie mówimy, że służący są największymi naszymi nieprzyjaciółmi, musimy wyznać także, iż to są nasi naj-

lepsi przyjaciele, jeżeli są wierni i przywiązani. Po objawach gorliwości Scypiona, musiałem go uważać jako drugiego siebie. Tym sposobem żadnej karność między Gil Blasem i jego sekretarzem, żadnych względów między nimi; mieszkali w jednej izbie, spali w jednym łóżku, jedli przy jednym stole.

W rozmowie Scypiona było wiele wesołości; można go było bardzo słusznie nazwać chłopcem dobrego humoru. Prócz tego miał on dobrą głowę i wybornie mi było z jego radą. Mój przyjacielu, rzekłem raz do niego, zdaje mi się, że nie źleby było, napisać do księcia Lerma, to nie może nie złego sprawić. Jakież jest twoje zdanie? Eh, ba, odpowiedział, wielcy panowie tak sobie są niepodobni w różnych chwilach, iż istotnie nie wiem, jak twój list może być przyjęty. Ale myślę, że możesz zawsze napisać w dobrej wierze. Chociaż minister lubi cię, nie spuszcza się wszakże na jego przywiązanie, i nie miał wielkiej nadziei w jego pamięci o tobie. Tego rodzaju protektorowie, zbyt łatwo zapominają o osobach, o których im ciągle nie gadają.

Chociaż to szczerą prawdą, odpowiedziałem, sądzę wszakże lepiej o moim panu. Znam jego dobroć, jestem przekonany iż się lituje nad moją niedolą, że o niej bezustannie myśli. Czeka bez wątpienia z moim wyzwoleniem, póki golew króla nie omlnie. Zgoda więc, rzekł, życzylibym, aby zdanie twoje o jego wysokości było sprawiedliwe. Błagaj więc jego pomocy w liście bardzo rzewnym; ja mu go zaniosę, i przyrzekam ci, że do własnych rąk oddam. Prosiłem więc o papier i atrament; napisałem rzecz wymowną, którą Scypion uznał za bardzo wzruszającą, o którą Tordesillas przekładał nawet nad homille arcybiskupa Granady.

Pochlebiałem sobie że księżę Lerma tknięty będzie politowaniem, czytając żalony opis nędznego stanu, w którym wistocie nie byłem; w tém zaufaniu posłałem mojego gońca, który tylko co stanął w Madrycie, zaraz udał się do ministra. Spotkał pokojowego lokaja, mojego przyjaciela, który mu nastreczył sposobność mówienia z ministrem. Jaśnie Oświecony panie, odezwał się Scypion do jego wysokości, przedstawiając mu list, jeden z najwspanialszych twórcz sług, który leży na słowie w turmie Segowii, błaga cię pokornie o przeczytanie tego listu, do którego napisania strażnik więzienny przez litość podał mu sposobność. Minister otworzył list i przebiegł go oczyma. Lecz chociaż widział w nim obraz zdolny poruszyć duszę najtwardszą, zamiast okazać się wzruszonym, podniósł głos i z miną groźną odezwał się do gońca, w obec kilku osób, które mogły go słyszeć: przyjacielu, powiedz Santillanie, że uważam to za zuchwalstwo z jego strony, iż się poważa udawać do mnie po spełnieniu tak niecnego czynu, za który słuszną odbiera karę. Jestto nędznik, który wcale na pomoc moją liczyć nie powinien, którego poruczam zupełnie na ofiarę gniewu króla.

Scypion, chociaż bezczelny, zmieszał się przecież tą odpowiedzią. Stępn wszystkim nie przestał prosić za mną. Jaśnie Oświecony panie, rzekł, ten biedny więzień umrze z rozpacz, powziawszy odpowiedź waszej wysokości. Książę nie rzekłszy nic, spojrział groźnie na proszącego i odwrócił się. W taki sposób obszedł się ze mną minister, aby tém lepiej ukryć udział jaki miał w intrydze miłośnej księcia hiszpańskiego: tego właśnie niech się spodziewają wszyscy drobni ajenci możnych panów, użyci do posyłek tajnych i niebezpiecznych.

Gdy sekretarz mój za powrotem do Segowii zdał mi sprawę ze skutku swojego posłannictwa, ujrzałem się na nowo pogrążonym w przepaści tak strasznej jak w pierwszym dniu uwięzienia. Owszem uważałem się za nieszczęśliwszego jeszcze, będąc pozbawionym opieki księcia Lerma. Straciłem odwagę i żadne przełożenia podźwignąć jej nie zdołały, dręczony zgryzotą, niedługo wpadłem w niebezpieczną gorączkę.

Pan nadzorca troskliwy o moje ocalenie, sądził że nie ma nic lepszego jak przyzwać lekarzy i zaraz sprowadził mi dwóch, którzy mieli postać bardzo skrzętnych ofiarników bogini Libityny. Panie Gil Blas, odezwał się do mnie, oto dwaj Hippokraty przychodzą cię odwiedzić, oni cię wkrótce postawią na nogi. Tak byłem uprzedzony przeciw lekarzom, że byłbym

ich nie najlepiej przyjął, gdyby mi chodziło o utrzymanie życia, lecz tak mi wtedy obmierzył świat, żem był bardzo wdzięczny Tordesillasowi, iż mnie oddał w ich ręce.

Panie, odezwał się jeden z nich, przedewszystkiém trzeba abyś położył w nas zupełne zaufanie. Bezwarunkowo wam ufam, odpowiedziałem, jestem pewny, że przy waszej pomocy niebawnie wyleczony zostanę ze wszystkich cierpień. Tak jest, rzekł tenże, przy pomocy bożkiej, nastąpi to nie zawodnie: a przynajmniej my wszystko zrobimy co do tego potrzeba. W istocie ci panowie przedziwnie zabrali się do dzieła, i tak pięknie mnie pielęgowali, że widocznie wędrowałem na tamten świat. Już don Andrzej straciwszy nadzieję mojego wyzdrowienia sprowadził zakonnika reguły św. Franciszka, aby mnie przysposobił na drogę wieczności; już szanowny kapłan dopełniwszy obrzędu oddalił się; ja pewny będąc, iż niebawnie ostatnia dla mnie wyblje godzina, dałem znak Scypionowi, by się zbliżył do mojego łóżka; kochany przyjacielu, ozwałem się głosem dogorywającym, tak dalece lekarstwa i krwi puszczenia osłabiły mnie; zostawiłem ci jeden z worków u Gabryela będących, zaklinam cię byś drugi zawiózł do Asturyi dla mojego ojca i mojej matki, którzy zapewne w wielkiej są potrzebie, jeżeli jeszcze żyją. Lecz niestety! lękam się aby ich nie zękała moja niewdzięczność. Muscada bez wątpienia objawił im moją niegodziwość i to może przyspieszyło im zgon. Jeżeli wszakże Bóg ich zachował mimo obojętności, jaką odpłaciłem ich czule starania, oddasz im drugi worek dublonów, prosząc aby mi darowali złe obejście się z nimi; a jeżeli ich już nie zastaniesz, użyj tych pieniędzy na modły za ich i za moją duszę. To mówiąc podałem mu rękę, którą on zrosił swojemi łzami, nie mogąc nic odpowiedzieć, tak dalece biedny chłopiec strapiony był moją utratą. To dowodzi, że nie zawsze żyzy spadkobiercy spływają pod maską.

Czekałem więc na zastąpienie progę wieczności, jednakże oczekiwanie moje zostało zawiedzione: moi lekarze, odstąpiwszy mnie, zostawili wolne pole naturze, i tém mnie zbawili. Gorączka, która według ich przepowiedni, powinna była mnie sprzątnąć, opuściła mnie, jak gdyby dla zadania im fałszu. Zwolna odzyskiwałem siły, szczęśliwiejszym losem. Zupełna spokojność umysłu była owocem choroby. Już wtedy nie potrzebowałem pociechy, zatrzymałem pogardę bogactw i zaszczytów, którą moie bliskość śmierci natchnęła, wejrzawszy w siebie błogosławiłem moje nieszczęście. Podziękowałem Bogu, jak za największą jego łaskę i postanowiłem nie wracać do dworu, choćby mnie księżę Lerma zowiął. Zamierzyłem kupić chatkę wieśniaczą i filozofskie, w niej prowadzić życie jeżeli kiedykolwiek wyjdę z więzienia.

Mój powiernik pochwalił przedsięwzięcie moje, dodając, że dla przyspieszenia wykonania jego; chce udać się do Madrytu, i starać się o moje wyzwolenie. Wpadło mi do głowy, rzekł, znam ja jedną osobę, która może ci się przysłużyć; jestto ulubiona panna pokojowa mamki królewicza, przebiegła dziewczyna, starać się będę, żeby się wstawiła do swojej pani. Wszystkich sposobów poruszę, by cię wydobyć z tej wieży, która zawsze jest więzieniem, mimo najlepsze obchodzenie się. Prawda, mój przyjacielu, ruszaj czémprędzej, rozpocznij twoje zabiegi. Dały Bóg abyśmy jak najprędzej dostali się do naszego ustronia.

ROZDZIAŁ IX.

Scypion wraca do Madrytu. Jak i pod jakimi warunkami zyskuje uwolnienie Gil Blasa.

Scypion więc pojechał znowu do Madrytu, a ja tymczasem zająłem się czytaniem. Tordesillas dostarczał mi więcej książek niż żądałem. Pożyczał ich od starego komandora, który czytać nie umiał, ale miał piękną bibliotekę, aby zyskać pozor uczonego. Polubiłem szczególniej wyborowe dzieła moralne, bo co karta napotykałem ustępy schlebające mojemu zamowaniu w samotności, a wstrętowni od życia dworskiego.

Przepędziłem trzy tygodnie nic nie słysząc o moim posłanniku; wrócił w końcu i odezwał się z miną wesołą: No, teraz

panie Santillana, przynoszę ci dobrą wiadomość! Pani matka wstawia się za tobą. Panna jej służąca, na prośbę moją i za sto ludorów, była tyle łaskawa, że zobowiązała swoją panią do udania się z prośbą do księcia hiszpańskiego o twoje wyzwolenie; książe zaś, jak nierzad powiedziałem ci, nie może nic odmówić swojej mamce, obiecał więc prosić króla ojca swojego, o wypuszczenie cię z więzienia. Pośpieszałem zawiadomić cię o tem i wracam natychmiast, by dokonać rozpoczętego dzieła. Po czém opuścił mnie zaraz, udając się w drogę do stolicy.

Trzećla podróż jego, krótką była. Po ośmiu dniach ujrzałem go znowu, oświadczył mi, że książe choć nie bez trudności, uzyskał wolność dla mnie, co w tym samym dniu potwierdził pan nadzorca, który ściskając mnie serdecznie, rzekł: Dzięki Bogu, mój kochany Gil Blasie, jesteś wolny! bramy tej turmy są ci otwarte, ale pod dwoma warunkami, które ci może dosyć będą przykre, ale choć z żalem, obowiązany jestem zawiadomić cię o nich. Król Jegomość zakazuje ci pokazywać się u dworu i poleca, byś najdalej w ciągu miesiąca, opuścił obiedwie Kastylię. Żałuję mocno, że ci wzbroniony wstęp do dworu. A ja nadzwyczaj rad jestem, odpowiedziałem; Bóg tylko wie, co ja o nim myślę. Ja spodziewałem się jednej tylko łaski od króla, on zaś dwie mi zarazem wyświadcza.

Przekonawszy się więc, że przestałem być więzionym, nająłem zaraz dwa muły, na które nazajutrz wsiadliśmy, ja i mój powiernik, pożegnawszy się z panem Cogollos, złożywszy tysiącne dzięki Tordesillasowi, za wszystkie dowody przyjaźni, jakie od niego odebrałem, ruszyliśmy obojętnie do Madrytu, dla odebrania z rąk Gabryela dwóch worków, z których każdy obejmował pięć set dublonów. W drodze mój towarzysz odezwał się: jeżeli nie mamy dość pieniędzy na kupno dóbr wspólnych, to jednak wystarczy nam na nabycie niegorszej wioski. Gdybyśmy mieli mieć tylko jedną leplankę, odpowiedziałem, będę w niej kontent z mojego losu. Lubo dopiero jestem w połowie mojego zawodu, czuję się jednak niezdatnym dla świata i odtąd pragnę tylko żyć dla siebie. Prócz tego, muszę ci powiedzieć, że z przyjemności życia wiejskiego utworzyłem sobie obraz, który mnie zachwyca. Zdaje mi się, że patrzę na łąki kwiatem ubarwione, że słyszę śpiew słowika, szmer strumienia, to raz bawię się polowaniem, to znowu łowię ryby. Wyobraź sobie przyjacieli rozmaite rozkosze, jakie nas czekają w naszym ustroniu, a równie jak ja zachwycony będziesz. Co się tyczy naszego pożywienia, najprostsze, będzie najlepsze. Kęs chleba potrafi nas zaspokoić; przynagleni głodem, zjemy go z apetytem i uczujemy w nim smak przedziwny. Rozkosz nie mieści się w wyborze potraw wykwintnych, ona jest w nas; a to jest taka prawda, że najprzyjemniejsze uczy moje, nie zawsze są te, na których widzę zbytek i wykwiństwo. Mierność jest źródłem rozkoszy zbawiennych dla zdrowia.

Za pozwoleniem, panie Gil Blas, przerwał mój sekretarz, ja nie zgadzam się we wszystkiem ze zdaniem twojem, pod względem mniemanej skromności, jaką mnie uraczać pragniesz. Dlaczegoż to mamy się żywić jak Diogenes? Jedząc nie tak źle, zdaje mi się, że nie będziemy mułej zdrowi. Wierzą mi, ponieważż dzięki Bogu, mamy czém uprzyjemnić nasze ustronie, nie robmy z niego przybytku głodu i nędzy. Skoro tylko kupimy wloseczkę, musimy ją opatrzyć w dobre wino i inne zasoby odpowiednie ludziom ukształconym, którzy nie dla tego usuwają się od towarzystwa ludzkiego, aby się rzec wygód życia, lecz żeby ich z większą swobodą używać. „Co się ma w domu, mówi Hezyod, nie szkodzi, gdy tymczasem to szkodzić może, czego się nie ma. Lepiej jest, dodaje on, mieć usiebie rzeczy potrzebne, aniżeli pragnąć ich posiadania.“

Daj go Bogu, panie Scyplonie, przerwałem ja znowu, a to ty widzę znasz poetów greckich! gdzieś się zapoznał z Hezyodem? U jednego uczonego, odpowiedział. Służyłem przez czas niejaki u klechy, wielkiego komentatora. U niego niczém było ułożyć gruby tom. Sklejał go z ustępów hebrajskich, greckich i łacińskich, które wybierał w swojej bibliotece i tłumaczył na język Kastyjski. Ze zaś byłem jego przepisywaczem,

zatrzymałem w pamięci mnóstwo zdań równie uderzających, jak to, które wspominałem. Kiedy tak, to musisz mieć pamięć pięknie uposażoną. Ale wracając do naszych zamiarów, jakże myślisz, w którym z królestw hiszpańskich mamy założyć naszą rezydencję filozoficzną? Ja jestem za Aragonią, odpowiedział mój powiernik. Znajdziemy tam rozkoszne okolice, w których mile życie przepędzać będziemy mogli. Bardzo dobrze, rzekłem, osiadłszy w Aragonii, zgadzam się na to. Bodajbyśmy tam wygrzeballi jakie schronienie, któreby mi zapewniło rozkosze, jakimi się napawa moja wyobraźnia.

ROZDZIAŁ X.

Co zrobili przybywszy do Madrytu. Kogo Gil Blas spotkał.

Przybywszy do Madrytu stanęliśmy w małym hotelu, w którym Scyplon zwykł był zajmować mieszkanie w czasie swoich podróży: natychmiast udaliśmy się do pana Salero dla odebrania z rąk jego motch dublonów. Przyjął nas bardzo dobrze, wynurzył mi wielką radość, że mnie widzi na wolności. Zaręczam panu, że twoje nieszczeście przejęło mnie wstrętem do wszystkich dworaków. Fortuna ich nadto podobna do bańki mydlanej. Dla tego też córkę moją Gabryellę wydałem za bogatego kupca. Wybornie zrobiłeś, odpowiedziałem, bo naprzód jestto coś pewniejszego, a powtóre mieszczanin zostawszy tesciem znakomitego człowieka nie zawsze bywa kontent z wielmożnego pana zięcia.

Następnie zmieniając rozmowę i przystępując do rzeczy: panie Gabryelu, mówiłem, bąc łaskaw zwrócić mi te dwa tysiące ludorów, które . . . Twoje pieniądze są gotowe, przerwał złotnik, i zaprowadziwszy nas do gabinetu pokazał dwa worki z napisem na etykietach: „Te dublony należą do pana Gil Blas-a z Santillany.“ Oto jest, rzekł, depozyt w tym samym stanie, w jakim mi potwierzono.

Podziękowałem Salerze za radość, jaką mi sprawił, i bardzo łatwo pocieszony po stracie jego córki, wzięwszy moje worki wróciliśmy do hotelu i tam zajęliśmy się przegłędem naszych podwójnych ludorów. Liczba była zupełna z odjęciem pięćdziesięciu użytych na kosza mojego wyzwolenia. Teraz już tylko myśliliśmy o podróży do Aragonii. Mój sekretarz podjął się kupna powozu podróżnego i dwóch mułów. Ja zabrałem się do sprawienia bielizny i sukni. Kiedy więc chodziłem po ulicach za sprawunkami, spotkałem barona Steinbach, owego oficera gwardyi niemieckiej, u którego się don Alfons wychował.

Skończyłem się temu kawalerowi niemieckiemu, który mnie poznał odrazu, i uściśkał serdecznie. Cieszę się niesłychanie, rzekłem, że spotkał pana w przedziwnym zdrowiu, a zarazem, że mi się nastęrczyła sposobność powzięcia wiadomości o moich drogich panach don Cesarze i don Alfonsie de Leyva. Mogę ci udzielić niewątpliwych, odpowiedział, ponieważ w tej chwili są obadwa w Madrycie i do tego mieszkają w moim domu. Już niemal trzy miesiące upływa jak bawia w stolicy, do której przybył dla podziękowania królowi za łaskę, którą don Alphons otrzymał w dowód uznania zasług jego przodków. Mianowany jest gubernatorem Walencyi, nie prosząc wcale o tę posadę, ani używając nikogo do jej wyjednania. Nie masz nadto nie przyjemniejszego i to dowodzi, że nasz monarcha lubi męstwo.

Lubo lepiej wiedziałem, niż baron Steinbach, co o tem myśleć trzeba, udałem wszakże zupełną nieświadomość tego co mi powiadał. Objawiłem mu tak gorącą żądzą oglądania motch dawnych panów, że dla jej zaspokojenia zaprowadził mnie natychmiast do swojego mieszkania. Ciekawy byłem doświadczyć don Alfonsa i z przyjęcia jego wnosić, czy też jeszcze zatrzymał cokolwiek z dawnego przywiązania do mnie. Zastałem go w sali grającego w szachy z baronową Steinbach. Opuścił grę i wstał zaraz spostrzegłszy mnie. Postąpił do mnie z uniesieniem radości i ściskając mnie czule: Santillano, rzekł, tonem szczerze ukontentowanie objawiającym, przecież w końcu wracasz do mnie! Jestem zachwycony. Nie ode mnie zależało, żebyśmy byli zawsze z sobą. Błagałem cię, jeżeliś nie zapomniał, abyś się nie oddalał z zamku Leyva. Nie baczyłeś na moje proś-

by. Ale nie poczytuję ci tego za wykroczenie, nawet wdzięczny ci jestem za powody twojego usunięcia się. Jednakże od owęj chwili powinienbyś był doteść mi coś o sobie i oszczędzić mi trudu szukania cię w Granadzie, gdzieś miał się znajdować, jak mi powiedział don Ferdynand mój szwagier.

Po tém małym połajaniu, powiedz mi teraz, co robisz w Madrycie. Masz tu zapewne jaki urząd. Bądź przekonany, iż los twój teraz wlećj mnie niż kiedykolwiek obchodzi. Panie, odpowiedziałem, przed czterema miesiącami zajmowałem dosyć znaczną posadę przy dworze. Miałem zaszczyt być sekretarzem i powlernikiem księcia Lerma. Czy może być? zawołał don Alphons z największym podziwieniem. Jakto, tybyś miał posiadać zaufanie pierwszego ministra? Pozyskałem jego względy i straciłem w sposób, jak panu zaraz opowiem. Wtedy wyjaśniłem mu całą tę historią i skończyłem wynurzeniem postanowienia, że chcę sobie kupić zagrodę małą i w ntej pędzić życie ustronne.

Syn don Cezara wysłuchawszy z wielką uwagą, rzekł: mój kochany Gil Blasie, wiesz, żem cię zawsze kochał; teraz jesteś mi jeszcze miłszym jak kiedykolwiek, muszę ci dać dowód tego, ponieważ Bóg dał mi możność powiększyć twoje dobra.



Zebrek.

Nie będziesz już wlećj igrzyskiem losu. Chcę cię wyzwolnić spod jego władzy, robiąc cię panem włości, której ci wydrzecz nie potrafił. Ponieważ chcesz żyć na wsi, daruję ci wloseczkę w bliskości Lirias, o cztery mile od Walencji. Znasz ją. Jestto oflara, którą ci złożyć możemy bez własnego uszczerbku. Mogę ci śmiało zaręczyć, że ojciec mój nie zgani tego, a dla Serafiny będzie to prawdziwa rozkosz.

Rzuciłem się do stóp don Alphonsa, który mnie szybko podniósł. Ucałowałem jego ręce, a bardziej rozrzewniony jego dobrém sercem, niż samém dobrodziejstwem: panie, odezwałem się do niego, postępowanie twoje zachwyca mnie. Dar, który mi oflarujesz, tém przyjemniejszy jest dla mnie, że uprzedza świadomość przysługi, jaką ci wyświadczyłem; i miłej mi jest przyjmować go z twojej wspaniałomyślności, aniżeli z wdzięczności. Mój pan gubernator zdumiał się trochę na te moje słowa, nie mógł się wstrzymać od zapytania, co byto była za przysługa. Ani mu do głowy nie przyszło, równie jak i baronowi Steinbach, że gubernatorstwo Walencji dane mu zostało przez moje wpływy. Stémwszystkiem nie mogąc o tém powątpiewać, Gil Blasie, rzekł, ponieważ tobie winienem moje posadę, nie

chcę poprzestać na darze wloseczki Lirias, dodaję do tego dwa tysiące dukatów rocznej pensyli.

Stój, panie don Alphonsie, przerwałem w tém miejscu. Nie budź mojej chciwości. Majątek znaczny psuje moje obyczaje, aż nadto doświadczyłem tego. Przyjmuję chętnie wioskę Lirias; będę w njej żył wygodnie z tém, com zebrał zkadinał. Ale to jest dostateczne dla mnie, i zamiast pragnąc wlećj, zgodziłbym się raczej na utratę tego, co może być zbyt cenne w tém co posiadam. Bogactwo jest ciężarem na ustroniu, w którym się szuka życia spokojnego.

Kiedyśmy w ten sposób rozprawiali, nadszedł don Cesar. Nie mniejszą objawił radość, ujrzawszy mnie, jak i syn jego pierwój; a dowiedziawszy się o zobowiązaniu, jakie rodzina jego miała dla mnie, ualegał abym przyjął pensyę, lecz odmówiłem znown. Wreszcie syn i ojciec zaprowadzili mnie do pisarza aktowego, kazali spisać darowiznę, i podpisali z wlećj ochotą, niżby to może zrobili z aktem na ich korzyść ułożonym. Skoro umowa wykończona została, wręczyli mi ją, oświadczając, że włość Lirias już odtąd do nich nie należy, że mogę objąć ją w posiadanie, kiedy mi się podoba. Wrócili potem do barona Steinbach, a ja pobiegłem do mojego hotelu, gdzie w przedziwnie wprawił mojego sekretarza, kiedym mu doniósł, że mam włość w królestwie Walencji i kiedym opowiedział jakim ją sposobem nabyłem. Ile może przynosić ta wioska? zapytał się. Pięćset dukatów czystego dochodu, odpowiedziałem, i mogę cię zapewnić, że to jest mile schronienie. Znam ją, bom ją zwiędzał kilka razy w charakterze intendenta panów de Leyva. Jestto domek nad brzegiem rzeki Gwadaluwar, we wsi z płęci, lub może sześciuset dymów złożonej w okolicy rozkosznej.

Co mnie najwlećj cieszy, zawołał Scypion, to to, że będziemy mieli piękną zwierzynę, wino Benicario i przedziwny muskatel. Dalejże mój panie, spleśmy się, rzucamy świat, i dajmy do naszej pastelni. Niemniej jak ty radym już być tam, odpowiedziałem, ale muszę pierwój zboczyć do Asturyi. Mój ojciec i matka nie są w najlepszym stanie. Chcę ich zabrać z sobą do Lirias, gdzie w pokoju przepędzą resztę dni swoich. Bóg zapewne udzielił mi to schronienie, abym ich w niem umieścił, i skaraby mnie niezawodnie, skorobym tego zauledbał. Scypion pochwalił mój zamiar, i zachęcał do jego wykonania. Nie traćmy czasu, rzekł, już mam zapewniony powóz; kupujmy co prędzej muły i dalej w drogę do Owiedo. Tak jest, mój przyjacielu, jedźmy najspieszniej, jak tylko można. Poczytuję sobie za obowiązek niezbędny podzielać schronienie z tymi, którzy mi życie dali. Wnet ujrzymy się w naszej zagrodzie, a skoro tam przybędę, nade drzwiami mojego mieszkania napiszę złotemi literami te dwa wiersze łacińskie:

Inveni portum. Spes et fortuna valet!
Sat me lusistis: ludite nunc alios!

KSIĘGA DZIESIĄTA.

ROZDZIAŁ I.

Gil Blas jedzie do Asturyi. W Walladolid odwiedza doktora Sangrado i przypadkiem spotyka pana Manuela Ordonez.

Właśnie pod ten czas gdyśmy się zabierali do opuszczenia Madrytu, mając się udać w drogę do Asturyi, Paweł V mianował księcia Lerma kardynałem. Papież pragnąc ustanowić w Neapolu inkwizycję św., ozdobił purpurą tego ministra, by tym sposobem zobowiązać go do wyjednania przyzwolenia króla Filipa na tak chwalebny zamiar. Wszyscy, którzy tak dokładnie jak ja znali tego nowego członka św. kolegium, zgadzali się, że kościół nie mógł piękniejszego zrobić nabytku.

Scypion, który wolałby raczej widzieć mnie na świetnej posadzie przy dworze, niż zagrzebanego w samotności, radził mi przedstawić się nowemu kardynałowi. Być może, odezwał się do mnie, że Jego Eminencya widząc cię wyzwolonego za rozkazem królewskim, uzna za rzecz przyzwoitą, nie udawać już zagniewanego i przyjmie cię do swoich usług. Panie Scypionie, odpowiedziałem, zapominasz widocznie, żem pozyskał łaskę

królewską pod warunkiem niezwłocznego opuszczenia obudwóch Kastylii. Prócz tego, czy sądzisz, iż już obmierzył mi mój zamek w Lirias? Jużem ci powiedział i dziś ci powtarzam, że gdyby księżę Lerma przywrócił mi swoje zaufanie, gdyby mi nawet ofiarował miejsce don Rodriga Calderone, odrzuciłbym. Postanowienie moje niezachwiane, chcę udać się do Oviedo, zabrać moich rodziców i osiąść z nimi w okolicy Walencyi. Co do ciebie mój przyjacielu, jeżeli ci żal, żeś losy swoje połączył z moim, oświadczyć tylko, a dam ci chętnie połowę mojej gotówki, z czém będziesz mógł żyć w Madrycie i dźwigać się, jak można, najwyżej.

Jak to, zawołał mój sekretarz, tknięty temi wyrazami, mozeszże posądzać mnie o jakąś niechęć towarzyszenia ci w twojem ustroniu? takowe podejrzenie obraża moją gorliwość i moje przywiązanie. Toż więc Scypion, ów wlerny sługa, który podzielał twoje troski, chętnieby resztę dni swoich przepędził z tobą w turmie Segovii, z żalem miał ci towarzyszyć do ustronia, w którem sobie tysiącne marzy przyjemności! Nie, panie, nie, ja niemam zamiaru odstręczać cię od twojego przedsięwzięcia. Muszę ci się przyznać do mojej złośliwości: kiedyś cię namawiał do przedstawienia się księciu Lerma, chciałem cię tylko wymacać, czy jeszcze w duszy twojej nie została jaka iskierka dumy. Lecz kiedy cię widzę tak obojętnym na wielkość światła, opuszczajmy więc jak najprędzej dwór, by używać rozkoszy niewinnych i miłych, których tak cudowne utworzyliśmy sobie wyobrażenie.

Wyjechaliśmy więc wkrótce w powozie zaprzężonym dwoma wyborcami mułami, mając za woźnicę chłopaka, który pomógł nasz orszak, bo tak mi się zdawało przyzwoiciej. Pierwszy nocleg odprawiliśmy w Alcala de Henares, drugi w Segowii, z kądem, nie odwiedzając nawet mojego szlachetnego nadzorca Tordesillas, pospieszyliśmy do Penafiel nad Duero, a najazntr do Walladolid. Na widok tego ostatniego miasta westchnąłem głęboko. Towarzysz mój usłyszawszy to, zapytał się o przyczynę. Mój kochany, rzekłem, tu ja długo dosyć zajmowałem się sztuką lekarską. Nie mogę o tem spokojnie pomyśleć. Sumienie moje w tej chwili robi mi tajne wyrzuty. Co mówię! zdaje mi się, że wszyscy chorzy, których pozabijałem wychodzą z grobów, aby mnie w sztuki poszarpać! Co za urojenie! odezwał się sekretarz. Zaiste panie Santillana, pan jesteś nadto dobry. Czego tu żałować, żeś spełnił swoje rzemiosło? Przypatrz się osiwiiałym lekarzom, czująż oni podobne wyrzuty sumienia? Oh, dalsbóg nie; ciągle tąż samą postępują drogą, zwałając na naturę wypadki smutne, chełpiąc się ze szczęśliwych.

To prawda, rzekłem, że doktor Sangrado, którego metody ściśle się trzymałem, był właśnie w tem usposobieniu, choć widział jak codziennie po dwadzieścia osób głucho z jego ręki, on przecież tak był przekonany o dziwniej skuteczności krwi puszczenia i obfitego picia wody, iż to nazywał dwoma jedy-nymi lekarstwami na wszystkie choroby, tak dalece, że zamiast nie ufać swoim lekom, on winę przypisywał umierającym. że za mało pili i nie dosyć im krwi upuszczono. Przebóg, zawołał Scypion, śmiejąc się do rozpuku, a to niezrównany człowiek. Jeżeli chcesz go widzieć i słyszyć, rzekłem, możesz zaraz jutro zaspokoić swoją ciekawość, jeżeli tylko Sangrado żyje i jest jeszcze w Walladolid; czemu nie bardzo wierzę, bo już był bardzo stary, kiedyś się od niego oddalał, a od tego czasu już wiele lat upłynęło.

Skoro staaliśmy w hotelu, najpierwszém naszym staraniem było powziąć wiadomość o tym doktorze. Dowiedzieliśmy się, że jeszcze żyje, lecz nie mogąc dla podeszłego wieku odwiedzać chorych, ani narażać się na ruch mocniejszy, zostawił wolny bruk trzem, czy czterem innym lekarzom, którzy pozyskali wziętość nową metodą, tyleż wartą co i jego dawna. Postanowiliśmy więc dzień następny pozostać w Walladolid, już to dla wypoczynku mułów, już też dla odwiedzenia doktora Sangrada. Udaliśmy się do niego o godzinie dziewiątej rano: zastaliśmy go w krześle z książką w ręku. Powstał zaraz ujrawszy nas i krokiem pewnym jak na siedmdziesięcioletniego

starca, zbliżył się z zapytaniem, czego byśmy od niego żądali. Panie doktorze, odezwałem się, przypatrz mi się bacznie, czy mnie sobie nieprzypominasz wcale. Ja przecież miałem zaszczyt być twoim uczniem. Czy nie wpada ci na myśl niejaki Gil Blas, który niegdyś był twoim stołownikiem i substytutem? Ha, to ty Santillano? odpowiedział mi, ściskając mnie serdecznie. Nie byłym cię wcale poznał, kontent jestem że cię oglądam. Cóżeś robił po naszym rozłączeniu się? Zapewne ciągle zajmowałeś się sztuką lekarską? Do tego w istocie miałem wielką pościągę, odpowiedziałem, ale bardzo ważne powody stanęły na zawadzie.

Tem gorzej, ozwał się Sangrado, z zasadami, jakie powziąłem u mnie, byłbyś został zręcznym lekarzem, byleby cię niebo łaskawie ochroniło od niebezpiecznego zamilowania chemii. Ah, mój synu, mówił dalej tonem żalonym i deklamatorskim, co za odmiany w medycynie od lat kilka! widzisz mnie zdumionego i rozgwiezanego, nie bez przyczyny. Obdzierają tę sztukę z całej godności i honoru. Ta sztuka, która po wszystkie wieki szanowała życie ludzkie, stała się teraz właśnie łupem pło-



Śmierć Antonii.

chości, zarozumienia i nieświadomości, bo czyny zaś mówią, a niebawnie kamienie krzyczyć będą przeciw rozbojom naszych praktykantów: *lapides clamabunt*. Ujrysz tu lekarzy, czy też tak nazwanych lekarzy, którzy się zaprzęgli do wozu tryumfalnego antimonu: *currus triumphalis antimonii*; zbiegów ze szkoły Paracelsa, czcicieli czerwien, lekarzy na chybił, trafił, którzy całą znajomość sztuki lekarskiej zasadzają na umiejętności przyrządzania lekarstw chemicznych. Co więcej ci powiem? niczego nie odgadniesz w ich metodzie, naprzykład puszczanie krwi z nóg, niegdyś tak rzadkie, dziś prawie wyłącznie jest w użyciu; przeczyszczania niegdyś łagodne i powolne, zamieniły się na czerwiec i na emetyk. Słowem to istny chaos, w którym każdy sobie pozwala co mu przyjdzie do głowy, przekracza granice porządku i mądrości, jakie zakreślił nasi pierwsi mistrze.

Lubo wielką miałem pokusę do śmiechu z tak komicznej deklamacji, przecież potrafiłem ją przezwyćczyć; co większa sam deklamowałem przeciw czerwcowi, nie wiedząc co to jest, przeklinałem na ślepy traf jego wynalazców. Scypion spostrzegłszy, że mnie bawiła scena, wetchnął także swoje trzy grosze.

Mości doktorze, odezwał się do Sangrada, będąc wnukiem stryjecznym lekarza dawnej szkoły, niech mi wolno będzie wraz z panem powstawać na lekarstwa chemiczne. Nieboszczyk zdania stryjaszek, panie święć nad duszą jego, tak zapalonym był stronnikiem Hipokratesa, iż częste staczał bójki z empirykami, którzy mówiąc o tym królu medycyny nie wyrażali się z należytym uszanowaniem. Dobra krew jest nieodrodna; zmiłą chęcią zostalbym katem dla tych zwolnicielei, na których się użalasz z taką słusnością i wymową. Jakiż nieład te ozdunki szerzą w społeczności ludzkiej.

Ten nieład dalej jeszcze sięga, niż ci się zdaje. Na nic się nie przydało ogłoszone przeze mnie dzieło przeciw rozbojom medycyny; owszem wzmagają się one coraz bardziej. Chirurgi, których szal owiadną udawać doktorów, sądzą, że są nimi skoro idzie o podanie czerwcu lub emetyku, do czego dołączają puszczenie krwi z nóg według swojego urojenia. Posuwają się nawet do mieszania czerwcu w tyzanny z ziół, i elixiry orzeźwiający, a tym sposobem stają w parze z doświadczonymi lekarzami. Ta zaraza Bóg wie jak dalece się rozszerzyła. Te mały sztuki lekarskiej poświęcają się chemii i przyprawiają zgubne leki, skracając niemi życie swoich bliźnich. Jest takich ze sześćdziesięciu w Walladolidzie, sam więc osądz jaką pożogę sprawia czerwiec z emetykiem i puszczeniem krwi z nóg! Panie Sangrado, odezwałem się wtedy, masz słusność gniewać się na tych rzeźników, ubolewam wraz z tobą, podzielam twoją trwożę o życie ludzkie, oczywiście zagrożone przez metodę tak sprzeczną z twoją. Lękam się aby chemia kiedyś nie zgubiła medycyny, tak jak fałszywa moneta gubi państwa. Zachowaj Boże aby ten dzień nieszczęsny nie był zbyt blizkim!

W tej właśnie chwili weszła stara służąca, niosąc na talerzyku ciasteczko i dwie karafki, jedna z wodą, druga z winem. Zjadłszy kasek popił szklanceczką, w której było wprowadzie dwie trzecie wody, a jedna wina, ale go to przynajmniej nie zastąpiło od wyrzutów, do których mi podał sposobność. Aha! panie doktorze, schwytałem pana na uczynku. Pan pijesz wino, pan coś zawsze powstawał na ten napój, coś przez trzy czwarte swojego wieku wodę pił tylko, coś się stał przyczyną, że ja od dziesięciu lat ani kropki wina nie wypilem. Odkądże to tak się zmieniłeś? Wiekiem tłumaczyć się nie możesz, bo w jednym z dzieł własnych określasz starość jako suchoty natury, które nas trawią, na tej zaś zasadzie ubolewasz nad głupotą tych, którzy wino zowią mlekiem starców. Cóż więc powiesz na swoje usprawiedliwienie?

Rozpoczynasz ze mną wojnę wcale niesłuszną, odpowiedział stary lekarz. Gdybym czyste pił wino, słusniebyś mnie obwiniał o przeniwlerzenie się mojej własnej metodzie, ale widzisz, że moje wino jest bardzo roztworzone. Druga sprzeczność, rzekłem, szanowny mistrzu, przypomnij sobie, żeś za złe poczytał kanonikowi Sedillo, że pił wino, chociaż także roztworzał je wodą. Przynajmniej dobrowolnie, żeś poznał swój błąd, że wino nie jest zgubnym napojem, jak to twierdzisz w swoich dziełach, byleby go używać z umiarkowaniem.

Te wyrazy zmieszały nieco naszego doktora. Nie mógł zaprzeczyć, iż w dziełach swoich zakazał wina; ale wstyd i próżność nie dozwalały mu przyznać słusności mojego zarzutu, nie wiedząc zaś co odpowiedzieć, mijał się. Dla wydobyła go z kłopotu zmieniłem przedmiot rozmowy, a po chwili pożegnałem go zachęcając, aby nie przestawał walczyć z nowymi praktykantami. Śmiało, panie Sangrado, mówiłem, nie trać odwagi, gań czerwiec, szydź z puszczenia krwi z nóg. Jeżeli mimo twoją gorliwość i przywiązanie do prawowierności medycznej, klika empiryków potrafi zniszczyć dawną karność, tę przynajmniej zachowasz pociechę, iż do jej utrzymania nie szedłeś trudu.

Kiedyśmy wracali do naszego hotelu rozmawiając o zabawnym i oryginalnym charakterze doktora, przechodził koło nas człowiek sięgający sześćdziesiątego roku życia, oczy spuścił w ziemię, w rękę zaś trzymał duży różaniec. Spojrzałem na niego z uwagą i wnet poznałem w osobie jego pana Manu-

ela Ordenez, tego zacnego administratora szpitala, com o nim w pierwszej części tak zaszczytną zrobił wzmiankę. Zbliżyłem się doń z wielkim uszanowaniem, mówiąc: Sługa najniższy szanownego pana Manuela Ordenez, człowieka najzdolniejszego do ochrony grosza ubogich. Na te słowa bystro wejrzał na mnie, odpowiadając, że rysy moje są mu wprawdzie znane, ale nie może sobie przypomnieć, gdzieby mnie widział. Nie dziwi mnie to, odpowiedziałem, nie masz w tym nic osobliwszego, żeś nie zwracał na mnie uwagi, bywałem u pana wówczas, kiedyś miał u siebie w służbie mojego przyjaciela, nazwiskiem Fabrycego Nunez. Ah, teraz przypominam sobie, odpowiedział z uśmiechem uszczypliwym, a to właśnie zład, żeście obadwa byli wyborne chłopcy, obadwaście nie jednę psotę młodzieńczą spłatali. Cóż się też dzieje, z tym biednym Fabrycem? Ilekroć pomyślę o nim, boję się o jego utrzymanie.

Właśnie żeby o nim pana zawiadomić, pozwoliłem sobie zatrzymać go na ulicy. Fabrycy jest w Madrycie, zajmuje się dziełami mieszanymi. Cóż to nazywasz dziełami mieszanymi? zagadnął mnie. To mi się zdaje dwuznaczne. Chcę mówić, odpowiedziałem, że pisze wierszem i prozą; składa komedye i romanse, słowem jest to chłopiec z talentem, wiele widziany w wielkich domach. Ale, zapytał się administrator, jakże wychodzi ze swolm piekarzem? Nie szczególnie, odpowiedziałem, nie tak dobrze, jak z osobami znakomitemi: mówiąc między nami, nie sądzę, aby był dosyć zamożnym. Ja nie wątpię o tym, rzekł Ordenez, niech nadskakuje możnym jak chce; jego grzeszność, pochlebstwa, mniej mu jeszcze przyniosą jak dzieła. Przepowiadał ci, że go niedługo zobaczysz w szpitalu.

To łatwo być może, odezwałem się, poeta już nie jednego tam zawiodła. Przyjaciel mój Fabrycy byłby daleko lepiej zrobił pozostawszy u pana, byłby do tego czasu opływał w dostatki. Przynajmniej żyłby wygodnie, odpowiedział Manuel. Kochałem go, miałem zamiar posuwając go ze stopnia na stopień wystarać mu się w domu ubogich o stałe uposażenie, kiedy mu wpadło do głowy bawić się w literaturę. Nierozsądny! napisał komedya, którą komedyanci w naszym mieście przedstawili: sztuka się powiodła i to zawróciło głowę autorowi. Zdało mu się, że jest nowym Lope de Vega, a przenosząc dymek pochwał nad rzeczywiste korzyści, jakie mu po przyjacielku zapewniałem, żądał uwolnienia. Chciałem przez liłość nakłonić go do zmiany przedsięwzięcia; nie mogłem powściągnąć głupca, którego szal pismaetwa opauował. Nie znał swojego szczęścia, dodał administrator, chłopak, któremu po nim przyjął do służby, może zaświadczyć, rozsądniejszy od Fabrycego, choć mniej dowcipny, starał się, jedynie spełniać swoje obowiązki i zyskać moją przychylność. Dla tego też posuwałem go, jak na to zasługiwał, teraz zajmuje w szpitalu dwa urzędy, z których jeden tylko, aż nadto wystarczy na uczeiwe utrzymanie człowieka z liczną familią.

ROZDZIAŁ II.

Gil Blas szczęśliwie przybywa do Oviedo. W jakim stanie zastaje swoich rodziców.

Z Walladolid w cztery dni przybyliśmy do Oviedo, nie doznawszy w drodze żadnej złej przygody, mimo przysłowie, które opiewa, że złodzieje z daleka zgęszą pieniądze. A byłaby to jednak nie zła gratka dla nich, dwóch mieszkańców z owego podziemia potrafiloby nam bez trudności zabrać nasze dublony, bo ja przy dworze nie uabrałem odwagi, Bertrand, mój młody stangret, nie zdawał się mieć ochoty tracić życie w obronie pieniędzy swojego pana, jeden tylko Scypion co zakrawał nieco na giermka.

Już noc była kiedyśmy stanęli w Oviedo. Zajechaliliśmy do hotelu w sąsiedztwie wuja mojego kanonika Gil Perez. Radbym był jak najprędzej wywiedzieć się o stanie moich rodziców, nimby się im przedstawił; w tym celu nie mogłem się lepiej udać jak do gospodarza, lub gospodyni tej karczmy, których znałem bardzo dobrze jako ludzi, którym nie mogły być tajne sprawy ich sąsiadów. W istocie gospodarz przypatrzwszy mi się dobrze, poznał mnie i zawołał: święty Antoni padewski!

a toć to synu poczelwego koniuszego Gil z Santillany. A jużci prawda! owżala się gospodyn, to on sam: poznałam go, nie się prawie nie zmienil, teu sam bystry chłopak, który miał włącęj rozumu, niż wzrostu. Jakbym patrzyła na niego, kiedy przychodził tu z butelką po wino na wieczerzę swojego wuja.

Pani, rzekłem, masz szczęśliwą pamięć, ale bądź łaskawa powiedz mi co o moich rodzicach. Ojciec mój i matka zapewne nie w bardzo przyjemnym są stanie. Oh, to prawda, odpowiedziała gospodyn, jakkolwiek wystawiłbyś sobie złe ich położenie, jeszczebyś nie miał wyobrażenia osób tyle politowania godnych. Szanowny człowiek Gil Perez sparaliżowany na połowę ciała, nie długo pociągnie, jak się zdaje, ojciec twój, który od niejakiego czasu mieszka u kanonika, cierpi na piersi, czyli jaśnieję mówiąc woży się między życiem a śmiercią, a matka twoja, także nie najzdrowsza, zmuszona jest pielegnować i jednego i drugiego, oto jest ich położenie.

Na takowe sprawozdanie uczulem, że jestem synem, zostawiłem Bertranda w hotelu z mojami mułami, a sam z sekretarzem, który nie chciał mnie odstępować, poszedłem do wuja. Skoro tylko stanąłem przed matką, wzruszenie jakie jej sprawilem dało mi nie poznać pierwej nim mogła przypomnieć sobie moje rysy. Uściskawszy mnie, rzekła ze smutkiem, mój synu, pójdź. obacz umierającego ojca; w sam czas przybywasz, aby być świadkiem okropnego widoku. To mówiąc zaprowadziła mnie do izby, w której nieszczęśliwy Blas z Santillany złożony na łożu świadczącym o ubóstwie biednego koniuszego, ostatniej czekał godziny. Chociaż otoczony cieniem śmierci, miał przecież niejaką przytomność. Mój kochany przyjacielu, rzekła mi matka, oto Gil Blas twój syn, prosi cię o przebaczenie za wszystkie zgrzyoty, jakie ci zrzucił, a zarazem żąda twojego błogosławieństwa. Na te słowa ojciec mój otworzył oczy, już tylko co zamknął się mające na wieki, wlepił je we mnie, a widząc jak mnie ta strata dotykała, rozrzewnił się moją boleścią, chciał coś mówić, lecz brakło mu siły. Ująłem rękę jego i kiedym ją zlewał łzami nie mogąc ani słowa wyrzec, on skonał, jak gdyby tylko na moje przybycie oczekiwał, by ostatnie wydać tchnienie.

Matka moja była aż nadto przygotowana na ten cios, aby się miała trapić bez pomiarkowania; ja może więcej niż ona ścisnięty byłem żalem, chociaż ojciec mój nigdy w życiu nie dał mi najjenniejszego dowodu przywiązania. Żeby opłakiwać zgon jego dość było, żem był synem, ale prócz tego wyrzuciłem sobie, żem go nie wsparł; a kiedym pomyślił o mojej zawziętości. uważałem się za potwór niewdzięczności, a raczej za ojcobójcę. Wuj któregoś widział na innem łożu, wstanie politowania godnym, nowych przyczynił mi zgrzyot. Wszystkie cokolwiek dla mnie zrobił, stanęło mi przed oczyma. Synu wyrodny, mówiłem sam do siebie, przypatrzył się za karę nędzy twoich rodziców. Gdybyś był im udzielił choć cząstkę majątku tego mienia jakieś posiadał przed uwięzieniem, byłbyś im zapewnił wygody, których mieć nie mogli z dochodów prebendy, a może tem samem byłbyś przedłużył życie ojca swojego.

Nieszczęśliwy Gil Perez zdzięcinniał, stracił pamięć, żadnego nie miał poznania. Na nic mi się nie przydało, żem go ścisnął, żem mu objawiał moją czułość; zdawał się tego nie czuć wcale. Moja matka powiadała mi, że jestem Gil Blas jego synowlec, spoglądał na mnie obojętnie, nie nie mówiąc. Gdyby pokrewieństwo i wdzięczność nie obudzały we mnie politowania nad wujem, tedy nie potrafiłbym się wstrzymać od niego, patrząc na tak smutny stan w jakim się znajdował.

Przez ten czas Scypion w głębokim milczeniu podzielał mój żal, i spólnie ze mną wzdychał. Domyślając się, że matka moja po tak długiej nieobecności, zechce ze mną pomówić, a obecność nieznanego jej człowieka, mogłaby jej być nie miłą, wziąłem go więc na stronę i rzekłem: idź mój kochany do hotelu na spoczynek, zostaw mnie samego z matką. Pomówimy z sobą i zapewne dość długo: poczciwa kobieta możeby cię uważała za zbyt celnego przy rozmowie, której przedmiotem będą interesa rodzinne. Scypion oddalił się, by nam nie robić przykrości, a ja w istocie całą noc przegadałem z matką. Zda-

liśmy sobie na wzajem sprawę z tego, co nam się przytrafiło od czasu oddalenia się mego z Owiedu. Obszernie bardzo wyluszczyła mi wszystkie szczegóły zgrzyot, jakich doznawać musiała w domach, w których była dozorczynią; i z tego powodu powtórzyła mi mnóstwo rzeczy, których nie byłbym bardzo rad, aby słucał mój sekretarz, jakkolwiek nie nie miałem ukrytego przed nim. Z całym uszauowaniem, jakim przejęty jestem dla pamiętki mojej matki, wyznać muszę, iż była cokolwiek rozwickłą w swoim opowiadaniu; mogłaby mi była darować trzy czwarte swojej historii, gdyby była opuściła o-koliczności niepotrzebne.

Skończyła wreszcie, a ja zacząłem. Lekko bardzo dotykałem wszystkich przygód; lecz gdym zaczął mówić o odwiedzinach syna Bertranda Muscada, kupca korzennego w Owiedo, rozszerzyłem się dosyć nad tym przedmiotem. Przyznam się, mówiłem matce, żem bardzo źle przyjął tego chłopca, który zapewne przez zemstę szkaradnie tu odmalował. Tak zrobił w istocie, rzekła. Widział cię, jak nam powlądał, tak dumnym łaską pierwszego ministra, że zaledwie raczyłeś go poznać, a kiedy ci przedstawiał naszą nędzę, słucał go z miną bardzo zimną. A że ojcowie i matka, dodała, zwykle skłonni są do uniewinniania swoich dzieci, nie mogliśmy wierzyć, abyś tak źle miał serce. Przybycie twoje do Owiedo usprawiedliwia zupełnie dobre mniemanie, jakieśmy mieli o tobie, a żal jakim cię przejętego widzę, uzupełniła twoją pochwałę.

Zbyt pochlebnie o mnie sądzisz, rzekłem, w opowiadaniu młodego Muscada jest szczerą prawdą. Kiedy mnie odwiedzał, zastał mnie zajętego jedynie moim losem, a duma która mnie oponowała, nie pozwoliła mi ani pomyśleć o moich rodzicach. Nie masz więc nie dziwnego, żem nie bardzo uprzejmie przyjął człowieka, który przystępując z miną nieokrzesaną, rzekł po grubiańsku, że dowiedziawszy się, iż jestem bogaty jak żyd, radzi mi, abym wam posłał pieniędzy, a to dla tego, że ich bardzo potrzebujecie: wyrzucił mi nawet bez ogródki moją obojętność dla rodziny, uraziła mnie jego otwartość, a przywiedziony do niecierpliwości, wziąłem go za kark i wyrzuciłem z mego gabinetu. Zgadza się na to, żem źle postąpił w tym razie, powinienem był zastanowić się, że wysię wcale temu niewinni, iż kupiec korzenny nie zna grzeczności, lecz rada jego dobra zasługiwała na uwagę, chociaż udzielona była wcale nieprzezwycię.

To właśnie wystawiałem sobie wkrótce po wyrzuceniu Muscady. Mimo rozjątrzenie, głos pokrewieństwa odezwał się: przypominałem sobie obowiązki względem rodziców; a rumieniąc się ze wstydu, że ich tak źle dopełniam, uczulem wyrzuty sumienia, z którymi wszakże nie mogę się przed matką pochlubić, ponieważ niebawnie chciwość przytłumiła je i duma. Ale następnie zamkulety w turmie Segowil z rozkazu króla, zachorował niebezpiecznie, i ta to szczęśliwa choroba powróciła wam syna. Tak jest, choroba i wzięlenie sprawiły to, iż natura odzyskała swoje prawa, one zaszczyły w sercu mojem wstręt do dworu. Zrzekłem się tego zgiełku światowego, i wzdycham jedynie do samotności. Właśnie dla tego tylko przybyłem do Asturyi, aby was błagać, iżbyście podzielali moje ustronie. Jeżeli matka nie wzgardzi moją prośbą, zawiozę ją do mojej wioski, którą mam w królestwie Walencyi, tam wygodnie żyć będziemy, oczywista rzecz, żem zamierzał i ojca z sobą zabrać, ale ponieważ niebo inaczej rozporządziło, niechże przynajmniej mam tę pociechę mieć u siebie matkę, ażebym uprzejmością na jaką tylko zdobyć się potrafię, mógł wynagrodzić czas, przez który nie byłem jej użyteczny.

Wdzięczna ci jestem za twoje chwalebne zamiary, rzekła mi wtedy matka, bez wahania się udałabym się z tobą, gdybym nie napotykała trudności. Nie opaszczę twojego wuja, a moje go brata, w stanie, w jakim się obecnie znajduje; przytem zbyt nawykłam do tej okolicy, ażebym ją miała opaszcząć; stém wszystkiem ponieważ rzecz ta godna jest głębszej rozważki, chcę o niej pomyśleć swobodniej. Teraz zajmijmy się pogrzebem ojca twojego. Polećmy to, rzekłem, temu młodemu czło-

wiekowi, który tu był ze mną, nie zbywa mu ani na dowcipie, ani na gorliwości, możemy się spuścić na niego.

Zaledwie to wyrzekłem, gdy Scypion wrócił. Już bowiem dniało. Zapytał się, czy nie potrzebujemy jego usługi w naszym kłopotcie. Powiedziałem mu, iż w samą porę przychodzi, aby odebrać ważne polecenie, jakie mu zamierzyłem odziedziczyć, skoro usłyszał o co chodziło: dość na tym, odpowiedział, urządziłem już w myśli cały ten obrzęd; możecie się spuścić na mnie. Pamiętaj, odezwała się moja matka, aby ten obrzęd nie był zbyt wystawny; nie może być nadto skromny dla męża mojego, który w całym mieście znany jest jako kouszyszy najuboższy. Pani, odpowiedział Scypion, chociażby był jeszcze uboższym, nie ustąpię ani szeląga. Uważam w tym jedynie mojego pana; był on poufnym księcia Lerma, ojciec jego powinien być godnie pochowany.

Pochwaliłem zamiar mojego sekretarza; poleciłem mu nawet, by nie szczędził pieniędzy. Resztki próżności, które zachowaniem jeszcze, obudziły się przy tej sposobności. Pochlebiałem sobie, że nie szczędząc kosztu dla ojca, który mi żadnej nie zostawił puścizny, zjednam sobie podziwienie szlachetnego postępowania. Matka moja z swojej strony, udając skromność, nie gniewała się wcale, że mąż jej pochowany będzie z okazałością. Daliśmy więc upoważnienie nieograniczone Scypionowi, który nie tracąc czasu przedsięwziął środki potrzebne, aby odbyć pogrzeb wspaniały.

Wyborne mu się udało. Tak pyszny urządził obrzęd, że oburzył przeciw mnie całe miasto z przedmieściami. Wszyscy mieszkańcy Oviedo od największego do najmniejszego nrazili się moją chętnością, i nie bardzo zaszczytne dla mnie w tym względzie robił wyjaśnienia i uwagi. Jeden mówił, ten minister improwizowany ma pieniądze na pogrzeb ojca, a nie miał ich na jego wyżywienie. Lepiejby było, mówił drugi, żeby był starał się o zapewnienie przyjemności żywemu, aniżeli co mu tyle honorów robi po śmierci. Słowem, nie szczędzono przycinków, kto tylko mógł, dogadywał. Na tym nie poprzestali, lżyli nas, mnie, Scypiona i Bertranda, gdyśmy wyszli z kościoła, najgrawali się z nas, a Bertranda kamieniami pędzili aż do hotelu. Dla oddalenia motłochu, który się zebrał przed domem wuja, musiała matka moja wyjść i zaręczyć, że była bardzo kontenta ze mnie. Iona czereba pobiegła do hotelu, gdzie był mój powóz, z zamiarem potrząskania go, i byłiby to niechybnie zrobili, gdyby gospodarz i gospodyni nie wynaleźli środka pohamowania tych szaleńców i odwrócenia ich od tego przedsięwzięcia.

Takowe obelgi, widoczny skutek mów młodego kupczyka korzennego, przejęły mnie taką odrazą do moich złomków, iż postanowiłem jak najspieszniej opuścić Oviedo, gdzie w lunym razie możebym być dość długo zabawił. Oświadczyłem to bez ogródki mojej matce, która ze swojej strony, zgryziona takowem przyjęciem, nie opierała się wcale mojemu przedsięwzięciu. Jedyne już tylko było pytanie, jakim sposobem z nią wyjdę. Moja matka, rzekłem, ponieważ wuj potrzebuje twojej pomocy, nie będę więc nalegał, abyś mi towarzyszyła, ale że zdaje się on nie zbyt dalekim być końca, przyrzec mi więc, iż przybędziesz natychmiast do mnie na wieś, skoro on rozstanie się z tym światem. Spodziewam się od ciebie tego dowodu przychylności.

Nie chcę ci obiecywać, rzekła, czego dotrzymać nie potrafię; chcę resztę dni moich przepędzić w Asturji, w zupełnej niezawisłości. Alboż nie będziesz samowładną panią w moim zamku? odpowiedziałem. Tego nie wiem, mówiła, nie trzeba więc, tylko zakochasz się w jakiejś dziewczycy, zaślubisz ją, zostaniesz moją synową, ja jej będę świekra, nie będziemy mogły żyć razem. Przewidujesz, rzekłem, że zbyt odległe; najprzód, nié mam najmniejszej ochoty żenić się; a powtóre, choćby mi przyszło do głowy, zobowiązę moją żonę, aby ślepo poddała się twojej woli. To płocha odpowiedź, odezwała się matka, musiałabym żądać rękoi mi na rękoi mi; obawiałabym się, aby przywiązanie do żony, nie przeważało nad związkami krwi,

nie chciałabym ręczyć, czy w naszych swarach, nie brałbyś raczej obrony małżonki swojej, choćby ta i ule miała słuszności.

Pani przedziwnie mówisz, zawołał mój sekretarz wtrącając się do rozmowy; ja także myślę, że synowe uległe są bardzo rzadkie. Żeby jednak was pogodzić, panią i mojego pana, ponieważ koniecznie chcecie mieszkać, pani w Asturji, a on w królestwie Walencji, wypada więc, żeby ci przeznaczył pensją sto ludorów, którą corocznie przywozić będą. Tym sposobem syn i matka, żyć będą bardzo wygodnie, o sto mil jedno od drugiego. Strony interesowane przystały na ten układ, poczem wypłaciłem na pierwszy rok z góry i nazajutrz rano, przed świtem, opuściłem Oviedo, z obawy aby mnie gawiedź nie poczęstowała, jak kiedyś św. Szczepana. Takie było moje przyjęcie w rodzinnem mieście. Piękna przestroga dla pospolitego człowieka, który z bogactwami się u obcych, wraca by grać rolę osoby ważnej; im więcej jaśnieć będzie bogactwo, tym nienawistniejszym się stanie dla swoich złomków.

ROZDZIAŁ III.

Gil Blas jedzie do Królestwa Walencji i przybywa do Lirias.

Puściliśmy się drogą do Leonu, następnie do Walencji i tak bez pośpiechu postępując, dziesiątego dnia stanęliśmy w Segorbi, z kądem nazajutrz rano, dostaliśmy się do naszej wioski o trzy tylko mile od tego miasta odległej. W miarę jak coraz bardziej zbliżaliśmy się do niej, bawiło mnie, gdy patrzyłem na mojego sekretarza, jak bacznie śledził wszystkie pałace na prawo i na lewo drogi rozrzucone. Skoro ujrzał jaki okazalszy, pokazując go palcem, mówił: Radbym był, żeby to tam było nasze schronienie.

Nie wiem mój przyjacielu, rzekłem, co ty masz za wyobrażenie o naszym mieszkaniu; jeżeli wszakże wystawiasz sobie, że to jest pałac wspaniały, włosie wielkiego pana, szkaradnie się mylisz.

Jeżeli nie chcesz być igraszką twojej fantazy, wyobraź sobie domek, jaki miał Horacy w kraju Sabinów, niedaleko Tiburnu, który mu darował Mecenaz. Don Alphons niemal podobną zrobił mi ofiarę. Tem ci gorzej, ował się Scypion, a więc trzeba się przygotować do oglądania nudnej zagrody. Nie koniecznie, odpowiedziałem, nie zapominaj tylko, że ci ją bardzo skromnie opisał i oto w tej chwili sam możesz osądzić trafność mojego obrazu. Zwróć oczy w stronę rzeki Guadalawiar, i uważaj nad jej brzegiem w bliskości tej wioski o dziesięciu dymach, dom z czterema skrzydłami, otóż to mój pałac.

Cóż u kata! zawołał mój sekretarz tonem podziwu, a toć to perła ten dom. Prócz szlachetności, jakiej mu pozór nadają te skrzydła, trzeba przyznać, że jest dobrze zbudowany, w pięknem położeniu, w okolicy wdzięczniejszej od Sewilli samej, choć ją rajem ziemskim zowią. Gdybyśmy nawet sami wybiłrali miejsce naszego pobytu, nie potrafilibyśmy nie gustowniejszego wynaleźć, tak jest zachwycające. Rzeka skrapia je swojemi wodami, gaj gęsty użycza cieniu na przechadzkę wśród upału dziennego. Miła samotność! Ah, mój kochany panie, zdaje się, że tu długo zamieszkamy! Ciesz się mule mocno, żeś zadowolony z naszego schronienia, którego nie znasz jeszcze wszystkich przyjemności.

Tak rozmawiając zbliżyliśmy się do domu, którego bramy rozwarły się skoro Scypion oświadczył, że to jest pan Gil Blas z Santillany, przybywający na objęcie w posiadanie zamku. Na to imię tak szanowne dla tych, którzy je usłyszeli, wpuszczono powóz mój na wielki dziedzińiec, gdzie wystąpiłem z niego, a wsparty z powagą, na ramieniu Scypiona, nadywając się, wszedłem do sali, w której natychmiast zebrało się około osmiu służących. Odezwał się do mnie, że przybywają ze złożeniem holdu jako nowemu panu: że don Cezar i don Alphons de Leyva wybrali ich na moje usługi, jeden w charakterze kuchmistra, drugi pomocnika przy kuchni, inny kuchty, ten tam odzwiernego, a reszta lokaje, z rozkazem, aby żadnych odemnie nie przyjmowali pieniędzy, gdyż obadwa ci panowie, chcą ponosić kosztu mojego gospodarstwa. Kucharz zwany mistrz Joachim, był główną osobą między służącymi i on zabierał głos,

chcąc grać rolę rozkosznego; powiedział mi, że zrobił nie zły zapas wybornych win, a co się tyczy jedzenia, spodziewa się, że człowiek taki jak on, co przez sześć lat był kuchmistrem Jego Excellencey Arcybiskupa Walencyjskiego, potrafi przysparzać przysmaczki mile łechcące moje podniebienie. Idę zaraz, dodał, przyrzadzić panu próbkę mojej sztuki. Przejdź się pan, rzekł, nim przyjdzie godzina obiadowa; zwiedź swój zamek; zobacz czy jest godnym mieszkania Waszój Wielmożności.

Każdy łatwo się domyślił, czym zaniedbał tego przeglądu, a Scypion ciekawszy jeszcze odemule, wodził mnie z pokoju do pokoju. Przebiegliśmy cały dom od góry do dołu, nie uszedł przynajmniej jak się nam zdawało, żaden kącik ciekawości naszej interesowanej, a wszędzie znalazłem sposobność podziwiania dobroci don Cezara i jego syna, jaką dla mnie objawili. Młodzi Inniemi rzeczami uderzyły mnie szczególnie dwa pomieszkania tak pięknie umeblowane, jak tylko można bez przepychu. W jednym były obicia niderlandzkie, łóżko i krzeselka aksamitem pokryte, wszystko bardzo czyste, chociaż pochodziło z czasów, jak Maurowie władali królestwem Walencyi. Sprzęty drugiego pomieszkania były w tymże guście; był tu stary adamaszek genueski żółty, łóżka i krzesła z tężej materii obite franzlą z jedwabiu błękitnego. Wszystkie te sprzęty, w inwentarzu może nie wielkiej ceny, tam wydawały się bardzo kosztowne.

Obejrzawszy dokładnie wszystko, wróciliśmy do sali, w której zastaliśmy stół nakryty na dwie osoby; siedliśmy więc, a w tej chwili podano nam *olla potrida* tak wysmienitą, żeśmy żalowali arcybiskupa Walencyjskiego, iż nie miał już kucharza, który ją przyrzadził. Prawda, że nie zły mieliśmy apetyt, który nam dodawał smaku. Po każdym kąsku, lokaje podawali nam szklenice pełnienteńkie wyborowego wina Manszy. Scypion zachwycał się niem; nie śmiejąc wszakże w przytomności służby objawiać ukontentowania, jakie czuł wewnątrznie, pokazywał je wymownym spojrzeniem, a ja podobnie dawałem poznać moje zadowolenie. Na piecyste młody zając przedziwnej woli, otoczony dwiema łustem przepiórkami, usunął trzęsionkę i zupełnie nas nasycił. Najadłszy się jak wygłodzeni i napłwszy stosownie, wstaliśmy od stołu, by się udać do ogrodu i gdziekolwiek w miejscu chłodnym i miłym, odprawić rozkoszną *siestę*.

Jeżeli sekretarz mój, cieszył się wszystkiem co widział, nie mniej radowany był, zobaczywszy ogród; zdał mu się podobny do eskuryalskiego; nie mógł się nasycić jego widokiem. Prawda, że don Cesar kiedy niekiedy bywając w Lirias miał upodobanie w jego uprawianiu i przyozdabianiu. Wszystkie chodniki płaskiem usypane i drzewami pomarańczowemi wysadzone, wielki zbiornik wody z marmuru białego, pośród którego lew brązowy, wyrzucał strumień znakomity, miła kwiatów barwa, rozmaite owoców, wszystko to zachwycało Scypiona; lecz nadewszystko podobała mu się długa ulica, która ciągle zniżając się, wiodła do mieszkania dzierżawcy, osłonięta zewsząd gęstym liściem. Wychwalając tak miłe schronienie przed skwarem słońca, zatrzymaliśmy się tam, usiedliśmy u stóp wianu rozłożystego, gdzie sen bez trudu opanował dwóch próżniaków po dobrym obiedzie.

We dwie godziny, zerwaliśmy się równemi nogami, na huk kilku strażów karablnowych, które się tak blisko rozległy, żeśmy obadwa zadrżeli. Wstaliśmy co prędzej, a dla wywieżenia się, coby to było, udaliśmy się do mieszkania dzierżawcy. Zastaliśmy ośmiu czy dziesięciu wieśniaków, mieszkańców włoski, którzy zgromadzili się tam, czyścili i przestrzeliwali broń na moje przywitanie, powzławszy wiadomość o moim przybyciu. Znalł mnie po większej części, bo mnie nie raz widzieli w zamku w charakterze intendenta. Zaledwie mnie spostrzegli, wykrzyknęli razem wszyscy: Niech żyje nowy nasz pan! witamy go w zamku Lirias! Późem nabili karabiny i uczcili mnie wystrzałem ogólnym. Przyjąłem to wszystko z największą ile możności uprzejmością, ale nie bez powagi, zdało mi się bowiem, iż nie wypada się zbyt z nimi poufać. Zapewniłem ich o swojej opiece, rzuciłem na zabawę ze dwadzieścia

ludów, co jak myślę, z całego obejścia się z nimi, nie najmniejszą się im podobało. Pozwoliłem im puszczać proch na wiatr, a sam z moim sekretarzem poszedłem w las, po którym chodziliśmy aż do nocy, oglądając z rozkoszą każde drzewo; tak dalece posiadanie włości nabytej bywa dla nas czarujące.

Kucharz, pomocnik jego i kuchta, nie próżnowali przez ten czas; gotowali dla nas ucztę lepszą jeszcze od tej, jakąśmy odprawili. Zdziwiliśmy się niezmiernie wszedłszy do sali, w której obiad jedliśmy, a w której teraz zastaliśmy na stole półmisek z czterema kuropatkami pieczonemi, comber królika z jednej strony, kapłon z sosem z drugiej; na przystawki dali uszy wieprzowe, kury marynowane i krem z czekolady. Spójaliśmy dobrze wino Luceńskie i inne gatunki wyborowe; a poczuwszy, że już więcej pić nie możemy bez uszczerbku zdrowia, zabraliśmy się do spoczynku. Wtedy lokaje wzięwszy świecę, zaprowadzili mnie do najpiękniejszego pokoju, a skoro rozzebrawszy mnie podali mi szlafrok, odprawiłem ich tonem pańskim, odzywając się: Idźcie już, nie potrzebuję was na teraz.

Zatrzymawszy Scypiona by z nim jeszcze pomówić, zaczęliśmy się cieszyć szczęśliwym stanem, w jakim się widzieliśmy. Trudno opisać radość, jaką objawił mój sekretarz. Jakże mój przyjacielu, rzekłem, co myślisz o tém obchodzeniu się z nami na rozkaz panów de Leyva? Dalbóg, odpowiedział, nie podobna żądać lepszego; ja tylko pragnę, żeby to tak długo było. Ale ja tego wcale sobie nie życzę, rzekłem, nie wypada, aby moi dobroczyńcy tyle dla mnie ponosili wydatków; byłoby nadużycie ich wspaniałomyślności. Nadto niedogodnie byłoby mi ze sługami na cudzym mycie; zdawałoby mi się, że nie jestem w swoim domu. Nie przybyłem też tu, aby tak szumnie wieść życie. Co za głupstwo: czyż nam potrzeba tyle sług? Nie, Bertrand, kucharz, kuchcik i jeden lokaj, to aż nadto dosyć. Chociaż mój sekretarz nie gułowałby się żyć ciągle kosztem rządcy Walencyi, nie sprzeciwiał się jednak mojej drażliwości w tym względzie, a stosując się do moich uczuć, pochwalił zmiany, które zaprowadzić chciałem. Na tém stanęło, poczem wyszedł z mojego pokoju i udał się do swojej sypialni.

ROZDZIAŁ IV.

Gil Blas wyjeżdża do Walencyi dla odwiedzenia panów de Leyva.

Położyłem się w łóżko, ale nie mogąc zasnąć, zatopiłem się w myślach. Stała mi przed oczyma przyjaźń, jaką panowie de Leyva odpłacali moje do nich przywiązanie, a przejęty nowemi dowodami, które od nich odebrałem, postanowiłem zaraz nazajutrz udać się do nich, by im oświadczyć moje dzięki. Naprzód już cieszyłem się z oglądania Serafiny, lecz radość ta nie była zupełnie czysta, nie mogłem bez przykrości pomyśleć, że zarazem będę musiał wytrzymać wejrzenie Lorency Sephory, która może przypomniałszy sobie zdarzenie z polickiem, nie będzie bardzo kontenta z mojego widoku. Umysł wreszcie znudzony tylą rozmaitemi wyobrażeniami, uległ. Zasnąłem i nie obudziłem się nazajutrz, aż po wschodzie słońca.

Wnet byłem na nogach, a zajęty ułożoną podróżą, ubrałem się na prędce. Kiedy już kończył strój, sekretarz wszedł do mojego pokoju. Scypionie, rzekłem mu, widziałeś oto człowieka, który się zabiera w podróż do Walencyi; mniemam, iż nie zgauisz mojego zamiaru; nie mogę nadto prędko pozdrowić panów, którym winienem mój los. Każda chwila zwłoki w tym względzie zdałaby się oskarżać mnie o niewdzięczność. Co do ciebie mój przyjacielu, uwalniam cię od towarzyszenia mi; zostań tu w czasie mojej nieobecności; za ośm dni powrócę do ciebie. Jedź panie, odezwał się do mnie, złóż dzięki don Alphonsowi i jego ojcu; zdaje mi się, że są bardzo kłiwi na okazowaną im gorliwość, a bardzo wdzięczni za świadczoną sobie przysługę. Osoby z takim charakterem są tak dalece rzadkie, że nie można ich nigdy nadto szanować. Kazałem zawiadomić Bertranda, aby był gotów do podróży, a gdy on zaprzęgał muły, ja tymczasem piłem czekoladę. Wreszcie wsiadłem do powozu, zaleciwszy ludziom, aby Scypiona uważali jak mnie i rozkazy jego, tak jakby moje spełniali.

W cztery godziny byłem w Walencji. Zajechałem wprost do gubernatora, muły kazałem postawić w stajni jego, a sam udałem się do jego mieszkania, w którym znajdował się i ojciec jego don Cezar. Otworzyłem drzwi bez żadnych korowodów, wszedłem i przystępując do nich rzekłem: służący wchodząc do swoich panów nie każą dawać znać o sobie; otóż jeden z dawnych waszych służalców przychodzi dopełnić swojego obowiązku. To rzekłszy, chciałem upaść im do nóg, lecz mi nie pozwolili i uściłkali mnie obadwa z objawami szczerzego przywiązania. A cóż, kochany Santillano, rzekł mi don Alphons, czyś był w Lirlas dla objęcia w posiadanie twojej włoski? Tak jest panie, odpowiedziałem, i przybyłem prosić cię, abys ją łaskawie pozwolił sobie zwrócić. A to dla czego? zapytał się, czy ma w sobie coś złego, co cię zraziło? Nie, sama w sobie nie ma nic takowego, odpowiedziałem, owszem zachwyca mnie, lecz co mi się w niej nie podoba, to że tam widzę kucharzy arcybiskupich, z liczbą służących trzy razy większą, niżbym potrzebował, którzy po to są jedynie aby cię wyciągali na koszt równie wielki jak nieużyteczny.

Na to don Cesar, gdybyś był przyjął pensją dwóch tysięcy dukatów, którąś ci ofiarowali w Madrycie, byłibyśmy poprzestali na wydanu ci pałacu, tak jak jest, ale wiesz przecie, żeś odmówił, otóż natomiast zdało nam się, że wypada zrobić to, cośmy zrobili. To za nadto, odpowiedziałem dobroć wasza powinna się ograniczyć darowizną włoski, która zupełnie zaspokaja moje żądze. Mamże wszystko powiedzieć, co myślę? odsunąwszy na stronę koszt, jakiego wymaga utrzymanie tylu ludzi, zaręczam wam że oni mnie zawadzają. Słowem, panowie, odbierzcie wasze dobrodziejstwo, albo pozwólcie mi używać według mojej woli. Te wyrazy wyrzekłem z takim zapałem, że ojciec i syn nie myśląc mnie niczem krępować, pozwolili zresztą, abym w zamku gospodarował, jakby mi się podobało.

Dziękowałem im za tę swobodę, bez której nie mogłbym żyć szczęśliwie, kiedy don Alphons przerywając mi mowę, odezwał się: mój kochany Gil Blasie, chcę cię przedstawić kobiecie, która będzie bardzo rada, gdy cię ujrzy. Tak mówiąc, wziął mnie za rękę i poprowadził do pokoju Serafny, która wykrzyknęła z radości, skoro mnie ujrzała. Pani, mówił do niej gubernator, sądzę, że przybycie przyjaciela naszego Santillany do Walencji, jest jej równie jak mnie, nader miłe. O tem, rzekła ona, musi być mocno przekonany, czas nie zatarł w pamięci mojej przysługi, którą mi wyswiadczył; a do tej wdzięczności, którą za to winnam, dodaj jeszcze nowe zobowiązanie za jego wstawienie się za tobą. Oświadczyłem pani gubernatorowej, że aż nadto hojnie zapłacony zostałem za niebezpieczeństwo, na które się narażałem w równi z jej zbawcami, a po tysiącznych grzecznościach z jednej i z drugiej strony, don Alphons wyprowadził mnie z pokoju Serafny. Wróciliśmy do don Cezara, któregośmy zastali z kilką znakomitemi osobami, które na obiad przybyły.

Wszyscy ci panowie skłonili mi się bardzo uprzejmie, tém więcej zaś objawili mi grzeczności, że don Cezar oświadczył im, iż byłem jednym z głównych sekretarzów księcia Lerma. Być może, iż niektórzy z nich wiedzieli, że don Alphons za moim wpływem dostał gubernatorstwo Walencji, bo czegóżby się ludzie nie dowiedzieli. Cóżkolwiekby, przy stole rozmowa jedynie miała na celu nowego kardynała. Jedni z wielkiem mówili o nim uwielbieniem, lub przynajmniej udawali, inni zaś szyderczemi obsypywali go pochwałami. Pomlarkowałem, że tym sposobem starali się, wciągnąć mnie do rozmowy o jego Eminencji, a może spodziewali się, że ich zabawie kosztem jego. Tak przynajmniej wystawiałem sobie, i nie brała mnie wcale pokusa do objawienia moich myśli; powściągnąłem język, a ten mały tryumf nad sobą samym odniesiony, zjednał w umysłach całego towarzystwa wziętość bardzo rozsądnego człowieka.

Biesiadnicy po obiedzie udali się do siebie na siostrę, don Cezar i syn jego tą samą żądzą nagleni, zamknęli się w swoich pokojach.

Ja słysząc nie raz spodziewałem się, że ich zabawie kosztem jego wyszedłem więc z pałacu gubernatorskiego, by się przejść po ulicach. W bramie spotkałem człowieka, który z uszanowaniem

przystąpił do mnie, mówiąc: Pan Santillana pozwoli łaskawie złożyć sobie uszanowanie! Zapytałem się, koby był. Jestem, odpowiedział, szatnym don Cezara, a byłem lokajem wówczas, kiedyś pan był intendentem; regularnie co rano składałem panu moje uszanowanie, a pan byłeś na mnie bardzo łaskawy. Zawiadomiałem pana o wszystkim co się w domu działo. Czy sobie nie przypominasz naprzykład, że raz doniosłem ci, że chirurg ze wsi Leyva, wchodził potajemnie do pokoju pani Lorenca Sephora? O tego wcale nie zapomniałem, rzekłem mu, ale co się tyczy tej ochmistryni, co się też z nią dzieje? Niestety! ta błędna istota, po oddaleniu się pańskim wpadła w słabość i umarła z większym żalem Serafny, niż don Alphonsa, którego zdawała się wcale nie obchodzić jej śmierć.

Szatny don Cezara zawiadomiwszy mnie o smutnym końcu Sefory, przeproszał mnie za chwilowe zatrzymanie, i pozwolił mi iść dalej. Nie mogłem się wstrzymać od westchnięcia, myśląc o tej nieszczęśliwej ochmistryni, a rozrzewniając się nad jej losem, przypisywałem sobie jej nieszczęście, nie myśląc bynajmniej, iż to raczej wrzód, a nie moja figura stała się jej zgubą przyczyną.

Z przyjemnością przypatrywałem się wszystkiemu, co tylko godnie uwagi w tém mieście. Marmurowy pałac arcybiskupi zwrócił moje oczy na siebie, równie jak przepyszny portyk giełdy; lecz wielki gmach, który spostrzegłem, a do którego mnóstwo ludzi wchodziło, obudził moją ciekawość. Zbliżyłem się dla powzięcia wiadomości, coby za powód był zbierania się tam tylu mężczyzn i kobiet, wnet doszedłem, czytając napis złotem literami na czarnej marmurowej tablicy, umieszczonej nade drzwiami: *La posada de los representantes*. Aktorowie zaś na ańszu wymienili, iż tegoż dnia przedstawiać będą po raz pierwszy nową tragedją don Gabriela Triaquero.

ROZDZIAŁ V.

Gil Blas idzie do teatru. Powodzenie sztuki. Usposobienie publiczności Walenycyjskiej.

Zatrzymałem się przez chwilę przed bramą, dla przypatrzenia się osobom wchodzącym. Widziałem ludzi wszelkiego rodzaju. Przechodzili koło mnie panowie przyzwoitej postawy i bogato wystrojeni, obok nich figury nędzne i źle ubrane. Kobiety znakomitego rodu wysiadały z karet, udając się do łóż weześnie zamówionych; awanturnice szły wabić nierozsądnych. Takie zblegowisko widzów rozmaitych stanów obudziło we mnie chętkę pomnożenia ich liczby. Kiedyś się zabierał do wzięcia biletu, nadjechał gubernator z małżonką. Spostrzegli mnie w tłumie, kazali mnie zawołać i wzięli z sobą do łóży, w której zająłem miejsce w tyle, aby tém dogodniej rozmawiać z nim i z nią.

Zastąpiłem salę załoczoną od góry do dołu, parter zapechany, teatr napełniony kawalerami trzech zakonów rycerskich. Otóż to, odezwałem się do don Alphonsa, liczne zebranie. Nie masz się czemu dziwić, odpowiedział, mają przedstawiać tragedją utworu don Gabriela Triaquero, przezwanego poetą modnym. Skoro ańsz teatralny ogłasza nowosć tego autora, całe miasto Walenycy jest w ruchu. Mężczyzn i kobiety o niczem innem nie mówią, tylko o tej sztuce, wszystkie łóże zajęte, a w dniu pierwszego przedstawienia duszą się przy wejściu, chociaż podwajają cenę wszystkich miejsc, wyjąwszy parter, który tak dalece szanują, że nie odważą się psuć mu humoru. Co za szal! odezwałem się do gubernatora. Ta zapalona ciekawość publiczności, ta szalona żądza słyszenia co don Gabriel wydaje nowego, daje mi wysokie pojęcie geniuszu tego poety. Nie tak skoro, odpowiedział don Alphons, trzeba się strzedz uprzedzenia; publiczność niekiedy olśniona bywa sztukami, w których same tylko znajdują się błyskotki, wartość ich poznaje dopiero po wydrukowaniu.

W tém miejscu naszej rozmowy aktorowie wystąpili. Przesłaliśmy mówić, by ich słuchać z uwagą. Oklaski rozległy się od pierwszego wstępu, za każdym wierszem okrzyk podziwu, a w końcu każdego aktu grzmot oklasków, że się aż sala trzęsła. Po skończeniu pokazywano mi autora, który przechodził

się od łoża do łoża, skromnie schylając czoło do laurów, którym panowie i panie gotowali się je uwieńczyć.

Wróciliśmy do pałacu gubernatorskiego, a wkrótce za nami przybyło czterech kawalerów: dwóch starych aktorów szanowanych w swoim powołaniu, i jeden szlachcic madrycki pełen dowcipu i gustu. Wszyscy byli w teatrze. Przy wieczery rozmawiano tylko o sztuce nowej. Panowie, odezwał się kawaler św. Jakóba, co sądzicie o tej sztuce? Nie uderzył was, tak jak mnie? nie jestże to, co to zowią dziełem wykonionem? Myśli szczerne, uczucia tkliwe, wierszowanie męzkie, słowem niczego nie brakuje. Jest to poemat w tonie dobrego towarzystwa. Nie sądzę aby ktoś mógł inne mieć o tém zdanie, mówił kawaler zakonu Alcantara. Ta sztuka pełna jest ustępów, które zdaje się sam Apollo dyktował poecie; sytuacje zaś z nieskończoną sztuką usnute. Odwołuję się do pana, dodał, zwracając mowę do szlachcica kastylskiego; zdaje mi się być znawcą, założyłbym się, że podziela moje zdanie. Nie zakładaj się, panie kawalerze, odpowiedział szlachcic z uśmiechem złościwym. Ja nie z tej parafii, w Madrycie nie tak skorzy jesteśmy w wyrokowaniu. Zamiast oceniać sztukę po pierwszym przedstawieniu, nie ufamy jej pięknościom, póki są w nstach aktorów, choćbyśmy najbardziej sprzyjali, zawieszamy przecież wyrok, póki jej nie przeczytamy, i zaiste nie zawsze nam na papierze sprawia tę rozkosz, jakąśmy czuli widząc ją na scenie.

Ścisłe więc rozberamy poemat, mówił dalej, nim go ocenimy, wziętość autora, choćby też i największa, nie może nas omamić. Kiedy Lope de Vega i Calderon przedstawiali nowości, znajdowali surowych sędziów w swoich wielbielcach, którzy ich dźwignęli na sam szczyt sławy, osądziwszy że są tego godni.

Oh ba, przerwał kawaler św. Jakóba, my nie jesteśmy tak oględni jak panowie Kastyllanie. My z wyrokiem nie czekamy druku sztuki. Na pierwszym zaraz przedstawieniu poznamy jej wartość. Nawet nie konieczne wielkiej uwagi potrzebujemy w jej wysłuchaniu. Dosyć jest, kiedy wiemy, że to jest płód pana don Gabriela, abyśmy byli przekonani, że musi być bez błędu. Dzieła tego poety powinny stanowić epokę odrodzenia dobrego gustu. Lope i Calderon to byli dwaj uczniowie w porównaniu z tym wielkim mistrzem teatr. Szlachcic, który Lopeza i Calderona uważał za Sofokla i Eurypidesa hiszpańskiego, obraził się tą płochą mową. Uniósł się, i w żarliwości swojej zawołał: Co za świętokradztwo dramatyczne! Ponieważ zmuszacie mnie panowie do wnioskania o sztuce po pierwszym jej przedstawieniu, otóż powiadam wam, że wcale nie-kontent z trajedyi nowej waszego don Gabriela. Zamiast uważać ją za wzór, ja w niej widzę mnóstwo usterków. Jestto poemat nadziany błyskotkami, bez zalet gruntownych. Trzy czwarte wierszy albo są złe, albo źle rymowane, charaktery nie dobrze nakreślone, albo nieutrzymane należyście, a myśli często ciemne.

Dwaj aktorowie, którzy siedzieli przy stole i przez skromność równie chwalebna jak rzadką, nie odzywali się wcale, by ich nie posądzono o zazdrość, nie mogli się wstrzymać, aby oczyma przynajmniej nie okazać zgody ze zdaniem szlachcica: to mnie naprowadziło na myśl, że ich milczenie było raczej skutkiem wyrachowania, ale nie doskonałości dzieła. Kawalerowie nie przestawali uwielbiać don Gabryela, umieścili go w rzędzie bogów. Ta śmieszna apoteoza, to ślepe bałwochwalstwo zniecierpliwilo szlachcica Kastylskiego, który wznosząc ręce ku niebu, zawołał jakby w zachwyceniu: o bozki Lope de Vega, rzadki i wzniosły geniuszu, których niezmierny zostawił przestwór między sobą i wszystkimi don Gabryelami, którzy pokuszają się o dośięgnięcie ciebie! I ty słodki Calderonie, którego miły wdzięk niepodobny do naśladowania, nie troszczcie się obadwa, aby ołtarze wasze potrafił zwałć ten nowy wychowanec muz! Dosyć będzie dla niego szczęścia jeżeli potomność, której będziecie rozkoszają, tak jak jesteście naszą, napomknie przynajmniej o nim.

Ta zabawna apostrofa, której nikt się nie spodziewał, rozśmieszyła całe towarzystwo, które podniosło się od stołu w złotym humorze i rozeszło. Mnie z rozkazu don Alphonsa zapro-

wadzono do przygotowanego pokoju. Znalazłem tam wyborne łożko, w którym moja wielmożność ległszy, zasnęła, oplakując równie jak szlachcic Kastylski, niesprawiedliwość przez tych nienków wyrządzoną Lopezowi i Calderonowi.

ROZDZIAŁ VI.

Gil Blas przechodząc się po ulicy spotyka zakonnika, którego poznaje, co to był za jeden?

Ponieważ dnia poprzedzającego nie mogłem obejrzyć całego miasta, wstałem więc rano nazajutrz i wyszedłem w zamiarze przejścia się jeszcze. Spozstrzegłem na ulicy Kartuza, który zapewne zajmował się interesami swojego zakonu. Szedł z oczami spuszczone i miał postawę tak nabożną, że wszyscy nań oczy zwracali. Przechodził tuż koło mnie, i zdało mi się, że w osobie jego widziałem don Raphaela, tego franta, który tak zaszczytne zajmuje miejsce w pierwszych częściach mojej historyi.

Tak mnie uderzyło to spotkanie, że zamiast zbliżyć się zaraz do zakonnika, stałem jak wryty przez kilka chwil, a on tym sposobem miał czas oddać mi się. Przebieg! pomyśliłem, możnaż spotkać dwie twarze tak do siebie podobne? Cóż mam o tym myśleć? Mamże wterzyć, że to don Raphael? czy podobna przypuścić, aby to nie był on? Ciekawość moja zbyt była zaostrożona, abym miał na tém poprzestać. Kazałem sobie wskazać drogę do klasztoru kartuzów, udałem się tam niezwołanie w nadziei widzenia mnicha powracającego, postanowiwszy zatrzymać go dla rozmówienia się. Nie potrzebowiałem czekać, aby wpasć na tor: przybywszy do klasztoru, drugą twarz znaną mi zamieniła w pewność dotychczasowe powątpiewanie: w bracte odzwiernym poznałem Ambrożego de Lamela, mojego niegdys służę. Łatwo pojmiecie, iż to się stało nie bez wielkiego zadziwienia.

Zdumienie nasze z powodu tego spotkania było z obudwóch stron jednakowe. Nie jestżeto złudzenie? rzekłem, wltając go. Czyż w istocie jest jeden z przyjaciół moich, co się w mym oczom przedstawia? Zrazu mnie nie poznał, albo też może udał, że mnie nie poznaje, co jest podobniejsze do prawdy; lecz zastanowiwszy się, że zmyślanie jest bezkorzystne, przybrał minę człowieka, który nagle przywodzi sobie na pamięć rzecz zapomniana. Ah, panie Gil Blas, zawołał, przepraszam, że cię nie poznał. Od czasu jak żyję w tém świętym miejscu i odkąd jedynie zajmuję się pełnieniem obowiązków reguły zakonu wskazanych, traćę z wolną pamięć tego, com widział na świecie; wyobrażenia światowe zacierają się w moim umyśle.

Prawdziwą czuję radość, odezwałem się, że po dziesięciu latach spotykam cię w sukni tak szanownej. A ja, odpowiedział, wstydzę się pokazywać w niej człowiekowi, co był świadkiem występnego życia, jakie ja wiodłem. Ta suknia bezustannie mi to wyrzuca. Niestety! aby być godnym jej noszenia, należało ciągle niewolnie prowadzić życie. Taką mową uradowany, odpowiedziałem, kochany braciszku, widoczna jest rzecz, że palec wszechmocnego dotknął cię. Powtarzam ci, że się cieszę niesłychanie z tego i pragnę wiedzieć, jakim cudownym sposobem dostaliście się na dobrą drogę ty i don Raphael; ponieważ jestem przekonany, że to on jest, któremu dziś spotkał w mieście ubranego w suknię kartuza. Żałowałem, że go nie zatrzymał na ulicy dla pomówienia z nim i dla tego przybyłem tu, w zamiarze czekać na jego powrót, aby naprawić pierwsze uchybienie.

Nie zawiodłeś się, rzekł Lamela, istotnie jest to Raphael, któregoś widział; a co do szczegółów, których pragniesz, oto są: Rozstawszy się z tobą niedaleko Segorbil, ja z synem Lucindy skierowaliśmy się do Walencji, w zamiarze wykonania jakiejś sztuki naszego rzemiosła. Traf mić chciał, żeśmy jednego dnia wstąpili do kościoła kartuzów, w chwili, gdy zakonnicy śpiewali w chórze. Zaczęliśmy się im przypatrywać, i przekonaliśmy się, że przewrotni chcą nie chcąc, muszą uczcić cnotę. Podziwialiśmy żarliwość, z jaką modlili się do Boga, ich postawę umartwioną i daleką od rozkoszy światowych, równie jak wypogodzone ich twarze, wydające tak wyraźnie spokojność ich sumienia.

Tak rozważając, wpadliśmy w głębokie zadumanie, które się stało zbawieniem dla nas; porównywaliśmy w myśli nasze obyczaje z postępowaniem tych czcigodnych zakonników, a dostrzeżona w nich różnica napętniła nas niespokojnością i pomieszanem. Lamelo, odezwał się do mnie don Raphael wyszedłszy z kościoła, jakie na tobie zrobiło wrażenie i cośmy widzieli? bo ja nie mogę ci zafalé, że umysł mój jest niespokojny. Jakieś niepójęte wzruszenie miota mną i po raz pierwszy w życiu wyrzucam sobie niegodziwość życia mego. Moje usposobienie także samo, odpowiedziałem; przewrotne czyny, które spełniłem powstają przeciw mnie; a serce moje dotąd nie znające żadnego wyrzutu, rozdziera ją teraz zgryzoty sumienia. Ah! kochany Ambroży, rzekł znowu mój towarzysz, my jesteśmy owieczki zbłąkane, które ojciec niebieski chce napowrót do owczarni sprowadzić! On to, moje dziecło, on sam nas wzywa. Nie zatykamys uszu na głos jego: porzućmy szalberstwo, nieciałajmy od rozpusty w której grzęźniemy i zaraz od dziś zaczniemy pracować nad wielkiem dziełem naszego zbawienia; zostanmy na resztę życia naszego w tym klasztorze i poświęćmy je na pokutę.

Pochwaliłem uczucia don Raphaela, mówił dalej braciшек Ambroży i postanowiliśmy zostać kartuzami. Żeby to wykonać, udaliśmy się do ojca przeora, a ten dowiedziawszy się o naszym zamiarze, dla próby naszego powołania, wskazał nam celę i przez rok cały obchodził się z nami jak z zakonnikami. Stosowaliśmy się do reguły zakonu z taką ścisłością i wytrwałością, iż nas przyjęto w poczet nowicyuszów. Byliśmy tak zadowoleni z naszego stanu, tak pełni gorliwości, żeśmy z odważą ponosili przykre trudy nowicyatu. Następnie złożyliśmy szluby zakonne, poczem don Raphael który się zdał obdarzonym talentem do administracji, wybrany został na pomocnika starego ojca, podówczas prokuratora zakonu. Syn Lucyndy wewnątrznie jedynie rozmyślaniami zajęty, wolałby był raczej cały czas poświęcić na modlitwę, lecz zmuszony był złożyć swój gust na ofiarę potrzeby, jakiej po nim wymagano. Nabył tak dokładnej znajomości interesów zakonu, iż go uznano za zdolnego do zastąpienia starego prokuratora, który we trzy lata później umarł. Don Raphael w tej chwili zajmuje ten urząd i trzeba przyznać, że obowiązki jego spełnia z zadowoleniem wszystkich ojców, którzy uwielbiają jego postępowanie w zarządzie doczesności. Lecz co jest bardziej jeszcze zdumiewającego, że mimo trudy, jakimi go obarczono w zbieraniu naszych dochodów, zdaje się być jedynie zajęty samą wiecznością. Jeżeli sprawy zakonu pozwolą mu chwilę swobodną, natychmiast zatapia się w głębokich rozmyślaniami. Słowem, jest to najlepszy człowiek z całego klasztoru.

Tu przerwałem mowę Lamelli wybuchem radości, którą objawiłem na widok nadchodzącego don Raphaela. Otóż jest, zawołałem, ten świątobliwy prokurator, na którego niecierpliwie czekałem! Pobiegłem ku niemu i uściskałem go serdecznie. Chętnie to przyjął i nie dziwił się bynajmniej, że mnie spotkał, odezwał się z całą łagodnością: dzięki Bogu, panie Santillano, dzięki Bogu, że mam przyjemność widzenia ciebie! Zaisstę, rzekłem, kochany Raphaelu, cieszę się nieskończenie twoją szczęściem: brat Ambroży opowiedział mi całą historią waszego nawrócenia, słuchołem go z największą pociechą. Cóż to za korzyść dla was obudów moich przyjaciół, że możecie sobie pochlebiać, iż należycie do małej liczby wybranych, mających używać wiecznej szczęśliwości.

Dwaj nędznicy, tacy jak my, odpowiedział syn Lucyndy, tonem wielką pokorę okazującym, nie powinni łatwo cieszyć się taką nadzieją; ale skrusza grzeszników dostępuje łaski wszechmocnego ojca miłosierdzia. A ty, panie Gil Blas, czy nie postarasz się, abyś zasłużył na odpuszczenie obrazu bożkiej, której się dopuściłeś? Cóż cię przywiodło do Walencji? Czybyś nieszczęściem nie wdawał się w zgubne zabieg? Nie, dzięki Bogu, odpowiedziałem, od chwili jak porzuciłem wielki świat, prowadzę życie uczciwe; to na wsi, którą mam o kilka mil od tego miasta, używam wszelkich przyjemności wiejskich;

to znowu w tém mieście bawię się z gubernatorem, który jest moim przyjacielem, a którego obadwa dobrze znacie.

Opowiedziałem im historią don Alphonsa de Leyva. Słuchali bacznie, a gdy namienił, że z woli tego pana oddałem Samuelowi Simon skradzione mu przez nas trzy tysiące dukatów, Lamela przerwał mi zwracając mowę do Raphaela: ojcie Hilary, mówił, tym sposobem, ten przezorny kupiec nie powinien się skarżyć na kradzież, która mu zwróconą została z lichwą, a my obadwa możemy mieć sumienie spokojne pod tym względem. W rzeczy samej, odezwał się świątobliwy prokurator, brat Ambroży i ja, nimeśmy weszli do klasztoru, zwróciłłmy Samuelowi Simon potajemnie tysiąc pięćset dukatów, za pośrednictwem uczciwego człowieka, który się podjął tego trudu, udał się do Xelva dla dopełnienia zwrotu; tém gorzej dla Samuela, kiedy śmiał odebrać to, będąc zupełnie wynagrodzony przez pana Santillanę. Ależ zapytałem się, czy wasze pieniądze rzetelnie mu oddane zostały? Bez wątpienia, zawołał don Raphael, zaręczam za pewnością tego człowieka, tak jak za swoją własną. I ja także ręczyłbym, dodał Lamela; jest to świątobliwy człowiek, przywykły do podobnego rodzaju zleceń; a który za powierzone mu składy miał dwa, czy trzy processa, które wygrał wraz z kosztami. Oh! jeżeli tak, niema wątpliwości, rzekłem, że zwrot dokonany został ze ścisłą rzetelnością.

Jeszcześmy przez niejaki czas rozmawiali; wreszcie rozstałłmy się, oni zachęcali mnie, abym bezustannie miał przed oczyma bożajz bożką, a ja polecając się ich pobożnym modłom, pobiegłem co prędzej do don Alphonsa. Nie zgadłbyś nigdy, rzekłem, z kim tak długą miałem rozmowę. Pożegnałem w tej chwili dwóch szanownych kartuzów dobrze ci znanych: jeden się zowie ojciec Hilary, a drugi brat Ambroży. Mylisz się, odpowiedział don Alphons, nie znam żadnego kartuza. Przepraszam, rzekłem, widziałeś w Xelva brata Ambrożego, kommissarza św. inkwizycyi, a ojca Hilarego, pisarza. O nieba! zawołał zdziwiony gubernator, czyż może być aby Raphael i Lamela zostali kartuzami? Tak jest w istocie, odpowiedziałem, już kilka lat temu, jak złożyli szluby zakonne. Pierwszy jest prokuratorem klasztoru, a drugi furtyanem. Jeden jest panem kassy, a drugi drzwi klasztornych.

Syn don Cezara zamyślił się przez chwilę, a potem kłwając głową, odezwał się: pan kommissarz inkwizycyi i jego pisarz zdaje mi się, zakrawają tu na nowe figle. Może być, rzekłem, ale ja, com z nimi rozmawiał, przyznam się, że o nich korzystniejszą mam opinią. Prawda, że trudno zajrzeć do głębi serca; ale według wszelkiego podobieństwa, są to dwaj oszusty nawrócone. A dla czegoż nie, odpowiedział don Alphons: są rozpustnicy, którzy gorsząc świat swoją rozwiązłością, zamykają się w końcu po klasztorach, by za to ostrą odbyć pokutę: życzyłbym, aby dwaj nasi zakonnicy należeli do tego rzędu.

A dla czegożby, rzekłem, nie mieli należyc? Z dobrej woli wstąpił do klasztoru, i już dość długo żyją, jako przykładni zakonnicy. Mów co chcesz, odpowiedział gubernator, nie podobna mi się, że kassa klasztorna jest w ręku tego ojca Hilarego, któremu ufać nie mogę. Kiedy wspomnę sobie, te piękne powiastki, które nam prawil, lękam się o kassę kartuzów. Chcę wlerzyć, jak ty, że przyjął habit w dobrej wierze, ale widok złota, może obudzić jego chciwość. Nie trzeba wpuszczać do piwnicy pijaka, który się wyrzekł swojego nałogu.

Nieufność don Alphonsa w kilka dni później zupełnie usprawiedliwioną została: ojciec prokurator i brat furtyan zniknęli wraz z kassą. Ta nowina wnet po całym mieście rozeszła się i uderzyła nie jednego. Ja z gubernatorem ubolewaliśmy nad kartuzami; nie chwalać się, żeśmy znali dwóch przeniawierców.

ROZDZIAŁ VII.

Gil Blas wraca do Lirias: przyjemna wiadomość, którą mu Scypion zwiastuje.

Ośm dni przepędziłem w Walencji, żyjąc jak hrabia lub markiz, widowiska, bale, koncerty, uczyty, rozmowa z kobietami, wszelkie z resztą zabawy nastęrczali mi pan gubernator z panią gubernatorową, którym znowu z swojej strony tyle okazy-

wałem grzeczności, iż z żalem mnie puszczał. Piérwój nawet zobowiązał mnie, abym się podzielał między nich i moją samotność. Stańto, że zimę przepędzę w Walencji, a lato w moim zamku. Po takowej umowie dobroczyńcy moi pozwolili mi, abym się udał korzystać z ich dobrodziejstwa. Puściłem się więc w drogę do Lirias, bardzo kontent z mojej podróży.

Scypion z utęsknieniem na mój powrót oczekujący, cieszył się niewymownie ujrawszy mnie; radość jego podwoiłem jeszcze, opowiedziawszy mu szczerze, co mi się zdarzyło. A ty, mój przyjacielu odezwałem się do niego potem, jakżeś używał czasu mojej nieobecności? Bawiłeś się dobrze? Tak dobrze, jak tylko może służyć dla którego nie masz nic miłszego nad obecność swojego pana. Przechodziłem mi wszędy i wzdłuż po naszym państwie; raz siadałem nad brzegiem strumienia w głębi naszego lasu, znajdując przyjemność w przypatrywaniu się kryształowym jego wodom, które są tak czyste, jak świętego źródła, co swoim szmerem napełniał rozległe lasy Albunea; drugi raz rozciągnięty u stóp drzewa, słuchałem śpiewu słowików. Zresztą polowałem, ryby łowiłem; a co mi więcej jeszcze przyjemności sprawiało nad wszystkie te zabawki, czytałem kilka ksiązek równie pożytecznych jak bawiących.

Przerwałem szybko mojemu sekretarzowi, pytając się z kądby dostał tych ksiązek. Znalazłem je, powiedział mi, w pięknej bibliotece, jaka jest w zamku, a którą mi mistrz Joachim pokazał. A gdzież ona może być, rzekłem? A przecież w dniu naszego przybycia zwiedziliśmy cały pałac. Tak się panu zdaje, odpowiedział, a tym czasem masz wiedzieć, żeśmy przebiegli tylko trzy skrzydła jego, a o czwartem zapomnieliśmy. Tam właśnie don Cezar przybywszy do Lirias, część dnia przepędzał na czytaniu. W tej bibliotece są wyborne dzieła, które ci zostawiono, jako środek jedyny przeciw nudom, kiedy ogród pozbawiony kwiatów, a las liści nie będą miały czem zająć naszej uwagi. Panowie de Leyva nic nie zrobili przez połowę, pamiętali oni zarówno o posiłku dla duszy i dla ciała.

Wiadomość ta szczerze mnie ucieszyła. Kazałem się zaprowadzić do tego czwartego skrzydła pałacu, który miły przedstawił mi widok. Ujrzałem pokój, w którym postanowiłem natychmiast założyć swoje mieszkanie, tak jak był mieszkaniem don Cezara. Łóżko tego pana stało tam jeszcze ze wszystkimi sprzętami, obicia przedstawiające porwanie Sabinek przez Rzymian. Z tego pokoju przeszedłem do gabinetu obstawionego do koła szafami pełnymi ksiązek, nad nimi zaś portrety wszystkich królów. Z okna uderzał widok prześlicznej okolicy, przy niem zaś stało biuro hebanowe przed sofą, czarnym safranem obitą. Całą atoli uwagę zwróciłem na bibliotekę. Składała się ona z dzieł filozoficznych, historycznych, poetycznych i mnóstwa romansów rycerskich. Wniósłem ztąd, że don Cezar lubił tego rodzaju książki, ponieważ tak piękny zapas ich zebrał. Przyznam się choć ze wstydem, że i ja nie czułem odrazy od nich, mimo niedorzeczności jakimi są przepełnione; czy dla tego, że wówczas byłem czytelnikiem niezdolnym do głębszego poglądu, czy też że dziwy zyskują pobłażanie Hiszpana. Muszę atoli i to powiedzieć na moje usprawiedliwienie, że większą przyjemność znajdowałem w księgach moralnych, byle nie posępnych; Lucyan, Horacy, Erazm, stał się moimi ulubieńcami.

Mój przyjacielu, odezwałem się do Scypiona, skończywszy przegląd biblioteki, otóż mamy wyborną rozrywkę, ale przedewszystkiem mamy co innego do roboty; trzeba nam służbę lnaczej urządzić. Otóż właśnie, rzekł, tego trudu chcą panu oszczędzić. W czasie twojej nieobecności, śledziłem bacznie twoich ludzi i śmiało pochwilić się mogę, że ich znam dobrze. Zaczniemy od mistrza Joachima; uważam go za doskonałego oszusta i nie wątpię bynajmniej, że musiał być wypędzony z arcybiskupiego pałacu za omyłki arytmetyczne w rachunkach wydatków. Lecz wypada go zatrzymać, a to z dwóch powodów: naprzód, że jest prawdziwy kuchmistrz, a powtóre, ja nad nim czuwać będę; dam oko na wszystkie jego czynności, a musi być niesłychanie przebiegłym, jeżeli potrafił mnie wywieść w pole. Wczoraj powiedziałem mu, że pan masz zamiar

odprawić trzy czwarte służyących i spostrzegłem, że mu się przykro zrobiło; oświadczył mi nawet, że czując przyjemność w służeniu panu, wolałby poprzestać na połowie zasług, jakie dziś pobiera, aby tylko nie opuszczać pana, co mnie naprowadza na myśl, że musi mieć w tej wsi jaką kochankę, od którejby się nie rad oddał. Pomocnik w kuchni, to pijak wietrutny; odźwierny grublijanin, którego nie potrzebujemy, równie jak strzelca. Ja doskonale zastąpię miejsce tego ostatniego, jak to zaraz jutro pokażę, ponieważ mamy fluty, proch i ołów. Pomiędzy lokajami jest jeden Aragończyk, który się zdaje dobry chłopak. Tego zatrzymamy; wszyscy zresztą, są nic nie warci, których nie radziłbym zatrzymywać, choćby nawet stu służyących trzeba było.

Namyśliwszy się dobrze, postanowiliśmy zatrzymać kucharza, kuchtę i Aragończyka, reszcie zaś grzecznie podziękować; co się tegoż samego dnia wykonało za kilka luidorów, z mojej kassy przez Scypiona zrzecznie rozdanych. Po dokonaniu takiej przemiany, zaprowadziliśmy porządek w domu, wskazaliśmy każdemu służącemu jego obowiązek i zaczęliśmy życie



Wjazd Wice króla do Saragossy.

prowadzić o własnym koszele. Ja byłbym chętnie poprzestał na skromnym stole, ale mój sekretarz lubił przysmaczki i dobre kąski, nie chciał więc aby umiejtność mistrza Joachima zalegała pole. Tak doskonale potrafił kierować wszystkiem, że nasze obiady i wieczerze, były istnemi pasibrzuchów ucztami.

ROZDZIAŁ VIII.

Miłostki Gil Blasa z piękną Antonią.

We dwa dni po moim powrocie z Walencji, Bazyli, mój dzierżawca, przybył do mnie rano, prosząc o pozwolenie przedstawienia mi swojej córki Antonii, która pragnie mieć zaszczyt, jak mówił, powitać nowego dziedzica. Oświadczyłem mu, iż to mi sprawi wielką przyjemność. Wyszedł więc i wkrótce powrócił ze swoją piękną Antonią. Mogę śmiało mówić to o dziewicy szesnaście do osmnastu lat mieć mogącą, której regularne rysy zdobiła najdelikatniejsza pięć i najpiękniejsze w świecie oczy. Ubrana była w suknię z szarzy, ale zgrabna kibić, postawa wspaniała i wdzięk nie zawsze młodości towarzyszące, podwyższały skromność jej ubioru. Nie miała żadnego stroju na głowie, włosy tylko bukietem kwiatów związała na wzór Spartanek.

Kłędym ją ujrzał wchodzącą do mojego pokoju, piękność takie jej zrobiła wrażenie na mnie, jak niegdyś wdzięk Ange-

liki na rycerzach Karola W. Zamiast przyjąć ją z przyzwolłą grzecznością, powiedziéć jéj kilka słów pochlebnych, zamiast powinszować ojcu tak nadobnéj córy, ja w zadumieniu stanąłem zmieszany, osłupiały, słowa wyrzec nie mogłem. Scypton spostrzegłszy mój stan, zabrał głos za mnie i wyręczył mnie w pochwałach, które mnie należało prawić. Jéj zaś nie uderzyła wcale moja figura w szlafroku i czapeczce rannéj; skłoniła się z największą przyzwolnością, powiedziała kilka wyrazów uprzejmych, które mnie do reszty zaczarowały, choć były zupełnie pospolite. Tymczasem gdy mój sekretarz, Bazyl i jego córka, zdobywali się nawzajem na grzeczność, ja przyszedłem do siebie i jakby dla naprawy głupowatego milczenia, z jednéj ostateczności wpadłem w drugą. Zacząłem się rozszerzać z mową zalotną, a to z takim zapalem, że to zatrwożyło Bazylego, który biorąc mnie za człowieka, gotowego użyć wszelkich środków dla uwiedzenia Antonii, szybko opuścił mój pokój, z postanowieniem może usunęła jéj z przed moich oczu.

Scypton zostawszy sam z mną, odezwał się z uśmiechem: Panie de Santillana, oto znowu lekarstwo przeciw nudom! Nie wiedziałem, że twój dzierżawca ma córkę tak piękną, nie widziałem jéj dotąd, a przecież dwa razy byłem u niego. Widać, że ją troskliwie ukrywa i dobrze robi. Dalibóg, to powabna dziewczina! Ale zdaje mi się, że ci tego nie potrzeba powtarzać, z pierwszego wejrzenia zajęła cię, jak to widziałem. Nie przeczę, odpowiedziałem. Ah mój kochany, zdało mi się że widzę, istotę nadziemską, w jednéj chwili wznieciła we mnie zapal miłosny; piorun nie jest tak nagłym jak pocisk, który ona utopiła w mém sercu.

Zachwycasz mnie, odezwał się mój sekretarz, oświadczaając żeś się przecież raz zakochał. Brakło ci kochanki do zupełnego szczęścia w twojéj samotności. Dzięki Bogu, teraz masz wszystkie dogodności. Wiém, że nie będzie bardzo łatwo uspić czujność Bazylego, ale to moja rzecz, i zdaje mi się, że nim trzy dni minie, będziesz miał tajemną schadzki z Antonią. Panie Scyptonie, rzekłem nato, możeby nie źle było, żebyś w tym względzie nie dotrzymał słowa, chociaż ci nie zaprzeczam talentu do miłosnych układów; ale na teraz nie życzę sobie doświadczać go. Nie chcę wystawiać na próbę cnoty téj dziewczyny, która zdaje mi się, na inne wcale z mojej strony zasługuje uczucia. Tak więc zamiast pomagać mi do jéj hańby, chciałbym użyć twojego pośrednictwa do jéj zaślubienia, byleby jéj serce nie było już przez kogo innego zajęte. Nie spodziewałem się wcale, mówił sekretarz, abyś tak szybko powziął zamiar żenienia się. Wszystkie panowie wiejscy na twojém miejscu nie byłiby tak skrupulatni, a zapewne nie pomyśliłby o uczuciach prawych, chyba wtedy, gdyby im się nieprawe nie powiodły. Zresztą, dodał, nie myśl, abym miał potępiać twoją miłość; przeciwnie, chwaleb ją bardzo. Córka twojego dzierżawcy, godna jest zaszczytu, który dla niéj gotujesz, jeżeli może ci ofiarować serce czyste i czule na twoje względy. Lecz o tém ja jeszcze dziś się dowiem z rozmowy z ojcem, a może i z nią samą.

Mój powiernik był bardzo ścisły w dopełnianiu swolch obowiązków. Udał się cichaczem do Bazylego, a wieczór przybył do mojego gabinetu, gdzie czekałem na niego z niecierpliwością i bojaźnią. Miał minę wesołą, com za dobrą przyjął wroźbę. Jeżeli mam wierzyć, odezwałem się do niego, twojéj uśmiechającej się twarzy, tedy przychodzisz zwiastować mi zapewne, że stanę u kresu moich życzeń. Tak jest, kochany panie, wszystko ci się uśmiecha. Mówiłem z Bazylim i jego córką, objawiłem im twoje zamiary. Ojciec jest zachwycony, że pragniesz zostać jego zięciem, a mogę ci zaręczyć, żeś się podobał Antonii. O Boże! przerwałem w radosnym uniesieniu, młajżebym szczęście podobać się téj lubéj istocie? Bez wątplenia, rzekł, już cię kocha. Tego wyznania wprawdzie nie słyszałem z jéj ust, ale wnoszę z jéj wesołej miny, skoro usłyszała o twoim zamiarze. Jednakże dodać muszę, masz spóźalotnika. Spóźalotnika! zawołałem drżący. Niech cię to wcale nie trwoży, ten spóźalotnik nie odbierze ci serca twojéj lubéj; jest to mistrz Joachim, twój kucharz. Ah! wisus, zawołałem, parsknąwszy

śmłéchem, otóż to powód dla którego nie chciał opuścić mojej służby. Tak jest w istocie, odpowiedział Scypton, niedawno prosił o rękę Antonii, lecz mu grzecznie odmówiono. Nim lepszą dasz radę, rzekłem, jaby mniemał, że możeby wypadło się pozbyć tego hultaja, pierwéj nim się dowię, że ja myślę zaślubić córkę Bazylego; kucharz, jak wiesz, jest zawsze niebezpieczny spóźalotnik. Bardzo słusznie, odpowiedział sekretarz, dla ostrożności trzeba oczyścić naszą służbę; jutro rano odprawię go, nim się zabierze do roboty, a wtedy nie będziesz miał powodu obawiać się, ani jego przypraw, ani jego miłości. Jednakże trochę mi nie w smak utrata tak wybornego kucharza, ale ponoszę w ofierze mój apetyt, dla twojego bezpieczeństwa. Nie masz czego żałować, rzekłem, przecież tę stratę łatwo wynagrodzić; sprowadzę z Walencji równie dobrego kucharza. W rzeczy samej, napisałem zaraz do don Alphonsa, donosząc mu, że potrzebuję kucharza i zaraz nazajutrz mi przysłał.

Chociaż mój sekretarz gorliwy, zapewnił mnie, że Antonia w głębi swojej duszy cieszyła się zajęciem serca swojego dziecka, nie śmiałem przecież zupełnie ufać jego słowom. Obawiałem się, by go nie omamiły fałszywe pozory. Dla zapewnienia się więc, postanowiłem sam mówić z piękną Antonią. W tym celu udałem się do Bazylego, któremu potwierdziłem co mój posłanec już mu powiedział. Ten szanowny rolnik, człowiek prosty i otwarty, wysłuchawszy mnie, oświadczył, że z największą ochotą daje mi córkę; ale, dodał, nie sądzię, iż to czynię z przyczyny twojego tytułu dziedzica wsi; gdybyś nie był jeszcze, tylko intendentem don Cezara i don Alphonsa, przentósłbym cię nad wszystkich innych kochanków, którzyby się zdarzyć mogli, zawsze czułem jakieś przywiązanie do ciebie; nad tém tylko ubolewam, że Antonia nie może ci wnieść wielkiego posagu. Ja żadnego nie żądam rzekłem, osoba jéj jest dla mnie jedynym skarbem, którego pragnę. Najniższy sługa pański, zawołał Bazyl, ja wcale co innego rachuję; przecięz ja nie żebrak, żeby w ten sposób wydawał moją córkę. Bazyl de Buenotriego, jest dzięki Bogu w stanie wyposażenia jéj, chcę, żeby ci wyprawiła wieczercę, skoro jéj dasz obiad. Słowem, dochód tego zamku, wynosi pięćset dukatów, ja go chcę podwyższyć do tysiąca, ze względu na to małżeństwo.

Przystaję na wszystko, co ci się podoba, mój kochany Bazyl, odpowiedziałem, nie będziemy wytaczali sporu o czynsze. Obadwa się zgadzamy, idzie teraz jedynie o przyzwolenie twojéj córki. Masz moje, rzekł, czyż to nie dosyć? Nie ze wszystkim, odpowiedziałem; jeżeli zezwolenie twoje jest konieczne, i jéj także potrzebne. Jéj zezwolenie zależy od mojego, mówił Bazyl, niechoby tylko odważyła się fochy stroić w mojej obecności! Antonia, rzekłem na to, podległa woli ojca, będzie ci ślepo posłuszna, ale nie wiém, czy w tym razie zrobi to bez wstrętu, jeżeliby zaś miała jakakolwiek odrazę, nie darowałbym sobie nigdy, zostawszy sprawcą jéj nieszczęścia; zresztą nie dosyć, że ty mi ofiarujesz jéj rękę, trzeba żeby i ona podpisała tę ofiarę. Ej, co tam! dodał, ja wcale nie rozumiém téj szlozofii; pomów sam z Antonią, a zobaczysz, jeżeli się mylę, że pragnie być twoją żoną. To mówiąc, zawołał swojéj córki i na moment zostawił mnie samego z nią.

Korzystając z tak drogiego czasu, przystąpiłem wprost do rzeczy. Nadobna Antonio, rzekłem jéj, wyrokuj o twoim losie. Chociaż mam zezwolenie twojego ojca, nie sądzę, abym na téj zasadzie chciał obrazić twoje uczucia. Jakkolwiek posiadanie ręki twojéj jest zachwycające, jednakże ja gotów jestem rzec się, skoro mi powiesz, że je winien będę samemu posłuszeństwu. Tego ja wcale nie powiém, rzekła Antonia cokolwiek zarumieniona; twoje oświadczenie jest mi nadto miłe, aby mi młajżę jakąś przykrość zrządzać, kontenta z wyboru ojca, nie mam powodu szemrać na niego. Ja nie wiém, dodała, czy to dobrze, czy źle, że ci tak mówię, lecz gdybyś mi się nie podobał, otwarcie bym to wyznała; dla czegóż nie mam i przeciwnego uczucia z równą objawić swobodą.

Na te słowa, których nie mogłem słuchać bez zachwycenia, zgłębłem kolano przed Antonią i zbytkiem radości uniesiony, wzięłem jéj piękną rękę całując czule, rzekłem: Droga Antonio,

twoja otwartość cieszy mnie, oby nigdy żaden przymus sercem twojem nie władał; mówisz do swojego męża, niech dusza twoja objawia się zupełnie przed nim. Mogę więc pochlebiać sobie, że nie bez przyjemności widzieliście mnie będąc łącącego swoje losy z twojemi. Bazyl wchodząc w tym momencie, przerwał mi dalszą mowę. Pragnąc wiedzieć, co mi odpowiedziała córka jego i gotów zgromić ją, gdyby mi najmniejszy wstręt objawiła, odezwał się: No jakże, jesteście kontent z Antonii? Jestem tak zadowolony, odpowiedziałem, że idę natychmiast zająć się przygotowaniem do godów małżeńskich. To rzekłszy, opuściłem ojca i córkę, aby się naradzić z moim sekretarzem.

ROZDZIAŁ IX.

Gody weselne Gil Blasa z piękną Antonią; jak się odbyły i kto się na nich znajdował.

Lubo nie potrzebowalem pozwolenia panów de Leyva do wejścia w związku małżeńskie, uznaliśmy jednak obadwa ze Scypionem, że przyzwyczajenie nakazywała mi zawiadomić ich o zamiarze zaślubienia córki Bazylego, a nawet prosięcia przez grzeczność, o ich zezwolenie.

Pojechałem więc zaraz do Walencji, gdzie równie zdziwiono się nad mojem przybyciem, jak i powodem do tego. Don Cezar i Don Alphons, znając dobrze Antonią, ponieważ ją często widywali, winszowali mi mojego wybroru. Don Cezar osobiście, prawil mi grzeczności z takim zapalem, że gdybym go nie znał jako pana, który już porzucił pewne rozrywki, byłbym go miał w podejrzeniu, że Lirias zwiedzał często nie dla widzenia swego zamku, ale raczej swojej młodej dzierżawczyni. Żeby tylko choć kroplę zazdrości i podejrziwości odebrał z łaski natury, byłbym wpadł na bardzo niemile rozmyślania w tym względzie; nie zrobiłem wszakże tego, tak dalece przekonany byłem o cnocie mojej przyszłej. Serafina, zapewniwszy mnie, że ją mocno zajmuje wszystko, cokolwiek się mnie tyczy, oświadczyła, że wiele pochwał Antonii słyszała; lecz dodała żartobliwie i niby wyrzucając mi obojętność dla Sephory, gdyby mi nawet nie wychwalano jej piękności, spuściłabym się na twój gust, którego znam wykwiutność.

Don Cezar i syn jego nie poprzestali na potwierdzeniu mojego małżeństwa; oświadczyli mi, iż pragną ponosić wszystkie godowe koszta. Wracaj, mówili mi, do Lirias i siedź spokojnie, póki nie odbierzesz wiadomości od nas. Nie rób żadnych przygotowań na wesele, to będzie naszym staraniem. Stosując się do ich woli, wróciłem do mojego zamku. Ostrzegłem Bazylego i jego córkę, o zamiarach naszych dobroczyńców i z największą ile można cierpliwością, czekaliśmy na ich zawiadomienie. Nie słysząc go było przez całe ośm dni. Za to dnia dziewiątego, zajęchała kareta czterema mułami zaprzężona, w której były szwaczki wiozące piękne ubiory dla panny młodej; towarzyszyło jej zaś kilku ludzi w liberyi na dzielnych koniach. Jeden z nich oddał mi list od don Alphonsa, donoszący, że nazajutrz przybędzie do Lirias z ojcem i swoją małżonką, że obrzęd zaślubin odbędzie się w dniu następnym przez wielkiego wikaryusza Walencji. W istocie, wszyscy przybyli do mojego zamku w karecie czterema piękniemi koniami zaprzężonej, poprzedzała ją zaś druga, w której były kobiety dworu Serafiny; orszak tworzyła gwardya gubernatora.

Pani gubernatorowa przybywszy do zamku, przedewszystkiem pragnęła oglądać Antonią, która ze swojej strony zaledwie posłyszała o przyjeździe Serafiny, przybiegła dla powitania jej i ucałowania ręki, co z takim dokonała wdziękami, że zadziwiła całe towarzystwo. A co pani, odezwał się don Cezar do swojej synowej, cóż myślisz o Antonii? Santillana mógłże lepszy zrobić wybór? Nie, odpowiedziała Serafina, są weale godni jedno drugiego, nie wątpię bynajmniej że związek ich będzie bardzo szczęśliwy. Koniec końców wszyscy wychwalali moją przyszłą, i jeżeli się podobala w swoim ubiorze szarżnym, tém bardziej zachwyciła wszystkich w kosztowniejszym stroju. Zdawało się, że nigdy innego nie nosiła, tak szlachetna była jej postawa, a poruszenia zgrabne.

W chwili, w której słodki hymen miał losy nasze połączyć, don Alphons wziął mnie pod rękę i poprowadził do ołtarza, Serafina ten sam zaszczyt wyświadczyła panie młodej. W takim porządku udaliśmy się do kaplicy zamkowej, w której wielki Wikaryusz czekał na nas ze swoim błogosławieństwem. Obrzęd ten odbył się wśród radosnych okrzyków mieszkańców Lirias i wszystkich z okolicy bogatszych dzierżawców, których Bazyl zaprosił na gody swojej córki. Przybyli oni z córkami w kwiaty i wstążki strojone, w rękę zaś miały biskajskie bębenki. Wróciliśmy do zamku, w którym za staraniem Scypiona, gospodarza biesiady, zastawiono trzy stoły, jeden dla państwa, drugi dla osób z ich orszaku, trzeci największy dla reszty gości. Antonia należała do pierwszego stołu, bo tak chciała pani gubernatorowa; ja częstowałem przy drugim, a Bazyl zasiadł z rolnikami. Scypion nie siedział przy żadnym, biegał tylko od jednego do drugiego, dając baczość by wszędzie była usługa należąca, i żeby każdy był zadowolony.

Kucharze gubernatorscy przyrządzali biesiadę, ma się więc rozumieć, że na niej niezego nie brakło. Wyborne wina, z zapasu mistrza Joachima, w obfitości dostarczane, rozweselały towarzystwo; głowy gości zaczęły się rozgrzewać, wesołość panowała wszędzie, gdy niespodzianie wszystko się pomieszało zdarzeniem dla mnie zatruwającym. Sekretarz mój będąc w sali, w której ja siedziałem przy stole z wyższymi oficyantami don Alphonsa i kobietami Serafiny, padł niespodzianie zemdlony i stracił przytomność. Pobiegłem mu na pomoc i kiedy zajmowałem się rozbudzeniem jego władz umysłowych, jedna z kobiet zemdlła także. Całe towarzystwo wnosilo, że to podwójne mdłości zawlewały jakąś tajemnicę, jak było w istocie, co się wkrótce wyjaśniło. Scypion orzeźwiony, odezwał się do mnie poichu: Trzebaż aby najpiękniejszy z dni twoich, musiał się stać najprzykrzejszym dla mnie? Trudno uniknąć wiszącego nad człowiekiem nieszczęścia! dodał zaraz, oto w orszaku kobiet Serafiny, znalazłem moją żonę.

Co słysząc zawolałem, czy podobna? Jak to! miałabyś być mężem tej kobiety, która w tejże chwili zemdlła? Tak jest, panie, odpowiedział, jestem jej mężem, a los nie mógł mi większej psoty wypłatać, jak przedstawiając ją moim oczom. Nie wiem mój kochany, rzekłem, jakie możesz mieć powody do uskarżenia się na swoją żonę, lecz jakikolwiek mogły być powód, zlituj się, jeżeli masz cokolwiek życzliwości dla mnie, powściągnij się i wybuchem urazy nie zakłócaj tej uczty. Będziesz zadowolony, odpowiedział, zobaczysz że umiem wyborne udawać.

Tak mówiąc, posunął się ku swojej żonie, którą także jej towarzyszki ocuciły, i ściskając ją z takim uniesieniem, jak gdyby zachwycony jej widokiem, zawołał: Ah, droga Beatrix, przecież w końcu niebo nas łączy, po dziesięcioletnim rozłączeniu! O słodka dla mnie chwilo! Nie wiem, odpowiedziała żona, czy w istocie spotkanie moje może ci być miłe, ale przynajmniej silnie jestem przekonana, że ci nie dała najmniejszego powodu do opuszczenia mnie. Jak to! zastajesz mnie w noc z don Ferdynandem de Leyva, który kochał Julię, moją panią, którego miłosnym zamiarom sprzyjałam, pomagając ile możności do ich osiągnięcia; tyś sobie uroił, że mój go słuchała z uszczerbkiem honoru i twojego i mojego, a z tego powodu zazdrość pomieszała ci zmysły, opuściłeś Toledo, uciekłeś ode mnie, jak od strasydła, nie czekając, nie żądając wyjaśnienia! Proszę cię, kto teraz z nas dwojga ma większe prawo oskarżania się? A ty, bez wątpienia, odpowiedział Scypion. Oczywiście, że ja, rzekła dalej, don Ferdynand wkrótce po swoim oddaleniu się, ożenił się z Julią, i u nich zostawałam póki Julia żyła, a od chwili, w której ją śmierć przedwczesna nam zabrała, jestem u pani gubernatorowej, jej siostry, która podobnie jak wszystkie jej kobiety, zaręczą za czystość moich obyczajów.

Sekretarz mój, po takowej mowie, na którą nie mógł nic odpowiedzieć, z chęcią przystał na zgodę. Jeszcze raz powtarzam, odezwał się do swojej małżonki, że uznaję moją winę, i wobec tego szanownego zgromadzenia, proszę cię o przeba-

czenie. Wtedy wstawiając się za nim prosiłem żonę jego, aby puściła w niepamięć przeszłość, zapewniając ją, iż odtąd mąż jej starać się nieomieszka o odzyskanie jej przywiązania. Skoniła się na moje prośby, a całe towarzystwo ucieszyło się tym pojednaniem dwojga małżonków. Żeby zaś uczcić je przyzwolicieli, posadzono ich przy stole obok siebie, spełniano kiellchy za ich zdrowie, robiono im wszelkie honory, tak dalece, że rzekłbyś, iż cała uczta była raczej z powodu ich pogodzenia się wyprawiana, nie zaś na moje gody weselne.

Trzeci stół najpierw opuszczono. Młodzi właściciarze przynosząc miłość nad przyjemność stołu, wstali dla rozpoczęcia tańców z młodemi właścicielkami, które odgłosem biskajskich bębenków, wnet ściągnęły gości od innych stołów i pobudziły do naśladowania ich przykładu. Otóż wszyscy w ruchu: urzędnicy gubernatorscy zabrali się do tańca z pannami panów gubernatorów; panowie nawet w mieszały się pomiędzy tancerzyków; don Alphons tańczył *sarabandę* z Serafiną, a don Cezar stanął do tegoż tańca z Antonią, która następnie wyzwalała mnie, i wcale nie źle się wydała, jak na osobę, która ledwie początki tejsztuki powzięła w Albaraznie, od jednej mieszczki, krewnicy swojej. Ja zaś, com się uczył tańczyć, jak już wyżej nadmieniałem, u margrabiny Chaves, uznany zostałem przez całe towarzystwo, za wyborowego tancerza. Beatrix i Scypion usiadłszy za boku opowiadali sobie swoje przygody od czasu ich rozłączenia się, póki Serafina nie przerwała ich rozmowy. Ta pani dowiedziawszy się o ich poznanie się i pojednanie, wzywiała ich do siebie, aby im wynurzyć swoją radość z tego powodu. Moje dzieci, mówiła, w tym dniu rozkoszным, znajduję nowy powód zadowolenia widząc was napowrót zjednoczonych. Przyjacielu Scypionie, dodała, wracam ci twoją żonę, zaręczając ci za jej nieskazane obyczaje, żyćcie tu razem w zgodzie. Ty zaś Beatrix przywiąż się do Antonii i bądź dla niej tak przychylna, jak mąż twój jest dla pana Santillany. Po cém Scypion zmuszony do uznania swojej małżonki za drugą Penelope, przyrzekł, że zachowa dla niej wszelkie względy.

Właściciele i właścicielki przetańczywszy dzień cały, wrócili do domów swoich; w zamku atoll uczta nie ustawała. Zastawiono wspaniałą wleczkę, a gdy czas spoczynku nadszedł, wielki Wikary pobłogosławił łoża małżeńskie. Serafina rozebrała pannę młodą, a panowie de Leyva ten sam zaszczyt mieliby zrobić. Najzabawniejsza rzecz była gdy oficerowie don Alphonsa i panny gubernatorów zabrali się do podobnegoż obrzędu, rozebrali Beatrix i Scypiona, którzy dla dodania większej weselości tej scenie, z całą powagą przyjęli ich usługę.

ROZDZIAŁ X.

Nasępstwa ślubu Gil Blasa. Początek historii Scypiona.

Nazajutrz po moim ślubie, panowie de Leyva wrócili do Walencyi, dawszy mi nowe dowody swojej przyjaźni, a my z sekretarzem, naszymi żonami i służbą zostaliśmy w zamku.

Zabiegł nasze w przypodobaniu się naszym panom nie były płonne; w krótkim czasie małżonkę moją natchnąłem także ku sobie miłością, jaką ja dla niej pałałem, a Scypion zataił w pamięci swojej żony wszystkie zgryzoty, do których stał się powodem. Beatrix umysłu gładkiego i miłego wnet zyskała przychylność nowej pani i jej zaufanie. Słowem wszyscy przedziwnie zgadzaliśmy się, i zaczęliśmy prowadzić życie godne zadości. Dnie wpływały nam wśród miłych rozrywek. Antonia była bardzo poważna, ale za to Beatrix i ja byliśmy bardzo weseli, a gdybyśmy i my nawet byli posępni, Scypion sam jeden nie dozwoliłby zagnieździć się u nas melancholii. Był to człowiek niezrównany do towarzystwa, jeden z tych osób komicznych, które samem wystąpieniem rozweselają towarzystwo.

Pewnego dnia przyszło nam do głowy zrobić sobie siestę w najrozkoszniejszym miejscu gaju, lecz mój sekretarz w tak dobrym był humorze, że zabawnem rozmowami odebrał nam ochotę do drzymania. Cicho bądź, mój przyjacielu, bo niepodobna zasnąć słuchając cię, albo też, kiedy nam już spać nie dasz, opowiadaj coś godniejszego uwagi. Bardzo chętnie, odpowiedział. Pozwoliszże sobie opowiedzieć historię króla Pelayo?

Jabym wolał posłuchać twojej, odpowiedziałem, ale to jest przyjemność, której nie uznajesz za stosowną rzecz uczynić mi przez cały czas, jak razem z sobą żyjemy i której się zapewne nigdy nie doczekam. A zkądże to pochodzi? odezwał się, oto że pan nigdy nie objawił najmniejszego życzenia poznać wypadki mojego życia. A zatem nie jest to moja wina, skoro zaś teraz obudziła się pańska ciekawość, jestem gotów do jej zaspokojenia. Antonia, Beatrix i ja pochwyliśmy jego obietnicę i przygotowaliśmy się do bacznego słuchania powieści jego, po której spodziewaliśmy się należytego skutku, albo zabawy, albo pobudzenia do snu.

Scypion więc tak rzecz swoją zaczął: Byłbym synem granda pierwszjej klasy, albo najmniej jakiego rycerza zakonu św. Jakóba, lub Calatravy, gdyby to zależało ode mnie; ale ponieważ nikt sobie ojca nie wybiera, wiedzcie zatem że mój, nazwiskiem Torribio Scypion był szanownym glermklem św. Hermandada. Przejeżdżając się tam i sam po bitych drogach z obowiązku powołania swojego, spotkał raz trafem między Cuenea i Toledo młodą cygankę, która mu się zdała bardzo ładną. Szła sama jedna, pieszo, dźwigała na plecach całe swoje mienie w tabołu. Dokądże to zdążasz moja lubo? odezwał się do niej łagodząc głos, który z natury miał bardzo przeraźliwy. Panie kawalerze, odpowiedziała, idę do Toledo, gdzie spodziewam się coś zarobić tym, lub owym sposobem, byleby żyć uczciwie. Zamłary twoje chwalebne rzekł ojciec, i pewnie ci nie zbywa na środkach do ich osiągnięcia. A tak, dzięki Bogu, odpowiedziała, posiadam kilka talentów, między innymi umiem robić pomady i olejki bardzo użyteczne kobietom; umiem wróżyć, potrafię obracać się dla wynalezienia zguby, pokażę w zwierciadle, lub w szklance wszystko, czego kto zażąda.

Torribio uznawszy, że taka dziewczyna może być bardzo przyteczną żoną dla takiego człowieka, który ledwie mógł wyżyć ze swojego urzędu, chociaż go przedziwnie wykonywał, oświadczył się jej, i zamiarem zaślubienia. Cyganka nie mogła odmówić życzeniom oficera św. bractwa. Przyjęła mile oświadczenie. Po takowej mowie udali się oboje do Toledo, połączyli się węzłem małżeńskim, i oto w osobie mojej widzieliście godny owoc tego szlachetnego związku. Osiedli naprzód na przedmieściu, gdzie matka moja rozpoczęła handelek pomadą i olejkami; ale ponieważ korzyści nie odpowiadały życzeniom, została wróżką. Wtedy to u niej jak grad padały talarki i ludory. Tysiące uwiedzionych wnet rozgłosiło sławę Coscolliny, tak się bowiem zwała cyganka. Co dzień ktoś przychodził z prośbą o nżycie jej sztuki. Raz był to synowiec nboż, pragnący wiedzic rychłi jego bogaty stryjaszek, którego był jedynym spadkobiercą powędruje na tam ten świat; to znów dziewczyna ciekawa, czy kawaler, któremu odwdzięczyła jego zabiegi za odebraną obietnicą zaślubienia, dotrzyma danego słowa.

Muszę was ostrzedz, że wróżby mojej matki były zawsze pocieszające dla osób, które ich żądały. Jeżeli przypadkiem spełniały się, to dobrze, jeżeli zaś ktoś wyrzucił jej, że rzeczy wbrew przeciwny jej przepowiedniom wzięły obrot, odpowiadała z zimną krwią, że temu winien zły duch, który mimo potęgę zaklęć, jakich używała, by jej objawił przyszłość, czasami złośliwie ją oszukiwał.

Kiedy dla honoru powołania, matka moja uważała za rzecz stosowną w działaniach swoich pokazać djabła, wtedy Torribio Scypion występował na scenę i wyborne udawał przeraźliwy głos i szpetna twarz nadawały mu postać odpowiednią temu, co przedstawiał; ktokolwiek wierzył, drżał na ten widok. Ale na nieszczęście pewnego dnia przybył jakiś kapitan robuszny, chciał widzielić djabła, i wskroś go przeszył swoją szpadą. Święte oficyum zawiadomione o śmierci szatana, przysłało do Coscolliny swoich ślepaczy, którzy ją ze wszystkimi sprzętami zabrali, ja zaś siedm lat podówczas mający dostałem się do szpitala *de los Niños*. Byli tam miłośni duchowni, którzy zajęci wychowaniem sierot, uczyli je czytać i pisać. Zdało się im, że młodszy był obliczającym nad innych, wybrali mnie więc na swojego posłańca. Biegałem tu i owdzie z lista-

mi i służyłem do mszy. Wynagradzając moją skrzętność, postanowili uczyć mnie po łacinie; lecz zabrali się do tego za ostro, i z taką surowością obchodzili się ze mną, pomimo drobnych przysług, jakie dla nich spełniałem, że nie mogąc znieść dłużej, upatrzwszy porę uciekłem, wtedy właśnie gdy mnie wysłali ze swoimi poleceniami. Wyszedłem z Toledu przedmieściami od strony Sewilli.

Lubo wtedy zaledwie rok dziewiąty skończyłem, czułem jednak całą rozkosz być niezależnym panem swojej woli. Byłem bez pieniędzy i bez chleba, to fraszka, ale za to nie trzeba było uczyć się lekcji, ani odpisywać ćwiczenia. Po dwugodzinnej wędrowce, nożęta moje zaczęły odmawiać swojej usługi. Dotąd jeszcze nigdy tak długiej nie odbywałem drogi. Trzeba było zatrzymać się dla odpoczynku. Usiadłem więc pod wielkimi drzewem tuż przy drodze i dla zabawki dobytej z kieszonki gramatykę i żartując sobie przewracałem w niej kartki: ale wnet wspomniawszy na różgi i dyscyplinę, com z jej łaski odbierał, wpadłem w gniew, wydierałem kartę za kartą wołając: Ah, ty psia książko, już odtąd nie będziesz przyczyną łez moich! Kiedy tak zaspokoilem moją zemstę, rozrzucając do koła po ziemi czasownie i przypadkownie, przedchodził tamtędy pustelnik z siwą brodą, wielkimi okularami i poważną postawą. Zbliżył się do mnie, i jeżeli on z uwagą spoglądał na mnie i ja jemu nie mniej bacznie przypatrywałem się. Mój ty małutki człowieku, rzekł do mnie uśmiechając się, zdaje mi się, że obadwa dosyć czule na siebie spoglądaliśmy i możeby to nie źle było, gdybyśmy obadwa razem mieszkali w mojej pustelni, ztąd o dwieście kroków odległej. Najniższy sługa pański, odpowiedziałem żywo, nie mam żadnej ochoty być pustelnikiem. Na takową odpowiedź zacny starzec parsknął śmiechem i ściskając mnie rzekł: moje dziecię, nie lękaj się mojego ubioru, choć nie piękny, ale pożyteczny; on mnie czyni panem miłego i pięknego ustronia, i wsi okolicznych, których mieszkańcy kochają mnie, albo raczej ubóstwiają. Pójdz z mną, nie bój się niczego; przybiorę cię w habit podobny do mojego; jeżeli ci się podoba, podzielać będziesz ze mną przyjemności życia, jakie ja prowadzę; a jeżeli się nie zgodzisz na to, nie tylko wolno ci będzie opuścić mnie, ale nadto rozłączając się będę pamiętał o twojem dobru.

Dałem się nakłonić i poszedłem za starym pustelnikiem, który w drodze rozmaite zadawał mi pytania, a ja odpowiedziałem na nie ze szczerością jakiej już potem nigdy nie miałem. Przybywszy do pustelni dał mi nieco owoców, które ja z chętnością pożerałem, gdyż przez cały dzień nic nie jadłem, prócz kawałka suchego chleba na śniadanie w szpitalu. Pustelnik widząc że się tak zwijam, rzekł: śmiało moje dziecię, nie oszczędzaj owoców moich, mam ich z łaski bożkiej nie mały zapas. Nie po to przyprowadziłem cię tu, żebyś z głodu umierał. I to była szczerza prawda, bo w godzinę później rozpalil ogień, zatkanął na rożen udziec skopowy, i kiedy ja obracałem pieczeń przy ogniu, on tymczasem dość brudną serwetą nakrył stół i postawił dwa talerze, jeden dla siebie, drugi dla mnie.

Gdy już mięso było upieczone, zdjął z rożna, ukroił kilka zrazów na wieczerzę, a nie była to uczta gęsia, bośmy pili wyborne wino, którego także miał dobry zapasik. A cóż moja rybko, rzekł wstawszy od stołu, content jesteś z mojego powszedniego jedzenia? czy nie warto tego w szpitalu? Otóż tak zawsze mieć będziesz skoro zostaniesz przy mnie. Zresztą wolno ci będzie w pustelni robić, co ci się podoba. Tego tylko od ciebie żądam, abys mi towarzyszył, ile razy udam się do wioski po jałmużnę; pomożesz mi do prowadzenia mojego kłapoucha z dwoma koszami, które wieśniacy litościwi napełniają jajami, chlebem, mięsem i rybami. Więcej od ciebie nie wygam, zdaje mi się, że to nie wiele. Oh, ja, rzekłem, wszystko chętnie zrobię, czego tylko żądać będziesz, bylebyś mnie nie przymuszał do uczenia się łaciny. Brat Chryzostom, to było imię pustelnika, nie mógł się wstrzymać od śmiechu z mojej szczeroty, i na nowo zapewnił mnie, że nie myśl sprzeciwiać się moim skłonnościom.

Zaraz nazajutrz udaliśmy się po kweście z osiołkiem, którego prowadziłem na uźdzeniecy. Obfitą zebraliśmy jałmużnę; każdy wieśniak z rozkoszą kładł co mógł w nasz kosz. Ten wrzucił bułkę chleba, tamten kawał słoniny, ów gęs nadziewaną, inny znowu kuropatwę. Co wam powiem? Sprowadziliśmy do pustelni żywność, więcej jak na ośm dni, co dowodziło szacunku i przywiązania wieśniaków dla szanownego brata. To prawda, iż im był wielce pożyteczny; radził im, kiedy tego potrzebowali; przywracał pokój w gospodarstwach, do których się zakradła niezgoda, kojarzył małżeństwa; dowiedział się, że dwaj zamożni wieśniacy zwaśnili się z sobą, on zaraz udawał się do nich i pomyślał, poki ich nie pojednał; wreszcie miał leki na tysiączne słabości, uczył modlitw kobiecy pragnące potomstwa.

Z tego widzieli, że wybornie zajał w pustelni, nie też miałem miejsce do spoczynku. Wyciągnęły na świeżej czystej słomie, mając pod głową poduszkę z szarego sukna, nakryty kołdrą z tejże materji, zwykle na jednym boku całą noc przespalałem. Brat Chryzostom przyrzekłszy mi habit pielgrzyma, zrobił mi go sam ze swojej starej sukni i nazwał mnie małym braciszkiem Scypionem. Zaledwie pokazałem się w jakiejś wiosce w tém ubraui urzędowem, uważano mnie za tak miłego chłopca, że mój kłapouszek większy zaraz ciężar dźwigać musiał. Na wysięgi biegli, kto da więcej małemu braciszkiowi, tak się wszystkim podobała moja figura.

Życie rozkoszne i próżniacze musiało mieć pociąg dla chłopca w moim wieku. Dla tego też tak w niem zamaskowałem, że byłbym je do śmierci włócił, gdyby Parki nie wysnuły mi nici innych dni, wielce różnych od tych, które pędziłem; przeznaczenie wyrwało mnie z łona rozkoszy i przywiodło do opuszczenia brata Chryzostoma w sposób, jaki wam zaraz opowiem.

Uważałem, że stary często coś robił z poduszką, która mu służyła za wezglowie; raz poraz rozparał ją i znowu zszywał, dostrzegłem pewnego razu, że kładł w nią pieniądze. Po takowem spostrzeżeniu wzięła mnie ciekawość, którą postanowiłem zaspokoić zaraz za pierwszym razem, gdy stary uda się do Toledu, dokąd raz w tydzień zwykł był jeździć. Z niecierpliwością oczekiwałem tego dnia, jeszcze wszakże prócz zaspokojenia ciekawości innego nie miałem zamiaru. Wreszcie pocztowy pustelnik pojechał, a ja natychmiast rozprułem poduszkę i znalazłem w wnętrzu, którą była napchana, wartość około pięćdziesięciu talarów w rozmaltęj monecie.

Skarb ten był zapewne owocem wdzięczności wieśniaków, których pustelnik wylęczył z rozmaitych słabości. Cóżkolwiek być, tylko com zoczył pieniądze, które bezkarnie mogłem sobie przywłaszczyć, gdy natychmiast odezwała się we mnie natura cygańska. Opanowała mnie chęć skradzenia ich, co należy przypisać pociągowi krwi, jaka w żyłach moich płynęła. Bez oporu uległem pokusie; zawiązałem pieniądze w sukienny worek, w który zwykle kładliśmy grzebień i czapki nocne, poczem zrzuciwszy habit pustelniczy a przywdziawszy dawniejszy ubiór sieroty, uszedłem z pustelni w przekonaniu, że dźwigam wszystkie skarby indyjskie.

Słyszeliście więc pierwszą moją próbę, mówił dalej Scypion, i pewny jestem, że spodziewacie się całego pasma czynów podobnejże natury. Nie zawiodę waszego oczekiwania, opowiem wam jeszcze kilka innych czynów, nim przystąpię do rzeczy godnych pochwały; ale i do tego przyjdę i zobaczycie, że oszust także może się stać uczciwym człowiekiem.

Chociaż byłem dzieciakiem, a przecież nie byłem tak głupim, abym miał się udać drogą do Toledu; byłoby to narażać się na przypadek spotkania brata Chryzostoma, który z niemałą moją przykrością, żądałby zwrotu swojego ukrytego skarbu. Inną więc puściłem się drogą, która mnie zawiodła do wsi Galves; tu w domu zajeżdżnym, gospodynią była wdowa, około czterdziestoletnia, mająca wszystkie przymioty zabiegłej karczmarki. Ta kobieca rzuciwszy na mnie okiem, od razu poznała, że muszę być zbiegiem ze szpitala, i dla tego zapytała mnie, ktobym był i dokąd idę. Odpowiedziałem jej, że straciwszy ojca i matkę, szukam służby. Moje dziecko, rzekła, umiesz

czytać? Zapewniłem ją że czytam, a nawet prześlicznie piszę. W istocie kręśliłem litery i tak je z sobą wiązałem, iż miały niejaki podobieństwo do pisma; ale to wystarczało do buchalteryi karczemnej. Otóż ja ciebie zatrzymam do moich usług, rzekła gospodyni. Będziesz mi dosyć pożyteczny, będziesz utrzymywał rachunek moich długów i należności. Nie naznaczam ci wcale myta, ponieważ do tej oberży zajeżdżają uczeni panowie, którzy nie zapominają o służących. Możesz liczyć na dobre małe dochodziki. Przyjąłem miejsce zachowując sobie w myśli, jak się łatwo domyślicie, wolność zmiany, skoroby pobyt w Galves, stracił dla mnie ponętę. Ujrawszy się zgodzonym do służby w tej karczmie, uczulem jakąś niespokojność umysłu, a im więcej nad tem rozmyślałem, tem bardziej uzasadnioną zdawała się obawa moja. Nie chciałem aby wiadano, że mam pieniądze, a trudność wielką miałem w wyszukaniu dla nich schowawca. Jakież to troski przynoszą bogactwa! w ustawnej byłem trwodze. Zresztą postanowiłem złożyć mój skarb w jednym kącie pod strychem, w którym była słoma, a sądząc, że tam bezpieczniejsze będą jak gdzie indziej, uspokoiłem się, ile tylko było w mojej mocy.

Było nas troje służących w tym domu; duży chłopak stajenny, pucowała służąca z Galicyi i ja. Każde z nas ciągnęło co mogło z gości zajeżdżających. Ja zawsze chwyciłem od tych panów kilka groszy, gdy im podawałem rachunek, rzekali także coś stajennemu, lecz galicyanka, bożyszczce mułowodzców, tyle zyskiwała talarów, ile inni groszów. Skoro tylko dostałem grosz jaki, niosłem go zaraz pod strych, dokładając go do mojego skarbu, i im bardziej wzrastał mój majątek, tem więcej małe moje serce przywijało się do niego. Niekiedy całowałem moje pieniądze; przypatrywałem się im z takim niesieniem, jakie tylko pojąć mogą chelwi dusigrosze.

Przywłazanie moje do tego skarbu, pobudzało mnie do odwiedzania go po dwadzieścia i trzydzieści razy na dzień. Często na schodach spotykałem gospodynią, która z natury będąc podejrzliwą, ciekawa była, coby mnie tak często wabiło pod strych. Weszła tam i zaczęła wszędzie myszkować, wystawiając sobie, że w tem poddaszu ukrywam rzeczy w jej domu schwytae. Nie zapomniała także poruszyć słomy, która pokrywała mój worek i tam go znalazła. Rozwiązała go, a widząc w nim talary, nawet i luidory, mntemała, albo udała przynajmniej, że tak mniema, iż te pieniądze jej były skradzione. Zabrała je na piękne, a wywołując na mnie od nędzników, złodziejów, hultajów, kazała chłopakowi stajennemu wyliczyć mi z pięćdziesiąt plag, a wytrzepawszy mnie porządnie, wyrzuciła za drzwi, mówiąc, że nie może w domu swoim cierpieć oszustów. Na próżno zaręczałem, że jej nie okradłem, ona utrzymywała przeciwnie i jej więcej wierzono niż mnie. Takim sposobem pieniądze brata Chryzostoma przeszły z rąk złodzieja, w ręce złodziejki.

Oplakiwałem stratę moich pieniędzy, jak rodzice oplakują śmierć jedynaka, a jeżeli łzy moje nie odzyskały straty, obudzili przynajmniej politowane osoby, które je widziały, między innymi proboszcza z Galves, który przypadkiem tamtędy przechodził. Zdał się wzruszony staem w jakim mnie widział i wziął mnie z sobą do plebanii. Tam żeby zyskać moje zaufanie, a raczej aby mnie pociągnąć za język, zaczął ubolewać nademną. Jakże to błędne dziecię, rzekł, godne jest politowania, że nie ma, ktoby się niem opiekował! I jakże się tu dziwić, jeżeli w tak młodym wieku, sam sobie zostawiony, mógł się dopuścić złego czynu? Ludzie dojrzali w ciągu swojego życia, nieraz z trudnością ledwie się uchronią. Dalej zwracając mowę do mnie, dodał: Mój synu, z jakiej okolicy Hiszpanii pochodzisz i jacy są twoi rodzice? Masz minę chłopca dobrego urodzenia. Mów mi wszystko z ufnością, bąc pewny, że cię nie opuszczę.

Pleban tak polityczną i miłosierną mową, skłonił mnie powoli do wyjawienia mu spraw moich, com też zrobił z wielką szczerością. Wyznałem mu wszystko, poczem odezwał się do mnie: mój przyjacielu, chociaż nie przystoi pustelnikowi zbierać pieniądze, to wszakże nie zmniejsza winy twojej; okrada-

jąc brata Chryzostoma, zgrzeszyłeś przeciw przykazaniu bożkiemu, które zakazuje przywłaszczać sobie cudze mienie; ale na poclechę twoją, oświadczam ci, że ja się postaram, aby karczmarka zwróciła pieniądze do pustelni i odład w tym względzie sumienie twoje może być spokojne. Przyznam się wam, że o to właśnie nie troszczyłem się wcale. Pleban powziąwszy zamiar, nie poprzestał na tem. Moje dziecko chcę się zająć tobą i wystarcć ci się o dobre miejsce. Jutro zaraz poszlę cię z mułowodzcą do mojego siostrzeńca, który jest katedralnym kanonikiem w Toledo. Na prośbę moją przyjmie cię w poczet swoich służących, którzy rozkoszne wiodą życie z dochodów jego prebendy; będzie ci tam wybornie; jest to rzecz, za którą ci rzeczyć mogę.

To zapewnienie było dla mnie tak pocieszające, iż zapomniałem o moim worku a nawet i o odebranej chłości; umysł mój zajęty był jedynie rozkosznięm życiem u kanonika. Nazajutrz, kiedy był przy śniadaniu, przybywa z rozkazu plebana mułowodzca z dwoma mulami dobrze osiodłanymi i okelznanymi. Wsadzono mnie na jednego z nich, a na drugiego wskoczył mułowodzca i natychmiast paściliśmy się drogą toledańską. Mój towarzysz podróży był to człowiek wesołego humoru, który lubił się bawić kosztem bliźniego. Mój ty mały chłopczyku, masz wielkiego przyjaciela w osobie plebana z Galves. Pokazuje ci to wyraźnie. Nie mógł ci lepszego dać dowodu swojej przychylności jak mieszcząc cię u swojego siostrzeńca kanonika, którego mam zaszczyt znać, który bez zaprzeczenia jest perłą całej kapituły. Jest to człowiek wesoły, uprzejmy a przytem dobrze żyjący. Będziesz u niego jak pączek w maśle.

Zbój mułowodzca, widząc że bacznie słucham jego mowy, wciąż wychwalał szczęście, jakiego doznam w służbie kanonika. Nie przestawał o tem mówić, pókiśmy nie stanęli we wsi Obisa, dła wypoczynku mulów. Tam z niesłychanem mojem szczęściem dowiedziałem się, że mnie oszukiwano. Otóż jakim sposobem tego doszedłem. Mułowodzca przechodząc się po karczmie, upniścił przypadkiem papier, który szybko podniosłem, tak, że tego nie postrzegł, przeczytałem zaś wtedy, gdy się udał do stajni. Był to list do księży, przełożonych szpitala sierot, w tych wyrazach napisany: „Panowie, sądzą że miłość chrześcijańska, obowiązuje mnie do wydania w ręce wasze małego oszusta, który się wymknął z waszego szpitala; zdaje mi się chłopiec sprytny i zasługuje, abyście go dobrze trzymali. Nie wątpię, że ciągłem karzeniem wykierujecie go na uczciwego chłopca. Niech Bóg jak najdłużej zachowuje podobnych i miłosiernych panów.—Pleban z Galves.“

Przeczytawszy list, z którego dowiedziałem się o dobrych chęciach plebana, nie wahałem się w wyborze środków, jakie mi przedsiębrać wypadało; wymknąć się z karczmy i dostać do brzegów Tagu, więcej jak o milę ztamtąd odległych, było dziełem jednej chwili. Strach dodał mi skrzydeł, by uciekać przed przełożonymi szpitala sierot, dokąd żadną miarą wracać nie myśliłem, tak mi obmierzył sposób uczenia łaciny. Wszedłem do Toledo tak wesoło, jakbym wiedział dokąd mam iść pie i jeść. To prawda, że to miasto błogosławione, w którym człowiek przebiegły, zmuszony żyć kosztem cudzym, nie może umrzeć z głodu. Lecz ja byłem jeszcze za młody, abym mógł sobie pochlebiać że znajdę sposób utrzymania, ale fortuna wzięła mnie w swoją opiekę. Zaledwie wyszedłem na wielki rynek gdy porządnie ubrany mężczyzna, którego mijalem, zatrzymał mnie za rękę i rzekł: chłopcze, czy chcesz u mnie służyć? radbym miał takiego lokaja jak ty. A ja, odpowiedziałem, takiego pana; kiedy tak, mówił dalej, jesteś u mnie od tej chwili i teraz pójdz ze mną. Co też zrobiłem, nie nie rzekłszy.

Kawaler ten około trzydziestu lat mieć mogący nazywał się Abel, mieszkał w hotelu umeblowanym, gdzie dość piękne zajmował pokoje. Był to gracz z powołania i otóż jakim sposobem żyłszy obadwa: rano nakrajałem mu tytoniu na pięć, lub sześć fajek, wyczyściłem mu suknie, zawałałem balwierza, który go ogolił i utrefił mu wasy, po czem wychodził zwiedzać szulernie, z których wracał zwykle między jedenastą i dwunastą w nocy. Każdego poranku nim wyszedł do miasta dawał

mi trzy reale na moje wydatkiienne, pozwalając robić coby mi się podobało bylebym o dziesiątej godzinie był już w hotelu, skoro mnie tylko zastał za powrotem, był bardzo kontent ze mnie. Kazał mi zrobić kaftan i spodnie krojem liberyi, w czem wyglądałem jako posłaniec załotnie. Bardzo kontent byłem z mojej służby i zaiste nie mogłem znaleźć zgodniejszej z moim humorem.

Już prawie miesiąc upływał, jak wiodłem tak błogie życie, kiedy pan zapytał się, czybym był kontent z niego, a usłyszawszy odpowiedź moją potwierdzającą, to dobrze, odezwał się, więc jutro wyjeżdżamy do Sewilli, gdzie mnie interesa wzywają. Nie będziesz się pewno gniewał, że zwiedzisz tę stolicę Andaluzyi. *Kto nie widział Sewilli*, mówi przysłowie, *nie widział*. Oświadczyłem mu, że jestem gotów udać się za nim wszędzie. Tegoż samego dnia posłaniec sewilski zabrał z hotelu pański kufer z rzeczami, a nazajutrz ruszyliśmy do Andaluzyi.

Pan Abel tak był szczęśliwy w grze, że wtedy tylko przegrywał, kiedy sam chciał; to właśnie zmuszało go do częstych odmiany miejsca, aby uniknąć gniewu oszukanych i to było przyczyną naszej podróży terazniejszej. Przybywszy do Sewilli, zajęliśmy mieszkanie w hotelu przy bramie Korduańskiej i zaczęliśmy żyć jak w Toledo. Ale mój pan znalazł wielką różnicę między temi dwoma miastami. Spotkał graczy równie jak on szczęśliwych; tym sposobem nieraz wracał bardzo strapiiony. Pewnego poranku będąc jeszcze w złym humorze, że wczoraj sto ludorów przegrał, zapytał się, dlaczego nie zanosłem jego brudów do praczki. Odpowiedziałem, że zapomniałem. Za to wpadłszy w złość, przylepił mi z pół tuzina policzków tak silnych, iż mi się bardziej zaświadczyło w oczach, niż w świątyni Salomona. Masz, mały nędzniku, rzekł, to cię nauczy być baczniejszym na twoje powinności. Czy zawsze mam ci deptać po nogach, przypominając co masz robić? Cemu nie jesteś tak skory do służby, jak do jedzenia. A dla czego nie możesz nawet uprzedzić mojego rozkazu i moich potrzeb, przecież nie jesteś bydlęciami? To rzekłszy wyszedł, zostawiwszy mnie bardzo strapionego policzkami za tak lekkie uchybienie i gotowego zemścić się, przy wydarzonej sposobności.

Nie wiem co go spotkało wkrótce potem w szulerni, ale pewnego wieczoru wrócił w wielkim uniesieniu. Scypionie, rzekł, postanowiłem udać się do Włoch i mam wsiąść na okręt wracający do Genui. Mam powód do tej podróży; spodziewam się że mi zechcesz towarzyszyć i korzystać z tak pięknej sposobności, by zwiedzić kraj najpiękniejszy w świecie. Odpowiedziałem, że więcej nadto nie pragnę, objawiłem nawet wielką chęć oglądania Włoch, ale zarazem przyrzekłem sobie zniknąć w chwili odbicia od lądu. Zdawało mi się, że tym sposobem zemszczę się nad moim paucem, i zamiar za nader dowcipny uznałem. Tak z tego byłem kontent, iż nie mogłem przenieść na siebie, aby się nie zwierzyć chwatawi z powołania, którego spotkałem na ulicy. Od chwili pobytu mojego w Sewilli, zawiązałem kilka złych znajomości, a szczególniej z dopiero co wymienionym. Opowiedziałem mu za co i w jaki sposób zostałem wypoliczkowany, następnie wyjawiłem zamiar opuszczenia don Abela w chwili siadania na okręt i zapytałem się coby też myślił o mojem postanowieniu.

Mój chwata marszczył brwi w czasie opowiadania, zakręcał wąsów w górę, następnie ganiąc z powagą mojego pana, rzekł, mały poczelwce, zostaniesz zhańbiony na zawsze, kończąc na blahój zemście o jakiej myślisz. To nie dosyć, że puścisz don Abela samego w podróż, to nie byłoby dlań karą dostateczną; trzeba karę zastosować do obelgi. Nie trzeba się wahać, zabierzmy jego rzeczy i pieniądze, któremi się po bratersku podzielimy po jego odejściu. Chociaż czułem naturalny pociąg do grabieży, jednak przeląknętem się na podaną myśl tak ważnej kradzieży.

Wytrawny oszust potrafił mnie wreszcie namówić; i otóż skutek naszego przedsięwzięcia. Chwata człowiek dobrego wzrostu i silny, zaraz nazajutrz nad wieczorem przyszedł do

mnie do hotelu. Pokazałem mu kufer, w którym pan mój zamknął już wszystkie swoje rupiecie i zapytałem się, czy sam jeden potrafił udźwignąć tak ciężki kufer. Tak ciężki! rzekł wiedz o tem, że gdy idzie o zagrabienie cudzej własności, ja-bym dźwignął samą arkę Noego. To mówiąc zbliżył się do kufra, bez trudności zarzucił go na ramię lekko zeszedł po schodach. Ja szedłem za nim równie cicho stąpając, i już tylko co mieliśmy się przemknąć przez bramę na ulicę, gdy don Abel, którego szczęśliwa gwiazda w samą porę sprowadziła; niespodzianie stanął przed nami.

Dokąd idziesz z tym kufrem? odezwał się do mnie. Tak się zmieszałem, że zapomniałem języka w gębie; a chwata widząc chybliony zamach, rzucił kufer na ziemię i umknął, by się nie narażać na tłumaczenie. Dokądże więc idziesz z tym kufrem, powtórzył raz jeszcze. Panie, odpowiedziałem na pół nieżywy, chciałem go zanieść na okręt, na który jutro masz siadać w podróż do Włoch. A ha, a znaszże ten okręt, na którym mam płynąć? Nie, panie, ale na końcu języka znajdzie się droga do Rzymu; byłbym się pytał w porcie i ktoś znalazłby się, coby mi go wskazał. Na tę odpowiedź, która mnie zdawała podejrzaną, groźnym okiem spojrzął na mnie; zdało mi się że znowu sypną się policzki: kto ci kazał, krzyknął, wynosić kufer z hotelu? Pan sam odpowiedziałem; kto, ja? zawołał z podziwieniem, ja ci kazałem? Oczywiście, rzekłem, przypomnij pan sobie połajanie, które odebrałem przed kilka dnami. Nie powiedziałażes wtedy, bijąc mnie, że chcesz abym uprzedzał twoje rozkazy, i spełniał z własnego rozsądku to, co w usługach twoich potrzebne? Otóż w skutek tego, ja kazałem nieść kufer na okręt. Wtedy szuler, spostrzegłszy we mnie większą przewrotność, aniżeli początkowo przypuszczał, rzekł, uwalniają mnie ze służby. Ruszaj! panie Scypionie, niech cię Pan Bóg prowadził! masz rozum nad wiek. Nie lubię grać z ludźmi, którzy raz mają kartę za wiele, drugi raz kartę za mało. Po czem zmieniając ton, zawołał: precz mi z oczu, abym cię nie posłał na hak.

Nie dałem sobie powtarzać tego rozkazu. W tej chwili oddaliśmy się, drząc cały, aby mi nie kazał zdjąć sukni, którą mi przecież na szczęście zostawił. Szedłem ulicą rozmyślając gdzie się podział na noc z dwoma realami w kieszeni. Zbliżyłem się do bramy pałacu arcybiskupiego z kądem zapach potraw przyrządzonych na wieczerzę, zalecał mnie. Ha! pomyśliłem sobie, jakby tu dobrze było spotkać się z jakim przysmaczkiem, co tak bije w nos. Ale cóż! czy to nie ma sposobu skosztowania tych potraw, których dymek tylko teraz chwytam? Cemu nie? To nie zdaje się tak niepodobne. W skutek tego zapaliła się co raz bardziej moja fantazyja, rozmyślając nad tem, wpadłem na wybieg, którego użyłem natychmiast, a który mi się wybornie udał. Wszedłem na dziedziniec pałacu arcybiskupiego i pedząc do kuchni, wrzeszczałem z całego gardła: *ratujcie! ratujcie!* jak gdyby mnie kto ścigał, chcąc ubić.

Na ten krzyk pan Diego, kuchmistrz arcybiskupi wypadł z trzema, czy czterema kucharzami, dla zobaczenia przyczyny; nie widząc zaś nikogo prócz mnie jednego, zapytał się dla czego-gobym tak silnie krzyczał. Ah, panie, odpowiedziałem, ze wszystkimi oznakami człowieka przestraszonego, zaklinam cię na św. Polikarpa, broń mnie od wściekłości tego zawadyaka, który mnie chce zabić. A gdzież jest zawadyak, odezwał się Diego. Sam jeden jesteś z całego twojego towarzystwa i kota nawet za tobą nie widać. Idź, idź moje dziecię, uspokój się: to zapewne ktoś chciał cię nastraszyć dla zabawki i który mądrze zrobił, że tu nie wszedł na dziedziniec, bo co najmniej pewnie z całym biwalskim nie wyszedł. Nie, oh nie, rzekłem kucharzowi, to nie dla żartu gonął za mną. To potężny drab chciał mnie obdrzeć i pewny jestem, że czeka na mnie na ulicy. To długo musi czekać na ciebie, ponieważ zostaniesz tu aż do jutra. Zjész wieczerzę i przespisz się z naszymi kucharzami, którzy ci dadzą dobrze jeść.

Te ostatnie słowa uradowały mnie aż do zachwycenia; a jakżeż zdumiewający był dla mnie widok, gdy wprowadzony przez kuchmistrza Diego do kuchni, ujrzałem przygotowania do wieczerzy Jego Wysokości. Narachowałem aż piętnaście osób za-

jętych robotą; ale trudno mi było policzyć wszystkie potrawy, jakleml pan Bóg to miejsce opatrzył. Wtedy to, całym nosem wciągając woń przysmaków, która mnie tylko zdala dolatywała, nauczyłem się być czułym na zmysłowość. Miałem zaszczyt wleczerzać i spać z kuchcikami, którzy raczyli mnie w całym znaczeniu tego wyrazu, a których potrafiłem zyskać przyjaźń, tak dalece, że gdy nazajutrz rano poszedłem dziękować panu Diego, za udzielone mi z jego szlachetności schronienie, odezwał się do mnie: nasze chłopaki kuchenne, oświadczyły mi, iżby się cieszyli, gdybyś został ich towarzyszem, tak im się podobał twój humor. Z twojej strony, chciałżebyś należyć do ich grona? Odpowiedziałem, że gdybym dostąpił tego zaszczytu, stanąłbym u kresu moich życzeń. Kiedy tak, odtąd zaraz uważaj się za ofcyalistę arcybiskupstwa. Późem przedstawił mnie panu *major-domo*, który mnie z miny wesołej, uznał być godnym polczenia w poczet skrobirądłów.

Tylko com objął tak zaszczytne obowiązki, gdy pan Diego, według zwyczaju kucharzy po wielkich domach, którzy potajemnie mięso posyłają swoim lubym, wybrał mnie do takich posyłek do jednej damy w sąsiedztwie, której dostarczałem to plectenie cielęce, to drób lub zwierzynę. Ta dobra kobieta była wdową, trzydzieści lat najwięcej wieć mogącą, bar-



Lucrecia.

dzo piękna, wesoła. Z miny nie zdawała się ściśle wierną swojemu kucharzowi. Tym czasem on nie poprzestał na dostarczaniu jej całego zapasu mięsa, chleba, cukru i oliwy, lecz nie zapomniał także i o winie; wszystko to kosztem pana, któremu służył.

W pałacu Jego Wysokości dokończyłem mojego okrzecania, gdzie wypłatał się dość zabawnego, o którym jeszcze do dziś rozmawiają w Sewilli. Papie i inni domownicy, dla uczczenia rocznicy urodzin swojego pana, umyślił przedstawić komedya. Wybrali sztukę, w której do przedstawienia roli młodego króla Leonu, potrzebny był chłopiec mojego wieku, z tego powodu wszyscy zwrócili oczy na mnie. Major-domo chlubiący się z deklamacyi, podjął się wycuczenia mnie, a dawszy mi kilka lekcyi, zaręczył, że ja zapewne nie będę z liczby tych, co się najgorzej popiszą. Ponieważ to on właśnie był autor tego pomysłu, on także dostarczał funduszu na tę uroczyść; i dlatego sobie wystawic, że niczego nie szczędził do podwyższenia jej okazałości. Wzniesiono w najobszerniejszej sali pałacu, teatr pięknie przyozdobiony; w głębi urządzono łożo z murawy, na którym miałem udawać śpiącego, gdy Maurowie nadciągną i rzucą się na mnie, by w niewolę zabrać. Kiedy aktorowie byli już przygotowani, dostojny nasz pan, oznaczył dzień

przedstawienia i zaprosił najznakomitszych panów i panie z całego miasta:

Gdy dzień ten nadszedł, każdy z aktorów zajęty był swoim ubiorem. Dla mnie przyniósł krawiec w towarzystwie naszego major-domo, który podjąwszy trud w wycuczeniu roli, chciał jeszcze widzieć mnie ubranego. Krawiec ustroił mnie w bogatą suknię z aksamitu błękitnego z guzikami i galonem złotym, z rękawami wiszącymi, frazją złotą obszytymi; major-domo sam włożył mi koronę na głowę, z tektury złoconej, wysadzaną prawdziwymi perłami, między którymi jaśniały fałszywe dyamenty. Do tego włożyli na mnie przepaskę z różowej jedwabnej materii w kwiaty srebrne; przy każdej rzeczy, w którą mnie stroili, zdawało mi się, że mi przypinano skrzydła, abym uleciał i zemknął. Wreszcie ku wieczorowi, zaczęła się komedya. Młody król Leonu najpierwszy występuje na scenę i prawi długi monolog; ponieważ ja przedstawiałem tę osobę, otworzyłem więc scenę potężnym ustępem rymowanym, którego główna treść była, że nie mogąc się oprzeć rozkoszy snu, oddaję się w jego objęcia. W tym samym czasie, cofnąłem się w głab teatru i rzuciłem się na przygotowaną murawę, ale zamlał zasypać, zacząłem przemyslać, jakby się dostać na ulicę i zemknąć z moim ubiorem królewskim. Małe schodki kryte pod teatrem na tejże sali, zdały mi się bardzo dogodnie do wykonania mojego zamiaru. Wstałem po cichu, a widząc, że nikt nie zważa na mnie, wsiadłem na te schodki, a dostawszy się do sali, biegłem do drzwi, wołając: *na bok, bo idę zmieniać ubiór*. Każdy ustępował, zostawując mi wolne przejście, tak że w minucie już byłem za bramą pałacu i pod zasłoną nocy dostałem się do domu owego chwata, mojego przyjaciela.

Zdumiał się, ujrawszy mnie w takim ubraniu. Wyjaśniłem mu rzecz, a wtedy serdecznie się naśmiał. Potem uściłkał mnie z tém większą radością, że nieplonną miał nadzieję podzielenia się łupami króla Leonu. Winszował mi tak pięknego cyzpu, i oświadczył, że jeżeli nie będę ustawał, z czasem rozgłosne z dowcipu zyskam imię w świecie. Nacieszony się do woli, odezwałem się do chwata: cóż my zrobimy z tym bogatym strojem? Nie troszcz się o to, odpowiedział. Znam ja uczciwego tandeclarza, co bez żadnej ciekawości kupuje wszystko, co mu chcą sprzedać, byleby zysk swój w tym widział. Jutro rano pójdę i przyprowadzę go. W istocie nazajutrz raniuteńko wyszedł z izby, zostawiwszy mnie w łóżku; i we dwie godziny przyszedł z tandeclarzem, który niósł z sobą pakę żółtym płótnem obwinętą. Mój przyjacielu, rzekł, przedstawiam ci pana Ybaguez z Segovii, tandeclarza rzetelnego i pełnego honoru, jakiego może nigdy nie było, on mimo zły przykład, jaki mu dają jego towarzysze, może się pochłubić najściślejszą nieskazalnością. On ci powie najrzetelniej, co warto jest ubranie, które zbyć pragniesz i możesz się śmiało spuścić na jego oszacowanie. Oh, co do tego to pewna, rzekł tandeclarz, byłbym bardzo nieuczciwym szacując rzeczy niżej ich istotnej wartości. Tego mi nikt jeszcze nie zarzucił, dzięki Bogu, i tego nigdy nie zarzucą Ybaguezowi z Segovii. Zobaczmy, dodał, manatki, które chcesz sprzedać; powiem ci sumiennie co mogą być warte. Oto są, odezwał się Chwat, pokazując je: przyznaj że nie może być coś pyszniejszego; uważaj ten piękny aksamit geneueński, i bogactwo tego obszycia. Dziwuję się, rzekł tandeclarz obejrzawszy dokładnie ubior, nie masz nic nadto piękniejszego. A co sądzisz o tych perłach prawdziwych? odezwał się znowu mój przyjaciel. Gdyby były okrągłejsze, odpowiedział Ybaguez, byłyby nieoszacowane; jednakże i tak je uważam za bardzo piękne i kontent jestem z nich jak zreszty. Zgadza się, mówił dalej, lubię każdej rzeczy oddawać sprawiedliwość. Oszust tandeclarz w moim miejscu poniżałby towar, aby go dostać za niższą cenę i nie powstydziliby się ofiarować za niego dwadzieścia luddorów, ale ja co mam sumienie dam czterdzieści.

Gdyby Ybaguez był postąpił sto, jeszczeby nie był sprawiedliwym taxatorem, ponieważ same perły warte były dwieście. Chwat, który się z nim porozumiał, mówił mi: Widzisz jakie masz szczęście żeś się dostał w ręce uczciwego człowieka.

Pan Ybaguez szacunje rzeczy, jak gdyby był w chwili zgonu. To prawda, rzekł tandeciarz, dla tego też ze mną nie ma targu, ani szeląga nie ustąpię, ani postąpię. Jakże więc, dodał, czy interes skończony? mamże liczyć pieniądze? Zaczekaj, rzekł Chwat, pierwój mój mały przyjaciel przymterzy suknię, którąś przyniósł ze sobą; tak mi się zdaje, że będzie właśnie dogodna dla niego. Tandeciarz rozwinął swoją paczkę, pokazał mi ubiór z dobrego sukna brunatnego, z guzikami srebrnymi, ale już na pół zużyty. Wstałem czem prędzej, przywdziałem owe suknie, a choć były buchciate i za długie, obadwaj ci panowie uznali, że są tak jakby na urząd dla mnie robione. Ybaguez cenił je na dziesięć ludorów, o ponieważ nie nie opuścił, trzeba się było zgodzić. Wylczyłmi więc na stole trzydzieści ludorów, moje suknie królewskie i koronę zawiązał w paczkę, ciesząc się bezwątpienia, że tak szczęśliwie dzień zaczął.

Po jego oddaleniu się Chwat odezwał się do mnie: bardzo kontent jestem z tego tandeciarza. Miał wielką słusność; bo zapewne najmniej od niego sto ludorów ściągnął faktornego. To mu wszakże nie wystarczało, wzięł bez ceremonii połowę pieniędzy ze stołu, mnie zaś zostawił resztę, mówiąc: mój mały przyjacielu Scypionie, radzę ci abyś z temi pieniędzmi, uchodził bezwłocznie z miasta, bo tu nieochybnie z rozkazu Jego Wysokości śledzić cię będą. Byłbym w rozpacz, gdybyś spełniwszy czyn, który będzie ozdobą historii twojego życia, pozwolił się w głupim sposobie wtrącić do wzięcia. Na co mu odpowiedziałem, że już i tak postanowiłem opuścić Seville; jakoż wistocie kupiwszy kapelusz i nieco bielizny, ruszyłem do Carmony rozkoszną okolicą, pośród samych winnic i gajów oliwnych, we trzy dni później już byłem w Kordubie.

Stałem w hotelu przy wstępie na wielki rynek, przy którym mieszkają kupcy. Udałem się za syna dobrej familli podróżującego dla swojej przyjemności; byłem dość porządnie ubrany, a przytem kilka ludorów jakby od niechcienia pokazane gospodarzowi mogły go przekonać o rzeczywistości mojego twierdzenia. Być może, iż spojrzawszy na takiego dzieciucha, pomyślił sobie, iż jestem jakiś rozpustnik, który okradłszy rodziców puścił się w świat. Cóżkolwiekbać, zdawał się nie być ciekawym wiedzieć więcej nad to co mu powiedziałem, z obawy zapewne, aby takowa ciekawość nie skłoniła mnie do zmiany mieszkania. Za sześć realów dziennie dosyć było wygodnie w tym hotelu, w którym zawsze wiele osób stawało. Na wieczery naliczyłem do dwunastu osób przy stole. Co najzabawniejsze, wszyscy jedli nie nie mówiac, z wyjątkiem jednego, który plotąc koszałki, opaki, bajaniem swoim wynagradzał milezenie innych. Udawał dowcipnego, opowiadał anegdoki, i szlił się dowcipkami rozweselać towarzystwo, które w istocie raz po raz śmiało się, ale raczej się szydząc z niego, nie przyklaskując dowcipowi bynajmniej.

Ja tak mało zwracałem uwagi na jego rozmowę, że byłbym wstał od stołu, nie mogąc zdać sprawy z tego co biał, gdyby

był nie wpadł na przedmiot, który mnie zainteresował. Panowie, zawołał przy końcu wleczery, wszystko com wam dotąd mówił, jest niczem w porównaniu z tem co chcę powiedzieć, na wety schowałem historyjkę najzabawniejszą, przypadek, który w tych dniach zdarzył się w pałacu arcybiskupim w Seville. Słyszałem to od znajomego mi bakałarza, który jak mówił, miał być świadkiem naocznym. Te wyrazy sprawiły na mnie niejaki wrazenie, domyślałem się, że to będzie mowa o moim przypadku i nie omyliłem się. Opowiedział zatem wszystko wiernie, dodając to czego nie wiedziałem, to jest co się stało po mojem oddaleniu: i to wam powtórzę.

Zaledwie umknąłem, gdy z porządku sztuki Maurowie mający mnie zabrać do niewoli, wystąpili na scenę, w zamierze wzięcia mnie z łoża darniowego, na którym miałem spać; lecz kiedy już tylko co mieli się rzucić na króla Leona, zdumieli się nie zastawszy ani króla, ani stroju. Komedia natychmiast przerwana została, wszyscy aktorowie w kłopotcie: jedni wołają mnie, drudzy rozblegli się szukać; ten wrzeszczy, tamteu mnie przeklina. Arcybiskup spoztrzęszy ten uciechad za kulisami, zapytał się o przyczynę: Na rozkaz jego, paż, który grał rolę trefolsia w sztuce, nadbiegł i rzekł Jego Wysokości: Paule, nie lękaj się aby Maurowie nie zabrali króla Leona do niewoli; dzięki Bogu schronił się przed nimi w swoim ubiorze królewskim. Chwała Bogu, rzekł arcybiskup. Wyborne zrobił, uciekając przed wrogami naszej wiary, unikając kajdan, które dlań gotowali. Wrócił zapewne do Leona stolicy swojego królestwa. Bodajby dostał się do niej bez żadnej przygody! Zresztą, nie chcę, aby go śledzono; nie wypada aby z mojej przyczyzny ten miłościwy pan doznał jakiej przykrości. Po czem kazał przeczytać moją rolę i skończyć komedya.

ROZDZIAŁ XI.

Dalszy ciąg historii Scypiona.

Póki miałem pieniądze mój gospodarz był bardzo grzeczny dla mnie, ale skoro spoztrzęł, że ich już zabrakło, stał się zimnym, szukał za-

czepki niemieckiej i pewnego pora nku prosił mnie bez ogródki, abym się gdzie ludzię wyulósł. Porzuciłem go z dumą i wszedłem do kościoła Dominikańskiego, gdzie w czasie mszy zbliżył się do mnie żebrak prosząc o jałmużnę. Dalem dwa czy grosze mówiąc: mój przyjacielu, proś Boga, abym mógł znaleźć dobre miejsce: jeżeli prośba twoja wystuchana zostanie, nie będziesz jej żałował, rachuj na moję wdzięczność.

Żebrak przypatrzył mi się z uwagą i z miną poważną odezwał się: jakiegoż miejsca pragniesz? życzyłbym sobie, odpowiedziałem, być lokajem w domu porządnym. Zapytał się jeszcze, czy to rzecz nagła. Nie może być naglejsza, rzekłem, bo jeżeli nie będę miał szczęścia być umieszczonym jak najprędzej, nie ma środka, albo z głodu muszę umrzeć, albo zapisać się do twojego towarzystwa. Błada tobie, gdybyś do tej ostateczności był przywieziony, nie masz wcale naszego sposobu wzięcia się; ale gdybyś się tylko włożył, przentósłbyś nasz stan nad służbę, która bez zaprzeczenia jest gorszą od



Nauczyciel tańca.

żebractwa. Stęmwszystkiem ponlewał służyć wolisz, nie chcąc ta! jak ja żyć swobodnie i niezalegle, będziesz miał niedługo pana. Tak jak mnie widzisz, mogę ci być użytecznym. Natychmiast zajmę się tobą, a jutro o tej samej godzinie będą tu, zdam ci sprawę z tego co zrobię.

Nie uchybiłem wcale. Następnego dnia stawiłem się w miejscu wskazanem, wkrótce też ujrzałem mojego żebraka, który mi kazał iść za sobą. Idę więc. Zaprowadził mnie do piwnicy niedaleko kościoła, gdzie było jego schronienie. Weszliśmy tam obadwa i usiadłszy na długiej ławce, która najmniej sto lat służy liczyła, tak do mnie przemówił: dobry czyn odbiera zawsze nagrodę. Tyś mnie wczoraj dał jałmużnę, a to mnie skłoniło do wystarania się dla ciebie o miejsce: co się stanie jeżeli taka wola pana Boga. Znam starego Dominikana, ojca Alexego, święty to człowiek i cudowny spowiednik. Mam zaszczyt być jego posłańnikiem, i tak się wywiązuje z tego obowiązku, z taką delikatnością i rzetelnością, iż mi nie odmawia swolch wpływów i wziętości tak dla mnie, jak dla moich przyjaciół. Mówiłem z nim o tobie i usposobiłem go do wyświadczenia ci przysługi. Przedstawię cię jego wielebności, skoro tylko zechcesz.

Nie ma chwili do stracenia, rzekłem żebrakowi, idźmy zaraz do tego dobrego zakonnika. Przysłał na to stary, i natychmiast zaprowadził mnie do ojca Alexego, któregośmy zastali zajętego jakimś pismem pobożnem. Przerwał swoją pracę dla rozmówienia się ze mną. Oświadczył, iż na prośbę żebraka, chce się wstawić za mną. Dowiedziawszy się, mówił dalej, że pan Baltazar Velasquez potrzebował lokaja, dziś rano pisałem do niego za tobą, odpowiedział mi zaraz, że cię przyjmie z mojej ręki. Dziś zaraz udaj się do niego, z mojego zalecenia, jest to mój penitent i mój przyjaciel. Po czem zakonnik przez dobre trzy kwadrasie kupił mnie do sumiennego pełnienia obowiązków. Nadewszystko rozszerzał się nad powłność, służenia Velasquezowi z gorliwością; po czem zapewnił mnie, że starać się będzie utrzymać mnie na mojej posiadzie, byleby pan mój nie miał mi nic do zarzucenia.

Podziękowawszy zakonnikowi za jego dobroć dla mnie, wyszedłem z klasztoru z żebrakiem, który mi powiedział, że pan Baltazar jest to stary kupiec sukienny, człowiek bogaty, prosty i łaskawy. Nie wątpię, że ci będzie bardzo dobrze w tym domu, który jabym przeniósł nad pański. Wypytałem się o mieszkanie kupca i udałem się tam natychmiast, zapewniwszy żebraka, że zawdzięczę jego przysługę, jak się tylko ustale w tym domu. Wszedłem do sklepu, w którym dwóch kupczyków porządnie ubranych przechodziło się, wyprawiając śmieszki i czekając na kupujących. Zapytałem się, czy pan jest, że chcę z nim mówić z polecenia ojca Alexego. Na to szanowne imię wpuszczono mnie do pokoju za sklepem będącego, w którym kupiec przerzucał karty w wielkiej księdze leżącej na stole. Skłoniwszy mu się z uszanowaniem, rzekłem: panie, widzisz młodego człowieka, którego wielebny ojciec Alexy przysłał ci na lokaja. Ah, moje dziecko, odpowiedział, witam cię, dość żeś przysłały przez tego świętobliwego człowieka, przyjmując cię, z pominięciem trzech, czy czterech, których mi sprowadzono. Rzecz skończona, twoje myto od dziś się zaczyna.

Nie długiego potrzebowałem czasu, by się przekonać, że dom tego mieszczanina był właśnie takim, jak go odmalowano. Zdał mi się nawet do tego stopnia prosty, że nie mógł się wstrzymać od myśli, iż kto wie, czy nie będę zmuszony do wyplatania jakiej psoty. Był wdowcem od czterech lat, miał dwoje dzieci; chłopca, który kończył dwudziesty piąty rok, i córkę wchodzącą w trzecie lustro życia. Córka wychowana pod okiem surowej ochmistrzyńi, kierowana przez ojca Alexego, postępowała ścieżką cnoty; ale Gaspar Velasquez jej brat, chociaż niczego nie oszczędzało, aby go ukształcić na uczelwego człowieka, (zła jeonał; wszystkie wady młodego rozpustnika. Nie raz po dwa i trzy dni posłał w domu; a gdy za powrotem ojciec chciał mu robić wyrzuty, Gaspar zamykał mu usta przybierając wyższy jeszcze ton.

Pewnego dnia stary odezwał się do mnie: Scypionie, mam syna, który mi tysiączne przynosi zgrzyoty. Zatoniony jest zupełnie we wszelkiego rodzaju rozpusty. To mnie dziwi niesłychanie, ponlewał ukształcenie jego nie było zaniedbane. Miał wybornych nauczycieli, a ojciec Alexy, mój przyjaciel, wszelkiemi siłami starał się naprowadzić go na dobrą drogę; ale niestety! niczego dokazać nie mógł; Gaspar rozparował się na wszystko złe. Może powiesz, że się zbyt łagodnie obchodził z nim gdy wstępował w wiek młodzieńczy i że to go zgubiło. Ale nie, zawsze był karany, skoro widziałem potrzebę surowości; bo jakkolwiek jestem szlamazarny, umiem przecież być stałym w okolicznościach, które tego wymagają, kazałem go nawet zamknąć w domu poprawy, a ztamtąd wyszedł jeszcze gorzej. Słowem jest to przewrotna głowa, której ani dobry przykład, ani przestrogi, ani nawet kary poprawić nie zdołają. Bóg tylko może cud swój pokazać.

Jeżeli nie byłem wzruszony boleścią tego nieszczęśliwego ojca, przynajmniej starałem się udawać. Jakże pana żałuję! rzekłem. Tak godny człowiek, jak pan jesteś, wart lepszego syna. Cóż chcesz moje dziecko? odpowiedział; Bóg mnie odmówił tej pociechy. Między innymi powodami jakie mi Gaspar nastęrcza do skarżenia się na siebie, muszę ci wyznać w zaufaniu, jest jeden, który mnie wielce niepokoi; jest zaś nim chęć do okradania mnie, do której zaspokojeńia, aż nadto często znajduje sposobność, mimo całą moją ostrożność. Lokaj, którego ty jesteś następcą, porozumiewał się z nim i dlatego go wypędziłem go. Spodziewam się zaś, że ty nie dasz się przekupić synowi, że pilnować będziesz mojej sprawy, pewny jestem że ojciec Alexy toż samo ci zalecił. Oczywiście, odpowiedziałem, Jego wielebność przez całą godzinę prawil mi, abym dobro pańskie jedynie miał na widoku; lecz npewniłam pana, że pod tym względem nie potrzebowałem jego zachęty. Pragnę służyć panu wiernie, i przyrzekam ci gorliwość niezachwianą.

Kto jednej tylko strony słuha, ten nie słyszy nic. Młody Velasquez djabelski pauleczek, pomiarkowawszy z mojego wejścia, że nie będzie mnie trudniej uwięzić jak poprzednika, zaprowadził mnie w miejsce ustronne i tak przemówił: Słuchaj mój kochany, wiem o tem że ojciec kazał ci szpiegować mnie; w istocie tak było; ale strzeż się, bo to obowiązek nieprzyjemny. Skoro dostrzeżesz, że mnie śledzisz, zginięsz pod rękami kija; jeżeli zaś pomożesz mi oszukiwać ojca, możesz liczyć na moją wdzięczność. Czy potrzeba ci wyraźniej mówić? będziesz miał zawsze udział w tem, co potrafiemy urwać ojcu. Masz teraz do wyboru; oświadczać się natychmiast za ojcem lub za synem, nie ma środka.

Panie, zbyt silnie mnie dławisz, rzekłem; widzę, iż nie potrafię się obronić, abym nie miał przyjąć twojej strony, chociaż w gruncie rzeczy, nie mam ochoty zdradzać pana Velasquez. Nie rób sobie żadnego skrupułu, rzekł Gaspar, jest to stary skąpiec, coby mnie jeszcze dotąd chciał wodzić na paskach, przekora, co mi odmawia na niezbędne potrzeby, nie chcąc mi nic dać na moje zabawy, a zabawy w dwudziestym piątym roku życia, są niezbędną potrzebą. Stało się panie, rzekłem mu, tak słusznym powodom do zażalenia trudno się oprzeć. Oświadczam się za panem, i ofiaruję mu pomoc w jego chwalebnych przedsięwzięciach; ale obadwa ukrywajmy starannie nasze porozumienie, by wierny twój pomocnik nie poszedł za drzwi. Myślę, że nie źle będziesz robił, udając wstręt ku mnie; mów do mnie po grubiańsku w obec wszystkich, nie oszczędzaj wyrazów. Kilka policzków nawet, potrącenie w tył nogą, nic nie zepsują, owszem, im więcej okażesz niechęci ku mnie, tem większe pan Baltazar mieć będzie zaufanie. Ja z mojej strony udam, że nie chcę mówić z panem. Usługując przy stole, będę okazywał niechęć, a kiedy będzie mowa o panu, nie będziesz miał za złe, że jak najgorzej wymyślać będę. Zobacysz, że wszystkich omamiemy, będą nas poczytywali za nieubłaganych wrogów między sobą.

Bogu chwała! zawołał Velasquez po tych słowach; zdumiewam się nad tobą mój przyjacielu, zadziwiający talent intry-

gaucki objawiasz w tak młodym wieku; najszczęśliwszą zład biorę wróżbę. Spodziewam się, że przy twóich przebiegach, ojciec nie utrzyma ani jednego dukata. Za wiele mi czynisz honoru, rzekłem, tak dalece spuszczać się na mój przemysł. Użyję wszelkich sił dla usprawiedliwienia powziętej o mnie opinii, a jeżeli mi się nie powiedzie, zapewne nie będzie w tém moja wina.

Wkrótce pokazałem Gasparowi, że byłem chłopcem, jakiego potrzebował właśnie, i oto pierwsza przysługa, którą mu wyświadczyłem. Skrzynia kassowa pana Baltazara, stała w jego pokoju za łóżkiem i służyła mu za kłęcznik do modlitwy. Ilekroć na nią spojrziałem, serce mi biło z radości i mówiłem sam do siebie: skrzynio, moja ty przyjaciółko! czyż na zawsze będziesz dla mnie zamknięta? Nie będę miał pociechy oglądania skarbów, które w łonie swoim ukrywasz? Ponieważ wolno mi było wchodzić w każdym momencie do tej izby, do której wstęp jedynie Gasparowi był wzbroniony, zdarzyło się, iż wypatrzyłem jego ojca, gdy ten sądząc iż nikt go nie widzi, otworzył i zamknął skrzynię, schowawszy klucz za obicie. Uważałem dobrze to miejsce, i zawiadomiłem mojego panicza o tém odkryciu, który ściskając mnie radośnie, zawołał: Ah, kochany Scypionie, co ty mnie powiadasz? Nasze szczęście spełnione, mój drogi, dam ci zaraz wosku, wyciśnij formę klucza i oddaj mi ją, już ja znajdę usłużnego ślusarza w Kordubie, jest to bowiem miasto hiszpańskie, w którym zapewne nie najmniej jest oszustów.

! dla czegoż, mówiłem Gasparowi, każesz dorabiać fałszywy klucz, kiedy możemy używać prawdziwego? Prawda, odpowiedział, lecz obawiam się, aby ojciec przez nieufność, lub z innego powodu, nie zechciał chować go gdzieś indziej, najpewniejsza więc rzecz jest, mieć własny klucz. Uznałem słuszność jego obawy, zgodziłem się na pomysł, i ten wnet wykonany został; gdy mój stary pan pewnego dnia poszedł do ojca Alexego, z którym bardzo długo zwykł był rozmawiać. Nie poprzestałem wszakże na tém, użyłem klucza do otworzenia skrzyni, którą ujrzałem napełnioną większemi i mniejszemi workami, co mnie pięknego nabawiło kłopotu. Nie wiedziałem który z nich wybrać, taki uczułem pociąg i do jednych i do drugich; ale że obawa niespodzianego zejścia, nie pozwalała mi długo namyślać się, pochwyliłem więc na ślepy traf, największy z nich. Potem zamknawszy skrzynię i złożywszy klucz za obicie, wyszedłem z pokoju z moją zdobyczą, którą ukryłem tymczasowo w szatni, nim znalazłem sposobność doręczenia jej młodemu Velasquez, który czekał w domu na schadzkę oznaczonym. Skoro mu dałem znać o wszystkim, w uniesieniu radości uściłkał mnie, tysiącnych nie oszczędził grzeczności, i ofiarował połowę piędędzy znajdujących się w worku, czego wszakże przyjąć nie chciałem. Nie, nie, mój panie, rzekłem, użyj tego na swoje potrzeby. Ja niedługo wrócę do skrzyni, w której dzięki Bogu, znajdzie się dosyć dla nas obudwóch. W istocie, w trzy dni później, zabrałem znowu drugi worek, obejmujący podobnie jak pierwszy, pięćset talarów. Z tego przyjąłem czwartą część tylko, chociaż pan Gaspar z całą naturalnością żądał, bym się z nim po bratersku dzielił.

Młody panicz dorwawszy się takiej summy piędędzy, mógł śmiało zaspokoić swoje żądze, cały też zatopił się w upodobanych przez się rozkoszach. Główną zaś przyjemność jego, stanowiły kobiety i karty. Na nieszczęście zawróciła mu głowę jedna z tych okrzyczanych, które w krótkim czasie pożerają i pochłaniają największe dziedzictwa. Dla niej to ponosił straszliwe wydatki, co mnie zmuszało tak często odwiedzać skrzynię, iż nareszcie stary Velasquez spostrzegł, iż go okradają. Scypionie, odezwał się pewnego poranku, muszę ci otworzyć moje serce; ktoś mnie okrada mój przyjacieliu; otworzono moją skrzynię, wyciągnięto z niej kilka worków; to już niewątpliwe. Kogóż mam posadzać o tę kradzież? albo raczej, któż inny jeżeli nie mój syn, dopuściłby się tej zbrodni? Gaspar ukradkiem dostał się zapewne do mojego pokoju, albo może ty sam go wprowadziłeś; bo mnie bierze pokusa do posadzenia cię o zmwę z nim, chociaż zdajecie się być z sobą w nie-

przyjaźni. Jednakże nie chcę przypuszczać do serca takowych podejrzeń, ponieważ ojciec Alexy, zaręczył mi za twoję wierność. Odpowiedziałem: dzięki Bogu, dobro cudze nigdy dla mnie nie miało ponęty; i to kłamstwo stwierdziłem takim wykrzywieniem twarzy, iż mi posłużyło za całą apologią.

W rzeczy samej, stary już mi więcej o tém ani wspominał, ale mnie otoczył swoją nieufnością, a zabezpieczając się od naszych zamachów, kazał zmienić zamek u skrzyni i odtąd klucz od niej, zawsze nosił przy sobie. Od tej chwili przerwały się związki uasze z workami, wyglądaliśmy bardzo głupio, a osobliwie pan Gaspar, który nie mogąc ponosić kosztów utrzymania swojej nimfy, lękał się, by mu nie przyszło pożegnać się z nią na zawsze; miał jednak dosyć dowcipu, do wymyślenia przebiegu, który go jeszcze przez czas niejaki, na świetnej utrzymywał stopie; tym genialnym pomysłem było, przywłaszczenie sobie w sposób pożyczki tego, co mu się zostawało z podskubanych piórek starego. Oddałem mu ostatni grosz, co jak mi się zdaje, mogło uchodzić w pewnym względzie za zwrot kupcowi w osobie jego spadkobiercy.

Ten młody człowiek wyczerpawszy i to ostatnie źródło, zastanowiwszy się, iż już żadnego nie ma środka, wpadł w głęboką melancholię, która z wolna pomieszała mu rozum. Ojca uważał jedynie za sprawcę swojego nieszczęścia. Rozpacz go ogarnęła, i nie bacząc na głos krwi, powziął okropny zamiar otrucia go. Nie dosyć że mi się zwierzył z tym przeklętym pomysłem, chciał mnie nadto użyć za narzędzie swojej zemsty. Na ten wniosek strachem rażony, odezwałem się do ulego: panie, czy podobna, aby tak dalece Bóg o tobie zapomniał, iż stałeś się zdolnym do powzięcia tak obmierzonego zamachu? Jaktó! byłżebyś zdolnym zadać śmierć, dawcy życia twojego? Tożby w Hiszpanii, na łonie chrześcijaństwa, miało spełnić zbrodnię, której samo wyobrażenie, odrazą przejęłoby ludy barbarzyńskie! Nie, kochany panie, dodałem, ściskając jego kolana, nie, ty nie spełnisz czynu, któryby oburzył cały świat przeciw tobie, a którego następstwem, haniebna byłaby kara.

Więcej jeszcze podobnych rzeczy powiedziałem do Gaspara, żeby go odwrócić od zbrodniczego zamiaru. Nie wiem zkąd mi się brały te rozmowy uczciwego człowieka, aby złamać jego rozpacz; to wszakże pewna, że mówił do niego jak doktor filozofii z Salamanki, chociaż byłem tak młody, a do tego syn Coscoliny. Stęmszyszkciem, napróżno go zachęcałem, by wszedł sam w siebie, by śmiało odrzucił myśli obmierzłe, co oświadczyły umysł jego, cała wymowa moja, na nic się nie przydała. Spuścił głowę na piersi i w ponurém milczeniu kazał mi się domyślać, że się nie cofnie.

W skutek tego i ja innę chwyciłem się strony, postanowiłem wszystko wyjawić mojemu staremu panu; prosiłem go o tajną rozmowę, na którą przystał. Gdyśmy się obadwa zamknęli w pokoju, rzekłem: panie, pozwól niech ci upadnę do nóg i błagam twojego miłosierdzia. To mówiąc, rzuciłem się do stóp jego z wielkiem wzruszeniem i łzami zalany. Kupiec zdumiony mojem postępowaniem i młną tak pomieszana, zapytał się, cobym takiego zrobił. Popęniłem błęd, odpowiedziałem, którego mocno żałuję i który sobie przęd całe życie wyrzucać będę. Byłem tyle słaby, że się skłonił na prośby syna twojego i pomagałem mu do kradzieży twojej skrzyni. Zarazem wyznałem mu szczerze wszystko w tym względzie, a następnie opowiedziałem mu ostatnią moją rozmowę z Gasparem, objawiając mu jego zamiary z najdrobniejszemi szczegółami.

Jakkolwiek stary Velasquez najgorzej miał opinią o swoim synu, jednakże ledwie mógł wierzyć moim słowom. Nie wątpiąc przecież o szczerości mojego wyznania: Scypionie, odezwał się podnosząc mnie, bom ciągle u nóg jego leżał, przebaczam ci przez wzgląd na tak ważne twoje wyznanie. Gaspar, dodał głosem mocniejszym, Gaspar czyha na moje życie! Ah! synu niewdzięczny, potworze, który należało raczej udusić po urodzeniu, niż wychowywać na ojcobójcę! jakż masz powód targania się na moją głowę? Dostarczam ci corocznie należytą sumę na twoje rozrywki i to cię nie zadowala! Czyż dla zaspokojenia twóich chuci, mam pozwolić na zubożenie twojej

siostry i zmarnowanie całej ojcowizny? Po tak gorzkiej przemowie, polecił mi zachować tajemnicę, i zostawić mu wolność działania w okoliczności tak drażliwej.

Łamałem głowę, jak też sobie postąpił ten ojciec nieszczęśliwy, gdy tegoż jeszcze dnia, kazał zawołać Gaspara i nie pokazawszy mu wcale co się w jego duszy dzieje, tak do niego przemówił: Mój synu, odebrałem list z Meridy, w którym mi piszą, że jeżeli byś miał zamiar ożenić się, osłaruj ci pannę piętnastoletnią, bardzo piękną i z bogatym wianem. Jeżeli nie masz wstępu do małżeństwa, pojedźmy jutro do Meridy, zobaczymy pannę, jeżeli ci się podoba, ożenisz się; jeżeli nie, wtedy nie będzie mowy o małżeństwie. Gaspar posłyszawszy o wielkim posagu, rozumiejąc, że już go ma w ręku, bez wahania się przystał na tę podróż; tym sposobem nazajutrz oświadczył, ruszył obadwa w drogę, na dobrych mulach.

Kiedy wjechali pomiędzy góry Fesira i dostał się do młejsca równie miłego dla złodziejów, jak straszego dla podróżnych. Baltazar zsiadł z muła, rozkazawszy synowi zrobić toż samo. Młody usłuchał, ale pytał się, po co w tym młejscu każe mu zsiadać z muła. Zaraz ci powiem, rzekł starzec, spoglądając nań okiem, w którym się boleść jego malowała: nie pojedźmy do Meridy, a małżeństwo o którym ci mówiłem, jest istną bajką, którą wymyśliłem aby cię sprowadzić w to miejsce. Synu niewdzięczny i wyrodoty, wlem o zbrodni nad której spełnieniem rozmyślaś. Wiem, że przyszydzona za twojem staraniem trucizna, ma mi być podana; lecz nierozważny człowieku, jakże śmieśz pochlebiać sobie, że tym sposobem odbierzesz mi życie bezkarnie? Co za ślepotą! Zastanów się, twoja zbrodnia wnet na jaw by wyszła, a ty byś zginał z rąk katowskich. Jest sposób bezpieczniejszy, mówił dalej, do zaspokojenia twojej wściekłości, bez narażenia się na śmierć haniebną. Jesteśmy tu bez świadków, w młejscu, w którym się codzień spełniają morderstwa; pouleważ tak cię trapi pragulenie krwi mojej, utop sztylet w mojem łonie, morderstwo to przypiszą zbrojcom tych stron. Po tych słowach Baltazar odstaniając piersi i wskazując synowi miejsce serca, oto masz Gasparze, dodał, tu wymierz cios śmiertelny, za karę, żem sprawcą życia takiego jak ty zbrodniarza!

Młody Velasquez temi słowy jakby piorunem rażony, nie siląc się na usprawiedliwienia, padł bez czucia do stóp ojca swojego. Ten poczciwy starzec, ujrawszy go w takim stanie, który mu się zdał początkiem skruchy, uległ słabości rodzicielskiej; pośpieszył mu na pomoc, lecz Gaspar odzyskawszy przytomność, nie mogąc znaleźć włokę ojca, tak słusznie zagławanego, zebrał ostatnie siły by powstać; dostał swojego muła i słowa nie rzekłszy odjechał. Baltazar nie zatrzymywał go wcale, a zostawiając go na łup wyrzutom sumienia, wrócił do Korduby i w sześć miesięcy później dowiedział się, że wstąpił do klasztoru kartuzów w Sewilli, aby tam na pokucie resztę dni swoich przepędzić.

ROZDZIAŁ XII.

Koniec historyi Scypiona.

Zły przykład, zbawienny czasami wpływ wywierają. Postępowanie młodego Velasqueza, wywołało we mnie głęboką rozagę nad moim. Zacząłem walkę z moimi skłonnościami złodziejskimi i starałem się żyć, jak na uczciwego chłopca przystoi. Nalóg grabienia pieniędzy, gdzie się tylko udało, zakorzenił się we mnie przez tylokrotne czyny, iż nie łatwo było przełamać go. Jednakże miałem nadzieję, że dokonaę swojego, bom słyszał nie raz mówiących, że aby zostać cnotliwym, trzeba tylko szczerzej chęci. Rozpocząłem więc to wielkie dzieło, a Bóg pobłogosławił moje usiłowania; już więc nie zwracałem pożądanego oka na skrzynię starego kupca; zdaje mi się nawet, że choćbym miał sposobność łatwą do wymykania z niej worków, nie byłbym tego uczynił. Przysnam się wszakże, iżby to była nierozwaga wystawiać na taką próbę, moją dopiero co wykluwającą się nieskazitelność; dla tego też Velasquez dalekim był od tego.

Don Manrique de Medrona, młody szlachcic i kawaler zakonu Alcantara, często przybywał do naszego mieszkania. Była to nasza znajomość handlowa, jeżeli nie najkorzystniejsza, tedy przynajmniej najszlachetniejsza. Ja miałem szczęście podobać się temu kawalerowi, który ilekroć spotkał się ze mną, zaczął mnie, żebym mu bąjał, znajdując w tym przyjemność, jak mi się zdawało. Scypionie, rzekł raz do mnie, gdybym miał lokaja z tak wesołym humorem, zdawałoby mi się, że skarb posiadam i gdybyś nie należał do człowieka, którego poważam, starałbym się odmówić mu ciebie. Paule, odpowiedziałem, nie trudno ci będzie tego dokazać, bo ja z natury lubię osoby znakomite, to moja słaba strona; ich wzięcie się niewymuszono, zachwyca mnie. Kiedy tak, odezwał się don Manrique, poproszę don Baltazara, żeby ci pozwolił przejść do mnie na służbę, nie spodziewam się, by mi odmówił tej łaski. W istocie Velasquez tem chętniej zezwolił, że nie sądził, aby utrata lokaja oszusta, trudną była do wynagrodzenia. Ja zaś niesłychanie rad byłem tej odmianie, lokaj bowiem mieszczanina, wydawał mi się kapcanem, w porównaniu z lokajem kawalera z Alcantary.

Żeby wam dać wierny obraz mojego nowego pana, muszę wam powiedzieć, że to był kawaler najprzystojniejszy, który podobał się wszystkim przez swoją słodycz i uprzejmość, równie jak przez delikatny dowcip. Prócz tego był waleczny i pełen poczciwości. Nie mu nie brakło prócz majątku, będąc bowiem młodszym synem rodziny, więcej świetnością pochodzenia, niż majątkiem znakomitej, zmuszony był żyć kosztem starszej ciotki mieszkającej w Toledzie, a która kochała go jak syna i dostarczała mu pieniędzy na jego utrzymanie. Ubił się zawsze czysto, wszędzie go chętnie przyjmowano. Odwiedzał wszystkie najznakomitsze panie w mieście, a między innymi margrabinę Almenara. Była to wdowa siedmdziesięcioletnia, ale obejście się ujmującym i wdziękami dowcipu, potrafiła wabić do siebie całą szlachtę Kordubańską. Tak mężczyźni jak kobiety z rozkoszą słuchali jej rozmowy i dom jej nosił nazwę: *dobrego towarzystwa*.

Mój pan był największym zwolennikiem tej pani. Pewnego wieczoru wracając od niej, zdał mi się jakoś bardziej rozdrażniony. Panie, rzekłem, widać na twarzy pańskiej jakieś wzruszenie, wierny sługa jego, może się ośmielić zapytać o przyczynę? nie miałoby się panu wydarzyć co nadzwyczajnego? Kawaler uśmiechnął się na to pytanie i wyznał, że go mocno zajmuje ważna rozmowa, jaką miał z margrabiną Almenara. Cieszyłoby mnie to, rzekłem także uśmiechając się, aby to siedmdziesięcioletnie pięścielko, oświadczyło się panu ze swoją miłością. Nie myśl o żartach, odpowiedział mi, wiedz mój przyjacielu, że margrabina kocha mnie. Kawalerze, odezwała się do mnie, znam twój szczerzy majątek, równie jak szlachectwo; czuję przywiązanie do ciebie i chcę cię zaślubić dla zapewnienia ci przyzwoitego stanu, bo w inny sposób nie mogę cię z godnością zubożać. Wiem że ten związek wystawi mnie na śmieszność w świecie, że po wszystkich kątach toczyć się będą uszczypliwe o mnie rozmowy, że wreszcie ogłoszą mnie głupią, starą, która chce wchodzić w powtórnie związki; mniejsza o to, postanowiłam wzgardzić plotkami, by ci zapewnić los przyjemny. Tego się tylko obawiam, dodała, abys ty nie miał wstępu, odpowiedzieć moim życzeniom.

Otóż jest, co mi powiedziała margrabina; jest to rzecz tém dziwniejsza, że margrabina uchodzi w Kordubie za kobietę najrozsądniejszą i najprzystojniejszą; dla tego też odpowiedziałem jej, że dziwi mnie mocno, iż mi ofiaruje swoją rękę, upornie obstając dotąd za utrzymaniem aż do końca swojego wdowieństwa; na co mi rzekła, że mając dobra znakomite, chciałaby za życia przekazać je uczciwemu człowiekowi którego kochała.

Pan zapewne, rzekłem, nie będziesz się opierał? Czyż możesz o tém wątpić? odpowiedział, margrabina ma ogromne dobro obok pięknych przymiotów serca i umysłu. Trzeba by nie mieć piątę klepki, żeby wypuścić z rąk takie szczęście.

Pochwaliłem szczerze zamiar pana mojego korzystania z tak pięknej sposobności, a nawet radziłem mu przyspieszyć rzeczy,

tak dalece lękałem się zmiany. Szczęściem paną więcej jeszcze jak mnie obchodził ten interes; tak stanowcze wydała rozkazy, iż przygotowała na gody szybko ukończone zostały. Skoro się po Kordubie rozeszła wieść, że stara margrabina Almenara postanowiła zaślubić młodego don Manrique de Medrona, żartowniście poczęli się bawić kosztem tej wdowy; na próżno wszakże wysilali swój dowcip na żłośliwe przyciuki, nie potrafili zmienić jej postanowienia. Pozwoliła szerzyć się plotkom po mieście, a sama z młodym kawalerem poszła do ołtarza. Gody odprawiono z przepychem, który nowego dostarczył przedmiotu złym językom. Nowo-zamężna, mówiono, powinna by przynajmniej dla samego wstydu i przyzwolności zaniechać hucznego obrzędu, jaki nie przystoi wcale starym wdowom zaślubiającym młodych mężów.

Margrabina zamiast rumienić się, że w tym wieku została żoną kawalera, owszem jawnie, bez żadnego przymusu objawiła radość, jaką z tego powodu czuła. Była u niej wielka uczta, z towarzyszeniem muzyki, skończyła się zaś wielkim ballem, na który zaproszono całą szlachtę Korduańską obojętnej płci. Ku końcowi balu nowo zaślubieni wysunęli się, udając się do jednego pokoju, w którym się zamknęli w towarzystwie panny pokojowej i mnie; co znowu posłużyło towarzystwu do żartków z margrabini; ale ta pani wcale nie tak myślała, jak jej przypisywano. Ujrzawszy się sam na sam z moim panem, tak się odezwała do niego: Don Manrique, oto jest twój pokój, mój jest w innym punkcie pałacu; noce przepędzać będziemy w pokojach osobnych, a w dzień będziemy żyli z sobą jak matka z synem. Kawaler zawiódł się zrazu, mniemał, że ta pani dla tego się podobnie odzywa, by go powołać do pewnej natarczywości; a rozumiejąc, że przez samą grzeszność wypada mu udawać rozkochanego, prosił jej, żeby mu pozwoliła być szatnym swoim; ale zamiast przyzwolić na jego żądanie, odepchnęła go z miłą poważną, mówiąc: stój don Manrique, jeżeli mnie bierzesz za jedną z tych czułych kobiet podeszłego wieku, które idą powtórnie za mąż z ułomności natury, tedy myślisz się bardzo; nie zaślubiłam cię dla tego, abys kupował te korzyści jakie ci zapewniałam umową przedślubną, są to czyste dary mojego serca, i po wdzięczności twojej nic więcej nie wymagam nad uczucia przyjaźni. To rzekłszy, zostawiła nas w naszym pokoju, sama z pokojówką oddaliła się do swojego, stanowczo zakazując kawalerowi towarzyszenia sobie.

Po jej oddaleniu się, don Manrique i ja, stanęliśmy odurzeni tém cośmy słyszeli. Scypionie, odezwał się mój pan, spodziewałeś się takiej mowy, jaką teraz margrabina wyrzekła? Co ty myślisz o takiej pani? Ja myślę, odpowiedziałem, że to jest kobieta, jakiej nie ma drugiej na świecie. Co za szczęście dla pana, być jej mężem! jest to zyskać dobrodziejstwo bez zobowiązań. Co do mnie, mówił don Manrique, podziwiam żonę tak czelgodnego charakteru, dla tego zamyslałem odplacić jej tę ofiarę delikatnego uczucia, usłużnością i powolnością dla niej, na jaką tylko zdobyć się potrafię. Jeszcze przez chwilę rozmawialiśmy o naszej pani, po czém udaliśmy się na spoczynek, ja na mój werek do szatni, pan zaś do przepyszego łoża, jakie mu przygotowano.

Zabawy wznowiły się dnia następnego, a nowo zamężna tak była wesoła, iż nowego dodała żywiołu złym językom. Z tego wszakże co oni powiedzieli, pierwsza się śmiała; zachęcała nawet żartowniściów, z uprzejmością przyjmując ich dowcipki. Kawaler nie mniej okazywał się zadowolonym jak jego małżonka, a patrząc na jego czułość gdy na nią spoglądał, lub do niej przemawiał, rzekłbyś, że szczególnie podobala mu się starość. Wieczorem nasi małżonkowie rozmawiali z sobą, i postanowili, że bez najmniejszego przymusu jedno, względem drugiego, tak żyć będą, jak żyli przed zaślubieniem. Jednakże trzeba powiedzieć na pochwałę don Manrique, iż przez szacunek dla swojej żony zrobił to, na coby się w jego miejscu rzadko który mąż zdobył: opuścił mieszczankę, którą przed tém kochał, i od której był kochany, nie chcąc utrzymywać stosunków, któreby zdawały się być zlewagą delikatnego z nim postępowania jego żony.

Kiedy takie składał dowody wdzięczności dla swojej podeszłej pani, ona odpłacała je z lichwą, nie wiedząc nawet o nich; oddała pod rozporządzenie jego swoją kasę, więcej daleką wartą niż Velasqueza. Ponieważ ograniczyła dwór swój w czasie wdowieństwa, teraz przywróciła go na tę samą stopę, jak za życia przeszłego jej męża, powiększyła liczbę służących, zapełniła stajnię koniami i mułami, słowem przez jej wspałałomyślą dobroć, kawaler najuboższy z całego zakonu Alcantara, został najbogatszym. Zapytałeś się zapewne, cobym ja na tém wszystkiem zyskał: dostałem pięćdziesiąt luidorów od mojej pani, a sto od pana, który nadto zrobił mnie swoim sekretarzem z płacą czterech set talarów. Dostyc nawet miał zaufania we mnie, gdy chciał żebym został jego podskarbm.

Podskarbm! zawołałem, przerywając w tém miejscu mowę Scypionowi i śmiejąc się z całego gardła. Tak jest, panie, odpowiedział poważnie i zimno, tak podskarbm. Śmiało powtém, że m zaszczytnie pełnił obowiązki tego urzędu. Prawda, że może cokolwiek winien zostałem kasie, biorąc swoją płacę naprzód, a następnie opuściwszy służbę nagle, może łatwo rachunkowość chybną została. Na wszelki wypadek, jest to ostatni zarzut, który mi uczynić można, ponieważ od owego czasu byłem zawsze pełen prawości i uczciwości.

Byłem więc, mówił dalej syn Coscoliny, sekretarzem i podskarbm don Manrique, który zdawał się być tyleż zadowolonym ze mnie, ile ja kontent z niego, gdy w tym odebrał list z Toledu, donoszący mu, że dona Teodora Muscoso, jego ciotka, bliską zgonu była. Rozrzewniony tą nowiną, udał się natychmiast w drogę do tej pany, która od dawna była dlań matką. Towarzyszyłem mu w tej podróży, z szatnym i jednym lokajem; wszyscy czterej dosiedliśmy najlepszych koni z naszej stajni, szybko stanęliśmy w Toledzie, zastawszy donę Teodorę w staule czyniącym nadzieję, że z przyczyny tej choroby nie umrze i w istocie nasze przepowiednie, choć sprzeczne z wróżbą starego jej lekarza, wypadek usprawiedliwił.

Kiedy zdrowie naszej dobrej ciotki widocznie się polepszyło, nie tyle zapewne w skutek dawanych jej leków, ile przez obecność ukochanego siostrzeńca, pan podskarbm przepędzał czas, jak tylko mógł najprzyjemniej, z młodymi ludźmi, których znajomość wielce mu pożyteczną była do wyuzależnienia sposobności wydawania pieniędzy. Oprócz uczt zalotnych, które z ich namowy dawałem dla kobiet, z którymi mnie zaznajomili, wciągali mnie nadto niekiedy do szulerni i tam zapraszali do kart. Ze zaś nie byłem tak zgrabnym graczem jak pan Abel, częściej przeto przegrywałem, niż wygrywałem. Nieznacznie nabierałem ochoty do gry, i gdybym się był oddał tej namiętności, byłaby mnie niezawodnie zmusiła do ścągnięcia z kasy kilku kwartałów naprzód, lecz na szczęście miłość ochroniła kasę i moją cnotę. Pewnego dnia przechodząc koło krocioła *de los Reyes*, ujrzałem przez żaluzje młodą dziewczęcę, która mi się istnieniem bóstwem wydała. Użyłbym jeszcze mocniejszego wyrażenia, gdyby jakie było, abym wam dał poznać wrażenie, jakie widok jej na mnie zrobił. Zacząłem się wywadywać i doszedłem, że się zowie Beatrix, że jest panną pokojową dony Julii, młodszej córki hrabiego Polan.

Beatrix przerwała Scypionowi, śmiejąc się do rozpuku, poczem zwracając mowę do mojej żony, nadobna Antonio, rzekła, przypatrz mi się dobrze, proszę cię, czyż nie zdaje ci się, że mam postać bóstwa? Wtedy miałaś ją w molch oczach, rzekł Scypion, a od chwili w której wierność twoja przestała mi być podejrzaną, wydajesz mi się piękniejszą, aniżeli mogła być kiedykolwiek. Mój sekretarz po tak zalotnej odpowiedzi, tak dalej opowiadał swoją historią.

To odkrycie zapaliło we mnie żądzę, ale wcale nie prawą. Wyznaję to szczerze, wystawiałem sobie, że łatwo odniosę tryumf nad jej cnotą, jeżeli jej rzucę ponętę w darach zdolnych nią zachwycić, alem źle sądził o nieskazitelnym panie Beatrix. Opóżno przez najętę kobiety ofiarowałem jej moją szkatułkę i moje zabiegi, z dumą odrzuciła moje przedstawienia. Opór jej zamiast ostudzić mój zapal, jeszcze go bardziej rozżarzał. Udałem się przeto do ostatniego środka; kazałem jej

ofiarować moją rękę, przyjęła ją dowiedziawszy się, że byłem sekretarzem i podskarbisem don Manriqua. Uznawszy za rzecz przyzwoitą ukrywać przez czas niejaki nasze małżeństwo, wzięliśmy ślub potajemnie w obecności pani Lorency Sephyory, ochmistrzyni Seraflny, i przy kilku innych służących hrabiego Polan. Skoro tylko zaślubiłem Beatrix, natychmiast ułatwiła mi widzenie się z sobą we dnie, a w nocy miewaliśmy schadzki w ogrodzie, dokąd dostawałem się dzwiczkami, od których klucz mi dała. Nigdy jeszcze dwoje małżeństwa nie byli tak z siebie nawzajem kontenci, jak my jedno ze drugiego. Beatrix i ja z równą niecierpliwością oczekiwaliśmy godziny umówionej; biegliśmy na miejsce schadzki z równymże pośpiechem, a czas któryśmy z sobą przepędzali, choć nie raz dość długi nam się przecież zawsze wydawał zbyt krótkim. Wreszcie żyliśmy raczej jak kochankowie, nie jak małżeństwo. Los zawistny wkrótce zakłócił naszą szczęśliwość. Pewnej nocy, która tak okropną była dla mnie, jak poprzednie miłe, zdumałem się wchodząc do ogrodu, że małą furkę zastał otwartą. Ta nowość zatrzwożyła mnie; wyprowadziłem z niej złą wróżbę: zadrżałem, jak gdybym przeczuwał co mnie spotkać miało, a postępując ku altanie, gdzieem zwykle rozmawiał z moją żoną, usłyszałem głos mężczyzny; stanąłem w tej chwili, żeby lepiej podsłuchać, i następne wyrazy utkwily w moich uszach: Nie dręcz mnie dłużej kochana Beatrix, spełnij moje szczęście; pamiętaj, że los twój do tego przywiązany. Zamiast cierpliwie posłuchać dalej, mniemałem, że mi nie trzeba było wleźćliwie wleźć, wściekła zazdrość opanowała moją duszę, a samą zemstą oddychając, dobyłem szpady, i nagle wszedłem do altany. Podły zwodzicielu, krzyknąłem, ktokolwiek jesteś, pierwaj wydrzyj mi życie, nim honor odbierzesz. To mówiąc natarłem na mężczyznę który rozmawiał z Beatrix. Szybko się zastawił, i walczył jako człowiek lepiej odemnie umiejący robić bronie, ja bowiem kilka zaledwie lekcji fechtowania wziąłem w Kordubie. Tymczasem choć tak wielkim był rycerzem, przecież nie mógł się zastawić przed moim ciosem, czyli raczej potknął się; widziałem go padającego: a sądząc że go śmiertelnie ranił, uciekłem co prędzej, nie chcąc nawet odpowiedzieć Beatrycy, która z całej siły wołała za mną.

Tak w istocie, przerwała żona Scyplona, zwracając mowę do nas, wołałam na niego, by go wywleźć z błędu. Kawaler z którym rozmawiałam w altanie był don Fernand de Leyva. Ten pan kochając Julię, moją panią, powziął zamiar uprowadzenia jej, sądząc, że tym jedynie sposobem pozyskać ją potrafi: ja sama naznaczyłam mu schadzki w ogrodzie, aby się ułożyć względem tego uprowadzenia, od którego, jak mnie zapewniał, miał zależyć los mój; ale napróżno krzyczałam. żeby przywołać mojego męża; zaślepiony gniewem, uciekał odemnie, jak od żony wiarołomnej.

Wówczas, mówił dalej Scyplon, byłem zdolny do wszystkiego. Ci którzy z doświadczenia wiedzą, co to jest zazdrość, i do jakiego szału doprowadza najrozsądniejszych ludzi, nie będą się dziwić, że taki zawrót sprawiła w moim słabym muzu; w owej chwili wpadłem z jednej ostateczności w drugą; nienawisć zajęła miejsce czułości, jaką miałem przed chwilą dla mojej żony. Poprzysiągłem porzucić ją, i wygluzować na zawsze z pamięci. Prócz tego, rozumiałem, że zabił swego kawalera, w tym przekonaniu, bojąc się wpaść w ręce sprawiedliwości, doświadczałem tej zgubnej niespokojności, która nakształt furi wszędzie śiega człowieka co spełnił czyn zbrodniczy. W tak okropnym położeniu, myśląc jedynie o własnym bezpieczeństwie, nie wracałem już do mieszkania, lecz w tejże godzinie wyszedłem z Toledu, nie mając nic innego prócz sukni w którą byłem ubrany. Prawda, że w kleszeni było około sześćdziesiąt Inidorów, co nie miałem było zasłankiem dla młodego człowieka, gotowego żyć wiecznie ze służby.

Szedłem całą noc, czyli właściwie mówiąc biegałem, ponieważ obraz algazilów, nastawnie obecny przed memi oczyma, dodawał mi coraz nowych sił. Świt zastał mnie między Rodillas i Magneda. Kiedym stanął w tym ostatnim miasteczku, czując się znużonym, wstąpiłem do kościoła, który tylko co

otworzono, a odmówiwszy modlitwy, usiadłem na ławce, żeby spocząć. Zacząłem dumać nad stanem spraw moich, które aż nadto wiele powodów dawały mi do rozmyślenia, lecz nie miałem czasu do zastanowienia się. Usłyszałem rozlegający się po kościele trzask bicia, z kądem pomiarkowałem, że musi tamtędy postępować jakiś mułowodca. Wstałem zaraz, by się przekonać, czy się nie mylę, a dostawszy się do drzwi ujrzałem istotnie mułowodzcę, siedzącego na mule i powodzącego dwa inne łożno idące. Zatrzymaj się przyjacielu, zawołałem, dokąd idą te muły? do Madrytu odpowiedział. Przywiózłem tu zmiatad dwóch zakonników i wracam.

Następująca się sposobność odbycia podróży do Madrytu dodała mi ochoty do tego: zgodziłem się z mułowodzcą, siadłem na mule i puściliśmy się drogą do Illescas, gdzieśmy mieli nocować. Zaledwieśmy wyjechali z Magnedy, gdy mułowodca, około czterdziestu lat mieć mogący, rozpoczął śpiewy kościelne z całego gardła. Choć mi uszy pękały od jego wrzasku, zachęcałem go przecież do ciągłego śpiewania; ilekroć odpoczywał dla oddechu. Śmiało przyjacielu, mówiłem dalej, dalej! nie ustawaj. Jeżeli niebo dało ci silne płuca, nie używasz tego daru na złe. Oh! co do tego, to nie, zawołał, ja nie jestem z rzędu tych furmanów, którzy nucą same śpiewki nieczne, lub bezbożne, ja nawet nigdy nie śpiewam balad z naszych wojen z Maurami; bo chociaż to nie są rzeczy nienuczliwe, przyznasz bez wątpienia, że są płocne, że dobry chrześcijanin nie powinien się nimi zajmować. Masz widzieć, mówiłem doń, czyste serce, czem się rzadko który mułowodca poszczycić może. Ale powiedz też mi, mój przyjacielu, przy tej wielkiej drażliwości twojej w wyborze śpiewów, czy też dopełniasz ślubu czystości w karczmach, w których są młode służące? Zapewne, odpowiedział, powściągliwość, jest także rzeczą, którą się pochłubić mogą w takich miejscach; ja myślę tylko o staraniu około moich mułów. Zdziwiłem się nie mało, słysząc tak mówiącego tego fenixa mułowodzców, a uważając go za człowieka uczciwego i dowcipnego, zawiązałem z nim rozmowę, kiedy się już do woli naśpiewał.

Pod wieczór przybyliśmy do Illescas. Stanąwszy w domu zajezdnym, zostawiłem staranie o mułach mojemu towarzyszo wi, a sam udałem się do kuchni, zalecając gospodarzowi, aby nam przygotował dobrą wieszerzę; co przyrzekł zrobić tak dobrze, iż jak mówił, pamiętać go będę całe życie. Spytał się pan, mówił mi, spytał się twojego mułowodzcy, co to ja za człowiek. Jak mi Bóg miły! gotów jestem wyzwać wszystkich kucharzy z całego Madrytu i Toledu, niech przyrządzą taką *olla putrida*, któraby się zrównała z moją. Dziś uraczę was combrem królika po mojemu przyrządzonym; zobaczycie czy słuszenie chlubię się z moją sztuką. W tém pokazując mi rądel, w którym postekany był królik, jak mówił; otóż to dodał, co wam chcę dać na wieszerzę, wraz z baranią łopatką pieczoną. Jak to przyprawię pieprzem, solą, winem, garścią ziół i jeszcze innych dodatków, których używam do sosów, wtedy wam zastawię przysmaczek godny podniebienia samego contado mayor.

Tak pochwalwszy się pan gospodarz, zabrał się do przyrządzenia wieszerzy, kiedy tém się zajmował, ja tymczasem wszedłem do izby, i rzuciwszy się na łożko, jakie zastałem, smaczno zasnąłem, bom przez całą noc poprzednią nie spoczywał. Po dwóch godzinach mułowodca przebudził mnie, mówiąc: mój szlachcicu, wieszerza twoja już gotowa, pójdz z łaski swojej do stołu. Na stole dwa były nakrycia. Zasiadliśmy z mułowodzcą i podano nam comber. Rzuciłem się na niego z chciwością; smakował mi wybornie, czy że głód zdaniem mojem kierował, czy też w istocie był to skutek przypraw kucharza. Następnie dano skopowinę pieczoną. Spozstrzegłszy, że mułowodca do niej się zabrał, nie tykając poprzedniej potrawy, zapytałem się o przyczynę. Odpowiedział mi uśmiechając się, iż nie lubi przysmaków. Ta odpowiedź, czyli raczej towarzyszący jej uśmiech, zdał mi się zakrawać na jakąś tajemnicę. Ukrywasz przedemną, rzekłem, prawdziwą przyczynę, powiedz mi szczerze z łaski swojej; dla czego nie jesz combra? Ponieważ tak ciekawy jesteś, rzekł, otóż ci powiem,

że mam wstręt do tego rodzaju przysmaków; od czasu, jak jadąc z Toledu do Cuency, dano mi w jednym hotelu na wieczór zamiast królika z królikarni, kota w siekance i to mnie zraziło od wszelkich frykasów.

Tylko co mułowodza to powiedział, gdy natychmiast mimo głód dokuczający, apetyt odbiegł mnie zupełnie. Uroiło mi się w głowie żem jadł królika zmyślonego, i już nie spojrzałem na potrawkę bez wykrzywienia się. Mój towarzysz nie uspokoił umysłu mojego, dodając że gospodarze domów zajeżdnych w Hiszpanii, często robią takie omyłki, równie jak pasztetnicy. Takowe wyrazy, jak łatwo pojmiecie, mogły być bardzo pocieszające, dla tego też już nie wróciłem do combra, ale nawet nie tknąłem i drugiego półmiska, z obawy aby skop nie był równie prawdziwy, jak królik. Wstałem od stołu przeklinając potrawkę, gospodarza i karcznię, a położywszy się na powrót na tym samym łóżku, przespałem noc spokojniej, niż się spodziewałem. Nazajutrz rano zapłaciwszy gospodarzowi tak drogo, jak za najlepszą wieczrę, oddaliłem się z Illescas z wyobraźnią tak przejętą combrem, że wszystkie zwierzęta które spostrzegłem zdąży mi się być kotami.

Wczesnie przybyłem do Madrytu i zaspokoivszy czem prędzej mułowodzcę, najałem pokój w hotelu przy bramie słońca. Lubo oczy moje już dosyć nawykłe były do wielkiego światła, jednakże zaćmił je blask tylu panów zbierających się codziennie w obrębłe pałac królewskiego. Podziwiałem niesłychaną mnogość karet i niezliczony tłum szlachty, paziów, lokajów, z orszaku możnych panów. Lecz zdumienie moje wtedy dopiero doszło najwyższego stopnia, gdy poszedłszy na ranne posłuchanie królewskie, ujrzałem tego monarchę otoczonego dworzaczami. Zachwylił mnie ten widok, i rzekłem sam w sobie. Co za świetność! co za potęga! teraz przestaję się dziwić, słysząc mówiących, że trzeba widzieć dwór Madrycki, aby pojąć całą jego okazałość; cieszę się żem przybył tu, mam przecucie, że przecież coś zrobię. Nic atoll nie zrobiłem, prócz kilku bezkorzystnych znajomości. Wydałem powoli moje pieniądze i byłem bardzo szczęśliwy, że z całą moją wartością poświęciłem się pewnemu klesze z Salamanki, którego sprawy familijne do Madrytu sprowadziły, gdzie się urodził i z którym znajomość moją traf skojarzył. Zostałem jego *factotum* i udałem się z nim do jednego uniwersytetu.

Mój nowy pan zwał się don Ignacio de Ipigna. Przybierał *don* dla tego że był nauczycielem jakiegoś księcia, który przez wdzięczność nazaczył mu pensją dożywotnią; to nie wszystko, miał drugą jako profesor wysłużony; a nadto publiczność składała mu corocznie dwieście do trzechset ludorów za książki moralno-dogmatyczne, które miał zwyczaj drukować. Sposób w jaki układał swoje dzieła zasługuje na wzmiankę. Sławny don Ignacio całe prawie dnie przepędzał na czytaniu autorów, hebrajskich, greckich, i łacińskich: na świstkach papieru wypisywał każde zdanie, każdą myśl piękniejszą, którą w nich napotkał. W miarę jak te świstki zapisywał, oddawał mi je do nawleczenia na drót, w kształcie girlandy, a każda girlanda stanowiła tom. Heż to my zrobili niedorzecznych książek! Nie było miesiąca, żebyśmy nie ułożyli przynajmniej dwóch tomów i zaraz prassa pod niemi jęczała. Co zaś w tém wszystkim najdziwniejsza, to, że ta zbieranka udawała się za nowość; a jeżeli krytycy odważyli się zarzucić autorowi, że rabował starożytnych, odpowiadał im z dumną hezczelnością: *Furto laetatur in ipso*. (W samej kradzieży rozkosz znajdujemy.)

Był on także potężnym komentatorem, tyle było głębokiej nauki w jego komentarzach, iż często pisał swoje uwagi nad rzeczami nie zasługującymi na uwagę; tak jak na swolch świstkach, nieraz wcale niestosowne wypisywał wyjątki z Hezydoda i innych autorów. Mimo to wszystko ja wiele skorzystałem u tego uczonego, nieprzyznanie się do tego, byłoby niewdzięcznością z mojej strony. Przepisywaniem ciąglem dzieł jego wprawiłem się w pisanie; a jeżeli obchodząc się ze mną nie jak ze służącym, ale bardziej jak z uczniem, starał się o ukształcenie mojego umysłu, pamiętał także i o obyczajach. Usłyszawszy przypadkiem o przeniewierzeniu się jakiego słu-

żącego, Scyplonie, mawiał do mnie, strzeż się moje dziecko naśladować zły przykład tego oszusta. Trzeba aby służący zachował się względem pana swojego z równą gorliwością, jak wiernością, i starał się być cnotliwym przez ciągłą pracę nad sobą, jeżeli nim nie jest z natury. Słowem, don Ignacio nie pominął żadnej sposobności, aby mnie kierować na drogę cnoty, a jego zachęty tak błogi na mnie wywierały skutek, iż przez ciąg pletnasto młeszczącego pobytu u niego, najmniejsza nie brała mnie pokusa do wypłatania mu jakiej psoty.

Jużem wspomiał, że doktor de Ipigna był rodem z Madrytu; miał on tu krewną swoją, nazwiskiem Catalina, która była panną pokojową, pani mamki. Jest to ta sama, której użyłem do wydobycia pana Santillany z turmy Segovii, ona chcąc się przysłużyć panu don Ignacio, zobowiązała swoją panę, aby mu u księcia Lerma wyjednała jakie beneficjum. Ten minister posunął go na archidyakoniat Granady, co należało do mianowania królewskiego, jako w kraju zdobytym. Powziawszy tę wladomosc, pojechaliśmy natychmiast do Madrytu, ponieważ doktor chciał podziękować swojej dobrodziejce przed objęciem nowej posady. Miałem więc nie raz sposobność widzieć Catalinę i rozmawiać z nią. Wesoły mój humor i sposób wzięcia się niewymuszony, przypadły jej do gustu, ja z mojej strony znalazłem ją tak miłą, iż nie mogłem się wstrzymać, aby się nie wywzajemnić za drobne dowody przyjaźni z jej strony, zresztą przywiązaliśmy się do siebie. Przebac to wyznanie, kochana Beatrix, ponieważ wówczas uważałem cię za wiarołomną, ten błąd z mojej strony powinien mnie zasłonić od twoich wyrzutów.

Tym czasem don Ignacio wybiierał się do Granady. Krewna jego, równie jak ja przerażeni zagrażającym nam rozłączeniem, chwyciliśmy się wybiegu, który nas zabezpieczył; zmyśliłem chorego, skarżyłem się na ból głowy, na ból piersi, udawałem człowieka dręczonego wszystkimi możliwymi chorobami. Pan mój wezwał lekarza, co mnie dreszczem przejęło, bom sobie wystawiał, że ten Hipokrat spostrzeże od razu, że nie byłem wcale chory; ale szczęściem, jak gdyby był w zmwle ze mną, przypatrzwszy się dobrze, oświadczył dobrodusznie, że choroba moja ważniejsza jest niż się zdaje, że według wszelkiego podobieństwa, długo jeszcze nie będę mógł wychodzić z pokoju. Doktor pragnąc jak najprędzej udać się do swojej katedry, nie chciał odkładać swojego odjazdu, wolał przyjąć innego chłopca do usług; mnie zaś powierzył troskliwości kobiecy dozorującej chorych, zostawił jej pewną kwotę pieniędzy na pogrzeb, jeżeliby umarł, albo na wypłatę mojego myta, jeżeliby wrócił do zdrowia.

Skoro tylko dowiedziałem się o odejździe don Ignacio, wzdrowiałem natychmiast. Wstałem, pożegnałem lekarza, który tyle objawił przykliwości, oddaliłem stróżkę, która mi skradła połowę pieniędzy jej powierzonych. Kiedy ja tak udawałem, Catalina działała na umysł swojej pani, dony Anny de Guenara, przedstawiając jej, żem był przedziwnie usposobiony do infrygi i skłoniła ją do przyjęcia mnie w poczet swolch agentów. Pani mamka dla miłości pieniędzy, wdawała się często w zyskowne przedsięwzięcia, potrzebując do tego pomocy, przyjeła mnie do usług, i wkrótce doświadczyła moich zdolności. Dała mi polecenia nie małej wymagające zręczności, z których, nie chwając się wcale, nie źle się wywiązałem; dla tego też tak była zadowolona ze mnie, jak ja nie kontent z niej. Pani ta była tak chciwa, iż mi nie udzieliła najdrobniejszej cząstki z owocu moich trudów i zabiegów. Rozumiała, że płacąc mi regularnie za usługi, dość wspaniałomyślnie wychodziła ze mną. Ten zbytek chciwości nie podobał mi się i byłby mnie skłonił do jej opuszczenia, gdyby mnie nie zatrzymywało przywiązanie Cataliny, która coraz bardziej zapalając się, wreszcie stanowczo przedstawiła mi małżeństwo.

Powoli, rzekłem, moje bóstwo, ten obrzęd nie może się tak prędko dla nas odbyć; muszę pierw wywiedzieć się o śmierci młodej osoby, która cię uprzedziła, a której za moje grzechy zostałem małżonkiem. Nie mnie to mów, rzekła Catalina, nie jestem tak łatwowierną, abym od razu przyjęła to za dobre co mówisz; chcesz mnie przekonać, że jesteś zaślubiony i dla cze-

go? aby mi grzecznie okazać wstręt do pojęcia mnie za żonę. Naprawdę zaręczałem jej, że to co mówię jest istną prawdą; moje szczere wyznanie zdało się jej sprawą przegraną, a czując się przez to obrażoną, zmieniła sposób postępowania ze mną. Nie poróżniliśmy się wcale, ale nasze obejście widocznie stało się obojętniejszem i jedno względem drugiego odtąd zachowywało tylko względy przyzwoitości i grzeczności.

W takim powikłaniu interesów dowiedziałem się, iż pan de Santillana, sekretarz pierwszego ministra, potrzebował lokaja; miejsce to podobało mi się tém bardziej, że mi prawiono o nim jak o najprzyjemniejszym jakiego mógłbym kiedykolwiek znaleźć. Pan de Santillana, mówiono mi, jest to kawaler pełen godności; książe de Lerma jest do niego przywiązany, a tém samem on niechybnie bardzo dobrze wyjdzie. Prócz tego, jest on wspaniałomyślny, krzątając się około spraw jego, nie źle wyjdziez na swoich. Nie zaniedbałem tej sposobności, przedstawiłem się panu Gil Blas, którego z pierwszego wejrzenia polubiłem, a który mnie także z wejrzenia ugodził. Nie wahałem się bynajmniej dla niego opuścić panią mamkę; będzie to, jeżeli się Bogu podoba ostatni mój pan.

Scypton na tém skończył swoją historią. Potem zwracając mowę do mnie: Panie de Santillana, teraz do ciebie się odwołuję; zrób mi tę łaskę, zaświadczyć tym paniom, żeś we mnie



Walka don Cogollos.

zawsze miał sługę wernego i gorliwego. Potrzebuję tego świadectwa, aby przekonać te panie, że syn Coscolliny, potrafił oczyścić swoje obyczaje i w miejsce złych skłonności, przejął cnotliwe uczucia.

Tak jest, moje panie, rzekłem wtedy, za to wam ręczę. Jeżeli w młodości Scypton był wierutnym szalbierzem, tak się następnie poprawił, iż został wzorem doskonałego sługi. Nie tylko nie mam najmniejszego zarzutu przeciw jego sprawowaniu się u mnie, ale wyznać muszę, iż mu wielce jestem obowiązany. W nocy, w której mnie pojmano, uratował część moich rzeczy, którą mógł sobie bezkarnie przywłaszczyć; nie dość dla niego było ocalić moje mienie, jeszcze przez czystą przyjaźń, przybył zamknąć się ze mną w turmie; nad wdzięki swobody, przeniósł smutną przyjemność, podzielenia ze mną moich udręczeń.

KSIEGA JEDENASTA.

ROZDZIAŁ I.

O najwyższej radości Gil Blasa i smutnym wypadku który ją zmieszał.

O zmianach przy dworze, które skłoniły Gil Blasa do powrotu.

Jużem powiedział że Antonia i Beatrix, zgadzają się przedziwnie; jedna przywykła żyć jako panna pokojowa uległa,

drugą chętnie uczyła się roli pani. My będąc bardzo uprzejmi dla naszych żon, kochani od nich, wnet mieliśmy pociechę oglądając je w błogosławionym stanie. Beatrix pierwiej powiła córkę, a w kilka dni później Antonia napełniła dom radością, wydając na świat syna. Uradowany tak szczęśliwym wypadkiem, wysłałem mojego sekretarza do Walencji z zawiadomieniem gubernatora, który też niebawnie przybył do Lirias z Serafiną i margrabiną de Pliego, by nowonarodzone dzieci podać do chrztu św. Do tylu powodów przychylności jakże od niego odebrałem, chciał mi jeszcze i tę sprawić przyjemność. Syn mój otrzymał imię Alphonsa, ojcem zaś chrzestnym jego był gubernator, a matką margrabina; pani gubernatorowa chcąc że bym podwójnym jej kmotrem został, trzymała ze mną do chrztu córkę Scyplona, której nadał imię Serafiny.

Urodziny mojego syna, nie same tylko osoby w pałacu uradowały; mieszkańcy także Lirias, nroczyście je obchodzili, co pokazywało, że cała wieś chciała mieć udział w radości swojego pana. Lecz niestety! zbyt krótkie było nasze wesele, wnet się w płacz i jęki zamieniło, a to z wypadku, którego dwudziestoletni przeciąg czasu z pamięci mojej wyglądować nie potrafił, i który na zawsze tkwić będzie w myśli mojej. Syn mój umarł, a za nim w też tropy i matka zstąpiła do grobu; gwałtowna gorączka przerwała pasmo jej życia w czterdnastym miesiącu naszego małżeństwa. Niech sobie czytelnik wyobrazi, jeżeli może, boleść moją; wpadłem w udręczenie osłupiałe; silnie rażony tą stratą, stałem się podobny do pozabawionego wszelkiego uczucia. W tym stanie przepędziłem pięć czy sześć dni; nie chciałem brać żadnego pokarmu, i gdyby nie Scypton, byłbym pewnie głodem się zamorzył, lub zmysły stracił; lecz ten przezorny sekretarz, potrafił omamić moją boleść, stosując się do moich przywidzeń; skłonił mnie do picia bulionów, które mi podawał z miłą tak udręczoną, iż zdawało się, że mi je daje nie dla utrzymania życia, ale raczej dla podwyższenia mojego żalu.

Przywiązany ten sługa pisał do don Alphonsa, donosząc mu o mojem nieszczęściu i godnym poltowania stanie w jakim się znajdowałem. Ten pan czuły i miłosierny, ten wspaniałomyślny mój przyjaciel, przybył natychmiast do Lirias. Nie mogę do dziś wspomnieć bez rozrzewnienia, na tę chwile, w której go ujrzałem. Kochany Santillano, rzekł ściskając mnie, nie przybyłem pocieszać cię, ale z tobą razem oplakiwać zgon Antonii, tak jakbyś ty oplakiwał Serafinę, gdyby parka przecięła nić jej życia. W rzeczy samej płakał i wraz ze mną wzdychał, jęczał. Choć mocno ściśnięty smutkiem, żywo wszakże uczułem dobroć tego pana.

Don Alphons naradzał się długo ze Scyptonem, nad sposobami pokonania mojego żalu. Osądzili za rzecz przyzwoitą, usunąć mnie na niejaki czas z Lirias, gdzie wszystko przypominało mi bezustannie obraz Antonii. Po czem syn don Cezara oświadczył mi, że chce mnie zawieźć do Walencji, a mój sekretarz, tak dobrze umiał żądanie jego poprzec, iż je przyjąłem. Zostawiłem więc Scyplona z żoną jego w zamku, w którym istotnie wszystko drażniło mój smutek i udałem się z gubernatorem. Skoro stanąłem w Walencji, don Cezar i jego synowa nie oszczędzali niczego, aby rozerwać mój smutek; nastęrczali po kolei rozmaite rozrywki, zdolne sprawić mi niejaki rozrządzenie; lecz mimo ich starania, ciągle byłem zatopiony w melancholii, z której nie mogłem wydobyc się mogło. Sam Scypton nie wynalazł środka do przywrócenia mi spokojuści; przybywał on często do Walencji, dla powzięcia wiadomości o moim stanie; wracał smutniejszy lub weselszy, w miarę jak widział we mnie więcej lub mniej usposobienia do jakiegóś pociechy. Uważałem to w nim, nie bez wewnętrznego zadowolenia; wdzięczny mu byłem za objawy przyjaźni, i chlubiłem się tak przywiązanym sługą.

Pewnego poranku wszedł do mojego pokoju i z wielkim dosyć wzruszeniem, odezwał się: Panie, wieść krąży po mieście, która obchodzi całą monarchią; mówią, że Filip III już nie żyje i że książe syn jego, zasiadł na tronie. Dodają także, że kardynał książe de Lerma, stracił urząd, że mu nawet zabroniono pokazywać się u dworu i że don Gaspard de Guzman,

hrabia Olivares, jest teraz pierwszym ministrem. Ta nowina wzruszyła mnie, sam nie wiem dla czego. Scypion spostrzegł to i zapytał się, czybym nie chciał mieć udziału w tej zmianie. Ha! jakieżbym udział mógł mieć moje dzielnice? odpowiedziałem. Opuszcłem dwór, jakkolwiek zmiany w nim zajść mogą, powini być dla mnie obojętne.

Dla człowieka w tym wieku, odezwał się syn Coscoliny, właśnie też przystało oddalać się od świata. W położeniu pańskim, pałałbym ciekawością. Jaką ciekawością? przerwałem mu. Dalbóg, rzekł Scypion, pojechałbym do Madrytu, przedstawiłbym moją figurę nowemu monarsze, aby wiedzieć, czy też mnie pozna; jest to przyjemność, którejbym sobie nie odmówił. Rozumiem, rzekłem, chciałbyś, abym się udał do Madrytu, doświadczył na nowo fortuny i znowu został chciwym i dumnym. Dla czegożby znova obyczaje twoje miały się zepsuć? odpowiedział sekretarz. Miej więcej zaufania w swojej ocenie. Ja ręczę za tobą. Zdrowe uwagi jakie ci o dworze natchnęła niefaska, nie każą ci się bynajmniej obawiać jego niebezpieczeństw. Puszczaj się śmiało na to morze, na którym znasz wszystkie skały. Milcz pochlebco! zawołałem uśmiechając się, czy ci się już zdudziło życie spokojne, które prowadziłeś? Spodziewałem się, że mój spoczynek milszym ci będzie.

W tym punkcie naszej rozmowy, wszedł don Cezar z synem. Potwierdzili wiadomość o śmierci króla, równie jak o nieszczęściu księcia Lerma. Dodali jeszcze, że ten minister na prośbę o pozwolenie udania się do Rzymu, odmowną odebrał odpowiedź, kazano mu udać się do swojego margrabstwa Denia. Poczem, jak gdyby się ułożył z moim sekretarzem, radził mi udać się do Madrytu, przedstawić się nowemu królowi, ponieważ byłem mu znany, a nawet oddałem mu przysługę, którą wielcy panowie dość chętnie uznają. Co do mnie, rzekł don Alphons, nie wątpię bynajmniej, aby jój nie miał zawdzięczyć; Filip IV powinien spłacić długi księcia hiszpańskiego. Ja mam też samo przeczucie, dodał don Cezar i uważam podróż Santillany, jako najdogodniejszą dlań sposobność dojścia do wysokich godności.

Zaprawdę, panowie, nie zastanawiać się nad tem co mówicie! Słuchając was obudwóch, zdawałoby się, że skoro się tylko pokażę w Madrycie, natychmiast dostanę klucz złoty, albo jakie gubernatorstwo; mylicie się mocno. Ja zaś przeciwnie, jestem przekonany, że król wcale nie zwróci uwagi na moją figurę, gdy mu stanę przed oczyma. Jeżeli chcecie, ja spróbuję dla wyprowadzenia was z błędu. Panowie de Leyva uchwycili mnie za słowo i już nie mogłem się im wymówić, musiałem przyrzec, że niezwłocznie pojedę do Madrytu. Sekretarz ujrzawszy moje postanowienie, objawił niesłychaną radość; wyobrażał sobie, że monarcha skoro mnie tylko zobczy, natychmiast obsypie mnie zaszczytami i łaskami. Tym sposobem rozmazony najświetlejszymi urojeniami, już mnie widział wyniesionego do najpiękniejszych godności państwa, a w skutek mojego wywyższenia, i siebie także daleko posuniętego uważał.

Postanowiłem więc wrócić do dworu, nie żeby na nowo biec czołem fortunie, ale żeby zaspokoić don Cezara i jego syna, którym wpadło do głowy, że ja zyskam względy monarchy. Prawda, że w głębi duszy i mnie także nagabała ciekawość, czy ten młody książę pozna mnie. Uczuciem ciekawości uwiedziony, bez nadziei, a nawet bez zamiaru korzystania z nowego rządu, puściłem się drogą madrycką ze Scypionem, zostawiwszy zarząd pałacu Beatrycy, wybornej gospodyni.

ROZDZIAŁ II.

Gil Blas pokazuje się na dworze, król go poznaje, poleca go pierwszemu ministrowi i z jakim skutkiem.

Staaliśmy w Madrycie w osmiu dniach niespełna; don Alphons dał nam ze swojej stajni dwa najlepsze konie dla przyspieszenia drogi. Staaliśmy w hotelu, w którym dawniej mieszkałem, to jest u Wincentego Forrero, który się niesłychanie ucieszył ujrzawszy mnie.

Ponieważ był to człowiek, co się chlubił znajomością wszelkich obrotów dworskich i spraw miasta całego, dlatego za-

pytałem się go o nowiny. Oh, jest ich nie mało. Po śmierci Filipa III, przyjaciele i stronniacy kardynała księcia Lerma, zabiegali co sił, by jego eminencyą utrzymać na ministerstwie; ale ich trudy na nic się nie przydały; hrabia Olivares przemógł. Utrzymują, że Hiszpania nie traci wcale na tej odmianie, że nowy minister tak potężnym obdarzony geniuszem, iż potrafiłby rządzić całym światem. Dałby Bóg! To atoll pewna, że lud wysokie powziął wyobrażenie o zdolnościach tego pana; czas pokaże, czy księżę Lerma, dobrze lub źle zastąpiony. Forrero rozpuściwszy język, wystąpił ze wszystkimi szczegółami zmian zaszłych na dworze od chwili, w której hrabia Olivares, ujął styr rządu monarchii.

We dwa dni po moim przyjeździe, udałem się do pałacu królewskiego po południu i stanąłem w miejscu, którego król miał przechodzić do gabinetu; przeszedł, nie spojrzawszy na mnie. Wróciłem nazajutrz na ten sam posterunek i nie byłem szczęśliwszym. Trzeciego dnia przechodząc, rzucił okiem na mnie, ale nie zdawał się zwracać uwagi na moją osobę. W skutek tego, luniej chwyciłem się myśli. Widzisz, rzekłem do Scypio-



Gil Blas дума w turmie nad listem ks. Lerma.

na, który mi towarzyszył, że król mnie nie poznaje, albo jeżeli sobie przypomina, nie chce odnawiać znajomości mojej. Zdaje mi się, żeby to nie źle było wracać do Walencji. Nie spieszmy się panie, odpowiedział sekretarz, wiész lepiej jak ja, że na dworze cierpliwość wygrywa. Nie przestawaj pokazywać się monarsze; nasuwając mu się raz wraz przed oczy, zmusisz go do baczniejszego przypatrzenia się i do przypomnienia sobie rysów ajenta u pięknej Cataliny.

Żeby mi Scypion nie miał nic do wyrzucenia, powtarzałem też same obrotu przez trzy tygodnie; wreszcie jednego dnia, król uderzony moim widokiem, kazał mnie wezwać. Wszedłem do jego gabinetu nie bez pewnego pomieszania, że się znajdować będę sam na sam z moim królem. Kto jesteś? rzekł do mnie, rysy twoje nie są mi obce. Gdzież więc widziałem cię? Najjaśniejszy panie, odpowiedziałem drżący, miałem zaszczyt przewodniczyć W. K. M. pewnej nocy z hrabią Lemos do..., Ah, przypominam sobie, przerwał książę, byleś sekretarzem księcia Lerma; a jeżeli się nie mylę, zowiesz się Santillana. Nie zapomniałem, żeś wtedy służył mi gorliwie i żeś dość źle był wynagrodzony za twoje trudy. Czyś nie siedział w turmie za to zdarzenie? Tak jest miłośnicy panie, przesiadziałem sześć miesięcy w więzy Segowijskiej; lecz W. K. M. łaskawie mnie

wybawieś. Tém jeszcze nie wywiązałem się względem Santillany; nie dosyć żem przywrócił mu wolność, trzeba wynagrodzić przykrość, jakie ponosił z mojej przyczyny.

Kiedy monarcha kończył te wyrazy, hrabia Olivarez wchodził do gabinetu. Polubieńczy cienia się nawet obcego boją; obecność nieznanego w gabinecie królewskim zdziwiła hrabiego, król zwiększył jeszcze to zadumienie, odrywając się do niego: Hrabio, poruczam ci tego młodego człowieka, zajmij go czém, poruczam ci opiekę nad jego losem. Minister udał, że rozkaz ten przyjmuje z radością, przypatrując się mi od stóp do głowy, wielce ciekawy, co bym był za jeden. Idź mój przyjacielu, dodał król, dając mi znak oddalenia się, hrabia nie omieszka zająć cię korzystnie dla usługi mojej i twojego interesu.

Wyszędłem natychmiast z gabinetu i udałem się do syna Coscolini, który pragnął co prędzej wiedzieć co król ze mną mówił, w niesłychanej był niespokojności. Lecz ujrzawszy na mojej twarzy znaki zadowolenia: jeżeli mogę wleźć oczom moim, odezwał się, zamiast wracać do Walencji, zanosi się na to, że zostaniemy przy dworze. To może być odpowiedziałem. Zarazem powtórzyłem mu słowo w słowo krótką rozmowę, którą miałem z królem. Mój drogi panie, zawołał Scyplon w zachwyceniu radosnym, będzieszże na przyszłość służył mojej radzie? Przyznaj sam, że się teraz nie gniewasz na mnie, iżem cię namówił do podróży do Madrytu. Widzę cię na wysokości stanowisku, zostaniesz niezawodnie Calderonem hrabiego Olivares. Tego właśnie sobie nie życzę, miejsce to, zewsząd niebezpieczne otaczają przepaści, nie podobna aby mogły we mnie obudzać żądze. Pragnąłbym jakiego dobrego urzędu, na którymbym nie miał sposobności być niesprawiedliwym, lub haniebnie frymarzyć łaskami księcia. Zważając jak poprzednio używałem względów, muszę się mieć na baczności przed dumą i chciwością. Co tam panie, mówił mój sekretarz, minister wynajdzie ci posadę, której będziesz mógł spełniać obowiązki, nie przestając być uczciwym człowiekiem.

Za naleganłem bardziej Scyplona, aniżeli z własnej ciekawości, udałem się następnego dnia do hrabiego Olivares, jeszcze przed świtem, dowiedziawszy się poprzednio, że każdego poranku, zimą czy latem, minister przyjmował przy świętych, tych, którzy pragnęli z nim mówić. Stałem skromnie w kącie sali, i z tego punktu uważałem hrabiego gdy się pokazał, ponieważ nie przypatrzyłem mu się w gabinecie królewskim. Ujrzałem człowieka, postawy wyższej nad mierną, mogącego uchodzić za otyłego w kraju, w którym trudno ujrzeć osobę, któraby nie była chudą. Ramiona miał tak wysokie, żem go począł za garbatego, chociaż nim nie był wcale; głowa wielkości niepospolitej, spadała mu na piersi; włosy miał czarne i gładkie, twarz długą, cerę oliwkowatą, usta wklęsłe, broda śpiczasta i w górę zadarta.

Wszystko to zarazem nie przedstawiało urodziwego pana; lecz żem przypuszczał usposobienie nprzejme dla siebie, patrzyłem nań z pobłażaniem i nawet zdawał mi się dosyć przyjemnym. Prawda, że wszystkich przyjmował z miną uprzejmą i dobrotliwą; chętnie odbierał prośby sobie przedstawione, a to zastępowało brak urody. Tymczasem gdy z kolei postąpiłem dla oddania mu ukłonu i przypomnienia się, groźno spojrzął na mnie i odwróciwszy się, poszedł do swojego gabinetu, nie rzekłszy do mnie ani słowa. Wtedy zdał mi się ten pan szkaradniejszym niż był w istocie; wyszedłem z sali odurzony tak dzikim przyjęciem, nie wiedząc co o tem myśleć.

Spotkawszy Scyplona, który czekał na mnie przy drzwiach, odezwał się: A wiesz ty, jakiego doznałem przyjęcia? Nie, odpowiedział, ależ to nie trudno odgadnąć; minister stosując się do woli monarchy, zapewne ofiarował panu jakiś urząd znakomity. Otóż się właśnie mylisz, rzekłem i zarazem opowiedziałem mu sposób przyjęcia. Słuchał mnie z uwagą i rzekł: Dziwi mnie to. Chyba że hrabia nie poznał pana, albo cię wziął za kogo innego. Radzę panu iść drugi raz; nie wątpię, że cię lepiej przyjmie. Poszedłem za radą mojego sekretarza; przedstawiłem się powtórnie ministrowi, który jeszcze gorzej obchodząc się jak pierwszy raz, zmarszczył brwi, a spoglądając na

mnie, jak gdyby mu to przykrość czyniło, odwrócił się i poszedł do gabinetu, nie nie mówiąc.

Tknęły do żywego takowem postępowaniem, miałem ochotę wracać do Walencji; lecz temu opierał się Scyplon, nie mówiąc się zrzec powziętych nadziei. Nie widziszże wyrażnie, iż hrabia chce mnie usunąć ode dworu? Monarcha objawił mi dobre chęci dla mnie, czyż to nie dosyć, do obudzenia wstrętu w umyśle polubieńca? Ustąpmy moje dzielnę, ustąpmy z dobrej woli nieprzyjacielowi tak groźnemu. Panie, odpowiedział z gutewem, ja nie opuściłbym tak łatwo pola hrabiemu Olivarez. Ja nawet żądałbym wyjaśnienia za tak obrażające przyjęcie. Poszedłbym do króla ze skargą na ministra, który tak mało baczny na jego polecenie. Zła rada, mój przyjacielu, gdybym się chwycił postępowania tak nieroztropnego, wkrótce przyszłoby mi go żałować. Nie wiem nawet, czy już nie wisł jakle złe nad moją głową, jeżeli dłużej tu pozostanę.

Na te słowa mój sekretarz zamyślił się, a zważając że w istocie mamy sprawę z człowiekiem mogącym nas posłać do Segowii, podzielał moją obawę. Już się nie opierał chęci mojej opuszczenia Madrytu, zkąd postanowiłem oddalić się, zaraz nazajutrz.

ROZDZIAŁ III.

Co wstrzymało Gil Blas'a od wyjazdu; o przysłudze wyświadczonej mu przez Józefa Navarro.

Wracając do mojego hotelu, spotkałem Józefa Navarro, kredecera don Baltazara de Zuniga, mojego dawnego przyjaciela. Wahałem się przez chwilę, czy nie lepiej będzie udać, że go nie widzę, albo zszedłszy się, czy go przeprosić, żem mu tak źle usłużył. Tęj ostatniej myśli chwyciłem się. Przywitałem Navarro i z wszelką grzecznością zapytałem się, czyby mnie poznał i czyliby jeszcze tyle był łaskaw rozmawiać z nędznikiem, który niewdzięcznością odplacił dobrodziejstwo sobie wyświadczone? A więc sam przyznajesz, odpowiedział mi, żeś nie najlepiej ze mną postąpił? Tak jest, rzekłem, i masz zupełne prawo do najostrejszych wyrzutów; zasłużyłem na nie, jeżeli tylko nie odpokutowałem już za moją winę przez zgryzołę, której później doznałem. Ponieważ żałowałeś już za swoje uchybienie, rzekł Navarro ścisłkając mnie, i ja już o niem nie powinienem pamiętać. Ja z mojej strony serdecznie uściśkałem go i odtąd wznowiliśmy łączące nas dawniej uczucia.

Wiedział on o mojem uwięzieniu i rozszarpaniu moich rzeczy, reszty wcale był nieświadomy. Opowiedziałem mu wszystko, aż do rozmowy z królem; nie tałem złego przyjęcia u ministra i oświadczyłem mój zamiar wracania do mojego ustroju. Boże broń! nie ruszaj się, rzekł mi, ponieważ król oświadczył ci swoją przychylność, to ci zawsze się przyda. Mędzy nami mówiąc, hrabia Olivares jest poniekąd umysłu dziwaczne-go, jest pan, pełen kaprysów; niekiedy, tak jak i w obecnem zdarzeniu, postępowanie jego jest burzające; on sam tylko zna powody, swoich czynów dziwacznych. Zresztą, jakikolwiek miałby powód złego przyjęcia ciebie, dotrzymuj placu; nie potrafi on przeszkodzić, abyś nie miał korzystać z łaski monarchy; za tem ci ręczę. Powiem ja kilka wyrazów panu mojemu don Baltazarowi de Zuniga, stryjowi hrabiego Olivares, który z nim podziela trudy rządów. To rzekłszy, Navarro zapytał się mnie o mieszkanie i potem rozeszliśmy się.

Następnego dnia przyszedł do mnie: panie Santillana masz protektora; mój pan ofiaruje ci swoją porękę; po tem com dobrego powiedział o waszej wielmożności, przyrzekł mi, iż pomówi z hrabią Olivaresem swoim synowcem; nie wątpię, aby go nie potrafił uprzedzić na twoją korzyść, i mogę ci śmiało powiedzieć, iż cię nie zawiedzie. Przyjaciel mój Navarro nie ustawiając w połowie drogi, we dwa dni później przedstawił mnie don Baltazarowi, który z uprzejmością oświadczył: panie Santillana, twój przyjaciel Józef z taką o tobie mówił mi pochwałą, iż mnie skłonił do zajęcia się twoją sprawą. Skłoniłem się nisko panu de Zuniga mówiąc, że całe życie moje zachowam w sercu wdzięczność dla Józefa Navarro, że mi wyjednał opiekę ministra, którego bardzo sprawiedliwie zowią po-

chodnią rady. Don Baltazar po tak pochlebnej odpowiedzi, klepiąc mnie po ramieniu, odezwał się: Jutro zaraz możesz wrócić do hrabiego Olivares, będziesz z niego więcej zadowolony.

Pojawiłem się więc po raz trzeci u pierwszego ministra, który dostrzegłszy mnie w tłumie, wejrzał na mnie z uśmiechem, z którego dobrą powziąłem wróżbę. Przedziwnie idzie, pomyślałem sobie, stryj nauczył rozumu synowca. Oczekiwałem więc na przyjęcie uprzejme i nadzieja moja spełniła się. Hrabia ukończywszy posłuchanie wezwał mnie do swojego gabinetu, gdzie rzekł mi w tonie poufałym: przyjacielu Santillano, daruj mi, że dla własnej rozrywki nabawiłem cię niespokojnością; chciałem cię pomieszać dla doświadczenia twojej roztropności, i dla przekonania się, jak sobie postąpisz w uapadzie złego humoru. Pewny jestem, iż sobie wystawiłeś, żeś mi się nie podobał, lecz przeciwnie, przyznam ci się, iż twoja osoba miła na mnie zrobiła wrażenie. Tak jest, Santillano, podobasz mi się, gdyby nawet król, pan mój, nie rozkazał mi mieć staranie o twoim losie, jabym to był zrobił z własnego popędu. Prócz tego don Baltazar de Zuniga mój stryj, któremu niczego odmówić nie mogę, prosił mnie, abym cię uważał za człowieka, który go wiele obchodzi; więc i ty też nie potrzeba, abym cię przyjął do siebie.

Ten wstęp tak silnie na mnie zrobił wrażenie, iż prawie od zmysłów odszedłem. Padłem do nóg ministra, który kazawszy mi powstać, w te odezwał się słowa: Przyjdź tu dziś po południu i pytaj się o mojego intendenta; on ci opowie rozkazy jakie odbierze. Po czem jego wysokość wyszedł na mszę, której zwykle co dzień słuchał po skończeniu przyjęciu; a następnie udawał się na ranne posłuchanie do króla.

ROZDZIAŁ IV.

Gil Blas zyskuje przywiązanie hrabiego Olivares.

Nie omieszkałem udać się po południu do pierwszego ministra, zapytałem się o intendenta, który się zwał don Raimond Caporis. Zaledwie wymieniłem mu moje nazwisko, gdy powtawszy mnie z oznakami poważania, panie, rzekł, proszę cię pójść za mną: zaprowadzę cię do pokoju przeznaczanego ci w tym hotelu. To rzekłszy, powiódł mnie małemi wschodami do szeregu sześciu pokoiów stanowiących drugie piętro pomieszkania, dość skromnie umeblowanych. Oto jest, mówił, pomieszkanie, które panu przynależy jego wysokość, będziesz tu miał stół o sześciu nakryciach jego kosztem: służący hrabiego i powóz będą na rozkazy pańskie. Nie koniec na tém, pierwszy minister, pan mój rozkazał mi stanowczo, abym też same dla pana zachował względy, jak gdybyś należał do rodziny Guzman.

Co to wszystko ma znaczyć? pomyślałem sobie. Jak tu uważać te wszystkie honory? Nie ukrywał się w tém jaki żart przypadkiem, czy pierwszy minister w tak zaszczytném obejściu się ze mną, nie szuka swojej zabawki? To mi się zdaje najpodobniejsze do prawdy, boć w gruncie rzeczy nie wypada, aby pierwszy minister hiszpański tak postępował ze mną. Kiedy w takiej niepewności wahałem się między bojaźnią i nadzieją, nadszedł pażzywający mnie do ministra. Pobiegłem czem prędzej i zastałem go samego w gabinecie. Jakże Santillano, odezwał się do mnie, kontent jesteś z mieszkania, i z rozkazów jakie dałem don Raimondowi? Łaska Waszkiej Wysokości, odpowiedziałem, jest nadto wielka, dla tego drząc przyjmuję wszystko. A to dla czego? mówił mi, można za nadto zaszczycać człowieka, którego mi sam król polecił, z rozkazem abym miał o nim staranie? Nie, bez wątpienia, jest to proste spełnienie obowiązku. Niech cię więc nie dziwi to, co robię dla ciebie, świetny los nie może cię ominąć, jeżeli będziesz do mnie tak przywiązany, jak byłeś do księcia Lerma.

Ale otóż co do tego pana, mówił dalej minister, powiadają żeś był z nim poufale. Ciekawy jestem jakim sposobem poznał się; i jakie obowiązki poruczył ci ówczasowy minister. Nie ukrywaj nie przedemną, żądam od ciebie zupełnej otwartości. Przypomniałem sobie wtedy kłopot, jaki miałem z księciem Lerma w podobnymże zdarzeniu i jak się wywikłałem: ten sam sposób i teraz mi się szczęśliwie udał, to jest, złągo-

dziłem miejsca zbyt twarde, lekko przesunąłem się w okolicznościach nie zbyt dla mnie ulubionych. Oszczędzałem także księcia Lerma, chociaż mniejsza nieco względność, więc i przyjemność sprawiła mojemu słuchaczowi. Roderigowi Calderone w niczem nie przepuściłem. Wymieniłem wszystkie szczegóły handlu komanderyami, beneficjami i gubernatorstwami, o których tylko kiedy posłyszałem.

Co mi powiadasz o Calderonie, przerwał mi minister, zgadza się zupełnie z podaniami, które przeciw niemu odebrałem, a które ważniejsze jeszcze punkta oskarżenia zawierają. Wkrótce wytoczą mu proces, a skoro życzy sobie jego zguby, spodziewam się, że będziesz zaspokojony. Nie pragnę jego śmierci, chociaż gdyby to od niego zależało, jabym ją zapewne znalazł w turmie segowskiej, w której z jego łaski dość długo jęczałem. Jak to, zagadnął mnie hrabia, to don Rodrigue był przyczyną twojego uwięzienia? tego nie wiedziałem. Don Baltazar, któremu Navarro opowiedział twoją historię, mówił mi, że nieboszczyk król kazał cię uwieźć za to, żeś w nocy przewodniczył księciu Hiszpanii do miejsca podejrzanego, więc i nie wiem i nie pojmuję, jakaby rolę Calderone grał w tej szluzce. Rola kochanka, który się mścił za odebraną obelgę, odpowiadałem. Zaraz wytuszczyłem mu całe zdarzenie, które mu się zdało tak zabawne, że mimo całą powagę nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Catalina raz wnuczka, drugi raz siostrzenica bawiła go niesłychanie, równie jak udzielał księcia Lerma w tej sprawie.

Po skończeniu mojego opowiadania hrabia kazał mi odejść, oświadczywszy, iż jutro wskaże mi moje zatrudnienie. Pobleżem natychmiast do pałacu Zuniga, dla złożenia dzięków don Baltazarowi za jego wstawienie się, i dla zawiadomienia Józefa o rozmowie jaką miałem z pierwszym ministrem, tudzież o jego dobrém ku mnie usposobieniu.

ROZDZIAŁ V.

O tajemnej rozmowie z Novarrą i pierwszym zatrudnieniu Gil Blasa.

Zoczywszy Józefa oświadczyłem mu, iż wiele mam z nim do mówienia. Zaprowadził mnie w miejsce usonne, gdzie wypowiedział mi wszystko, zapytałem się coby o tém myśli. Zdaje mi się, rzekł, że jesteś na drodze wielkiego szczęścia. Wszystko ci się uśmiecha: podobałeś się pierwszemu ministrowi; a co także nie jest rzeczą błahą, ja ci mogę wyświadczyć tę samą przysługę, jaką mój stryj Melchior de la Ronda oddał ci, gdyś wszedł do obowiązków arcybiskupa Granady. Oszczędził ci trud badania usposobień prałata i jego znakomitszych oficyalistów, objawiając ci ich rozmaite charaktery; idąc jego torem, chcę ci przedstawić wyobrażenie hrabiego, hrabiej jego małżonki, i dony Maryi hrabianki jego córki jedynej.

Zacznijmy od ministra: umysł jego żywy, przenikający i zdolny do powzięcia wielkich zamiarów. Uważa się za człowieka powszechnego, ponieważ ma wiadomość ulotną ze wszystkich umiejętności: zdaje mu się, iż może stanowczo wyrokować o wszystkich. Wyobraża sobie, że jest głębokim prawoznawcą, wielkim wodzem, i najprzebieglejszym politykiem. W skutek tego jest tak uparty w swoim zdaniu, iż zawsze za nim idzie, bez względu na mniemanie innych, a to jedynie z obawy, by się niezdawało, że ustępuje pierwszeństwa światła innych. Między nami mówiąc, ta wada może dziwne wywołać następstwa, od których Bóg niech broni Hiszpanią. Dodajmy do tego, że w radzie jaśnieje wymową naturalną i pisałby równie dobrze, jak mówi, gdyby dla nadania większej godności swemu stylowi, nie silił się na wyrażenia ciemne i wyszukane. Osobliwsze są jego myśli: zdaje mi się zaś, że już powiedział, iż jest kapryśny i dziwak. Taki jest obraz usposobienia jego umysłu, wspomnijmy teraz o sercu: jest szlachetny i przyjacielski. Mówią, że mściwy, a któryż Hiszpan nie jest takim? Co większa, oskarżają go o niewdzięczność, że skazał na wygnanie księcia Uzedo i brata Ludwika Allaga, którym jak mówią, wiele zawdzięcza; ale i to mu przebaczyć należy: żądza zostania pierwszym ministrem uwalnia od wszelkiej wdzięczności.

Dona Agnes de Zuniga e Velasco, hrabina Olivarez, mówił dalej Józef, jedyną ma tylko wadę, o ile wiem, że na wagę złota sprzedaje łaski, które wyjednać może. Co się tyczy dony Maryi de Guzman, która dziś bezzaprzeczenia jest najpiękniejszą partią w całej Hiszpanii, jestto osoba najpiękniej ukształcona, bożyszcze swojego ojca. Stosuj się więc do tego, zabiegaj o względy tych dwóch pań, i staraj się pokazywać wlecej jeszcze poświęconym hrabiemu Olivarez, niż byłeś księciu Lerma przed wędrownką do Segovii: tym sposobem wyjdiesz na człowieka obsypanego zaszczytami i bogactwami.

Jeszcze ci radzę, dodał mi, odwiedzać kiedy, niekiedy, don Baltazara mojego pana; chociaż go już nie potrzebujesz do dzwigania się coraz wyżej, zawsze jednak miej go w odwodzie. Jesteś dobrze u niego położony, utrzymuj jego szacunek i przyjaźń; przy zdarzonej sposobności może ci być użyteczny. Ponieważ stryj i jego synowiec, zapytałem się Novarry, razem rządzą krajem, nie wciskasz się trafem zawiść między takich dwóch kolegów? Nie, odpowiedział mi, owszem największa między nimi zgoda. Bez don Baltazara hrabia Olivarez możeby nie był pierwszym ministrem; bo po śmierci Filipa III. wszyscy przyjaciele i stronicy domu Sandoval na wszystkie strony zabiegali, jedni na korzyść kardynała, drudzy zaś za synem jego; ale mój pan najsztelniejszy z dworaków i hrabia nie mniej od niego przebiegły, zakrzyżowali ich zamiary i tak trafnie przedsięwzięli środki, iż przemogli spółzawodników. Hrabia Olivarez zostawszy pierwszym ministrem, zostawił stryjowi swojemu udział w zarządzaniu kraju; poruczył mu interesa zagraniczne zatrzymując dla siebie sprawy wewnętrzne: tym sposobem ścisłając węzły przyjaźni, jaka z natury łączyć powinna osoby jednejże rodziny, dwaj ci panowie niezależni między sobą, żyją w dobrem porozumieniu, które zdaje mi się niepodobne do zerwania.

Taką miałem rozmowę z Józefem, z której postanowiłem korzystać; po czem udałem się do pana Zuniga z podziękowaniem za wyświadczoną mi łaskę. Oświadczył mi w nader uprzejmych wyrazach, iż nieomieszka korzystać z każdej sposobności, w której będzie mi mógł zrobić coś przyjemnego, że mu bardzo miło, iż jestem zadowolony z jego synowca, z którym obiecał jeszcze raz pomówić o mnie, ażeby mnie przekonać, że los mój bardzo go obchodzi i że w miejsce jednego, ma dwóch protektorów. Tak więc don Baltazar przez przywiązanie do Józefa Navarro szczerze zajmował się moim losem.

Tegoż wieczora opuściłem mój hotel, przenosząc się do pierwszego ministra, gdzie jadłem wleczere z Scypionem w moich pokojach. Trzeba było wtedy widzieć naszą postawę! Usługiwali nam pańscy słuźący, którzy wleczere, kiedyśmy udawali powagę nakazującą uszanowanie, śmieli się może w duchu z wymuszonej uległości, jaką względem nas objawiali. Po ich oddaleniu, sekretarz mój wolny od przymusu; tysiącnie prawil mi pustoty, które mu nasuwał humor wesoły i powzięte nadzieje. Ja zaś chociaż rad świetnemu położeniu, w jakim się ujrzałem, nie czułem jednak najmniejszego usposobienia do zwodniczych marzeń. Dlatego też udawszy się na spoczynek zasnąłem spokojnie, gdy tymczasem dumą rozkołysany Scypion, przeszło połowę nocy rozmyślał nad zbieraniem pieniędzy, dla wyposażenia swojej Serafiny.

Nazajutrz rano ledwie co się ubrałem, gdy mnie wezwano do ministra. Natychmiast stanąłem w obec jego wysokości, który tak przemówił do mnie: Nuże Santillana, zobaczmy co umiesz. Powiadałeś mi, że książe Lerma kazał ci układać przedstawienia, ja właśnie mam jedno, które ci przeznaczam na próbę. Powiem ci zaraz przedmiot, słuchaj tylko z uwagą: idzie o układ dzieła, któreby zdolne było zjednać przychylną opinią publiczności dla mojego ministerstwa. Już ja ubocznie rozpuściłem wieści, że sprawy państwa zastał wlece powikłane; teraz idzie oto, aby w oczach dworu i młasta wystawić stan oplakany w jakim się państwo znajduje. Trzeba w tym względzie skreślić obraz nderzający, tak iżby naród nie żałował mojego poprzednika. Potem rozwodzić się będziesz z pochwałą nad środ-

kami przezemnie przedsięwziętymi, aby panowanie króla uczynić świetnym, kraj kwitującym, a poddanych szczęśliwym.

Tak mówiąc minister, wręczył mi pismo obejmujące słuszne powody zażaleń na poprzednią administracyą, i przypomniał mi sobie, że było dziesięć punktów, z których najmniej ważny zdolny był przerazić każdego dobrego Hiszpana. Następnie wpuściwszy mnie do przyległego gabłetu, zostawił mi wszelką swobodę do pracy. Zacząłem więc układać moje przedstawienie, jak tylko mogłem najlepiej; okazałem naprzód smutny stan, w jakim się kraj znajdował: skarb roztrwoniony; dochody zastawione dlerżawcom; marynarka zniszczona. Wyłuszczyłem następnie błędy tych, którzy krajem władali za rządu przeszłego i zgonne skutki, jakie ztąd wyniknąć mogły. Wreszcie wystawiłem monarchią w ulebezpieczeństwie i nicowałem tak ostro poprzednie ministerstwo, iż wedle mojego przedstawienia, apadek księcia Lerma był istotnym szczęściem dla Hiszpanii. Prawdę mówiąc, choć żadnej nie miałem urazy do księcia, nie wahałem się atoli wyświadczyć mu tej przysługi. Otóż to jest człowiek!

Skreśliwszy tak przerażający obraz nieszczęść grozących Hiszpanii, uspokajałem umysły zręcznie, natracając o świetnych nadziejach na przyszłość. W tym celu mówiłem o hrabi Olivarez, jak o posłańcu niebios dla zbawienia kraju; obiecywałem dziwy i złote góry. Słowem, tak dobrze trafiłem w myśl pierwszego ministra, że przeczytawszy całe dzieło, zdał się być mocno zdziwiony. Santillano, rzekł do mnie, nie spodziewałem się, abys był zdolny ułożyć podobne przedstawienie. Wiész ty, żeś napisał rzecz godną sekretarza stanu! Teraz się nie dziwię, że książe Lerma używał twojego pióra. Twój styl jest związły, a nawet wykwiłtny; ale mi się zdaje zbyt naturalny. Pokazując mi zarazem miejsca nie w jego guście, zmienił je; a z jego poprawek poznałem, że jak Navarro powiadał, lubił wyrażenia ciemne i wyszukane. Jednakże choć żądał szlachetności, czyli raczej wymuszenia stylu, przeciwie zostało dwie trzecie mojego dzieła wcale nieukłętę; a chcąc mi objawić jak dalece był zadowolony, przysłał mi przez don Raimonda trzysta ludorów przy końcu mojego obładu.

ROZDZIAŁ VI.

O użyciu tych pieniędzy przez Gil Blas'a. Skutek przedstawienia o którym wzmiankowano.

Ten dar ministra nastęrczył Scypionowi nowy powód wleczowania mi, że przybył do dworu. Widzisz, że fortuna ma jakieś wielkie zamtary względem waszej wleczomości, mówił mi, czy teraz żałujesz swojej samotności? Niech żyje hrabia Olivarez! wcale to inny pan, nie taki jak jego poprzednik. Książe Lerma, choć pan byłeś do niego bardzo przywiązany, zostawił cię jednak w błędzie przez kilka miesięcy, nie dawszy ani jednego ludora; a hrabia udzielił ci już wynagrodzenie, którego nie mogłeś spodziewać się, chyba po długiej służbie.

Radbym teraz, mówił dalej, żeby panowie de Leyva byli świadkami szczęścia, którego używasz, a przynajmniej aby o niem wleczli. Czas jest zawiadomić ich o tem, odpowiedziałem, i o tem właśnie chciałem mówić z tobą. Nie wątpię, że tęsknie wyglądają wiadomości o demnie; ale wstrzymywałem się z doniesieniem im, póki się nie ujrzę w stanie pewnym, i póki nie będę im mógł donieść stanowczo, czy zostaną, lub nie przy dworze. Teraz kiedy już wiem czego się trzymać, możesz jechać do Walencji, kiedy ci się podoba, by donieść tym panom o moim terazniejszym stanie, który za dzieło ich uważam, bo to niezawodna, że gdyby nie oni, nigdybym się nie skłonił do odwiedzenia Madrytu. Kiedy tak, rzekł Scypion, don Cezar i don Alphons wkrótce wleczli będą o stanie spraw twoich. Jakaż im sprawię rozkosz opowiadając im twoje zdarzenia! O czemuż już nie jestem u bram Walencji! ale wnet będę przy nich. Dwa konie Alphonsa są gotowe. Puszczę się w drogę z lokajem jego wysokości. Bo naprzód będę miał towarzysza w podróży, a powtóre wiadomo panu, że liberya pierwszego ministra ci mi oczy ludu.

Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu, z głupiej próżności mojego sekretarza; tymczasem, może próżniejszy od niego, pozwoliłem mu robić jak chciał. Jedź, rzekłem, a wracaj czem-prędziej, bo jeszcze mam drugie dla ciebie polecenie. Chcę cię posłać do Asturyi z pieniędzmi dla mojej matki. Przez niedbalstwo uchybiłem terminu, w którym przyrzekłem jej posłać sto ludorów, któreś ty się zobowiązała sam doręczać jej. Ten rodzaj przyrzeczeń, powinien być tak święty dla syna, że mule mocno trapi moje uchybienie. Prawda panie, odpowiedział Scypton i ja sam się gniewam na siebie, że ci nie przypominał, ale trochę cierpliwości; za sześć tygodni najdalej, zdam ci sprawę z obudwóch poleceń; rozmówię się z paumi de Leyva, wstąpię do twojego zamku i odwiedzę Oviedo, o którym nie mogę pomyśleć bez klątwy na jego mieszkańców. Wylczyłem więc synowi Coscoliny sto ludorów dla mojej matki, drugie sto dla niego, by tym przyjemniej odbył tak długą podróż.

W kilka dni po jego odejździe, hrabia minister kazał wydrukować nasze przedstawienie, które zaledwie się pojawiło, a już ci stało się przedmiotem rozmów w całym Madrycie. Lud, zwoleńnik nowości, unosił się nad tym pismem; wycieńczenie skarbu odmalowane w najżywszych kolorach, oburzało wszystkich przeciw księciu Lerma, a lubo nie wszyscy pochwalali ostre szarpanie przeszłego ministra, nie zbywało jednak na przyznawających nam słusność. Co się tyczy świętych obłędnie, jakże robił hrabia Olivarez, a młodzi innemi, że przez rozsądną oszczędność wystarczy na potrzeby kraju, bez ucisku poddanych, to ośniło wszystkich bez wyjątku i utwierdziło wielkie mniemanie, jakże powzięto o jego rozumie; słowem, uwielbienia pierwszego ministra rozlegały się po całym mieście.

Minister uradowany z osiągniętego celu, którym była chęć zjednania sobie przychylności narodu, chciał na nią istotnie zasłużyć przez czyny chwalebne i monarsze pożyteczne. W tym duchu działając, chwycił się wyalazku cesarza Galby, to jest wycisnął wszystko z tych, co się z bogacili, Bóg wie, jakim sposobem, przy zawiadaniu dochodami królewskimi. Wyciągnawszy zaś z tych pijawek całą krew, którą one wysąsły, napełnił skrzywie królewskie i postanowił je utrzymać w tym stanie, znosząc wszystkie pensye, bez wyjątku nawet swojej; wszystkie gratyfikacye, wypłacane z dochodów królewskich. Żeby zaś zapewnić sobie pomysły skutek takowego przedsięwzięcia, zmieniającego postać rządu, polecił mi ułożenie nowego przedstawienia, do którego podał mi treść i wskazał formę. Następnie kazał mi starać ile możności o wzniosłość, o unikanie zwyczajnej mojej prostoty stylu, o nadanie większej szlachetności moim wyrażeniom. To dosyć dla mnie, rzekłem, Wasza Wysokość pragnie szczytności i blasku, znajdźiesz je w moim dziele. Zamknąłem się w tymże gabinecie, w którym już pracowałem, i tam wzięłem się do rzeczy, wezwawszy natychmiast geniusza prałata Granady.

Rozpocząłem od przedstawienia potrzeby strzeżenia summ złożonych w skarbcu królewskim, że te jedynie na użytek kraju obracane być winny, jako fundusz święty, który ochraniać należy, by wrogów Hiszpanii trzymać na wodzy; w dalszym ciągu przedstawiałem królowi, bo całe pismo do niego zwrócone było, że usuwając pensye i wynagrodzenia pobierane z jego zwyczajnych dochodów, nie pozbawił się wcale rozkoszy wynagradzania tych poddanych, których godnymi swojej łaski uzna; nie tykając wcale skarbu, bądźle mógł im wyznaczać wielkie nagrody; dla jednych ma wice-królestwa, gubernatorstwa, ordery zakonów, urzędy wojskowe; dla innych komandorye, albo pensye z nich, tytuły z urzędami, wreszcie wszelkie rodzaje beneficjów dla osób duchownych.

To przedstawienie daleko rozciąglejsze od poprzedzającego, zajęło mi trzy dni czasu; ale szczęściem, trafiłem do gustu ministrowi, widząc je ułożone z nadętością, nadzlane przenośniami, nie szczędził mi pochwał. Otóż z tego bardzo jestem zadowolony, wskazując najsumniejsze ustępy, otóż to wyrażenia trafne. Śmiało mój przyjacielu, przekonywałem się, że mi będziesz bardzo użyteczny. Jednakże mimo pochwał, jakimi mnie hojnie obsypywał, nie mógł się wstrzymać od poprawek.

Wtracił wiele swojego i zrobił z tego rzecz wymowną, która zachwycała króla i cały dwór. Miasto podzielało ogólne zdanie dworu; wszyscy najlepij o przyszłości wróżyli, każdy sobie pochlebiał, że pod rządem tak wielkiego ministra, monarchia odzyska dawną swoją świetność. Jego Wysokość zważając, że to pismo tyle mu jednako zaszczytu, chciał, abym też i ja odniósł jakąś korzyść, za moją w niem częśćkę; wyznaczył mi pensyą pięćset talarów, na komanderyą Kastylską przekazaną; co mi się zdało uczciwem wynagrodzeniem za moją pracę, a było mi tym miłsze, że nie mógł tego uważać za dobro źle nabyte, chociaż łatwo je zyskałem.

ROZDZIAŁ VII.

Jakim trafem i w jakim miejscu, Gil Blas znalazł swojego przyjaciela Fabrycego.

Nie większej ministrowi nie sprawiało przyjemności, jak doniestwenta, co też sądzono w Madrycie o jego postępowaniu w zarządzie państwa. Codziennie pytał się mnie co też mówią o nim. Miał nawet szplegów, którzy za jego pieniądze, zdawali mu sprawę jak najrzetelniej o wszystkim, co działo się w mieście. Donosili mu najdrobniejsze gawędki, jakich podsłuchali; a że im szczerość nakazał, niekiedy więc miłość jego własna cierpiała, bo lud ma jakąś niepowściągliwość języka, która na nie nie uważa.

Spostrzegłszy że minister lubi takowego rodzaju nowiny, postanowiłem po południu uczęszczać w miejsca publiczne, mieszkać się do rozmowy ludzi godnych, jeżeli ich tam znalazłem. Jeżeli wszczęła się rozmowa o rządzie, słuchałem jej bacznie; a gdy się znalazło coś godnego powtórzenia jego wysokości, nieomieszkałem mu tego donieść. Muszę atoli dodać, że mu tylko to donosił, co na jego korzyść mówiło. Zdawało mi się, że tak winien był postępować z ministrem takiego charakteru.

Pewnego dnia wracając z takowego miejsca, przechodziłem koło bramy szpitala. Wzięła mnie chęćka wstąpić do niego. Przeszedłem dwie czy trzy sale pełne chorych obłożnych; rzuciłem okiem po wszystkich stronach. Pomędzy temi nieszczęśliwymi, którzy litość wzbudzali, spostrzegłem jednego, który mnie szczególnie uderzył. Zdało mi się, że w jego osobie, poznał Fabrycego, dawnego towarzysza i złomka. Żeby mu się lepiej przypatrzeć, zbliżyłem się do jego łóżka, a nie wątpiąc już wcale, stałem z wlepionymi wien oczyma, nie nie mówiąc. On poznał mnie także i w ten sam sposób przyglądał mi się. Wreszcie przerywając milczenie: Czy oczy moje, rzekłem, nie zwodzą mnie, czy w istocie widzę tu Fabrycego? Tego samego, odpowiedział oziębło, i nie dziw się temu. Odkąd cię opuściłem, trudniłem się wciąż rzemiosłem poety; pisałem romanse, komedye i wszelkiego rodzaju dzieła dowcipu; postępowałem wciąż raz obraną drogą i stanąłem w szpitalu.

Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu z tej mowy, a więcęć jeszcze z tonu poważnego, jakim się wyrażał. Jak to! zawołałem, toż Muza cię w to miejsce wprowadziła? to ci brzydka psotę wypłatała. Otóż widzisz, odpowiedział, ten dom bardzo często służy za przytułek wielkim dowcipom. Tyś mój kochany przedziwnie zrobił, inną puszczając się drogą. Ale i ty podobno już nie jesteś przy dworze, jak mi się zdaje, i twoje interesa się zmieniły; przypominam sobie nawet, żeś był uwięziony z rozkazu króla. Wszystko to prawda, rzekłem; cudny stan mój, w jakim mnie widziałeś, przy rozstaniu się naszym, wkrótce uległ strasznej zmianie, straciłem mielen i wolność. Ależ mój przyjacielu *post nubila Phoebus*, teraz widzisz mnie w daleko świetniejszym stanie, niż byłem podówczas. To niepodobna, rzekł Nunez, twoja postawa jest skromna i rozważna, nie masz miny próżnej i zuchwałej, jaką pospolicie nadaje dobre mielen. Nieszczęścia oczyściły moją cnotę, w szkole przeciwności nauczyłem się używać dostatków, nie będąc ich poddanym.

Powiedzże mi, przerwał Fabrycy usiadłszy na swoim łożu, jakże może być twoje zatrudnienie? Co teraz robisz? Miałbyś być zawiadowcą jakiego pana zadłużonego, lub bogatęj wdo-

wy? Lepszą daleko mam posadę, odpowiedziałem; ale teraz proszę cię, uwolnij mnie od obszerniejszego wyjaśnienia, później zaspokoję twoją ciekawość. W tej chwili poprzestanę na oświadczeniu, że mogę ci zrobić przyjemność, albo raczej zapewnić ci przyzwolnie utrzymanie na resztę dni twoich, bylebyś mi przyrzekł, że już nie będziesz się wdawał w pisanie dzieł: bądź wierszem, bądź prozą. Czujeszże się zdolnym ponieść tę ofiarę? Jużem ją złożył Bogu, rzekł, w chorobie śmiertelnej, z której się wydobyłem. Ojciec z zakonu świętego Dominika, doprowadził mnie do tego, żem się wyprzyściągł poezji, jako zabawki, która acz nie jest występna, oddala wszakże od celu mądrości.

Wluszuję ci mój kochany Nunez, przedziwnie zrobiłeś, mój przyjacielu, lecz strzeż się powrotu! Oh, odpowiedział z miną stanowczą, tego ja się wcale nie lękam. Silne powzięłem postanowienie, porzucić muzy na zawsze; kiedyś wchodził na tę salę, właśnie układałem wiersze, na ich wieczyste pożegnanie. Panie Fabrycy, odezwałem się, kiwając głową, nie wiem czy ojciec zakonu św. Dominika i ja, możemy ufać twojemu zaparcia się; zdajesz mi się być szalenie rozmiłowanym w tych niezonych dziewicach. Nie, nie, odpowiedział, zerwałem wszystkie węzły, które mnie z nimi łączyły. Więcej jeszcze zrobiłem, znienawidziłem całą publiczność, a moja nienawiść jest sprawiedliwą. Nie warta jest autorów, poświęcających jej prace swoje; gniewałoby mnie, gdybym napisał coś według jej upodobania. Nie sądz, mówił dalej, aby zgryzota poddawała mi te wyrazy, mówię ci z zimną krwią. Gardzę zarówno oklaskami publiczności, jak jej gwizdaniem. Trudno wiedzieć, kto z nią zyskuje, lub traci; jest to kapryśnica, dziś tak myśląca, jutro inaczej. Jakież to obłąkanie poetów dramatycznych, chęć się z szluku, co się powiodła! Niech wzbudzają jaką chęć wrzawę swoją nowością na scenie, rzadko się utrzymują po wydrukowaniu, a jeżeli je wrócą na teatr po dwadzieścia lat, po większej części złego doznają przyjęcia. Pokolenie żyjące dziś, zarzuca zły gust temu, które je poprzedziło, a wyrok jego okaże się sprzecznym ze zdaniem następnych. To ja zawsze nważałem, a zład wnoszę, że autorowie dziś okrzykami, spodziewać się powinni wyszydzenia w przyszłości. Toż samo dzieje się z romansami i innymi dziełami rozrywki, które na świat wychodzą, chociaż zrazu powszechną zyskują pochwałę, z czasem pogarda stanie się ich udziałem. Sława zatem z powodzenia dzieła, jest czystym urojeniem, uludą umysłową, płomieniem słomy, po którym dym szybko ulata.

Lubo poznałem wyraźnie, że poeta asturyjski rozprawiał w ten sposób w przystępie złego humoru, nie pokazałem wszakże tego. Cieszy mnie mocno, rzekłem, że ci obmierzła piękna literatura, żeś się z gruntu wyleczył z manii pisania. Możesz się spuścić na to, że ci wkrótce wyjednam urząd, na którym będziesz się mógł zbożać bez wielkiego nakładu geniuszu. Tęm lepiej, odezwał się, talent pisarski już mi cuchnie i w tej chwili uważam go za dar najzgnubniejszy, jaki tylko niebo człowiekowi udzielić mogło. Życzę ci, rzekłem, mój kochany Fabrycy, abyś tylko wytrwał w teraźniejszych twoich uczuciach. Jeżeli stale trzymać się będziesz postanowienia zaniechania poezji, powtarzam ci, że wnet uzyskasz posadę zaszczytną i zyskowną. Nim atoli wyświadczę ci tę przysługę, dodałem, podając mu sakiewkę z sześćdziesięcią luidorami, proszę cię, przyjm ten błahy dowód przyjaźni.

O wspaniałomyślny przyjacielu! zawołał syn balwierza Nuneza, uniesiony radością i wdzięcznością; jakież dzięki Bogu wintem, że cię tu do tego szpitala sprowadził, z którego ja dziś jeszcze przy twojej pomocy wyjdę; jak też w istocie kazał się przenieść do pokoju umeblowanego. Przy pożegnanu, wskazał mi moje mieszkanie, zapraszając, aby mnie odwiedził, skoro mu tylko zdrowie pozwoli. Zdumiał się nadwzyczaj, usłyszawszy, że mieszkam u hrabiego Olivarez. O stokroć szczęśliwy Gil Blasie, odezwał się do mnie, przeznaczenie twoje, podobać się ministrom; cieszę się z twojego szczęścia, kiedy go tak pięknie używasz.

ROZDZIAŁ VIII.

Gil Blas coraz większe zyskuje względy ministra. Powrót Scypiona do Madrytu.

Hrabia Olivarez, którego odtąd zwać będę *hrabia-księciem*, ponieważ w tym czasie podobało się królowi, zaszczycić go tym tytułem, miał słabość, którą nie bez korzyści dla siebie wykryłem, a tą słabością była żądza, być kochanym. Skoro spostrzegł, iż ktoś przywłażywał się do niego przez skłonność serca, zaraz go przypuszczał do swojej przyjaźni. Nie puściłem mimo, tego spostrzeżenia. Nie poprzestałem na tem, żeby dobrze spełnić jego rozkazy; wykonywałem je z objawami gorliwości, która go zachwycała. We wszystkich badałem gust jego, aby się doń zastosować, uprzedzałem nawet, ile można, słu, jego życzenia.

Przez takowe postępowanie, które prawie zawsze prowadzi do celu, zostałem nieznanie ulubieńcem mojego pana, który ze swojej strony pozyskał moje serce przez okazywaną mi czcliwość, bo i ja takiejże uległem słabości. Tak wreszcie wcieliłem się do jego łaski, że podzielałem jego zaufanie z panem Carnero, pierwszym sekretarzem.

Carnero dla przypodobania się panu, tegoż co ja używał sposobu; i tak mu się powiodło, że minister zwierzał mu się z tajemnicami gabinetowemi. Obadwa więc byliśmy poufniemi hrabi księcia i powiernikami jego sekretów; z tą różnicą, iż z panem Carnero rozmawiał tylko o sprawach stanu, ze mną zaś o interesach własnych, co stanowiło, że tak rzekę, dwa wydziały odosobulone, z których byliśmy bardzo zadowoleni. Żyliśmy z sobą bez zawiści i bez przyjaźni. Byłem kontent z mojego miejsca, bo mi ono nastęrczało sposobność być ciągłym z hrabią-księciem, wejrzemia aż do głębi serca jego, którego nie zamykał przedemną, choć z natury skryty, gdy przekonał się o szczerości mojego przywiązania.

Santillano, mówił raz do mnie, widziałeś księcia Lerma używającego władzy nie jako minister poufny, ale jako pan samowładny; jednakże ja jestem szczęśliwszym od niego, nawet w chwili, gdy był na najwyższym punkcie szczęścia. Miał dwóch strasznych wrogów w osobie księcia Uzedo swojego syna i w osobie spowiednika Filipa III, ja tym czasem nie widzę nikogo przy boku króla, coby mi mógł szkodzić, ani nawet takiego, któregobym mógł posadzać o złe chęci ku mnie.

Prawda, mówił dalej, że na samym wstępie mojego ministerstwa starałem się najusilniej, takie tylko przy królu umieścić osoby, z którymi mnie węzły przyjaźni, lub pokrewieństwa łączyły. Pozbyłem się za pomocą wice-królestw, albo ambassad, wszystkich wielkich panów, których osobista zaśluga mogłaby mnie pozbawić części względów królewskich, które pragnę posiadać bez podziału; tym sposobem w tej chwili mogę śmiało powiedzieć, iż nikt mi nie zawadza. Widzisz Gil Blasie, dodał, że ci otwieram moje serce. Ponieważ mam powody wnosć, że mi jesteś całkiem poświęcony, wybrałem cię przeto na powiernika. Masz rozum, uważam cię za spokojnego, roztropnego i milczącego; słowem, zdajesz mi się być zdolnym do spełnienia rozmaitych zleceń wymagających człowieka przeczornego.

Nie wytrzymałem próby pochlebnych obrazów, jakie umysłowi mojemu przedstawiły te wyrazy ministra. Dymek chciwości i dumy uderzył mi do głowy i obudził w duszy mojej uczucia, które za uspioue poczytywałem. Zaręczałem mojemu panu, że z całej siły starać się będę godnie odpowiedzieć jego życzeniom, że gotów jestem bez najmniejszego wahanja spełnić wszelki rozkaz, jakiby mi wydany został.

Kiedy tak usposobiony byłem do stawienia nowych ołtarzy fortunie, Scypion wrócił z podróży. Nie mam co wiele powieścić panu, rzekł mi, ucieszyłem panów de Leyva donosząc im o przyjęciu przez króla, skoro cię poznał, i o sposobie w jakim hrabia Olivarez wychodził z panem.

Przerwałem Scypionowi, mówiąc: mój przyjacielu, więcej bym jeszcze sprawił przyjemności, gdybyś mógł być im powie-

dzień na jakiej teraz jestem stopie u hrabiego księcia. Jestto rzecz zdumiewająca, jak szybko robię postępy w sercu jego wysokość. Chwała Bogu, mój kochany paule, odpowiedział mi, przeczuwam, że nas pięknie czekają przeznaczenia.

Zmleńmy rozmowę, odezwałem się, pomówmy o Owidio. Byłeś w Asturji, w jakimże stanie zostawiłeś matkę moją? Ah, paule, rzekł, przybierając nagle postawę posępną, same smutne ztamtąd przynoszą wiadomości. O Boże! zawołałem, matka moja zapewne umarła. Już sześć miesięcy temu, odpowiedział sekretarz, jak ta pani wypłaciła hold naturze, tak jak Gil Perez twój wuj.

Śmierć mojej matki żywym przejęła mnie żalem, chociaż w dzieciństwie nie doznałem od niej tych pieczęci, których dzieci potrzebują, aby z czasem były wdzięczni. Poświęciłem także dobremu kanonikowi łyzy, które mu winien byłem za trudny podjęty około mojego wykształcenia. Żalność moja wprowadziła nie była długotrwała, zamieniła się wkrótce na tkliwe wspomnienia, jakie na zawsze zachowałem dla moich rodziców.

ROZDZIAŁ IX.

Jakim sposobem i komu hrabia-książę zaślubił jedyną córkę swoją.

Wkrótce po powrocie syna Coscolliny, hrabia-książę przez osm dni w głębokim był zadumanu. Rozumiałem, że nad jakąś wielką sprawą państwa rozmyślał; a tymczasem marzeń tych rodzina jego była przedmiotem. Gil Blas, odezwał się do mnie raz po południu, zapewne dostrzegłeś, że mój umysł był wielce zajęty. Tak jest, moje dziecko, sprawa od której spokojność mojego życia zależy, nie małych trosków mnie nabawia. Chcę ci się z nią zwierzyć.

Dona Marya, córka moja, jest na wydaniu, znakomita liczba panów, ubiega się o jej rękę. Hrabia Niebles starszy syn księcia Medina Sidonia, głowa domu Guzmanów, i don Ludwik de Baro, starszy syn margrabiego de Carpio i mojej siostry starszej, są dwaj zalotnicy, którzy zdają się największe mieć prawo do pierwszeństwa przed innymi. Ostatni nadewszystko, tak dalece przeważa nad swoimi spółzawodnikami przez osobiste przymioty, że w całym dworze nikt nie wąpi, iż go wybiorę za zięcia. Jednakże nie rozwodząc się nad powodami, jakie mam do jego wyłączenia, równie jak i hrabiego Niebles, powiem ci, że zwróciłem oczy na don Ramira Nunez de Guzman, margrabiego de Toral, głowę domu Guzmanów d'Abrados. Temu to młodemu panu i dzieciom, jakie mieć będzie z mojej córki, postanowiłem przekazać cały mój majątek, przyłączając go do tytułu hrabiego Olivarez, dodawszy do tego tytuł grafa, tym sposobem moje wnuki i ich potomkowie pochodzący z linii Abrados i Olivarez, uchodzą będą za starszą linią Guzmanów.

Jakże więc! Santillana, czyż nie potwierdzisz mojej myśli? Przebacz mi, miłościwy panie! odpowiedziałem, ten pomysł godny jest geniuszu, który go pojął; lecz niech mi wolno będzie przedstawić jedną rzecz Waszej Wysokości, względnie do tego rozporządzenia. Obawiam się, aby książe Medina Sidonia, nie szemrał na to. A niech sobie wruczy jak chce, odpowiedział minister, mało mnie to obchodzi. Nie lubię szepetu, który przywłaszcza sobie prawo starszeństwa i tytuły należące do linii Abrados. Mnież czułym będę na jego utyski, niż na zgryzotę jaka dręczący będzie margrabinę de Carpio, moją siostrę, skoro ujrzy, że córka moja wymknie się z rąk jej syna. Lecz koniec końców, ja pragnę własnego zadowolenia i don Ramir weźmie górę nad swoimi spółzawodnikami, to jest moje nieodzowne postanowienie.

Hrabia-książę objawiwszy mi w ten sposób swój zamiar, nie wykonał go bez nowych wybiegów szczególniej swojej polityki. Złożył monarsze przedstawienie upraszając, równie jak i królowę, aby sami raczyli wybrać męża jego córce, wskazując im przymioty panów o jej rękę starających się i spuszczać się zupełnie na ich wybór; mówiąc wszakże o margrabi de Toral, niezantebał napomknąć, że on ze wszystkich byłby mu najmiłszy. Dla tego też król nieograniczenie łaskawo na ministra, taką mu dał odpowiedź: „Uważam don Ramira de Nunez, za godnego dony Maryi; jednakże zostawiam ci

wolność wyboru. Ten, który ci się zda najgodniejszym, będzie mi najmiłszym.—Król.”

Minister niby z żalem, pokazał tę odpowiedź; a udając, że ją uważa za rozkaz monarchy, śpiesznie zaślubił córkę z margrabiną de Toral. To pospieszne małżeństwo, przebiegło do żywego margrabinę de Carpio, równie jak wszystkich Guzmanów, którzy się o jej rękę ubiegali. Jednakże nie mogąc przeskodzić temu związkowi, w uroczystym jego obchodzie wszyscy najwyższą objawiali radość: rzekłbyś, że cała rodzina była tym zachwycona. Wkrótce atoli obrażeni pomśczeni zostali w sposób okropny dla hrabiego-księcia. Dona Marya w dziesięć miesięcy później powiła córkę, która zaraz po urodzeniu umarła, a w kilka dni po niej i matka padła ofiarą macierzyństwa.

Jakaż to strata dla ojca, który nie miał oczu, że tak rzekę, tylko dla swojej córki, a który przez to samo widział zwiędzony swój zamiar odebrania prawa starszeństwa linii Medina Sidonia! Tak mocno został tym dotknięty, iż się zamknął przez kilka dni i nikogo widzieć nie chciał, prócz mnie, który stosując się do jego boleści, objawiałem najwyższe udręczenie. Trzeba wyznać prawdę, iż ta okoliczność stała mi się pobudką do nowych łez nad zgonem mojej Antonii. Podobieństwo jej śmierci ze śmiercią margrabin de Toral rozjątrzyło ranę niezupełnie zagojoną, i przejęło mnie tak silną boleścią, że minister chociaż sam strapiony, zdumiał się przeciw nad moim żalem. Gil Blasie, odezwał się raz do mnie, widząc mnie uciśnionego smutkiem, jest to skądka dla mnie pociecha mieć powiernika tak czulego na moje przykrości. Ah, panie, rzekłem, składając na niego cały zaszczyt mojego udręczenia, musiałbym zbyć bardzo niewdzięczny, lub kamiennego serca, gdybym ich nie czuł. Mogęż patrzeć jak opłakujesz stratę córki najplekniejszych przymiotów, najczulej kochanej, bez wylewania łez wraz z tobą? Tak jest, paule, zanadto czuję twoją dobroć abym nie miał do zgonu podzielać twojej radości i twojego smutku.

ROZDZIAŁ X.

Gil Blas trafem spotyka Nuneza, dowiaduje się o napisanej przez niego tragedji. Los tej sztuki.

Minister zaczął się pocieszać, a w skutek tego i ja odzyskiwałem mój humor, kiedy raz wyjechałem sam w powozie dla użycia świeżego powietrza. W drodze spotkałem poetę asturyjskiego, którego nie widział od czasu, jak opuścił szpital. Zawołałem go, wzięłem z sobą do powozu i pojechaliśmy na łąki św. Hieronima.

Paule Nunez, mowiłem do niego, szczęście moje, że cię spotykam trafem; bez tego nie miałbym przyjemności... Bez wyrzutów Santillano, przerwał mi spiesznie, przyznam ci się, iż nie chciałem się widzieć z tobą i zaraz ci powiem przyczynę. Przyrzekłeś mi dobrą posadę, bylebym się wyprysnął poezji; a ja znalazłem bardzo stałą pod warunkiem, że będą robił wiersze. Przyjąłem tę ostatnią, jako zgodniejszą z moim humorem. Jeden z moich przyjaciół umieścił mnie u don Bertrauda Gomez del Ribero podskarbiego galer królewskich. Ten don Bertrand chcąc mieć u siebie na pensji poetę, uznawszy moje wierszowanie bardzo świetnem, wybrał mnie z pośród sześciu autorów, którzy się ubiegali, o urząd sekretarza do szczególnych pornceń.

Cieszę się mocno, mój kochany Fabrycy; bo ten don Bertrand musi być bardzo bogaty. Ależ jak bogaty! odpowiedział mi, mówią, że on sam nie wie dobrze o swoim majątku. Cóżkolwiekbać, otóż ci powiem moje obowiązki u niego. Ponieważ się chlubi z zalotów i chce niechodzić za dowlępnego, jest więc w stosunkach literackich z wielą paniami bardzo ukształconemi, ja mu zaś używam swojego pióra do bilecików pełnych wdzięków i dowcipu. Do jednej piszę wierszem, do drugiej prozą, niekiedy sam odnoszę listy, dla pokazania wszechstronności moich talentów.

Ależ nie powiadasz mi, rzekłem tego, co bym najbardziej chciał wiedzieć. Dobrzeż ci płaci za twoje listowe epigramata? Sowiec, odpowiedział. Nie wszyscy bogacze są szlachetni, znam wielu, co są wierutnie niekzemniki; lecz don Ber-

trand wychodził ze mną bardzo wspaniałomyślnie. Prócz dwustu ludorów pensyl stałej, odbieram od niego kiedy niekiedy małe wynagrodzenia, co mi wystarczy na życie pańskie, na wesole przepędzenie czasu z autorami, podobnie jak ja nieprzyjaciółmi zgryzoży. Zresztą, zapytałem się, twój podskarbi ma zapewne dosyć gustu, by czuł piękność poezyi, i dostrzegał jej usterki? Oh! wcale nie, odpowiedział Nunez, chociaż papie w tonie imponującym, znawcą atoli nie jest. Wyrokuje śmiało, zdania swojego tak głośno i tak upornie broni, że po największej części gdy się wda w dysputę, trzeba mu ustąpić, nie chcąc się urażać na grad wyrażań niegrzecznych, któremi obyspuje swolch przeciwników.

Możesz być pewnym, mówił dalej, że ja się z nim nigdy nie sprzecam, choćby do tego dał powód; bo oprócz nie bardzo miłych przydomków, jakiebym ściągnął na siebie, mógłbym jeszcze narazić się na wypędzenie za drzwi. Potwierdzam więc bardzo roztropnie wszystko co chwali, a naturalnie w ten sam sposób ganę to, co jemu się złem wydaje. Przez takową uprzejmość nie mnie nie kosztującą, posiadając sztukę stosowania się do charakterów osób dla mnie użytecznych, zyskałem szacunek i przyjaźń mojego pana. Zobowiązał mnie do napisania tragedyi, której mi podał pierwszą myśl. Ułożyłem ją pod jego okiem, a jeżeli się powiedzie, jego dobrym radom winien będę część sławy.

Zapytałem się naszego poetę, o tytuł jego tragedyi. Jest-to, odpowiedział mi, *hrabia Soldagne*. Za trzy dni będzie przedstawiona na teatrze księcia. Życzę, rzekłem mu, aby miała jak najlepsze powodzenie, a dosyć dobrze trzymam o twoim talentcie, abym nie miał mieć dobrej otuchy. I ja także spodziewam się, odpowiedział, lecz nie masz nadziei więcej zwolniczyć nad tę; tak dalece autorowie dramatyczni są niepewni wypadku dzieł swoich, że co dzień się zawodzą.

W dzień pierwszego przedstawienia nie mogłem być w teatrze, zajęty będąc przez ministra; lecz posłałem Scypiona, aby przynajmniej tegoż wieczora wiedzieć o losie sztuki, która mnie obchodziła. Z nieskuteniem oczekiwałem jego powrotu, a skorom go ujrzał, już z pierwszego wejrzenia na jego postać złą powzłąłem wróżbę. A cóż, zapytałem się, jakże publiczność przyjęła *hrabiego Soldagne*? Po grublańsku, odpowiedział, żadna może sztuka nie doznała tak szyderezego przyjęcia; wyszedłem oburzony swawolą parteru. A mnie, rzekłem, gniewa szal Nuneza do pisania dzieł dramatycznych. Jakaż to zapamiętałość! przenosi haniebne szyderstwa widzów nad błogi los, który mi chciałem zapewnić! Taka mnie złość brała na poetę asturyjskiego, tak ubolewałem nad nieszczęściem jego sztuki, a on tymczasem cieszył się.

We dwa dni później przyszedł do mnie uradowany. Santillana odezwał się, muszę cię zawiadomić o mojej radości. Przyjacielu, zrobiłem szczęście, napisawszy złą sztukę. Już wiesz o niegodziwym przyjęciu *hrabiego Soldagne*. Wszyscy widzą na wyścigi sykali na niego; a temu właśnie powszechnemu wyszydzeniu winienem szczęście mojego życia.

Zdumiałem się na tę mowę poety Nuneza. Jakimże tu sposobem, Fabrycy, zapytałem się, upadek twojej tragedyi, może wytłumaczyć tę twoją radość niepohamowaną? A tak jest niezawodnie, odpowiedział, mówiłem ci już, że don Bertrand wtrącił także swoje do niej, i dla tego uważał sztukę za arcydzieło. Rozgniewało go zdanie widzów sprzeczne z jego mniemaniem. Dziś rano odezwał się do mnie: Nunezie, *Vietrix causa placuit Diis, sed victa Catoni*. Twoja sztuka nie podobała się publiczności, ale mnie się podobała, i to dosyć dla ciebie. Żeby cię pocieszyć za zły gust teraźniejszego wieku, przewidzuję ci dwa tysiące talarów dochodu rocznego ze wszystkich dóbr moich; pójdźmy zaraz do pisarza aktowego spisać akt stosowny. Byliśmy u niego w tej chwili, podskarbi akt darowizny podpisał i za pierwszy rok wypłacił mi z góry.

Powinnowałem Fabrycemu nieszczęsnego losu *hrabiego Soldagne*, ponieważ na tym skorzystał autor. Masz słuszność, odezwał się Fabrycy, winszując mi w ten sposób; bo w istocie nie mogło mnie większe spotkać szczęście nad niechęć parteru.

Jakże to wyborne się stało, że mnie tak hucznie wygwizdano! Gdyby łaskawa publiczność była mnie zaszczyliła oklaskami, i na cóżby mi się to przydało? na nic. Z pracy mojej byłbym osiągnął zysk bardzo szczupły, gdy tymczasem sykanie, zapewniło mi los wygodny na całe życie.

ROZDZIAŁ XI.

Santillana zyskuje urząd dla Scypiona.

Sekretarz mój zazdrośnłem okiem spoglądał na szczęście nie spodziane poety Nuneza; ciągle mi o tem gadał przez cały tydzień. Dziwiał mnie, odzywał się, wybrkił fortuny, która czasami darzy względy swojemi niedołącznymi autorów, zostawiając w nędzy najdoskonalszych. I jabym rad był, żeby mnie kiedyś nagle zbogaciła. To może się stać, rzekłem mu, a nawet przedź, antżeli się spodziewasz. Przecież jesteś tu w świątyni fortuny, bo zdaje mi się, że można tak nazwać dom pierwszego ministra, w którym szafują łaski zdolne w jednej chwili utuczyc człowieka. To prawda mój panie, rzekł, ależ trzeba tego cierpliwie wyczekiwać. Powtarzam ci Scypionie, odpowiedziałem mu, bądź spokojny; może jakie dobre uposażenie już jest dla ciebie gotowe. W istocie w kilka dni zaraz, nastęrczyła się sposobność użycia go do służby hrabiego-księcia, a tej nie wypuściłem z rąk.

Pewnego poranku rozmawiałem z don Raimonem Caporis, intendentem pierwszego ministra i w tej pogadance wpadliśmy na artykuł dochodów jego wysokość. Hrabia-książe, mówił intendent, korzysta z dochodów ze wszystkich komanderyj zakonów rycerskich, co uczyni rocznie czterdzieści tysięcy talarów, obowiązany zaś nosić jeden tylko krzyż Alcantara. Nadto trzy urzędy, wielkiego szambelana, wielkiego koniuszego i wielkiego kancлера Indyi, przynoszą mu dwakroć sto tysięcy talarów; a to wszystko jest uciążem w porównaniu z niezliczonemi summami, jakie ściągają z Indyi; a wieszże jakim sposobem? Oto gdy okręty królewskie z Sewilli lub Lizbony odbijają do Ameryki, ładuje na nie wino, oliwę, zboże i inne płody swojego hrabstwa Olivarez; nie opłaca zaś kosztów przewozu. Tym sposobem, towary te sprzedaje w Indyach, cztery razy drożej niż w Hiszpanii; za te pieniądze każe zakupować bakalie, materyały farbierskie i inne przedmioty, które tam za bezcen nabywają, przedawając w Europie bardzo drogo. Na tem zyskał on już kilka milionów, nie przyniosłszy królowi najmniejszego uszczerbku.

A to cię dziwić nie powinno, mówił dalej intendent, ponieważ i osoby do takowych obrotów użyte, wracają obsypane bogactwami; jego wysokość bowiem pragnie, aby i oni także obok jego interesu i swoim się także trudnili.

Syn Coscollny słuchając tej rozmowy Raimonda, nie mógł się wstrzymać od przerwania mu mowy: Ah, dalbóg! panie Caporis, zawołał w uniesieniu, jakżebym ja rad być taką osobą; zwłaszcza że oddawna pragnę zwiedzić Meksyk. Możesz zaraz zaspokoić swoją ciekawość, odpowiedział intendent, jeżeli się temu nie sprzeciwi pan de Santillana. Jakkolwiek ostryżny jestem w wyborze ludzi do tego interesu, bo ja ich wybieram, położę cię atoli na liście bez namysłu, jeżeli się to twojemu panu podoba. Zrobisz mi przyjemność, rzekłem don Raimondowi, będę to uważał za dowód przyjaźni. Scypion jest chłopiec, którego kocham, jest bardzo roztropny, sprawi się tak, że nie zasłuży na najmniejszy zarzut. Słowem, ręczę za nim, jak za sobą samym.

Na tem poprzestaję; niech więc natychmiast uda się do Sewilli; okręty najdalej za miesiąc rozwiną żagle do Indyi. Przy odjeździe dam mu list do pewnego człowieka, który mu wskaże środki zbogacenia się, bez uszczerbku dobra Jego Wysokości, które musi być świętym dla niego.

Scypion uradowany nowym powołaniem, śpieszył się z wyjazdem do Sewilli, odebrawszy odemnie tysiąc talarów, na zakupienie w Andaluzyi wina i oliwy, na handel własny w Indyach. Jednakże choć zaczarowany był podróżą, z której sobie takie korzyści obiecywał, przy pożegnaniu wszakże ze mną,

obite łzy wylewał, a ja także nie mogłem obojętnie patrzeć na jego oddalenię się.

ROZDZIAŁ XII.

Don Alphons przybywa do Madrytu. Powody tego.

Tylko co Scypion oddał się, gdy paż ministra przyniósł mi bilecik tej osnowy: „Jeżeli pan Santillana, zechce łaskawie udać się pod wizerunek św. Gabryela, przy ulicy Toledańskiej, zastanie tam najlepszego swojego przyjaciela.”

Ktoby to był tym przyjacielem, który się nie podpisuje? pomyślałem sobie. Dlaczego ukrywa swoje nazwisko? Zapewne chce mi sprawić rozkosz niespodzianki. Wyszedłem natychmiast, udałem się na ulicę Toledańską, a przybywszy na miejsce wskazane, zdziwiłem się nie mało, ujrawszy don Alphonsa de Leyva. Co ja widzę! zawołałem. Ty tutaj panie! Tak jest, kochany Gil Blasie, odpowiedział, ściskając mnie serdecznie, don Alphonsa widział przed sobą. Cóż cię sprowadza do Madrytu? rzekłem mu. Zdziwił cię, odpowiedział i zasmucę, zawiadamiając o przyczynie mego przybycia. Odebrano mi gubernatorstwo Walencji i pierwszy minister przyzwał mnie do dworu, abym zdał sprawę z mego postępowania. Stałem jak wryty przez niejaki czas, poczem odzyskawszy przytomność: O cóż, rzekłem, obwiniają pana? Musiałeś coś zrobić bez namysłu. Ja przypisuję, rzekł, moją nielaskę odwiedzeniu kardynała de Lerma, który już od miesiąca siedzi na wygnaniu w swoim zamku Denla.

Prawda, przerwałem, słuszenie bardzo nieszczęście swoje przypisujesz tym nierozważnym odwiedzinom! nie szukaj innej przyczyny, a pozwól sobie powiedzieć, żeś się nie poradził zwykłego swojego rozsądku, wybierając się do ministra pozbawionego łaski. Stało się, odpowiedział mi, postanowiłem już z dobrej woli cofnąć się z całą rodziną do zamku Leyva i tam spokojnie pędzić życie. To mi jedynie przykro, dodał, że muszę stawić się przed ministrem, którego przyjęcie, zapewne nie będzie bardzo uprzejme. Co za upokorzenie dla Hiszpana! ależ jest to konieczność niezbedna; przed poddaniem się jej wszakże, chciałem z tobą pomówić. Panie, rzekłem, zostaw to mnie, nie pokazuj się ministrowi, póki ja się nie dowiem, o co cię obwiniają! może to złe nie jest jeszcze bez lekarstwa. Cóżkolwiekbać, nie weźmiesz mi z łaski swojej za złe, że użyję wszelkich środków i trudów, jakich po mnie wymaga wdzięczność i przyjaźń. To rzekłszy, zostawiłem go w hotelu, zapewniając, iż wkrótce dostarczę mu wyjaśnienia.

Ponieważ nie mieszałem się do spraw państwa od owych dwóch przedstawień, o których tak wymowna była wzmianka, udałem się więc do pana Carnero zapytanem, czyby prawda była, że don Alphonsowi de Leyva, odebrano gubernatorstwo Walencji. Odpowiedział mi, że tak jest, ale dla czego, nie wie. W skutek tego, postanowiłem udać się wprost do Jego Wysokości, by z własnych ust jego, usłyszeć powód niechęci ku synowi don Cezara.

Tak byłem przejęty tym przykrym wypadkiem, że nie potrzebowałem udawać, by się strapiionym przedstawić ministrowi. Co ci jest, Santillano? odezwał się, zobaczywszy mnie. Widzę na twój twarz obraz zgrzyoty, widzę cię bardzo blizkim płaczu. Co to ma znaczyć? Nie ukrywaj nic przedemną. Może cię kto obraził? mów, a będziesz miał zaraz sprawiedliwość. Panie miłościwy, odpowiedziałem, choćbym chciał ukryć przed tobą moją boleść, nie potrafiłbym tego dokazać, jestem niemal w rozpacz. Powiedziano mi w tej chwili, że don Alphons de Leyva już nie jest gubernatorem Walencji; nie mogłem zgryzliwszej nad tę powziętą wiadomości. Co ty mówisz Gil Blasie, odezwał się minister, coż cię tak dalece może obchodzić don Alphons i jego gubernatorstwo? Wtedy wyluszczyłem mu obojętności moje, jakie miałem dla panów de Leyva; wyjaśniłem mu jakim sposobem od księcia de Lerma, wyjednalem dla don Alphonsa gubernatorstwo, o które teraz idzie.

Jego Wysokość wysłuchawszy do końca mego opowiadania, z uwagą pełną łaskawości dla mnie, rzekł: Uspokój się mój przyjacielu. Nie wlecząc o tem co mi powiadasz, uważa-

łem don Alphonsa za stworzenie kardynała de Lerma. Postaw się w mojem miejscu; odwiedź u jego eminencji, nie podałby ci go w podejrzenie? Przypuszczam jednakże, iż uzyskawszy urząd od tego ministra, mógł się posunąć do tego kroku przez prostą wdzięczność i to mu przebaczam. Przykro mi, że usunął człowieka, który tobie winien tę posadę; jeżeli wszakże zniszczyłem twoje dzieło, mogę je naprawić. Włęczę nawet zrobić dla ciebie, aniżeli księżę Lerma. Don Alphons, twój przyjaciel, był tylko gubernatorem miasta Walencji, ja go mianuję wice-królem Aragońskim; pozwałam ci zawiadomić go o tem, możesz go wezwać do wykonania przysięgi.

Usłyszawszy te słowa, przeskoczyłem natychmiast z jedną ostatecznością w drugą, z głębokiego żalu, przeszedłem do niepohamowanej radości, która pomieszała mój umysł tak dalece, że się to wybiło w mojem podziękowaniu; minister wszakże nie brał za złe tego roztargnienia i dowiedziawszy się, że don Alphons był w Madrycie, pozwolił mi przedstawić go, tegoż samego dnia. Pobiegłem zaraz pod wizerunek św. Gabryela, wprawiłem w zachwycenie don Alphonsa wiadomością o nowym urzędzie. Nie mógł wleźć moim słowom; trudno mu było pojąć, aby pierwszy minister, jakkolwiek mi przychylny, mógł udzielić wice-królestwo, jedynie przez wzgląd na mnie. Zaprowadziłem go do hrabi-księcia, który go przyjął uprzejmie, mówiąc: Don Alphonsie, tak dobrze sprawileś się w zarządzaniu miasta Walencji, że król Jmé uznawszy cię godnym wyższego stanowiska, mianował cię wice-królem Aragonii. Godność ta, dodał, nie przechodził wcale twojego urodzenia, a szlachta aragońska nie będzie miała przyczyny szemrania, przeciw wyborowi dworu.

Jego Wysokość najmniejszej o mnie nie zrobił wzmianki, publiczność nie wiedziała wcale, jakibym udział mógł mieć w tej sprawie; to zabezpieczyło don Alphonsa i ministra od złośliwych przymówek, jakby znosić musiał wice-król mego kroju.

Syn don Cezara, pewnym już będąc swojego, wysłał umyślnego gońca do Walencji, zawiadamiając ojca i Serafinę, którzy wkrótce przybyli do Madrytu. Pierwsze ich staranie było, złożyć mi najserdeczniejsze podziękia. Co za widok tkliwy i chluby dla mnie, widzieć trzy osoby najmilsze mi w świecie, ulegające się nawzajem o uściskanie mnie serdecznie! Równie czuli na moje przywiązanie i gorliwość, jak na zaszczyt spływający na ich całą rodzinę z godności wice-króla; nie mogli znaleźć końca swoim podziękowaniom. Rozmawiali ze mną, jak z człowiekiem równego im roku, zapominali, że byłem ich sługą; zdawało się, że nie mogli objawić mi dosyć swojej przyjaźni. Pomijając szczegóły niepotrzebne, don Alphons otrzymawszy swoje mianowanie, złożywszy dzięki królowi i ministrowi, wykonawszy zwyczajną przysięgę, wyjechał z Madrytu, dla zajęcia posady w Saragossie. Odprawił wjazd z całym przepychem; aragończycy zaś okrzykami swoimi objawili, że królewski wybór nowego wice-króla, był im bardzo miły.

ROZDZIAŁ XIII.

Gil Blas spotyka na pokojach królewskich don Gastona de Cogollos i don Andrzeja de Tordesillas.

Nie posiadałem się z radością, że mi tak szczęśliwie powiodło się, usuniętego z miejsca gubernatora, przemienić na wice-króla; panowie de Leyva mnież zapewne cieszyli się. Wkrótce nastąpiła mi się druga sposobność użycia wpływu mego na korzyść przyjaciela, co zdaje mi się, godne jest wzmianki, aby przekonać czytelnika, że już nie byłem owym Gil Blasem, co za poprzedniego ministerstwa frymarczył łaskami dworu.

Byłem raz w przedpokoju królewskim, zajęty rozmową z panami, którzy znając mnie jako ulubienca pierwszego ministra, nie gardzili obcowaniem ze mną. Spozregłem w ciżbie don Gastona de Cogollos, owego wleźla stanu, któremu zostawił w wieży Segowskiej. Z nim razem był don Andrzej de Tordesillas, nadzorca więzienia. Opuszciliem zaraz moje towarzystwo, dla powitania tych dwóch przyjaciół. Jeżeli oni się zdziwili ujrawszy mnie w tem miejscu, ja nie mnież zdumiałem się nad niespodzianem spotkaniem. Po serdecznych uściskach wzajem-

nych, don Gaston odezwał się: Paule de Santillana, mamy z sobą wiele do mówienia, a tu nie jest miejsce do tego; pozwól się zaprowadzić tam, gdziebyśmy swobodnie pogadać mogli. Przyszedłem na to; przecisnęliśmy się przez salę, a wyszedłszy z pałacu, wstępnaliśmy do powozu don Gastona, czekającego nań na ulicy i odaliśmy się na wielki rynek, na którym zwykle odbywają się walki byków. Tam mieszkał Cogollos w pięknym hotelu.

Paule Gil Blas, przemówił do mnie don Andrzej, kiedyśmy zasiedli w sali przepysznie umeblowanej, zdaje mi się, że opuszczając Segowię, nienawidziłeś dworu i miałeś zamiar opuścić go na zawsze. Tak jest w istocie, odpowiedziałem, i póki żył nieboszczyk król, nie zmieniłem mego postanowienia; lecz skoro książe syn jego wstąpił na tron, chciałem wiedzieć, czy też mnie pozna. Przypomniał sobie i przyjął mnie łaskawie; polecił mi sam pierwszemu ministrowi, który się przywłączał do mnie i z którym daleko lepiej jestem, niż byłem z księciem de Lerma. Otóż to wszystko paule Andrzeju, co ci mogłem powiedzieć. A ty, powiedz mi z łaski swojej, czy ciągle jesteś nadzorcą więzy w Segowii. Niestety, nie, odpowiedział mi, hrabia-książe, łunego przeznaczył na moje miejsce. Sądził zapewne, że byłem wielkim zwolennikiem jego poprzednika. A ja, odezwał się wtedy don Gaston, odzyskałem wolność z przeciwnego powodu; pierwszy minister dowiedziawszy się, że zostałem uwięziony z rozkazu księcia Lerma, kazał mnie natychmiast wypuścić. Teraz muszę ci opowiedzieć, co mnie spotkało po wyjściu z więzienia.

Podziękowawszy panu Andrzejowi, mówił don Gaston, za wszystkie względy, jakimi mnie darzył, najpierwszym moim staraniem było, udać się do Madrytu. Przedstawiłem się hrabstwu Olivaresowi, który mi powiedział: Nie lękaj się, aby nieszczęście, które cię spotkało, miało w czemkolwiek zaszkodzić twojej wziętości; jesteś zupełnie niewinny; tem silniej przekonany jestem o twojej niewinności, kiedy margrabia de Villareal, z którym o spółnictwo cię posądzano, wcale nie nie zawinił. Lubo Portugalczyk, a nawet powinowaty księcia Braganzy, wlećć przecież sprzyja królowi, niż księciu. Nie należało więc, poczytywać ci za zbrodnię, związków twoich z margrabią; żeby więc naprawić niesłuszność wyrządzoną ci przez posądzenie o zdradę. Król ofiaruje ci poręcznikostwo w swojej gwardyi. Przyjąłem ten stopień, prosząc Jego Wysokości, aby mi pozwolił przed objęciem służby, udać się do Corii, dla odwiedzenia mojej ciotki dony Eleonory de Laxarilla. Minister udzielił mi miesiąc czasu na tę podróż, w którą udałem się natychmiast, z jednym tylko służącym.

Jużeśmy minęli Colmenar i wjechaliśmy w wąwoz między dwiema górami, gdy w tém ujrzelśmy mężczyznę śmiało walczącego z trzema, którzy nań ostro nacierali. Nie wahałem się bynajmniej biec mu na pomoc i wnet stanąłem przy jego boku. Uważałem; że nieprzyjaciele nasi byli zamaskowani, ale przy tém dzielnie zapasniczy. Jednakże mimo ich siłę i zęczość, myśmy zwyciężyli; przesyłem jednego z nich, spadł z konia, a dwaj drudzy pierzchnęli. Prawda, że nasze zwycięstwo nie mniej było zgubne, jak tego nieszczęśliwego, którego ubliłem, obadwa bowiem byliśmy śmiertelnie ranni. Lecz wystaw sobie, jakie musiało być moje zdziwienie, gdy w osobie obronionego przezemane człowieka poznałem Combadosa, męża dony Heleny. I on nie miałeś się zdumiał, że byłem jego obrońcą. Ah, don Gastone, zawołał, ty więc spieszyłeś na moją pomoc? Kiedyś w szlachetnym unięstieniu stanął na mojej stronie, nie wiedziałeś zapewne, że bronisz człowieka, który ci wydarł kochankę. W rzeczy samej nie wiedziałem, rzekłem mu, lecz wiedząc nawet, czy sądzisz, żebym był się wahał wystąpić, tak jak zrobiłem? Czyżbyś zdolny był tak źle sądzić o mnie, przypisując mi tak podłą duszę? Nie, wcale nie, odpowiedział, lepiej trzymam o tobie: a jeżeli umrę z ran odebranych, życzę aby twoje nie przeszkodziły ci korzystać z mojej śmierci. Combados, rzekłem mu, chociaż dotąd nie zapominałem dony Heleny, bąc przekonany, iż nie pragnę jej ręki, kosztem twojego życia; cie-

szę się nawet, że cię zasłonił od ciosów trzech morderców, bo w tém spełniłem czyu miły twojej żonie.

Kiedyśmy tak rozmawiali, lokaj mój zsiadł z konia, a zbliżywszy się do człowieka rozciągniętego na ziemi, zdjął mu maskę i pokazał nam twarz, którą Combados od razu poznał. To Caprara, krzyknął, ten wiarołomny krewny, który przez złość, że go minął spadek, którego mi niesprawiedliwie zaprzeczał, oddawna knuł zamachy na moje zamordowanie, i ten dzień wybrał do ich wykonania; lecz niebios wola jego samego skazała na ofiarę tej zbrodni.

Tymczasem krew nasza upływała i widocznie słabneliśmy. Jednakże tyle nam sił starczyło, iż potrafilimy się dostać do miasteczka Villarejo, o dwa karabińowe strzały odległego od naszego pola bitwy. Przybywszy do pierwszego hotelu, wezwaliśmy chirurgów. Przybył jeden mający wziętość wielkiej zęczości. Obejrzał nasze rany, które mu się zdały bardzo niebezpieczne. Opatrzył nas, a nazajutrz zdjąwszy opaski, oświadczył, że rana don Blasa była śmiertelną. O mojej korzystniejszej dał zdanie, a przepowiednie jego nie były fałszywe.

Combados usłyszawszy wyrok śmierci, gotował się do ulę. Wysłał gońca umyślnego do żony, zawiadamiając ją o tém co zaszło i o smutnym swoim stanie. Przybyła natychmiast dręczona niespokojnością z dwóch powodów sprzecznych między sobą, jednym było niebezpieczeństwo grożące mężowi, drugim obawa, by widok mój nie rozniecił na nowo płomieni, niezupełnie przygaszonych. Okropne było jej wzruszenie. Paule, odezwał się do nię Combados, skoro ją ujrzał, przybywasz wczas dla przyjęcia mego pożegnania. Umieram, a śmierć moją przyjmuję jako karę niebios, że cię przez podstęp wydarł don Gastonowi; zamiast utyskiwać nad losem moim, sam cię proszę byś mu oddała to serce, które ja nieprawnie owładnąłem. Dona Helena odpowiedziała mu łzami, i zaiste była to najlepsza odpowiedź jaką mu dać mogła, jeszcze bowiem nie zobojętniała dla mnie tak dalece, aby mogła zapomnieć wybiegu, przez jaki ją skłoniono do złamania danego mi słowa.

Jak chirurg przepowiedział, tak się stało; Combados w trzy dni umarł z ran, ja zaś coraz pewniejszy byłem wyzdrowienia. Młoda wdowa zajęła się jedynie przeniesieniem ciała zmarłego męża do Corii, aby mu oddać ostatnią przysługę w sposób godności jego odpowiedni, opuściła Villarejo, zapytawszy się przez grzeczność nię o stan mego zdrowia. Wkrótce i ja udałem się do Corii, gdzie ukończyłem moje leczenie. Wtedy dona Eleonora ciotka moja, i don Jerzy de Gulisteo postanowili jak najprędzej połączyć nas, aby znowu jakowy wybryk fortunny nie stanął na zawadzie. Zaślubiny odbyły się bez żadnej wrzawy, z powodu zbyt świeżego zgonu don Blasa; a w kilka dni później przybyłem do Madrytu z doną Heleną. Ponieważ przeciągałem czas dozwolony mi na podróż przez hrabiego-księcia, obawiałem się więc aby przyrzeczone mi poręcznikostwo gwardyi, nie dostało się komu innemu; lecz minister nie tylko nie rozporządził niem inaczej, ale nawet łaskawie wysłał mego tłumacza.

Jestem więc, mówił dalej Cogollos, poręcznikiem gwardyi hiszpańskiej, a tój posadzie nie zbywa na przyjemnościach. Znalazłem przyjaciół uprzejmych, i wesoło z nimi żyję. Jabym rad był, żebym mógł toż samo powiedzieć, odezwał się don Andrzej; lecz ja nie mogę się cieszyć z mego losu: straciłem korzystny dla mnie urząd, a nie mam przyjaciół, którzyby przez wpływ mogli, lub chcieli wyjednać mi podobny. Przepraszam paule Andrzeju, przerwałem mu uśmiechając się, masz w osobie mojej takiego, który ci się może na coś przydać. Powiedziałem ci już że zyskał względy hrabiego-księcia daleko większe, niżeli je miałem u księcia Lerma, a ty mi śmieś prawie w oczy, że nie masz przyjaciela, któryby ci wyjednał urząd? Czyż już nie przysłużyłem ci się raz w podobnym sposobie? Przypomnij sobie, że za pośrednictwem arcybiskupa Granady wyjednałem ci urząd w Meksyku, któryby ci był zapewnił los gdyby miłość nie zatrzymała cię w Alicante. Teraz łatwiej jeszcze służyć ci mogę, mając łaskawie dla siebie ucho pierwszego ministra. Poręczam się więc tobie, odpowiedział Tordesill-

las; ale dodał z uśmiechem, tylkoż zlituj się nie wysyłaj mnie do nowj Hiszpanii; niechciałbym tam wędrować, choćby mnie nawet mianowano prezesem tamtejszj rady najwyższj.

W tym punkcie przerwała rozmowę naszą dona Helena wchodząc do sali, którj miła postawa usprawiedliwiła zupełnie powzięte przezemnie wyobrażenie o jēj wdzięku. Pani, odezwał się do niēj Cogollos, przedstawiam ci pana de Santillana, o którym ci nie raz wspominałem, którego miłe towarzystwo rozpędzało tęsknotę więzienną. Tak jest pani, odezwałem się do dony Heleuy, don Gaston prawdę mówi: przyjemną mu była rozmowa ze mną, bo pani zawsze byłaś jēj przedmiotem. Córka don Jerzego skromnie odpowiedziała na moją grzeczność, po czēm pożegnałem tych małżonków, zapewniając ich o mojej radości, że raz przecież śluby małżeńskie wcieliły ich wytrwałą miłość. Następnie zwracając mowę do Tordesillasa, prosiłem go żeby mi wskazał swoje mieszkanie, a gdy mnie w tēm zaspokoił, nie żegnam się z tobą, rzekłem, don Andrzeju, spodziewam się, że przed upływem tygodnia przekonasz się, iż łączę dobre chęci z możnością ich spełnienia.

Nie zawiodłem się bynajmniej. Zaraz nazajutrz sam hrabkąsiązę nastreczył mi sposobność zaspokojenia nadzorcey. Santillano, rzekł mi, miejsce rządzcj więzienia królewskiego w Walladolid jest opróżnione, przynosi ono przeszło trzysta ludzi roczne, mam ochotę tobie je przeznaczyć. Nie chęć go, panie, odpowiedziałem, choćby nawet dziesięć tysięcy dukatów rocznego dochodu czyniło: zrzekam się wszelkich posiad, dla których objęcia musiałbym się oddalić od Waszj Wysokości. Ależ, rzekł minister, to mógłbyś zając nie opuszczając Madrytu na zawsze, dosyć będzie, gdy tylko kiedy niekiedy zwiedzisz więzienie; otóż widzisz, że to może się pogodzić jedno z drugim. Mów Wasza Wysokość co chcesz, odpowiedziałem, a ja przyjąłbym to miejsce pod tym tylko warunkiem, żeby mi wolno było odstąpić go na korzyść zacnego szlachcica don Andrzeja de Tordesillas, byłego nadzorcey więzy segowskiej; miłoby mi było zrobić mu tę ofiarę, w zawdzięczeniu za łaskawe obejście się ze mną w czasie mojego uwłężenia.

Ta moja mowa rozśmieszyła ministra; odezwał się więc do mnie; widzę Gil Blasie, że chcesz zrobić rządzcj więzienia, jakęś zrobił wice-króla. Niech tak będzie mój przyjacielu, ofiaruję ci to miejsce dla Tordesillas; ale powiedz mi otwarcie, co na tēm zyskasz? bo nie myślę, abyś był tyle głupim, używać swojego wpływu za nic. Miłoścelwy panie, rzekłem, nie wypadasz płacić długów? Don Andrzeż bez procentu zapewnił mi tyle przyjemności, ile tylko mógł, czyż ja nie powinienem mu podobnie się odśłużyć? Zrobiłeś się bardzo bezinteresownym panie Santillano, odezwał się minister z uśmiechem, zdaje mi się, że nie byłeś takim za przeszłego ministerstwa. Prawda, odpowiedziałem, zły przykład skaził moje obyczaje, ponieważ wtedy wszystko się sprzedawało, i ja więc stosowałem się do zwyczaju; a że dziś wszystko się rozdaje bezpłatnie, wróciłem więc do mojej nieskazitelnosci.

Opatrzyłem więc don Andrzeja de Tordesillas zarządem więzienia w Walladolid, wkrótce wysłałem go do tego miasta tak uradowanego z nowj posady, jak ja byłem z wywiązania się z zaciągniętych względem niego zobowiązań.

ROZDZIAŁ XIV.

Santillana odwiedza poetę Nuneza.

Raz po południu wzięła mnie chęć odwiedzenia poety asturyjskiego, by zobaczyć, jak tēż teraz mieszka. Udałem się do pałacu don Bertranda Gomez del Ribero, pytając się o Nuneza. Już nie mieszka tu, powiedział mi lokaj stojący w bramie, zajmuje mieszkanie oto tu, wskazując na dom sąsiedzki. Udałem się tam, a przeszedłszy małe podwórze dostałem się do sali, w którj Fabrycy uraczał podówczas pięciu, czy sześciu swoich towarzyszków.

Było to już przy końcu obiadu, a zatēm w chwilj żwawych rozpraw: skoro wszakże spostrzegli mnie, umilkli wszyscy. Nunez zerwał się szybko dla powitania mnie, odzywając się: panowie, oto jest pan de Santillana, który mnie zaszczyca swo-

jęm odwiedzinami, złoście wraz ze mną hołd powiernikowi pierwszego ministra. Na te słowa wszyscy spółbiesiadnicy powstali także, i przez wzgląd na dany mi tytuł z głębokim powitali uszanowaniem. Lubo nie miałem potrzeby ani jeść, ani pić, musiałem jednak zasiąść z nimi do stołu, a nawet odpowiedzieć na toast na cześć moją wnieiony.

Ponieważ zdało mi się, że przerwał ich rozmowę, odezwałem się więc do nich, panowie, nie róbcie sobie najmniejszj przykrości, bardzo proszę, sądzę że przeszkodził waszym rozprawom, wracajcie do nich z łaski swojēj, albo ja się oddalę. Ci panowie, rzekł wtedy Fabrycy, rozmawiali o *Ifigenii* Eurypidesa; bakałarz Melchior de Villegas, pierwszego rzędu uczoney, zagadnął don Jacka de Romerate coby stanowiło główny interes tēj tragedyi. Tak jest, odezwał się don Jacek, i na to odpowiedziałem, że tym interesem było niebezpieczeństwo *Ifigenii*. A ja, odezwał się na to bakałarz, odpowiedziałem mu czego dowiodę, że właśnie nie w tēm się mieści istotny węzeł sztuki. A cóż więc? zawołał stary licencyat Gabriel de Leon. Oto wiatr, mówił bakałarz.

Całe towarzystwo parsknęło śmiechem na tę odpowiedź, ja zaś miałem, że Melchior rzucił ją właśnie na zabawkę. Nie znałem tego uczonego męża, a był to człowiek, który nie wdawał się w żarty. Śmiejąc się panowie, jak się wam podoba, rzekł zimno, a ja wam mówię, że wiatr jedynie musi interesować, uderzyć, wzruszyć widzów, nie zaś niebezpieczeństwo *Ifigenii*. Wystawcie sobie, mówił dalej, liczne wojsko zebrane na oblężenie Troi, chciejcie pojąć tę niecierpliwość jaka owładnęła wodzów i żołnierzy, by jak najprędzj dojść zamierzonego celu, aby jak najprędzj wracać do Grecyi, w którj pozostawili wszystko, co mogło być najdroższe ich sercu, bogów domowych, żony i dzieci. Tymczasem przeklęty wiatr przeciwny wstrzymuje ich w Aulidzie, zdaje się ich przykuwać do portu, a jeżeli się nie zmieni, tedy ani myśleć o oblężeniu Troi. Tak więc wiatr jest węzłem tragedyi. Ja stoję na stronie Greków, sprawa ich zapala mnie; pragnę więc jak najrychlejszego wypłynięcia floty, a tēm samem niebezpieczeństwo *Ifigenii* jest dla mnie obojętne, ponieważ śmierć jēj, jest tylko środkiem wyjednania od Bogów wiatru pomyślnego.

Jak tylko Villegas skończył, śmiechy się ponowiły jego kosztem. Nunez złośliwie popierał jego zdanie, podżegając tēm samem szydereów, którzy jakby na wyścigi zdobywali się na dowolne żarciki z tych wiatrów. Lecz bakałarz spoglądając na nich z flegmą i dumą, poczytywał ich za głupców i prosty motłoch. Spodziewałem się co chwila ujrzeć tych panów chwytających się za czuby, jak zwykle kończyły się ich nankowe rozprawy, zawiadłem się jednak; poprzestali na wzajemnych obelgach i rozeszli się najadłszy się i napiwszy do woli.

Po ich oddaleniu zapytałem się Fabrycego, dlaczego już nie mieszkał u swojego skarbnika, czy się czasem nie poróżnili. Co poróżnili! odpowiedział, boże uchoвай! Jestem z nim lepszy, niż kiedykolwiek, odtąd jak mi pozwolił mieszkać osobno. Nająłem więc tę część pomieszkania, abym mógł swobodnēj bawić się z moimi przyjaciółmi, co mi się często zdarza, bo jak wiesz, nie bardzo skłonny jestem do zostawienia wielkich skarbów moim spadkobiercom; szczęściem zaś dla mnie, jestem teraz w stanie nowe sobie co dzień wymyślać przyjemności. Cieszy mnie to mocno, mój kochany Nunezie, odpowiedziałem, inle mogę się wstrzymać, abym ci nie miał raz jeszcze powinszować powodzenia ostatnēj twojēj tragedyi; wielki Lope za ósmset sztuk dramatycznych nie zyskał czwartēj części tego, co ci przyniósł twój hrabia de Saldagna.

KSIEGA DWUNASTA.

ROZDZIAŁ I.

Gil Blas z polecenia ministra wyjeżdża do Toledu.

Już od miesiąca prawie codzień jego wysokość powtarzał mi, Santillano zbliża się czas, w którym zręczności twojēj użyć będę musiał, a ten czas nie nadchodził. Nadszedł przecież i Jego

Wysokość w te do mnie przemówił słowa: Mówią, że w trupie teatru toledańskiego jest jedna aktorka wielkie wrażenie swymi talentami wywierająca. Utrzymują, że śpiewa i tańczy bozko, że deklamacją swoją czaruje widzów; zapewniają nawet, że jest bardzo piękna. Takowa osoba zasługuje na miejsce przy teatrze dworskim. Król lubi sztuki teatralne, jest miłośnikiem muzyki i tańca: nie wypada więc, aby teatr jego pozbawiony był osoby tylu rzadkich talentów. Postanowiłem przeto wysłać cię do Toledo, abyś sam rozpoznał, czy to w istocie tak wyborna aktorka. Ja spuszczać się na wrażenie, jakie zrobi na tobie, ufam twojemu zdaniu.

Odpowiedziałem jego wysokości, że mu rzetelnie zdam sprawę z tego posłannictwa i zaraz wybrałem się w drogę z jednym tylko służącym, któremu kazałem zdjąć liberyą ministra, aby tym skryciej interes załatwić, co się bardzo podobało ministrowi. Dostawszy się do Toledo, stanąłem w hotelu w bliskości zamku. Za ledwie zsiadłem z konia, gdy gospodarz hotelu błorąc mnie zapewne za jakiegoś szlachcica z okolicy, odezwał się do mnie: panie kawalerze, przybyłeś bez wątpienia do miasta, by widzieć wspaniały obrzęd *auto da fe*, który ma się odbyć jutro. Odpowiedziałem mu, że tak jest w istocie, wołałem bowiem zbyć go tym sposobem, aniżeli podawać mu sposobność do nowych pytań. Zobacysz najpyszniejszą procesyją, jaka kiedykolwiek być mogła: mówią, że jest przeszło stu więźniów, a pomiędzy temi ileżaj więcej jak dziesięciu skazanych na spalenie.

W rzeczy samej nazajutrz o świcie usłyszałem dźwięk dzwonów całego miasta, zawiadomijający lud o mającym się rozpocząć *auto da fe*. Ciekawością zdjęty ubrałem się czempredziej, by się przypatrzeć temu obrzędowi, którego jeszcze dotąd nie widziałem. Począwszy od pałacu inkwizycyi wzdłuż ulic, któremi orszak miał postępować, powznoszono rusztowania dla widzów, na jednym z nich kupiłem sobie miejsce. Wkrótce ujrzałem chorągiew inkwizycyi, a za nią postępowały ofiary dnia tego. Szli w szeregu jeden za drugim, boso, ze świecą w ręku i kmiotem przy boku. Jedni przyodziani byli w wielki szkaplerz z płótna żółtego, a na nim pomalowane były farbą rdzy krzyże św. Andrzeja, nazywano je zaś *san benito*. Inni mieli na głowach *corozę*, to jest tekturową czapkę spiczastą, jak głowa cukru, z pomalowanymi płomykami i wizerunkami djabłów.

Kiedym z natężeniem przyglądał się tym nieszczęśliwym, nie objawiając politowania z obawy, aby mi tego za występki nie poczytano, zdało mi się, że pomiędzy tymi, których odznaczała *coroza* poznałem i wielbnego ojca Hilarego i jego towarzysza bractwa Ambrożego. Przechodzili tuż koło mnie; dla tego utwierdzony w moim przekonaniu, pomyśliłem: cóż ja to widzę! niebo zmordowane niegodziwem życiem tych dwóch zbrodniarzy, widocznie wydało ich w ręce inkwizycyi! Tak dumając, zdjęty trwożą, uczulem drżenie we wszystkich częściach ciała, jakis zawrót głowy mnie opanował, tak dalece, że o mało niezemlałem.

Związki moje z tymi oszustami, zdarzenie w Xelva, zreszlą wszystkie z nimi stosunki, stanęły mi przed oczyma; jakże dzięki Bogu należały się odemnie, że mnie zachował od szkaplerza i *corozy*.

Po skończonym obrzędzie wróciłem do hotelu drżący z wrażenia, jakie na mnie wywarło to widowisko, nie długo atoli te straszne obrazy zatarły się w moim umyśle i całą uwagę zwróciłem na godne spełnienie danego mi polecenia. Z utęsknieniem oczekiwałem godziny teatralnej, aby się udać na przedstawienie, ponieważ mniemałem, że właśnie od tego zacząć wypada. Skoro pożądana chwila nadeszła, zająłem miejsce w teatrze obok kawalera zakonu Alcantara. Zaraz wdałem się z nim w gawędkę. Panie, rzekłem mu, pozwoliszże obcemu w tym mieście zapętać się? Kawalerze, odpowiedział mi uprzejmie, uważaś to będą za honor. Wychwalano mi, mówiłem mu, aktorów toledańskich, miałożby się mylić w tym względzie? Bynajmniej, odpowiedział kawaler Alcantary, trupa ich nie jest zła, owszem są między nimi niepospolite talenty. Zobacysz

między innemi piękną Lukrecyą, aktorkę czternastoletnią, nad którą się zdumiejesz. Skoro się tylko pojawi na scenie, nie będziesz potrzebował, abym ci ją wskazywał, poznasz ją sam z łatwością. Zapytałem się, czy dziś grać będzie, odpowiedział mi, tak jest, a nawet ma ważną rolę w sztuce którą przedstawiają.

Widowisko się zaczęło. Wystąpiły dwie aktorki, które niezauważalnie, by podwyższyć wdzięki swojej postaci, lecz mimo blask dyamentów, nieuważałem ani jednej, ani drugiej za tę, na którą czekałem. Kawaler Alcantara tak mnie mocno uprzedził na korzyść Lukrecyi, iż nie mogłem jej odgadnąć, póki sama się nie pokazała. Wreszcie ta piękna Lukrecya wystąpiła z głębi teatru, przyjęto ją hucznymi i długo przeciągniętymi oklaskami. Otóż i ona, pomyśliłem sobie; jak szlachetna postawa! jakie wdzięki! przeszlizne oczy! czarujące stworzenie! W istocie byłem bardzo zadowolony, albo raczej silnie na mnie zrobiła wrażenie. Zaraz po pierwszym ustępie wlewszy, które wymówiła, postrzegłem naturalność, zapał i rozsądek nad wiek, chętnie zatem połączyłem oklaski moje, z oklaskami, jakimi ją publiczność przez ciąg całej sztuki darzyła. No i cóż, widziałś teraz czem jest Lukrecya dla publiczności? Nie dziwię się wcale, odpowiedziałem. Tęm mnie jeszcze dziwiłbyś się, rzekł, słysząc jej śpiew; to istna syrena, biada temu, kto jej słucha bez przeczoności Ulissessa! taniec jej także nie mógł być czarujący jak głos, zachwyca wzrok, porywa serce. Tym sposobem, zawołałem, przyznać trzeba, że to jest zjawisko. Jakież śmiertelnik ma szczęście tracić majątek dla tak miłej dziewicy? Dotąd nie ma jawnego kochanka, mówił kawaler, a zle nawet języki nie zarzucają jej żadnej tajnej intrygi. A jednakże, dodał zaraz, mogłaby je z łatwością zawiązać, ponieważ jest pod kierunkiem ciotki swojej Estelli, niezawodnie najprzebieglejszj z wszystkich aktorek.

Na wspomnienie Estelli, przerwałem nagle mowę kawalero wi, pytając się, czyby ta Estella nie była aktorką z trupy toledańskiej. Tak jest, odpowiedział, i to jedna z najlepszych. Dłż nie występowała i dla tego wieleśmy stracili; grywa pospolicie role panien powiernic i wybornie je oddaje. Heż-to dowcipu w jej grze! Może nawet za wiele, jesto jednak uchybienie, łatwe do przebaczenia. Tak więc kawaler prawil mi dziwy o tój Estelli, a miarkując z jego opisu, nie mogłem wątpić, aby to nie miała być Laura, ta sama Laura, o której już mówiłem, a którą zostawiłem w Granadzie.

Dla zapewnienia się, poszedłem za kully. Zapytałem się o Estellę, a śledząc ją oczyma po wszystkich stronach, postrzegłem rozmawiającą z kilką paniami, którzy może w tój chwili uważali ją tylko jako ciotkę Lukrecyi. Zbliżyłem się dla przywitania Laury; ale czy to przez kaprys, czy dla ukarania mnie za nagłe opuszczenie Granady, udała że mnie nie poznaje i grzeczność moją tak ozięble przyjęła, że mi się niemało zmieszkało. Zamiast żartobliwie wyrzucić jej to obojętne przywitanie, dość byłem nierozważny, że mi się o to rozgniewała; oddaliłem się nawet szybko i postanowiłem zaraz nazajutrz wracać do Madrytu. Dla zemśczenia się nad Laurą, pomyśliłem sobie, nie dopuszczę, aby jej siostrzenica, miała występować w obeckroła; nie trzeba mi więcj, tylko pierwszemu ministrowi przedstawić obraz Lukrecyi, jaki mnie się podoba; powiem tylko, że tańczy bez wdzięku, w śpiewie przebija się coś cierpkiego, a co do piękności, całą jej zaletą młodość; pewny jestem, że po takowem sprawozdaniu, Jego Wysokość straci ochotę ściągnąć ją do dworskiego teatru.

Otóż tym sposobem zamierzyłem zemścić się, za obejście się ze mną Laury, ale gniew mój wnet ostygł. Nazajutrz gdy gotowałem się do odjazdu, lokaj wszedł do mojego pokoju i rzekł: Oto jest bilecik, który mam wręczyć panu de Santillana. To ja jestem, moje dziecię, rzekłem biorąc list, który te zawierał wyrazy: „Zapomnij o sposobie przyjęcia cię wczoraj w sali zbiorowej teatru, i chciej iść za oddawcą niniejszego.” Poszedłem zaraz za przewodnictwem owego lokaja, który mnie wprowadził do domu bardzo porządnego w bliskości teatru, tam zaś w przepysznym pokoju, zastałem Laurę ubierającą się.

Wstała natychmiast dla przywitania mnie, mówiąc: panie Gil Blas, wiem, że nie masz powodu cieszyć się z mojego przyjęcia w naszym foaje; tak dawny przyjaciel miał prawo spodziewać się grzeczniejszego spotkania, lecz dla wytłumaczenia się, powiem ci, że była wtedy w najgorszym humorze. Kiedyś mi się pokazała, zajęta byłam pewnymi wyrażeniami potwarzy, jakie podobano się jednemu z naszych panów wyrzec przeciw mojej siostrzenicy, której honor, wzięć mnie obchodzi, jak mój własny. Twoje nagle oddalenie się, zwróciło moją uwagę, spostrzegłam roztargulenie i natychmiast kazałam iść za tobą lokajowi, wywiedzieć się o twojem pomieszkaniu, aby dziś naprawić uchybienie. Już jest naprawione, rzekłem, moja kochana Laura; nie mówy o tém, opowiedzmy sobie raczej nasze przygody od czasu, gdy obawa zasłużonej kary, wypędziła mnie nagle z Granady. Zostawiłem cię, jeżeli sobie przypominasz, w niemałym kłopotcie, jakżeś się z niego wydobyła? Mimo wszelkie przebiegi, jakimi cię natura hojnie obdarzyła, przyznaj, że to był sęk twardy. Czyś nie musiała użyć całej twojej zręczności, dla ugłaskania portugalskiego kochanka? Bynajmniej, odpowiedziała Laura; czyż nie wiesz, że w podobnych razach mężczyźni są tak słabi, że nawet oszczędzają nam trudn sprawiedliwiania się.

Utrzymywałam stanowczo przed margrabią de Marialva, że jesteś moim bratem. Daruj mi panie de Santillana, że tak poufale przemawiam do ciebie jak dawniej; nie mogę się pozbyć moich nawyków. Powiem ci więc, że namstawiła beczelnością. Czyż nie widzisz, rzekłam panu portugalskiemu, że to wszystko jest dziełem zawiści i zacieklego gwałtu? Narcissa, moja spółtowarzyszka i spółzawodniczka, widząc mnie posiadającą spokojnie to serce, które się jej z rąk wyrwało, przywiedziona do wściekłości, wyplatała mi tego sęła, który jej przebaczam; bo w gruncie rzeczy, zemsta jest bardzo naturalną przywarą kobiety zazdrosnej. Przekupiła podobajniacza świec, który na usługę jej gwałtu, utrzymywał beczelnie, że mnie widział w Madrycie, jako garderobianą Arsentii. Nic nad to fałszywszego; wdowa po don Antonim Coello, zbyt szlachetnie ożywiona była uczuciami, by się miała zniżyć do służby aktorki. Prócz tego i to jeszcze widocznie dowodzi fałszu tego zarzutu i zmywy moich oskarżycieli, że mój brat nagle się oddalił. Gdyby był obecny, mógłby łatwo zawstydzić oszczerców; lecz Narcissa musiała użyć jakiegoś przebiegu nowego, aby go zład nagle usunąć.

Chociaż te wszystkie dowody, mówiła dalej Laura, nie najlepszą były moją pochwałą, jednakże Portugalczyk poprzestał na tém, i ten dobroduszny pan nie opuścił mnie, aż do chwili powrotu do Portugalii. Odjazd jego nastąpił wkrótce po twojem oddaleniu, a żona Zapaty miała tę rozkosz, że mnie widziała pozbawioną kochanka, któregoś jej odebrała. Po tém wszystkiem, jeszcze bawiłam przez czas niejaki w Granadzie, lecz gdy nieszczęście zakradła się do naszej trupy (co się czasem u nas zdarza), wszyscy aktorowie rozłączyli się, jedni udali się do Sewilli, drudzy do Korduby, a ja do Toledu, gdzie już dziesięć lat bawię z moją siostrzenicą, którąś widział wczoraj, kiedyś był w teatrze.

W tém miejscu, nie mogłem się wstrzymać od śmiechu. Laura zapytała się o przyczynę. Jak to, nie domyślasz się jej? rzekłem. Nie masz ani brata, ani siostry, a zatem nie możesz być ciotką Lukrecyi. Prócz tego, gdy rozważam czas upłyniony od chwili ostatniego naszego rozłączenia, gdy ten czas porównam z rysami twarzy twojej siostrzenicy, zdaje mi się, że może między wami bliższe jeszcze zachodzić pokrewieństwo.

Rozumiem cię, panie Gil Blas, odpowiedziała nieco zarumieniona wdowa po don Antonim; jak ty zręcznie chwytasz epoki! trudno coś wzmówić w ciebie. Niechże i tak będzie; tak jest, mój przyjacielu, Lukrecya jest córką moją i margrabiego Marialvy, nie mogę tego zatać przed tobą. Co za wielka sztuka, rzekłem, moja luba, że mi objawiasz ten sekret, zwierzywszy się dawniej związków z ekonomem szpitala w Zamora! Więcej ci powiem, że Lukrecya ma tyle zalet nadzwyczajnych, że publiczność nie ma dosyć wyrazów na podziękowanie ci za ten

dar. Życzyćby należało, aby wszystkie twoje spółtowarzyszki, podobnaż jej ofiarę złożyły.

Jeżeliby się znalazł czytelnik złośliwy, któryby wspomniawszy na stosunki moje z Laurą, wtedy gdy byłem w Granadzie sekretarzem margrabiego Marialvy, chciał mnie posądzać o bliższe pokrewieństwo z Lukrecyą, że wstydem wyznać muszę, iżby to posądzenie zupełnie było niesłuszne.

Ja także z kolei opowiedziałem Laurze moje głównejsze przygody, objawiając jej obecny stan moich interesów. Słuchała mego opowiadania z wielką uwagą, pokazując przez to, że jej nie byłem obojętnym. Przyjacielu Santillana, jak widać, rzekła, bardzo piękną grasz rolę na scenie tego świata; nie uwierzysz jak mnie to cieszy. Jeżeli zawiozę Lukrecyą do Madrytu, aby ją umieścić w teatrze księcia, pochlebiam sobie, że znajdzie w panu Santillanie silnego protektora. Nie wątpy najmnie, odpowiedziałem, możesz śmiało rachować na mnie; wprowadzę twoją córkę i ciebie do teatru księcia, skoro tylko zechcesz, to ci przyrzec mogę, nie podpisując się nawet z moją władzą. Podechwyciłabym natychmiast twoje słowo, rzekła Laura i zaraz jutro pojechałabym do Madrytu, gdybyś mnie nie krępowały zobowiązania względem mojej trupy. Rozkaz dworu, może zerwać te węzły, odpowiedziałem, ja zaś podejmuję się wyjednać go, i nim ośm dni upłyne, dojdzie rąk twoich. Miło mi będzie odebrać Lukrecyą Toledanom; aktorka tak piękna, dla dworzana stworzona, do nas z prawa należy.

Lukrecya weszła do pokoju, właśnie gdy ostatnie domawiał wyrazów. Zdało mi się, że przedemną stanęła bogini Hebe, tak była miłą i uroczą. Tylko co wstała; piękność jej naturalna, jaśniejąca bez pomocy sztuki, czyniła ją tém bardziej zachwycającą, pójdz moja siostrzenico, rzekła jej matka, pójdz, złóż dzięki temu panu za jego przychyłność ku nam; jestto mój dawny przyjaciel, który ma wziętość u dworu i oświadcza się z możliwością umieszczenia nas w trupie teatru księżęcego. Ta mowa zdała się być przyjemną młodej panience, skłoniła mi się z uszanowaniem i rzekła z uśmiechem zachwycającym: najpokorniejsze dzięki składam panu za jego obowiązującą nas przysługę; lecz nie wiem panie, czy to czasem nie wyjdzie na moją szkodę. Odbierając mnie publiczności, której pozyskałam łaskawe względy, jesteś pewny, że potrafię podobać się w Madrycie? Może ja stracę na tój zamianie. Przypominam sobie, że ciotka moja mówiła, iż widziała aktorów jaśniejących w jednem mieście, z oburzeniem odrzuconych w innem; to mnie trwoga przejmuję. Strzeż się panu, żebyś mnie nie wystawił na wzgardę dworu, a siebie na zarzuty. Nadobna Lukrecyo, odpowiedziałem, tego weale obawiać się nie możemy; ja raczej boję się, abyś zapalając serca wszystkich, nie poróżniła naszych możnych panów. Trwoga mojej siostrzenicy, odezwiała się Laura do mnie, jest bardziej uzasadniona, niż twoja, ale ja mam nadzieję, że obiedwie będą czece. Jeżeli Lukrecya nie zyska rozgłosu swojemi wdziękami, tedy z drugiej strony, nie jest tak złą aktorką, aby zasługiwała na pogardę.

W ten sposób, rozmawialiśmy jeszcze przez czas niejaki, a z tego co Lukrecya wtrąciła do rozmowy, mogłem łatwo osądzić, wyższe jej zdolności; pożegnałem potem moje panie, zapewniając je, że wkrótce odbiorę rozkaz, udania się do Madrytu.

ROZDZIAŁ II.

Santillana zdaje sprawę ze swojej podróży. Przybycie i pierwsze wystąpienie Lukrecyi w Madrycie.

Za powrotem zastałem hrabiego-księcia niecierpliwie oczekującego na wypadek mojej podróży. Gil Blas, odezwał się do mnie, widziałeś tę aktorkę o której mowa? zasługuje, aby ją wezwać do teatru dworskiego? Panie, odpowiedziałem, wieść która zwykle przesadza w pochwałach piękności, za mało głośno o Lukrecyi, jestto osoba zdumiewająca i pięknością i talentami. Czy podobna, zawołał minister z wewnętrznem zadowoleniem, które z oczu jego wyczytałem, a które naprowadzało mnie na myśl, iż na własny rachunek wysłał mnie do Toledu, czy podobna, mówił, aby była tak ujmująca jak mi powiadasz? Skoro miłośnicy panu ją zobaczysz, odpowiedziałem, sam przy-

znasz, iż nie ma pochwały, któraby nie była z uszczerbkiem jej wdzięków. Santillano, rzekł minister, zdaj mi rzetelną sprawę z twojej podróży; z przyjemnością będę cię słuchał. Wtedy zabrawszy głos dla zaspokojenia mego pana, opowiedziałem mu wszystko, nie wyłączając historyi Laury. Powiedziałam mu, że ta aktorka weszła w związki miłosne z margrabią de Marlalva, panem portugalskim, bawiącym przez czas niejaki w Granadzie powiła córkę, o której mowa. Gdy zaś wszystkie szczegóły rozmowy mojej z temi aktorkami opowiedział, jego wysokość rzekł mi: cieszę się mocno, że Lukrecya jest córką znakomitego pana, to mnie tém więcej skłania do zajęcia się jej losem, trzeba ją tu ściągnąć. Ależ, mój przyjacielu, jedną rzecz ci zalecam, postępuj dalej, jak zacząłeś, nie mieszaj mi do tego; niech wszystko obraca się około Gil Blasa z Santillany.

Udałem się zatem do Carnera z oświadczeniem, że wolą jest jego wysokości, aby wydał rozkaz przyjęcia do teatru księżęcego dwóch aktorek z trupy tolekańskiej. Bodając to panie Santillano, zwał się Carnero z przekąsem, natychmiast to zrobić, ponieważ według wszelkiego podobieństwa, te panie nie są mu obojętne. Zresztą spodziewam się, iż spełniając jego życzenie i publiczności się przysłużę. W tejże chwili ołożył rozkaz i wygotowany oddał mi, a ja przesłałem go Estelli przez tegoż sługę, który był ze mną w Toledzie. W tydzień później matka i córka już były w Madrycie. Stały w hotelu, tuż obok trupy księżęcej i dały mi znać o swoim przyjeździe. Pobiegłem czemprędzej do nich, a po tysiącnych oświadczeniach gotowości na ich usługi, po tyleż podziękowaniach z ich strony, poleciłem im przygotować się na pierwsze wystąpienie, życząc im najświetlejszego powodzenia.

Afisz zawiadomiły publiczność, że dwie nowe aktorki na rozkaz dworu przyjęte zostały do teatru księżęcego. Na wstęp wybrały komedię, którą grywały w Toledzie z wielkimi oklaskami.

W jakimże zakęcie świata nie lubią nowości w widowiskach? W dniu owym sala teatralna zatłoczona była. Łatwo się domyślić, że ja nie opuściłem tego przedstawienia. Przed zaczęciem byłem mocno niespokojny. Chociaż uprzedzony korzystnie o talentach matki i córki, drżałem jednak o ich powodzenie, tak dalece mnie obchodziły. Lecz zaledwie otworzyły usta, wszelka obawa odstąpiła mnie z powodu oklasków jakie dla nich zagrzmiały. Uważano Estellę jako aktorkę doskonałą w rolach komiecznych, Lukrecyę zaś jako zjawisko szczególne w roli kochanki. Ta ostatnia powszechną pozyskała życzliwość: jedni podziwiali piękne jej oczy, drugich wzruszała słodycz głosu: wszyscy zaś uderzeni jej wdziękami i żywym blaskiem młodości, opuścili salę oczarowani jej osobą.

Hrabia-książę daleko więcej zajęty tą aktorką, niż się spodziewałem, był także w teatrze tego wieczoru. Widziałem go wychodzącego ku końcowi sztuki, o ile mi się zdawało, z wielkim zadowoleniem. Ciekawy będąc czy istotnie dobre na nim zrobiły wrażenie, poszedłem za nim, a dostawszy się do jego gabinetu, odezwałem się, a cóż panie, waszjej wysokości podobał się młoda Mariałva? Moja wysokość, odpowiedział uśmiechając się, byłaby nadto wybredną, gdyby nie miała połączyć swoich oklasków z oklaskami publiczności. Tak, mój przyjacielu, podróż twoja do Toledu była bardzo szczęśliwą. Zachwycała mnie Lukrecya i mam nadzieję, że i królowi gra jej podoba się.

ROZDZIAŁ III.

Lukrecya wielką robi wrzawę u dworu, występuje przed królem.

Pierwsze wystąpienie dwóch nowych aktorek, zyskało wielki rozgłos u dworu; mówiono o niemi nazajutrz przy ubieraniu się króla. Niektórzy panowie sadzili się szczególnie na pochwały młodej Lukrecyi: w tak pięknych malowali ją barwach, że to uderzyło monarchę, tłumiąc atoli wrażenie, jakie na myśl jego te rozmowy sprawiły, nie rzekł ani słowa i zdawał się wcale na to nie zważać.

Zostawszy sam na sam z hrabią-księciem zapytał się, co to była za jedna ta młoda aktorka, którą tak wychwalano. Minister odpowiedział, że to jest osoba z trupy tolekańskiej, wczoraj po raz pierwszy występująca z wielkim powodzeniem. Nazwa się, dodał Lukrecya, imię dziwnie odpowiadające podobnemu powołaniu. Jest to dawna znajomość Santillany, on tyle mi dobrego o niej nagadał, że m usnał za rzecz przyzwolną wezwać ją do trupy teatru W. K. Mości. Król uśmiechnął się usłyszawszy moje nazwisko: być może, iż sobie przypomniał, że to ja zapoznałem go z Cataliną, a może przeczuwał że i teraz przydam się do podobnej posługi. Hrabi, rzekł do ministra, jutro chcę widzieć grającą tę Lukrecyę, chcę, żeby ją o tém kazał zawiadomić.

Minister opowiedziawszy mi rozmowę z królem i oświadczywszy jego wolę, posłał mnie do moich aktorek, ażebym je ostrzegł. Pospieszyłem do nich czemprędzej, najpierw zaś spotkawszy Laurę, rzekłem jej, przybywam do was z wielką nowiną, jutro pomiędzy słuchaczami będziecie miały władę monarchii i o tém minister kazał was zawiadomić. Nie wątpię, że starać się będziecie obledwie godnie odpowiedzieć zaszczytowi, jaki wam monarcha robi, lecz radzę wam, wybierzcie sztukę, do której wchodzi taniec i śpiew, aby Lukrecya wszystkimi talentami jakie posiada, zwróciła na siebie uwagę. Usłuchamy twojej rady, odpowiedziała Laura, nie zaniebdamy niczego aby zadowolić monarchę, o ile to od nas zależy będzie. Oh, zadowolicie bez wątpienia, rzekłem, spostrzegłszy Lukrecyę wchodzącą w rannem ubraniu, które jej więcej dodawało wdzięków, niż najpyszniejsze stroje teatralne; osobliwie też Lukrecya potrafiła go zabawić, lubi bowiem nadewszystko taniec i śpiew: a kto wie, czy nie zyska jego przychylności. Co tego to wcale sobie nie życzę, odezwała się Laura, mimo całą potęgę swoją, mógłby w tém natrafić na wielkie zawady: Lukrecya, choć pomiędzy kulisami teatralnymi wychowana, jest przecie cnotliwą, a lubo znajduje przyjemność w oklaskach teatralnych, przenosi jednak imię uczciwej dziewicy, nad wziętość dobrej aktorki.

Moja ciciu, odezwała się wtedy mała Mariałva, wtrącając się do rozmowy, na co marzyć o potworach, aby z nimi walczyć staczać? Do tego nigdy nie przyjdzie, abym miała być zmuszona odpychać oświadczenia takiego pana: wykwinny gust jego zabezpieczy go od wyrzutów, na jakieby zasługiwał, gdyby się miał poniżyć zwracając oczy ku mnie. Lecz nadobna Lukrecya, rzekłem jej, a gdyby już to nastąpiło, byłabyś dosyć srogą odrzucając jego dobre chęci? dlaczego nie? odpowiedziała. Tak jest bez wątpienia, a odsunawszy nawet enotę na stronę, czuję, że próżność moja więcejby chluby znalazła w odepchnięciu tych zabiegów, niżeli w poddaniu się. Zdumiałem się na takową mowę wychowanki Laury, opuściłem je, uwielbiając matkę za takowe ukształcenie córki.

Nazajutrz król ciekawy widzieć Lukrecyę, udał się do teatru. Przedstawiono sztukę przepiękną tańcami i śpiewem, w której nasza młoda aktorka pięknie jaśniała. Od początku komedii aż do końca, z oka nie spuszczałem monarchy, chcąc z jego wejrzenia wyczytać myśl jego; ale całą moją przenikliwość zawiódł, zachowując postawę poważną i niewzruszoną. Nazajutrz dopiero dowiedziałem się com wiedzieć pragnął. Santillano, odezwał się do mnie minister, w tej chwili opuściłem króla, mówił ze mną o Lukrecyi z takim zapałem, że nie wątpię wcale iż go potrafiła zająć, że zaś powiedziałem mu, że tyś ją sprowadził z Toledu, objawił mi więc chęć rozmówienia się z tobą w tym względzie, udaj się natychmiast do pokojów królewskich, rozkaz w puszczeniu cię już wydany; spiesz się i wracaj zdać mi sprawę z tej rozmowy.

Pobiegłem do króla i zastałem go samego. Przechodził się wielkimi krokami oczekując na mnie i zdawał się być niespokojnym. Rzucił mi kilka pytań dotyczących się Lukrecyi, i kazał mi opowiedzieć jej historię; następnie zapytał się czy ta młoda osoba nie wdawała się już w jakie miłości. Śmiało zaręczyłem że nie, mimo płochość podobnego rodzaju zaręczeń; ależ to zdało się być bardzo przyjemne mojemu władcy.

Kiedy tak jest, wybieram cię więc na posłańnika do Lukrecyi; chcę aby przez twoje usta dowiedziała się o swoim szczęściu; idź, donieś jej odemnie, a podając mi pudełko, przeszło za pięćdziesiąt tysięcy talarów klejnotów zawierające, dodał, prosz ją niech przyjmie ten dar, nim jej okaże ważniejsze dowody mojej przychylności.

Nim zabrałem się do spełnienia tego rozkazu, poszedłem pierwój do hrabiego-księcia i opowiedziałem mu wszystko rzetelnie. Wystawiałem sobie, że to bardziej zasmuci ministra, a nie rozweseli, bo zdawało mi się, że on sam ma jakoweś widoki miłosne względem Lukrecyi, doniesienie więc moje, będzie dla niego przedmiotem udręczenia, i w tym się myliłem. Zamiast okazać się zasmuconym, on przeciwnie objawił tak wielką radość, że nie mogąc jej pohamować, wyrwał się z kilkoma wyrazami, które nie poszły z wiatrem. „Oho! mam cię, zawołał.” Ten wykrzyknik objawił mi cały obrot mojego pana; spostrzegłem że hrabia-książę starał się wynaleźć dla króla miłą rozrywkę, z jego humorem zgodną.

ROZDZIAŁ IV.

Minister nowy porucza urząd Santillanie.

Wypadki ostatnie, nemiłe na umyśle moim sprawiły wrażenie; postanowiłem na zawsze rzucić się powołania Merkuryusza, oświadczyłem ministrowi wstręt, jaki miałem do laski tego bożka, prosząc go, aby mnie do czego innego użył. Zdziwił się nad tą moją cnotą. Santillano, rzekł mi, twoja drażliwość podoba mi się, a ponieważ tak uczciwym jesteś człowiekiem, chcę ci wskazać zajęcie, odpowiedniejsze twoim obyczajom. Powiem ci o co idzie, słuchaj z uwagą mojego zwolnienia.

Kilka lat pierwój nim miałem szczęście pozyskać zaufanie monarchy, przypadkiem ujrzałem kobietę, która mi się zdała tak przystojną i piękną, że mi kazał ją śledzić. Dowiedziałem się, że jest rodem z Genui, zowie się Małgorzata Spnola, a obecnie żyje w Madrycie; powiedziano mi nawet, że don Franciszek de Valeasar, alkald dworski, człowiek bogaty, znakomitego łoża summy, dla pozyskania jej względów. Takowe wiadomości zamiast obudzić wzdargę, zapaliły w sercu mojem żądzą gwałtowną zbliżenia się do niej. Takie było moje urojenie; dla urzeczywistnienia go, użyłem pomocy pośredniczki, która mi nie długo wyjednała sekretne spotkanie się z Genueńką. Takowe spotkania się później były dosyć częste, a przyjęcie zawsze uprzejme.

Cóżkolwiekbyć, Małgorzata nie jednym zaszczyconą hołdem, niespodzianie została matką i powiła syna, którego sama żywić masiała, nie mogąc znaleźć dla niego opiekuna. Uplęnęło lat osiemnaście, gdy genueńka umarła, zostawivszy syna bez majątku, a co gorsza, bez wychowania.

Otóż właśnie, mówił dalej minister, to jest, z czem się miałem zwierzyć; teraz wyjawię ci wielki zamiar jaki powziąłem. Chcę wydobyć z nicości tego nieszczęśliwego chłopca, a wprowadzając go z jednej ostateczności w drugą, chcę go uznać za mojego syna i wnieść do godności.

Na tak szalony zamiar nie mogłem milczeć. Jak to panie, odezwałem się, Wasza wysokość mogłes powziąć myśl tak dziwną? Wybacz mi panie to wyrażenie, jest ono wpływem mojego przywiązania. To moje postanowienie, odpowiedział natychmiast, uznasz rozsądnem, skoro ci powiem przyczynę, jaka mnie do tego przywiodła. Nie chcę, aby spadkobiercami moimi byli krewni z pobocznej linii. Powiesz może, iż nie jestem jeszcze w tak podeszłym wieku, abym miał pozbyć się nadziei mieć potomstwo z mojej małżonki. Każdy atoli zna siebie samego; dość będzie gdy ci powiem, iż chemia nie ma ani jednego tajnika, którego bym nie doświadczył, by mieć pociechę ojcostwa. Tak więc gdy los przychodząc w pomoc usterek natury, następuje mi dziecię, którego w gruncie rzeczy może istotnie jestem ojcem, przysposabiam je więc i to rzecz skończona!

Spostrzegłszy że minister nabiła ma głowę tym przysposobieniem, już się nie sprzeciwiałem, wiedząc, że gotów jest największe spełnić głupstwo, ale zdania swojego nie cofnie. Idzie

teraz jedynie, dodał minister, o przyzwoite ukształcenie don Henryka Filipa de Guzman, chcę bowiem aby takie miał imię, póki nie stanie się zdolnym do piastowania godności, które nań czekają. Ciebie, moj kochany Santillano, wybrałem na jego przewodnika; polegam na twoim rozsądku i przywiązaniu do mnie, ty zatrudnisz się urządzeniem jego domu, wybierzesz mu nauczycieli, słowem, zajmiesz się jego zupełnym ukształceniem. Chciałem się wymawiać od przyjęcia tego obowiązku, oświadczając hrabi-księciu, że mi nie przystoi wcale zajmować się wychowaniem młodych panów, nie trudniąc się nigdy tem powołaniem, które wymaga więcej światła i zdolności, niżeli ja mieć mogę; lecz przerwał mi i zamknął usta mówiąc, że chce stanowczo, abym był gubernierem tego syna przysposobionego, którego przeznacza na najpiłrsze dostojenstwa monarchii. Gotowałem się więc do zajęcia tej posady, by zaspokoić Jego Wysokość, który za tę moją usłużność powiększył szczerpę moje dochody dodatkiem tysiąca talarów, które wyjednał, czyli raczej, które mi wynaczył z komanderyi Membra.

ROZDZIAŁ V.

Przysposobienie syna włoszki. Gil Blas urządza dom jego i wybiera nauczycieli.

W rzeczy samój, hrabia-książę nie omlszkał przyznać syna dony Małgorzaty Spnola; akt zaś tego przyznania, ułożony został za uzaniem i zezwoleniem króla. Don Henryk Filip de Guzman, tak nazwano to dziecię kilku ojców, uznany został jedynym dziedzicem hrabstwa Olivarez i księstwa San Lncar. Żeby to zaś nikomu tajemem nie było, minister za pośrednictwem sekretarza Carnero zawiadomił o tem posłów zagranicznych i grandów hiszpańskich, którzy się temu bardzo zdziwili. Żartowulnie madryccy na długi czas mieli przedmiot do śmieszków, a poeci satyryczni nie pomarli tak pięknej sposobności do wyławiania swojej żółci na papier.

Pytałem się hrabiego-księcia, gdzieby był młodzieniec powierzony mojej troskliwości. Jest tu w mieście, odpowiedział, pod opieką ciotki, odbiorę go natychmiast, skoro urządzisz dom dla niego; co się niebawnie uskuteczniło. Nająłem pałac i wymeblowałem go z przepychem. Zgodziłem odzwolnego, paziów, lokajów i przy pomocy Caporysa, zapełniłem dom oficyalistami. Kiedym już miał wszystko gotowe, zawiadomiłem Jego Wysokość, który zaraz posłał po tę nową i dwuznaczną odrośl szczerpu Guzmanów. Ujrzałem chłopca wyrosłego, postawy dosyć przyjemnej. Don Henryku, odezwał się doń minister, wskazując palcem na mnie, ten pan, którego widzisz przed sobą, jest przewodnikiem, którego ci wybrałem na drogę tego światła; mam w nim zupełne zaufanie i zlewam na niego władzę nieograniczoną nad tobą. Tak jest Santillano, dodał, zwracając mowę do mnie, poraczam ci go nie wątpiac, że mi się dobrze wywiążesz. Do tego dodał jeszcze minister kilka wyrazów zalecających młodemu stosowanie się do mojej woli, poczem zabrawszy z sobą don Henryka, udałem się do jego pałacu.

Skorośmy tylko przybyli do mieszkania, przedstawiłem mu wszystkich domowników, wymieniając obowiązki, jakie każdy miał spełniać. Nie okazał najmniejszego odurzenia z takowej przemiany stanu, a przyjmując uszanowanie i usłużne zabiegi jakie mu okazywano, zdawał się być zawsze tem, czem go traf zroził. Nie zbywało mu na zdolnościach, ale pod względem ukształcenia, był zupełnie ciemny, zaledwie umiał cokolwiek pisać i czytać. Umieściłem przy nim nauczyciela do języka łacińskiego, przybrałem nauczyciela geografii, innego do historii, innego do fechtowania. Łatwo się domyśleć, że nie zapomniał o mistrzu tańca: wybór tylko był trudny dla mnie; było wówczas w Madrycie tylu słynnych mistrzów tańca, że nie wiedział, któremu dać pierwszeństwo.

Kiedy tak łamałem głowę, ujrzałem wchodzącego na dziedziniec naszego pałacu człowieka bogato przystrojonego. Powiedziano mi, że chce ze mną mówić. Wszedłem naprzeciw niego, rozumiejąc, że to jest przynajmniej kawaler zakonu św. Jakóba lub Alcantara. Zapytałem się, czem mu mam służyć. Panie de Santillana, odpowiedział, złożywszy mi kilka niskich

ukłonów, trącających jego powołaniem; ponieważ powiedziano mi, że Wasza Wielmożność wybierasz mistrzów dla don Henryka, przychodzę więc ofiarować mu moje usługi; nazywam się Marcia Ligero, i dzięki Bogu, mam niejaką wziętość. Nie jest to moim zwyczajem, żebrać uczniów; to tylko przystoi maluczkim tancmistrzom. Ja pospolicie czekam, aby mnie szukano, ale ucząc księcia Medina Sidonia, don Ludwika de Haro i kilku innych panów z rodziny Guzman, której w pewnym względzie jestem familijnym, urodzonym sługą, uważałem za mój obowiązek, przedzielić pana o tём. Z tój mowy pana, przekonywałem się, rzekłem mu, że jesteś właśnie tym, którego nam potrzeba. Ile pan bierzesz na miesiąc? Cztery dublony, to jest moja cena stała, odpowiedział, i tylko dwie lekcyje daję na tydzień. Cztery dublony na miesiąc! zawołałem, to za wiele. Jak to za wiele! odpowiedział zdziwiony, a przecież pan musiałbyś dać przynajmniej ludora nauczycielowi filozofii.

Trudno było wstrzymać się na tak zabawną odpowiedź, dla tego też zacząłem śmiać się szczerze, i zapytałem pana Ligero, czy w istocie przekonany jest, że człowiek jego powołania więcej wart od nauczyciela filozofii. A jużci bez wątpienia tak myślę, my jesteśmy w świecie daleko użyteczniejsi od nich. Czemuże są ludzie, nim przejdą przez nasze ręce? Bałwany niewykrzesane, niedzwiedzie nie wylizane: nasza nauka rozwija ich powoli, i nadaje im kształty; słowem uczymy ich poruszeń miłych, nadajemy im postawę i minę szlachetną i pełną powagi.

Przystałem na powody mistrza tańca i zatrzymałem go do nauki don Henryka za cztery dublony na miesiąc, ponieważ to była cena przyjęta dla wielkich mistrzów sztuki.

ROZDZIAŁ VI.

Scypion wraca z nowej Hiszpanii. Gil Blas daje mu miejsce przy don Henryku. O nauce młodego panicza i jego ożenieniu. Gil Blas uszlachcony mimowolnie.

Jeszcze w połowie dwór don Henryka nie był zapełniony, kiedy Scypion powrócił z Meksyku. Zapytałem cię czy kontent był z podróży. Muszę być, odpowiedział, ponieważ za trzy tysiące dukatów w monecie, dwa razy tyle przywoziłem towarów łatwych do pozbycia w kraju. Winszuję ci mój kochany, rzekłem, otóż pierwszy początek z bogactwa się; od ciebie tylko zależyć będzie dokończenie, skoro w roku następnym udasz się znowu do Indyj; jeżelibyś zaś przeniósł miejsce przyjemne w Madrycie nad zbiory z takim trudem w tak odległych stronach, mów, a zaraz ci dam takowe. Oh, dalsbóg, rzekł syn Coscoiny, nie ma się nad czem namyślać; wolę spełniać obowiązki korzystne przy panu, aniżeli narażać się na niebezpieczeństwa długiej żeglugi, bez względu nawet na największe zład korzyści. Jaśniej się pan wytłumacz, jakie zatrudnienie przeznaczasz dla twojego sługi?

Żeby mu lepiej przedstawić rzecz, opowiedziałem mu historią małego pana, którego hrabia-książe wprowadził do rodziny Guzmanów. Wyłuszczywszy mu wszystkie szczegóły ciekawe, zawiadomiwszy, że minister mianował mnie gubernierem don Henryka, oświadczyłem mu, że chcę go przyjąć na szanownego przy tym synu przysposobionym. Scypion nie pragnący niczego lepszego, przyjął to z chęcią i w tём powołaniu tak się zręcznie sprawił, iż ledwie trzy, czy cztery dni nplynęło, a już zupełne zaufanie i przyjaźń nowego pana pozyskał.

Wystawiałem sobie, że pedagogowie, których wybrałem dla nauczania syna genneki, rzucać będą groch na ścianę ze swoją łaciną, bo wiek jego zdawał się nie bardzo zgadzać z pierwiastkami nauk, a przecież myliłem się. Rozumiał i z łatwością pamiętał czego go uczono, nauczyciele bardzo byli z niego zadowoleni. Pospieszyłem z tą miłą nowiną do hrabiego-księcia, który ją przyjął z niewymowną radością. Santillano, zawołał w uniesieniu, zachwycasz mnie swójem doniesieniem, że don Henryk ma wielką pamięć i pojęcie, poznaję w tём krew moję; a co mnie stanowczo przekonywa, że jest synem moim, to, że czuję do niego takie przywiązanie, jak gdyby z prawych pochodził związków. Widzisz mój przyjacielu, jak to się natura odzywa. Nie chciałem wystąpić z moją myślą

w tym względzie, a szanując słabość ministra nie chciałem go pozbawiać rozkoszy, jaką czuł wierząc że jest ojcem don Henryka.

Lubo wszyscy Guzmanowie śmiertelną pałali nienawiścią ku młodemu panu świeżej daty, taill ją przecież, niektórzy nawet udawali, że się starają o jego przyjaźń: posłowie i grandowie bawłący podówczas w Madrycie, odwiedzali go z takim uszanowaniem, jak gdyby był prawem dzieckiem hrabi-księcia. Minister uradowany, patrząc na swoje bożyszcze dymem kadzidła otoczone, starał się wznieść go do godności. Na pierwszy występ prosił króla o krzyż zakonu Alcantara z komanderyą dziesięciu tysięcy talarów. Wkrótce potem wyjednał mu zaszczytny tytuł szlachcica pokojowego królewskiego. Następnie postanowiwszy go ożenić, chciał mu wybrać dziewczę z najszlachetniejszej rodziny hiszpańskiej, i dlatego zwrócił oczy na donę Joannę de Velasco, córkę księcia Kastylii; tyle zaś miał mocy i powagi, iż postawił na swójem, mimo niechęć księcia i krewnych jego.

Na kilka dni przed godami weselnymi jego wysokość wezwawszy mnie do siebie, rzekł, podając mi papier, oto masz Gil Blasie nowy dar z mojej strony. Spodziewam się, że ci to nie będzie przykre, masz patent szlachectwa, który kazałem wygotować dla ciebie. Zdziwiony tą mową, odezwałem się, Wasza Wysokość wieś przecież, że jestem synem koniuszego i dozorczyń; zdaje mi się, że jest wielkie sspolittowanie szlachectwa to załączenie mojej osoby do niego, że ze wszystkich łask, jakimi mnie J. K. Mość obdarzyć może, ta jedna jest na którą najmniej zasłużyłem i której wcale nie pragnę. Ród twój jest zawadą nader łatwą do usunięcia. Używany byłeś do spraw państwa za miulsterstwa księcia Lerma i za mojego; prócz tego, dodał z uśmiechem, nie oddałeś królowi usług godnych nagrody? Słowem, Santillano, zasługujesz zupełnie na ten zaszczyt, który ci wyjednałem; jeszcze jedna przyczyna, a przecież tej ani słowa, stopień jaki zajmujesz przy moim synu, wymaga koniecznie żebyś był szlachcicem; przyznam ci się nawet, iż dlatego jedynie daję ci patent szlachectwa. Poddaję się, rzekłem, ponieważ tak chce koniecznie Wasza Wysokość. To powiedziawszy wyszedłem, wtroczywszy do kieszeni mój dyplom.

Otóż teraz jestem szlachcicem! mówiłem sam do siebie wyszedłszy na ulicę; jestem szlachcicem bez żadnego obowiązku dla rodziców: będę mógł, jak mi się podoba, nazywać się don Gil Blas; a jeżeliby kto z moich znajomych poważył się uśmiechnąć tytułując mnie w ten sposób: natychmiast mu oczy wykolę moim patentem. Ależ przeczytajmy go, mówiłem sobie wyciągając go z kieszeni; zobaczymy jakim też sposobem zmywiają plamę niskiego rodu. Czytałem więc mój dyplom, którego treść była, że król Jmć w uznaniu gorliwości jaką nie raz objawiłem w usługach jego i dla dobra kraju, uznał za stosowne obdarzyć mnie patentem szlachectwa. Mogę się śmiało pochłubić, że ten zaszczyt nie obudził we mnie żadnej dumy. Mając zawsze przed oczyma niski mój początek, ta łaska upokorzyła mnie raczej, nienadymając wcale; dlatego też postanowiłem patent mój zamknąć w szawce nie chępiąc się z niego.

ROZDZIAŁ VII.

Gil Blas przypadkiem spotyka Fabrycego, ostatnia ich rozmowa.

Poeta asturyjski, jak to łatwo było spostrzedz, nie wiele dbał o mnie. Mnie zatrudnienia liczne nie pozwalały go odwiedzać, tak więc nie widziałem go od czasu owęj rozprawy o *Ifigenii* Eurypidesa. Traf zrzadził, iż go spotkałem raz jeszcze nie daleko bramy słońca. Wychodził z drukarni. Przystąpiłem do niego, mówiąc: Oho! panie Nuuez, wychodzisz od drukarza; to zdaje się zagrażać publiczności nowem dziełem twojego układu.

Tego właśnie spodziewać się należy, odpowiedział mi: powiem ci, iż zabrałem się do napisania ulotnego pismka, które jest pod prasą, a musi wielką wywołać wrzawę w rzeczypospolitej literackiej. Nie wątpię bynajmniej o wartości twojego płodu, rzekłem, ale dziwi mnie, że się bawisz w lotne pismka; zdaje mi się, że takowe fraszki nie wielki zaszczyt przy-

noszą talentowi. Są niekiedy i dobre, odpowiedział Fabrycy. Moje naprzykład pisemko należy do tego rodzaju, chociaż układałem je na prędcę: bo muszę ci się przyznać, że to jest dzieło potrzeby. Głód, jak wiesz, wypędza wilka z lasu.

Jak to! zawołałem, głód! I toż to autor *hrabiego de Saldagne*, tak się odzywa do mnie? człowiek mający dwa tysiące talarów renty możesz tak mówić? Powoli, mój przyjacielu, przerwał mi Nunez, już nie jestem owym szczęśliwym poetą, który żył z pensyl regularnie wypłacanej. Jakiś nieład zakradł się niespodzianie do interesów podskarbiego Bertranda; roztrwonili grosz królewski, dobra jego zajęto i moją pensją djabli wzięli. To rzecz smutna, rzekłem, ale czy już nie masz nadziei z tej strony? Najmniejszej, odpowiedział: pan Gomez de Ribero, taki sam biedak, jak jego poeta, wpadł w odmęt i jak mówią, już nigdy nie wypłył.

Tym sposobem, mówiłem mu, muszę ci mój przyjacielu dać jaką posadę, któraby cię pocieszyła po stracie twojej pensyl, Uwalniam cię od tego trudu, odpowiedział; gdybyś mi w biurze ministra ofiarował urząd z pensją trzech tysięcy talarów, odmówiłbym przyjęcia: zatrudnienia urzędowe nie przystoją wcale wychowawcom muz; trzeba mi literackich rozrywek. Wreszcie cóż ci mam obwijać w bawełnę! urodziłem się aby żyć i umierać jak poeta, chcę więc spełnić moje przeznaczenie.

Nie wystawiaj atoli sobie, mówił dalej, abysmy byli tak bardzo nieszczęśliwi; prócz zupełnej niezawisłości, żyjemy sobie po hultajsku bez żadnej troski. Myślą, że my często przestajemy na uczcie Demokryta, i w tém się bardzo mylą. Ani jednego nie ma z moich spółtowarzyszów, nie wyjmując nawet kujaących almanachy, którzyby nie był stołownikiem w jakim porządnym domu; ja mam takich dwa, w których mnie z radością przyjmują. Mam dwa obiady pewne; jeden u bogatego nadzierżawcy dóbr rządowych, któremu przepisałem jeden romans; drugi u zamożnego mieszczanina Madryckiego, którego szał opanował, aby koniecznie mieć na obiedzie poetę. Szczęściem nie jest bardzo wybredny w wyborze, dla tego miasto nasze dostarcza mu ich tyle, ile tylko chce.

Nie żałuję cię więc, rzekłem asturyjskiemu poecie, ponieważ kontent jesteś z twojego stanu. Stem wszystkim powtarzam ci jeszcze raz, że zawsze w osobie Gil Blasa masz przyjaciela chociaż niedbasz o niego; jeżeli będziesz potrzebował mojej sakiewki, przychodź śmiało; fałszywy wstyd niech cię nie pozabawia téj nieochybnej pomocy, a mnie przyjemność usłużenia ci w potrzebie.

Po tych szlachetnych uczuciach, odezwał się Nunez, poznaję Santillanę, i tysiącnie ci składam dzięki za łaskawe ku mnie usposobienie; przez wdzięczność muszę ci dać radę zbawlewną. Kiedy jeszcze hrabia-książę wszystko może, a ty zaszczytasz się jego łaską, korzystaj z czasu, zbieraj jak możesz; bo jak mnie mówiono, już się chwileje na swojej podstawie. Zapytałem się Fabrycego, czyliby tę wiadomość z dobrego powziął źródła, na co odpowiedział, wiem to od starego kawalera Calatrawy, który szczególniejszym obdarzony jest talentem wyszperania rzeczy najtajniejszych, słuchają tego człowieka jak wyroczni, i oto com słyszał wczoraj od niego. Hrabia-książę ma mnóstwo wrogów, którzy się spiknęli na jego zgubę; za nadto on spuszcza się na przewagę, jaką ma nad umysłem króla; monarcha, jak mówią, zaczyna słuchać skarg, które go dochodzą. Podziękowałem Nunezowi za jego ostrzeżenie; mało jednak baczyłem na nie i wróciłem do domu z tém przekonaniem, że powaga mojego pana jest niezachwiana, wystawiłem go sobie jak ów dąb odwieczny, który zakorzeniwszy się wśród lasu, wszelkim burzom śmiało stawia czoło.

ROZDZIAŁ VIII.

Jak Gil Blas przekonał się, że Fabrycy miał słuszość. Podróż króla do Saragossy.

Co mi poeta asturyjski powiedział, okazało się nie bezzasadne. W pałacu zawiązała się tajna konfederacja przeciw hrabi-księcin, utrzymywano zaś, że królowa była na jej czele; a jednakże nic i nic na jaw nie wychodziło ze środków przedsię-

wziętych ku wysadzeniu pierwszego ministra. Przeszło rok upłynęło od tego czasu, gdy nie mogłem dostrzedz, aby względy ministra miały w czémkolwiek szwankować.

Bunt katalończyków wspieranych przez Francją, niepowodzenie oręża przeciw zbuntowanym, wywołały szemrania ludu i skargi przeciw rządowi. Te skargi spowodowały wielką radę w obecności króla, którego wolą było, aby margrabia la Grana, poseł cesarza niemieckiego, znajdował się na tej radzie. Podano pod rozważę, czyby nie wypadało królowi udać się do Aragonii i pokazać się wojskom swoim. Hrabia-książę pragnąc, aby król nie udawał się do armii, najpierwszy wystąpił ze swoim zdaniem. Przedstawił on, że z godnością majestatu królewskiego nie zgadza się, aby monarcha oddalał się ze środka swojego państwa, zdanie to zaś popierał wszelkimi powodami, jakie mu tylko jego wymowa nastreczyć potrafiła. Zaledwie skończył, a zdanie jego potwierdziła cała rada z wyjątkiem margrabiego la Grana, który idąc za popędem przywiązania do domu austriackiego, uniesiony szczerotą swojego narodu, zbijał zdanie pierwszego ministra, i swoje mniemanie z taką siłą popierał, że król uderzony gruntownością rozumowania przeszedł na jego stronę, chociaż przeciwną ogólnemu zdaniu rady i naznaczył dzień wyjazdu do wojska.

Pierwszy to raz w życiu król odważył się inaczej myśleć niż jego ulubieniec; który tę nowość poczytując za zniechęcenie mocno się zmartwił. Wracając więc do swojego gabinetu by swobodnie dumać nad tym wypadkiem, spostrzegł mnie, zawołał i wprowadziwszy z sobą, odpowiedział mi z pewnem wzruszeniem zajście w radzie: następnie jako człowiek nie wychodzący z zadumlenia, odezwał się, otóż to, Santillano, król, który od lat dwudziestu moimi tylko mówił ustami, moiśmi patrzył oczyma, dziś przeniósł zdanie de Grany nad moje, i to jeszcze w jakim sposobie? obsypując pochwałami ambassadora, uwielbiając jego gorliwość w usługach domu austriackiego, jak gdyby ten Niemiec był gorliwszym ode mnie.

Łatwy zjad wniosek, mówił dalej minister, że się utworzyło stronnictwo przeciw mnie, mam zaś powody domyśleć się, że królowa stoi na jego czele. Panie, rzekłem, maszcie to niepokoić? możeszże obawiać się królowej? monarchini od lat dwudziestu już przywykła widzieć cię przy styrze rządu, a król nie ma zwyczaju pytać się jej o radę. Co się tyczy margrabiego de Grana, król zapewne poszedł za jego zdaniem przez chęć oglądania wojska i odbycia wyprawy. Nie rozumiesz tego, przerwał minister; powiedz raczję, że nieprzyjaciele moi spodziewają się, iż król stanąwszy pośród wojska, otoczony będzie panami orszak jego (tworzącymi), że między nimi znajdą się tacy, którzy odważą się czernić mój zarząd. Ale się mylą, dodał; potrafię ja w czasie tej podróży zrobić króla nieprzystępnym dla grandów; czego dokazał w Istocie w sposób zasługujący na bliższe wyszczególnienie.

Nadszedł dzień wyjazdu: król zdawszy rządu państwa na małżonkę swoją, ruszył do Saragossy. Przejeżdżając przez Aranhuez, tak sobie podobał w tém miejscu rozkosznym, że przepędził tam blisko trzy tygodnie. Z Aranhuez minister skierował drogę do Cuency, gdzie go dłużej jeszcze zatrzymał, przygotowawszy mu różne rozrywki. Następnie przyjemności myśliwskie zajęły dość długo króla w Moltoa w Aragonii, po czém udał się do Saragossy. Wojsko było nie daleko ztamtąd i król miał zamiar udać się do niego; lecz hrabia-książę odjął mu wszelką ochotę, przekonawszy go, że się może narazić na niebezpieczeństwo pojmania przez Francuzów, którzy owładnęli równiny Monçon; tym sposobem król przerażony niebezpieczeństwem zupełnie urojonem, zamknął się w pałacu swoim jak w więzieniu. Minister korzystając z jego trwogi, pod pozorem czuwania nad jego bezpieczeństwem, miał go zawsze na oku; tak dalece, że grandowie i moi państwa poniosłszy nadzwyczajne wydatki dla zaszczytu towarzyszenia monarsze, nie mieli nawet tyle pociechy, iżby mogli nyzyskać prywatne posłużenie. Z resztą król znużony niedogodnym pomieszkaniem w Saragossie, nie mając żadnych rozrywek, siedząc jak jeniec wojenny, porzucił stolicę Aragonii i wrócił do Madrytu. Tak

skończyła się ta wyprawa, margrabia de los Velez, general wojsk królewskich, zatrzymał i na dal obowiązek utrzymywania honoru oręża hiszpańskiego.

ROZDZIAŁ IX.

Rewolucya portugalska. Minister traci łaskę.

W kilka dni po powrocie króla rozbiegła się po Madrycie wieść złowroga, że portugalczyki uważając powstałe katalońskie jako szczęsnym losem następczoną sobie sposobność zrzucenia władzy hiszpańskiej, nie omeszkali z tnej korzystać; wzięli się do bronii, ogłosili królem księcia Braganzy, postanowili utrzymać go na tronie i pewni byli pomyślnego skutku, ponieważ wówczas Hiszpania miała ulepszyć na karku w Niemczech, we Włoszech, we Flandryi i w Katalonii. W Istocie dogodniejszej pory wybrać nie mogli by się pozbyć panowania uciążliwego.

Osobliwsza rzecz wszakże, gdy dwór i całe miasto przerażone było tą nowiną, hrabia-książę chciał przed królem żarłki stroić kosztem księcia Braganza; lecz szydercze pociski nie w porę rzucone, zwracają się na polsokie na tych, którzy je mlotają. Filip zamiast bawić się niedorzecznym dowcipem, przybrał postawę surową, która zmieszała ministra, zapowiadając mu utratę łaski. Już nie wątpił bynajmniej o swoim upadku minister, powziąwszy wiadomość, że królowa otwarcie oświadczyła się przeciw niemu, powstanie Portugalli przypisując jego złym rządóm. Większa część grandów, a mianowicie ci, którzy byli w orszaku króla w Saragossie, ujrawszy zbierającą się burzę nad głową ministra, połączyli się z królową. Ostateczny zaś cios zadała księżna wdowa mantuańska, była rządczyni Portugalli, która wróciwszy do Madrytu przedstawiła królowi wyraźnie, że rewolucya tego kraju wybuchła jedynie z winy pierwszego ministra.

Wyrazy księżnej silnie zrobiły wrażenie na umyśle króla, tak dalece, iż porzucając dawne swoje nprzedzenie, wyzuł się z wszelkiej ku niemu przychylności. Minister zawiadomiony, że król słucha jego wrogów, napisał do niego list z prośbą o pozwolenie złożenia urzędu i oddalenia się od dworu, ponieważ niesłusznie przypisują mu wszystkie nieszczęścia monarchii, za jego rządu wydarzone. Rozumiał, że list ten wielki sprawi skutek, że król dosyć jeszcze mając względów dla niego, nie zezwoli na jego oddalenie, lecz monarcha w odpowiedzi swojej przychylił się do jego żądania, pozwalając mu udać się dokądby sobie życzył.

Te wyrazy własną ręką króla napisane były gromem dla ministra, którego się wcale nie spodziewał. Stém wszystkiem chociaż odurzony tym ciosem, udawał jednak postawę spokojną i pytał się mnie, cobym też ja zrobił w jego miejscu. Moje postanowienie w tym względzie, rzekłem, byłoby nader łatwe: udałbym się do dóbr i tam resztę dni w spokojności przepędzał. Bardzo rozsądnie myślisz, odpowiedział mój pan, i ja zamierzam skończyć mój zawód w Loeches, skoro tylko raz jeszcze rozmówię się z królem: radbym mu przedstawić, że zrobiłem wszystko, co tylko było w mocy ludzkiej, by godnie dźwigać ciężkie brzemie, jakiem mnie obarczono, że nie odemnie zależało zapobiedz smutnym wypadkom, o które mnie obwiniają, że w tém nie jestem winniejszy od sternika, który mimo całą zęczność, mimo wysilenia, widzi jak fale okręt jego nnoszą. Minister pochlebiał sobie, że pomówiwszy z królem potrafił naprawić rzeczy i odzyskać stracone pole, ale nie mógł uzyskać posłuchania, a nadto zażądano od niego zawrotu klucza, który miał przy sobie, aby w każdej chwili mógł się bez przeszkody dostać do pokojów monarchy.

Widząc że wszelka nadzieja znikła, skłonił się stanowczo do odwrotu. Przejrzał swoje papiery, z których mnóstwo spalił; potem wymienił oficyalistów i służących, mających mu towarzyszyć, wydał rozkazy do odjazdu i dzień następny do tego przemaszczył. Obawiając się jakiejś napaści ze strony mołtochu, raninteńko wymknął się drzwiami kuchennymi, siadł do starej karety ze spowiednikiem i ze mną i szczęśliwie udał się drogą do Loeches, wioski swojej dziedzicznej, w której hrabina małżonka jego, kazała wznieść wspaniały klasztor panien reguły

św. Dominika. Dostaliśmy się tam w przeciągu czterech godzin niespełna, a reszta osób do orszaku należących, niebawnie za nami przybyła.

ROZDZIAŁ X.

O spokojności jakiej hrabia-książę doznał po pierwiastkowych troskach, O zatrudnieniach jego w tém ustroniu.

Pauli Olivarez po odejździe męża, pozostała jeszcze kilka dni przy dworze, próbując czy prośbą i łzami nie zmłeczy króla i nie wyjedna przywołania męża; lecz na próżno padała do nóg J. J. K. K. Mości, król nie słuchał nawet jej przedstawień, z wielką zęcznością ułożonych, a królowa nienawidząca jej, cleszyła się z jej płaczem. Małżonka ministra nie zrazała się tém, zniżyła się nawet do żebrania pomocy dam honorowych królowej; wnet atoli spostrzegła, że owocem jej uniżenia się, była wzgarda bez żadnego politowania. Strapiona, że tyle upokarzających podjęła zabiegów na próżno, udała się do męża, aby podzielać z nim zgrzyotę po utracie miejsca, które pod panowaniem Filipa IV było może najpięrszszym w całej monarchii.

Wiadomość, jaką pani Olivarez przyniosła mężowi, o stanie w jakim opuściła Madryt, podwoiła zgrzyotę byłego ministra. Twoje wrogi, mówiła mu, księża Medina Celi i inni grandowie, nie przestają wlebić króla, że ci odjął ministerstwo, a lud obchodzi twoją nęłaskę z wyuzdaną radością, jak gdyby kres nieszczęść państwa przywiązany był do upadku twojego. Pauli, odezwał się hrabia, idź za moim przykładem, znoś te troski, trzeba nędz burzy, której odwrócić nie można. To prawda, że ja mniemałem, iż potrafię utrzymać względy do końca życia; zwykłe złudzenie ulubieńców, którzy zapominają, że los ich jest w ręku ich wszechwładnego pana. Księżę de Lerma nie zawłódlże się podobnie jak ja? chociaż rozumiał że purpura którą sobie wyjednał, stanie się pewną rękojmnią trwałości jego władzy.

Tym sposobem hrabia-książę zachęcał swoją małżonkę, żeby się uzbroiła cierpliwością, gdy sam ciągłej doznawał niespokojności, którą bezustannie podsycały odbierane od don Henryka doniesienia. Ten bowiem syn przysposobiony, został przy dworze, aby baczył na wszystkie obroty, i o tych najcięższą zdawał sprawę. Scypion doręczał te listy, jeszcze bowiem był u młodego pana, ja zaś oddaliłem się od niego po zaślubieniu z doną Juana. Każdy z tych listów, nową jakąś, a zawsze przykrą obejmował wiadomość, a na domiar nieszczęścia nie spodziwano się innych od niego. Raz donosił, że grandowie nie poprzestając na objawach radości z powodu usunięcia się hrabiego-księcia, lecz połączonymi siłami starali się pospędzać z urzędów, wszystkich tych, których on podźwignął, miejsca zaś opróżnione, zapełnić jego nieprzyjaciółmi. Drugi raz pisał, że don Ludwik de Haro, coraz większe względy zyskuje i według wszelkiego prawdopodobieństwa, zostanie pierwszym ministrem. Ze wszystkich atoli tych dokuczliwych przewrotów, o których się dowiadywał mój pan, najmocniej zdawała go się zajmować zmiana wicekrólestwa neapolitańskiego. Godność tę na większą jedynie zgrzyotę hrabiego-księcia, odjęto księciu Medina de las Torres, którego był przyjacielem, aby ją ofiarować amirantowi Kastylii, którego zawsze nienawidził.

Można powiedzielić, że przez trzy miesiące Jego Wysokość w ustroniu swoim, samą żył zgrzyotą i udręczeniem; lecz spowiednik jego, zakonnik reguły św. Dominika, mąż z gruntowną pobożnością mężką łączący wymowę, potrafił go nieco uspokoić. Przedstawiając mu ciągłe z żarliwością, iż teraz jedynie zając się powinien myślą o swoim zbawieniu, miał szczęście, przy pomocy łaski bożkiej, oderwać go od dworu. Jego Wysokość nie pragnął już wiadomości z Madrytu i zajmował się jedynie przygotowaniem na śmierć chrześciańską. Pauli Olivarez korzystając ze spokojnego schronienia, znalazła w klasztorze swojej fundacyi pociechę, jakby przez Opatrzność dla niej przygotowaną; pomiędzy zakonnicami było wiele panien, których mowy pełne bogobojnego namaszczenia, powoli gorycz jej życia osłodziły. W miarę jak pan mój coraz mniej zwracał uwagi na sprawy światowe, coraz stawał się spokojniejszym.

Otóż jaki był odtąd porządek jego życia; przez cały prawie poranek słuchał mszy św. w kościele panien zakonnych, po czém zasiadał do obładu; następnie bawił się ze dwie godziny w rozmaite gry ze mną i kilkoma innymi służącymi, których szczególniej polubił; udawał się potem do swojego gabinetu sam i tam zostawał zwykle aż do zachodu słońca; wtedy przechodził się po ogrodzie, albo przejeżdżał w powozie w okolicach zamku w towarzystwie spowiednika lub mojem.

Pewnego dnia, gdy sam jeden byłem z nim, patrząc na wypogodzone jego czoło, ośmieliłem się rzec mu: Panie, pozwól mi wynurzyć radość moję z zadowolenia, jakie na twarzy twojej spostrzegam, wnoszę, że Wasza Wysokość poczynaasz przyzwyczajając się do tej samotności. Już zupełnie do niej przywykłem, odpowiedział mi, a lubo przez długie lata zajmowałem się sprawami publicznymi, zaręczam ci, mój przyjacielu, że co dzień wlećć smakuję w życiu spokojnem i miłem, jakie tu prowadzę.

ROZDZIAŁ XI.

Hrabia-książę nagle staje się smutny i zamyślony; o przyczynach i skutkach tego.

Jego Wysokość dla urozmaicenia swoich zatrudnień, bawił się niekiedy uprawą swojego ogrodu. Pewnego dnia, gdy się przyglądał jego robotce, odezwał się żartując: Widzisz, Santillano, minister wypędzony ze dworu, został ogrodnikiem w Loeches, odpowiedziałem mu w tymże tonie; wystawiam sobie w tej chwili Dyontyzusa syrakuzńskiego bakałarzem w Koryncie. Rozśmiał się na tę odpowiedź i nie obraziło go porównanie.

Cieszyliśmy się wszyscy w zamku, widząc naszego pana, wyższego nad swoje nieszczęście, znajdujacego przyjemność w życiu tak odmiennem od tego, jakie dotąd prowadził, gdy wtém z wielkiem naszym smutkiem spostrzegliśmy nagłą w nim zmianę. Stał się naszym, zadumanym, w głębokiej pograżonym melancholii. Przestał bawić się w gry z nami i zdał się niezuciym na wszystko, cośmy tylko wymyślić mogli dla jego rozrywki. Po obiedzie zamykał się w gabinecie i tam sam siedział aż do wieczora. Rozumeliśmy, że przypomnienie dawniej wielkości, było przyczyną jego smutku i w tém przekonaniu, przestaliśmy na niego ojca dominikana, lecz i jego wymowna nie potrafiła przełamać jego melancholii, która zawiast zmniejszać się, wzmagala się coraz bardziej.

Wpadło mi na myśl, że smutek ministra, musiał mieć jakąś osobliwszą przyczynę, której nie chciał wyjawić, powzięłem więc zamiar wydobycia z niego tej tajemnicy. Żeby tego dojść, czyhałem na sposobność pomówienia z nim bez świadków, a znalazłszy ją: Panie, rzekłem, tonem pełnym uszanowania i przychyłności, czy wolno Gil Blasowi odważyć się na zadanie pytania swojemu panu? Możesz mówić, odpowiedział mi, pozwalam ci. Co się zrobiło rzekłem, z tą miną wesołą, która się objawiała na twarzy Waszej Wysokości. Miałebyś pan stracić tę przewagę, jakąś zyskał nad losem? Utracone względy, miałyby na nowo obudzić żal? Miałebyś wpaść znou w tę otchłań nudów, z której cię mężtwo twoje wydobylło? Nie, dzięki Bogu, odpowiedział minister, wspomnienia moje nie sięgają bynajmniej tej roli, jaką grałem przy dworze, zapomniałem na wieki hołdów, jakie mi tam składano. A więc, odpowiedziałem, kiedy pan masz tyle mocy w wygluzowaniu z pamięci całej przeszłości, dla czegoż tak słabym jesteś w poddaniu się melancholii, która nas wszystkich niepokoi? Co ci jest najdroższy panie? mówiłem dalej, ściskając jego kolana, bez wątpienia jakaś tajemna zgryzoła dręczy cię; możesz ją ukrywać przed Santillaną, którego znasz gorliwość, wierność i zamilczenie? Jakież nieszczęsne zdarzenie, pozabawilo mnie zaufania?

Posładasz je zawsze, rzekł hrabia-książę, lecz przyznam ci się, że nie mam ochoty wyjawiać ci przyczynę mego smutku; jednakże oprzeć się nie mogę prośbom sługi i przyjaciela takiego, jakim ty jesteś. Dowiedz się przeto, co mi dolega a z czém przed jednym tylko Santillaną zwierzyć się ośmielam. Tak jest, mówił dalej, czarna melancholia trawi moje życie, co chwila prawie, przedstawia się oczom moim, strasznej postaci mara.

Napróżno sam sobie tłumaczę, że to tylko złudzenie, że to widmo nie ma w sobie nic rzeczywistego; ustawne wszakże jego objawy, rażą oczy moje i stają się przyczyną niepokoju. Jeżeli z jednej strony rozsądek dość silny przekonywa mnie, że widząc tę marę, nie nie widzę, z drugiej strony dość słaby jestem, że się martwię tym widziadłem. Otóż to jest wszystko, com był zmuszony ci powiedzieć, osądź sam teraz, czym nie miał służności, tając przed światem przyczynę mojej melancholii.

Z równym żalem jak podziwieniem, słuchałem dziwnego opowiadania, bo zjawisko to, kazało przypuszczać jakieś rozprężenie w organizmie. Panie, odezwałem się do niego, nie miałoby to pochodzić ze zbyt skromnego pożywienia? bo wstrzeźliwość pańska jest przesadzona. Ja właśnie tak myślałem, odpowiedział, i dla przekonania się, czyby to nie było winą sposobu życia, od kilku dni począłem jeść wlećć niż zwykle, ale i to nie pomaga, widmo nie ustępuje. Zniknie ono, rzekłem dla jego poclechy, a gdyby Wasza Wysokość dla swojej rozrywki chciał się zabawić grą ze swoimi wiernymi sługami, pewny jestem, żeby się wkrótce uwolnił od tych humorów.

Nie długo po tej rozmowie, pan nasz zachorował, a przezuwając że może nastąpić coś stanowczego, posłał do Madrytu po dwóch pisarzów aktowych, by spisali testament. Kazał także przywołać trzech najslawniejszych lekarzy, którzy mieli wlećć uzdrawiania czasami swolch chorych. Skoro tylko wieść o ich przybyciu rozległa się po zamku, same tylko jęki i żale słyhać było; uważano śmierć pana za nieochybną, takie tam panowało uprzedzenie przeciw lekarzom. Sprowadził z sobą aptekarza i chirurga, zwyczajnych wykonawców swoich wyroków. Naprzód pozwolili pisarzom dopełnić ich powinności, a następnie zabrali się do swojego powołania. Ponieważ trzymali się zasad doktora Sangrado, zaraz więc po pierwszej naradzie kazali mu raz za razem puszczać krew, tak że po sześciu dniach przywieśli hrabię-księcia do ostateczności, a siódmego już go uwolnili od jego widma.

Po śmierci ministra, w zamku Loeches objawił się szczyry i wielki żal: wszyscy służący serdecznie zgon jego opłakiwali. Zamiast pocieszać się po tej stracie zapisem, jakiego z pewnością spodziewać się mogli w testamencie; nie było ani jednego, któryby się z chęcią nie rzekł spadku, byleby go przywrócić do życia. Ja, com szczególniejszą jego zaszczycał się życiowością, com się przywiązał do jego osoby przez samą tylko skłonność serca, wlećć nad innych czułem tę stratę. Nie wiem czy hrabia-książę nie wlećć kosztował mułe łez, jak moja Antonia.

ROZDZIAŁ XII.

Co zaszło w zamku Loeches po śmierci hrabi-księcia i co przedsięwziął Santillana.

Minister stosownie do swojego rozporządzenia, pochowany został bez przepychu i bez wrzawy w klasztorze zakonnic wśród płaczu i jęków naszych. Po pogrzebie pani Olivarez kazała nam przeczytać testament, który wszystkich zadowolił. Każdy uzyskał zapis odpowiedni miejscu jakie zajmował, a najmniejszy dar wynosił dwa tysiące talarów; mój był najznakomitszy pomiędzy wszystkimi: jego wysokość przeznaczył mi dziesięć tysięcy ludorów, jako dowód szczególniejszego do mnie przywiązania. Nie zapomniał o szpitalach, porobił zapisy na doroczne nabożeństwa w kilku klasztorach.

Pani Olivarez odesłała wszystkich służących do Madrytu, aby zapisy swoje odebrali od intendenta Rajmonda Caporis, który miał rozkaz wydania ich natychmiast; ja jednak nie mogłem się udać z nimi, silna gorączka, skutek mego zmartwienia, opnowala mnie i zatrzymała w zamku przez cały tydzień. Przez cały ten czas ojciec zakonu św. Dominika nie odstępował mnie. Ten czelgodny kapłan przywiązał się do mnie, a bacząc na moje zbawienie, skoro mnie ujrzał wracajacego do zdrowia, zapytał się, jakieby były moje dalsze zamiary. Alboż ja wiem, ojciec wielebny, odpowiedziałem, jeszcze nie mogę się sam z sobą pogodzić: są chwile w których mnie ochota bierze zamknąć się w celi klasztornej i resztę życia spędzić na pokucie.

Drogi chwile, odezwał się dominikanin, panie Santillana, korzystaj z nich. Radzę ci po przyjacielsku, schroń się do którego z naszych klasztorów, na przykład w Madrycie, nie przestając być świeckim, zostań dobroczyńcą zgromadzenia i zakończ życie w sukni św. Dominika. Wiele jest ludzi, którzy tym sposobem zmyślają winy z usterek w życiu światowego.

W ówczasowem usposobieniu mojego umysłu, rada zakonika nie była mi przeciwną, odpowiedziałem więc ojcu wielbniemu, że się nad tem zastanowię. Lecz zwierzywszy się z tem Scypionowi, który wkrótce potem przybył, usłyszałem od niego wbrew przeciwnie zdanie; pomysł mój zdał mu się być skutkiem słabości umysłu. Wstydzi się panie Santyllano, podobne schronienie może ci być przyjemne? Zamek twój w Lirias nie przedstawiał ci daleko miłszego? Jeżeli cię kiedyś zachwycał, to teraz więcej jeszcze znajdziesz w nim przyjemności, doszedłszy do wieku zdolniejszego czuć piękności natury.

Syn Coscoliny bez trudności zmienił moje postanowienie. Przyjacielu, rzekłem mu, twoja rada bardziej mi się podoba, niż ojca dominikana. Przekonywam się, że lepiej będzie wrócić do mojego zamku i tego się teraz trzymam. Udamy się do Lirias, skoro tylko będę w stanie pójść się w drogę. To nie długo nastąpiło, bo straciwszy febrę, szybko odzyskałem siły, i czułem się dosyć zdrowym do spełnienia powziętego zamiaru. Pojechaliśmy do Madrytu. Widok stolicy nie sprawił na mnie tak przyjemnego wrażenia jak niegdyś. Widząc, że wszyscy prawie jego mieszkańcy ze zgrozą wspominali ministra, dla którego ja tkliwe w sercu zatrzymałem uczucia; nie mogłem miłm na nie spoglądać okiem; dla tego też pięć tylko, czy sześć dni zabawiłem, poki Scypion nie przygotował wszystkiego co do naszej podróży potrzebnem było. Kiedy się Scypion tem zajmował, ja tymczasem udałem się do Rajmonda Caporis, który mi zapis mój wyliczył w dublonach. Odwiedziłem także poborców komanderyi, od których miałem odbierać pensją, ułożyłem się z nimi o sposób wypłaty: słowem uporządkowałem wszystkie interesa.

W wilią wyjazdu pytałem się syna Coscoliny, czy wziął uwolnienie od don Henryka. Tak jest, odpowiedział, dziś rano rozstał się z przyjacielsku: oświadczył mi jednak, iż mu nie miło było, że go opuszczam; jeżeli wszakże on był zadowolony ze mnie, ja z niego wcale nie byłem kontent. To nie dosyć, że sługa podoba się panu, potrzeba także, aby pan podobał się słudze, inaczej nie będzie harmonii między nimi. Don Henryk jest przy dworze odczną figurą, stał się przedmiotem pogardy, palcem go wytykają po ulicach, inaczej go nie nazywają, jak synem genuenki; sam pan osądź, czy to może być miło dla uczciwego człowieka, służyć panu zhańbionemu.

Wreszcie jednego pięknego dnia wyjechaliśmy ranitkiem z Madrytu i puściliśmy się drogą do Cuenca, a to w następującym porządku: ja z moim powiernikiem siedziałem w powozie zaprzężonym dwoma mułami, którymi kierował pocztyllon; tuż za nami postępowali trzy muły obciążone rzeczami i pieniędzmi, pod przewodnictwem dwóch masztalerzy; za nimi dwaj potężni lokaje dobrani przez Scypiona, uzbrojeni od stóp do głów, siedzieli na dwóch mułach; masztalerze także mieli szable, a pocztyllon dwa pistolety w wolstrach. Ponieważ nas było siedmiu, a z tych sześciu na wszystko odważyć się gotowych, wesoło więc puściliśmy się w drogę, nie troszcząc się bynajmniej o mój zapis. Po wsiach, przez któreśmy przejeżdżali, muły nasze dumnie brząkały w swoje dzwonki; wieśniacy cisnęli się do drzwi domów swoich dla przypatrzenia się naszej czeredzie; zdało im się, że to musi być najmniej jaki grand, udający się na objęcie wice-królestwa.

ROZDZIAŁ XIII.

Powrót Gil Blasa do zamku, Radość jego i zakochanie się.

Potrzebowałem piętnastu dni, żeby się dostać do Lirias, bo nie miałem powodu spieszyć się; tego jedynie pragnąłem, aby drogę szczęśliwie odbyć, a życzenie moje spełnione zostało. Widok zamku wywołał naprzód jakieś myśli smutne, obudzając żalose wspomnienie Antonii; lecz wkrótce potrafiłem się

uspokoić, zwracając uwagę na same przedmioty miłe, a prócz tego dwadzieścia dwa lat ubiegłe od jej śmierci osłabły znacznie pierwiastkowe uczucia.

Tylko com wstąpił do zamku, Beatrix z córką swoją wybiegły skwapliwie na moje powitanie; następnie ojciec, matka i córka, ściskając się wzajemnie wśród radosnych uniesień, zachwycali mnie przyjemnie. Po tak serdecznem przywitaniu, wpatrując się bacznie w moją chrzestną córkę, bardzo miłą, zawołałem: czyż podobna, żeby to była ta sama Serafina, którą zostawił w kolebce, opuszczając Lirias? ciesz się moim mocno, że ją oglądam tak pięknie wyrosłą; musimy pomyśleć o postanowieniu dla niej. Jaktó, mój kochany ojeze chrzestny, zawołała Serafina, lekkim rumieńcem obłana po molch ostatnich wyrazach, zaledwie chwilę jedną mnie widzisz, a już się chcesz mnie pozbyć! Nie, kochane dziecie, wydając cię za męża, nie mam zamiaru tracić cię, chciałbym takiego męża, który pojmując ciebie, nie wydzierałby cię rodzicom i któryby żył, że tak rzekę, razem z nami.

Taki właśnie znajduje się, rzekła Beatrix. Szlachcic z okolicy tutejszej, widział raz Serafinę na mszy w kaplicy wlejskiej i zakochał się w niej. Przybył do mnie, oświadczył mi swoją skłonność i prosił o przyzwolenie; łatwo się domyśliście, jaką mogłam mu dać odpowiedź. Chociażbyś uzyskał moje zezwolenie, rzekłam mu, jeszczebyś z tem daleko nie zaszedł. Serafina zależy od ojca swojego i od ojca chrzestnego, którzy sami losem jej rozrządzać mogą; wszystko co mogę uczynić, to jest, że napiszę do nich, zawiadamiając ich, o jego zaszczytnych dla mojej córki zabiegach. W istocie, panowie, mówiła dalej, miałam niezwłocznie was zawiadomić o tem, ale kiedy właśnie oto wracacie, zróbcie jak się wam zdawać będzie.

Zrestą, rzekł Scypion, jakiż charakter jest tego hidalgo? Nie jestże podobny wielu innym tego samego stanu? dumni swoim szlachectwem, czy nie pogardza zachwałę nieszlachtą? Oh, co do tego, to nie, odpowiedziała Beatrix, jest on niezrównanej grzeczności pełen i słodczy, przyjemnej postawy, a ma niespełna lat trzydzieści. Piękny obraz, rzekłem, przedstawiasz nam tego kawalera, jakie się nazywa? Don Juan de Jutella, odpowiedziała żona Scypiona; niedawno objął spadek po ojcu, mieszka w zamku o małą milkę zjad odległym i ma przy sobie siostrę młodszą, którą się opiekuje. Słyszałem ja kiedyś o tej familii, rzekłem, jestto jedna z najszlachetniejszych w królestwie Walencyjskiem. Ja mniej cenię szlachectwo, odezwał się Scypion, niż przymioty serca i umysłu, a ten don Juan podoba się nam, jeżeli to uczelny człowiek. Przynajmniej taką ma wzięłość, rzekła Serafina, wtrącając się do rozmowy, mieszkańcy Lirias, którzy go znają, bardzo wiele o nim dobrego mówią. Na te słowa mojej córki chrzestnej spojrziałem z uśmiechem na ojca, który pochwycił je tak dobrze jak ja i wniósł, że ten gach nie był obojętny dla córki.

Ten kawaler prędko dowiedział się o naszym powrocie do Lirias, we dwa dni później ujrzelśmy go w zamku, powitał nas z niewymuszoną uprzejmością, a obecność jego nie tylko nie zaprzeczyła w niczem temu, co nam o nim Beatrix powiedziała, ale owszem obudziła w umyśle naszym wysokie mniemanie o jego wartości. Powiedział nam, że jako sąsiad przybył powinnować nam szczęśliwego powrotu. Przyjeliśmy go, ile być może najgrzeczniej; ale odwiedziny te były tylko dopełnieniem zwyczajnej przyzwoitości, przesyłał na oświadczeniach wzajemnej przychylności, a don Juan nie wspomniawszy o swoim przywiązaniu do Serafiny, opuścił nas, prosząc o pozwolenie częstszych odwiedzin, by korzystać z sąsiedztwa, które zdawało się robić mu nadzieję wielkich przyjemności. Kiedy się już oddalił, Beatrix zapytała się nas o zdanie o nim. Odpowiedzieliśmy, że nas korzystnie dla siebie przedzielił i że nam się zdawało, iż los nie mógł nic lepszego nastąpić dla Serafiny.

Nazajutrz po obiedzie wyszedłem ze Scypionem, aby w zwyczajnym trybie odwiedzić don Juana, jak należało. Wzięliśmy z sobą przewodnika, który po trzech kwadransach drogi odezwał się do nas: oto jest zamek pana don Juana de Jutella. Naprawdę wyteżaliśmy wzrok nasz, długo nic dostrzedz nie mo-

głiśmy; ujrzelśmy go dopiero dochodząc do niego, stał bowiem u spodu góry, wśród lasu, którego drzewa wysoko wzniesione zakrywały go przed naszymi oczyma. Miał postać starożytną i zruinowaną, która nie tyle zamożność, jak raczej dawne szlachectwo okazywała. Wszedłszy atoli wewnątrz, ujrzelśmy czystość sprzętów wynagradzającą zewnętrzne ruiny.

Don Juan przyjął nas w sali okazałej; przedstawił nam dziewczę, którą nazwał siostrą swoją Dorotą, mającą około dwudziestu lat wieku. Ubrała się starannie, jak osoba spodziewająca się naszych odwiedzin i pragnąca się nam okazać miłą. Ponieważ przedstawiła mi się ze wszystkimi wdziękami, zrobiła więc na mnie toż samo wrażenie, jak niegdyś Antonia, to jest, zmieszałem się; lecz tak dobrze ukryłem moje pomieszanie, że Scypion nawet nie dostrzegł tego. Rozmowa nasza obracała się około tegoż samego punktu co wczoraj, wynurzailiśmy sobie radość wzajemną z częstszego widywania się i z miłego sąsiedzkiego pożycia. I teraz jeszcze nie wspominał nam o Serafinie, a my nie naprowadzaliśmy go na ten przedmiot i niechcąc nie zobowiązaliśmy go do oświadczenia swojej miłości, chociaż radziliśmy byli, żeby o tym namienić. W czasie naszej rozmowy często rzucałem okiem na Dorotę, chociaż usiłowałem ile możności jak najmiej spoglądać na nią; ilekroć zaś oczy jej spotkały się z moimi, tyle razy nowy niejako grot dosięgał serca mojego. Muszę jednak powiedzieć, dla odania ściślej sprawiedliwości ulubionej osobie, że to nie była piękność doskonała; jeżeli pięć jej była nadzwyczajnej białości, usta piękniejsze od róży, z drugiej strony nos miała nieco za długi, oczy za małe; lecz w ogóle była dla mnie zachwycającą.

Koniec końców nie wyszedłem z zamku Jutella takim, jakim tam wszedłem, wracając do Lirlas miałem umysł zajęty Dorotą, ją miałem ciągle przed oczyma, o niej tylko mówiłem. Cóż to, panie, rzekł Scypion, spoglądając na mnie z podziwieniem, widzę żeś mocno zajęty siostrą don Juana! miałabyś obudzić miłość w sercu twojem? Tak jest, mój przyjacielu, odpowiedziałem, i wstydzę się tego. O Boże, ja co od śmierci Antonii tysiące piękności widziałem z obojętnością, teraz spotykam jedną, która mnie zajmuje i której w tym wieku oddać z myśli nie mogę! To i cóż panie, odpowiedział syn Coscoliny, cieszyć się raczej powinieneś, a nie smuć z tej przygody; jesteś w wieku, w którym zapał miłosny nie wystawia jeszcze człowieka na śmieszność, a czas nie zmarszczył jeszcze twojego czoła tak dalece, aby ci mógł odjąć nadzieję podobania się. Wierz mi, za powtórnem widzeniem się z don Juanem, śmiało proś o rękę jego siostry, nie odmówi jej takiemu jak ty człowiekowi; a prócz tego jeżeli koniecznie potrzeba być szlachcicem do zaślubienia Doroty, alboż nim nie jesteś? Masz patent szlachectwa, to dosyć dla twojego potomstwa; skoro czas rozciągnie nad tym patentem grubą oponę, jaką pokrywa pierwiastki wszystkich rodzi, po czterech, lub pięciu pokoleniach ród Santillanów będzie jednym ze świetniejszych.

ROZDZIAŁ XIV.

Podwójne gody odprawione w Lirias, kończą historią Gil Blas'a z Santillany.

Scypion tym sposobem zachęcał mnie do oświadczenia się Dorocie, nie zastanawiając się bynajmniej, że mnie narażał na odprawę. Ja jednak nie mogłem się na to odważyć bez drżenia. Chociaż nie pokazywałem po sobie tego wieku, w jakim byłem istotnie i śmiało mogłem sobie ująć dobre dziesięć lat, przecież miałem, że mi słuszenie powątpiewać należy, czy się potrafię podobać młodej piękności. Jednakże w końcu postanowiłem na chybił trafił, wystąpić z prośbą do brata, skoro się z nim widzieć będę, który ze swojej strony, nie będąc pewny pozyskania mojej córki chrzestnej, nie był także wolny od niespokojności.

Przybył on zaraz nazajutrz rano do mojego zamku, wtedy gdy właśnie kończyłem ubieranie się. Panie de Santillana, rzekł, przybywam dziś do Lirias, dla pomówienia o interesie ważnym. Zaprowadziłem go do mojego gabinetu, gdzie od razu przyste-

pując do rzeczy: Spodziewam się, mówił, że nie tajny panu powód, który mnie tu sprowadza; kocham Serafinę, panie, masz przewagę nad umysłem jej ojca; proszę cię, chciej mi zjednać jego przychylność; spraw abym pozyskał przedmiot mojej miłości, niech tobie zawdzięczam szczęście mojego życia. Panie don Juan, odpowiedziałem, ponieważ bez ogródki przystępujesz do interesu, nie weźmiesz za złe, że pójdę za twoim przykładem, że zapewniwszy ci wstawienie się moje do ojca mojej córki chrzestnej, żądam od ciebie tego samego do twojej siostry.

Na te słowa don Juan nie mógł ukryć przyjemnego zdziwienia, z którego ja pomyślną dla siebie wyciągnąłem wróżbę. Czy podobna, odezwał się następnie, aby Dorota wczoraj potrafiła podbić twoje serce? Zaczarowała mnie, rzekłem mu, poczytam się za najszczęśliwszego z ludzi, jeżeli moje oświadczenie podobna się i tobie i jej. O tym możesz być pewny, odpowiedział, jakkolwiek szlachetnego rodu jesteście, nie gardzimy wcale twoim związkiem. Miło mi jest, rzekłem, że nie wdrygasz się przyjąc za szwagra, mieszczanina; tym wyżej cię cenię za to; dowodzisz tym sposobem, wyższego ukształcenia; lecz gdybyś nawet tyle był próżnym, iżbyś nie chciał oddać ręki twojej stostry, tylko szlachcicowi, wiedz, że mam czem zaspokoić twoją próżność. Przez lat dwadzieścia pracowałem w biurze ministra; król nagradzając moje zasługi łożone dla kraju, udarował mnie dyplomem szlachectwa, który ci zaraz pokażę. To mówiąc, wyciągnąłem mój patent z szufladki, w której go z pokorą chowałem, podałem go szlachcicowi, który go od początku do końca przeczytał z wielką uwagą i zadowoleniem. To bardzo dobrze, rzekł, oddając mi. Dorota jest twoja. A ty bądź pewny Serafiny, zawołałem.

Dwa te małżeństwa, tym sposobem były nłożone między nami. Chodziło jedynie, czy nasze przyszłe z dobrej woli przystaną na to, bo ani don Juan, ani ja, nie życzyliśmy sobie brać ich mimo ich woli. Szlachcic wrócił do zamku Jutella, aby mnie oświadczyć swojej siostrze; a ja zebrałem Serafinę, Scypiona i Beatrycę, aby im opowiedzieć rozmowę moją z tym kawalerem. Beatryx była tego zdania, aby go przyjąć za męża córki, nie wahając się wcale; Serafina milczeniem zdawała się objawiać zgodę ze zdaniem matki. Ojciec nie był wprawdzie innego mniemania, lecz objawił niejaka troskliwość pod względem posagu, jaki wypadałoby dać szlachcicowi, którego zamek tak naglące wymagał naprawy. Zamknąłem usta Scypionowi, oświadczając, że to moja rzecz, że oflaruję cztery tysiące ludów, mojej córce chrzestnej, na rachunek jej posagu.

Tegoż samego wieczoru, widziałem znowu don Juana. Twoje interesa, powiedziałem mu, idą wybornie; pragnąłbym, żeby moje nie w gorszym były stanie. I one także idą jak najplej, odpowiedział mi; nie byłem przywieziony do ostateczności użycia mojej powagi, dla wyjedukania przyzwolenia Doroty; twoja osoba podobna się jej, twoje objęcie miłe jest dla niej. Bałeś się, abyś jej nieprzypadł do gustu, a ona tymczasem z większą słusnością lęka się, że nie mając nic więcej do ofiarowania ci prócz serca i ręki... A czegoż ja więcej żądałem, przerwałem mu z uniesieniem; ponieważ nadobna Dorota nie gardzi mną i chce los swój związać z moim, to jest wszystko czego pragnę, dość jestem zamożny, aby ją zaślubić bez posagu, a samo to zaślubienie, spełni wszystkie moje życzenia.

Don Juan i ja, uradowani żeśmy szczęśliwie doprowadzili rzeczy aż do tego punktu, dla przyspieszenia godów weselnych postanowiliśmy usunąć wszystkie dodatkowe obrzędy. Szlachcic, umówił się z rodzicami Serafiny, a ułożywszy warunki małżeństwa, pożegnał nas, przyrzekając, że jutro przybędzie z Dorotą. Chęć przypodobania się tej dziewczycy, sprawiła, że przeszło trzy godziny strawił na strojeniu się, na muskaniu, a jeszcze w końcu nie byłem kontent z mojej osoby. Dla młodzieńca, który się gotuje na spotkanie swojej lubej, jest to zabawka, rozkosz prawdziwa, ale dla człowieka zbliżającego się do starości, to jest praca. A jednak byłem szczęśliwszy niżeli na to zasługiwałem; widziałem siostrę don Juana, tak łaskawie spoglądała na mnie okiem, że mi sobie wystawił, iż jeszcze przecie wart coś jestem. Długo z nią rozmawiałem; zachwycała

mnie swoim rozsądkiem, wniosłem z tego, że przy uprzejmości z mojej strony, przyzwolitęm postępowaniu, mogę stać się mężem miłym. Upojony tak słodką nadzieją, posłałem do Walencyi po dwóch pisarzy aktowych, którzy ułożyli umowę małżeństwa, po czém zaprosiliśmy plebana z Paterny, który w Lirias pobłogosławił związek mój i don Juana, z naszymi ulubionymi.

Po drugi wlec raz, zapaliłem pochodnię bimenu i nie miałem powodu żałowania. Dorota, jako cnotliwa kobieta, znajdowała rozkosz w pełnieniu swolch obowiązków; a czuła na zabieg, jakich nie szczydziłem w uprzedzeniu jej życzeń, przywiązała się do mnie, jak do młodzieńca. Z drugiej strony, don Juan i moja córka chrestna, wzajemnie równą ku sobie palali miłością, a co osobliwsza, że te dwie szwagrowe, zawiązały między so-

bą najserdeczniejszą i najczystszą przyjaźń. Ja w moim szwagrze wykryłem tyle wybornych przymiotów, że uczułem szczerze do niego przywiązanie, które on wzajemnością odpłacał. Słowem, jedność panująca między nami była taka, że kiedy wieczór trzeba się nam było rozłączyć, aby się zuowu zebrać nazajutrz, to chwilowe rozstanie się, nie było bez przykrości; i to stało się powodem, żeśmy postanowili z dwóch rodzin zrobić jedną tylko, któraby mieszkała raz w Lirias, drugi raz w Intella, gdzie przedsięwzięto wielkie naprawy, za ludory Jego Wysokości.

Już teraz upływa trzy lata, jak włodeę tak rozkoszne życie z osobami ukochanymi. Na domiar szczęścia, Bóg raczył mi dać dwoje dzieci, których wychowanie, będzie rozrywką dla mnie na stare lata.

KONIEC HISTORJI GIL BLASA.



Lesage.

INSTYTUT
 BADAŃ LITERACKICH PAN
 BIBLIOTEKA
 80-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
 Tel. 26-68-63



F.29.312